



Cykl **WŁADCY RZYMU**



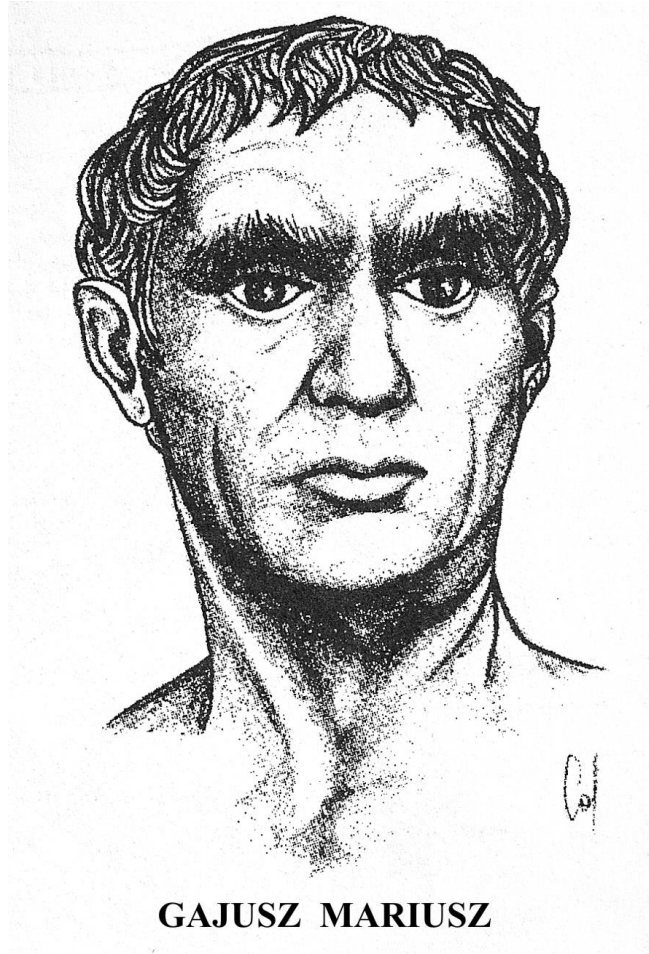
tom I - **Pierwszy w Rzymie**



Księgozbiór DiGG



2008



GAJUSZ MARIUSZ



GLÓWNE POSTACIE



- **Kwintus Serwiliusz CEPION**, konsul w roku 106 p.n.e.
 - **Kwintus Serwiliusz Cepion Młodszy**, syn konsula
 - **Serwilia Cepionia**, córka konsula



- **Gajusz Juliusz CEZAR**, senator
 - **Marcja z Marcjuszów Królów**, żona senatora
 - **Sekstus Juliusz Cezar**, starszy syn senatora
- **Gajusz Juliusz Cezar Młodszy**, młodszy syn senatora
 - **Julia Starsza (Julia)**, starsza córka senatora
 - **Julia Młodsza (Julilla)**, młodsza córka senatora



- **Marek Aureliusz KOTTA**, pretor (data nie znana)
- **Rutylia**, żona pretora jej pierwszym mężem był Lucjusz Aureliusz Kotta, brat pretora, konsul w roku 118 p.n.e. (zmarł wkrótce potem)
 - **Aurelia**, pasierbica i bratanica pretora
 - **Lucjusz Aureliusz Kotta**, pasierb i bratanek pretora
- **Gajusz, Marek i Lucjusz Aureliusz Kotta**, synowie pretora i Rutylia



- **Lucjusz DEKUMIUSZ**, nadzorca Kolegium Rozdroży



- **Marek Liwiusz DRUZUS Cenzor**, konsul w roku 112 p.n.e., cenzor w roku 109 p.n.e. (zmarł w czasie urzędowania)
- **Kornelia Scypionia**, żona i matka dzieci konsula, w separacji z mężem
 - **Marek Liwiusz Druzus**, starszy syn konsula
 - **Mamertus Emiliusz Lepidus Liwianus**, młodszy adoptowany syn konsula
 - **Liwia Druza**, córka konsula



- **Gajusz Serwiliusz GLAUCJA**, trybun ludowy w roku 102 p.n.e., pretor w roku 100 p.n.e.



- **JUGURTA**, król Numidii, nieprawy syn Mastanabala
 - **Bomilkar**, komes, przyrodni brat Jugurty



- **Gajusz MARIUSZ**
 - **Grania z Puteoli**, pierwsza żona Mariusza
 - **Marta Syryjka**, jasnowidząca



- **Lucjusz Cecyliusz METELLUS Dalmatyński**, *Pontifex Maximus*, konsul w roku 119 p.n.e.
 - **Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski**, młodszy brat Dalmatyńskiego, konsul w roku 109 p.n.e., cenzor w roku 102 p.n.e.
 - **Kwintus Cecyliusz Metellus Pius**, syn Numidyjskiego
 - **Cecylia Metella**, bratanica Numidyjskiego, córka Dalmatyńskiego



- **Publiusz Rutyliusz RUFUS**, konsul w roku 105 p.n.e.
- **Liwia z Druzusów**, jego zmarła żona, siostra Marka Liwiusza Druzusa Cenzora
- **Rutylia z Rufusów**, jego siostra, wdowa po Lucjuszu Aureliuszu Kotcie, żona Marka Aureliusza Kotty



- **Lucjusz Apulejusz SATURNIN**, trybun ludowy w roku 103 i w roku 100 p.n.e.



- **Marek Emiliusz SKAURUS**, *princeps senatus*, konsul w roku 115 p.n.e., cenzor w roku 109 p.n.e.
- **Marek Emiliusz Skaurus Młodszy**, jego syn z pierwszej żony



- **Kwintus SERTORIUSZ**, trybun wojskowy
- **Ria z Mariuszów**, jego matka, kuzynka Gajusza Mariusza



- **Lucjusz Korneliusz SULLA**, kwestor w roku 107 p.n.e., legat
- **Klitumna z Umbrii**, jego macocha, ciotka Lucjusza Gawiusza Stychusa
 - **Nikopolis**, kochanka Sulli, wyzwolona niewolnica
 - **Metrobiusz**, młodociany aktor, gwiazdor komedii





ROK PIERWSZY (110 p.n.e.)



LUCJUSZ KORNELIUSZ
SULLA



ZA KONSULATU MARKA MINUCJUSZA RUFUSA I SPURIUSZA POSTUMIUSZA ALBINA

Gajusz Juliusz Cezar nie miał osobistych zobowiązań wobec żadnego z nowych konsulów, przyłączył się więc po prostu z synami do tego uroczystego pochodu, który zaczynał się w pobliżu jego domu, pochodu Marka Minucjusza Rufusa, starszego konsula. Obaj konsulowie mieszkali na Palatynie, ale młodszy, Spuriusz Postumiusz Albinus, miał dom w lepszej części wzgórza. Plotka głosiła, że długi Albina rosą z zawrotną szybkością, i nic dziwnego: taka była cena konsulatu.

Rzecz nie w tym, że Gajusz Juliusz Cezar obawiał się ciężaru długów, które musiałby zaciągnąć, wspinając się po szczeblach kariery urzędniczej. Ani on, ani jego synowie nie musieli się o to martwić. Minęło czterysta lat, odkąd pierwszy z Juliuszów zasiadł w kurulnym krześle konsula, i właśnie przed czterystu laty Juliuszów było na to stać. Przodkowie rodu julijskiego byli tak wyniośli i dostojni, że sposobność napętnienia rodowych skrzyń wymykała się z rąk kolejnym pokoleniom i z końcem każdego stulecia ród Juliuszów okazywał się coraz biedniejszy. Konsulat? Niemożliwe! Pretura, następny po konsulacie szczebel w hierarchii władzy? Niemożliwe! Nie, skromny i bezpieczny kąć w tylnych ławach senatu, oto był dzisiejszy stan posiadania rodu Juliuszów i tej jego gałęzi, którą od bujnych czupryn

zwano Cezarami.

Tak więc toga, którą służący Gajusza Juliusza Cezara ułożył na jego lewym ramieniu i owinąwszy ją wokół ciała, przewiesił przez lewą rękę, była zwykłą togą człowieka, który nie zabiega o kurulne krzesło z kości słoniowej. Tylko buty z czerwonej skóry, żelazny pierścień senatora i szeroki purpurowy szlak na prawym ramieniu tuniki odróżniały jego strój od stroju synów, Sekstusa i Gajusza, którzy nosili zwykle czarne buty, sygnety ekwitów i tuniki z wąskim purpurowym szlakiem.

Choć nie wstał jeszcze świt, była już pora na drobne obrzędy rozpoczynające dzień; krótką modlitwę i ofiarowanie słonego ciastka w kapliczce domowych bóstw w atrium. Potem, gdy czuwający przy drzwiach sługa krzyknął, że widzi pochodnie na zboczu, trzeba było oddać cześć Janusowi Patulciusowi, bogu strzegącemu otwieranych drzwi.

Ojciec i synowie wyszli na wąską brukowaną uliczkę i tam się rozdzielili. Młodzi ludzie dołączyli do szeregów ekwitów poprzedzających nowego starszego konsula. Gajusz Juliusz Cezar zaczekał, aż Marek Minucjusz Rufus przejdzie ze swymi liktorami obok niego, a potem wsunął się w szeregi idących za tamtym senatorów.

Tymczasem Marcja, odmówiwszy modlitwę do Janusa Clusiviusa, boga czuwającego nad zamykaniem drzwi, odprawiła ziewających służących do ich zajęć. Mężczyźni odeszli, mogła więc ze spokojem poświęcić się zaplanowanej małej ekspedycji. Lecz gdzież były dziewczęta? Odpowiedział jej na to pytanie śmiech dobiegający z małego ciasnego saloniku, który dziewczęta nazywały swoim. Siedziały tam jej córki, dwie Julie, i jadły na śniadanie chleb z miodem. Ależ były słodkie!

Mówiło się, że każda kolejna Julia w rodzinie to prawdziwy skarb, bo udziałem ich wszystkich był rzadki i cenny dar uszczęśliwiania mężczyzn. Widać już było, że te dwie młode Julie podtrzymują rodzinną tradycję.

Julia Starsza - czyli po prostu Julia - miała prawie osiemnaście lat. Była wysoką i postawną szatynką, włosy związywała w kok, a jej wielkie, szare oczy przyglądały się światu poważnie, ale i pogodnie. To była Julia rozumna i promieniująca spokojem.

Julia Młodsza - zwana Julillą - miała lat szesnaście i pół. Była ostatnim dzieckiem swych rodziców i nie witano jej na świecie zbyt gorąco, dopóki nie podrosła na tyle, by oczarować matkę, ojca i trójkę starszego rodzeństwa. Cała była miodowozłota: jej cera, oczy, włosy, wszystko to miało barwę różnych odcieni bursztynu. To, oczywiście, ona się teraz śmiała. Julilla śmiała się ze wszystkiego. Była osobą niespokojną, raptowną i nie zastanawiała się długo nad niczym.

- Jesteście gotowe, dziewczęta?

Przelknęły ostatnie kęsy ociekającego miodem chleba, opłukały palce w misie z wodą, otarły je o ściereczkę i wyszły za matką z pokoju.

- Zimno dziś - oznajmiła matka, odbierając z rąk służącej ciepłe wełniane płaszcze, ciężkie i mało wytworne. Dziewczęta miały zawiedzione miny, ale nie protestowały. Wiedziały, że to bezcelowe. Owinięte płaszczami, przypominały gąsienice w kokonach. Tylko ich twarze wyglądały spod fałd płowego samodziału. Identycznie zawinięta Marcja uformowała

mały konwój z córek oraz eskortujących je służących i wyprowadziła go na ulicę.

Mieszkały w tym skromnym domu na dolnym Germalusie Palatynu, odkąd Ojciec Sekstus darował go swemu młodszemu synowi Gajuszowi wraz z pięciuset jugerami dobrej ziemi między Bowillami i Arycją. Było to uposażenie wystarczające, by zapewnić Gajuszowi utrzymanie rodziny i miejsce w senacie, nie pozwalało mu ono jednak na wspinanie się po szczeblach *cursus honorum*, drabiny godności, wiodącej aż do urzędu pretora i do konsulatu.

Ojciec Sekstus miał dwóch synów i nie mógł się zdecydować na rozstanie z żadnym z nich. Była to raczej samolubna postawa, oznaczało to bowiem, że jego majątek - już pomniejszony, bo i on miał ojca o czułym sercu i młodszego brata, którego trzeba było uposażyć - musiał zostać podzielony między synów, Sekstusa i Gajusza. Oznaczało to również, że żaden z synów nie przejdzie *cursus honorum* i nie zostanie pretorem ani konsulem.

Brat Sekstus nie był, na szczęście, tak sentymentalny jak Ojciec Sekstus. Miał z żoną Popilią trzech synów - brzemię nie do zniesienia dla senatorskiej rodziny - zdobył się jednak na rozstanie z najstarszym i pozwolił, by go adoptował bezdzielny Kwintus Lutacjusz Katullus. Tym sposobem zapewnił fortunę swemu najstarszemu, i sobie także. Stary Katullus był bajecznie bogaty i z radością zapłacił wielką sumę za możliwość adoptowania urodziwego i rozumnego chłopca z patrycjuszowskiego rodu. Pieniądze, które przyniósł ów chłopiec swemu prawdziwemu ojcu, zostały rozsądnie zainwestowane w wiejskie i miejskie posiadłości, z nadzieją, że dochody z nich pozwolą młodszemu synom Brata Sekstusa ubiegać się o najwyższe urzędy.

Problemy wszystkich Juliuszów Cezarów - poza zdecydowanym Bratem Sekstusem - wynikały z ich skłonności do płodzenia więcej niż jednego syna i okazywania potem sentymentalizmu w kłopotliwym położeniu. Nie byli zdolni zapanować nad swymi uczuciami, oddawać w adopcję nadwyżki swego męskiego potomstwa i dopilnować, by odpowiednie małżeństwa przynosiły ich dzieciom pieniądze. Z tej przyczyny rozległe niegdyś posiadłości kurczyły się z biegiem stuleci. Dzielono je stopniowo na coraz mniejsze części, stanowiące uposażenie dwóch albo trzech synów, niektóre zaś sprzedawano na posagi córek.

Mąż Marcji był takim właśnie Juliuszem Cezarem - sentymentalnym, zaślepionym ojcem, zbyt dumnym ze swych synów i zbyt uległym córkom, by okazać zdrowy rzymski rozsądek. Starszego już dawno trzeba było oddać w adopcję, dziewczętom już dawno należało znaleźć bogatych kandydatów na mężów, a młodszemu bogatą narzeczoną. Bez pieniędzy nie można było zrobić kariery w polityce. Patrycjuszowska krew już od dawna była tylko zbytecznym ciężarem.

Dzień Nowego Roku nie rysował się szczególnie pomyślnie; był zimny, wietrzny i dżdżysty. Bruk był niebezpiecznie śliski, a w powietrzu wisiał coraz silniejszy odór spalenizny. Świt był spóźniony, bo nie było widać słońca. Było to jedyne rzymskie święto, które zwyczajni ludzie woleli

spędzać w ciasnych wnętrzach swoich domów, wylegając się w łózkach i oddając się starej jak świat zabawie zwanej „brzuch do brzucha”.

Gdyby pogoda była lepsza, ulice zapełniałoby ludzie wszystkich zawodów, śpieszący do wybranych miejsc widokowych, by podziwiać paradę na Forum Romanum i na Kapitolu. Dziś jednak Marcja i jej córki nie miały żadnych kłopotów z przejściem, a służący nie musieli siłą torować drogi swoim paniom.

Uliczka, przy której stał dom Gajusza Juliusza Cezara, wychodziła na Clivus Victoriae nieco powyżej Porta Romulana, starożytnej bramy w starożytnych murach z potężnych ciosowych kamieni układanych przez samego Romulusa. Tych nie przesłoniętych i nie obudowanych murów nie nadwątlili nawet trudy zwiedzających, którzy od sześciu stuleci ryli na nich swoje inicjały. Panie skręciły w prawo, idąc w górę Clivus Victoriae, i po pięciu minutach doszły do zakrętu, gdzie Germalus Palatynu wznosił się nad Forum Romanum. Pusta działka była najlepszym z widokowych miejsc.

Przed dwunastu laty wznosił się tu jeden z najpiękniejszych domów w Rzymie. Dziś nie było tu prawie śladów dawnej zabudowy, poza kilkoma zagrzebanymi w trawie kamieniami. Widok stąd był wspaniały. Z miejsca, gdzie służący ustawili składane stołki dla Marcji i obu Julii, panie mogły oglądać całe Forum Romanum oraz Kapitol i kipiący życiem stok Subury na tle wzgórz na północnym widnokręgu.

- Słyszałyście już? - zapytała Cecylia, żona bankiera Tytusa Pomponiusza, siedząca obok ze swą ciotką Pilią. Mieszkały o jeden dom dalej w tej samej uliczce co Cezarowie. Widać było, że Cecylia jest brzemienna.

- O czym? - spytała Marcja, pochylając się ku niej.

- Konsulowie i kapłani zaczęli obrządki zaraz po północy, żeby zdążyć...

- Zawsze tak robią - przerwała jej Marcja - bo jeśli się pomylą, muszą zacząć od początku.

- Wiem, aż taka tępa nie jestem. - Cecylię podrażniło, że córka pretora zaczyna ją pouczać. - W tym rzecz, że się nie pomylili! Wróżby były niepomyślne. Cztery razy błyskało z prawej strony, a jakaś sowa darła się jak zarzynana tuż obok wróżbitów. I do tego ta pogoda - to nie będzie dobry rok, ani dobra para konsulów.

- Mogłabym ci to powiedzieć i bez tej sowy i błyskawic - rzekła Marcja, której ojciec nie dożył konsulatu, ale jako *praetor urbanus* wybudował wielki akwedukt, zaopatrujący Rzym w słodką wodę, dzięki czemu pamiętano o budowniczym jako o jednym z wybitnych ludzi u władzy. - Przede wszystkim, nie było w czym wybierać spośród kandydatów, a i tak elektorzy nie wybrali najlepiej. Marek Minucjusz Rufus jeszcze jakoś ujdzie, ale ten Spuriusz Postumiusz Albinus! Oni się do niczego nie nadają!

- Kto się nie nadaje? - Cecylia nie była zbyt bystra.

- Ród Postumiusza Albina. - Marcja rzuciła wzrokiem na córki, by się upewnić, że wszystko w porządku. Już zdążyły się spotkać z czwórką dziewcząt dwóch Klaudiuszów Pulcherów. Tak, nie sposób utrzymać w ryzach taką gromadę! Tamte zwykle nie były w porządku. A jednak

dziewczęta, zebrane teraz na ruinach domu Flakkusa, chodziły w dzieciństwie razem do szkoły. Nie można przecież odcinać się od ich rodu, prawie równie dostojnego jak ród Juliuszów Cezarów, zwłaszcza że Klaudiuszowie Pulcherowie także nieustannie walczyli z tymi samymi wrogami starej szlachty: nadmiarem dzieci oraz ubywaniem ziemi i pieniędzy. Jej dwie Julie już przeniosły swoje stołki w pobliże tamtych dziewcząt, których najwyraźniej nikt nie pilnował. Gdzie były ich matki? Ach, rozmawiają z Sullą! To przesądza sprawę.

- Dziewczęta! - krzyknęła ostro.

Dwie okutane płaszczami główki zwróciły się w jej stronę.

- Wracajcie! - i dodała: - Natychmiast!

Wróciły.

- Mamo, czy nie mogłybyśmy siedzieć z przyjaciółkami? - spytała z prośbą w oczach Julilla.

- Nie - odrzekła Marcja tonem, który mówił: „I na tym koniec!”

W dole, na Forum Romanum, formował się uroczysty pochód. Wyglądało to jakby jakiś długi krokodyl, wyruszywszy z domu Marka Minucjusza Rufusa, spotykał się z drugim równie długim krokodylem wywodzącym się z domu Spuriusza Postumiusza Albina. Najpierw szli ekwici. Nie było ich tylu, co w jakiś piękny słoneczny dzień Nowego Roku, ale i tak zebrało się ze siedmiuset - wcale przyzwoita liczba. Gdy tylko się rozjaśniło, mimo wzmagającego się deszczu, ruszyli po pochyłości Clivus Capitolinus do pierwszego zakrętu, gdzie czekali kapłani i ofiarnicy z dwoma białymi bykami bez skazy, trzymanymi na ozdobnej uwięzi, z pozłocionymi rogami i girlandami na szyjach. Z tyłu za ekwitami kroczyło dwudziestu czterech liktorów nowych konsulów. Za liktorami szli sami konsulowie, a za nimi senat: dawni wyżsi urzędnicy w togach z purpurowym szlakiem, a pozostali w zwykłych białych. Na końcu szli ci, którzy nie mieli prawa udziału w pochodzie: gromada klientów obu konsulów i widzowie.

„Piękny widok!”, pomyślała Marcja. Około tysiąca mężczyzn szło powoli po pochylni ku świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, najwyższego boga Rzymu, imponującej budowli wznoszącej się w najwyższym punkcie południowego wierzchołka Kapitolu. Grecy budowali swe świątynie wprost na gruncie, Rzymianie natomiast wznosili swoje na wyniosłych platformach o wielu stopniach. Stopni wiodących do Jowisza Najlepszego i Największego było naprawdę wiele. „Piękny widok!”, pomyślała znów Marcja, gdy zwierzęta ofiarne i ich eskorta przyłączyły się do pochodu i wszyscy razem stłoczyli się w końcu na ograniczonej przestrzeni przed wielką świątynią na wierzchołku. Gdzieś tam był jej mąż i dwaj synowie, należący do tej elity władzy najpotężniejszego z miast świata.



Gdzieś tam między nimi był też Gajusz Mariusz. Jako były pretor nosił *toga praetexta* z purpurowym szlakiem i czerwone senatorskie buty ze sprzączkami w kształcie półksiężyca. Tego wszystkiego było mu jednak mało. Był pretorem przed pięciu laty, a trzy lata temu powinien być zostać

konsulem. Wiedział już jednak, że nigdy mu nie pozwolą ubiegać się o konsulat. Nigdy. Dlaczego? Bo nie był dla nich dość dobry. To był jedyny powód. Kto kiedy słyszał o rodzie Mariuszów? Nikt.

Gajusz Mariusz był człowiekiem znikąd. Był wojskowym i kimś, o kim mówiono, że nie zna greki, a jego łacina staje się mocno prowincjonalna, kiedy wpada w zapał albo ponosi go gniew. Nie miało znaczenia, że mógł kupić połowę senatu, nie liczyło się, że na polu bitwy przewyższa jako wódz obie połowy senatu. Liczyło się tylko pochodzenie, a ono nie było dość dobre.

Gajusz Mariusz pochodził z Arpinum - leżącym nie tak znów daleko od Rzymu, ale niebezpiecznie blisko granicy między Lacjum a Samnium, i przez to podejrzanym o nielojalność i sprzyjanie wrogom. Samnici stale należeli do najbardziej zaciętych nieprzyjaciół Rzymu pośród Italczyków. Obywatelstwo rzymskie późno stało się udziałem Arpinum, ledwie przed siedemdziesięciu ośmiu laty, a status okręgu wciąż jeszcze nie był odpowiedni.

Ach, ale jak tam było pięknie! U stóp wysokich Apeninów, w żyznej dolinie rzek Liris i Melfy, winogrona udawały się wspaniale, dobre zarówno na stół, jak do wyrobu wina, a zboża zwracały stu pięćdziesięciokrotny plon. Owce były tłuste, a ich wełna zadziwiająco miękka. Było spokojnie, zielono, sennie, nadspodziewanie chłodno w lecie i nadspodziewanie ciepło w zimie. Woda w obu rzekach była pełna ryb, gęste lasy na górach otaczających kotlinę dostarczały znakomitego drewna okrętowego i budowlanego. Rosły też tam sosny dające smołę i drewno na pochodnie oraz dęby jesienią zaścielające ziemię żołędziami, przysmakiem świń. Stąd brały się tłuste szynki, kielbasy i boczek, które mogły być ozdobą każdego szlacheckiego stołu w Rzymie - i często były.

Rodzina Gajusza Mariusza żyła w Arpinum od stuleci, szczycąc się swoją łacińskością. Czyż Mariusz to imię wolskijskie albo samnickie? Czy pobrzmiwa z oskijska tylko dlatego, że bywali Samnici i Wolskowie o tym imieniu? Nie! Mariusz to imię łacińskie. On, Gajusz Mariusz, jest równie dobry jak każdy z tych szlachećnie urodzonych, wyniosłych i zadzierających nosa, którzy tak lubią go poniżać. Właściwie, i to było naprawdę bolesne, był lepszy od każdego z nich. On to po prostu czuł.

Skąd tego rodzaju uczucie się brało? Traktował je jak nieproszonego gościa, który nie zbiera się do wyjścia, choć gospodarz zachowuje się niegościnnie. Pamięta, że upłynęło wiele czasu, odkąd poczuł je po raz pierwszy. Tak, minęło wiele czasu i wiele się wydarzyło, co wyraźnie mogłoby wskazywać, że to uczucie go zwodzi i popycha do desperacji. Tak się jednak nie stało. Trwało w jego umyśle tak samo żywe i nieposkromione jak na początku, chociaż minęło pół życia.

„Dziwny jest ten świat!”, myślał Gajusz Mariusz w tej posepnej godzinie dżdżystego poranka, spoglądając z bliska w twarze otaczających go mężów w togach z purpurowym szlakiem. Nie, nie było wśród nich nowego Tyberiusza ani Gajusza Semproniusza Grakcha! Gdyby jeszcze usunąć Marka Emiliusza Skaurusa i Publiusza Rutyliusza Rufusa, zostaną sami mali ludzie, istne stado gęsi. A jednak wszyscy oni patrzyli z góry na

niego, Gajusza Mariusza, jak na nadęte zero z tupetem i bez manier, tylko dlatego, że mieli błękitną krew w żyłach. Każdy z nich wiedział, że w sprzyjających okolicznościach uzyskałby on prawo do tytułu Pierwszego w Rzymie, jak niegdyś Scypio Afrykański, Emiliusz Paulus, Scypio Emilianus i najwyżej z dziesięciu innych przez wszystkie wieki istnienia Republiki.

Pierwszy w Rzymie nie był kimś najlepszym z wszystkich, był tylko pierwszym między równymi, ale być Pierwszym w Rzymie było czymś daleko lepszym niż królowanie. Pierwszy w Rzymie zawdzięczał tę nazwę swej wyższości nad innymi, a przy tym stale miał świadomość, że świat jest pełen ludzi, którzy go chętnie zastąpią - i mogą go zastąpić, legalnie i bez rozlewu krwi, umacniając po prostu swą przewagę. Być Pierwszym oznaczało coś więcej niż konsulat, bo konsulowie przychodzili i odchodzili po dwóch rocznie, a przez wiele stuleci Republiki Rzymskiej tylko nielicznych nazywano Pierwszymi w Rzymie.

Obecny Rzym nie miał Pierwszego. Nie było Pierwszego od śmierci Scypiona Emilianusa przed dziewiętnastu laty. Marek Emiliusz Skaurus był niewątpliwie najbliższy tego tytułu, ale nie miał dość *auctoritas*, tego osobliwego stopu władzy, sławy i autorytetu, by na to zasłużyć. Nikt też go tak nie nazywał, prócz niego samego.

W tłumie senatorów nastąpiło nagle poruszenie i podniósł się pomruk. Starszy konsul, Marek Minucjusz Rufus, miał właśnie ofiarować bogu swojego białego byka, ale ten był niespokojny. Prawdopodobnie nie zjadł swego ostatniego w życiu posiłku, paszy zaprawionej środkiem oszołamiastymi. Teraz już wszyscy powtarzali, że nie będzie to dobry rok: złe znaki podczas nocnego czuwania konsulów, niepogoda, a teraz jeszcze pierwsza z ofiar parska i wierzga, a tuzin akolitów czepia się uszu i rogów byka, zamiast zawczasu założyć mu pierścień w nozdrzach. Obnażony do pasa akolita z młotem do głuszenia bydła nie czekał, aż byk wzniesie głowę ku niebu, za czym szło opuszczenie jej w dół; zawsze można przecież powiedzieć, że z dziesięć razy unosił głowę, walcząc o życie. Przystąpił i machnął żelazem w górę i w dół tak szybko, że znikło z oczu patrzącym. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia, a po nim drugi, gdy kolana padającego byka uderzyły w bruk z siłą tysiąca sześciuset funtów jego wagi. Potem półnagi topornik opuścił swój podwójny topór na jego kark i krew chlusnęła na wszystkie strony. Część złowiono w ofiarne czary, ale większość popłynęła lepka parującą rzeką do nikąd, wsiąkając w rozmiękną od deszczu ziemię.

„Niejednego dowiadujemy się o człowieku z jego reakcji na rozlew krwi”, myślał Gajusz Mariusz, wykrzywiając usta w uśmiechu na widok kogoś odskakującego w pośpiechu, podczas gdy ktoś inny nie zważał na to, że ma buty pełne krwi, a jeszcze inny starał się ukryć, że zaraz zwymiotuje. Ach! Na tego warto spojrzeć! Młody, choć już dorosły chłop, stojący z boku wśród ekwitów, w todze, lecz bez ekwickiego szlaku na prawym ramieniu tuniki. Nie stał tam chyba długo, a teraz już odchodził w dół Clivus Capitolinus ku Forum. Gajusz Mariusz zdążył już jednak zauważyć

jak niezwykle szarobiałe oczy tamtego błyszczą, płoną, napawają się widokiem krwi. Był pewien, że nigdy go jeszcze nie widział, i zastanawiał się, co to za jeden. Z pewnością to nie byle kto. Była to uroda tyleż męska, co kobieca, a do tego te zdumiewające włosy niczym wschodzące słońce, ta cera biała jak mleko! Ależ to wcielony Apollo. Czy był to właśnie on? Nie, bóg nie mógłby mieć takich oczu jak ten śmiertelnik, który właśnie odszedł. To były oczy kogoś, kto poznał cierpienie, a przecież to by nie miało sensu: być bogiem i cierpieć.

Choć drugi byk został lepiej oszołomiony, on także walczył, i to nawet zacieklej niż pierwszy. Tym razem człowiek z młotem nie zdołał powalić go pierwszym ciosem i nieszczęsne oszalałe stworzenie rzuciło się w ślepej furii do ataku. Ktoś przytomny chwycił go za kołyszącą się mosznę, byk zamarł na chwilę, i w tej właśnie chwili ofiarnik, topornik i człowiek z młotem uderzyli jednocześnie. Byk zwałił się, obryzgując krwią wszystkich wkoło, z obu konsulami włącznie. Spuriusz Postumiusz Albinus cały ociekał krwią, i tak samo jego młodszy brat Aulus, stojący z boku tuż za nim. Gajusz Mariusz patrzył na nich z ukosa, zastanawiając się, czy ów znak oznacza to, co miał na myśli. Dla Rzymu nie była to, w każdym razie, dobra wiadomość.

Owo dziwne uczucie, ów nieproszony gość, wciąż nie chciało go opuścić. Ostatnio nawet przybrało na sile, jakby zbliżała się ważna chwila, chwila, w której on, Gajusz Mariusz, zostanie Pierwszym w Rzymie. Każda cząstka jego zdrowego rozsądku - a miał ich jeszcze niemało - skrzeczała, że owo uczucie to zdrajca, to podstęp prowadzący do hańby i śmierci. A jednak nie przestawał doświadczać tego nie dającego się wypłenić uczucia, że zostanie Pierwszym w Rzymie. „To śmieszne!”, mówił sobie ów mąż sławny z rozsądku. Miał czterdzieści siedem lat. Nigdy nie miał wielkich szans jako szósty i ostatni z sześciu wybranych przed pięcioma laty pretorów, a teraz był już za stary, by zabiegać o konsulat, bez nazwiska i bez zastępu klientów. Jego czas minął. Minął bezpowrotnie.

Konsulowie zostali wreszcie wprowadzeni na urzędy. Ten nadęty osioł, Lucjusz Cecyliusz Metellus Dalmatyński, napawający się tytułem najwyższego kapłana, odklepał ostatnie modlitwy i starszy konsul, Minucjusz Rufus, kazał heroldowi zwołać senat do świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. Mieli tam ustalić datę świąt latyńskich na Albańskich Wzgórzach, zdecydować, które prowincje mają mieć nowych namiestników, a które nie, i przydzielić pretorom i konsulom ich prowincje drogą losowania. Potem jakiś zadufany trybun ludowy zacznie pleść o ludzie rzymskim, Skaurus zgniecie zarozumiałca niczym żuka obcasem, a któryś z licznych Cecyliuszów Metellusów zacznie opowiadać o upadku moralności i etyki w młodym pokoleniu, póki liczne głosy nie każą mu zamilknąć i nie wychylać się. To przecież ten sam stary senat, ten sam stary lud, ten sam stary Rzym i ten sam stary Gajusz Mariusz, obecnie czterdziestosiedmioletni. Niedługo będzie miał pięćdziesiąt siedem, potem sześćdziesiąt siedem, a jeszcze potem rzucą go na stos pogrzebowy i zamieni się w obłoczek dymu. Żegnaj Mariuszu, dorobkiewiczzu rodem z chlewów

Arpinum. Nie byłeś Rzymianinem.

Herold wywrzeszczał swoje wezwanie. Gajusz Mariusz westchnął i zaczął zbierać się do odejścia. Podniósł wzrok, szukając kogoś, po kim mógłby się przejechać i poczuć się lepiej. Nikogo, oczywiście, nie znalazł. W tej właśnie chwili złowił spojrzenie Gajusza Juliusza Cezara, który uśmiechnął się, jakby doskonale wiedział, o czym myśli Gajusz Mariusz.

Zwrócił tym jego uwagę i przyciągnął spojrzenie. Był dla Mariusza tylko kimś z tylnych ław, ale kimś, kto nigdy nie szedł na niczym pasku. Był najstarszym z Juliuszów Cezarów w senacie po śmierci swego brata Sekstusa. Był wysoki i szeroki w ramionach, trzymał się prosto jak wojskowy, a bujna srebrzysta czupryna wieńczyła przystojną, porysowaną zmarszczkami twarz. Nie był młody, musiał mieć już ponad pięćdziesiąt pięć lat, wyglądało jednak na to, że stanie się kiedyś jednym z tych wiekowych i szanownych, którzy nawet po dziewięćdziesiątce kuśtykają na każde zgromadzenie senatu bądź ludu i przemawiają z godną podziwu jasnością umysłu. Takich nie dobije się nawet toporem ofiarnym. To oni właśnie - wszystko sprowadza się do tego - uczynili Rzym tym, czym jest, mimo nadmiaru Cecyliuszów Metellów: czymś lepszym niż cała reszta świata razem wzięta.

- Który z Metellów będzie nas dziś zabawiał przemową? - spytał Cezar, gdy znaleźli się obok siebie i zaczęli wstępować po stopniach świątyni.

- Będzie musiał jeszcze zasłużyć sobie na przydomek - odrzekł Gajusz Mariusz, a jego wielkie brwi skoczyły w górę i w dół niczym stonogi na szpilkach. - Kwintus Cecyliusz i tylko Metellus, młodszy brat naszego czcigodnego najwyższego kapłana.

- Czemu właśnie on?

- Chce się chyba starać o konsulat w przyszłym roku, zaczyna więc robić wokół siebie zamieszanie. - Gajusz Mariusz ustąpił starszemu pierwszeństwa w wejściu do ziemskiej siedziby Wielkiego Boga, Jowisza Najlepszego i Największego.

- Chyba masz rację - powiedział Cezar.

Rozległa środkowa sala świątyni pogrążona była w półmroku, tak słabe było światło na dworze, ale ceglasta twarz Wielkiego Boga jarzyła się, jak gdyby była oświetlona od wewnątrz. Był bardzo stary, zrobiony z gliny, wykonał go zaś przed wiekami słynny etruski rzeźbiarz Wulka. Choć z biegiem lat przybywały bogu złote włosy i złote sandały, szata z kości słoniowej, złoty piorun, a nawet srebrna skóra na rękach i nogach oraz paznokcie z kości słoniowej, twarz pozostała w kolorze cynobru, gładko ogolona na etruską modłę przejętą potem przez Rzym. Bezmyślny uśmiech wykrzywił zaciśnięte usta, sięgające niemal uszu, nadając mu wygląd głupkowatego ojca, który nie chce wiedzieć, że jego synek podpala właśnie pokój dziecięcy.

Sala Wielkiego Boga łączyła się po obu stronach z innymi salami. Ta po lewej należała do jego córki, Minerwy, ta po prawej - do jego żony, Junony. Każda z nich miała w swojej *celli* wspaniałą posąg ze złota i kości słoniowej i każda musiała znosić obecność jakiegoś nieproszonego gościa, bo kiedy wznoszono tę świątynię, dwaj czy trzej starzy bogowie nie chcieli

się usunąć, a Rzymianie, jak to oni, pozostawili po prostu starych bogów obok nowych.

- Chciałbym spytać, Gajuszu Mariuszu - odezwał się Cezar - czy nie przyszedłbyś do mnie jutro na obiad?

To było dość niespodziewane! Gajusz Mariusz zamrugał, co dało mu ułamek chwili na zastanowienie się. Z pewnością to nie byle co. Z pewnością nie można też posądzać Juliusza Cezara o snobizm. Jeśli ma się wśród przodków Eneasza, Anchizesa i boginię Wenus, można spotykać się z każdym, od tragarza portowego do jakiegoś Cecyliusza Metellusa, bez ryzyka uszczerbku na opinii.

- Dziękuję, Gajuszu Juliuszu - rzekł Mariusz. - Z przyjemnością przyjdę.



Lucjusz Korneliusz Sulla obudził się przed świtem w dniu Nowego Roku prawie zupełnie trzeźwy. Okazało się, że leżał właśnie tam, gdzie powinien leżeć, mając po prawej stronie macochę, a po lewej kochankę, ale obie szlachetne panie - jeśli można było je tak nazwać - były całkowicie ubrane i odwrócone do niego plecami. To oznaczało, że nie musiał się popisywać męskością, a ów wniosek zaraz znalazł potwierdzenie, obudziła go bowiem imponująca i rozkosznie bolesna erekcja. Przez chwilę leżał nieruchomo, usiłując spojrzeć trzecim okiem z góry na swój brzuch i jego bezwstydne zachowanie, ale jak zwykle przegrał w nierównych zmaganiach. Tylko jedno można było zrobić: zaspokoić niewdzięcznika. Z tą myślą sięgnął prawą ręką pod suknię macochy, gdy tymczasem lewa robiła to samo z kochanką. Obie kobiety udawały dotąd, że śpią. Teraz poderwały się i podjęły atak z użyciem pięści i języków, bez litości grzmocąc go kułakami.

- Co zrobiłem? - skamlał, zwijając się w kłębek niczym jeź i osłaniając, a jego istic królewska erekcja zapadła się niczym pusty bukłak.

Na to tylko czekały, żeby mu to powiedzieć - obie naraz. On jednak przypomniał sobie sam powód ich gniewu, i dobrze, bo obie wrzeszczały naraz, nie pozwalając nic zrozumieć. Metrobiusz, niech diabli wezmą te jego oczy! Ach, ale cóż to były za oczy! Przejrzyście czarne niczym polerowane dzety pod firankami czarnych rzęs tak długich, że można było owinąć je wokół palca. Do tego mlecznobiała cera, czarne loki opadające na wąskie ramiona i najśłodszy tyłeczek w świecie. Czternastoletni według wieku, a z tysiącletnim doświadczeniem w rozpuście, uczeń starego aktora Skylaksa. Szyderstwo i udręka, ulicznik i tygrysiątko.

Na ogół Sulla wolał kobiety, ale Metrobiusz stanowił przypadek szczególny. Chłopiec przyszedł na ucztę ze Skylaksem, jako Kupidyn, przy Wenus w wykonaniu Skylaksa. Miał na plecach zabawną parę pierzastych skrzydełek, a na biodrach przepaskę, najkrótszą z możliwych, z jedwabiu z Kos barwionego jakąś tanią imitacją szafranu, która w szczelnie zamkniętym i mocno nagrzanym pomieszczeniu puściła farbę i poplamiała mu na żółto wnętrze ud, ściągając uwagę widzów na to, co i tak było ledwie zakryte.

Od pierwszego wejrzenia zafascynował Sullę, a Sulla jego. W końcu, niewielu mężczyzn poza Sullą miało cerę białą jak śnieg, włosy niczym

wschodzące słońce, a oczy tak jasne, że niemal białe, nie wspominając już o twarzy, która przed kilku laty spowodowała niemałe zamieszanie w Atenach. Jeden z Emiliuszów, który musi pozostać tu bezimienny, przesznuł wtedy Sullę, szesnastoletniego i bez grosza przy duszy, do Patraj. Cieszył się potem jego względami przez całą drogę z Patraj do Aten, wybierając najdłuższy możliwy szlak wokół brzegów Peloponezu.

W Atenach Sulla został w trybie pilnym wyrzucony na bruk. Ów Emiliusz był zbyt ważną osobą, by mógł pozwolić sobie na jakąś skazę na męskim honorze, Rzymianie gardzili bowiem homoseksualizmem. Grecy natomiast uważali go za najwyższą formę miłości, popisując się przed oczami współrodaków tym, co cudzoziemcy ukrywali w strachu i trwodze. Jeśli jednak chodziło o Sullę, nie okazali się lepsi od Rzymian. Strach i trwoga dodawały pikanterii i skłaniały do hojności, Grecy zaś, o czym szybko się przekonał, niechętnie płacili za coś, co mogli mieć bez trudu za darmo, nawet kiedy chodziło o kogoś tak niezwykłego jak Sulla. Wymusił więc szantażem na Emiliuszu opłacenie mu powrotu luksusowym statkiem do Rzymu i opuścił na zawsze Ateny.

Oczywiście, kiedy stał się mężczyzną, wszystko się zmieniło. Kiedy musiał golić się codziennie, a pierś porosła mu rudym włosem, zmałał urok, jaki wywierał na mężczyzn - a także ich hojność. Odkrył, że kobiety są głupsze, że mają nie zaspokojone pragnienia i że ułatwia to ich wykorzystywanie. Jako chłopiec znał niewiele kobiet. Kiedy zmarła jego matka, był za mały, żeby ją zachować w pamięci. Jego ojciec, zubożały pijak, mało dbał o swoje potomstwo. Sulla miał starszą o dwa lata siostrę, Kornelię Sullę, o równie przyciągającej wzrok urodzie. Udało jej się wyjść za mąż za bogatego wieśniaka z Picenum, Lucjusza Noniusza, i wyjechała z nim na północ, by cieszyć się wygodnym życiem w Picenum. Zmusiło to szesnastoletniego Sullę do zajęcia się ojcem, który pozostał bez opieki, i wpłynęło na charakter ich życia, głównie jeśli szło o jego czystość.

Potem, kiedy Sulla skończył dwadzieścia cztery lata, jego ojciec ożenił się ponownie. Nie było to towarzyskim wydarzeniem roku, ale pozwoliło młodemu człowiekowi odetchnąć. Przez całe lata był zmuszony wynajdywać pieniądze, by spełnić niezaspokojone pragnienia ojca. Nowa żona ojca, Klitumna, pochodziła z umbryjskich chłopów. Była wdową po bardzo bogatym kupcu i zdołała odziedziczyć cały jego majątek, unieważniając testament i wydając jego jedyną córkę za mąż za jakiegoś handlarza oliwą w Kalabrii.

Co widziała Klitumna w chylącym się ku upadkowi Sulli Starszym? Dla jego syna z początku było to nie do pojęcia. Potem zaprosiła go, by zamieszkał w jej przestronnym domu na Germalusie Palatynu, i szybko przeskoczyła z łóża swego nowego małżonka do łóża młodego Sulli. Wtedy właśnie przekonał się, że tli się w nim jakaś iskierka lojalności wobec dokuczliwego rodzica, odepchnął więc, w miarę taktownie, Klitumnę, i natychmiast się wprowadził.

Sulla niewiele dotąd zaoszczędził, stać go więc było tylko na wynajęcie za trzy tysiące sestercji rocznie dwóch pokojów w wielkiej insuli na Eskwilinie, w pobliżu Aggeru. Miał zatem pokój dla siebie i drugi dla

służącego, który w nim spał i gotował. Pranie robiła mu dziewczyna mieszkająca dwa piętra wyżej w zrujnowanym mieszkaniu, która świadczyła lokatorom wszelkiego rodzaju usługi. Raz na tydzień niosła jego brudną odzież na koniec uliczki, gdzie przy rozdrożach płatanina uliczek rozszerzała się w nieregularny niewielki plac. Stała tam kapliczka, a przy niej sala zebrań bractwa rozdroży i fontanna nieustannie wypływająca strużkę wody z ust szpetnego Sylena do sadzawki o kamiennym dnie. Tę fontannę - jedną z wielu - darował kiedyś miastu wielki Katon Cenzor, człowiek tak praktyczny, jakby był nisko urodzony. Dziewczyna walczyła tam łokciami o miejsce, waliła potem tunikami Sulli o kamienie, prosiła jakąś inną praczkę o pomoc w wyżęciu ich do sucha i oddawała tamtej tę samą przysługę. Przynosiła mu potem pranie równiutko poskładane. Płacił jej w najprostszy w świecie sposób, szybko i bez gry wstępnej, i nikt o niczym nie wiedział, zwłaszcza ta zgorzkniała starucha, z którą mieszkała.

Wtedy właśnie poznał Nikopolis. Imię to znaczyło w jej ojczyściej grece „Zwycięskie Miasto”. I rzeczywiście tym dla niego była, była bowiem wdową, była niezależna i zakochana w nim do szaleństwa. Problem był tylko z tym, że choć hojnie go wspierała, nie chciała go dopuścić do pieniędzy. Myślał z goryczą, że mogłaby być bliźniaczą siostrą jego macochy Klitumny. Kobiety są głupie, ale sprytne - albo też on był zbyt łatwy do przejrzenia.

W dwa lata po tym, jak wyniósł się z pięknego domu Klitumny, zmarł mu ojciec, który zrujnował sobie piciem wątrobę. Jeżeli to on był ceną, którą Klitumna gotowa była zapłacić za schwytanie jego syna, w końcu jej się to udało, zwłaszcza gdy Sulla odkrył, że Klitumna nie ma nic przeciw dzieleniu się jego względami - i swym łóżem - z Nikopolis, tą grecką dziwką. We troje żyli sobie w zgodzie w domu na Palatynie i tylko czasem mąciła spokój ich związku słabość Sulli do chłopców. Stale zapewniał swoje panie, że to nic poważnego, że nie przepada za niewiniątkami i nie zamierza uwodzić senatorskich synków, gdy brykają na Polu Marsowym, walcząc na drewniane miecze i wskakując na grzbiety wypchanych worków osiodłanych jak prawdziwe konie. Nie, Sulla lubił zawodowych pięknych chłopców, znających wszystkie sztuczki w mieście. Prawdę mówiąc, przypominali mu jego samego w ich wieku.

Ponieważ jednak jego panie nie znosiły jego ulubieńców, on zaś, mimo swych erotycznych zachcianek, był bardzo męski, w imię domowej harmonii opierał się swym chęciom albo folgował sobie z dala od oczu Klitumny i Nikopolis. Aż do wigilii Nowego Roku, ostatnich godzin konsulatu Publiusza Korneliusza Scypiona Nazyki i Lucjusza Kalpurniusza Bestii, ostatnich godzin przed rozpoczęciem konsulatu Marka Minucjusza Rufusa i Spuriusza Postumia Albina. Gdyby nie brały w niej udziału Klitumna i Nikopolis, można by ją nazwać wigilią Metrobiusza.

Tych troje uwielbiało teatr, lecz nie wysmakowane greckie sztuki Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, grywane zawsze w maskach, gdy jęklivymi głosami deklamowano wzniosłą poezję. Nie, oni kochali komedię łacińską, Plauta, Newiusza i Terencjusza, a ponad wszystko tę prostą, graną

bez masek farsę, mimy w czystej postaci, z nagimi dziewczkami, hałaśliwym puszczaniem wiatrów, niezdarnymi błaznami, wymyślnymi dowcipami, nieprawdopodobnymi intrygami budowanymi bez namysłu z tradycyjnych elementów i nieprawdopodobnymi stokrotkami powtykanymi w kręcące się tyłki. Tam ruch jednego palca był wymowniejszy niż tysiąc słów, teściowie po omacku brali gołe cycki za dojrzałe melony, cudzołożnicy byli szaleni, a bogowie pijani - dla mima nie było nic świętego.

Przyjaźnili się ze wszystkimi komediowymi aktorami i kierownikami zespołów w Rzymie i bez namysłu porzucali jakieś świetne przyjęcie, jeżeli nie było na nim gwiazd teatru. Tragedia mogła dla nich nie istnieć, jak i dla większości Rzymian, bo Rzymianie uwielbiali dobre żarty.

Tak więc na przyjęcie w domu Klitumny w wigilię Nowego Roku zostali zaproszeni Skylaks, Astera, Milo, Pedokles, Dafne i Marsjasz. Była to, oczywiście, zabawa kostiumowa. Klitumna przepadała za przebieraniem się, Nikopolis także, a Sulla lubił przebieranie się w kobiece stroje, gdy widzowie mogli śmiać się z błazeństw prawdziwego mężczyzny przedrzeźniającego kobiety.

Sulla przebrał się zatem za Meduzę Gorgonę. Miał nawet perukę z prawdziwych żywych wężyków. Cała sala piszczała ze strachu za każdym razem, gdy pochylał głowę, szykując się do ataku. Ubrany był w powiewne jedwabie z Kos, które aż nazbyt wyraźnie ukazywały gościom największego z jego węży. Jego macocha przyszła przebrana za małpę, co oznaczało, że brykała i drapała ubrana we włochaty płaszczyk i z gołymi pośladkami pomalowanymi na niebiesko. Nieco mniej ryzykowała Nikopolis, piękniejsza od Klitumny i przebrana za Dianę z Gaju, odsłaniając długie smukłe nogi i jedną doskonale kształtną pierś, gdy płaśała wokoło, a cynowe strzały w jej kołczanie pobrzękiwały w rytm muzyki fletów, piszczałek, dzwonków, lir i bębenków.

Przyjęcie zaczęło się rozkręcać. Sulla w swym węzowym stroju odniósł niezaprzeczalny sukces, a Małpa Klitumna była najzabawniejsza z wszystkich. Wino lało się strumieniami, śmiechy i wrzaski dolatywały z ogrodu w perystylu na tyłach domu i wprawiały wszystkich konserwatywnych sąsiadów we wściekłość na długo przedtem, zanim wigilia Nowego Roku stała się dniem Nowego Roku. Potem, jako ostatni gość, pojawił się w drzwiach Skylaks w sandałach na koturnach, złotoblond peruce i z potężnymi cyckami rozdymającymi wspaniałą suknię, a umalowany był jak jakaś stara kurwa. Biedna Wenus! W jej orszaku szedł, jako Kupidyn, Metrobiusz.

Największemu węzowi Sulli dość było jednego spojrzenia, by się podebrać w ciągu sekundy, co nie sprawiło bynajmniej przyjemności Małpie ani Dianie z Gaju. Wenus też się nie ucieszyła, jeśli już o tym mowa. A potem nastąpiły sceny tak szaleńcze, jak w żadnej farsie czy mimie: podskoki niebieskiego tyłka, podskoki gołej piersi, podskoki blond peruki, podskoki największego z węży i podskoki upierzonego chłopca. Szczytowym i najlepszym z wszystkich był podskok, a raczej wyskok Sulli z Metrobiuszem, oddających się pederastii w jakimś kącie, który okazał się daleko mniej ustronny, niż to sobie wyobrażali.

Sulla wiedział, oczywiście, że popełnia straszny błąd, ale ta wiedza nie pomogła mu ani trochę. Od chwili, gdy ujrzał farbę spływającą po nogach gładkich jak jedwab i długie rzęsy nad lśniącymi czarnymi jak noc oczami, był skończony, beznadziejnie podbity. A kiedy położył dłoń na krótkiej plisowanej spódnicy, podciągając ją na tyle, by ujrzeć rozkoszne, śniade i nieowłosione skarby pod nią ukryte, za nic w świecie nie mógłby zrobić niczego innego, niż zrobił. Pchnął chłopca w kąt za wielkim pufem i tam go posiadał.

Farsa omal nie zmieniła się w tragedię, gdy Klitumna chwyciła cenny puchar z aleksandryjskiego szkła, strzaskała go i rzuciła się, całkiem serio, do twarzy Sulli. Potem Nikopolis rzuciła się na Klitumnę z jakimś dzbanem do wina, a Skylaks na Metrobiosa z koturnowym sandałem podbitym korkiem. Wszyscy inni patrzyli na to jak zaczarowani. Na szczęście Sulla nie był aż tak pijany, by zatracić swą nadzwyczajną sprawność fizyczną, i poradził sobie szybko i ostro z całą ich gromadą. Zadał Skylaksowi cios w malowane oko, podbijając je na cały miesiąc, wymierzył groty wiązki strzał w długie gołe nogi Diany i przerzuciwszy sobie Klitumnę przez kolano, zmienił kolor jej pośladków z niebieskiego na fioletowy. Potem podziękował chłopcu długim, ociągającym się pocałunkiem z udziałem języka i poszedł spać z uczuciem niesmaku górującym nad wszystkimi innymi uczuciami.

Dopiero o świcie w dniu Nowego Roku Sulla zrozumiał, o co naprawdę chodziło. To nie była farsa, i nawet nie komedia. Była to tragedia z akcją tak dziwnie i okropnie splątana, że nie dorównywało jej nic, co w najgorszych napadach rozpaczy wyobrażał sobie Sofokles o błazeństwach ludzi i bogów. Dziś, w dniu Nowego Roku, były urodziny Sulli. Okrągła rocznica! Skończył trzydzieści lat.

Gdy odwrócił się, by spojrzeć na dwie bijące się i wrzeszczące kobiety w łożu, nie było w nim niczego z Meduzy z poprzedniego wieczoru. Patrzył na nie lodowatym wzrokiem, w którym było tyle gniewu, bólu i obrzydzenia, że natychmiast się uspokoiły i siedziały bez ruchu. On tymczasem włożył czystą tunikę i kazał służącemu ułożyć na sobie togę, której nie nosił od lat, chyba tylko do teatru. Dopiero kiedy wyszedł, kobiety odzyskały zdolność poruszania się i rozpłakały się na głos, nie z żalu nad sobą, ale nad nim, nad mężczyzną, którego jeszcze nawet nie zaczęły rozumieć.

Prawda była taka, że życie Lucjusza Korneliusza Sulli, obecnie już trzydziestolatka, było jednym wielkim zakłamaniem. Żył tak od zawsze. Świat, w którym przeżył trzydzieści lat - zamieszkały przez pijaków i żebraków, aktorów i dziwki, szarlatanów i wyzwoleńców - wcale nie był jego światem.

Rzym pełen był ludzi noszących rodowe nazwisko Korneliuszy. Zostali oni jednak nazwani Korneliuszami, ponieważ ich ojciec albo dziad, albo przodek sprzed wielu pokoleń, należał jako chłop lub niewolnik do jakiegoś patrycjusza o tym nazwisku. Kiedy ów patrycjusz Korneliusz wyzwał ich z zależności dla uczczenia jakiegoś małżeństwa albo urodzin, albo pogrzebu, albo za cenę wyzwolenia odpisaną z wypłaty należności,

przyjmowali jego imię i tak stawali się Korneliuszami. Wszyscy noszący to nazwisko byli klientami któregoś z patrycjuszy Korneliuszy, odwdzięczając się za obywatelstwo nadawane wraz z nazwiskiem.

Znajomi Lucjusza Korneliusza Sulli, z wyjątkiem Klitumny i Nikopolis, zakładali automatycznie, że był on takim właśnie Korneliuszem, synem albo wnukiem, albo potomkiem po wielu pokoleniach jakiegoś chłopca albo niewolnika Korneliuszy, a przy barbarzyńskim kolorze jego włosów znacznie bardziej prawdopodobne było, że chodziło o niewolnika. Ostatecznie, istnieli patrycjusze tacy jak Korneliusz Scypio i Korneliusz Lentulus, i Korneliusz Merula, ale czy kto kiedy słyszał o patrycjuszu Korneliuszu Sulli? Nikt nawet nie wiedział, co znaczy słowo „Sulla”¹.

Prawda była jednak taka, że Lucjusz Korneliusz Sulla, zapisany przez cenzorów, stosownie do jego stanu posiadania, do *capitecensi* - masy Rzymian nie posiadających niczego - był szlachetnie urodzonym patrycjuszem, synem szlachetnie urodzonego patrycjusza, wnukiem szlachetnie urodzonego patrycjusza, i tak dalej przez wszystkie pokolenia, od czasów sprzed założenia Rzymu. Urodzenie dawało mu prawo ubiegania się o pełnię chwały *cursus honorum*. Z urodzenia należał mu się konsulat.

Jego tragedią było ubóstwo, to, że ojciec nie posiadał dochodów ani majątku niezbędnych do wpisania syna choćby do najniższej z pięciu klas majątkowych i zostawił mu w spadku tylko zwykłe obywatelstwo. Nie dla Lucjusza Korneliusza Sulli był purpurowy pas na prawym ramieniu tuniki: wąski ekwicki albo szeroki senatorski. Jego znajomi śmiali się z niego, słysząc, jak mówi, że jest z *tribus* Kornelia, jeśli bowiem miał przodków niewolników, tą *tribus* musiała być miejska Eskwilina albo miejska Suburana. Wiejska Kornelia była jedną z czterech najstarszych z trzydziestu pięciu rzymskich *tribus* i nie było w niej żadnych *capitecensi*.

W swoje trzydzieste urodziny Sulla powinien wejść do senatu - albo jako wybrany kwesor zatwierdzony przez cenzorów, albo prawem urodzenia wyznaczony przez cenzorów bez wyborów.

On tymczasem utrzymywany był dla zabawy przez dwie kobiety z gminu i nie było nadziei, by kiedyś zdołał zgromadzić fortunę, która pozwoli mu dochodzić prawa urodzenia. Następny rok będzie rokiem cenzorów - ach, gdyby mógł się przedstawić trybunałowi cenzorów na Forum Romanum i okazać dowody, że rozporządza majątkiem przynoszącym dochód miliona sestercji rocznie! Takie było minimum senatorskie. A choćby tylko majątkiem z dochodem czterystu tysięcy rocznie! Takie było minimum ekwickie. W rzeczywistości nie miał żadnego w ogóle majątku, a jego dochód nie przekraczał dziesięciu tysięcy sestercji rocznie, nawet teraz, gdy utrzymywały go kobiety. Za skrajnie ubogiego uważano w Rzymie kogoś, kogo nie stać było na posiadanie jednego choćby niewolnika. Oznaczało to, że w życiu Sulli były okresy, kiedy znajdował się w skrajnym ubóstwie. On, patrycjusz Korneliusz.

W ciągu dwóch lat dzielnego oporu, kiedy mieszkał w insuli na Eskwilinie, musiał szukać pracy w portowych dokach Rzymu poniżej

¹ Sulla - Lydeczka (przyp. tłum.).

Drewnianego Mostu. Dźwigał tam dzbany wina i opróżniał urny pełne pszenicy, aby utrzymać jednego niewolnika i pokazać światu, że Sulla nie jest skrajnie ubogi. Z wiekiem wzrastała bowiem jego duma - lub raczej świadomość ostatecznego poniżenia. Nigdy nie uległ pokusie podjęcia stałej pracy, wyuczenia się zawodu w jakiejś odlewni albo warsztacie cieśli, zostania sekretarzem jakiegoś kupca albo pisarzem kopiującym rękopisy dla wydawców lub bibliotek. Kiedy ktoś pracuje w porcie, w ogrodzie albo na budowie, nikt mu nie zadaje pytań, ale w miejscu stałej pracy zaczynają wypytywać. Sulla nie mógł nawet wstąpić do wojska - i do tego trzeba było coś posiadać. Uprawniony z racji urodzenia do dowodzenia armią, nigdy nie miał w ręku miecza, nie dosiadał konia ani nie rzucał włócznią, nawet na placach ćwiczeń wokół Villa Publica na Polu Marsowym. On, patrycjusz Korneliusz.

Może gdyby poszedł z prośbą o wsparcie do jakiegoś dalekiego krewnego, jakaś duża pożyczka uzdrowiłaby jego sytuację finansową, ale sprzeciwiała się temu jego duma - która jakoś znosiła pozostawanie na utrzymaniu kobiety z gminu. Poza nim nie było już patrycjusza Korneliuszy z linii sullańskiej, a dalekim krewnym obojętne były jego kłopoty. Lepiej być nikim, nie będąc niczym dłużnikiem, niż być zależnym od kogoś niczym klient w zamian za dużą pożyczkę. On, patrycjusz Korneliusz.

Wypadając z domu macochy, nie miał pojęcia, dokąd się właściwie wybiera. Chciał tylko odetchnąć wilgotnym powietrzem, przejść się i ochłonać z gniewu. Klitumna wybrała sobie dziwne miejsce zamieszkania, jeśli wziąć pod uwagę jej przeszłość: w ulicy wziętych adwokatów, senatorów z tylnych łąw i średnio zamożnych ekwitów, trochę za nisko, by mieć piękny widok, ale za to blisko politycznego i handlowego centrum miasta, czyli Forum Romanum z otaczającymi je bazylikami, rynkami i kolumnadami. Ceniła sobie bezpieczeństwo takiego położenia: z dala od lupanarów Subury z towarzyszącym im występkiem, ale jej hałaśliwe przyjęcia (i podejrzani przyjaciele) doprowadzały do licznych delegacji rozgniewanych sąsiadów, ceniących sobie spokój i ciszę. Jej sąsiadem z jednej strony był Tytus Pomponiusz, znakomicie prosperujący bankier i kierownik kompanii handlowej, a z drugiej Gajusz Juliusz Cezar, senator.

Sąsiedzi nie wiedzieli zbyt wiele o sobie. Była to jedna z zalet (albo wad) domów atrialnych z ich bezokiennymi ścianami zewnętrznymi i centralnym dziedzińcem - ogrodem-perystylem - oddzielonym od sąsiadów izbami, które otaczały go ze wszystkich stron. Kiedy jednak przyjęcia Klitumny wylewały się z sali jadalnej do otwartego ogrodu-perystylu, hałas rozchodził się daleko poza granice jej posiadłości, czyniąc ją postrachem dzielniczy.

Wstał świt. Sulla ujrzał przed sobą kobiety Gajusza Juliusza Cezara, kroczące żwawo w zimowych butach na grubych podszewkach, wynoszących stopki właścicielki ponad kałuże. Domyślał się, że idą oglądać uroczystość inauguracji. Zwolnił kroku, przyglądając się ich szczelnie osłoniętym postaciom z nieświadomą aprobatą mężczyzny, którego potrzeby ero-

tyczne są ogromne i wszechogarniające. Marcja, żona Cezara i córka budowniczego Aqua Marcia, ma nieco ponad czterdziestkę, no, może i czterdzieści pięć lat. Ta pani obdarzona nieprzeciętną urodą nadal jest szczupła i zadbana. Nie może jednak równać się z córkami. Oto prawdziwe Julie, te blond piękności. Palmę pierwszeństwa przyznawał Sulla młodszej. Widywał je od czasu do czasu, jak chodziły na rynek - przyglądać się towarom, bo ich sakiewki były równie szczupłe jak one same. Ta rodzina ledwie była w stanie utrzymać swoje senatorstwo. Sąsiad Klitumny z drugiej strony, ekwita Tytus Pomponiusz, był o wiele bogatszy.

Pieniądze rządzą światem. Bez nich człowiek jest niczym. Nic dziwnego, że gdy osiąga pozycję, na której może się wzbogacić, zawsze to robi. Żeby wzbogacić się na polityce, trzeba zapewnić sobie wybór na pretora. Z tą chwilą ma się fortunę w garści i wydatki wielu lat w końcu się opłacają. Pretor otrzymuje w zarząd prowincję, a tam już sobie radzi, tam jest bogiem. Jeśli to możliwe, prowadzi wojnę z jakimś barbarzyńskim plemieniem znad granicy, zagarnia ich złoto i święte skarby, sprzedaje w niewolę jeńców i chowa do kieszeni zyski. Jeśli nie ma widoków na wojnę, radzi sobie inaczej. Może handlować zbożem i podobnie ważnymi towarami, może pożyczać pieniądze na wygórowany procent (i używać wojska do ściągania należności), może fałszować księgi podatkowe, handlować obywatelstwem rzymskim i brać pieniądze, za co się da, od załatwiania kontraktów rządowych do zwalniania miast od płacenia Rzymowi daniny.

Pieniądze. Jak je zdobyć? Jak ich zdobyć tyle, ile trzeba, by wejść do senatu? Marzenia, Lucjuszu Korneliuszu Sullo! Marzenia!

Kiedy kobiety Cezara skręciły w prawo na Clivus Victoriae, Sulla odgadł dokąd idą: do *area Flacciana*, działki Flakkusa. Kiedy przystanął na ulicy nad pochyłością porośniętą mizerną zimową trawą, panie sadowiły się na składanych stołkach, a jakiś krępy Trak, kierujący eskortą niewolników, rozstawiał otwarty z przodu namiot dla osłony przed nasilającym się chwilami deszczem. Sulla zauważył, że obie Julie nie wytrzymały długo przy matce. Gdy tylko zaczęła rozmowę z ciężarną żoną Tytusa Pomponiusza, zabrały swoje stołki i umknęły do czwórki dziewcząt Klaudiuszów Pulcherów, siedzących w pewnej odległości od swych matek. Matek? Ach, to Licynia i Domicja! Obie znał wcale nieźle, odkąd przespał się z każdą. Nie rozglądając się na boki, zszedł do nich po stoku.

- Witam panie - rzekł i pochylił głowę. - Cóż za paskudny dzień.

Wszystkie kobiety na tym wzgórzu wiedziały, kim jest Sulla - była to interesująca strona jego kłopotliwego położenia. Jego przyjaciele z półświatka mogli sądzić, że jest on jednym z nich, ale szlachetnie urodzone Rzymianki nie popełniały takiej pomyłki. Wiedziały, że ten towar nie jest podrabiany. Znały historię jego i jego przodków. Jedne litowały się nad nim, inne, jak Licynia i Domicja, zabawiały się z nim w łóżku, ale żadna by mu nie pomogła.

Wiatr wiał z północy, przynosząc cierpki zapach spalenizny, złożony z woni wilgotnych węgli, palonego wapna i odoru tysięcy rozkładających się pogrzebanych ciał. Zeszłego lata spłonął cały Wiminal i górny Eskwilin.

Był to największy pożar Rzymu za ludzkiej pamięci. Prawie piąta część miasta spłonęła, zanim połączone siły mieszkańców zdołały wyburzyć pas budynków dostatecznie szeroki, by odgrodzić ogień od stłoczonych czynszowych kamienic Subury i dolnego Eskwilinu. Wiatr i szeroki Vicus Longus zapobiegły jego rozszerzaniu się na rzadką zabudowę obrzeży Kwirynału, najbardziej na północ wysuniętego wzgórza w obrębie murów serwiańskich.

Chociaż od pożaru upłynął rok, z miejsca, gdzie stał Sulla na pustej działce Flakkusa, widać było straszliwe blizny, pokrywające wzgórza za rynkiem Marcellusa. Była to cała mila kwadratowa poczerniałej ziemi, na wpół zwalonych budynków, opuszczenia. Nikt nie wiedział, ilu ludzi wtedy zginęło. W każdym razie dość wielu, by po pożarze nie brakowało w Rzymie mieszkań. Odbudowa postępowała więc powoli. Jedynie tu i ówdzie wznosiły się wysokie na sto i więcej stóp rusztowania, oznaki wznoszenia wielopiętrowych insuli, mających napełniać sakiewkę bogatemu właścicielowi.

Sullę bawiło wyczuwalne napięcie Licynii i Domicji na jego widok. Nie zamierzał zostawić ich w spokoju. „Niech cierpią, głupie gęsi! Ciekaw jestem, czy wiedzą, że spałem z obiema”. Po namyśle uznał, że nie wiedzą. Dodawało to spotkaniu pikanterii. Zauważył, że spoglądają skrycie na siebie nawzajem i na inne obecne tu kobiety. „Och, chyba nie chodzi mu o Marcję! To opoka moralności, pomnik cnoty!”

- To był okropny tydzień - mówiła Licynia nieco zmienionym głosem, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w wypalone wzgórza.

- O, tak. - Domicja musiała odchrząknąć.

- Strasznie się bałam - paplała Licynia. - Mieszkaliśmy wtedy na Karynach, Lucjuszu Korneliuszu, a ogień przysuwał się coraz bliżej. Kiedy wygasł, namówiłam Appiusza Klaudiusza do przeprowadzki. Od ognia nigdzie nie jest się bezpiecznym, ale z pewnością lepiej mieć Forum i Bagno między sobą a Suburą.

- To było cudowne! - rzekł Sulla, wspominając, jak co noc stawał wtedy na szczycie Schodów Westalek. Przyglądał się pożarowi, wyobrażając sobie, że patrzy na splądrowane nieprzyjacielskie miasto, sam zaś jest rzymskim wodzem, który rozkazał je spalić.

- Cudowne! - powtórzył.

Sposób, w jaki to wymówił, sprawił, że Licynia podniosła mimowolnie wzrok na jego twarz. To, co w niej ujrzała, kazało jej szybko się odwrócić i gorzko żałować, że kiedyś znalazła się w mocy tego człowieka. Sulla był niebezpieczny i do tego miał źle w głowie.

- Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - ciągnęła z ożywieniem. - Moi kuzynowie, Publiusz i Lucjusz Licyniusz, kupili latem mnóstwo ziemi leżącej odłogiem. Mówią, że jej wartość wzrośnie.

Była córką Licyniusza Krassusa, wielokrotnego milionera. A czemuż to Sulla nie znalazł sobie bogatej narzeczonej, jak to zrobił jej Appiusz Klaudiusz Pulcher? To proste! Żaden ojciec, brat ani opiekun bogatej szlachetnie urodzonej dziewczyny nie brał takiego związku pod uwagę.

Sullę znudziły igraszki z kobietami. Bez słowa odwrócił się na pięcie i

ruszył w górę stoku ku Clivus Victoriae. Po drodze spostrzegł, że obie Julie zostały przywołane do porządku i siedzą znowu przy matce pod skórzaną osłoną namiotu. Jego niezwykle oczy przemknęły po nich, porzucając Starszą Siostrę Julię, ale zatrzymując się z uznaniem na Siostrzyczce Julii. Bogowie, ona jest czarująca! Smakołyk godny jakiegoś Olimpijczyka. Poczul ból w piersiach. Rozcierał je pod togą, świadomy tego, że Siostrzyczka Julia obraca się na stołku, patrząc za nim, dopóki nie odszedł.

Zszedł po Schodach Westalek na Forum Romanum i poszedł w górę Clivus Capitolinus, aż dotarł na tyły tłumu przed świątynią Jowisza Najlepszego i Największego. Do jego talentów należała zdolność budzenia niepokoju otoczenia. Ludzie odsuwali się od niego, on zaś korzystał zwykle z tego, by zdobyć dobre miejsce w teatrze. Teraz utorował sobie przejście na czoło tłumu ekwitów, skąd miał świetny widok na miejsce ofiarne. Nie miał prawa tam stać, wiedział jednak, że nikt go nie wyrzuci. Znali go tylko nieliczni ekwici, a i wśród senatorów były nieznane mu twarze, większość jednak wiedziała, kim jest. Był pewien, że będą tolerować jego obecność.

Pewnych rzeczy nie zdoła zatrzeć nawet izolacja od głównego nurtu życia dobrze urodzonych. Ma się je we krwi po tylu pokoleniach, po pokoleniach tysiąca lat: dzwoneczki zapowiadające zagładę. Z własnego wyboru nie starał się dotąd nadażać za biegiem wydarzeń na Forum Romanum. Uważał, że lepiej być nie powiadomionym, niż irytować się, uczestnicząc w życiu, które nie mogło być jego życiem. Mimo to, stojąc w pierwszym szeregu ekwitów, wiedział, że będzie to zły rok. Czuł, że będzie to kolejny rok z długiego szeregu złych lat. Odkąd Tyberiusz Semproniusz Grakchus został zamordowany, a w dziesięć lat później jego brat Gajusz Grakchus został zmuszony do odebrania sobie życia, na Forum Romanum błyskały noże, a szczęście opuściło Rzym.

Było prawie tak, jakby Rzym kurczył się, tracąc oddech. „Zbieranina miernot i zer”, myślał, przebiegając wzrokiem szeregi. Stali tam, współsenni, mimo chłodnej mżawki, ludzie odpowiedzialni za śmierć ponad trzydziestu tysięcy dobrych rzymskich i italskich żołnierzy w ciągu niecałych dziesięciu lat. W większości zginęli oni w imię czyichś osobistych interesów. Znowu pieniądze, chociaż chodziło też o władzę. Nie można jej nie doceniać. Co jest środkiem, a co celem? To chyba zależy od człowieka. Ale gdzie w tej żalostnej masie są ci wielcy, którzy raczej umacniają Rzym, niż go osłabiają?

Biały byk zachowywał się fatalnie. Nic dziwnego, jeśli spojrzeć na tegorocznych konsulów. Ja pierwszy nie położyłbym głowy pod topór dla przyjemności Spuriusza Postuma Albina. A skąd oni mają pieniądze? Przypomniawszy sobie zaraz, że Albinowie zawsze żenili się z pieniędzmi. A niech ich!

Popłynęła krew. Ileż krwi ma w sobie taki dorosły byk! Cóż za marnotrawstwo. Potencja, moc, potężna siła. Jakież to piękny kolor ten soczysty szkarłat i jak gładko, choć gęsty, płynie pod nogami w dół. Nie mógł wprost oderwać wzroku, zafascynowany. Czy wszystko, co pełne jest energii, ma w sobie coś z czerwieni? Ogień, krew, włosy - jego włosy,

penis, senatorskie buty, stopiony metal, lawa.

Czas iść. Dokąd? Podniósł oczy, pełne jeszcze krwawych wizji, i napotkał twarde, zawzięte spojrzenie jakiegoś wysokiego senatora w *toga praetexta* wyższego urzędnika. Zadziwiające! Oto był człowiek! Nie wyglądał na członka któregoś z sześciu Wielkich Rodów. Sulla, choć odsunięty, bezbłędnie rozpoznawał ich rysy.

Kimkolwiek był tamten, nie należał z pewnością do żadnego Wielkiego Rodu. Choćby tylko jego nos mówił o niemałej domieszce krwi celtyckiej. Był zbyt krótki i prosty jak na czystej krwi Rzymianina. Zatem Picenum? A te wielkie brwi! Znów Celtowie. Dwie blizny przecinały twarz, ale jej nie szpeciły. Tak, to godny uwagi gość, groźny, dumny i inteligentny. Prawdziwy orzeł. Kto to taki? Nie konsul, bo Sulla znał wszystkich żyjących, aż do najstarszego. Zatem pretor, ale żaden z tegorocznych, bo ci tłoczyli się za konsulami. Wyglądali bardzo dostojnie i niemal równie obiecująco jak jakaś stara królowa cierpiąca na hemoroidy.

Aaaaaaach! Sulla odwrócił się raptownie, postanawiając porzucić to wszystko, z byłym pretorem o wyglądzie orła włącznie. Czas iść. Dokąd? A dokądże miałyby iść, jak nie do swego jedynego schronienia obok podstarzałych ciał macochy i kochanki? Wzruszył ramionami i uśmiechnął się szyderczo. Bywają gorsze miejsca i gorsze losy. „Ale nie dla kogoś, kto powinien był wejść dziś w skład senatu”, odezwał się jakiś wewnętrzny głos.



Kłopot z odwiedzającymi Rzym pomazańcami polegał na tym, że monarcha nie mógł przekroczyć *pomerium*, świętej granicy miasta. Tak więc Jugurta, król Numidii, musiał spędzać Nowy Rok na wyczekiwaniu w wynajętej za oburzająco wielkie pieniądze willi na górnych stokach wzgórza Pincius, nad wielkim zakrętem Tybru obejmującym Pole Marsowe. Pośrednik, który załatwił mu tę willę, unosił się w zachwytach nad jej położeniem - z widokiem na oddalone Janikulum i wzgórze watykańskie, na zieloną murawę obu pól w zakolach Tybru: Marsowego i Watykanu, i na szeroką błękitną wstęgę wielkiej rzeki. „Idę o zakład, że nie macie w Numidii takich rzek jak stary Ojciec Tyber”, mamrotał ten zarozumialec. Przez cały czas ukrywał przy tym, że działa w imieniu pewnego senatora, który zawsze okazywał poparcie sprawie Jugurty, a jednak bardzo chciał wynająć mu drogo swoją willę. Zapewni mu to zaopatrzenie w kosztowne świeże węgorki przez całe miesiące. Czy oni tu myślą, że każdy - a cóż dopiero król - kto nie jest Rzymianinem, musi koniecznie być głupi i naiwny? Jugurta dobrze wiedział, kto jest właścicielem willi. Wiedział też, że go oszukują, ale, jeśli istnieje właściwe miejsce i czas na szczerłość, Rzym i chwila wynajęcia willi nie były takim miejscem i czasem.

Z miejsca, gdzie siedział w portyku przed rozległym ogrodem-perystylem, nic nie zasłaniało mu widoku. Dla Jugurty ten widok nie był jednak niczym nadzwyczajnym, a wiatr wiejący od świeżo nawożonych warzywników przy Via Recta i Polu Marsowym przynosił odór, który kazał mu żałować, że nie zamieszkał gdzieś dalej, w Bowillach albo Tuskulum. Przywykły do ogromnych odległości w Numidii, nie uważał

piętnastomilowej jazdy z Bowillów czy Tuskulum za niewygodę. Skoro okazało się, że i tak nie wolno mu wejść do miasta, nie było sensu mieszkać tak blisko tej przekłętej świętej granicy, że można było przez nią splunąć.

Gdyby się obrócił o dziewięćdziesiąt stopni, zobaczyłby urwiska na tyłach Kapitolu i tylną fasadę potężnej świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, w której w tej właśnie chwili, jak go zapewniali jego agenci, odbywa się spotkanie nowych konsulów z senatorami.

Jak sobie poradzić z tymi Rzymianami? Gdyby to wiedział, nie martwiłby się tak jak teraz.

Na początku wydawało się to dość proste. Jego dziad, wielki Masynissa, wykuł królestwo Numidii ze złomu porzucanego na dwóch tysiącach mil wybrzeża Afryki Północnej po pokonaniu przez Rzym punickiej Kartaginy. Z początku budował swą potęgę przy jawnym poparciu ze strony Rzymu, kiedy jednak stał się zbyt potężny, a punicki system organizacji jego państwa zaczął budzić niepokój, Rzym zwrócił się przeciw niemu. Szczęściem dla Numidii, Masynissa zmarł we właściwym momencie i, dobrze wiedząc, że po silnym królu zawsze nastaje słaby, pozostawił Numidię Scypionowi Emilianowi do podziału między swoich trzech synów. Sprytny był jednak ten Scypion! Nie podzielił na trzy części Numidii, podzielił natomiast królewskie prawa. Najstarszy otrzymał nadzór nad skarbem i pałacami, średni został wyznaczony na przywódcę Numidii w czasie wojny, a najmłodszy odziedziczył prawo i wymiar sprawiedliwości. Wynikało z tego, że syn, który miał w ręku armię, nie miał pieniędzy na wzniecenie buntu, syn z pieniędzmi nie miał armii, by móc się zbuntować, ten zaś, który miał za sobą prawo, nie miał ani armii, ani pieniędzy.

Zanim czas i gromadzące się urazy zdołały, mimo wszystko, wzniecić bunt, poumierali dwaj młodszy synowie i najstarszy Micipsa panował sam. Zmarli bracia pozostawili jednak synów: dwóch prawowitych i nieprawego imieniem Jugurta. Jeden z nich mógł wstąpić na tron po śmierci Micipsy - ale który? W dodatku bezdzietny dotąd Micipsa również spłodził dwóch synów, Adherbala i Hiempsala. Dwór królewski kipiał od rywalizacji, a wiek potencjalnych dziedziców nie przystawał wcale do ich praw; najstarszy był bękart Jugurta, a synowie panującego króla byli jeszcze dziećmi.

Dziad Jugurty, Masynissa, brzydził się nim, lecz nie dlatego, że był on bękartem, ale z powodu jego matki. Była koczowniczką z pogardzanego plemienia Berberów. Micipsa odziedziczył po Masynissie niechęć do Jugurty, a gdy ujrzał, że ten wyrasta na przystojnego i bystrego młodzieńca, znalazł sposób, by się pozbyć najstarszego kandydata do tronu. Scypion zażądał, by Numidia przysłała oddział posiłkowy pod obleganą przez niego Numancję, Micipsa wysłał więc oddział jazdy pod wodzą Jugurty, z nadzieją, że zginie on w Hiszpanii.

Okazało się jednak, że Jugurta spisywał się na wojnie jak urodzony wojownik, a do tego szybko zdobył sobie przyjaciół wśród Rzymian. Dwóch z nich uważał za najlepszych i najdroższych: Gajusza Mariusza i

Publiusza Rutyliusza Rufusa. Byli oni młodszymi trybunami wojskowymi przydzielonymi do sztabu Scypiona. Wszyscy trzej byli w jednym wieku: mieli po dwadzieścia trzy lata.

Pod koniec kampanii Scypion Emilianus wezwał Jugurtę do swego namiotu wodza, by mu zwrócić uwagę, że przystoi mu raczej przyjaźnić się z Rzymem, a nie z poszczególnymi Rzymianami. Jugurta zdołał zachować powagę. Jeśli nauczył się czegoś o Rzymianach podczas oblężenia Numancji, to tego, że prawie wszyscy ubiegający się o wyższe urzędy stale potrzebowali pieniędzy. Innymi słowy, byli do kupienia.

Wracając do Numidii, Jugurta przywiózł list Scypiona do króla Micipsy. List ten wychwalał dzielność, rozsądek i bystrość Jugurty tak bardzo, że stary Micipsa porzucił odziedziczoną po ojcu niechęć do swego bratanka. W tym właśnie czasie Gajusz Semproniusz Grakchus zginął w świętym gaju pod wzgórzem Janikulum. Micipsa formalnie adoptował Jugurtę, zastrzegł jednak, że nie może on zostać królem. Miał być opiekunem synów Micipsy zbliżających się do dojrzałości. Wkrótce po ułożeniu spraw król Micipsa zmarł, pozostawiając niepełnoletnich synów i Jugurtę jako regenta. Nie minął rok, gdy z namowy Jugurty zamordowany został Hiempsal, młodszy syn Micipsy. Starszy, Adherbal, wymknął się Jugurcie i uciekł do Rzymu. Stanął tam przed senatem i zażądał, by Rzym zajął się sprawami Numidii i odebrał władzę Jugurcie.

- Czemu tak się ich boimy? - Jugurta zadał to pytanie, przechodząc od wspomnień do chwili obecnej, do zasłony deszczu unoszącej się nad polami ćwiczeń i warzywnikami, która całkowicie przesłaniała brzegi Tybru.

W portyku było ze dwudziestu ludzi, ale wszyscy oni, prócz jednego, stanowili straż przyboczną. Nie byli to wynajęci gladiatorzy, lecz sprowadzeni z Numidii ludzie Jugurty - ci sami, prawdę mówiąc, którzy przed siedmiu laty przynieśli mu głowę młodego królewicza Hiempsala i powtórzyli ten dar w pięć lat później z głową królewicza Adherbala.

Jedynym wyjątkiem - i człowiekiem, do którego skierował swe pytanie Jugurta - był wielki mężczyzna o semickim wyglądzie, niewiele niższy od Jugurty, siedzący w wygodnym krześle obok króla. Ktoś obcy mógłby ich uznać za krewnych, którymi rzeczywiście byli, choć król wołał o tym nie pamiętać. Pogardzana matka Jugurty była prostą dziewczyną z prymitywnego plemienia Berberów Getulów, którą los obdarzył twarzą i ciałem godnym Heleny trojańskiej. Towarzyszem króla w tym posepnym dniu Nowego Roku był jego przyrodni brat, syn owej nisko urodzonej matki i wielmoży z królewskiego dworu, za którego wydał ją dla zachowania pozorów ojciec Jugurty. Ten brat przyrodni miał na imię Bomilkar i był całkowicie oddany Jugurcie.

- Czemu tak się ich boimy? - spytał znów Jugurta, tym razem z naleganiem.

- Odpowiedź jest chyba prosta - westchnął Bomilkar. - Nosi stalowy hełm podobny do odwróconej miski, brunatnoczerwoną tunikę i koszulę z kolczej siatki. Ma też krótki śmieszny miecz i tak samo długi sztylet oraz dwie włócznie z małym ostrzem. To nie żaden najemnik. To nawet nie

żebrak. To żołnierz rzymski.

Jugurta chrząknął i pokręcił przecząco głową.

- To tylko część odpowiedzi, mój panie. Rzymskiego żołnierza można pokonać - są śmiertelni.

- Drogo sprzedają życie - rzekł Bomilkar.

- Nie, tu chodzi o coś więcej. Nie rozumiem tego! Można ich przecież kupić jak świeże bułeczki, więc każdy z nich powinien być tak miękki jak świeża bułeczka. Ale nie są!

- Masz na myśli przywódców?

- Tak, przywódców. Sławetnych Ojców Spisanych z senatu. Oni są przeżarci korupcją, powinni więc rozkładać się moralnie, rozpływać niczym galareta. Ale wcale tacy nie są. Są twardzi jak krzemień, zimni jak lód i subtelni jak partyjski satrapa. Nigdy się nie poddają. Bierzesz takiego w garść, doprowadzasz go aż do służalczości, a w chwilę potem on ci się wymyka i w nowych okolicznościach okazuje inną twarz.

- Nie mówiąc już o tym, że nagle pojawia się ktoś, kto jest ci potrzebny, a kogo nie możesz kupić - nie dlatego, że nie ma on ceny, ale że ty nie możesz tej ceny zapłacić - i nie mówię tu o pieniądzach.

- Brzydę się nimi wszystkimi - rzekł przez zaciśnięte zęby Jugurta.

- Ja też, ale to nie załatwia sprawy.

- Numidia jest moja! - krzyknął król Numidii. - Oni jej zresztą wcale nie chcą. Oni tylko chcą się wtrącać, przeszkadzać, nic więcej!

Bomilkar rozłożył ręce.

- Nie pytaj mnie, Jugurto, bo nie wiem. Wiem tylko, że siedzisz oto w Rzymie i że bogowie raczą wiedzieć, co z tego wyniknie.

„I tak rzeczywiście jest”, pomyślał król Numidii, wracając do swych rozważań.

Kiedy przed sześciu laty młody Adherbal udał się do Rzymu, Jugurta wiedział, co robić, i zrobił to szybko. Do Rzymu wyruszyło jego poselstwo wiozące złoto, srebro, klejnoty, dzieła sztuki, wszystko, co mogło trafić w gust dobrze urodzonych Rzymian. Ciekawe, że nie można ich było przekupić kobietami ani chłopcami. Brali tylko to, co dało się sprzedać. Rezultat poselstwa był dość zadowalający, biorąc pod uwagę okoliczności.

Ci Rzymianie byli opętani na punkcie komitetów i komisji. Nic nie cieszyło ich bardziej niż wysyłanie grupek urzędników na najdalsze krańce świata, aby tam prowadzili dochodzenia, celebrowali, rozstrzygali sprawy, ulepszały. Każdy inny maszerowałby po prostu na czele armii, ale ci Rzymianie paradowali w swoich togach, w asyście jedynie liktorów i bez żadnych żołnierzy, których można by w razie czego przywołać. Wydawali za to rozkazy, spodziewając się, że będą wypełniane, jakby przybywali na czele armii. I przeważnie były.

I tak wracało się do pytania: „Czemu tak się ich boimy?” Bo się boimy. Ale czemu? Może dlatego, że zawsze znajdzie się wśród nich jakiś Marek Emiliusz Skaurus.

To Skaurus powstrzymał senat przed rozstrzygnięciem na korzyść Jugurty, gdy Adherbal przybył z bekiem do Rzymu. Sam jeden pośród

trzystu! A jednak postawił na swoim, pracując bez wytchnienia nad przeciągnięciem ich na swoją stronę. To Skaurus wymusił ów kompromis nie do przyjęcia ani dla Jugurty, ani dla Adherbala: komitet złożony z dziesięciu senatorów pod kierunkiem prokonsula miał udać się do Numidii i tam - po rozpoznaniu sytuacji na miejscu - zdecydować, co należy zrobić. I co zrobił ów komitet? Podzielił królestwo. Adherbal dostał część wschodnią ze stolicą w Cyracie, gęściej zaludnioną, choć nie tak bogatą jak część zachodnią. Ta przeszła w ręce Jugurty, który znalazł się między Adherbalem a królestwem Mauretanii. Zadowoleni z tego rozwiązania Rzymianie wrócili do domu, a Jugurta zasadził się na Adherbala niczym kot na mysz, czekając na sposobność do skoku. Aby się zabezpieczyć od zachodu, poślubił córkę króla Mauretanii.

Czekał cierpliwie przez cztery lata, potem zaś zaatakował Adherbala i jego armię między Cyratą a jej portem morskim. Pobity Adherbal wycofał się do Cyraty i organizował obronę wspierany przez liczny i wpływowy kontyngent kupców rzymskich i italskich, którzy stanowili kręgosłup numidyjskiego handlu. W ich obecności w tym kraju nie było niczego dziwnego. Świat pełen był rzymskich i italskich ludzi interesu, kierujących lokalnym handlem nawet w miejscach nie mających kontaktu z Rzymem i pozbawionych ochrony.

Oczywiście, wiadomość o wybuchu wojny między Jugurtą i Adherbalem dotarła prawie natychmiast do uszu senatu. Senat zareagował, wysyłając trzyosobowy komitet złożony z synów senatorów (ta kłótnia nie jest niebezpieczna, a młodzi nabiorą cennego doświadczenia), aby dać Numidyjczykom po łapach. Jugurta dostał się do nich pierwszy. Wymanewrował ich tak, że nie spotkali się z Adherbalem ani z mieszkańcami Cyraty, i odesłał z kosztownymi darami do domu.

Adherbalowi udało się wysłać list do Rzymu, list błagający o pomoc. Trzymający stale stronę Adherbala Marek Emiliusz Skaurus wyprawił się do Numidii na czele kolejnego komitetu. Sytuacja w całej Afryce okazała się jednak tak zaogniona, że zmuszeni byli pozostać w granicach rzymskiej prowincji Afryki i w końcu wrócili do Rzymu, nie rozmawiając z żadnym z rywali do tronu i nie mając wpływu na przebieg wojny. Jugurta ruszył następnie naprzód i zajął Cyratę. Zrozumiałe, że Adherbal został natychmiast stracony. Mniej zrozumiałe było to, że Jugurta dał upust swej złości, wycinając w pień rzymskich i italskich ludzi interesu w Cyracie, bo tym postępkom rozwścieczył Rzym, uniemożliwiając załagodzenie sprawy.

Wiść o masakrze rzymskich rezydentów w Cyracie dotarła do Rzymu przed piętnastoma miesiącami, jesienią. Jeden z nowo wybranych trybunów ludowych, Gajusz Memmiusz narobił takiego zamieszania na Forum, że każda próba przekupstwa podjęta przez Jugurtę musiałaby skończyć się katastrofą. Młodszy nowo wybrany konsul, Lucjusz Kalpurniusz Bestia, otrzymał na początku swego urzędowania polecenie wyjazdu do Numidii. Miał udowodnić Jugurcie, że nie można bezkarnie mordować Rzymian i Italczyków.

Bestia dał się jednak przekupić Jugurcie i zawarty został pokój. Jugurta

miał wydać swoje trzydzieści słoń bojowych oraz zapłacić niewielką kontrybucję i znacznie większą nie ujawnioną sumę, która trafiła do prywatnej szkatuły Bestii. Rzym wydawał się usatysfakcjonowany, a Jugurta był w końcu nie kwestionowanym królem Numidii.

Gajusz Memmiusz nie dał jednak za wygraną, mimo że minął termin jego urzędowania jako trybuna ludowego. Dzień za dniem prowadził kampanię, na rzecz wyjaśnienia kwestii numidyjskiej. Dzień za dniem oskarżał Bestię o wymuszanie na Jugurcie pieniędzy w zamian za prawo do tronu i w końcu osiągnął swój cel, którym było zmuszenie senatu do działania. Do Numidii wysłany został pretor Lucjusz Kasjusz Longinus z poleceniem, by Jugurta przybył do Rzymu, gdzie miał udzielić Gajuszowi Memmiuszowi wyjaśnień co do osób przez siebie przekupionych. Gdyby miał odpowiadać przed senatem, nic by mu nie groziło, chodziło jednak o lud rzymski.

Kiedy pretor Kasjusz przybył do Cyrty i wręczył królowi zaproszenie, Jugurta nie zdobył się na odmowę. Dlaczego? Dlaczego wszyscy tak się bali Rzymu? Co może zrobić Rzym? Najechać Numidię? Wśród urzędników zawsze będzie więcej Bestiów niż Gajuszów Memmiuszów! Czemu więc wszyscy tak się ich boją? Czy to tupet Rzymian sprawił, że mieli czelność wysłać jednego człowieka, aby pstryknął palcami na władcę wielkiego kraju, przywołując go do nogi?

Jugurta przyszedł do nogi. Posłusznie spakował kufry, poklepał po ramieniu kilku wielmożów, biorąc ich do towarzystwa, wybrał pięćdziesięciu najlepszych ludzi z numidyjskiej królewskiej Straży Przybocznej i wsiadł na statek z pretorem Kasjuszem. Było to przed dwoma miesiącami i przez te miesiące bardzo niewiele się wydarzyło.

Ach, Gajusz Memmiusz dotrzymał obietnicy. Zwołał Zgromadzenie Ludowe w cyrku Flaminiusza, leżącym poza *pomerium*, świętą granicą miasta, a więc w miejscu, gdzie Jugurta mógł przybyć jako monarcha-pomazaniec. Każdy Rzymianin, od największego do najmniejszego, mógł tam posłuchać, jak król Numidii odpowiada na pytania Gajusza Memmiusza: kogo przekupił i ile mu zapłacił. Wszyscy wiedzieli, o co Gajusz Memmiusz będzie pytać. Zgromadzenie w cyrku Flaminiusza było więc wyjątkowo liczne, arena zatłoczona, a spóźnialscy cisnęli się na drewnianych trybunach, mając nadzieję, że coś stamtąd usłyszą.

Jugurta wiedział jednak, jak się bronić. Nauczył się tego w Hiszpanii i później. Przekupił trybuna ludowego.

Na pierwszy rzut oka trybunowie ludowi byli podwładnymi wyższych urzędników i senatorów. Trybunowie ludowi nie mają imperium - oto słowo, dla którego nie ma odpowiednika w języku numidyjskim! *Imperium!* Imperium oznacza - cóż, taki rodzaj władzy, jaką mógłby mieć na ziemi jakiś bóg. Oto dlaczego samotny pretor mógł kazać wielkiemu królowi iść za sobą. Zarządcy prowincji posiadali imperium. Posiadali tę najwyższą władzę konsulowie, pretorzy, edylowie kurulni, każdy z nich wyposażony był jednak w innego rodzaju imperium. Jediną widoczną oznaką tej władzy byli liktorzy, którzy towarzyszyli urzędnikom obdarzonym imperium, niosąc na lewym ramieniu *fascēs*, wiązki różeg

związanych szkarłatnym sznurem.

Cenzorzy nie byli wyposażeni w imperium. Nie mieli go też edylowie ludowi ani kwestorzy, ani też - to było najważniejsze dla Jugurty - trybunowie ludowi. Ci ostatni byli wybieralnymi reprezentantami ludu, tej masy obywateli rzymskich, którzy nie mogli się szczyścić godnością patrycjusza. Patrycjusze byli arystokratami ze starożytnych rodów zaliczanych do ojców Rzymu. Przed czterystu laty, u samych początków republiki, liczyli się tylko patrycjusze. Kiedy jednak niektórzy z nich zdobyli pieniądze i władzę i utorowali sobie drogę do senatu oraz na krzesła kurulne, zapragnęli zostać arystokratami. Tak pojawił się *nobilis*, dobrze urodzony. Do patrycjuszy dołączyli więc dobrze urodzeni, tworząc dwoistą arystokrację. Aby stać się dobrze urodzonym, wystarczyło mieć w rodzinie konsula, nic zaś nie stało na przeszkodzie, by konsulem został plebejusz. Plebejski honor i ambicja były usatysfakcjonowane.

Lud zbierał się na własnym zgromadzeniu, w którym nie mógł brać udziału ani głosować żaden patrycjusz. Z czasem lud stał się tak potężny - i tak przyćmił patrycjuszy - że to zgromadzenie ludowe uchwalało niemal wszystkie prawa. Interesów ludu strzegli wybierani co roku trybunowie ludowi. To było w rzymskim systemie rządów najgorsze; urzędników wybierano tylko na rok, co oznaczało, że nie da się kupić kogoś, kto zdąży być naprawdę przydatny. Co roku trzeba kupować następnego, a zwykle potrzeba ich kilku.

Nie, trybun ludowy nie posiadał imperium ani nie był wyższym urzędnikiem. Na pozór nie miał wielkiego znaczenia. A jednak zdołał stać się najważniejszy ze wszystkich. W jego rękach była prawdziwa władza, bo tylko on posiadał prawo weta. Jego weto dotyczyło każdego i nikt nie był przed nim chroniony - oprócz dyktatora, ale prawie od stu lat nie było w Rzymie urzędującego dyktatora. Trybun ludowy mógł sprzeciwić się cenzorowi, konsulowi, senatowi, swoim dziewięciu kolegom trybunom ludowym, zgromadzeniu - i komu tylko chcecie - i robił to. W dodatku jego osoba była nietykalna, co oznaczało, że nie można go było powstrzymać od wypełniania obowiązków. Oprócz tego ustanawiał prawa. Senat nie mógł tego robić. Mógł tylko zalecać, by jakieś prawo zostało ustanowione.

Wszystko to, oczywiście, wymyślono po to, by narzucić system hamulców i przeciwwag powściągający władzę jakiejś jednej grupy albo jednostki. Gdyby Rzymianie byli narodem szczególnie uzdolnionym politycznie, ów system mógłby działać, że jednak nie byli, najczęściej nie działał, bo spośród wszystkich ludów oni byli najbieglejsi w wyszukiwaniu pozornie legalnych sposobów obchodzenia prawa.

Zatem król Jugurta z Numidii kupił sobie trybuna ludowego. Nie był to członek żadnego z wielkich rodów ani też człowiek bogaty. Gajusz Bebiusz był jednak urzędującym trybunem ludowym, a gdy strumień srebrnych denarów spłynął na jego stół, w milczeniu zgarnął swój skarb w tuzin worków i tak został własnością króla Numidii.

Pod koniec starego roku Gajusz Memmiusz zebrał swoje wielkie zgromadzenie w cyrku Flaminiusza i sprowadził tam Jugurtę. Król stanął posłuszenie na mównicy, a kilkutysięczny tłum nagle zamilkł. Gajusz Memmiusz

zadał pierwsze pytanie.

- Czy przekupiłeś Lucjusza Opimiusza?

I zanim król zdążył otworzyć usta, Gajusz Bebiusz wykrzyknął piskliwym głosem:

- Zabraniam ci odpowiadać Gajuszowi Memmiuszowi, królu Jugurto!

Powiedział tylko tyle. Nie musiał mówić nic więcej.

To właśnie było weto. Jugurty nie można było legalnie zmusić do mówienia, kiedy mu tego zabronił trybun ludowy. Zgromadzenie musiało się rozejść i tysiące rozczarowanych poszły z szemraniem do domów. Gajusz Memmiusz był tak rozwścieczony, że przyjaciele musieli go przytrzymywać, a Gajusz Bebiusz oddalił się z miną niezłomnego bohatera, co nikogo, oczywiście, nie zmyliło.

Senat nie pozwolił jednak Jugurcie wrócić do kraju, siedział więc w dniu Nowego Roku w wynajętym za nieprzyzwoicie wysoką cenę portyku, przeklinając Rzym i Rzymian. Żaden z nowych konsulów nie dał mu jeszcze do zrozumienia, że zgodziłby się przyjąć darowiznę. Na przekupywanie nowych pretorów szkoda było fatygi, a nowi trybunowie ludowi też nie przedstawiali się zachęcająco.

Z przekupywaniem jest ten kłopot, że nie można po prostu rzucić przynęty w wodę. Twoja ryba musi wpierw wypłynąć na powierzchnię i upewnić cię, ruszając pyskiem, że jest zainteresowana połknięciem błyszczącej przynęty. Jeśli nie wypływa, trzeba zarzucić wędkę i czekać, przywołując całą cierpliwość, na jaką cię stać.

Jak jednak można siedzieć i czekać, gdy twoje królestwo stało się celem żądnych władzy pretendentów. Najlepsze prawa mieli Gauda, prawowity syn Mastanabala, i Massywa, syn Gulussy, ale z pewnością nie byli jedyni. Z powrotem do kraju nie można było zwlekać. Siedział tu jednak bezsilny. Gdyby wyjechał bez zgody senatu, uznaliby to za akt wrogości. Jeśli dobrze wiedział, nikt w Rzymie nie chciał wojny, ale nie mógł przewidzieć, jaki ruch zrobiłby senat, gdyby on wyjechał.

Senat kierował sprawami zagranicznymi: od wypowiedzania wojen do zarządzania prowincjami. Jego agenci donosili, że Skaurus był wściekły z powodu weta Gajusza Bebiusza. Skaurus miał posłuch w senacie i już raz udało mu się wpłynąć na zmianę jego stanowiska. Był on zdania, że Jugurta nie przyniesie nic dobrego Rzymowi.

Przyrodni brat Jugurty, Bomilkar, siedział cicho, czekając, aż król porzuci rozmyślenia. Miał mu do przekazania nowinę, ale nie zamierzał się narażać, widząc oznaki zagrażającej burzy. Jugurta to wspaniały człowiek. Tyle wrodzonych zdolności, a tak ciężkie miał życie przez to swoje niskie urodzenie. Czemu pochodzenie aż tak wiele znaczy? W Jugurcie widać było wyraźnie krew punicko-kartagińską, chociaż po matce był półkrwi Berberem. Były to ludy semickie, Berberowie żyli jednak w północnej Afryce znacznie dłużej niż Punijczycy.

Oba te semickie szczepy znalazły w Jugurcie doskonałe połączenie. Z berberyjskiej urody matki przejął jasnoszare oczy, prosty nos i pociągłą twarz, po niej też odziedziczył wzrost. Punicka krew jego ojca, Mastanaba-

la, przejawiała się w kędzierzawych czarnych włosach i smagłym, grubokościstym, mocno owłosionym ciele. Widok jasnych oczu w ciemnej twarzy był zaskakujący i może dlatego Jugurta robił na ludziach wrażenie. Wyższe warstwy Numidyjczyków, zhellenizowane przez stulecia styczności z Grekami, nosiły greckie szaty, niezbyt pasujące Jugurcie, który najlepiej wyglądał w hełmie, pancerzu, nagolenicach, przy mieczu i na gryzącym wędzidło rumaku.

„Jaka szkoda”, pomyślał Bomilkar, „że Rzymianie nigdy nie widzieli króla w bojowym rynsztunku!” Zaraz potem przeszedł go dreszcz przerażenia. Taka myśl to kuszenie losu! Jutro trzeba złożyć ofiarę bogini Fortunie, prosząc, by Rzymianie nigdy nie ujrzeli Jugurty w bojowym rynsztunku.

Król zdołał się odprężyć, z jego twarzy znikło napięcie. Szkoda, że trzeba rozproszyć ten dobrze zasłużony spokój i obciążyć go nową troską. Lepiej jednak, by usłyszał nowinę od własnego brata, najwierniejszego z numidyjskich wielmożów, niż by wygadał się z nią jakiś głupi agent, pragnący wywołać jak największe zamieszanie.

- Panie mój, królu? - zagadnął Bomilkar.

Szare oczy natychmiast spojrzały na niego.

- Tak?

- Słyszałem wczoraj pewną plotkę u Cecyliusza Metellusa.

To, oczywiście, dotknęło Jugurtę do żywego: Bomilkar mógł chodzić po Rzymie do woli, bo nie był pomazańcem, na biesiady zapraszano więc jego, a nie Jugurtę.

- Co takiego? - spytał sucho.

- Massywa pojawił się w Rzymie. Zdołał też zająć swoją sprawą konsula Albina i zamierza wystąpić w senacie.

Król usiadł wyprostowany, obracając krzesło tak, by spojrzeć w twarz Bomilkarowi.

- Zastanawiałem się, gdzie ten żalosny robak wychyli głowę. Teraz już wiem. Ale czemu on, a nie ja? Albinus musi przecież wiedzieć, że mogę mu zapłacić więcej niż Massywa.

- Moje źródła mówią co innego - rzekł niechętnie Bomilkar. - Zawarli, zdaje się, układ oparty na możliwości, że Albinus dostanie zarząd prowincji Afryki. Ty będziesz tu tkwił, Albinus ruszy z doborową armią do Afryki, dojdzie szybkim marszem do Cyrty i ogłosi Massywę królem Numidii! Król Massywa zapłaci chętnie Albinowi, ile ten zażąda.

- Muszę wracać!

- Zgoda, ale jak to zrobić?

- Może mógłbym przekonać Albina? Mam jeszcze pieniądze i mogę mieć ich więcej.

Bomilkar pokręcił przecząco głową.

- Ten nowy konsul cię nie lubi. Zapomniałeś w zeszłym miesiącu o jego urodzinach.

Massywa nie zapomniał. Prawdę mówiąc, posłał mu jeden upominek z okazji wyboru na konsula, a drugi na urodziny.

- To przez moich agentów, a żeby ich...- Jugurta pokazał zęby. - Myślą,

że zaczynam przegrywać, więc się nawet nie starają. - Gryzł i oblizywał wargi. - A czy przegrywam?

Bomilkar uśmiechnął się.

- Ty? Przenigdy!

- Nie wiem... Massywa! Czy wiesz, że całkiem o nim zapomniałem? Myślałem, że jest w Cyrenajce u Ptolemeusza Apiona. - Jugurta wzruszył ramionami, starając się opanować. - A może to tylko plotka? Kto ci to powiedział?

- Sam Metellus, a on ma dobre wiadomości. Ostatnio słucha, co w trawie piszczy, bo chce się ubiegać o konsulat. Nie mówię, że popiera plany Albinusa. Gdyby tak było, nie puściłby pary z gęby. Znasz Metellusa - to jeden z tych cnotliwych Rzymian, których nie można przekupić. Nie podoba mu się, że królowie obozują u progu Rzymu.

- Metellus może sobie pozwolić na cnotę - rzekł cierpko Jugurta. - Każdy Cecyliusz Metellus jest bogaty niczym Krezus. Rozgrabili Hiszpanię i Azję, ale nie uda im się to z Numidią! I Albinowi także, jeśli będę miał coś do powiedzenia. - Król wyprostował się w krześle. - Czy Massywa na pewno tu jest?

- Metellus zapewnia, że jest.

- Musimy czekać, póki się nie dowiemy, który konsul ma rządzić Afryką, a który Macedonią.

- Tylko nie mów, że wierzysz w losowanie! - parsknął Bomilkar.

- Sam już nie wiem, w co wierzę, kiedy chodzi o Rzymian - rzekł król posepnie. - Czasem myślę, że to już postanowione, a czasem zastanawiam się, czy to ciągnięcie losów nie oznacza, że oni śmieją się z nas i rzeczywiście zostawiają wszystko losowi. Zaczekam więc, Bomilkarze. Kiedy poznam wynik losowania, postanowię, co dalej robić.

Odwrócił krzesło i znów zaczął wpatrywać się w deszcz.



W gospodarstwie pod Arpinum troje dzieci wyrastało w starym domu o białe tynkowane ścianach. Najstarszy był Gajusz Mariusz, druga po nim była jego siostra Maria i wreszcie drugi z synów, Marek Mariusz. Naturalnie, spodziewano się po nich, że zostaną kimś znacznym w okręgu i mieście Arpinum, ale nikt nie marzył, że któreś wypłynie na szerokie wody. Mariuszowie byli rodem ziemian z ludu, skazanym na odgrywanie jakiejś znaczącej roli jedynie na terytorium Arpinum. Nie do pomyslenia było, by któryś z nich wszedł do rzymskiego senatu. Katon Cenzor narobił sporo zamieszania z racji swego wiejskiego pochodzenia, ale pochodził zaledwie z Tuskulum odległego tylko o piętnaście mil od rzymskich murów Serwiusza. Żaden arpiński dziedzic nie wyobrażał sobie, że jego syn zostanie rzymskim senatorem.

Nie była to sprawa pieniędzy, bo pieniędzy nie brakowało, Mariuszowie byli całkiem zamożni. W okolicach Arpinum były całe mile żyznej ziemi, a większość tej ziemi należała do trzech rodów: Mariuszów, Gratydiuszów i Tulliuszów Cyceronów. Kiedy potrzebny był ktoś z zewnątrz na żonę albo na męża dla jakiegoś Mariusza, Gratydiusza albo Tulliusza Cycerona, szukano tego kogoś nie w Rzymie, ale w Puteoli, gdzie żyli Graniuszowie,

ród wywodzący się z Arpinum, a wzbogacony na handlu zamorskim.

Gajusz Mariusz był jeszcze chłopcem, kiedy wybrano mu narzeczoną, jeszcze młodszą niż on sam. Czekala na niego cierpliwie we dworze Graniuszów w Puteoli. Kiedy jednak się zakochał, nie chodziło o kobietę. Ani też o mężczyznę. Pokochał armię - i było to naturalne, radosne i spontaniczne rozpoznanie dożgonnej towarzyszkii życia. Zaciągnął się w dniu swoich siedemnastych urodzin, ubolewając, że nie toczy się akurat żadna wojna, i zdołał przesłużyć sześć lat jako młodszy oficer w legionach konsulów, aż w dwudziestym trzecim roku życia przydzielono go do sztabu Scypiona Emiliana pod Numancją w Hiszpanii.

Nie potrzebował wiele czasu, by zaprzyjaźnić się z Publiuszem Rutyliuszem Rufusem i księciem Jugurtą z Numidii. Wszyscy byli w tym samym wieku i wszystkich wysoko cenili Scypion Emilianus, który nazywał ich Straszna Trójką. Żaden nie pochodził z górnych warstw Rzymu. Jugurta był kimś z zewnątrz, ród Publiusza Rutyliusza Rufusa od ponad stu lat nie zasiadał w senacie, nigdy też nie uzyskał konsulatu, a Gajusz Mariusz pochodził ze wsi. Oczywiście, żaden z nich nie myślał wtedy o polityce. Mieli w głowie tylko wojaczkę.

Gajusz Mariusz stanowił przypadek szczególny. Urodzony żołnierz był także urodzonym wodzem. „On po prostu wie, co robić i jak to zrobić”, mawiał Scypion Emilianus z westchnieniem, które mogło być westchnieniem zazdrości. Nie, żeby nie wiedział, co i jak zrobić, ale słuchając od dzieciństwa rozmów wodzów przy rodzinnym stole, wiedział dobrze, ile jest w nim samym wrodzonej wojowniczości. Bardzo mało - taka była prawda. Był utalentowanym organizatorem, nie wojskowym. Uważał, że jeśli kampania została starannie przygotowana, zanim jeszcze zaciągnął się pierwszy legionista, o jej wyniku nie decyduje wojowanie.

Gajusz Mariusz był urodzonym żołnierzem. Mając siedemnaście lat, by jeszcze niski i szczupły. W dzieciństwie był wybredny, rozpieszczany przez matkę i skrycie pogardzany przez ojca. Potem zasznurował swoje pierwsze wojskowe buty i przypiął płyty prostego pancerza z brązu do kaftana z twardej skóry. I zaczął się rozwijać fizycznie i duchowo, aż przerosł wszystkich zaletami ciała i umysłu, odwagą, siłą i niezależnością. Ojciec pęczniał z dumy, a matka zaczęła odsuwać się od syna.

Zdaniem Gajusza Mariusza nic nie równało się z życiem w rzymskim legionie, najwspanialszej maszynie wojennej, jaką widział świat. Żaden marsz nie był zbyt uciążliwy, żadna lekcja szermierki zbyt długa, ani żadne poniżające zadanie zbyt poniżające, by stłumić ten przyływ entuzjazmu. Było mu wszystko jedno, co mu każą robić, byle tylko mógł służyć w armii.

To pod Numancją spotkał siedemnastolatka, który przybył z Rzymu na wezwanie Scypiona, by dołączyć do gromadki jego wybrańców. Tym chłopakiem był Kwintus Cecyliusz Metellus, młodszy brat tego Cecyliusza Metellusa, który po kampanii przeciw górskim szczepom Dalmacji i Ilirii otrzymał przydomek „Dalmatyński” i został mianowany Pontifexem Maximusem, arcykapłanem panującej religii.

Młody Metellus był typowym Cecyliuszem Metellusem. Ten mól książkowy nie miał ochoty ani zdolności do robienia czegokolwiek, ale był

zdecydowany coś robić i nieugięcie przekonany, że będzie to robić znakomicie. Lojalność wobec swojej klasy powstrzymywała Scypiona przed okazaniem, jak go drażni ten siedemnastoletni ekspert od wszystkiego, ale niedługo po jego przybyciu pod Numancję polecił go szczególnej opiece Strasznej Trójki. Byli zbyt młodzi, by się nad nim litować, byli też oburzeni podrzucaniem im takiego przemądrzałego młyńskiego kamienia i odbili to sobie na młodym Metellusie, traktując go nie okrutnie, ale szorstko.

Dopóki Numancja stawiała opór i Scypion był zajęty oblężeniem, chłopak godził się z losem. Potem Numancja upadła, została zburzona i zaorana. I teraz wszystkim, od dowódców do żołnierzy, pozwolono się upić. Straszna Trójka też się upiła. Upił się i młody Kwintus, bo zdarzyło się to akurat w jego osiemnaste urodziny. Straszna Trójka uznała za świetny żart wrzucenie chłopca w dniu urodzin do świńskiego chlewu.

Wydostając się z gnoju, wytrzeźwiał. Pluł jak wściekły i wypluwał z siebie złość.

- Wy... wy żałośni parweniusze! Myślicie, że kim jesteście? Zaraz wam powiem! Ty, Jugurto, jesteś tylko płaszczącym się barbarzyńcą, niegodnym lizać buty Rzymianina! Ty, Rutyliuszu, jesteś karierowiczem i zabiegasz o łaski! A ty, Mariuszu, jesteś tylko italskim prostakiem, który nawet nie zna greki! Czy nie dociera do was, kim jestem? Pochodzę z Cecyliuszów Metellów, którzy byli królami w Etrurii, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o Rzymie. Od miesięcy pozwalałam się obrażać, ale dość tego! Traktujecie mnie, jakbym był od was gorszy. Nie ważcie się!

Jugurta, Rutyliusz Rufus i Gajusz Mariusz stali oparci o ogrodzenie chlewu, chwając się na nogach i mrugając niczym sowy. Potem Rutyliusz Rufus, któremu udawało się jakoś łączyć głęboką wiedzę z żołnierskimi umiejętnościami, usiadł okrakiem na ogrodzeniu i uśmiechnął się szeroko.

- Doceniam wszystko to, o czym mówisz, Kwintusie. Kłopot w tym, królu Etrurii, że masz na głowie kupę łajna, a nie koronę. Idź, wykap się, a potem opowiesz to jeszcze raz, i chyba powstrzymamy się od śmiechu.

Metellus przeczesał włosy palcami, ale był zbyt rozwścieczony, by przyjąć dobrą radę, zwłaszcza podsunętą mu z uśmiechem.

- Rutyliusz! Oto mi nazwisko, ozdoba spisów senatorów! Oskijskie zero, oto kim jesteś. Wieśniak!

- Ach, daj spokój - powiedział łagodnie Rutyliusz Rufus. - Na tyle znam etruski, żeby przetłumaczyć „Metellus” na łacinę. - Obrócił się teraz do Jugurty i Mariusza i dodał: - To oznacza zwolnionego ze służby najemnika.

Tego już było za wiele. Młody Metellus rzucił się na Rutyliusza Rufusa i ściągnął go w cuchnące błoto. Zaczęli tam się tarzać, zмагаć i tłuc pięściami, nie znajdując oparcia, by zrobić sobie krzywdę. Wreszcie Jugurta i Mariusz uznali, że wygląda to na dobrą zabawę, i skoczyli za tamtymi Zanosząc się od śmiechu, siedzieli w błocie pośród świń, które, jak to świny, obwąchiwały ich bezwstydnie i dokładnie. Kiedy Straszna Trójka przestała wreszcie nacierać błotem Metellusa, wyrwał im się i uciekł.

- Zapłacicie mi za to! - rzucił za siebie przez zęby.

- Ach, zamknijże się - odparł Jugurta, którego znów ogarnął napad wesołości.

„Koło wykonuje pełen obrót niezależnie od tego, co robimy”, pomyślał Gajusz Mariusz, wychodząc z kąpieli i sięgając po ręcznik. Docinki z ust tego niedorostka wysokiego rodu nie były chybione, choć wymówione w gniewie. Kimże byli w istocie ci ze Strasznej Trójki spod Numancji? Płaszczącym się barbarzyńcą, karierowiczem, który zabiegał o łaski, i italskim prostakiem, który nawet nie znał greki. Oto kim byli. Rzym ich tego nauczył, zgoda!

Jugurta powinien być już od lat uznany za króla Numidii, wprowadzony grzecznie, lecz stanowczo, do zagrody dla królów-klientów Rzymu i utrzymywany w niej mądrymi radami i uczciwym postępowaniem. Zamiast tego musiał znosić nieubłaganą wrogość stronnictwa Cecyliuszów Metellów teraz zaś przyparty do muru walczył tu w Rzymie do ostatka z gromadą pretendentów do tronu Numidii, zmuszony do kupowania skrycie tego, co powinien dostać jawnie i za darmo, bo mu się to po prostu należało.

A drogi, jasnowłosy Publiusz Rutyliusz Rufus, ulubiony uczeń filozof Panecjusza, podziwiany przez cały krąg Scypionów - pisarz, żołnierz, dowcipny człowiek i znakomity polityk - został oszukańczo pozbawiony konsulatu w tym samym roku, w którym Mariusz z trudnością uzyskał preturę. Przeszkodziło mu nie tylko nie dość dobre pochodzenie, ale też wrogość Cecyliusza Metellusa, co oznaczało, że - jak Jugurta - stał się automatycznie wrogiem Marka Emiliusza Skaurusa, sprzymierzeńca Metellów i głównej podpory ich stronnictwa.

Co do Mariusza - cóż, Kwintus Cecyliusz Metellus Świński mógłby powiedzieć, że spisał się on lepiej niż inni italscy prostacy nie znający greki, został bowiem członkiem rzymskiego senatu. Zdumiewające! Jakże zdumiona była jego rodzina w Arpinum!

Odsłużył swoje lata w wojsku i zdołał się wybić. Dziwna rzecz, ale to poparcie Cecyliusza Metellusa zapewniło mu wybór na trybuna ludowego w surowych czasach, jakie nastąpiły po śmierci Gajusza Grakcha. Kiedy Mariusz starał się o wybór po raz pierwszy, nie udało mu się. Gdy mu się udało, stronnictwo Metellów było pewne, że ma go w garści - dopóki nie pokazał im, że tak nie jest, broniąc uprawnień Zgromadzenia Ludowego. Było ono po śmierci Gajusza Grakcha zagrożone, jak nigdy dotąd, dominacją senatu. Lucjusz Cecyliusz Metellus Dalmatyński starał się wprowadzić ograniczenie prawa Zgromadzenia Ludowego do stanowienia praw, a Mariusz zgłosił wtedy weto. Nie dał się też nakłonić ani zmusić do wycofania swego weta.

Drogo kosztowało go to weto. Gdy po roku sprawowania urzędu trybuna ludowego starał się o jedno z dwóch stanowisk edylów ludowych, grupa Cecyliusza Metellusa pokrzyżowała mu plany. Kiedy walczył o preturę, znów spotkał się z opozycją Metellów pod wodzą Metellusa Dalmatyńskiego. Użyli zwykłych sposobów zniesławiania: jest impotentem, koprofagiem, molestuje małych chłopców, należy do tajnych

stowarzyszeń bachicznych i orfickich, splamił się wszelkiego rodzaju przekupstwem, sypiał z własną siostrą i z własną matką. Zastosowali też jednak skuteczniejsze i zdradliwsze sposoby. Mówili po prostu, że Gajusz Mariusz nie jest Rzymianinem, że jest Italczykiem, człowiekiem znikąd, i że Rzym ma aż za wielu swoich prawdziwych synów, aby trzeba było wybierać na pretora jakiegoś Gajusza Mariusza. Ten cios był dobrze wymierzony. O ile jednak chodziło o Gajusza Mariusza, najbardziej irytująca była konkluzja, że jest beznadziejnie głupi, bo wcale nie zna greki. To oszczerstwo nie miało nic wspólnego z prawdą. Mówił bardzo dobrze po grecku, tyle że jego nauczyciele byli Grekami z Azji - pedagog pochodził z Lampsakos nad Hellespontem, a gramatyk z Amisos na wybrzeżu Pontu - i mówili z wyraźnym akcentem. Gajusz Mariusz nauczył się więc mówić po grecku z nosowym akcentem, co mu nadawało piętno człowieka niewykształconego, a zatem nisko urodzonego. Musiał pogodzić się z porażką, bo na jedno wychodziło, nie mówić wcale po grecku czy mówić greką azjatycką. Zdecydował się zignorować oszczerstwo i nie używać tego języka ludzi kulturalnych i wykształconych.

Mniejsza z tym. Dostał się ostatni między pretorów, ale jednak się dostał. Nie zaszkodziło mu też zmyślane oskarżenie o przekupstwo wniesione zaraz po wyborach. Przekupstwo! Nie miał wtedy dość pieniędzy, by sobie kupić urząd. Szczęśliwie dla niego wśród wyborców dość było ludzi, którzy znali jego wartość jako żołnierza albo słyszeli o nim od innych. Rzymianie zawsze mieli słabość do dobrych żołnierzy i to mu dało wygraną. Senat mianował go potem zarządcą Dalszej Hiszpanii, chcąc go usunąć z widoku, z myśli, spod ręki. Że jednak był prawdziwym wojskowym, dobrze mu się tam wiodło.



Hiszpanie - a zwłaszcza nieujarzmione plemiona luzytańskiego zachodu i kantabryjskiego północnego zachodu - uprawiali taki rodzaj wojny, jaki nie odpowiadał większości rzymskich dowódców, bo nie odpowiadał stylowi walki rzymskiego legionu. Nie ustawiali się do bitwy w zwyczajowy sposób i nie zważali na powszechnie przyjętą zasadę, że lepiej zaryzykować wszystko, mając szansę wygrania rozstrzygającej bitwy, niż ponosić przeraźliwy koszt przedłużającej się wojny. Zdążyli już zrozumieć, że toczą taką właśnie długą wojnę i że muszą ją kontynuować, jeśli chcą zachować swą celtyberską tożsamość narodową.

Nie mieli jednak pieniędzy na długą wojnę, prowadzili więc wojnę domową. Nie wydawali bitew. Walczyli poprzez zasadzki, napady, zabójstwa i niszczenie własności wroga, to jest własności rzymskiej. Nie pojawiali się nigdy tam, gdzie się ich spodziewano, nigdy nie maszerowali w kolumnie, nie gromadzili się w większej liczbie, nie dawali się rozpoznać, bo nie nosili jednolitych strojów ani broni. Pojawiali się po prostu znikąd i znikali bez śladu pośród urwistych szczytów swoich gór, jakby nigdy ich nie było. Kiedy się wjeżdżało do jakiegoś miasteczka, o którym rzymski wywiad twierdził stanowczo, że jest zamieszane w jakąś sprytną małą masakrę, okazywało się ono tak niewinne i bez skazy, jak najłagodniejszy i najcierpliwszy z osłów.

Bajecznie bogaty kraj z tej Hiszpanii! Nic dziwnego, że każdy chciał ją mieć. Pierwotna iberyjska ludność miejscowa mieszała się przez tysiąc lat z elementem celtyckim wdzierającym się przez Pireneje, a najazdy berberyjsko-mauretańskie przez cieśniny oddzielające Hiszpanię od Afryki wzbogaciły dodatkowo zawartość tego tygla narodów.

Potem, przed tysiącem lat, przybyli tam Fenicjanie z Tyru, Sydonu i Berytu, a po nich zjawili się Grecy. Przed dwustu laty przybyli punicy Kartagińczycy, potomkowie syryjskich Fenicjan, którzy zbudowali wokół Kartaginy imperium, i nastął kres względnej izolacji Hiszpanii. Kartagińczycy przybywali bowiem po metale: złoto, srebro, ołów, cynk, miedź i żelazo. W górach Hiszpanii były ich wielkie złoża, a w całym świecie gwałtownie wzrastał popyt na pochodzące stamtąd wyroby i bogactwa. Z Hiszpanii pochodziła nawet cyna, choć nie tam ją znajdowano. Wydobywana na bajecznych Kassyterydach, Wyspach Cynowych leżących gdzieś na najdalszej granicy zamieszkanego świata, trafiała do małych portów kantabryjskich i wędrowała handlowymi szlakami przez Hiszpanię do wybrzeży Morza Środkowego.

Panujący na morzu Kartagińczycy zawładnęli Sycylią, Sardynią i Korsyką, co oznaczało, że prędzej czy później musieli zderzyć się z Rzymem. Ów los spotkał ich przed stu pięćdziesięciu laty i w trzy wojny później - trzeba było na nie stu lat - Kartagina była martwa, a Rzym zdobył swe pierwsze zamorskie posiadłości z kopalniami Hiszpanii włącznie.

Zmysł praktyczny Rzymian podpowiadał im, że Hiszpanią najlepiej będzie rządzić z dwóch różnych miejsc. Półwysep został więc podzielony na dwie prowincje: Hiszpanię Bliższą, Hispania Citerior, i Hiszpanię Dalszą, Hispania Ulterior. Namiestnik Hiszpanii Dalszej nadzorował południe i zachód kraju ze swej siedziby w bajecznie żyznym dorzeczu Betysu. U ujścia tej rzeki leżał Gades, potężne i stare miasto fenickie. Namiestnik Hiszpanii Bliższej nadzorował północ i wschód półwyspu z nadmorskich równin leżących naprzeciw Balearów, przenosząc się z miejsca na miejsce zgodnie z potrzebą chwili. Luzytania na dalekim zachodzie i Kantabria na północnym zachodzie pozostawały w znacznej mierze nie tknięte.

Pomimo lekcji, której Scypion udzielił im pod Numancją, plemiona hiszpańskie stawiały opór rzymskiej okupacji przez zasadzki, napady, skrytobójstwa i niszczenie mienia. „Dobrze więc”, pomyślał Gajusz Mariusz, zastawszy taką sytuację, gdy przybył jako nowy namiestnik do Hiszpanii Dalszej, „ja także potrafię urządzać zasadzki i napady, skrytobójstwa i niszczenie mienia”. I robił to z wielkim powodzeniem. Przesunął granice rzymskiej Hiszpanii do Luzytanii i potężnego łańcucha gór bogatych w rudy metali, z których wypływały Betyś, Tag i Anas.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że to przesuwanie rzymskiej granicy miało związek z zajmowaniem coraz bogatszych złóż metali, zwłaszcza zaś srebra, miedzi i żelaza. Namiestnik prowincji, który w imieniu Rzymu wytyczył te nowe granice, przodował, naturalnie, w czerpaniu korzyści z zajmowanego kraju. Skarb państwa otrzymał swoją część, Rzym wolał jednak pozostawić kopalnie i wydobywanie w rękach prywatnych właścicieli, którzy kierowali nimi daleko skuteczniej i bardziej bezwzględnie niż

państwo.

Gajusz Mariusz wzbogacił się. Potem wzbogacił się jeszcze bardziej. Każda nowa kopalnia należała w całości lub w części do niego. To z kolei zapewniło mu ciche współnictwo w wielkich kompaniach, które zawierały umowy na prowadzenie wszelkiego rodzaju operacji handlowych - od zakupów i wysyłki zboża do robót publicznych - w całym rzymskim świecie i w samym Rzymie także.

Wrócił z Hiszpanii obwołany przez swe wojsko imperatorem, co mu dawało prawo do zażądania zgody senatu na tryumf. Wziąwszy pod uwagę ilość zdobyczy, dziesięcin, podatków i danin, jakich przysporzył dochodom państwa, senat nie mógł postąpić inaczej, niż zgodzić się z życzeniem żołnierzy. Przejechał więc w starożytnym rydwanie tryumfalnym tradycyjną drogą uroczystych pochodów. Poprzedzały go dowody jego zwycięstw i grabieży oraz platformy z żywymi obrazami, przedstawiającymi geografie i obyczaje podbitych krajów, on zaś marzył o przyszłym konsulacie. Oto Gajusz Mariusz z Arpinum, pogardzany italski prostak, który wcale nie zna greki, będzie konsulem największego miasta świata. Wróci przedtem do Hiszpanii, dokończy podboju i przemieni ją w spokojne i kwitnące prowincje. Zanim wrócił do Rzymu, minęło jednak pięć lat. Pięć lat! Stronnictwo Metellów wygrało: nigdy nie będzie konsulem.

- Włożę chyba ten strój z Chios - powiedział czekającemu na rozkazy służącemu. Inni na jego miejscu kazaliby po kąpieli szorować się nacierać i masować swoim niewolnikom, on jednak wolał, nawet teraz, sam robić brudną robotę. Proszę pamiętać, że w wieku lat czterdziestu siedmiu wciąż miał wspaniałą figurę. Nie miał się czego wstydzić. Mimo pozornej beczynności nie zaniedbywał ćwiczeń z ciężarkami, przepływał po kilka razy Tyber w Trigarium, a potem biegł przez całą drogę powrotną z odległego końca Pola Marsowego do swego domu na stoku Kapitolu. Włosy rzedły mu trochę na szczycie głowy, ale wciąż miał dość ciemnych kędziorów, by je zaczesać jak należy ku przodowi. Tak będzie dobrze. Nigdy nie był urodziwy i nigdy nie będzie. Twarz jest niezła - i nawet robi wrażenie - ale daleko mu do Gajusza Juliusza Cezara.

Ciekawa rzecz. Czemu zadaje sobie tyle trudu z uczesaniem się i ubraniem na okazję, która miała być tylko rodzinną wieczerzą u skromnego senatora z tylnych ław senatu? Ten człowiek nie był dotąd nawet edylem, a coś dopiero pretorem! On jednak wybrał strój z Chios, nic mniej. Kupił go kilka lat temu z myślą o przyjęciach, które miałyby wydawać w czasie konsulatu i w późniejszych latach jako szanowny były konsul, mąż konsularny, jak ich nazywano.

Na prywatne wieczorne przyjęcie można było włożyć coś innego niż surowa biała toga i tunika ozdobiona tylko purpurowym szlakiem. Ozdobna długa i fałdzista tunika z Chios była pokazem złocistego i purpurowego przepychu. Na szczęście prawo nie zabraniało ubierania się, jak kto chciał. *Lex Licinia* ograniczało jedynie ilość kosztownych i rzadkich potraw na rzymskim stole - a i tak nikt na to nie zważał. Przy tym Gajusz Mariusz wąpił, by stół Cezarów uginał się pod ciężarem rzadkich

ryb i ostryg.

Ani przez chwilę nie pomyślał, by zajrzeć przed wyjściem do żony. Od lat o niej zapominał - jeśli w ogóle kiedyś pamiętał. To małżeństwo ułożone we mgle dzieciństwa przeciągnęło się w dorosłość z jej brakiem miłości, czy choćby nawet przywiązania, bezdzietne przez dwadzieścia pięć lat. Ktoś o wojskowych zamiłowaniach i tak aktywny fizycznie jak Mariusz szukał erotycznego zaspokojenia tylko wtedy, gdy o jego braku przypominało mu spotkanie jakiejś pociągającej kobiety, a w jego życiu niewiele było takich okazji. Od czasu do czasu zabawiał się z jakąś kobietą, która mu wpadła w oko (jeśli była dostępna i chętna), albo ze służącą, albo (na wojnie) z branką.

A jego żona Grania? Nie pamiętał o niej nawet wtedy, kiedy była przy nim bliżej niż o dwie stopy, przypominając mu, że chciałaby sypiać z nim dość często, by począć dziecko. Współżycie z Granią było niczym marsz w nieprzeniknionej mgle. To, co się czuło, było tak nieokreślone, że wydawało się czymś całkiem innym, równie nierozpoznawalnym. Czasami wyzuwało się zmianę temperatury otoczenia i miejsca o zwiększonej wilgotności na wilgotnym i zimnym podłożu. Jeśli otwierał usta, zanim doszedł do szczytu, to tylko po to, żeby ziewnąć.

Nie było mu jej wcale żal. Nie usiłował też jej zrozumieć. Była po prostu jego żoną. Jego starą kurą, która nigdy, nawet w młodości, nie stroiła się w upierzenie godowe. Co robiła po całych dniach - albo i nocach - nie wiedział i nie dbał o to. Grania prowadząca podwójne życie w wyuzdanej deprawacji? Gdyby ktoś mu to powiedział, zaśmiewałby się do łez. I miałby słuszość. Grania była równie cnotliwa jak bezbarwna. Żadna Cecylia Metella (choćby ta rozpustnica, która była siostrą Dalmatyńskiego i Metellusa Świńskiego, a żoną Lucjusza Licyniusza Lukullusa) nie dorówna Granii z Puteoli!

Dzięki kopalniom srebra kupił dom na Zamkowej Górze Kapitolu pod murami Serwiusza od strony Pola Marsowego. Była to najdroższa nieruchomość w Rzymie. Dzięki kopalniom miedzi kupił kolorowe marmury, którymi pokryto ceglane kolumny, pilastry i posadzki. Kopalnie rud żelaza pozwoliły mu skorzystać z usług najlepszego malarza fresków w Rzymie, który wypełnił płaszczyzny tynku między pilastrami scenami z polowań na jelenie, malowanymi kwietnikami i iluzjonistycznymi krajobrazami. Jego ciche współnictwo w kilku wielkich kompaniach opłaciło posągi i hermy, wspaniałe stoły z cytrusowego drewna na inkrustowanych złotem nogach z kości słoniowej, złożone i inkrustowane krzesła i łóża biesiadne, haftowane zasłony, drzwi z brązu. Sam Hymettos projektował ogromny ogród-perystyl, zwracając równie wiele uwagi na subtelny dobór zapachów, co na zestawienia barw kwiatów, a wielki Dolichos zbudował podłużną centralną sadzawkę z fontannami, rybkami, liliami, lotosami i wspaniałymi nadnaturalnej wielkości posągami trytonów, nereid, nimf, delfinów i węży morskich.

Na tym wszystkim, prawdę mówiąc, nie zależało Mariuszowi ani trochę. Sypiał na polowym łóżku w najmniejszym pokoiku, gdzie jedyną ozdobą gołych ścian był jego miecz i pochwa, i wojskowa peleryna, a jedyną

barwną plamą poszarpane *vexillum* podarowane mu przez ukochany legion po kampanii hiszpańskiej. Ach, to było życie! Wartość pretury i konsulatu upatrywał Gajusz Mariusz tylko w tym, że wiodły do naczelnego dowództwa. On zaś wiedział, że nigdy nie będzie konsulem. Nie będą głosować na człowieka znikąd, choćby nie wiadomo jak był bogaty.

Wyszedł z domu w taką samą pogodę jak poprzedniego dnia, ponury kapuśniaczek i przenikliwą wilgoć, nie pamiętając - co było typowe - że niesie na grzbiecie fortunę. Narzucił jednak na świetność szaty swoje stare polowe *sagum* - grubą, wyświechtaną i cuchnącą pelerynę, chroniącą zarówno przed zabójczym wiatrem alpejskich przełęczy, jak przed trwającymi całe dni oberwaniami chmur w Epirze. Był to co się zowie żołnierski strój. Jego woń sączyła się w nozdrza niczym zapach chleba z piekarni, pobudzający głód, zmysłowy, rozgrzewający i przyjacielski.

- Wchodź, proszę! Wchodź! - mówił Gajusz Juliusz Cezar, osobiście witając w drzwiach swego gościa i sięgając po owo okropne *sagum*. Wziąwszy je, nie rzucił go zaraz niewolnikowi, w obawie że odór przyłgnie mu do rąk. Trzymał je z poszanowaniem i przekazał z wielką ostrożnością.

- Widziało chyba niejedną kampanię - powiedział, nawet nie mrugnawszy okiem na widok Gajusza Mariusza w całym krzykliwym przepychu stroju z Chios.

- Nigdy nie miałem innego *sagum* - odrzekł Mariusz, nie zważając na źle ułożone fałdy swojej szaty.

- Liguryjskie?

- Ma się rozumieć. Dostałem je nowiuteńkie od ojca, kiedy skończyłem siedemnaście lat i zaciągnąłem się jako kadet. Powiem ci jednak - ciągnął, idąc obok swego gospodarza i nie zwracając uwagi na ciasnotę i prostotę domu Cezarów - że gdy przyszło mi wyposażać w ekwipunek swoje legiony, postarałem się, by każdy dostał takie właśnie okrycie. Nie można oczekiwać, że ludzie będą zdrowi, jeśli przemokną na wylot albo przemarzną do szpiku kości.

Przypomniał sobie o czymś i dodał pośpiesznie:

- Oczywiście, środki miałem ograniczone, ale każdy dowódca, który był coś wart, radził sobie z kosztami, biorąc dodatkowe łupy.

- A ty byłeś coś wart, wiem o tym - powiedział Cezar, siadając z lewej strony środkowej sofy i wskazując gościowi honorowe miejsce po prawej. Służący zdjęli im buty, a gdy Gajusz Mariusz nie zechciał skorzystać z przenośnego piecyka, zaproponowali panom ciepłe skarpety. Obaj przystali na to, a potem ułożyli się, podpierając lewy łokieć poduszkami. Zbliżył się podczaszy, a przy nim służący z pucharami.

- Moi synowie zaraz przyjdą, a panie zjawią się, zanim zaczniemy - powiedział Cezar, powstrzymując gestem dłoni podczaszego. - Mam nadzieję, Gajuszu Mariuszu, że nie uznasz mnie za skąpca, jeśli ci zaproponuję takie wino, jakie sam piję, dobrze rozcieńczone. Jest po temu powód, ale wolałbym go podać później. Na razie powiedzmy, że dobrze jest zachować jasność umysłu. Panie mogłyby się też niepokoić, widząc, jak pijemy nie rozcieńczone.

- Nie jestem amatorem wina. - Mariusz przerwał nalewanie i kazał dolać sobie wody po brzegi pucharu. - Myślę też, że gość, któremu zależy na towarzystwie gospodarza, powinien używać języka do rozmowy, nie do chleptania wina.

- Dobrze powiedziane - rzekł Cezar z rozjaśnioną twarzą.

- Jestem jednak mocno zaintrygowany.

- Dowiesz się wszystkiego, gdy nadejdzie pora.

Zapadło milczenie. Popijali nieco skrepowani swoją zaprawioną winem wodę. Dotąd znali się tylko z widzenia, jak jeden senator drugiego. Pierwsze zaproszenie nie rozproszyło tego skrepowania, zwłaszcza że gospodarz ograniczył konsumpcję wina.

Cezar odchrząknął i odstawił swój puchar na wąski stół ustawiony wzdłuż sofy.

- Wydaje mi się, Gajuszu Mariuszu, że nie jesteś zachwycony tegorocznym składem naszych władz.

- Na bogów, nie! Nie bardziej niż ty, jak sądzę?

- Zgoda, to marny dobór ludzi. Czasem myślę, że to błąd obstawać przy rocznych kadencjach. Gdybyśmy mieli szczęście i trafili na właściwego człowieka, powinniśmy zostawić go dłużej u władzy. Mógłby więcej zdziałać.

- Kusząca myśl. To mogłoby się udać, gdyby ludzie nie byli ludźmi, ale się nie uda.

- Dlaczego?

- Czyj głos miałby decydować, że ktoś jest odpowiednim człowiekiem? Jego samego? Senatu? Zgromadzenia Ludowego? Ekwitów? Naszych drogich wyborców, nieprzekupnych i nieczułych na pieniądze?

Cezar roześmiał się.

- Cóż, uważałem Gajusza Grakcha za właściwego człowieka. Popierałem go z całego serca, kiedy starał się o drugą kadencję trybuna ludowego, popierałem też jego trzecią próbę. Nie mówię, że moje poparcie wiele mu dało.

- I oto masz przykład, Gajuszu Juliuszu - rzekł posepnie Mariusz. - Kiedy tylko Rzym wydaje właściwego człowieka, zostaje on obalony. Dlaczego? Bo bardziej troszczy się o Rzym niż o rodzinę, stronnictwo i pieniądze.

- Nie jest to jednak chyba szczególną cechą Rzymian - zauważył Cezar, unosząc brwi. - Ludzie są tylko ludźmi. Nie widzę różnicy między Rzymianami, Grekami, Kartagińczykami i Syryjczykami, kiedy idzie o zawiść albo chciwość. Utrzymać się na stanowisku dostatecznie długo, by osiągnąć wszystko, co możliwe, można tylko, zostając królem, choćby i nie z nazwy.

- Rzym nie zniósłby króla.

- Tak było przez minione pięćset lat. Odzwyczajiliśmy się od królów. To dziwne, prawda? Cały świat woli raczej władzę absolutną, ale nie Rzymianie. I nie Grecy, skoro już o tym mowa.

Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- I dlatego Rzym i Grecja pełne są ludzi, którzy uważają się za królów. To pewne, że Rzym nie stał się prawdziwą demokracją, kiedy wygnaliśmy

naszych królów.

- Oczywiście, że nie. Prawdziwa demokracja jest nieosiągalna. Popatrz tylko na to, co z niej zrobili Grecy. Jakie szanse mieliśmy my, rozsądni Rzymianie? Naszym Rzymem rządzi wielu, ale za pośrednictwem nielicznych z wielkich rodów.

- A czasem za pośrednictwem nowego człowieka - rzekł Gajusz Mariusz, nowy człowiek.

- Tak, a czasem nowego człowieka - przytaknął pogodnie Cezar.

Dwaj synowie Cezara weszli do jadalni właśnie tak, jak powinni wchodzić młodzi ludzie: po męsku, lecz z szacunkiem, powściągliwie, ale nie lękliwie, nie pchając się naprzód, ale i nie trzymając się z tyłu. Starszy, Sekstus Juliusz Cezar, kończył dwadzieścia pięć lat. Był wysoki, miał szare oczy i kasztanowe włosy. Mariusz, nawykły do towarzystwa młodych ludzi, dostrzegł w nim jakiś dziwny smutek, podkrążone oczy i usta zaciśnięte w jakiś niezwykły sposób.

Młodszy, Gajusz Juliusz Cezar, miał dwadzieścia dwa lata. Był silniejszy i nawet wyższy od brata, miał złote włosy i jasnoniebieskie oczy. Mariusz uznał go za inteligentnego, ale nie natarczywego, i nie upierającego się przy swoim zdaniu. Takich synów o prawdziwie rzymskiej urodzie mógłby sobie życzyć każdy senator. Byli to przyszli senatorowie.

- Udali ci się synowie, Gajuszu Juliuszu - powiedział, gdy młodzi ludzie ulokowali się na sofie po prawej stronie ojca, jak zresztą zwykle, chyba że spodziewano się jeszcze innych gości (albo był to jeden z tych skandalizujących nowoczesnych domów, gdzie również kobiety jadły wieczerzę na leżąco). Trzecia sofa po lewej stronie Mariusza pozostała pusta.

- Tak, chyba mi się udali - przyznał Cezar, uśmiechając się do synów. Potem spojrzał na Mariusza. - Ty nie masz synów, nieprawdaż?

- Nie - odrzekł Mariusz bez cienia żalu w głosie.

- Ale jesteś żonaty?

- Tak sędzę. - Mariusz zaśmiał się. - Jestem taki sam jak wszyscy wojskowi. Naszą prawdziwą żoną jest armia.

- To się zdarza - rzekł Cezar, zmieniając temat rozmowy.

Rozmowa, jak to zauważył Mariusz, była swobodna, spokojna i uprzejma. W tym domu nikt nie musiał nikomu zamykać ust i nie dawała o sobie znać żadna ukryta niezgoda, bo wszyscy doskonale się ze sobą zgadzali. Ciekaw był, jakie są kobiety, bo ojciec rodziny był, mimo wszystko, tylko współtwórcą sukcesu. Mariusz, choć sam poślubił ciepłe kluski z Puteoli, wiedział coś o tych sprawach. Wśród rzymskich dobrze urodzonych nie było żony, która nie miałaby wiele do powiedzenia, gdy chodziło o wychowanie dzieci. Nieważne, czy była rozpustna czy cnotliwa, głupia czy inteligentna, zawsze była osobą, z którą należało się liczyć.

Potem weszły kobiety, Marcja i dwie Julie. Zachwycające, absolutnie zachwycające! I matka także. Słudzy ustawili im krzesła z oparciami w środku podkowy, którą tworzyły trzy sofy z wąskimi stolikami. Marcja usiadła naprzeciw męża, Julia naprzeciw Mariusza, Julilla przed swymi braćmi. Mariusz zauważył z rozbawieniem, że pokazała braciom język w

chwili, gdy miała pewność, że widzi ją tylko gość, a nie rodzice.

Mimo braku rzadkich ryb i ostryg i mimo rozcieńczenia wina, uczta była znakomita. Dyskretni służący, o zadowolonym wyglądzie, nie zanedbywali swoich obowiązków, a przy tym nie wciskali się między kobiety a stoły. Jedzenie było wyśmienicie przyrządzone. Żadne rybne *garum* ani egzotyczne przyprawy ze wschodu nie tłumili aromatów mięsa i warzyw. Takie właśnie jedzenie żołnierz Mariusz lubił najbardziej.

Drób ze zwykłym nadzieniem z chleba, cebuli i świeżych ziół z ogrodu, świeżo upieczone bułki, dwa rodzaje oliwek, „kopytka” z najbielszej mąki i sera, wyśmienite wiejskie kielbaski z rusztu, polewane miodem zaprawionym czosnkiem, dwie pyszne sałatki z letycji, ogórków, szalotek i selerów (każda inaczej przyprawiona oliwą i winnym octem) i parujący gulasz z brokułów, dyń i kalafiorów z dodatkiem tartych orzechów. Oliwa była słodka i z pierwszego tłoczenia, sól sucha, a pieprz - w najlepszym gatunku - podano w ziarnkach i na życzenie chłopiec służący ucierał szczyptę w mózdzierzu. Na deser podano owocowe ciasteczka, kwadratowe sezamki smarowane dzikim miodem z tymianku i pierożki nadziewane rodzynkami i polane syropem figowym, a na koniec dwa wspaniałe sery.

- Arpinum! - wykrzyknął Mariusz, podnosząc klinek drugiego z serów, z twarzą odmłodziłą o wiele lat. - Znam ten ser! Wyrabia go mój ojciec. Mleko pochodzi od dwuletnich owiec wypasanych co najmniej tydzień na łące nad rzeką, gdzie rośnie mleczna trawa.

- O, jak to miło! - Marcja uśmiechnęła się do niego bez cienia skrepowania. - Zawsze bardzo lubiłam ten ser, a od dziś będzie to już na zawsze ser wyrobu Gajusza Mariusza - twój ojciec też się tak nazywa? - z Arpinum.

Gdy zjedzono ostatnie danie, kobiety wstały, by odejść. Nie umoczyły nawet ust w winie, ale jedzenia sobie nie odmawiały, popijając je wodą.

Julia uśmiechnęła się do niego, wstając, i wyglądało na to, że go lubi. Rozmawiała z nim grzecznie, kiedy ją zagadywał, ale nie włączała się do jego rozmowy z ojcem. Nie wyglądała jednak na znudzoną i słuchała z widocznym zainteresowaniem i zrozumieniem. To naprawdę urocza dziewczyna, spokojna, ale bynajmniej nie skazana na przemianę z wiekiem w ciepłe kluski.

Jej siostrzyczka Julilla to psotnica - czarująca, o tak, ale niesforna. Jest rozpieszczona i samowolna, i potrafi manipulować rodzicami, by uzyskać to, czego chce. Było w niej też coś niepokojącego. Biegły w ocenie młodych ludzi, potrafił też nie najgorzej oceniać młode kobiety. A Julilla budziła w nim lekki niepokój. Był pewien, że coś z nią jest nie w porządku. Nie brakowało jej inteligencji i choć była mniej odczytana niż jej siostra i bracia, najwyraźniej ani trochę się tym nie przejmowała. Nie chodziło też o próżność, choć najwyraźniej znała i ceniła swą urodę. Mariusz wzruszył w myśli ramionami i przestał myśleć o tej sprawie i o Julilli. Ani jedno, ani drugie nie było jego zmartwieniem.

Młodzi ludzie odczekali z dziesięć minut, zanim się pożegnali i odeszli. Zapadła noc i wodne zegary zaczęły odmierzać godziny mroku, dwa razy

dłuższe niż godziny dnia. Był środek zimy i chociaż raz kalendarz zgadzał się z porami roku. Było to zasługą Najwyższego Kapłana, Lucjusza Cecyliusza Metellusa Dalmatyńskiego, który uważał, że data powinna zgadzać się z porą roku - zupełnie jakby był Grekiem! Jakie to ma znaczenie, kiedy każdy widzi, jaka jest pora roku, a kalendarz wystawiony na Forum Romanum podaje miesiąc i dzień?

Kiedy służący przyszedli zapalić lampy, Mariusz zauważył, że oliwa jest najwyższej jakości, a knoty nie są konopne, ale utkane z lnu.

- Dużo czytam - powiedział Cezar, podążając wzrokiem za spojrzeniem Mariusza i czytając w jego myślach z tą samą niesamowitą dokładnością, jaką zademonstrował podczas wczorajszej wymiany spojrzeń na Kapitolu. - I źle, niestety, śpiam. Kiedy dzieci zaczęły brać udział w radach rodzinnych, spotkaliśmy się raz, żeby ustalić, na jakie zbytki możemy sobie pozwolić. Marcja zdecydowała się na pierwszorzędnego kucharza, ale uznaliśmy to za dobrodziejstwo dla wszystkich i przegłosowaliśmy dla niej warsztat tkacki, najnowszy model z Patawium, i stałe zaopatrzenie w jej ulubiony rodzaj przędzy. Sekstus wybrał dla siebie podróżę na Ogniste Pola poza Puteolą.

W twarzy Cezara pojawiła się troska i westchnął głęboko.

- Mamy w naszym rodzie sporo cech dziedzicznych. Najsłynniejszą - jeśli nie liczyć jasnych włosów - jest legendarny dar uszczęśliwiania mężczyzn, który dziedziczą wszystkie Julie. To dar bogini Wenus, założycielki rodu, choć nigdy nie słyszałem, żeby sama Wenus uszczęśliwiła jakiegoś śmiertelnika - albo Wulkaną, jeśli już o to chodzi, albo Marsa. A jednak to właśnie mówi legenda o kobietach z julijskiego rodu. Są jednak i inne, nie tak cenne dary, które dziedziczą niektórzy z nas, choćby ten, który przypadł biednemu Sekstusowi. Na pewno słyszałeś o tej jego chorobie - kiedy ma ataki duszności, słycać go po całym domu, a czasem twarz mu sinieje. Kilka razy ledwie go odratowaliśmy.

A więc to miał wypisane na twarzy młody Sekstus! Ma astmę. To mu niewątpliwie przeszkodzi w zrobieniu kariery.

- Tak, znam tę chorobę. Mój ojciec mówi, że najbardziej dokucza ona w porze żniw, kiedy w powietrzu pełno jest plew, a także w lecie, z powodu pyłków kwiatowych. Chorzy powinni też unikać zwierząt, a zwłaszcza psów i koni. Twój syn powinien służyć w piechocie.

- Już się o tym przekonał - rzekł z westchnieniem Cezar.

- Opowiedz do końca o tej radzie rodzinnej, Gajuszu Juliuszu - poprosił Mariusz. Takiej demokracji nie ma nawet w najmniejszej greckiej *izonomii*! Cóż to za niezwykle grono ludzi, ci Cezarowie! Komuś z zewnątrz mogą się wydawać doskonale poprawni; prawdziwi patrycjusze, podpory społeczeństwa. Od wewnątrz okazują się jednak oburzająco nieortodoksyjni.

- Otóż młody Sekstus wybrał owe podróżę do Ognistych Pól, bo wyziewy siarki zdają się mu pomagać. Tak jest od pewnego czasu, on zaś wciąż tam jeździ.

- A twój młodszy syn?

- Gajusz powiedział, że jest tylko jedna rzecz, na której mu zależy,

choć nie można tego nazwać zbyt wielkim. Prosił o prawo wyboru sobie żony.

Kosmate brwi Mariusza skoczyły w górę i w dół.

- Bogowie! A ty mu pozwoliłeś?

- Ależ tak!

- A jeśli, jak to chłopcy potrafią, zakocha się w jakiejś dziwce albo w jakiejś starej lafiryndzie?

- Poślubi ją, jeśli zechce. Jakoś jednak nie wydaje mi się, żeby był taki głupi. Młody Gajusz ma głowę na karku - oświadczył ze spokojem zaślepiony ojciec.

- I ożenisz go na sposób patrycjuszów *confarreatio*, na całe życie?

- Ależ tak.

- Bogowie!

- Moja starsza Julia też jest bardzo zrównoważona - ciągnął Cezar. - Wybrała sobie kartę członkowską biblioteki Faniusza. Myślałem przedtem o tym samym dla siebie, ale nie miałyby sensu, gdybyśmy należeli tam oboje. Nasza mała Julilla nie jest, niestety, zbyt mądra, ale motyle nie muszą chyba być mądre, skoro zaś byliśmy na tyle beztroscy, by mieć czwórkę dzieci, cieszyliśmy się, że na samym końcu pojawił się ten motyl i że okazał się dziewczynką.

- O co prosiła? - uśmiechnął się Gajusz Mariusz.

- Ach, o słodczyce i stroje, jak się tego spodziewaliśmy.

- A ty, pozbawiony karty bibliotecznej?

- Wybrałem sobie lampę najlepszą z możliwych i zawarłem układ z Julią. Ja pożyczam od niej książki, ona zaś korzysta z mojej lampy.

Mariusz uśmiechnął się, czując, że już polubił autora tej umoralniającej opowieści. Jakże prostym i szczęśliwym życiem się cieszył! Żył w otoczeniu żony i dzieci, którym starał się dogodzić i którymi interesował się jako ludźmi. Z pewnością trafnie oceniał charaktery swego potomstwa i młody Gajusz nie weźmie sobie żony z rysztołów Subury.

Odchrząknął.

- Gajuszu Juliuszu, to był przemiły wieczór. Chyba już jednak pora, byś mi wyjaśnił, czemu to musiałem być trzeźwy?

- Pozwól, że najpierw odeślę służących. Wino mamy pod ręką, a skoro nadeszła chwila prawdy, nie musimy go już sobie odmawiać.

Taka skrupulatność zdziwiła Mariusza, który już przywykł do obojętności, z jaką Rzymianie patrzyli na swych domowych niewolników. Nie chodziło o złe traktowanie - zwykle dobrze się z nimi obchodzili - ale o to, że uważali ich za coś w rodzaju nieożywionych posągów albo wypchanych zwierząt i nie krępowali się w rozmowie ich obecnością. Z tym zwyczajem Mariusz nigdy się nie pogodził. Jego ojciec zwykł odprawiać służących podobnie jak Cezar.

- Wiesz jacy z nich plotkarze - rzekł Cezar, gdy zostali sami za zamkniętymi drzwiami. - Mamy też wścibskich sąsiadów. Rzym może sobie być wielkim miastem, ale gdy idzie o plotki, Palatyn to wioska. Marcja mówiła mi, że niektóre jej przyjaciółki płacą służbie za plotki i dopłacają, kiedy plotka się sprawdza. Służący to przecież także ludzie;

myślą i czują, lepiej więc ich nie wtajemniczać w nasze sprawy.

- Gajuszu Juliuszu, powinieneś być konsulem, a potem, jako wybitny mąż konsularny, zostać wybrany cenzorem - oświadczył Mariusz.

- Zgadzam się, Gajuszu Mariuszu, rzeczywiście powinienem! Nie mam jednak pieniędzy, żeby się ubiegać o urzędy.

- Ja mam pieniądze. Czy dlatego tu jestem, i do tego trzeźwy?

Cezar był wstrząśnięty.

- Drogi Gajuszu Mariuszu, oczywiście, że nie! Jestem już bliższy sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki i moja polityczna kariera jest skończona. Nie, chodzi mi o moich synów i ich synów, kiedy nadejdzie ich kolej.

Mariusz usiadł na sofie i obrócił się ku gospodarzowi, który zrobił to samo. Potem sięgnął po dzban, nalał sobie nie rozcieńczonego wina, upił tyk i podniósł zdumiony wzrok.

- I coś takiego rozcieńczaliśmy przez cały wieczór?

Cezar uśmiechnął się.

- Ależ nie! Aż tak bogaty nie jestem. Rozcieńczaliśmy zwyczajne wino. Tego falerna chowam na specjalne okazje.

- To mi pochlebia. - Mariusz spojrział na Cezara spod nasepionych brwi.

- Czego zatem chcesz ode mnie, Juliuszu Cezarze?

- Pomocy. W zamian zaś ja pomogę tobie - powiedział Cezar, napełniając swój puchar.

- A jak mielibyśmy udzielać sobie tej pomocy?

- Zwyczajnie. Wejdiesz do rodziny.

- Co takiego?

- Proponuję ci jedną z moich córek, którą zechcesz.

- Małżeństwo?

- Oczywiście.

- Ach! To nie byle jaki pomysł!

Mariusz natychmiast dostrzegł wielorakie możliwości. Pociągnął głęboki łyk aromatycznego falerna, nie mówiąc już ani słowa więcej.

- Każdy cię zauważy, jeśli będziesz miał za żonę Julię - powiedział Cezar. - Nie masz, na szczęście, synów ani córek. W twoim wieku potrzebujesz młodej żony z płodnego szczepu. Nikt się nie będzie dziwił, że szukasz nowej żony, bo to zupełnie zrozumiałe. Gdyby to była Julia, miałbyś żonę z najświetniejszego rodu patrycjusza, a twoje dzieci miałyby julijską krew w żyłach. To cię uszlachetni, Gajuszu Mariuszu. Każdy będzie musiał traktować cię inaczej niż teraz. Wartość twego imienia wzrośnie dzięki *dignitas* najdostojniejszego rodu w Rzymie. Nie mamy pieniędzy, ale mamy tę *dignitas*. Juliuszowie Cezarowie pochodzą wprost od bogini Wenus poprzez jej wnuka Julusa, syna jej syna Eneasza. Część tej chwały spłynie i na ciebie.

Cezar odstawił puchar i westchnął, uśmiechając się jednak.

- To wszystko prawda, zapewniam cię. Nie jestem najstarszym z mego pokolenia rodu, ale przechowujemy woskowe maski i znamy swoich przodków sprzed tysiąca lat. Rea Sylwia, matka Romulusa i Remusa, miała jeszcze inne imię - Julia! Kiedy poczęła z Marsem tych bliźniaczych synów, to my daliśmy doczesną postać Romulusowi, a więc i Rzymowi.

Uśmiechnął się szerzej, i to nie z ironią, ale z prawdziwą dumą ze znakomitych przodków.

- Byliśmy królami Alby Longi, największego z wszystkich miast latyńskich, bo założył je nasz przodek Julus, a gdy Rzymianie je zburzyli, przesiedlili nas do Rzymu i przyjęli do grona rzymskich patrycjuszy, by umocnić swe prawa i do przewodzenia Latynom. Choć nigdy nie odbudowano Alby Longi, do dziś kapłanem na Albańskiej Górze jest zawsze jakiś Juliusz.

Mariusz zaczerpnął tchu. Był pod wrażeniem. Nie mówił jednak niej tylko słuchał.

- Żyję na skromniejszym poziomie - ciągnął Cezar. - Mam jednak niemałe wpływy, chociaż nie miałem pieniędzy na staranie się o urząd. Moje nazwisko liczy się wśród wyborców. Imponuje nowym ludziom - a centurie głosujących pełne są nowych ludzi, jak sam wiesz - szanują mnie też szlachetnie urodzeni. Moja *dignitas* jest bez zarzutu, tak było też z moim ojcem.

Szerokie perspektywy otwierały się przed Gajuszem Mariuszem, który nie mógł oderwać wzroku od przystojnej twarzy Cezara. O, tak, pochodzili od Wenus, zgoda! Wszyscy byli urodziwi. Uroda się liczy. Cała historia świata uczy, że lepiej mieć jasne włosy niż ciemne. Dzieci, które spłodzą z Julią, mogą być jasnowłose i mieć długie rzymskie nosy. Będą wyglądały jak należy i jednocześnie niezwykle. Oto właśnie różnica między jasnowłosymi Juliuszami Cezarami z Alba Longa, a jasnowłosymi Pompejuszami z Picenum. Cezarowie wyglądają jak Rzymianie, a Pompejusze jak Celtowie.

- Chcesz zostać konsulem - ciągnął Cezar. - To jasne dla każdego. Twoja działalność w Hiszpanii, kiedy byłeś pretorem, przysporzyła ci klientów. Niestety, mówi się o tobie, że sam jesteś czyimś klientem, co czyni tamtych klientami twojego patrona.

Gość skrzywił się gniewnie, odsłaniając zęby, duże, białe i mocne.

- To potwarz. Nie jestem niczym klientem.

- Wierzę ci, ale nie jest to wiara ogółu, a ta wiara jest ważniejsza niż prawda. Każdy rozsądny człowiek odrzuci pretensje Hereniuszy, bo Mariusze z Arpinum to lepsi od nich Latynowie. Ale i Cecyliusze Metellowie dają do zrozumienia, że są twoimi patronami. I znajdują wiarę. A dlaczego? Bo rodzina twojej matki Fulcynii to Etruskowie i wy sami macie ziemię w Etrurii, a Etruria to domena Cecyliuszy Metellów.

- Żaden Mariusz ani żaden Fulcyniusz nie był nigdy klientem Cecyliuszy Metellów - parsknął gniewnie Mariusz. - Są zbyt sprytni, żeby to mówić, nie mogąc tego udowodnić.

- Tego się nie mówi - powiedział Cezar. - Oni żywią jednak do ciebie jakąś osobistą niechęć, co dodaje wagi tej pogłosce. Ludzie mówią, że nie może chodzić tylko o utarcie im nosa, kiedy byłeś trybunem ludowym.

- Ach tak, to sprawa osobista - zaśmiał się niewesoło Mariusz.

- Opowiedz mi o tym.

- Kiedyś pod Numancją wrzuciłem do świńskiego chlewu młodszego brata Dalmatyńskiego, tego samego, który chce się ubiegać o konsulat. Właściwie było nas trzech i żaden z nas daleko nie zaszedł.

- A tamci dwaj?

- Publiusz Rutyliusz Rufus i król Jugurta z Numidii.

- Ach! Oto wyjaśnienie tajemnicy. - Cezar zetknął końce palców i przyłożył je do zaciśniętych ust. - A jednak zarzut, że jesteś czyimś klientem, nie jest najgorszą plamą na twoim imieniu, Gajuszu Mariuszu. Jest jeszcze coś, z czym trudniej sobie poradzić.

- Zanim więc przejdziemy do tego czegoś, Gajuszu Juliuszu, jak mam położyć kres plotkom, że jestem klientem?

- Poślubiając jedną z moich córek. Będzie to dla świata dowód, że ja nie dopatrzyłem się cienia prawdy w tej historii. Rozpowiadaj też o tym hiszpańskim chlewie. Niech Publiusz Rutyliusz Rufus potwierdzi to, jeśli to możliwe. Będzie to dla wszystkich wystarczającym wyjaśnieniem osobistego charakteru niechęci Cecyliusza Metellusa. - Cezar uśmiechnął się. - Musiało to być zabawne: Cecyliusz Metellus pośród świń - i to nawet nie rzymskich świń!

- To było zabawne - potwierdził krótko Mariusz. - A ta druga plama?

- Musisz się chyba domyślać.

- Nic mi nie przychodzi na myśl.

- Mówi się, że zajmujesz się handlem.

Mariuszowi zaparło dech.

- Ależ... ależ, czym się w tym różnię od trzech czwartych senatu? Nie mam w żadnej kompanii handlowej udziału, który daje mi prawo głosu, albo wpływu na jej działania. Jestem tylko cichym współnikiem, dostarczycielem kapitału. Czy mówią o mnie, że prowadzę interesy?

- Oczywiście, że nie, Gajuszu Mariuszu, nikt się nie wdaje w szczegóły. Zbywają cię szyderstwem, zwykłym zdaniem: „on handluje”. Kto nie wnika w to głębiej, może sądzić, że twoja rodzina od pokoleń zajmuje się handlem, a ty sam kierujesz kompaniami handlowymi i bogacisz się na handlu zbożem.

- Rozumiem - rzekł Mariusz przez zaciśnięte zęby.

- Powinieneś o tym wiedzieć - powiedział łagodnie Cezar.

- Nie robię niczego więcej niż Cecyliuszowie Metellowie. Oni są nawet bardziej aktywni w interesach.

- Zgoda. Gdybym jednak miał ci doradzać, radziłbym unikać interesów, które nie dotyczą ziemi albo nieruchomości. Twoje kopalnie są bez zarzutu, to dobre i solidne nieruchomości. Ale już udziały w kompaniach handlowych to nierozwaga, kiedy jest się człowiekiem nowym. Powinieneś trzymać się tylko tych przedsięwzięć, które są do przyjęcia dla senatora - ziemi i nieruchomości.

- Czy chodzi o to, że mając udziały w kompaniach, nie mogę być szlachetnie urodzonym?

- Właśnie o to.

Mariusz rozprostował ramiona. Zastanawiać się nad tą jawną niesprawiedliwością byłoby stratą czasu i energii. Zamiast tego zaczął myśleć o nęcącej perspektywie poślubienia dziewczyny z julijskiego rodu.

- Czy naprawę sądzisz, że małżeństwo z twoją córką tak bardzo poprawi mój publiczny wizerunek?

- Nie może być inaczej.

- Julia... A czemu nie miałbym starać się o rękę jakiejś Sulpicji albo Klaudii, albo Emilii, albo Kornelii? Dziewczyna z każdego z tych rodów byłaby równie dobra - albo i lepsza! Miałbym stare nazwisko i dodatkowo polityczne wsparcie.

Cezar z uśmiechem pokręcił przecząco głową.

- Nie dam się sprowokować, Gajuszu Mariuszu, więc tego nie próbuj. Tak, mógłbyś poślubić Kornelię albo Emilię, ale każdy by wiedział, że po prostu kupiłeś sobie dziewczynę. Małżeństwo z Julią ma tę przewagę, że Cezarowie nigdy nie sprzedawali córek bogatym ludziom znikąd, którzy chcieliby zapewnić sobie kariery, a swoim potomkom szlachetne rodowody. Fakt, że pozwolono ci poślubić Julię, powiadomi cały świat, iż zasługujesz na wszelkie honory, a oczernianie twego imienia to zwykła złość i zawiść. Powszechnie wiadomo, że Cezarowie są ponad sprzedawanie córek.

Po chwili zastanowienia dodał jeszcze:

- Będę chyba zalecał moim synom, żeby skorzystali z naszego przykładu i tak szybko, jak się da, wydali swoje córki za bogatych ludzi znikąd.

Mariusz oparł się wygodnie z napelnionym na nowo pucharem.

- Czemu mi to proponujesz, Gajuszu Juliuszu?

Cezar zmarszczył brwi.

- Są dwa powody. Ten pierwszy jest może niezbyt racjonalny, ale to główny powód odstąpienia od naszej tradycyjnej niechęci do korzystnych finansowo małżeństw naszych dzieci. Otóż, kiedy ujrzałem cię wczoraj na uroczystości, doznałem przeczucia. Nie jestem przesądny, Gajuszu Mariuszu, przysięgam jednak na wszystkich bogów, że nagle zrozumiałem, iż patrzę na kogoś, kto wyniesie Rzym na plecach z jakiegoś straszliwego zagrożenia - jeśli da mu się szansę! Wiedziałem też, że jeśli nie dadzą ci tej szansy, nie będzie więcej Rzymu. - Wzruszył ramionami, czując, że przebiega go dreszcz. - Rzymianie, a zwłaszcza stare rody, mają skłonność do ulegania przesądom. Nadal jednak wierzę w to, co wtedy czułem. Pomyślałem sobie, że pięknie by było, gdybym to ja, skromny senator z tylnych ław, dał Rzymowi tego człowieka, którego tak bardzo potrzebuje.

- I ja to czuję - rzekł Mariusz - od czasów Numancji.

- A widzisz! My obaj!

- A twój drugi powód, Gajuszu Juliuszu?

Cezar westchnął.

- Doszedłem do wieku, kiedy trzeba uznać fakt, że nie zatroszczyłem się jak należy o dzieci. Dostały miłość, wygodne życie, wykształcenie, ale ten dom i pięćset jugerów ziemi w Albańskich Wzgórzach to wszystko, co posiadam.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i znów pochylił się do przodu.

- Mam czworo dzieci, o dwoje za dużo, dwóch synów i dwie córki. To, co posiadam, nie zapewni moim synom kariery. Nie zostaną nawet senatorami. Gdybym podzielił majątek między chłopców, żaden nie uzyska senatorskiego cenzusu. Gdybym zostawił wszystko Sekstusowi, zdołałby przetrwać, tak jak ja, ale mój młodszy, Gajusz, nic uzyskałby nawet statusu

ekwickiego. Zrobiłbym z niego jakiegoś Lucjusza Korneliusza Sullę - czy znasz Lucjusza Korneliusza Sullę?

- Nie.

- Jego macocha jest moją sąsiadką. Okropna kobieta, nisko urodzona i bez rozumu, ale bardzo bogata. Jej pieniądze dziedziczy jakiś jej bratanek. Skąd tyle o niej wiem? Nawet senatorowie mają sąsiadów. Zaciągnęła mnie kiedyś na spisywanie swego testamentu i usta jej się przy tym nie zamykały. Jej pasierb mieszka u niej, bo nie ma gdzie się podziać, jeśli jej wierzyć. Wyobrażasz sobie? Patrycjusz Korneliusz w wieku odpowiednim do senatu i bez żadnej nadziei, że tam kiedykolwiek wejdzie. On jest nędzarzem! Jego gałąź rodu podupadła, a jego ojciec nie miał już nic, i żeby dopełnić nieszczęść syna, przepił wszystko, co mógłby mu zostawić. Ten właśnie ojciec poślubił moją sąsiadkę, która po jego śmierci wzięła syna pod swój dach, ale nie zamierza zrobić niczego więcej. Ty, Gajuszu Mariuszu, byłeś o całe niebo szczęśliwszy, bo twoja rodzina była dość zamożna, by ci dać senatorskie dochody, kiedy zdarzyła się okazja wejścia do senatu. Nie przeszkodziła ci pozycja człowieka nowego, ale z pewnością przeszkodziłby brak środków. Pochodzenie Sulli jest bez zarzutu, ale jego ubóstwo pozbawiło go szans na należną mu pozycję. Co do mnie, za bardzo dbam o pomyślność mego młodszego syna, żeby sprowadzać jego samego, jego dzieci albo dzieci jego dzieci do poziomu Lucjusza Korneliusza Sulli - mówił z pasją Cezar.

- Urodzenie to przypadek! - rzekł z równą pasją Mariusz. - Czemu miałyby rozstrzygać o czyimś losie?

- A czemu miałyby rozstrzygać pieniądze? - odparował Cezar. - Daj spokój, Gajuszu Mariuszu. Przyznaj, że tak już jest, że wszyscy wszędzie cenią sobie urodzenie i pieniądze. Uważam, że nasze społeczeństwo jest lepsze niż większość innych - w porównaniu, na przykład, z królestwem Partów, Rzym jest tak idealny jak Rzeczpospolita Platona! W Rzymie zdarza się, że ludzie wybijają się, zaczynając z niczego. Nie mówię, że podziwiam takich ludzi. Taka walka szkodzi ich człowieczeństwu.

- Lepiej więc, żeby Lucjusz Korneliusz Sulla pozostał tam, gdzie jest.

- Wcale nie! - rzekł stanowczo Cezar. - Przyznaję, że ty, jako człowiek nowy, znosiłeś niezасłużone niesprawiedliwości, Gajuszu Mariuszu, ale jako patrycjusz i członek mojej klasy boleję nad losem Sulli - dokończył rzeczowym tonem, by po chwili wyrazić to, co mu najbardziej leżało na sercu. - Teraz jednak obchodzi mnie los moich dzieci. Moje córki nie mają posagu! Nie mogę nic dla nich odłożyć, bo doprowadziłoby to synów do ubóstwa. To oznacza, że moje córki nie mają szans na poślubienie ludzi ze swej klasy. Wybacz, Gajuszu Mariuszu, jeśli cię uraziłem, nie chodzi mi o ciebie. - Machnął ręką. - Pozwól, że ujmę to inaczej. Chodzi mi o to, że musiałbym wydać córki za ludzi, których nie lubię ani nie podziwiam i z którymi nie mam nic wspólnego. Nie wydałbym ich zresztą i za patrycjuszy, gdybym ich nie lubił! Życzę sobie dla nich mężów uczciwych, honorowych i miłych. Nie miałbym jednak okazji na takich trafić. Ci, którzy mogliby prosić o rękę moich córek, są zarożumiałymi niewdzięcznikami. Raczej odprawię ich kopniakiem, niż podam dłoń. To

tak jak z bogatą wdową, z którą uczciwi ludzie boją się zadawać, żeby ich nie uznano za łowców posagów, i w końcu wdowa musi wybierać spośród łowców posagów.

Cezar zsunął się z sofy i przysiadł na jej skraju ze zwieszonymi nogami.

- Czy nie przeszedłbyś się ze mną po ogrodzie? Wiem, że jest zimno, ale dam ci ciepły płaszcz. Wieczór był długi, a zadanie miałem niełatwe. Muszę rozprostować kości.

Mariusz bez słowa dźwignął się z sofy, sięgnął po buty Cezara, wsunął mu je na nogi i zasznurował sprawnie i bez namysłu. Potem włożył swoje buty i wstał, podtrzymując gospodarza za łokieć.

- Za to cię lubię - rzekł Cezar. - Rozsądny i bezpretensjonalny.

Perystyl był niewielki, ale miał w sobie jakiś czar rzadko spotykany w miejskich ogrodach. Mimo że był środek zimy, aromatyczne zioła rozsiewały miłe wonie, a krzewy w większości były zielone. Cezarowie nie pozbyli się wiejskich nawyków. Mariusz ze wzruszeniem spostrzegł zawieszony pod okapem, gdzie wpadało słońce i nie groziło zamoknięcie, setki wiązek płesznika, całkiem jak w domu jego ojca w Arpinum. W końcu stycznia włożył się do skrzyń z ubraniami i rozwiesił po całym tym *domus*, od końca do końca, by płoszyć pchły, rybiki i wszelkie robactwo. Plesznik trzeba ścinać podczas zimowego przesilenia dnia z nocą. Mariusz nie spodziewał się nigdy, że jest w Rzymie jakiś dom, gdzie o tym wiedzą.

Na cześć gościa zapalono wszystkie lampy wiszące pod okalającą perystyl kolumnadą, a wzdłuż ścieżek jarzyły się bursztynem lampki z osłonami o wypukłych bokach z cienkiego jak papier marmuru. Deszcz ustał, ale ciężkie krople pokrywały krzaki, a w powietrzu wisiała mgiełka i chłód.

Nie zważali na to. Obaj byli jednakowo wysocy, mogli więc swobodnie naradzać się głowa przy głowie. Szli po ścieżkach, aż w końcu przystanęli w środku ogrodu przy małej sadzawce z fontanną, gdzie czwórka kamiennych driad unosiła w górę pochodnie. W zimie sadzawka była pusta, a fontannie odcięto dopływ wody.

„To jest prawdziwe”, pomyślał Gajusz Mariusz, u którego podgrzewana sadzawka i fontanna były pełne wody przez okrągły rok. „Żaden z moich trytonów i delfinów, i wodospadów nie wzrusza mnie tak jak ten zabytek”.

- Czy jesteś zainteresowany małżeństwem z moją córką? - spytał Cezar bez niepokoju w głosie, ale dając odczuć swój niepokój rozmówcy.

- Tak, Gajuszu Juliuszu, jestem - rzekł zdecydowanym tonem Mariusz.

- Nie będzie ci żal rozwieść się z żoną?

- Ani trochę. - Mariusz odchrząknął. - Czego jednak oczekujesz po mnie w zamian za pannę młodą i nazwisko?

- Wielu rzeczy. Skoro wchodzisz do rodziny raczej jako drugi ojciec niż zięć - to przywilej wieku! - liczę na to, że wyposażysz moją drugą córkę i dołożysz ręki do zapewnienia przyszłości moim synom. Mój młodszy syn i ta córka, która nie będzie miała szczęścia, będą potrzebować pieniędzy. Musisz jednak popierać obu moich chłopców, gdy wejdą do senatu i na drogę do konsulatu. Chciałbym, żeby obaj zostali kiedyś konsulami. Mój Sekstus jest o rok starszy od starszego z tych dwóch synów, których

zatrzymał mój brat Sekstus, więc pierwszy z tego pokolenia Juliuszów Cezarów osiągnie wiek konsularny. Chcę, by został konsulem w przepisowym czasie, w dwanaście lat po wejściu do senatu i w czterdziestym drugim roku życia. Chcę tego, bo inaczej Lucjusz, syn mego brata Sekstusa, zostanie w następnym roku pierwszym konsulem z julijskiego rodu.

Przerwał, by spojrzeć w słabo oświetloną twarz Mariusza, i podniósł uspokajająco dłoń.

- Nie było nigdy nieprzyjaźni między mną a moim bratem i nie ma jej między naszymi synami. Powinno się jednak zostawać konsulem w przepisowym czasie, tak jest najlepiej.

- Twój brat oddał swego najstarszego w adopcję, nieprawdaż? - Mariusz starał się przypomnieć sobie to, co urodzony Rzymianin wiedziałby bez zastanowienia.

- Tak, dawno temu. Tamten też ma na imię Sekstus, jak każdy najstarszy syn w naszym rodzie.

- Oczywiście! Kwintus Lulacjusz Katullus! Nie pamiętam, czy jest i Cezar w tym nazwisku, ale chyba nie, nieprawdaż? On jednak jest o wiele starszy od reszty, będzie więc pierwszym Cezarem, który dojdzie do konsulatu.

- Nie. - Cezar zaprzeczył energicznym ruchem głowy. - On nie jest już Cezarem. To Lutacjusz Katullus.

- Chyba stary Katullus dobrze zapłacił za przybranego syna. Wygląda na to, że rodzina twego zmarłego brata ma mnóstwo pieniędzy.

- Tak, zapłacił za to drogo. Tak jak ty zapłacisz za swoją nową żonę, Gajuszu Mariuszu.

- Za Julię. Biorę Julię - powiedział Mariusz.

- Nie tę małą? - zdziwił się Cezar. - Nie ukrywam, że się cieszę, ale to tylko dlatego, że nie jestem za wydawaniem za mąż dziewczyn przed osiemnastką, a Julilli brak półtora roku. Chyba dobrze wybrałeś, a jednak... zawsze myślałem, że Julilla jest bardziej atrakcyjna z nich obu.

- Jesteś jej ojcem - uśmiechnął się szeroko Mariusz. - Nie, Gajuszu Juliuszu, twoja młodsza wcale mnie nie pociąga. Jeśli nie będzie zakochana bez pamięci w swoim ślubnym, narobi mu kłopotów. Za stary jestem na dziewczęce kaprysy. Julia ma chyba tyle rozumu co urody. Wszystko mi się w niej podoba.

- Będzie świetną małżonką konsula.

- Czy naprawdę myślisz, że uda mi się zostać konsulem?

Cezar skinął głową.

- Z pewnością, ale nie natychmiast. Najpierw musisz poślubić Julię. Potem pozwolić sprawom się ułożyć. Spróbuj wyszukać sobie jakąś porządną wojnę - bardzo by ci się przydało kilka świeżych zwycięstw. Zgłoś się do służby przy kimś, jako legat. Po dwóch albo trzech latach możesz się starać o konsul.

- Będę miał pięćdziesiąt lat - rzekł posepnie Mariusz. - Wyborcy tego nie lubią.

- Już teraz jesteś za stary, więc dwa czy trzy lata nie zrobią różnicy. Te

lata bardzo ci się przydadzą, jeśli je dobrze wykorzystasz. Twój wiek nie jest aż tak ważny, Gajuszu Mariuszu. Co innego, gdybyś się postarzał, ale ty jesteś okazem zdrowia i tężyzny i świetnie się prezentujesz, co zawsze robi wrażenie na centuriach głosujących. Prawdę mówiąc, gdybyś nie naraził się Cecyliuszowi Metellusowi, mogłeś być konsulem już przed trzema laty, w przepisowym czasie. Gdybyś był niski, niepozorny, gdybyś miał szczupłe prawe ramię, nawet Julia by ci nie pomogła. Tak zaś, jak się rzeczy mają, będziesz konsulem, nie ma obawy.

- Co właściwie mam zrobić dla twoich synów?

- W przeliczeniu na pieniądze?

- Tak. - Mariusz usiadł na ławie z szorstkiego białego marmuru, nie myśląc wcale o swej świetnej szacie z Chios. Ława była wilgotna, kiedy więc wstał po jakimś czasie, pozostała na niej wyglądająca dziwnie naturalnie różowopurpurowa żyłkowana plama. Purpurowy barwnik stroju wniknął w porowaty kamień i pozostał w nim na zawsze. Ława stała się tym sposobem - po upływie jednego czy dwóch pokoleń - najcenniejszym i najbardziej podziwianym sprzętem, który inny Gajusz Juliusz Cezar miał przenieść do domu Najwyższego Kapłana. Dla tego zaś Gajusza Juliusza Cezara, który układał się z Mariuszem o małżeństwo córki, ławka stała się znakiem wróżebnym, cudownym i wspaniałym. Gdy niewolnik przyszedł rano powiedzieć mu o tym cudzie (był raczej zalękniony niż oburzony - wszyscy znali królewskie znaczenie purpury), Cezar westchnął z głęboką satysfakcją. Ta purpurowa ława mówiła mu bowiem, że zawierając ów małżeński układ, skierował swą rodzinę na drogę ku purpurze najwyższych urzędów. Złączyło się to w jego myślach z owym dziwnym przecuciem: tak, Gajusz Mariusz ma swoje miejsce w przeznaczeniu, o którym Rzym jeszcze nawet nie śni. Cezar kazał przenieść ławę z ogrodu do atrium i nigdy nikomu nie wyjawiał, skąd wziął się ów purpurowy wróżebny znak.

- Potrzebuję dla Gajusza wiele dobrej ziemi, żeby mu zapewnić miejsce w senacie - mówił teraz do siedzącego na ławie gościa. - Tak się składa, że jest właśnie do kupienia sześćset jugerów żyznej ziemi przyległej do moich pięciuset w Albańskich Wzgórzach.

- A cena?

- Przerażliwa, z uwagi na bliskość Rzymu. Mamy tu, niestety, rynek sprzedających. - Cezar zaczerpnął tchu. - Cztery miliony sestercji, czyli milion denarów - wyrzekł heroicznie.

- Zgoda - powiedział Gajusz Mariusz, jak gdyby Cezar mówił o czterech tysiącach, nie o czterech milionach. - Roztropnie jednak będzie, jeśli na jakiś czas utrzymamy nasz układ w sekrecie.

- Ach, oczywiście - zgodził się gorliwie Cezar.

- Sam przyniosę ci jutro pieniądze - uśmiechnął się Mariusz. - Co jeszcze?

- Spodziewam się, że zanim mój starszy wejdzie do senatu, ty zostaniesz mężem konsularnym. Dzięki temu, a także dzięki małżeństwu z Julią, będziesz miał wpływy i władzę. Liczę na to, że użyjesz tych wpływów i władzy, by popierać moich synów w ich staraniach o urzędy. Jeśli zostaniesz legatem, weźmiesz moich synów ze sobą na wojnę. Mają już

doświadczenie, bo obaj byli młodszymi oficerami, ale przyszła kariera wymaga dłuższej służby wojskowej, a nie znajdują lepszej służby niż pod twoimi rozkazami.

W skrytości ducha Mariusz nie uważał, żeby któryś z tych młodych ludzi stanowił materiał na wielkiego wodza, ale że mogli zostać dobrymi oficerami, przestał więc na oświadczeniu:

- Rad będę mieć ich przy sobie, Gajuszu Juliuszu.

Cezar szedł za ciosem.

- Co do ich karier politycznych, zaszkodzi im to, że są patrycjuszami. Nie będą mogli zaczynać jako trybuni ludowi, a sam wiesz, że jakieś głośne wystąpienie w roli trybuna to najlepszy sposób zdobycia sobie reputacji polityka. Będą musieli starać się o edyla, a to piekielnie kosztowne! Liczę więc, że zapewnisz im obu wybór na edylów kurulnych i tyle pieniędzy na igrzyska, żeby ludzie pamiętali o nich, kiedy pójdą do urn wybierać pretorów. Liczę też, że dostarczysz gotówki, gdyby było trzeba kupować im głosy.

- Zgoda! - Gajusz Mariusz wyciągnął prawicę z chwalebna gotowością, zważywszy rozmiar żądań Cezara. Angażował się tym sposobem w związek, który będzie go kosztować co najmniej dziesięć milionów sestercji.

Gajusz Juliusz Cezar ujął tę dłoń, serdecznie uściskał i roześmiał się.

- Świetnie!

Wrócili do domu i Cezar posłał sennego służącego po stare sagum swego gościa.

- Kiedy będę mógł porozmawiać z Julią? - spytał Mariusz, wynurzając głowę z otworu w środku sagum, które było kręgiem wielkości koła u wozu.

- Jutro po południu.

Cezar sam otworzył gościowi frontowe drzwi.

- Dobranoc, Gajuszu Mariuszu!

- Dobranoc, Gajuszu Juliuszu! - rzekł Mariusz i wyszedł w przesywający chłód podnoszącego się północnego wiatru.

Wracał do domu, nie czując wcale zimna. Było mu ciepło, jak dawno nie bywało. Czy to możliwe, że obce mu uczucie, nieproszony gość, miało prawo zamieszkiwać jego myśli. Zostać konsulem! Stać mocno na uświęconej ziemi rzymskich szlachetnie urodzonych! Gdyby tego dokonał, będzie mu wypadało spłodzić syna, jeszcze jednego Gajusza Mariusza.

Julie spotkały się rano na śniadaniu w ich małym wspólnym saloniku. Julilla była dziwnie niespokojna. Nie mogła usiedzieć na miejscu.

- O co chodzi? - spytała zirytowana siostra.

- Nie wiesz? Na coś się zanosi, a ja umówiłam się z Klodyllą na kwiatowym rynku. Obiecałam, że przyjdę, ale chyba zostaniemy w domu na jeszcze jednej nudnej radzie rodzinnej.

- Naprawdę trudno ci dogodzić! Ile znasz dziewcząt, które mogą się pochwalić, że biorą udział w radach rodzinnych?

- Nonsens! Są nudne. Nigdy nie rozmawiamy o niczym ciekawym, tylko

o służących i o tym, na co sobie nie możemy pozwolić, i o nauczycielach. Nie chcę już chodzić do szkoły! Mam wyżej uszu Homera i tego starego nudziarza Tukidydesa. Jaką korzyść ma z nich dziewczyna?

- Świadcstwo, że jest kulturalna i wykształcona. Nie chcesz mieć dobrego męża?

Julia parsknęła śmiechem.

- Moje wyobrażenie dobrego męża nie obejmuje Homera i Tukidydesa. Ach, chciałabym wyjść dziś z domu!

- Jak cię znam, jeśli chcesz wyjść, to wyjdiesz, a teraz siadaj i jedz.

Jakiś cień przesłonił drzwi. Dziewczęta podniosły wzrok i otworzyły usta. Ojciec? Tutaj?

- Julio, chcę z tobą porozmawiać - powiedział, wchodząc i po raz pierwszy ignorując swoją ulubienicę Julillę.

- Ależ, tato! Nie pocałujesz mnie na dzień dobry? - spytała z nadąsaną miną młodsza siostra.

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem, poklepał po policzku i zdołał zebrać myśli na tyle, by się do niej uśmiechnąć.

- Nie chciałabyś czymś się zająć, motylku?

Radość zabłysła w jej twarzy.

- Dziękuję, tato! Dziękuję! Czy mogę pójść na targ kwiatowy? I do portyku Margaritaria.

- Ile dziś kupisz pereł? - spytał z uśmiechem tato.

- Setki! - krzyknęła, kierując się ku drzwiom.

Gdy go mijiała, wcisnął jej w dłoń srebrnego denara.

- Nie starczy na perłę, ale szal możesz za to kupić.

- Ach, dzięki, tato! - Julilla objęła go za szyję, pocałowała w policzek i już jej nie było.

Cezar spojrzał z czułością na swą starszą córkę.

- Usiądź, Julio.

Usiadła w wyczekującej postawie. Nie powiedział jednak nic więcej, póki nie weszła Marcja i nie usiadła na sofie obok córki.

- O co chodzi, Gajuszu Juliuszu? - spytała z ciekawością i bez niepokoju.

Nie usiadł. Stał, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, a potem zwrócił spojrzenie swych pięknych niebieskich oczu wprost na Julię.

- Czy lubisz Gajusza Mariusza, kochanie?

- O tak, tato, lubię go.

- A dlaczego?

Zastanowiła się nad tym.

- Chyba za prostotę i szczerłość jego mowy i za to, że niczego nie udaje. Jest potwierdzeniem tego, co zawsze przypuszczałam.

- Ach tak?

- Tak. Chodzi o te powtarzane stale plotki, że wcale nie zna greki, że jest prostakiem, że swoją wojskową reputację zdobył kosztem innych i dzięki kaprynowi Scypiona Emilianusa. Zawsze mi się zdawało, że ludzie mówią za wiele - zbyt złośliwie i zbyt uporczywie - żeby to była prawda. Kiedy go już znam, jestem pewna, że miałam rację. Nie zachowuje się jak prostak. Jest bardzo inteligentny i bardzo oczytany. Jego greka nie brzmi najładniej,

ale to tylko sprawa akcentu. Składnię i słownictwo ma znakomite. To samo jest z jego łaciną. Te jego brwi rzucają się mocno w oczy, nie uważacie? Ubiera się też zbyt strojnie, ale to chyba wina jego żony. - Tu Julia urwała i zaczerwieniła się nagle.

- Julio! Ty go naprawdę lubisz. - W głosie Cezara była dziwna nuta lęku.

- Tak, tato. Oczywiście, że go lubię - zgodziła się zdziwiona.

- Rad to słyszę, bo go poślubisz. - Cezara opuściły nagle jego słynny takt i dyplomacja.

Julia zamrugła.

- Poślubię?

- Poślubi go? - poderwała się Marcja.

- Tak - rzekł ojciec i uznał, że musi natychmiast usiąść.

- I kiedyż to podjąłeś tę decyzję? - spytała Marcja z niebezpieczną nutą urazy w głosie. - Kiedyż to prosił on ją o rękę?

Cezar przeszedł do obrony.

- On wcale nie prosił o rękę Julii. To ja zaproponowałem mu Julię albo Julillę. Po to go właśnie zaprosiłem.

Marcja wpatrywała się w męża z wyrazem twarzy, który jasno wyrażał jej opinię o jego zdrowym rozsądku.

- Ty zaproponowałeś człowiekowi nowemu, w wieku bliższym twojego niż wieku naszych córek, którąś z nich jako żonę, i to do wyboru?

- Tak.

- Dlaczego?

- Wiesz przecież, kim on jest.

- Oczywiście, że wiem, kim on jest!

- Musisz więc wiedzieć, że jest jednym z najbogatszych ludzi w Rzymie.

- Wiem!

- Pomyślcie tylko - przemówił Cezar z powagą do żony i córki. - Obie dobrze wiecie, co nas czeka. Czwórka dzieci, a majątku i pieniędzy nie starczy dla żadnego z nich. Dwóch chłopaków, których rozum i pochodzenie uprawnia do wejścia na sam szczyt, i dwie dziewczyny, którym pochodzenie i uroda umożliwia poślubienie każdego. Ale - brak pieniędzy! Brak pieniędzy na *cursus honorum* i brak pieniędzy na posagi.

- To prawda - przyznała Marcja zgaszonym głosem. Jej własny ojciec zmarł, zanim osiągnęła wiek odpowiedni do małżeństwa, a jego dzieci z pierwszej żony porozumiały się z wykonawcami testamentu i dopilnowały, by nie dostało jej się nic wartościowego. Cezar poślubił ją z miłości, a że posag miała skromny, jej rodzina chętnie zgodziła się na ten związek. Tak, pobrali się z miłości i los nagrodził im to szczęściem, spokojem, trójką niezwykle udanych dzieci i tym wspaniałym motylem. Marcja zawsze jednak czuła się upokorzona tym, że małżeństwo z nią nie przyniosło Cezarowi żadnych korzyści finansowych.

- Gajusz Mariusz potrzebuje żony z rodu patrycjuszy o nieskazitelnej prawości i *dignitas*. Powinien być zostać wybrany na konsula przed trzema laty, ale Cecyliusz Metellus dopilnował wtedy, żeby nim nie został. Nie mógł wtedy liczyć na niczyje wsparcie, jako człowiek nowy i żonaty z kimś z prowincji. Nasza Julia zmusi Rzym do potraktowania go poważnie.

Nasza Julia przyda mu dostojęstwa, przysporzy *dignitas* i jego wartość wzrośnie stukrotnie. W zamian za to Gajusz Mariusz podjął się rozwiązania naszych trudności finansowych.

- Ach, Gajuszu! - Marcja miała oczy pełne łez.

- Ach, ojcie! - Spojrzenie Julii złagodniało.

Widząc, że żona przestaje się gniewać, a córce wróciły rumieńce, Cezar poczuł ulgę.

- Spotkałem go przedwczoraj na inauguracji. Dziwne, że nigdy dotąd nie zwróciłem na niego uwagi, nawet wtedy, kiedy był pretorem, ani wtedy, gdy bez powodzenia starał się o konsulat. Powiem bez przesady, że w dniu Nowego Roku łuski spadły mi z oczu. Pojąłem, że to wielki człowiek! Pojąłem, że będzie potrzebny Rzymowi. Nie wiem, jak wpadłem na pomysł, żeby mu pomóc, pomagając zarazem sobie. Kiedy weszliśmy do świątyni i stanęli obok siebie, ta myśl była już ukształtowana. Skorzystałem więc z okazji i zaprosiłem go na wieczerzę.

- I naprawdę ty jemu złożyłeś propozycję, a nie odwrotnie?

- Naprawdę.

- I to koniec naszych kłopotów?

- Tak. Gajusz Mariusz może sobie nie być Rzymianinem z Rzymu, ale jest człowiekiem honoru. Z pewnością wypełni swoją część umowy.

- To znaczy? - spytała praktyczna matka, sięgając w myślach po liczydło.

- Dziś ma mi przekazać cztery miliony sesterceji gotówką na zakup tej ziemi w Bowillach obok naszej. To oznacza, że nasz Gajusz będzie miał majątek, który mu zapewni miejsce w senacie, a dziedzictwo Sekstusa zostanie nienaruszone. Gajusz Mariusz dopilnuje, żeby obaj nasi chłopcy zostali edylami kurulnymi i żeby zrobili wszystko, co trzeba, by zostać konsulami, kiedy nadejdzie ich czas. Wyposaży też godnie Julillę, chociaż nie rozmawialiśmy o szczegółach.

- A co robi dla Julii? - spytała krótko Marcja.

Cezar wyglądał na zaskoczonego.

- Co robi dla Julii? - powtórzył. - Co może zrobić więcej, niż się z nią ożenić? Ona, mimo wszystko, nie ma posagu, a poślubienie jej będzie go kosztowało fortunę.

- Zwykle dziewczyna ma swój posag, który jej zapewnia pewną finansową niezależność, zwłaszcza na wypadek rozwodu. Niektóre są tak naiwne, że oddają posagi mężom, ale większość tego nie robi i po zerwaniu małżeństwa może odzyskać posag, nawet jeśli mąż zrobił z niego użytek. Domagam się, żeby Gajusz Mariusz dał Julii wiano, które zapewni jej utrzymanie w wypadku rozwodu - zakończyła Marcja tonem wykluczającym dyskusję.

- Marcjo, nie mogę żądać niczego więcej!

- Obawiam się, że musisz. Bardzo się dziwię, że sam o tym nie pomyślałeś. - Westchnęła z irytacją. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu świat trwa w przekonaniu, że mężczyźni mają lepsze głowy do interesów niż kobiety. Sam wiesz, że nie mają, a ty, mój drogi mężu, jesteś bardziej miękki w tych sprawach niż większość mężczyzn. To za sprawą Julii

spotyka nas ta odmiana losu, musimy więc zatroszczyć się i o jej los.

- Przyznaję, że masz rację, moja droga - powiedział głuchym głosem Cezar - ale ja naprawdę nie mogę prosić go o nic więcej!

Julia przeniosła wzrok z matki na ojca i z powrotem na matkę. Nie pierwszy raz widziała, że mają różne zdania, zwłaszcza w sprawach pieniędzy, ale po raz pierwszy to ona była przedmiotem sporu. Weszła im w słowo.

- Wszystko jest w porządku, naprawdę! Sama poproszę Gajusza Mariusza o wiano. On to zrozumie.

Marcji dech zaparło.

- Julio! Ty chcesz za niego wyjść!

- Oczywiście, mam. Uważam, że jest cudowny!

- Dziecko, on jest o trzydzieści lat od ciebie starszy. Zanim się obejrzysz, zostaniesz wdową.

- Młodzi są nudni, przypominają mi braci. Wolę kogoś takiego jak Gajusz Mariusz - powiedziała uczona córka. - Będę dla niego dobra, obiecuję. Pokocha mnie i nie pożałuje tego wydatku.

- Kto by to pomyślał? - Tego pytania Cezar nie skierował do nikogo w szczególności.

- Nie dziw się, tato. Niedługo skończę osiemnaście lat. Wiedziałam, że pomyślisz w tym roku o moim małżeństwie, i przyznaję, że się bałam. Nie samego małżeństwa, ale wyboru męża. Kiedy wczoraj wieczorem poznałam Gajusza Mariusza, pomyślałam, że byłoby wspaniale, gdybyś znalazł mi kogoś takiego jak on. - Julia zaczerwieniła się. - On nie jest wcale do ciebie podobny, a jednak jest taki jak ty. Jest szczerzy, jest miły i jest uczciwy.

Cezar spojrział na żonę.

- Przyjemnie jest się przekonać, że się lubi własne dziecko, nie sądzisz? Kochać własne dzieci to rzecz naturalna, ale lubić je? Na to muszą sobie zasłużyć.

Dwa spotkania z kobietami w jednym dniu denerwowały Gajusza Mariusza bardziej niż możliwość walki z wrogą armią dziesięciokrotnie liczniejszą niż jego własna. Jedno z nich było pierwszym spotkaniem z przyszłą żoną, drugie - ostatnim spotkaniem z obecną.

Roztropność i ostrożność nakazywały rozmowę z Julią przed widzeniem się z Granią, by się upewnić, że nie ma jakichś nieprzewidzianych trudności. Tak więc o ósmej godzinie dnia, czyli w samym środku popołudnia, Gajusz Mariusz pojawił się w domu Gajusza Juliusza Cezara w todze obramowanej purpurą, bez eskorty i bez wysiłku przynosząc Cezarowi milion srebrnych denarów, równowartość dziesięciu tysięcy funtów srebra, czyli stu sześćdziesięciu talentów, ładunku dla stu sześćdziesięciu ludzi. Na szczęście „pieniądze” to pojęcie względne. Mariusz przyniósł skrypt bankowy.

W pracowni Cezara przekazał gospodarzowi mały zwitek pergamońskiego pergaminu.

- Załatwiłem wszystko jak można najdyskretniej - powiedział, gdy Cezar

rozwijal pergamin i przebiegal wzrokiem kilka linijek tekstu. - Jak widzisz, zlozyłem dwieście talentów srebra w depozycie u twoich bankierów na twoje nazwisko. Nie sposób powiazac ten depozyt ze mną, chyba ze ktoś zada sobie wiele trudu tylko po to, by zaspokoić ciekawość.

- Wygląda to, jakbym przyjal łapówkę! Gdybym nie był małą płotką, ktoś z mego banku już zawiadomilby miejskiego pretora - powiedzial Cezar, pozwalając pergaminowi zwinac się i odkładając go na bok.

- Tak wielkich łapówek nie dostają nawet bardzo wpływowi konsulowie - uśmiechnął się Mariusz.

Cezar podał mu rękę.

- Nie chodziło mi o te talenty, na bogów, prosiłem cię o ziemię! Czy jesteś pewien, że cię na to stać?

- Całkiem pewien - odparł Mariusz, stwierdzając, że nie może wyrwać palców z konwulsyjnie zaciśniętej dłoni Cezara. - Jeśli cena ziemi, na której ci zależy, nie zmieniła się, dostałeś o czterdzieści talentów więcej. Niech to będzie posag twojej młodszej córki.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Gajuszu Mariuszu. - Cezar puścił w końcu dłoń Mariusza. Minę miał nietęgą. - Wciąż sobie powtarzam, że nie sprzedaję córki, ale w tej chwili podejrzenie mi to wygląda! Nie sprzedałbym córki, mówię szczerze. Wierzę, że czeka ją i wasze dzieci wspaniała przyszłość. Wierzę, że zatroszczysz się o nią, jak należy, i że potrafisz ją docenić.

Mówił nieswoim głosem. Nawet dla jeszcze jednej tak wielkiej sumy nie mógłby spełnić życzenia Marcji i żądać wiana dla Julii. Wstał, nieco drżąc ręką sięgnął po pergamin i wsunął go w fałdy togi pod prawym ramieniem.

- Nie uspokoję się, póki tego nie złożę w banku.

Po chwili zastanowienia dodał jeszcze:

- Julia skończy osiemnaście lat na początku maja, ale nie chcę odkładać waszego małżeństwa do czerwca. Jeśli się zgodzisz, urządzimy wesele w kwietniu.

- To by było mile widziane - rzekł Mariusz.

- A więc postanowione! - Cezar czuł potrzebę mówienia, by zatrzeć wspomnienie niezręcznej przerwy w rozmowie. - Kłopot z tymi majowymi dziewczynami. To jedyna pora roku nieodpowiednia do małżeństwa. „Ślub majowy, grób gotowy”, nie wiem czemu! - Otrząsnął się już ze złego nastroju. - Zaczekaj tu, Gajuszu Mariuszu. Przyślę ci Julię.

Teraz na Mariusza przyszła kolej niespokojnego oczekiwania w tym małym, starannie utrzymanym pokoju. Oby tylko dziewczyna nie była zbyt niechętna! Nic w zachowaniu Cezara na to nie wskazywało, ale Mariusz dobrze wiedział, że o pewnych rzeczach się nie mówi. Bardzo by chciał, żeby Julia mu sprzyjała, a jednak - czy mogła chętnie przyjąć ten związek, tak nie pasujący do jej urodzenia, urody, młodości? Ileż łez musiała wylać, kiedy się o tym dowiedziała! Czy nie wzdychała do jakiegoś przystojnego młodego patrycjusza, przyjmując tę nie do przyjęcia konieczność? Podstarzały italski prostak, który wcale nie zna greki - cóż to za mąż dla Julii!

Drzwi od kolumnady w ogrodzie-perystylu uchylły się i do pracowni

Juliusza Cezara wpadło - niczym tryumfalna fanfara - oślepiające, złociste światło nisko stojącego słońca. Pośrodku tego blasku stała z wyciągniętą ręką uśmiechnięta Julia.

- Witaj, Gajuszu Mariuszu!

Było to powiedziane bez przymusu. Jej oczy najwyraźniej uśmiechały się do niego.

- Julio! - Podszedł, by ją wziąć za rękę, ale trzymał tę rękę, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. Odchrząknął. - Czy ojciec powiedział ci o wszystkim?

- O, tak. - Nie przestała się uśmiechać, a może nawet uśmiechnęła się szerzej. W jej zachowaniu nie było ani śladu niedojrzałości albo dziewczęcej nieśmiałości. Przeciwnie, panowała całkowicie nad sobą i nad sytuacją, pojawiła się w majestatycznej pozie, królewska, a jednocześnie w jakiś sposób uległa.

- Nie masz nic przeciw temu? - spytał wprost.

- Jestem zachwycona - odrzekła. W jej pięknych, szeroko otwartych oczach było ciepło i uśmiech, jakby chciała podtrzymać go na duchu. Uścisnęła lekko jego dłoń. - Gajuszu Mariuszu, czemu masz zmartwioną minę? Naprawdę jestem zachwycona!

Wysunął lewą rękę z fałdów togi i ujął oburącz jej dłoń, wpatrując się w doskonale owale paznokci.

- Jestem starym człowiekiem.

- Chyba zatem lubię starych ludzi, bo ciebie lubię.

- Lubisz mnie?

Zamrugła.

- Ależ tak! Inaczej nie zgodziłabym się na małżeństwo z tobą. Mój ojciec to najlepszy z ludzi, nie żaden tyran. Miał nadzieję, że się zgodzę, ale nigdy by mnie nie zmuszał.

- A czy jesteś pewna, że nie zmuszasz sama siebie?

- Jestem pewna.

- Na pewno jest jakiś młody człowiek, którego bardziej lubisz!

- Nic podobnego! Młodzi ludzie zbyt mi przypominają moich braci.

- Ale... ale... - Szukał gorączkowo jakichś przeszkód i w końcu znalazł. - Moje brwi!

- Myślę, że są milutkie.

Poczuł, że się rumieni i nie może nad tym zapanować, co go wytrąciło jeszcze bardziej z równowagi. Potem zdał sobie sprawę, że mimo panowania nad sobą, nie rozumiała, co on przeszedł.

- Twój ojciec mówi, że możemy się pobrać w kwietniu, przed twoimi urodzinami. Czy to ci odpowiada?

Zmarszczyła brwi.

- Cóż, chyba tak, jeśli on tak mówi. Wolałabym raczej przesunąć to na marzec, jeśli wy obaj się zgadzacie. Chciałabym brać ślub w czasie uroczystości Anny Perenny.

Był to odpowiedni dzień, a jednak nie całkiem szczęśliwy. Święto Anny Perenny obchodzono podczas pierwszej marcowej pełni księżyca. Sam dzień święta był szczęśliwy, ale następnym po nim już nie.

- Nie boisz się zaczynać małżeństwa pod złym znakiem?

- Nie. Ślub z tobą to dobry znak.

Wsunęła lewą dłoń pod jego prawą i spojrzała na niego z powagą.

- Matka nie pozwoli mi być z tobą długo sam na sam, a zanim nadejdzie, musimy coś wyjaśnić. Moje wiano.

Jej uśmiech przygasł, ustępując miejsca powściągliwości.

- Nie przewiduję niezgody między nami, Gajuszu Mariuszu. Nie widzę w tobie niczego, co kazałoby wątpić w twój charakter, a co do mojego, sam się przekonasz. Szanujmy się nawzajem, a będziemy szczęśliwi. Moja matka jest jednak nieustępliwa w sprawie wiana. Mówi, że muszę je mieć na wypadek, gdybyś chciał się kiedyś ze mną rozwieść. Mój ojciec jest już zakłopotany twoją hojnością i nie poprosi cię o nic więcej. Powiedziałam więc, że ja to zrobię, i muszę to zrobić przed przyjściem mamy.

W jej oczach nie było zachłanności, jedynie troska.

- Czy można by odłożyć jakąś sumę, która byłaby tak samo twoja, jak i moja, gdyby nie doszło do rozwodu, a gdybyśmy się rozwiedli, byłaby moja?

Cóż za mała prawniczka! Prawdziwa Rzymianka. I wszystko to ujęte w starannie ułożone zdania, wdzięczne, nieobraźliwe, jasne jak kryształ!

- Myślę, że to możliwe - odrzekł z poważną miną.

- Bądź pewien, że nie wydam tego, póki będę twoją żoną. Przekonasz się, że dotrzymuję umów.

- Będzie, jak sobie zyczysz, ale nie trzeba zamrażać kapitału. Z przyjemnością dam ci teraz jakąś sumę, z którą zrobisz, co ci się spodoba.

Nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Masz szczęście, że wybrałaś mnie, nie Julillę! Nie, dziękuję, Gajuszu Mariuszu, wolę to załatwić uczciwie - powiedziała cicho, podnosząc twarz ku niemu. - A teraz pocałuj mnie, zanim przyjdzie matka.

Prośba o wiano nie zmieszała go ani trochę, ale sprawiło to owo żądanie. Nagle zrozumiał, jak ważne jest, by jej nie rozczarować - albo, co gorsza, nie zniechęcić do siebie. Cóż on jednak wiedział o pocałunkach, o kochaniu się? Jego miłość własna nie wymagała od kochanek zapewnień, że jest w tym dobry. Nigdy właściwie nie miało dla niego znaczenia, co myślały one o jego sztuce kochania albo o pocałunkach. Nie miał też najmniejszego pojęcia, czego oczekują dziewczyny od swoich pierwszych kochanków. Czy mają porwać w ramiona i zacząć namiętnie całować, czy też postarać się, by owo pierwsze zbliżenie było jak najniewinniejsze? Pożądanie czy szacunek, skoro miłość była w najlepszym razie nadzieją na przyszłość? Julia stanowiła wielką niewiadomą. Nie miał żadnych wskazówek, co do jej oczekiwań. Wiedział tylko, że ważne jest, by była zadowolona.

Przystąpił więc do niej, nie puszczając jej dłoni. Nie musiał zbytnio się pochylać, bo była wyjątkowo wysoka. Usta miała zamknięte i chłodne, miękkie i jedwabiste. Instynktownie rozstrzygnął swój dylemat, zamykając oczy i po prostu przyjmując to, co zechciała mu ofiarować. Dla niej było to całkiem nowe doświadczenie, którego pragnęła, nie wiedząc, co jej ono przyniesie. Cezar i Marcja wychowywali swe dziewczęta - jako dobrze

urodzone panny - w nieświadomości tych spraw i nie budząc ich zainteresowania nimi. Ta dziewczyna, ta uczona, nie poszła w ślady młodszej siostry, ale nie była niezdolna do głębokich uczuć. Różnica między Julią a Julillą była tylko jakościowa.

Kiedy więc spróbowała uwolnić dłonie, puścił je od razu i odstąpiłby od niej, gdyby natychmiast nie zarzuciła mu rąk na szyję. Pocałunek stał się gorętszy. Julia rozchyliła usta, a Mariusz znalazł sobie zajęcie dla rąk, obejmując ją. Szeroka fałdzista toga nie pozwalała na większe zbliżenie, które odpowiadałoby obojgu. Następna chwila w naturalny sposób położyła kres tej miłej formie poznawania się.

Marcja, która weszła bez hałasu, nie mogła im niczego zarzucić, bo choć się obejmowali, on dotykał ustami jej policzka, ona zaś wyglądała z opuszczonymi powiekami na równie zadowoloną i niedotykalną jak kot głaskany w odpowiednim kierunku.

Rozłączyli się, bynajmniej nie zmieszani, i zwrócili ku matce - która wyglądała, zdaniem Mariusza, wyraźnie ponuro. Choć jej ród nie był tak starożytny jak ród Juliuszów, Mariusz wyczuwał, że wolałaby wydać Julię za kogoś z jej własnej klasy, choćby to nie przyniosło rodzinie pieniędzy. Że jednak jego szczęście było w tej chwili całkowite, nie zwrócił uwagi na ten cień urazy w twarzy przyszłej teściowej, o jakieś dwa lata młodszej od niego samego. Właściwie przyznawał jej rację; Julii należał się ktoś młodszy i lepszy niż podstarzały italski prostak, który wcale nie zna greki. To nie oznaczało, że choć na chwilę odstąpił od zamiaru poślubienia dziewczyny. Należało raczej pokazać Marcji, że Julia wychodzi za najlepszego.

- Prosiłam go o wiano, mamó - powiedziała z miejsca Julia - i wszystko już jest umówione.

Przyzwoitość kazała Marcji okazać skrępowanie.

- To ja przy tym obstawałam - powiedziała - a nie moja córka czy mój mąż.

- Rozumiem to doskonale - odpowiedział uprzejmie.

- Jesteś niezmiernie wspaniałomyślny. Dziękujemy ci, Gajuszu Mariuszu.

- Mam odmienne zdanie, Marcjo. To ty jesteś niezmiernie wspaniałomyślna. Julia to perła, na którą nie ma ceny.

To oświadczenie zapadło mu w pamięć, kiedy więc wkrótce wyszedł z tego domu i stwierdził, że do dziesiątej godziny dnia jeszcze daleko, skręcił u stóp Schodów Westalek w prawo zamiast w lewo. Mijając piękną okrągłą świątynkę Westy, przeszedł wąskim przesmykiem między Regią a Domus Publicus i wyszedł na Via Sacra u podnóża łagodnej pochyłości Clivus Sacer.

Szedł zwawo w górę Clivus Sacer, by zdążyć dojść do portyku Margaritaria przed rozejściem się handlarzy do domów. W tych wielkich handlowych podcieniach, zbudowanych wokół czworokątnego dziedzińca, mieli siedzibę najlepsi jubilerzy Rzymu. Nazwę swą wziął ten portyk od sprzedawców pereł, którzy zainstalowali się tam tuż po jego wzniesieniu.

W owym czasie, po klęsce Hannibala, zniesione zostały wszystkie surowe prawa przeciw zbytkom, zabraniające kobietom noszenia biżuterii, w następstwie czego Rzymianki zaczęły namiętnie kupować wszelkiego rodzaju błyskotki.

Mariusz chciał kupić Julii jakąś perłę i, jak wszyscy w Rzymie, wiedział, dokąd pójść: do Fabrycjusza Margarity. Pierwszy Marek Fabrycjusz Margarita był pierwszym handlarzem pereł, a kiedy otwierał swój sklep, dostępne były tylko małe i ciemne perły ze słodkowodnych mięczaków i ostryg z połowów i morskich hodowli. Marek Fabrycjusz tropił jednak perły niczym pies myśliwski. Podążał szlakami legend, podróżował do Egiptu i Arabii Nabatejskiej w poszukiwaniu pereł z oceanu - i znalazł je. Z początku rozczarowały go, bo były małe i nieregularne, ale miały kremowy kolor prawdziwych pereł i pochodziły z wód Zatoki Arabskiej, aż z pobliza Etiopii. Potem, kiedy już zdobył sobie imię, odkrył rodzinne morza perłopławów wokół Indii i wyspy Taprobane, która sama miała kształt perły. Wtedy to przybrał przydomek Margarita i ustanowił monopol handlu perlami z oceanu. Obecnie, za konsulatu Marka Minucjusza Rufusa i Spuriusza Postumiusza Albina, jego wnuk, kolejny Marek Fabrycjusz Margarita, miał na składzie towar najwyższej jakości i każdy bogacz mógł mieć pewność, że z miejsca znajdzie tam coś odpowiedniego.

Fabrycjusz Margarita rzeczywiście miał odpowiednią perłę, ale Mariusz wrócił do domu bez niej, zlecił bowiem osadzenie tej doskonałej okrągłości wielkości kulki do gry i barwy księżycowego światła w złotym naszyjniku w otoczeniu mniejszych pereł, co mogło zająć parę dni. Nowe dla niego pragnienie obdarowywania kobiety klejnotami zwróciło jego myśli ku wspomnieniom jej pocałunku i jej gotowości zostania jego żoną. Nie był kobieciarzem, ale wiedział dość o kobietach, by rozumieć, że Julia nie jest dziewczyną, która zmuszałaby się do tego wbrew sercu. Myśl o zdobyciu jej serca, tak młodego, czystego i błękitnokrwistego, napełniła go wdzięcznością i chęcią obsypania jej klejnotami. Jej przychylność przyjmował za dobry znak na przyszłość, była jego perlą, na którą nie ma ceny, a więc należą się jej perły, lży dalekiego tropikalnego księżyca, które padają w głębie oceanu i zamarzają na jego dnie. Znajdzie dla niej indyjski kamień *adamas*, twardszy niż wszystko inne, i cudowny zielony *smaragdus* aż skądś z północnej Scytii, połyskujący w środku błękitem i wielki jak orzech laskowy... i *carbunculus*, jasny i lśniący jak pęcherzyk pełen świeżej krwi...

Grania była, oczywiście, w domu. Kiedyż to nie było jej w domu? Co dzień od dziewiątej oczekiwała, że mąż przyjdzie na obiad. Zwlekała z jego podaniem, przyprawiając o rozstrój nerwowy swego przeraźliwie kosztownego kucharza, i zbyt często jadła samotnie, pociągając nosem, posiłek mogący przywrócić apetyt żarłokowi, który przeszedł kurację głodową.

Kulinarne arcydzieła stworzone przez tego mistrza kuchni zawsze się, niestety, marnowały. Grania wydała fortunę na kucharza, który mógł wprawic w ekstazę Epikura. Gdy Mariusz jadł obiad w domu, stawiano przed nim koszatki faszerowane gęsiami wątróbkami, niewyobrażalnie wprost

delikatne maleńkie dziecięcy z rusztu, zamorskie jarzyny i zestawy ostrych sosów zbyt obciążających jego podniebienie i żołądek, chociaż nie jego sakiewkę. Jak większość wojskowych był jednak najszczęśliwszy przy misce grochówki na wędzonce i z kawałem chleba w garści i nie przejmował się, jeśli opuścił jeden czy dwa posiłki. Jedzenie nie miało dostarczać mu przyjemności, tylko paliwa dla ciała. To, że Grania nie zauważyła tego po tylu latach małżeństwa, świadczyło o dzielącej ich przepaści.

Choć niewiele żywił dla niej ciepłych uczuć, nie było mu po myśli to, co musiał zrobić. Na ich stosunki zawsze kładł się z jego strony cień winy. Dobrze wiedział, że spodziewała się po tym związku małżeńskiego szczęścia, dzieci i wspólnych posiłków, życia w Arpinum, ale i mnóstwa wizyt w Puteoli, i dwutygodniowych pobytów w Rzymie podczas wrześniowych *ludi Romani*.

Od pierwszego jednak spotkania i pierwszej wspólnej nocy była mu tak zupełnie obojętna, że nawet nie próbował udawać czułości i pożądania. Nie dlatego, że była brzydka, bo nie była; jej okrągła twarz była miła, a mówiono nawet, że piękna, z otwartymi szeroko wielkimi oczami i małymi pełnymi ustami. Nie dlatego, że była jędzą, bo nie była; starała się dogodzić mu, jak umiała. Kłopot w tym, że nie umiała mu dogodzić, nawet gdyby dodawała mu hiszpańskich much do wina i chodziła na któryś z modnych kursów tańców erotycznych. Większa część jego poczucia winy brała się ze świadomości, że ona nie ma nawet pojęcia, czemu nie umie mu dogodzić. Nawet po wielu pełnych bólu pytaniach nie umiał dać jej zadowolającej odpowiedzi. Sam tego nie wiedział i to był prawdziwy problem.

Przez pierwsze piętnaście lat bardzo się starała o zachowanie figury, która wcale nie była zła. Miała pełne piersi, szerokie biodra i była wąska w stanie. Szczotkowała ciemne włosy, susząc je po umyciu na słońcu, by nadać im rdzawy połysk, i obrysowywała swe ciepłe piwne oczy czarną kreską *stibium*, zawsze też bardzo dbała o higienę.

Jeśli tego styczniowego wieczoru zaszła w nim jakaś zmiana, to chyba ta, że w końcu znalazł kobietę, z którą chciał dzielić życie. Porównując ze sobą Granię i Julię, znalazł wyjaśnienie. Grania była prozaiczną, zdrową i prostą domatorką, idealną żoną dla jakiegoś latyńskiego dziedzica. Julia była pełną godności, uczoną i znającą się na polityce arystokratką, idealną żoną dla rzymskiego konsula.

Zareczając go z Granią, jego rodzina zakładała naturalnie, że będzie prowadził przeznaczone mu z urodzenia życie latyńskiego dziedzica, i stosownie do tego wybrała mu żonę. Mariusz okazał się jednak orłem, który wyfrunął z arpińskiej klatki. Śmiały i ambitny, inteligentny, trzeźwo myślący, a przy tym obdarzony wyobraźnią, zaszedł daleko, a zamierzał zająć jeszcze dalej, zwłaszcza teraz, gdy obiecano mu Julię z Juliuszów Cezarów. Ona była taką żoną, jaką chciał mieć, taką żoną, jakiej mu było trzeba.

- Granio! - zawołał, upuszczając wielki zwój swej togi na wspaniałą mozaikową posadzkę atrium i występując z jej fałd, zanim nadbiegający sługa zdołał uratować jej biel przed zetknięciem z obcasami ubłoconych

butów.

- Tak, mój drogi? - biegła ze swego saloniku, gubiąc jakieś szpilki, brosze i okruchy. Była już teraz otyła, bo od dawna szukała pociechy w słodyczach.

- Proszę do tablinum - rzucił przez ramię, już się tam kierując. Stawiając szybko drobne kroki, weszła tuż za nim.

- Zamknij drzwi - powiedział, kierując się do swego ulubionego krzesła za wielkim stołem i zmuszając ją w ten sposób do zajęcia miejsca dla klientów po przeciwnej stronie szerokiej tafli polerowanego malachitu okutej złotem.

- O co chodzi, mój drogi?

Pytała bez lęku, bo nigdy nie był wobec niej rozmyślnie niegrzeczny ani nie traktował jej źle, jeśli nie liczyć tego, że ją zaniedbywał.

Zmarszczył brwi, obracając w dłoniach liczydła z kości słoniowej. Uwielbiała te jego dłonie, zgrabne i silne, kanciaste, ale z długimi palcami. Lubiała zręczność i pewność, z jaką się nimi posługiwał. Wpatrywała się w tego obcego, z którym była od dwudziestu pięciu lat zameżna, i po raz tysięczny uznała, że świetnie wygląda. Czy go jeszcze kochała? Skąd miała wiedzieć? Po dwudziestu pięciu latach jej uczucia były jak jakaś tkanina o zawiłym splocie, ale bez żadnego wyraźnego wzoru, tak wytarta miejscami, że przeświecało przez nią światło rozumu, gdzie indziej zaś tak gęsta, że stanowiła zasłonę między jej myślami a mglistym pojęciem o sobie samej. Wściekłość, ból, żal, litość na samą sobą - ileż tam było uczuć! Niektóre znała od tak dawna, że już o nich nie pamiętała, inne były nowe i świeże. Miała już czterdzieści pięć lat, miesiączki zaczynały zanikać, bezpłodne dotąd łono usychało. Jeśli jakieś uczucie brało górę, to było to zwykłe, banalne, przygnębiające rozczarowanie. Złożyła nawet ostatnio ofiarę Veiovisowi, bogu rozczarowań.

Mariusz otworzył usta. Z natury były pełne i zmysłowe, zdążył jednak nadać im wyraz siły, zanim go jeszcze poznała. Pochyliła się nieco, by lepiej słyszeć. Była skupiona i spięta aż do bólu.

- Rozwodzę się z tobą - powiedział i wręczył jej kawałek pergaminu, na którym wypisał rano list rozwodowy.

Jego słowa ledwie do niej docierały. Rozpostarła gruby prostokąt giętkiej skóry na powierzchni stołu i wpatrywała się weń jak dalekowidz, dopóki wypisane na nim słowa nie wywołały w niej oddźwięku. Spojrzała znad pergaminu na męża.

- Nie zasłużyłam na to - powiedziała stłumionym głosem.

- Nie jestem tego zdania.

- Jak to? Co takiego zrobiłam?

- Nie byłaś odpowiednią dla mnie żoną.

- I trzeba ci było dwudziestu pięciu lat, żeby dojść do tego wniosku?

- Nie. Wiedziałem to od początku.

- Więc czemu wtedy się nie rozwiodłeś?

- Nie wydawało się to ważne.

Ach, jeden bolesny cios po drugim, jedna obraza za drugą! Pergamin drżał w jej dłoni. Odrzuciła go i zacisnęła pięści.

- Tak, o to właśnie chodzi! - powiedziała, zdobywając się w końcu na gniew. - Nigdy nie byłam dla ciebie ważna. Nigdy nie byłam dość ważna, żeby się ze mną rozwieść, czemu więc teraz to robisz?

- Chcę się jeszcze raz ożenić.

Gniew ustąpił miejsca niedowierzaniu. Otworzyła szeroko oczy.

- Ty?!

- Tak. Zaproponowano mi związek małżeński z dziewczyną ze starego rodu patrycjuszy.

- Dajże spokój, Mariuszu! Miałeś ich zawsze w pogardzie, a teraz chcesz udawać patrycjusza?

- Nie, nie sędzę - odpowiedział beznamiętnym tonem. Ukrywał zażenowanie z równym powodzeniem jak poczucie winy. - Po prostu, to małżeństwo oznacza, że mimo wszystko zostanę w końcu konsulem.

Płomień oburzenia zgasł zdmuchnięty przez zimny wiatr logiki. Czy można z tym dyskutować? Czy można kogoś za to winić? Choć nigdy nie uskarżał się przed nią na odsuwanie go od polityki ani na to, że go lekceważą, ona wiedziała. Opłakiwała to, chciała, żeby mu się powiodło, żeby znalazł się sposób naprawienia błędu tych szlachetnie urodzonych, którzy kontrolowali rzymską politykę. Cóż jednak mogła zdziałać jakaś Grania z Puteoli? Była bogata, szanowana, nieskazitelna niczym jakaś wdowa, zupełnie jednak pozbawiona wpływów i nie mająca krewnych zdolnych naprawić wyrządzoną mu niesprawiedliwość. Jeśli on był latyńskim ziemianinem, ona była córką kampańskiego kupca. W oczach jakiegoś rzymskiego szlachetnie urodzonego gorzej być nie mogło. Jej ród do niedawna nie miał nawet obywatelstwa.

- Rozumiem - rzekła bezbarwnym głosem.

Był dość taktowny, by na tym poprzestać. Nie wspomniał o swym podnieceniu, o pałającym ziarenku miłości, które zakiełkowało w jego uśpionym sercu. Lepiej, żeby uważała to za sprawę wyłącznie polityczną.

- Naprawdę żałuję, Granio - powiedział łagodnie.

- I ja także. - Znów zadrżała, ale tym razem na myśl o perspektywie niby wdowieństwa i samotności jeszcze większej i bardziej nieznośnej niż ta, do której przywykła. Życie bez Gajusza Mariusza? To nie do pomyślenia.

- Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, wiedz, że zaproponowano mi ten związek. Wcale go nie szukałem.

- Kim ona jest?

- To starsza córka Juliusza Cezara.

- Julia z Juliuszów! To się nazywa wysoko mierzyć! To pewne, że zostaniesz konsulem.

- I ja tak myślę. - Bawił się bezmyślnie swoim ulubionym trzciniowym piórem, pełną piasku porfirową buteleczką ze złotym perforowanym wieczkiem, kałamarzem z bryłki oszlifowanego ametystu. - Twój posąg należy, oczywiście, do ciebie, a jest tego znacznie więcej, niż będziesz potrzebować na życie. Ulokowałem go korzystniej niż kiedyś twój ojciec i jest to naprawdę wielka suma. - Odchrząknął. - Myślę, że chciałabyś mieszkać bliżej rodziny, i zastanawiam się, czy nie byłoby wskazane, żebyś miała własny dom, skoro twój ojciec nie żyje, a twój brat jest *pater*

familias.

- Nie sypiałeś ze mną dość często, by mi dać dziecko - powiedziała. Myśl o samotności przeszywała ją dojmującym bólem. - Ach, jakbym chciała je mieć!

- Cóż, ja jestem rad, że go nie masz. Nasz syn byłby moim dziedzicem i małżeństwo z Julią nie miałyby takiego znaczenia. - Uświadomił sobie, że to nie brzmi dobrze i dodał: - Bądź rozsądna, Granio! Nasze dzieci byłyby już dorosłe i żyłyby własnym życiem. Nie miałybyś z nich pociechy.

- Byłyby przynajmniej wnuki. - Czuła, że zbiera się jej na płacz. - Nie byłabym tak strasznie sama!

- Tyle lat ci mówiłem, żebyś wzięła sobie jakiegoś pieska. - Nie było to powiedziane niegrzecznie, była to po prostu rada. Przyszła mu na myśl jeszcze lepsza. - Teraz jednak powinnaś wyjść znowu za męża.

- Nigdy!

Wzruszył ramionami.

- Będzie, jak zechcesz. Wracając do twego miejsca zamieszkania, chcę ci kupić willę nad morzem, pod Kyme. Z Kyme można dostać się lektyką do Puteoli - to dość blisko, żebyś mogła wpadać na dzień czy dwa do rodziny, i dość daleko, żebyś miała spokój.

Nadzieja znikła.

- Dziękuję ci, Gajuszu Mariuszu.

- Ach, nie dziękuj! - Obszedł stół, żeby pomóc jej wstać, ujmując ją pod łokieć obojętną dłonią. - Powiedz lepiej o wszystkim mojemu rządcy i zastanów się, których niewolników chcesz zabrać ze sobą. Każę mojemu agentowi wyszukać jutro w Kyme odpowiednią willę. Nominalnie będzie moja, ale będziesz ją dzierżawić dożywotnio albo do zamążpójścia. Zgoda, zgoda! Pamiętam, co mówiłaś, ale zobaczysz, że zalotnicy będą ciągnąć jak muchy do miodu. Jesteś bogata.

Doszli do drzwi jej saloniku i tu przystanął, cofając dłoń.

- Byłoby mi na rękę, gdybyś przeprowadziła się pojutrze rano. Julia zechce chyba coś tu zmieniać, zanim się wprowadzi, a mamy pobrać się za osiem tygodni, więc nie mam wiele czasu. Zatem - pojutrze rano. Nie przyprowadzę jej tu, dopóki nie wyjedziesz.

Chciała go spytać o coś - o cokolwiek - ale już odchodził.

- Nie czekaj na mnie z wieczera! - zawołał z drugiej strony atrium. - Mam się widzieć z Publiuszem Rutyliuszem i chyba nie wrócę przed nocą.

I to było wszystko. Cóż, serce jej nie pęknie, kiedy wyprowadzi się z tego domu wielkiego jak stodoła. Nie cierpiała go tak samo, jak nie cierpiała miejskiego chaosu Rzymu. Wciąż na nowo zastanawiała się, czemu Mariusz zdecydował się zamieszkać na tym wilgotnym i ponurym północnym stoku Zamkowej Góry Kapitolu, chociaż wiedziała, że ciągała go niedostępność tego miejsca dla zwykłych śmiertelników. W sąsiedztwie było niewiele domów, więc odwiedzanie przyjaciół oznaczało długą wspinaczkę po wielu stopniach schodów. Wszyscy sąsiedzi byli jakimś okropnymi bogatymi kupcami, którzy wcale nie interesowali się polityką.

Skinęła na służącego stojącego pod ścianą przed salonikiem.

- Sprowadź mi tu zaraz rządcę.

Nadszedł rządcą, majestatyczny Grek z Koryntu, który zdołał kiedyś zapewnić sobie wykształcenie, a potem zaprzedał się w niewolę, zamierzając zdobyć fortunę i obywatelstwo rzymskie.

- Strofantesie, pan rozwodzi się ze mną - powiedziała. Nie czuła wstydu, bo też nie był to żaden wstyd. - Mam stąd odejść pojutrze rano. Dopilnuj, proszę, pakowania moich rzeczy.

Skłonił się, skrywając zdziwienie. Zawsze uważał to trwające w odrętwieniu małżeństwo za jedno z tych, które rozłączyć może tylko śmierć. Nie było w nim goryczy i walki prowadzącej zwykle do rozwodu.

- Czy *domina* zabiera kogoś z domowników? - Był pewien, że on sam zostanie, należał bowiem do Mariusza, nie do Granii.

- Naturalnie, kucharza i wszystkich kuchcików, bez których będzie przecież nieszczęśliwy, a także moje służące, szwaczkę, moje łazienne, fryzjera i obu paziów. - Nikt więcej nie przychodził jej na myśl.

- Oczywiście, *domina*. - Odszedł, nie mogąc się już doczekać chwili, gdy podzieli się z domownikami tą niebywałą nowiną, a zwłaszcza chwili, gdy przekaze kucharzowi wiadomość o jego przeniesieniu. Ten zarozumiały mistrz patelni nie ucieszy się z zamiany Rzymu na Puteolę!

Grania ruszyła na obchód swego przestronnego salonu. Obejrzała malowidła i pudło z robótkami ręcznymi, i nabijany gwoździami kuferek z wyprawką dziecięcą przygotowywaną kiedyś z nadzieją w sercu i z bólem serca porzuconą i nie wykorzystaną.

Zona Rzymianina nie wybierała i nie kupowała mebli, więc Mariusz nie przekazywał ich Granii. Oczy jej zajaśniały, a łzy rozpląły się i nie wróciły. Miała tylko jeden dzień przed opuszczeniem Rzymu, a Kyme nie należało do handlowych centrów świata. Jutro będzie kupować meble do swojej nowej willi! Jak przyjemnie będzie wybierać, co jej się podoba! Będzie więc, mimo wszystko, miała zajęcie, nie będzie czasu na zastanawianie się i na żale. Ból i wstrząs zaczynał ustępować. Jakoś przetrwa tę noc, mając w perspektywie wyprawę na zakupy.

- Berenice! - zawołała, a gdy dziewczyna nadeszła, rzekła: - Powiedz w kuchni, że teraz coś zjem.

Wyszukała kawałek papieru na listę zakupów i zostawiła go na stole. Weźmie się do tego po wieczery. Przypomniała sobie, co Mariusz mówił o pieśku. Jutro kupi sobie pieśka, to będzie pierwsza pozycja na liście.

Nastrój euforii przetrwał prawie do końca samotnej wieczery. Kiedy już Grania ochłoneła z szoku, pogrążyła się w smutku. Sięgnęła do włosów, szarpiąc je gorączkowo, z ust wydobył się jęk, łzy pociekły strumieniem.

Wystraszeni służący zostawili ją samą w jadalni, zawodzącą na purpurowo-złotej tkaninie pokrywającej sofę.

- Słuchajcie tylko! - powiedział z goryczą kucharz, przerywając na chwilę pakowanie rondli, garnków i sztućców. Odgłosy trapiącej jego panią udreki dobiegały wyraźnie do jego królestwa w drugim końcu ogrodu-perystylu. - Nad czym ona płacze? To ja tu idę na wygnanie - ona przebywała już na nim od lat, głupia tłusta stara gęś!



Los, który oddawał prowincję rzymskiej Afryki Spuriuszowi Postumiuszowi Albinowi, wyciągnięto w dzień Nowego Roku, a już po niecałych dwudziestu czterech godzinach przybił on swój proporzec do masztu. Były to barwy księcia Numidii Massywy.

Spuriusz Albinus miał młodszego o dziesięć lat brata, Aulusa, który niedawno wszedł do senatu i któremu spieszo było zdobyć rozgłos. Kiedy Spuriusz Albinus przekonywał mozolnie i dyskretnie senatorów do swego nowego klienta, Aulusowi Albinowi wypadło towarzyszyć księciu Massywie we wszystkich ważniejszych miejscach w mieście, przedstawiając go każdemu napotkanemu znakomitemu Rzymianinowi i podpowiadając księciu, jaki upominek byłby odpowiedni. Jak większość członków królewskiego rodu Numidii, Massywa był postawnym i dobrze się prezentującym Semitą. Miał głowę na karku i potrafił roztaczać czar i wrażenie wielkości. Jego zaletą w oczach Rzymian nie była bynajmniej słuszność jego sprawy. Cenili sobie raczej szansę podziałów na obozy, jaką im stworzył. Jednomyslność i zgoda nie wywołała przecież w senacie dreszczyku emocji, nie usłyszy się interesująco skłóconych głosów, a w przyjaznej współpracy trudno zdobyć sobie reputację.

Pod koniec pierwszego tygodnia nowego roku Aulus Albinus przedstawił formalnie sprawę księcia Massywy w kurii i zażądał w jego imieniu oddania tronu Numidii prawowitemu dziedzicowi. Było to debiutanckie przemówienie Aulusa Albina - i bardzo dobre przemówienie. Przysłuchiwali mu się wszyscy Cecyliuszowie Metellowie. Pod koniec podnieśli owację, a Marek Emiliusz Skaurus chętnie poparł prośbę Massywy. Oświadczył, że jest to odpowiedź na niepokojące pytanie, co zrobić z Numidią. Należy zawrócić ją na właściwą drogę z prawowitym królem przy lejcach, nie zaś zdesperowanym uzurpatorem, nie urodzonym wystarczająco dobrze, by zjednoczyć wokół siebie kraj, i opierającym swe prawa do tronu na morderstwach i przekupstwie. Zanim Spuriusz Albinus rozwiązał obrady, można było wyczuć z nastrojów senatorów, że skłaniają się do głosowania za usunięciem obecnego króla i zastąpieniem go Massywą.

- Siedzimy tu jak na rozżarzonych węglach - mówił Bomilkar do Jugurty. - Nagle wszyscy przestali mnie zapraszać i nikt nie daje posłuchu naszym agentom.

- Kiedy senat ma głosować? - spytał ze spokojem Jugurta.

- Wyznaczono obrady na czternasty dzień przed kalendami lutego, czyli za siedem dni, panie.

Król wyprostował ramiona.

- Będą głosować przeciw mnie, nieprawdaż?

- Tak, panie.

- W takim razie dalsze działanie na sposób Rzymian nie ma sensu. - Jugurta urósł w oczach, wypełniał go jakiś straszliwy majestat, skrywany, odkąd przybył z Lucjuszem Kasjuszem do Italii. - Od tej chwili będę załatwiał sprawy na nasz sposób, po numidyjsku.

Deszcz ustał i wyrzało chłodne słońce. Kości Jugurty tęskniły za gorącym wiatrem Numidii, ciało tęskniło za uciechami haremu, umysł tęsknił za bezlitosną logiką i prostotą numidyjskich metod załatwiania spraw. Czas wracać do domu! Czas zacząć zbierać i szkolić armię.

Przeszedł się tam i z powrotem po kolumnowym portyku otaczającym olbrzymi ogród-perystyl, a potem skinął na Bomilkara i poszedł z nim na środek otwartej przestrzeni, gdzie głośno pluskała fontanna.

- Tu nawet ptak nas nie usłyszy.

Bomilkar sprężył się w napiętym oczekiwaniu.

- Trzeba się pozbyć Massywy.

- Tutaj? W Rzymie?

- Tak, i to w ciągu siedmiu dni. Jeśli nie będzie martwy przed głosowaniem w senacie, będziemy mieli o wiele trudniejsze zadanie. Jeśli będzie martwy, nie będzie głosowania. Zyskamy na czasie.

- Zabiję go własną ręką - rzekł Bomilkar.

- Nie! - Jugurta pokręcił gwałtownie głową. - Nie! Zabójcą musi być Rzymianin. Twoim zadaniem będzie znalezienie rzymskiego zabójcy, który zabije dla nas Massywę.

Bomilkar wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Panie mój, królu, jesteśmy w obcym kraju! Nie wiemy, co i jak, nie wiemy, kto.

- Spytaj jakiegoś naszego agenta. Na pewno komuś z nich można zaufać.

To już było bardziej realne. Bomilkar zastanawiał się parę chwil, kąsając mocnymi zębami krótkie włosy pod dolną wargą.

- Agelastus - powiedział w końcu. - Marek Serwiliusz Agelastus, człowiek, który nigdy się nie uśmiecha. Jest synem Rzymianina, wyrósł i wychował się tutaj, ale jego serce należy do numidyjskiej matki, jestem tego pewny.

- Masz wolną rękę. Załatw to - rzekł król i ruszył dalej ścieżką.

Agelastus wyglądał na oszołomionego.

- Tutaj? W Rzymie? - spytał.

- Nie tylko tutaj, ale w ciągu siedmiu dni - rzekł Bomilkar. - Gdyby senat głosował za Massywą, a tak będzie, będziemy mieli w Numidii wojnę domową. Wiesz, że Jugurta nie ustąpi. Nawet gdyby chciał, Getulowie mu nie pozwolą.

- Nie mam pojęcia, jak znaleźć zabójcę!

- Zrób to sam.

- Nie mogę - jęknął Agelastus.

- To musi być zrobione. W tak wielkim mieście z pewnością jest mnóstwo ludzi, którzy chętnie zabiją kogoś za dobrą opłatą.

- Pewnie, że są. Połowa *proletarii*, jeśli wierzyć słuchom. Ja jednak nie znam żadnych *proletarii*. Nie mogę przecież podejść do pierwszego lepszego nędzarza, zadzwonić workiem złota i poprosić, żeby zabił numidyjskiego królewicza.

- Dlaczego nie? - spytał Bomilkar.

- Bo może zawiadomić miejskiego pretora, oto dlaczego!

- Pokaż mu najpierw złoto, a ręczę, że nie zawiadomi. W tym mieście każdy ma swoją cenę.

- Może i tak jest, komesie - powiedział Agelastus - ale ja nie zamierzam sprawdzać prawdziwości tej teorii.

I od tego nie dał się odwieść.

Wszyscy nazywają Suburę rynsztokiem Rzymu, Bomilkar wybrał się więc do Subury w nie budzącym podejrzeń przebraniu i bez jednego nawet niewolnika eskorty. Ostrzegano go dawniej, jak każdego znakomitego gościa odwiedzającego Rzym, żeby nie zapuszczał się w tę dolinę, leżącą na północny wschód od Forum Romanum. Teraz zrozumiał, dlaczego. Nie chodziło bynajmniej o to, że uliczki Subury były węższe niż na Palatynie, bo nie były, ani też budynki nie były tak przytłaczająco wysokie jak na Wiminalu albo górnym Eskwilinie.

Tym, co wyróżniało Suburę na pierwszy rzut oka, byli ludzie. Było tu więcej ludzi, niż ich Bomilkar widział dotąd w życiu. Wychylali się z tysiący i tysiący okien, wrzeszcząc coś do siebie. Rozpychali się łokciami w ścisku tak wielkim, że wszelki ruch mógł się odbywać jedynie w ślimaczym tempie. Demonstrowali wszystkie grubiańskie i agresywne zachowania znane rasie ludzkiej. Pluli, sikali i wylewali pomyje, gdzie tylko znaleźli wolne miejsce. Byli też gotowi walczyć z każdym, kto choćby tylko na nich spojrzał.

Drugim wyróżnikiem był wszechogarniający przeraźliwy fetor. Gdy tylko Bomilkar wszedł z cywilizowanego Argiletum w Fauces Suburae, jak nazywano wejście na główną ulicę dzielnicy, nie był w stanie myśleć o niczym innym. Nawet z odrapanych, rozsypujących się murów domów zdawały się wyciekać nieczystości, jakby cegły były nimi spojone. Zastanawiał się, dlaczego Rzymianie nie pozwolili w zeszłym roku całej tej dzielnicy spłonąć, zamiast walczyć o jej uratowanie. Nikt i nic w Suburze nie było warte ratowania! Potem, gdy wszedł głębiej, zważając, by nie skrócić z Subura Major, jak teraz nazywano główną ulicę, w jedną z przerw między domami (wiedział, że mógłby nie odnaleźć potem drogi powrotnej), obrzydzenie ustąpiło miejsca zdumieniu. Zaczął dostrzegać żywotność i odporność mieszkańców, i ich niepojętą pogodę ducha.

Mowa, którą słyszał wkoło, stanowiła dziwaczną mieszaninę łaciny i greki z przymieszką aramejskiego, żargon niezrozumiały dla ludzi spoza Subury. Bomilkar był zupełnie pewien, że podczas swych długich wędrówek po Rzymie nie słyszał niczego podobnego.

Wszędzie było pełno sklepów, małych cuchnących jadłodajni, które wyraźnie miały powodzenie - najwidoczniej nie brakowało tu pieniędzy - a także piekarni, winiarni, wędliniarni i osobliwych sklepików z różnymi różnościami, od kawałków sznurka do garnków, lamp i świec. Oczywiście, najlepsze interesy robiło się na artykułach spożywczych; co najmniej dwie trzecie sklepów handlowały jakimiś rodzajami żywności. Były też zakłady produkcyjne. Słychać było uderzenia pras, turkot młynów i klekotanie krosien, a wszystkie te hałasy dobiegały z wąskich wejść albo z bocznych uliczek i stapały się z dobiegającymi z mieszkań w wielopiętrowych

kamienicach. Jak można tu było żyć?

Nawet małe placyki przy głównych skrzyżowaniach ulic były pełne ludzi. Zastanawiał się, jak im się udawało wyprać cokolwiek w basenach przy fontannach albo donieść dzbany z wodą do domu. Musiał w końcu przyznać, że Cyrta - z której Numidyjczycy byli niezmiernie dumni - w porównaniu z Rzymem była tylko dużą wsią. Podejrzywał, że nawet Aleksandria nie byłaby już zdolna do tworzenia ludzkich mrowisk w rodzaju Subury.

Były chyba jednak miejsca, w których ludzie zbierali się, by usiąść, wypić coś i spędzić czas z innymi. Leżały one zapewne przy głównych skrzyżowaniach, ale nawet tego nie był pewny, starając się nie opuszczać głównej ulicy. Wszystko wydarzało się tu nagle. Poszczególne sceny jawiły się przed nim zniemacka i znikwały, zasłonięte przez jakiś nowy tłum, od człowieka bijącego obładowanego osła do kobiety bijącej dziecko. Mroczne wnętrza gospód przy rozstajach były jednak oazami względnego spokoju. Będąc wielkim chłopem tryskającym zdrowiem, Bomilkar uznał, że najwięcej się dowie, wchodząc do jednej z nich. Przyszedł tu w końcu po to, by znaleźć rzymskiego zabójcę, musiał więc zacząć rozmawiać z miejscowymi.

Opuścił Subura Major, wchodząc w Vicus Patricii, główną ulicę prowadzącą na wzgórze Wiminalu, i natrafił na gospodę przy rozstajach u podstawy trójkątnego placyku, gdzie Subura Major łączyła się z Vicus Patricii. Z rozmiarów kaplicy i fontanny wywnioskował, że było to jakieś bardzo ważne *compitum*, czyli skrzyżowanie dróg. Kiedy schylił głowę, przechodząc pod niskim nadprożem drzwi, wszystkie twarze - a było ich z pięćdziesiąt - zwróciły się ku niemu, przybierając kamienny wyraz. Gwar rozmów zamarł.

- Proszę o wybaczenie - powiedział Bomilkar, nie okazując obawy i starając się wypatrzeć przywódcę. Ach! Tam z tyłu, w kącie! Gdy minęło pierwsze zaskoczenie na widok kogoś zupełnie obcego, wszyscy obracali się, by spojrzeć na tę jedną twarz - twarz przywódcy. Twarz raczej rzymska niż grecka należała do niewysokiego człowieka w wieku między trzydziestką a czterdziestką. Bomilkar obrócił się i skierował wprost do tamtego resztę swojej wypowiedzi. Żałował, że jego łacina nie była dostatecznie płynna, by mógł zwracać się do miejscowych w ich języku, i że musi posłużyć się greką.

- Proszę o wybaczenie - powiedział raz jeszcze. - Wygląda na to, że wszedłem na cudzy teren. Szukałem gospody, żeby usiąść i napić się wina. Chodzenie na piechotę budzi pragnienie.

- To prywatny klub, przyjacielu - odpowiedział przywódca w dość okropnej, ale zrozumiałej grece.

- Czy nie ma tu gospód publicznych?

- Nie w Suburze, przyjacielu. Jesteś poza swoim terenem. Wracaj na Via Nova.

- Tak, znam Via Nova, ale jestem obcy w Rzymie, a zawsze myślałem, że poznać naprawdę jakieś miasto można tylko przez poznanie jego najgęściej zaludnionej dzielnicy. - Bomilkar wybrał kurs pośredni między

ignorancją cudzoziemca i głupotą turysty.

Przywódca mierzył go wzrokiem z zastanowieniem.

- Jesteś więc aż tak spragniony, przyjacielu?

Bomilkar przyjął z wdzięcznością to otwarcie.

- Wystarczająco spragniony, by postawić wszystkim kolejkę.

Przywódca zepchnął siedzącego przy nim z jego stołka i klepnął dłonią w stołek.

- Jeśli moi szanowni koledzy zgadzają się, ogłaszamy cię członkiem honorowym. Daj odpocząć swoim nogom, przyjacielu - rzekł i obrócił niedbale głowę. - Kto jest za przyjęciem tego zacnego pana jako członka honorowego, niech się odezwie.

Odezwał się chór głosów.

Bomilkar na próżno szukał wzrokiem kontuaru albo karczmarza, a potem wziął głęboki oddech i rzucił sakiewkę na stół, tak że wypadły z niej jeden czy dwa srebrne denary. Albo go zamordują dla jej zawartości, albo rzeczywiście został członkiem honorowym.

- Jeśli można... - zwrócił się do przywódcy.

- Bromidusie, każ podać temu panu i członkom klubu duży dzban - polecił tamten zepchniętemu ze stołka. - Winiarnia jest zaraz obok - wyjaśnił.

Sakiewka wypluła jeszcze kilka denarów.

- Czy to starczy?

- To za wiele na jedną kolejkę, przyjacielu.

Kolejne monety brzęknęły o stół.

- A gdyby tak parę kolejek?

Po sali przeleciało westchnienie. Wszyscy wyraźnie się odprężyli. Bromidus zgarnął monety i zniknął za drzwiami w towarzystwie trzech skorych do pomocy ochotników, a Bomilkar wyciągnął dłoń do przywódcy.

- Nazywam się Juba - powiedział.

- Lucjusz Dekumiusz - odrzekł tamten, potrząsając energicznie jego dłonią. - Juba! Co to za imię?

- Mauryjskie. Pochodzę z Mauretanii.

- Mauretanii? Gdzie to jest?

- W Afryce.

- W Afryce? - Bomilkar mógł chyba równie dobrze wymienić kraj Hiperborejczyków, Lucjuszowi Dekumiuszowi nie zrobiłoby to różnicy.

- To kawał drogi od Rzymu - wyjaśnił członek honorowy - na zachód od Kartaginy.

- Ach, Kartagina! Czemu od razu tak nie mówisz? - Lucjusz Dekumiusz wpatrywał się w twarz swego niezwykłego gościa. - Myślałem, że Scypio Emilianus nie zostawił nikogo z was przy życiu.

- Bo i nie zostawił, tylko że Mauretania to nie Kartagina, chociaż obie leżą w Afryce - tłumaczył cierpliwie Bomilkar. - Dawna Kartagina jest teraz rzymską prowincją Afryki. Wybiera się tam właśnie tegoroczny konsul, Spuriusz Postumiusz Albinus.

Lucjusz Dekumiusz wrzucił ramionami.

- Konsulowie przychodzą i odchodzą, przyjacielu, przychodzą i odchodzą. Suburze nie robi to różnicy. Oni nie są stąd, rozumiesz. Dopóki jednak uznajesz, że Rzym jest ponad wszystko, jesteś mile widziany w Suburze. Konsulowie także.

- Dobrze wiem, że Rzym jest ponad wszystko w świecie - oświadczył z przekonaniem Bomilkar. - Mój pan - Bokchus, król Mauretanii - wysłał mnie do rzymskiego senatu z prośbą o uznanie go za przyjaciela i sprzymierzeńca Rzymu.

- Proszę, proszę - zdziwił się uprzejmie Lucjusz Dekumiusz.

Wrócił Bromidius, uginając się pod ciężarem wielkiego dzbana, prowadząc trzech innych podobnie obciążonych, i przystąpił do rozdzielania poczęstunku. Zaczął od Dekumiusza, ten jednak powstrzymał go szturchańcem w udo.

- A gdzie dobre wychowanie, głupcze? Nalewaj najpierw fundatorowi albo ci flaki wypruję!

Bomilkar dostał w parę sekund napełniony po brzegi puchar i wznosił nim toast:

- Za najlepsze miejsce i najlepszych przyjaciół, jakich spotkałem dotąd w Rzymie!

Wypił potem to okropne wino, udając, że sprawia mu to przyjemność.

O bogowie! Oni tu muszą mieć kiszki z żelaza!

Pojawiły się też misy z jedzeniem, marynowane korniszony, cebule i orzechy włoskie, łądzyki selerów i plasterki marchwi i jakaś cuchnąca masa solonych rybek, która zniknęła w mgnieniu oka. Bomilkar nawet nie spróbował tego wszystkiego.

- Twoje zdrowie, Jubo, stary druhu! - zaproponował Dekumiusz.

- Zdrowie Juby! - krzyknęli chórem pozostali.

Nie minęło pół godziny, a Bomilkar dowiedział się więcej o Rzymie proletariuszy, niż mu się śniło, i uznał, że to fascynująca wiedza. Nie dotarło do niego, że o świecie pracy Numidii wiedział daleko mniej. Stwierdził, że wszyscy członkowie klubu pracowali i że z pomieszczeń klubu korzysta co dzień inna grupa ludzi. Większość z nich przychodziła tu co osiem dni. Mniej więcej co czwarty nosił stożkową czapkę wyzwolenca, a niektórzy z pozostałych byli wciąż jeszcze niewolnikami, chociaż nie przeszkadzało to im zajmować takich samych stanowisk jak inni, wykonywać taką samą pracę za taką samą płacę i mieć te same godziny i te same dni wolne od pracy. Bomilkarowi wydawało się to dziwne, ale w oczach wszystkich innych było najwyraźniej czymś naturalnym. Zaczął też rozumieć, na czym polega prawdziwa różnica między niewolnikiem a wyzwolencem. Wyzwoleniec mógł przychodzić i odchodzić, i wybierać sobie miejsce i rodzaj pracy, podczas gdy niewolnik należał do swego pracodawcy, był jego własnością, nie mógł zatem sam układać sobie życia. Niewolnictwo w Numidii wyglądało zupełnie inaczej. Musiał jednak przyznać uczciwie, że każdy naród miał własne zasady dotyczące niewolników i nie było dwóch takich samych.

Lucjusz Dekumiusz stale przebywał w klubie, inaczej niż zwykli jego członkowie.

- Jestem nadzorcą tego klubu - mówił, tak samo trzeźwy jak przy pierwszym łyku.

- A co to właściwie za klub? - spytał Bomilkar, starając się pić możliwie jak najwolniej.

- Nie dziwię się, że nie wiesz. To jest, przyjacielu, klub rozdroży. Prawdziwe stowarzyszenie, coś w rodzaju kolegium. Zarejestrowane u edylów i u miejskiego pretora i pobłogosławione przez najwyższego kapłana. Kluby rozdroży istniały już za czasów królów, zanim powstała republika. W miejscach, gdzie krzyżują się wielkie drogi, gromadzi się moc. Mówię o prawdziwych *compita*, a nie o skrzyżowaniach uliczek i zaułków. Tak, na rozdrożach jest moc. Wyobraźmy sobie, że jesteś jakimś bogiem i patrzysz w dół na Rzym. Miałbyś pewnie kłopot z wyborem celu, gdybyś chciał strzelić piorunem albo zesłać jakąś plagę. Jeśli wejdiesz na Kapitol, zrozumiesz, co mam na myśli - kupę czerwonych dachów przyciśniętych do siebie niczym kamyczki w mozaice. Gdy się jednak lepiej przyjrzyysz, wypatrzyysz puste miejsca - skrzyżowania wielkich dróg, *compita*, jak to na zewnątrz. Gdybyś więc był bogiem, właśnie tam strzeliłbyś piorunem, prawda? Ale my Rzymianie jesteśmy sprytni, przyjacielu. Naprawdę sprytni. To królowie wymyślili sposób zabezpieczenia rozdroży. Oddano rozdroża pod opiekę Larów i na każdym skrzyżowaniu wybudowano im kaplice, wcześniej nawet niż fontanny. Czy zauważyłeś kapliczkę przy ścianie naszego klubu? Tę wieżyczkę?

- Zauważyłem. - Bomilkar poczuł się nieswojo. - Co to są właściwie Lary? Więcej bogów niż jeden?

- Ach, Lary są wszędzie; są ich setki, tysiące - powiedział wymijająco Dekumiusz. - Rzym jest pełen Larów. Mówią, że i cała Italia, chociaż nigdy nie byłem w Italii. Nie mam znajomych żołnierzy, więc nie wiem, czy Lary towarzyszą legionom. Ale tu z pewnością są wszędzie, gdzie ich potrzebują. I to my, kluby rozdroży, mamy troszczyć się o nasze Lary. Dbamy o porządek w kaplicy, czyścimy fontannę, usuwamy połamane wozy i trupy - najczęściej zwierzęce - i gruz, kiedy zawali się jakiś budynek. Około Nowego Roku urządzamy wielką ucztę, Compitalia. Odbyła się ledwie parę dni temu, dlatego tak krucho u nas z pieniędzmi. Wydaliśmy cały nasz fundusz.

- Rozumiem - rzekł Bomilkar, chociaż naprawdę nie rozumiał; dawni rzymscy bogowie byli dla niego nierozwiązalną zagadką. - Czy sami ponosicie koszty takiej uczy?

- I tak, i nie. - Lucjusz Dekumiusz podrapał się pod pachą. - Dostajemy trochę od pretora miejskiego, starcza tego, żeby upiec parę świń, zależy, kto jest pretorem. Niektórzy bywają hojni.

Zacząto pytać o życie w Kartaginie i niepodobna było im wyjaśnić, że w Afryce są jeszcze i inne miasta, bo ich pojęcie o historii i geografii zdawało się składać tylko z tego, co zobaczyli czasem na Forum Romanum. Najwyraźniej odwiedzali je wtedy, kiedy jakieś zamieszanie polityczne budziło ich zainteresowanie i przyprowadzało smak centrum aromatem igrzysk. Życie polityczne Rzymu oglądali z boku, a jego rozkwit zdawał się przypadać ich zdaniem na okres zamętu po śmierci Gajusza Semproniusza

Grakcha.

W końcu nadeszła sposobna chwila. Członkowie klubu tak przywykli do jego obecności, że przestali zwracać na niego uwagę, a do tego byli zamroczeni nadmiarem wina, podczas gdy Lucjusz Dekumiusz był jeszcze trzeźwy i nie spuszczał wzroku z twarzy Bomilkara. Ten Juba nie przypadkiem trafił między jego podwładnych, musiał czegoś szukać.

- Lucjusz Dekumiuszu... - Bomilkar pochylił się do Rzymianina, aby tylko on go słyszał. - Mam pewien kłopot, a ty mógłbyś mi może coś doradzić w tej sprawie.

- Słucham, przyjacielu.

- Mój pan, król Bokchus, jest bardzo bogaty.

- Tak i myślałem, skoro jest królem.

- Dręczy go jednak niepewność, czy nadal będzie królem. Ma pewien kłopot.

- Czy taki sam kłopot, jak twój, przyjacielu?

- Dokładnie taki sam.

- Jak mogę pomóc? - Dekumiusz żuł z namysłem marynowaną cebulę wyciągniętą z misy.

- W Afryce odpowiedź byłaby prosta. Król wydałby rozkaz i sprawca kłopotów zostałby stracony.

Bomilkar umilkł, zastanawiając się, ile czasu trzeba Dekumiuszowi na zrozumienie.

- Aha! Więc ten kłopot ma jakieś nazwisko!

- Nazywa się Massywa.

- To brzmi bardziej z łacińska niż Juba - zauważył Dekumiusz.

- Massywa nie jest Maurem, lecz Numidyjczykiem.

Bomilkara zdawały się fascynować męty na dnie pucharu. Zamieszał palcem wino.

- Trudność leży w tym, że Massywa przebywa tu, w Rzymie, i sprawia nam tu kłopoty.

- Mogę zrozumieć, czemu w Rzymie są z tym trudności - powiedział Dekumiusz, a ton jego głosu przydał tej uwadze dodatkowych znaczeń.

Bomilkar spojrział na niego zaskoczony. Tamten okazał się równie bystry, jak subtelny. Zaczerpnął tchu.

- Przypadło mi trudne zadanie, bo jestem obcy w Rzymie. Otóż, muszę znaleźć Rzymianina, który zgodzi się zabić księcia Massywę. I to tu, w Rzymie.

Lucjusz Dekumiusz nawet nie mrugnął.

- Cóż, to nic trudnego.

- Doprawdy?

- Za pieniądze można w Rzymie kupić wszystko.

- Czy powiesz mi zatem, gdzie mam pójść?

- Nigdzie nie chodź, przyjacielu, nigdzie nie chodź - rzekł Dekumiusz, łykając resztki cebuli. - Poderżnąłbym gardła połowie senatu, gdybym mógł za to jeść ostrygi zamiast cebul. Jaka też byłaby zapłata?

- A ile jest denarów w tej sakiewce? - Dekumiusz wysypał je na stół.

- Nie tyle, żeby za to kogoś zabić.

- A gdyby tyle samo było w złocie?

Dekumiusz klepnął go w udo.

- Teraz mówisz do rzeczy! Dobiłeś targu, przyjacielu.

Bomilkarowi zakręciło się w głowie, i to nie od wina, które przez ostatnią godzinę wylewał ukradkiem na podłogę.

- Połowa jutro, a połowa po wykonaniu roboty - powiedział, zgarniając monety do sakiewki. Powstrzymała go dłoń o brudnych paznokciach.

- Zostaw to na dowód dobrej woli, przyjacielu, i wróć jutro. Zaczekaj jednak przy kaplicy. Porozmawiamy u mnie w domu.

Bomilkar wstał.

- Wróć jutro, Lucjuszu Dekumiuszu.

Gdy podeszli do drzwi, przystanął, by spojrzeć w nie ogoloną twarz zarządcy klubu.

- Czy już kiedyś kogoś zabiłeś?

Dekumiusz przyłożył palec wskazujący do prawej strony nosa.

- Ślepemu golibrodzie wszystko jedno, przyjacielu, czy się krzywisz, czy uśmiechasz. W Suburze ludzie nie lubią się przechwalać.

Bomilkar uśmiechnął się zadowolony i wyszedł w ścisk Subury Minor.

Marek Liwiusz Druzus, konsul sprzed dwóch lat, urządzał swój tryumf w połowie stycznia. W roku konsulatu oddano mu w zarząd prowincję Macedonii i przedłużono dowództwo, gdy toczył z powodzeniem graniczną wojnę ze Skordyskami, dobrze zorganizowanym plemieniem Celtów. Nękali oni ustawicznie rzymską Macedonię, w Druzusie znaleźli jednak godnego przeciwnika i ponieśli ciężką klęskę, a Rzym odniósł większe niż zwykle korzyści. Druzusowi udało się zdobyć największą twierdzę Skordysków i ukryty w niej skarb plemienny. Zarządcy Macedonii urządzali zwykle tryumf na zakończenie swej kadencji, uznano jednak, że Marek Liwiusz Druzus zasługuje na szczególne wyróżnienie.

Królewicz Massywa był na tych uroczystościach gościem konsula Spuriusza Postumiusza Albina. Miał doskonałe miejsce w Circus Maximus i oglądał z niego przejście tryumfalnego pochodu. Przekonał się z pierwszej ręki o tym, co mu opowiadano: że Rzymianie umieją urządzać wielkie widowiska lepiej niż inne narody. Jego greka była, oczywiście, doskonała, zrozumiał więc dobrze instrukcje, których mu udzielono przed tryumfem. Podniósł się z miejsca, zanim ostatni legionieści Druzusa wyszli z ogromnej areny od strony Porta Capena. Orszak konsularny wyszedł bocznym wyjściem na Forum Boarium. Wspięli się potem po Schodach Kakusa na Palatyn i tam przyśpieszyli kroku. Dwunastu liktorów prowadziło ich najkrótszą możliwą drogą przez opustoszałe uliczki, a nabijane gwoździemi podeszwy zimowych butów zgrzytały o bruk.

W dziesięć minut po wyjściu z Circus Maximus towarzystwo Spuriusza Albina schodziło z tupotem po Schodach Westalek na Forum Romanum, kierując się do świątyni Kastora i Polluksa. Na podeście u szczytu schodów tej majestatycznej budowli mieli zasiąść ze swymi gośćmi obaj konsulowie, by oglądać uroczysty pochód schodzący po Via Sacra z Welii ku Kapitolowi. Byłoby nietaktem wobec tryumfatora, gdyby nie byli na

miejscu przed nadejściem pochodu.

- Wszyscy inni urzędnicy i senatorowie idą na czele tej parady - wyjaśniał Massywie Spuriusz Albinus. - Konsulów z danego roku zaprasza się formalnie do udziału w pochodzie i uczcie, którą tryumfator wydaje dla senatu w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. Nie jest jednak w zwyczaju, by konsulowie przyjmowali oba zaproszenia. Ten dzień należy do tryumfatora i to jemu powinny przyspaść największe honory i największa liczba liktorów. Konsulowie patrzą z boku, a tryumfator pozdrawia ich, przechodząc, i to mu nie odbiera chwały.

Królewicz kiwał głową, chociaż jego zupełna obcość i brak orientacji w Rzymie utrudniały mu zrozumienie tych wyjaśnień. Inaczej niż Jugurta spędził on całe życie w nierzymskiej Afryce.

Gdy towarzyszący konsulom dotarli Schodami Westalek do Via Nova, powstrzymały ich ogromne tłumy. Rzym zaowocował setkami tysięcy gron osobliwej winorośli, która przenikała nawet najskromniejsze zaułki Subury. Było oczywiste, że tryumf Druzusa należeć będzie do najwspanialszych.

Liktorzy na służbie noszący *fascēs* chodzą w granicach Rzymu w zwykłych białych togach. Dziś ten strój czynił ich anonimowymi, bo w dniach tryumfu cały Rzym okrywał się bielą. Każdy, do ostatniego obywatela, wkładał swoją *toga alba* zamiast chodzić po prostu w tunice. W następstwie tego liktorzy z wielkim trudem torowali drogę konsularnemu orszakowi. Zanim orszak dotarł do świątyni Kastora i Polluksa, został w istocie rzeczy rozproszony, a królewicz Massywa z jednym tylko ochroniarzem tak bardzo został w tyle, że stracił wszelki kontakt z resztą.

Jego poczucie wyższości i jego nierzymska królewskość kazały mu oburzać się na poufale i pozbawione szacunku traktowanie przez setki tłoczących się wokół niego. Jego przybocznicy ochroniarze zostali zepchnięci na bok i na chwilę stracił ich z oczu.

Na tę właśnie krótką chwilę czekał Lucjusz Dekumiusz. Uderzył z nieomylną dokładnością, szybko, pewnie i nagle. Przyciśnięty do Massywy jakimś nieoczekiwanym poruszeniem tłumy, wepchnął swój wyostrzony jak brzytwa sztylet pod żebra z lewej strony klatki piersiowej królewicza, obrócił go ku górze gwałtownym szarpnięciem i puścił rękojeść, gdy ostrze pograżyło się w ciele. Zdażył prześlizgnąć się między kilkunastu ludźmi, zanim pojawiła się krew i zanim Massywa zdażył krzyknąć. Prawdę mówiąc, królewicz Massywa nie zdażył krzyknąć. Upadł po prostu tam, gdzie stał. Zanim zebrała się straż przyboczna, odpychając tłum i otaczając swego zabitego pana, Lucjusz Dekumiusz był już w połowie Forum, kierując się ku swemu schronieniu przy Argiletum, istna kropla w morzu białych tog.

Minęło całe dziesięć minut, zanim ktoś pomyślał o zawiadomieniu Spuriusza Albina i jego brata Aulusa, którzy zasiedli już na podium świątyni, nie przejmując się nieobecnością królewicza. Liktorzy wyruszyli otoczyć teren, tłum został odepchnięty, a Spuriusz i Aulus Albinowie stali nad zabitym, spoglądając na niego i na ruinę swoich planów.

- To musi poczekać - rzekł w końcu Spuriusz. - Nie możemy psuć tryumfu Markowi Liwiuszowi Druzusowi.

- Zanieście księcia do domu - zwrócił się po grecku do dowódcy straży przybocznej złożonej z najętych rzymskich gladiatorów - i czekajcie tam, póki nie przyjdę.

Tamten skinął głową. Sporządzono prowizoryczne nosze z togi Aulusa Albina, włożono na nie ciało i sześciu gladiatorów wyniosło je z miejsca zbrodni.

Aulus przyjął tę katastrofę nie tak spokojnie jak jego starszy brat. To głównie on poznał dotąd hojność Massywy. Spuriusz mógł sobie pozwolić na czekanie, aż zobaczy Massywę na tronie Numidii. Poza tym Aulus był równie niecierpliwy, co ambitny i spieszno mu było prześcignąć Spuriusza.

- Jugurta! - powiedział przez zęby. - To robota Jugurty!

- Nigdy tego nie udowodnisz - rzekł Spuriusz, wzdychając. Weszli po schodach świątyni Kastora i Polluksa i ponownie zajęli miejsca, akurat wtedy, gdy wyżsi urzędnicy i senatorowie ukazali się spoza majestatycznej bryły państwowego Domus Publicus, siedziby Dziewic Westy i Pontifexa Maximusa. Pojawili się najpierw na krótko, ale już po chwili ukazali się wyraźnie i olbrzymi pochód potoczył się po pochyłości Via Sacra do miejsca, gdzie kończyła się ona przy zagłębieniu Comitium. Spuriusz i Aulus Albinowie siedzieli z minami tak beztroskimi, jakby myśleli tylko o widowisku i o tryumfie Marka Liwiusza Druzusa.

Aby nie budzić podejrzeń, Bomilkar powitał głośno Lucjusza Dekumiusza. Stanęli ramię w ramię przy kontuarze tłumnie uczęszczanego baru w narożniku Wielkiego Rynku, czekając, aż podadzą im po zapiekance z czosnkową kielbasą, a potem odeszli na bok, pogryzając swoje parzące usta porcje.

- W sam raz na taki miły dzień jak dziś, przyjacielu - zauważył Lucjusz Dekumiusz.

Owinięty w płaszcz z kapturem Bomilkar chuchnął.

- Mam nadzieję, że nadal będzie miły.

- Ręczę za szczęśliwe zakończenie. - Dekumiusz był zadowolony z siebie.

Bomilkar sięgnął pod płaszczem po sakiewkę z drugą połową Dekumiuszowego złota.

- Jesteś pewien?

- Tak jak ktoś w śmierzących butach jest pewien, że w coś wdepnął.

Worek złota zmienił niepostrzeżenie właściciela. Bomilkar odchodził z lekkim sercem.

- Dziękuję ci, Lucjuszu Dekumiuszu!

- O nie, przyjacielu, cała przyjemność po mojej stronie!

Lucjusz Dekumiusz stał w miejscu, zajądając ze smakiem swoją zapiekankę.

- Ostrygi zamiast cebul! - powiedział w głos, ruszając różnym krokiem ku Fauces Suburae z workiem złota pod tuniką.

Bomilkar opuścił miasto przez bramę Fontinalis i przyśpieszając kroku, szedł na Pole Marsowe. Wszedł do willi Jugurty głównym wejściem, nie napotykając nikogo, i z ulgą zrzucił płaszcz. Tego dnia król dał łaskawie

wszystkim niewolnikom wychodne, by mogli obejrzeć tryumf Druzusa, i po srebrnym denarze na głowę. Tak więc powrotu Bomilkara nie oglądały niczyje oczy oprócz fanatycznie oddanych królowi strażników przybocznych i numidyjskich służących.

Jugurta siedział jak zwykle w loggii na piętrze nad wejściem od strony ulicy.

- Zrobione - rzekł Bomilkar.

Król uścisnął ramię brata.

- Zuch z ciebie! - powiedział z uśmiechem.

- Cieszę się, że tak dobrze poszło.

- Czy na pewno nie żyje?

- Mój zabójca był pewny, że nie, tak jak ktoś w śmierdzących butach jest pewny, że wdepnął w łajno. - Bomilkar zadarł głowę, śmiejąc się. - Ten mój rzymski łotr to malowniczy typ, ale jest niezwykle sprawny i nerwy ma ze stali.

Jugurta odetchnął z ulgą.

- Kiedy tylko dowiemy się, że mój drogi kuzyn Massywa nie żyje, zwołamy naradę z wszystkimi naszymi agentami. Musimy nastawać na uznanie przez senat moich praw do tronu i odesłanie mnie do kraju. - Skrzywił się. - Nie wolno zapominać, że mam jeszcze tego kochanego przyrodniego brata Gaudę.

Był jednak ktoś, kto nie stawiał się na zebranie agentów Jugurty w jego willi. Gdy tylko Marek Serwiliusz Agelastus dowiedział się o zabójstwie królewicza Massywy, poprosił konsula Spuriusza Albina o posłuchanie. Konsul wymówił się przez sekretarza brakiem czasu, ale Agelastus tak długo nalegał, aż zdesperowany i przepracowany sekretarz zaprowadził go do Aulusa, młodszego brata konsula. Kiedy ten usłyszał, co Agelastus ma do powiedzenia, poderwał się do działania. Wezwany przez niego Spuriusz wysłuchał opowieści Agelasta, podziękował mu i odprawił tak łaskawie, że każdy inny uśmiechnąłby się - poza Agelastem.

- Zaczniemy działać poprzez miejskiego pretora tak legalnie, jak to możliwe - powiedział Spuriusz Albinus, gdy został z bratem sam na sam. - To zbyt ważna sprawa, by pozwalać na oskarżenie Agelastowi. Zrobię to sam, ale jego głos ma znaczenie decydujące, bo jest jedynym obywatelem rzymskim w całej tej sprawie, jeśli nie liczyć tajemniczego zabójcy. *Praetor urbanus* musi zdecydować, jak ukarać Bomilkara. Niewątpliwie poradzi się senatu, chroniąc swój tyłek, ale rozproszę chyba jego obawy, jeśli spotkam się z nim i przekażę swoją oficjalną opinię. Fakt, że zbrodnia została popełniona w Rzymie, w dniu tryumfu i przez obywatela rzymskiego, przeważa status Bomilkara. Podkreślę i to, że Massywa był klientem konsula i znajdował się pod jego opieką. Ważne jest, by Bomilkar był sądzony i skazany w Rzymie przez rzymski sąd. Już samo zuchwalstwo tej zbrodni zmusi zwolenników Jugurty do milczenia. Ty, Aulusie, bądź gotów wnieść oskarżenie, wszystko jedno do którego sądu. Dopilnuję, żeby *praetor peregrinus* wyraził swoją opinię, a zwykle to on prowadzi sprawy tych, którzy nie są obywatelami. Może zechce bronić Bomilkara, aby

wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Tak czy owak, Aulusie, Jugurta straci szansę przekonania senatu do swojej sprawy, a potem poszukamy innego kandydata do tronu.

- W rodzaju księcia Gaudy?

- W rodzaju księcia Gaudy, chociaż lichego z niego kandydat. Mimo wszystko jest on jednak przyrodnim bratem Jugurty. Trzeba zadbać o to, by nie próbował odwiedzić Rzymu. Daję słowo, poszczęści nam się w Numidii!

Jugurta nie myślał już o zachowaniu rzymskich reguł gry. Kiedy pretor miejski przybył z liktorami do willi na wzgórzu Pincius, by uwięzić Bomilkara za udział w morderczym spisku, król miał przez chwilę ochotę odmówić jego wydania i zobaczyć, co będzie potem. Ostatecznie zagrał na zwłokę, oświadczając, że nie rozumie, czemu Rzym interesuje się tą sprawą, skoro ani ofiara, ani oskarżony nie są obywatelami rzymskimi. Pretor odparł, że na mocy decyzji senatu oskarżony ma odpowiadać przed rzymskim sądem, bo są poszlaki wskazujące, iż prawdziwy zabójca jest obywatelem Rzymu. Niejaki Marek Serwiliusz Agelastus, ekwita rzymski, zeznał pod przysięgą, że namawiano go do popełnienia tej zbrodni.

- W takim razie - Jugurta nie dawał za wygraną - jedynie pretor do spraw cudzoziemców władny jest uwięzić komesa Bomilkara. Komes nie jest obywatelem Rzymu, a moja siedziba - gdzie i on przebywa - leży poza jurysdykcją pretora miejskiego.

- Jesteś, panie, źle poinformowany - odparł gładko pretor miejski. - *Pretor peregrinus* weźmie, oczywiście, udział w sprawie, ale że imperium pretora miejskiego rozciąga się do piątego kamienia milowego, ta willa jest pod moją jurysdykcją. Przeprowadź, proszę, komesa Bomilkara.

Komes Bomilkar został sprowadzony i zapędzony z miejsca do celi w Lautumiach, gdzie miał przebywać do dnia rozprawy przed specjalnie zwołanym sądem. Gdy Jugurta wysłał agentów z żądaniem, by zwolniono Bomilkara za kaucją, a przynajmniej umieszczono go w domu jakiegoś bogatego obywatela, żądanie zostało odrzucone. Bomilkar miał nadal przebywać w jedynym rzymskim więzieniu.

Lautumie rozpoczęły swe istnienie przed kilkuset laty jako kamieniołom na stoku Arx Capitolina. Obecnie stanowiły przypadkową zbieraninę ułożonych bez zaprawy kamiennych bloków nagromadzonych pod urwiskiem góry zamkowej tuż przy dolnym Forum Romanum. Mogły pomieścić z pięćdziesięciu więźniów w zrujnowanych celach pozbawionych zamknięć. Uwięzieni mogli poruszać się swobodnie wewnątrz murów, a przed wyjściem na zewnątrz powstrzymywali ich tylko stojący na straży liktorzy albo też, w szczególnym przypadku, kajdany. Zwyczajnie miejsce to było opustoszałe, toteż widok liktorów na straży był wielką sensacją, a uwięzienie Bomilkara znalazło się nagle na ustach wszystkich, bo liktorzy nie mieli nic przeciw zaspokojeniu ciekawości przechodniów.

Skromne pochodzenie Lucjusza Dekumiusza nie miało wpływu na sprawność jego komórek mózgowych, które działały znakomicie. Zdobycie stanowiska nadzorcy kolegium rozdroży było przecież nie lada wyczynem. Kiedy więc plotka zapuściła węża niczym winorośl w samo serce Subury,

Dekumiusz przytknął dwa palce do dwóch innych i otrzymał odpowiedź czterech palców. Rozpoznał z miejsca swego człowieka, choć imię brzmiało Bomilkar, nie Juba, i był to Numidyjczyk, nie Maur.

Nie mając Bomilkarowi bynajmniej za złe tego podstępu, Dekumiusz poszedł do Lautumiów i wszedł tam całkiem po prostu, najpierw uśmiechając się szeroko do dwóch liktorów przy bramie, a potem przepychając się między nimi łokciami.

- Uważaj! - warknął któryś, rozcierając bok.

- Sam uważaj - odparł, skacząc żwawo za rozsypujący się filar, gdzie przeczekał, aż zrządzenie przy bramie ucichnie.

Nie posiadając aparatu władzy wykonawczej, Rzym zwyczajowo zobowiązywał swoje kolegium liktorów do wykonywania najróżniejszych obowiązków. Liktorów było około trzystu. Państwo płaciło im bardzo marnie, zdani więc byli na hojność tych, którym świadczyli usługi. Mieli siedzibę na małej działce za świątynią Larów Opiekuńczych przy Via Sacra. Odpowiadało im to miejsce jedynie dlatego, że leżało na zapleczu najlepszej rzymskiej gospody, gdzie zawsze mogli wyprosić coś do wypicia.

Liktorzy towarzyszyli wszystkim urzędnikom wyposażonym w imperium. Walczyli o możliwość służenia zarządcom prowincji, mieli bowiem udział w ich zdobyczach i ubocznych dochodach z urzędu. Reprezentowali trzydzieści kurii, na które dzielił się Rzym. Wezwanie do pełnienia służby w Lautumiach albo przyległym Tullianum, gdzie skazańcy oczekiwali na przybycie kata, było najgorszym z zadań, jakie mógł liktorowi wyznaczyć jego dziesiętnik; żadnych napiwków i żadnych łapówek. Strażnicy przy bramie nie byli więc zainteresowani pilnowaniem Dekumiusza. Mieli strzec bramy i, na Jowisza, nie zrobią niczego więcej!

- Hej, przyjacielu, gdzie jesteś? - wrzasnął Dekumiusz wystarczająco głośno, by usłyszeli go bankierzy w Basilica Portia.

Bomilkar poczuł, że włosy stają mu dęba, i zerwał się na nogi. Pomyślał, że to koniec, i czekał w odrętwieniu na ukazanie się Dekumiusza w gronie przedstawicieli władz.

Dekumiusz ukazał się, ale sam. Ujrzał Bomilkara stojącego nieruchomo pod ścianą celi (pozbawiony zamknięć otwór umożliwiał wczółganie się do środka) i uśmiechnął się do niego beztrzesko.

- Kto cię zdradził, przyjacielu? - spytał, siadając na jakimś wyłamany bloku kamiennym.

Bomilkar opanował drzenie i zwilżył wargi językiem.

- Jeśli nie zrobiłeś tego przedtem, głupcze, zrobiłeś to teraz!

Dekumiusz wytrzeszczył oczy, w których powoli zaświtało zrozumienie.

- Nie martw się, przyjacielu - powiedział uspokajająco. - Nikogo tu nie ma, prócz liktorów przy bramie. Słyszałem, że cię zamknęli, więc chcę sprawdzić, w czym ci się nie powiodło.

- Agelastus - rzekł Bomilkar. - Marek Serwiliusz Agelastus.

- Czy mam z nim zrobić to samo, co z Massywa?

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknął z desperacją Bomilkar. - Zaraz zaczną się zastanawiać, po co tu przyszedłeś. Chyba to rozumiesz? Jeśli ktoś widział cię w pobliżu Massywy, jesteś już martwy!

- Dobrze, dobrze, przyjacielu! Nie martw się o to. Nikt nic o mnie nie wie i nikogo to nie obchodzi, że tu jestem. To nie jakiś loch partyjski, zapewniam cię. Trzymają cię tu tylko po to, żeby rozwścieczyć twojego szefa. Tylko o to im chodzi. Wcale się nie zmartwią, jeśli uciekniesz. To by po prostu było przyznanie się do winy - wskazał otwór w zewnętrznym murze.

- Nie mogę uciec - rzekł Bomilkar.

- Rób jak chcesz. - Dekumiusz wzruszył ramionami. - O co chodzi z tym Agelastem? Chcesz go usunąć? Zrobię to za taką samą cenę, tym razem płatną po wykonaniu zadania, bo mam do ciebie zaufanie.

Zafascynowany Bomilkar doszedł do wniosku, że Dekumiusz nie tylko wierzy w to, co mówi, ale też niewątpliwie ma słuszość. Gdyby nie chodziło o Jugurtę, on sam skorzystałby z okazji do ucieczki. Tylko bogowie jednak wiedzą, co wtedy stałoby się z Jugurta.

- Dostaniesz drugi worek złota.

- Gdzie on mieszka, ten który - sądząc po nazwisku - nigdy się nie śmieje?

- Na wzgórzu Celius, w Vicus Capiti Africae.

- Ładna nowa dzielnica - pochwalił Dekumiusz. - Agelastowi musi się dobrze powodzić. Łatwo go będzie znaleźć tam, gdzie ptaki śpiewają głośniej niż sąsiedzi. Bądź spokojny, zaraz to dla ciebie zrobię. Zapłacisz mi, kiedy twój szef cię stąd wyciągnie. Prześlij mi złoto do klubu, będę tam czekał.

- Skąd wiesz, że mój szef mnie stąd wyciągnie?

- Oczywiście, że wiem, przyjacielu. Wrzucili cię tu, żeby mu napędzić stracha. Za parę dni zwolnią cię za kaucją. Kiedy to nastąpi, posłuchaj mojej rady: bierz nogi za pas i jak najszybciej wracaj do swego kraju. Nie kręć się po Rzymie, rozumiesz?

- Zostawić króla na ich łasce? Nie mogę!

- Oczywiście, że możesz! Myślisz, że co z nim zrobią? Stukną po głowie i wrzucą do Tybru? O nie, oni tak nie postępują, przyjacielu - oświadczył Lucjusz Dekumiusz tonem doświadczonego doradcy. - Jest tylko jedna rzecz, dla której mogą kogoś zamordować, a ta rzecz to ich wspaniała Republika, jej prawa i ustrój, i inne takie sprawy. Mogą zabić jakiegoś trybuna ludowego albo i dwóch, ale nigdy nie zabijają cudzoziemca, nie w Rzymie. Nie martw się o swego szefa, przyjacielu. Założę się, że i jego odeślą do kraju, jeśli ty wyjedziesz.

Bomilkar spojrział na Dekumiusza z podziwem.

- Przecież ty nawet nie wiesz, gdzie leży Numidia! Nigdy nie wyjeżdżałeś z Italii. Skąd wiesz, jak postępują rzymscy dobrze urodzeni?

- To co innego. - Lucjusz Dekumiusz wstał, zbierając się do odejścia. - Tę wiedzę nabywa się z mlekiem matki. Wszyscy tak do tego dochodzą. Chodzi mi o to, że Rzymianin przeżywa dreszcz emocji tylko na Forum - jeśli nie ma akurat żadnych igrzysk. Nie trzeba nawet iść na Forum, żeby przeżyć ten dreszcz. To samo do ciebie przychodzi, jak mleko matki.

Bomilkar wyciągnął dłoń.

- Dzięki ci, Lucjuszu Dekumiuszu. Jesteś jedynym naprawdę uczciwym

człowiekiem, jakiego spotkałem w Rzymie. Poślę ci twoje pieniądze.

- Do klubu, pamiętaj. Ach i - tu przyłożył palec do prawej strony nosa - gdybyś miał jakich przyjaciół potrzebujących pomocy w ich kłopotach, poleć im mnie. Podoba mi się ten rodzaj pracy.

Agelastus zginał, że zaś Bomilkar siedział w Lautumiach, a żaden z liktorów nie skojarzył sobie Dekumiusza z powodem jego uwięzienia, oskarżenie, które przygotowywali Spuriusz i Aulus Albinowie przeciw numidyjskiemu komesowi, zostało mocno nadwątlone. Nadal mieli wydobyte od Agelasta oświadczenie, ale nie było wątpliwości, że nieobecność głównego świadka jest ciosem dla oskarżenia. Korzystając z okazji, jaką dała mu śmierć Agelasta, Jugurta zwrócił się znów do senatu o zwolnienie Bomilkara. Chociaż Gajusz Memmiusz i Skaurus zażarcie się temu sprzeciwiali, komes Bomilkar został w końcu zwolniony, gdy Jugurta przekazał pięćdziesięciu swoich Numidyjczyków pod nadzór Rzymu. Umieszczono ich w domach pięćdziesięciu senatorów. Jugurta musiał też przekazać państwu znaczną sumę rzekomo na utrzymanie tych zakładników.

Straty jakie poniosła jego sprawa, były, oczywiście, nie do naprawienia. On jednak nie przejmował się tym, porzuciwszy nadzieję na uznanie przez Rzymian jego praw do tytułu królewskiego. Dręczyli go przez całe lata, zmuszali, by tańczył, jak mu zagrają, i śmieli się z niego za plecami. Zamierzał wrócić do kraju, za zgodą senatu lub bez zgody. Wróci, by zebrać armię i zacząć ją szkolić do walki z legionami, które z pewnością tam się zjawią.

Bomilkar zaraz po zwolnieniu z więzienia uciekł do Puteoli, wsiadł tam na statek do Afryki i odpłynął bez żadnych przeszkód. Zaraz potem senat umył ręce w sprawie Jugurty. Polecono mu wracać i oddano jego pięćdziesięciu zakładników (ale nie pieniądze). Ruszaj precz z Rzymu, precz z Italii, precz z naszego życia!

Król Numidii spoglądał po raz ostatni na Rzym ze szczytu Janikulum. Zmusił konia do tej wspinaczki tylko po to, by spojrzeć na swe przeznaczenie. Oto leżał pod nim Rzym, falując i migocąc pośród urwistych wzgórz i dolin niczym morze pomarańczowej barwy dachów i białe tynkowane ściany. Złoczone ornamenty, zdobiące frontony świątyń, odbijały w górę światło słońca. To terrakotowe miasto zieleniło się też drzewami i trawnikami, gdzie tylko było na to miejsce.

Jugurta nie widział jednak niczego godnego podziwu. Patrzył długo, był bowiem pewien, że nie zobaczy już więcej Rzymu.

- Sprzedajne miasto! - rzekł w końcu. - Gdyby znalazł się na ciebie kupiec, znikłobyś w okamgnieniu.

I ruszył ku Via Ostiensis.



Klitumna miała siostrzeńca. Lucjusz Gawiusz Stichus nie nosił, oczywiście, rodzowego miana Klitumnus. Sulla twierdził, że jakiś przodek tamtego ze strony ojca był niewolnikiem. Gdyby było inaczej, skąd przezwisko Stichus? Było to imię niewolnika, ale i coś więcej. Stichus to archetypiczne imię niewolnika, imię na pośmiewisko. Lucjusz Gawiusz Stichus obstawał

jednak przy tym, że jego rodzina zdobyła to imię dzięki długotrwałym związkom z handlem niewolnikami. Lucjusz Gawiusz Stichus zajmował się tym handlem podobnie jak jego ojciec i dziadek. Prowadził w portyku Metellów na Polu Marsowym małą agencję wyspecjalizowaną w dostarczaniu służby domowej. Nie była to bynajmniej firma dla elity, ale zakład o ustalonej reputacji, zaopatrujący tych, których stać było na trzech, a najwyżej czterech niewolników.

Kiedy rządca powiadomił Sullę, że siostrzeniec pani jest w tablinum, ten pomyślał, jakie to dziwne, że tyłu zna Gawiuszów, licząc Marka Gawiusza Brokchusa, towarzysza pijatyk jego ojca i drogiego starego gramatyka, Kwintusa Gawiusza Myrtona. Nie było to pospolite ani wyróżniające się nazwisko, a jednak znał ich aż trzech.

Gawiusz, który pijał z jego ojcem, i ten Gawiusz, któremu zawdzięczał swe nieprzeciętne wykształcenie, budzili w nim przyjazne uczucia, ale ze Stichusem było całkiem inaczej. Gdyby wiedział, że Klitumnie składa wizytę jej okropny siostrzeniec, nie wracałby do domu. Stał przez chwilę w atrium, zastanawiając się, co lepsze: ucieczka z domu czy ukrycie się w jakiejś jego części, w którą Stichus nie wetknie nosa.

Ogród! Podziękował uśmiechem rządcy za ostrzeżenie i wszedł, mijając tablinum, do perystylu. Znalazł jakąś ogrzaną bladym słońcem ławę i usiadł, wpatrując się bezmyślnie w okropną rzeźbę przedstawiającą Apollona ścigającego Dafne, która już przemieniała się w drzewo. Klitumna przepadała za tą rzeźbą, dlatego zresztą ją kupiła. Czy jednak Pan Światłości mógł mieć tak jadowicie żółte włosy, tak jaskrawoniebieskie oczy i tak przesadnie różową cerę? I jak można podziwiać rzeźbiarza, który w tak niewyszukany sposób przemienił wszystkie palce u rąk Dafne w jednakowe zielone gałązki, a wszystkie palce u jej nóg w jednakowe brunatne korzenie? Ten osioł usmarował nawet ludzką jeszcze pierś biednej Dafne - miało to być chyba dotknięcie ręką mistrza - purpurowym sokiem sączącym się z sękatego sutka! Tylko bezmyślne wpatrywanie się w Dafne powstrzymało Sullę od porwania się na rzeźbę z toporem.

- Co ja tutaj robię? - spytał biedną Dafne, która powinna robić wrażenie przerażonej, zamiast tego jednak głupawo się uśmiechała.

Nie odpowiedziała

- Co ja tu robię? - spytał Apollona. Apollo nie odpowiedział.

Zasłonił oczy dłonią i zastosował wypróbowany sposób - nie tyle akceptacji, co raczej przetrzymania. Gawiusz. Myśleć o jakimś innym Gawiuszu niż Stichus. Myśleć o Kwintusie Gawiuszu Myrtonie, który dał mu nie byle jakie wykształcenie.

Spotkali się wkrótce po siódmych urodzinach Sulli. Wychudzony, ale silny chłopiec pomagał właśnie swemu spitemu ojcu wrócić do domu, to jest do jednego pokoju w Vicus Sandalarius, gdzie wtedy mieszkali. Sulla senior osunął się na bruk, a Kwintus Gawiusz Myrton pośpieszył chłopcu na pomoc. Razem doprowadzili ojca do domu, a Myrton, zafascynowany wyglądem chłopca i czystością jego łaciny, zasypywał go przez całą drogę pytaniami.

Gdy tylko Sulla senior został zwalony na swój siennik, stary grammaticus zasiadł na jedynym krześle i wyciągnął z chłopca wszystko, co ten wiedział o historii swojej rodziny. Na koniec przedstawił się jako nauczyciel i zaproponował, że nauczy chłopca za darmo czytania i pisania. Przeraziła go sytuacja Sulli. Ten patrycjusz Korneliusz mógł najwyraźniej utknąć na resztę swego życia w lupanarach najuboższych dzielnic Rzymu. Ta myśl była nie do zniesienia. Chłopiec powinien przynajmniej umieć tyle, by móc zarabiać na życie jako pisarz lub urzędnik w jakiejś kancelarii! A gdyby jakimś cudem los Sulli się odmienił i otworzyła się przed nim okazja powrotu na właściwą drogę życia, czy miało mu w tym przeszkodzić nieuctwo?

Sulla przyjął propozycję, ale nie mógł znieść darowizny. Kiedy mógł, kradł, by podsunąć gramatykowi srebrnego denara albo tłustego kurczaka, a kiedy nieco podrósł, sprzedawał się za srebrnego denara. Jeśli nawet Myrton podejrzewał, że płacono mu kosztem honoru, nigdy nie dał tego po sobie poznać. Był za mądry, by nie pojąć, że chłopiec daje w ten sposób do zrozumienia, jak sobie ceni tę nieoczekiwaną okazję do nauki. Brał więc pieniądze, okazując wdzięczność i zadowolenie, i nigdy nie dał Sulli powodu do przypuszczeń, że zastanawia go ich pochodzenie.

Nauczyć się retoryki i należeć do otoczenia jakiegoś wielkiego adwokata było marzeniem, o którym Sulla wiedział, że się nie spełni, a które dodawało jedynie blasku skromniejszym planom Kwintusa Gawiusza Myrtona. Dzięki Myrtonowi nauczył się mówić najczystszą attycką greką i przyswoił sobie co najmniej podstawy retoryki. Myrton miał sporą bibliotekę, Sulla czytał więc Homera i Pindara, i Hezjoda, Platona i Menandra, i Eratostenesa, Euklidesa i Archimedes. Czytał też po łacinie Enniusza, Akcjusza, Kasjusza Heminę, Katona Cenzora. Przedzierając się przez wszystkie zwoje, jakie mu wpadły w ręce, odkrył świat, w którym mógł zapomnieć na kilka bezcennych godzin o własnym położeniu, świat szlachetnych bohaterów i wielkich czynów, faktów naukowych i fantazji filozoficznych, stylów literackich i szkół matematycznych. Jedyną rzeczą, której nie utracił jego ojciec, była wspaniała łacina, tak więc Sulla nie musiał wstydzić się swojej łaciny. Opanował też doskonale narzecze Subury i mówił całkiem dobrze łaciną potoczną, co pozwalało mu obracać się we wszystkich sferach bez zwracania na siebie uwagi.

Myrton prowadził zajęcia swojej szkółki w spokojnym kącie Macellum Cuppedenis, targu przypraw i targu kwiatowego leżącego za Forum Romanum po jego wschodniej stronie. Myrton mawiał, że skoro nie może pozwolić sobie na wynajęcie lokalu, najlepszym miejscem na wbijanie wiedzy w twarde głowy młodych Rzymian jest właśnie ten kąt pełen aromatów róż i fiołków, pieprzu i cynamonu. Nie dla niego było mieszkanie u jakiegoś bogatego wychowanka z plebsu, ani też uczenie kilku ekwickich latorośli w jakiejś komnacie odizolowanej od hałasu ulicy. Nie, Myrton kazał po prostu swemu jedynemu niewolnikowi ustawiać swoje wysokie krzesło i stołki dla uczniów tam, gdzie im nie przeszkadzali kupujący. Tam uczył ich czytania i pisania, i arytmetyki pod gołym niebem, pośród krzyków i wrzasków handlarzy przypraw i kwaciarek.

Gdyby nie był lubiany i gdyby nie dawał zniżek chłopcom i dziewczętom, których ojcowie mieli stragany na Cuppedenis, szybko by go nakłoniono do wyniesienia się gdzie indziej. Był jednak lubiany i dawał zniżki, pozwolono mu więc prowadzić tam szkołę, póki nie umarł. Sulla miał wtedy piętnaście lat.

Myrton brał dziesięć sestercji tygodniowo od ucznia, a miał ich od dziesięciu do piętnastu. Zwykle więcej było chłopców niż dziewcząt, ale zawsze było tam kilka dziewcząt. Zarabiał około pięciu tysięcy sestercji rocznie, z czego płacił dwa tysiące za duży pokój w domu będącym własnością jednego z dawnych uczniów. Za tysiąc sestercji mógł wyżywić całkiem nieźle siebie samego i wiernego starego niewolnika. Resztę wydawał na książki. Jeśli było święto i nie było zajęć w szkole, można go było znaleźć wertującego książki w bibliotekach, księgarniach i wydawnictwach przy Argiletum, szerokiej ulicy wybiegającej z Forum Romanum między Basilica Aemilia a kurią senatu.

- Ach, Lucjusz Korneliuszu - zwykł mówić, kiedy zostawał z chłopcem po lekcjach i starał się (choć tego nie okazywał) ustrzec go przed wpływem ulicy. - Gdzieś w tym ogromnym świecie żyje ktoś, kto trzyma w ukryciu dzieła Arystotelesa. Gdybyś wiedział, jak bardzo pragnę je przeczytać! Tak ogromne dzieło, taki umysł, pomyśl tylko, on był wychowawcą Aleksandra Wielkiego! Pisał podobno o wszystkim: o dobru i złu, o gwiazdach i o atomach, duszach i piekle, psach i kotach, liściach i mięśniach, bogach i ludziach, systemach myślowych i bezmyślnym chaosie. Cóż by to była za rozkosz, czytać zaginione dzieła Arystotelesa!

A potem wrzusał ramionami i cmokał z irytacją przez zęby, co uczniowie naśladowali, przedrzeźniając go za jego plecami przez całe dziesięciolecie. Klaskał w dłonie, dając wyraz rozczarowaniu, i dalej grzebał wśród pachnących skórą tub na książki.

- Mniejsza z tym. Nie powinienem narzekać, skoro mam swego Homera i Platona.

Kiedy umarł, co zdarzyło się w środku zimy, po tym, jak jego stary niewolnik poślizgnął się na oblodzonych schodach i skręcił sobie kark, Sulla zrozumiał, że w ten sposób giną oba bieguny przeciętej nagle więzi między ludźmi. Wtedy też okazało się, jak bardzo Myrton był lubiany. Nie czekał na niego grób dla nędzarzy w wapiennych dołach za Aggerem. Miał uroczysty pogrzeb z żałobnikami, eulogią i stosem z kadzidłem, mirrą i balsamem jerychońskim. Miał też piękny kamienny grobowiec, gdzie złożono jego prochy, a jego imię trafiło do spisów umarłych w świątyni Wenus Libityny. Zadbali o to znakomity przedsiębiorca pogrzebowy, zajmujący się pogrzebem Myrtona. Opłaciły go dwa pokolenia uczniów, oplakujących ze szczerym żalem swego nauczyciela.

Sulla szedł z suchymi oczami i podniesioną głową w tłumie, który odprowadzał Myrtona na miejsce całopalenia. Rzucił w ogień naręczce róż i zapłacił grabarzowi swój udział, srebrnego denara. Potem jednak, gdy ojciec leżał spity, a nieszczęsna siostra starała się posprzątać, Sulla siedział w kącie pokoju, w którym mieszkali we trójkę i rozpamiętywał z niedowierzaniem zapis. Myrton ułożył swoje sprawy po śmierci równie starannie jak

za życia. Zarejestrował i złożył u Dziewic Westy dokument, na mocy którego wszystko, co miał - książki i cenny model słońca, księżyca i planet krążących wokół ziemi - zostawił Sulli.

Sulla płakał wtedy w udęce. Stracił najlepszego, najdroższego i jedynego prawdziwego przyjaciela.

- Pewnego dnia, Kwintusie Gawiuszu, odnajdę zaginione dzieła Arystotelesa - powiedział ze ściśniętym gardłem.

Nie udało mu się, oczywiście, utrzymać książek i modelu. Któregoś dnia wrócił do domu i ujrzał w swoim kącie tylko pusty siennik. Ojciec zabrał ukochane zbiory Myrtona i sprzedał, by mieć pieniądze na wino.

Wtedy to, jedyny raz w życiu, usiłował Sulla popełnić ojcobójstwo. Szczęście, że jego siostra była obecna i rozdzieliła ich, dopóki nie wrócił mu rozsądek. Wkrótce potem wyszła za swego Noniusza i wyjechała z nim do Picenum. Co do młodego Sulli, nie zapomniał on ani nie wybaczył. Jeszcze u schyłku życia, gdy posiadał tysiące książek i z pół setki modeli wszechświata, wciąż rozpamiętywał utratę biblioteki Myrtona i swój gorzki żal.

Sztuczka myślowa wypełniła swe zadanie; Sulla wrócił do chwili obecnej i jaskrawo malowanej, a niezdarnie wykonanej grupy Apollona i Dafne. Gdy jego wzrok minął ją i powędrował dalej, napotkał jeszcze okropniejszą rzeźbę Perseusza, trzymającego głowę Gorgony. Sulla niemal zerwał się na nogi, gotów stawić czoło Stichusowi. Poszedł przez ogród w stronę tablinum, które zwykle pozostawało do dyspozycji pana domu. Z jego braku przekazano tę izbę Sulli, który spełniał, mniej lub więcej, jego obowiązki.

Kiedy Sulla wszedł do tablinum, pryszczaty gnojek opychał się właśnie kandyzowanymi figami i gmerał lepкими paluchami w zwojach gromadzonych w ściennych niszach. Na widok Sulli schował szybko ręce za plecami.

- Na twoje szczęście wiem, że niczego nie czytasz - powiedział Sulla i strzelił palcami, wzywając sługę, ładniutkiego Greka, który nie był wart ani dziesiątej części tego, co zapłaciła za niego Klitumna.

- Przynieś miś z wodą i ścierkę i posprzątaj po panu Stichusie.

Potem wbił swe niesamowite, płonące gniewem oczy w nieszczęśnika, który ocierał umazane syropem palce w kosztowną tunikę.

- Mógłbyś wreszcie wybić sobie z głowy myśl, że znajdziesz tu nieprzyzwoite książki z obrazkami. Nie mam takich. Nie są mi potrzebne. Takie książki dobre są dla ludzi, którzy nie mają odwagi robić takich rzeczy, ludzi w twoim rodzaju, Stichusie.

- Ten dom i wszystko, co w nim jest, będzie kiedyś moje - odparł Stichus. - Nie będziesz wtedy zadzierał nosa.

- Nie żałuj ofiar, żeby oddać ten dzień, Lucjuszu Gawiuszu, bo może to być twój ostatni, tak jak Klitumny. Porąbię was wtedy na kawałki i rzucę psom na pożarcie.

Stichus spojrział na tołą okrywającą potężną postać Sulli i uniósł brwi. Właściwie nie bał się Sulli ani nie znał go zbyt dobrze, ale wyczuwał zagrożenie czające się w jego gorącej głowie, zwykle więc obchodził go z

daleka. W dodatku stara głupia ciotka Klitumna nie dawała sobie wyper-swadować niewolniczego oddania temu typowi. Kiedy jednak przyszedł tu dziś przed godziną, zastał ciotkę i jej wesołą towarzyszkę Nikopolis mocno podenerwowane, bo ich kochany Lucjusz Korneliusz wyszedł z domu wściekły i ubrany w togę. Kiedy Stichus wyciągnął z Klitumny całą historię, od Metrobiusza do późniejszej bijatyki, był oburzony. Obrzydlistwo!

Teraz więc siadł w krześle Sulli i zaczął mówić.

- Proszę, proszę! Wyglądamy dziś jak prawdziwy Rzymianin. Byliśmy na inauguracji konsulatu, jak widzę. Śmieszne! Twoje pochodzenie nie jest ani w połowie tak dobre jak moje...

Sulla podniósł go z krzesła, zaciskając w prawej dłoni podbródek Stichusa chwytem tak bolesnym, że ofiara nie była w stanie nawet krzyknąć. Zanim Stichus nabrał tchu, ujrzał twarz Sulli - i nie krzyknął. Stał równie oniemiały jak jego ciotka i jej towarzyszka o świcie tego dnia.

- Nic ci do mojego pochodzenia - powiedział uprzejmie Sulla. - A teraz zabieraj się z mego tablinum.

- Nie zawsze będzie twoje - wydyszał Stichus, czmychając i prawie wpadając w drzwiach na sługę wracającego z misą pełną wody i ścierką.

- Nie licz na to! - odparował Sulla.

Ów kosztowny niewolnik wsunął się bokiem do izby, usiłując przybrać skromną minę. Sulla zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Posprzątaj tu kwiatuszku - polecił i poszedł szukać kobiet.

Stichus zdążył już oskarżyć Sullę przed Klitumną, która zamknęła się z drogim siostrzeńcem, polecając rządcy, by im nie przeszkadzano. Sulla poszedł więc kolumnadą wokół perystylu do mieszkania swej kochanki Nikopolis. Z kuchni w drugim końcu ogrodu dochodziły smakowite zapachy. Mieściła się ona obok łaźni i latryny, jak w większości domów na Palatynie. Dom Klitumny miał doprowadzenie wody i odprowadzenie ścieków, co zwalniało domowników z obowiązku noszenia wody z publicznej fontanny i wynoszenia nocników do publicznej latryny albo do otworu kanału ściekowego.

- Wyszłoby ci na dobre, Lucjuszu Korneliuszu - powiedziała Nikopolis, odkładając robótkę - gdybyś zapomniał czasem o swoich ambicjach.

Sulla westchnął i usiadł na wygodnej sofie, otulając się togą, bo w pokoju było chłodno. Potem pozwolił służącej zdjąć sobie zimowe buty. Bitta była miłą dziewczyną z Bitynii, której prawdziwego imienia nikt nie był w stanie wymówić. Klitumna kupiła ją tanio od siostrzeńca i nieświadomie nabyła istny skarb. Gdy dziewczyna skończyła rozsznurowywanie, wyszła z pokoju i po chwili wróciła, niosąc parę grubych ciepłych skarpet. Wciągnęła je zgrabnie na doskonale kształtne śnieżnobiałe stopy Sulli.

- Dziękuję, Bitto. - Uśmiechnął się do niej i niedbale zwichrzył dłonią jej włosy.

„Zabawne małe stworzenie”, pomyślał z czułością, która zdziwiła jego samego, póki nie uświadomił sobie, że przypomina mu ona tę dziewczynę z sąsiedztwa. Julilla...

- Co masz na myśli? - spytał Nikopolis, na której chłód zdawał się nie

robić wrażenia.

- To, że ten chciwy lizusek Stichus nie musi odziedziczyć wszystkiego, kiedy Klitumna dołączy do swoich podejrzanych przodków. Gdybyś choć trochę zmienił taktykę, mój drogi przyjacielu, ona zostawi ci to i owo, a jest tego bardzo wiele, możesz mi wierzyć!

- On teraz pewnie beczy, że go pobiliśmy - rzekł Sulla, biorąc z rąk Bitty misę orzechów i obdarzając ją znów uśmiechem.

- Oczywiście, i nie poprzestaje na beczeniu, jestem tego pewna. Nie mam ci tego za złe, on jest obrzydliwy, ale jest jej jedynym krewnym, a ona go kocha, więc nie widzi jego wad. Ciebie kocha jednak bardziej, nikczemniku! Więc gdy ją znów zobaczysz, nie rób wyniosłej miny, tylko zabaw ją jakąś opowieścią o cichym Stichym lepszą od tej, którą on opowiada jej o tobie.

Wpatrywał się w nią zafascynowany i zarazem sceptyczny.

- Daj spokój! Nie jest tak głupia, by się na to nabrać.

- Ach, drogi Lucjusz! Kiedy tylko chcesz, potrafisz przekonać każdą kobietę do tego, co jej wmawiasz. Spróbujesz? Tylko ten jeden raz, dla mnie.

- Nie. Wykończę tego głupca, Niki.

- Nie zrobisz tego, sam wiesz.

- Za żadne skarby świata nie będę się przed nią czołgał.

- Ona nie ma wszystkich skarbów świata, ale ma więcej niż trzeba, żeby cię wprowadzić do senatu - szeptała czarująca kusicielka.

- Nie, mylisz się, naprawdę. Przyznaję, ma ten dom, ale wydaje wszystko, co zarabia, a czego nie wyda ona, wydaje cichy Stichy.

- Wcale nie! Gdyby tak było, czy bankierzy słuchaliby każdego jej słowa, jakby była Kornelią, matką Grakchów? Powierzyła im nie lada fortunę, a nie wydaje nawet połowy dochodów. Musisz też przyznać cichemu Stichemu, że nie brak mu sestercji. Dopóki żyją księgowy i rządcą jego zmarłego ojca, jego interesy będą w doskonałym stanie.

Sulla usiadł wyprostowany, rozluźniając fałdy togi.

- Niki, ty chyba nie chcesz zabawiać mnie jakąś bajeczką?

- Zabawiałabym, ale nie taką.

- Ona dożyje stu lat - stwierdził, osuwając się znów na sofę i oddając Bittie misę z orzechami.

- Zgoda, to możliwe. - Jej ciemne oczy wpatrywały się w Sullę. - Ale może też być inaczej. Jej ród nie słynie z długowieczności.

Na zewnątrz rozległy się głosy. Lucjusz Gawiusz Stichus najwyraźniej zęgnął się z ciotką.

Sulla wstał, pozwalając służącej włożyć sobie greckie pantofle bez pięt. Długa i szeroka toga opadła na posadzkę, ale nie zwracał na to uwagi.

- Dobrze, Niki. Ten jeden raz spróbuję. - Uśmiechnął się do niej. - Życz mi szczęścia.

I już go nie było, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Spotkanie z Klitumną poszło nie najlepiej. Stichus musiał wykonać kawał porządnej kreciej roboty, a Sulla nie potrafił poniżyć się do prośby.

- To wszystko twoja wina, Lucjusz Korneliuszu - oświadczyła ze wzburzeniem Klitumna, zwiijając w upierścienionych palcach kosztowną frędzlę swego szala. - Wcale się nie starałeś być miły dla mego biednego chłopca, a on zawsze wychodził ci naprzeciw.

W tej właśnie chwili podsłuchująca pod drzwiami Nikopolis wpłynęła z gracją i ułożyła się na sofie obok Klitumny, spoglądając na Sullę z rezygnacją.

- O czym mowa? - spytała niczym uosobienie niewinności.

- O moich dwóch Lucjuszach - powiedziała Klitumna. - Nie zgadzają się ze sobą, a bardzo bym tego chciała.

Nikopolis wyplątała jej palce z szala, odczepiła kilka nitek z pierścieni i podniosła dłoń Klitumny do swego policzka.

- Biedactwo - powiedziała ze współczuciem. - Twój Lucjusz to para kogutów, w tym cały kłopot.

- Cóż, będą musieli nauczyć się żyć razem, bo za tydzień mój drogi Lucjusz Gawiusz wprowadza się do nas.

- A ja się wyprowadzam - rzekł Sulla.

Obie kobiety zaczęły pisać; Klitumna ochryłym głosem, a Nikopolis niczym kociątko.

- Zachowuj się jak dorosła - wyszeptał Sulla, przysuwając twarz do twarzy Klitumny. - On wie, z grubsza biorąc, co się tu dzieje, ale jak mógłby żyć pod jednym dachem z kimś, kto sypia z dwiema kobietami naraz, a w tym z jego ciotką?

Klitumna zaczęła szlochać.

- Ależ on tego chce. Nie mogę odmówić siostrzeńcowi.

- Nie martw się. Kiedy się wyprowadzę, nie będzie miał powodu do narzekań.

Nikopolis chwyciła go za rękę.

- Kochany, nie rób tego. Możesz spać u mnie, a Klitumna dołączy do nas, kiedy Stichusa nie będzie w domu.

- Bardzo sprytnie - oburzyła się Klitumna. - Chcesz go mieć tylko dla siebie, zachłanna świni!

Nikopolis zbladła.

- A co proponujesz lepszego? Wszystko to przez twoją głupotę.

- Przestać mi zaraz, obydwie! - Sulla mówił szeptem, którego bały się bardziej niż krzyków innych ludzi. - Powinnyście grać w mimach! Mam dość tej wstrętnej sytuacji. Mam dość bycia półmężczyzną.

- Nie jesteś półmężczyzną. Jesteś dwiema połówkami; jedna jest moja, druga należy do Niki - powiedziała złośliwie Klitumna.

Trudno powiedzieć, co było gorsze: wściekłość czy żal, doskonale zrównoważone na skraju szaleństwa. Sulla patrzył na swe dręczycielki nie widzącymi oczami, niezdolny do myślenia.

- Nie mogę tak dłużej - rzekł, dziwiąc się brzmieniu swego głosu.

- Ależ możesz - zapewniła go Nikopolis, z zadowoloną miną kogoś, kto ma wreszcie upatrzonego człowieka w upatrzonym miejscu - pod butem. Idź teraz i zrób coś pożytecznego. Zaraz poczujesz się lepiej. Zawsze tak jest.

Wyjść z domu, dokądkolwiek, zrobić coś, cokolwiek. Nogi same poniosły Sullę w górę ulicy i zanosły z Germalusa do Palatium, tej części Palatynu, która spogląda w dół na koniec Circus Maximus i bramę Capena.

Domy stały tu w większych odstępach i rozdzielone były parkową zielenią. Palatium nie było szczególnie modnym miejscem zamieszkania. Leżało zbyt daleko od Forum Romanum. Nie dbając o chłód, mimo że miał na sobie tylko domową tunikę, usiadł na jakimś kamieniu, wpatrując się nie w świecący pustkami Circus Maximus, ale we własną przyszłość, w wypaczoną jezdnię nie prowadzącą do żadnego absolutnie celu. Wstrząsał nim przeszywający ból, aż usłyszał zgrzytanie własnych zębów i uświadomił sobie, że głośno jęczy.

- Czy się źle czujesz? - spytał cichy, zalekniony głos.

Gdy podniósł oczy, zrazu niczego nie zobaczył, bo udreka odebrała mu zdolność widzenia. Po chwili przejaśniło mu się w oczach i w ich polu widzenia ukazały się złociste włosy, twarzyczka o kształcie serca, i wielkie oczy o barwie miodu niemal ją wypełniające. Malował się w nich przestraszcach.

Przykłęka przed nim spowita w swój samodiałowy kokon tak samo jak wtedy, gdy ją widział na ruinach domu Flakkusa.

- Julia - powiedział, wzdrygając się.

- Nie, Julia to moja starsza siostra. Mnie nazywają Julilla - uśmiechnęła się do niego. - Czy jesteś chory, Lucjuszu Korneliuszu?

- Tej choroby nie uleczy żaden lekarz.

Wracał mu rozsądek i pamięć i musiał przyznać słusność irytującej uwadze Nikopolis; jutro poczuje się lepiej.

- Chciałbym, bardzo bym chciał oszaleć, ale to chyba niemożliwe.

Julilla nie ruszyła się z miejsca.

- A więc furie jeszcze się o ciebie nie upominają.

- Jesteś tu sama? - spytał z dezaprobatą. - Co sobie myślą twoi rodzice, że ci na to pozwalają?

- Jest ze mną moja dziewczyna - odparła spokojnie, przysiadając na piętach. W jej oczach pojawił się psotny błysk. - To dobra dziewczyna, dyskretna i lojalna.

- To znaczy, że pozwala ci robić, co chcesz, i nikomu o tym nie mówi, ale i tak któregoś dnia cię przyłapią - powiedział ten, którego stale przyłapywano.

- Nie ma się o co martwić, dopóki to się nie stanie.

Zamilkła, przyglądając się z nie uświadomioną ciekawością jego twarzy i wyraźnie znajdując w tym przyjemność.

- Wracaj do domu, Julillo - powiedział z westchnieniem. - Jeśli masz być przyłapana, niech to nie będzie ze mną.

- Bo jesteś łajdakiem?

To wywołało słaby uśmiech.

- Przyznaję.

- Ja tak nie myślę!

Ach, któryż to bóg ją zesłał? Dzięki ci, nieznany boże! Ustąpiło napięcie mięśni. Poczul się nagle dziwnie lekko, jakby rzeczywiście dotknął go w

przelocie jakiś dobry i łaskawy bóg. Dziwne uczucie jak na kogoś, kto nie wiedział, co to dobro.

- Jestem łajdakiem, Julillo.

- Nonsens! - Głos miała pewny i stanowczy.

Nie był nowicjuszem. Widział, że dziewczyna jest zakochana. Miał ochotę skończyć z tym za pomocą jakiegoś grubiaństwa, ale nie mógł. To nie dla niej, nie zasłużyła sobie na to. Dla niej powinien sięgnąć do swego zapasu wyszukanych sztuczek i pokazać najlepszego Lucjusza Korneliusza Sullę ze wszystkich możliwych, tego naprawdę dobrego, nie splamionego niczym.

- Dzięki za wiarę we mnie, Julillo - powiedział, nie mając pewności, co chciałaby usłyszeć, i starając się pokazać z jak najlepszej strony.

- Mam trochę czasu - powiedziała z poważną miną. - Czy możemy porozmawiać?

Zrobił jej miejsce na kamieniu.

- Dobrze, ale usiądź tu. Ziemia jest wilgotna.

- Mówią, że przynosisz wstyd swemu nazwisku. Nie wiem, jak to możliwe, skoro nigdy nie miałeś możliwości okazania, że jest inaczej.

- Tak chyba uważa twój ojciec?

- Co masz na myśli?

- Że przynoszę wstyd swemu nazwisku.

Była wstrząśnięta.

- Ach, nie! Nie tato. On jest najmądrzejszy z ludzi.

- A mój był najgłupszy. Stoimy po dwóch stronach tęczy, Julillo.

Skubała wysoką trawę obrastającą kamień, wyrrywając długie pasma. Zwijała je w zwinnych palcach, aż uwiła wieniec.

- Proszę - podała go Sulli.

Zaparło mu dech. Przyszłość odsłoniła się na chwilę, ukazując mu coś, i znów się zakryła, zbyt prędko!

- Wieniec z trawy! - powiedział zdumiony. - Nie! To nie dla mnie!

- Dla ciebie, oczywiście - nalegała, a gdy nie zrobił żadnego ruchu, by wziąć wieniec, włożyła mu go na głowę. - To powinny być kwiaty, ale żadne nie kwitną w środku zimy.

Nie wiedziała! Cóż, on jej tego nie powie. Zamiast tego pouczył ją.

- Wieniec z kwiatów daje się ukochanym.

- Tyś jest mój ukochany - powiedziała cicho.

- To chwilowe, dziewczyno. To minie.

- Nigdy!

Wstał i roześmiał się.

- Daj spokój! Masz najwyżej piętnaście lat.

- Szesnaście.

- Piętnaście czy szesnaście, co za różnica? Jesteś dzieckiem...

Zarumieniała się z oburzenia. Twarz jej przybrała zacięty wyraz.

- Nie jestem dzieckiem!

- Oczywiście, że jesteś - zaśmiał się znowu. - Spójrz na siebie. Spowita niczym w pieluchy, istne pulchne dzieciątko.

Tak, tak było lepiej. To ją powinno powstrzymać.

Tak się stało, ale stało się też coś więcej. Była oślepią, śmiertelnie ugodzona. Jej blask zgaś.

- Czy nie jestem ładna? Zawsze tak myślałam.

- Dorastanie to niełatwa rzecz - rzekł szorstko Sulla. - Chyba nie ma rodziny, gdzie nie mówi się córkom, że są ładne. Świat osądza według innych kryteriów, ale przyjmie cię, kiedy będziesz starsza. Łatwo znajdziesz męża.

- Chcę tylko ciebie - wyszeptała.

- Tak jest teraz. Nie miej, w każdym razie, złudzeń, moje kociątko. Zmykaj, zanim pociągnę cię za ogon.

Uciekła. Służąca została daleko w tyle, na próżno nawołując swoją panią. Sulla spoglądał za nimi, póki nie znikły za krawędzią stoku.

Wciąż miał na głowie wieniec z trawy, którego brunatna barwa odcinała się od jego płomienistych kędziorów. Zdjął go, ale nie odrzucił. Wpatrywał się weń długo, a potem schował za tuniką i odszedł.

Biedna mała. Zranił ją, mimo wszystko. A jednak trzeba było ją zniechęcić. Ostatnią rzeczą, jaka mu była potrzebna w życiu z Klitumną, była zadurzona w nim córka sąsiada, i to córka senatora.

Wieniec z trawy łaskotał go przy każdym kroku, przypominając o sobie. *Corona Graminea*. Wieniec z trawy. Wręczono mu go na Palatynie, gdzie przed wiekami stało pierwsze miasto Romulusa, skupisko owalnych chat krytych strzechą, jak ta ostatnia, stojąca przy schodach Kakusa, o którą tak się troszczono. Wieniec z trawy wręczony mu przez uosobienie Wenus - w istocie przez jedną z córek Wenus, Julię. Wróżebny znak.

- Jeśli się spełni, zbuduję ci świątynię, o Zwycięska Wenus - powiedział w głos.

Ujrzał bowiem w końcu drogę. Niebezpieczną i rozpaczliwą, niemniej jednak możliwą do przyjęcia dla kogoś, kto nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania.

Zapał już zimowy zmierzch, gdy go wpuszczono do domu Klitumny. Panie czekały na niego w jadalni z podaniem wieczerzy. Leżały głowa przy głowie i było oczywiste, że rozmawiały o nim, bo odskoczyły od siebie, przybierając niewinne miny.

- Potrzebuję pieniędzy - oświadczył prosto z mostu.

- Ależ, Lucjuszu Korneliuszu... - zaczęła ostrożnie Klitumna.

- Cicho, stara dziuro! Potrzebuję pieniędzy.

- Ależ, Lucjuszu Korneliuszu!

- Wyjeżdżam na wakacje - powiedział, nie robiąc żadnego ruchu, by się do nich przyłączyć. - Reszta zależy od was. Jeśli chcecie mieć mnie tu z powrotem, dajcie mi tysiąc denarów. Jeśli nie, opuszczam Rzym na zawsze.

- Damy ci to, po połowie - oświadczyła niespodziewanie Nikopolis, utkwivszy czarne oczy w jego twarzy.

- Tu i teraz!

- W domu może tyle nie być.

- Lepiej, żeby było, bo nie zamierzam czekać.

Kiedy kwadrans później Nikopolis weszła do jego izby, zastała go przy

pakowaniu. Przysiadłszy na łóżku, przyglądała mu się w milczeniu, póki nie raczył jej zauważyć. To jednak ona odezwała się pierwsza.

- Dostaniesz swoje pieniądze. Klitumna posłała rządcę do bankiera. Dokąd się wybierasz?

- Nie wiem i nie dbam o to. Byle dalej stąd.

Złożył skarpety i wrzucił je do butów. Ruchy miał przemyślane i oszczędne.

- Pakujesz się jak żołnierz.

- Skąd wiesz?

- Ach, byłam kiedyś kochanką trybuna wojskowego. Poszłam za głosem bębna, czybyś w to uwierzył? Takie rzeczy robimy z miłości, kiedy jesteśmy młodzi! Uwielbiałam go. Poszłam za nim do Hiszpanii, a potem do Azji - westchnęła.

- I co było dalej? - spytał, zwijając swoją drugą tunikę i parę skórzanych bryczesów.

- Poległ w Macedonii, a ja wróciłam do kraju.

W jej sercu zbudził się żal, ale nie za poległym kochankiem. Żal jej było Lucjusza Korneliusza, wspaniałego lwa schwytanego w pułapkę i przeznaczonego dla jakiejś brudnej, podrzędnej areny. Po co w ogóle kogoś kochamy? To sprawia tyle bólu.

Uśmiechnęła się niewesoło.

- Zapisał mi wszystko, co miał, i tak stałam się bogata. Było wtedy mnóstwo łupów.

- Serce mi się kraje - powiedział, owijając brzytwy płóciennymi pokrowcami i chowając je w jukach.

Skrzywiła się.

- Cóż to za okropny dom! Nienawidzę go. Wszyscy tu jesteśmy zgorzkniali i nieszczęśliwi. Ile powiedzieliśmy tu sobie miłych słów? Bardzo niewiele. Nic prócz złośliwości, poniżenia i zniewag. Czemu stąd nie odchodzę?

- Bo jesteś, moja droga, trochę już wytartą tkaniną. Nie jesteś tą dziewczyną, która przeszła Hiszpanię i Azję.

- A ty nas nienawidzisz - rzekła. - Czy to nie stąd się bierze ten nastrój? Z ciebie? Jest coraz gorzej, słowo daję.

- Zgadzam się, tak jest. Dlatego właśnie wyjeżdżam na jakiś czas.

Zaciągnął rzemienie obu toreb i uniósł je bez wysiłku.

- Chcę być wolny. Chcę spędzić trochę czasu w jakimś italskim mieście, gdzie nikt nie zna mojej zakazanej gęby. Chcę jeść i pić do woli, zrobić dziecko ze sześciu dziewczynom, bić się z takimi, którzy myślą, że poradzą sobie ze mną jedną ręką, i nadwerężyć tyłek każdemu ślicznemu chłopcu, jaki mi się trafi po drodze - uśmiechnął się złośliwie. - A potem, obiecuję ci, moja droga, że wrócę grzecznie do domu, do ciebie, do cichego Stichego i ciotki Klitti, i będziemy żyli razem długo i szczęśliwie.

Nie powiedział jej, że zabiera ze sobą Metrobiusza. Stary Skylaks też o tym nie wiedział. Nie powiedział też nikomu, nawet Metrobiuszowi, o co mu właściwie chodzi. Nie chodziło o wakacje. To była misja wywiadowcza. Sulla zamierzał zasięgnąć języka w przedmiotach takich jak

farmakologia, chemia i botanika.

Wrócił do Rzymu dopiero pod koniec kwietnia. Wysadziwszy Metrobiusza pod eleganckim apartamentem Skylaksa na wzgórzu Celius pod murami serwiańskimi, zjechał w Vallis Camenarum, by zwrócić w stajni wynajętą dwukółkę i muły. Zapłacił, przerzucił torby przez ramię i poszedł do Rzymu. Nie zabrał w drogę służącego. Zadowalali się z Metrobiuszem usługami personelu gospód i zajazdów, w których się zatrzymywali w podróży przez półwysep.

Kiedy dotarł, idąc Via Appia, do miejsca, gdzie brama Capena przerywała dwudziestostopowe mury Rzymu, miasto zrobiło na nim dobre wrażenie. Według legendy mury serwiańskie wznosił król Serwiusz Tuliusz w czasach przed ustanowieniem republiki. Sulla wiedział jednak, jak większość szlachetnie urodzonych, że te fortyfikacje nie istniały jeszcze przed trzystu laty, kiedy Galowie złupili miasto. Wtargnęli oni od strony Alp Zachodnich, rozlewając się po szerokiej dolinie Padu daleko na północy i stopniowo torując sobie drogę przez półwysep Italii po jego wschodniej i zachodniej stronie. Wielu z nich osiedliło się tam, gdzie dotarli, zwłaszcza w Umbrii i w Picenum, ale ci, którzy szli po Via Cassia przez Etrurię, kierowali się ku Rzymowi, a gdy doszli do miasta, omal nie wydarli go raz na zawsze jego prawowitym posiadaczom. Potem dopiero wzniesiono mury serwiańskie. Tymczasem ludy italskie z doliny Padu, cała Umbria i północne Picenum zmieszały się z Galami, stając się pogardzanymi kastami. Rzym nie zaniedbywał potem swoich murów. Lekcja była bolesna, a wspomnienie najazdu barbarzyńców wciąż budziło dreszcz w Rzymianach.

Choć na Celiusie wznosiło się kilka wieżowców z apartamentami, okolica nadal była sielankowa, aż do bramy Capena. Vallis Camenarum przed bramą pełna była zagród dla bydła, rzeźni, wędzarni i pastwisk dla zwierząt przysyłanych do tego prawdziwego miasta. Nie było tu tłoku i zamieszania jak w Suburze czy na Eskwilinie, tym niemniej było to miasto. Sulla przeszedł wzdłuż Circus Maximus i wspiał się po schodach Kakusa na palatyński Germalus, skąd niedaleko już było do domu Klitumny.

Przed drzwiami zaczerpnął tchu, a potem zastukał kołatką. I wkroczył do świata piszczących kobiet. Było jasne, że Nikopolis i Klitumna były zachwycone jego widokiem. Jęczały i szlochały, wieszały mu się na szyi, dopóki ich nie odepchnął, a potem kręciły się wokół niego, nie dając mu spokoju.

- Gdzie mam teraz spać? - spytał.

- U mnie - powiedziała Nikopolis, rzucając tryumfalne spojrzenie na przycichłą nagle Klitumnę.

Wchodząc z nią pod kolumnadę i zostawiając Klitumnę w atrium, spostrzegł, że drzwi tablinum są szczelnie zamknięte.

- Cichy Stichy jest chyba dobrze ukryty? - spytał Nikopolis, gdy doszli już do jej pokojów.

- Wejdz - rzekła, ignorując jego pytanie, bo chciała jak najprędzej pokazać mu jego nową kwaterę.

Oddała mu swój przestronny salon, pozostawiając sobie sypialnię i gar-

derobę. Poczul przyływ wdzięczności.

- To wszystko moje?

- Wszystko twoje - powiedziała z uśmiechem.

Rzucił torby na łóżko.

- A co ze Stichusem?

Ona wolałaby, oczywiście, by ją całował i kochał się z nią, znała go jednak wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że z dala od niej i od Klitumny nie brakowało mu towarzystwa w łóżku. Na kochanie się przyjdzie czas.

- Stichus dobrze się obwarował, to prawda - powiedziała, sięgając do jego toreb.

Odsunął ją stanowczo, rzucił torby za skrzynię na ubrania i usiadł na swoim ulubionym krześle przy nowym stole do pisania. Nikopolis przysiadła na łóżku.

- Powiedz mi wszystko. Co nowego?

- Cóż, Stichy śpi w pokoju pana domu i korzysta, oczywiście, z tablinum. Wszystko ułożyło się lepiej, niż myślałam, bo Stichy jest na co dzień trudny do zniesienia, nawet dla Klitumny. Jeszcze parę miesięcy i sama go wyrzuci. Mądrze zrobiłeś, że wyjechałeś.

Pogłaskała nieświadomie poduszkę.

- Stichy wkroczył tu jak tryumfator. Byłeś nieobecny, więc nie przyćmiłeś jego chwały. I wtedy się zaczęło. Twoje książki poszły na śmietnik - wszystko w porządku, służba je uratowała - i wszystkie twoje rzeczy i ubrania także. Ale nic nie zginęło, bo domownicy ciebie lubią, a jego nie cierpią. Wszystko jest tu gdzieś, w tym pokoju.

Sulla błądził wzrokiem po ścianach i po pięknej mozaikowej posadzce.

- To miło - powiedział. - Opowiadaj dalej.

- Klitumna była zdruzgotana. Nie przypuszczała, że Stichus wyrzuci twoje rzeczy. Chyba zresztą wcale nie chciała, żeby się tu wprowadził, ale nie potrafiła odmówić krewniakowi i to ostatniemu z rodu. Nie jest zbyt bystra, ale zrozumiała, że tylko dlatego chciał się tu wprowadzić, by cię wyrzucić na ulicę. Pieniądzy mu nie brakowało. Twoja nieobecność odebrała mu jednak połowę przyjemności z wyrzucania twoich rzeczy. Żadnych kłótni, żadnego oporu - i nikt tego nie oglądał, tylko ponura służba, zapłakana ciotka i ja - a ja go traktowałam jak powietrze.

Weszła cicho Bitty, niosąc tacę z pasztecikami, słodkimi bułeczkami i ciasteczkami, i postawiła ją na skraju stołu, uśmiechając się nieśmiało do Sulli. Spozrzęła pasek wysuwający się zza skrzyni na ubrania i schyliła się, by podnieść torby.

Sulla był tak szybki, że Nikopolis nie spostrzegła nawet, jak chwyta on dziewczynę. W jednej chwili siedział wygodnie rozparty w krześle, a w następnej odciągał już Bitty od skrzyni. Uszczypnął ją lekko w policzek i wypchnął za drzwi. Nikopolis patrzyła na to zdumiona.

- Ależ ty się troszczysz o te torby! Pilnujesz ich jak pies kości. Co tam masz?

- Nalej mi wina - powiedział, siadając i sięgając po pasztecik. Zrobiła, o co prosił, ale nie zamierzała odstąpić od tematu.

- No więc, Lucjuszu Korneliuszu, co jest w tych torbach, których nikomu nie wolno dotknąć?

Postawiła przed nim puchar nie rozcieńczonego wina.

Wygiął usta w podkówkę i wznosił ręce do nieba w geście irytacji.

- A jak myślisz? Nie widziałem moich dziewcząt przez cztery miesiące, ale myślałem o was. Nie bez przerwy, ale przecież myślałem, zwłaszcza gdy widziałem jakiś drobiazg, który mógł się wam spodobać.

Jej twarz rozjaśniła się. Sulla nie był nigdy skory do dawania prezentów. Nie przypominała sobie, prawdę mówiąc, by kiedyś dał jej albo Klitumnie choćby najskromniejszy. Na tyle znała się na ludziach, by rozpoznać w tym przejaw skąpstwa, a nie ubóstwa. Ktoś hojny z natury daje nawet wtedy, kiedy nie ma nic do dania.

- Lucjuszu Korneliuszu! Naprawdę? Kiedy to zobaczę?

- Kiedy będę gotów. Która to godzina? - spytał, spoglądając w okno.

- Nie wiem, chyba koło ósmej. Jeszcze nie pora obiadu.

Wstał, podszedł do skrzyni i zarzucił sobie torby na ramię.

- Wrócę na obiad.

Mina jej się wydłużyła.

- Nieznośny jesteś! Ledwie wróciłeś do domu, a już dokądś gonisz. Chyba nie do Metrobiusza, skoro miałeś go ze sobą!

To go powstrzymało. Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Rozumiem. Skylaks przybiegł tu na skargę.

- Można to tak nazwać. Przybył jak aktor tragiczny grający Antygonę, a odszedł niczym komik w roli eunucha. To Klitumna przyprawiła go o piskliwy głos. - Zaśmiała się na to wspomnienie.

- Stara ciota! To do niego pasuje. Czy uwierzysz, że nie pozwalał chłopcu uczyć się czytania i pisania?

Torby nie dawały jej jednak spokoju.

- Mógłbyś mieć na tyle zaufania, żeby je tu zostawić, jeśli wychodzisz.

- Nie jestem głupi - powiedział, wychodząc.

Kobieca ciekawość! Był jednak głupi, bo o niej zapomniał. Zszedł na Wielki Rynek i przez następną godzinę wydał resztę swego tysiąca denarów, oszczędności na przyszłość, jak myślał jeszcze niedawno. Kobiety! Hałaśliwe, wchodzące w drogę samice. Dlaczego przedtem o tym nie pomyślał?

Wrócił z torbami pełnymi szalów, bransolet, wschodnich pantofli i spinek do włosów. Przy wejściu został poinformowany, że panie i pan Stichus czekają w jadalni z rozpoczęciem obiadu.

- Zaraz przyjdę - powiedział i poszedł do pokoiów Nikopolis.

W pobliżu nie było nikogo, ale dla pewności zamknął okiennice i zaryglował drzwi. Rzucił na stół kupione w pośpiechu upominki i kilka zwojów nowych książek. Lewą torbą się nie zajmował. Z prawej wyrzucił na łóżko ubrania i z jej dna wyciągnął dwie pary zwiniętych skarpet. Wyciągnął z nich dwie buteleczki o korkach pokrytych grubo woskiem. Potem ukazało się drewniane pudełeczko dające łatwo ukryć się w dłoni. Nie mógł się powstrzymać, by nie unieść dopasowanej szczelnie pokrywki. Zawartość

wyglądała nieciekawie: kilka uncji jakiegoś brudnobiałego proszku. Zamknął starannie pokrywkę, a potem rozejrzał się po pokoju. Gdzie?

Na długim wąskim stole stało rządkiem kilka zniszczonych drewnianych szafek w kształcie kapliczek. Było to wszystko, co pozostało z wyposażenia rodzinnego domu Sulli, wszystko, co odziedziczył po ojcu i czego ojcu nie udało się sprzedać. Szafek było pięć. Każda miała malowane drzwiczki między kolumnami. Podparte kolumnami przyczółki ozdobione były u szczytu i po bokach posążkami. Na prostym belkowaniu wypisane było pod każdym przyczółkiem jakieś nazwisko. Było więc nazwisko założyciela rodu, wspólnego przodka wszystkich siedmiu odgałęzień patrycjuszowskiego rodu Korneliuszów, było nazwisko Publiusza Korneliusza Rufina, konsula i dyktatora sprzed ponad dwustu lat, i nazwisko jego syna, dwukrotnego konsula i dyktatora z czasów wojen samnickich, usuniętego później z senatu za posiadanie dziesięciu miar wagi srebrnych wyrobów.

Były tam także nazwiska pierwszego Rufina o przydomku Sulla, kapłana Jowisza, i jego syna, pretora Publiusza Korneliusza Sulli Rufina, sławnego fundatora *ludi Apollinares*, igrzysk Apollina.

Sulla otworzył szafkę pierwszego Sulli. Zrobił to bardzo ostrożnie, bo drewno, o które nie dbano od wielu lat, było już spróchniałe. Kiedyś farby były jaskrawe i drobne malowane postacie rysowały się wyraźnie. Teraz były wyblakłe i łuszczące się. Sulla obiecywał sobie, że kiedyś, gdy dojdzie do pieniędzy, odnowi te kapliczki przodków i wystawi je z dumą w wielkim atrium swego domu. Tymczasem uznał, że najlepiej będzie schować buteleczki i pudełko w szafce Sulli flamera Dialis, najbardziej świątobliwego męża swoich czasów i sługi Jowisza Najlepszego i Największego.

Wnętrze szafki wypełniały woskowe maski naturalnej wielkości. Ich oczy wpatrywały się w Sullę, były raczej niebieskie niż jasnoszare jak jego oczy. Rufinus miał jasną cerę, ale nie tak jasną jak Sulla, a jego gęste kędzierzawe włosy były raczej rude niczym marchew niż złotorude. Pozostawiono tylko tyle miejsca, by maski dawały się wyjąć. Każda umieszczona była na drewnianym klocku o kształcie głowy. Po raz ostatni wyjmowano je z okazji pogrzebu ojca, za który Sulla zapłacił po odbyciu przykrych serii spotkań z mężczyznami, których nie cierpiał.

Zamknął z czułością drzwiczki, a potem pociągnął za stopnie podium, które wydawało się jednolitym kawałkiem drewna. Było jednak puste w środku, całkiem jak w prawdziwej świątyni, i ze stopni wysunęła się szuflada. Nie miał to być w zamierzeniu schowek, ale rodzaj pojemnika na informacje o przodku, opisy jego czynów, a także opisy jego wyglądu, rozmiarów, postawy, nawyków i znaków szczególnych. Kiedy umierał jakiś Korneliusz Sulla, wynajmowano aktora, który nakładał maskę i naśladował zmarłego przodka tak wiernie, że można by sądzić, iż zmarły wraca, by obejrzeć późną odrośl szlchetnego rodu wyprowadzaną z tego świata, którego on sam kiedyś był ozdobą.

W szufladzie były dokumenty dotyczące kapłana Publiusza Korneliusza Sulli Rufina, ale było tam jeszcze mnóstwo miejsca na buteleczki i

pudełko. Sulla włożył je do środka, zasunął szufladę i upewnił się, że nie widać żadnej szczeliny. Jego sekret będzie bezpieczny u Rufina.

Odetchnął z ulgą, otworzył okiennice i odryglował drzwi. Wybrał jeden ze zwojów, uśmiechnął się złośliwie i wyszedł.

Lucjusz Gawiusz Stichus zajmował, oczywiście, miejsce gospodarza po lewej stronie środkowej sofie. Ta jadalnia była jedną z nielicznych, w których kobiety nie siedziały na krzesłach z oparciami, ale półyżwały jak mężczyźni. Staroświeckie poglądy nie robiły wrażenia na Klitumnie ani na Nikopolis.

- To dla was, dziewczęta - rzekł Sulla, rzucając naręcze darów ku dwóm pełnym uwielbienia twarzom, które podążały za nim niczym słoneczniki za słońcem. Wybrał rzeczy, które rzeczywiście mogły pochodzić z innych miejsc niż rynek w środku Rzymu i których nie powstydzilaby się żadna kobieta.

Zanim wsunął się między Klitumnę a Nikopolis, leżące na pierwszej sofie, położył przed Stichusem przyniesiony zwój.

- Ta drobnostka dla ciebie, Stichusie.

Kiedy układał się wśród chichotów i pomruków między kobietami, zaskoczony upominkiem Stichus rozwiązał taśmy i rozwinął zwój. Policzki zapłonęły mu szkarłatem, gdy pochłaniał wzrokiem przepięknie namalowane postacie atletów ze wzniesionymi penisami, dogadzających sobie nawzajem na wszystkie możliwe sposoby na nieświadomym niczego papirusie.

Zwinął i związał zwój drżącymi palcami, a potem zebrał się na odwagę, by spojrzeć na ofiarodawcę. Przerazające oczy Sulli patrzyły na niego sponad głowy Klitumny z wyrazem niezmiernie pogardy.

- Dziękuję ci, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział piskliwym głosem.

- Nie ma za co, Lucjuszu Gawiuszu - odpowiedział gardłowym tonem Sulla.

W tej właśnie chwili wniesiono pierwsze danie, *gustatio*. Sulla podejrzewał, że urozmaicono je naprędce na jego cześć, bo oprócz zwykłego zestawu oliwek, sałaty i jaj na twardo były w nim bażancie kielbaski i kawałki tuńczyka w oliwie. Zajadał, nie żałując sobie i spoglądając złośliwie na Stichusa samotnego na swej sofie, gdy tymczasem ciotka tamtego przyłgnęła całą długością swego ciała do boku Sulli, a Nikopolis bezwstydnie głaskała jego udo.

- Co słyhać wokół domu? - spytał Sulla, gdy już uporano się z pierwszym daniem.

- Nic ciekawego. - Nikopolis była bardziej zainteresowana tym, co się działo pod jej dłonią.

- Nie wierzę. - Sulla zwrócił się do Klitumny, ujął jej dłoń i zaczął gryźć jej palce. Ujrzawszy niesmak na twarzy Stichusa, zaczął te palce lubieżnie oblizywać. - Ty mi to powiedz, kochana - liźnięcie - bo nie mogę uwierzyć - liźnięcie - że nic się nie zdarzyło.

Na szczęście w tej właśnie chwili pojawiło się danie główne, *ferculum*. Klitumna wyswobodziła dłoń i sięgnęła po pieczeń baranią w tymiankowym sosie. Między jednym a drugim kęsem mówiła:

- Nasi sąsiedzi starali się wynagrodzić nam nasze ciche zachowanie pod twoją nieobecność. - Tu westchnęła. - Żona Tytusa Pomponiusza urodziła mu w lutym syna.

- O bogowie! Jeszcze jeden przyszły kupiec łąsy na pieniądze - skomentował to Sulla. - A jak się czuje Cecylia Pilia?

- Doskonale. Nie było żadnych kłopotów.

- A co u Cezara? - Sulla pomyślał o słodkiej Julilli i o wieńcu z trawy.

- Wielka nowina! - Klitumna oblizwała palce. - Wyprawili wesele i było to nie lada wydarzenie!

Coś wydarzyło się z sercem Sulli. Wydało mu się, że spada ono jak kamień na dno jego brzucha i tam zaczyna pienieć się pośród przełkniętych potraw. Co za niezwykle uczucie!

- Doprawdy? - udało mu się powiedzieć obojętnym tonem.

- Ależ tak! Starsza córka Cezara wyszła za męża, i to za kogo! Za Gajusza Mariusza! Oburzające, nieprawdaż?

- Gajusza Mariusza?

- Czyżbyś go nie znał?

- Chyba nie. Mariusz? To musi być jakiś człowiek nowy.

- Zgadza się. Pięć lat temu był pretorem. Nie zdobył się na starania o konsulat, ale był namiestnikiem Hiszpanii Dalszej i zrobił tam fortunę na kopalniach i podobnych sprawach.

Sulla przypomniał sobie nie wiadomo czemu tamtego męża o wyglądzie orła z dnia inauguracji konsulów. Tamten nosił togę z purpurowym szlakiem.

- Jak on wygląda?

- Groteskowo, mój drogi! Ma ogromne brwi niczym włochate gąsienice - rzekła Klitumna, sięgając tymczasem po brokuły - i jest ze trzydzieści lat starszy od biednej Julii.

- Co w tym niezwykłego? - Stichus uznał, że czas się włączyć do rozmowy. - Połowa dziewcząt w Rzymie wychodzi za ludzi, którzy mogą być ich ojcami.

Nikopolis zmarszczyła brwi.

- Chyba nie aż połowa, Stichy. Raczej czwarta część.

- To wstrętne - oświadczył Stichus.

- Bzdura! - Nikopolis usiadła na sofie. - Powiem ci, że można się wiele nauczyć od starszych, kiedy chodzi o młodą dziewczynę, a zwłaszcza rozważę i rozsądku. Najgorsi są kochankowie przed dwudziestką piątką. Myślą, że wszystko wiedzą. Rekruci! Kończą, zanim coś się zacznie.

Stichus, który miał dopiero dwadzieścia trzy lata, zachnął się.

- Ty też myślisz, że wszystko wiesz!

Odpowiedziało mu nieustępliwe spojrzenie, które mówiło: „Wiem więcej niż ty, głupku”.

- Przestańcie! - zawołała Klitumna. - Niech to będzie miły wieczór. Nasz drogi Lucjusz Korneliusz wrócił!

Ich drogi Lucjusz Korneliusz chwycił swą macochę w ramiona i przewrócił na wznak, łaskocząc ją pod żebrami, aż zaczęła piszczeć i fikać nogami. Nikopolis odpłaciła się zaraz Sulli łaskotkami i pierwsza sofa

zmieniła się nagle w kłębowisko ciał.

Tego już było za wiele dla Stichusa. Porwał swoją książkę, zsunął się z sofy i wyszedł, nie mając żadnej pewności, że ktoś zauważył jego wyjście. Jak tu się pozbyć tego człowieka? Ciotka Klitti ogłupiała! Nawet pod nieobecność Sulli nie udało się Stichusowi namówić jej na wyrzucenie rzeczy tamtego. Wciąż tylko powtarzała, jaka to szkoda, że jej dwaj drodzy chłopcy nie zgadzają się ze sobą.

Stichus nic prawie nie zjadł, ale nie martwił się tym. Miał u siebie bardzo interesujący zestaw żywnościowy: słoje ulubionych fig w syropie, stale uzupełniany przez kucharza zapas miodownika, partyjskie wonne galaretki, soczyste rodzynki, pierniczki i zaprawiane miodem wino. Mógł się obejść bez brokułów i pieczeni baraniej. Lubił naprawdę jedynie słodocze.

Światło pięciokrotnej lampy rozpraszało pierwszy zmierzch, a Lucjusz Gawiusz Stichus, oparłszy podbródek na dłoń, pogryzał figi w syropie, oglądał uważnie ilustracje w książce otrzymanej od Sulli i czytał krótkie greckie teksty towarzyszące ilustracjom. Sulla dawał mu oczywiście do zrozumienia, że on sam nie potrzebuje takich książek, ale Stichusowi to nie przeszkadzało. Ach, ach! Coś się działo pod wyszywaną tuniką. Przeniósł dłoń z podbródka w niższe rejony z całkowicie niewinną miną, której nie docenił, niestety, jedyny świadek i towarzysz: słoje fig w syropie.

Rankiem następnego dnia Sulla przeszedł przez Palatyn do tego miejsca na Palatium, gdzie kiedyś spotkał Julillę. Wiosna była w pełni. Wśród zieleni pełno było kwiatów: były tam narcyzy i anemony, hiacynty i fiołki, nawet jakaś przypadkowa wczesna róża. Dzikie jabłonie i brzoskwinie obsypane były białoróżowymi kwiatami, a kamień, na którym siedział w styczniu, prawie skrył się w zielonej bujnej trawie.

Julilla była tam w towarzystwie swojej dziewczyny. Wydała mu się szczuplejsza, bledsza. Kiedy go jednak zobaczyła, jakaś gwałtowna tryumfująca radość zalała rumieńcem jej twarz, od oczu po korzonki włosów. Jaka piękna! Ach, nigdy jeszcze w dziejach świata tak piękna kobieta nie zrodziła się z ludzi śmiertelnych! Sulla przystanął, czując, że włos mu się jeży, pełen lęku, nieomal grozy. Wenus! To była Wenus, władczyni życia i śmierci. Czym bowiem było życie, jeśli nie zasadą prokreacji, a czym śmierć, jeśli nie jej zanikiem? Wszystko inne było dekoracją, strojem wymyślonym, by przekonać samego siebie, że życie i śmierć muszą znaczyć coś więcej. To była Wenus. Czy jednak czyniło to z niego Marsa równego jej w boskości - czy tylko Anchizesa, śmiertelnika, wybranego przez nią do zabawy na chwilkę, która dla niej trwała jedno tylko uderzenie boskiego serca?

Nie, on nie był Marsem. Życie uczyniło z niego dotąd jedynie ozdobę, i to najtańszego gatunku. Kimże miał być, jeśli nie Anchizesem, mężem sławnym tylko z tego, że Wenus wybrała go do chwilowej zabawy? Zatrząsł się z gniewu, obracając przeciw niej swe rozgoryczenie, tłocząc truciznę w żyły i rozpalając w sobie przemożną chęć ugodzenia jej, sprowadzenia z roli Wenus do roli Julilli.

- Usłyszałam, że wczoraj wróciłeś - odezwała się, nie zbliżając się do niego.

- Rozesłałaś szpiegów? - odparł, również nie starając się do niej zbliżyć.

- To zbyt ciche na naszej ulicy, Lucjuszu Korneliuszu. Służba wie wszystko.

- Nie myśl, że przyszedłem tu, szukając ciebie. Przyszedłem po chwilę spokoju.

Była teraz jeszcze piękniejsza, chociaż zdawałoby się, że to niemożliwe. Moja słodka! Julilla. To imię miało smak miodu. Tak samo było z Wenus.

- Czy to ma znaczyć, że ci zakłócam spokój? - Była bardzo pewna siebie, jak na tak młodą dziewczynę.

Roześmiał się, jakby było w tym coś zabawnego.

- O bogowie! Dziecino, w niejednym musisz jeszcze dorosnąć. Powiedziałem, że przyszedłem tu po chwilę spokoju. Z tego wynika, zgodnie z logiką, że znalazłem tu tę chwilę i że nie zakłócasz mi tego spokoju ani odrobinę.

- Niekoniecznie! Może to po prostu znaczyć, że nie spodziewałeś się mnie tu znaleźć.

- Co prowadzi wprost do wniosku, że nie robi mi to żadnej różnicy.

Była to, oczywiście, nierówna walka. Na jego oczach zapadała się w sobie, traciła blask, z nieśmiertelnej stawała się śmiertelną. Zmarszczyła czoło, ale zdołała powstrzymać się od płaczu. Patrzyła tylko na niego oszołomiona, niezdolna pogodzić jego miny i jego słów z tym, co czuła w sercu, które mówiło jej z każdym uderzeniem, że już złowiła go w swe sidła.

- Ja cię kocham - powiedziała, jakby to tłumaczyło wszystko.

Znów się zaśmiał.

- Piętnastolatka! Co ty możesz wiedzieć o miłości?

- Mam szesnaście lat.

- Posłuchaj, dziecino - rzekł ostrym tonem. - Zostaw mnie w spokoju. Już nie tylko mi się naprzykrzasz, ale zaczynasz mi sprawiać kłopoty.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, nie oglądając się ani razu.

Julilla nie załamała się i nie rozplęnęła we łzach, choć może tak byłoby lepiej. Gwałtowny i bolesny atak płaczu mógłby ją przekonać, że się myli i że nigdy nie zdoła go usidlić. Tymczasem jednak podeszła z zadartą w górę głową do swej dziewczyny, Chryzejdy, która udawała, że pochłania ją całkowicie widok pustego Circus Maximus.

- Nie ułatwia mi on sprawy, ale mniejsza o to. Prędzej czy później dostanę go, Chryzejdo.

- On cię chyba nie pragnie - zauważyła Chryzejda. Julilla zlekceważyła tę uwagę.

- Oczywiście, że mnie pragnie. Pragnie mnie rozpaczliwie!

Długa znajomość z Julillą nauczyła Chryzejdę powściągliwości. Zamiast spierać się z panią, wzruszyła ramionami.

- Niech będzie po twojemu.

- Zwykle tak jest - powiedziała Julilla.

Ruszyły w stronę domu w niezwykłym dla nich milczeniu, były bowiem

rówieśnicami i razem dorastały. Kiedy jednak doszły do wielkiej świątyni Magna Mater, Julilla oświadczyła z determinacją w głosie:

- Przestanę jeść.

Chryzejda przystanąła i spytała:

- I co chcesz przez to osiągnąć?

- W styczniu powiedział mi, że jestem gruba. I jestem.

- Nie jesteś, Julillo!

- Jestem. Dlatego właśnie od stycznia nie jem słodczy. Trochę schudłam, ale to za mało. On lubi szczupłe kobiety. Spójrz tylko na Nikopolis. Ręce ma jak patyki.

- Ależ ona jest stara! To, co dobre dla niej, nie jest dobre dla ciebie. Poza tym twoi rodzice będą się martwić. Pomyślą, że jesteś chora!

- To dobrze. Jeśli oni będą tak myśleć, Lucjusz Korneliusz także będzie. I będzie się strasznie o mnie martwił.

Chryzejda nie zdobyła się na lepsze argumenty. Nie była szczególnie inteligentna ani szczególnie roztropna. Wybuchnęła płaczem, co sprawiło wielką przyjemność Julilli.

Czwartego dnia po powrocie Sulli do domu Klitumny, Lucjusz Gawiusz Stichus zapadł na rozstrój żołądka, który powalił go do łóżka. Klitumna wezwała pół tuzina najsławniejszych lekarzy Palatynu. Diagnoza była zgodna: zatrucie pokarmowe.

- Wymioty, kolka, biegunka - to klasyczne objawy - oświadczył w imieniu wszystkich rzymski lekarz Publiusz Popiliusz.

- Ależ on jadł tylko to, co my wszyscy - protestowała Klitumna, bynajmniej nie uspokojona. - Właściwie nie jadł nawet tyle, co inni, i to mnie najbardziej martwi.

- *Domina* chyba się myli - rzekł najgłośniejszy pośród obecnych Atenodor Sykulus, praktyk słynny z prawdziwie greckiej dociekliwości. Obszedł przedtem cały dom i zajrzał do wszystkich pokoiów z wejściem z atrium, a potem do wszystkich wychodzących na perystyl. - Wiesz zapewne, pani, że Lucjusz Gawiusz ma w tablinum prawdziwy sklep cukierniczy?

- Także coś! - pisnęła Klitumna. - Sklep cukierniczy, doprawdy! Kilka fig i trochę ciastek. Prawie ich zresztą nie tknął.

Sześciu uczonych mężów spojrzęło po sobie.

- *Domina*, on jadł je przez cały dzień i przez pół nocy, jak mówi twoja służba - rzekł sycylijski Grek Atenodor. - Powinnaś kazać mu odstawić słodczy. Gdyby jadł coś lżejszego, nie tylko nie miałby kłopotów z trawieniem, ale byłby znacznie zdrowszy.

Lucjusz Gawiusz przysłuchiwał się temu wszystkiemu ze swego łóżka, zbyt osłabiony gwałtowną biegunką, by się bronić. Nieco wytrzeszczone oczy przeskakiwały od twarzy do twarzy, gdy jeden po drugim zabierał głos.

- Ma pryszczę i niezdrową cerę - zauważył Grek z Aten. - Czy uprawia ćwiczenia fizyczne?

- Nie jest mu to potrzebne - odparła Klitumna, a w jej głosie pojawiła się

po raz pierwszy nuta zwątpienia. - Biega z miejsca na miejsce w interesach, jak tego wymaga jego zawód, i dzięki temu jest w ciągłym ruchu.

- Jaki jest twój zawód, Lucjuszu Gawiuszu? - spytał Hiszpan.

- Jestem handlarzem niewolników.

Ponieważ wszyscy obecni poza Publiuszem Popiliuszem zaczęli swą karierę w Rzymie jako niewolnicy, w ich oczach pojawiło się więcej zółci, niż można by jej znaleźć w Lucjuszu Gawiuszu. Wszyscy naraz doszli do wniosku, że muszą już iść.

- Gdyby miał ochotę na coś słodkiego, niech się ograniczy do wina z miodem - polecił Publiusz Popiliusz. - Jeszcze przez dzień, dwa niech je same lekkie rzeczy, a kiedy poczuje głód, może już jeść normalnie. Zauważ, *domina*, normalnie! Fasolę, a nie słodycze, sałatę, a nie słodycze, zimne przekąski, a nie słodycze.

Stan zdrowia Stichusa poprawił się w następnym tygodniu, ale nie czuł się on całkiem dobrze. Jadł wyłącznie rzeczy pożywne i zdrowe, ale mimo to cierpiał na powracające nudności, wymioty i biegunki, nie tak silne jak przy pierwszym ataku, ale bardzo go osłabiające. Zaczął tracić na wadze, ale tak nieznacznie, że nikt tego nie zauważył.

Pod koniec lata nie był w stanie pójść do swego kantoru w portyku Metellów i coraz rzadziej miał ochotę leżeć na sofie na słońcu. Przestała go nawet interesować wspaniale ilustrowana książka, którą dał mu Sulla, a jedzenie czegokolwiek stało się dla niego ciężką próbą. Smakowało mu tylko zaprawione miodem wino, a i to nie zawsze.

Zanim minął wrzesień, zdołali go już odwiedzić wszyscy lekarze Rzymu. Postawiono wiele różnych diagnoz, nie mówiąc o różnych kuracjach, zwłaszcza odkąd Klitumna zaczęła się zwracać do szarlatanów.

- Niech je, na co ma ochotę - mówił jeden.

- Powinien się przegłodzić - mówił drugi.

- Nie powinien jeść niczego prócz fasoli - zalecał jakiś pitagorejczyk.

- Można się pocieszać - stwierdził Atenodor Sykulus - że cokolwiek to jest, nie jest zaraźliwe. Sądzę, że to zapalenie jelita grubego. Należy jednak dopilnować, żeby ci, którzy się z nim stykają albo muszą opróżnić jego nocnik, myli potem dokładnie ręce i nie zbliżali się do kuchni ani do jedzenia.

W dwa dni później Lucjusz Gawiusz Stichus zmarł. Nieutulona w żalu Klitumna opuściła Rzym zaraz po pogrzebie, błagając Sullę i Nikopolis, by wyjechali z nią do Cyrcejów, gdzie miała willę. Choć jednak Sulla odprowadził ją aż na wybrzeże Kampanii, ani on, ani Nikopolis nie zgodzili się opuścić Rzymu.

Wróciwszy z Cyrcejów, Sulla ucałował Nikopolis i oświadczył, że wprowadza się z jej pokojów.

- Przejmuję znowu tablinum i moją sypialnię. W końcu Stichy nie żyje, a ja jestem kimś w rodzaju syna pani domu.

Krzywiąc z odrazą twarz, wrzucił bogato ilustrowany zwój do kosza z podpałką i wyciągnął dłoń w stronę Nikopolis, która przyglądała mu się z wejścia.

- Spójrz tylko, wszystko tu się klei.

Na bezcennej konsoli z cytrusowego drewna stała pod ścianą karafka z winem zaprawionym miodem. Sulla wziął ją do rąk, spojrzął na ślad, jaki pozostał po niej na zawsze na przepięknym rysunku słojów i syknął przez zęby:

- Cóż za ohydny karaluch! Żegnaj, Stichy!

Cisnął karafką przez otwarte okno między kolumny perystylu. Roztrzaskała się na tysiąc kawałków na cokole ulubionej rzeźby Klitumny: Apollona ścigającego driadę Dafne. Wielki gwiazdzisty rozprysk ozdobił gładki marmur, a gęsty płyn zaczął ściekać i wsiąkać w ziemię. Nikopolis rzuciła się do okna, by popatrzeć.

- Masz słuszność. Cóż to był za karaluch!

Potem posłała Bittę ze ścierką i wodą, żeby umyła cokół.

Nikt nie zwrócił uwagi na ślady białego proszku na marmurze, bo i ten był biały. Woda zrobiła swoje i proszek znikł.

- Cieszę się, że nie trafiłeś w rzeźbę - powiedziała Nikopolis, siedząc na kolanach Sulli. Oboje przyglądali się Bitcie.

- Szkoda - powiedział Sulla, minę miał jednak zadowoloną.

- Szkoda? Lucjuszu Korneliuszu, to by zniszczyło malowidło. Cokół to na szczęście tylko zwykły marmur.

Wyszczerył zęby i zsunął ją z kolan.

- Jak to się dzieje, że stale mam wokół siebie ludzi bez poczucia smaku?

Plama znikła bez śladu, a Bitta wykręciła ścierkę i wylała wodę między bratki.

- Bitto! - zawołał Sulla. - Umyj ręce, dziewczyno, i to dobrze. Nie wiadomo, na co umarł Stichy, a on stale pił to wino. Zrób to zaraz!

Bitta odeszła szczęśliwa, że zwrócił na nią uwagę.



- Spotkałem dziś bardzo interesującego młodego człowieka - powiedział Gajusz Mariusz do Publiusza Rutyliusza Rufusa.

Siedzieli w świętym okręgu świątyni Tellus na Karynach, który graniczył z domem Rutyliusza Rufusa. Było tu trochę słońca, mile widzianego w ów wietrzny jesienny dzień.

- Słońce nie zagląda już w mój perystyl - wyjaśnił Rutyliusz Rufus, prowadząc swego gościa ku drewnianej ławce przy rozległej, choć nieco zaniedbanej świątyni.

- Nikt dziś nie pamięta o dawnych bogach, zwłaszcza o Tellus, mojej drogiej sąsiadce - ciągnął, kiedy już usiedli. - Wszyscy kłaniają się Wielkiej Matce z Azji. Zapomnieli, że Rzym ma własną boginię ziemi.

Aby uprzedzić nadciągającą groźbę mowy pochwalnej na cześć najstarszych bogów Rzymu, Gajusz Mariusz zdecydował się wspomnieć o spotkaniu z owym interesującym młodym człowiekiem. Podstęp poskutkował, bo Rutyliusz zawsze był ciekaw interesujących ludzi, niezależnie od wieku i płci.

- I któż to taki? - spytał, podnosząc twarz ku słońcu i przymykając oczy.

- Młody Marek Liwiusz Druzus. Ma chyba osiemnaście lat.

- Mój bratanek Druzus?

Mariusz odwrócił głowę zaskoczony.

- Twój bratanek?

- Ależ tak, jeśli chodzi o syna tego Marka Liwiusza Druzusa, który odbył w styczniu tryumf i chce kandydować na cenzora.

Mariusz pokręcił ze śmiechem głową.

- Zawsze się gubię w takich rzeczach jak pokrewieństwa.

- Pewnie dlatego - powiedział oschłym tonem Rufus - że moja żona Liwia, ciotka tego młodego człowieka, pozwól, że odświeżę twoją beztroską pamięć, nie żyje od wielu lat. Nigdy też nie wychodziła ze mną ani do moich gości. Druzusowie mają niestety skłonność do łamania ducha swoich kobiet. Był to prawdziwy skarb ta moja żona. Dała mi dwójkę udanych dzieci i nigdy nie było ani jednej kłótni.

- Pamiętam. - Mariusz czuł się nieswojo, przyłapany na niezręczności. Nigdy tego wszystkiego nie spamięta. Nie przypominał też sobie, by kiedyś spotkał nieśmiałą żonę starego przyjaciela. - Powinieneś ożenić się powtórnie.

Był ostatnio wielkim zwolennikiem małżeństwa.

- Co takiego? Dziękuję pięknie. Moją jedyną namiętnością jest pisanie listów. - Otworzył jedno ciemnoniebieskie oko, zerkając na Mariusza. - Czemu tak wysoko cenisz mojego bratanka Druzusa?

- W zeszłym tygodniu miałem kilka spotkań z italskimi sprzymierzeńcami różnej narodowości. Wszyscy gorzko narzekali na niewłaściwe traktowanie ich kontyngentów przez Rzym. Moim zdaniem - mówił z namysłem Mariusz - mają powody do narzekania. Konsulowie z ostatnich dziesięciu lat szafowali życiem swych żołnierzy, jakby to były wróble albo szpaki. A kiedy groziła utrata życia, najpierw posyłali na śmierć oddziały sprzymierzeńców. Weszło to już w zwyczaj. Żaden konsul nie pomyślał, że sprzymierzeni żołnierze należą do swoich narodów i opłacani są przez te narody, nie przez Rzym.

Rutyliusz Rufus nie miał nic przeciw zawiłym dyskusjom. Zbyt dobrze znał Mariusza, by sądzić, że ostatnie słowa nie mają żadnego związku z jego bratankiem Druzusem, ochoczo więc skomentował dygresję.

- Sprzymierzeńcy uznali hegemonię Rzymu, by zapewnić bezpieczeństwo Italii. W zamian za dostarczenie nam żołnierzy przyznano im specjalny status i wiele korzyści. Konsolidacja ludów półwyspu nie jest wśród nich ostatnia. Oddali swoje wojska Rzymowi, walczymy zatem za wspólną sprawę. Gdyby nie to, nadal wojowałiby między sobą, tracąc przy tym więcej ludzi, niż ich stracili za sprawą tego czy innego konsula.

- To rzecz do dyskusji - rzekł Mariusz. - Mogli zamiast tego zjednoczyć się i utworzyć jeden naród italski!

- Nie pojmuję, do czego zmierzasz, mój drogi Gajuszu Mariuszu, skoro przymierze z Rzymem jest faktem, i to od dwustu albo trzystu lat.

- Ich delegaci utrzymują, że Rzym używa ich wojsk w wojnach zamorskich bez żadnej korzyści dla Italii - odpowiedział ze spokojem Mariusz. - Znęciliśmy ludy Italii obietnicą obywatelstwa rzymskiego, ale od osiemdziesięciu lat żadna italska społeczność nie otrzymała tego obywatelstwa, jak to sam wiesz. Trzeba było aż buntu Fregellów, by wymusić na senacie koncesje na rzecz Latynów.

- To już zbytnie uproszczenie - odparł Rutyliusz Rufus. - Nigdy nie obiecywaliśmy italskim sprzymierzeńcom powszechnego prawa do głosowania. Mowa była o stopniowym przyznawaniu obywatelstwa w zamian za lojalność. Najpierw prawa łatyńskie.

- Prawa łatyńskie niewiele znaczą, Publiusz Rutyliuszu. W najlepszym razie jest to obywatelstwo drugiej klasy - bez prawa głosu w rzymskich wyborach.

- Zgoda, ale musisz przyznać, że przez te piętnaście lat od czasu buntu Fregellów sprawy poszły naprzód. Teraz każdy, kto sprawuje urząd w mieście łatyńskim, otrzymuje pełne obywatelstwo dla siebie i dla rodziny.

- Wiem, wiem, a to oznacza, że mamy teraz w każdym mieście łatyńskim znaczną i stale rosnącą grupę obywateli rzymskich! Rzym zyskał obywateli najlepszego rodzaju, zamożnych i poważanych. Takim można wierzyć, że będą głosować na pożytek Rzymu.

Rufus uniósł brwi.

- I co w tym złego?

- Doprawdy, Publiusz Rutyliuszu, choć masz otwartą głowę i w wielu sprawach idziesz z postępem, w głębi duszy jesteś zacofany niczym jakiś Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus! - parsknął Mariusz, wciąż jednak panując nad sobą. - Czemu nie chcesz przyznać, że Rzym i Italia powinny tworzyć równoprawny związek?

- Bo tak nie jest - rzekł Rufus, którego zaczęło opuszczać dobre samopoczucie. - Naprawdę, Gajuszu Mariuszu! Jak możesz siedzieć tu w murach Rzymu i bronić politycznego zrównania Rzymian i Italczyków? Rzym to nie Italia! Rzym nie przypadkiem zajął pierwsze miejsce w świecie i nie zawdzięcza tego wojskom italskim! Rzym to coś więcej!

- Chcesz powiedzieć, że Rzym jest ponad wszystko?

- Tak - odparł i zdawało się, że Rufus urósł w oczach. - Rzym to Rzym. Rzym jest ponad wszystko.

- Czy nie dociera do ciebie, Rutyliuszu Rufusie, że gdyby Rzym objął swoją hegemonią całą Italię - nawet italską Galię nad Padem - byłby więcej wart?

- Nonsens. Przestałby wtedy być Rzymem.

- Chcesz powiedzieć, że byłby gorszy?

- Oczywiście!

- Ale przecież obecna sytuacja jest po prostu śmieszna - nie ustępował Mariusz. - Italia to istna szachownica. Są na niej obszary z pełnym obywatelstwem, okolice z prawami łatyńskimi, obszary o zwykłym statusie sprzymierzeńców, i wszystko to przemieszane. Są miasta z prawami łatyńskimi jak Alba Fulcens i Esernia otoczone ze wszystkich stron przez Italskich Marsów i Samnitów, są kolonie obywatelskie pośród Galów nad Padem - czy mogą mieć poczucie jedności z Rzymem?

- Rozsiewanie kolonii wśród ludów Italii sprzęga je z nami. Miasta z pełnym obywatelstwem albo z prawami łatyńskimi nigdy nas nie zdradzą. Nie opłaci im się to, zważywszy alternatywę.

- Masz chyba na myśli wojnę z Rzymem?

- Nie posunę się do tego. Raczej pociągnie to za sobą utratę przywilejów,

że nie wspomnę o utracie znaczenia i pozycji.

- *Dignitas* przede wszystkim.

- Właśnie.

- Wierzysz więc, że wpływowi ludzie w tamtych społecznościach wezmą górę, gdy padnie hasło przymierza ludów italskich przeciw Rzymowi?

Rufus był wstrząśnięty.

- Gajuszu Mariuszu, o co ci chodzi? Nie jesteś Gajuszem Grakchem i żaden z ciebie reformator.

Mariusz wstał, przeszedł parę razy tam i z powrotem przed ławką, potem obrócił się, wbijając płonące oczy pod nasepionymi brwiami w znacznie niższego Rutyliusza skulonego w obronnej postawie.

- Masz słuszość, Publiusz Rutyliusz. Żaden ze mnie reformator i daleko mi do Gajusza Grakcha. Jestem jednak człowiekiem praktycznym i chyba dość inteligentnym. Poza tym nie jestem Rzymianinem z urodzenia - jak mi to wytyka każdy, kto jest Rzymianinem z urodzenia. Być może moje wiejskie pochodzenie dało mi pewną niezależność sądu, której nie posiada żaden urodzony Rzymianin. Otóż widzę kłopoty na naszej italskiej szachownicy. Widzę je, Publiusz Rutyliuszu! Wysłuchałem tego, co mieli mi do powiedzenia sprzymierzeńcy, i czuję, że wiatr się zmienia. Mam nadzieję, że konsulowie najbliższych lat będą mądrzej używać wojsk italskich niż konsulowie poprzedniej dekady.

- Ja również - oświadczył Rutyliusz Rufus. - Złe dowodzenie wojskiem to przestępstwo, zwłaszcza gdy prowadzi do marnowania życia żołnierzy, rzymskich albo italskich - dodał i spojrzał ze zniecierpliwieniem na stojącego nad nim Mariusza. - Siadaj, błagam cię! Zaraz dostanę skrętu karku.

- Ty sam jesteś jak skręt karku - burknął Mariusz, ale usiadł posłusznie i wyciągnął nogi przed siebie.

- Zbierasz sobie klientów spośród Italczyków.

- To prawda. - Mariusz oglądał swój pierścień senatorski, który był raczej złoty niż żelazny, bo już tylko najstarsze rody senatorskie trzymały się tradycji żelaznego pierścienia. - Nie jestem jednak w tym osamotniony, Publiusz Rutyliuszu. Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus wpisuje całe miasta na listy swoich klientów, głównie dzięki obietnicom obniżki podatków.

- A nawet obietnicom zniesienia podatków.

- Właśnie. Marek Emiliusz Skaurus też nie gardzi werbowaniem klientów spośród Italczyków z północy.

- Tak, ale przyznasz, że jest bardziej umiarkowany niż Gnejusz Domicjusz - zauważył Rufus, który był zwolennikiem Skaurusa. - Robi też coś dla swoich miast-klientów; osusza bagna, buduje bazyliki.

- To przyznaję, nie zapominaj jednak o Cecyliuszach Metellach w Etrurii. Są tam bardzo czynni.

Rutyliusz Rufus westchnął.

- Ciekaw jestem, Gajuszu Mariuszu, co takiego masz mi do powiedzenia, skoro przygotowanie do tego zajmuje ci aż tyle czasu.

- Sam nie jestem pewien. Wyczuwam tylko jakiś niepokój wśród wielkich rodów i wzrastającą świadomość znaczenia sprzymierzeńców.

Chyba jednak wielkie rody nie uświadamiają sobie, jak ważne jest zażegnanie niebezpieczeństwa grożącego Rzymowi. Powodują się tylko instynktem. Czują, że coś wisi w powietrzu.

- Ty z pewnością czujesz, że coś wisi w powietrzu. Jesteś niezmiernie przenikliwy, Gajuszu Mariuszu. Może cię zniecierpliwiłem, ale zapamiętam to, co od ciebie usłyszałem. Klient na pozór zyskuje znacznie więcej, niż daje patronowi. Tak jest do dnia wyborów albo do jakiejś zagrażającej katastrofy. Czasem wspiera on patrona przez odmowę poparcia kogoś, kto patronowi szkodzi. Zgadzam się z tobą, że instynkt ma znaczenie. Jest jak latarnia morska, która oświetla obszar ukrytych faktów na długo przedtem, niż robi to logika. Może masz rację co do tego niepokoju. Być może przyjęcie wszystkich sprzymierzeńców w poczet klientów jakiegoś wielkiego rzymskiego rodu byłoby sposobem na oddalenie niebezpieczeństwa, które, jak mówisz, nam grozi. Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Ani ja. Zbieram jednak klientów.

- I nawijasz wełnę - uśmiechnął się Rutyliusz Rufus. - O ile pamiętam, rozmawialiśmy o moim bratanku Druzusie.

Mariusz podciągnął nogi i wstał tak szybko, że wystraszył Rufusa, który zdążył już na nowo zamknąć oczy.

- Istotnie. Wstawaj, Publiusz Rutyliuszu. Chcę ci pokazać przykład nowego spojrzenia wielkich rodów na problem sprzymierzeńców italskich. Może jeszcze zdążymy.

Rutyliusz wstał.

- Idę! Ale dokąd?

- Na Forum, oczywiście. - Mariusz ruszył po stoku świętego okręgu w stronę ulicy. - Trwa tam rozprawa i jeśli będziemy mieli szczęście, zdążymy przed końcem.

- Dziwię się, że to zauważyłeś - zakpił Rutyliusz. Mariusz zwykle nie zwracał uwagi na procesy toczące się na Forum.

- A ja się dziwię, że nie siedzisz tam całymi dniami - odparł Mariusz. - To przecież pierwsze wystąpienie twojego bratanka przed trybunałem.

- Ależ nie! Już przed paru miesiącami ścigał trybuna skarbu w sprawie o zwrot jakichś zaginionych funduszy.

Mariusz wzruszył ramionami i przyśpieszył kroku.

- Skoro tak, jesteś wytłumaczony. Powinieneś jednak uważniej przyglądać się karierze młodego Druzusa. Zrozumiałbyś lepiej moje uwagi o sprzymierzeńcach.

- Może mi to wyjaśnisz? - Rutyliusz Rufus nieco się już zdyszał. Mariusz zawsze zapominał, że ma dłuższe nogi.

- Kiedyś zwrócił moją uwagę ktoś przemawiający piękną łaciną. Był to właśnie twój bratanek. Wybacz, że nie skojarzyłem sobie jego nazwiska z twoją rodziną.

- Kogo tym razem ściga?

- Nie ściga, ale broni, i to przed pretorem do spraw cudzoziemców. To poważna sprawa. O wyroku orzeka kolegium.

- Morderstwo obywatela?

- Bankructwo.
- To dziwne - wydyszał Rufus.
- Chodzi o coś w rodzaju przykładu - rzekł Mariusz, który wcale nie zamierzał zwolnić kroku. - Powodem jest bankier Gajusz Oppiusz, pozwanym Lucjusz Fraukus z Marruwium, marsyjski człowiek interesu. Według mego informatora, a jest to zawodowy obserwator procesów, Oppiusz chce zastraszyć swoich italskich dłużników. Żąda, zdaje się, niezwykle wysokich odsetków.
- Odsetki wynoszą dziesięć procent - wysapał Rutyliusz Rufus.
- Jeśli jesteś Rzymianinem i do tego dobrze sytuowanym.
- Gajuszu Mariuszu, skończysz jak bracia Grakchowie - zagoniony na śmierć.
- Nie gadaj głupstw!
- Chciałbym już iść do domu.
- Zaczynasz tracić krzepę. - Mariusz spojrział z góry na towarzysza. - Jedna dobra kampania przywróci ci oddech, Publiusz Rutyliuszu.
- Dobry odpoczynek też mi przywróci oddech - odparł Rutyliusz Rufus i zwolnił. - Nadal nie rozumiem, po co tak gnamy.
- Kiedy odchodziłem z Forum, twój bratanek miał jeszcze jakieś dwie i pół godziny na podsumowanie. To jeden z tych procesów według nowej procedury. Najpierw przesłuchuje się świadków, potem oskarżyciel ma dwie godziny na wygłoszenie mowy, a potem obrońca ma trzy godziny. Następnie pretor do spraw cudzoziemców pyta sędziów o werdykt.
- Stara procedura była bez zarzutu - stwierdził Rutyliusz.
- Cóż, nie wiem. Chyba procesy stały się bardziej widowiskowe dzięki tym zmianom.
Schodzili po pochyłości Clivus Sacer, mając przed sobą dolną część Forum Romanum. W trybunale pretora do spraw cudzoziemców nie zaszły żadne zmiany od chwili odejścia Mariusza.
- Dobrze się składa, zdążyliśmy na jego mowę.
Marek Liwiusz Druzus wciąż jeszcze przemawiał, a jego audytorium słuchało w napiętym milczeniu. Adwokat najwyraźniej nie miał jeszcze dwudziestki. Był średniego wzrostu i krępej budowy, czarnowłosa i o smagłej cerze. Mimo dość miłej twarzy nie miał porywającej powierzchowności.
- Czyż nie jest nadzwyczajny? - spytał szeptem Mariusz. - Potrafi robić wrażenie, że mówi do ciebie i tylko do ciebie.
I rzeczywiście to potrafił. Nawet z daleka - bo Mariusz i Rufus stali na tyłach wielkiego tłumu - czarne oczy mówcy zdawały się zaglądać w głąb ich oczu, i tylko ich oczu.
- Nigdzie nie jest powiedziane, że jeśli ktoś jest Rzymianinem, z góry ma rację - mówił ów młody człowiek. - Nie przemawiam w imieniu oskarżonego Lucjusza Fraukusa. Przemawiam w imieniu Rzymu! Przemawiam w imieniu honoru! Przemawiam w imieniu jedności! Przemawiam w imieniu sprawiedliwości! Nie tej czezej sprawiedliwości, która interpretuje prawo dosłownie, ale tej, która je interpretuje zgodnie z jego logiką. Prawo powinno być wielką i ciężką prasą, która spada na człowieka i ugniata

go w ujednolicony kształt, bo ludzie nie są jednakowi. Prawo winno być jak cienka tkanina, która okrywa człowieka, ukazując jednak przy tym jego niepowtarzalny kształt. Nie wolno nam zapominać, że my, obywatele Rzymu, jesteśmy przykładem dla reszty świata, szczególnie jeśli idzie o nasze prawa i nasze trybunały. Czy widziano dotąd gdziekolwiek takie wyrafinowanie? Taką precyzję? Taką przenikliwość? Taką pieczołowitość? Taką mądrość? Czy nie przyznają tego nawet Grecy z Aten? Nawet Aleksandryjczycy? Nawet Pergamończycy?

Mówca znakomicie posługiwał się ciałem, mimo niedostatków wzrostu i postawy, i niczego nie zawdzięczając tożsamości. Aby w pełni wykorzystać możliwości togi, trzeba być wysokim, szerokim w ramionach i wąskim w biodrach. Marek Liwiusz Druzus nie spełniał tych warunków, a jednak swymi gestami dokonywał cudów, od kiwnięcia palcem do szerokiego zamachu prawym ramieniem. Ruchy głowy, wyraz twarzy, krok - wszystko było świetne!

- Lucjusz Fraukus, Italczyk z Marruwium - ciągnął - jest ofiarą, nie zaś przestępcą. Nikt - z Lucjuszem Fraukusem włącznie - nie kwestionuje braku wielkiej sumy pożyczonej przez Gajusza Oppiusza. Nie kwestionuje się też konieczności zwrotu tych pieniędzy Gajuszowi Oppiuszowi wraz z należnymi odsetkami. Jeśli będzie trzeba, Lucjusz Fraukus chętnie sprzeda swoje domy, pola, niewolników i wyposażenie domów - wszystko, co posiada! Więcej to warte niż trzeba, by zwrócić pożyczoną sumę.

Przeszedł przed kolegium orzekające i spojrzął na siedzących pośrodku.

- Wysłuchaliście mego uczonego kolegi oskarżyciela. Lucjusz Fraukus jest dłużnikiem, nie jest jednak złodziejem. Twierdzę, że to Lucjusz Fraukus jest prawdziwą ofiarą tej sprawy, a nie Gajusz Oppiusz, jego bankier. Jeśli uznacie Lucjusza Fraukusa za winnego, spisani sędziowie kolegium, poddacie go całej surowości prawa stosowanego do ludzi nie posiadających obywatelstwa naszego wielkiego miasta ani praw latyńskich. Cały jego majątek zostanie wystawiony na wyprzedaży, a wiecie, co to oznacza. Nie uzyska się nawet w przybliżeniu jego rzeczywistej wartości, a może nawet nie uzyska się dość, by spłacić całą sumę.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z wymownym spojrzeniem w bok, gdzie siedział na składanym krześle bankier Gajusz Oppiusz w orszaku swych urzędników i księgowych.

- Potem zaś, spisani sędziowie kolegium, Lucjusz Fraukus zostanie sprzedany w niewolę za długi, chyba że pokryje różnicę między żadaną sumą a sumą uzyskaną z wyprzedaży jego majątku. Być może Lucjusz Fraukus słabo zna się na ludziach i źle dobrał sobie urzędników, ale prowadził swoje sprawy z powodzeniem. A mimo to, w jaki sposób miałby uregulować swój dług pozbawiony własności, zhańbiony i sprzedany w niewolę? Czy Gajusz Oppiusz miałby z niego jakąś korzyść jako z urzędnika?

Młody człowiek skupił teraz całą swą energię i wolę na rzymskim bankierze, łagodnym z wyglądu człowieku koło pięćdziesiątki, który wydawał się oczarowany jego wymową.

- Jeśli ktoś, kto nie jest obywatelem rzymskim, zostanie uznany za

winnego w sprawie kryminalnej, oznacza to przede wszystkim jedno: czeka go chłosta. Nie przy użyciu różeg, jak byłoby z obywatelem Rzymu - co sprawiłoby niewielki ból, głównie zaś uszczerbek w godności. Nie, ten ktoś zostałby ubiczowany! Wysmagany biczem z ciężarkami, okaleczony na całe życie, nosiłby gorsze blizny niż jakiś niewolnik z kopalni.

Mariuszowi włos zjeżył się na karku, bo jeśli nawet młody człowiek nie patrzył wprost na niego - jednego z największych właścicieli kopalń w Rzymie - jego oczy dokonywały cudów. Czy jednak młody Druzus mógł wyszukać kogoś w tak wielkim tłumie, i to w dodatku kogoś spóźnionego?

- Jesteśmy Rzymianami! - zawołał młody człowiek. - Italia i jej obywatele znajdują się pod naszą opieką. Czy chcemy przedstawić się ludziom, którzy szukają w nas przykładu, jako właściciele kopalń? Czy wydamy wyrok na niewinnego człowieka tylko dlatego, że podpisał skrypt dłużny? Czy zignorujemy jego chęć spłacenia całości długu? Czy potraktujemy go mniej sprawiedliwie, niż gdyby był obywatelem Rzymu? Czy ubiczujemy człowieka, który powinien nosić ośłą czapkę, bo okazał się głupcem, ufając złodziejowi? Czy dzieci kochającego ojca uczynimy sierotami? Na pewno nie, spisani sędziowie kolegium, jesteśmy bowiem Rzymianami, najlepszymi z ludzi!

Zawirowała biała wełna. Mówca zawrócił, porzucając bankiera i tym sposobem tworząc sytuację, w której wszystkie oczy porzuciły bankiera i wszystkie, prócz pierwszego rzędu członków kolegium, wyglądały nie inaczej niż oczy pozostałych pięćdziesięciu jeden członków kolegium, a także oczy Mariusza i Rufusa. Jeden z sędziów spojrział drewnianym wzrokiem na Gajusza Oppiusza, przesuwając palcem wskazującym po szyi, jakby coś go tam właśnie zaswedziało. Odpowiedź nadeszła bezzwłocznie: najłżejszy z możliwych ruch zaprzeczenia głową ze strony bankiera. Gajusz Mariusz zaczął się uśmiechać.

- Dziękuję, *praetor peregrinus*. - Młody człowiek skłonił się teraz przed pretorem do spraw cudzoziemców. Wydawał się onieśmielony i opuszczony przez tę siłę, która owładnęła nim w trakcie przemowy.

- Dziękuję ci, Marku Liwiuszu. - Pretor do spraw cudzoziemców spojrział na członków kolegium. - Obywatele Rzymu, zapiszcie wasz wyrok na swych tabliczkach i okażcie je sądowi.

Nastąpiło ogólne poruszenie. Członkowie kolegium wyciągali skądś kwadraciki wypalanej gliny i pisaki z węgla drzewnego, niczego jednak nie pisali. Siedzieli wpatrzeni w tych ze środka pierwszego rzędu. Ten, który zadał milczące pytanie bankierowi, podniósł swój pisak i napisał jakąś literę na swej tabliczce, a potem ziewnął potężnie, wyciągając ręce ponad głowę. Tabliczkę trzymał przy tym wciąż w lewej dłoni, a fałdy togi opadły mu na ramię. Inni sędziowie pisali coś pracowicie na swoich tabliczkach i przekazywali je krążącym między nimi liktorom.

Pretor do spraw cudzoziemców liczył głosy, a wszyscy czekali z zapałym tchem na wyrok. Spoglądał po kolei na tabliczki i wrzucał je do dwóch stojących przed nim koszów, w większości do jednego z nich. Kiedy policzył wszystkie pięćdziesiąt jeden tabliczek, podniósł wzrok.

- ABSOLVO - powiedział. - Czterdzieści trzy za, osiem przeciw.

Lucjusz Fraukusie z Marruwium, ze sprzymierzonego z nami narodu Marsów, zostałeś przez ten oto sąd uwolniony, pod warunkiem jednak, że zwrócisz całą sumę, jak to obiecywałeś. Masz czas do końca dnia na ułożenie się z Gajuszem Oppiuszem, wierzycielem.

I to był koniec. Mariusz i Rutyliusz Rufus czekali, aż tłum przestanie składać gratulacje młodemu Druzusowi. W końcu zostali przy nim przyjaciele, ogromnie podnieceni. Rozstąpili się jednak, kiedy podeszli do nich wysoki mąż o groźnych brwiach i drugi, o którym wiedzieli, że jest stryjem Druzusa.

- Gratuluje, Marku Liwiuszu! - Mariusz wyciągnął dłoń.

- Dziękuję, Gajuszu Mariuszu.

- Dobra robota! - pochwalił bratanka Rufus.

Ruszyli wszyscy razem w kierunku Welii. Rufus pozostawił rozmowę Mariuszowi i Druzusowi. Był rad, że jego bratanek wystąpił tak udanie, ale był też świadom jego braków, kryjących się pod budzącą zaufanie powierzchownością. Młody Druzus był błyskotliwy, ale nie miał poczucia humoru, nie miał tej lotności, która pozwala rozpoznawać groteskowość nadciągających wydarzeń i unikać dolegliwości życia. Uczciwy. Wytrwały. Ambitny. Zawzięty. Tak, ale przy tym wszystkim to honorowy szczeniak.

- Skazanie twego italskiego klienta wyszłoby na szkodę Rzymowi.

- To prawda. Fraukus jest ważną osobistością w Marruwium i należy do starszyny Marsów. Straci, oczywiście, na znaczeniu, kiedy spłaci dług Gajuszowi Oppiuszowi, ale odrobi te straty.

Doszli do Welii, gdzie Druzus przystanął przed świątynią Jowisza Statora.

- Czy wy także wchodzicie na Palatyn?

- Ależ nie! - Rutyliusz Rufus ocknął się z zamyślenia. - Gajusz Mariusz wieczerza dziś ze mną, bratanku.

Młody Druzus skłonił się z szacunkiem starszym i ruszył w górę Clivus Palatinus, a spoza Mariusza i Rufusa wyłoniła się niepociągająca postać Kwintusa Serwiusza Cepiona Młodszego, najlepszego przyjaciela Druzusa. Popędził za Druzusem, który musiał go słyszeć, ale nie zaczekał.

- Nie podoba mi się ta przyjaźń - powiedział Rufus, przyglądając się oddalającym się młodym ludziom.

- A to czemu?

- Ci Serwiuszowie Cepionowie są bardzo dobrze urodzeni i bardzo bogaci, ale nie grzeszą rozumem i wynoszą się nad innych. Nie jest to przyjaźń między równymi. Mojemu bratankowi podoba się chyba ta osobliwa nuta szacunku i pochlebstwa, jaką Cepion wnosi do jego grona przyjaciół, a szkoda. Obawiam się, że zachowanie Cepiona daje Druzusowi złudzenie, że potrafi przewodzić innym.

- W bitwie?

Rufus przystanął.

- Gajuszu Mariuszu, istnieją inne dziedziny aktywności niż wojna i inne instytucje niż armia! Miałem na myśli przywództwo na Forum.

Pod koniec tygodnia Mariusz zaszedł znów do Rufusa i zastał go

pakującego się gorączkowo.

- Panajtios jest umierający - powiedział, łykając łyżę.

- To strasznie smutne. Gdzie teraz przebywa? Czy zdążył?

- Mam nadzieję. Jest w Tarsie i prosi, żebym przyjechał. Dziwne, że wzywa właśnie mnie spośród wszystkich Rzymian, których uczył.

- A dlaczego dziwne? Byłeś przecież jego najlepszym uczniem.

- Ach, nie wiem. - Rufus był myślami gdzie indziej.

- Przeszkadzam ci - powiedział Mariusz. - Wracam do domu.

- Ależ nie! - Rufus wprowadził gościa do pracowni, pokoju pełnego stołów, na których piętrzyły się książki. Niektóre były rozwinięte, przyciśnięte na jednym końcu i spadające na posadzkę kaskadami cennego egipskiego papieru.

- Do ogrodu - powiedział zdecydowanie Mariusz, nie wypatrywszy wolnego miejsca wśród chaosu. Wiedział jednak, że Rufus potrafi w mgnieniu oka znaleźć każdą swoją książkę, choćby była najgłębiej zagrzebana.

- Co piszesz? - spytał, widząc długi arkusz Faniuszowego papieru zapisany do połowy nieomylną ręką Rufusa, który pisał schludnie i czytelnie, choć w pokoju zdawał się utrzymywać bałagan.

- Coś, co muszę z tobą skonsultować - powiedział Rufus, wyprowadzając go z pokoju. - Podręcznik wiedzy wojskowej. Po naszej rozmowie o złych wodzach, jakich Rzym wysyłał w pole w ostatnich latach, pomyślałem, że czas, by ktoś kompetentny napisał stosowną rozprawę. Dotąd pisałem o logistyce i planowaniu baz wyjściowych. Teraz przechodzę do strategii i taktyki, a ty jesteś w tym daleko lepszy ode mnie. Zamierzam wydobyć z ciebie tę wiedzę.

- Uważaj to za załatwione. - Mariusz usiadł na drewnianej ławce w małym, zacienionym i raczej zaniedbanym ogrodzie, zachwaszczonym i z nieczynną fontanną. - Czy nie składał ci wizyty nasz Świński Metellus?

- Rzeczywiście, był tu dzisiaj. - Rufus przysiadł na ławie naprzeciwko.

- Dziś rano był też u mnie.

- To zdumiewające, jak mało się zmienił nasz Kwintus Cecyliusz Metellus Świński - zaśmiał się Rutyliusz Rufus. - Dobrze, że nie ma tu pod ręką chlewu, a fontanna nie jest godna swej nazwy, bo jeszcze bym go do niej wrzucił.

- Mogę to zrozumieć, ale nie byłby to dobry pomysł. O co mu chodziło?

- Chce się ubiegać o konsulat.

- Jeżeli dojdzie do wyborów. Co opętało tych dwóch głupców, by się ubiegać ponownie o trybunat? To nawet dla Grakchów skończyło się źle.

- To nie opóźni głosowania w centuriach ani głosowania ludu.

- Ależ oczywiście, że opóźni! Nasi dwaj być może ponownie wybrani spowodują zawetowanie wszystkich wyborów przez swoich kolegów. Wiesz przecież, jacy są trybunowie ludowi. Kiedy chwycą coś zębami, nikt ich nie powstrzyma.

Rufus zatrzęsł się od śmiechu.

- Chyba wiem, jacy są. Sam byłem jednym z najgorszych. Ty także.

- No cóż, to prawda.

- Wybory się odbędą, nie ma obawy. Przypuszczam, że trybunowie ludowi zostaną wybrani cztery dni przed idami grudniowymi, a pozostali zaraz po idach.

- A Świński Metellus zostanie konsulem.

Rufus pochylił się, składając dłonie.

- On coś szykuje.

- Masz słuszność, przyjacielu. On wie coś, czego my nie wiemy. Ale co?

- Chodzi o Jugurtę. On planuje wojnę z Jugurtą.

- I ja tak sądzę, ale czy rozpocznie ją on czy Spuriusz Albinus?

- Nie powiedziałbym, że wróżby sprzyjały Albinowi, ale czas pokaże.

- Zaproponował mi godność starszego legata w swojej armii.

- Mnie proponował to samo.

Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się szeroko.

- Lepiej, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje. - Mariusz wstał. - Spuriusz Albinus ma się tu zjawić lada dzień, żeby przeprowadzić wybory. Nikt go nie powiadomił, że przez jakiś czas może nie być żadnych wyborów.

- W każdym razie opuści Afrykę, zanim dotrze do niego ta wiadomość - powiedział Rufus, mijając pracownię.

- Czy przyjmiesz propozycję Świńskiego?

- Jeśli ty ją przyjmiesz, Gajuszu Mariuszu.

- Świetnie.

Rufus otworzył mu własną ręką drzwi.

- A jak tam Julia? Nie miałem okazji jej poznać.

Mariusz rozpromienił się.

- Cudowna, piękna, wspaniała.

- Głupi stary pryku! - Rufus wypchnął Mariusza na ulicę. - Słuchaj, co w trawie piszczy, kiedy mnie tu nie będzie, i pisz do mnie, jeśli usłyszysz coś o wojnie.

- Zrobię to. Szczęśliwej podróży!

- Jesienią? Ten statek może się okazać kostnicą. Mogę utonąć.

- Nie ty. Neptunowi nic po tobie. Nie zechce popsuć planów Świńskiego.

Julia była w ciąży i bardzo się z tego cieszyła. Jedynym jej problemem była nadmierna troskliwość Mariusza.

- Naprawdę, Gajuszu Mariuszu, czuję się doskonale - zapewniała go po raz setny. Był listopad, a że dziecko miało urodzić się w marcu, ciąża zaczynała być widoczna. Przyszła matka wyglądała jednak kwitnąco i nic jej nie dolegało.

- Jesteś pewna?

- Idź już - odprawiła go z uśmiechem. Uspokojony zostawił ją ze służącymi i poszedł do swej pracowni. Było to jedyne miejsce w wielkim domu, gdzie nie czuło się obecności Julii, i jedyne, gdzie mógł o niej zapomnieć. Nie starał się bynajmniej o to, czasem jednak musiał myśleć i o innych sprawach. Na przykład o tym, co wydarzyło się w Afryce. Pisał o tym do Rutyliusza Rufusa, który po szybkiej podróży dotarł bezpiecznie do Tarsu.

„Uczestniczę we wszystkich obradach zarówno senatu, jak i ludu. W

końcu wygląda na to, że wybory odbędą się w terminie, cztery dni przed idami grudniowymi, jak mówiłeś. Publiusz Licyniusz Lukullus i Lucjusz Anniusz zaczynają tracić szanse i chyba nie uda im się ponownie zostać trybunami ludowymi. Odnosi się wrażenie, że chcieli tylko przypomnieć o sobie wyborcom. Obaj mają prawo ubiegać się o konsulat, ale ani jeden, ani drugi nie zabłysnąłby jako trybun ludowy, skoro nie są reformatorami. Jaki więc jest lepszy sposób na zrobienie zamieszania wokół siebie niż utrudnianie wyborów? Chyba staję się cynikiem, jeśli to w ogóle możliwe, gdy się jest italskim wieśniakiem, który wcale nie zna greki.

Jak wiesz, w Afryce panował spokój, chociaż doniesienia wywiadu mówiły, że Jugurta zaciąga i szkoli - i to na sposób rzymski - bardzo wielką armię. O spokoju trudno jednak mówić, odkąd Spuriusz Albinus wrócił, by przeprowadzić wybory, czyli od miesiąca. Złożył sprawozdanie senatowi. Jego armia składa się z trzech legionów; jednego z miejscowych wojsk posiłkowych, drugiego z rzymskich oddziałów stacjonujących w Afryce i trzeciego, z którym wyruszył wiosną z Italii. Nie były jeszcze w boju. Wygląda na to, że Spuriusz Albinus nie ma zamiarów wojskowych. Nie mogę tego powiedzieć o Świńskim.

Naszycy czcigodnych kolegów z senatu wprawiła w furję wiadomość, że Spuriusz Albinus uznał za właściwe mianowanie swego braciszka Aulusa Albina namiestnikiem prowincji i wodzem na czas swojej nieobecności! Wyobraź sobie! Myślę, że gdyby Aulus był jego kwestorem, przeszłoby to w senacie bez problemu, ale - wiem, że to wiesz, ale i tak to powiem - kwestura była w jego oczach zbyt niską godnością, więc zastąpił swego brata jako starszy legat! Bez zgody senatu! Naszą prowincją rzymskiej Afryki rządzi zatem pod nieobecność namiestnika w gorącej wodzie kąpany trzydziestolatek bez doświadczenia i nie nadzwyczajnie inteligentny. Marek Skaurus pienieł się z wściekłości i zaserwował konsulowi diatrybę, którą ten nieprędko zapomni. Stało się jednak! Można tylko mieć nadzieję, że namiestnik Aulus Albinus zrobi wszystko, co powinien. Skaurus w to wątpi. Ja także”.

List został wysłany przed wyborami. Mariusz miał nadzieję, że będzie to ostatni list, spodziewał się bowiem ujrzeć Rufusa na Nowy Rok w Rzymie.

Potem przyszedł list od Rufusa z wiadomością, że Panajtios jeszcze żyje i że widok dawnego ucznia ma na niego dobroczynny wpływ, on sam zabawi więc w Tarsie o kilka miesięcy dłużej niż zamierzał.

„Spodziewaj się mnie wiosną, zanim Świński wyruszy do Afryki”.

Przed końcem starego roku Mariusz napisał do Tarsu:

„Najwyraźniej nie miałeś wątpliwości, że Świński zostanie wybrany na konsula, i miałeś rację. Lud przeprowadził wybory, zanim głosowały centurie, ale nie było żadnych niespodzianek. Kwestorzy rozpoczęli urzędowanie piątego grudnia, a nowi trybunowie ludowi dziesiątego. Jedynym wśród nich godnym uwagi jest Gajusz Mamiliusz Limetanus. Dobrze się też zapowiadają trzej nowi kwestorzy. Dwaj z nich to nasi sławni młodzi oratorzy i gwiazdy adwokatury: Lucjusz Licyniusz Krassus i jego najlepszy przyjaciel, Kwintus Mucjusz Scewola, ale bardziej interesujący jest trzeci, Gajusz Serwiliusz Glaucja, dzielny chłop z porządnej plebejskiej rodziny. Na

pewno go pamiętasz z jego wystąpień sądowych. Mówi się o nim, że to najlepszy prawnik, jakiego wydał Rzym. Nie lubię go. Świński zajął pierwsze miejsce w wyborach centurialnych, będzie więc konsulem seniorem, ale Marek Juniusz Syllanus nie został daleko w tyle. Głosowano zresztą bardzo ostrożnie. Pośród pretorów nie pojawił się żaden człowiek nowy. W skład szóstki weszło dwóch patrycjuszów i patrycjusz adoptowany przez plebejską rodzinę - Kwintus Lutacjusz Katullus Cezar. Z punktu widzenia senatu było to więc głosowanie doskonałe i nowy rok zapowiadał się dobrze.

A potem uderzył grom. Wygląda na to, że Aulus Albinus dał się skusić pogłoskom o wielkim skarbie zgromadzonym w numidyjskim mieście Suthul. Zaczekał, aż jego brat konsul nieodwołalnie odjedzie, i zaraz potem najechał Numidię na czele trzech mizerynych, nie wypróbowanych w boju legionów - wyobrażasz sobie? Obiegł Suthul, oczywiście bez powodzenia, bo mieszkańcy po prostu zamknęli bramy i śmieli się z niego z wysokości swoich murów. Musiał przyznać sam przed sobą, że nie jest w stanie prowadzić oblężenia. Co jednak zrobił potem? Czy wrócił do rzymskiej prowincji? Już słyszę, jak stawiasz to pytanie. Może ty byś tak zrobił, gdybyś był Aulusem Albinem, ale on postąpił inaczej. Zwinął oblężenie i pomaszerował w głąb zachodniej Numidii na czele swoich trzech niewyszkolonych legionów. Jugurta zaatakował go w środku nocy gdzieś pod Kalamą i tak dotkliwie pobił Aulusa Albina, że braciszek naszego konsula poddał się bezwarunkowo. Jugurta zmusił potem Rzymian i żołnierzy wojsk posiłkowych do przejścia pod jarzmem z włóczni, po czym wymógł na Auluse Albinie podpis pod traktatem przyznającym mu to wszystko, czego nie uzyskał od senatu!

Wiadomość o tym otrzymaliśmy nie od Aulusa Albina, ale od Jugurty. Przesłał senatowi kopię traktatu i list, a w nim wyrzucał nam zdradziecki napad na pokojowo usposobiony kraj, który nie kiwnął nawet palcem przeciw Rzymowi. Powiadam, że Jugurta napisał do senatu, ale on miał czelność napisać do swego najdawniejszego i największego wroga, Marka Emiliusza Skaurusa, jako pierwszego senatora. Skierowanie pisma do przewodniczącego kurii było oczywiście zamierzoną obrazą dla konsulów. Ależ się wściekał Skaurus! Zwołał natychmiast posiedzenie senatu i zmusił Spuriusza Albina do wyjawienia tego, co dotąd było przemilczane, a mianowicie, że Spuriusz nie był aż tak nieświadomy planów braciszka, jak to przedtem rozgłaszał. Kuria osłupiała ze zdumienia. Stronnictwo Albina zmieniło front, pozostawiając Spuriusza samemu sobie, aż przyznał, że przed kilku dniami otrzymał list od Aulusa. Dowiedzieliśmy się, że Jugurta odesłał Aulusa Albina poza granicę rzymskiej Afryki i zabronił wychylać nos za granicę numidyjską. Tam więc czekał młody Aulus, prosząc brata o wskazówki”.

Mariusz westchnął i rozprostował palce. Co dla Rutyliusza Rufusa było przyjemnością, dla niego było udręką. Nie znosił pisania listów. „Dalej, Gajuszu Mariuszu!”, powiedział sobie i pisał dalej.

„Naturalnie, najbardziej ich ubodło, że Jugurta zmusił armię rzymską do przejścia pod jarzmem. Rzadko się to dotąd zdarzało, ale zawsze poruszało

całe miasto, od góry do dołu. Ja to przeżywałem po raz pierwszy i czułem się tak poruszony, zawstydzony i rozbity moralnie jak większość urodzonych Rzymian. Jest to chyba i dla ciebie tak samo bolesne, cieszę się więc, że nie byłeś świadkiem tego, co tu się działo. Ubrani na czarno ludzie wyrwali sobie włosy z głowy. Ekwici włożyli tuniki bez wąskiego szlaku, senatorowie z wąskim zamiast szerokiego, a całe terytorium wroga przed świątynią Bellony zawalone było stosami ofiar na intencję nauczania Jugurty rozumu. Fortuna rzuciła Świńskiemu w ręce przepiękną przyszłoroczną kampanię, a ty i ja wyjdziemy znowu w pole - zakładając, że zgodzimy się na Świńskiego jako naszego zwierzchnika.

Nowy trybun ludowy Gajusz Mamiliusz żąda krwi Postumiuszów Albionów: skazania Aulusa Albina za zdradę i osądzenia Spuriusza Albina również za zdradę, chociażby tylko za głupotę okazaną w mianowaniu Aulusa namiestnikiem na czas własnej nieobecności. Mamiliusz domaga się powołania specjalnego trybunału i chce sądzić każdego Rzymianina, który zadawał się z Jugurta od czasu Lucjusza Opimiusza, wybrażasz sobie? Nastroje ojców spisanych w senacie są takie, że może mu się udać. Chodzi o to przejście pod jarzmem. Wszyscy są zgodni co do tego, że armia i jej wódz powinni raczej zginąć na polu walki, niż poddać swój kraj takiemu poniżeniu. Ja się z tym oczywiście nie zgadzam, a ty chyba też. Armia jest warta tyle, ile jej wódz. Jej liczebność nie ma znaczenia.

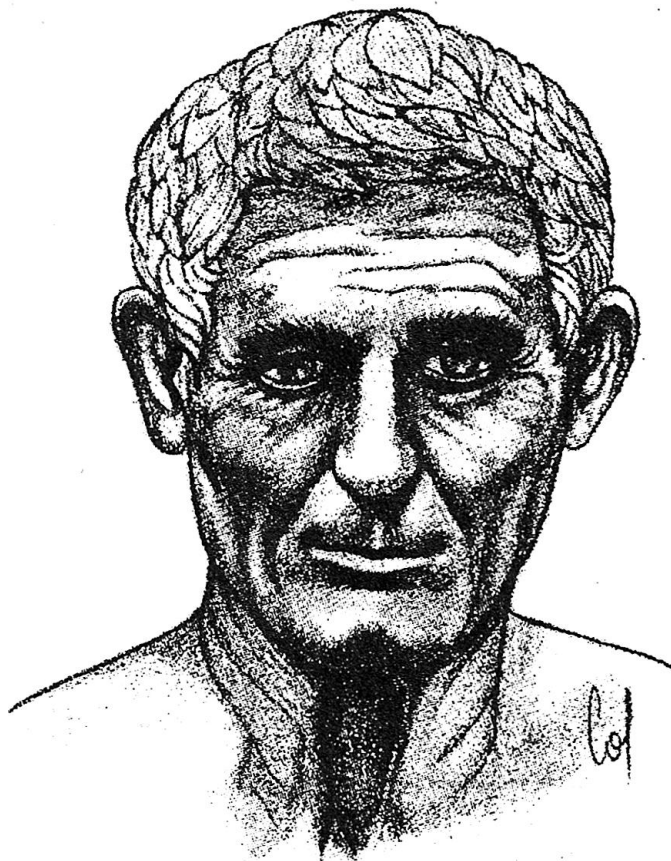
Senat ułożył i wysłał oschły list do Jugurty, powiadamiając go, że nie może uznać traktatu zawartego z człowiekiem, który nie był wyposażony w imperium, a zatem nie miał upoważnienia senatu i ludu, by dowodzić, rządzić prowincją czy zawierać traktaty.

I ostatnia wiadomość, ale nie najmniej ważna: Gajusz Mamiliusz otrzymał mandat zgromadzenia ludowego na powołanie specjalnego trybunału, przed którym mają być sądzeni za zdradę ci, którzy byli albo są podejrzani o związki z Jugurtą. Piszę to postscriptum w ostatnim dniu starego roku. Senat choć raz zaaprobował jakieś plebejskie prawo i Skaurus jest bardzo zajęty układaniem listy ludzi, którzy staną przed sądem. Co więcej, przed tym specjalnym trybunałem Mamiliusza szanse udowodnienia zdrady są znacznie większe niż w tradycyjnym procesie prowadzonym przez zgromadzenie centurialne. Jak dotąd bierze się pod uwagę nazwiska Lucjusza Opimiusza, Lucjusza Kalpurniusza Bestii, Gajusza Porcjusza Katona, Gajusza Sulpicjusza Galby, Spuriusza Postumiusza Albina i jego brata. Rodzina to jednak rodzina. Spuriusz Albinus zgromadził znakomity zespół adwokatów, by przekonali senat, że cokolwiek jego braciszek Aulus zrobił czy nie zrobił, nie można go legalnie za to sądzić, skoro nie posiadał imperium. Jak widzisz, Spuriusz zamierza wziąć na siebie część winy Aulusa i z pewnością zostanie mu to udowodnione. Myślę, że to dziwne, bo jeśli sprawy pójdą tak dalej, Aulus Albinus wyjdzie z tego przejścia pod jarzmem bez uszczerbku dla kariery!

Skaurus ma być jednym z trzech przewodniczących Komisji Mamiliusza, jak nazywają ten nowy sąd. Przystał na to ochoczo.

Tyle o starym roku, Publiusz Rutyliusz. Wszyscy mówią, że był doniosły. Kiedy przepadała wszelka nadzieja, moja głowa ukazała się ponad

powierzchnią politycznych odmetów Rzymu dzięki memu małżeństwu z Julią. Metellus zabiega o moje względy, a ludzie, którzy mnie dotąd nie zauważali, traktują mnie jak równego sobie. Pomyśl o powrocie do kraju i zrób to szybko”.



GAJUSZ JULIUSZ CEZAR
(Dziadek Dyktatora)



ROK DRUGI (109 p.n.e)



ZA KONSULATU KWINTUSA CECYLIIUSZA METELLUSA I MARKA JUNIUSZA SILANUSA

W połowie lutego zmarł w Tarsie Panajtios, Rutyliusz Rufus miał więc niewiele czasu na powrót do kraju przed początkiem sezonu żeglugowego. Pierwotnie planował przebycie głównej części drogi lądem, ale pośpiech skłaniał go teraz do spróbowania szczęścia na morzu.

- I dopisało mi szczęście - mówił do Gajusza Mariusza w dniu przybycia do Rzymu tuż przed idami marcowymi - bo miałem przez całą drogę sprzyjający wiatr.

Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- Mówiłem ci przecież, Publiusz Rutyliusz, że Ojciec Neptun nie ośmieli się popsuć planów Świńskiego! Właściwie nie tylko w tym dopisało ci szczęście. Gdybyś był w Rzymie, dostałbyś zadanie nakłonienia italskich sprzymierzeńców do oddania nam swoich wojsk.

- Czy właśnie to zrobiłeś?

- Tak, od początku roku, kiedy Metellus wyłusował dowództwo w wojnie z Jugurtą. Nie było kłopotu z zaciągiem, bo cała Italia płonie chęcią pomszczenia zniewagi, owego przejścia pod jarzmem. Bardzo niewielu jednak się nadaje.

- Trzeba więc mieć nadzieje, że przyszłość nie szykuje Rzymowi jakichś nowych zagrożeń.

- Rzeczywiście, trzeba mieć taką nadzieję. Jak się do ciebie odnosi Metellus?

- Całkiem grzecznie, biorąc pod uwagę okoliczności. Złożył mi wizytę pierwszego dnia po inauguracji i wyświadczył mi uprzejmość, nie ukrywając swoich motywów. Pytałem go, czemu zależy mu na współpracy ze mną po tym, jak go kiedyś potraktowaliśmy pod Numancją. Powiedział, że nie w głowie mu Numancja. Myśli teraz tylko o wygraniu wojny w Afryce i nie widzi na to lepszego sposobu niż zapewnienie sobie współpracy dwóch ludzi, którzy najlepiej na świecie znają strategię Jugurty.

- Sprytny pomysł - stwierdził Rutyliusz Rufus. - Jako wódz zbierze i tak całą chwałę. Nie ma znaczenia, kto dla niego wygra tę wojnę, bo i tak to on będzie jechał tryumfalnym rydwanem. To jemu przyzna senat tytuł Numidyjskiego, nie tobie czy mnie.

- Cóż, jemu jest to bardziej potrzebne niż tobie czy mnie. Świński

Metellus to przecież Cecyliusz, Publiusz Rutylusz, a to oznacza, że jego sercem rządzi głowa, zwłaszcza kiedy idzie o jego skórę.

- Bardzo trafnie ujęte - rzekł z uznaniem Publiusz Rutylusz.

- Zbiera w senacie zwolenników przedłużenia mu dowództwa na przyszły rok.

- Chodzi mu o wykazanie, że pokonać Numidię nie będzie łatwo, kiedy ma się do czynienia z Jugurtą. Ile zabiera legionów?

- Cztery. Dwa rzymskie i dwa italskie.

- I te wojska, które już są w Afryce - jeszcze ze dwa legiony. Tak, powinniśmy wyruszyć, Gajuszu Mariuszu.

- I ja tak sędzę.

Mariusz wstał, by nalać wina.

- Słyszałem coś o Gnejuszu Korneliuszu Scypionie... - Rutylusz Rufus w samą porę wziął swój puchar z rąk Mariusza, bo ten roześmiał się, rozlewając wino z własnego puchara.

- Ach, Publiuszu Rutyluszu, to było coś nadzwyczajnego. Zdumiewający są ci potomkowie starożytnych rodów. Tego Scypiona wybrano na pretora i w losowaniu wyciągnął namiestnictwo Hiszpanii Dalszej. I co zrobił najlepszego? Wystąpił w senacie i uroczyście odmówił przyjęcia tego zaszczytu. „Dlaczego?”, pytał zdumiony Skaurus, który nadzorował losowanie. „Ponieważ ograbiłbym ten kraj”, odparł Scypion z godną pochwałą szczerością. Podniosły się wiwaty, gwizdy, tupania i oklaski. Kiedy hałas w końcu ucichł, Skaurus oświadczył po prostu: „Nie przeczę, Gnejuszu Korneliuszu, ograbiłbyś ten kraj”. Teraz wysyłają tam Kwintusa Serwiliusza Cepiona.

- On też ograbi ten kraj - rzekł Rutylusz Rufus i uśmiechnął się.

- Oczywiście! Wszyscy to wiedzą, ze Skaurusem włącznie, ale Cepion przynajmniej udaje, że jest inaczej. Rzym może więc patrzeć przez palce na to, co się dzieje w Hiszpanii, i życie toczy się dalej - rzekł Mariusz, który wrócił już za swój stół roboczy. - Kocham Hiszpanię, Publiuszu Rutyluszu, naprawdę.

- Cieszę się, że Syllanus zostaje w kraju.

- Na szczęście ktoś musi rządzić Rzymem! Wszyscy od tego uciekają. Senat przedłuży Minucjuszowi Rufusowi namiestnictwo Macedonii, rękę za to. Syllanowi nie zostaje więc nic poza Rzymem, gdzie sprawy idą swoim torem. Na widok Syllana na czele armii sam Mars zzieleniałby ze strachu.

- Niewątpliwie!

- Jak dotąd mamy dobry rok. Nie tylko Hiszpania została ocalona od czulej opieki Scypiona, a Macedonia od czulej opieki Syllana, ale i Rzym pozbędzie się paru łotrów, jeśli nie razi cię nazywanie łotrami mężów konsularnych.

- Masz na myśli komisję Mamiliusza?

- Właśnie. Bestia, Galba, Opimiusz, Gajusz Katon i Spuriusz Albinus zostali skazani i zapowiada się następne procesy, chociaż nie będzie niespodzianek. Gajusz Memmiusz jest najwytrwalszym pomocnikiem Mamiliusza w wyszukiwaniu dowodów zmywy z Jugurtą, a Skaurus jako

przewodniczący trybunału jest bezlitosny. Chociaż sam przemawiał w obronie Bestii, głosował potem za wyrokiem skazującym.

Rutyliusz Rufus uśmiechnął się.

- Trzeba umieć okazać giętkość. Skaurus miał zobowiązania wobec dawnego kolegi konsula, przemawiał więc w jego obronie, ale nie zapomina nigdy o obowiązkach sędziego. Nie Skaurus!

- Nie, nie Skaurus!

- Dokąd udają się skazani? - pytał Rutylus Rufus.

- Większość wybrała na miejsce pobytu Massylię, tylko Lucjusz Opiwiusz udał się do zachodniej Macedonii.

- A Aulus Albinus wyszedł cało?

- Tak, Spuriusz Albinus wziął całą winę na siebie, a kuria głosowała za tym. - Mariusz westchnął. - To była piękna sztuczka prawnicza!

Julia zaczęła rodzić w idy marcowe. Gdy akuszerki powiadomiły Mariusza, że nie zanosi się na łatwy poród, wezwał natychmiast rodziców Julii.

- Nasza krew jest zbyt stara i zbyt cienka - mówił strapiony Cezar. Siedzieli w pracowni Mariusza, mąż i ojciec złączeni wspólną troską.

- Moja nie jest - powiedział Mariusz.

- Ale to jej nie pomoże! Pomoże jej córce, jeśli będzie miała córkę, i za to będziemy ci wdzięczni. Kiedyś sam miałem nadzieję, że moje małżeństwo z Marcją doda nieco plebejskiej siły mojemu rodowi, ale Marcja jest zbyt dobrze urodzona. Jej matka Sulpicja była patrycjuszką. Niektórzy upierają się przy czystości krwi, ale widziałem, jak dziewczyny ze starych rodów umierały przy porodach od krwotoków. Czystość krwi to jedyny powód, że w starych rodach umiera ich o wiele więcej niż w innych.

Mariusz nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Ma najlepszych lekarzy, jakich można było zdobyć. - Wskazał głową pokój położnicy, z którego nie dochodziły jeszcze żadne odgłosy.

- Nie uratowali jednak jesienią siostrzeńca Klitumny - rzekł Cezar.

- Czyjego siostrzeńca? Masz na myśli tę nieznośną sąsiadkę?

- Tak, to właśnie Klitumna. Jej siostrzeniec zmarł w listopadzie po przewlekłej chorobie. To był młody chłopak i wyglądał mi dość zdrowo. Lekarze robili wszystko, co im przychodziło na myśl, ale i tak zmarł. Dręczy mnie to od tamtego czasu.

Mariusz spojrział na teścia, nie zdradzając żadnych uczuć.

- Wielkie nieba! Czemu miałyby to cię dręczyć? Nie widzę w tym żadnego związku z tobą.

Cezar zagryzł wargi. Odpowiedział zgaszonym głosem.

- Niestety chodzą trójkami. Muszą nastąpić jeszcze dwa zgony.

- Jeśli tak, to w tamtej rodzinie.

- Niekoniecznie. Muszą to być po prostu trzy zgony w jakiś sposób ze sobą powiązane. Dopóki nie nastąpi drugi, żaden wróżbita nie odgadnie, jaki to może być związek.

Gajusz Mariusz wyrzucił ręce w górę gestem na pół irytacji, na pół

rozpaczy.

- Gajuszu Juliuszu! Spróbuj być dobrej myśli, błagam! Nikt przecież nie mówi, że Julii grozi śmierć. Powiedziano mi po prostu, że poród nie będzie łatwy. Posłałem po ciebie, żebyś mi pomógł czekać, a nie żebyś mnie pogrążał w jakiejś otchłani bez cienia nadziei.

Zawstydzony Cezar zdobył się na wysiłek.

- Właściwie cieszę się, że przyszedł już czas na Julię - powiedział nieco raźniejszym tonem. - Nie chciałem jej przedtem martwić, ale kiedy już urodzi, znajdzie chyba chwilę czasu, żeby pomówić z Julillą...

Gajusz Mariusz uważał skrycie, że Julilli przydałoby się najbardziej przetrzepanie ojcowską ręką siedzenia, ale zdołał okazać zainteresowanie. W końcu nie był jeszcze ojcem, a teraz był tego bliski, skoro wszystko idzie dobrze. Musiał przyznać, że on sam może okazać się równie zaślepionym ojcem jak Gajusz Juliusz Cezar.

- A co się dzieje z Julillą? - spytał.

Cezar westchnął.

- Nie chce jeść. Od dawna musieliśmy ją zmuszać do jedzenia, ale przez cztery ostatnie miesiące to się pogorszyło. Bardzo straciła na wadze, a teraz na dodatek mdleje. Podczas przechadzek pada jak martwa. Lekarze nie dopatrzili się u niej niczego złego.

Mariusz pomyślał sobie, że i on nie widzi niczego złego, poza zepsutą młodą damą, i że najskuteczniejsza byłaby porządna dawka obojętności. Wyglądało jednak na to, że należy o niej rozmawiać, podjął więc rozmowę.

- Chciałbyś więc, żeby Julia wyjaśniła tę sprawę?

- Rzeczywiście, chciałbym.

- Ona chyba kocha się w kimś nieodpowiednim - powiedział Mariusz, nieświadomie trafiając w sedno.

- Nonsens! - odparł ostro Cezar.

- Skąd wiesz, że to nonsens?

- Lekarze wpadli na ten sam pomysł, więc przeprowadziłem dochodzenie.

- Kogo pytałeś? Ją?

- Oczywiście.

- Może bardziej przydatne byłoby przepytanie jej dziewczyny.

- Ależ, Gajuszu Mariuszu!

- Nie jest chyba w ciąży?

- Ależ, Gajuszu Mariuszu!

- Posłuchaj, teściu, nie traktuj mnie jak natrętnej muchy - powiedział nieczuły Mariusz. - Należę do rodziny. Jeżeli ja, z moją ograniczoną znajomością szesnastoletnich młodych dam, widzę taką możliwość, powinienś ją widzieć i ty. Zabierz jej dziewczynę do pracowni i bij ją tak długo, aż wydobędziesz z niej prawdę. Ręczę, że jest powiernicą Julilli, i ręczę, że się załamie, jeśli ją przesłuchasz jak należy, pod groźbą tortur i śmierci.

- Gajuszu Mariuszu, nie mogę tego zrobić!

- Wystarczy ją wychłostać - tłumaczył cierpliwie Mariusz. - Obolałe pośladki i wzmianka o torturach wydobędą z niej wszystko, co wie.

- Nie mógłbym tego zrobić - powtórzył Cezar.

Mariusz westchnął.

- Niech będzie po twojemu. Nie myśl jednak, że poznałeś prawdę, bo spytałeś Julillę.

- Zawsze mówiliśmy sobie prawdę.

Mariusz nic na to nie powiedział, zrobił tylko sceptyczną minę. Ktoś zapukał do drzwi pracowni.

- Wejść! - zawołał Mariusz, rad z tej przerwy w rozmowie.

Był to Atenodor, grecki lekarz z Sycylii.

- *Domine*, twoja żona chce cię widzieć - zwrócił się do Mariusza. - Będzie dobrze, jeśli tam pójdziesz.

- Czy ona... czy ona...? - Cezar nie był w stanie dokończyć tego pytania.

- Nie, nie! Uspokój się, *domine*. Z nią wszystko w porządku.

Gajusz Mariusz nigdy nie widział rodzącej kobiety i teraz był przerażony.

Nietrudno było patrzeć na zabitych czy okaleczonych w bitwie. Byli towarzyszami broni, choćby i przeciwnikami. Mężczyzna wie, że gdyby nie Fortuna, mógłby być jednym z nich. W przypadku Julii ofiarą była ukochana osoba, którą miał chronić i bronić, i oszczędzić jej wszelkiego bólu. A jednak Julia była jego ofiarą tak samo jak nieprzyjaciele, powaloną do łoża za jego przyczyną. Nie były to dla niego lekkie myśli.

Wszystko wyglądało jednak całkiem normalnie, kiedy wszedł do komnaty położnicy. Julia rzeczywiście leżała w łóżku. Krzesło porodowe - specjalne krzesło, w którym ją posadzą w ostatniej fazie porodu - stało przyzwoicie zasłonięte w kącie, nawet więc go nie zauważył. Zobaczył z ulgą, że Julia nie wygląda na zmęczoną ani chorą, a gdy go ujrzała, uśmiechnęła się promiennie, wyciągając do niego dłonie. Ujął je i ucałował.

- Dobrze się czujesz? - spytał nieco głupio.

- Oczywiście! To po prostu długo potrwa, jak mi powiedziano, i będzie trochę krwi. Nie ma jednak powodu do niepokoju.

Po jej twarzy przemknął skurecz bólu. Ścisnęła jego ręce z siłą, o jaką jej nie podejrzewał, i ścisnęła je tak z minutę, zanim znów się odprężyła.

- Chciałam cię tylko zobaczyć - powiedziała, jakby nic się nie stało. - Chciałabym też widywać cię od czasu do czasu, gdybyś nie miał z tym kłopotu.

- To ja chciałbym cię widywać, kochanie - powiedział, przyklękając, by ucałować ją w czoło, w miejsce, gdzie spotykały się brwi i włosy, kilka pięknych loków. Były wilgotne i jej skóra także. Biedactwo!

- Wszystko będzie dobrze, Gajuszu Mariuszu - powiedziała, wypuszczając go z rąk. - Nie martw się o mnie za bardzo. Wiem, że wszystko będzie dobrze. Czy tato jest wciąż u ciebie?

- Jest.

Odwracając się do wyjścia, napotkał gniewne spojrzenie Marcji, stojącej z boku w asyście trzech starych akuserek. Bogowie! Oto była ta, która nie wybaczy mu pośpiechu w wyrządzeniu tego wszystkiego jej córce!

- Gajuszu Mariuszu! - zawołała Julia, gdy już dochodził do drzwi.

Obejrzał się. - Czy jest tu astrolog?

- Jeszcze nie, ale już po niego posłano.

- To dobrze. - Wyraźnie jej ulżyło.

Syn Mariusza urodził się w dwadzieścia cztery godziny później, pławiąc się we krwi. Omal nic przyprawił matki o utratę życia, ale jej wola przetrwania była bardzo silna, a lekarze zahamowali krwotok i unieśli jej biodra, tak że krwawienie zmniejszyło się i w końcu ustało.

- Będzie sławnym człowiekiem, *domine*, a jego życie będzie pełne wielkich wydarzeń i wielkich przygód - mówił astrolog, z wprawą pomi-jając te przykre sprawy, o których rodzice woleliby nie słyszeć.

- Więc przeżyje? - spytał porywco Cezar.

- Niewątpliwie będzie żył, *domine* - odparł, podczas gdy jego długi i raczej brudny palec spoczął na wielkiej opozycji. - Otrzyma najwyższy urząd w kraju, jest to zapisane w jego wykresie i świat to zobaczy. - Drugi palec wskazał układ trzech gwiazd.

- Mój syn będzie konsulem - rzekł Mariusz z wielką satysfakcją.

- To pewne - powiedział astrolog i dodał: - Nie dorówna jednak ojcu, to mówi ten układ pięciu gwiazd.

To jeszcze bardziej ucieszyło Mariusza.

Cezar nalał dwa puchary najlepszego nie rozcieńczonego falerna i podał jeden zięciowi, promieniejąc z dumy.

- Za twojego syna, a mego wnuka, Gajuszu Mariuszu - powiedział. - Zdrowie was obu!

I tak oto, kiedy w końcu marca konsul Kwintus Cecyliusz Metellus odpływał do prowincji Afryki z Gajuszem Mariuszem, Publiuszem Rutyliuszem Rufusem, Sekstusem Juliuszem Cezarem, Gajuszem Juliuszem Cezarem Młodszym i czterema rokującymi nadzieje legionami, Mariusz wyruszał w podróż szczęśliwy, wiedząc, że żonie nic nie grozi, a syn kwitnie. Nawet teściowa zechciała łaskawie znowu z nim rozmawiać!

- Pomów z Julillą - poprosił Julię tuż przed odjazdem. - Twój ojciec bardzo się o nią martwi.

- Czy chodzi o tę głupią głodówkę? - Julia ułożyła się wygodniej w jego ramionach. Czowała się lepiej i promieniała radością, bo jej syn był wyjątkowo dużym i zdrowym dzieckiem. Żałowała tylko, że nie czuje się na tyle dobrze, by towarzyszyć mężowi w drodze do Kampanii i spędzić z nim tam jeszcze parę dni przed opuszczeniem Italii.

- Wiem tylko tyle, ile mi powiedział, ale chyba chodzi o to. Wybacz, prawdę mówiąc, nie interesują mnie młode dziewczyny.

Jego żona, młoda dziewczyna, uśmiechnęła się skrycie. Wiedziała, że on nie myśli o niej jako o kimś młodym, raczej jako o kimś w jego wieku, równie dojrzałym i inteligentnym.

- Pomówię z nią. - Julia uniosła twarz do pocałunku. - Ach, Gajuszu Mariuszu, szkoda, że nie czuję się dość dobrze, by się postarać o braciszka lub siostrzyczkę dla Mariusza Młodszego!

Zanim jednak Julia zdołała przygotować się do rozmowy ze swą chorowitą siostrą, na Rzym spadła wiadomość o Germanach, a Rzymianie ulegli panice niczym stado gęsi. Od czasu inwazji Galów przed trzystu laty, którzy omal nie zniszczyli państwa rzymskiego, Italia żyła w strachu przed najazdem barbarzyńców. Po to, by się przed nim uchronić, sprzymierzone narody italskie połączyły swój los z Rzymem, i po to Rzym i jego sprzymierzeńcy toczyli nieustanną wojnę graniczną na tysiącach mil granicy macedońskiej między Adriatykiem a trackim Hellespontem. Po to przed dziesięciu laty Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus utorował drogę lądową między Galią italską a Pirenejami i pokonał plemiona znad Rodanu z zamiarem osłabienia ich i wzięcia pod protekcję militarną Rzymu.

Jeszcze przed pięciu laty w wizjach Rzymian pojawiali się jedynie barbarzyńscy Galowie i Celtowie, potem jednak po raz pierwszy pojawili się na scenie Germanowie, i oto nagle, przez porównanie z nimi, Galowie i Celtowie zaczęli się wydawać cywilizowani, obłaskawieni, łagodni. Jak wszystkie takie strachy, i te nie zrodziły się z wiedzy, lecz z niewiedzy. Germanowie pojawili się znikąd (za konsulatu Marka Emiliusza Skaurusa), pobili wielką i świetnie wyszkoloną armię rzymską (za konsulatu Gnejusza Papiriusza Karbona), a potem zniknęli znowu, jakby ich nigdy nie było. Byli tajemniczy i nieobliczalni, nie stosujący się do sposobów postępowania przyjętych przez wszystkie ludy żyjące wokół Morza Środkowego. Dlaczego zawrócili i zniknęli po tamtym zwycięstwie, które wydało na ich łaskę całą Italię bezsilną niczym kobieta w zdobytym mieście? To nie miało sensu! A jednak oni zawrócili i zniknęli, i przez te lata, które upłynęły od haniebnej porażki Karbona, stali się czymś w rodzaju Lamii albo Mormo, strachów z bajek dla dzieci. Ów stary strach przed inwazją barbarzyńców powrócił do swej zwykłej postaci, czegoś pośredniego między lękiem i drżeniem a uśmiechem niedowierzania.

A teraz, znowu znikąd, Germanowie powrócili. Wtargnęli setkami tysięcy do Galii Zaalpejskiej w miejscu, gdzie Rodan wypływa z Jeziora Lemańskiego. Kraje i plemiona galijskie uzależnione od Rzymu - ziemie Eduów i Ambarów - zalane zostały przez Germanów, dziesięciostopowych olbrzymów z legend, bladolicych niczym duchy z jakiegoś podziemnego świata barbarzyńców północy. Rozlali się po ciepłej i żyznej dolinie Rodanu, niszcząc po drodze wszystko, co żyje: ludzi i myszy, lasy i paprocie, i tratując łany zbóż.

Wiadomość dotarła do Rzymu zbyt późno, by wezwać konsula Kwintusa Cecyliusza Metellusa i jego armię, która już wylądowała w Afryce. Zatem konsul Marek Juniusz Syllanus, pozostawiony w Rzymie, bo tu nie mógł wyrządzić szkody, okazał się najlepszym człowiekiem, jakiego mógł znaleźć senat skrepowany przepisami prawa pisanego i zwyczajowego. Urzędujący konsul nie mógł być pominięty na korzyść innego wodza, jeżeli wyraził chęć prowadzenia wojny, a Syllanus był zachwycony możliwością prowadzenia wojny z Germanami. Podobnie jak przed pięciu laty Gnejusz Papiriusz Karbon, wyobrażał on sobie, że tabory Germanów są pełne złota, i pożądał tego złota.

Po tym jak Karbon sprowokował Germanów do ataku i poniósł

druzgoczącą porażkę, Germanowie nie zebrali broni i zbroi pozostawionych przez Rzymian na swoich poległych albo porzuconych w ucieczce. Tak więc to oszczędni Rzymianie, nie zaś niedbali Germanowie, wysłali oddziały do zbierania broni i sprzętu, zmagazynowanych potem w Rzymie. Cała masa broni nadal leżała w składach w mieście, czekając, aż zrobią z niej użytek. Ograniczone możliwości dostarczenia broni i sprzętu przez wytwórnie zostały wyczerpane przez afrykańską ekspedycję Metellusa, szczęściem więc Syllanus mógł skorzystać z tych zapasów, by wyposażyć swe pośpiesznie powoływane pod broń legiony. Oczywiście ci poborowi, którzy nie mieli broni i zbroi, musieli kupić je od państwa, co oznaczało nawet pewną korzyść dla państwa z tych nowych legionów Syllana.

Znaleźć żołnierzy było znacznie trudniej. Werbownicy wiedzieli o bliskim zagrożeniu i bardzo się starali. Często przymykali oko na nieodpowiednie kwalifikacje. Jeśli ktoś był chętny do służby, zapisywano go pośpiesznie. Braki uzbrojenia uzupełniano ze starych zapasów Karbona na poczet przyszłego żołdu. Wywabiano z wiejskich zaciszy zwolnionych ze służby weteranów - najczęściej bez trudności, bo wiejskie zacisze nie odpowiadało większości tych ludzi, którzy przesłużyli swoje dziesięć lat pod sztandarami i nie mogli już być powoływani.

Wreszcie zakończono zaciągi. Marek Juniusz Syllanus wyruszył do Galii Zaalpejskiej na czele okazałej armii w sile pełnych siedmiu legionów i z liczną jazdą złożoną z Traków z dodatkiem Galów z bardziej zaludnionych części rzymskiej prowincji Galii. Było to pod koniec maja, ledwie osiem tygodni po tym, jak wiadomość o germańskiej inwazji dotarła do Rzymu. W tym czasie Rzym zaciągnął, uzbroił i częściowo wyszkolił pięćdziesięcioletnią armię, licząc jazdę i oddziały pomocnicze. Trzeba było aż takiego straszaka jak Germanie, by zmusić kraj do tak heroicznego wysiłku.

- Mimo wszystko jest to żywy dowód, co my Rzymianie potrafimy zdziałać, jeśli nam na tym zależy - mówił Gajusz Juliusz Cezar do żony Marcji. Wracali z oglądania wymarszu legionów ku italskiej Galii po Via Flaminia. Widok był oszałamiający i podnoszący na duchu.

- Tak, zakładając, że Syllanus robi, co do niego należy - odpowiedziała Marcja, prawdziwa żona senatora żywo zainteresowana polityką.

- Czy ty jesteś innego zdania?

- Ty chyba też, jeśli zechcesz to przyznać. Niemniej po obejrzeniu tylu nóg w żołnierskich butach maszerujących po Moście Mulwijskim rada jestem, że mamy za cenzorów Marka Emiliusza Skaurusa i Marka Liwiusza Druzusa. Marek Skaurus ma rację. Most Mulwijski grozi zawaleniem i nie przetrwa następnej powodzi. Co wtedy zrobimy, jeśli całe nasze wojsko będzie na południe od Tybru, a konieczny będzie szybki marsz na północ? Rada jestem, że go wybrano, bo przyrzekał odbudować Most Mulwijski. Wspaniały człowiek!

Cezar uśmiechnął się kwaśno, ale postarał się o bezstronność.

- Do licha, Skaurus staje się instytucją! To przecież pozer, zręczny oszust, w trzech czwartych fałszywy. Zdarza się jednak, że ta jedna

czwarta, która nie jest fałszywa, bywa więcej warta niż inni ludzie w całości, więc muszę mu chyba wybaczyć. Poza tym, on ma rację - potrzebujemy nowego programu robót publicznych, i nie tylko po to, by zwiększyć liczbę zatrudnionych. Wszyscy ci dusigrosze przyglądający się spisom senatorów, których musieliśmy znosić jako cenzorów przez ostatnie lata, nie byli warci papieru, na którym wypisywali swoje gryzmoły. Oddajmy Skaurusowi, co mu się należy; zamierza upewnić się co do paru pozycji, na które już dawno należało zwrócić uwagę. Chociaż nie mogę mu darować odwodnienia moczarów wokół Rawenny ani jego planów budowy systemu kanałów i grobli między Parmą a Mutiną...

- Ach, daj spokój, Gajuszu Juliuszu, nie bądź drobiazgowy! - ucięła dość ostro Marcja. - To wspaniale, że on chce uregulować Pad! Teraz, gdy Germanowie wdzierają się do Galii Zaalpejskiej, tylko tego nam brakuje, by wezbrany Pad odciął nasze armie od przełęczu!

- Już mówiłem, że pochwalam ten zamiar - rzekł Cezar i dodał z uporem: - Jest jednak zastanawiające, że prowadzi on swój program robót publicznych właśnie w tych częściach kraju, gdzie ma mnóstwo klientów - i zapewne pomnoży ich liczbę kilkakrotnie, zanim zakończy. Via Emilia prowadzi z Ariminum nad Adriatykiem do Taurazji u podnóżu Alp Zachodnich - trzysta mil klientów zwartych niczym kamienie w jej bruku!

- To dobrze, i życzę mu powodzenia. - Marcja była równie uparta. - A ty chyba znajdziesz jakiś powód, by wyśmiać też budowaną przez niego drogę na wybrzeżu zachodnim!

- Nie zapominaj o drodze do Dertony, która połączy tę drogę zachodnią z Via Emilia. A na dodatek on nadaje wszystkiemu swoje imię! Via Emilia Skauri. Też coś!

- Zgorzknialec!

- Fanatyczka!

- Czasami żałuję, że cię tak bardzo lubię.

- Mógłbym czasem powiedzieć to samo.

W tej właśnie chwili pojawiła się Julilla. Była niezmiernie szczupła, chociaż nie całkiem wychudzona. Wyglądała mniej więcej tak samo przez ostatnie dwa miesiące, znalazła bowiem sposób na to, by budzić litość swym wyglądem, nie narażając się na śmierć z wygłodzenia albo od choroby. Śmierć nie była częścią planu Julilli.

Stawiała ona przed sobą dwa cele: zmusić Lucjusza Korneliusza Sullę do przyznania się, że ją kocha, i doprowadzić swą rodzinę do granicy załamania. Wiedziała, że tylko to da jej najmniejszą choćby szansę uzyskania zgody ojca na małżeństwo z Sullą. Choć bardzo młoda i bardzo rozpieszczona, nie przeceniała swego wpływu na ojca. Mógł ją kochać do szaleństwa, ale gdyby trzeba było decydować, kogo ma ona poślubić, postąpiłby po swojemu, nie zważając na jej życzenia. Ach, gdyby była aż tak uległa, by zgodzić się na wybranego przez niego męża - jak to zrobiła Julia - byłby uszczęśliwiony. Wiedziała, że rozejrzy się on za kimś, kto będzie się nią opiekował, kochał ją, szanował i dobrze traktował. Lucjusz Korneliusz Sulla jako jej mąż? Na to ojciec nigdy, przenigdy się nie zgodzi i nic, co ona - albo Sulla - mogliby zrobić, nie zmieni jego zdania. Mogła sobie

płakać, błagać, deklarować dozgonną miłość, ojciec i tak odmówi udzielenia zgody. Zwłaszcza teraz, gdy miała w banku czterdzieści talentów - milion sestercji - posagu, co uczyniło z niej dobrą partię i zrujnowało szanse Sulli na przekonanie ojca, że chodzi mu tylko o nią, a nie o jej pieniądze, gdyby oczywiście przyznał, że chce ją poślubić.

Jako dziecko Julilla nigdy nie okazała, że potrafi być niezmiernie cierpliwa, i teraz to wykorzystała. Cierpliwa niczym ptak wysiadujący nie zapłodnione jajko, Julia rozpoczęła realizację swego planu świadoma, że jeśli ma dopiąć celu - małżeństwa z Sullą - musi być cierpliwsza i wytrwalsza od wszystkich z jej otoczenia, od jej ofiary, Sulli, do jej nadzorcy, Gajusza Juliusza Cezara. Była nawet świadoma istnienia pułapek na drodze do sukcesu - Sulla, na przykład, mógł poślubić kogoś innego, wyprowadzić się z Rzymu albo zachorować i umrzeć. Zrobiła jednak, co mogła, by oddalić te możliwości, głównie wykorzystując swą oczywistą chorobę jako broń wymierzoną w serce człowieka, o którym wiedziała, że nie chce jej widzieć. Skąd to wiedziała? Bo przez pierwsze miesiące po jego powrocie do Rzymu wiele razy próbowała go zobaczyć. Spotykała ją jedna odprawa po drugiej, aż w końcu powiedział jej - byli ukryci za kolumną w portyku Margaritaria - że jeśli nie da mu spokoju, opuści on na zawsze Rzym.

Plan ewoluował z wolna. Jego załączek był rezultatem tamtego pierwszego spotkania, kiedy to nazwał ją pulchnym kociątkiem i przegonił. Przestała jeść słodczyce i straciła nieco na wadze, ale nie spotkała ją z jego strony żadna nagroda za to wyrzeczenie. Kiedy potem wrócił do Rzymu i potraktował ją jeszcze bardziej szorstko, jej postanowienie okrzepło i przestała jeść. Początki były bardzo trudne, potem jednak przekonała się, że jej apetyt maleje, a uczucie głodu całkowicie ustępuje. Od czasu śmierci Lucjusza Gawiusza Stichusa przed ośmioma miesiącami plan Julilli uległ przekształceniu. Pozostały do rozstrzygnięcia irytujące problemy: jak zwrócić na siebie uwagę Sulli i jak się żywić, by nie tyć, a utrzymać się przy życiu.

Z Sullą poradziła sobie, pisząc do niego listy.

„Kocham cię i nigdy nie przestanę ci tego powtarzać. Skoro listy są jedynym sposobem, by cię zmusić do wysłuchania mnie, niech to będą listy. Dziesiątki, setki, tysiące z biegiem lat. Zasypię cię listami, utopię w listach, zmiażdżę listami. Cóż jest bardziej rzymskiego niż pisanie listów? Żywimy się nimi, jak ja żywię się, pisząc do ciebie. Co znaczy jedzenie, gdy odmawiasz mi pokarmu, którego pragnie moje serce i dusza? Mój najokrutniejszy, najbardziej bezlitosny i nielitościwy ukochany! Jak możesz odsuwać się ode mnie? Zburz mur między naszymi domami, wkradnij się do mej komnaty i całuj mnie, całuj mnie i całuj! Ale nie zrobisz tego. Słyszę, jak to mówisz, gdy ja tu leżę zbyt słaba, by opuścić moje okropne i znienawidzone łóżko. Co takiego zrobiłam, by zasłużyć na twoją obojętność, twój chłód? Z pewnością gdzieś pod twą białą, białuteńką skórą śpi skulona najmniejsza z figurynek, moja prawdziwa istota powierzona twej opiece, ta zaś Julilla, która żyje obok ciebie w swym okropnym i znienawidzonym łóżku jest jedynie bezkrwistą i wyschniętą

zjawą, coraz bardziej mglistą i słabszą. Pewnego dnia zniknę i wszystkim, co po mnie pozostanie, będzie ta małeńka figurka pod twą białą, białuteńką skórą. Przyjdź i zobacz, co zrobiłeś! Całuj mnie i całuj, i całuj. Bo cię kocham”.

Sprawa wyżywienia była znacznie trudniejsza. Postanowiwszy nie przybierać na wadze, nadal ją traciła, mimo starań o jej utrzymanie. Któregoś dnia cała gromada lekarzy, którzy przez te miesiące przewinęli się przez dom Juliusza Cezara, na próżno próbując ją uleczyć, przyszła do niego, zalecając przymusowe żywienie. Potem odeszli, jak to lekarze, zostawiając swoją brudną robotę do wykonania nieszczęsnej rodzinie. Cały dom zbierał się więc na odwagę i szykował do tej próby, od ostatnio kupionego niewolnika do braci Gajusza i Sekstusa, Marcji i samego Cezara. Była to ciężka próba, o której wszyscy starali się potem zapomnieć - Julillą wrzeszcząca jakby ją mordowano, a nie przywracano do życia, walcząca słabo, zwracająca każdy łyk, plująca i krztusząca się. Kiedy Cezar kazał w końcu przerwać tę okropność, rodzina zebrała się na naradę. Postanowiono jednogłośnie, że bez względu na to, co zdarzy się z Julillą, nie należy jej karmić przymusowo.

Awantura, jaką urządziła Julillą podczas próby karmienia, sprawiła, że cała okolica dowiedziała się o kłopotach Cezara. Dotąd nie ukrywano ich zresztą jakoś szczególnie, tyle że Cezar brzydził się plotkami i starał się nie dawać do nich powodu.

Na ratunek przybył nie kto inny jak sąsiadka Klitumna. Ręczyła, że Julillą dobrowolnie zje to, co przynosi, i że potem tego nie zwróci. Cezar i Marcja powitali ją gorąco i chłonęli każde jej słowo.

- Trzeba znaleźć mleczną krowę - mówiła Klitumna z ważną miną. Spodobała jej się ta nowa sytuacja, w której znalazła się w centrum uwagi Cezarów. - Wiem, że to niełatwa sprawa, ale chyba jest parę mlecznych krów w Vallis Camenarum. Potem w każdy kubek mleka wbija się jedno jajko i trzy łyżki miodu, ubija się, aż utworzy się pianka, i dodaje na końcu pół kubka mocnego wina. Jeśli doda się wina przed ubiciem, nie uzyska się tej pysznej pianki. Jeśli macie szklany puchar, podajcie ten napój w nim - jest różowy, a pianka żółta. Jeśli go wypije, z pewnością utrzymają on przy życiu i w dobrym zdrowiu.

Klitumna miała żywo w pamięci głodówkę, jaką urządziła jej siostra po tym, jak zakazano jej małżeństwa z najmniej odpowiednim człowiekiem w Alba Fuentia - z zaklinaczem węzów, ni mniej, ni więcej!

- Wypróbujemy to - odparła Marcja, mając łzy w oczach.

- To pomogło mojej siostrze. - Klitumna westchnęła. - Kiedy skończyła z tym zaklinaczem węzów, wyszła za ojca mego drogiego Stichusa.

Cezar wstał.

- Zaraz pošlę kogoś do Camenarum - powiedział i zniknął. Potem wysunął głowę zza drzwi. - A co z jajkiem? Ma być wyborowe czy zwykłe?

- Ach, używaliśmy zwykłych. - Klitumna rozparła się wygodnie w swym krześle. - Zbyt duże mogłyby zmienić proporcje napoju.

- A miód? - dopytywał się Cezar. - Może być zwykły łatyński czy mamy się starać o miód z Hymettu albo inny nie okadzany?

- Zwykły łatyński świetnie się nadaje - oświadczyła Klitumna. - Może chodzi właśnie o ten dym w zwyczajnym miodzie, kto wie? Nie odstepujmy od oryginalnego przepisu, Gajuszu Juliuszu.

- Bardzo słusznie - rzekł Cezar i zniknął znowu.

- Ach, oby tylko pozwołała to sobie podać - głos Marcji drżał. - Odchodzimy tu już od zmysłów, droga sąsiadko!

- Mogę to sobie wyobrazić. Nie róbcie jednak takiego zamieszania wokół tej sprawy, a przynajmniej niech Julilla o tym nie słyszy. - Klitumna umiała mówić do rzeczy, kiedy nie chodziło o jej bliskich. Z radością pozwoliłaby Julilli umrzeć, gdyby wiedziała o listach piętrzących się w pokoju Sulli. Zmarszczyła brwi.

- Nie chcemy przecież drugiego zgonu w naszych domach - dodała i żałośnie pociągnęła nosem.

- Na pewno nie! - wykrzyknęła Marcja. Poczucie przyzwoitości kazało jej zapytać ostrożnie: - Czy trochę już doszłaś do siebie po stracie siostrzeńca, Klitumno? Wiem, jak ci było ciężko.

- Ach, pogodziłam się z tym - odrzekła Klitumna, która opłakiwała Stichusa na różne sposoby, ale przekonała się, że życie codzienne jest o wiele łatwiejsze bez kłótni między nieboszczykiem Stichusem a jej najdroższym Sullą. Westchnęła ciężko - całkiem jak Julilla, choć o tym nie wiedziała.

To spotkanie okazało się pierwszym z wielu, bo kiedy napój rzeczywistości podziałał, Cezarowie poczuli się dłużnikami swej pospolitej sąsiadki.

- Wdzięczność może być sprawą uciążliwą - zauważył Cezar, który uciekał do swej pracowni, gdy tylko usłyszał w atrium piskliwy głos Klitumny.

- Ach, Gajuszu Juliuszu, przestań zrzędzić! Klitumna jest bardzo miła. Nie powinniśmy ranić jej uczuć, a może się to stać, jeśli nie przestaniesz jej unikać.

- Ona jest okropna! - wykrzyknął pan domu. - Przecież o tym właśnie mówię!

Plan Julilli skomplikował życie Sulli w takim stopniu, że gdyby o tym wiedziała, miałyby ogromną satysfakcję. Nie wiedziała jednak, bo skrywał przed wszystkimi swe rozterki i udawał obojętność wobec jej stanu, co zupełnie zwiodło Klitumnę. Przynosiła nowiny o sytuacji w domu sąsiadów, strojąc się w szaty cudotwórczyni.

- Chciałabym, żebyś się tam pokazał i powiedział słówko tej biedaczce - oznajmiła Klitumna w dniu, w którym Marek Juniusz Syllanus wyprowadził swoje siedem wspaniałych legionów na Via Flaminia. - Ona często pyta o ciebie, Lucjuszu Korneliuszu.

- Mam co innego do roboty niż nadskakiwanie jakiejś Cezarównie.

- Skończona bzdura! - oświadczyła Nikopolis. - Jesteś tak nieużyty, jak tylko mężczyzna to potrafi.

- A czy to moja sprawa? - spytał, obracając się do kochanki tak nagle, że

cofnęła się ze strachem. - Mógłbym być zajęty! Mógłbym maszerować z Sylanem na wojnę z Germanami.

- Bo i czemu nie poszedłeś? - spytała. - Tak bardzo obniżyli wymagania, że z twoim nazwiskiem z pewnością by cię przyjęli.

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby. Zbyt długie i ostro zakończone kły nadawały mu nieco dziki wygląd.

- Ja, patrycjusz Korneliusz, miałbym maszerować jako szeregowy legionista? Niech mnie raczej Germanowie sprzedadzą w niewolę!

- To się może stać, jeśli się ich nie powstrzyma. Doprawdy, Lucjusz Korneliuszu, czasami postępujesz jak swój najgorszy wróg! Klitumna prosi cię tylko o drobną przysługę dla umierającej dziewczyny. Zrządzenie, że nie masz czasu ani chęci... to irytujące! - W jej oczach pojawił się chytry błysk. - Musisz przyznać, że odkąd Lucjusz Gawiusz tak bardzo w porę oddał ducha, żyje ci się o wiele wygodniej. - I zanuciła na melodię popularnej piosenki o kimś, kto zamordował rywala w miłości i uszło mu to na sucho. - Bardzo w poore oddał duuucha!

Jego twarz stała się kamienna, choć dziwnie pozbawiona wyrazu.

- Moja droga Nikopolis, czy nie przeszłabyś się nad Tyber i nie wyświadczyła mi wielkiej przysługi, wskakując do niego?

Porzucono roztropnie rozmowę o Julilli. Był to jednak temat, który pojawiał się wciąż na nowo. Sulla gryzł się, zdając sobie sprawę ze swego słabego punktu i nie mogąc okazać niepokoju. Któregoś dnia ta głupia dziewczyna Julilli zostanie przyłapaną z jednym z tych listów albo sama Julilla zostanie przyłapaną na ich pisaniu - i w jakim on wtedy będzie położeniu? Kto uwierzy, że jest w tej sprawie całkiem niewinny, przy jego reputacji? Mieć skandaliczną przeszłość - to jedno, a być oskarżonym przez cenzorów o deprawację córki patrycjusza i senatora - to drugie. Zamknęłoby mu to drogę do senatu, a był zdecydowany tam się dostać.

Marzył o opuszczeniu Rzymu, a jednak nie ważył się na to, bo co mogłaby zrobić ta dziewczyna pod jego nieobecność? I choć nie chciał się do tego przyznać, nie mógł się zdobyć na opuszczenie jej, kiedy była tak bardzo chora. Choćby i sama wpędziła się w chorobę, była to mimo wszystko ciężka choroba. Jego myśli krążyły jak u zdezorientowanego zwierzęcia. Nie mógł się uspokoić i zacząć myśleć rozsądnie i logicznie. Wyciągał uschnięty wieniec z trawy ze schowka w szafce któregoś z przodków i siedział, trzymając go w dłoniach, bliski płaczu, bo tak bardzo czegoś pragnął. Wiedział, dokąd zmierza i co zamierza osiągnąć, i ta nieszczęsna dziewczyna była utrudnieniem nie do zniesienia, a jednak ta nieszczęsna dziewczyna była też początkiem tego wszystkiego, ze swoim wieńcem z trawy - co tu robić, co robić? I bez Julilli dość ma kłopotów z wyborem właściwej drogi w grzęzawisku swej przeszłości.

Rozważał nawet możliwość samobójstwa, on, który był ostatnią osobą w świecie skłoną popełnić ten czyn - ot, jako fantazję, najlepsze wyjście z wszystkich kłopotów, sen, który nie ma końca. A potem wracał myślami do Julilli, zawsze wracał do Julilli. Dlaczego? Nie kochał jej, nie był zdolny do miłości, czasem jednak pożądał jej, pragnął gryźć ją, całować, wbić na pał, aż zacznie wyc w ekstatycznym bólu. Czasem zaś, zwłaszcza wtedy,

gdy leżał bezsenny między macochą a kochanką, nienawidził jej, marzył o chwyceniu jej za gardło, wyobrażał sobie jej poczerwieniałą twarz i wytrzeszczone oczy, gdy on wydusza resztki życia z jej płuc. Potem przychodził następny list - czemuż ich nie wyrzucił albo nie zaniósł do jej ojca z gniewną miną i z żądaniem, by przerwał to nękanie go listami! Nie zrobił tego. Czytał je, te namiętne i zdesperowane prośby, które jej dziewczyna wsuwała w miejscach publicznych w fałdy jego togi. Czytał każdy po dziesięć razy, a potem wkładał go między inne do jednej z szafek swoich przodków.

Trwał jednak w postanowieniu niewidywania się z nią.

Wiosna zmieniła się w lato, a lato w kanikułę sekstyliisa, kiedy Syriusz, Psia Gwiazda, połyskiwał posepnie nad sparaliżowanym upałem Rzymem. Potem, kiedy pewny siebie Syllanus maszerował w górę Rodanu ku kipiącym masom Germanów, w środkowej Italii zaczął padać deszcz i nie przestawał padać. Dla mieszkańców słonecznego Rzymu było to gorsze niż sekstylikańska kanikuła, przygnębiające, niezmiernie uciążliwe, niepokojące, bo grożące powodzią, i ze wszech miar niezdrowe. Nie było nadziei na otwarcie rynków, życie polityczne zamarło, procesy trzeba było odłożyć, a przestępczość wzrosła. Mężowie przyłapywali żony *in flagranti delicto* i zabijali je. Dachy spichrzów przeciekały, więc złożona w nich pszenica była zawilgocona. Tyber przybrał i zatopił część publicznych latryn, wypłukując z nich fekalia. Gdy Pole Marsowe i Pole Watykańskie znalazły się pod wodą, zaczęło brakować warzyw, a tandetnie budowane insule zaczynały się walić albo pojawiały się w ich murach i fundamentach ogromne pęknięcia. Wszyscy chodzili przeziębieni. Starzy i słabi zaczęli umierać na zapalenie płuc, młodzi na krup i anginę, wszyscy zaś umierali na tajemniczą chorobę, która paraliżowała całe ciało, a kto przeżył, wychodził z niej z uschniętą ręką albo nogą.

Klitumna i Nikopolis codziennie ze sobą walczyły, codziennie też Nikopolis przypominała szeptem Sulli, jak bardzo na rękę była mu śmierć Stichusa.

Potem, po dwóch tygodniach nielitościwego deszczu, nisko wiszące chmury powlokły swe ostatnie strzępy za horyzont na wschodzie i ukazało się słońce. Rzym parował. Smużki pary wiły się nad brukiem i nad dachówkami. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Każdy balkon, loggia, ogród-perystyl i okno w mieście obrodziły zatechłą bielizną, wnosząc swój wkład do ogólnego zaduchu, a w domach, gdzie były małe dzieci, jak dom kupca i bankiera Tytusa Pomponiusza, perystyle zapełniły się schnącymi pieluszkami. Trzeba było też osuszyć buty, wietrzono skrzynie z ubraniami i komody, a w kulturalnych domach rozwijano wszystkie książki w poszukiwaniu pleśni.

Nadmiar wilgoci miał i swoje dobre strony. Grzybobranie przynosiło fenomenalne zbiory. Zawsze złaknieni tych wonnych smakowitości, wszyscy, biedni i bogaci, jednakowo zajadali się grzybami.

A Sulla znów został zasypany listami Julilli, po dwóch wspaniałych deszczowych tygodniach, które powstrzymały jej dziewczynę od uganiania

się za nim, by wrzucić mu list w fałdy togi. Coraz bardziej tęsknił za wyjazdem, aż uświadomił sobie, że jeśli nie otrząśnie się choćby na dzień z miazmatycznych waporów Rzymu, oszaleje. Metrobiusz i jego protektor Skylaks byli na wakacjach w Kyme, a Sulla nie chciał być sam w tym dniu wytchnienia. Postanowił zabrać Klitumnę i Nikopolis na wycieczkę do swojego ulubionego miejsca pod miastem.

- Dalej, dziewczęta - powiedział rankiem trzeciego pogodnego dnia z rzędu. - Wkładajcie odświętne szmatki, zabieram was na wycieczkę!

Dziewczęta - które wcale nie czuły się dziewczęco - patrzyły na niego z kwaśnymi minami osób, którym nie w głowie wrywać się z przygnębienia, i odmówiły opuszczenia wspólnego łóża, choć po parnej nocy było mocno przepecone.

- Dobrze wam zrobi świeże powietrze - nalegał Sulla.

- Kto mieszka na Palatynie, ma zawsze świeże powietrze. - Klitumna odwróciła się do niego plecami.

- Powietrze na Palatynie nie jest teraz lepsze niż gdzie indziej: pełne zapachów ze ścieków i z pralni. Chodźcie! Wynająłem wóz. Pojedziemy do Tibury, zjemy coś w lasku - może złapiemy jaką rybę albo kupimy rybę i jakiegoś tłustego królika prosto z pułapki - i wrócimy do domu przed wieczorem w dużo lepszych humorach.

- Nie - powiedziała niezadowolonym tonem Klitumna.

Nikopolis wahała się.

- No cóż...

To wystarczyło Sulli.

- Zbierajcie się, będę za parę chwil z powrotem - rzekł i przeciągnął się.

- Ach, zmęczyło mnie to siedzenie w domu.

- Mnie też. - Nikopolis wstała z łóżka.

Klitumna nadal leżała twarzą do ściany, gdy Sulla poszedł do kuchni wydać polecenia w związku z wyjazdem.

- Wstawaj - powiedział, sznurując otwarte buty, ubrany już w czystą tunikę.

Nie odpowiadała.

- Jak sobie życzysz - rzekł, idąc do drzwi. - Zobaczymy się wieczorem.

Nie odpowiadała.

Udział w wycieczce wzięli zatem tylko Sulla i Nikopolis, i wielki kosz pełen przysmaków wrzuconych tam przez kucharza, który sam miał ochotę jechać z nimi. U stóp Schodów Kakusa czekała na nich dwukółka. Sulla posadził Nikopolis na miejscu pasażera, sam zaś wdrapał się na kozioł.

- Ruszamy - powiedział, biorąc lejce do rąk i czując nagły przypływ radości. Czuł się wolny jak mało kiedy w życiu. Musiał przyznać, że wcale nie brakowało mu Klitumny. Wystarczało mu towarzystwo Nikopolis. - Wio, muły!

Muły ruszyły rażno i dwukółka poturkotała po Vallis Murcia, przy której leżał Circus Maximus, opuszczając miasto przez bramę Capena. Niestety, widok nie był z początku interesujący ani podnoszący na duchu, bo droga okrężna, którą wybrał Sulla, kierując się na wschód, przecinała wielkie rzymskie cmentarze. Nagrobki za nagrobkami - nie były to okazałe

mauzolea i grobowce bogatych i szlachetnie urodzonych, które zdobiły pobocza wszystkich głównych dróg wybiegających z Rzymu, ale kamienie nagrobne zwykłych ludzi. Każdy Rzymianin czy Grek, nawet najuboższy, nawet niewolnik, marzył o królewskim pomniku nagrobnym, świadectwie jego istnienia. Z tego powodu zarówno biedni, jak bogaci zapisywali się do towarzystw pogrzebowych i składali każdy grosz na starannie zarządzany fundusz towarzystwa. Sprzeniewierzenia były w Rzymie, jak wszędzie indziej, na porządku dziennym, ale członkowie towarzystw pogrzebowych tak czujnie strzegli swych pieniędzy, że urzędnicy, chcąc nie chcąc, musieli być uczciwi. Wystawny pogrzeb i piękny nagrobek - to się liczyło!

Rozstaje stanowiły punkt centralny wielkiej nekropolii pokrywającej całe Campus Esquilinus. Stała tam w świętym gaju świątynia Wenus Libityny. We wnętrzu podium tej świątyni przechowywano rejestry zgonów obywateli. Tam również stały, jedna za drugą, skrzynie z pieniędzmi wpłacanymi przez stulecia na prowadzenie tych rejestrów. W rezultacie świątynia była niesłychanie bogata. Pieniądze stanowiły własność państwa, nigdy ich jednak nie tykano. Owa Wenus władała zmarłymi, nie zaś żyjącymi. To ona pozwalała na zanik siły rozrodczej. Gaj przy jej świątyni był siedzibą rzymskiego cechu grabarzy. Za świętym okręgiem Wenus Libityny leżała otwarta przestrzeń, na której wznoszono stosy pogrzebowe, a poza nią leżał cmentarz dla ubogich, nieustannie zmieniająca się sieć dołów zapełnianych ciałami zmarłych, wapnem i ziemią. Grzebanie zwłok praktykowali tylko nieliczni obywatele lub nieobywatele, nie licząc Żydów, których grzebano w wydzielonej części nekropolii, i arystokratów z wielkiego rodu Korneliuszy, których chowano przy Via Appia. Większość pomników, przemieniających Campus Esquilinus w małe kamienne miasto, kryła w sobie urny z prochami, nie zaś rozkładające się zwłoki. Nikogo, nawet tych największych, nie wolno było chować w świętych granicach Rzymu.

Kiedy jednak dwukółka przejechała pod łukami dwóch akweduktów, które doprowadzały wodę do kipiących życiem północno-wschodnich wzgórz Rzymu, widoki uległy zmianie. Na wszystkie strony rozciągały się uprawy rolne, najpierw ogrody warzywne, potem pastwiska i pola pszenicy.

Chociaż skutki ulewy utrudniały jazdę po Via Tiburtina (warstwa żwiru, pyłu wapiennego i piasku pokrywająca bruk była poważnie uszkodzona), tych dwoje na dwukółce nie zwracało na to uwagi. Dzień był gorący, ale wietrzyk chłodził. Parasol Nikopolis był wystarczająco szeroki, by osłonić zarówno śnieżnobiałą skórę Sulli, jak jej oliwkową cerę, a muły okazały się łatwą do kierowania parą. Sulla był zbyt rozsądny, by je poganiać, pokonywały więc klusem milę za milą.

Dojechać do Tibury i wrócić w ciągu jednego dnia było nie sposób, ale ulubione miejsce Sulli leżało znacznie bliżej. W pewnej odległości od Rzymu rósł las ciągnący się do górskich grzbietów wznoszących się coraz wyżej, aż do Wielkiej Skały, najwyższej góry w Italii. Ten las przecinał prostopadle drogę o milę przed żyzną doliną rzeki Anio.

Po przejechaniu około mili przez las trafiało się na twardszy grunt i tu

Sulla zjechał z drogi na nie utwardzony szlak wozów, który skręcał między drzewa i zniknął.

- Dojechaliśmy - powiedział, zeskakując i podchodząc, by pomóc Nikopolis, odrętwiałej i nieco obolałej. - Wiem, że to nie wygląda obiecująco, ale wystarczy przejść trochę dalej, a pokażę ci miejsce warte tej jazdy.

Najpierw wyprzągnął i spętał muły, potem zepchnął dwukółkę ze szlaku w cień, wyciągnął kosz z prowiantem, biorąc go na ramię.

- Skąd tyle wiesz o obchodzeniu się z mułami i uprzężą? - Nikopolis szła za Sulla, wybierając ostrożnie drogę między drzewami.

- Wie to każdy, kto pracował w rzymskim porcie - powiedział Sulla przez ramię. - Nie śpiesz się. To niedaleko i mamy czas.

Istotnie, mieli sporo czasu. Był początek września, a to oznaczało, że mieli dwanaście dłuższych dziennych godzin po sześćdziesiąt pięć minut. Weszli do lasu na dwie godziny przed południem.

- To nie jest dziewiczy las i dlatego nie ma w nim zwalonych drzew - mówił Sulla. - Dawniej uprawiano tu pszenicę, ale gdy zboże zaczęło przybywać z Sycylii i Sardynii oraz prowincji Afryki, chłopci przenieśli się do Rzymu, a tu wyrosły drzewa, bo grunt jest nie najlepszy.

- Zdziwiasz mnie, Lucjuszu Korneliuszu - powiedziała, usiłując nadażyć za długimi krokami Sulli. - Skąd tyle wiesz o świecie?

- Dar losu. Zapamiętuję wszystko, co usłyszę albo przeczytam.

Wyszli na czarującą polanę, zieloną i pełną kwiatów późnego lata. Był to istny biało-różowy kosmos, wielkie kwitnące dzungle różowych i białych pnących róż oraz wysokich różowych i białych łubinów. Przez polanę płynął wezbrany po deszczach strumień, a skaliste progi dzieliły jego wody, tworząc głębokie sadzawki i pienne kaskady. Słońce połyskiwało i odbijało się od jego powierzchni, nad którą unosiły się ważki i jakieś małe ptaszki.

- Ach, jak cudownie! - wykrzyknęła Nikopolis.

- Znalazłem to miejsce w zeszłym roku, kiedy wyjechałem na parę miesięcy - powiedział, stawiając koszyk w cieniu. - Mojej dwukółce odpadło koło właśnie tam, gdzie szlak skręca w las, i musiałem wsadzić Metrobiosa na muła i posłać go do Tibury po pomoc. Czekałem, rozglądałem się po okolicy.

Nikopolis nie ucieszyła się wcale, dowiadując się, że pogardzany i zniechęcony Metrobiosa był pierwszym, któremu pokazano to szczególne miejsce. Nic jednak nie powiedziała, padła po prostu na trawę i patrzyła, jak Sulla wyciąga z koszyka wielki bukłak z winem. Zanurzył go w strumieniu przed skalną zaporą, a potem ściągnął tunikę i buty, wszystko, co miał na sobie.

Wciąż był w radosnym nastroju, rozgrzewającym ducha niczym słońce grzejące skórę. Przeciągnął się, uśmiechnął i rozejrzał po polanie z uczuciem, które nie miało nic wspólnego z Metrobioszem czy Nikopolis. Czuł się po prostu szczęśliwy, uwolniony od kłopotów i rozczarowań swego codziennego życia, szczęśliwy, że znalazł się w miejscu, w którym czas przestaje płynąć, w którym nie istnieje polityka, nie ma podziału na klasy a

pieniądze są wynalazkiem przyszłości. Tak nieliczne i tak rzadkie były w jego życiu chwile prawdziwego szczęścia, że każdą z nich pamiętał niezwykle wyraźnie - ów dzień, w którym płatanina zygzaków na papierze przemieniła się nagle w zrozumiałe myśli, tę godzinę, w której jakiś niezmiernie czuły i troskliwy człowiek pokazał mu, jak doskonały może być akt miłosny, to oszałamiające uczucie wyzwolenia z chwilą śmierci ojca i tę chwilę, gdy uświadomił sobie, że może tę polanę w lesie nazwać własną, że nie należy ona do nikogo innego, bo nikt jej nie odwiedza. To było wszystko, suma. Żadna z tych chwil nie miała związku z podziwem dla piękna czy choćby tylko z radością z życia. Reprezentowały zdobycie wiedzy, doznania erotyczne, wyzwolenie spod czyjejś władzy i posiadanie czegoś. Takie bowiem rzeczy Sulla cenił i takich pragnął.

Nikopolis przyglądała mu się zafascynowana, nie próbując nawet zrozumieć, skąd płynie ten radosny nastrój. Podziwiała biel jego ciała w pełnym słońcu - widok, którego nigdy jeszcze nie oglądała - i ogniście złote włosy na głowie, piersi i podbrzuszu. Nie sposób było się temu oprzeć; zdjęła swą lekką suknię i bieliznę. Teraz i ona była naga i mogła rozkoszować się pocałunkami słońca.

Gdy weszli do jednej z głębokich sadzawek, chłód wody zaparł im dech. Stali tam dość długo, by się ogrzać, a Sulla bawił się jej stwardniałymi sutkami i pięknymi piersiami. Potem wydostali się na gęstą miękką trawę i tam kochali się, wysychając jednocześnie. Potem zjedli swój południowy posiłek: chleb z serem, jajka na twardo i skrzydełka kurcząt, popijając to chłodnym winem. Uwiła dla Sulli wieniec z kwiatów, potem drugi dla siebie, a potem wywinęła trzy koziołki z czystej radości życia.

- To wspaniałe! - westchnęła. - Klitumna nie wie, co traci.

- Klitumna nigdy nie wie, co traci - rzekł Sulla.

- Ach, nie - powiedziała leniwie Nikopolis, a w jej myślach odezwało się bzykanie jakiejś złośliwej pszczołki. - Straciła Stichusa.

I zaczęła nucić tamtą piosenkę o morderstwie, póki nie złowiła kątem oka jego gniewnego spojrzenia. Nie wierzyła w głębi ducha, że Sulla przyczynił się do śmierci Stichusa, ale kiedy dała to po raz pierwszy do zrozumienia, zauważyła, że był zaniepokojony, ciągnęła więc tę grę ze zwykłej ciekawości.

Czas przestać. Zrywając się na nogi, wyciągnęła ręce do Sulli, który wciąż leżał na trawie.

- Wstawaj, leniu. Mam ochotę przejść się pod drzewami dla ochłody.

Wstał posłusznie, wziął ją za rękę i poszli w cień drzew, gdzie nic nie szpeciło dywanu z nagranych słońcem suchych liści. Chodzić po nich boso było prawdziwą rozkoszą.

A oto i grzyby! Miniaturowa armia najpiękniejszych grzybów, jakie Nikopolis widziała w życiu, nie tkniętych przez owady ani zwierzęta, śnieżnobiałych, o smukłych nóżkach i mięsistych kapelusikach, napełniających powietrze mocnym aromatem.

- Moje słodkie! - wykrzyknęła, padając na kolana.

Sulla skrzywił się.

- Chodźmy.

- Ach, nie żałuj mi tego, bo sam nie lubisz grzybów! Proszę, Lucjuszu Korneliuszu! Wróć po koszyk i jakąś ściereczkę dla mnie. Chcę mieć dziś z nich wieczerzę - powiedziała zdecydowanym tonem Nikopolis.

- Mogą być niejadalne - odparł, nie ruszając się z miejsca.

- Nonsens, oczywiście są jadalne! Spójrz! Widać blaszki, żadnych plam, nie czerwienieją. Pachną cudownie, a to przecież nie dąb, prawda? - Spojrzała na drzewo, pod którym rosły grzyby.

Sulla popatrzył na pokurczone liście drzewa, doznając wizji nieuchronności losu, dotknięcia wskazującego palca jego szczęśliwego bóstwa.

- Nie, to nie dąb.

- Więc proszę! Proszę - wdzięczyła się.

Westchnął.

- Zgoda. Jak sobie życzysz.

Cała miniaturowa armia zniknęła, gdy Nikopolis gromadziła swój skarb. Zawinęła go w serwetę przyniesioną przez Sullę i położyła ostrożnie na dnie kosza, gdzie nie mógł mu zaszkodzić upał podczas drogi powrotnej.

- Nie wiem, dlaczego ty i Klitumna nie lubicie grzybów - mówiła, gdy siedzieli znów w dwukółce, a muły kłusowały ochoczo w stronę stajni.

- Nigdy ich nie lubilem - powiedział Sulla bez większego zainteresowania.

- Będzie więcej dla mnie - zachichotała.

- Co w nich zresztą niezwykłego? Można je teraz kupować na rynku w każdej ilości i to za bezcen.

- Te są moje. Sama je znalazłam i zebrałam. Te z rynku są byle jakie - pełne dziur, robaków, pajaków, bogowie wiedzą czego. Moje będą o wiele smaczniejsze.

I rzeczywiście były smaczniejsze. Kiedy Nikopolis zaniósła je do kuchni, kucharz przyglądał im się podejrzliwie, musiał jednak przyznać, że z wyglądu i zapachu są bez zarzutu.

- Usmaż je na oliwie - przykazała.

Tego właśnie ranka niewolnik od warzyw przyniósł z rynku wielki kosz tanich grzybów i wszyscy domownicy zajadali się przez cały dzień, nikogo więc nie kusiała ta nowa dostawa. Kucharz smażył je, póki nie zmiękły, a potem wyłożył na półmisek, posypując pieprzem i dodając nieco soku cebulowego, i posłał do jadalni Nikopolis. Zjadła je ze smakiem i szybko, bo dzień spędzony na świeżym powietrzu zaostriął jej apetyt. Klitumna była w fatalnym humorze. Rano oczywiście żałowała, że odmówiła udziału w wycieczce, ale za późno już było, by zatrzymać tamtych. Nasłuchawszy się przy wieczerzy zachwytów nad udanym dniem, wpadła w złość i oświadczyła na koniec, że będzie spała osobno.

W osiem godzin później Nikopolis poczuła ból brzucha. Miała zawroty głowy i lekkie mdłości, ale bez biegunki, uznała więc, że ból jest do zniesienia. Potem spostrzegła w moczu krew i wpadła w panikę.

Natychmiast wezwano lekarzy. Domownicy biegali na wszystkie strony. Klitumna wysłała służących na poszukiwanie Sulli, który wyszedł z samego rana, nie mówiąc, dokąd idzie.

Kiedy tętno Nikopolis przyśpieszyło, a ciśnienie spadło, doktorzy spo-

sępniali. Dostała drgawek, oddychała wolno i płytko, serce zaczęło kołatać, aż wreszcie zapadła w śpiączkę. Nikt nie skojarzył tego z grzybami.

- Niewydolność nerek - oświadczył Atenodor z Sycylii, obecnie najwybitniejszy praktyk na Palatynie.

Pozostali zgodzili się z tym.

Zanim nadbiegł Sulla, Nikopolis zmarła na skutek silnego krwotoku wewnętrznego - w wyniku ustania funkcji wszystkich organów, orzekli lekarze.

- Należałoby wykonać sekcję zwłok - rzekł Atenodor.

- Zgadzam się - powiedział Sulla, który nie wspomniał o grzybach.

- Czy to zaraźliwe? - spytała Klitumna, czując się nagle postarzała, obolała i rozpaczliwie samotna.

Wszyscy oświadczyli, że nie.

Sekcja zwłok potwierdziła rozpoznanie niewydolności nerek i wątroby.

Nerki i wątroba były obrzmiałe, przekrwione i pełne krwiaków. Znaleziono krwawienie w osierdziu, a także w śluzówce żołądka i jelit. Niewinny z wyglądu grzyb zwany niszczyicielem wykonał kawał porządnej kreciej roboty.

Sulla zorganizował pogrzeb (Klitumna była zbyt przybita) i poprowadził orszak żałobny, na czele którego szły gwiazdy rzymskiego teatru, komedii i mimu. Ich obecność ściągnęła tłumy, co ucieszyłoby z pewnością Nikopolis.

Kiedy Sulla wrócił potem do domu Klitumny, zastał tam czekającego na niego Juliusza Cezara. Zdjąwszy swą czarną żałobną togę, przyłączył się do Klitumny i jej gościa, siedzących w salonie. Widywał czasami senatora, ale nie poznali się dotąd. Wydało mu się bardzo dziwne, że senator odwiedza Klitumnę z powodu nieoczekiwanej śmierci greckiej ładaczniczki, miał się więc na baczności i ściśle przestrzegał form, kiedy go już zapowiadzano.

- Witaj, Gajuszu Juliuszu - skłonił się.

- Witaj, Lucjuszu Korneliuszu - odpowiedział Cezar, również z ukłonem.

Nie podali sobie rąk, ale gdy Sulla usiadł, Cezar najspokojniej w świecie zajął ponownie swoje miejsce. Zwrócił się do szlochającej Klitumny.

- Moja droga, nie zostawaj tu. Marcja czeka na ciebie. Każ rządcy, żeby cię do niej odprowadził. Kobietom trzeba w chwilach smutku towarzystwa kobiet.

Klitumna podniosła się bez słowa i powlokła do drzwi, podczas gdy gość wyciągnął z fałd swej czarnej togi zwitek papieru i położył go na stole.

- Lucjuszu Korneliuszu, twoja przyjaciółka Nikopolis prosiła mnie kiedyś o spisanie swej ostatniej woli i złożenie jej u Westalek. Pani Klitumna zna jej treść, nie musi więc być obecna przy odczytywaniu.

- Ach tak? - Sulla nie wiedział, co powiedzieć. Zabrakło mu słów, siedział więc osłupiały, patrząc tępym wzrokiem na Cezara.

Cezar przeszedł od razu do sedna sprawy.

- Lucjuszu Korneliuszu, pani Nikopolis uczyniła cię swoim jedynym spadkobiercą.

Sulla wciąż miał zakłopotaną minę.

- Uczyniła mnie swoim spadkobiercą?
- Właśnie tak.
- Cóż, gdyby się nad tym zastanowić, mogła czuć się do tego zobowiązana. - Sulla odzyskał już jasność umysłu. - Mniejsza o to zresztą. Wydała wszystko, co miała.

Cezar spojrział na niego przenikliwie.

- Wcale nie. Pani Nikopolis była bardzo bogata.

- Nonsens! - powiedział Sulla.

- Naprawdę, Lucjuszu Korneliuszu, była bardzo bogata. Nie miała żadnych posiadłości, ale była wdową po trybunie wojskowym, któremu przypadł wyjątkowo wielki łup. Zainwestowała to, co jej zostawił w spadku, i obecnie jej majątek przekracza dwieście tysięcy denarów.

Nie można było wątpić w szczerłość szoku. Bez względu na to, co Cezar myślał o nim aż do tej chwili, wiedział teraz, że patrzy na kogoś, kto nie miał o niczym pojęcia. Sulla po prostu osłupiał.

Potem opadł na oparcie krzesła, ukrył twarz w dłoniach i jęknął:

- Aż tyle! Nikopolis?

- Aż tyle. Dwieście tysięcy denarów. Albo osiemset tysięcy sestercji, jeśli wolisz. Majątek ekwity.

Sulla opuścił dłonie.

- Ach, Nikopolis!

Cezar wstał, wyciągając dłoń. Sulla ujął ją niepewnie.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu, nie wstawaj - powiedział serdecznym tonem Cezar. - Mój drogi chłopcze, nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę. Wiem, że trudno teraz pocieszyć cię w twym smutku. Chciałbym jednak, żebyś wiedział, że zawsze pragnąłem dla ciebie z całego serca odmiany fortuny i uśmiechu losu. Rano pójdę poświadczyć autentyczność testamentu. Spotkajmy się o drugiej na Forum przy świątyni Westy. Tymczasem życzę ci dobrego dnia.

Po wyjściu Cezara Sulla siedział długi czas bez ruchu. Dom był cichy jak grób Nikopolis. Klitumna musiała chyba jeszcze przebywać u Marcji, a służba kryła się po kątach.

Przesiedział tak, zdaje się, ze sześć godzin, zanim w końcu wstał, zeszywniały i obolały, i rozprostował ramiona. Krew zaczęła zwawiej krążyć, napełniając żarem serce.

- Lucjuszu Korneliuszu, jesteś w końcu na właściwej drodze - powiedział i zaczął się śmiać.

Z początku śmiał się cicho, ale śmiech narastał, przechodząc w ryk radości. Przerażeni służący słuchając tego, debatowali, który z nich ma zaryzykować wejście do salonu Klitumny, ale zanim coś ustalili, Sulla przestał się śmiać.

Klitumna postarzała się przez jedną noc. Choć miała tylko pięćdziesiąt lat, śmierć siostrzeńca przyśpieszyła proces starzenia się, a śmierć najdroższej przyjaciółki - i kochanki - dopełniła dzieła zniszczenia. Nawet Sulla nie potrafił wyrwać jej z przygnębienia. Żadna farsa ani mim nie mogły wywabić jej z domu, ani też odwiedzający ją regularnie Skylaks i Marsjasz

nie zdołali skłonić jej do śmiechu. Przerazała ją kurczenie się świata jej najbliższych i jej własne chylenie się ku starości. Gdyby opuścił ją Sulla - bo spadek po Nikopolis uwalniał go z ekonomicznej zależności od niej - zostanie całkiem sama. Przerazała ją ta perspektywa.

Wkrótce po śmierci Nikopolis posłała po Gajusza Juliusza Cezara.

- Nie można zostawiać wszystkiego zmarłym - powiedziała - muszę więc znów zmienić swą ostatnią wolę.

Testament został niezwłocznie zmieniony i zabrany do złożenia u Westalek.

Wciąż była przygnębiona. Łzy płynęły jej z oczu, a niespokojne dawniej dłonie spoczywały teraz na jej łonie niczym dwa kawałki ciasta czekające na piekarza. Wszyscy martwili się o nią, rozumieli jednak, że nic się nie da zrobić i trzeba czekać, aż czas uleczy rany. Jeżeli będzie czas.

Dla Sulli nadszedł czas wyboru.

Ostatnie pismo Julilli głosiło:

„Kocham cię, chociaż miesiące, a oto i lata okazały, jak mało odwzajemniona jest moja miłość i jak mało obchodzi cię mój los. W czerwcu skończyłam osiemnaście lat i według prawa powinnam wyjść za mąż, ale zachorowałam i udało mi się uniknąć tej przykrew konieczności. Muszę poślubić ciebie, ciebie i nikogo innego, mój najukochańszy, mój najdroższy Lucjuszu Korneliuszu. Mój ojciec waha się, nie mogąc przedstawić mnie komukolwiek jako odpowiedniej i pożądanej narzeczonej. Tak będzie, aż przyjdiesz do mnie i powiesz, że się ze mną ożenisz. Powiedziałeś kiedyś, że jestem dzieckiem. Wyrosłam z tamtej niedojrzałej miłości do ciebie, a miniony czas - prawie dwa lata - pokazał, że moja miłość do ciebie jest tak stała jak powrót słońca z południa każdej wiosny. Umarła twoja szczupła grecka pani, której nienawidziłam, którą przeklinałam i której życzyłam śmierci, śmierci, śmierci. Widzisz, jaka jest moja moc, Lucjuszu Korneliuszu? Czemu nie chcesz zrozumieć, że nie zdołasz przede mną uciec? Serce tak pełne miłości jak moje nie może nie wzbudzić wzajemności. Ty mnie kochasz, wiem, że mnie kochasz. Poddaj się, Lucjuszu Korneliuszu, poddaj się. Przyjdź do mnie, klęknij przy moim łóżu boleści i smutku, pozwól mi przyciągnąć twą głowę do piersi i obdarz mnie pocałunkiem. Nie skazuj mnie na śmierć! Pozwól mi żyć! Ożeń się ze mną!”

Tak, dla Sulli nadszedł czas. Czas, by zakończyć wiele spraw. Czas, by pozbyć się Klitumny i Julilli, i wszystkich tych znajomości, które kępowały jego ducha i mroczyły umysł. Nawet Metrobiusz musi odejść.

Tak więc w połowie października Sulla zapukał do drzwi Gajusza Juliusza Cezara. Zrobił to w porze, w której mógł się spodziewać, że zastanie pana domu. Mógł też liczyć na to, że kobiety zostaną odesłane do swoich pokojów. Gajusz Juliusz Cezar nie należał do tych mężów i ojców, którzy pozwalają swym kobietom ocierać się o swych klientów i przyjaciół. Chociaż Sulla pukał do drzwi Cezara także po to, by pozbyć się Julilli, nie miał ochoty jej oglądać. Każda cząstka jego umysłu, każde źródło energii musiało skupić się na Gajuszu Juliuszu Cezarze i na tym, co miał do powiedzenia Cezarowi. To, co miał do powiedzenia, musiało zostać powie-

dziane tak, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń ani niedowierzania.

Chodził już z Cezarem poświadczyć testament Nikopolis i wszedł w posiadanie jej majątku tak łatwo i bez żadnych problemów, że miał się w dwójnasób na baczności. Nawet gdy przedstawiał się cenzorom, Skaurusowi i Druzusowi, wszystko poszło gładko niczym w dobrze wyreżyserowanej sztuce, bo Cezar obstawał przy tym, że z nim pójdzie, i potwierdził autentyczność dokumentów. Pod koniec tego spotkania Marek Liwiusz Druzus i Marek Emiliusz Skaurus wstali z miejsc i ściskając jego dłoń, serdecznie mu gratulowali. To było jak sen - czy to możliwe, że już się z niego nie obudzi?

Tak więc, bez żadnych starań i niemal z dnia na dzień, zawarł z Gajuszem Juliuszem Cezarem znajomość, która zmieniła się z czasem w coś w rodzaju przyjaznej tolerancji. Nigdy nie odwiedzał Cezara, była to bowiem znajomość rodem z Forum. Obaj synowie Cezara i jego zięć Gajusz Mariusz przebywali w Afryce, poznał jednak Marcję podczas tygodni po śmierci Nikopolis, uważała bowiem za swój obowiązek odwiedzanie wtedy Klitumny. Nietrudno było spostrzec, że patrzyła na niego spode łba. Podejrzewał, że Klitumna nie była tak dyskretna, jak mogła być, w sprawie dziwnych związków, jakie łączyły ją z nim samym i z Nikopolis. Wiedział, że Marcja uważa go za niebezpiecznie pociągającego, ale z jej zachowania wnosił, że traktuje go niczym pięknego węża czy skorpiona.

Takie oto troski dręczyły Sullę, gdy w połowie października pukał do drzwi Cezara, świadomy, że nie może już dłużej odkładać tej fazy realizacji swoich planów. Musiał zacząć działać, zanim Klitumna przyjdzie do siebie, to zaś oznaczało, że musi mieć Cezara po swej stronie.

Chłopak pełniący służbę przy drzwiach otworzył mu niezwłocznie i wpuścił bez wahania, co dało Sulli do zrozumienia, że trafił na listę gości, których Cezar przyjmuje o każdej porze.

- Czy Gajusz Juliusz jest w domu?

- Jest, Lucjuszu Korneliuszu. Zechciej zaczekać - powiedział chłopak i pośpieszył w stronę pracowni Cezara.

Przygotowany na chwilę czekania, Sulla wszedł do skromnego atrium, zauważając, że w porównaniu z tym pomieszczeniem atrium Klitumny robi wrażenie haremu jakiegoś wschodniego wielmoży. Kiedy się nad tym zastanawiał, weszła Julilla.

Od jak dawna powtarzała każdemu odźwiernemu, że mają natychmiast powiadomić o wizycie Lucjusza Korneliusza? Czy chłopak zawiadomił już Cezara, co powinien przecież zrobić najpierw?

Te dwa pytania przemknęły przez głowę Sulli szybciej niż błyskawica, szybciej niż jego ciało zareagowało na wstrząs, jakim był jej widok.

Kolana ugięły się pod nim, poszukał więc dłonią jakiegoś oparcia i trafił na stary posrebrzany dzban, stojący na stoliku pod ścianą. Dzbany nie był przymocowany do stolika i spadł z wielkim brzękiem na posadzkę, a wtedy Julilla wybiegła, kryjąc twarz w dłoniach.

Hałas poniósł się echem niczym w jaskini Sybilli w Kyme i poderwał wszystkich domowników. Zdając sobie sprawę, że ze strachu zbladł do

reszty i że zimny pot okrył mu czoło, Sulla pozwolił sobie usiąść na posadzce wśród fałdów swojej togi. Oparł głowę na kolanach i usiłował wymazać z pamięci obraz szkieletu przyodzianego w złocistą skórę Julilli.

Gdy Cezar i Marcja podnieśli go na nogi i prowadzili do pracowni, dziękował bogom za swą poszarzałą twarz i zbielałe wargi, robił bowiem wrażenie człowieka naprawdę chorego.

Łyk nie rozcieńczonego wina przywrócił mu pozory normalności. Usiadł na sofie, wzdychając i ocierając pot z czoła. Czy któreś z nich coś widziało? Dokąd pobiegła Julilla? Co mówić? Co robić?

Cezar miał ponurą minę, Marcja również.

- Przepraszam, Gajuszu Juliuszu - powiedział, pociągając wino. - Zasłałem. Nie wiem, co mi się stało.

- Odpocznij, Lucjusz Korneliuszu - rzekł Cezar. - Ja wiem, co ci się stało. Zobaczyłeś ducha.

Nie, tego człowieka nie można było oszukać, a w każdym razie nie było to łatwe. Był zbyt inteligentny, zbyt spostrzegawczy.

- Czy to była wasza młodsza córka?

- Tak. - Cezar skinął żonie głową, a ta wyszła, nie mrugnawszy okiem.

- Widywałem ją w towarzystwie przyjaciółek w portyku Margaritaria. Myślałem wtedy, że to prawdziwa młoda Rzymianka, zawsze roześmiana, zawsze dobrze wychowana. A potem kiedyś na Palatium, kiedy dręczyły mnie troski, myślała, że jestem chory, i pytała, czy potrzebuję pomocy. Nie byłem dla niej zbyt miły. Myślałem, że nie spodobałaby ci się jej znajomość z kimś takim jak ja. Nie zraziła się jednak, a ja nie umiałem być odpowiednio szorstki. Czy wiesz, co wtedy zrobiła?

Oczy Sulli były jeszcze dziwniejsze niż zwykle, bo źrenice rozszerzyły się i były teraz ogromne, z cienkimi jasnoszarymi otoczkami, ciemnoszarymi od zewnątrz. Oczy te patrzyły na Cezara jak oczy ślepeca i nie wyglądały wcale jak ludzkie oczy.

- Co takiego zrobiła?

- Uwiła mi wieniec z trawy! Uwiła wieniec z trawy i włożyła mi go na głowę. I wtedy ujrzałem... i wtedy coś ujrzałem!

Zapadło milczenie. Ponieważ żaden z nich nie wiedział, jak je przerwać, przeciągnęło się na wiele chwil, podczas których obaj zbierali myśli i zastanawiali się, czy ten drugi to sprzymierzeniec czy przeciwnik. Żaden nie chciał przyśpieszać rozstrzygnięcia tej kwestii.

- No cóż - rzekł w końcu Cezar, wzdychając. - Czemu zawdzięczam twoją wizytę, Lucjusz Korneliuszu?

W ten sposób dawał do zrozumienia, że uznaje Sullę za niewinnego, niezależnie od tego, co sądzi o postępowaniu swojej córki. Dawał też do zrozumienia, że nie życzy sobie usłyszeć więcej. Sulla, którego myśli krążyły wokół listów Julilli, postanowił o nich nie wspominać.

Pierwotny cel tej wizyty wydawał mu się teraz bardzo odległy i całkiem nierealny. Sulla wyprostował jednak ramiona i wstał z sofy, zajmując bardziej odpowiednie dla mężczyzny krzesło po stronie klientów przy roboczym stole Cezara i przybierając postawę klienta.

- Chodzi o Klitumnę - powiedział. - Chciałem porozmawiać o niej z

tobą, czy może raczej z twoją żoną, ale zacząć należy oczywiście od ciebie. Klitumna nie jest już sobą, jak wiesz. Przybita, zapłakana, straciła chęć do życia. Nie jest to normalne zachowanie, nawet w czasie żałoby. Nie wiem, co robić, żeby jej pomóc. - Nabrał powietrza w płuca. - Mam wobec niej obowiązki, Gajuszu Juliuszu. Wiem, że jest głupia i wulgarna, i nie przynosi chluby tej dzielnicy, ale mam wobec niej obowiązki. Była dobra dla mego ojca i była dobra dla mnie. I naprawdę nie wiem, co robić, żeby jej pomóc.

Cezar siedział rozparty w swym krześle. Wyczuwał w tej prośbie jakąś fałszywą nutę. Nie podawał w wątpliwość słów Sulli, znał bowiem Klitumnę i często słuchał, co miała o niej do powiedzenia Marcja. Wątpliwości budziło raczej to, że Sulla przyszedł do niego szukać porady. Nie było to podobne do Sulli. Zdaniem Cezara, wiedział on dobrze, co ma zrobić ze swoją macochą, która była też jego kochanką, jak głosiła plotka.

Co do tego Cezar nie zamierzał snuć przypuszczeń. Jeśli przyjdzie tu po pomoc dawało jakieś wskazówki, chodziło prawdopodobnie o zwykłe pokręte kłamstwo, typową plotkę palatyńską. Taką jak plotka, że macochę Sulli łączył erotyczny związek ze zmarłą Nikopolis. Taką jak plotka, że Sullę łączyły erotyczne związki z nimi obiema - i to jednocześnie! Marcja dawała do zrozumienia, że jej zdaniem jest w tej sytuacji coś podejrzanego, ale naciskana nie mogła przedstawić żadnego dowodu. Niechęć Cezara do wierzenia plotkom nie była zwykłą naiwnością, wynikała raczej z osobistej wstrzeźliwości, która nie tylko kierowała jego zachowaniem, ale wpływała na jego sądy o zachowaniu się innych. Niezaprzeczalny dowód to jedno, a pogłoski to całkiem co innego. Niezależnie od tego, coś nie brzmiało prawdziwie w wyjaśnieniach Sulli o powodzie dzisiejszej wizyty.

I nagle objawiła się Cezarowi odpowiedź. Ani przez chwilę nie przypuszczał, że coś zaszło między jego młodszą córką a Sullą, ale czy ktoś taki jak Sulla mdleje na widok na wpół zagłodzonej dziewczyny? To nie do wiary! Potem była ta dziwna opowieść o Julilli wijącej mu wieniec z trawy. Cezar rozumiał oczywiście doskonale znaczenie tego symbolu. Być może spotkali się tylko parę razy, a i to przelotnie, ale coś niewątpliwie było między nimi. Nic niegodnego, fałszywego ani niskiego, ale coś, czemu należało się przyjrzeć. Jakikolwiek związek między nimi był oczywiście niewybaczalny, a jeśli mieli się ku sobie, tym gorzej dla nich. Julilla musi wyjść za kogoś z kręgów, do których należą Cezarowie.

Podczas tych rozważań Cezara Sulla zastanawiał się, co tamtemu chodzi po głowie. Za sprawą Julilli spotkanie całkowicie odbiegło od planu. Jak mógł stracić do tego stopnia panowanie nad sobą? Zemdleć? On, Lucjusz Korneliusz Sulla! Kiedy już wydał się w tak oczywisty sposób, nie miał innego wyboru, niż wytłumaczyć się przed czujnym ojcem. Oznaczało to wyjawienie części prawdy. Gdyby to miało pomóc Julilli, powiedziałaby całą prawdę, nie sądził jednak, by Cezarowi sprawiła przyjemność lektura tych listów.

- Czy wymyśliłeś coś, co pomoże Klitumnie? - spytał Cezar.

- Cóż, ona ma willę w Cyrcejach, zastanawiałem się więc, czy nie byłoby dobrze, gdyby tam na jakiś czas zamieszkała.

- Czemu pytasz mnie o zdanie?

Sulla ujrzał przepaść otwierającą mu się pod nogami i spróbował ją jakoś przeskoczyć.

- Słuszne pytanie, Gajuszu Juliuszu. Otóż, prawda jest taka, że znalazłem się między Scyllą i Charybdą i liczę, że wyciągniesz do mnie wiosło.

- Co masz na myśli?

- Obawiam się, że Klitumna myśli o samobójstwie.

- Ach!

- Jak mam z tym walczyć? Jestem mężczyzną, a po śmierci Nikopolis nie ma żadnej kobiety w domu i w rodzinie - nawet wśród służących - którą Klitumna darzy przywiązaniem i zaufaniem i która mogłaby pomóc. - Sulla pochylał się z ożywieniem. - Rzym nie jest teraz miejscem dla niej, Gajuszu Juliuszu! Czy jednak można ją wysłać do Cyrcejów bez towarzystwa godnej zaufania kobiety? Nie jestem chyba właściwym dla niej towarzyszem, a poza tym... mam właśnie teraz w Rzymie mnóstwo spraw do załatwienia! Pomyślałem sobie, że może twoja żona zgodziłaby się towarzyszyć Klitumnie do Cyrcejów na parę tygodni. Ten samobójczy nastrój minie, jestem pewien. Willa jest bardzo wygodna, a choć zbliżają się chłody, Cyrceje są bardzo zdrowe o każdej porze roku. I twojej żonie może posłużyć morskie powietrze.

Cezar wyraźnie się odprężył, jakby zdjęto mu z pleców ogromny ciężar.

- Rozumiem, Lucjuszu Korneliuszu, świetnie cię rozumiem. Moja żona rzeczywiście stała się osobą, której Klitumna najbardziej ufa. Niestety, i ja nie mogę się bez niej obejść. Widziałeś Julillę, więc nie muszę ci mówić, w jak desperackim jesteśmy położeniu. Moja żona jest potrzebna w domu i nie zgodzi się na wyjazd, choć jest bardzo oddana Klitumnie.

Sulla ożywił się jeszcze bardziej.

- Czemu więc nie wysłać do Cyrcejów i Julilli? Taka zmiana mogłaby sprawić cuda!

Cezar pokręcił jednak przecząco głową.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu, obawiam się, że to poza dyskusją. Ja sam jestem uwiązany w Rzymie aż do wiosny. Nie mogę zgodzić się na wyjazd żony i córki, jeśli mnie z nimi nie będzie, i nie dlatego, żebym im odmawiał przyjemności, ale ponieważ martwiłbym się o nie bezustannie. Co innego, gdyby Julilla była zdrowa.

- Rozumiem, Gajuszu Juliuszu - odparł Sulla i wstał.

- Wyślij Klitumnę do Cyrcejów, Lucjuszu Korneliuszu. Wszystko będzie dobrze. - Cezar odprowadził gościa do drzwi i sam mu je otworzył.

- Dziękuję za cierpliwość i wyrozumiałość - rzekł Sulla.

- To nie był żaden kłopot. Jestem bardzo rad, że mnie odwiedziłeś. Chyba lepiej poradzę sobie teraz z córką. Muszę też przyznać, że polubiłem cię po tym wszystkim, Lucjuszu Korneliuszu. Proszę o dalsze wieści o Klitumnie - zakończył Cezar i z uśmiechem wyciągnął dłoń.

Lecz gdy tylko zamknął drzwi za Sullą, poszedł do Julilli. Siedziała przy stole w saloniku swej matki, zapłakana i z głową ukrytą w dłoniach. Na widok Cezara w drzwiach Marcja podniosła się z palcem na ustach. Wymknęły się oboje, zostawiając płaczącą córkę.

- Gajuszu Juliuszu, to okropne. - Marcja zaciskała usta.

- Czy oni się widują?

Ciemny rumieniec okrył twarz Marcji. Zaprzeczyła ruchem głowy tak gwałtownym, że wysunęły się spinki przytrzymujące nienaganny kok, ten zaś rozluźniony osunął się jej na szyję.

- Nie, nie widywali się! - Załamała dłonie.

- Ach, cóż za wstyd! Cóż za poniżenie!

Cezar powstrzymał się przed załamywaniem dłoni.

- Uspokój się, kobieto! Uspokój się! Nie jest chyba tak źle, byś miała wpędzać się w chorobę. Mów!

- Cóż za zakłamanie! Jaki brak taktu!

- Uspokój się. Zaczynij od początku.

- To nie ma nic wspólnego z nim, to wszystko jej robota! Nasza córka, Gajuszu Juliuszu, przez ostatnie dwa lata okrywała wstydem siebie i swoją rodzinę, narzucając się mężczyźnie, który nie tylko nie jest godny czyścić jej butów, ale w dodatku wcale jej nie chce! I więcej jeszcze! Chciała przyciągnąć jego uwagę, głodząc się i obciążając go winą! Listy, Gajuszu Juliuszu! Setki listów, które mu nosiła jej dziewczyna, z oskarżeniami o nieczułość, o spowodowanie jej choroby i ze skamlaniem o miłość! - Z oczu Marcji płynęły łzy, ale były to łzy rozczarowania i gniewu.

- Uspokój się - powtórzył Cezar. - Przestań, Marcjo, płakać możesz później. Muszę rozmówić się z Julilla, a ty musisz przy tym być.

Marcja uspokoiła się, otarła oczy i razem wrócili do saloniku. Julilla wciąż płakała, nie spostrzegłszy, że jest sama. Cezar usiadł z westchnieniem w ulubionym krześle żony, przeszukał zanadze togi i w końcu znalazł chusteczkę.

- Dalej, Julillo, wytrzymaj nos i przestań płakać - powiedział, podsuwając jej chustkę pod rękę. - Te fontanny łez nie zdadzą się na nic. Czas porozmawiać.

Głównym źródłem łez Julilli było przerażenie z powodu wyjścia na jaw całej sprawy. Uspokajający i bezstronny ton głosu ojca sprawił, że zrobiła, co jej powiedziano. Fontanny przestały płynąć, siedziała ze spuszczoną głową, a jej kruchym ciałem wstrząsała konwulsyjna czkawka.

- Głodziłaś się z powodu Lucjusza Korneliusza Sulli, czy tak? - spytał ojciec.

Nie odpowiedziała.

- Julillo, nie możesz uniknąć tego pytania i nic ci nie pomoże milczenie. Czy Lucjusz Korneliusz Sulla jest powodem tego wszystkiego?

- Tak - wyszeptała.

Głos Cezara wciąż był stanowczy, pewny i bezstronny, a słowa, które wypowiadał, tym większe robiły wrażenie na Julilli, że tak przemawiał dotąd do niewolników, którzy zrobili coś niewybaczalnie złego, nigdy zaś do córki.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile bólu, zmartwienia i kłopotów sprawiłaś przez zeszły rok rodzinie? Odkąd zaczęłaś się głodzić, wszyscy kręcimy się wokół ciebie. Nie tylko ja, twoja matka, bracia i siostra, ale i nasi wierni słudzy, nasi przyjaciele i sąsiedzi. Doprowadziłaś nas na skraj szaleństwa. I

po co? Czy możesz mi powiedzieć, po co?

- Nie - szepnęła.

- Nonsens! Oczywiście, że możesz! To była gra, Julillo. Okrutna i samolubna gra, prowadzona z cierpliwością i inteligencją godnymi lepszego celu. Zakochałaś się - mając szesnaście lat - w kimś, o kim wiedziałaś, że nie jest odpowiedni i że nie dostanie mojej zgody. Ten ktoś również to wiedział i w żaden sposób cię nie zachęcał. Posłużyłaś się więc podstępem, chytrością, manipulacją i wykorzystywaniem innych... Brak mi słów, Julillo - stwierdził Cezar niewzruszonym tonem.

Jego córka zaczęła drżeć. Jego żona zaczęła drżeć.

- Wygląda na to, że muszę odświeżyć twoją pamięć, córko. Czy wiesz, kim jestem?

Julilla nie odpowiedziała. Głowę miała opuszczoną.

- Spójrz na mnie!

Podniosła głowę. Spojrzenie zapadniętych oczu skupiło się na Cezarze, dzikie i przerażone.

- Widzę, że nie wiesz, kim jestem - mówił, wciąż tonem rozmowy. - Zatem, córko, wypada ci to powiedzieć. Jam jest *pater familias* o nieograniczonej władzy nad tym domem. Moje słowo jest prawem, a decyzje są niepodważalne. Mogę zrobić, co zechcę, w granicach tego domu. Żadne prawo senatu i ludu rzymskiego nie wkracza między mnie a rodzinę, bo Rzym tak układał swoje prawa, by postawić rodzinę ponad nimi. Gdyby moja żona popełniła cudzołóstwo, Julillo, mogę ją zabić lub kazać zabić. Gdyby mój syn okrył się hańbą albo splamił tchórzostwem, mogę go zabić lub kazać zabić. Gdyby moja córka była bezwstydną, Julillo, mogę ją zabić lub kazać zabić. Mam prawo życia i śmierci nad wszystkimi członkami tej rodziny, od żony przez synów i córki do mojej matki i służących - jeśli przekroczą granice tego, co uważam za przyzwoitość. Czy to rozumiesz, Julillo?

Nie spuszczała oczu z jego twarzy.

- Tak.

- Z żalem i wstydem powiadam ci, że przekroczyłaś granice tego, co uważam za przyzwoitość. Uczyniłaś ze swej rodziny i służby tego domu, a zwłaszcza z ojca tej rodziny, swoje ofiary. Swoje marionetki, zabawki. I w imię czego? Dla zaspokojenia własnej namiętności, dla osobistej satysfakcji, dla najobrzydliwszych powodów.

- Ależ ja go kocham, tato!

Cezar uniósł się oburzony.

- Kochasz? Co ty wiesz o tym uczuciu, Julillo? Jak możesz nazywać miłością to, co czujesz? Czy to miłość zmienić życie kogoś kochanego w udrękę? Czy to miłość zmuszać ukochanego do tego, czego on nie chce i o co nie prosi? Czy to jest miłość, Julillo?

- Chyba nie - wyszeptała, a potem dodała: - Ale ja myślałam, że to miłość.

Oczy rodziców spotkały się ponad jej głową. Patrzyli na siebie z bólem i goryczą, zrozumiałwszy w końcu daremność swoich złudzeń.

- Wierz mi, Julillo, cokolwiek czułaś, co kazało ci zachowywać się

nikczemnie i niehonorowo, nie była to miłość - rzekł Cezar, wstając. - Nie będzie więcej krowiego mleka, jajek ani miodu. Będziesz jadła to, co wszyscy. Albo nie będziesz jadła. To dla mnie bez znaczenia. Jako twój ojciec i *pater familias* traktowałem cię od dnia twoich urodzin z dobrocią, uwagą i wyrozumiałością, szanując twoje życzenia. Nie uznałaś, że zasługuję na wzajemność. Nie wyrzucam cię ani nie zamierzam cię zabijać. Od tej chwili jednak wszystko, co ze sobą zrobisz, jest wyłącznie twoją sprawą. Zraniłaś mnie i moich bliskich. Zraniłaś też człowieka, który nic ci nie jest winien, który cię nie zna i nie jest twoim krewnym. Później, kiedy wrócisz do dawnego wyglądu, będę nalegał, byś przeprosiła Lucjusza Korneliusza Sullę. Nie żądam, byś przeproszała nas wszystkich, bo straciłaś naszą miłość i szacunek, a to odbiera wartość przeprosinom.

Wyszedł z komnaty.

Julilla z zachmurzoną twarzą zwróciła się do matki, chcąc rzucić się w jej ramiona, ale Marcja odsunęła się gwałtownie, jakby jej córka nosiła zatrutą szatę.

- Coś obrzydliwego! - syknęła. - I to wszystko z powodu człowieka, który nie jest godzien całować ziemi, po której stąpa Cezar!

- Och, mammo!

- Przestań z tym „och, mammo!” Chciałaś być dorosła, Julillo, chciałaś być kobietą i wyjść za męża. Teraz radź sobie z tym.

I Marcja także wyszła.

W kilka dni później Gajusz Juliusz Cezar pisał do swego zięcia Mariusza: „Tak więc ta nieszczęsna sprawa w końcu sama się rozwiązała. Chciałbym móc powiedzieć, że Julilla dostała lekcję, ale bardzo w to wątpię. W przyszłych latach, Gajuszu Mariuszu, i ty staniesz w obliczu wszystkich rozterek i udręk ojcostwa i chciałbym móc cię pocieszyć stwierdzeniem, że nauczysz się czegoś na mych błędach. Nie nauczysz się jednak, jak każde bowiem dziecko zrodzone na tym świecie jest inne i musi być inaczej traktowane, tak i każdy ojciec jest inny. W czym pobiłdaliśmy, wychowując Julillę? Uczciwie ci mówię, że nie wiem. Nie wiem nawet, czy w ogóle pobiłdaliśmy. Może to jakaś skaza wrodzona, tkwiąca w niej samej. Dotknęło mnie to bardzo i biedną Marcję także, bo odrzuca wszystkie objawy skruchy ze strony Julilli. Dziewczyna cierpi okropnie, uznałem jednak po zastanowieniu, że musimy trzymać ją na dystans. Miłość dawaliśmy jej zawsze, nie dawaliśmy zaś okazji do kształcenia charakteru. Jeśli ma na tym skorzystać, musi cierpieć.

Sprawiedliwość kazała mi przekazać naszemu sąsiadowi, Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli, nasze zbiorowe przeprosiny. Tyle tylko można zrobić, dopóki nie poprawi się stan Julilli i nie przeprosi go ona osobiście. Chociaż nie chciał ich przekazać, nalegałem, by zwrócił wszystkie listy Julilli - czasem warto być *pater familias*. Kazałem Julilli je spalić, ale dopiero po tym, gdy odczytała te wszystkie głupstwa mnie i swojej matce. To było okropne, jestem jednak przekonany, że to jedyny sposób, by nauczka trafiła do samolubnego serca Julilli.

Tyle o Julilli i jej intrygach. Dzieją się rzeczy o wiele ważniejsze.

Właściwie może ja pierwszy piszę o tym do prowincji Afryki, obiecuję więc, że ten list odpłynie jutro z Puteoli szybkim statkiem pocztowym. Marek Juniusz Syllanus został okropnie pobity przez Germanów. Ponad trzydzieści tysięcy ludzi zginęło, a reszta była tak zdemoralizowana i źle dowodzona, że rozpiezchła się na wszystkie strony. Syllanus nie przejął się tym, a może należałoby raczej powiedzieć, że cenił sobie własne życie bardziej niż życie swych żołnierzy. Sam przywiózł tę wiadomość do Rzymu, ale w tak stonowanej wersji, że uprzedził powszechne oburzenie, a zanim prawda wyszła na jaw, zdołał uczynić klęskę mniej wstrząsającą. Zmierzał oczywiście do tego, by wywinąć się z oskarżenia o zdradę, i chyba to mu się uda. Gdyby sądziła go komisja Mamiliusza, mógłby zostać skazany, ale proces przed Zgromadzeniem Centurialnym, przy tych wszystkich starożytnych zasadach i przepisach i przy tak wielu sędziach kolegium? Większość z nas ma wrażenie, że nie warto go zaczynać.

Już słyszę, jak pytasz, co z Germanami? Czy zmierzają teraz ku wybrzeżom Morza Środkowego? Czy mieszkańcy Massylii pakują się w panice? Nie. Czy dasz wiarę, że zniszczywszy armię Syllana, natychmiast zawrócili i odeszli na północ? Jak postępować z tak zagadkowym i nieobliczalnym nieprzyjacielem? Powiadam ci, Gajuszu Mariuszu, ciarki chodzą nam po plecach, bo oni wrócą, wcześniej czy później wrócą, my zaś nie mamy lepszych wodzów, by im stawić opór, niż Marek Juniusz Syllanus i jemu podobni. Jak zwykle najcięższe straty poniosły legiony sprzymierzeńców, chociaż zginęło też wielu żołnierzy rzymskich. Senat musi uporać się z lawiną skarg ze strony Marsów i Samnitów, i gromady innych ludów italskich.

Żeby zakończyć na lżejszą nutę, prowadzimy obecnie zabawny spór z naszym szanownym cenzorem, Markiem Emiliuszem Skaurusem. Drugi cenzor, Marek Liwiusz Druzus, zmarł nagle przed trzema tygodniami, co zakończyło niespodziewanie *lustrum* cenzorów. Skaurus oczywiście powinien ustąpić, ale nie chce! I to właśnie jest zabawne. Natychmiast po pogrzebie Druzusa senat zebrał się i nakazał Skaurusowi złożyć swe cenzorskie obowiązki, aby można było zakończyć *lustrum* zwyczajową ceremonią. Skaurus odmówił.

- Zostałem wybrany na cenzora. Pozawierałem kontrakty, jestem w połowie mego programu budowlanego i nie mogę w tych okolicznościach porzucić swej pracy - oświadczył.

- Marku Emiliuszu, Marku Emiliuszu, to nie zależy od ciebie! - mówił Metellus Dalmatyński, Pontifex Maximus. - Prawo powiada, że gdy jeden z cenzorów umiera w czasie urzędowania, *lustrum* jest skończone, a jego kolega cenzor musi natychmiast ustąpić.

- Nie obchodzi mnie, co mówi prawo! - odparł Skaurus. - Nie mogę natychmiast ustąpić i nie ustąpię.

Prosili go i błagali, i krzydzili na niego, wszystko bez skutku. Skaurus był zdecydowany stworzyć precedens, pozostając cenzorem. Znow więc prosili, błagali i krzydzili, aż wreszcie stracił cierpliwość.

- Mam was wszystkich w dupie! - wrzasnął i wyszedł, zabierając swe kontrakty i plany.

Tak więc Dalmatyński, Pontifex Maximus, zwołał następne posiedzenie senatu i spowodował wydanie formalnego *consultum* wzywającego Skaurusa do natychmiastowego ustąpienia. Delegacja poszła na Pole Marsowe, gdzie Skaurus zasiadał na podium świątyni Jowisza Statora. Wybrał sobie to miejsce na siedzibę ze względu na sąsiedztwo z portykiem Metellów, gdzie urzęduje większość jego budowlanych kontrahentów.

Jak wiesz, nie jestem człowiekiem Skaurusa. Jest wykretny jak Ulisses, a jako kłamca dorównuje Parysowi. Chciałbym jednak, żebyś mógł zobaczyć, jak rozgromił tamtych! Jak taki typ jak Skaurus: brzydki, chudy, niski, zdołał to zrobić - nie wiem. On nie ma już na głowie ani jednego włoska! Marcja mówi, że sprawiły to jego piękne zielone oczy i jeszcze piękniejszy głos, i wspaniałe poczucie humoru, ale niestety jakoś umyka mi czar tego spojrzenia i brzmienia głosu. Marcja mówi, że to typowe u mężczyzn, ale nie wiem, o co jej chodzi. Przekonałem się, że kobiety chętnie uciekają się do tego rodzaju uwag, gdy się je zmusza do logiki. W jego sukcesie musi jednak kryć się jakaś zagadkowa logika i kto wie, może Marcja ma słuszość.

Siedział więc tam ów mały pozer otoczony wszystkimi wspaniałościami pierwszej marmurowej świątyni Rzymu i tymi wspaniałymi konnymi posągami Aleksandra Wielkiego i jego wodzów, które Metellus Macedoński zagabił w Pelli, starej stolicy Aleksandra. Dominował nad tym wszystkim. Jak to możliwe, żeby jakiś łysy Rzymianin przyćmiewał rumaki Lizyppa? Przysięgam ci, że za każdym razem, gdy patrzę na wodzów Aleksandra, mam wrażenie, że za chwilę zjadą ze swych cokołów i odjadą na rumakach tak różniących się od siebie nawzajem jak Ptolemeusz od Parmeniona.

Wróćmy jednak do tematu. Kiedy Skaurus ujrzał delegację, odsunął kontrakty i kontrahentów na bok i zasiadł wyprostowany jak włócznia w swym krześle kurulnym, w doskonale udrapowanej todze i z jedną nogą wysuniętą w klasycznej pozie.

- I cóż? - spytał, kierując pytanie do Dalmatyńskiego, Pontifexa Maximusa, którego tamci wyznaczyli na rzecznika.

- Marku Emiliuszu, senat formalnie przesyła ci *consultum* nakazujące ci natychmiastowe ustąpienie z cenzury - powiedział ów nieszczęśnik.

- Nie zrobię tego - rzekł Skaurus.

- Musisz - zabeczał Dalmatyński.

- Niczego nie muszę - odparł Skaurus i odwrócił się od nich, przywołując skinieniem kontrahentów. - O czym to mówiliśmy, zanim nam tak niegrzecznie przerwano?

Dalmatyński spróbował raz jeszcze.

- Marku Emiliuszu, proszę!

Ale wszystko, co uzyskał za swe arcykapłańskie trudy, brzmiało: »Mam was w dupie! W dupie! W dupie!«

Senat, wystrzeliwszy swój pocisk, przekazał sprawę Zgromadzeniu Ludowemu, czyniąc lud odpowiedzialnym za sytuację, której nie stworzył, bo cenzorów wybiera Zgromadzenie Centurialne, daleko węższe gremium niż Zgromadzenie Ludowe. Lud zebrał się jednak, by omówić sprawę Skaurusa, i przekazał swemu kolegium trybunów ten ich ostatni obowiązek

podczas kadencji. Nakazano im usunąć Marka Emiliusza Skaurusa w ten czy inny sposób.

Tak więc dzień wczorajszy, dziewiąty grudnia, był dniem wymarszu wszystkich dziesięciu trybunów ludowych z Gajuszem Mamiliuszem na czele do świątyni Jowisza Statora.

- Mam polecenie ludu rzymskiego, Marku Emiliuszu, by cię usunąć z urzędu cenzora.

- Nie lud mnie wybierał, Gajuszu Mamiliuszu, więc lud nie może mnie usunąć - oświadczył Skaurus, a jego łysa czaszka zaśniła jak słońce albo jak wypolerowane zimowe jabłko.

- Mimo to, Marku Emiliuszu, lud jest najwyższą władzą i lud każe ci ustąpić.

- Nie ustąpię.

- W takim razie, mam pełnomocnictwo ludu, by cię uwięzić, dopóki formalnie nie ustąpisz.

- Połóż tylko na mnie rękę, Gajuszu Mamiliuszu, a odzyskasz wysoki głos z dni twego dzieciństwa!

Wtedy Mamiliusz odwrócił się do tłumu, który się oczywiście zgromadził, by oglądać widowisko, i zawołał:

- Ludu rzymski, biorę cię na świadka, że oto zgłaszam swoje weto wobec dalszej działalności cenzorskiej Marka Emiliusza Skaurusa!

I to był, oczywiście, koniec całej sprawy. Skaurus zwinął swoje kontrakty i przekazał je urzędnikom. Kazał też niewolnikowi złożyć swe krzesło z kości słoniowej i stał, kłaniając się na wszystkie strony wiwatującemu tłumowi, który niczego nie kocha bardziej od dobrej awantury z udziałem najwyższych władz i który uwielbia Skaurusa. Ma on ten rodzaj odwagi, który Rzym szczerze podziwia u swych najwyższych urzędników. Potem zszedł po stopniach świątyni, klepnął po drodze konia Perdikkasa, podał dłoń Mamiliuszowi i opuścił pole bitwy, zabierając wszystkie laury”.

Cezar westchnął, odchylił się na oparcie krzesła i uznał, że powinien raczej skomentować nowiny przysłane przez Mariusza z Afryki. Wygląda na to, że wojna z Jugurtą grzęźnie, za sprawą Metellusa, w bagnie niekonsekwencji i złego dowodzenia. Taka była przynajmniej wersja Mariusza, choć nie zgadzało się to z raportami, które Metellus przysyłał senatowi.

„Wkrótce usłyszysz, jeśli jeszcze o tym nie wiesz, że senat przedłużył Kwintusowi Cecyliuszowi dowództwo w wojnie jugurtyńskiej. Jestem pewien, że to cię nie zaskoczyło. Spodziewam się, że przeskoczywszy ten najwyższy płotek, Kwintus Cecyliusz zwiększy swą aktywność militarną, bo gdy senat przedłuża dowództwo namiestnikowi, to na tak długo, póki nie zniknie zagrożenie prowincji. To sprytna taktyka: być bezczynnym, póki nie upłynie rok konsulatu, i otrzymać imperium prokonsula.

Ależ tak, zgadzam się z tobą, że wasz wódz okazał skandaliczną opieszałość, do końca lata nie rozpoczynając nawet kampanii, zwłaszcza że przybył tam wczesną wiosną. Jego raporty mówią jednak, że armia potrzebuje starannego wyszkolenia, a senat temu wierzy. Tak, nie mam pojęcia, czemu wyznaczył cię, piechura, na dowódcę swojej konnicy i czemu marnuje talenty Publiusza Rutyliusza, mianując go *praefectus fabrum*, i

zamiast użyć go w polu, każe mu zajmować się zaopatrzeniem i naprawami sprzętu obłąźniczego. Jednakże to przywilej wodza korzystać ze swych żołnierzy, jak mu się podoba, od starszych legatów do szeregowych.

Rzym był zachwycony, kiedy przyszła wiadomość o zdobyciu Bagi, choć co prawda twój list mówił, że miasto się poddało. Wybacz, że będę adwokatem Kwintusa Cecyliusza, nie rozumiem jednak, czemu tak cię oburza, że mianował dowódcą załogi swego przyjaciela Turpiliusza. Czy to ważne?

Twój opis bitwy nad rzeką Muthul zrobił na mnie daleko większe wrażenie niż opis zamieszczony w senackich raportach Metellusa. Może cię to pocieszy. Wiem, że mam skłonność do sceptycyzmu, zapewniam cię jednak, że jestem po twojej stronie. Jestem też pewien, że masz słusność, powtarzając Cecyliuszowi Metellusowi, że najprostszą drogą zakończenia wojny z Numidią jest pojmanie Jugurty, wierzę bowiem jak i ty, że to on jest źródłem oporu Numidyjczyków.

Przykro mi, że ten pierwszy rok tak cię rozczerował i że Kwintus Metellus najwyraźniej postanowił wygrać wojnę, nie korzystając z talentów twoich i Publiusza Rutyliusza. Będzie ci o wiele trudniej zostać za dwa lata konsulem, jeśli nie będziesz miał okazji do wyróżnienia się w kampanii numidyjskiej. Spodziewam się jednak, Gajuszu Mariuszu, że wytrzymasz to pogardliwe traktowanie, i jestem pewien, że znajdziesz sposób, by zabłysnąć, na przekór wszystkiemu, co może zrobić Kwintus Cecyliusz.

Zakończę jeszcze jedną wiadomością z Forum. Z powodu strat armii Sylana w Galii Zaalpejskiej senat anulował jedno z ostatnich zachowanych praw Gajusza Grakcha, to mianowicie, które ograniczało czas trwania służby wojskowej. Nie trzeba już mieć siedemnastu lat, a dziesięć lat pod sztandarami ani też sześć przesłużonych kampanii nie zwalnia już od poboru. To znak czasu. Rzym i Italia zostały огоłocone z ludzi zdatnych do służby w legionach.

Uważaj na siebie i napisz, kiedy już mi wybaczysz nieśmiałe próby bronięcia Kwintusa Cecyliusza. Jestem wciąż twoim teściem i wciąż myślę o tobie jak najlepiej”.

Gajusz Juliusz Cezar uznał, że jest to list naprawdę godny wysłania, pełen nowin, dobrych rad i słów otuchy. Gajusz Mariusz otrzyma go jeszcze przed końcem roku.

W końcu zrobiła się prawie połowa grudnia, zanim Sulla odwiózł Klitumnę do Cyrcejów. Był samą czułością i troskliwością. Martwił się wprawdzie, że poprawa stanu Klitumny może mu pokrzyżować plany, ale szczęście nadal mu sprzyjało. Klitumna trwała w głębokiej depresji, o czym Marcja musiała zawiadomić Cezara.

Jak na willę na kampańskim wybrzeżu, willa Klitumny nie była przesadnie duża, ale i tak była o wiele większa od domu na Palatynie. Rzymianie, których stać było na posiadanie własnej willi, lubili czuć się otoczeni przestrzenią. Stojąca na wulkanicznym przylądku i mająca własną plażę willa położona była nieco na południe od Cyrcejów i nie miała w pobliżu sąsiadów. Jeden z licznych budowniczych działających na

kampańskim wybrzeżu wybudował ją w ciągu zimy przed trzema laty. Klitumna kupiła ją natychmiast, gdy odkryła, że budowniczy był geniuszem w dziedzinie instalacji i wyposażył willę w łaźnię z natryskami i znakomitą wanną.

Pierwszą zatem rzeczą, którą Klitumna zrobiła po przybyciu, była kąpiel. Potem zjadła wieczerzę, po której poszli z Sullą spać, ale osobno i w oddzielnych sypialniach. Pozostał w Cyrcejach jeszcze tylko przez dwa dni, poświęcając cały swój czas posępnej Klitumnie; nie chciała, by wyjechał.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział podczas przechadzki z nią po terenach willi rankiem w dniu jego powrotu do Rzymu.

Nawet na to odpowiedziała tylko:

- Ach tak?

- Dostaniesz swoją niespodziankę w pierwszą noc pełni księżyca - mówił kusząco.

- W nocy? - okazała nieco zainteresowania.

- W nocy i przy pełni księżyca! Zakładając, że noc będzie pogodna i będzie widać księżyc.

Stali przed wysokim frontem willi, która zbudowana była na stoku, z loggią nad wejściem, w której właścicielka mogła siedzieć, podziwiając widok. Za wąską fasadą frontową krył się rozległy ogród-perystyl, a za nim wznosiła się właściwa willa. Stajnie mieściły się na poziomie terenu od frontu, kwatery stajennych nad stajniami, a nad nimi loggia. Trawiaste zbocze przed willą porośnięte pnącymi różami opadało do szczytu urwiska. Teren ten był pięknie utrzymany i obsadzony po bokach kępami drzew, co zapewniało odosobnienie, gdyby na sąsiedniej posesji wybudowana została kolejna willa.

Sulla wskazał zagajnik pinii i cyprysów po lewej.

- To tajemnica, Klitumno - powiedział swym „mrużącym głosem”, jak to nazywała, a co zawsze było zapowiedzią długiego i szczególnie rozkosznego kochania się.

- Jaka tajemnica? - zaczęła się ożywiać.

- Gdybym ci powiedział, nie byłaby to już tajemnica - wyszeptał, trącąc zębami jej ucho.

Zadrżała i nieco poweselała.

- Czy ta tajemnica to właśnie niespodzianka księżycowej nocy?

- Tak, ale musisz utrzymać wszystko w sekrecie, także i to, że obiecałem ci niespodziankę. Przyrzekasz?

- Przyrzekam!

- Musisz tylko wymknąć się z domu o trzeciej godzinie po zmroku, ósmego dnia od tej nocy. Musisz tu przyjść bez niczyjej pomocy i ukryć się w tym zagajniku.

Jej apatia całkiem znikła.

- Ooooh! Czy to miła niespodzianka? - pisnęła.

- To będzie największa niespodzianka w twoim życiu i nie jest to próżna obietnica, kochanie, pod pewnymi jednak warunkami.

Zmarszczyła nos jak mała dziewczynka, wdzięcząc się i wyglądając dość

głupio.

- Jakimi?

- Przede wszystkim, nikt nie może o tym wiedzieć, nawet mała Bitta. Gdybyś się komuś zwierzyła, twoja niespodzianka zamieni się w wielkie rozczarowanie, a ja będę bardzo zły. Chyba nie lubisz, kiedy jestem bardzo, bardzo zły, Klitumno?

Zadrżała.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu.

- Dotrzymaj więc sekretu. Nagroda będzie zdumiewająca, całkiem nowe przeżycie - wyszeptał. - Prawdę mówiąc, jeśli potrafisz udawać przygnębienie aż do dnia niespodzianki, będzie ona jeszcze większa, obiecuję ci to.

- Będę grzeczna - obiecała gorliwie.

Wiedział, jakimi drogami krąży jej myśli. Spodziewała się, że ta niespodzianka to jakaś nowa przemiła towarzyszką, atrakcyjną, pobudzona erotycznie, zgodna i rozmowna podczas długich dni przedzielających uroczne noce. Znając Sullę, wiedziała, że musi spełnić jego warunki, bo inaczej zabierze on po prostu tego kogoś i umieści w jakimś własnym apartamencie - ma przecież pieniądze Nikopolis. Poza tym nikt nie lekceważył słów Sulli, kiedy mówił, że domownicy Klitumny mają trzymać język za zębami w sprawie stosunków między Klitumną, Nikopolis i nim samym. Jeśli kiedyś ktoś coś powie, będzie się bał, co odbierze wagę jego słowom.

- Jest i drugi warunek - powiedział.

Przytuliła się do niego.

- Jakiż to, kochany Lucjuszu?

- Jeśli noc będzie pochmurna, nie będzie niespodzianki. Gdyby pierwsza noc pełni była brzydka, zaczekaj na drugą.

- Dobrze, Lucjuszu Korneliuszu.

Sulla wyjechał do Rzymu wynajętą dwukółką, zostawiając Klitumnę dotrzymującą sekretu i wytrwale udającą przygnębienie. Nawet Bitta, z którą Klitumna sypiała, uwierzyła w nieutulony żal swojej pani.

W Rzymie Sulla wezwał rządcę domu Klitumny na Palatynie - jego jednego nie przeniesiono do Cyrcejów, bo tamtejsza willa miała własnego rządcę, który pod nieobecność pani bardzo sprawnie ją okradał. To samo zresztą robił też rządcą domu na Palatynie.

- Ilu służących zostawiła tu pani, Jamusie? - spytał Sulla, siedząc w pracowni. Najwyraźniej spisywał jakąś listę.

- Oprócz mnie dwóch pokojowców, dwie pokojówki, chłopca na posyłki i kuchcika, Lucjuszu Korneliuszu.

- Będziesz musiał wynająć ludzi do pomocy, bo za cztery dni urządzą przyjęcie. - Sulla rzucił swoją listę zdumionemu rządcy, który nie wiedział, czy ma protestować, bo pani Klitumna nie wspomniała ani słowem o jakimś przyjęciu w czasie jej nieobecności, czy też pogodzić się z tym i modlić się, by nie doszło do awantury, gdy pojawią się rachunki. Sulla uspokoił jego obawy.

- To moja impreza i ja płacę - powiedział - a ty dostaniesz dużą premię, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze, będziesz ze mną współpracował i pomożesz mi wydać to przyjęcie, a po drugie, nie wspomnisz o tym pani Klitumnie, gdy wróci do domu, kiedykolwiek to nastąpi. Czy to jasne?

- Całkowicie jasne, Lucjuszu Korneliuszu. - Jamus skłonił się głęboko. Każdy rządca umie docenić szeroki gest, tak samo jak umie fałszować księgi rachunkowe.

Sulla zajął się wynajmowaniem tancerek, muzyków, linoskoczków, magików, błaznów i wszystkich innych. Miało to być przyjęcie kończące wszystkie jego przyjęcia, chciał więc, by usłyszano o nim jak Palatyn długi i szeroki. Na ostatku zaszedł do mieszkania komedianta Skylaksa.

- Chcę wypożyczyć Metrobiusza - powiedział, wdzierając się do pokoju urządzonego raczej jak salon niż jak pracownia. Był to apartament sybaryty, pachnący kadzidłem i kasją, o ścianach zawieszonych kobiercami, pełen sof i pufów wypchanych mięciutką wełną.

Skylaks poderwał się oburzony w tej samej chwili, gdy Sulla zagłębił się w jednej z sybaryckich sof.

- Słowo daję, Skylaksie, wyglądasz jak budyń śmietankowy i jesteś dekadenski niby jakiś syryjski wielmoża! Czemu nie sprawisz sobie paru zwykłych mebli wyściełanych końskim włosiem? Człowiek czuje się, siadając na tym, jakby wpadał w objęcia jakiejś gigantycznej dziwki! Uch!

- Twoje poczucie smaku mam gdzieś! - wyseplenił Skylaks.

- Możesz mieć gdzieś wszystko, co zechcesz, jeśli mi przekażesz Metrobiusza.

- Czemu miałbym to zrobić, ty... ty... dzikusie? - Skylaks przyglądał się swe starannie ułożone i ufarbowane na złoty kolor loki, zatrzepotał długimi rzęsami uczernionymi *stibium* i przewrócił oczami.

- Bo ten chłopiec nie jest ci oddany ciałem i duszą. - Sulla oparł stopę na pufie, próbując, czy jest równie miękki jak sofa.

- Jest mój ciałem i duszą! Ale nie jest już taki jak był, odkąd mi go wykradłeś i woziliś ze sobą po całej Italii, Lucjuszu Korneliuszu. Nie wiem, co mu zrobiłeś, ale popsuleś mi go!

- Zrobiłem z niego mężczyznę, czyż nie? - wyszczerzył zęby Sulla. - Już ci nie wchodzi do tyłka? Aaaach! - Wyraziwszy w ten sposób niesmak, Sulla zadarł głowę i ryknął: - Metrobiuszu!

Chłopak wpadł i rzucił się w ramiona Sulli, pokrywając mu twarz pocałunkami.

Znad jego czarnej głowy Sulla spojrział jednym jasnym okiem na Skylaksa i uniósł jedną rudą brew.

- Poddaj się, Skylaksie. Twój chłopcaś woli mnie.

I przedstawił dowód prawdy, unosząc spodniczkę chłopca, by ukazać jego erekcję. Skylaks wybuchnął płaczem, mażąc sobie twarz smugami *stibium*.

- Chodźmy, Metrobiuszu - powiedział Sulla, wstając z trudem. Przy drzwiach odwrócił się, by rzucić rozbeczanemu Skylaksowi zwinięty papier.

- Przyjęcie w domu Klitumny za cztery dni od dziś - powiedział. -

Będzie najlepsze z wszystkich, więc przełknij swój żal i przyjdź. Dostaniesz z powrotem Metrobiusza.

Zaproszeni zostali wszyscy łącznie z Herkulesem Atlasem, ogłaszającym się jako najsilniejszy człowiek świata i wynajmującym się na jarmarki i festiwale od jednego krańca Italii po drugi. Nigdy nie pokazując się poza domem inaczej niż ubrany w zżartą przez mole lwią skórę i z ogromną maczugą, był czymś w rodzaju instytucji. Rzadko jednak zapraszano go na przyjęcia, by występował jako siłacz, bo gdy wino zaczynało płynąć mu do gardła niczym woda w Aqua Marcia, stawał się agresywny i skory do gniewu.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby zapraszać tego byka? - Metrobiusz bawił się lśniącymi kędziorami Sulli, zerkając mu przez ramię w kolejną listę. W czasie wędrówki po Italii Sulla nauczył chłopca czytania i pisania. Skylaks chciał go nauczyć wszystkiego, co sam umiał, od sztuki aktorskiej do sodomii, ale był zbyt przebiegły, by go uczyć czegoś tak wyzwalającego z wszelkich zależności jak znajomość liter.

- Herkules Atlas to mój przyjaciel. - Sulla całował po kolei wszystkie palce chłopca, co mu sprawiało znacznie większą przyjemność niż całowanie palców Klitumny.

- Ale to szalenie, kiedy się upije! Zdemoluje ci dom i do tego pokaleczy dwóch albo trzech gości. Wynajmij go, oczywiście, ale nie zapraszaj.

- Tego mu nie mogę zrobić. - Sulla zdawał się nie martwić. Przeciągnął Metrobiusza przez ramię i posadził go sobie na kolanach. Metrobiusz zarzucił mu ręce na szyję i podsunął twarz do pocałunku. Sulla zaczął całować go po powiekach, bardzo wolno i bardzo czule.

- Czemu mnie nie zatrzymasz, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał Metrobiusz, opierając się o ramię Sulli i wzdychając.

Pocałunki urwały się, Sulla zmarszczył brwi.

- Lepiej ci będzie ze Skylaksem - rzekł szorstko.

Metrobiusz otworzył wielkie czarne i pełne miłości oczy.

- Ależ nie, naprawdę nie! Upominki i ćwiczenia aktorskie, i pieniądze nic dla mnie nie znaczą! Wolę być z tobą, choćbyśmy mieli klepać biedę!

- Kusząca propozycja i przyjąłbym ją w mgnieniu oka, gdybym zamierzał klepać biedę - rzekł Sulla, ściskając chłopca w objęciach. - Ale nie zamierzam. Mam pieniądze Nikopolis i zrobię z nimi, co się da. Któregoś dnia zgromadzę dość, by się dostać do senatu.

Metrobiusz poderwał się.

- Do senatu! - Wykręcił szyję, by spojrzeć w twarz Sulli. - Przecież nie możesz, Lucjuszu Korneliuszu! Twój przodekowie byli niewolnikami jak ja!

- Nie, nie byli - odparł Sulla. - Pochodzę z patrycjuszów Korneliuszy. Moje miejsce jest w senacie.

- Nie wierzę!

- Taka jest prawda - powiedział rzeczowo Sulla. - Dlatego nie mogę przyjąć twojej kuszącej oferty. Skoro mogę wejść do senatu, zamierzam stać się wzorem cnót. Nie będzie więcej żadnych aktorów, żadnych mimów ani żadnych ślicznych chłopców - dodał, po czym poklepał Metrobiusza po plecach i przytulił go. - Zajmij się teraz listą, chłopcze, i przestań się

wiercić. To mi przeszkadza się skupić. Herkules Atlas będzie gościem, niezależnie od swego występu, i na tym koniec.

Herkules Atlas przybył jako jeden z pierwszych gości. Wiadomość o nadchodzącej hulance obiegła ulicę i sąsiedzi przygotowali się na przetrwanie nocy pełnej wycia, wrzasków, głośniejszej muzyki i niewyobrażalnych łomotów. Jak zwykle miała to być zabawa kostiumowa. Sulla przebrał się za nieobecną Klitumnę we frędzlastych szalach, pierścieniach i w barwionej henną peruce z lokami niczym kiełbaski. Nieustannie też naśladował niesamowicie dokładnie jej chichoty i radosne rżenia. Wszyscy goście znali dobrze Klitumnę i umieli docenić te jego występy.

Metrobiusz znów wystąpił ze skrzydłami, ale tym razem był Ikarem, a nie Kupidynem. Wielkie skrzydła gubiły słabo przymocowane pióra i wyglądały na nie dokończone. Skylaks przybył jako Minerva i zdołał jakoś nadać tej surowej bogini o chłopięcej urodzie wygląd starej i przesadnie umalowanej zdziry. Kiedy zobaczył Metrobiusza uwieszonego u ramienia Sulli, zaczął pić i wkrótce zaplątał się w swą tarczę, włócznię, kądziel i wypchaną sowę i zwałił się z nimi razem w jakiś ką, gdzie ukołysał się płaczem do snu.

Tak więc Skylaks nie zobaczył nie kończącej się kolejki wydarzeń tego przyjęcia i nie usłyszał śpiewaków, którzy zaczynali podniosłymi pieśniami i oszłamiającymi popisami głosów, a kończyli śpiewkami w rodzaju tej:

*Łażnie, kielichy, uściski: to nasze ciała wyniszcza.
Ale cóż to jest za życie bez łaźni, kielichów, uścisków?*

które podobały się o wiele bardziej, bo goście znali ich słowa i mogli je śpiewać.

Występowały tancerki, które z prawdziwą sztuką rozbierały się do naga, demonstrując łona pozbawione jednego choćby włoska. Tresowane psy tańczyły potem prawie równie dobrze, choć nie aż tak podniecająco, natomiast występ sławnego zespołu z Antiochii, złożonego z dziewczyny i jej osła, podobał się najbardziej widzom, której męska połowa długo pozostawała oszołomiona możliwościami osła.

Herkules Atlas wystąpił ostatni, tuż przedtem nim towarzystwo podzieliło się na tych zbyt pijanych, by myśleć o seksie, i na tych pijanych akurat na tyle, by myśleć tylko o tym. Biesiadnicy zgromadzili się pod kolumnadą ogrodu-perystylu, pośrodku zaś na solidnym podwyższeniu stanął Herkules Atlas. Po zgięciu dla rozgrzewki kilku żelaznych sztab i przełamaniu kilku grubych kłód, jak gdyby to były gałązki, siłacz podniósł szóstkę piszczących dziewcząt, sadzając je sobie na ramionach i trzymając pod pachami. Potem podniósł jeszcze w dłoniach jedno czy dwa kowadła, rycząc przy tym niczym lew na arenie. Czuł się wspaniale, bo wino spływało mu do gardła jak woda w Aqua Marcia. Im więcej jednak podnosił kowadeł, tym mniej przyjemnie było dziewczętom, a ich radosne piski zmieniły się w piski przerażenia.

Sulla wyszedł na środek i poklepał Herkulesa Atlasa po kolanie.

- Staruszkę, puść dziewczyny - powiedział przyjacielskim tonem. - Połamiesz im żebra tym żelastwem.

Tamten natychmiast puścił dziewczyny, ale zamiast nich pochwycił Sullę. Hamulce jego gniewu w końcu nie wytrzymały.

- Nie będziesz mi mówił, jak mam grać! - ryknął i wywinął Sullą wokół głowy niczym kapłan laską. Peruka, szale i draperie sypały się dookoła.

Część uczestników przyjęcia wpadła w panikę. Inni usiłowali pomóc, występując i prosząc szalonego siłacza, by uwolnił Sullę. Herkules Atlas załatwił jednak sprawę po swojemu, trzymając Sullę od niechcienia pod pachą, niczym kupujący trzyma paczkę, i opuszczając uroczystość. Nie sposób było go zatrzymać. Oganiając się od rzucających się na niego jak od chmary komarów, wymierzył odzwrotnemu cios w szczękę, który odrzucił tamtego do połowy atrium, a potem zniknął w uliczce, unosząc Sullę.

Przystanął u szczytu Schodów Westalek.

- W porządku? Dobrze się sprawiłem, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał, stawiając ostrożnie Sullę na nogi.

- Doskonale - powiedział Sulla, nieco się jękając, bo kręciło mu się w głowie. - Odprowadzę cię.

- Nie trzeba. - Herkules Atlas poprawił lwią skórę i ruszył schodami w dół. - To tylko żabi skok, Lucjuszu Korneliuszu, a księżyc jest prawie w pełni.

- Mimo to nalegam - rzekł Sulla, biorąc go pod ramię.

- Jak sobie życzysz - wzruszył ramionami Herkules Atlas.

- Chyba lepiej będzie, jeśli ci zapłacę gdzie indziej niż na środku Forum - tłumaczył cierpliwie Sulla.

- Słusznie! - Herkules Atlas klepnął się w głowę. - Zapomniałem, że jeszcze mi nie zapłaciłeś. W takim razie, zapraszam!

Mieszkał w czterech pokojach na trzecim piętrze insuli na Clivius Orbius na obrzeżach Subury, ale w daleko lepszym sąsiedztwie. Sulla zaraz spostrzegł, że niewolnicy gospodarza skorzystali z okazji i wzięli sobie wychodne. Spodziewali się, że ich pan nie będzie w stanie ich policzyć, gdy wróci. Nie było śladu kobiety, ale Sulla wolał się upewnić.

- Żony nie ma w domu?

Herkules Atlas splunął.

- Nie cierpię kobiet.

Na stole, przy którym siedli, stał dzban wina i kilka kubków. Sulla wyciągnął pękata sakiewkę spod przepaski na biodrach. Podczas gdy gospodarz napełniał dwa kubki winem, Sulla rozwiązał sakiewkę i zgrabnie ukrył w dłoni zwitek papieru wyłowiony z jej wnętrza. Potem przechylił sakiewkę i wysypał na stół lśniący strumień srebrnych monet - zbyt gwałtownie, bo trzy lub cztery z nich dotoczyły się do krawędzi i spadły z brzękiem na posadzkę.

- Hej, hej! - Herkules Atlas na czworakach pogonił za swoją zapłatą. Póki był zajęty pełzaniem po posadzce, Sulla rozwinął ukryty w dłoni papier i wsypał biały proszek do stojącego dalej kubka, a potem z braku innego narzędzia zamieszał wino palcem. Gospodarz podniósł się tymczasem z klęczek i usiadł.

- Na zdrowie! - Sulla wzniosł przyjaźnie swój kubek.

- Zdrowie i dzięki za wspaniały wieczór! - Herkules Atlas zadarł głowę i opróżnił swój kubek jednym tchem. Potem napełnił go i wypił ponownie, nie zaczerpnąwszy nawet powietrza.

Sulla wstał, podsunął swój kubek pod rękę siłacza i zabrał drugi, wsuwając go za tunikę.

- Na pamiątkę - powiedział. - Dobrej nocy - i wyszedł cicho.

Insula była pogrążona we śnie. Otwarte galerie wokół centralnego podwórka, obudowane pełnymi balustradami zapobiegającymi wyrzucaniu śmieci, były opustoszałe. Sulla pokonał cicho trzy biegi schodów i wyszedł nie zauważony przez nikogo na wąską uliczkę. Kubek powędrował do kraty ulicznego ścieku. Sulla poczekał, aż usłyszy plusk, po czym wrzucił tam zwinięty papier. Przy źródłu Juturny u stóp Schodów Westalek przystanął, zanurzył ręce aż po ramiona w jego spokojnej wodzie i mył je długo. To powinno usunąć resztki białego proszku, które mogły pozostać po mieszanii go z winem, które Herkules Atlas wypił tak łapczywie.

Nie wrócił jednak na przyjęcie. Obszedł Palatyn po Via Nova, kierując się ku Bramie Kapeńskiej. Za bramą zaszedł do jednej z licznych stajni wynajmujących konie i wozy mieszkańcom Rzymu. Tylko w nielicznych rzymskich domach trzymano konie, muły czy środki transportu. Łatwiej i taniej było je wynajmować.

Stajnia, którą wybrał, była dobra i znana, ale nie najlepiej strzeżona. Jedyne stajenne na służbie chrapał na stercie słomy. Sulla ciosem w kark posłał go w jeszcze głębszy sen, a potem obchodził stajnię, aż znalazł silnego i miłego z wyglądu muła. Nigdy dotąd nie siodłał konia, potrzebował zatem czasu, by się w tym rozeznać. Słyszał, że zwierzęta wstrzymują oddech przy zapinaniu popręgu, czekał więc cierpliwie, póki się nic upewnił, że wszystko w porządku z żebrami muła. Potem wspiął się na siodło i trącił zwierzę piętami po bokach.

Choć był początkującym jeźdźcem, nie bał się koni ani mułów i liczył na swoje szczęście. Cztery wystające narożniki siodła utrzymywały jeźdźca bezpiecznie na grzbiecie zwierzęcia, jeśli nie miało skłonności do wierzgania, a muły są pod tym względem spokojniejsze niż konie. Uzda miała tylko zwykłe wędzidło, ale wierzchowiec wydawał się pogodzony z jeźdźcem. Sulla ruszył po oświetlonej światłem księżyca Via Appia z zamiarem przebycia jak najdłuższej drogi przed świtem. Było około północy.

Dla nienawykłego szybka jazda okazała się wyczerpująca. Kłusowanie przy lektyce Klitumny było czymś zupełnie innym. Po kilku milach nogi zwisające bez oparcia bolały go nieznośnie, pośladki zdrętwiały od wysiłku trzymania się prosto w siodle, a jądra odczuwały boleśnie każdy wstrząs. Muł szedł jednak dobrze i sporo przed świtem dotarli aż do Tripontium.

Tu opuścił Via Appia i pojechał ku wybrzeżu na skróty, bo kilka kiepskich dróg przecinało obrzeża Bagien Pomptyńskich. Tak było znacznie bliżej i miało się znacznie mniej świadków, niż jadąc dalej Via Appia do Tarraciny i potem zawracając do Cyrcejów. Po jakichś dziesięciu milach jazdy na przełaj zatrzymał się wśród drzew na suchym i twardym

gruncie, gdzie nie było komarów. Uwiązał muła na przezornie zabranym długim powrozie i z siodłem po głowę zasnął w cieniu pinii, nie mając żadnych snów.

Po dziesięciu krótkich godzinach dnia, napoiwszy siebie i muła w pobliskim strumieniu, Sulla podjął znów jazdę. Kryjąc się pod wziętym ze stajni płaszczem z kapturem przed jakimiś przypadkowymi spojrzeciami, posuwał się znacznie sprawniej niż poprzednio, mimo okropnego bólu w krzyżu i obolałych pośladków i jąder. Nic dotąd nie jadł, ale nie czuł głodu. Muł wypasł się na soczystej trawie, był więc najedzony i wyraźnie wypoczęty. O zmierzchu dotarli do przylądka, na którym wznosiła się willa Klitumny. Sulla raz jeszcze rozsiodłał i uwiązał muła. Tym razem on sam nie odpoczywał.

Szczęście mu sprzyjało. Noc była wspaniała, pogodna i gwiazdzista, bez jednej chmurki na granatowym sklepieniu nieba. A potem, w miarę upływu drugiej godziny nocy, nad wzgórzami daleko na wschodzie wstał księżyc w pełni i skąpał krajobraz w swym dziwnym blasku, w świetle, które umożliwiało oczom widzenie, choć samo było niewidzialne.

W Sulli narastało poczucie własnej nietykalności, rozpraszając zmęczenie i ból, przyśpieszając bieg jego zimnej krwi i wprawiając jego umysł, dziwnie dotąd spokojny, w stan szczerzej radości. Był oto *felix*, był szczęśliwy. Wszystko poszło doskonale i będzie tak szło nadal. To oznaczało, że będzie mu sprzyjało powodzenie, że może się tym naprawdę cieszyć. Gdy przedtem tak nagle i niespodziewanie pojawiła się przed nim szansa pozbycia się Nikopolis, nie miał czasu się nią nacieszyć, musiał podjąć błyskawiczną decyzję. Jego przyrodnicze dociekania podczas wakacji z Metrobiuszem wyjawily mu naturę niszczyciela, ale to Nikopolis wybrała sobie swój los, choć jego obecność przy tym była konieczna. Wtedy była to zasługa szczęścia, jego szczęścia. Tej nocy przyprowadził go tu rozum, szczęście go stąd wyprowadzi. Co do strachu... czego tu się bać?

Klitumna była już na miejscu, czekała w cieniu pinii. Nie niecierpliwiła się jeszcze, ale mogłaby się zniecierpliwic, gdyby niespodzianka się spóźniła. Sulla nie ujawnił się jednak natychmiast. Najpierw zbadał cały teren, by się upewnić, że nie przyprowadziła nikogo ze sobą. Tak, była całkiem sama. Nawet w pustych stajniach i pokojach stajennych pod loggia nie było ludzi.

Zbliżając się do niej, narobił dość hałasu, by ją uprzedzić, kiedy więc zobaczyła go, wylaniającego się z ciemności, wiedziała, że to on, i wyciągnęła do niego ramiona.

- Ach, wszystko jest, jak mówiłeś! - szeptała, chichocząc mu do ucha. - A niespodzianka? Gdzie moja niespodzianka?

- Wpierw pocałunek - zażądał, odsłaniając zęby bielsze niż jego skóra, tak niezwykle było światło księżycy i taki otaczał go czar.

Stęskniona za nim Klitumna łakomie podała mu usta. I stała tak, wspięta na palce, z ustami przy jego ustach, kiedy jej skręcił kark. To było takie łatwe, trzask, nic więcej. Chyba nawet nie wiedziała, co się dzieje, bo nie ujrzał nawet śladu zrozumienia w utkwionych w niego oczach, gdy pchnął

dłonią jej głowę w tył, a drugą dłonią unieruchomił jej kark. Był to ruch szybki jak cios. Trzask. Ten dźwięk torował sobie drogę, tak był ostry, tak wyraźnie określony. A gdy ją puścił, oczekując, że osunie się na ziemię, uniosła się jeszcze wyżej na palcach i zatańczyła dla niego. Zatańczyła z rękami pod boki, z głową ohydnie zwieszoną, wśród drgawek, podskoków i falowania zakończonych wirowaniem w koło, aż upadła wśród płataniny łokci i kolan i ostatecznie znieruchomiła. Kwaśna woń moczu uniosła się ku jego rozszerzonym nozdrzom, a po niej silniejszy odór wypróżnionych wnętrzności.

Nie wrzasnął. Nie odskoczył. Napawał się tym wszystkim. Gdy tańczyła dla niego, patrzył zafascynowany, a gdy upadła, przyglądał się jej z obrzydzeniem.

- Niestety, Klitumno - powiedział - nie umarłaś jak prawdziwa pani.

Trzeba było ją podnieść, choćby to miało oznaczać, że zostanie pobrudzony, poplamiony, usmarowany. Na trawie pokrytej księżycową rosą nie mogły pozostać żadne ślady przeciągania ciała. Dlatego głównie nalegał przedtem, by to była pogodna noc. Podniósł więc ją, razem ze wszystkimi nieczystościami, i zaniósł w ramionach na szczyt urwiska, zebrawszy ciasno fałdy jej szaty, nie chciał też bowiem pozostawić na trawie żadnego śladu fekaliów.

Wypatrzył już wcześniej odpowiednie miejsce i szedł ku niemu bez wahania, bo oznaczył je białym kamieniem już przed kilku dniami, kiedy po raz pierwszy tu z nią spacerował. Jego mięśnie napięły się, wyteżyły i odrzucił ją na zawsze w smudze draperii. Rzucił ją niby sondę trzepocącą piórami aż do podnóża skał. Spoczęła tam, jak jakiś bezkształtny przedmiot wyrzucony przez morze w miejscu, gdzie sięgają tylko fale najgwałtowniejszych burz. Ważne było bowiem, by została znaleziona. Nie życzył sobie żadnej niepewności w sprawach majątkowych.

Tym razem, zanim poszedł napoić muła, zanurzył się w strumieniu w swej kobiecej tunice i zmył z niej ostatnie ślady swojej macochy, Klitumny. Potem pozostało do zrobienia jeszcze jedno i zrobił to, wyszedłszy z wody. Nosił przy pasku mały sztylecik w pochwie. Naciął jego ostrym końcem skórę na czole, o cal pod linią włosów. Nacięcie zaczęło zaraz krwawić, ale to był dopiero początek. Nie miało to wyglądać czysto i równo. Rozciągnął więc palcami obu dłoni brzegi rany, znacznie ją powiększając. Krwawienie wyraźnie się wzmogło, krew opryskała jego brudny i przepocony wyjściowy strój wielkimi kroplami rozszerzającymi się na wilgotnej tkaninie. Świetnie! Wyjął teraz z sakiewki przygotowany zawczasu opatrunek i przywiązał go mocno do rany. Krew ściekła mu do lewego oka. Otarł ją ręką, mrugnął i poszedł szukać muła.

Jechał przez całą noc, bezlitośnie poganiając muła piętami, kiedy zmęczone zwierzę słabło. Wiedziało jednak, że zmierza ku stajni, było też dzielniejsze i wytrwalsze niż koń. Przy tym ten muł lubił Sulle, jego milczenie i celowość ruchów, i jego spokój. Kłusował więc i cwałował, a gdy czasem zwalniał, przyśpieszał znowu, kiedy tylko mógł, a jego kosmate boki parowały z wysiłku. Muł nie wiedział niczego o kobiecie, której skrecono kark przed zrzuceniem jej na dzikie skały pod wielką białą

willą. Uważał Sullę za kogoś ciekawego i łagodnego.

O milę od stajni Sulla zsiadł z muła i zdjął z niego uprząż, rzucając ją w krzaki. Potem klepnął zwierzę po zadzie, przeganiając je w stronę stajni, pewien, że znajdzie do niej drogę. Gdy jednak ruszył ku Bramie Kapeńskiej, muł poszedł za nim i musiał w końcu odpędzić go kamieniami.

Zawinięty w swój płaszcz z kapturem, wszedł do Rzymu, gdy niebo na wschodzie już się różowiło. Przejechał z Cyrcejów do Rzymu w dziewięć godzin po siedemdziesiąt cztery minuty - nie byle jaki wyczyn dla zmęczonego muła i jeźdźca, który dopiero podczas tej podróży nauczył się jeździć.

Schody Kakusa prowadziły z Circus Maximus na Germalus Palatynu przez najświętszy obszar Rzymu. Żywy był tu jeszcze duch pierwotnego miasta Romulusa. W niepozornej jaskini przy źródle wilczyca wykarmiła porzucanych bliźniaków, Romulusa i Remusa. Sulla uznał, że to odpowiednie miejsce, by porzucić płaszcz i opatrunki, które wepchnął w głęboką dziuplę w drzewie przy posągu Genius Loci. Krew zaczęła natychmiast płynąć z rany, ale dość wolno. Ci z ulicy Klitumny, którzy wstawali wcześniej, patrzyli zdumieni na zaginionego, który szedł, ślaniając się na nogach, w zakrwawionej kobiecej tunice, brudny i pokaleczony.

Domownicy Klitumny byli na nogach, bo część z nich stale czuwała, odkąd Herkules Atlas wypadł stąd przed jakimiś trzydziestoma godzinami. Kiedy odźwierny wpuścił Sullę wyglądającego naprawdę okropnie, ludzie zbiegli się ze wszystkich stron na pomoc. Położono go do łóżka, kapano i obmywano gąbkami. Wezwano samego Atenodora z Sycylii, by zbadał ranę na jego głowie, a Gajusz Juliusz Cezar zaszedł po sąsiedzku spytać go, co się z nim działo, bo szukał go cały Palatyn.

- Powiedz mi, ile zdołasz powiedzieć - rzekł, siadając przy jego łóżku. Sulla wyglądał całkiem przekonująco. Wokół ust miał sine cienie bólu i zmęczenia, jego blada cera była jeszcze bledsza niż zwykle, a nabiegłe krwią oczy zachodziły mgłą wyczerpania.

- Głupia sprawa - mówił niewyraźnie. - Niepotrzebnie się wtrąciłem do tej awantury z siłaczem. Sam jestem silny i nie myślałem, że ktoś może mieć tyle siły co on. Kiedy poniósł mnie ze sobą, nic nie mogłem zrobić, żeby go powstrzymać. Potem gdzieś mnie postawił, chciałem się wyrwać i chyba mnie ogłuszył, bo nic nie pamiętam. Ocknąłem się w jakimś zaułku w Suburze, ale musiałem tam chyba przeleżeć cały dzień. Wiesz, jaka jest Subura - nikt nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy zdołałem wstać, wróciłem. To wszystko, Gajuszu Juliuszu.

- Masz naprawdę wiele szczęścia, młody człowieku - rzekł Cezar, zaciskając usta. - Gdyby Herkules Atlas zaniósł cię do siebie, spotkałby cię może jego los.

- Jego los?

- Twój rządca przyszedł do mnie wczoraj, gdy nie wróciłeś, i pytał, co robić. Kiedy usłyszałem, co zaszło, poszedłem z wynajętymi gladiatorami do mieszkania siłacza i zastałem tam istne jatki. Herkules Atlas obrócił to miejsce w ruinę - połamał wszystkie sprzęty, powybił pięściami dziury w ścianach i tak wystraszył innych mieszkańców insuli, że bali się zbliżyć.

On sam leżał martwy wśród tego wszystkiego. Osobiście uważam, że pękła mu jakaś żyłka w mózgu i szalał w agonii. Albo też ktoś go otruił. - Wyraz niesmaku zniknął po chwili z twarzy Cezara. - Myślę, że jego słudzy znaleźli go pierwsi, ale zniknęli na długo przed moim przyjściem. Nie znaleźliśmy żadnych pieniędzy, chyba więc zabrali, co mogli unieść, i uciekli. Czy ty mu, na przykład, zapłaciłeś? Jeśli tak, nie było tego w mieszkaniu.

Sulla przymknął oczy. Nie musiał udawać zmęczenia.

- Zapłaciłem mu z góry, Gajuszu Juliuszu, więc nie wiem, czy miał tam pieniądze.

Cezar wstał. „Cóż, zrobiłem wszystko, co mogłem”, pomyślał i spojrzał surowo na nieruchomą postać w łóżku, daremnie jednak, bo Sulla nie otworzył oczu.

- Przykro mi bardzo, Lucjusz Korneliuszu - powiedział - ale musisz z tym skończyć, sam o tym wiesz. Moja córka zagłodziła się prawie na śmierć przez niewczesne uczucie do ciebie i jeszcze się z tego uczucia nie wyzwoliła. Jesteś dla mnie z tego powodu uciążliwym sąsiadem, chociaż przyznaję, że zniechęcałeś moją córkę i że ona sama była dla ciebie uciążliwa. Wszystko to wskazuje, że będzie lepiej, jeśli zamieszkasz gdzie indziej. Posłałem już do twojej macochy do Cyrcejów wiadomość o tym, co się tu działo. Napisałem też, że nie jest już mile widziana na tej ulicy i może wygodnie mieszkać na Karynach albo na Celusie. My tu lubimy spokój. Będzie mi przykro złożyć skargę - i żądanie, by miejski pretor zapewnił nam spokój i ciszę. Jestem jednak gotów to zrobić, jeśli będę musiał. Tak jak inni, mam już dość.

Sulla nie poruszył się i nie otworzył oczu, a gdy Cezar zastanawiał się, ile z tego kazania trafiło mu do sumienia, usłyszał chrapanie. Odwrócił się zaraz i wyszedł.

To jednak Sulla, a nie Cezar, otrzymał list z Cyrcejów. Następnego dnia przybył posłaniec z pismem od rządcy Klitumny. Powiadamiał on Sullę, że znaleziono zwłoki pani Klitumny u stóp urwiska na granicy posiadłości. Skręciła kark przy upadku, ale nie było w tym nic podejrzanego. Sulla wie, że ostatnio pani Klitumna była skrajnie przygnębiona, pisał rządcą.

Sulla spuścił nogi z łóżka i wstał.

- Przygotuj mi kąpiel i przynieś moją togę.

Rana na czole goiła się, choć jej brzegi były jeszcze sine i opuchnięte. Nic poza tym nie wskazywało, w jakim stanie był wczoraj Sulla.

- Poślij po Gajusza Juliusza Cezara - polecił rządcy Jamusowi, gdy już się ubrał.

Rozumiał doskonale, że od tego spotkania zależy cała jego przyszłość. Dzięki bogom, Skylaks zabrał Metrobiusza z przyjęcia, mimo protestów chłopca, który chciał się dowiedzieć, co stało się z jego ukochanym Sullą. To był jedyny słaby punkt planu Sulli. Ależ się udało! Doprawdy, był panem szczęścia! Gdyby Metrobiusz był w domu Klitumny, gdy przybył tam Cezar wezwany przez Jamusa, Sulla byłby ugotowany. Nie potępił Sulli na podstawie plotek, ale świadectwo własnych oczu zmieniłoby

całkowicie jego pogład na sytuację. „Stąpam po skorupkach jajek, czas przestać”, powiedział sobie. Pomyślał o Stichusie, o Nikopolis, o Klitumnie i uśmiechnął się. Teraz mógł już przestać.

Przyjął Cezara, wyglądając w każdym calu na rzymskiego patrycjusza, w nieskazitelnej bieli, z wąskim ekwickim szlakiem zdobiącym prawe ramię tuniki. Włosy miał przycięte i ułożone po męsku, lecz bardzo twarzowo.

- Proszę o wybaczenie, że znów cię tu ściagam, Gajuszu Juliuszu - rzekł, wręczając Cezarowi zwitek papieru. - To przybyło właśnie z Cyrcejów i sądziłem, że powinieneś natychmiast to ujrzeć.

Cezar czytał bardzo powoli, nie zmieniając wyrazu twarzy. Poruszał wargami, ale powtarzał sobie słowa listu po cichu. Sulla wiedział, że rozważa każde słowo w oderwaniu od strumienia liter na papierze. Skończywszy, odłożył arkusz.

- To trzecia śmierć - powiedział i wyglądał przy tym na zadowolonego. - Twój dom został ciężko dotknięty przez los, Lucjuszu Korneliuszu. Przyjmij, proszę, moje kondolencje.

- Przypuszczałem, że spisywałeś ostatnią wolę Klitumny. - Sulla stał wyprostowany. - Inaczej nie sprawiałbym ci kłopotu, zapewniam cię.

- Tak, robiłem to parę razy, ostatnio po śmierci Nikopolis. - Przystojna twarz Cezara, spojrzenie jego niebieskich oczu, wszystko to wyrażało rezerwę. - Chciałbym usłyszeć, Lucjuszu Korneliuszu, jakie właściwie uczucia żywiłeś dla macochy.

Oto była najkruchsza ze skorupek. Musiał stąpać ostrożnie niczym kot po parapecie posypanym szkłem na dwunastym piętrze ponad brukiem.

- Mówiłem ci już coś o tym, Gajuszu Juliuszu, ale rad jestem, że mogę mówić o niej swobodniej. Była głupią i pospolitą kobietą, ale tak się składa, że ją lubiłem. Mój ojciec - Sulla skrzywił się - był niepoprawnym pijakiem. Życie z nim, jak je pamiętam, było koszmarem. Nie byliśmy zubożałymi ziemianami. Byliśmy tak biedni, że nie mieliśmy nawet jednego niewolnika. Gdyby nie życzliwość starego nauczyciela z rynku, nie umiałbym nawet czytać i pisać, ja, patrycjusz z rodu Korneliuszy. Nigdy nie ćwiczyłem na Polu Marsowym, nie uczyłem się jeździć konno, nie byłem uczniem żadnego adwokata. O żołnierce, retoryce, życiu publicznym nie wiem nic. Tyle zawdzięczam ojcu. Ona jednak poślubiła mego ojca i zabrała jego i mnie do siebie. Kto wie, może żyjąc z nim nadal w Suburze, oszalałbym któregoś dnia, zabił go i niewybaczalnie obraził bogów? Tymczasem ona zajęła się nim, a ja byłem wyzwolony. Tak, lubiłem ją.

- Ona cię też lubiła, Lucjuszu Korneliuszu. Jej ostatnia wola jest prosta i jasna. Zostawiła ci wszystko, co miała.

Spokojnie, spokojnie! Nie za wiele radości i nie za wiele też smutku! Ten człowiek jest bardzo inteligentny i musi znać się na ludziach.

- Czy wystarczy tego, by wejść do senatu? - spytał, patrząc Cezarowi w oczy.

- Wystarczy aż nadto.

- Trudno uwierzyć! Czy jesteś pewien? Wiedziałem, że ma ten dom i willę w Cyrcejach, ale nie wiedziałem, że coś więcej.

- Była niezwykle bogatą kobietą - inwestowała pieniądze we wszelkiego

rodzaju kompaniach i w kilkunastu statkach. Radzę ci pozbyć się statków i udziałów i kupić za to dobra ziemskie. Musisz uporządkować te sprawy, by zadowolić cenzorów.

- To chyba sen!

- Rozumiem, co czujesz, ale możesz być spokojny, tego naprawdę wystarczy - Cezar mówił spokojnym tonem. Nie zraziła go reakcja Sulli ani udawany żal, którego Sulla nie mógł czuć po stracie Klitumny, choćby nie wiadomo jak dobra była dla jego ojca.

- Mogła jeszcze pożyć - mówił Sulla z namysłem. - Mam więc szczęście, Gajuszu Juliuszu. Powinienem jej żałować, ale mam nadzieję, że w przyszłości świat powie, iż dobrze zrobiła, umierając. Zamierzam bowiem być ozdobą swojej klasy i senatu. - Czy to dobrze zabrzmiało? Czy dało do myślenia?

- Byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że użyłeś jej spadku, jak należało - odparł Cezar, który przyjął słowa Sulli we właściwy sposób. - Nie będzie zatem więcej żadnych dzikich przyjęć? Żadnych wątpliwych przyjaciół?

- Kiedy ktoś może prowadzić życie, do jakiego jest urodzony, nie trzeba mu dzikich przyjęć i wątpliwych przyjaciół - westchnął Sulla. - To był sposób na zabicie czasu, dla ciebie chyba niezrozumiały. Dla mnie te trzydzieści lat było istnym kamieniem u szyi. - Przypomniał sobie nagle o czymś. - Przecież nie mamy cenzorów! Co mam robić?

- Marek Skaurus, rezygnując, postawił warunek, by nowych cenzorów wybrano w kwietniu. Musisz po prostu poczekać - pocieszył go Cezar.

Sulla przygotował się, zaczerpnął tchu.

- Gajuszu Juliuszu, mam jeszcze jedną prośbę.

Niebieskie oczy miały niezgłębiony wyraz, jakby Cezar wiedział, na co się zanoszą - ale skąd, skoro ten pomysł dopiero przyszedł Sulli do głowy? Najwspanialszy z pomysłów, najszcześniejszy. Jeśli Cezar się zgodzi, wniosek Sulli będzie miał u cenzorów daleko większą wagę niż poparty tylko pieniędzmi i urodzeniem.

- Cóż to za prośba, Lucjuszu Korneliuszu?

- Żebyś mi pozwolił poślubić swą córkę Julillę.

- Mimo że cię tak nękała?

- Ja... ją kocham - oświadczył Sulla, wierząc w to, co mówi.

- Obecny stan Julilli nie pozwala jeszcze myśleć o małżeństwie - rzekł Cezar - ale przyjmuję prośbę, Lucjuszu Korneliuszu. - Uśmiechnął się. - Może zasłużyliście na to po tylu cierpieniach,

- Dała mi wieniec z trawy. Dopiero wtedy uśmiechnęło się do mnie szczęście.

- Wierzę ci. - Wstał, szykując się do odejścia. - Mimo to, w obecnej chwili nie będziemy nikomu mówili o twoim zamiarze poślubienia Julilli. Nalegam zwłaszcza, byś trzymał się od niej z daleka. Cokolwiek do niej czujesz, ona sama stara się znaleźć jakieś wyjście ze swojej sytuacji, ja zaś nie chcę podsuwać jej gotowych rozwiązań.

Sulla odprowadził Cezara do drzwi i podał mu rękę, uśmiechając się z zaciśniętymi wargami. Nikt nie wiedział lepiej, jakie wrażenie robiły jego przerośnięte kły, niż ich posiadacz. Oszczędźmy Cezarowi uśmiechów

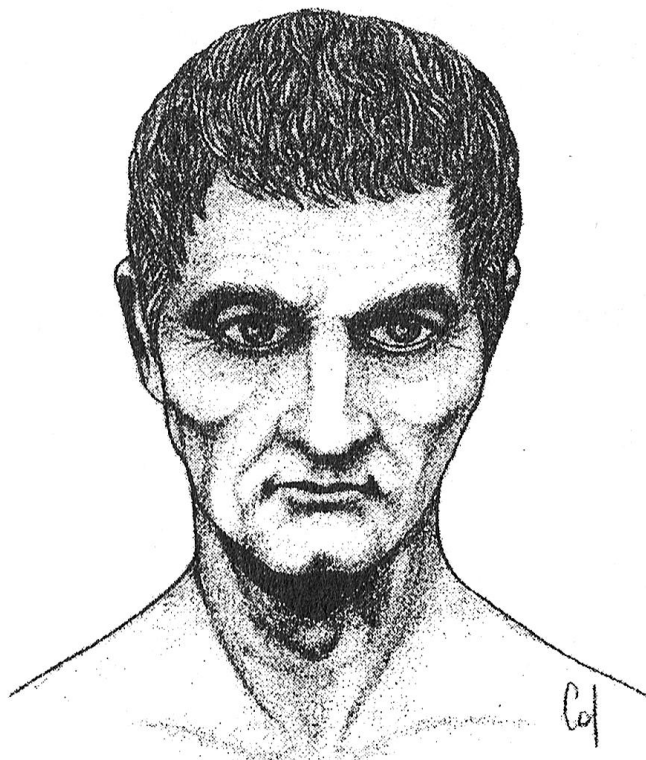
mrożących krew w żyłach, zasługuje on na szczególne traktowanie. Nie wiedząc nic o propozycji, którą kiedyś Cezar złożył Mariuszowi, Sulla doszedł do tych samych wniosków. Czy można lepiej zaprezentować się cenzorom - i wyborcom - niż jako mąż Julii? Zwłaszcza, gdy miało się pod ręką taką, która omal dla niego nie umarła.

- Jamusie! - krzyknął Sulla, zamknawszy drzwi.

- Lucjusz Korneliuszu?

- Nie rób sobie kłopotu z obiadem. Ogłoś żałobę po pani Klitumnie i dopilnuj, by wszyscy jej słudzy wrócili z Cyrcejów. Wyjeżdżam zaraz zająć się pogrzebem.

„I zabieram ze sobą Metrobiusza, żeby się z nim pożegnać. Pożegnać się z ostatnim śladem dawnego życia, pożegnać się z Klitumną. Nikogo nie będzie mi tak żal jak Metrobiusza. Będzie mi go brak. Bardzo brak”.



**KWINTUS CECYLIUSZ
METELLUS NUMIDYJSKI**



ROK TRZECI (108 p.n.e.)



ROK KONSULATU SERWIUSZA SULPICJUSZA GALBY I KWINTUSA HORTENSJUSZA

Znadejściem zimowych deszczów wojna z Numidią - jak zawsze dotąd - utknęła w martwym punkcie. Żadna ze stron nie potrafiła wyprowadzić wojsk w pole. Gajusz Mariusz otrzymał list od swego teścia Cezara i zastanawiał się, czy konsul Kwintus Cecyliusz Metellus Świński wiedział, że z nadejściem nowego roku zostanie mu przedłużone, jako prokonsulowi, naczelne dowództwo, co mu zapewni przyszły tryumf. Nikt też w kwaterze głównej namiestnika w Utyce nie wspominał o rozbiciu przez Germanów Marka Juliusza Sylana ani o zgonie jego wojsk.

Nie znaczyło to jednak, że Metellus o tym nie wiedział, a jedynie, że jego starszy legat Gajusz Mariusz dowie się o tym jak zwykle ostatni. Nieszczęsny Rutyliusz Rufus dostał zadanie wizytowania zimowych załóg nadgranicznych warowni, co go postawiło poza zasięgiem wydarzeń, a Gajusz Mariusz przydzielony do służby w Utyce znalazł się pod komendą syna Metellusa! Ów młody człowiek, dwudziestolatek, który służył dotąd tylko u boku swego ojca, dobrze się bawił, dowodząc załogą Utyki, a Mariusz musiał ulegać temu nieznośnie zarozumiałemu Prosiakowi, jak go wkrótce zaczęto nazywać. Utyka była twierdzą, ale Mariusz musiał robić wszystko, czego nie chciał robić namiestnik, pełniąc obowiązki raczej kwestora niż legata.

Przez to wszystko narastało w nim rozgoryczenie, a jego opanowanie zaczęło się ulatniać, zwłaszcza gdy Metellus Prosiak bawił się jego kosztem, a lubił to robić, odkąd ojciec dał mu do zrozumienia, że i jego samego to bawi. Po porażce nad rzeką Muthul Mariusz i Rutyliusz ostro krytykowali wodza, a Mariusz powiedział wtedy, że najprostszą drogą do zakończenia wojny jest porwanie Jugurty.

- Jak mam to zrobić? - spytał Metellus, utemperowany nieco po swojej pierwszej bitwie.

- Podstępem

- Jakiego rodzaju?

- Do tego już musisz dojść sam, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł Mariusz.

Teraz jednak, gdy wszyscy wrócili bezpiecznie do prowincji Afryki, nudząc się w deszczowe dni i wśród rutynowych zajęć, Metellus zwołał swoją radę. Przedtem jeszcze nawiązał stosunki z niejakim Nabdalsą, numidyjskim wielmożą, i czuł się zobowiązany wezwać Mariusza na swą

rozmowę z tamtym.

- Dlaczego? - spytał wprost Mariusz. - Czemu sam nie załatwiasz brudnej roboty, Kwintusie Cecyliuszu?

- Możesz mi wierzyć, Gajuszu Mariuszu, że gdyby był tu Publiusz Rutyliusz, nie wzywałbym ciebie! - parsknął Metellus. - Znasz jednak Jugurte, a ja nie, więc pewnie znasz lepiej niż ja ich sposób myślenia! Chcę tylko, żebyś siedział i przyglądał się temu Nabdalsie, a potem powiedział mi, co o nim myślisz.

- I ufasz mi na tyle, by liczyć na szczerą opinię?

Metellus uniósł brwi, zaskoczony.

- Jesteś tu po to, by walczyć z Numidią, Gajuszu Mariuszu, czemu więc nie miałbym na to liczyć?

- Każ go zatem wprowadzić, Kwintusie Cecyliuszu, a ja zrobię, co powinienem.

Mariusz znał Nabdalsę ze słyszenia, choć nigdy go jeszcze nie spotkał. Był on poplecznikiem prawowitego dziedzica numidyjskiego tronu, księcia Gaudy, żyjącego obecnie w prawie królewskim przepychu niedaleko od Utyki, w kwitnącym mieście, które wyrosło na gruzach Kartaginy. Nabdalsa przybywał zatem ze Starej Kartaginy od księcia Gaudy, a Metellus udzielał mu chłodnego posłuchania.

Metellus przedstawił swą opinię; najlepszym i najszybszym sposobem rozwiązania kwestii numidyjskiej i osadzenia księcia Gaudy na tronie jest pojmanie Jugurty. Czy książę Gauda - albo Nabdalsa - ma jakiś pomysł, jak to wykonać?

- Za pośrednictwem Bomilkara, panie, jedynie tak - rzekł Nabdalsa.

Metellus wytrzeszczył oczy.

- Bomilkara? Ależ to przyrodni brat Jugurty i jego najwierniejszy komes!

- Obecnie stosunki między nimi są raczej napięte.

- Dlaczego?

- To sprawa następstwa tronu, panie. Bomilkar chce, by go mianowano regentem, na wypadek, gdyby coś stało się Jugurcie, a Jugurta odmawia.

- Regentem, nie następcą?

- Bomilkar wie, że nigdy nie zostanie następcą, panie, Jugurta ma dwóch synów. Są oni jednak bardzo młodzi.

Metellus zmarszczył brwi, usiłując zgłębić tajemnice obcych umysłów.

- Czemu Jugurta się sprzeciwia? Zdawałoby się, że Bomilkar świetnie się do tego nadaje.

- To sprawa czystości krwi, panie - wyjaśnił Nabdalsa. - Bomilkar nie jest potomkiem króla Masynissy, nie należy więc do rodziny królewskiej.

- Rozumiem. - Metellus wyprostował się. - Dobrze więc, postaraj się przekonać Bomilkara, że powinien sprzymierzyć się z Rzymem. - Obrócił się do Mariusza. - To jednak dziwne! Zdawałoby się, że ktoś nie dość dobrze urodzony, by ubiegać się o tron, jest idealnym kandydatem na regenta.

- Tak, w społeczeństwie takim jak nasze - powiedział Mariusz. - W kraju Jugurty byłoby to zaproszenie do zamordowania jego synów. Jakby inaczej

bowiem miał Bomilkar objąć tron, niż mordując dziedziców Jugurty i zakładając nową dynastię?

Metellus obrócił się znów do Nabdalasy.

- Dziękuję ci, komesie Nabdalso. Możesz odejść.

Nabdalsa nie zbierał się jednak do odejścia.

- Panie, chcę cię o coś prosić.

- O co? - spytał Metellus, niezbyt zadowolony.

- Księżę Gauda pragnie spotkać się z tobą i zastanawia się, czemu dotąd mu tego nie umożliwiono. Twój rok rządów prowincją Afryki dobiega końca, a księżę wciąż czeka na zaproszenie.

- Jeśli chce się ze mną spotkać, cóż go powstrzymuje? - spytał namiestnik bezmyślnie.

- On nie może po prostu stawić się u ciebie, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł Mariusz. - Musisz wystosować formalne zaproszenie.

- Ach tak? Jeśli tylko o to chodzi, zaproszenie zostanie wystosowane - obiecał Metellus, kryjąc uśmiech.

I rzeczywiście, już na drugi dzień zaproszenie było gotowe. Nabdalsa zawiózł je osobiście do Starej Kartaginy, a księżę Gauda przybył zobaczyć się z namiestnikiem.

Nie było to udane spotkanie. Trudno sobie wyobrazić dwóch bardziej różniących się ludzi. Słabowity i chorowity, i niezbyt inteligentny Gauda zachowywał się w sposób, który uważał za właściwy, a który Metellus uznał za skandalicznie despotyczny. Słyszając przedtem, że jego królewski gość czeka w Kartaginie na zaproszenie, spodziewał się, że będzie on pokorny, a nawet unижony. Nic podobnego! Gauda zaczął od tego, że wpadł w gniew, gdy Metellus nie wstał go powitać, a zakończył tę audiencję w kilka chwil później, opuszczając z godnością towarzystwo namiestnika prowincji.

- Jestem z królewskiego rodu! - mówił potem z oburzeniem do Nabdalasy.

- Każdy to wie, Wasza Wysokość - uspokajał go Nabdalsa. - Ci Rzymianie mają jednak dość dziwny stosunek do królewskich rodów. Uważają się za coś lepszego, bo przed setkami lat usunęli swoich królów i odtąd obchodzą się bez tego dobrodziejstwa.

- Mogą sobie uważać, co im się podoba! - Urażona duma nie dawała Gaudzie spokoju. - Jestem prawowitym synem mego ojca, gdy tymczasem Jugurta jest jego bękartem! Kiedy zjawiam się między Rzymianami, powinni wstawać na powitanie, kłaniać się przede mną, wybrać setkę swych najlepszych żołnierzy, by mi dać eskortę!

- Słusznie, słusznie - mówił Nabdalsa. - Pomówię z Gajuszem Mariuszem. Może on potrafi przemówić Kwintusowi Cecyliuszowi do rozumu.

Wszyscy Numidyjczycy słyszeli o Gajuszu Mariuszu i Publiuszu Rutyliuszu Rufusie, bo Jugurta wysławiał ich od czasu powrotu spod Numancji i często ich odwiedzał podczas swego ostatniego pobytu w Rzymie.

- Pomów zatem z Gajuszem Mariuszem - rzekł Gauda i rozdrażniony

wrócił do Starej Kartaginy, by tam rozpamiętywać krzywdy wyrządzone mu przez Metellusa w imieniu Rzymu. Tymczasem Nabdalsa, nie rzucając się nikomu w oczy, spotkał się z Mariuszem.

- Zrobię, co będę mógł, komesie - westchnął Mariusz.

- Potrafię to docenić, Gajuszu Mariuszu - oświadczył z przekonaniem Nabdalsa.

Mariusz uśmiechnął się.

- Twój książę ci to wynagrodzi.

Nabdalsa odpowiedział wymownym spojrzeniem.

- Kłopot w tym, przyjacielu, że Kwintus Cecyliusz uważa się za nieskończenie lepiej urodzonego od każdego numidyjskiego księcia. Mocno wątpię, czy ktokolwiek, a zwłaszcza ja, zdoła zmienić to jego nastawienie. Spróbuję jednak, bo zależy mi na twoim spotkaniu z Bomilkarem. To jest o wiele ważniejsze niż kłótnie namiestników z książętami.

- Ta syryjska wróżka mówi, że ród Metellów kopie sobie grób - powiedział z namysłem Nabdalsa.

- Syryjska wróżka?

- Niejaka Marta - powiedział Numidyjczyk. - Książę Gauda wyszukał ją w Starej Kartaginie. Zdaje się, że wysadził ją tam jakiś dowódca okrętu, przekonany, że udało jej się rzucić kłutwę na jego okręt. Z początku radziła się jej tylko biedota, ale do dziś jej sława znacznie wzrosła i książę Gauda wziął ją na swój dwór. Przepowiedziała, że Gauda zostanie królem Numidii po upadku Jugurty, chociaż nieprędko to nastąpi.

- A co z rodem Metellów?

- Ona powiada, że ród Metellów ma już za sobą szczyt chwały i będzie odtąd malał i ubożał, przewyższony - między innymi - przez ciebie, panie.

- Chciałbym zobaczyć się z tą wróżką - rzekł Mariusz.

- To się da zrobić. Musisz jednak przybyć do Starej Kartaginy, bo ona nie opuszcza dworu księcia Gaudy.

Wizyta u jasnowidzącej Marty Syryjki wiązała się z wcześniejszą audiencją u księcia Gaudy. Zrezygnowany Mariusz wysłuchał litanii skarg na Metellusa i poczynił mnóstwo obietnic, nie mając pojęcia, jak ich dotrzyma.

- Wasza Wysokość może być spokojny, że dopilnuję, by traktowano cię z takim szacunkiem i poważaniem, do jakiego daje ci prawo twoje urodzenie - mówił, kłaniając się tak nisko, jak tylko Gauda mógł sobie życzyć.

- Nadejdzie taki dzień! - potwierdził skwapliwie Gauda, odsłaniając w uśmiechu bardzo zniszczone zęby. - Marta powiada, że będziesz Pierwszym w Rzymie, i to bardzo niedługo. Dlatego chciałbym, Gajuszu Mariuszu, wpisać się na listę twoich klientów i zapewnić cię, że wszyscy moi stronnicy w prowincji rzymskiej Afryki także się na nią wpiszą. I więcej jeszcze, gdy zostanę królem Numidii, będziesz miał całą Numidię wśród swojej klienteli.

Mariusz słuchał tego w oszołomieniu. Oto zwykłemu pretorowi proponuje się klientelę, o jakiej nawet Cecyliusz Metellus mógłby tylko marzyć! Ach, koniecznie musi spotkać się z tą Martą, z tą syryjską jasnowidzącą!

W kilka chwil później otrzymał tę szansę, bo ona sama pytała o niego, a Gauda kazał zaprowadzić go do jej apartamentów w ogromnej willi, która stanowiła jego tymczasowy pałac. Mariuszowi wystarczył rzut oka, gdy czekał w jej salonie, by się upewnić, że istotnie cieszyła się wielkim poważaniem. Jej pokoje były wspaniale umeblowane, na ścianach widniały najpiękniejsze malowidła, jakie widział w życiu, a posadzki wyłożone były mozaikami dorównującymi malowidłom.

Weszła ubrana w purpurę, a była to jeszcze jedna oznaka czci, jaką zwykle nie darzy się kogoś, kto nie jest królewskiego rodu. Ona z pewnością nie była królewskiego rodu, ta drobna, pomarszczona starsza pani, którą czuć było moczem i która nie myła głowy chyba od lat. Miała cudzoziemski wygląd, wielki zakrzywiony nos, dominujący nad pokrytą tysiącem zmarszczek twarzą, i parę czarnych oczu płonących ogniem, dumnych i czujnych jak oczy jakiegoś orła. Piersi zwisały jak dwie puste sakwy i widać było, jak się kołysały pod cienką suknią z tyryjskiej purpury, pod którą najwyraźniej nic nie miała. Przewiązana była w pasie szalem z tyryjskiej purpury i podzwaniała, idąc, setkami dzwoneczków, bransolet, pierścieni i naszyjników, a wszystko to z czystego złota. Przytrzymywany ciężkim złotym grzebieniem przejrzysty welon z tyryjskiej purpury przykrywał tył głowy i opadał na plecy niczym flaga.

- Usiądź, Gajuszu Mariuszu. - Wskazała mu krzesło ozdobionym wieloma pierścieniami palcem o długim paznokciu.

Mariusz usiadł, nie mogąc oderwać oczu od jej wiekowej brunatnej twarzy.

- Jak mi mówił książę Gauda, powiedziałaś, że będę Pierwszym w Rzymie - tu musiał odchrząknąć. - Chciałbym usłyszeć o tym coś więcej.

Zaczęła rechotać klasycznym rechotem starej wiedźmy, odsłaniając dziąsła, bezzębne z wyjątkiem jednego pożółkłego górnego siekacza.

- O tak, jestem pewna, że chciałbyś - klasnęła w dłoń, przywołując sługę. - Przynieś nam naparu z suchych liści i trochę tych ciasteczek, które lubię. - Potem zwróciła się do Mariusza. - To nie potrwa długo. Poczekajmy w milczeniu. Porozmawiamy potem.

Nie chcąc jej urazić, siedział, jak mu kazano - w milczeniu - a gdy wniesiono parujący napój, popijał z podanej mu przez nią czarki, wachając podejrzliwie. Nie było to złe w smaku, ale nieprzywykły do gorących napojów, sparzył sobie język i odstawił czarę. Ona musiała mieć w tym wprawę, bo popijała z czarki małymi łykami z wyraźną przyjemnością.

- Wyśmienite! Ale ty wolisz, zdaje się, wino?

- Ależ nie... - wymamrotał uprzejmie.

- Spróbuj ciasteczek - powiedziała z pełnymi ustami.

- Dziękuję, nie.

- Dobrze, dobrze, rozumiem - rzekła i znów pociągnęła łyk gorącego płynu. Potem władczo wyciągnęła dłoń. - Podaj mi prawą rękę.

Podał, a ona ją ujęła.

- Czeka cię wielkie przeznaczenie, Gajuszu Mariuszu - mówiła, pochłaniając wzrokiem płataninę linii na jego dłoni. - Cóż za ręka! Kształtuje wszystko, czego dotknie. I co za linia głowy! Rządzi twoim

sercem, rządzi twoim życiem, panuje nad wszystkim, oprócz skutków upływu czasu, bo temu nikt się nie oprze. Ty jednak będziesz opierał się temu lepiej niż inni. Jest jakaś ciężka choroba... Ale przetrzymasz jej pierwszy atak, a nawet i drugi... Są wrogowie, mnóstwo wrogów... Ale ty ich pokonasz... Będziesz konsulem w roku następnym po tym, który się zaczyna, to jest w przyszłym roku... A potem będziesz konsulem jeszcze sześć razy... Siedem razy będziesz więc konsulem i będziesz sławiony jako trzeci założyciel Rzymu, bo uratujesz Rzym od największego w dziejach zagrożenia!

Zdawał sobie sprawę z tego, że twarz mu płonie, rozpalona niczym włócznia wetknięta w ognisko. I z ryczącego wiru w głowie. I z tego, że serce wali mu niczym hortator, wybijający rytm taranowania. I z tego, że ma czerwoną mgłę przed oczami. Wiedział bowiem, że mówiła prawdę.

- Zdobyłeś miłość i szacunek jakiejś wspaniałej kobiety - ciągnęła Marta, dotykając teraz drobnych zmarszczek na skórze jego dłoni - a jej bratanek będzie największym z wszystkich Rzymian po wszystkie czasy.

- Nie, to ja nim będę - odezwał się i natychmiast ochłonął, usłyszawszy tę mniej miłą nowinę.

- Nie, to jej bratanek - powtórzyła uparcie Marta. - Ktoś znacznie większy niż ty, Gajuszu Mariuszu. Nosi to samo imię co ty, Gajusz, ale pochodzi z jej rodziny, nie z twojej.

To było przesądzone, nie zdoła o tym zapomnieć.

- A co z moim synem?

- Twój syn także będzie wielkim człowiekiem, choć nie tak wielkim jak jego ojciec. Nie będzie też żył tyle lat co ty, nawet w przybliżeniu nie tak długo. Wciąż jednak będzie żył, kiedy nadejdzie twój czas.

Odepchnęła jego dłoń i podwinęła na sofę pod siebie brudne bose stopy - zadzwoniły dzwoneczki u palców, zabrzęczały bransolety u kostek.

- Zobaczyłam wszystko, co było do zobaczenia, Gajuszu Mariuszu - oznajmiła. Odchyliła się w tył i zamknęła oczy.

- Dziękuję ci, jasnowidząca Marto - rzekł, wstając i sięgając do sakiewki. - Ile ci jestem winien?

Otworzyła oczy, czarne, żywe i złośliwe.

- Od ciebie nie przyjmę zapłaty. Wystarczy mi towarzystwo kogoś naprawdę wielkiego. Płacą mi tacy jak ksiązę Gauda, który nigdy nie będzie kimś wielkim, chociaż zostanie królem - znów zabrzmiał rechot. - Ale ty to wiesz tak samo jak ja, Gajuszu Mariuszu, choć nie masz daru widzenia przyszłości. Masz dar czytania w ludzkich sercach, a ksiązę Gauda nie ma wielkiego serca.

- Muszę więc jeszcze raz ci podziękować.

- Ach, ależ ja mam do ciebie prośbę - zawołała, gdy już szedł ku drzwiom.

Natychmiast zawrócił.

- Słucham.

- Gdy zostaniesz po raz drugi konsulem, Gajuszu Mariuszu, sprowadź mnie do Rzymu i traktuj mnie godnie. Chcę zobaczyć Rzym, zanim umrę.

- Zobaczysz Rzym - obiecał i odszedł.

Siedmiokrotny konsul! Pierwszy w Rzymie! Trzeci założyciel Rzymu! Jeśli takie było jego przeznaczenie, jak może ktoś go przewyższyć? Gajusz... Musiała mieć na myśli syna młodszego z jego szwagrów, Gajusza Juliusza Cezara Młodszego. Tak, jego syn będzie bratankiem Julii - jedynym o imieniu Gajusz, to pewne.

- Po moim trupie - powiedział Gajusz Mariusz i dosiadł konia, by wrócić do Utyki.

Następnego dnia udał się na rozmowę z Metellusem i zastał konsula nad stosem dokumentów i listów z Rzymu. Poprzedniego wieczoru przybył statek, mocno opóźniony przez sztormy.

- Doskonałe nowiny, Gajuszu Mariuszu! - Przynajmniej raz Metellus był uprzejmy. - Przedłużono mi dowództwo w Afryce z imperium prokonsula i z wszelkim prawdopodobieństwem dalszego przedłużenia, gdybym potrzebował więcej czasu.

Odłożył jeden arkusz papieru i wziął do ręki inny. Jedno i drugie na pokaz, bo oczywiście przeczytał je przed przybyciem Mariusza. Nie czytał w milczeniu słów, nie było błysków zrozumienia w spojrzeniu przy rozdzielaniu słów ani czytania na głos, co pomagało w rozdzielaniu.

- Dobrze też, że moja armia jest nietknięta, bo Italia odczuwa znaczny niedobór ludzi z winy Sylana w Galii. Ależ, ty o tym nie wiesz! Tak, mój kolega konsul został pobity przez Germanów. Są duże straty w ludziach.

Chwycił i podniósł w górę kolejny zwój.

- Sylanus pisze, że było tam w boju ponad pół miliona germańskich olbrzymów. - Odłożył zwój, a innym, trzymanym w ręku machnął w stronę Mariusza. - Senat zawiadamia mnie o zniesieniu *lex Sempronia* Gajusza Grakcha, ograniczającym liczbę kampanii, które trzeba odbyć. Najwyższy czas! Możemy powołać tysiące weteranów, jeśli będzie trzeba.

- To bardzo zła ustawa - oświadczył Mariusz. - Jeśli weteran chce odejść ze służby po dziesięciu latach albo sześciu pełnych kampaniach, powinien mieć do tego prawo i nie obawiać się, że zostanie znowu powołany do wojska. Niszczymy małorolnych, Kwintusie Cecyliuszu! Jak może ktoś zostawić swoje gospodarstwo na dwadzieścia lat i spodziewać się, że pod jego nieobecność będzie kwitło? Jak ma spłodzić synów, którzy zajmą jego miejsce zarówno w zagrodzie, jak i w legionach? Na jego jałową żonę spadnie obowiązek pracy na roli, a kobiety nie mają do tego ani siły, ani chęci. Powinniśmy gdzie indziej szukać żołnierzy - i powinniśmy ich chronić przed złym dowództwem!

Metellus zeszytywniał, zaciskając usta.

- Nie twoja rzecz, Gajuszu Mariuszu, krytykować najświetlejsze grono ludzi w naszym społeczeństwie! Za kogo się uważasz?

- Chyba już mi mówiłeś, kim jestem, Kwintusie Cecyliuszu, i to przed wielu laty. O ile pamiętam, jestem italskim prostakiem, który wcale nie zna greki. Może to i prawda. Nie znaczy to jednak, że nie mogę komentować tego, co uważam za bardzo złą ustawę. - Mariusz mówił spokojnym tonem. - Pozwalamy, a mam tu na myśli senat, w którego światło grono wchodzi tak samo jak ty, pozwalamy wyginać całą klasie obywateli, bo nie mamy

dość odwagi albo przytomności umysłu, żeby powstrzymać tych tak zwanych wodzów, których od lat wysyłamy w pole! Nie wolno marnować krwi rzymskich żołnierzy, Kwintusie Cecyliuszu, trzeba z niej zrobić użytek!

Mariusz wstał, pochylając się nad stołem Metellusa, i ciągnął swe przemówienie.

- Kiedy tworzyliśmy naszą armię, chodziło o krótkie kampanie w Italii, ludzie mogli więc wracać na zimę do domów, prowadzić gospodarstwa, doglądać kobiet i płodzić synów. W naszych czasach poborowych wysyła się za morza, a kampanie trwają całe lata, podczas których ludzie nie wracają do kraju. Żeby odbyć sześć takich kampanii, trzeba przesłużyć dwanaście albo piętnaście lat z dala od ojczyzny! Gajusz Grakchus zmienił prawo, aby to ukrócić i nie dopuścić, by italskie gospodarstwa stały się łupem wielkich hodowców bydła! - Zacerpnął tchu, mierząc drwiącym spojrzeniem Metellusa. - Przepraszam, Kwintusie Cecyliuszu, przecież ty sam jesteś jednym z tych wielkich hodowców, nieprawdaż? Miło ci widzieć, jak te gospodarstwa idą w twoje ręce, bo ludzie, którzy powinni je prowadzić, giną gdzieś na obcej ziemi przez niedbalstwo i zachłanność arystokratów!

- Ach, więc doszliśmy do tego! - krzyknął Metellus, zrywając się na nogi i patrząc w twarz Mariuszowi. - Otóż mamy! Niedbalstwo i zachłanność arystokratów! Arystokracja stoi ci kością w gardle, czyż nie? Powiem ci coś, Gajuszu Mariuszu Prostaku! Małżeństwo z Julią z Juliuszów nie robi z ciebie arystokraty!

- Nie zależy mi na tym - parsknął Mariusz. - Brzydzą się wami wszystkimi z wyjątkiem mego teścia, który jakimś cudem pozostał porządnym człowiekiem, mimo swego pochodzenia!

Ich głosy podniosły się już dawno do krzyku, a za drzwiami wszyscy nadstawili uszu.

- Dalejże, Gajuszu Mariuszu! - odezwał się trybun wojskowy.

- Dołóż mu tak, żeby poczuł, Gajuszu Mariuszu! - dodał drugi.

Trzeci wyszczerzył zęby i zawołał:

- Żeby się sfajdał ten arogancki *fellator*!

Było oczywiście, że wszyscy, od samej góry do szeregowych żołnierzy, wołają Gajusza Mariusza od Cecyliusza Metellusa.

Krzyki dotarły jednak dalej niż za drzwi kwatery głównej. Gdy wpadł do niej syn konsula, Kwintus Cecyliusz Metellus Młodszy, członkowie sztabu konsula robili wrażenie ogromnie zajętych. Nie poświęciwszy im ani jednego spojrzenia, Metellus Prosiak otworzył drzwi do pokoju ojca.

- Ojcze, słyhać was na milę! - powiedział, patrząc z odrazą na Mariusza.

Był bardzo podobny do ojca, średniego wzrostu i średniej postury. Miał kasztanowate włosy i piwne oczy i był w miarę przystojny, niczym jednak nie wyróżniałby się w tłumie Rzymian.

Jego wtargnięcie otrzeźwiło Metellusa, chociaż nie zmniejszyło zbytnio wściekłości Mariusza. Żaden z nich nie pomyślał o tym, żeby usiąść. Młody Metellus Prosiak stał z boku, podniecony i wytrącony z równowagi. Był bezwzględnie oddany ojcu, ale zdezorientowany, zwłaszcza gdy

pomyślał o poniżeniach, jakich nie szczędził Mariuszowi jako dowódca załogi w Utyce. Po raz pierwszy ujrzał oto innego Mariusza, olbrzyma o odwadze i inteligencji, które przerastały możliwości każdego Cecyliusza Metellusa.

- Nie widzę sensu w dalszym przeciąganiu tej rozmowy, Gajuszu Mariuszu - powiedział Metellus, oparłszy ręce o stół, by ukryć ich drżenie.
- Tak czy owak, po co do mnie przyszedłeś?

- Przyszedłem powiadomić cię, że pod koniec lata zamierzam wystąpić ze służby w tej wojnie - rzekł Mariusz. - Wracam do Rzymu ubiegać się o wybór na konsula.

Metellus robił wrażenie, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Zamierzasz... ubiegać się o co?!

- Zamierzam wrócić do Rzymu, by ubiegać się o wybór na konsula.

- Nie, nie zrobisz tego. Przyjąłeś u mnie stanowisko legata - i w dodatku z imperium prokonsula! - na czas sprawowania przeze mnie zarządu prowincją Afryki. Właśnie przedłużono mi ten zarząd. To oznacza przedłużenie twojej służby.

- Możesz mnie z niej zwolnić.

- Jeżeli zechcę. Ale nie chcę. Prawdę mówiąc, gdyby to ode mnie zależało, Gajuszu Mariuszu, utknąłbyś w tych tu prowincjach na resztę swego życia!

- Nie zmuszaj mnie do ostateczności, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł Mariusz całkiem przyjaznym tonem.

- Nie zmuszać cię do czego? Ach, zabieraj się stąd, Gajuszu Mariuszu! Idź i zajmij się czymś. Nie marnuj mego czasu! - Metellus złowił spojrzenie syna i uśmiechnął się do niego niczym konspirator.

- Nalegam na zwolnienie mnie ze służby, bym mógł zgłosić jesienią w Rzymie kandydaturę na konsula.

Metellus Prosiak, ośmielony okazywaniem przez ojca niewzruszonej i wielkopańskiej wyższości, tłumił chichot, co podniecało jeszcze dowcip ojca.

- Masz prawie pięćdziesiąt lat - rzekł z uśmiechem. - Mój syn ma dwadzieścia. Nie byłoby ci miło, gdybyś został konsulem razem z nim? Musisz się jeszcze sporo nauczyć, by zasiąść w krześle konsula, jestem jednak pewien, że syn z przyjemnością udzieli ci kilku wskazówek.

Młody Metellus wybuchnął głośnym śmiechem.

Mariusz patrzył na nich spod najeżonych brwi, a jego orla twarz wyrażała daleko więcej wyższości i dumy niż ich twarze.

- Zostanę konsulem. Możesz być pewien, Kwintusie Cecyliuszu, że będę konsulem - nie raz, ale siedem razy.

I wyszedł, zostawiając obu Metellów, którzy patrzyli za nim z mieszaniną zaskoczenia i lęku. Zastanawiali się, czemu nie widzą niczego śmiesznego w tym nedorzecznym oświadczeniu.

Następnego dnia Mariusz pojechał do Starej Kartaginy na spotkanie z księciem Gaudą.

Kiedy go wpuszczono do księcia, przyklęknął na jedno kolano i przy-

cisnął usta do wilgotnej i zimnej dłoni Gaudy.

- Powstań, Gajuszu Mariuszu - wykrzyknął z rozkoszą Gauda, zachwycony widokiem tego wspaniałego męża, oddającego mu hołd z tak szczerym szacunkiem i podziwem.

Mariusz zaczął się podnosić, potem jednak osunął się na oba kolana, wyciągając ręce.

- Wasza Królewska Wysokość, nie jestem godzien stać w twojej obecności, bo przychodzę z najuniżeńszą prośbą.

- Powstań, powstań! - pisnął Gauda jeszcze bardziej zachwycony.

- Nie musisz prosić mnie o nic na kolanach! Siadaj tu przy mnie i powiedz, czego pragniesz.

Wskazane przez Gaudę krzesło stało rzeczywiście przy nim - tyle że o jeden stopień niżej niż książęcy tron. Kłaniając się głęboko w drodze do krzesła, Mariusz przysiadł na samym jego skraju, jakby onieśmiala go obecność tego drugiego, siedzącego wygodnie, czyli Gaudy.

- Kiedy zapisałeś się, książę Gauda, do moich klientów, przyjąłem ten zdumiewający zaszczyt przeświadczony, że będę mógł poprzeć twoją sprawę w Rzymie. Zamierzałem ubiegać się jesienią o wybór na konsula. - Mariusz przerwał, wzdychając głęboko. - Niestety, nie dojdzie do tego! Kwintus Cecyliusz Metellus pozostaje w prowincji Afryki. Przedłużono mu namiestnictwo, co oznacza, że ja, jego legat, nie mogę opuścić służby bez jego zgody. Kiedy powiedziałem mu, że chcę brać udział w wyborach na konsula, nie pozwolił mi opuścić Afryki choćby o jeden dzień przed nim.

Szlachetny potomek królewskiego rodu Numidii zeszywniał z wściekłości. Dobrze pamiętał, jak Metellus nie chciał wstać na jego powitanie, nie chciał się przed nim ukłonić, nie posadził go na niczym w rodzaju tronu i nie przydzielił mu rzymskiej eskorty.

- Ależ to nie do pojęcia, Gajuszu Mariuszu! - wykrzyknął. - Jak go mamy zmusić do zmiany zdania?

- Panie, zadziwia mnie twoja bystrość, twoja trafna ocena sytuacji! - zawołał Mariusz. - To właśnie trzeba zrobić, zmusić go do zmiany zdania. - Urwał na chwilę. - Wiem, co chcesz zaproponować, ale lepiej będzie, jeśli wyjdzie to z moich ust, nie z twoich, bo jest to nieczysta sprawa. Jeśli się zgadzasz, pozwól mi mówić.

- Mów - rzekł wyniośle Gauda.

- Wasza Królewska Wysokość, Rzym, senat, a nawet lud - za pośrednictwem swoich dwóch zgromadzeń - powinny zostać zasypane listami! Listami od ciebie - i od każdego z osobna mieszczanina, hodowcy bydła, rolnika i kupca z całej prowincji Afryki. Te listy powinny powiadamiać Rzym o tym, jak bardzo nieudolny jest Kwintus Cecyliusz Metellus i jego sposób prowadzenia wojny z wrogimi nam Numidyjczykami, a także wyjaśniać, że nasze nieliczne sukcesy nie są dziełem Kwintusa Cecyliusza Metellusa, lecz moim. Powinny to być tysiące listów, i to pisanych wciąż na nowo, aż Kwintus Cecyliusz Metellus ustąpi i pozwoli mi jechać do Rzymu, by ubiegać się o wybór na konsula.

Gauda aż jęknął z zachwyty.

- To wprost zdumiewające, Gajuszu Mariuszu, jak zgodne są nasze

myśli! Zamierzałem zaproponować właśnie takie listy!

- Jak rzekłem, wiedziałem o tym - zauważył Mariusz. - Czy to jednak możliwe, o panie?

- Czy możliwe? Oczywiście, że możliwe. To wymaga czasu, pieniędzy i wpływów, a my dwaj mamy chyba o wiele więcej czasu, pieniędzy i wpływów niż Kwintus Cecyliusz Metellus, nieprawdaż?

- Na to właśnie liczę - rzekł Mariusz.

Mariusz nie pozostawił oczywiście spraw samym sobie. Jeździł osobiście do każdego liczącego się Rzymianina, Latyńczyka i Italczyka w prowincji Afryki, powołując się na swe obowiązki wobec Metellusa jako powód nieustannych wyjazdów. Woził ze sobą sekretne upoważnienie księcia Gaudy, obiecujące wszelkiego rodzaju koncesje w Numidii, gdy Gauda zostanie królem, i wzywające wszystkich do wpisywania się na listę klientów Gajusza Mariusza. Deszcze, błoto i wezbrane rzeki nie mogły powstrzymać Gajusza Mariusza. Robił swoje, zbierając klientów i obietnice napisania listów, listów i listów, tysięcy listów, takiej ich ilości, która pośle statek Cecyliusza Metellusa na dno politycznego nieistnienia.

W lutym listy z prowincji rzymskiej Afryki zaczęły docierać do wszystkich znaczących ludzi i organizacji w Rzymie, a każdy kolejny statek przywoził coraz to nowe. Jeden z pierwszych, list od Marka Celiusza Rufusa, obywatela rzymskiego i właściciela stu juggerów ziemi w dolinie rzeki Bagradas, gdzie pszenica dawała dwieście czterdzieści ziaren z jednego, pisał, co następuje:

„Kwintus Cecyliusz Metellus niewiele zdziałał w Afryce, jeśli nie liczyć dbałości o własne interesy. Moim zdaniem, zamierza on przeciągać tę wojnę dla własnej chwały i żądzy władzy. Jesienią ogłosił plan osłabienia wpływów Jugurty poprzez palenie numidyjskich zbiorów i najeżdżanie numidyjskich miast, zwłaszcza tych, w których mieszczą się skarbcze. W rezultacie moje ziemie i ziemie wielu innych tutejszych obywateli rzymskich znalazły się w zagrożeniu, bo Numidyjczycy urządzają najazdy odwetowe w głąb rzymskiej prowincji. Cała dolina rzeki Bagradas, niezmiernie ważne źródło zaopatrzenia Rzymu w zboże, żyje w nieustannej trwodze.

Ponadto doszło do mych uszu, i nie tylko do moich, że Kwintus Cecyliusz Metellus nie potrafi wykorzystać właściwie nawet swych legatów, a cóż dopiero armii. Z rozmysłem marnuje zdolności ludzi takich jak Gajusz Mariusz i Publiusz Rutyliusz Rufus, każąc pierwszemu dowodzić swą nieliczną jazdą, a drugiemu być swoim *praefectus fabrum*. Jest też niesłychanie arogancki, bezmyślny, a nawet okrutny wobec księcia Gaudy, uznanego przez senat i lud rzymski za prawowitego władcę Numidii.

Na koniec pragnę oświadczyć, że nasze nieliczne sukcesy w zeszłorocznej kampanii zawdzięczamy wyłącznie wysiłkom Gajusza Mariusza i Publiusza Rutyliusza Rufusa. Wiem, że nie spotkały ich żadne nagrody ani wyrazy uznania. Chciałbym zatem polecić twojej uwadze Gajusza Mariusza i Publiusza Rutyliusza Rufusa i ostro potępić sposób postępowania Kwintusa Cecyliusza Metellusa”.

Ten list został wysłany do jednego z największych i najbardziej znaczących kupców zbożowych w Rzymie, którego wpływy wśród senatorów i ekwitów były wprost nieobliczalne. Naturalnie, gdy został powiadomiony o skandalicznym sposobie prowadzenia wojny przez Metellusa, dał głośno wyraz swemu oburzeniu, a jego głos trafił do właściwych uszu z natychmiastowym skutkiem. W miarę upływu dni napływał potok listów i do jego głosu przyłączyły się głosy innych. Senatorzy zaczęli wzdygać się na widok bankierów czy potentatów handlowych, a błogie zadowolenie z siebie potężnego rodu Metellów nagle zmieniło się w konsternację.

Ród Metellów wysłał listy do swego znakomitego członka Kwintusa Cecyliusza, prokonsula prowincji Afryki, prosząc, by porzucił arogancki ton wobec księcia Gaudy, by traktował swoich starszych legatów z większymi względami niż własnego syna i by się postarał o kilka znaczących zwycięstw nad Jugurtą.

Potem wybuchł skandal z Baga, która poddała się jesienią Metellusowi, a teraz zbuntowała się, co większość italskich kupców w mieście przypłaciła życiem. Jugurta podzegał do tego buntu, a patrzył na to przez palce nie kto inny jak serdeczny przyjaciel Metellusa Turpiliusz, dowódca garnizonu. Metellus zrobił błąd, broniąc Turpiliusza, kiedy Mariusz żądał postawienia go przed sądem wojennym za zdradę stanu. Gdy sprawa stała się w Rzymie głośna dzięki setkom listów, okazało się, że Metellus jest tak samo winny jak Turpiliusz. Ród Metellów wysłał nowe listy do Utyki do swego znakomitego członka Kwintusa Cecyliusza, prosząc, by lepiej dobierał sobie przyjaciół, jeśli chce ich uparcie bronić przed oskarżeniem o zdradę stanu.

Minęło wiele tygodni, zanim Metellus uwierzył, że kampania prowadzona za pomocą listów była dziełem Mariusza. Kiedy zaś uwierzył, nie od razu zrozumiał znaczenie tej epistolarnej wojny. On, Cecyliusz Metellus, miałby stracić swą reputację w Rzymie na skinienie Gajusza Mariusza, jakiegoś beksy pretendenta i kilku pospolitych kupców? Niemożliwe! Nie w Rzymie. Rzym należy do niego, nie do Gajusza Mariusza.

Regularnie co osiem dni Mariusz stawiał się u Metellusa i żądał zwolnienia ze służby z końcem sekstyliisa. Równie regularnie Metellus odmawiał.

Trzeba mu przyznać, że miał inne rzeczy na głowie niż Gajusz Mariusz i jakieś nędzne listy pojawiające się w Rzymie. Całą jego energię pochłaniał Bomilkar. Wiele dni zajęło Nabdalsie namówienie Bomilkara na rozmowę, a jeszcze więcej doprowadzenie do tajnego spotkania Bomilkara z Metellusem. Doszło do niego pod koniec marca w małym pawilonie przy rezydencji namiestnika w Utyce, dokąd przemycono Bomilkara.

Byli dobrymi znajomymi, bo to właśnie Metellus informował Jugurtę za pośrednictwem Bomilkara podczas ostatnich rozpaczliwych dni jego pobytu w Rzymie. To Bomilkar korzystał z gościnności Metellusa poza świętą granicą, *pomerium*.

Podczas tego spotkania jednak nie było wymiany uprzejmości. Bomilkar był spięty, obawiając się ujawnienia swojej obecności w Utyce, a Metellus

nie czuł się pewnie w roli mocodawcy tajnego agenta.

Powiedział zatem bez ogródek:

- Pragnę zakończyć tę wojnę z możliwie małymi stratami życia i mienia i w jak najkrótszym czasie. Rzym potrzebuje mnie gdzie indziej niż w Afryce.

- Tak, słyszałem o Germanach - rzekł Bomilkar.

- Rozumiesz więc potrzebę pośpiechu.

- Rzeczywiście, rozumiem. Nie wiem jednak, co ja sam mogę zrobić, żeby skrócić działania wojenne.

- Podsunęto mi pomysł, do którego się w końcu przekonałem, że najszybszym i najprostszym sposobem rozstrzygnięcia losu Numidii jest usunięcie króla Jugurty - powiedział prokonsul.

Bomilkar oceniał Metellusa w milczeniu. Nie był to Gajusz Mariusz, to pewne, ani nawet Rutyliusz Rufus. Dumny, wyniosły, świadomy własnej godności, ale nie tak kompetentny ani obiektywny. Jak każdy Rzymianin myślał przede wszystkim o Rzymie, ale jego idea Rzymu była bardzo odmienna od idei Rzymu Gajusza Mariusza. Bomilkar był zaskoczony zmianą, jaka zaszła w Metellusie znanym mu z Rzymu, kiedy został on namiestnikiem prowincji Afryki. Chociaż wiedział o listach, nie doceniał ich znaczenia.

- To prawda, że Jugurta jest źródłem oporu Numidyjczyków - powiedział. - Chyba jednak nie uświadamiasz sobie, jak niepopularny jest w Numidii Gauda. Numidia nigdy nie przystanie na rządy Gaudy, prawowite czy też nie.

Na wspomnienie imienia Gaudy na twarzy Metellusa pojawiło się obrzydzenie i wydał okrzyk niesmaku.

- To zero! Parodia męczyzny, a tym bardziej króla. - Jego piwne oczy badały posępną twarz Bomilkara. - Gdyby coś przydarzyło się Jugurcie, ja sam - i oczywiście Rzym - będziemy za osadzeniem na numidyjskim tronie kogoś, kto widzi interes Numidii w związku tego królestwa z Rzymem.

- Uważam, że taki związek leży w najlepszym interesie Numidii. - Bomilkar urwał i oblizwał wargi. - Czy wzięłbyś mnie pod uwagę jako przyszłego króla Numidii, Kwintusie Cecyliuszu?

- Jak najbardziej! - oświadczył Metellus.

- Świetnie! W takim razie chętnie będę działał na rzecz usunięcia Jugurty.

- Mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce - uśmiechnął się Metellus.

- Gdy tylko będzie to możliwe. Nie ma sensu usiłowanie zabójstwa. Jugurta jest na to zbyt ostrożny, a jego straż królewska jest mu absolutnie wierna. Nie sądzę też, by udał się jakiś przewrót. Większości dobrze urodzonych odpowiada rządy Jugurty i jego sposób prowadzenia wojny. Byłoby inaczej, gdyby Gauda był bardziej atrakcyjny. Ja - Bomilkar skrzywił się - nie mam w żyłach krwi Masynissy, będę więc potrzebował pełnego poparcia Rzymu, by wstąpić na tron.

- Co więc należy zrobić?

- Chyba jedynym sposobem jest umożliwienie Rzymianom pojmania Jugurty. Nie mam na myśli bitwy, ale zasadzkę. Potem możecie zabić go na

miejscu albo zatrzymać i później zrobić z nim, co się wam podoba.

- Dobrze, komesie. Przyjmuję ten plan, jeśli mnie zawiadomisz na tyle wcześniej, żebym zdążył urządzić tę zasadzkę.

- Oczywiście. Najlepszą okazją będzie jakiś najazd graniczny, a Jugurta zamierza przeprowadzić liczne takie najazdy, kiedy tylko ziemia obeschnie. Ostrzegam jednak, Kwintusie Cecyliuszu. Schwytnie kogoś tak przebiegłego jak Jugurta może ci się nie udać od razu. Nie będę narażał własnego życia - Rzym nie będzie miał ze mnie pożytku, jeśli zginę. Bądź spokojny, w końcu wprowadzę ci go w jakąś dobrą pułapkę. Nawet od Jugurty odwróci się w końcu szczęście.

Jugurta był na ogół zadowolony ze stanu rzeczy. Chociaż poniósł znaczne straty w wyniku najazdów Mariusza na gęsto zaludnione części swego królestwa, wiedział jednak lepiej niż ktokolwiek, że jego główną przewagą i ochroną są rozmiary Numidii. Zaludnione części Numidii, inaczej niż w innych krajach, mniej znaczyły dla jej króla niż pustynia. Większość żołnierzy numidyjskich, w tym sławna w świecie lekka jazda, pochodziła z plemion wiodących na pół koczownicze życie w głębi kraju, po drugiej stronie tych potężnych gór, w których wytrzymały Atlas podtrzymuje niebo na ramionach. Były to ludy Getulów i Garamantów. Z plemienia Getulów pochodziła matka Jugurty.

Po poddaniu się Bagi król dopilnował, by przeniesiono skarbcę z miast leżących na szlakach możliwych przemarszów Rzymian do takich miejsc, jak Zama czy Kapsa, odległych i trudnych do podejścia, budowanych jako cytadele na niedostępnych szczytach i otoczonych przez fanatycznie wiernych Getulów. Co do Bagi, Jugurta po raz kolejny przekupił Rzymianina, dowódcę garnizonu, Turpiliusza, przyjaciela samego Metellusa.

Coś jednak się zmieniało. Gdy zimowe deszcze zaczęły ustawać, Jugurta był już o tym przekonany, nie był jednak pewien, w czym rzecz. Jego dwór był w ciągłym ruchu. On sam przenosił się nieustannie z jednej cytadeli do drugiej, wszędzie zaś porozmieszczał swe żony i nałożnice, wszędzie więc czekały na niego kochane twarze i czułe uściski. A jednak - coś było nie tak. Nie chodziło o jego zarządzenia ani o jego wojska, ani o jego linie zaopatrzenia, ani o lojalność jego licznych miast i plemion. To, co wyczuwał, było zaledwie podmuchem, drgnieniem, mrówkami chodzącymi po grzbiecie. Wyczuwał jakieś bliskie niebezpieczeństwo, ale nie skojarzył tego uczucia ze swoją odmową wyznaczenia Bomilkara na regenta.

- Coś się święci na dworze - powiedział do Bomilkara, kiedy pod koniec marca jechali konno z Kapsy do Cyrty na czele potężnej kolumny jazdy i piechoty.

Bomilkar obrócił głowę i spojrzał prosto w jasne oczy swego przyrodniego brata.

- Na dworze?

- Znosi się na coś bracie, a siewcą niezgody jest Gauda, ten wyskrobek, mógłbym się o to założyć.

- Masz na myśli przewrót pałacowy?

- Nie jestem pewien. Czuję tylko, że coś jest nie tak.

- Jakiś zabójca?

- Być może, ale naprawdę nie wiem tego, Bomilkarze! Rozglądam się na wszystkie strony, strzygę uszami i chyba tylko mój nos jeszcze niczego nie wyczuwa. Ale co z tobą? Czy ty niczego nie czujesz?

- Muszę powiedzieć, że nie.

Już trzykrotnie Bomilkar wpędził nieświadomego niczego Jugurtę w pułapkę i trzykrotnie Jugurta zdołał się wywinąć, nie podejrzewając o nic przyrodniego brata.

- Robią się zbyt sprytni - powiedział za trzecim razem. - To robota Gajusza Mariusza albo Publiusza Rutyliusza, nie Metellusa. Mamy w naszym obozie szpiega, Bomilkarze.

Bomilkar zdołał zachować spokój.

- Przyznaję, że to możliwe, ale któż by się ośmielił?

- Nie wiem - rzekł Jugurta ze złą miną - ale dowiem się prędzej czy później, mozesz być pewien.

Pod koniec kwietnia Metellus wkroczył do Numidii. Rutyliusz Rufus przekonał go, by zadowolili się na początek jakimś mniejszym celem niż stołeczna Cyrta, i wojska rzymskie pomaszerowały na Talę. Nadeszła wiadomość od Bomilkara, który zwabił do Tali Jugurtę, i Metellus podjął czwartą próbę pojmania króla. Nie zdołał jednak przeprowadzić ataku z zaskoczenia z taką szybkością i zdecydowaniem, jakich wymagało to przedsięwzięcie. Jugurta uciekł, a zaskoczenie zmieniło się w oblężenie. Tala upadła w miesiąc później, ku zdziwieniu samego Metellusa, oddając mu w ręce wielki skarb przywieziony przez Jugurtę i porzucony podczas ucieczki.

Na przełomie maja i czerwca Metellus pomaszerował do Cyrty, gdzie spotkała go kolejna miła niespodzianka, stolica Numidii poddała się bowiem bez walki. Wielki kontyngent rzymskich i italskich ludzi interesu wywierał znaczący wpływ na prorzymską politykę miasta. Na dodatek Cyrta nie przepadała za Jugurtą, podobnie jak on nie przepadał za Cyrtą.

Było upalnie i sucho, jak zwykle o tej porze roku. Jugurta wymknął się z nieszczelnych sieci rzymskiego wywiadu, udając się na południe do namiotów Getulów, a potem do Kapsy, do rodzinnego kraju swojej matki. Ta niewielka, lecz potężnie umocniona górska twierdza w sercu getulskiej głuszy była bliska sercu Jugurty, tu bowiem mieszkała jego matka po śmierci męża, ojca Bomilkara. Tutaj też złożył Jugurta główną część swego skarbcza.

Tu właśnie jego ludzie przywieźli w czerwcu Nabdalsę, schwytanego, gdy wyjeżdżał z zajętej przez Rzymian Cyrty. Szpiedzy Jugurty w rzymskim dowództwie zdobyli w końcu dość dowodów zdrady Nabdalsy, by zawiadomić króla. Nabdalsa zawsze był uważany za człowieka Gaudy, ale nie przeszkadzano mu poruszać się swobodnie po Numidii. Był dalekim krewnym Jugurty i miał w żyłach krew Masynissy, tolerowano go więc i uważano za nieszkodliwego.

- Teraz jednak mam dowód, że współpracujesz z Rzymianami na szkodę swego narodu. Jeśli jestem rozczarowany, to dlatego, że jak głupiec zadajesz się z Metellusem, a nie z Gajuszem Mariuszem.

Przyjrzał się Nabdalsie, zakutym po porwaniu go w żelaza i noszącym ślady złego traktowania.

- Oczywiście nie działasz w pojedynkę - powiedział z namysłem. - Który z moich komesów spiskował z tobą?

Nabdalsa odmówił odpowiedzi.

- Na tortury z nim - rzucił niedbale Jugurta.

Tortury w Numidii nie były wymyślne, chociaż Jugurta korzystał z lochów na wzór wschodnich despotów i przetrzymywał w nich więźniów. Do jednego z takich lochów w głębi skalistego wzgórza, na którym wznosiła się Kapsa, dostępnego jedynie przez płataninę tuneli biegnących z pałacu wnętrzem murów cytadeli, wrzucono Nabdalsę. Tam też wzięli go na tortury ci nieludzko okrutni żołnierze, jakich zawsze można znaleźć w takich miejscach.

Wkrótce potem stało się jasne, czemu Nabdalsa wybrał służbę Gaudzie, zaczął bowiem mówić. Wystarczyło powyrywać mu zęby i paznokcie u jednej ręki. Wezwany do wysłuchania jego wyznań Jugurta, nie podejrzewając niczego, zabrał ze sobą Bomilkara.

Wiedząc, że nigdy już nie opuści podziemnego świata, do którego miał właśnie wkroczyć, Bomilkar zapatrzył się na bezgraniczne, nasycone błękitem niebo, wciągnął w płuca świeże powietrze pustyni, musnął grzbietem dłoni jedwabiste liście jakiegoś kwitnącego krzaka. Wkroczył potem w mrok, unosząc z sobą te wspomnienia.

Źle przewietrzane pomieszczenie cuchnęło odchodami, wymiocinami, potem, krwią, zatechłą wodą i martwą tkanką. Były to istne wyziewy Tartaru, którymi nie można było oddychać, nie odczuwając grozy. Nawet Jugurta zadrzał, gdy tam wszedł.

Przesłuchanie kontynuowano z wielkimi trudnościami, bo dziąsła Nabdalsy wciąż mocno krwawiły, a złamany nos uniemożliwiał tamowanie krwotoku wpychanymi do ust tamponami. Jugurtą targały mieszane uczucia: grozy na widok Nabdalsy i gniewu na bezmyślność jego oprawców, którzy zaczęli od ust.

Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia. Po trzecim pytaniu Jugurty Nabdalsa wymówił to jedno istotne słowo, nietrudne do zrozumienia, choć mamrotał je, krztusząc się krwią.

- Bomilkar.

- Zostawcie nas - polecił król oprawcom, był jednak dość przezorny, by kazać im zabrać sztylet Bomilkara.

- Żałuję tylko jednego - westchnął Bomilkar, gdy zostali sami. - To zabije naszą matkę.

- Dlaczego? - spytał Jugurta.

Bomilkar wzruszył ramionami.

- Kiedy zacząłem rozważać minione lata, zrozumiałem, że mnie oszukujesz, bracie. Traktowałeś mnie z taką samą pogardą jak oswojoną małpę.

- A czego oczekiwałeś?

- Że nazwiesz mnie przed całym światem swoim bratem.

Jugurta wpatrywał się w niego szczerze zdumiony.

- Miałbym cię wynieść ponad twój stan? Liczy się ojciec, nie matka, mój drogi! Nasza matka jest Berberyjką z Getulów, nawet nie córką naczelnika plemienia. Nie ma w sobie nic królewskiego. Gdybym przed światem nazywał cię bratem, wszyscy by sądzili, że cię adoptuję do rodu Masynissy. To zaś byłaby - skoro mam dwóch synów i dziedziców - co najmniej nierozwaga.

- Powinieneś wyznaczyć mnie na ich opiekuna i regenta.

- I znów wynieść cię ponad twój stan? Mój drogi Bomilkarze, pochodzenie naszej matki to wyklucza! Twój ojciec był niższym komesem, właściwie nikim, podczas gdy mój ojciec był prawym synem Masynissy. To po ojcu dziedziczą królewskie pochodzenie.

- Nie jesteś jednak prawowitym synem.

- Nie jestem. Mimo to mam w żyłach jego krew, a krew się liczy.

Bomilkar odwrócił się.

- Skończmy już z tym. To ja przegrałem, nie ty, wystarczający powód, żeby umrzeć. Strzeż się jednak, Jugurto.

- Mam się strzec? Czego? Morderczych zamachów? Dalszych zdrad i innych zdrajców?

- Rzymian. Oni są jak słońce i wiatr, i deszcz. W końcu zostawią po sobie tylko piasek.

Jugurta ryknął na oprawców, którzy wpadli, potykając się i spodziewając się wszystkiego, a nie widząc niczego niestosownego, zatrzymali się, czekając na rozkazy.

- Zabić ich obu - rzekł Jugurta, ruszając ku drzwiom - ale załatwcie to szybko. I przyslijcie mi ich głowy.

Głowy Bomilkara i Nabdalsy zatknięto na murach Kapsy, by każdy mógł je zobaczyć. Te głowy były czymś więcej niż oznakami królewskiej pomsty nad zdrajcami. Umieszczano je na widoku, by okazać ludowi, że zginął właściwy człowiek, i zapobiec pojawianiu się samozwańców.

Jugurta mówił sobie, że nie czuje żalu, ale czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem. To była dla niego nauczka, że król nie może ufać nikomu, nawet własnemu bratu.

Śmierć Bomilkara miała dwa natychmiastowe następstwa. Jednym z nich było to, że Jugurta stał się całkowicie nieuchwytny, nigdy nie zatrzymując się w jednym miejscu dłużej niż dwa dni i nigdy nie powiadamiając swoich przybocznych, dokąd zamierza się udać. Władza należała tylko do króla, nikogo innego. To ostatnie dotyczyło jego teścia, króla Mauretanii Bokchusa, który nie pomagał wprawdzie Rzymowi w walce z mężem swej córki, ale nie pomagał też Jugurcie w walce z Rzymem. Jugurta natychmiast podjął naciski na Bokchusa, by ten sprzymierzył się z Numidią dla wypchnięcia Rzymu z Afryki.

Pod koniec lata pozycja Kwintusa Cecyliusza w Rzymie była całkowicie podkopana. Nikt nie potrafił powiedzieć dobrego słowa o jego sposobie prowadzenia wojny, a listy wciąż napływały, wytrwale, nieustępliwe, w najwyższym stopniu wpływowe.

Po zdobyciu Tali i poddaniu się Cyrty stronnictwo Cecyliusza Metellusa

zdołało uzyskać pewne wpływy wśród ekwitów. Potem jednak nadeszły wieści z Afryki, z których jasno wynikało, że ani Tala, ani Cyrta nie dają gwarancji zakończenia wojny, a następnie nadeszły doniesienia o nie kończących się, bezcelowych potyczkach, o bezsensownym posuwaniu się na zachód Numidii, o marnotrawstwie pieniędzy i ogromnych kosztach utrzymania w polu sześciu legionów, bez widoków na ustanie tych wydatków. Dzięki Metellusowi wojna z Jugurtą przeciągnie się z pewnością przynajmniej o rok.

Wybory konsulów wyznaczono na połowę października, imię zaś Mariusza - teraz już na ustach wszystkich - wymieniano stale wśród imion kandydatów. Czas jednak upływał, on zaś nie pojawiał się w Rzymie. Metellus był nieubłagany.

- Żądam zwolnienia - mówił do niego Mariusz, chyba już po raz piętnasty.

- Żądaj sobie, ile chcesz - odparł Metellus. - Nie pojedziesz.

- Będę w przyszłym roku konsulem.

- Taki prostak jak ty konsulem? Niemożliwe.

- Boisz się, że mnie wybiorą, nieprawdaż? - powiedział z zadowoloną miną Mariusz. - Nie pozwalasz mi jechać, bo wiesz, że zostanę wybrany.

- Nie wierzę, żeby jakiś prawdziwy Rzymianin na ciebie głosował, jesteś jednak niezmiernie bogaty, a to oznacza możliwość kupna głosów. Gdyby cię kiedyś wybrano - a nie stanie się to w przyszłym roku! - możesz być pewien, że poświęcę całą swą energię na udowodnienie, że kupiłeś sobie urząd!

- Nie muszę kupować sobie urzędów, Kwintusie Cecyliuszu. Nigdy nie kupowałem. Dlatego mogę spróbować. - Mariusz wciąż był irytująco zadowolony z siebie.

Metellus zmienił taktykę.

- Nie pozwolę ci jechać. Musisz się z tym pogodzić. Jako urodzony Rzymianin zdradziłbym swoją klasę, gdybym ci pozwolił. Konsulat to urząd nie dla kogoś z italskim pochodzeniem, Gajuszu Mariuszu. Ci, którzy zasiadają w krześle z kości słoniowej, muszą mieć odpowiednie urodzenie i zasługi, własne i swych przodków. Wolałbym umrzeć, niż zobaczyć Italczyka z samnickiego pogranicza - gbura bez wykształcenia, który nie powinien zostać nawet pretorem - zasiadającego w krześle konsula! Możesz robić, co chcesz! Dla mnie to bez różnicy. Prędzej okryję się hańbą, prędzej umrę, niż pozwolę ci jechać do Rzymu.

- Będziesz miał jedno i drugie, Kwintusie Cecyliuszu, jeśli to konieczne - rzekł Mariusz i wyszedł z komnaty.

Publiusz Rutyliusz Rufus usiłował przemówić im obu do rozsądku, w trosce zarówno o Rzym, jak i Mariusza.

- Nie mieszajcie do tego polityki - mówił do nich. - Jesteśmy tu wszyscy trzej po to, by pobić Jugurtę, ale wam na tym wcale nie zależy. Każdemu z was bardziej chodzi o zdobycie przewagi nad drugim niż nad Jugurtą, a ja mam tego dość!

- Czy oskarżasz mnie o zaniedbanie obowiązków, Publiuszu Rutyliuszu? - spytał Mariusz z niebezpiecznym spokojem.

- Nie, oczywiście, że nie! Oskarżam cię o powstrzymanie się od okazania tego geniuszu w sprawach wojny, o którym wiem, że go posiadasz. Jesteśmy sobie równi w taktyce. Jesteśmy sobie równi w logistyce. Kiedy jednak przychodzi do strategii, dalekosiędnego spojrzenia na wojnę, ty w ogóle nie masz sobie równych! Czy jednak myślisz czasem o strategii, która pozwoli nam wygrać tę wojnę? Nie!

- A gdzie miejsce dla mnie w tym peanie na cześć Gajusza Mariusza? - spytał Metellus, zaciskając wargi. - Albo w peanie na cześć Publiusza Rutyliusza Rufusa? A może ja się nie liczę?

- Liczysz się, ty wzorze próżności, bo jesteś z tytułu wodzem naczelnym tej wojny! - parsknął Rutyliusz Rufus. - A jeśli uważasz, że jesteś lepszy ode mnie w taktyce i logistyce albo lepszy od Gajusza Mariusza w taktyce, logistyce i strategii, nie ociągaj się z okazaniem tego, proszę cię! Jeśli ci zależy na pochwałach, proszę bardzo: nie jesteś tak przekupny jak Spuriusz Postumiusz Albinus ani tak nieudolny jak Marek Juniusz Syllanus. Nie jesteś jednak tak dobry, jak myślisz, i to twój główny problem. Kiedy powoływałeś mnie i Gajusza Mariusza na swoich starszych legatów, pomyślałem, że zmieniłeś się z upływem lat. Byłem w błędzie. Zmarnowałeś nasze zdolności tak samo jak państwowe pieniądze. Nie wygrywamy tej wojny, trwamy w impasie, a koszt tego jest ogromny. Przyjmij więc moją radę, Kwintusie Cecyliuszu! Pozwól Gajuszowi Mariuszowi jechać do Rzymu i ubiegać się o wybór na konsula, a mnie pozwól organizować wykorzystanie naszych zasobów i planować nasze działania wojskowe. Co do ciebie, zajmij się podkopywaniem oparcia, jakie ma Jugurta w swym narodzie. Jeśli chodzi o mnie, możesz zbierać całą chwałę, jeżeli tu, w tych czterech ścianach, zgadzasz się z tym, co powiedziałem.

- Z niczym się nie zgadzam - oświadczył Metellus.

Trwało to przez całe lato i przeciągnęło się do jesieni. Jugurta nie dawał się pochwycić, a prawdę mówiąc, wydawało się, że zniknął z powierzchni ziemi. Kiedy stało się oczywiste nawet dla ostatniego szeregowego legionisty, że nie dojdzie do starcia armii rzymskiej z armią numidyjską, Metellus wycofał się z zachodniej Numidii i wrócił do obozu pod Cyrta.

Tam otrzymał wiadomość, że król Mauretanii Bokchus uległ w końcu naciskom Jugurty, zebrał swą armię i ruszył na spotkanie ze swym zięciem gdzieś na południu. Wieść niosła, że połączeni ruszą na Cyrta. Metellus wydawał dyspozycje i słuchał uważniej niż zwykle Mariusza i Rutyliusza Rufusa w nadziei, że dojdzie do bitwy. Nie doszło jednak. Oba wojska stały oddalone od siebie o mile. Znowu nastąpił impas, bo Jugurta nie zamierzał atakować umocnionych pozycji Rzymian, a Metellus nie dawał się wywabić z obozu.

A potem, na dwanaście dni przed wyborami konsularnymi w Rzymie, Kwintus Cecyliusz Metellus Świński zwolnił formalnie Gajusza Mariusza ze służby w tej kampanii wojny z Jugurtą.

- Jedź! - powiedział, uśmiechając się słodko - i bądź pewien, że cały Rzym usłyszy o tym, jak to zwolniłem cię przed wyborami.

- Myślisz, że nie zdążę na czas - rzekł Mariusz.

- Niczego nie myślę, Gajuszu Mariuszu.

Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- To, w każdym razie, prawda. - Strzelił palcami. - Gdzie ten świstek z formalnym zwolnieniem? Daj mi go.

Metellus wręczył Mariuszowi rozkaz wymarszu z nieco sztywnym uśmiechem, a gdy ten ruszył do drzwi, powiedział, nie podnosząc głosu:

- Przy okazji, właśnie dostałem dobrą wiadomość z Rzymu. Senat przedłużył mi dowództwo w wojnie numidyjskiej i namiestnictwo prowincji Afryki na przyszły rok.

- To miło ze strony senatu - rzekł Mariusz i wyszedł.

- Mam go gdzieś! - powiedział w kilka chwil później do Publiusza Rutyliusza. - Myśli, że mnie ugotował, a siebie ocalił, ale się myli. Mam zamiar dobrać mu się do skóry, zobaczysz! Będę w Rzymie na czas, a potem zamierzam wydrzeć mu to przedłużone dowództwo i przyznać je sobie.

Rutyliusz Rufus przyglądał mu się w zadumie.

- Mam wiele uznania dla twoich zdolności, Gajuszu Mariuszu - powiedział - ale w tym przypadku czas pracuje na korzyść Świńskiego. Nie zdążysz do Rzymu na wybory.

- Zdążę - powiedział Mariusz tonem całkowitej pewności.

W dwa dni dojechał z Cyrtu do Utyki, przystając po drodze, by przespać parę godzin, i żądając nieustępliwie świeżych koni przy każdej okazji. Drugiego dnia przed zmrokiem wynajął w porcie w Utyce mały szybki statek. O świcie trzeciego dnia odpłynął do Italii, złożony na brzegu hojną ofiarę Larom Żeglarzy, gdy tylko na wschodnim skraju świata zaczęło pojawiać się światło.

- Płyniesz ku jakiemuś niewyobrażalnie wielkiemu przeznaczeniu, Gajuszu Mariuszu - powiedział kapłan, składający ofiarę tym bóstwom, które chronią podróżujących po morzu. - Nigdy nie widziałem lepszych znaków wróżebnych niż te.

Jego słowa nie zdziwiły Mariusza. Odkąd jasnowidząca Marta Syryjka powiedziała mu, co kryje jego przyszłość, trwał w niezachwianym przekonaniu, że wszystko stanie się, jak przepowiedziała. Kiedy więc statek wyszedł z portu w Utyce, on stał spokojnie oparty o balustradę i czekał na wiatr. Nadleciał z południowego zachodu ze stałą prędkością dwudziestu węzłów, doskonały, pomyślny wiatr, i zaniósł statek z Utyki do Ostii po trzydniowej zaledwie podróży po niezwykle sprzyjającym morzu. Nie było potrzeby trzymania się brzegów ani zawijania dokądkolwiek po żywność albo schronienie. Wszyscy bogowie byli po jego stronie, tak jak przepowiedziała mu Marta.

Wieść o cudownej podróży wyprzedziła go w drodze do Rzymu, chociaż w Ostii zatrzymał się tylko tak długo, by zapłacić za wynajęcie statku i hojnie nagrodzić jego dowódcę. Gdy zatem wjechał na Forum Romanum i zsiadł z konia przed stołem wyborczym konsula Aureliusza, czekał tam już zgromadzony tłum, który urządził mu burzliwą owację i jasno dawał do zrozumienia, że jest on bohaterem dnia. Otoczony poklepującymi go po plecach ludźmi promieniejącymi radością z jego magicznego pojawienia

się, podszedł Mariusz do stołu, za którym *consul suffectus* zajmował miejsce Serwiusza Sulpicjusza Galby skazanego przez Komisję Mamiliusza, i położył na nim list Metellusa.

- Jeśli mi wybaczysz, Marku Aureliusz, że nie traciłem czasu na wybieranie się w śnieżnobiałą togę, zgłaszam swoją kandydaturę na konsula.

- Skoro możesz dowieść, że Kwintus Cecyliusz zwolnił cię z obowiązków, Gajuszu Mariuszu, z zadowoleniem przyjmuję twoją kandydaturę - oświadczył *consul suffectus*, poruszony powitaniem Mariusza przez tłum i tym, że najznacniejsi w mieście ekwici wybiegają z wszystkich okolicznych bazylik i portyków na wieść o jego niespodziewanym przybyciu.

Jakże ten Mariusz wyrósł! Jak wspaniale wyglądał, gdy tak stał, o pół głowy wyższy od otoczenia, błyskając białymi zębami w uśmiechu! Jak szerokie miał ramiona, na których miało spocząć brzemień konsulatu! Po raz pierwszy w swej długiej karierze ten italski prostak, który wcale nie zna greki, poznawał smak pochlebstwa, i nie chodziło tu o uznanie wiernych żołnierzy, ale o zmienne i samolubne uwielbienie tłumów na Forum. Gajusz Mariusz kochał je nie dlatego, że potrzebował tego, ale że było tak odmienne, tak pokrętnie, tak niewytłumaczalne.

Rzucił się teraz w wir pięciu najbardziej gorączkowych dni w swoim życiu. Nie miał dla Julii czasu na nic więcej niż szybki uścisk i nigdy nie było go w domu w porze, gdy można było pokazać mu syna. Gorące powitanie przy zgłaszaniu przez niego kandydatury nie oznaczało bynajmniej, że musi wygrać. Niezwykle wpływowe stronnictwo Cecyliusza Metellusa sprzymierzyło się z wszystkimi innymi arystokratycznymi stronnictwami, patrycjuszowskimi i plebejskimi, po raz ostatni starając się nie dopuścić italskiego prostaka, który wcale nie zna greki, do kurulnego krzesła konsula. Jego siła leżała w ekwitach. Zawdzięczał to swym hiszpańskim koneksjom i obietnicom księcia Gaudy udzielania koncesji w przyszłej gaudyjskiej Numidii. Wielu ekwitów łączyły jednak różne związki ze stronnictwami sprzymierzonymi przeciw niemu.

Ludzie zatem rozmawiali, spierali się, zadawali pytania, rozprawiali: czy Rzym naprawdę skorzysta na wyborze człowieka nowego, Gajusza Mariusza, na konsula. Ludzie nowi stanowili ryzyko. Ludzie nowi nie mieli doświadczenia dobrze urodzonych. Ludzie nowi popełniali błędy, których nie popełniali dobrze urodzeni. Ludzie nowi to ludzie nowi... Tak, jego żoną jest Julia z Juliuszów. Tak, jego sukcesy wojskowe były chlubą Rzymu. Tak, jest bardzo bogaty i z pewnością nie zniży się do korupcji. Czy jednak ktoś widział go kiedyś w sądach? Czy ktoś słyszał go mówiącego o prawach i prawodawstwie? Czy przed laty nie podburzał kolegium trybunów ludowych przeciw tym, którzy lepiej niż on znali Rzym i jego potrzeby, i czy nie przeprowadził tej szkaradnej ustawy o pomostach do głosowania w *saepa*? A popatrzcie na jego wiek! Będzie miał pięćdziesiątkę, gdyby został konsulem, a starzy ludzie to marni konsulowie.

Poza tymi wszystkimi spekulacjami i zastrzeżeniami stronnictwo Metellów zbijało nie lada kapitał na najbardziej niepokojącej stronie kandydatury Mariusza. Nie był Rzymianinem z Rzymian. Był Italczykiem.

Czy w Rzymie aż tak bardzo brak odpowiednich dobrze urodzonych, żeby oddawać konsulat nowemu italskiemu człowiekowi? Z pewnością znajdzie się z pół tuzina kandydatów wartych więcej niż Mariusz, dobrych Rzymian i porządnych ludzi!

Oczywiście Mariusz przemawiał do małych i większych grup na Forum Romanum, w cyrku Flaminiusza, z cokołów przeróżnych świątyń, w portyku Metellów, we wszystkich bazylikach. Był dobrym mówcą, szkolonym w retoryce, chociaż nie korzystał z tych swoich umiejętności, odkąd wszedł do senatu. Umiał przyciągnąć zainteresowanie słuchaczy i nikt nie odchodził ani nie nazywał go marnym mówcą, chociaż nie mógłby współzawodniczyć z Lucjuszem Kasjuszem albo Katullusem Cezarem. Ludzie zadawali mu wiele pytań, czasem z ciekawości, czasem, bo sam im to polecił, a czasami, by porównać jego odpowiedzi z raportami Metellusa dla senatu.

Wybory przebiegały pod znakiem porządku i spokoju. Odbyły się na Polu Marsowym, na placu zwanym *saepta*. Wybory w trzydziestu pięciu *tribus* zwoływano w miejscu zgromadzeń komicjów na Forum Romanum, bo wygodniej było zebrać głosujących na ograniczonej przestrzeni, ale wybory w Zgromadzeniu Centurialnym były trudniejsze do przeprowadzenia i wymagały uszykowania centurii w pięciu klasach.

W miarę wywoływania centurii do głosowania, zaczynając od pierwszej centurii pierwszej klasy, zaczął wyłaniać się rezultat. Wszystkie centurie głosowały na Lucjusza Kasjusza Longina, ale wybór drugiego konsula wyglądał w każdej inaczej. Pierwsza i druga klasa niezawodnie głosowały tak solidarnie na Lucjusza Kasjusza Longina, że nie stracił ani centurii i został ogłoszony starszym konsulem, który dzierży *fascēs* w styczniu. Imię młodszego konsula nie było jednak znane przed końcem głosowania w trzeciej klasie, tak zacięte było współzawodnictwo między Gajuszem Mariuszem a Kwintusem Lutacjuszem Katullusem Cezarem.

A potem stało się. Szczęśliwym kandydatem na młodszego konsula został Gajusz Mariusz. Wpływy Metellów w Zgromadzeniu Centurialnym nie starczyły, by go powstrzymać. Był to wielki tryumf italskiego prostaka, który wcale nie zna greki. Ten prawdziwy człowiek nowy pierwszy ze swej rodziny zajął miejsce w senacie, pierwszy zamieszkał w Rzymie, pierwszy zrobił wielki majątek i pierwszy zdobył pozycję w armii.

Późnym popołudniem tego dnia Gajusz Juliusz Cezar wydał uroczysty obiad rodzinny. Jego kontakty z Mariuszem ograniczyły się dotąd do szybkiego uścisku dłoni na Forum i drugiego na Polu Marsowym, podczas Zgromadzenia Centurialnego, tak bardzo napięty był program pięciodniowej kampanii wyborczej Mariusza.

- Miałeś niewiarygodne szczęście - rzekł Cezar, wprowadzając swego honorowego gościa do jadalni, gdy tymczasem Julia poszła poszukać matki i siostry.

- Wiem.

- Krucho u nas z mężczyznami - mówił dalej Cezar - bo moi synowie wciąż są w Afryce, ale proponuję ci wsparcie jeszcze kogoś, kto zrówna naszą liczbę z liczbą kobiet.

- Mam listy od Sekstusa i Gajusza Juliusza i mnóstwo do opowiadania o ich wyczynach.

- Później do tego wrócimy.

Do jadalni wszedł obiecany trzeci mężczyzna, a Gajusz Mariusz pode-
rwał się zaskoczony, poznał bowiem tamtego młodego, a jednak dojrzałego
człowieka, stojącego między ekwitami już prawie trzy lata temu, gdy
ofiarny byk nowego konsula, Marka Minucjusza Rufusa, toczył swą przed-
śmiertną walkę. Czy można zapomnieć taką twarz, takie włosy?

- Gajuszu Mariuszu - powiedział Cezar z pewnym skrepowaniem -
pragnę, byś poznał Lucjusza Korneliusza Sullę, nie tylko mojego sąsiada,
ale też kolegę senatora, a wkrótce mego drugiego zięcia.

- No, proszę! - wykrzyknął Mariusz, wyciągając dłoń i ściskając gorąco
dłoń Sulli. - Szczęściarz z ciebie, Lucjuszu Korneliuszu!

- Wiem o tym dobrze - rzekł z przekonaniem Sulla.

Cezar zdecydował się na pewne odstępstwa od przyjętych zwyczajów,
zatrzymując dla siebie i Mariusza środkową sofę i posyłając Sullę na drugą
- bez urazy, jak wyjaśnił, ale po to, by zapewnić każdemu dość miejsca.

„Ciekawe”, pomyślał Mariusz. „Nigdy dotąd nie widziałem, żeby Cezar
czuł się niepewnie. Ten przystojny chłop jakoś go niepokoi i wytrąca z
równowagi...”

Weszły kobiety, usiadły na krzesłach z oparciami, plasując się naprzeciw
swoich partnerów, i obiad się rozpoczął.

Mariusz starał się nie wyglądać na zaślepionego, podstarzałego męża, ale
jego oczy wciąż biegły do Julii. Podczas jego nieobecności stała się
zachwycającą młodą matroną, pełną wdzięku, świadomą swych nowych
obowiązków, doskonałą matką i panią domu - i idealną żoną. W tym
samym czasie Julilla bynajmniej nie rozkwitła. Nie oglądał jej oczywiście
w najgorszych dniach wyniszczającej choroby - która przestała ją nękać
jakiś czas temu, pozostawiając ją ledwie zdolną do życia - uboższą w
urodę, rozum, doświadczenie i zadowolenie z życia. Rozgorączkowana w
rozmowie, podniecona, rozdygotana, ledwie mogła usiedzieć na swym
krześle, a już zupełnie nie mogła się powstrzymać od przyciągania uwagi
narzeczonego, który często musiał wyłączać się z rozmowy Mariusza z
Cezarem.

Mariusz zauważył, że dobrze to znosił i zdawał się szczerze oddany
Julilli, zafascynowany uczuciem, jakie mu okazywała. Uznał jednak, że nie
przetrwa to dłużej niż pół roku małżeństwa. Nie z Lucjuszem
Korneliuszem Sullą! Nic w nim nie wskazywało na upodobanie do
towarzystwa kobiet ani na skłonność do ulegania ich wpływom.

Pod koniec obiadu Cezar oznajmił, że zabiera Gajusza Mariusza do swej
pracowni na rozmowę.

- Zostańcie tu, jeśli chcecie, albo zajmijcie się czym innym - powiedział
wprost. - Zbyt długo nie widzieliśmy się z Gajuszem Mariuszem.

- Sporo się zmieniło w twym domu, Gajuszu Juliuszu - zauważył
Mariusz, gdy zasiedli już wygodnie w tablinum.

- Rzeczywiście. I to jest właśnie powód, byś niezwłocznie pomyślał o
sobie.

- Cóż, od Nowego Roku będę konsulem, a to niezgorzej ułoży mi życie - uśmiechnął się Mariusz. - Tobie zawdzięczam to wszystko, a przede wszystkim doskonałą żonę, idealną towarzyszkę moich zadań. Dotąd niewiele czasu mogłem jej poświęcić, ale teraz to naprawię, kiedy już zostałem wybrany. Za trzy dni zabieram Julię z synem do Bajów. Mamy zamiar na miesiąc zapomnieć o całym świecie.

- Nawet nie wiesz, jak miło mi słyszeć, że mówisz o mojej córce z takim uczuciem i uznaniem.

Mariusz oparł się teraz nieco wygodniej.

- Cieszę się. Przejdźmy zatem do Lucjusza Korneliusza Sulli. Pamiętam, że wspominałeś o jakimś arystokracie, któremu brak pieniędzy nie pozwalał a prowadzić życia, do jakiego jest stworzony. To było jego imię, twego przyszłego zięcia. Skąd taka zmiana?

- Sprawa szczęścia. Według tego, co mówi, sprzyja mu ono, odkąd spotkał Julillę. Zamierza przybrać drugi przydomek - Felix - do nazwiska, które odziedziczył po ojcu. Ten ojciec był pijakiem i nicponiem, ale przed piętnastu laty ożenił się z tą bogatą Klitumną i wkrótce potem umarł. Lucjusz Korneliusz spotkał Julillę przed trzema laty w dzień Nowego Roku. Dała mu wtedy wieniec z trawy, nie znając znaczenia tego daru. On utrzymuje, że z tą chwilą uśmiechnęło się do niego szczęście. Zmarł siostrzeniec Klitumny, który po niej dziedziczył. Potem zmarła niejaka Nikopolis i zostawiła Lucjuszowi Korneliuszowi spory mająteczek - była, zdaje się, jego kochanką. A w kilka miesięcy później popełniła samobójstwo Klitumna. Nie mając nikogo z rodziny, zapisała całą fortunę - ten sąsiedni dom, willę w Cyrcejach i jakieś dziesięć milionów denarów - Lucjuszowi Korneliuszowi.

- Bogowie, on rzeczywiście zasługuje na przydomek Felix - rzekł Mariusz dość oschłym tonem. - Byłeś naiwny, Gajuszu Juliuszu, czy też dowiodłeś dla własnej satysfakcji, że Lucjusz Korneliusz Sulla nie pomógł żadnemu z tych zmarłych w przeprowie łodzią Charona przez Styks?

Cezar przyjął tę strzałę, podnosząc dłoń, ale uśmiechnął się szeroko.

- Nie, Gajuszu Mariuszu, zapewniam cię, że nie byłem naiwny. Nie można łączyć Lucjusza Korneliusza z żadnym z tych trzech zgonów. Siostrzeniec zmarł po długotrwałych zaburzeniach żołądkowo-jelitowych, a ta grecka wyzwolenica Nikopolis w wyniku ciężkiej niewydolności nerek - w przeciągu dnia czy dwóch, nie dłużej. Przeprowadzono sekcje zwłok obojga i nie wykryto niczego podejrzanego. Klitumna była w ciężkiej depresji, zanim się zabiła. Stało się to w Cyrcejach, w czasie gdy Lucjusz Korneliusz z całą pewnością był tu w Rzymie. Poddałem wszystkich domowych niewolników Klitumny, stąd i z Cyrcejów, wyczerpującemu przesłuchaniu i doszedłem do wniosku, że nie dowiem się niczego więcej o Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli. - Skrzywił się. - Zawsze byłem przeciwny torturom, bo uważam, że zeznania uzyskane na torturach nie są warte funta kłaków. Jestem jednak przekonany, że niewolnicy Klitumny nie mieli nic do powiedzenia, nawet na torturach. Dałem więc temu spokój.

Mariusz skinął głową.

- Zgadza się z tobą, Gajuszu Juliuszu. Zeznanie niewolnika jest coś

warte tylko wtedy, jeśli jest złożone bez przymusu, jest logiczne i w sposób oczywisty prawdziwe.

- W wyniku tego wszystkiego - kontynuował Cezar - Lucjusz Korneliusz przeszedł w ciągu dwóch miesięcy od skrajnego ubóstwa do przyzwoitego majątku. Po Nikopolis odziedziczył dość, by wstąpić do stanu ekwickiego, a po Klitumnie dość, by wstąpić do senatu. Dzięki awanturze ze Skaurusem w maju wybrano nowych cenzorów, inaczej Lucjusz Korneliusz musiałby czekać kilka lat na to wstąpienie do senatu.

Mariusz roześmiał się.

- Właśnie, co się właściwie stało? Czy nikt już nie chce być cenzorem? Wybór Fabiusza Maksymusa Eburna jest w pewnym stopniu logiczny, ale Licyniusz Geta? Przed ośmiu laty został usunięty z senatu przez cenzorów za niemoralne zachowanie, a wrócił tam tylko dlatego, że go wybrano na trybuna ludowego!

- Wiem - odparł Cezar z ponurą miną. - Myślę, że nie było kandydatów, bo wszyscy bali się urazić Skaurusa. Ci nieliczni, którzy stanęli do wyborów, byli chyba całkiem pozbawieni wrażliwości. Z Getą łatwo sobie poradzić, zależy mu tylko na stanowisku i na smarowaniu mu ręki srebrem przez kompanie, które zawarły kontrakty rządowe. Co do Eburna... cóż, wszyscy wiemy, że on ma źle w głowie, nieprawdaż, Gajuszu Mariuszu?

Mariusz pomyślał, że tak rzeczywiście było. Stary ród Fabiuszów Maksymusów, ustępujący jedynie Juliuszom, wymarł już dawno, a jego nazwa przetrwała tylko dzięki adopcjom. Ten Kwintus Fabiusz Maksymus Eburnus, którego wybrano na cenzora, był adoptowanym Fabiuszem Maksymusem. Sam spłodził tylko jednego syna, a przed pięciu laty wymierzył temu synowi karę śmierci za niemoralność. Chociaż od dawna już nie skazywano żon i dzieci na podstawie prawa rodzinnego, żadne prawo nie mogło powstrzymać Eburna przed skazaniem syna na śmierć, gdy działał jako *pater familias*. Postępek Eburna przeraził cały Rzym.

- To właściwie dobrze dla Rzymu, że Geta ma za kolegę Eburna - rzekł z zastanowieniem Mariusz. - Chyba nie obłowi się zbytnio, nie pod okiem Eburna.

- Pewnie masz rację, ale pomyśl o tym biednym młodym człowieku, jego synu! Eburnus to naprawdę Serwiliusz Cepion, a ci Serwiliuszowie Cepionowie to prawdziwi dziwacy, kiedy idzie o moralność i sprawy płci. Są surowsi niż Leśna Artemida i lubią o tym mówić. Wszyscy się temu dziwią.

- Który zatem z tych cenzorów przekonał drugiego, by wprowadzić Sulle do senatu? Słyszy się o nim, że wcale nie jest podporą moralności w sprawach płci, teraz to sobie przypominam.

- Ach, chyba ta jego swoboda obyczajów brała się głównie z rozczarowań i nudy - rzekł Cezar niedbale. - To prawda, że Eburnus mruczał coś pod swoim zadartym nosem Cepionów. Geta tymczasem wprowadziłby do senatu nawet lingitańską małpę, gdyby mu się to opłaciło. Zgodzili się w końcu, że Lucjusz Korneliusz może być wpisany na listę senatorów - ale warunkowo.

- Ach tak?

- Tak. Lucjusz Korneliusz jest warunkowo senatorem - musi ubiegać się o wybór na kwestora i zostać wybrany za pierwszym razem. Jeśli przegra, przestanie być senatorem.

- A czy zostanie wybrany?

- A jak myślisz, Gajuszu Mariuszu?

- Z takim nazwiskiem jak jego? Zostanie wybrany!

- Mam nadzieję.

Cezar miał jednak niepewną minę i był nieco zakłopotany. Zaczerpnął tchu i skierował na zięcia spojrzenie swych niebieskich oczu. Uśmiechał się smutno.

- Byłeś tak wielkoduszny, zeniąc się z Julią, że przyrzekałem nie prosić cię nigdy o nic więcej. Było to jednak niemądre przyrzeczenie. Któż może wiedzieć, czego mu będzie trzeba? Znalazłem się w potrzebie. Trzeba mi czegoś od ciebie.

- Co tylko zechcesz, Gajuszu Juliuszu.

- Czy zdążyłeś dowiedzieć się od żony, czemu Julilla omal się nie zagłodziła na śmierć?

Orle oblicze Mariusza rozjaśniło się na chwilę radością.

- Nie. Mieliśmy tak mało czasu, że nie traciliśmy go na rozmowy!

Cezar roześmiał się, a potem westchnął.

- Chciałbym, żeby moja młodsza córka była z tej samej gliny co starsza! Niestety, nie jest. To zapewne wina moja i Marcji, bo rozpieszczaliśmy ją i wybacжали jej więcej niż trójce starszych dzieci. Z drugiej strony, jestem przekonany, że to jakaś jej wrodzona wada. Tuż przed śmiercią Klitumny odkryliśmy, że ta głuptaska zakochała się kiedyś w Lucjuszu Korneliuszu i starała się zmusić go... albo nas... albo i jego, i nas, trudno powiedzieć, co właściwie zamierzała i czy sama to wiedziała - w każdym razie chciała mieć Lucjusza Korneliusza, a wiedziała, że ja się nigdy nie zgodzę na ten związek.

- A dowiedziawszy się, że był między nimi jakiś ukryty związek, zgodziłeś się na małżeństwo? - spytał z niedowierzaniem Mariusz.

- Ależ nie, Lucjusz Korneliusz nie miał nic wspólnego z tym, co zrobiła, zapewniam - wykrzyknął Cezar.

- Mówiłeś, że dwa lata temu dała mu wieniec z trawy.

- To było niewinne spotkanie, przynajmniej z jego strony. Nie zachęcał jej, a nawet starał się zniechęcić. Narobiła nam wstydu, bo chciała go skłonić do oświadczeń, on zaś wiedział, że ja bym ich nie przyjął. Niech Julia opowie ci całą historię, a zrozumiesz, co mam na myśli.

- W takim razie, skąd te małżeńskie plany?

- Cóż, kiedy odziedziczył swój majątek i mógł prowadzić życie godne siebie, poprosił mnie o rękę Julilli, zapomniawszy, co mu wyrządziła.

- Wieniec z trawy - powiedział w zamyśleniu Mariusz. - Tak, mogę zrozumieć, że czuje się z nią związany, zwłaszcza że ten dar przyniósł mu szczęście.

- Ja też to rozumiem i dlatego się zgodziłem. - Cezar znów westchnął, ciężiej niż poprzednio. - Kłopot w tym, Gajuszu Mariuszu, że nie lubię Lucjusza Korneliusza. Ani porównania z tobą. To bardzo dziwny człowiek.

Jest w nim coś, co sprawia, że zaciskam czasem zęby, choć nie mam pojęcia dlaczego i o co właściwie chodzi. A przecież trzeba się starać być sprawiedliwym i bezstronnym w osądach.

- Nie martw się, Gajuszu Juliuszu, wszystko się dobrze skończy - rzekł Mariusz. - A teraz, co mogę dla ciebie zrobić?

- Pomóż Lucjuszowi Korneliuszowi zostać kwestorem. - Cezar mówił teraz rzeczowym tonem. - Kłopot w tym, że nikt go nie zna. Ach, tak, wszyscy znają jego nazwisko! Wszyscy wiedzą, że to prawdziwy patrycjusz Korneliusz, ale o kimś, kto nosi przydomek Sulla, niczegośmy ostatnio nie słyszeli. On sam nie miał nigdy okazji pokazać się na Forum ani w sądach, ani nie służył w wojsku. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś złośliwy chciał narobić mu kłopotów, sam fakt, że nie służył w wojsku, zamknąłby mu drogę do urzędów i do senatu. Mamy nadzieję, że nikt nie będzie stawiał zbyt wielu pytań. Pod tym względem nasi dwaj cenzorzy są idealni. Dobrze się złożyło, że to Skaurus i Druzus wpisali Lucjusza Korneliusza do stanu ekwickiego, bo nasi nowi cenzorzy przyjęli po prostu, że starzy cenzorzy sprawdzili wszystko dokładnie. Skaurus i Druzus rozumieli, że Lucjusz Korneliusz powinien dostać swoją szansę. Poza tym, nie chodziło wtedy o senat.

- Czy chcesz, żebym mu kupił urząd? - spytał Mariusz.

Cezar był na tyle staroświecki, że to nim wstrząsnęło.

- Stanowczo nie! Mogę wybaczyć przekupstwo, kiedy idzie o konsulat, ale kupiony kwestor? Nigdy! Byłoby to zresztą zbyt ryzykowne. Eburnus ma go na oku. Będzie czekał na okazję, by go uznać za niezdolnego i posłać pod sąd. Nie, chodzi mi o coś innego. Chcę cię prosić, byś zrobił Lucjusza Korneliusza swym osobistym kwestorem - to będzie jego szansa. Kiedy wyborcy usłyszą, że kandydat na kwestora otrzymał propozycję od konsula, będą na niego głosowali.

Mariusz nie odpowiedział od razu. Musiał wszystko przemyśleć. Nie miało właściwie znaczenia, czy Sulla był niewinny, czy też był w jakiś sposób uwikłany w zgony kochanki i macochy, po których dziedziczył. To mogło zostać powiedziane później, gdyby zdobył sobie pozycję umożliwiającą ubieganie się o konsulat. Ktoś wygrzebie wtedy tę historię i plotki o tym, że zabił, by położyć rękę na pieniądzech i rozpocząć karierę, będą darem niebios dla jego politycznych rywali. Ożenek z córką Juliusza Cezara może mu pomóc, ale nic nie zmaże całkowicie tej plamy. Wielu ludzi w to uwierzy, tak jak wielu uwierzyło, że Mariusz wcale nie zna greki.

To była pierwsza obiekcja. Druga dotyczyła tego, że Cezar nie zdołał polubić Sulli, chociaż nie miał wyraźnych powodów. Czy była to raczej sprawa instynktu niż rozumu? A trzecia trudność kryła się w osobowości Julilli. Wiedział, że jego Julia nigdy nie wyszłaby za kogoś niegodnego, bez względu na trudności finansowe Cezara. Julilla pokazała, że jest bezmyślną i samolubną dziewczyną, która nie umiałaby wybrać wartościowego mężczyzny, choćby od tego zależało jej życie. Wybrała jednak Sullę.

Potem odbiegł myślami daleko od Cezarów, w ów dżdżysty poranek na

Kapitolu, kiedy skrycie przyglądał się Sulli patrzącemu, jak byki wykrwawiają się na śmierć. A jeszcze potem wiedział już, co należy zrobić i co on sam odpowie. Lucjusz Korneliusz Sulla był kimś ważnym. W żadnym przypadku nie wolno dopuścić, by został znów zapomniany. Musi wejść w swoje prawa.

- Dobrze, Gajuszu Juliuszu - powiedział bez najmniejszego wahania. - Jutro zażądam w senacie, by mi przydzielono Lucjusza Korneliusza Sulle jako mego kwestora.

Cezar rozpromienił się.

- Dziękuję ci, Gajuszu Mariuszu! Dziękuję!

- Czy możesz doprowadzić do ich ślubu, zanim Zgromadzenie Ludowe zbierze się, by wybierać kwestorów?

- Tak się stanie - odrzekł Cezar.

I tak oto, w niecałe osiem dni później, Lucjusz Korneliusz Sulla i Julia Młodsza, młodsza córka Gajusza Juliusza Cezara, zawarli małżeństwo według starodawnej formuły *confarreatio*, gdy dwoje patrycjuszy łączy się dozgonnym węzłem. Z tą chwilą zaczęła się kariera Sulli; konsul elekt Gajusz Mariusz życzył sobie mieć go za kwestora, a to małżeństwo złączyło go z rodziną o nieskazitelną *dignitas*. Wyglądało na to, że nie może mu się nie powieść.

W tym tryumfalnym nastroju przybywał na własne wesele, on, który nigdy nie miał ochoty wiązać sobie rąk obowiązkami rodzinnymi. Metrobiusz został oddalony, zanim Sulla zwrócił się do cenzorów o wpisanie na listę senatorów, i chociaż z tą rozłąką niełatwo mu było sobie poradzić - bo chłopiec kochał go i miał złamane serce - trwał w swym postanowieniu, by na zawsze zrezygnować z takich ucies. Nic nie powinno zagrażać jego dążeniu do sławy.

Poza tym, wiedział dość o stanie własnych uczuć, by rozumieć, że Julilla jest mu bardzo droga, i to nie tylko dlatego, że była symbolem jego szczęścia, chociaż w myślach wiązał swe uczucia dla niej z tym szczęściem. Sulla po prostu nie potrafił nazwać swych uczuć do innej ludzkiej istoty miłością. Miłość to było coś innego, co czuli gorsi od niego, jakaś bardzo dziwna sprawa, pełna złudzeń i urojeń, czasem idiotycznie szlachetna, czasem zaś nikczemnie niemoralna. Sulla nie rozpoznawał jej w sobie, bo był przekonany, że miłość jest zaprzeczeniem zdrowego rozsądku, jasności umysłu, instynktu samozachowawczego. W przyszłych latach nie dostrzegał nawet tego, że jego cierpliwość i wyrozumiałość dla kapryśnej i niestałej żony są wystarczającym dowodem miłości. Uznawał tę cierpliwość i wyrozumiałość za cnoty właściwe jego charakterowi, nie rozumiał więc siebie samego ani miłości.

Wesele było typowe dla Juliuszów Cezarów, znacznie bardziej dystyngowane niż sprośne, wesela zaś, w których dotąd uczestniczył Sulla, bywały znacznie bardziej sprośne niż dystyngowane, tak więc nie bawił się zbyt dobrze. Za to o właściwej porze nie było pijanych gości pod drzwiami jego sypialni i nie tracił czasu na wyrzucanie ich z domu. Kiedy skończyła się krótka podróż od jednych drzwi wejściowych do drugich i uniósł Julillę

- jakże była lekka, jak efemeryczna! - by ją przenieść przez próg, towarzyszący im goście zniknęli.

Ponieważ niedorośle dziewice nigdy nie były częścią jego życia, Sulla nie przeżywał żadnych obaw i oszczędził sobie mnóstwa niepotrzebnych zmartwień. Bez względu na rzeczywisty stan jej dziewictwa Julilla była tak dojrzała, tak łatwa do zerwania jak brzoskwinia spadająca pod własnym ciężarem z drzewa. Przyglądała mu się, kiedy zrzucił swą ślubną tunikę i ściągał z głowy wieniec z kwiatów, równie zafascynowana jak podniecona. Sama zdejmowała bez prośzenia swoje ślubne szaty: kremowe, szafranowe i płomieniste, rozwiązywała siedem wełnianych taśm, upinających jej włosy w tiarę, i wszystkie rytualne węzły i przepaski.

Patrzyli potem na siebie z pełną satysfakcją. Sulla był pięknie zbudowany, Julilla zbyt szczupła, zachowała jednak wdzięk kształtów, nie robiła więc wrażenia kanciastej i szpetnej. I to ona podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach i z cudowną naturalnością przywarła ciałem do jego ciała, wzdychając z rozkoszy, gdy objął ją ramionami i zaczął głaskać po plecach długimi mocnymi ruchami obu rąk.

Uwielbiał jej lekkość, akrobatyczną giętkość, jaką okazała, gdy podniósł ją wysoko ponad głowę, pozwalając jej owinąć się wokół niego. Nic z tego, co robił, nie budziło w niej niepokoju ani urazy, odwzajemniała mu się, kiedy tylko mogła. Wystarczyło jej kilku sekund, by się nauczyć całować, a jednak przez ich wszystkie wspólne lata nie przestała się tego uczyć. Cudowna, piękna, płomienna kobieta, pragnąca go zadowolić, ale też spragniona zadowolenia, jakie mógł jej dać. Cała jego. Tylko jego. Czy któreś z nich mogłoby wyobrazić sobie tej nocy, że mogłoby się to zmienić, być mniej doskonale czy mniej pożądane?

- Jeśli kiedyś tylko spojrzysz na innego, zabiję cię - powiedział, kiedy leżeli, odpoczywając.

- Wierzę ci - odrzekła, wspominając gorzki wykład ojca o prawach *pater familias*, teraz bowiem przeszła spod jego władzy pod władzę Sulli.

Dzieliła ich niewielka różnica wzrostu, bo Julilla była dość wysoka jak na kobietę, a Sulla był średniego wzrostu. Miała nieco dłuższe nogi niż on i mogła opleść nimi jego kolana, podziwiając białość jego skóry w zestawieniu ze złocistością swojej.

- Przy tobie czuję się jak jakaś Syryjka - powiedziała, przykładając ramię do jego ramienia i podziwiając kontrast wzmocniony jeszcze światłem lampy.

- Nie jestem normalny - odparł sucho.

- To dobrze - zaśmiała się, pochylając się nad nim do pocałunku.

Potem przyszła jego kolej, by się jej przyglądać. Jej szczupłość ledwie wykraczała poza chłopięcość. Odwrócił ją ruchem dłoni twarzą do poduszki i studiował linię jej pleców, pośladków i ud. Urocze!

- Jesteś śliczna jak chłopiec - powiedział. Podskoczyła oburzona i została przytrzymana na miejscu.

- A to dopiero! Nie mów tylko, że wolisz chłopców niż dziewczyny, Lucjuszu Korneliuszu!

- Chyba tak było, dopóki nie spotkałem ciebie.

- Głuptas! - zaśmiała się, biorąc tę uwagę za żart, a potem wrywając mu się i wdrapując na niego, by usiąść mu okrakiem na piersi i oprzeć kolana na ramionach. - Skoro tak mówisz, możesz popatrzeć z bliska na moją świnkę-szczecinkę. Chyba nie wygląda jak jakaś twarda stara włócznia!

- Tylko popatrzeć? - spytał, przyciągając ją.

- Chłopiec! - Ta myśl nadal ją bawiła. - Głuptas z ciebie, Lucjuszu Korneliuszu!

A potem zapomniała o tym wszystkim wśród radosnego odkrywania nowych przyjemności.

Zgromadzenie Ludowe w stosownym czasie wybrało Sullę na kwestora. Choć jego rok urzędowania zaczynał się dopiero piątego grudnia (a właściwie dopiero od Nowego Roku, kiedy obejmował swój urząd jego zwierzchnik), Sulla przybył do domu Mariusza nazajutrz po wyborach.

Był już listopad, więc świt wstawał później, za co Sulla był mu głęboko wdzięczny. Jego nocne wyczyny z Julillą sprawiały, że ranne wstawanie było trudniejsze niż dawniej. Wiedział jednak, że musi stawić się przed wschodem słońca, bo Mariuszowi zawdzięczał tę subtelną zmianę swej sytuacji.

Choć Sulla nie był formalnie dozgonnym klientem Mariusza, został w istocie jego klientem na czas swojej kwestury, która miała trwać, dopóki Mariuszowi przysługuje *imperium*, nie zaś tylko przez rok. Klient nie wyleguje się w łóżku z młodą żoną w pełnym świetle dnia. Klient przybywa o pierwszym brzasku do domu swego patrona, by mu zaoferować swe usługi. Może zostać grzecznie odprawiony, może też być poproszony o udanie się z patronem na Forum Romanum albo do jednej z bazylik lub otrzymać od patrona jakieś zadanie do wykonania.

Choć nie spóźnił się zbyt, rozległe atrium domu Mariusza było już pełne klientów bardziej punktualnych niż Sulla. Niektórzy musieli chyba spać na ulicy pod domem, bo zwykle przyjmowano ich w kolejności przybycia. Sulla westchnął, poszedł w kąt i przygotował się na długie czekanie.

Niektórzy ważni ludzie zatrudniali sekretarzy i nomenklatorów, odprawiających pomniejszych płatki, którym odnotowywano tylko obecność, i wprowadzających grubsze ryby do ważnego człowieka. Sulla zauważył z aprobatą, że Gajusz Mariusz sam pełni tę rolę, nie korzystając z pomocy asystenta. Ten ważny człowiek, konsul elekt, sam wykonywał czarną robotę, oddzielając potrzebnych od niepotrzebnych znacznie sprawniej niż jakikolwiek znany Sulli sekretarz. W ciągu dwudziestu minut czterystu ludzi stłoczonych w atrium i pod kolumnadą perystylu zostało podzielonych na grupy. Ponad połowa ich odeszła uszczęśliwiona, a każdy wyzwoleniec albo ubogi obywatel odchodził z jakimś upominkiem, wciśniętym mu w dłoń przez Mariusza, całego w uśmiechach i gestach zapewniających, że nie ma o czym mówić.

„No cóż”, pomyślał Sulla, „on może sobie być człowiekiem nowym i bardziej Italczykiem niż Rzymianinem, ale umie się znaleźć. Żaden Fabiusz ani Emiliusz nie odegrałby lepiej roli patrona”. Okazywanie

hojności nie było konieczne, chyba że ktoś specjalnie o to prosił, a nawet wtedy patron mógł dyskretnie odmówić. Sulla poznał jednak z postawy czekających na swoją kolej, że Mariusz miał to w zwyczaju i że umiał dać do zrozumienia zwykłym chciwcom, by się mieli na baczności.

- Lucjusz Korneliusz, nie musiałeś tu czekać! - wykrzyknął Mariusz, wchodząc w kąt, gdzie siedział Sulla. - Idź do mojej pracowni i rozgość się. Zaraz tam przyjdę i porozmawiamy.

- Ależ nie, Gajuszu Mariuszu. - Sulla uśmiechnął się, nie otwierając ust. - Przychodzę ofiarować ci moje usługi jako twój nowy kwestor i chętnie poczekam na swoją kolej.

- Zaczekaj więc, siedząc w mej pracowni. Jeśli masz się dobrze spisać jako mój kwestor, powinieneś zobaczyć, jak prowadzę swoje sprawy - powiedział Mariusz, kładąc rękę na ramieniu Sulli i odprowadzając go do tablinum.

W ciągu trzech godzin załatwił cały ten tłum klientów, cierpliwie, lecz szybko. Prosił o różne rzeczy, od możliwości asystowania mu w jakiś sposób do zajęcia pozycji wśród pierwszych w Numidii, kiedy znów stanie ona otworem dla rzymskich i italskich interesów. Nie żądał od nich niczego w zamian, ale i tak było to oczywiste - bądź gotów zrobić to, czego kiedykolwiek zażąda twój patron, czy to będzie jutro, czy też za dwadzieścia lat.

- Gajuszu Mariuszu - rzekł Sulla, gdy wyszedł już ostatni klient. - Skoro Kwintus Cecyliusz Metellus otrzymał już przedłużenie na przyszły rok dowództwa w Afryce, jak możesz pomóc w interesach swoim klientom, kiedy Numidia znów stanie otworem?

Mariusz robił wrażenie zamyślnego.

- Otóż to. Czy naprawdę Kwintus Cecyliusz Metellus dostał na przyszły rok Afrykę?

Było to najwyraźniej pytanie retoryczne. Sulla nie próbował nawet na nie odpowiadać. Siedział zafascynowany sposobem, w jaki Mariusz zabierał się do rozwiązywania problemów. Nic dziwnego, że zaszedł tak wysoko!

- A zatem, Lucjusz Korneliusz, przemyślałem problem, jaki stanowi Kwintus Cecyliusz w Afryce. Da się go rozwiązać.

- Ależ senat nigdy nie odwoła Kwintusa Cecyliusza - zaryzykował Sulla. - Nie jestem jeszcze wprowadzony w senackie rozgrywki, ale już przekonałem się, że nie jesteś popularny wśród przywódców. Nie powinieneś płynąć pod prąd.

- Bardzo słusznie. - Mariusz nadal się uśmiechał. - Jestem italskim prostakiem, który wcale nie zna greki - cytuję Metellusa, a musisz wiedzieć, że zwykle nazywam go Świńskim - i nie jestem godzien konsulatu. Nie wspomnę już, że mam pięćdziesiąt lat, o wiele za dużo na ten urząd i za wiele na wyższe dowództwo. Nie mam szans w senacie. Ale, widzisz, tak było zawsze. A jednak zostałem konsulem, mając pięćdziesiątkę! Czy to nie dziwne, Lucjusz Korneliusz?

Sulla uśmiechnął się szeroko, co nadało mu nieco złowrogi wyraz. Mariusz nie zwrócił na to uwagi.

- Tak, Gajuszu Mariuszu, to dziwne.

Mariusz pochylił się w krzesło i złożył dłonie na wspaniałym zielonym kamieniu swego roboczego stołu.

- Wiele lat temu odkryłem, Lucjuszu Korneliuszu, że można na różne sposoby obłupić kota ze skóry. Kiedy inni przechodzili gładko *cursus honorum*, ja czekałem. Nie marnowałem jednak czasu. Poznawałem różne sposoby ściągania skóry z tego kota. Widzisz, kiedy się czeka dłużej, niż powinno, ma się czas na obserwacje i zestawianie faktów. Nigdy nie byłem prawnikiem ani biegłym w naszej niepisanej ustawie rządowej. Kiedy Metellus Świński włóczył się po sądach za Kasjuszem Rawillą i uczył się, jak potępiać dziewice Westy, ja się zajmowałem żołnierką. Robiłem to stale. To właśnie robię najlepiej. A jednak wiem chyba więcej o prawie i ustawie rządowej niż pół tuzina Świńskich Metellów. Powiadam ci, że zepchnę Kwintusa Cecyliusza z wysokiego konia jego afrykańskiego dowództwa i zajmę jego miejsce.

- Wierzę ci. - Sulla zaczerpnął tchu. - Ale jakim sposobem?

- To głupcy - rzekł Mariusz z pogardą. - Zwyczaj każe, by senat przydzielał namiestnictwo, więc nikt nigdy nie pomyślał, że uchwały senatu nie mają żadnej mocy prawnej. Gdyby ich przepytać, okazałoby się, że wszyscy to wiedzą, ale jakoś to do nich nie dociera, nawet po lekcjach, jakich im udzielili Grakchowie. Uchwały senatu opierają się tylko na tradycji, na zwyczaju, nie są prawem! To Zgromadzenie Ludowe stanowi dziś prawa, Lucjuszu Korneliuszu, ja zaś mam w tym zgromadzeniu więcej władzy niż któryś Cecyliusz Metellus.

Sulla siedział cicho, nieco wystraszony, a było to dla niego nowe doznanie. Nie siła rozumowania Mariusza budziła w nim lęk, ale to, że ktoś wystawiony na ataki obdarza go całkowitym zaufaniem. Skąd Mariusz może wiedzieć, że Sulla zasługuje na zaufanie? Nie słynął dotąd z tego, że można mu ufać, a Mariusz musiał przecież zbadać jego reputację. A jednak wyjawiał swoje plany swemu nowemu kwestorowi, jakby ten już zasłużył na zaufanie!

- Gajuszu Mariuszu - spytał - co miałoby mnie powstrzymać przed pójściem do któregoś z Cecyliusza Metellów i przekazaniem mu wszystkiego, co mi powiedziałaś?

- Ależ nic, Lucjuszu Korneliuszu. - Mariusz wcale się nie stropił pytaniem.

- Czemu więc wyjawiasz mi sekrety?

- To proste. Zrobiłeś na mnie wrażenie niezwykle zdolnego i rozumnego człowieka. Gdy taki człowiek użyje swego rozumu, dojdzie do wniosku, że nie byłoby rozsądne łączyć swój los z Metellami, kiedy Gajusz Mariusz proponuje mu zachętę i podniętę kilku lat ciekawej pracy i godnej nagrody - i nabierając tchu, dorzucił: - Otóż to! Przemyślałem to sobie całkiem nieźle.

Sulla roześmiał się.

- Twoje sekrety są u mnie bezpieczne, Gajuszu Mariuszu.

- Wiem o tym.

- Chcę jednak, żebyś wiedział, że cenię sobie twoje zaufanie.

- Jesteśmy szwagrami, Lucjuszu Korneliuszu. Jesteśmy ze sobą związani, i to nie tylko przez Juliuszów Cezarów. Łączy nas coś więcej. Szczęście.

- Ach tak, szczęście!

- Szczęście to znak, Lucjuszu Korneliuszu. Mieć szczęście to tyle, co być ulubieńcem bogów, wybrańcem. - Mariusz spoglądał z satysfakcją na swego kwestora. - Jestem takim wybrańcem i wybrałem ciebie, bo chyba i ty nim jesteś. Wiele znaczymy dla Rzymu, Lucjuszu Korneliuszu. Odcisniemy na Rzymie nasze piętno.

- I ja w to wierzę - rzekł Sulla.

- A zatem... W przyszłym miesiącu nowe kolegium trybunów ludowych zaczyna urzędowanie. Kiedy to się stanie, wykonam swoje posunięcie w sprawie Afryki.

- Chcesz wykorzystać Zgromadzenie Ludowe dla przeprowadzenia jakiejś ustawy, która obali uchwałę senatu dającą Metellowi Świńskiemu dodatkowy rok w Afryce?

- Właśnie!

- Ale czy to zgodne z prawem? Czy taka ustawa przejdzie? - pytał Sulla pełen podziwu dla tego człowieka nowego, nie skrepowanego więzami zwyczaju, który chciał wyrzucić cały system do góry nogami.

- Nigdzie w tablicach nie jest powiedziane, że to niezgodne z prawem, a zatem, że nie da się tego zrobić. Mam wielką ochotę wykastrować senat, podrywając jego autorytet. Jak to zrobić? Przeprowadzając ustawę negującą ten autorytet. Tworząc precedens.

- A dlaczego tak ci zależy na dowództwie w Afryce? Germanie dochodzą do Tolosy, a są o wiele groźniejsi niż Jugurta. Ktoś musi iść do Galii zrobić z nimi porządek. Wolałbym, żebyś to był ty, a nie Lucjusz Kasjusz.

- Nie mam szans - stwierdził Mariusz. - Lucjusz Kasjusz jest starszym konsulem i chce objąć dowództwo w Galii. Tak czy owak, dowództwo w wojnie z Jugurtą jest dla mnie sprawą politycznego przetrwania. Obiecałem bronić interesów ekwitów w prowincji Afryki i w Numidii. Oznacza to, że muszę być w Afryce, kiedy skończy się wojna, by zapewnić moim klientom obiecanne koncesje. Do podziału jest tam mnóstwo urodzajnej ziemi, ale też i niedawno odkryte złoża marmuru najwyższej jakości, i wielkie złoża miedzi. Numidia dostarcza też złota i dwóch rodzajów szlachetnych kamieni. Odkąd Jugurta został królem, położył na tym rękę.

- Zgoda, zatem Afryka - rzekł Sulla. - Co mogę zrobić, by ci pomóc?

- Uczyć się, uczyć, Lucjuszu Korneliuszu! Będą mi potrzebni dowódcy nie tylko lojalni, ale i zdolni do samodzielnego działania w ramach mego ogólnego planu. Będą mi potrzebni tacy, którzy do moich zdolności i sprawności dorzucą coś własnego. Nie mam nic przeciw dzieleniu się zaszczytami. Będzie mnóstwo zaszczytów i chwały, kiedy sprawy będą właściwie prowadzone i legiony dostaną szansę pokazania, co są warte.

- Jestem zielony niczym trawa, Gajuszu Mariuszu.

- Wiem, ale już ci mówiłem, że masz wielkie możliwości. Przystań do mnie, bądź lojalny, pracuj ciężko, a nie zabraknie okazji do pokazania, na

co cię stać. Zaczynasz późno, tak jak ja, ale nigdy nie jest za późno. Jestem wreszcie konsulem, osiem lat po terminie. Ty jesteś wreszcie w senacie, trzy lata po terminie. Tak jak ja chcesz się poświęcić armii, bo to droga na sam szczyt. Pomogę ci i liczę na to, że ty pomożesz mnie.

- To wygląda na uczciwą propozycję. - Sulla odchrząknął. - Jestem bardzo wdzięczny, Gajuszu Mariuszu.

- Nie musisz. Gdybym nie liczył na odpłatę, nie siedziałbyś tu teraz. - I Mariusz wyciągnął rękę. - Dalej, zgódźmy się, że nie będzie już mowy o wdzięczności, tylko o lojalności i legionowym braterstwie.



Gajusz Mariusz kupił sobie trybuna ludowego i wybrał najodpowiedniejszego człowieka, bo Tytus Manliusz Mancinus nie sprzedawał swoich usług wyłącznie za pieniądze. Mancinus musiał narobić hałasu jako trybun ludowy i potrzebował lepszego powodu niż ten jedyny, który miał dla niego znaczenie - rzucanie kłód pod nogi patrycjuszowskiego rodu Manliuszów. Przekonał się zresztą, że jego nienawiść do Manliuszów ogarniała wszystkie wielkie rody z Cecyliuszami Metellami włącznie. Mógł więc z czystym sumieniem przyjąć pieniądze Mariusza i z radością stał się obrońcą jego planów.

Dziesięciu nowych trybunów ludowych rozpoczęło urzędowanie trzeciego dnia po idach grudniowych, a Tytus Manliusz Mancinus nie marnował czasu, bo tego właśnie dnia złożył wniosek, by Zgromadzenie Ludowe odebrało dowództwo w Afryce Kwintusowi Cecyliuszowi Metellowi i oddało je Gajuszowi Mariuszowi.

- Lud jest najwyższą władzą! - wołał do tłumu. - Senat jest sługą ludu, a nie jego panem! Jeśli senat wypełnia swe obowiązki z należnym szacunkiem dla ludu rzymskiego, należy mu na to pozwolić. Jeśli jednak senat chroni swych przywódców kosztem ludu, należy położyć temu kres! Kwintus Cecyliusz Metellus okazał się nieudolny, nie osiągnął niczego! Czemu więc senat przedłużył mu dowództwo na nadchodzący rok? Bo senat, ludu rzymski, broni jak zwykle swych przywódców. W konsulu elekcje Gajuszu Mariuszu lud rzymski ma przywódcę godnego tego imienia, ale zdaniem ludzi kierujących senatem, imię Gajusza Mariusza nie jest dość dobre! Gajusz Mariusz, ludu rzymski, nie jest dobrze urodzonym, jest człowiekiem nowym, prostakiem, nikim.

Tłum był zachwycony. Mancinus był dobrym mówcą i występował z pasją przeciw wynoszeniu się senatu ponad lud. Minęło już sporo czasu, odkąd plebs utarł nosa senatowi, i wielu wpływowych przywódców plebsu martwiło się, że ich ramię, władające Rzymem, traci moc. Tak więc w tym dniu i w tym czasie wszystko było po myśli Mariusza, sympatia ogółu, niezadowolenie ekwitów i tych dziesięciu trybunów ludowych skorych do utarcia nosa senatowi.

Senat podjął walkę, wysyłając do Zgromadzenia Ludowego swych najlepszych mówców plebejskiego pochodzenia: Pontifexa Maximusa Lucjusza Cecyliusza Metellusa Dalmatyńskiego, który bronił z żarem swego młodszego brata Świńskiego, i starszego konsula elekta Lucjusza Kasjusza Longina. Lecz Marek Emiliusz Skaurus, który mógłby przeważać szale na

korzystać senatu, był patrycjuszem, nie mógł więc przemawiać w Zgromadzeniu Ludowym. Musiał stać na stopniach kurii, spoglądając w dół na koliste zagłębienie Comitium, i mógł tylko bezsilnie słuchać.

- Załatwią nas - powiedział do cenzora Fabiusza Maksymusa Eburna. - Szczam na Mariusza!

Obszczeni czy nie, Mariusz wygrał. Bezlitosna kampania listów przyniosła owoce, nastawiając ekwitów i klasy średnie przeciw Metellowi, oczerniając go i niszcząc jego polityczne wpływy. Oczywiście z czasem dojdzie do siebie, jego rodzina i znajomi byli zbyt potężni. Teraz jednak Zgromadzenie Ludowe, zręcznie prowadzone przez Mariusza, odebrało mu dowództwo w Afryce, a jego imię zostało obrzucone błotem nie gorzej niż w chlewie w Numancji. Odebrano mu dowództwo, tworząc precedens prawny przez wyznaczenie na jego miejsce Gajusza Mariusza. Prawo to - a dokładniej mówiąc, rezultat plebiscytu - zostało zapisane na tablicach i złożone w archiwum pod świątynią. Miało być przykładem i przestrogą dla tych, którzy chcieliby w przyszłości działać podobnie, a nie mieliby zdolności Gajusza Mariusza.

- Jednakże - rzekł Mariusz do Sulli, gdy tylko przeprowadzono ustawę - Metellus nie odda mi żołnierzy.

Ach, iluż to rzeczy musiał nauczyć się Sulla, które powinien znać jako patrycjusz Korneliusz, a nie znał! Czasami popadał w desperację, kiedy jednak pomyślał o szczęściu, jakie miał, trafiając na służbę Mariusza, uspokajał się. Mariusz nigdy nie był zbyt zajęty, by mu wyjaśniać wszystko, i nigdy nie miał mu za złe niewiedzy. I teraz Sulla pogłębiał swoją wiedzę, pytając:

- A czy ci żołnierze nie byli skierowani na wojnę z Jugurtą? Czy nie powinni pozostać w Afryce, póki nie wygramy?

- Mogą zostać, ale tylko wtedy, gdy Metellus będzie sobie tego życzył. Musiałby ogłosić żołnierzom, że zwerbowano ich na czas kampanii, a zatem jego ustąpienie nie wpływa na ich sytuację. Może jednak uznać, że to on ich zwerbował, a zatem ich służba kończy się wraz z jego służbą. Jak znam Metella, tak właśnie robi i nic na to nie można poradzić. Zwolni ich i odeśle do Italii.

- To oznacza, że musisz zaciągnąć nową armię - rzekł Sulla. - A czy nie mógłbyś poczekać, aż sprowadzi tu żołnierzy, a potem zaciągnąć ich na swoją służbę?

- Mógłbym. Niestety, nie będę miał okazji. Lucjusz Kasjusz rusza do Galii rozprawić się z Germanami pod Tolosą. To jest konieczne. Nie życzymy sobie, żeby pół miliona Germanów zajmowało sto mil drogi do Hiszpanii na granicy naszej prowincji. Myślę, że Kasjusz już napisał do Metella z prośbą o przepisanie armii na kampanię galijską jeszcze przed odpłynięciem z Afryki.

- A więc tak to się robi!

- Tak to się robi. Lucjusz Kasjusz jest starszym konsulem, ma więc przede mną pierwszeństwo wyboru wojsk. Metellus przywiezie sześć wyszkolonych i doświadczonych legionów. Nie ma wątpliwości, że to będzie armia, którą zabierze Kasjusz do Galii Zaalpejskiej. To oznacza, że muszę

zaczynać od początku - zaciągnąć rekrutów, wyszkolić ich, zapewnić wyposażenie i napełnić zapalem do wojny z Jugurta. To oznacza, że w roku mego konsulatu nie zdążę podjąć ofensywy przeciw Jugurcie, a mógłbym to zrobić, gdyby Metellus zostawił mi wojsko. To z kolei oznacza, że będę musiał zapewnić sobie przedłużenie dowództwa w Afryce albo czeka mnie gorsza kłapa niż Świńskiego.

- A w dodatku istnieje już to prawo, precedens dla kogoś, kto zechce odebrać ci dowództwo, jak ty je zabrałeś Metellowi - Sulla westchnął. - To niełatwa sprawa. Nigdy nie myślałem, że takie trudności napotyka się, gdy chodzi tylko o polityczne przetrwanie, nie mówiąc już o większej chwale Rzymu.

Mariusz roześmiał się rozbawiony i poklepał Sullę po plecach.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu, to nie jest łatwe, ale też dlatego jest warte zachodu! Czy ktoś dążący do doskonałości chciałby, by mu ułatwiano drogę? Im jest trudniejsza, im więcej na niej przeszkód, tym większa satysfakcja.

To ustawiało odpowiedź na planie osobistym, ale nie rozwiązywało głównego problemu Sulli.

- Wczoraj mówiłeś, że Italia jest całkowicie wyczerpana. Zginęło tylu ludzi, że pobór obywateli Rzymu nie wystarczy, a Italia opiera się dostarczeniu kontyngentów. Skąd weźmiesz rekrutów do czterech legionów? Mówiłeś, że z mniejszą siłą nie pokonasz Jugurty.

- Zaczekaj, aż zostanę konsulem, a zobaczysz.

Tyle tylko udało się Sulli z niego wydobyć.

Święto Saturnaliów zniweczyło postanowienia Sulli. Póki mieszkał z Klitumną i Nikopolis, ów czas zabaw i uciech stanowił wspaniałe zakończenie starego roku. Niewolnicy leżeli na sofach, strzelając palcami, a obie kobiety biegały rozchichotane, spełniając ich życzenia. Wszyscy zbyt wiele pili, a Sulla ustępował miejsca we wspólnym łóżu tym z niewolników, którzy spodobali się Klitumnie i Nikopolis - pod warunkiem, że będzie miał takie same przywileje w innych częściach domu. Gdy Saturnalia się kończyły, wszyscy wracali na swoje miejsca, jakby nic się nie zdarzyło.

Koniec pierwszego roku małżeństwa z Julilla oglądał jednak Sullę obchodzącego całkiem odmienne Saturnalia po sąsiedzku, w rodzinie Gajusza Juliusza Cezara, gdzie został zaproszony. I tu podczas trzydniowych uroczystości wszystko było postawione na głowie - panowie usługiwali niewolnikom i dawano sobie upominki. Nic się jednak naprawdę nie zmieniało. Nieszczęśni słudzy leżeli sztywno na biesiadnych sofach i uśmiechali się z zakłopotaniem do Marcji i Cezara, biegających tam i z powrotem między triclinium a kuchnią. Nikt nawet nie pomyślał o tym, by się upić, ani o czymś, co mogłoby wprawić kogoś innego w zakłopotanie, gdy dom wróci do normy.

Gajusz Mariusz i Julia byli tam także i wydawali się zadowoleni, Sulla uznał jednak, że Mariusz za bardzo się stara, by zostać jednym z nich.

- Przyjęcie było wspaniałe - powiedział do Julilli ostatniego wieczoru, kiedy się już pożegnali. W jego głosie trudno było wyczuć ironię.

- Nie najgorsze. - Julilla weszła za nim do ich domu, gdzie pod nieobecność państwa dano po prostu służbie trzydniowe wychodne.

- Cieszę się, że ci się podobało - rzekł Sulla i zaryglował drzwi.
Julilla westchnęła i rozprostowała ramiona.

- Cieszę się też na tę jutrzejszą ucztę na cześć Krassusa Oratora.
Sulla przystanął w połowie atrium i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Ty nie idziesz.
- Co masz na myśli?
- Właśnie to, co powiedziałem.
- Ależ... myślałam, że żony też są zaproszone! - wykrzyknęła ze skrzywioną twarzą.
- Niektóre. Ty nie.
- Chcę tam pójść! Wszyscy o tym mówią i wszystkie przyjaciółki mi zazdroszczą. Powiedziałam im, że idę.
- Szkoda. Nie pójdziesz tam, Julillo.
Jeden z niewolników, nieco pijany, spotkał ich przy drzwiach.
- Dobrze, że jesteście - powiedział, jękając się. - Nalejcie mi wina, ale szybko!
- Saturnalia się skończyły - powiedział bardzo łagodnym tonem Sulla. - Precz, głupcze!
Sługa zniknął gdzieś, nagle otrzeźwiały.
- Czemu jesteś taki wściekły? - spytała Julilla, wchodząc do sypialni pana domu.
- Nie jestem wściekły. - Stał za nią i objął ją.
Wyrwała mu się.
- Zostaw mnie!
- O co ci chodzi?
- Chcę iść na ucztę Krassusa Oratora.
- Nie możesz.
- Dlaczego?
- Bo to nie jest, Julillo, taki rodzaj uczy, jaki zaaprobowałby twój ojciec, a te nieliczne żony, które tam idą, nie należą do kobiet, które zaaprobowałby twój ojciec.
- Nie jestem już w rękach mego ojca. Mogę robić, co zechcę.
- To nieprawda i dobrze o tym wiesz. Przeszłaś z rąk ojca w moje ręce, a ja ci mówię, że nie pójdziesz.
Julilla bez słowa podniosła z posadzki ubranie, narzuciła szatę na szczupłe ciało, odwróciła się i wyszła.
- Rób, jak chcesz - zawołał za nią.
Rano traktowała go oziębło. Zignorował tę taktykę. Kiedy wychodził na ucztę Krassusa Oratora, nie można jej było nigdzie znaleźć.
Ta sprzeczka powinna być zabawna. To, że nie była, nie miało nic wspólnego z jej przedmiotem, ale brało się z głębszych miejsc w umyśle Sulli niż przestrzeń zajmowana przez Julillę. Nie cieszyła go ani trochę perspektywa przyjęcia w bogatym domu licytatora Kwintusa Graniusza, który wydawał tę ucztę. Kiedy otrzymał zaproszenie, był absurdalnie uradowany, widząc możliwość zawarcia znajomości z wpływowym kręgiem

młodych senatorów. Potem usłyszał plotki o przyjęciu i zrozumiał, że go zaproszono ze względu na jego wątpliwą przeszłość, przydającą egzotyki i ożywiającej listę gości.

Teraz, gdy na nie szedł, był w stanie lepiej ocenić pułapkę, w jaką wpadł, zeniąc się z Julillą i wchodząc w szeregi równych mu urodzeniem. Bo to była pułapka i nie było z niej wyjścia, jak długo będzie żył w Rzymie.

Co do Krassusa Oratora, brał on udział w przyjęciu pomyślanym jako wyzwanie rzucone edyktowi przeciw zbytkom wydanemu przez jego ojca. Jego pozycja w senacie i świeży trybunat ludowy sprawiały, że mógł sobie pozwolić na luksus udawania nisko urodzonego prostaka i przyjąć uprzejmość parweniusza, jakim był licytator Kwintus Graniusz.

Kiedy Sulla wszedł do przestronnej sali jadalnej, ujrzał Kolubrę uśmiechającą się do niego sponad wysadzanego drogimi kamieniami złotego pucharu. Poklepała zapraszającą sofę obok siebie.

„Miałem rację. Mam tu być osobliwością”, pomyślał, posyłając Kolubrę promienny uśmiech i poddając się nadskakiwaniom tłumy płaszczących się niewolników. Jadalnia była zastawiona sofami, na których ułożyło się sześćdziesięcioro zaproszonych na ucztę na cześć nowego trybuna ludowego. Sulla pomyślał, kładąc się obok Kolubry, że Kwintus Graniusz nie ma pojęcia, jak się urządza prawdziwe przyjęcie.

W sześć godzin później wychodził - pijany, z ciężkim sercem i znacznie przed innymi, w nastroju pośrednim między pogodzeniem się z losem a czarną melancholią. Myślał przedtem, że już jej nie zazna, skoro wszedł do własnej sfery. Był rozczarowany, bezsilny i nieznośnie samotny. Całym sobą tęsknił za jakimś odpowiednim miłym towarzyszem, za kimś, z kim można się śmiać, kimś wolnym od ukrytych motywów, kimś całkowicie jego, kimś o czarnych oczach, czarnych lokach i najśłodszym tyłeczku w świecie.

I poszedł ze skrzydłami u nóg do apartamentu aktora Skylaksa, nie pomyślawszy nawet, że to niebezpieczne, nieroztropne, głupie - to wszystko było bez znaczenia. Będzie tam Skylaks, trzeba więc będzie siedzieć i pić rozcieńczone wino, pleść głupoty z gospodarzem i rozkoszować się widokiem chłopca. Nikt nie mógłby powiedzieć złego słowa - będzie to niewinna wizyta, nic więcej.

Fortuna jednak wciąż się do niego uśmiechała. Metrobiusz był w domu sam, zostawiony za karę, gdy Skylaks udał się w odwiedziny do przyjaciół w Ancjum. Samotny Metrobiusz uradował się na jego widok, był pełen miłości, głodu, namiętności, żalu! I Sulla, zaspokajając namiętność i głód, wziął chłopca na kolana, objął go i prawie się rozpłakał.

- Straciłem tyle czasu! Bogowie, jak mi tego brak!

- Jak mi ciebie brak! - powiedział chłopiec, głaszcząc Sullę. Zapadła cisza. Metrobiusz czuł, że Sulla łyka łzy, i spodziewał się, że za chwilę poczuje je na policzkach. Potem zrozumiał, że ich nie poczuje.

- O co chodzi, drogi Lucjuszu Korneliuszu?

- Nudzę się. Ci na górze są wielkimi hipokrytami, są tak straszliwie nudni! Dobre maniery publicznie i niskie przyjemności potajemnie... Dziś

ledwie ukryłem, że nimi gardzę.

- Myślałem, że będziesz szczęśliwy - Metrobiusz nie był zasmucony.

- Ja także - rzekł Sulla i zamilkł.

- Czemu dziś przychodzisz?

- Byłem na przyjęciu.

- Nie było udane?

- Nie z naszego punktu widzenia, mój drogi, ale oni uważają je za wielki sukces. Przez cały czas miałem ochotę się śmiać. Potem zrozumiałem, że nikt inny tak nie myśli. Nikt!

- Oprócz mnie - rzekł Metrobiusz i wyprostował się. - Może byś coś o tym opowiedział?

- Czy znasz Licyniuszów Krassusów?

Metrobiusz przyjrzał się swoim paznokciom.

- Co może wiedzieć o takich sprawach młodociany gwiazdor komedii?

- Ten ród dostarczał Rzymowi konsulów i arcykapłanów od - ach, od wieków! To bajecznie bogata rodzina, a jej potomkowie dzielą się na dwa rodzaje: oszczędnych i sybarytów. Ojciec tego Krassusa Oratora jest oszczędny. To on przeprowadził tę śmieszłą ustawę przeciw zbytkom - wiesz którą.

- Żadnych złotych naczyń, purpurowych szat, ostryg i zamorskich win - czy o to chodzi?

- O to. Ale Krassus Orator nie wrodził się w ojca - lubi się otaczać zbytkiem, a licytator Kwintus Graniusz potrzebuje jego poparcia jako trybuna ludowego, wydał więc ucztę na jego cześć. Jej główną myślą było: „zapomnijmy o *lex Licinia sumptuaria*”

- Czy dlatego cię zaprosili? - spytał Metrobiusz.

- Zaprosili mnie, bo w najwyższych kręgach, to jest kręgach Krassusa Oratora, uważa się mnie za fascynującego człowieka, skoro żyłem w nędzy, choć jestem wysoko urodzony. Spodziewali się chyba, że rozbiore się do naga i zaśpiewam parę sprośnych piosenek, kiedy zabawiałem się z Kolubrą.

- Z Kolubrą?!

- Z Kolubrą.

Metrobiusz gwizdnał.

- Poruszasz się w wysokich kręgach. Słyszałem, że ona bierze talent srebra za *irrumatio*.

- Być może, ale ja to mogłem mieć za darmo - uśmiechnął się Sulla. - Odmówiłem.

Metrobiusz zadrzał.

- Ach, Lucjuszu Korneliuszu, nie rób sobie wrogów, kiedy już odnalazłeś swe właściwe miejsce. Kobiety takie jak Kolubra mają wielką władzę.

Na twarzy Sulli pojawił się niesmak.

- Ach, szczam na nich.

- To by im się chyba spodobało - rzekł z namysłem Metrobiusz. To załatwiło sprawę. Sulla roześmiał się i już w lepszym nastroju przystąpił do opowiadania.

- Było tam kilka żon-awanturnic z mężami zagryzionymi prawie na śmierć - dwie Klaudie i pani w masce, która udawała Aspazję, ale wiedziałem, że to kuzynka Krassusa, Licynia - pamiętasz? Czasem z nią sypiałem.

- Pamiętam - rzekł Metrobiusz ponuro.

- To miejsce wprost ociekało złotem i tyryjską purpurą - ciągnął Sulla. - Nawet ścierki były z tyryjskiej purpury obrębionej złotem! Trzeba ci było widzieć, jak ochmistrz czekał, aż pan odwróci wzrok, żeby wytrzeć zwykłą ściereczką rozlane wino.

- Ty nie znosisz takich rzeczy.

- Nie znoszę takich rzeczy - Sulla westchnął i podjął opowieść. - Sofy były zdobione perłami. Naprawdę! Goście dopóty dłubali i skubali, aż ogołocili je z pereł, które zawijali w purpurowo-złote serwetki. Nie było nikogo, przynajmniej pośród mężczyzn, kto zdołałby to zrobić bez zwracania uwagi.

- Oprócz ciebie - powiedział cicho Metrobiusz i odsunął włosy z białego czoła Sulli. - Ty nie wzięłaś pereł.

- Prędzej bym skonał - odparł Sulla i wzruszył ramionami. - Były zresztą rzeczne.

Metrobiusz parsknął śmiechem.

- Nie psuj tego! Lubię, kiedy jesteś tak niezdolnie dumny i szlachetny.

Sulla pocałował go z uśmiechem.

- Jestem aż tak zły?

- Aż tak. Jakie było jedzenie?

- Dostarczone. Cóż, nawet kuchnie Graniusza nie były w stanie wyżywić sześćdziesięciu... nie, pięćdziesięciu dziewięciu! - największych żarłoków, jakich widziałem w życiu. Każde jajko było dziesiątym jajkiem, większość z podwójnym żółtkiem. Były tam jaja łabędzie, gęsie, kacze, jaja morskich ptaków, a nawet nieco jaj ze złożonymi skorupkami. Były nadziewane wymiona karmiących macior, koguty tuczone pierniczkami maczanymi w falerne, ślimaki sprowadzone specjalnie z Ligurii, ostrygi dostarczone z Bajów pośpieszną dwukółką, a powietrze było tak przesycone pieprzem, że bez przerwy kichałem.

Metrobiusz widział, że Sulla ma ochotę mówić. Musiał chyba żyć obecnie w jakimś dziwnym świecie, nie takim, jak go sobie przedtem wyobrażał. Sulla nigdy nie był gadułą. Aż do tego wieczoru. Pojawił się ni stąd, ni zowąd! Metrobiusz już pogodził się z myślą, że tę ukochaną twarz będzie oglądał tylko z daleka. Musiał jednak przyznać, że stojąc w progu, Sulla wyglądał okropnie. I potrzebował miłości. Potrzebował rozmowy. Sulla! Jakże musi być samotny.

- Co jeszcze tam było? - ponaglił Sullę do mówienia.

Rudozłota brew uniosła się, otarta już dawno ze *stibium*.

- Najlepsze było jeszcze przed nami, jak się okazało. Wniesiono na ramionach, na poduszce z tyryjskiej purpury, wysadzany drogimi kamieniami półmisek z ogromnym zębaczem z Tybru. Taki wyraz pyska musi mieć chyba chłostany mastyf! Paradowali z nim po sali z większym nabożeństwem, niż je odbiera dwunastu bogów w jakimś *lectisternium*. Z

rybą!

Metrobiusz zmarszczył brwi.

- Co to była za ryba?

- Wiesz przecież! Zębacz.

- Jakoś sobie nie przypominam.

Sulla leniwie się zastanawiał.

- Może i nie wiesz. Zębacz wygląda jak pomysł z jakiejś ucztę z komedii. Musisz wiedzieć, młody Metrobiuszu, że każdy głupi żarłok z wyższych sfer Rzymu wpada w ekstazę na samą myśl o zębacz z Tybru. Krażą one między Drewnianym Mostem a Pons Aemilius, kąpiąc swe łuskowane boki w ujściach ścieków, i tak się tuczają na rzymskim łajnie, że nie myślą brać przynęty. Cuchną łajnem i smakują jak łajno. Ale Kwintus Graniusz i Krassus Orator ślinią się i zachwycają, jakby zębacz z Tybru był z ambrozji i nektaru.

Metrobiusz aż się zakrztusił, nie mogąc się opanować.

- Dosadnie to powiedziałem - rzekł Sulla i zaczął się śmiać. - Ach, gdybyś mógł zobaczyć tych wszystkich nadętych głupców! Nazywają siebie śmietanką Rzymu, a tymczasem rzymskie łajno kapie im po brodzie.

- Urwał i nabrał ze świstem powietrza. - Któregoś dnia nie zniosę tego - znów urwał. - Jestem pijany. To przez te okropne Saturnalia.

- Okropne Saturnalia?

- Nudne czy okropne, co za różnica? To już inne wyższe sfery niż ci z przyjęcia Krassusa Oratora, ale tak samo straszni. Nudy, nudy, nudy, nudy.

Wzruszył ramionami.

- Mniejsza z tym. W przyszłym roku będę w Numidii i będę miał coś do roboty. Nie mogę się doczekać! Rzym bez ciebie... bez starych przyjaciół... nie mogę tego znieść! - Przeszedł go wyraźny dreszcz. - Jestem pijany, Metrobiuszu, i nie powinienem tu być, ale gdybyś wiedział, jak mi tu dobrze...

- Wiem tylko, jak dobrze mi z tobą - powiedział głośno Metrobiusz.

- Głos ci się zmienia - zdziwił się Sulla.

- I nie za wcześnie. Mam siedemnaście lat, Lucjuszu Korneliuszu. Jestem na szczęście niski na swój wiek, a Skylaks nauczył mnie mówić wysokim głosem. Któregoś dnia zapomnę się jednak, bo coraz trudniej to kontrolować. Niedługo zacznę się golić.

- Siedemnaście lat!

Metrobiusz zsunął się z kolan Sulli i stał, patrząc na niego z powagą, a potem wyciągnął rękę.

- Zostań ze mną. Możesz wrócić do domu przed świtem.

Sulla wstał niechętnie.

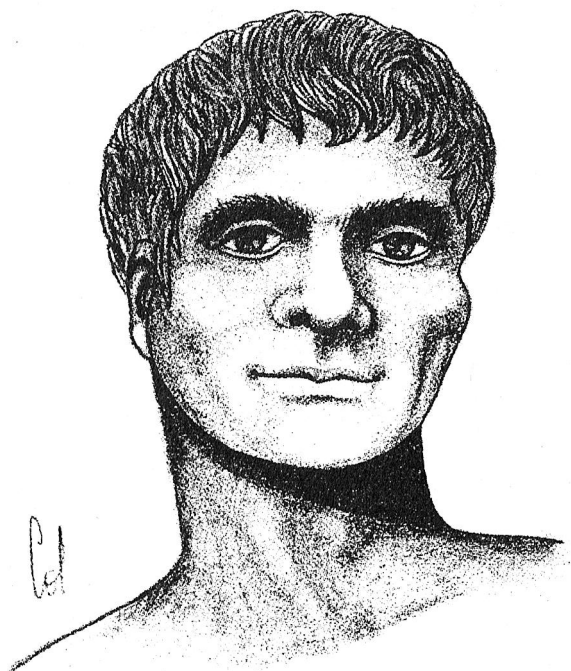
- Tym razem zostanę, ale już nie wrócę.

- Wiem. - Metrobiusz położył sobie ramię gościa na ramionach. - W przyszłym roku będziesz w Numidii i będziesz szczęśliwy.





ROK CZWARTY (107 p.n.e.)



KWINTUS SERTORIUSZ



ZA KONSULATU LUCJUSZA KASJUSZA LONGINA I GAJUSZA MARIUSZA (I)

Zaden konsulat nigdy nie znaczył tyle dla sprawującego ten urząd, ile znaczył dla Mariusza jego pierwszy. Przystępował do inauguracji w dniu Nowego Roku ze świadomością, że jego nocne czuwanie w oczekiwaniu wróżebnych znaków przebiegło jak należy i że jego biały byk dobrze się napasł paszą zaprawioną środkiem nasennym. Mariusz stał poważny i pełen rezerwy, wyglądając w każdym calu na konsula, wysoki i znacznie bardziej dystyngowany niż zgromadzeniu wokół niego w ów piękny, chłodny poranek. Starszy konsul Lucjusz Kasjusz Longinus był niski i krępy, nie wyglądał imponująco w todzie i pozostawał całkowicie w cieniu swego młodszego kolegi.

I oto nareszcie Lucjusz Korneliusz Sulla szedł jako senator, z szerokim purpurowym szlakiem na prawym ramieniu tuniki, towarzysząc swemu konsulowi Mariuszowi w charakterze kwestora.

Mariusz w styczniu nie miał jeszcze w rękę *fascēs*, pęków różeg przewiązanych szkarłatem, które aż do kalend lutego należały do starszego konsula Kasjusza. Pomimo to już drugiego dnia zwołał posiedzenie senatu. Nieufni wobec niego senatorowie przybyli prawie w komplecie.

- W chwili obecnej - mówił do zebranych - Rzym musi walczyć co

najmniej na trzech frontach, i to nie licząc Hiszpanii. Trzeba nam żołnierzy do walki z królem Jugurtą, ze Skordyskami w Macedonii i z Germanami w Galii. Jednakże w ciągu piętnastu lat od śmierci Gajusza Grakcha straciliśmy sześćdziesiąt tysięcy rzymskich żołnierzy poległych na różnych polach bitew, a tysiące innych stało się niezdolnych do służby. Powtórzę, ojcowie spisani, że chodzi o piętnaście lat, zaledwie pół pokolenia!

W kurii było bardzo cicho. Był obecny Marek Juniusz Syllan, który stracił przed dwoma laty trzecią część tych żołnierzy, a nadal bronił się przed oskarżeniem o zdradę stanu. Nikt nie odważył się dotąd wymienić w senacie tej przerażającej liczby, ale wszyscy wiedzieli, że obliczenia Mariusza grzeszą konserwatyzmem. Oszłomieni wymową liczb, wypowiedzianych prowincjonalną łaciną Mariusza, senatorowie słuchali.

- Nie wystarczy nam poborowych - mówił Mariusz - z jednego nieodpartego powodu. Nie mamy już więcej ludzi. Niedobór obywateli rzymskich i ludzi z prawami latyńskimi jest przerażający, ale ubytek Italczyków jest jeszcze większy. Nawet prowadząc pobór we wszystkich okręgach na południe od Arna, nie znajdziemy tylu żołnierzy, ilu ich będziemy potrzebować w tym roku. Zakładam, że armia afrykańska, sześć silnych dobrze wyszkolonych i wyekwipowanych legionów, wróci do Italii z Kwintusem Cecyliuszem Metellem i zostanie wykorzystana w Galii Dalszej Tolosackiej. Legiony macedońskie, również dobrze wyekwipowane i złożone z weteranów, będą kontynuować działania pod wodzą Marka Minucjusza i jego młodszego brata.

Mariusz przerwał dla nabrania tchu. Kuria słuchała.

- Pozostaje jednak problem nowej armii afrykańskiej. Kwintus Cecyliusz Metellus miał do dyspozycji sześć pełnych legionów. Sądzę, że mógłbym zmniejszyć tę liczbę do czterech, gdybym musiał. Jednakże Rzym nie ma w rezerwie czterech legionów! Rzym nie ma w rezerwie nawet jednego legionu! Żeby odświeżyć waszą pamięć, przypomnę wam skład czterolegionowej armii.

Mariusz nie musiał korzystać z notatek. Stał po prostu na podwyższeniu dla konsula przed swym kurulnym krzesłem z kości słoniowej i podawał z pamięci liczby.

- W pełnej sile: 5120 piechurów w każdym legionie plus 1280 nielinowych obywateli i jeszcze 1000 nielinowych niewolników na każdy legion. Dalej mamy jazdę: 2000 konnych i drugie 2000 nielinowych obywateli i niewolników do obsługi jazdy.

Przebiegł wzrokiem kurie.

- Nielinowych nietrudno zwerbować. Nie przewiduję z tym kłopotu, bo nielinowy może być biedny jak mysz świątynna. Nic będzie też kłopotu z jazdą, bo od wielu pokoleń Rzym nie wysyła w pole konnych Rzymian albo Italczyków. Znajdziemy ich jak zawsze w Macedonii, Ligurii, Tracji i Galii Zaalpejskiej, oni zaś przyprowadzą własnych nielinowych i własne konie.

Przerwał na dłuższą chwilę, notując w pamięci Skaurusa i swego konkurenta Katullusa Cezara, a także Pontifexa Maximusa Metellusa Dalmatyńskiego, Gajusza Memmiusza, Lucjusza Kalpurniusza Pizona

Cezonina, Scypiona Nazykę i Gnejusza Domicjusza Ahenobarba. Dokądkolwiek pójda ci ludzie, stado senatorów pójdzie za nimi.

- Nasze położenie wymaga rozważań, ojcowie spisani. Kiedy usunęliśmy naszych królów, porzuciliśmy zasadę, że państwo utrzymuje armię. Dlatego ograniczyliśmy obowiązek służby wojskowej tylko do tych, których stać na zbroję, broń i ekwipunek. Tego wymagamy od wszystkich żołnierzy bez różnicy, od Rzymian, Latynów i Italczyków. Człowiek, który posiada ziemię, będzie jej bronił. Dla niego ma znaczenie przetrwanie państwa i jego majątku, wkłada więc serce w walkę. Dlatego też niechętnie przyjmowaliśmy ideę zamorskiego imperium i próbowaliśmy, raz zarazem, uchylić się od posiadania zamorskich prowincji.

- Jednakże po pokonaniu Perseusza nie powiodły się nam chwalebne zamysły wprowadzenia w Macedonii samorządu. Macedończycy nie uznawali innego systemu niż samowładztwo. Musieliśmy uczynić z Macedonii prowincję Rzymu, bo nie mogliśmy pozwolić barbarzyńcom na plądrowanie zachodniego wybrzeża Macedonii, tak blisko brzegu Italii. Pokonanie Kartaginy zmusiło nas do przejęcia kartagińskiego imperium w Hiszpanii, bo inaczej zajęłyby je inne narody. Oddaliśmy większą część afrykańskiej Kartaginy królom Numidii, zatrzymując jedynie niewielką prowincję wokół samej Kartaginy, aby nie dopuścić do punickiego odrodzenia. Oddaliśmy im jednak zbyt wiele i spojrzcie, co się stało! Czujemy się dziś zobowiązani do przejęcia Afryki, by ochronić naszą małą prowincję i powstrzymać hałaśliwą ekspansję jednego człowieka, Jugurty. Wystarczy bowiem jeden człowiek, ojcowie spisani, by nas zgubić! Król Attalos, umierając, zapisał nam Azję, my zaś nadal próbujemy uniknąć za nią odpowiedzialności. Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus otworzył nam wybrzeże Galii od Ligurii do Hiszpanii Bliższej, mamy więc bezpieczny korytarz dla naszych wojsk między Italią a Hiszpanią, ale zostaliśmy przez to zmuszeni do stworzenia jeszcze jednej prowincji.

Odchrząknął. Jaka cisza!

- Nasi żołnierze walczą w kampaniach poza Italią. Przebywają długo poza krajem. Ich gospodarstwa i domy upadają, żony nie są im wierne, nie rodzą im się dzieci. W rezultacie coraz mniej jest ochotników, my zaś musimy brać ludzi z poboru. Żaden właściciel gospodarstwa albo przedsiębiorstwa nie chce być odrywany od niego na pięć, sześć czy siedem lat! A gdy zostaje zwolniony, nadal podlega poborowi, gdyby zabrakło ochotników.

W jego głębokim głosie pojawił się ponury ton.

- Przede wszystkim jednak, zbyt wielu ludzi zginęło przez minione piętnaście lat! Nie zostali oni zastąpieni. W całej Italii nie ma dziś tylu majątnych ludzi, by stworzyć tradycyjną rzymską armię.

Znów zmienił ton i podniósł głos, aż echo rozbrzmiało pod belkami stropowymi starożytnej sali zbudowanej przez króla Tullusa Hostyliusza.

- Od czasu drugiej wojny z Kartaginą werbownicy muszą przymykać oko na wymagania majątkowe. Po utracie armii Karbona Młodsze przed sześciu laty utworzyliśmy szeregi dla tych, których nie stać było na zakup broni i zbroi, było to jednak działanie potajemne, nie aprobowane i ostatnia

deska ratunku.

- Skończyły się te czasy, ojcowie spisani. Ja, Gajusz Mariusz, konsul senatu i ludu rzymskiego, zawiadamiam oto członków tej kurii, że zamierzam odtąd zaciągać swych żołnierzy, a nie brać ich z poboru - chcę mieć bowiem chętnych żołnierzy, a nie takich, co wolą siedzieć w domu! Spytaście, gdzie znajdę dwadzieścia tysięcy ochotników? Odpowiedź jest prosta!

- Zamierzam ich szukać pośród Policzonych Głowami, na samym dnie społeczeństwa, wśród zbyt ubogich dla najniższej klasy. Zamierzam ich szukać pośród tych, którzy nie mają ziemi, pieniędzy, a często i stałego zajęcia. Zamierzam szukać ochotników pośród tych, którym nigdy dotąd nie dano możliwości walki za ich kraj, walki za Rzym!

W sali podniósł się pomruk, narastał i narastał, aż cała kuria zatrzęsała się od krzyku.

- Nie! Nie! Nie!

Mariusz czekał cierpliwie, nie okazując gniewu nawet wtedy, gdy gniew innych objawiał się w potrząsaniu pięściami, w czerwieniejących twarzach, w zgrzytaniu dwustu składanych stołków o wypolerowaną przez wieki kamienną posadzkę, gdy mężowie w togach zrywali się na nogi.

W końcu hałas ucichł, choć byli nadal rozgniewani. Wiedzieli, że nie usłyszeli jeszcze wszystkiego, a ciekawość jest potężną siłą nawet wtedy, kiedy jest się wściekłym.

- Możecie sobie krzyczeć i wyc, póki ocet nie zmieni się w wino! - zawołał Mariusz, kiedy można go już było usłyszeć. Zawiadamiam was jednak tu i teraz, że to właśnie zamierzam zrobić. Nie potrzebuję waszej zgody. Żadne prawo na tablicach tego mi nie zabrania - ale za parę dni trafi na tablice prawo, które mi na to pozwoli! Prawo, które powiada, że prawnie wybrany konsul może w razie konieczności stworzyć armię z *capitecensi* - z Policzonych Głowami - z *proletarii*, albowiem, senatorowie, przedstawię tę sprawę ludowi!

- Nigdy! - krzyknął Dalmatyński.

- Po moim trupie! - zawołał Scypion Nazyka.

- Nie! Nie! Nie! - zagrzmiała cała kuria.

- Zaczekajcie! - rozlegał się samotny głos Skaurusa. - Zaraz zbiję jego argumenty!

Ale nikt go nie słuchał. Curia Hostilia, siedziba senatu od ustanowienia republiki, trzęsała się do samych fundamentów od hałasu, jaki podnieśli senatorowie.

- Chodźmy - rzekł Mariusz i wyszedł z kurii, a za nim jego kwestor Sulla i jego trybun ludowy Tytus Manliusz Mancinus.

Po pierwszych pomrukach burzy na Forum zaczęły zbierać się tłumy. Comitium było już wypełnione zwolennikami Mariusza. Konsul Mariusz i trybun ludowy Mancinus pomaszrowali do rostrów na tyłach Comitium, a kwestor Sulla, patrycjusz, pozostał na schodach kurii.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - ryknął Mancinus. - Zgromadzenie Ludowe zebrało się na posiedzeniu. Ogłaszam rozpoczęcie obrad!

Gajusz Mariusz wstąpił na miejsce mówcy przed rostrami i ustawił się tak, by spoglądać jednocześnie ku Comitium i na otwartą przestrzeń

Forum. Stojący na schodach senatu mogli oglądać jego plecy. Kiedy senatorowie, oprócz patrycjuszy, zaczęli schodzić wśród rzędów ław Comitium, szeregi klientów i zwolenników Mariusza zatrzymały ich i nic przepuściły. Doszło do przepychanek i wymiany ciosów, ale Marianie utrzymali zwarty szyk. Tylko dziewięciu trybunom ludowym pozwolono podejść do rostrów. Stanęli tam z surowymi minami, zastanawiając się, czy po zgłoszeniu weta udałoby im się wyjść stąd z życiem.

- Ludu rzymski! Ci oto powiadają, że nie wolno mi zrobić tego, co konieczne, aby mógł przetrwać Rzym! - zawołał Mariusz. - Rzym potrzebuje żołnierzy! Rzym rozpaczliwie potrzebuje żołnierzy! Jesteśmy otoczeni przez wrogów, a czcigodni ojcowie spisani martwią się bardziej o swe dziedziczne prawa niż o przetrwanie Rzymu! To oni, ludu rzymski, przelali krew Rzymian, Latynów i Italczyków. To oni nie dbali o życie ludzi z klas, które dostarczały Rzymowi żołnierzy. Mówię wam oto, że nie ma już tamtych ludzi! Ci, którzy nie polegli na jakimś polu bitwy przez chciwość, arogancję i głupotę mężów konsularnych, albo okaleczeni nie nadają się już do służby, albo właśnie służą w legionach.

- Mamy jednak niewyczerpane źródło żołnierzy gotowych służyć Rzymowi! Mówię o Policzonych Głowami, obywatelach Rzymu lub Italii, którzy są zbyt biedni, by móc głosować w centuriach, by mieć własne przedsiębiorstwo albo ziemię, by móc kupić żołnierski ekwipunek. Nadszedł czas, ludu rzymski, aby tysiące takich ludzi wezwać do zrobienia czegoś więcej dla Rzymu niż tłoczenie się w kolejce po zboże albo urządzanie przepychanek w cyrku, albo płodzenie dzieci, których nie są w stanie wyżywić! To, że nie mają niczego, nie znaczy, że są bezwartościowi! Ja pierwszy temu zaprzeczę. Oni kochają Rzym nie mniej niż posiadacze. Wierzę, że ich miłość do Rzymu jest czystsza niż ta, którą okazuje większość czcigodnych członków senatu!

Mariusz uniesiony oburzeniem rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał objąć cały Rzym.

- Przychodzę tu wraz z kolegium trybunów, aby otrzymać od ciebie, ludu rzymski, pełnomocnictwo, którego senat mi nie udzieli! Proszę o prawo powołania do wojska Policzonych Głowami! Chcę zrobić z bezużytecznych i nic nie znaczących Policzonych Głowami żołnierzy rzymskich legionów! Chcę im zaproponować zatrudnienie - i to raczej zawód niż zajęcie - na korzystnych warunkach, z zapewnieniem przyszłości dla nich samych i ich rodzin, zaszczyty i szacunek, i możliwość awansu! Chcę im dać świadomość ich własnej godności i wartości, dać okazję odegrania ważnej roli w budowie potęgi Rzymu!

Urwał. Komicjum wpatrywało się w niego w głębokim milczeniu. Wszystkie oczy utkwione były w jego zaciętej twarzy, w jego płonących oczach, w zdobywczym wysuniętym podbródku.

- Ojcowie spisani senatu odmawiają dania tym tysiącom i tysiącom ludzi ich szansy! Odmawiają i mnie szansy odwołania się do ich lojalności i miłości do Rzymu! A dlaczego? Czy dlatego, że ojcowie spisani kochają Rzym bardziej niż ja? Nie! Dlatego, że kochają siebie i swoją klasę bardziej niż Rzym i wszystko inne! Przyszedłem więc, ludu rzymski, by

prosić - dla siebie i dla Rzymu - o to, czego nie da mi senat. Daj mi *capitecensi*, ludu rzymski! Dajcie mi tych najskromniejszych, tych najuboższych! Dajcie mi szansę zrobienia z nich obywateli, z których Rzym będzie dumny, których Rzym będzie mógł wykorzystać, obywateli wyszkolonych, wykwapowanych i opłacanych przez państwo, aby służyli państwu duszą i ciałem jako żołnierze! Czy mi dacie, o co proszę? Czy dacie Rzymowi, czego mu trzeba?

I tu podniosły się krzyki, owacje, tupania, uchwytnie dla ucha łamanie tradycji dziesięciu stuleci. Dziesięciu trybunów ludowych popatrzyło na siebie z ukosa i zgodziło się bez słów, że nie wniosą weta, bo wszystkim życie było miłe.

- Gajusz Mariusz - mówił Marek Emiliusz Skaurus w kurii, kiedy ustanowiono już *lex Manlia*, dające konsulom prawo powoływania ochotników spośród *capitecensi* - to wygłodniały, śliniący się wilk, który wpada w szał! Gajusz Mariusz to najbardziej oczywisty powód, dla którego powinniśmy, ojcowie spisani, zewrzeć szeregi przeciw ludziom nowym. Nie wolno dopuścić, by zasiadali w tym czcigodnym zgromadzeniu, choćby nawet w ostatnich rzędach! Co taki Gajusz Mariusz wie o naturze Rzymu, o nieprzemijających ideałach jego tradycyjnego systemu rządów?

- Jam jest Princeps Senatus - przywódca tej kurii - i przez te wszystkie lata spędzone w gronie ludzi, które stanowi manifestację ducha Rzymu, nie widziałem tak podstępnej, tak niebezpiecznej i rozbójniczej indywidualności jak Gajusz Mariusz! Dwukrotnie w ciągu trzech miesięcy roztrzaskał uświęcone prerogatywy senatu na nie ociosanym ołtarzu ludu! Najpierw zanegował nasz senatorski edykt, dający Kwintusowi Cecyliuszowi Metellowi przedłużenie dowództwa w Afryce. Teraz zaś, dla zaspokojenia własnych ambicji, wykorzystuje ignorancję ludu, by otrzymać prawo rekrutacji żołnierzy, które jest nienaturalne, nierozumne i nie do przyjęcia!

Zgromadzenie odbywało się prawie w pełnym składzie; z trzystu żyjących senatorów stawiło się dwustu osiemdziesięciu, wyrwanych z domów, a czasem nawet z łóża boleści przez Skaurusa i innych przywódców. Gdy zasiedli na składanych stołkach, na trzech stopniach biegnących wzdłuż ścian kurii niczym wielkie stado białych kur na grzędach, tylko togi z purpurowym szlakiem noszone przez wyższych urzędników ożywiały oślepiającą masę bieli. Dziesięciu trybunów ludowych siedziało na długiej drewnianej ławie z boku grupy wyższych urzędników, którym przysługiwało prawo zasiadania osobno - dwóch edylów kurulnych, sześciu pretorów i dwóch konsulów. Wszyscy oni siedzieli na swych wspaniale rzeźbionych krzesłach z kości słoniowej, stojących na podwyższeniu na końcu sali, naprzeciw dwojga wielkich drzwi z brązu prowadzących do wnętrza.

Na tym podwyższeniu siedział Gajusz Mariusz, obok i nieco z tyłu za starszym konsulem Kasjuszem. Wydawał się spokojny, zadowolony, mający w sobie coś kociego, słuchał zaś Skaurusa bez zaskoczenia i bez gniewu. Zrobił swoje. Miał swoje pełnomocnictwo. Mógł sobie pozwolić na wielkoduszność.

- Kuria musi zrobić wszystko, co możliwe, by ograniczyć tę władzę, którą Gajusz Mariusz dał Policzonym Głowami. Muszą oni pozostać tym, czym zawsze byli - beżyteczną zbieraniną głodnych gąb do nakarmienia. My, uprzywilejowani, musimy o nich dbać, musimy ich żywić i znosić, nigdy nie prosząc o nic w zamian. Dopóki nie pracują dla nas i nie mamy z nich pożytku, są od nas zależni niczym rzymska żona, która nie pracuje, nie ma władzy i nie ma głosu. Nie mogą żądać od nas niczego, czego im nie chcemy dać, bo niczego nie robią. Po prostu są.

- Lecz za sprawą Gajusza Mariusza stajemy oto przed problemami i groteskowością tego, co muszę nazwać armią zawodowych żołnierzy - ludzi, którzy nie mają innego źródła dochodów i innego źródła utrzymania - ludzi, którzy zechcą pozostać w armii między kampaniami, którzy będą kosztować państwo ogromne sumy i którzy, ojcowie spisani, zażądają prawa głosu w rzymskim systemie rządów, bo służą Rzymowi, pracują dla Rzymu. Słyszeliście głos ludu. My, którzy zarządzamy skarbem i wydatkami publicznymi, musimy sięgnąć do rzymskich kufrów i znaleźć w nich pieniądze na wyposażenie armii Gajusza Mariusza w broń, zbroje i sprzęt wojenny. Lud polecił nam także płacić tym żołnierzom stale, a nie po zakończeniu kampanii, kiedy ma się łupy i można z nich pokryć wydatki. Koszt utrzymania w polu takiej armii złamie kark finansom państwa, nie może być co do tego wątpliwości.

- Nonsens, Marku Emiliuszu - przerwał Mariusz. - W rzymskim skarbcu jest tyle pieniędzy, że nie wiadomo, co z nimi robić, bo, ojcowie spisani, wy ich nie wydajecie! Przechowujecie je tylko.

Podniosła się wrzawa i twarze zaczęły się czerwienić, lecz Skaurus zdołał uciszyć senat podniesieniem ręki.

- Tak, skarbiec rzymski jest pełny i tak powinno być! Skarbiec pozostał pełny nawet mimo wielkich robót publicznych, które rozpocząłem jako cenzor. Bywało jednak w przeszłości, że był pusty. Trzy wojny z Kartaginą doprowadziły nas na skraj finansowej katastrofy. Pytam więc, co jest złego w pilnowaniu, by to się więcej nie zdarzyło? Kiedy skarbiec jest pełny, Rzym rozkwita.

- Rozkwitnie jeszcze piękniej, gdy Policzeni Głowami będą mieli pieniądze do wydania - powiedział Mariusz.

- To nieprawda, Gajuszu Mariuszu - zawołał Skaurus. - Policzeni Głowami roztrwonią te pieniądze. Wypadną one z obiegu i nie przyniosą korzyści.

Odszedł od swego stołka w pierwszym rzędzie i stanął przy wielkich drzwiach z brązu, gdzie obie strony kurii mogły go dobrze widzieć i słyszeć.

- Powiadam wam, ojcowie spisani, że musimy opierać się z całych sił, gdy jakiś konsul zechce w przyszłości posłużyć się *lex Manlia* i rekrutami spośród Policzonych Głowami. Lud kazał nam opłacić armię Mariusza, ale nie zapisano w tym prawie niczego, co nas zmusza do płacenia za każdą następną armię biedoty! Niech przyszli konsulowie biorą, ilu zechcą, biedaków, by zapełnić szeregi legionów, lecz kiedy zwrócą się do nas, strażników rzymskich pieniędzy, musimy im odmawiać.

- Państwo nie może sobie pozwolić na utrzymywanie w polu armii nędzarzy. Policzeni Głowami są nieudolni, nieodpowiedzialni, nie mają szacunku dla własności. Czy ktoś, kto dostał darmo swą kolczugę, bo zapłaciło za nią państwo, będzie się o nią troszczył? Nie, zostawi ją gdzieś na deszczu, aż ją rdza zeżre, zapomni ją zabrać przy zwijaniu obozu albo rzuci w nogach łóżka jakiejś cudzoziemskiej dziwki, a potem będzie się dziwić, że mu ją ukradła, by w nią ubrać jakiegoś Skordyska! A co się stanie, kiedy ci nędzarze nie będą już zdolni do służby w legionach? Nasi żołnierze byli dotąd właścicielami ziemi, mieli domy, do których mogli wrócić, mieli zainwestowane pieniądze, jakiś mały namacalny majątek! Ubodzy weterani natomiast będą stanowić groźbę, bo iluż to z nich oszczędzi coś z pieniędzy płaconych mu przez państwo? Ilu złoży w banku swój udział w łupach? Niewielu. Pod koniec ich płatnej służby okaże się, że nie mają domów, by do nich wrócić, i nie mają środków do życia. Już słyszę, jak mówicie, że to nic dziwnego, bo oni zawsze żyli z dnia na dzień. A jednak, ojcowie spisani, ci wojskowi nędzarze przywykną do tego, że państwo karmi ich, ubiera i daje dach nad głową. Kiedy po zwolnieniu ze służby wszystko to będzie im odebrane, będą narzekać, jak narzeka zła żona, gdy zabraknie jej pieniędzy. Czy mamy wtedy być zobowiązani do płacenia emerytur tym ubogim weteranom?

- Nie wolno do tego dopuścić! Powtarzam, koledzy z senatu, którego jestem przywódcą, że nasza przyszła taktyka musi pozbawiać zębów tych ludzi bez sumienia, którzy zechcą zaciągać Policzonych Głowami. Musimy twardo odmawiać wyłożenia na ich armie choćby jednej sestercji!

Gajusz Mariusz wstał, by odpowiedzieć.

- Nawet w haremie perskiego satrapy, Marku Emiliuszu, trudno by znaleźć bardziej krótkowzroczne i śmieszniejsze nastawienie! Czemu nie chcesz tego zrozumieć? Jeśli Rzym ma utrzymać to, co dziś do niego należy, musi inwestować we wszystkich, także w tych, którzy nie mają prawa głosowania w centuriach! Marnujemy naszych rolników i przedsiębiorców, posyłając ich do walki, zwłaszcza gdy ich oddajemy bezrozumnym dyletantom jak Karbon i Sylan - ach, jesteś tu, Marku Juniuszu? Przepraszam, nic zauważyłem!

- Co jest złego w zapewnieniu sobie usług tej części społeczeństwa, z której Rzym miał dotąd tyle korzyści, ile miałby byk z cycków? Zastrzeżenia do nieco większej hojności przy korzystaniu z zawartości skarbca dowodzą głupoty i krótkowzroczności! Ty, Marku Emiliuszu, jesteś przekonany, że Policzeni Głowami okażą się marnymi żołnierzami. Ja uważam, że będą z nich świetni żołnierze! Czy mamy nadal narzekać, że trzeba im zapłacić? Czy mamy odmówić im gratyfikacji po zakończeniu służby? Tego właśnie chcesz, Marku Emiliuszu.

- Ja jednak wolałbym dopilnować, by państwo wydzieliło Policzonym Głowami działki ziemi, którą mogliby uprawiać albo sprzedać. Byłby to rodzaj emerytury. Byłby to również dopływ świeżej krwi, jakże potrzebny naszym małorolnym, tak ostatnio zdziesiątkowanym. Widać w tym same korzyści dla Rzymu. Czy nie widzicie, szlachetni panowie, że Rzym wzbogaci się tylko wtedy, gdy zechce obdzielić dobrobytem zarówno sprotki,

jak i wieloryby w swym morzu?

Kuria zerwała się z rykiem na nogi, a starszy konsul Lucjusz Kasjusz Longinus uznał, że wskazana jest rozwaga. Zamknął zatem posiedzenie i zwolnił ojców spisanych senatu.

Mariusz i Sulla zaczęli szukać 20.480 piechurów, 5120 nieliniowych obywateli, 4000 nieliniowych niewolników, 2000 kawalerzystów i 2000 nieliniowych obsługi konnicy.

- Ja zajmę się Rzymem, a ty weź Lacjum - mówił Mariusz do Sulli, pomrukując z zadowolenia. - Nie sędzę, by któryś z nas musiał jechać w głąb Italii. Jesteśmy na dobrej drodze, jesteśmy na dobrej drodze mimo wszelkich przeszkód z ich strony. Upoważniłem naszego teścia do rozmów z dostawcami i wytwórcami broni i wezwałem z Afryki jego synów. Możemy ich wykorzystać. Nie nadają się, moim zdaniem, na wodzów, ale jako podwładni będą znakomici: pracowici, zdolni i lojalni.

Wprowadził Sullę do pracowni, gdzie już czekali jacyś dwaj mężowie; senator w wieku przed czterdziestką i chłopak chyba osiemnastoletni. Mariusz przedstawił ich swemu kwestorowi.

- Lucjusz Korneliuszu, oto jest Aulus Manlius, któremu zaproponowałem stanowisko starszego legata.

„Jeden z patrycjuszów Manliuszów”, pomyślał Sulla. „Mariusz rzeczywiście ma wszędzie przyjaciół i klientów”.

- A ten młody człowiek to Kwintus Sertoriusz, syn mojej kuzynki Marii z Nersji, zwanej w rodzinie Ria. Biorę go do swego sztabu.

„Jeden z Sabinów”, pomyślał Sulla, który wiele słyszał o ich przydatności w armii - byli dzielni, nieugięci duchem i nieszablonowo myślący.

- A teraz do roboty - rzekł ów człowiek czynu, który czekał przeszło dwadzieścia lat na okazję wprowadzenia w życie swych pomysłów zreformowania rzymskiej armii.

- Podzielimy się obowiązkami. Ty, Aulusie Manliuszu, odpowiadasz za zgromadzenie mułów, wozów, wyposażenia, nieliniowych i zapasów, od żywności do machin bojowych. Lada dzień będą tu moi szwagrowie, młodzi Cezarowie, którzy będą ci asystować. Chcę, żebyś był gotów odpłynąć do Afryki pod koniec marca. Dostaniesz każdą pomoc, jaka ci będzie potrzebna. Jeśli mogę coś doradzić, zacznij od znalezienia nieliniowych i wybierz najlepszych z nich, żeby wzięli się z tobą do pracy. Zaoszczędzisz pieniędzy i jednocześnie zaczniesz ich szkolenie.

Młody Sertoriusz wpatrywał się w Mariusza jak urzeczony. Sulla, który zdążył już przywyknąć do Mariusza, uznał, że sam Sertoriusz jest urzekający. Nie, żeby go pociągał erotycznie, bo tak nie było, wyczuwało się w nim jednak niezwykłą u kogoś tak młodego siłę charakteru. Fizycznie zapowiadał się na siłacza i może to robiło wrażenie na Sulli, bo choć był wysoki, był też bardzo muskularny, robił więc wrażenie niższego. Miał kwadratową głowę osadzoną na grubym karku i godne uwagi piwne oczy, głęboko osadzone i wyzywające.

- Ja sam zamierzam odpłynąć pod koniec kwietnia z pierwszą grupą żołnierzy - ciągnął Mariusz, patrząc na Sullę. - Na ciebie, Lucjusz

Korneliuszu, spadnie zadanie zorganizowania reszty legionów i znalezienia mi porządnej kawalerii. Gdybyś zdołał tego dokonać i odpłynąć pod koniec Kwinktylisa, byłbym bardzo rad.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do młodego Sertoriusza.

- Co do ciebie, Kwintusie Sertoriuszu, zatrzymam cię na posyłki. Nie mogę pozwolić, by mówiono, że moi krewni snują się i nic nie robią.

Chłopak uśmiechnął się powoli i z namysłem.

- Lubię być na posyłki, Gajuszu Mariuszu!



Policzeni Głowami zaciągali się tłumnie. Rzym nigdy nie widział niczego podobnego. Nikt z senatu nie spodziewał się takiej odpowiedzi po tej części społeczeństwa, o której nigdy nie myślano, chyba tylko w latach nieurodzaju, gdy sprzedawano im tanie zboże, aby uniknąć rozruchów.

W ciągu niewielu dni liczba ochotników spośród obywateli rzymskich osiągnęła 20.480, ale Mariusz nie przerywał zaciągów.

- Jeśli są do wzięcia, weźmiemy ich - mówił do Sulli. - Metellus miał sześć legionów. Nie widzę powodu, czemu i ja nie mógłbym mieć sześciu, zwłaszcza że płaci państwo! To może się nie powtórzyć, jeśli wierzyć drogiemu Skaurusowi, a coś mi się zdaje, że Rzym może potrzebować tych dwóch dodatkowych legionów. Tak czy owak, w tym roku nie rozwinie my kampanii jak należy, lepiej więc skupić się na szkoleniu i ekwipowaniu armii. Dobrze, że tych sześć legionów składać się będzie z obywateli rzymskich, a nie z italskich wojsk posiłkowych. To oznacza, że italscy *proletarii* będą do wzięcia w najbliższych latach i rzymscy Policzeni Głowami także.

Wszystko szło zgodnie z planem, co nikogo nie dziwiło, skoro w namiocie dowodzącego zasiadał Gajusz Mariusz. Pod koniec marca Aulus Manlius płynął już z Neapolu do Utyki z transportowcami pełnymi mułów, balist, katapult, broni, prowiantu i tysięcy innych rzeczy, których potrzebuje uzbrojona po zęby armia. Gdy tylko wylądował w Utyce, transportowce wróciły do Neapolu i zabrały Gajusza Mariusza, który płynął z dwoma tylko ze swoich sześciu legionów. Sulla pozostał w Italii, by doprowadzić do porządku cztery pozostałe legiony i znaleźć kawalerię. Wyruszył po to na północ, do italskiej Galii po drugiej stronie Padu, gdzie werbował pośród Gallo-Celtów, znakomitych konnych wojowników.

W armii Mariusza zaszły też inne zmiany prócz tego, że składała się z Policzonych Głowami. Jako ludzie bez żadnych tradycji służby wojskowej nie mieli oni nic przeciw zmianom. Od lat wiadomo już było, że stara jednostka taktyczna zwana manipulem jest za mała, by sprostać niezdyscyplinowanym wielkim armiom, z którymi często przychodziło walczyć. Trzykrotnie większa od manipułu kohorta stopniowo zastępowała go w praktyce. Nikt jednak oficjalnie nie przegrupował legionów w kohorty zamiast manipułów ani nie przystosował legionowej hierarchii centurionów do systemu kohort. Zrobił to Gajusz Mariusz wiosną i latem swego pierwszego konsulatu. Poza placem defilad manipuł przestał istnieć, kohorta wzięła górę.

Pojawiły się też nieprzewidziane niedogodności wyprowadzenia w pole

armii *proletarii*. Dawni rzymscy żołnierze umieli pisać, czytać i liczyć, nie mieli więc trudności z rozpoznawaniem chorągwi, numerów, liter i symboli.

Armia Mariusza była w większości niepiśmienna. Sulla wprowadził system, w którym każda drużyna, która spała pod jednym namiotem i jadła razem, miała co najmniej jednego człowieka umiejącego czytać i pisać. W zamian za zwierzchnictwo nad kolegami był on zobowiązany nauczyć ich rozróżniania liczb, liter i symboli na sztandarach, a w miarę możliwości także czytania i pisania. Postępy były jednak nikłe. Nauka musiała poczekać do zimowych deszczów, które przerwą kampanię.

Sam Mariusz wymyślił prosty i poruszający serca symbol legionu i dopilnował, by wszyscy szeregowi nauczyli się okazywać mu cześć. Każdy legion otrzymał pięknego srebrnego orła z rozpostartymi skrzydłami na wysokim drzewcu obitym srebrną blachą. Orła nosił *aquilifer* w srebrnej zbroi i lwiej skórze, najlepszy z całego legionu. Mariusz oświadczył, że orzeł jest legionowym symbolem Rzymu, i każdy żołnierz musiał złożyć przysięgę, że raczej zginie, niż dopuści, by orzeł wpadł w ręce wroga.

Wiedział, oczywiście, co robi. Spędziwszy pół życia pod sztandarami, wyrobił sobie zdecydowane opinie i wiedział o wiele więcej o szeregowych żołnierzach niż którykolwiek arystokrata. Jego gminne pochodzenie dało mu znakomitą pozycję do obserwacji, a jego inteligencja pozwoliła mu wyciągnąć właściwe wnioski. Jego osobiste osiągnięcia długo były nie doceniane, a zdolności służyły głównie awansom jego zwierzchników. Czekał bardzo długo na swój pierwszy konsulat - i myślał, myślał, myślał.

Reakcja Kwintusa Metellusa na polityczny wstrząs spowodowany przez Mariusza w Rzymie zadziwiła nawet jego syna. Metellus zawsze był uważany za człowieka rozsądnego i opanowanego, kiedy jednak dowiedział się, że odebrano mu dowództwo w Afryce i dano je Mariuszowi, wpadł w szal, i to na oczach ludzi. Płakał, zawodził, wyrывał sobie włosy z głowy i kaleczył pierś, a wszystko to na rynku w Utyce, wśród tłumu zafascynowanych widowiskiem Punijczyków. Nawet gdy minął pierwszy wstrząs i wycofał się do swej rezydencji, wystarczyło wspomnieć przy nim Mariusza, by wywołać nowy wybuch łez i wiele niezrozumiałych wzmianek o Numancji, o jakiejś trójce i o jakichś świniach. Jednak list od starszego konsula Lucjusza Kasjusza Longina znacznie poprawił mu humor. Spędził kilka dni, organizując demobilizację swoich legionów i zabiegając o ich zgodę na przepisanie w służbę Lucjusza Kasjusza, gdy tylko dopłyną do Italii. Kasjusz pisał, że zamierza działać o wiele więcej, walcząc z Germanami w Galii Zaalpejskiej i Wolkami Tektosagami, niż zdołała w Afryce Mariusz Prostak pozbawiony żołnierzy. Nie wiedząc o rozwiązaniu tego problemu przez Mariusza (dowiedział się o tym dopiero po przybyciu do Rzymu), Metellus opuścił Utykę w końcu marca, zabierając swoje sześć legionów. Wybrał port w Hadrumetum, sto mil na południowy wschód od Utyki, i tam zwlekał, aż usłyszał, że Mariusz przybył do prowincji, by objąć dowództwo. Pozostawił w Utyce Publiusza Rutyliusza Rufusa, który miał tam czekać na Mariusza.

Kiedy więc Mariusz nadpłynął, Publiusz Rutyliusz Rufus powitał go na przystani i formalnie przekazał prowincję.

- Gdzie jest Świński? - spytał Mariusz, kiedy szli do pałacu namiestnika.

- Ugrzązł straszliwie urażony w Hadrumetum ze swymi legionami - westchnął Rufus. - Ślubował Jowiszowi Statorowi, że na ciebie nie spojrzę ani do ciebie nie przemówię.

- Głupiec! - Mariusz wyszczerzył zęby. - Czy dostałeś mój list o *capitecensi* i nowych legionach?

- Oczywiście. I jestem ogłuszony peanami, które wyśpiewuje na twoją cześć Aulus Manliusz. Świetny plan! - Spojrzawszy jednak na Mariusza, Rutyliusz przestał się uśmiechać. - Każą ci zapłacić za twą śmiałość, przyjacielu, i to słono!

- Sam wiesz, że nie mogą. Mam ich dokładnie tam, gdzie chciałem, i przysięgam na wszystkich bogów, że zamierzam ich tam trzymać do końca życia! Zetrę senat na proch, Publiusz Rutyliuszu.

- Nie możesz wygrać. W końcu to senat zetrze cię na proch.

- Nigdy!

Publiusz Rutyliusz nie zdołał go odwieść od tego przekonania.

Utyka wyglądała jak za swych najlepszych czasów. Tynki domów były świeżo pobielone po zimowych deszczach. Było to lśniące i czyste miasto niezbyt wysokich budynków, kwitnących drzew, dusznego gorąca i kolorowo ubranych ludzi. Skwerki i placówki pełne były straganów i stołów. Rosły tu dające cień drzewa, a bruk i płyty chodnikowe były pozamiatane do czysta. Jak większość miast rzymskich, jońskich i punickich, miasto miało kanalizację i system odprowadzenia wód deszczowych, publiczne łaźnie i akwedukty doprowadzające źródlaną wodę z błękitniejących w oddali gór.

- Co zamierzasz robić, Publiusz Rutyliuszu? - spytał Mariusz, gdy już dotarli do tablinum namiestnika i usiedli, ubawieni czołobitnością, z jaką dawni słudzy Metella kłaniali się teraz Mariuszowi. - Chcesz być moim legatem? Nie dałem najwyższego stanowiska Aulusowi Manliuszowi.

Rutyliusz pokręcił przecząco głową.

- Nie, Gajuszu Mariuszu, wracam do domu. Skoro Świński odpływa, moja służba jest skończona. Mam dosyć Afryki. Szczerze mówiąc, nie bawi mnie oglądanie biednego Jugurty w kajdanach, a tak się to musi skończyć, gdy ty objąłeś dowództwo. Chcę odpocząć trochę w Rzymie, napisać parę rzeczy i odnowić stare znajomości.

- A gdybym w niedalekiej przyszłości poprosił cię o ubieganie się o konsulat - wraz ze mną jako twoim kolegą?

Rutyliusz rzucił mu zaskoczone, ale bardzo przenikliwe spojrzenie.

- Cóż to za plany?

- Przepowiedziano mi, Publiusz Rutyliuszu, że będę konsulem ni mniej, ni więcej, tylko siedem razy.

Kto inny roześmiałby się albo zadrwił, albo po prostu nie uwierzył, ale nie Publiusz Rutyliusz. Znał swego Mariusza.

- Jakież wielkie przeznaczenie wyniesie cię ponad równych tobie, a ja nazbyt jestem Rzymianinem, żeby to pochwalać. Nie możesz jednak walczyć z przeznaczeniem, nie bardziej niż ja. Czy chcesz zostać konsulem?

Oczywiście, że chcę. Jestem to winien mojej rodzinie. Daj mi tylko rok wytchnienia, zanim mnie wezwiesz, Gajuszu Mariuszu.

- Daję ci go - rzekł z zadowoleniem Mariusz.

Kiedy wiadomość o wyniesieniu Mariusza na głównodowodzącego dotarła do obu królów, Bokchus przeraził się i natychmiast umknął do Mauretanii, zostawiając Jugurtę sam na sam z Mariuszem. Dezercja teścia nie zrobiła na Jugurcie większego wrażenia, podobnie jak wiadomość o nowej funkcji Mariusza. Werbował Getulów i usiłował zyskać na czasie, pozostawiając inicjatywę Mariuszowi.

Pod koniec czerwca cztery z sześciu legionów były już w prowincji Afryki, a Mariusz był tak zadowolony z postępów ich wyszkolenia, że poprowadził je do Numidii. Zajął się plądrowaniem miast, pustoszeniem ziem uprawnych i staczaniem potyczek. Umożliwił swym skromnym rekrutom otarcie się o wojnę i wykuwał z nich świetną małą armię. Gdy Jugurta poznał liczebność rzymskiej armii i zrozumiał znaczenie tego, że składała się z Policzonych Głowami, postanowił zaryzykować bitwę i odebrać Rzymianom Cyrte.

Mariusz przybył jednak, zanim miasto upadło, nie pozostawiając Jugurcie innego wyjścia niż bitwa. Policzeni Głowami mieli w końcu okazję zawstydzenia swych rzymskich krytyków. Tryumfujący Mariusz pisał potem do senatu, że jego ubodzy żołnierze zachowali się wspaniale, nie walcząc ani odrobinę gorzej przez to, że nie mieli majątków w Rzymie. W istocie armia Mariusza pobiła Jugurtę tak zdecydowanie, że on sam musiał porzucić tarczę i włócznię, by uniknąć pojmania.

Kiedy usłyszał o tym król Bokchus, wysłał poselstwo do Mariusza, błagając, by mu wolno było znów zostać klientem Rzymu. Gdy mu nie odpowiedziano, wysyłał nowe poselstwa. W końcu Mariusz zgodził się przyjąć wysłanników. Zawieźli oni królowi wiadomość, że Mariusz nie zamierza wdawać się z nim w układy na żadnym szczeblu. Bokchus ogryzał paznokcie i zastanawiał się, jak to się stało, że uległ pochlebstwom Jugurty.

Mariusz zajmował się teraz głównie odbieraniem Jugurcie każdej mili kwadratowej zamieszkaney ziemi. Jego celem było uniemożliwienie królowi znajdowanie rekrutów i zapasów w żyznych dolinach rzek i nadbrzeżnych obszarach królestwa i uniemożliwienie mu gromadzenia dochodów. Już tylko wśród Getulów i Garamantów, plemion Berberów z głębi lądu, mógł teraz znaleźć schronienie i żołnierzy oraz bezpieczne zbójownie i skarbcce.

Julilla urodziła w czerwcu słabowitą siedmiomiesięczną dziewczynkę, a w końcu kwinktylisa jej siostra Julia urodziła w przepisowym terminie dużego zdrowego chłopca, braciszka Mariusza Młodszeo. A jednak to mizerne dziecko Julilli przeżyło, a zdrowy synek Julii wkrótce zmarł, gdy letnie wyziewy sekstylista zapuściły swe jadowite macki między wzgórz Rzymu i zaczęła się epidemia malarii.

- Dziewczynka jest chyba zdrowa - mówił Sulla do żony - ale zanim

odpłynę do Afryki, będziesz znowu w ciąży, i tym razem będzie to chłopiec.

Nieszczęśliwa, że dała Sulli kwilącą i wymiotującą wciąż dziewczynkę, Julilla z entuzjazmem przystąpiła do poczynania chłopca. O dziwo, zniosła swą pierwszą ciążę i narodziny córeczki daleko lepiej niż jej siostra Julia, choć była szczupła, niezbyt zdrowa i stale rozdrażniona, podczas gdy Julia, lepiej zbudowana i bardziej odporna emocjonalnie na burze małżeństwa i macierzyństwa, ciężko przeżyła ten drugi raz.

- Mam przynajmniej tę dziewczynkę, którą wyda się w swoim czasie za kogoś przydatnego - mówiła Julilla do Julii jesienią, po śmierci drugiego syna Julii, gdy sama znów już była w ciąży. - Mam nadzieję, że teraz będzie chłopiec.

Miała katar, kichała i wycierała nos w chusteczkę.

Julia, wciąż jeszcze smutna po stracie syna, stwierdziła, że mniej ma cierpliwości i sympatii dla siostry niż dawniej. Zrozumiała w końcu, czemu ich matka Marcja powtarzała ponuro, że Julilla została okaleczona na całe życie.

„To zabawne”, myślała, „że można dorastać z kimś razem i nigdy naprawdę nie zrozumieć, co się z tym kimś dzieje”. Julilla starzała się - nie fizycznie i nawet nie umysłowo - był to raczej jakiś ogromnie destrukcyjny proces duchowy. Głodówka przemieniła ją w jakiś sposób, uniemożliwiła szczęśliwe życie. A może ta dzisiejsza Julilla zawsze tam była, skryta pod chichotaniem i niemądrym zachowaniem, i uwodzicielskimi sztuczkami, które tak czarowały rodzinę?

„Chcemy wierzyć, że to choroba spowodowała przemianę”, pomyślała ze smutkiem. „Potrzebujemy zewnętrznej przyczyny, bo alternatywą jest przyznanie, że choroba zawsze w niej była”.

Julilla zawsze była piękna, ze swym magicznym miodowobursztynowym kolorytem, gracją ruchów, nieskazitelnymi rysami. Teraz jednak wielkie oczy były podkrążone, dwie linie żłobiły twarz między policzkami i nosem, a kąciki ust wyginały się ku dołowi. Tak, wyglądała na zmęczoną, niezadowoloną, niespokojną. W jej wypowiedzi wkradła się nuta narzekania. Wzdychała ciężko, co było bardzo irytujące, podobnie jak i jej skłonność do pociągania nosem.

- Czy masz może jakieś wino? - spytała nagle Julilla.

Julia zamrugała zaskoczona i nieco zgorzozna, i zła na siebie za tak świętoszkowatą reakcję. „W końcu kobiety piją w naszych czasach wino i nie uważa się tego za oznakę moralnego upadku”.

Kiedy jednak twoja młodsza siostra, zaledwie dwudziestoletnia i do tego wychowana w domu Gajusza Juliusza Cezara, prosi o wino z rana, nie przy posiłku i nie w obecności mężczyzny - tak, to jest wstrząs!

- Oczywiście, że mam wino.

- Wypiłabym czarę - powiedziała Julilla. Długo się wahała. Nie jest miło narażać się na dezaprobatę starszej siostry... Nie mogła się jednak powstrzymać. Rozmowa była trudna, tym bardziej że długo odkładana.

Julilla przekonała się ostatnio, że nie ma cierpliwości do swej rodziny, że nie interesują jej oni, że ją nudzą - zwłaszcza podziwiana Julia, żona

konsula, która nagle stała się jedną z najbardziej szanowanych młodych matron. Nigdy nie zrobiła jednego fałszywego kroku. Była zadowolona ze swego losu i zakochana w swoim okropnym Mariuszu. Wzorowa żona i wzorowa matka - co za nudziarstwo!

- Pijacie przed południem wino? - spytała Julia.

Odpowiedziało jej wzruszenie ramion, drżenie rąk, spojrzenie, z jakim Julilla przyjęła przytyk, choć nie potraktowała go poważnie.

- Cóż, Sulla pije i lubi mieć towarzystwo.

- Sulla? Zwracasz się do niego, używając *cognomen*?

Julilla roześmiała się.

- Julio, jesteś staroświecka! Oczywiście, używam jego przydomka. Nasz dom to nie kuria senatu. Wszyscy teraz używają przydomków, to najmodniejsze. Sulla zresztą lubi, kiedy go tak nazywam. Mówi, że kiedy zwracają się do niego „Lucjuszu Korneliuszu”, czuje się, jakby miał tysiąc lat.

- Chyba rzeczywiście jestem staroświecka - powiedziała Julia. Nagły uśmiech rozjaśnił jej twarz i dorzuciła: - Ale mam wymówkę: przecież Gajusz Mariusz nie ma przydomka!

Podano wino. Julilla naląła sobie puchar, ignorując alabastrowy dzban z wodą.

- Często się nad tym zastanawiałam - powiedziała i upiła spory łyk.

- Kiedy pobije Jugurte, z pewnością znajdzie sobie jakiś dobry przydomek. Czy dasz wiarę, że ten skwaszony pyszałek Metellus namówił senat na przyznanie mu tryumfu i przybrał przydomek Numidicus! Numidyjskiego powinno się zachować dla Mariusza!

- Metellowi Numidyjskiemu przysługuje tryumf, Julillo. - Julia trzymała się ściśle faktów. - Zabił wystarczająco wielu Numidyjczyków i przywiózł odpowiednią ilość łupów. Jeśli chce nosić przydomek Numidyjski, a senat mu na to pozwala, sprawa jest przesądzona. Gajusz Mariusz stale zresztą powtarza, że wystarczy mu rodowe nazwisko. Jest tylko jeden Gajusz Mariusz, gdy Cecyliuszy Metellów jest z tuzin. Mój mąż nie chce odróżniać się od stada przydomkiem. On chce być Pierwszym w Rzymie dzięki swej wyższości nad innymi.

Julia, wychwalająca Gajusza Mariusza, wydawała się nie do zniesienia. Uczucia Julilli do szwagra stanowiły mieszaninę zrozumiałej wdzięczności za jego hojność i wzgardy przejętej od nowych przyjaciół. Wszyscy oni gardzili nim jako parweniuszem, a w konsekwencji pogardzali i jego żoną. Julilla napełniła ponownie kielich i zmieniła temat rozmowy.

- Niezłe wino, siostró. Mariusz ma zresztą pieniądze, by sobie na nie pozwalać.

Piła już nie tak łapczywie jak przedtem.

- Kochasz Mariusza? - spytała, nagle zdając sobie sprawę, że tego nie wie.

Rumieniec! Julia nie była zadowolona, że się zdradziła.

- Oczywiście, że go kocham, i bardzo mi go brak, skoro już o tym mowa. Chyba nie ma w tym nic złego? Czy ty nie kochasz Lucjusza Korneliusza?

- Kocham - teraz Julilla znalazła się w defensywie - ale nie odczuwam

jego braku. Po pierwsze, jeśli go nie będzie przez dwa albo trzy lata, nie zajdę w ciążę zaraz po urodzeniu tego dziecka. - Pociągnęła nosem. - Chodzić z brzuchem i ważyć o talent więcej niż zwykle, to nie jest mój ideał szczęścia. Wolę być lekka jak piórko. Ostatnio stale jestem w ciąży albo tuż po ciąży.

Julia zachowała opanowanie.

- To twoje zajęcie być w ciąży - rzekła chłodno.

Julilli zaczęło się zbierać na płacz.

- Czemu kobiety nie mogą sobie wybierać zajęcia?

- Ach, nie bądź śmieszna - parsknęła Julia.

- To przecież okropne żyć cudzym życiem - buntowała się Julilla. Wino w końcu podziałało. Zdobyła się na uśmiech. - Nie kłóćmy się, Julio. Wystarczy, że mama nie może się zdobyć na to, żeby mnie lepiej traktować.

Julia przyznała, że to prawda. Marcja nigdy nie wybaczyła Julilli sprawy z Sulla, choć trudno było zgadnąć, dlaczego. Chłód ojca trwał ledwie parę dni. Potem traktował ją ciepło i serdecznie i z radością patrzył na poprawę jej zdrowia. Oziębłość matki pozostała. Biedna Julilla! Czy Sulla naprawdę lubi pić z nią wino przed południem, czy była to tylko wymówka? „Sulla”, też coś! To brak szacunku.

Sulla przybył do Afryki pod koniec pierwszego tygodnia września z dwoma ostatnimi legionami i dwoma tysiącami celtyckich kawalerzystów z italskiej Galii. Zastał Mariusza w wirze przygotowań do wielkiej wyprawy w głąb Numidii. Został serdecznie powitany i natychmiast wciągnięty do roboty.

- Zmusiłem Jugurtę do ucieczki - mówił z tryumfem Mariusz - i to z niepełną armią. Teraz, kiedy tu jesteś, zobaczymy jakąś prawdziwą akcję.

Sulla przekazał listy od Julii i od Gajusza Juliusza Cezara, a potem zebrał się na odwagę i złożył Mariuszowi kondolencje po śmierci drugiego syna, którego ojciec nawet nie oglądał.

- Przyjmij wyrazy współczucia z powodu zgonu małego Marka Mariusza.

Czuł się niezręcznie, bo jego szczeropodobna córeczka, Kornelia Sulla, uparcie trzymała się życia.

Po twarzy Mariusza przebiegł cień, przegnany wysiłkiem woli.

- Dziękuję, Lucjuszu Korneliuszu. - Jeszcze czas, by mieć więcej dzieci, i mam przecież Mariusza Młodsze. Czy moja żona i syn byli zdrowi, gdy wyjeżdżałeś?

- Czuli się świetnie. Reszta rodziny Cezarów również.

- To dobrze.

Zakończywszy sprawy prywatne, Mariusz rzucił kolczugę na stołek i przeszedł do roboczego stołu, gdzie leżała wielka mapa Numidii malowana na cielej skórze.

- Przybywasz w samą porę, żeby poznać z pierwszej ręki Numidię. Za osiem dni ruszamy na Kapsę. - Bystre piwne oczy przyjrzały się twarzy Sulli, oblażonej ze skóry i pokrytej plamami. - Radzę ci poszukać na rynku

porządnego kapelusza z szerokim rondem. Widać, że przez całe lato jeździłeś po Italii, ale słońce Numidii jest jeszcze ostrzejsze. Spali cię na węgiel.

Biała cera Sulli, który niewiele w życiu przebywał na słońcu, mocno ucierpiała w czasie podróży po Italii, szkolenia żołnierzy i uczenia się przy tym samemu bez budzenia podejrzeń. Duma nie pozwalała mu kryć się w cieniu, gdy inni wystawiali się na słońce. Ta sama duma kazała mu nosić attycki hełm, oznakę wysokiej godności, nie dający żadnej ochrony przed słońcem. Najgorsze już minęło, ale zaleczone miejsca były białe jak zawsze. Ramiona wyglądały lepiej. Być może ręce i nogi zdołają znieść atak słońca, ale twarz nigdy!

Mariusz wywnioskował niejedno z reakcji Sulli na wzmiankę o kapeluszu. Usiadł i wskazał tacę z winem.

- Musisz wiedzieć, że śmiano się ze mnie z różnych powodów, odkąd w wieku siedemnastu lat wstąpiłem do legionów. Najpierw byłem zbyt chudy i niewyrośnięty. Potem byłem zbyt wielki i niezdarny. Nie znam wcale greki. Jestem Italczykiem, a nie Rzymianinem. Rozumiem, że wstydzisz się przyznać, że masz wrażliwą skórę, ale dla mnie, twego dowódcy, ważniejsze jest, żebyś był zdrowy i dobrze się czuł, niż żebyś wyglądał jak należy. Kup sobie ten kapelusz, przywiąż go szalem albo wstążką, albo purpurowożłotym sznurem, jeśli taki znajdziesz, i śmieję się z innych. Niech myślą, że jesteś dziwakiem. Wkrótce przestaną to zauważać. Radzę ci też znaleźć jakiś olejek czy maść, chroniące przed promieniami słońca. Mogą to nawet być wonności, cóż z tego?

Sulla skinął głową i uśmiechnął się.

- Masz rację. To dobra rada i tak zrobię.

- Świetnie.

Zapadło milczenie. Mariusz był spięty i niespokojny, ale Sulla czuł, że nie ma to związku z nim. I nagle zrozumiał powód - czyż sam nie walczył z przygnębieniem? Czy nie tak było z całym Rzymem?

- Germanowie? - spytał.

- Germanowie - potwierdził Mariusz i sięgnął po puchar z rozcieńczonym winem. - Skąd przychodzą i dokąd zmierzają?

Dreszcz przeszedł Sulle. - Zmierzają do Rzymu, to wszyscy wiemy. Nie wiemy, skąd przychodzą. Być może jest to objawienie się Nemezis. Wiemy, że nie mają domu. Obawiamy się, że chcą zamieszkać w naszym.

- Byliby głupi, gdyby nie chcieli - rzekł posępnie Mariusz. - Te napaści na Galię były celowe, Lucjuszu Korneliuszu. Oni po prostu grali na zwłokę, zbierali się na odwagę. Mogą sobie być barbarzyńcami, ale nawet najgłupszy barbarzyńca wie, że musi rozprawić się z Rzymem, jeśli chce zamieszkać nad Środkowym Morzem. Germanowie przyjdą.

- Zgadza się z tobą. To obecnie powszechne uczucie, obawa i wielka troska, strach przed czymś nieuchronnym. Nasze porażki nie pomagają z tym walczyć. Wszystko sprzyja Germanom. Nawet w senacie są tacy, którzy rozprawiają o naszej zgubie, jakby się już dokonała. Są tacy, którzy mówią, że Germanowie to wyrok bogów.

Mariusz westchnął.

- To nie wyrok, a próba. - Odstawił puchar. - Powiedz mi, co wiesz o Lucjuszu Kasjuszu. Wiadomości oficjalne są tak spreparowane, że nic z nich nie wynika.

Sulla skrzywił się.

- Cóż, zabrał sześć legionów, które wróciły z Afryki z Metellem - nawiasem mówiąc, jak ci się podoba „Numidyjski”? - i pomaszerował po Via Domitia do Narbo. Dotarł tam na początku Kwinktylisa, po ośmiu tygodniach marszu. To byli dobrzy żołnierze i mogli iść szybciej, ale mu nie mają za złe, że dał im odpocząć przed ciężką kampanią. Metellus nie zostawił w Afryce nikogo, więc legiony Kasjusza miały po dwie kohorty ponad stan. Miał blisko czterdzieści tysięcy piechurów i sporo jazdy, którą jeszcze powiększył o Galów - razem trzy tysiące. To była wielka armia.

- I dobrzy żołnierze - mruknął Mariusz.

- Wiem. Widziałem, jak szli doliną Padu do przełęczy Mons Genava. Prowadziłem tam zaciągi jazdy. Nie uwierzysz, ale nigdy przedtem nie widziałem rzymskiej armii w marszu, jak idą szereg za szeregiem, wszyscy uzbrojeni jak należy i z porządnym taborem. Nigdy nie zapomnę tego widoku! - Westchnął. - Tak czy owak... Germanowie dogadali się z Wolkami Tektosagami, którzy ogłosili się ich pobratymcami i oddali im kraj na północ i na wschód od Tolosy.

- Przyznaję, że Galowie są prawie tak samo zagadkowi jak Germanowie - Mariusz pochylił się ku przodowi - ale nie należą do tej samej rasy. Jak mogą być pobratymcami? Czy Wolkowie nie są długowłosymi Galami i czy nie żyli wokół Tolosy jeszcze zanim zajęliśmy Hiszpanię? Handlowali z nami. Skąd ta zmiana?

- Nie wiem. Nikt tego nie wie.

- Przepraszam, że przerwałem, Lucjuszu Korneliuszu. Mów dalej.

- Lucjusz Kasjusz odmaszerował spod Narbo drogą, którą zbudował Gnejusz Domicjusz, i ustawił armię w szyku bojowym pod Tolosą. Wolkowie połączyli się z Germanami, więc staliśmy naprzeciw potężnych sił wroga. Lucjusz Kasjusz zmusił ich jednak do bitwy w dobrze wybranym miejscu i sprawił im tęgie baty. Gdy zaczęli przegrywać, nie czekali długo, jak to barbarzyńcy. Germanowie i Galowie uciekli spod Tolosy przed naszą armią.

Urwał, zmarszczył brwi, upił trochę wina i odstawił puchar.

- Wiem to od samego Popiliusza Lenasa. Przywieźli go morzem z Narbo tuż przed moim odpłynięciem.

- Biedaczysko. Będzie kozłem ofiarnym senatu.

- Oczywiście. - Sulla uniósł rude brwi.

- Doniesienia mówią, że Kasjusz poszedł za uciekającymi barbarzyńcami - ponaglił go Mariusz.

Sulla skinął głową.

- Tak było. Szli po obu brzegach Garumny ku oceanowi. Kiedy Kasjusz widział ich, opuszczających Tolosę, byli w zupełnej rozsypce, jak można się było spodziewać. Chyba nimi gardził jako tępymi barbarzyńcami, bo nawet nie uszykował naszej armii, ruszając w pościg.

- Nie ustawił legionów w obronnym szyku marszowym? - spytał z

niedowierzaniem Mariusz.

- Nie. Potraktował pościg jak zwykły marsz i zabrał z sobą cały tabor wraz z łupem, który porzucili na wozach Germanowie. Jak wiesz, nasza rzymska droga kończy się w Tolosie, więc marsz wzdłuż Garumny po terytorium wroga był powolny, a Kasjusz troszczył się głównie o tabor.

- Czemu go nie zostawił w Tolosie?

Sulla wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej nie dowierzał Wolkom Tektosagom, których część pozostała w Tolosie. W każdym razie, zanim doszedł wzdłuż Garumny do Burdigali, Germanowie i Galowie mieli piętnaście dni, by ochłonać. Okopali się w Burdigali, która jest znacznie większa niż zwykłe galijskie *oppidum* i dobrze ufortyfikowana, nie mówiąc już o tym, że pełna broni. Miejscowi nie chcieli mieć u siebie rzymskiej armii, popierali więc Germanów i Galów na wszelkie sposoby, dostarczając im ludzi i obiecując Burdigalę. A potem zastawili na Lucjusza Kasjusza bardzo sprytną zasadzkę.

- Głupiec - rzekł Mariusz.

- Nasza armia obozowała na wschód od Burdigali, a gdy Kasjusz postanowił podejść, by uderzyć na *oppidum*, pozostawił w obozie tabor pod strażą połowy legionu - to jest pięciu kohort - muszę się wreszcie nauczyć terminologii.

- Nauczysz się - uśmiechnął się Mariusz. - Mów dalej.

- Kasjusz był chyba przekonany, że nie napotka zorganizowanego oporu, bo maszerował, nie zacieśniwszy szyków, nie sformował kwadratów i nie wysłał zwiadowców. Cała nasza armia wpadła w pułapkę. Germanowie i Galowie dosłownie nas unicestwili. Kasjusz padł na polu bitwy i jego starszy legat także. Popiliusz Lenas ocenia liczbę naszych poległych na trzydzieści pięć tysięcy.

- Popiliusz Lenas dowodził, jak sądzę, obozem i taborem?

- Tak jest. Słyszał hałas z pola bitwy, bo leciał on z wiatrem całe mile. Dowiedział się jednak o klęsce dopiero wtedy, gdy garść naszych dobiegła do obozu. Potem nie pojawił się już nikt, nadeszli natomiast Germanowie i Galowie. Były ich ponoć tysiące i tysiące. Kołowali wokół obozu jak plaga myszy na klepisku przy młócce. Nie było widać ziemi, tylko ruchomą masę barbarzyńców w szale zwycięstwa potrząsających głowami Rzymian zatkniętymi na włócznie i wrzeszczących bojowe pieśni. Wszyscy oni byli olbrzymami o włosach nastroszonych przy użyciu gliny albo zwisających w grubych warkoczach na ramiona. Lenas mówi, że widok był straszliwy.

- Zobaczymy więcej takich, Lucjuszu Korneliuszu - rzekł ponuro Mariusz. - Mów dalej.

- To prawda, że Lenas mógł stawiać opór, ale po co? Wydało mu się, że ocalenie szczątków armii ma sens, i to właśnie zrobił. Wywiesił białą flagę i wyszedł na spotkanie z ich wodzami z włócznią odwróconą w dół i pustą pochwą od miecza. Oszczędzili go i wszystkich naszych, którzy przeżyli. Żeby nam pokazać, jak marnym jesteśmy dla nich łupem, zostawili nam nawet tabor. Zabrali tylko swoje skarby, które wiózł Kasjusz. - Nabrał tchu.
- Zmusili jednak Popiliusza Lenasa i pozostałych do przejścia pod

jarzmem. Potem eskortowali ich aż do Tolosy i upewnili się, że idą dalej do Narbo.

- Trochę za często przechodzimy ostatnio pod jarzmem - powiedział Mariusz, zaciskając pięści.

- To jest właśnie główny powód oburzenia wszystkich na Popiliusza Lenasa. Jest oskarżony o zdradę stanu, ale po tym, co mi mówił, wątpię, czy stanie przed sądem. Zamierza chyba zabrać, co ma cenniejszego, i od razu iść na wygnanie.

- Całkiem rozsądnie, bo w ten sposób ocali coś niecoś ze swej katastrofy. Gdyby czekał na proces, państwo skonfiskowałyby mu łup. - Mariusz uderzył pięścią w mapę. - Los Lucjusza Kasjusza nie będzie naszym losem, Lucjuszu Korneliuszu. Tym czy innym sposobem wdepczemy Jugurtę w błoto, a potem wrócimy do kraju i zażądamy od ludu dowództwa w wojnie z Germanami!

- To jest coś, Gajuszu Mariuszu, za co warto wypić! - rzekł Sulla, wznosząc puchar.

Wyprawa na Kapsę udała się nad wszelkie spodziewanie, ale - co przyznawali wszyscy - tylko dzięki przebiegłości Mariusza. Jego legat Aulus Manlius, którego kawalerii Mariusz nie ufał, bo służyli w niej Numidyjczycy głoszący się stronnikami Rzymu i Gaudy, dał swym ludziom do zrozumienia, że wyprawa wyrusza zdobywać prowiant. Ta wiadomość całkowicie zmyliła Jugurtę. Mariusz pojawił się ze swą armią pod Kapsą, kiedy król sądził, że jest on o sto mil dalej. Nikt nie doniósł mu wcześniej, że Rzymianie gromadzą wodę i zboże na pustynnym szlaku znad rzeki Bagradas do Kapsy. Kiedy ta rzekomo niezdojta twierdza ujrzała pod murami morze rzymskich hełmów, jej mieszkańcy poddali się bez walki, ale Jugurta znów zdołał uciec.

Mariusz zdecydował, że trzeba dać nauczkę Numidii, a zwłaszcza Getulom. Mimo więc że Kapsa nie stawiała oporu, pozwolił żołnierzom łupić ją, gwałcić i palić. Wszyscy dorośli obojga płci poszli pod miecz. Skarbiec, a w nim wielki skarb Jugurty, załadowano na wozy. Armia wróciła na zimowe leża pod Utyką na długo przed nadejściem deszczów.

Policzeni Głowami zasłużyli na wypoczynek. Mariusz z wielką przyjemnością napisał słodki list do senatu (który miał być odczytany przez Gajusza Juliusza Cezara), chwalać ducha, odwagę i morale swej Policzonej Głowami armii, nie oparł się też pokusie i dodał, że w wyniku przerażająco złego dowodzenia jego kolegi konsula Lucjusza Kasjusza Rzym będzie potrzebował kolejnych armii *capitecensi*.

Pod koniec roku Publiusz Rutyliusz Rufus pisał do Gajusza Mariusza:

„Ileż tam było czerwonych twarzy! Twój teść wykrzyczał twoje przesłanie prawdziwie stentorowym głosem, więc nawet ci, którzy zatykali uszy, musieli go wysłuchać. Metellus Świński, znany też ostatnio jako Numidyjski, wyglądał, jakby chciał kogoś zamordować. I nic dziwnego - jego dawna armia leży nad Garumną, a twoja hałastra to bohaterowie. Słyszałem, jak mówił: - Nie ma sprawiedliwości! - Odwróciłem się i powiedziałem: - To prawda, Kwintusie Cecyliuszu, bo gdyby była, nie

nazywałbyś się Numidyjski!

Nie rozbawiło go to, ale Skaurus wybuchnął śmiechem. Mów, co chcesz, ale on ma największe poczucie humoru ze wszystkich znanych mi ludzi, nie mówiąc o wyczuciu śmieszności. Nie powiedziałbym tego o żadnym z jego przyjaciół. Czasem myślę, że dobiera ich sobie po to, żeby się z nich po cichu śmiać.

Co mnie zdumiewa, Gajuszu Mariuszu, to moc twojej szczęśliwej gwiazdy. Wiem, że się o to nie martwiłeś, ale myślałem, iż nie masz szans na przedłużenie namiestnictwa prowincji Afryki. I cóż się stało? Lucjusz Kasjusz zginął z najlepszą i największą rzymską armią, pozostawiając senat i jego czołowe stronnictwo niezdolnymi do stawiania ci oporu. Twój trybun ludowy Mancinus udał się do Zgromadzenia Ludowego i bez kłopotu uzyskał uchwałę przedłużającą twoje namiestnictwo. Senat siedział cicho, bo nawet dla nich jest oczywiste, że się bez ciebie nie obejdą. Rzym jest teraz bardzo niespokojnym miejscem. Zagrożenie ze strony Germanów wisi nad nim jak miecz przeznaczenia i nie brak ludzi mówiących, że nikt nie zdoła odwrócić tego przeznaczenia. - Gdzie jest nowy Scypion Afrykański, Emiliusz Paulus, Scypion Emilianus? - pytają. Masz jednak grono oddanych stronników, a od śmierci Kasjusza powtarzają oni coraz głośniej, że jesteś tym, który odwróci germańską nawałę. Jest wśród nich oskarżony o zdradę legat spod Burdigali, Gajusz Popiliusz Lenas.

Ponieważ jesteś italskim prostakiem, który wcale nie zna greki, opowiem ci pewną bajeczkę.

Był sobie kiedyś w Syrii bardzo zły i brzydki król imieniem Antioch. Nie będąc pierwszym królem Syrii o takim imieniu ani też największym (to jego ojciec kazał się nazywać Antiochem Wielkim), nosił przy imieniu numer. Był Antiochem IV, czwartym królem Syrii Antiochem. Choć Syria była bogatym królestwem, król Antioch IV pożył sąsiedniego królestwa Egiptu, w którym panowali wspólnie jego kuzynowie: Ptolemeusz Filometor, Ptolemeusz Eurgetes Brzuchacz i Kleopatra (druga z kolei Kleopatra, ona też nosiła numer przy imieniu i znano ją jako Kleopatę II). Chciałbym móc powiedzieć, że panowali w szczęśliwej harmonii, ale tak nie było. Bracia i siostra, mąż i żona (tak, w królestwach Wschodu kazirodztwo jest dopuszczalne) walczyli między sobą przez całe lata i prawie udało im się zrujnować piękny i żyzny kraj nad wielką rzeką Nil. Kiedy więc król Syrii Antioch IV postanowił podbić Egipt, sądził, że łatwo mu to przyjdzie.

Niestety, gdy tylko odwrócił się plecami do Syrii, kilka nieprzyjemnych wydarzeń zmusiło go do powrotu. Musiał ścinać kilka głów, odrębać pewną liczbę rąk i nóg, powyrywać trochę zębów i zapewne rozedrzeć czyjeś tam łono. Minęły cztery lata, zanim odpowiednie głowy, ręce, nogi, zęby i łona odebrano ich posiadaczom, a Antioch IV mógł znów przystąpić do podboju Egiptu. Tym razem Syria była w czasie jego nieobecności cicha i posłuszna, więc król Antioch IV najechał Egipt, zajął Peluzjum, pomaszerował Deltą do Memfis, zajął je i ruszył drugą stroną Delty na Aleksandrię.

Bracia Ptolemeusze i ich siostra-żona Kleopatra II nie mieli innego

wyjścia, niż wezwać na pomoc Rzym, najlepszy i największy z wszystkich narodów. Senat i lud rzymski (w lepszej zgodzie wówczas, niżbyś uwierzył - tak przynajmniej mówią baśnie) wysłali na ratunek Egiptu dzielnego męża konsularnego Gajusza Popiliusza Lenasa. Każdy inny kraj dałby swemu bohaterowi armię. Senat i lud rzymski dali Gajuszowi Popiliuszowi Lenasowi tylko dwunastu liktorów i dwóch urzędników. Było to jednak poselstwo do innego kraju, więc liktorzy mogli nosić czerwone tuniki i włożyć topory we wiązki różeg, zatem Popiliusz Lenas nie był całkiem bezbronny. Popłynęli niewielkim statkiem i przybyli do Aleksandrii właśnie wtedy, gdy król Antioch IV podszedł pod to wielkie miasto ku przerażeniu Egipcjan.

Gajusz Popiliusz Lenas wyszedł z Aleksandrii przez Bramę Słońca w todzie z purpurowym szlakiem i poprzedzany przez dwunastu liktorów w szkarłatnych strojach, niosących we wiązkach różeg topory. Nie był już młody, podpierał się wysoką laską, a szedł równie spokojnym krokiem, jak spokojną miał twarz. Ponieważ jedynie dzielni i szlachetni Rzymianie budują porządne drogi, wkrótce musiał iść w głębokim piasku. Czy to go zatrzymało? Nie! Szedł dalej, aż przy wielkim hipodromie, w którym Aleksandryjczycy oglądają wyścigi konne, natrafił na mur syryjskich żołnierzy i musiał się zatrzymać.

Król Antioch IV wyszedł mu na spotkanie.

- Rzym nie ma czego szukać w Egipcie! - powiedział, robiąc okropnie groźną minę.

- Syria też nie ma czego szukać w Egipcie - powiedział Gajusz Popiliusz Lenas, uśmiechając się pogodnie i miło.

- Wracaj do Rzymu - powiedział król.

- Wracaj do Syrii - powiedział Gajusz Popiliusz Lenas.

Ale żaden nie ruszył się na krok.

- Obrażasz senat i lud rzymski - rzekł Gajusz Popiliusz Lenas, wpatrując się od pewnej chwili w zawziętą twarz króla. - Mam polecenie, by ci kazać zawrócić do Syrii.

Król zaczął się śmiać i długo nie mógł skończyć.

- A jak mnie zmusisz do powrotu? - spytał. - Gdzie jest twoja armia?

- Nie potrzebuję armii, królu Antiochu IV - odrzekł Gajusz Popiliusz Lenas. - Stoi przed tobą to wszystko, czym Rzym jest, był i będzie. Ja jestem Rzymem i zarazem największą rzymską armią. I w imieniu Rzymu powiadam ci jeszcze raz: wracaj do domu!

- Nie - rzekł król Antioch IV.

Wówczas Gajusz Popiliusz Lenas wystąpił naprzód i spokojnym ruchem nakreślił końcem laski koło na piasku wokół nóg króla Antiocha.

- Zanim wyjdiesz z tego kręgu, królu Antiochu IV, radzę ci się dobrze zastanowić. A kiedy wyjdiesz, wyjdź na wschód i wracaj do Syrii.

Król nie rzekł nic. Król ani drgnął. Gajusz Popiliusz Lenas nie rzekł nic. Gajusz Popiliusz Lenas ani drgnął. Był Rzymianinem, więc nie ukrywał twarzy i wszyscy mogli oglądać jego miłe, poważne oblicze. Król Antioch IV ukrywał twarz za kędzierzawą sztuczną brodą, lecz nie zdołał ukryć, że stoi jak rażony piorunem. Czas płynął. A potem, wciąż stojąc w kręgu,

potężny król Syrii odwrócił się ku wschodowi, wyszedł na wschód i odmaszerował do Syrii razem z wojskami.

Kierując się przedtem do Egiptu, król Antioch IV najechał i podbił Cypr. Cypr był potrzebny Egipcjom jako źródło dostaw drewna budowlanego i okrętowego oraz miedzi. Opuściwszy wiwatującą na jego cześć Aleksandrię, Gajusz Popiliusz Lenas popłynął na Cypr. Został tam syryjskie wojska okupacyjne.

- Wracajcie do domu - powiedział im.

I wrócili.

Gajusz Popiliusz Lenas wrócił do Rzymu, gdzie opowiedział z prostotą i powagą, że odesłał króla Antiocha IV do Syrii i wybawił Egipt i Cypr od złego losu.

Chciałbym móc zakończyć moją bajeczkę słowami, że Ptolemeusze ze swą siostrą Kleopatrami żyli potem i panowali szczęśliwie, ale tak nie było. Nadal walczyli między sobą, mordowali swoich krewnych i rujnowali kraj.

Już słyszę, jak pytasz, czemu, na wszystkich bogów, opowiadam ci dziecinne bajki. To proste, mój drogi Mariuszu. Ileż to razy wysłuchiwałeś u kolan twej matki opowieści o Gajuszu Popiliuszu Lenasie i o kręgu wokół stóp króla Syrii? Może zresztą w Arpinum matki nie opowiadają tej właśnie. W Rzymie jest to klasyka. Od najwyższych do najniższych, każde rzymskie dziecko wysłuchiwało opowieści o Gajuszu Popiliuszu Lenasie i o kole na piasku.

Jakże więc mógł prawnuk bohatera spod Aleksandrii pójść na wygnanie, nie ryzykując wszystkiego i nie stając przed sądem? Iść dobrowolnie na wygnanie, to tyle, co przyznać się do winy - a ja pierwszy jestem zdania, że nasz Gajusz Popiliusz Lenas postąpił rozsądnie pod Burdigalą. Skończyło się na tym, że nasz Gajusz Popiliusz Lenas został w Rzymie i stanął przed sądem.

Trybun ludowy Gajusz Celiusz Kaldus (działający z ramienia pewnej klikki senatorów, która pozostanie bezimienna - ale wolno ci zgadywać - klikki zdecydowanej obarczyć winą za Burdigalę każdego, byle nie Lucjusza Kasjusza) ślubował, że doprowadzi do skazania Lenasa. Ponieważ jednak jedyny nasz trybunał specjalny zajmuje się tylko kontaktami z Jugurtą, ten proces musiał się odbyć przed Zgromadzeniem Centurialnym. Rzecznik każdej centurii wykrzykiwał jej werdykt na oczach całego świata. CONDEMNO!, ABSOLVO! Czy ktoś, kto słuchał u kolan matki opowieści o Gajuszu Popiliuszu Lenasie i o kole na piasku, ośmieliłby się krzyknąć CONDEMNO!?

Czy to jednak powstrzymało Kaldusa? Oczywiście, że nie. Zgłosił w Zgromadzeniu Ludowym projekt ustawy wprowadzającej tajne głosowanie także w procesach o zdradę stanu. Dzięki temu wezwane do głosowania centurie miały mieć zapewnioną anonimowość. Ustawa przeszła i wszystko zdawało się na dobrej drodze.

Zaraz na początku grudnia Gajusz Popiliusz Lenas stanął przed Zgromadzeniem Centurialnym oskarżony o zdradę stanu. Głosowanie było tajne, jak sobie tego życzył Kaldus. Zrobiliśmy tylko tyle, że kilku z nas przeszło przez to gigantyczne zgromadzenie, szepcząc: - Był sobie raz pewien

dzielny i szlachetny mąż konsularny, Gajusz Popiliusz Lenas... - I to był koniec całej sprawy.

Kiedy policzono głosy, wszystkie mówiły ABSOLVO!

Można by więc powiedzieć, że jeśli dokonana się sprawiedliwość, zaczęło się to w pokoju dziecięcym”.



PUBLIUSZ RUTYLIUSZ RUFUS



ROK PIĄTY (106 p.n.e.)



ZA KONSULATU KWINTUSA SERWILIUSZA CEPIONA I GAJUSZA ATYLIUSZA SERRANA

Kwintus Serwiliusz Cepion otrzymał polecenie wymarszu przeciw Wolkom Tektosagom i ich germańskim gościom znów usadowionym pod Tolosą. Spodziewał się zresztą, że je dostanie. Odbyło się to w dniu Nowego Roku na zebraniu senatu w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego po uroczystości inauguracji konsulatu. Wygłaszając jako nowy starszy konsul swoją pierwszą mowę, oświadczył zgromadzonym tłumnie senatorom, że nie posłuży się rzymską armią nowego rodzaju.

- Użyję tradycyjnych żołnierzy Rzymu, a nie Policzonych Głowami biedaków - powiedział pośród wiwatów i szalonych owacji.

Byli oczywiście senatorowie, którzy nie wiwatowali. Nie było tak, że Gajusz Mariusz jest osamotniony, a senat całkowicie mu nieprzyjazny. Sporo ludzi z tylnych ław było w stanie pojąć logikę rozumowania Mariusza. Nawet pośród wielkich rodów byli ludzie niezależnie myślący. Politykę senatu dyktowali jednak konserwatyści zasiadający w pierwszym rzędzie kurii wokół pierwszego senatora Skaurusa. Kiedy oni wiwatowali, wiwatował senat, a kiedy głosowali za czymś, senat głosował za tym samym.

Należał do nich i Kwintus Serwiliusz Cepion. Wymogli oni na ojciec spisanych przyznanie mu armii w sile ośmiu legionów, by pouczył Germanów, że nie są mile widziani w krajach nad Morzem Środkowym, a Wolków Tektosagów, że zapraszanie Germanów nie popłaca.

Cztery tysiące żołnierzy Lucjusza Kasjusza powróciło do służby, zginęli jednak prawie wszyscy nieliniowi z legionów, a jazda rozjechała się do swoich krajów, zabierając swe konie i nieliniowych. Kwintusa Serwiliusza Cepiona czekało zatem niełatwe zadanie znalezienia 41.000 piechurów, 12.000 nieliniowych obywateli, 8000 nieliniowych niewolników, 5000 kawalerzystów i 5000 nieliniowych obsługi konnicy, a wszystko to w Italii ogołoconej z ludzi o odpowiednich kwalifikacjach majątkowych, Rzymian, Latynów czy Italczyków.

Cepion zastosował wręcz przerażające sposoby rekrutacji. Sam nie zajmował się nią i nie interesował się, skąd wezmą się ci wszyscy ludzie. Zapłacił werbownikom i powierzył zwierzchnictwo nad nimi swemu kwestorowi. Sam zajął się innymi sprawami, bardziej godnymi konsula.

Przymusowy pobór przeprowadzono bez żadnej litości. Brano ludzi do służby nie tylko bez ich zgody, ale wręcz z łapani, weteranów zaś wyciągano z domów, chcieli czy nie chcieli. Wyrośnięty czternastoletni syn wcielonego już małorolnego gospodarza również zostawał wcielony, tak samo jak jego młodo wyglądający sześćdziesięcioletni dziadek. Jeśli zaś taka rodzina nie była w stanie opłacić uzbrojenia i wyekwipowania swoich poborowych, zawsze znajdował się ktoś, kto wykladał pieniądze i zabierał gospodarstwo jako zapłatę. Kwintus Serwiliusz Cepion i jego poplecznicy zagarnęli ogromne połacie ziemi. Kiedy okazało się, że nie ma tylu obywateli rzymskich i łacińskich, ilu było trzeba, zaczęło się bezlitosne polowanie na italskich sprzymierzeńców.

Cepion zgromadził jednak w końcu tradycyjnym sposobem swoje czterdzieści jeden tysięcy piechurów i dwanaście tysięcy nielinowych obywateli. Oznaczało to, że państwo nie musiało płacić za ich uzbrojenie i wyposażenie. Utrzymanie pomocniczych legionów sprzymierzeńców należało raczej do sprzymierzonych narodów italskich niż do Rzymu. Senat podziękował Cepionowi specjalną uchwałą i otworzył sakiewkę dość szeroko, by opłacić wynajęcie konnicy w Tracji i obu Galiach. Cepion stał się jeszcze bardziej zarozumiały niż zwykle, a tymczasem rzymscy konserwatyści chwalili go wszędzie i przed wszystkimi.

Podczas gdy jego bandy werbowników włóczyły się po Italii, sam Cepion zabiegał o przywrócenie senatowi w ten czy inny sposób władzy, którą odebrał mu przed prawie trzydziestu laty Tyberiusz Grakchus. Najpierw Tyberiusz Grakchus, następnie Fulwiusz Flakkus, potem Gajusz Grakchus, a jeszcze później różni ludzie nowi i dobrze urodzeni reformatorzy ograniczali udział senatu w trybunałach i stanowieniu praw.

Gdyby nie ostatnie zamachy Mariusza na przywileje senatorów, Cepion byłby zapewne gorliwym i mniej zdeterminowanym naprawiaczem. Mariusz poruszył jednak gniazdo szerszeni, a wynikiem tego były budzące konsternację niepowodzenia plebsu i kontrolujących plebs ekwitów podczas pierwszych tygodni konsulatu Cepiona.

Patrycjusz Cepion zwołał Zgromadzenie Ludowe, z którego nie został usunięty, i przeprowadził ustawę przywracającą senatowi kontrolę nad trybunałami do spraw o zdradzie i nadużycia, którą Gajusz Grakchus oddał w ręce ekwitów. Kolegium sędziowskie miało składać się odtąd z senatorów, którzy będą oczywiście bronić swoich ludzi. W Zgromadzeniu Ludowym rozegrała się zacięta walka. Przystojny Gajusz Memmiusz przewodził silnej grupie senatorów przeciwnych ustawie Cepiona, wygrał jednak Cepion.

Po tym sukcesie starszy konsul poprowadził pod koniec marca swoje osiem legionów i silną kawalerię, kierując się na Tolosę i oddając rozmyślaniami nie tyle o sławie, ile o bardziej dyskretnej nagrodzie. Jak każdy Serwiliusz Cepion wolał powiększać swą fortunę raczej jako namiestnik niż dzięki wojennemu szczęściu. Był już jako pretor namiestnikiem Hiszpanii Dalszej, kiedy to Scypion Nazyka uchylił się od tej funkcji, czując się niegodnym zaufania, i niemało na tym skorzystał. Teraz był konsulem-namiestnikiem i spodziewał się skorzystać jeszcze więcej.

Gdyby wysyłka wojsk z Italii do Hiszpanii drogą morską była sprawą prostą, Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus nie musiałby przebijać drogi wzdłuż wybrzeża Galii Zaalpejskiej. Niesprzyjające wiatry i prądy czyniły drogę morską zbyt ryzykowną. Legiony Cepiona musiały zatem, jak przed rokiem legiony Kasjusza, przejść ponad tysiąc mil z Kampanii do Narbony. Legioniści nie mieli nic przeciw temu. Wszyscy co do jednego nienawidzili i bali się morza. Myśl o setkach mil żeglugi przerażała ich daleko bardziej niż realna perspektywa tysięczmilowego marszu. Mięśnie mieli już od dzieciństwa przystosowane do szybkiego chodu i chód uważali za najlepszy sposób podróżowania.

Droga z Kampanii do Narbony zajęła legionom Cepiona niewiele ponad siedemdziesiąt dni, co oznaczało średnio piętnaście mil dziennie - był to więc niespieszny marsz, hamowany nie tylko przez wielki tabor, lecz i przez mnóstwo zwierząt, wozów i niewolników, które żołnierze rzymscy w dawnym stylu prowadzili dla własnej wygody ze sobą.

W Narbonie, małym porcie przebudowanym przez Gnejusza Domicjusza Ahenobarba, wojsko zatrzymało się tylko na tak długo, by wypocząć po marszu, ale nie, by stracić bojowego ducha. Narbona była wczesnym latem czarującym miejscem. Jej przejrzyste wody pełne były krewetek, małych homarów, wielkich krabów i wszelkiego rodzaju ryb. W mule na dnie słonych rozlewisk wokół ujścia Ataksu żyły nie tylko ostrygi, ale i wielkie płastugi, uważane przez rzymskie legiony za największy przysmak. Okrągłe i płaskie niczym talerze, z parą oczu po jednej stronie głupich cienkich łebków, kryły się w mule i trzeba było je wygrzebywać i nabijać na włócznie, zanim znów się nie zagrzebały.

Legionista na ogół na nogi się nie uskarżał. Przywykł do chodzenia, a jego osłaniające kostki sandały miały grube podeszwy nabijane gwoździami. Wspaniale jednak było pływać w morzu wokół Narbony, chłodząc obolałe mięśnie. Ci nieliczni, którzy nie nauczyli się dotąd pływać, zostali rozpoznani i nauczeni tej sztuki. Miejscowe dziewczęta były takie same jak dziewczęta na całym świecie - szalały za wojskowymi - i przez szesnaście dni Narbona pełna była rozgniewanych ojców, dyszących zemstą braci, chichocących dziewcząt i lubieżnych legionistów. Karczemne bójki dostarczały zatrudnienia służbie wewnętrznej legionów, a trybunowie wojskowi byli stale w złym humorze.

Potem Cepion zebrał swe wojsko i ruszył z nim znakomitą drogą, którą Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus zbudował między wybrzeżem a Tolosą.

Tam, gdzie rzeka Ataks, płynąc z Pirenejów, zakręca pod kątem prostym na południe, spoglądała w dół ze swego wzgórza ponura twierdza Carcasso. Od tego miejsca legiony maszerowały przez wzgórza oddzielające dorzecze potężnej Garumny od rzeczulek uchodzących do Morza Środkowego i w końcu zeszły na żyzne równiny Tolosy.

Cepion znów miał zdumiewające szczęście, bo Germanowie pokłócili się ze swymi gospodarzami, Wolkami Tektosagami, i król Tolosy Kopiliusz kazał im opuścić kraj. Jedynym przeciwnikiem ośmiu legionów Cepiona mieli być zatem nieszczęśni Wolkowie Tektosagowie. Wystarczyło im popatrzeć na okryte kolczugami szeregi spływające ze wzgórz niczym nie

kończący się wąż, by uznać, że lepsza rozwaga niż odwaga. Król Kopiliusz ze swymi wojownikami wyruszył do ujścia Garumny, by zaalarmować tamtejsze plemiona i czekać, czy Cepion nie okaże się równie głupi jak przed rokiem Lucjusz Kasjusz. Pozostawiona pod opieką starców Tolosa natychmiast się poddała. Cepion pomrukiwał z zadowolenia niczym kot.

Dlaczego pomrukiwał? Bo wiedział o złocie Tolosy i miał teraz okazję je znaleźć bez konieczności staczania bitwy. Kwintus Serwiliusz Cepion Szczęściarz!

Przed stu siedemdziesięciu laty Wolkowie Tektosagowie przyłączyli się do wędrówki Galów pod wodzą drugiego sławnego króla Celtów o imieniu Brennus. Ten drugi Brennus pokonał Macedonię, wdarł się do Tessalii, obszedł grecką obronę w wąwozie termopilskim i wtargnął do środkowej Grecji i Epiru. Zdobył i złupił trzy najbogatsze świątynie świata - Dodonę w Epirze, Zeusa Olimpijskiego i Apollona Pytyjskiego w Delfach.

Potem Grecy podjęli przeciwnatarcie, Galowie wycofali się z łupem na północ, ciężko ranny Brennus zmarł, a jego wielkie plany poszły w niwecz. W Macedonii pozbawione przywódcy plemiona postanowiły przepłynąć przez Hellespont do Azji Mniejszej i założyły tam galijski przyczółek zwany Galacją. Połowa Wolków Tektosagów wołała jednak wrócić do kraju niż przekraczać Hellespont. Na wielkiej naradzie pozostałe plemiona uznały, że stęsknionym za domem Wolkom można powierzyć bogactwa z pół setki spustoszonych świątyń, w tym bogactwa z Dodony, Olimpii i Delf. Zaufano im. Wracający do kraju Wolkowie mieli przechowywać te bogactwa w Tolosie aż do dnia, gdy wszystkie plemiona wrócą do Galii i zażądają ich zwrotu.

Przetopili wszystko dla ułatwienia sobie podróży. Nieporęczne szczerol złote posągi, srebrne wazy o wysokości pięciu stóp, czary, półmiski i puchary, złote trójnogi, wieńce ze złota i srebra - wszystko to szło po kolei do tygla, aż wreszcie tysiąc załadowanych wozów ruszyło na zachód cichymi alpejskimi dolinami nad Danubem i po kilku latach dotarło nad Garumnę i do Tolosy.

Cepion usłyszał tę opowieść, kiedy był przed trzema laty namiestnikiem Hiszpanii Dalszej, i odtąd marzył o znalezieniu złota Tolosy, choć jego hiszpańscy informatorzy zapewniali go, że to tylko mit, że w Tolosie nie ma żadnego złota. Każdy odwiedzający miasto Wolków Tektosagów przysięgał, że ich jedyne bogactwa to obfitująca w ryby rzeka i urodzajna ziemia. Cepion wierzył jednak w swoje szczęście. On wiedział, że to złoto jest w Tolosie. Gdyby było inaczej, czy usłyszałby tę opowieść w Hiszpanii i czy potem otrzymałby zadanie pójścia śladem Lucjusza Kasjusza do Tolosy - i czy znalazłby to miasto opuszczone przez Germanów i zajął je bez walki? Taka była wola Fortuny, by wszystko szło po jego myśli.

Zdjął swój wojskowy strój, włożył togę z purpurowym szlakiem i zaczął przemierzać uliczki miasta. Zaglądał w każdą wnękę i każdy zakamarek w cytadeli, chodził po pastwiskach i polach, które dochodziły do miasta na modłę raczej hiszpańską niż galijską. Tolosa nie była właściwie miastem

galijskim - nie było tu druidów ani nie czuło się galijskiej niechęci do urządzania miast. Świątynie i okręgi świątynne zaprojektowano na wzór miast hiszpańskich. Był tu malowniczy park ze sztucznymi jeziorami i strumyczkami zasilanymi wodą z Garumny. Urocze miejsce!

Nie znalazłszy niczego podczas przechadzek, Cepion posłał na poszukiwanie złota swą armię. Żołnierze bawili się doskonale, mogąc zapomnieć o nieprzyjaciolach i wężąc udział w bajecznym łupie.

Nie znaleziono jednak złota. W świątyniach znalazło się kilka bezcennych przedmiotów, ale tylko kilka i żadnego złota w sztabach. Cytadela była całkowitym rozczarowaniem, jak to zresztą Cepion sam już stwierdził - nie było tam nic prócz broni i drewnianych bogów, rogów do picia i glinianych naczyń. Król Kopiliusz żył wyjątkowo skromnie. Nie było też żadnych ukrytych lochów pod kamiennymi posadzkami sal.

Potem Cepion wpadł na pomysł i posłał żołnierzy do przekopywania parków wokół świątyń. Na próżno. Żaden wykop, nawet najgłębszy, nie ujawnił żadnej złotej sztaby. Poszukiwacze złota kierowali we wszystkie strony swoje rozwidlone różdżki, nie wyczuwając niczego dłońmi, a różdżki też się nie zginały. Poszukiwania przeniosły się z okręgów świątynnych na pola i na ulice miasta. Zaczynało to wyglądać na robotę jakiegoś szalonego olbrzymiego kreta. Tymczasem Cepion chodził i myślał, myślał i chodził.

Garumna była pełna ryb, a wśród nich były łososie i kilka rodzajów karpia. Rzeka zasilala jeziora przy świątyniach, więc i one kipiały od ryb. Legioniści Cepiona woleli łapać je w jeziorach niż w rzece, która była szeroka, głęboka i bystra. Przechadzając się, mijał ich, wiążących przynęty albo wycinających wędkę. Zatopiony w myślach doszedł do największego jeziora i przystanął, przypatrując się grze światła na rybach łuskach pośród wodorostów, pojawiających się i znikających, wciąż się zmieniających. Większość błysków była srebrna, ale tu i ówdzie musiał przemykać jakiś egzotyczny karp, bo łowił też i złote błyski.

Z wolna nasunęła mu się pewna myśl. A potem uderzyła go, wybuchła w jego umyśle. Wezwał swych inżynierów i kazał im osuszyć jeziora - nie była to trudna praca i z pewnością się opłacała, albowiem złoto Tolosy leżało na dnie tych świętych sadzawek, ukryte w mule, wodorostach i szczątkach nagromadzonych przez wiele dziesięcioleci.

Kiedy opłukano i ułożono na stosie ostatnią sztabę, Cepion przyszedł obejrzeć skarb i wytrzeszczył oczy. Nie przyglądał się wydobywaniu złota, bo chciał mieć niespodziankę. I miał ją! Był naprawdę oszołomiony. Było tam, z grubsza biorąc, 50.000 sztab złota, każda wagi około 15 funtów, ogółem 15.000 talentów. Było tam też 10.000 sztab srebra, każda wagi 20 funtów, ogółem 3500 talentów srebra. Potem saperzy znaleźli w jeziorach jeszcze więcej srebra. Okazało się, że Wolkowie Tektosagowie używali kamieni młyńskich ze szczerego srebra. Był to jedyny użytek, jaki robili ze swych bogactw. Raz na miesiąc wyciągali z rzeki te srebrne kamienie młyńskie, żeby zemleć miesięczny zapas mąki.

- W porządku - rzekł Cepion, który był w świetnym humorze. - Ile wozów możemy przeznaczyć na przewiezienie tego skarbu do Narbony?

Skierował to pytanie do Marka Furiusza, swego *praefectus fabrum*, odpowiedzialnego za linie zaopatrzenia, tabor, ekwipunek, wyposażenie, żywność i wszystko inne, związane z utrzymaniem armii w polu.

- No cóż, Kwintusie Serwiliuszu, mamy w taborze tysiąc wozów, a z tego jedna trzecia jest już pusta. Powiedzmy: trzysta pięćdziesiąt, jeśli by trochę przeładować. Jeśli każdy wóz powiezie trzydzieści pięć talentów - to przyzwoity ładunek i nie przesadnie wielki - będziemy potrzebować trzystu pięćdziesięciu wozów do przewiezienia srebra i czterystu pięćdziesięciu do złota - odrzekł Marek Furiusz, który nie pochodził ze starożytnego wielkiego rodu Furiuszów, ale był prawnikiem jakiegoś ich niewolnika. Był przy tym klientem i bankierem Cepiona.

- Proponuję wysłać najpierw srebro na trzystu pięćdziesięciu wozach, rozładować je w Narbonie i ściągnąć wozy z powrotem do Tolosy do przewozu złota - rzekł Cepion. - Każę tymczasem żołnierzom rozładować jeszcze sto wozów, więc będziemy ich mieli dość, żeby wysłać złoto jednym konwojem.

Do końca kwintylisa srebro przebyło drogę do wybrzeża i zostało rozładowane, a puste wozy odesłano do Tolosy po złoto. Cepion, na którego słowie można było polegać, znalazł tymczasem dodatkowe sto wozów.

Podczas załadunku złota konsul przechodził gorączkowo od jednego stosu cennych sztab do drugiego, nie mogąc się powstrzymać, by nie pogłaskać jednej czy dwóch. Gryzł palce, myślał nad czymś głęboko, a w końcu westchnął.

- Lepiej będzie, jeśli pojedziesz z tym złotem, Marku Furiusz - powiedział. - Ktoś starszy rangą powinien być przy nim w Narbonie, póki ostatnia sztaba nie znajdzie się bezpiecznie na ostatnim statku. Srebro jest już chyba w drodze do Rzymu? - zwrócił się do greckiego wyzwolenca Biasa.

- Nie, Kwintusie Serwiliuszu - odrzekł Bias bez zająknięcia. - Transportowce, które przywiozły ciężkie ładunki na początku roku, już odplynęły. Znalazłem tylko tuzin dobrych statków i uznałem, że lepiej zachować je dla złota. Srebro jest w składzie pod dobrą strażą i całkiem bezpieczne. Im wcześniej wyślemy złoto do Rzymu, tym lepiej. Gdy zjawi się więcej dobrych statków, wynajmę je do przewozu srebra.

- Ach, srebro można wysłać łodem - zauważył Cepion.

- Nawet biorąc pod uwagę ryzyko zatonięcia statku, Kwintusie Serwiliuszu, zaufałbym raczej morzu - powiedział Marek Furiusz. - Droga jest zbyt niebezpieczna z uwagi na rozbójnicze górskie plemiona.

- Masz rację - zgodził się Cepion i westchnął. - Ach, to zbyt piękne, by było prawdziwe, nieprawdaż? Wysyłamy do Rzymu więcej złota i srebra, niż jest go w rzymskich skarbcach!

- Rzeczywiście, Kwintusie Serwiliuszu - przytaknął Marek Furiusz. - To godne uwagi.

Złoto wyruszyło z Tolosy na czterystu pięćdziesięciu wozach w połowie sekstylisa, pod eskortą jednej tylko kohorty legionistów. Rzymska droga

była bezpieczną drogą biegnącą przez cywilizowany kraj, który od dawna nie oglądał ręki podniesionej w gniewie. Wywiad donosił, że król Kopiliusz i jego wojownicy nadal przebywają w Burdigali, spodziewając się zobaczyć Cepiona idącego tą samą drogą, która przywiodła do zguby Lucjusza Kasjusza.

Po osiągnięciu Carcasso droga aż do morza wiodła cały czas w dół i karawana poruszała się szybciej. Wszyscy byli zadowoleni, nikt się niczym nie martwił, a żołnierzom z kohorty zaczęło się wydawać, że czują słony zapach morza. Wiedzieli, że przed nocą wjadą z łoskotem w ulice Narbony. Myślni byli już przy ostrygach, płastugach i narbońskich dziewczętach.

Napastnicy, a było ich ponad tysiąc, wypadli z krzykiem z głębi boru rosnącego po obu stronach drogi, otaczając pierwszy wóz i ostatni, o dwie mile dalej, do których przydzielone były dwie połówki kohorty. Nie minęło wiele czasu i oto nie pozostał przy życiu żaden żołnierz rzymski, a zwaleni z wozów woźnice leżeli w gmatwaninie rąk i nóg.

Księżyc był w pełni, wieczór był piękny. Podczas godzin oczekiwania na zapadnięcie ciemności nikt nie jechał rzymską drogą ani w jedną stronę, ani w drugą. Rzymskie drogi na prowincjach służyły głównie ruchom wojsk. Handel między wybrzeżem a wnętrzem kraju był w tej części prowincji ograniczony, zwłaszcza odkąd Germanowie osiedlili się wokół Tolosy.

Gdy księżyc wzniósł się wysoko, zaprzężono znów muły do wozów i część napastników zasiadła na miejscach woźniców. Inni szli obok jako przewodnicy. Kiedy skończył się las po bokach drogi, sznur wozów skręcił na nadbrzeżny pas jałowej ziemi, dobrej chyba tylko dla owiec. O świcie Ruscino pozostało na północy, a sznur wozów powrócił na Via Domitia i w pełnym świetle dnia przeszedł wąwozem przez Pireneje.

Na południe od Pirenejów jego szlak był bardzo okrężny i trzymał się z dala od rzymskich dróg, aż do przejścia przez rzekę Sucro na zachód od miasta Sactabis. Stąd prowadził już na wprost przez jałowe pustkowia, zapuszczając się w dwa największe łańcuchy hiszpańskich gór. Nikt nie skracał sobie tedy drogi, bo kraj był bezwodny. Potem szlak zniknął i wywiadowcom Cepiona nic udało się stwierdzić, jakie były dalsze losy złota Tolosy.

Goniec wiozący jakąś wiadomość z Narbony natknął się na drodze przez las na wschód od Carcasso na stosy porzuconych i obrabowanych ciał. Kiedy zameldował o tym Kwintusowi Serwiliuszowi Cepionowi, ten załamał się i rozplakał. Płakał głośno nad losem Marka Furiusza i nad losem kohorty rzymskich żołnierzy, płakał nad ich żonami i rodzinami osieroconymi w Italii. Nade wszystko jednak płakał nad połyskującymi stosami rdzawych sztab, nad utratą złota Tolosy.

- To nie w porządku! - wołał. - Gdzie się podziało moje szczęście?

I płakał w głos.

W czarnej żałobnej todze i czarnej tunice bez żadnego szlaku na prawym ramieniu Cepion płakał na zwołanym przez siebie zgromadzeniu, gdy przekazywał armii złą nowinę, o której wszyscy już wiedzieli.

- Mamy jednak wciąż przynajmniej srebro - powiedział, ocierając oczy. - Starczy tego, by zapewnić wszystkim porządne udziały po zakończeniu kampanii.

- Ja tam będę wdzięczny i za to - powiedział jeden z weteranów do swego towarzysza z namiotu i od kotła. Obaj zostali oderwani od swych gospodarstw w Umbrii, chociaż przeszli już piętnaście lat, walcząc w dziesięciu kampaniach.

- Naprawdę? - Towarzysz myślał nieco wolniej. Któryś ze Skordysków uderzył go kiedyś w głowę guzem od tarczy.

- Pewnie, że tak! Czy widziałeś kiedyś, żeby jakiś wódz podzielił się złotem z takimi szumowinami jak my? Taki zawsze znajdzie jakiś powód, żeby samemu zabrać wszystko. Ach, i skarb dostaje trochę, bo on okupuje się skarbowi, żeby zabrać większość. Teraz będziemy mieć przynajmniej udział w srebrze, a można by z tego srebra usypać górę. Przy całym tym zamieszaniu wokół zaginionego złota konsul nie ma innego wyboru, jak być uczciwy.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli - powiedział towarzysz. - A może byśmy tak złowili jakiegoś tłustego łososia na wieczerzę?

Rok zbliżał się ku końcowi, a armia Cepionianie została jeszcze zmuszona do walki, jeśli nie liczyć nieszczęsnej kohorty przydzielonej do złota Tolosy. Cepion opisał w liście do Rzymu całą historię, od odejścia Germanów do utraty złota, pytając o instrukcje.

W październiku otrzymał odpowiedź. Była taka, jakiej się spodziewał: miał pozostać z całą armią w okolicach Narbony, przezimować tam i z wiosną czekać na nowe rozkazy. Oznaczało to przedłużenie mu o rok dowództwa. Nadal był namiestnikiem rzymskiej Galii.

Bez złota nie było to jednak to samo. Cepion gryzł się, chodził osowiały i często płakał, a jego wyżsi oficerowie zauważyli, że trudno mu się uspokoić i że wciąż chodzi tam i z powrotem. Nikt nie wierzył, że wylewa łzy nad Markiem Furiuszem albo nad zabitymi żołnierzami. Cepion płakał nad utraconym złotem.



Sposób, w jaki armia i jej hierarchia dowódcza przywyka do życia w obcym kraju i zaczyna traktować go jak własny, charakteryzuje na swój sposób długie kampanie. Pomimo ciągłych ruchów wojsk, kampanii, wypadów i wypraw stały obóz upodabnia się do miasta. Większość żołnierzy znajduje sobie kobiety, a wiele kobiet rodzi dzieci. Sklepy, gospody i handlarze mnożą się pod silnie umocnionymi wałami, a domy z suszonej cegły dla kobiet i dzieci wyrastają jak grzyby po deszczu w labiryncie wąskich uliczek.

Tak właśnie wyglądał stały obóz rzymski pod Utyką i to samo działo się na mniejszą skalę w stałym obozie pod Cyrą. Mariusz dobierał bardzo starannie swych centurionów i trybunów wojskowych, więc okres zimowych deszczów - kiedy nie walczyło - był wykorzystany nie tylko do ćwiczeń, ale i do utworzenia zgranych ósemek żołnierzy mieszkających pod jednym namiotem i jedzących przy jednym ognisku, a także do uporania się z tysiącem problemów, które musiały się pojawiać wśród tak

wielu ludzi zgromadzonych razem przez tak długi czas.

Zawsze jednak nadejście afrykańskiej wiosny - ciepłej, bujnej, płodnej i suchej - wywoływało w obozie wielkie ożywienie. Wyciągano rynsztunki na nadchodzące kampanie, spisywano testamenty i składano je u legionowych urzędników, oliwiono i polerowano kolczugi, ostrzono miecze i sztylety, wyściełano hełmy dla ochrony przed gorącem i otarciem, oglądano uważnie sandały i wbijano brakujące gwoździe, łątano tuniki, popsuty lub zużyty sprzęt pokazywano centurionom i wymieniano potem w magazynach na nowy.

Zimą przybył z Rzymu kwesor Skarbu, przywożąc żołd dla legionów, a urzędnicy dwoili się i troili, zestawiając rachunki i płacąc żołnierzom. Z uwagi na to, że jego żołnierze byli niewypłacalni, Mariusz ustanowił dwa obowiązkowe fundusze, na które wpływała część żołnierskich pieniędzy. Fundusz pogrzebowy miał za cel urządzenie pogrzebów tym zmarłym, którzy nie zginęli w bitwie (za pogrzeb poległych płaciło państwo). Fundusz oszczędnościowy przechowywał pieniądze legionistów aż do ich zwolnienia z wojska.

Armia afrykańska wiedziała, że na tę wiosnę w roku konsulatu Cepiona planuje się jakieś wielkie przedsięwzięcia, ale tylko najwyżsi dowódcy wiedzieli jakie. Wydano rozkazy do marszu bez obciążenia, co oznaczało, że nie będzie długich na milę taborów wozów zaprzęzonych w woły, tylko wozy zaprzężone w muły, zdolne dotrzymać kroku wojsku i mieszczące się w rozbijanym na noc obozie. Żołnierze musieli nosić swój ekwipunek na własnych plecach. Radzili sobie z tym bardzo sprytnie, zawieszając na tęgiej rozwidlonej gałęzi noszonej na lewym ramieniu swoje zapasowe tuniki, skarpety, zimowe spodnie i chusty chroniące szyję przed otarciem przez kolczugę, a wszystko to zawinięte w derkę i okryte skórzanym pokrowcem. Było tam jeszcze sagum w skórzanym torbie, racja żywnościowa, kociołek, bukłak z trzydniowym zapasem wody, przygotowany zawczasu zaostrzony pał na palisadę obozu, wiklinowy kosz, sierp i piła. Osłoniętą baranią skórą tarczę przewieszano przez plecy, a hełm z pióropuszem z barwionego końskiego włosia dodawano do zbiorowiska rzeczy zwisających z nosidła albo zawieszano na prawym ramieniu, albo noszono na głowie, jeśli zanosilo się na atak. Legionista maszerował w kolczudze. Jej dwadzieścia funtów nie obciążało ramion, bo zaciśnięty pas przenosił ten ciężar na biodra. Przy pasie zwisał z prawej strony miecz w pochwie, a z lewej sztylet. W marszu nie nosiło się dwóch włóczni.

Każda ósemka miała swego muła, który niósł skórzanym namiot, jego maszty i włócznie legionistów oraz dodatkowy prowiant, jeśli nie wydawano go co trzy dni. Osiemdziesięciu legionistów i dwudziestu nielinowych tworzyło centurię dowodzoną przez centuriona. Centuria rozporządzała wozem zaprzężonym w muły, na którym jechało dodatkowe wyposażenie: ubrania, narzędzia, zapasowa broń, wiklinowe przedpiersia do umocnień obozowych i prowiant na wypadek długiego marszu bez wyżywienia. Jeśli cała armia była w ruchu i nie było pewne, że wróci po własnych śladach, wszystko inne, od łupów do machin, składano na zaprzężonych w muły

wozach, wlokących się całymi milami i pod silną strażą za kolumną.

Kiedy Mariusz wyruszał wiosną do zachodniej Numidii, pozostawił w Utyce ciężkie ładunki. Mimo to armia wyglądała imponująco i zdawało się w marszu, że nie ma końca, bo każdy legion z wozami zaprzężonymi w muły i machinami zajmował milę drogi, a Mariusz prowadził na zachód sześć legionów i kawalerię. Tę kawalerię rozmieścił jednak po obu stronach piechoty, co sprawiło, że kolumna miała sześć mil długości.

Na otwartej przestrzeni nie obawiali się zasadzki. Nieprzyjaciel nie mógłby nieostrzeżenie rozciągnąć się dostatecznie, by zaatakować naraz wszystkie części kolumny, każdy zaś atak na jedną z części spowodowałby zwrot pozostałych przeciw napastnikom i okrażenie ich. Ten obrotowy manewr wciągnąłby ich w jednoczesną bitwę na froncie i na skrzydłach.

A jednak co wieczór rozkazy były takie same - zakładać obóz. Oznaczało to wymierzanie i oznaczanie obszaru dostatecznie dużego, by pomieścić wszystkich ludzi i zwierzęta, kopanie głębokich rowów, wbijanie w ich dno zaostrzonych kołów zwanych stimuli, wznoszenie nasypów i palisad. Na koniec jednak wszyscy prócz wartowników mogli spać jak zabici, pewni, że nieprzyjaciel nie dostanie się do środka na tyle szybko, by zdobyć obóz z zaskoczenia.

To żołnierze tej właśnie armii, pierwszej złożonej z Policzonych Głowami, przewalali się „mułami Mariusza”, bo Mariusz objuczył ich niczym muły. W dotychczasowych armiach, złożonych z ludzi majątnych, szeregowcy maszerowali bez obciążenia, korzystając z mułów, osłów, niewolników, a kogo nie stać było na taki wydatek, wynajmował miejsce u tych, których było stać. W rezultacie nie było kontroli nad liczbą wozów i wózków, bo wiele stanowiło własność prywatną. W wyniku tego taka armia w starym stylu maszerowała wolniej i mniej sprawnie niż afrykańska armia Policzonych Głowami - i wiele podobnych armii, które miały pójść jej śladem przez następne sześćset lat.

Mariusz dał Policzonym Głowami pracę i zapłatę za jej wykonanie. Nie dał im jednak zbyt wielu ułatwień, chyba tylko to, że obciął półkolistą szczyt i podstawę starej pięciostopowej tarczy piechura, bo nie dawało się nosić takiej tarczy na plecach pod nosidłem, co zmniejszyło jej wysokość do trzech stóp i sprawiło, że nie obijała się już w marszu o pięty.



Wmaszerowali do zachodniej Numidii sześciomilową kolumną, śpiewając na całe gardło pieśni marszowe, aby trzymać równy krok i czuć, że jest się pośród towarzyszy broni, że jest się jedną potężną ludzką machiną, toczącą się nieodparcie naprzód. W środku kolumny maszerował wódz Mariusz ze swoim sztabem, śpiewając wraz z innymi. Nikt z najwyższego dowództwa nie jechał konno, bo było to niewygodne i budzące podejrzenia, mieli jednak konie pod ręką, na wypadek ataku, kiedy to wódz z grzbietu konia lepiej widzi rozmieszczenie swoich wojsk i gdy rozsyła swych sztabowców z rozkazami.

- Złupimy każde miasto i wioskę, i każde sioło, na jakie natrafimy - mówił Mariusz do Sulli.

I ten program był wykonywany, z pewnymi innowacjami: spichrze i

wędzarnie plądrowano dla uzupełnienia zapasów, miejscowe kobiety gwałcono, bo żołnierzom brakowało kobiet, a homoseksualizm karany był śmiercią. Przede wszystkim jednak wszyscy mieli oczy otwarte na łupy, których nie wolno było sobie przywłaszczać, bo stanowiły wspólną zdobycz armii.

Co ósmy dzień armia odpoczywała, a kiedy dotarła do wybrzeża, Mariusz dał wszystkim trzy wolne dni na pływanie, łowienie ryb i jedzenie. Pod koniec maja byli na zachód od Cyrty, a pod koniec czerwca dotarli nad rzekę Mulucha, o sześćset mil dalej na zachód.

To była łatwa kampania. Armia Jugurty nie dawała znaku życia, napotykanne osady nie były zdolne do stawiania oporu Rzymianom, nigdy też nie zabrakło im żywności ani wody. Zwykłe wyżywienie, złożone z sucharów, grochu, boczku i solonego sera, było urozmaicane koźliną, rybami, cielęcina, baraniną, owocami i jarzynami, co dodawało wszystkim ducha, a kwaśne wino, wydawane czasem wojsku, bywało uzupełniane berberyjskim jęczmiennym piwem, a czasem dobrym winem.

Rzeka Mulucha stanowiła granicę między zachodnią Numidią a wschodnią Mauretanią. Ryczący w zimie nurt był w środku lata zaledwie strumieniem, a jesienią wysychał całkowicie. Pośrodku równiny, niezbyt daleko od morza, wznosił się na wysokość tysiąca stóp urwisty wulkaniczny ostaniec, na którego szczycie Jugurtą zbudował twierdzę. Szpiedzy Mariusza donieśli mu, że tam właśnie mieści się najbogatszy skarbiec Jugurty, była to bowiem jego główna kwatera na zachodzie.

Armia rzymska weszła na równinę, pomaszerowała do wysokich brzegów zimowego łożyska rzeki i rozbiła stały obóz jak najbliżej górskiej twierdzy. Potem Mariusz, Sulla, Sertoriusz, Aulus Manliusz i pozostali wyżsi dowódcy zajęli się oglądaniem tej cytadeli wyglądającej na umocnienie nie do zdobycia.

- O szturmie nie ma co marzyć - powiedział Mariusz. - Nie widzę też możliwości oblężenia.

- Bo i nie ma takiej możliwości - zgodził się młody Sertoriusz, który dokonał już kilku dokładnych obserwacji szczytu ze wszystkich stron.

Sulla podniósł głowę, by spojrzeć na wierzchołek spod runda swego kapelusza.

- Będziemy chyba siedzieć na dole, nie wchodząc na szczyt - powiedział i wyszczerzył zęby. - Nawet gdybyśmy zbudowali jakiegoś olbrzymiego drewnianego konia, nigdy nie wciągniemy go pod bramę.

- Tym bardziej nie wciągniemy tam wieży oblężniczej - powiedział Aulus Manliusz.

- Za miesiąc będziemy musieli wracać - zakończył Mariusz. - Proponuję, żebyśmy obozowali tu przez ten miesiąc. Będziemy umilać życie żołnierzom, jak tylko się da. Ty, Lucjusz Korneliuszu, zdecyduj się, skąd chcesz brać wodę do picia, a potem wyznacz co głębsze sadzawki poniżej na miejsca kąpieli. Ty, Aulusie Manliuszu, możesz organizować grupy chętnych do łowienia ryb - do morza jest jakieś dziesięć mil, jak mówią zwiadowcy. Pojadę jutro z tobą na brzeg zbadać okolicę. Tamci nie zaryzykują wyjścia z cytadeli, by nas atakować, możemy więc pozwolić

ludziom trochę się zabawić. Ty, Kwintusie Sertoriuszu, wyprawisz się po owoce i jarzyny.

- Czy wiesz - powiedział później Sulla, kiedy zostali sami z Mariuszem w namiocie dowództwa- że ta kampania wygląda na jakieś wakacje? Kiedy będę miał okazję zakosztować krwi?

- Powinieneś być pod Kapsą, kiedy miasto się poddało - rzekł Mariusz i spojrzał badawczo na swego kwestora. - Czyżbyś się nudził, Lucjuszu Korneliuszu?

- Ależ nie. - Sulla zmarszczył brwi. - Nigdy nie uwierzyłbym, jak interesujące może być takie życie. Zawsze ma się coś ciekawego do roboty i ciekawe problemy do rozwiązania. Nie mam też nic przeciw prowadzeniu ksiąg. Muszę po prostu zakosztować krwi. Ty w moim wieku miałeś już za sobą pół setki bitew, a ja wciąż jestem nowicjuszem.

- Powąchasz krew, Lucjuszu Korneliuszu, i to niedługo.

- Ach tak?

- To pewne. Jak myślisz, co tu robimy, tak daleko od ważnych miejsc?

- Nic nie mów, pozwól mi zgadnąć! - powiedział szybko Sulla. - Jesteś tu, bo chcesz tak przestraszyć Bokchusa, by ten związał się z Jugurta... bo jeśli Bokchus sprzymierzy się z Jugurta, ten poczuje się dość silny, by zaatakować.

- Bardzo dobrze! - uśmiechnął się Mariusz. - Ten kraj jest tak rozległy, że moglibyśmy maszerować po nim przez dziesięć lat tam i z powrotem i nigdy nawet nie zwaćać Jugurty. Gdyby nie miał swoich Getulów, wystarczyłoby zniszczenie zamieszkałych obszarów, żeby złamać jego opór, ale on ma tych Getulów! Jest zbyt dumny, by pozwolić rzymskiej armii robić to, na co ma ochotę, w jego miastach i wioskach, ale też zbyt przebiegły, by zaryzykować rozstrzygającą bitwę, dopóki ja tu dowodzę. Chyba że uda się nam pchnąć mu Bokchusa w ramiona. Maurowie mogą wystawić przynajmniej dwadzieścia tysięcy dobrych żołnierzy i pięć tysięcy doskonałej kawalerii. Jeśli więc Bokchus przyłączy się do Jugurty, ten wystąpi przeciw nam, to pewne.

- Nie martwisz się tym, że będą liczniejsi od nas?

- Nie! Sześć rzymskich legionów dobrze wyszkolonych i dobrze dowodzonych może stawić czoło każdemu nieprzyjacielowi. Jego liczebność nie ma znaczenia.

- Jugurta uczył się jednak sztuki wojennej u Scypiona pod Numancją. Będzie walczył na sposób rzymski.

- Są jeszcze inni cudzoziemscy królowie, którzy walczą na sposób rzymski, ale ich wojska to nie Rzymianie. Nasz sposób walki wynika ze sposobu myślenia i z charakteru naszych ludzi i nie ma tu żadnej różnicy między Rzymianami, Latynami i Italczykami.

- Dyscyplina - rzekł Sulla.

- I organizacja - dodał Mariusz.

- Ale ani jedno, ani drugie nie pomoże nam dostać się na szczyt tej góry. Mariusz roześmiał się.

- To prawda! Zawsze jednak pozostaje to coś nieuchwytnego.

- Cóż takiego?

- Szczęście. Nigdy nie zapominaj o szczęściu.

Sulla i Mariusz zdążyli już zaprzyjaźnić się ze sobą. Choć były między nimi różnice, były też podstawowe podobieństwa. Myśli ich nie podążały utartymi szlakami, obaj byli niepodobni do innych. Przeciwności losu zahartowały obu i obaj byli zdolni zarówno znieść osamotnienie, jak i przeżywać wielkie namiętności. Najważniejszym podobieństwem było to, że obaj lubili swoje zajęcie i lubili prześcigać w nim innych. W tych pierwszych latach nie dawały jeszcze znać o sobie te cechy charakteru, które miały ich później poróżnić. Sulla nie mógł jeszcze rywalizować z Mariuszem na żadnym polu. Jego bezlitosny charakter nie musiał się jeszcze ujawniać, podobnie zresztą jak obrazoburcze skłonności Mariusza.

- Niektórzy uważają - rzekł Sulla, prostując ramiona poza głową - że człowiek jest kowalem swego losu.

- Ależ oczywiście! - Mariusz otworzył szeroko oczy, a brwi podskoczyły mu przy tym w górę. - Miło jest jednak wiedzieć, że się ma szczęście.



Publiusz Wagieniusz, rodem znad granicy Ligurii, służył w pomocniczym oddziale kawalerii. Po założeniu obozu nad rzeką Mulucha zdążył się już przekonać, że ma dużo więcej roboty, niż mu to odpowiadało. Równina była porośnięta wysoką gęstą trawą, wypłowiałą w letnim słońcu, nie było więc kłopotu z wypasem kilkutysięcznej armii mułów. Konie były jednak bardziej grymaśne i skubały bez przekonania tę twardą szczecinę. W rezultacie trzeba było przeprowadzać konie spod górskiej cytadeli pośrodku równiny na północ, w miejsce, gdzie podziemne strumienie umożliwiały wyrośnięcie bardziej miękkiej trawy.

Publiusz Wagieniusz był przekonany, że inny wódz pozwoliłby kawalerii obozować osobno, w pobliżu tych lepszych pastwisk. Gajusz Mariusz nie chciał jednak stwarzać pokusy mieszkańcom cytadeli i kazał wszystkim nocować w głównym obozie. Zwiadowcy musieli więc codziennie sprawdzać, czy w okolicy nie czai się nieprzyjaciel, a potem pozwalano kawalerzystom odprowadzać konie na pastwiska pod warunkiem, że wieczorem sprowadzą je z powrotem. Oznaczało to, że konie trzeba było pętać na pastwisku.

Publiusz Wagieniusz musiał więc co rano jechać na pastwisko na jednym ze swoich wierzchowców, prowadząc drugiego. Na miejscu pętał konie i wracał do odległego o pięć mil obozu. Kiedy uporał się z czekającą go w obozie robotą, pora była wracać po konie. Żaden urodzony kawalerzysta nie lubi chodzić piechotą.

Nie zostało jednak wyraźnie powiedziane, że po odprowadzeniu koni trzeba wracać do obozu, Publiusz Wagieniusz wprowadził więc małe udoskonalenie. Jeździł na oklep i bez uzdy, bo tylko głupiec zostawiałby cenne siodło i uzdę bez nadzoru, zaczął jednak wyjeżdżać z bukłakiem wody przewieszonym przez ramię i z sakwą z żywnością u pasa. Potem, puściwszy wolno konie u podnóża góry z cytadelą na szczycie, szukał sobie jakiegoś cienistego miejsca.

Za czwartym razem ulokował się wygodnie w dolince pełnej pachnących kwiatów, otoczonej przez strome urwiska. Siedział z przymkniętymi

oczami oparty o trawiastą półkę i zdążył się właśnie zdrzemnąć, gdy poczuł wilgotny powiew wiatru wirującego w zagajnikach i zakamarkach góry, a w tym powiewie jakiś dziwny zapach. Zapach, który sprawił, że Publiusz Wagieniusz poderwał się z błyszczącymi oczami. Znał ten zapach. Ślimaki! Wielkie, tłuste, soczyste, słodkie, mięsiste, boskie w smaku ślimaki!

Pośród wyniosłych nadbrzeżnych Alp Ligurii i w tych jeszcze wyższych Alpach poza nimi, skąd przybywał Publiusz Wagieniusz - wszędzie tam pełno było ślimaków. Wyrósł na ślimakach. Przez ślimaki nauczył się dodawania czosnku do wszystkiego. Stał się jednym z najślawniejszych w świecie smakoszy ślimaków. Czasami oddawał się marzeniom o hodowli ślimaków, a nawet o wyhodowaniu jakiejś nowej ich odmiany. Niektórzy ludzie mają nosa do wina, inni mają nosa do wonności, a Publiusz Wagieniusz miał nosa do ślimaków. Zapach ślimaków, niesiony wiatrem z góry z cytadelą na szczycie, mówił mu, że gdzieś tam w górze żyją ślimaki o niezrównanym smaku.

Z pracowitością tropiącej trufle świni ruszył za świadectwem, jakie mu dawał jego zmysł powonienia, przeszukując obrzeża skał. Odkąd przybył do Afryki z Lucjuszem Korneliuszem Sullą we wrześniu zeszłego roku, nawet nie skosztował ślimaka. Ślimaki afrykańskie są uważane za najsmaczniejsze w świecie, ale nie wiedział, gdzie ich szukać, a te, które trafiały na rynki Utyki i Cyrty, szły prosto na stoły legatów i trybunów wojskowych - o ile nie wprost do Rzymu.

Ktoś mniej zaangażowany uczuciowo nie znalazłby tej starej, dawno wygasłej fumaroli, leżała bowiem za nieprzerwaną na pozór bazaltową ścianą sformowaną z wysokich krystalicznych kolumn. Z nosem przy ziemi obszedł Publiusz Wagieniusz to optyczne złudzenie i trafił na olbrzymi komin. W ciągu milionów lat beczynności niesiony wiatrem pył wypełnił go do poziomu terenu i piętrzył się po zawietrznej stronie coraz wyżej i wyżej, wciąż jednak można było dostać się do wnętrza tej naturalnej studni. Miała dwadzieścia stóp średnicy i chyba ze dwieście wysokości do jaśniejącego skrawka nieba. Ściany były pionowe i prawie każdemu wydałyby się niedostępne, Publiusz Wagieniusz był jednak Alpejczykiem. Był też smakoszem ślimaków na szlaku najwspanialszej kulinarnej przygody. Wspiął się więc na szczyt tej fumaroli - nie bez trudności, ale też ani przez chwilę nie groził mu upadek.

A na szczycie wydostał się na trawiastą półkę o długości jakichś stu stóp i szerokości pięćdziesięciu stóp w najszerszym miejscu, która stanowiła zakończenie komina. Wszystko to działo się po północnej stronie poszarpanego wulkanicznego ostańca - zniszczonej erozją pozostałości magmowego korka. Okalająca ten korek góra zniknęła przed eonami. Półkę zraszała woda przesączająca się przez szczeliny w skale. Część jej ściekała poza krawędź fumaroli, ale większość spływała po skałach na zewnątrz, do miejsca, gdzie półka przechylała się, pękając. Wielkie stustopowe urwisko nawisało nad większą częścią półki, tworząc coś w rodzaju wielkiej otwartej, wilgotnej pieczary o ścianach porośniętych mchem, paprocią i turzycą. W miejscu, gdzie wydobywała się ze skały woda, tworzył się strumyczek wypływający poza skraj półki. Najwyraźniej to właśnie

tłumaczyło wyższą jakość trawy po północnej stronie góry.

Tam, gdzie ziała teraz wielka pieczara, zalegało kiedyś złożę iłu, pochłaniające wodę i wydobywające się na powierzchnię, gdzie zżerały je łakomie wiatry i przymrozki. Publiusz Wagieniusz, człowiek gór, wiedział, że któregoś dnia podcięta tak złowrogo bazaltowa skała runie, a półka i pieczara zostaną pogrzebane wraz ze starym wulkanicznym kominem.

Ta wielka pieczara była prawdziwym ślimakowym rajem. Zawsze wilgotna, stanowiła oazę wilgotnego powietrza w nękanym suszą kraju. Pełna była rozkładających się szczątków roślin i owadów, cienista i osłonięta od uderzeń wiatrów.

Całe to miejsce roiło się od ślimaków, ale nos mówił Publiuszowi Wagieniuszowi, że te ślimaki nie należały do żadnej znanej mu odmiany. Kiedy ujrzał pierwszego, otworzył usta ze zdumienia, bo ten ślimak miał skorupę wielkości jego dłoni.

Po pierwszym spostrzegł całe ich dziesiątki i setki. Żaden z nich nie miał skorupy mniejszej niż jego palec wskazujący, a niektóre były większe niż jego rozpostarta dłoń. Nie wierząc własnym oczom, wspinał się do pieczary, spenetrował ją z rosnącym zdumieniem i w końcu dotarł do jej najodleglejszego końca, gdzie natrafił na drogę wiodącą w górę. „Ślimacza ścieżka”, pomyślał.

Ścieżka zaczynała się w rozpadlinie prowadzącej do mniejszej, porośniętej paprociami jaskini. Ślimaki były tu jeszcze liczniejsze. Potem zaś ujrzał nagle, że znalazł się poza stustopowym nawisem skalnym, i wspinał się dalej, aż wyszedł ze ślimaczego raj do jakiegoś ślimaczego Tartaru, na wyschnięty, omiatany wiatrem szczyt magmowego korka. Dech mu zaparło i zaraz dał nura za skałę, bo ujrzał zniecka twierdzę o jakieś pięćset stóp nad sobą. Stok był tak łagodny, że można było wejść nań bez pomocy rąk, a mur cytadeli tak niski, że nie trzeba by nikogo podsadzać.

Publiusz Wagieniusz zsunął się w dół po ślimaczej ścieżce, zszedł w dolne partie pieczary i zatrzymał się na chwilę, by wepchnąć za tunikę z pół tuzina największych ślimaków owiniętych w wilgotne liście. Schodził potem ostrożnie w dół, aż wynurzył się w ukwieconej dolince.

Porządny łyk wody przywrócił mu siły. Ślimaki miały się doskonale. Nie zamierzał dzielić się nimi z nikim, przetransportował je więc zza tuniki do worka na jedzenie, dopełnił go wilgotnymi liśćmi i kilkoma kawałkami humusu z dolinki i zwilżył to wszystko wodą z bukłaka. Zawiązał potem worek, żeby mu ślimaki nie uciekły, i ułożył go w cieniu.

Następnego dnia miał wspaniały obiad. Przyniósł ze sobą kociołek, w którym ugotował dwie ze swoich ofiar w sosie czosnkowo-oliwkowym. Ach, cóż to były za ślimaki!

Zajadał tak po dwa ślimaki dziennie przez sześć dni, wspinając się jeszcze raz po fumaroli po następne pół tuzina. Siódmego dnia poczuł jednak wyrzuty sumienia. Gdyby miał zwyczaj zastanawiania się nad swymi uczuciami, doszedłby może do wniosku, że jego wyrzuty sumienia pozostają w prostym związku z objawami niestrawności po przejedzeniu się ślimakami. Pomyślał sobie jednak, że trzeba być nie lada samolubem, by tylko samemu korzystać ze ślimaków, gdy ma się tylu dobrych

przyjaciół wśród towarzyszy z oddziału. Potem zaczął myśleć o swoim odkryciu drogi wiodącej na górę.

Jeszcze przez trzy dni toczył bój ze swym sumieniem, aż w końcu dopadł go atak niestrawności, który prawie całkiem wybił mu ślimaki z głowy. Ta druga sprawa wzięła górę.

Nie zwracał sobie głowy dowódcą oddziału, zaczął od samej góry.

W samym środku obozu, tam gdzie *via praetoria* łącząca bramy główną i tylną przecina się z *via principalis* łączącą dwie bramy boczne, stał namiot wodza i jego maszt flagowy pośrodku otwartej przestrzeni, która była miejscem zgromadzeń. Tu, pod skórzanym dachem, tak obszernym, że wymagał solidnych drewnianych podpór, mieściła się kwatera główna Mariusza i jego mieszkanie. W cieniu płóciennego dachu nad głównym wejściem zasiadał za stołem trybun wojskowy na służbie. Jego obowiązkiem było wkraczanie między wodza a tych, którzy chcieli go zobaczyć. Po obu stronach wejścia stali wartownicy, na spocznij, ale czujni. Monotonie ich służby ożywiała możliwość przysłuchiwania się rozmowom trybuna z przychodzącymi.

Na służbie był Kwintus Sertoriusz i bawił się doskonale. Rozwiązywanie tajemnic zaopatrzenia, dyscypliny, ludzi i ich morale bardzo mu odpowiadało. Cieszyły go złożone i odpowiedzialne zadania, jakie dawał mu Gajusz Mariusz. Jeżeli mogła być mowa o ubóstwieniu bohatera, to właśnie w przypadku Sertoriusza, a przedmiotem ubóstwienia był Mariusz. Ten, kto miał zadatki na żołnierza doskonałego, rozpoznawał w drugim doskonałość. Nic, o co prosił Mariusz, nie było dla Sertoriusza uciążliwe ani przykre. Gdy inni młodszy trybunowie wojskowi niechętnie pełnili służbę przed namiotem wodza, on przyjmował ją z radością.

Kiedy liguryjski kawalerzysta podszedł, krocząc owym szczególnym krokiem ludzi, którzy przez całe życie jeżdżą konno bez strzemion, Sertoriusz przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale kolczugę miał pięknie wypolerowaną, przy liguryjskich filcowych butach do konnej jazdy nosił parę połyskliwych ostróg, a skórzane spodnie do kolan były wyjątkowo czyste. Czuć go było nieco końmi, ale tego należało oczekiwać. Wszystkich kawalerzystów czuć było końmi, niezależnie od tego, jak często się kąpali i jak często prali swoje ubrania.

Dwie pary bystrych brązowych oczu wymieniły spojrzenia. Obu patrzącym spodobało się to, co zobaczyli.

„Nie ma odznaczeń”, pomyślał Kwintus Sertoriusz, „ale też kawaleria nie była jeszcze w żadnej akcji”.

„Młody na to stanowisko”, pomyślał Publiusz Wagieniusz, „choć wygląda mi na prawdziwego żołnierza - ale to typowy rzymski piechur, nie ma żyłki do koni”.

- Publiusz Wagieniusz z kawalerii liguryjskiej. Chciałbym mówić z Gajuszem Mariuszem.

- Twój stopień? - spytał Sertoriusz.

- Kawalerzysta.

- W jakiej sprawie?

- To sprawa prywatna.

- Wódz nie rozmawia ze zwykłymi kawalerzystami, zwłaszcza jeśli nikt im nie towarzyszy. Gdzie jest twój trybun, żołnierzu?

- On nie wie, że tu jestem. - Publiusz Wagieniusz miał upartą minę. - To sprawa prywatna.

- Gajusz Mariusz jest bardzo zajęty - powiedział Kwintus Sertoriusz.

Publiusz Wagieniusz oparł się dłońmi o stół i pochylił, prawie dusząc Sertoriusza odorem czosnku.

- Posłuchaj, młody panie oficerze, powiedz Gajuszowi Mariuszowi, że mam pewien plan, ogromnie dla niego korzystny, ale nie zdradzę go nikomu innemu, i na tym koniec.

Kwintus Sertoriusz miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ale zdołał nad tym zapanować. Wstał z wyrazem powagi na twarzy.

- Zaczekaj tu, żołnierzu.

Wnętrze namiotu przedzielone było skórzaną przegrodą z klapą pośrodku. Tylna część stanowiła mieszkanie Mariusza, przednia jego kancelarię. Ta część była znacznie większa i mieściła sporą liczbę składanych krzeseł i stołów, stojaki z mapami, jakieś modele machin oblężniczych, którymi zabawiali się technicy, przyglądając się górze Mulucha i podręczny zestaw półek na dokumenty, zwoje, książki w futerałach i papiery.

Gajusz Mariusz siedział w swoim kurulnym krześle z kości słoniowej za dużym składanym stołem, mając naprzeciw siebie legata Aulusa Manliusza. Między nimi siedział Lucjusz Korneliusz Sulla, kwesor. Zajmowali się pogardzanymi księgami rachunkowymi tak drogimi sercom biurokratów ze Skarbu Państwa. Sertoriusz łatwo odgadł, że to jakaś wstępna rozmowa, inaczej byłiby tu również urzędnicy i pisarze.

- Gajuszu Mariuszu, przepraszam, że ci przerywam - odezwał się raczej nieśmiało.

Coś w tonie jego głosu kazało wszystkim trzem podnieść głowy.

- Nie szkodzi, Kwintusie Sertoriuszu. O co chodzi? - spytał z uśmiechem Mariusz.

- Pewnie szkoda na to twego czasu, ale mam tu żołnierza z liguryjskiej kawalerii, który upiera się, że musi z tobą mówić, tyle że nie chce mi powiedzieć o czym.

- Kawalerzysta z Ligurii - powiedział wolno Mariusz. - A co na to jego trybun?

- Nie powiedział o niczym trybunowi.

- Ach, sprawa ściśle tajna... - Mariusz spojrzał przenikliwie na Sertoriusza. - Czemu miałbym z nim mówić, Kwintusie Sertoriuszu?

Sertoriusz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Gdybym mógł na to odpowiedzieć! Szczerze mówiąc, nie wiem czemu. A jednak - chociaż pewnie się mylę - chyba powinienes z nim pomówić, Gajuszu Mariuszu. Mam takie uczucie.

Mariusz odłożył trzymany w ręku papier.

- Wprowadź go.

Widok całego dowództwa siedzącego razem nie zrobił wrażenia na Publiuszu Wagieniuszu. Stał, mrugając w przyćmionym świetle, bez obawy w twarzy.

- Oto jest Publiusz Wagieniusz - oznajmił Sertoriusz, szykując się do odejścia.

- Zostań tu, Kwintusie Sertoriuszu - rzekł Mariusz. - I cóż, Publiusz Wagieniuszu, co masz mi do powiedzenia?

- Mnóstwo rzeczy - odrzekł Wagieniusz.

- Gadaj więc, człowieku!

- Powiem, powiem! - Wagieniusz nie dał się zastraszyć. - Chodzi o to, że muszę zdecydować, co najpierw: moja informacja czy moja propozycja handlowa.

- Czy jedno zależy od drugiego? - spytał Aulus Manliusz.

- Jak najbardziej, Aulusie Manliuszu.

- A więc najpierw propozycja handlowa - powiedział Mariusz z kamienną twarzą. - Lubię określone drogi.

- Ślimaki - rzekł Publiusz Wagieniusz.

Czterej Rzymianie patrzyli na niego. Nikt się nie odezwał.

- Moja propozycja handlowa to ślimaki - tłumaczył cierpliwie Publiusz Wagieniusz. - Największe, najsoczystsze ślimaki, jakie widzieliście w życiu!

- To dlatego tak czuć cię czosnkiem! - wykrzyknął Sulla.

- Nie da się jeść ślimaków bez czosnku - odparł Wagieniusz.

- A co możemy dla ciebie zrobić w sprawie ślimaków? - spytał Mariusz.

- Chcę dostać koncesję i list polecający do właściwych ludzi w Rzymie, żeby je wprowadzić na rynek.

- Rozumiem - rzekł Mariusz i spojrzał na Manliusza, Sullę, Sertoriusza. Nikt się nie uśmiechał. - W porządku, dostaniesz swoją koncesję i chyba zdołamy ci wypisać, jak tu jesteśmy, ten list polecający. A teraz, jaką masz dla nas informację?

- Znalazłem drogę na górę.

Sulla i Aulus Manliusz poderwali się w krzesłach.

- Znalazłeś drogę na górę - powtórzył wolno Mariusz.

- Tak.

Mariusz wstał zza stołu.

- Pokaż mi ją.

Wagieniusz cofnął się.

- Ależ, pokażę, Gajuszu Mariuszu, pokażę. Najpierw trzeba jednak załatwić sprawę ślimaków.

- Człowieku, czy to nie może zaczekać? - Sulla zrobił groźną minę.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu, nie może. - Publiusz Wagieniusz okazał, że zna po imieniu wszystkich członków naczelnego dowództwa. - Droga na szczyt góry prowadzi wprost przez środek ślimaczej ścieżki. Ta ścieżka jest moja! I najlepsze ślimaki w świecie! Patrzcie tylko!

Odczepił sakwę, przewieszoną raczej niestosownie w poprzek długiego kawaleryjskiego miecza, rozwiązał ją i ostrożnie wyciągnął ośmicalowy ślimaczy domek, stawiając go na stole Mariusza.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy w milczeniu. Powierzchnia stołu była gładka i chłodna, więc już po chwili ślimak poruszył się. Był głodny i od jakiegoś czasu wytrząsany na wszystkie strony w sakiewce Publiusza

Wagieniusza. Teraz wysunął się ze skorupy, nie wynurzając się, jak to robią żółwie, ale unosząc ją w górę i wracając do istnienia z bezkształtnej oślizgłej masy. Z tej masy wyłoniła się noga, a z przeciwnej strony głowa, wystawiająca nabierające kształtów różki. Zakończywszy metamorfozę, zaczął chrupać z hałasem liście, w które owinął go Wagieniusz.

- Ha! - odezwał się Gajusz Mariusz. - To mi ślimak, co się zowie!

- I to jaki! - wykrzyknął Kwintus Sertoriusz.

- Można by takimi wyżywić całe wojsko - powiedział Sulla, który nie przepadał za ślimakami, podobnie jak za grzybami.

- O to właśnie chodzi! - zawodził Publiusz Wagieniusz. - O to chodzi! Nie chcę, żeby ci żarłoczni *mentulae* wyjedli mi moje ślimaki! Jest ich tam mnóstwo, ale wystarczy pięć setek żołnierzy, żeby je wytepić. Chcę je przenieść gdzieś bliżej Rzymu i tam hodować. Chcę dostać koncesję i uchronić moją ślimaczą ścieżkę przed wszystkimi *cunni* z tego wojska!

- To prawda, że to wojsko *cunni* - przyznał z powagą Mariusz.

- Tak się składa - wycedził Aulus Manliusz w swój najbardziej dystyngowany sposób - że mogę ci pomóc, Publiusz Wagieniuszu. Mam klienta z Tarkwinii - wiesz, w Etrurii - który prowadzi bardzo ekskluzywny i lukratywny interes na rynku Cuppedenis - wiesz, w Rzymie - gdzie sprzedaje ślimaki. Nazywa się Marek Fulwiusz - ale nie z tych Fulwiuszów, co to wiesz. Pożyczyłem mu parę lat temu trochę pieniędzy na początek. Dobrze mu idzie. Kiedy jednak patrzę na tego wspaniałego - naprawdę wspaniałego ślimaka! - myślę, że byłby bardzo szczęśliwy, wchodząc w spółkę z tobą.

- Załatwione, Aulusie Manliuszu - oświadczył kawalerzysta.

- Czy teraz pokażesz nam drogę na górę? - niecierpliwiał się Sulla.

- Za chwilę, za chwilę! - Wagieniusz odwrócił się do sznurującego buty Mariusza. - Niech najpierw usłyszę, że wódz każe zabezpieczyć ślimaczą ścieżkę.

Mariusz uporał się z butami i wyprostował, spoglądając w oczy żołnierzowi.

- Publiusz Wagieniuszu - powiedział - Przypadłeś mi do serca! Masz głowę człowieka interesu i serce patrioty. Bądź spokojny, masz moje słowo, że twoja ślimacza ścieżka będzie bezpieczna. Prowadź nas teraz, proszę, pod tę górę.

W skład grupy rozpoznawczej, która wyruszyła wkrótce potem, wszedł też szef służb technicznych. Jechali, by zyskać na czasie, Wagieniusz na swym lepszym koniu, Gajusz Mariusz na swym pięknym starym paradnym wierzchowcu, Sulla obstawał nadal przy wyższości mułów nad końmi, a Manliusz, Sertoriusz i szef techników jechali na pocztowych kucach wodza.

Fumarola nie stanowiła żadnej przeszkody dla technika.

- To będzie łatwe - powiedział, patrząc w górę komina. - Zbuduję wygodne szerokie schody na samą górę. Miejsca jest dość.

- Ile ci trzeba czasu? - spytał Mariusz.

- Tak się składa, że mam tu kilka wozów z deskami i belkami, więc - cóż, dwa dni, jeśli będę pracować dniem i nocą.

- Zaczynj więc od razu - rzekł Mariusz, spoglądając na Wagieniusza z respektem. - Musisz mieć w sobie coś z kozła, jeśli zdołałeś się tu wspiąć.

- Jestem z gór i w górach wyrosłem - odrzekł z zadowoloną miną Wagieniusz.

- Twoja ślimacza ścieżka jest bezpieczna, póki nie ukończą schodów - mówił Mariusz, kiedy szli do koni. - Gdyby potem coś im groziło, zajmę się tym osobiście.

Pięć dni później cytadela Mulucha dostała się w ręce Gajusza Mariusza wraz z bajecznym skarbem srebrnych monet, srebrnych sztab i tysiącem talentów w złocie. Były tam także dwie szkatułki, jedna pełna najpiękniejszych, najczerwieńszych karbunkułów, jakie kiedykolwiek widziano, a druga pełna kamieni, jakich nikt nigdy nie widział, podłużnych naturalnych kryształów, starannie wypolerowanych, by ukazać, że z jednego końca były ciemnoróżowe, a z drugiego ciemnozielone.

- To prawdziwa fortuna! - wykrzyknął Sulla, oglądając jeden z tych różnobarwnych kamieni, które miejscowi nazywali *lychnites*.

- To prawda! To prawda! - unosił się w zachwytach Mariusz.

Co do Publiusza Wagieniusza, został odznaczony na oczach całej zgromadzonej armii pełnym zestawem dziewięciu srebrnych *phalerae*, wielkich okrągłych medalionów z płaskorzeźbami, łączonych srebrnymi paskami w trzy rzędy po trzy, by można je było nosić na pancerzu lub na kolczudze. Cieszył się tym wyróżnieniem, ale dużo bardziej cieszył się z tego, że Mariusz dotrzymał słowa i ochronił ślimaczą ścieżkę, wygradzając drogę dla żołnierzy aż na szczyt góry. Przejście kazał osłonić skórami, więc żołnierze nie wiedzieli nawet, jakie soczyste przysmaki prześlizgują się wśród paproci w pieczarze, a gdy góra została zdobyta, kazał natychmiast rozebrać schody. Poza tym, Aulus Manliusz napisał do swego klienta, owego plebejskiego Fulwiusza, zawiązując spółkę na czas po zakończeniu kampanii, gdy Wagieniusz zostanie zwolniony.

- Pamiętaj, Publiusz Wagieniuszu - mówił Mariusz, zapinając mu na piersi dziewięć srebrnych *phalerae* - że my czterej liczymy na wzajemność z twojej strony - ślimaki gratis na nasze stoły i osobny udział dla Aulusa Manliusza.

- Umowa stoi - zapewnił Wagieniusz, który odkrył z żalem, że bezpowrotnie minął mu apetyt na ślimaki. Teraz jednak patrzył na nie zazdrosnym okiem raczej obrońcy niż niszczyciela.

Pod koniec sekstyliisa armia wracała znad granicy. Nie było kłopotów z żywnością, bo żniwa były w pełni. Pobyt na skraju królestwa Bokchusa przyniósł pożądane skutki. Przekonany, że Mariusz nie poprzestanie na podboju Numidii, Bokchus postanowił związać swój los z losem swego zięcia Jugurty. Pchnął swą mauryjską armię nad Muluchę i tam spotkał się z Jugurtą, który czekał na odejście Mariusza, by znów zająć ogołoconą ze skarbów górską cytadelę.

Obaj królowie poszli potem śladem Rzymian kierujących się na wschód. Nie śpieszyli się z atakiem i trzymali wystarczająco daleko, by ich nie wykryto. Kiedy zaś Mariusz był o niecałe sto mil od Cyrty, królowie

uderzyli.

Było to o zmierzchu i armia rzymska zajęta była zakładaniem obozu. Mimo to atak nie zaskoczył całkowicie żołnierzy, bo Mariusz, rozbijając obóz, bardzo dbał o bezpieczeństwo. Mierniczowie wytyczyli cztery narożniki i oznaczyli je palikami, a potem cała armia wchodziła z drobiazgową dokładnością do wnętrza przyszłego obozu, na pamięć wiedząc, gdzie staje każdy legion, każda kohorta legionu i każda centuria kohorty. Nikt się o nikogo nie potykał, nikt nie szedł w niewłaściwe miejsce i nikt nie zajmował więcej przestrzeni, niż miał zająć. Karawana jucznych mułów weszła również do wnętrza, a nieliniowi z centurii zajęli się wozami i mułami poszczególnych ósemek. Żołnierze ruszyli, niosąc pale i rydle, wciąż jeszcze uzbrojeni, ku wyznaczonym częściom ogrodzenia obozu. Pracowali w kolczugach i przy mieczach. Włócznie zatykali w ziemię, opierali o nie tarcze i zawieszali na nich hełmy z paskami zapiętymi wokół włóczni. Wiatr nie mógł przewrócić takiej konstrukcji, a każdy z kopaczy miał swój hełm, tarczę i włócznię w zasięgu ręki.

Zwiadowcy nie wykryli nieprzyjaciela, zameldowali, że wszystko w porządku, i przyłączyli się do rozbijania obozu. Słońce zaszło i podczas krótkiego zmierzchu przed zapadnięciem ciemności armie numidyjska i mauretańska wyspały się z za grzbietu pobliskiego wzgórza i spadły na w połowie ukończony obóz.

Walka toczyła się w ciemnościach. Były to zacięte zmagania i przez parę godzin napastnicy mieli przewagę nad Rzymianami. Kwintus Sertoriusz kazał jednak nieliniowym pozapalać pochodnie i w końcu pole walki zostało oświetlone na tyle, że Mariusz mógł widzieć, co się dzieje. Od tej chwili szala zaczęła przechylać się na korzyść Rzymian. Sulla bardzo się zasłużył, wprowadzając porządek w oddziałach, które zaczynały chwiać się lub wpadać w panikę. Zjawiał się wszędzie, gdzie był potrzebny - jakby za sprawą czarów, ale w istocie dzięki temu wrodzonemu oku wojskowego, które pozwala rozpoznać słaby punkt, jeszcze zanim się on ujawni. Z zakrwawionym mieczem, sam okrwawiony, szedł do boju niczym weteran - śmiały w ataku, rozważny w obronie, pomysłowy w pokonywaniu trudności.

O ósmej godzinie nocy Rzymianie odnieśli zwycięstwo. Armie numidyjska i mauretańska wycofały się w dobrym porządku, ale zostawiły na polu bitwy kilka tysięcy żołnierzy, podczas gdy Mariusz stracił zaskakująco niewielu.

Rano armia rzymska ruszyła dalej. Mariusz zdecydował, że nie ma mowy o odpoczynku. Ciała zabitych Rzymian spalono, jak należało, a nieprzyjaciół pozostawiono sępom. Tym razem legiony maszerowały w czworoboku, z kawalerią z przodu i z tyłu zwartej kolumny oraz z wozami i jucznymi mułami w jej środku. Gdyby drugi atak nastąpił w czasie marszu, żołnierze mieli obracać się w czworobokach na zewnątrz, a kawaleria zajmowała już miejsca, by utworzyć skrzydła. Wszyscy maszerowali w hełmach z barwnymi grzebieniami z końskiego włosia, z tarczami ze zdjętymi skórzanymi osłonami i z dwoma włóczniami w rękę. Taka czujność miała obowiązywać aż do samej Cyrty.

Czwartego dnia, kiedy planowano wejście wieczorem do Cyrty, królowie uderzyli ponownie. Tym razem Mariusz był gotowy. Legiony utworzyły czworoboki, a każdy z nich stanowił część szerszego czworoboku z taborem pośrodku. Jugurta jak zwykle liczył na to, że jego tysiące konnych Numidyjczyków rozbiją rzymski szyk. Ci znakomici jeźdźcy nie używali siodła ani uzdy i nie nosili zbroi, polegając na swej sile i szybkości, odwadze i zabójczej celności swych oszczepów i długich mieczy. Ani jednak konnica Jugurty, ani Bokchusa nie zdołały wdrzeć się do środka rzymskiego czworoboku, a natarcie ich piechoty załamało się na niewzruszonym murze tarcz legionistów.

Sulla walczył w pierwszym szeregu pierwszej kohorty pierwszego legionu, bo Mariusz dowodził całością i nie groziło już żadne zaskoczenie. Kiedy załamały się w końcu szeregi piechoty Jugurty, to Sulla poprowadził natarcie, mając tuż za sobą Sertoriusza.

Jugurta był zdecydowany pozbyć się Rzymian raz na zawsze i przez to zbyt długo pozostawał w boju. Kiedy zdecydował się na odwrót, było już za późno i nie miał innego wyboru, jak zwrzeć się znów z Rzymianami, którzy już przeczuwali zwycięstwo. Kiedy to zwycięstwo nadeszło, było całkowite. Armie nieprzyjaciół były rozbite, większość ich wojska poległa, a Jugurta i Bokchus uciekli.

Mariusz wjechał do Cyrty na czele kolumny wyczerpanych, ale tryumfujących żołnierzy. Wszyscy wiedzieli, że wielka wojna w Afryce dobiegła końca. Tym razem Mariusz zakwaterował wojsko za murami Cyrty, nie ryzykując obozowania na zewnątrz. Żołnierzy rozmieszczono po domach nieszczęsnych numidyjskich mieszkańców, a nieszczęsnych mieszkańców posłano nazajutrz na pobojuwisko, aby spalili stosy martwych Afrykanów i wnieśli do miasta ciała o wiele mniej licznych poległych Rzymian, by im wyprawić pogrzeb.

Kwintus Sertoriusz dostał od Mariusza polecenie zorganizowania uroczystości nadawania odznaczeń na specjalnym zgromadzeniu wojska po uroczystej kremacji poległych. Miała to być pierwsza taka uroczystość w jego życiu, nie miał więc pojęcia, jak się zabrać do swego zadania. Był jednak inteligentny i pomysłowy, wyszukał więc centuriona weterana *primus pilus* i wypytał go o wszystko.

- Musisz najpierw, młody Sertoriuszu - powiedział stary wyjadacz - wydostać od Gajusza Mariusza wszystkie jego odznaczenia i wystawić je na podwyższeniu dla wodza, żeby ludzie zobaczyli, jaki z niego żołnierz. Dobrzy z nich chłopcy, Policzeni Głowami czy nie, ale nie mają pojęcia o życiu w wojsku i nie pochodzą z rodzin o tradycjach wojskowych. Skąd mają wiedzieć, jakim żołnierzem jest Gajusz Mariusz? Ja to wiem! Brałem udział we wszystkich jego kampaniach od... ach, od Numancji.

- Chyba nie ma tych odznaczeń ze sobą - powiedział z powątpiewaniem Sertoriusz.

- Oczywiście, że je ma, młody Sertoriuszu! - odparł weteran stu bitew i potyczek. - One mu przynoszą szczęście.

I rzeczywiście, zapytany o to Mariusz przyznał, że przez całą kampanię wozi ze sobą swoje odznaczenia. Był nieco zakłopotany, póki Sertoriusz

nie wspomniał o uwadze centuriona na temat szczęścia.

Cała Cyrta przyglądała się tej imponującej ceremonii. Armia wystąpiła z wszystkimi paradnymi insygniami wojskowymi, srebrne orły wszystkich legionów uwieńczone były laurami zwycięstwa, srebrne ręce na znakach manipułów uwieńczone były laurami zwycięstwa i każda chorągiew centurii, *vexillum*, uwieńczona była laurem zwycięstwa. Każdy, kto miał jakieś odznaczenia, nałożył je, ale że była to nowa armia ludzi nowych, zaledwie kilku centurionów i z pół tuzina żołnierzy paradowało w bransoletach, naszyjnikach i medalionach. Oczywiście Publiusz Wagieniusz nałożył swój zestaw srebrnych *phalerae*.

Gajusz Mariusz nie miał jednak równych sobie! Tak myślał oszołomiony Kwintus Sertoriusz, gdy stał, czekając na odznaczenie złotym wieńcem za pojedynki stoczony na polu bitwy. Sulla też czekał na to samo odznaczenie.

A oto one, ustawione za nim na wysokim podwyższeniu, odznaczenia Gajusza Mariusza. Sześć srebrnych włóczni za zabicie przeciwnika w pojedynku w sześciu różnych sytuacjach, szkarłatne *vexillum* wyszywane złotem i obrębione złotą frędzlą za zabicie kilku przeciwników w pojedynku przy jednej okazji i dwie owalne srebrne tarcze za utrzymanie placu boju w walce z przeważającym nieprzyjacielem. Były jeszcze odznaczenia, które nosił na pancerzu z utwardzanej skóry, nie zaś na zwykłym zdobionym srebrem pancerzu z brązu, jaki nosili wyżsi oficerowie - trzy zestawy po dziewięć medali, dwa na przedzie pancerza i jeden z tyłu. Sześć złotych obręczy i cztery srebrne zwisały mu z ramion, a na przedramionach i przegubach dłoni połyskiwały złote i srebrne *armillae* bransolety. Potem były wieńce. Na głowie nosił dębowy wieniec obywatelski, *corona civica*, przyznawany za ocalenie życia towarzyszowi broni. Kolejne dwa takie dębowe wieńce zwisały ze srebrnych włóczni, co oznaczało, że aż trzykrotnie zdobył wieniec obywatelski. Na dwóch dalszych srebrnych włóczniach wisiały dwa złote wieńce za dzielność z kutyh złotych liści laurowych, na piątej włóczni *corona muralis*, złota korona z blankami przyznawana żołnierzowi, który podczas szturm pierwszego wdarł się na mury oblężonego miasta, a na szóstej *corona vallaris* przyznawana temu, kto pierwszy wtargnął do obozu przeciwnika.

„Cóż to za człowiek!”, myślał Kwintus Sertoriusz, notując w pamięci spis tych talizmanów. Nie zdobył jedynie wieńca morskiego za dzielność w bitwie morskiej - Mariusz nigdy przedtem nie walczył na morzu - i wieńca z trawy, *corona graminea*, przyznawanego temu, kto dzięki własnej dzielności i przedsiębiorczości uratował cały legion lub nawet całą armię. Wieniec z trawy przyznano tylko kilka razy w dziejach republiki, po raz pierwszy legendarnemu Lucjuszowi Sykcyjuszowi Dentatusowi, który zdobył aż dwadzieścia sześć różnych wieńców, ale tylko jedną *corona graminea*. Scypion Afrykański otrzymał wieniec podczas drugiej wojny z Kartagimą. Sertoriusz zmarszczył brwi, szukając w pamięci pozostałych jego zdobywców. Ach, Publiusz Decjusz Mus dostał go w czasie pierwszej wojny samnickiej! I Kwintus Fabiusz Kunktator za chodzenie za Hannibalem po całą Italię, co powstrzymało tamtego od ataku na sam Rzym.

Potem wezwano Sullę do odbioru złotego wieńca i zestawu dziewięciu złotych *phalerae* za jego postawę podczas pierwszej bitwy z dwoma królami. Jakże był uradowany, jak podniesiony na duchu. Kwintus Sertoriusz słyszał o nim, że był człowiekiem chłodnym i skłonny do okrucieństwa, ale przebywając z nim razem w Afryce, nigdy nie dopatrył się niczego, co potwierdzałoby te oskarżenia. Gdyby zresztą były prawdziwe, Gajusz Mariusz nie lubiłby go aż tak bardzo, jak to okazywał. Sertoriusz nie pojmował oczywiście, że wówczas gdy życie dobrze się układa, gdy jest przyjemne i niesie ze sobą wyzwania dla umysłu i dla ciała, chłód i okrucieństwo mogą zostać na jakiś czas pogrzebane. Sulla dobrze wiedział, że Mariusz nie jest człowiekiem, któremu mógłby ujawnić ciemne strony swej natury. Odkąd Mariusz powołał go na swego kwestora, Sulla pokazywał się wyłącznie ze swej najlepszej strony - i nie sprawiało mu to trudności.

- Ach! - Sertoriusz aż podskoczył. Zatopiony w myślach, nie usłyszał, że go wzywają, i dostał sójkę w bok od służącego, prawie tak dumnego z Sertoriusza, jak on sam był dumny z siebie. Wgramolił się na podwyższenie i stał tam, podczas gdy wielki Gajusz Mariusz wkładał mu na głowę złoty wieniec. Wojsko wiwatowało, a potem Gajusz Mariusz i Aulus Manliusz ściskali mu dłoń.

A gdy już zostały wręczone wszystkie obręcze, bransolety, medaliony i chorągwie i kilka kohort otrzymało za dzielną postawę odznaczenia swoich znaków złotymi i srebrnymi wieńcami, Gajusz Mariusz zabrał głos.

- Dobrze się spisaliście, żołnierze Policzeni Głowami! - zawołał. Odznaczeni stali wokół niego z nieprzytomnymi minami. - Okazaliście się najdzielniejsi spośród dzielnych, najgorliwsi spośród gorliwych, najpracowitsi spośród pracowitych i najbystrzejsi spośród bystrych! Wiele waszych znaków możecie ozdobić zdobytymi odznaczeniami. Kiedy przejdziemy w tryumfie przez Rzym, będziemy mieli im coś do pokazania! I nikt już nie powie w przyszłości, że Policzeni Głowami nie troszczą się aż tak o Rzym, by wygrywać dla niego bitwy!

Listopad zaczął właśnie obiecywać deszcze, gdy do Cyrty przybyło poselstwo króla Mauretanii Bokchusa. Mariusz pozwolił posłom denerwować się przez kilka dni, nie zwracając uwagi na ich prośby o pilne posłuchanie.

- Będą miękcy niczym poduszki - powiedział do Sulli, kiedy w końcu zgodził się ich przyjąć.

- Nie mam zamiaru wybaczyć królowi Bokchusowi - powiedział im na początek - wracajcie więc! Nie marnujcie mego czasu.

Ich rzecznik, niejaki Bogud, młodszy brat króla, wystąpił szybko na przód, zanim Mariusz zdążył skinąć na liktorów, by usunęli poselstwo.

- Gajuszu Mariuszu, mój brat król zdaje sobie sprawę z ogromu swego występku! Nie prosi o wybaczenie ani o to, byś zalecił senatowi i ludowi rzymskiemu przyjęcie go na powrót do grona przyjaciół i sprzymierzeńców Rzymu. Prosi jedynie o to, abyś wiosną przysłał dwóch swoich starszych legatów na jego dwór w Tingisie za Słupami Herkulesa. Tam wyjaśni im

on najdokładniej, dlaczego sprzymierzył się z królem Jugurta, pragnie zaś jedynie tego, by go wysłuchali. Nie muszą mu odpowiadać choćby jednym słowem - mają tylko przekazać jego słowa tobie, abyś odpowiedział, jeśli zechcesz. Błagam cię, wyświadczyć tę łaskę memu bratu królowi!

- Mam wysłać dwóch moich najlepszych ludzi aż do Tingisu w przededniu nowej kampanii? - spytał Mariusz z dobrze udanym niedowierzaniem. - Nie! Mogę ich co najwyżej posłać do Saldów.

Był to mały port położony na zachód od Rusykady, portu Cyrty. Całe poselstwo ze zgrozą uniosło ręce do góry.

- To zupełnie niemożliwe! - wykrzyknął Bogud. - Mój brat król pragnie uniknąć za wszelką cenę spotkania z Jugurta!

- Zatem Ikozjum - rzekł Mariusz, wymieniając kolejny port, tym razem o dwieście mil na zachód od Rusykady. - Poślę mego starszego legata, Aulusa Manliusza, i mego kwestora Lucjusza Korneliusza Sullę aż do Ikozjum - ale teraz, książę Bogudzie, a nie wiosną.

- To niemożliwe! - krzyknął Bogud. - Król jest w Tingisie!

- Nonsens! - odrzekł lekceważąco Mariusz. - Król wraca do Mauretanii z podkulonym ogonem. Jeśli pošlesz za nim szybkiego jeźdźca, ręczę, że bez trudu dotrze on do Ikozjum w tym samym dniu, w którym dopłyną tam moi legaci. - Spojrzał groźnie na Boguda. - To moje ostatnie słowo. Przyjmujecie albo odrzucacie.

Bogud przyjął. Kiedy posłowie odpływali dwa dni później, Aulus Manliusz i Sulla płynęli wraz z nimi do Ikozjum. Wcześniej wyprawiono szybkiego jeźdźca, by dogonił resztki rozbitej armii mauretańskiej.

- Czekał już na nas, kiedy wpływaliśmy do portu, właśnie tak, jak zapowiedziałeś - opowiadał w miesiąc później Sulla.

- A gdzie jest Aulus Manliusz? - spytał Mariusz.

Sulla zamrugał.

- Nie czuł się dobrze, więc postanowił wracać lądem.

- Czy to coś poważnego?

- Nigdy nie widziałem gorszego żeglarza.

- Nie znałem go z tej strony! - zdziwił się Mariusz. - Zakładam więc, że ty słuchałeś uważniej niż Aulus Manliusz, czy tak?

- Tak - Sulla uśmiechnął się szeroko. - Zabawny człowieczek z tego Bokchusa. Jest okrągły jak piłka, tyle je słodczy. Z wyglądu napuszony, w gruncie rzeczy jest bojaźliwy.

- Te rzeczy idą w parze - zauważył Mariusz.

- On się boi Jugurty, to dość oczywiste, i chyba tego nie udaje. Gdybyśmy mu zaręczyli, że nie zamierzamy usuwać go z tronu, byłby zachwycony, mogąc służyć Rzymowi. Jugurta urabia go sobie jednak, ile zdoła.

- Jugurta urabia sobie wszystkich. Czy zastosowałeś się do propozycji Bokchusa i milczałeś, czy też zabrałeś głos?

- Ach, pozwoliłem mu mówić, ale potem zabrałem głos. Próbował mi przerwać, ale powiedziałem, że jego propozycja nie jest wiążąca dla twoich wysłanników.

- I co mu powiedziałeś?

- Że gdyby był rozsądny, machnąłby ręką na Jugurte i na przyszłość trzymał z Rzymem.
- Jak to przyjął?
- Całkiem nieźle. Będzie się miał nad czym zastanawiać.
- Poczekamy i zobaczymy, co się będzie działo.
- Dowiedziałem się jeszcze - dorzucił Sulla - że Jugurta wyczerpał swoje możliwości zaciągania wojska. Nawet Getulowie odmawiają mu żołnierzy. Numidia ma dość wojny i nikt już nie wierzy w zwycięstwo.
- Ale czy wydadzą nam Jugurte?
- Sulla pokręcił przecząco głową.
- Nie, tego oczywiście nie zrobią!
- Mniejsza z tym! - Mariusz wyszczerzył zęby. - W przyszłym roku, Lucjuszu Korneliuszu! Dostaniemy go w przyszłym roku.

Krótko przed końcem starego roku Gajusz Mariusz dostał list od Publiusza Rutyliusza Rufusa. Szereg przeraźliwych sztormów opóźnił jego doręczenie.

„Pamiętam, że chciałeś, Gajuszu Mariuszu, bym ubiegał się wraz z tobą o konsulat. Nadarzyła mi się jednak okazja, którą tylko głupiec wypuściłby z rąk. Tak, zamierzam ubiegać się o konsulat na przyszły rok i jutro zgłaszam swoją kandydaturę. Wygląda na to, że studnia nam wyschła. Do wyborów stają nie znani nikomu ludzie. Już słyszę, jak pytasz: »A Kwintus Lutacjusz Katullus Cezar?« Nie, jego akcje stoją ostatnio bardzo nisko. Obnosi się przy tym z przynależnością do stronnictwa, które broniło konsulów odpowiedzialnych za zgubę tak wielu naszych żołnierzy. Jak dotąd najlepszym kandydatem jest swego rodzaju człowiek nowy - Gnejusz Maliusz Maksymus, nie kto inny. Nie jest zły. Z pewnością mógłbym z nim współpracować - ale jeśli on jest najlepszym kandydatem, ja mam pewność wyboru! Twoje dowództwo zostało przedłużone na rok przyszły, jak to już pewnie wiesz.

Rzym jest obecnie wyjątkowo nudnym miejscem. Nie mam dla ciebie żadnych prawie nowin, żadnych skandali. Twoja rodzina ma się dobrze. Mały Mariusz sprawia wszystkim wiele radości. Jest nad wiek rozwinięty i przoduje w tym wszystkim, co doprowadza matki do szału, jak to chłopiec. Niestety, twój teść, Cezar, nie czuje się dobrze, chociaż, jak to Cezar, na nic się nie uskarża. Coś jest nie w porządku z jego gardłem i nawet miód mu nie pomaga.

I to już koniec nowin! Okropność. O czym mam pisać? Nie zapisałem nawet strony. Cóż, pozostaje moja siostrzenica Aurelia. Już słyszę, jak pytasz: »Któż to jest Aurelia, na litość wszystkich bogów?« Chyba też nic cię to nie obchodzi. Mniejsza o to. Możesz posłuchać, a ja będę się streszczał. Z pewnością znasz historię Heleny trojańskiej, chociaż jesteś italskim prostakiem, który wcale nie zna greki. Była tak piękna, że wszyscy nieżonaci królowie greccy chcieli się z nią żenić. Z moją siostrzenicą jest tak samo. Jest tak piękna, że wszyscy w Rzymie chcą się z nią żenić.

Wszystkie dzieci mojej siostry Rutylii są urodziwe, ale Aurelia jest więcej niż tylko urodziwa. Kiedy była dzieckiem, wszyscy użalali się nad

jej twarzą - bo była nad wyraz koścista, nad wyraz zacięta, wszystko w niej było nad wyraz. Odkąd jednak skończyła osiemnaście lat, wszyscy unoszą się w zachwytach nad tą samą przecież twarzą.

Trzeba dodać, że bardzo ją kocham. Już słyszę, jak pytasz: »Dlaczego?« To prawda, że nie interesują mnie zbytnio córki moich krewnych, nawet moja własna córka i obie moje wnuczki. Wiem jednak, za co tak bardzo cenię moją drogą Aurelię. Za jej służącą.

Kiedy skończyła trzynaście lat, moja siostra i jej mąż, Marek Aureliusz Kotta, uznali, że powinna już mieć stałą służącą, która pełniłaby też rolę towarzyszki i stróża. Kupili więc jakąś bardzo dobrą dziewczynę i podarowali ją Aurelii, która bardzo szybko oświadczyła, że nie chce tej akurat dziewczyny.

- Dlaczego? - spytała moja siostra Rutylią.

- Bo jest leniwa - odpowiedziała trzynastoletka.

Rodzice poszli z powrotem do swego dostawcy i jeszcze staranniej niż przedtem wybrali inną dziewczynę, którą Aurelia również odrzuciła.

- Dlaczego? - spytała moja siostra Rutylią.

- Bo myśli, że może mną rządzić - odpowiedziała Aurelia. Rodzice poszli z powrotem po raz trzeci i przetrząsnęli rejestry Spuriusza Postumiusza Glykona w poszukiwaniu jeszcze jednej dziewczyny. Dodam, że wszystkie trzy były wykształcone, były Greczynkami i były inteligentne.

Ale Aurelia nie chciała i tej trzeciej dziewczyny.

- Dlaczego? - spytała moja siostra Rutylią.

- Bo za bardzo pilnuje swoich spraw i już puszcza oko do rządcy.

- Dobrze więc, idź i sama sobie wybierz służącą! - powiedziała moja siostra Rutylią. Nie chciała mieć z tym więcej nic wspólnego.

Kiedy Aurelia wróciła do domu z wybraną dziewczyną, rodzina była przerażona, stała bowiem przed nimi szesnastoletka z ludu galijskich Arwernów, wysokie kościste stworzenie z okrągłą różową buzią i krótkim noskiem, bladoniebieskimi oczami, okropnie krótko przyciętymi włosami (sprzedano je na perukę, kiedy jej poprzedni pan potrzebował pieniędzy) i największymi dłońmi i stopami, jakie widziałem w życiu. Nazywała się, jak oznajmiła Aurelia, Kardyksa.

Jak wiesz, Gajuszu Mariuszu, zawsze interesowałem się przeszłością tych, których wprowadzamy do swych domów jako niewolników. Zawsze wydawało mi się dziwne, że więcej czasu poświęcamy układaniu jadłospisu na przyjęcie niż ludziom, którym powierzamy nasze ubrania, nasze dzieci, nas samych, a nawet naszą reputację. Tymczasem moja trzynastoletnia siostrzenica Aurelia wybrała tę okropną Kardyksę z całkiem słusznych powodów. Chciała mieć raczej kogoś lojalnego, pracowitego, uległego i życzliwego niż kogoś, kto dobrze się prezentuje, mówi po grecku jak Greczynka (jak one wszystkie) i potrafi podtrzymywać rozmowę.

Postarałem się dowiedzieć czegoś o Kardyksie, co nie było trudne. Spytałem po prostu Aurelię, która знаła historię dziewczyny. Sprzedano ją w niewolę wraz z matką, kiedy miała cztery lata. Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus podbił wtedy Arwernów i utworzył prowincję Galii

Zaalpejskiej. Wkrótce po ich przybyciu do Rzymu matka zmarła, jak się zdaje, z tęsknoty. Dziewczynka została czymś w rodzaju pazia do noszenia nocników, poduszek i pufów. Sprzedawano ją kilka razy po tym, jak straciła swą urodę dziecka i zaczęła wyrastać na tego wybujałego chudzielca, którego Aurelia przyprowadziła do domu. Jeden z jej panów wykorzystywał ją seksualnie, kiedy miała osiem lat, drugi chłostał ją za każdym razem, kiedy jego żona narzekała, a trzeci uczył ją czytać i pisać razem ze swoją córką, krnąbrną uczennicą.

- Poczułaś litość i zechciałaś dać biedaczce coś w rodzaju domu - powiedziałem Aurelii.

I oto dlaczego, Gajuszu Mariuszu, kocham tę dziewczynę bardziej niż własną córkę. Moja uwaga wcale jej nie ucieszyła. Cofnęła się, jak to robią węże, i powiada:

- Ależ nie! Litość jest godna podziwu, wujku Publiusz, jak nam mówią książki i rodzice. Ja jednak uważam, że litość to nie powód, by wybierać sobie służącą. To nie moja wina, że Kardyksa miała ciężkie życie, nie mam więc obowiązku naprawiać jej złego losu. Wybrałam ją, bo jestem pewna, że będzie lojalna, pracowita, uległa i zycziwa. Piękny futerał nie świadczy, że książka jest warta czytania.

Czy nie kochasz jej za to choć trochę, Gajuszu Mariuszu? Miała wtedy trzynaście lat! A co najdziwniejsze, choć z mojej pisaniny może się wydawać, że była, mówiąc to, oschła i nieczuła, wiem, że taka nie była. To zdrowy rozsądek, Gajuszu Mariuszu! Moja siostrzenica go ma. Ile znasz takich kobiet? Wszyscy tutejsi młodzi ludzie chcą się z nią zenić ze względu na jej twarz, figurę i majątek, ja zaś wołałbym kogoś, kto doceni jej zdrowy rozsądek. Jak jednak zdecydować, kto na to zasługuje? Wszyscy zadajemy sobie to pytanie”.

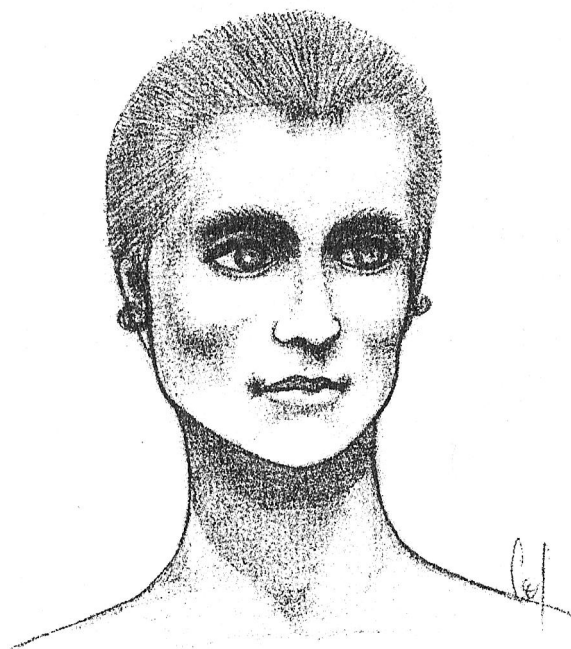
Odłożywszy list, Mariusz sięgnął po pióro i arkusz papieru. Umoczył pióro w atramencie i napisał bez długiego zastanawiania się.

„Oczywiście, że rozumiem. Do dzieła, Publiuszu Rutyliuszu! Gnejusz Maliusz Maksymus będzie potrzebował pomocy, a ty będziesz znakomitym konsulem. Co do twojej siostrzenicy, czemu nie pozwolić jej wybrać sobie męża? Z wyborem służącej dała sobie przecież radę. Nie bardzo zresztą rozumiem, o co to całe zamieszanie. Lucjusz Korneliusz mówił mi, że ma syna, ale dowiedział się o tym od Gajusza Juliusza, a nie od Julilli. Wyświadcz mi przysługę i miej oko na tę młodą damę. Nie sędzę, by Julilla była podobna do twojej siostrzenicy, jeśli idzie o zdrowy rozsądek, a nie wiem, kogo jeszcze mógłbym o to prosić, bo przecież nie jej tatę. Dzięki za wiadomość o jego chorobie. Mam nadzieję, że gdy otrzymasz ten list, będziesz już konsulem”.





ROK SZÓSTY (105 p.n.e.)



AURELIA
(matka Cezara Dyktatora)



ZA KONSULATU PUBLIUSZA RUTYLISZA RUFUSA I GNEJUSZA MALIUSZA MAKSYMUSA

Chociaż Jugurta nie był jeszcze zbiegiem w swoim własnym kraju, wschodnie, gęściej zaludnione połacie tego kraju pogodziły się z pojawieniem się Rzymian i nieuchronnością rzymskiej dominacji. Stołeczna Cyrta leżała jednak pośrodku, Mariusz zdecydował więc, że roztropniej będzie przezimować tam, a nie w Utyce. Mieszkańcy Cyrty nigdy nie okazywali szczególnego oddania swemu królowi, ale Mariusz znał Jugurtę i wiedział, że jest on najniebezpieczniejszy - i najbardziej uwodzicielski - kiedy jest przyparty do muru. Byłoby politycznym błędem wystawiać Cyrtę na pokuszenie. Sulla pozostał w Utyce, by zarządzać rzymską prowincją, a Aulus Manliusz został zwolniony ze służby i wrócił do kraju. Zabrał ze sobą obu synów Gajusza Juliusza Cezara. Nie chcieli opuszczać Afryki, ale poruszony listem Rutylusza Mariusz uznał, że lepiej będzie zwrócić Cezarowi jego synów.

W styczniu król Mauretanii Bokchus w końcu zdecydował się, by mimo związków krwi i związków małżeńskich z rodem Jugurty zawrzeć przymierze z Rzymem - jeśli Rzym zechce na to przystać. Przeniósł się do Ikozum, gdzie przed dwoma miesiącami rozmawiał z Sullą i chorym Manliuszem, i

wysłał stamtąd poselstwo do Mariusza. Nie pomyślał, niestety, że może on zimować gdzie indziej niż w Utyce, tam więc skierowała się delegacja, mijając od północy Cyrte i Gajusza Mariusza.

Posłów było pięciu, w tym - raz jeszcze - młodszy brat królewski Bogud i jeden z synów króla, ale podróżowali z bardzo małym orszakiem i bez eskorty wojskowej. Bokchus nie życzył sobie żadnych zatargów z Mariuszem i żadnych podejrzeń o wrogie zamiary. Nie chciał też przyciągać uwagi Jugurty.

W rezultacie robili wrażenie grupy zamożnych kupców wracających do domów po udanej wyprawie handlowej i stanowili nieodpartą pokusę dla zbrojnych band rabusiów, którzy korzystali z rozdarcia Numidii i bezsilności jej króla, by bogacić się cudzym kosztem. Kiedy przekroczyli rzekę Ubus na południe od Hippo Regius, zostali napadnięci i obrabowani ze wszystkiego oprócz szat. Zabrano im nawet służących i niewolników, by ich sprzedać na jakimś oddalonym rynku.

Kwintus Sertoriusz był przy Mariuszu, co oznaczało, że Sulla nie miał najbystrzejszych oficerów. Zdając sobie z tego sprawę, starał się mieć oko na wszystko, co się działo przy bramie pałacu namiestnika, i szczęśliwie ujrzał na własne oczy obszarpaną gromadkę wędrowców bezskutecznie zabiegających, by ich wpuszczono.

- Musimy widzieć się z Gajuszem Mariuszem - nalegał książę Bogud. - Jesteśmy wysłannikami króla Bokchusa, daję słowo!

Sulla rozpoznał w końcu przynajmniej trzech z tej grupy i poszedł spieszenie do trybuna, który miał służbę.

- Wpuść ich, durniu!

Potem wziął pod ramię Boguda, który ledwie trzymał się na nogach.

- Wyjaśnienia mogą poczekać, książę - rzekł stanowczo. - Musicie się wykapać, przebrać, zjeść coś i odpocząć.

W kilka godzin później słuchał opowieści Boguda.

- Droga trwała znacznie dłużej, niż się spodziewaliśmy - powiedział na koniec Bogud. - Obawiam się, że król wpadnie w desperację. Czy możemy rozmawiać z Gajuszem Mariuszem?

- Gajusz Mariusz jest w Cyrcie - oświadczył Sulla. - Radzę ci powiedzieć mi, czego sobie życzy król, a ja prześlę wiadomość do Cyrty.

- Król prosi Gajusza Mariusza o wysłanie nas, swoich krewnych, do Rzymu. Tam zwrócimy się do senatu o przywrócenie królowi statusu sprzymierzeńca.

- Rozumiem. - Sulla wstał. - Zechciej, książę, rozgościć się i zaczekać. Zaraz pošlę kogoś do Gajusza Mariusza, ale na odpowiedź trzeba będzie poczekać parę dni.

W cztery dni później przyszedł list od Mariusza.

„Proszę, proszę! To może być przydatne, Lucjuszu Korneliuszu. Muszę być jednak bardzo ostrożny. Nowy konsul, Publiusz Rutyliusz Rufus, pisze mi, jak to nasz drogi Metellus Świński Numidyjski rozpowiada każdemu, kto chce słuchać, że oskarży mnie jako zarządcę prowincji o zdzierstwo i przekupstwo. Nie mogę zrobić niczego, co by mu dało argumenty. Będzie musiał wyssać z palca swoje dowody, bo nie jest moim zwyczajem

uprawiać zdzierstwo i przekupstwo - o czym chyba wiesz lepiej niż inni. Chcę więc, żebyś postąpił tak oto:

Udzielę księciu Bogudowi posłuchania w Cyrście, co oznacza, że musisz przyprowadzić tu poselstwo. Zanim jednak wyruszysz, chcę, żebyś zgromadził wszystkich rzymskich senatorów, trybunów skarbu, wysłanników senatu i ludu rzymskiego oraz znaczniejszych obywateli z całej prowincji Afryki. Przyprowadź ich ze sobą do Cyrty. Chcę wysłuchać Boguda w obecności tych wszystkich rzymskich notabli, a potem uzgodnić z nimi na piśmie to, co zamierzam zrobić”.

Sulla śmiał się w głos, skończywszy czytanie.

- Świetna robota, Gajuszu Mariuszu! - oświadczył czterem ścianom swej kancelarii i poszedł posiać zamieszanie wśród swych trybunów i urzędników. Kazał im przetrząsnąć całą prowincję w poszukiwaniu rzymskich notabli.

Prowincja Afryki, znaczący dostawca zboża dla Rzymu, była miejscem chętnie odwiedzanym przez senatorów z żyłką do podróży. Była też pięknym i egzotycznym krajem, a północne wiatry sprzyjały o tej porze roku podróżującym na wschód tą drogą, nie zaś przez wzburzony Adriatyk. Pora była deszczowa, ale nie co dzień padało, a w przerwach między deszczami powietrze było balsamiczne i leczyło natychmiast odmrożenia u przybywających ze smaganej wiatrami Europy. Sulla zdołał zgromadzić dwóch podróżujących po świecie senatorów i dwóch odwiedzających nieobecnych właścicieli ziemskich (w tym największego, Marka Celiusza Rufusa), jednego wyższego urzędnika skarbu na zimowych wakacjach i bogatego rzymskiego handlarza zbożem, bawiącego właśnie w Utyce w sprawie przyszlých zbiorów pszenicy.

- Ale najlepsza zdobycz - mówił Mariuszowi w dwa tygodnie później w Utyce - to nikt inny jak Gajusz Bileniusz. Chciał rzucić okiem na Afrykę po drodze na namiestnictwo w prowincji Azji. Daję ci więc pretora z imperium prokonsularnym. Mamy też kwestora skarbu Gnejusza Oktawiusza Rusona, który przypląnął do Utyki z żołdem dla armii tuż przed moim wymarszem, a ja zgarnąłem i jego.

- To lubię! - Mariusz uśmiechnął się szeroko. - Szybko skorzystałeś z okazji.

I zanim przyjął poselstwo mauryjskie, zwołał naradę rzymskich notabłów.

- Chciałbym wam wyjaśnić sytuację, dostojni panowie, a potem przyjąć w waszej obecności księcia Boguda i pozostałych posłów. Chcę, żebyśmy wspólnie ustalili, co zrobić z królem Bokchusem - mówił do senatorów, właścicieli ziemskich, ludzi interesu, trybuna skarbu, kwestora i namiestnika prowincji. - Każdy z was powinien wyrazić swą opinię pisemnie, aby wiedziano w Rzymie, że nie przekroczyłem granic swej władzy.

Wynik był dokładnie taki, jakiego Mariusz sobie życzył. Przedstawił sprawę dokładnie i wymownie, mając pełne poparcie swego kwestora. Notable oświadczyli, że układ pokojowy z Bokchusem byłby wysoce pożądany. Najlepiej będzie, jeśli trzech Maurów wyśle się do Rzymu w towarzystwie kwestora skarbu Rusona, a dwóch pozostałych zwróci się

Bokchusowi na dowód dobrych zamiarów Rzymu.

Tak więc Gnejusz Oktawiusz Ruson odprowadził Boguda i dwóch jego kuzynów do Rzymu. Dotarli tam na początku marca i zaraz zostali wysłuchani na specjalnym zgromadzeniu senatu w świątyni Bellony, chodziło bowiem o zamorską wojnę z obcym władcą. Bellona była rzymską boginią wojny o wiele starszą od Marsa, a jej świątynia miejscem rad wojennych senatu.

Konsul Publiusz Rutyliusz Rufus wygłosił werdykt senatu przy szeroko otwartych drzwiach świątyni, aby mogli go słyszeć zgromadzeni tłumnie na zewnątrz.

- Powiedzcie królowi Bokchusowi - mówił Rutyliusz Rufus swym wysokim, dźwięcznym głosem - że senat i lud rzymski pamiętają zarówno obrazę, jak i przysługę. Skoro król szczerze żałuje, że obraził Rzym, grubiaństwem byłoby nie wybaczyć. Wybaczymy zatem, ale senat i lud rzymski domaga się teraz, by król Bokchus wyświadczył nam stosowną przysługę, jako że nic nie równoważy w naszej pamięci obrazy. Nie stawiamy żadnych żądań co do rodzaju owej przysługi, zostawiamy to królowi Bokchusowi. Kiedy przysługa zostanie wyświadczona równie niewątpliwie, jak niewątpliwa była obraza, senat i lud rzymski z radością zaproponują królowi Bokchusowi traktat przyjaźni i przymierza.

Bokchus usłyszał tę odpowiedź pod koniec marca z ust Boguda i dwóch innych wysłanników. Lęk przed odwetem Rzymu przeważał nad obawą króla o własną osobę, zamiast więc wycofać się do odległego Tingisu za Słupami Herkulesa, pozostał w Ikozjum. Uznał, że Mariusz będzie skłonny do układów na tę odległość, ale nie na większą. Aby się zabezpieczyć przed Jugurta, ściągnął do Ikozjum nową armię mauryjską i ufortyfikował portowe miasteczko najlepiej, jak potrafił.

Bogud udał się do Mariusza do Cyrty.

- Mój brat król błaga cię i zaklina, Gajuszu Mariuszu - mówił na klęczkach - byś mu wskazał, jaką to przysługę równą obrazie mógłby wyświadczyć Rzymowi.

- Wstańże, człowieku, wstań! - odpowiedział z rozdrażnieniem Mariusz.
- Nie jestem żadnym królem! Jestem prokonsulem senatu i ludu rzymskiego. Nikt się przede mną nie będzie płaszczyl, bo to obraża i mnie, i jego!

Zmieszany Bogud podniósł się z klęczek.

- Pomóż nam, Gajuszu Mariuszu! - zawołał. - Jakiej przysługi chce senat?

- Pomógłbym ci, gdybym mógł, książę Bogudzie - rzekł Mariusz, oglądając swe paznokcie.

- Poślij więc do króla któregoś ze swych dowódców. Może w rozmowie w cztery oczy znajdą jakiś sposób.

- Zgoda - rzekł nagle Mariusz. - Lucjusz Korneliusz Sulla może jechać do twego króla, zakładam, że nie dalej niż do Ikozjum.

- Ta przysługa to oczywiście Jugurta - mówił Mariusz do Sulli przed

jego odpłynięciem. - Dałbym sobie zęby rwać, żeby być na twoim miejscu, ale nie mogę, więc wysłałam człowieka, który ma zęby jak się patrzy.

Sulla uśmiechnął się szeroko.

- Kiedy raz coś chwycą, niełatwo wypuszczą.

- Wgryź się więc dobrze, zrób to dla mnie! Przyrowadź mi Jugurte!

Tak więc Sulla odpłynął z Rustykady z sercem wezbranym dumą i z żelazną determinacją. Miał z sobą kohortę rzymskich legionistów, kohortę lekko zbrojnych Italczyków z samnijskiego szczepu Pelignów, straż przyboczną z balearskich procarzy i oddział liguryjskiej kawalerii Publiusza Wagieniusza. Była połowa maja.

Przez całą drogę do Ikozjum denerwował się, choć był dobrym żeglarzem i odkrył w sobie prawdziwą miłość do morza i okrętów. W tej wyprawie o wielkim dla niego znaczeniu musiało mu się poszczęścić. Wiedział to na pewno, jakby i on otrzymał jakąś przepowiednię. To dziwne, ale nigdy nie poszedł do Marty Syryjki, choć Mariusz często go namawiał. Nie miało to nic wspólnego z niewiarą ani z tym, że nie był przesądny. Jak każdy prawdziwy Rzymianin był przesądny aż do przesady. Prawda była taka, że za bardzo się bał. Chociaż bardzo chciał, by jakaś inna istota ludzka potwierdziła jego przekonanie o wielkim losie, jaki go czeka, zbyt wiele wiedział o własnych słabych i ciemnych stronach, by się poddawać przepowiadaniu przyszłości tak spokojnie, jak zrobił to Mariusz.

Teraz jednak, wpływając do zatoki Ikozjum, żałował, że nie rozmawiał z Martą. Przyszłość ciążyła mu niczym derka, on zaś nie przeczuwał, co w sobie kryje. Wielkie rzeczy, zapewne, ale i złe. Samotny wśród równych sobie, wyczuwał namacalną obecność zła. Grecy rozprawiali bez końca o jego naturze. Wielu twierdziło nawet, że zło wcale nie istnieje. Sulla wiedział, że istnieje, i bał się, że istnieje w nim.

Zatoka Ikozjum aż się prosiła o jakieś wspaniałe miasto, zamiast miasteczka przycupniętego w głębi, gdzie dawał mu osłonę poszarpany łańcuch nadbrzeżnych gór zbliżający się do brzegu. Podczas zimowych deszczów wypełniły się łożyska licznych strumieni, a tuzin wysp unosił się nad wodą niczym okręty o masztach i żaglach z wysokich cyprysów. Sulla pomyślał, że to piękne miejsce.

Na brzegu pod miastem czekało z tysiąc konnych wojowników berberyjskich. Wyekwipowani byli jak Numidowie w długie miecze, tarcze i garść oszczepów. Nie używali siodeł ani zbroi.

- Ach - rzekł Bogud, gdy wysiedli z Sullą na brzeg z pierwszej barki. - Król wysłał ulubionego syna, by cię powitał, Lucjuszu Korneliuszu.

- Jak on się nazywa?

- Woluks.

Podjechał młody człowiek. Uzbrojony był jak inni, ale jego wystrojony koń był osiodłany. Sulli spodobał się sposób, w jaki ujęto jego dłoń, spodobały mu się też maniere królewicza, ale gdzie był król? Jego doświadczone oko nie wypatrzyło żadnego skupiska ludzi ani żadnego zamieszania otaczającego zwykle króla.

- Król wycofał się w góry o sto mil na południe, Lucjuszu Korneliuszu - wyjaśnił królewicz, gdy szli do miejsca, z którego Sulla miał doglądać

wyładunku.

Sulla poczuł gęsią skórę.

- Tego nie było w umowie!

- Wiem. - Woluks był zakłopotany. - Widzisz, w pobliżu pojawił się król Jugurta.

Sulla zamarł w miejscu.

- Czy to pułapka, królewiczu?

- Nie! Nie! - wykrzyknął młody człowiek, wyrzucając ręce w górę. - Przysięgam ci na wszystkich naszych bogów, Lucjuszu Korneliuszu, że to nie pułapka! Jugurta wyczuł, że coś tu brzydko pachnie, bo dano mu do zrozumienia, że mój ojciec król wraca do Tingisu, a on tymczasem zwlekał w Ikozjum. Jugurta wkroczył więc w góry z armią Getulów - zbyt małą, by na nas napaść, ale zbyt dużą, byśmy mogli napaść na niego. Ojciec postanowił wycofać się znad morza, aby Jugurta myślał, że spodziewamy się przybycia kogoś z Rzymu drogą lądową. Mądrze zrobiłeś, przybywając morzem. Jesteśmy pewni, że Jugurta nic o tym nie wie. Poszedł za moim ojcem.

- Jugurta szybko się dowie, że tu jestem - rzekł Sulla ponuro i pomyślał o swej eskorcie. Półtora tysiąca żołnierzy to za mało.

- Miejmy nadzieję, że nie, a przynajmniej, że nie od razu - odparł Woluks. - Trzy dni temu wyprowadziłem ten tysiąc swoich ludzi z obozu ojca niby to na ćwiczenia i przybyłem tutaj. Nie jesteśmy w wojnie z Numidią, więc Jugurta nie ma powodu, by nas atakować. Nie ma też pewności co do zamiarów mego ojca i nie zaryzykuje otwartego zerwania z nami, póki się nie dowie czegoś więcej. Jestem pewny, że będzie pilnował naszego obozu na południu, a moje podjazdy nie dopuszczą jego zwiadowców do Ikozjum.

Sulla spojrzał sceptycznie na młodego człowieka i pomyślał, że książęta mauryjscy nie myślą zbyt realnie. Denerwowała go powolność wyładunku - w Ikozjum było najwyżej dwadzieścia barek i widać było, że potrwa to do jutra. Westchnął i wzruszył ramionami. Nie było sensu się martwić. Albo Jugurta wie, albo nie wie.

- Gdzie obozuje Jugurta? - spytał.

- O trzydzieści mil od morza, w kotlinie między górami na południu, przy jedynej prostej drodze między Ikozjum a obozem mego ojca króla.

- Ach, to czarujące! Jak mam się więc przedostać do twego ojca króla, nie wojując z Jugurtą?

- Obejdziemy go tak, że się nie spostrzeże. Naprawdę, Lucjuszu Korneliuszu. Mój ojciec król mi ufa - proszę, żebyś i ty mi zaufał! - Po chwili zastanowienia Woluks dodał: - Chyba lepiej będzie, jeśli zostawisz tu żołnierzy. Z małą grupą mamy znacznie większe szanse.

- Dlaczego miałbym ci ufać, królewiczu? Nie znam cię. Prawdę mówiąc, nie znam też twego ojca króla. Możecie cofnąć swoje słowo i wydać mnie Jugurcie - jestem przecież coś wart! Gajusz Mariusz miałby wtedy kłopot, dobrze o tym wiesz.

Bogud sposepniał i nie odzywał się, ale Woluks nie ustępował.

- Wystaw mnie na próbę, a udowodnię, że możesz zaufać i mnie, i

królowi!

Sulla zastanawiał się nad tym, uśmiechając się swym wilczym uśmiechem.

- Zgoda - zdecydował się nagle. - I tak trzymacie mnie w garści, nie mam więc nic do stracenia.

Patrzył na Maura, a jego dziwne jasne oczy błyszczały niczym drogie kamienie pod szerokim rondem słomkowego kapelusza. Dziwne to było nakrycie głowy dla rzymskiego żołnierza, ale zasłynęło w owym czasie od Tingisu po Cyrenajkę, wszędzie gdzie przy ogniskach opowiadano o czynach Rzymian i o rzymskim jasnowłosym bohaterze w takim właśnie kapeluszu.

„Muszę zaufać swemu szczęściu”, pomyślał, „bo chyba mnie nie opuściło. Oto jest próba mojej wiary w siebie. Oto sposób na pokazanie wszystkiemu, od króla Bokchusa i jego syna do tego męża w Cyrcie, że podołam wszystkiemu, co Fortuna postawi mi na drodze. Nie dowiem się, co jestem wart, uciekając. Nie, pójdę naprzód. Mam szczęście. Zawdzięczam je samemu sobie i dobrze mi ono służy”.

- Wieczorem, zaraz po zmroku, wyruszymy z małą grupą do twego ojca króla. Moi żołnierze zostaną, więc jeśli Jugurta wykryje obecność Rzymian, uzna, że chodzi o Ikozum i że król przybędzie tutaj na spotkanie z nami.

- Ależ dziś jest bezksiężycowa noc! - Woluks był skonsternowany.

- Wiem - Sulla uśmiechnął się dość paskudnie. - To twoja próba, królewiczu. Będziemy mieli światło gwiazd i nic poza tym, ty zaś poprowadzisz mnie przez środek obozu Jugurty.

Bogud wytrzeszczył oczy.

- To szaleństwo!

Oczy Woluksa zabłyśły.

- Oto prawdziwe wyzwanie! - rzekł i uśmiechnął się ze szczerą przyjemnością.

- Odważysz się? - spytał Sulla. - Przez środek obozu Jugurty? Trzeba podjechać tak, by straż nas nie widziała i nie słyszała, przejechać środkiem *via praetoria*, nie budząc ani człowieka, ani konia, i wyjechać z drugiej strony, nie zwracając uwagi straży. Jeśli dokonasz tego, królewiczu, będę wiedział, że mogę ci zaufać i twemu ojcu królowi także.

- Odważę się - rzekł Woluks.

- Obaj jesteście szaleni - stwierdził Bogud.

Sulla zdecydował się zostawić Boguda w Ikozum, nie mając pewności, że temu członkowi rodziny królewskiej można ufać. Odprawiono go grzecznie, ale dwaj trybuni wojskowi dostali rozkaz, by go nie spuszczać z oka.

Woluks wybrał cztery najlepsze i najpewniejsze konie w Ikozum, a Sulla zatrzymał swego muła, utrzymując, że przewyższa on każdego konia. Zabrał też swój kapelusz. Towarzystwo składało się z Sulli, Woluksa i trzech dobrze urodzonych Maurów. Nikt poza Sullą nie używał siodła ani uzdy.

- Nic nie zabrzęczy i nie zdradzi nas - wyjaśnił Woluks.

Sulla zdecydował się jednak osiodłać swego muła i nałożył mu uździenicę z powroza.

- Może skrzypieć, ale gdybym spadł, hałas byłby większy.

Kiedy zapadła ciemność, pięciu jeźdźców wyjechało w przepastną czerń bezksiężycowej nocy. Niebo jarzyło się blaskiem, bo nie było wiatru, który wzbijałby w powietrze pył. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się porozrzucanymi mglistymi chmurami, było w istocie rozległymi skupiskami gwiazd. Jeźdźcy nie mieli trudności z rozpoznaniem drogi. Konie były nie podkute, ich kopyta kłapały więc tylko o kamienisty szlak, pokonujący zakosami szereg wąwozów w górskim paśmie wokół zatoki Ikozum.

- Będziemy mieli szczęście, jeśli żaden nie okuleje - mruknął Woluks, gdy jego koń potknął się i wrócił do równowagi.

- Na moje szczęście możesz liczyć - powiedział Sulla.

- Nie rozmawiajcie - uciszył ich któryś z Maurów. - W taką bezwietrzną noc jak dziś głos niesie kilka mil.

Jechali więc w milczeniu. Ich oczy, te cudowne instrumenty, przystosowały się do chwytania najmniejszych cząstek światła i mila mijała za milą. Gdy ukazała się pomarańczowa łuna dogasających ognisk nad kotliną, w której rozłożył się Jugurta, upewnili się, że są na dobrej drodze. Gdy zaś spojrzeli w dół, kotlina wydała się rozjarzona blaskiem niczym jakieś miasto, a jej plan całkiem oczywisty.

Zsunęli się wszyscy z koni. Woluks odsunął Sullę na bok i wziął się do roboty. Sulla przyglądał się, jak Maurowie nakładają koniom na kopyta specjalnie przystosowane ochraniacze. Zwykle miały one drewniane spody i podczas jazdy po kamienistym gruncie chroniły miękkie części kopyt przed kamieniami. Woluks kazał podbić je grubym filcem. Trzymały się na dwóch rzemieniach zamocowanych z przodu, zapętlnych pod odchylanym hakiem z tyłu i zapiętych znów z przodu kopyta.

Każdy przeprowadził swego wierzchowca w koło, żeby go oswoić z tym obuwiem, a potem Woluks powiódł ich do odległego o pół mili obozu Jugurty. Zapewne byli tam wartownicy i krążyły patrole, oni jednak nie dostrzegli nikogo. Jugurta wyszedł z rzymskiej szkoły i założył swój obóz na sposób rzymski, ale zabrakło mu cierpliwości albo dobrych chęci, żeby zrobić to, jak należy. Wiedząc, że Mariusz i jego armia są w Cyrcie, a Bokchus nie ma dość sił, by atakować, nie starał się obwarować obozu. Wzniósł po prostu niski wał ziemny, tak łatwy do pokonania, że służył chyba tylko do utrzymania zwierząt w środku obozu. Gdyby był Rzymianinem, jego obóz byłby otoczony rowem z zaostrzonymi cokołami i palisadą osłoniętą wałem, bez względu na to, jak bardzo czułby się bezpieczny.

Podjechali do wału o jakieś dwieście kroków na wschód od bramy głównej, która była właściwie tylko szeroką przerwą w wale. Bez trudu wjechali nań i zjechali do wewnątrz, tam zaś zawrócili, jadąc cicho po świeżo skopanej ziemi równolegle do wału i kierując się ku głównej bramie. Spostrzegli strażników, ale tamci stali daleko przed bramą, spoglądając na zewnątrz, i nie słyszeli, jak pięciu jeźdźców zawraca w szeroką

aleją biegnącą przez środek obozu od przedniej do tylnej bramy. Sulla, Woluks i trzech Maurów przejechali stępą całą półmilową *via preatoria*, zjechali z niej, trzymając się wału, i wydostali się na zewnątrz i na wolność, gdy tylko uznali, że strażnicy przy tylnej bramie są wystarczająco daleko.

O milę dalej zdjęli koniom ochraniacze z kopyt.

- Dokonaliśmy tego - wyszeptał z żarem Woluks, błyskając zębami w tryumfalnym uśmiechu. - Czy teraz mi ufasz, Lucjuszu Korneliuszu?

Sulla odpowiedział uśmiechem.

- Ufam ci, królewiczu.

Jechali dalej, trochę stępą, trochę kłusem, zważając, by nie okuliwić niepodkutych wierzchowców, i krótko przed świtem natknęli się na obozowisko Berberów. Cztery zmęczone konie, które Woluks zaproponował na wymianę, były lepsze niż wszystkie, jakie posiadali tamci, a muł był zupełną nowością, jechali więc wkrótce dalej na pięciu świeżych koniach. Jechali tak przez cały dzień. Sulla krył się pod rondem swego kapelusza, ale i tak ociekał potem.

Tuż po zmroku dotarli do obozu króla Bokchusa, nie różniącego się od obozu Jugurty, ale większego. Sulla zatrzymał się, ściągając swe niezdarne wodze dość daleko od wart.

- To nie brak zaufania, królewiczu - powiedział - ale nie chcę się sparzyć. Ty możesz wjechać i wyjechać o każdej porze bez opowiadania się. Ja jestem cudzoziemcem i nie wiadomo, ile jestem dla was wart. Zamierzam ułożyć się tu możliwie wygodnie i poczekać, aż zobaczysz się z ojcem, upewnisz się, że wszystko w porządku, i wrócisz po mnie.

- Lepiej się tu nie układaj.

- Dlaczego?

- Skorpiony - wyjaśnił krótko Woluks.

Sulla poczuł, że włos mu się jeży na karku. Siłą woli powstrzymał się, by instynktownie nie uskokzyć. Rzymianie i Italczyki nie byli oswojeni ze skorpionami albo jadowitymi pajakami, których nie było w Italii. Nabrał tchu, ignorując krople zimnego potu na czole, i obrócił do Woluksa spokojną twarz oświetloną światłem gwiazd.

- Z pewnością nie będę stał, czekając, aż wrócisz, i nie będę się znów wspinał na konia, zaryzykuję więc spotkanie ze skorpionami.

- Jak uważasz.

Woluks, który już przedtem prawie ubóstwiał Sullę, poczuł zabobonny lęk.

Sulla ułożył się na piaszczystym gruncie, usypawszy kopczyk na podparcie głowy, odmówił w myśli modlitwę do Fortuny, by trzymała skorpiony z dala od niego, zamknął oczy i natychmiast zasnął. Kiedy Woluks wrócił po czterech godzinach, zastał go twardo śpiącego. Mógłby go zabić, ale Fortuna sprzyjała Sulli, dając mu w Woluksie przyjaciela.

Noc była chłodna, a Sulla zeszywniała po jeździe.

- Takie podkradanie się i szpiegowanie dobre jest dla młodszych! - powiedział, wyciągając rękę do Woluksa, by wstać. Potem spostrzegł ciemną postać za plecami tamtego i zamarł w miejscu.

- Wszystko w porządku, Lucjuszu Korneliuszu, to przyjaciel mego ojca króla, Dabar - rzekł pośpiesznie Woluks.

- Jego krewny, jak sądzę?

- Właściwie nie. Dabar jest kuzynem Jugurty i podobnie jak on bękartem z berberyjskiej matki. Dlatego trafił do nas, bo Jugurta chciał być jedynym bękartem na królewskim dworze.

Z rąk do rąk poszła butelka mocnego słodkiego wina. Sulla osuszył ją do dna jednym łykiem i poczuł, że znużenie ustępuje, a krew zaczyna krążyć żywiej. Znalazł się też kawał dobrze przyprawionej pieczeni z jagnięcia i jeszcze jedna butelka tego samego wina. Sulla uznał je za najlepsze, jakiego próbował w życiu.

- Ach, czuję się znacznie lepiej - powiedział, poruszając ramionami i przeciągając się. - Co nowego?

- Miałeś rację, nie chcąc się sparzyć, Lucjuszu Korneliuszu. Jugurta wyprzedził nas u mego ojca.

- Czy mnie wydano?

- Nie, ale sytuacja się zmieniła. Dabar ci wszystko wyjaśni. Był tam.

Dabar przykucnął przy Sulli.

- Wygląda na to, że Jugurta dowiedział się o poselstwie Gajusza Mariusza do króla - mówił półgłosem. - Pojął oczywiście, że dlatego król nie wrócił do Tingisu, i postarał się być w pobliżu, obozując przy drodze od morza. Wysłał swego komesa Aspara do króla, aby był świadkiem rozmów z Rzymianami.

- Rozumiem - rzekł Sulla. - Co zatem robić?

- Jutro królewicz Woluks zaprowadzi cię do króla, jakbyście przyjechali razem z Ikozum. Aspar nie widział na szczęście jego nocnego przyjazdu. Przemówisz do króla, niby to przybywając z rozkazu Gajusza Mariusza, i zażadasz, by król odstąpił od Jugurty. Król odmówi, ale zrobi to wymijająco. Każe ci obozować w pobliżu przez dziesięć dni, żeby mógł się tymczasem zastanowić. Jutro wieczorem zobaczy się z tobą skrycie w jakimś umówionym miejscu i będziecie mogli swobodnie porozmawiać. Czy to cię zadowala, Lucjuszu Korneliuszu?

- Całkowicie. - Sulla ziewnął potężnie. - Pytanie tylko, gdzie mam spać i gdzie będę się mógł wykąpać? Cuchnę koźmi i jakieś robactwo oblaźło mnie w kroku.

- Woluks kazał rozbić dla ciebie wygodny obóz w pobliżu.

- Prowadźcie więc - rzekł Sulla, wstając.

Nazajutrz Sulla przeprowadził swą groteskową rozmowę z Bokchusem. Nietrudno było zgadnąć, który z obecnych wielmożów jest szpiegiem Jugurty, Asparem - stał na lewo od królewskiego krzesła i wyglądał o wiele bardziej po królewsku, niż ten, kto je zajmował. Nikt nie śmiał się do niego zbliżyć ani traktować jak równego sobie.

- Co mam robić, Lucjuszu Korneliuszu? - biadał Bokchus, spotykając się wieczorem skrycie z Sullą w połowie drogi między obozami.

- Wyświadczyć przysługę Rzymowi.

- Powiedz mi tylko, czego Rzym chce, a ja mu to dam. Czy to złoto?

Klejnoty? Ziemia? Piechota? Jazda? Pszenica? Nazwij to tylko, Lucjusz Korneliuszu! Jesteś Rzymianinem, musisz wiedzieć, co kryją w sobie słowa senatu! Przysięgam, że ja tego nie wiem! - Bokchus trząsł się ze strachu.

- Wszystkiego, co dotąd wymienileś, królu, Rzym mógłby żądać jawnie, niczego nie ukrywając - powiedział pogardliwie Sulla.

- Powiedz mi więc, o co chodzi!

- Musiałeś chyba sam już do tego dojść, królu Bokchusie, nie chcesz tylko tego przyznać, nie wiadomo czemu. Jugurta! Rzym chce, żebyś mu wydał Jugurtę, pokojowo i bez rozlewu krwi. Zbyt wiele krwi przelano już w Afryce i za bardzo zniszczono już ten kraj, zbyt wiele spalono miast i wsi i zbyt wiele zmarnowano bogactw. To Jugurta przeciąga to straszliwe marnotrawstwo, wyniszcza Numidię, przysparza kłopotów Rzymowi, szkodzi Mauretanii. Wydadaj mi Jugurtę, królu!

- Chcesz, żebym wydał swego zięcia, ojca moich wnuków i krewniaka z krwi Masynissy?

- Tego właśnie chcę.

Bokchus zaczął płakać.

- Nie mogę, Lucjusz Korneliuszu! Nie mogę! Obaj jesteśmy i Berberami, i Punijczykami. Wiąże nas prawo ludów spod namiotów. Dla tego traktatu zrobiłbym wszystko, Lucjusz Korneliuszu - z wyjątkiem wydania męża mojej córki.

- Nie przyjmujemy niczego innego - rzekł chłodno Sulla.

- Mój lud nigdy mi nie wybaczy!

- Rzym nigdy ci nie wybaczy, a to chyba gorzej.

- Nie mogę! - Bokchus płakał. Łzy płynęły mu po twarzy, połyskując w puklach trefionej brody. - Nie mogę, Lucjusz Korneliuszu! Nie mogę!

Sulla odwrócił się z pogardą.

- A więc nie będzie traktatu.

Ta farsa trwała przez następne osiem dni. Aspar i Dabar jeździli tam i z powrotem między małym obozikiem Sulli a wielkim namiotem króla, wożąc najróżniejsze przesłania, których treść niewiele miała wspólnego z ich rzeczywistym znaczeniem. Pozostało ono sekretem Sulli i Bokchusa i było omawiane tylko nocą. Sulla spostrzegł jednak, że Woluks wie, o co chodzi, bo unikał go, a przy spotkaniach wydawał się zmieszany, dotknięty, gniewny.

Sullę cieszyły władza i majestat, jakie były udziałem rzymskiego posła. Cieszył się też, widząc, jak krople nalegań drażą kamień królewskiej woli. Oto, nie będąc królem, był zwierzchnikiem królów. Rzymianin miał prawdziwą władzę. Była to ogromna satysfakcja.

Ósmej nocy Bokchus wezwał Sullę na tajne spotkanie. Król miał oczy czerwone od płaczu.

- Dobrze więc, Lucjusz Korneliuszu, zgadzam się.

- Świetnie! - ożywił się Sulla.

- Jak jednak to przeprowadzić?

- Zwyczajnie. Wyślesz Aspara do Jugurty i zaproponujesz, że mu mnie wydasz.

- Nie uwierzy mi. - Bokchus był niepocieszony.
- Oczywiście, że uwierzy! Ręczę za to. W innych okolicznościach to właśnie mógłbyś zrobić, królu!
- Ale ty jesteś tylko kwestorem!
- Sulla roześmiał się.
- Chcesz powiedzieć, że rzymski kwestor nie jest wart tyle co numidyjski król?
- Nie, oczywiście, że nie!
- Pozwól królu, że ci to wyjaśnię. Jestem rzymskim kwestorem, a w Rzymie tytuł ten znaczy niewiele, bo jest najniższy w hierarchii senatorów. Jestem też jednak patrycjuszem Korneliuszem - z mojego rodu pochodzili Scypion Afrykański i Scypion Emilianus, a moje drzewo genealogiczne jest o wiele starsze niż twoje czy Jugurty i o wiele dostojniejsze. Gdyby Rzymem rządili królowie, byłiby to królowie z rodu Korneliuszy. I jeszcze, na koniec, ale to nie najmniej ważne: jestem szwagrem Gajusza Mariusza. Nasze żony są siostrami. Rozumiesz teraz?
- Jugurta... czy Jugurta o tym wie? - wyszeptał król Mauretanii.
- Bardzo niewiele rzeczy uchodzi uwagi Jugurty - odrzekł Sulla.
- Dobrze więc, Lucjuszu Korneliuszu, będzie, jak rzekłeś. Poślę Aspara do Jugurty i proponuję, że mu cię wydam. Musisz mi jednak powiedzieć, jak mam się do tego zabrać.
- Sulla pochylił się ku królowi.
- Zaprosisz tu Jugurtę na pojutrze wieczór i obiecasz, że mu wydasz rzymskiego kwestora Lucjusza Korneliusza Sullę. Przekażesz mu, że kwestor jest sam w swoim obozie i że stara się namówić cię na sprzymierzenie się z Gajuszem Mariuszem. On to już wie od Aspara. Wie też, że o sto mil nie ma żołnierzy rzymskich, więc nie przyprowadzi ze sobą armii. Myśli też, że cię zna, królu. Nie przyjdzie mu nawet do głowy, że to on ma być wydany, a nie ja. - Sulla udał, że nie widzi skrzywienia twarzy Bokchusa. - To nie ciebie i twojej armii boi się Jugurta. On się boi tylko Gajusza Mariusza. Bądź spokojny, uwierzy w każde słowo Aspara i przyjdzie.
- A co mam robić, kiedy Jugurta nie wróci już do swego obozu? - Bokchus zadrżał.
- Sulla uśmiechnął się paskudnie.
- Radzę ci zwinąć obóz i maszerować do Tingisu najszybciej, jak się da.
- Czy nie potrzebujesz mojej armii do pilnowania jeńca? Nie masz ludzi, by go dowieźć do Ikozum, a na drodze stoi jego obóz.
- Potrzebuję tylko kajdan, łańcuchów i sześciu najszybszych koni.

Sulla uświadomił sobie, że wygląda niecierpliwie tej konfrontacji i że nie ma żadnych wątpliwości. Jego imię na zawsze zostanie złączone z imieniem Jugurty! Nie będzie ważne, że działał z polecenia Gajusza Mariusza.

To jego dzielność, inteligencja i inicjatywa dokonają tego dzieła i nikt mu tego nie odbierze. Nie sądził zresztą, by Mariusz chciał mu coś odbierać. Mariusz nie był żądny chwały, wiedział, że przypadło mu jej więcej niż komukolwiek. Nie mógł też zapobiec rozpowiadaniu historii o

pojmaniu Jugurty. Patrycjusz miał kłopoty ze zdobyciem rozgłosu niezbędnego, by zostać wybranym na konsula, bo patrycjusz nie mógł być trybunem ludowym. Musiał zatem znaleźć inne drogi zdobycia uznania i pokazania wyborcom, co jest wart. Jugurta drogo kosztował Rzym, a oto Rzym dowie się, że niestrudzony kwestor Sulla sam jeden zdołał schwytać Jugurtę!

Kiedy więc udał się z Bokchusem na umówione miejsce, był pewny siebie i ożywiony pragnieniem dokonania tego czynu.

- Jugurta nie oczekuje, że ujrzy cię w łańcuchach - mówił Bokchus. - Sądzi, że prosiłeś o rozmowę z nim, by go nakłaniać do kapitulacji. To moi ludzie mają cię pojmać, tak to sobie wyobraża.

- Dobrze - odrzekł krótko Sulla.

Gdy Bokchus zajechał z Sullą przy boku i silnym oddziałem konnych Maurów za plecami, Jugurta czekał już z Asparem i garścią swych komesów.

Sulla wysforował się przed Bokchusa, podjechał do Jugurty, zsunął się z siodła i wyciągnął dłoń w uniwersalnym geście pokoju i przyjaźni.

- Witaj, królu Jugurto!

Jugurta spojrział z góry na tę dłoń, a potem zsiadł, by ją ująć.

- Witaj, Lucjuszu Korneliuszu!

Kiedy to się działo, konni sformowali krąg wokół głównych osób dramatu i gdy Sulla i Jugurta stali ze złączonymi dłońmi, pojmanie Jugurty dokonało się tak sprawnie i tak gładko, jak tylko Mariusz mógłby sobie tego życzyć. Numidyjscy komesowie nie zdołali nawet wyciągnąć mieczy. Jugurtę pochwycono tak pewnie, że nie mógł walczyć, i powalono na ziemię. Kiedy znów stanął na nogach, był już zakuty w przegubach i kostkach w kajdany połączone łańcuchami wystarczająco długimi, by mógł chodzić zgięty wpół.

Sulla spostrzegł w świetle pochodni, że Jugurta ma bardzo jasne oczy jak na człowieka o ciemnej skórze i że jest rostry i w dobrej formie. Lata odcisnęły jednak swe piętno na jego sępiej twarzy i wyglądał na znacznie starszego niż Mariusz. Sulla był pewien, że zdoła doprowadzić go bez eskorty tak daleko, jak będzie trzeba.

- Wsadźcie go na tego dużego źrebca - polecił i przyglądał się uważnie, jak mocowali łańcuchy do specjalnych pętli przy przerobionym siodle. Potem sprawdził popręg. Pozwolił podsadzić się na drugiego źrebca i uwiązał przy swym siodle uzdę konia Jugurty. Gdyby Jugurcie przyszło do głowy poganiać konia piętami, nie miałby swobody ruchów i nie zdołałby wydrzeć Sulli uzdy. Cztery zapasowe konie powiązano razem i przyczepiono na krótkim powrozie do siodła Jugurty, dodatkowo obciążając jego konia. Na koniec zaś, dla pewności, dodatkowy łańcuch połączył okowy prawej ręki Jugurty z okowami na lewej ręce Sulli.

Sulla nie przemówił ani słowem do Maurów od chwili pojmania Jugurty. Teraz, wciąż milcząc, uderzył konia piętami po bokach i ruszył. Koń Jugurty poszedł za nim dość posłusznie, gdy napięły się uzda i łańcuch. Cztery zapasowe poszły za nimi. W kilka chwil wszystkie konie znikły w cieniu pod drzewami.

Bokchus szlochał, a Woluks i Dabar przyglądali się bezsilnie.

- Ojcze, pozwól mi go zatrzymać! - poprosił nagle Woluks. - Tak obciążony nie pojedzie szybko. Dogonię go.

- Za późno! - Bokchus przyjął od sługi piękną czystą chustkę, osuszył oczy i wytarł nos. - Przede wszystkim, on się nie da zatrzymać. Przy Lucjuszu Korneliuszu Sulli jesteśmy bezradni jak dzieci. Nie, synu. Los biednego Jugurty nie jest już w naszych rękach. Musimy myśleć o Mauretanii. Czas wracać do domu, do naszego ukochanego Tingisu. Chyba wcale nie należymy do świata Morza Środkowego.

Przez jakąś milę Sulla jechał, nic nie mówiąc i nie zwalniając tempa. Swe uniesienie, swe ogromne zadowolenie z własnej przemyślności trzymał na wodzy równie krótko, jak trzymał swego więźnia Jugurtę. Tak, jeśliby rozpowszechnić to jak należy, nie umniejszając przy tym osiągnięć Mariusza, historia pojmania Jugurty zajmie miejsce obok innych cudownych opowieści, które matki opowiadają dzieciom - o skoku młodego Marka Kurcjusza w przepaść na Forum Romanum, o heroicznej obronie drewnianego mostu przed Larsem Porsenną z Kluzjum przez Horacjusza Koklesa, o kole narysowanym na piasku wokół nóg króla Syrii przez Gajusza Popiliusza Lenasa, o Lucjuszu Juniuszu Brutusie, który zabił swoich synów za to, że knuli spisek, o zabójstwie Spuriusza Meliusza, niedoszłego króla Rzymu przez Gajusza Serwiliusza Ahalę. Tak, pojmanie Jugurty przez Lucjusza Korneliusza Sullę dołączy do tych i wielu innych opowieści do poduszki, bo ma w sobie wszystko, co potrzebne, z jazdą przez środek obozu Jugurty włącznie.

Nie miał jednak natury romantyka, marzyciela, budowniczego urojeń i z łatwością porzucił te myśli, gdy przyszło zatrzymać się i zsiąść. Nie zbliżając się do Jugurty, podszedł do postronka wiążącego zapasowe konie i przeciął go, a potem rozgonił zwierzęta kamieniami na cztery strony świata.

- Rozumiem. - Jugurta przyglądał się, jak Sulla wspina się na żrebca, trzymając się grzywy. - Musimy jechać sto mil na tych samych koniach, prawda? Zastanawiałem się, jak zdołasz mnie przesadzić z jednego konia na drugiego - zaśmiał się szyderczo. - Moja kawaleria cię schwyta, Lucjuszu Korneliuszu!

- Mam nadzieję, że nie - rzekł Sulla i pociągnął konia swego więźnia naprzód.

Zamiast jechać wprost na północ, skierował się na wschód przez niewielką równinę i jechał przez dziesięć mil wśród cichej letniej nocy rozświetlonej sierpem księżyca na zachodzie. Potem w oddali podniosło się czarne pasmo gór, a przed nimi, znacznie bliżej, zwałisko ogromnych głazów mających ponad rzadkimi karłowatymi drzewami.

- To musi być tu! - wykrzyknął radośnie Sulla i gwizdnął przeraźliwie.

Oddział jego liguryjskiej konnicy wysypał się z ukrycia pośród głazów. Każdy jeździec prowadził dwa zapasowe konie. Podjechali cicho na spotkanie Sulli i jego więźnia, podprowadzając dwa dodatkowe konie. I dwa muły.

- Wysłałem ich tu przed sześciu dniami, królu Jugurto - powiedział Sulla. - Król Bokchus myślał, że przybywam do jego obozu sam, ale tak nie było, jak widzisz. Kazałem Publiuszowi Wagieniuszowi jechać za mną, a potem posłałem go po jego ludzi, żeby tu na mnie czekał.

Uwolniony już od obciążeń Sulla nadzorował przesadzanie Jugurty, który został teraz skuty łańcuchem z Publiuszem Wagieniuszem. Wkrótce wyruszyli, kierując się na północny wschód, by ominąć w odległości wielu mil obóz Jugurty.

- Nie przypuszczam, Wasza Królewska Mość - powiedział z pewną nieśmiałością Publiusz Wagieniusz - żebyś umiał mi powiedzieć, gdzie wokół Cyrty mógłbym znaleźć jakieś ślimaki. Albo gdzie indziej w Numidii, skoro już o tym mowa.

Z końcem czerwca wojna w Afryce była zakończona. Na krótki czas umieszczono Jugurtę w odpowiednio wygodnej kwaterze w Utyce, gdy Mariusz i Sulla porządkowali swoje sprawy. Sprowadzono mu do towarzystwa synów, Jampsasa i Oksyntasa, a tymczasem jego dwór rozpadał się i zaczęły się zabiegi o stanowiska pod nowymi rządami.

Król Bokchus uzyskał swój traktat przyjaźni i przymierza, a kaleki księżę Gauda wstąpił jako król Gauda na tron znacznie okrojonej Numidii. Żniwo zebrał Bokchus, otrzymując dodatkowe terytoria, bo Rzym był zbyt zajęty gdzie indziej, by rozszerzać granice prowincji Afryki o wiele setek mil.

Gdy tylko zebrano małą flotę dobrych statków, a dobra pogoda zapewniała spokojną podróż, Mariusz wsadził króla Jugurtę i jego synów na pokład jednego z tych wynajętych okrętów i wysłał ich do Rzymu. Gdy zabrakło Jugurty, zagrożenie ze strony Numidii znikło z horyzontu.

Płynął z nim Kwintus Sertoriusz, zdecydowany zobaczyć działania przeciw Germanom w Galii Zaalpejskiej. Poprosił przedtem swego kuzyna Mariusza o pozwolenie.

- Jestem wojownikiem, Gajuszu Mariuszu - mówił z powagą ów młody *contubernalis* - a tutaj wojna jest skończona. Poleć mnie, proszę, swemu przyjacielowi Publiuszowi Rutyliuszowi Rufusowi, żeby dał mi jakieś stanowisko w Galii Dalszej!

- Masz moje błogosławieństwo i podziękowanie, Kwintusie Sertoriuszu - rzekł Mariusz z rzadkim u niego uczuciem. - I przekaz swej matce ode mnie serdeczne pozdrowienia.

Twarz Sertoriusza zajaśniała.

- Przekażę, Gajuszu Mariuszu!

- Pamiętaj, młodzieńcze - powiedział Mariusz w dniu odpłynięcia Sertoriusza i Jugurty do Italii - że będziesz mi w przyszłości potrzebny. Pilnuj się więc w bitwie, jeśli będziesz miał szczęście brać w jakiejś udział. Rzym nagrodił twą dzielność złotym wieńcem, złotymi *phalerae*, obręczami i bransoletami. Rzadko się to zdarza w twoim wieku. Nie śpiesz się jednak. Rzym potrzebuje cię żywego.

- Przeżyję, Gajuszu Mariuszu - obiecał Sertoriusz.

- I nie wyjeżdżaj na wojnę zaraz po przybyciu do Italii. Spędź najpierw

trochę czasu ze swą drogą matką.

- Tak zrobię, Gajuszu Mariuszu.

Kiedy chłopak odszedł, Sulla spojrzął kpiąco na zwierchnika.

- Cmokasz nad nim jak stara kura nad swym jedynym jajkiem.

- Nonsens! - parsknął Mariusz. - Jesteśmy spokrewnieni przez jego matkę, którą bardzo cenię, i to wszystko.

- Oczywiście - powiedział z uśmiechem Sulla.

Mariusz roześmiał się.

- Daj spokój, Lucjuszu Korneliuszu. Przyznaj, że lubisz młodego Sertoriusza tak samo jak ja!

- Przyznaję. Mimo to ja nad nim nie cmokam!

- *Mentulam caco!* - rzekł Mariusz.

I na tym zakończyli.



Rutylii, jedynej siostrze Publiusza Rutyliusza Rufusa, przypadło w udziale niezwykle wyróżnienie - poślubiła kolejno dwóch braci. Jej pierwszym mężem był Lucjusz Aureliusz Kotta, sprawujący konsulat wraz z Metellusem Dalmatyńskim przed czterem laty, w roku, w którym Gajusz Mariusz był trybunem ludowym.

Rutyliia wyszła za Lucjusza Aureliusza Kottę jako młoda dziewczyna, on zaś był już przedtem żonaty i miał dziewięcioletniego syna Lucjusza. Pobrali się w rok po zrównaniu z ziemią Fregellów za bunt przeciw Rzymowi, a w roku pierwszego trybunatu Gajusza Grakcha urodziła im się córka Aurelia. Syn Lucjusza Kotty miał wtedy dziesięć lat i bardzo się cieszył z posiadania przyrodniej siostrzyczki. Bardzo też lubił swą macochę Rutylię.

Kiedy Aurelia skończyła pięć lat, jej ojciec zmarł nagle, w kilka zaledwie dni po zakończeniu konsulatu. Dwudziestoczteroletnia wdowa szukała pocieszenia u Marka, młodszego brata Lucjusza Aureliusza Kotty, który jeszcze nie znalazł sobie żony. Nawiązała się między nimi miłość i - za pozwoleniem swego ojca i brata - Rutyliia wyszła za swego szwagra, Marka Aureliusza Kottę, w jedenaście miesięcy po śmierci Lucjusza Kotty. Wraz z nią przeszli pod opiekę Marka jej pasierb Lucjusz Młodszy, bratanek Marka, i jej córka Aurelia, jego bratanica. Rodzina szybko się powiększała. Po niecałym roku Rutyliia urodziła Markowi syna Gajusza, w rok później drugiego syna Marka, a w końcu, po siedmiu latach, trzeciego syna Lucjusza.

Aurelia pozostała jej jedyną córką o niezwyklej pozycji w rodzinie. Ze strony ojca miała starszego brata przyrodniego, a ze strony matki trzech młodszych braci przyrodnych. Na dodatek jej ojciec był ich stryjem, podczas gdy ich ojciec był jej stryjem. Wydawało się to nie do pojęcia, zwłaszcza gdy dzieci same przedstawiały tę sprawę.

- Ona jest moją stryjeczną - mówił Gajusz Kotta, wskazując Aurelię.

- On jest moim bratem - odwzajemniała się Aurelia, wskazując Gajusza Kottę.

- On jest moim bratem - Gajusz Kotta wskazywał Marka Kottę.

- Ona jest moją siostrą - Marek Kotta wskazywał Aurelię.

- On jest moim stryjecznym - Aurelia wskazywała Marka Kottę.

Ciągnęli tę zabawę całymi godzinami. Nic dziwnego, że większość ludzi nie mogła się w tym połapać. Poplątane pokrewieństwa nie przeszkadzały jednak w niczym tej gromadzie zdecydowanych i upartych dzieciaków, kochających się nawzajem i pławiących się w ciepłe domowego ogniska Rutylii i jej drugiego Aureliusza Kotty, którzy także się kochali.

Aureliusz należeli do wielkich rodów, a gałąź Kottów była poważana w senacie, od niedawna zaś uświetniona konsulem. Dziedzicząc wielkie posiadłości, Aureliuszowie Kottowie doszli dzięki trafnym inwestycjom i rozsądnym małżeństwom do bogactwa i mogli sobie pozwolić na posiadanie wielu synów, bez konieczności oddawania ich w adopcję, i na więcej niż odpowiednie posagi dla córek. Dzieci rosnące pod dachem Marka Kotty i Rutylii stanowiły dobre partie, były bowiem i bogate, i ładne, a najładniejsza była jedynaczka Aurelia.

- Nieskazitelna! - Taka była opinia kochającego się w zbytku, ale i błyszczącego inteligencją Lucjusza Licyniusza Krassusa Oratora, który należał do najwytrwalszych i najpoważniejszych kandydatów do jej ręki.

- Wspaniała! - Ujmował to inaczej Kwintus Mucjusz Scewola, najlepszy przyjaciel i bliski kuzyn Krassusa Oratora, który także wpisał się na listę zalotników.

- Onieśmielająca! - Taka była zdaniem Marka Licyniusza Druzusa, kuzyna Aurelii, który miał wielką ochotę ją poślubić.

- Helena trojańska! - Opisywał ją Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus Młodszy, również starający się o jej rękę.

Sprawy rzeczywiście miały się tak, jak je opisał Rutyliusz Rufus w liście do Mariusza: wszyscy chcieli poślubić jego siostrzenicę Aurelię.

To, że kilku kandydatów miało już żony, bynajmniej ich nie dyskwalifikowało. O rozwód nie było trudno, a posag Aurelii wynagradzał ewentualną utratę posagu byłej żony.

- Czuję się jak król Tyndareus, którego każdy liczący się król i książę prosił o rękę Heleny - mówił Marek Kotta do Rutylii.

- Zlecił rozwiązanie tego problemu Odyseuszowi - zauważyła Rutyliia.

- Cóż, i ja bym sobie tego życzył! Nieważne, komu ją oddam, ważne, że urażę wszystkich pozostałych, którzy jej nie dostaną.

- Zupełnie jak Tyndareus.

A potem przyszedł na obiad Odyseusz Marka Kotty, czy też raczej Ulisses, jako że był to Rzymianin z Rzymian, Publiusz Rutyliusz Rufus. Kiedy już dzieci - z Aurelią włącznie - poszły spać, rozmowa wróciła, jak zawsze, do sprawy małżeństwa Aurelii. Rutyliusz Rufus słuchał z zainteresowaniem i w odpowiedniej chwili zaproponował swoje rozwiązanie. Nie powiedział przy tym siostrze i szwagrowi, że autorem rozwiązania tej zagadki jest Gajusz Mariusz, którego zwięzły list właśnie do niego dotarł.

- To proste, Marku Aureliuszu.

- Jeśli tak, to chyba jestem za blisko, żeby coś dostrzec - stwierdził Marek Kotta. - Oświeć mnie, Ulissiesie!

Rutyliusz Rufus uśmiechnął się.

- Nie widzę powodu, żeby urządzać śpiewy i tańce, jak to zrobił Ulisses.

Żyjemy przecież w nowoczesnym Rzymie, a nie w starożytnej Grecji. Nie możemy też złożyć ofiary z konia, poćwiartować go i kazać zalotnikom Aurelii przysięgać, stając na tych krwawych szczątkach.

- I na dodatek robić to, zanim się dowiedzą, kto jest szczęśliwym wybrańcem - zaśmiał się Kotta. - Ci dawni Grecy byli bardzo romantyczni. Obawiam się, że my tu mamy do czynienia z gromadą lubiących się procesować i dzielić włos na czworo Rzymian.

- Otóż to.

- Dalej, braciszku - rzekła Rutylio - skróć nasze męki i powiedz, co robić.

- Jak mówiłem, to proste, moja droga Rutylio. Niech dziewczyna sama wybierze sobie męża.

Kotta i jego żona wytrzeszczyli oczy.

- Naprawdę myślisz, że to rozsądne? - spytał Kotta.

- W tej sytuacji rozsądek zawodzi, cóż więc macie do stracenia? Nie musicie wydawać jej bogato za męża, a na liście zalotników nie ma notorycznych łowców posagów, ograniczcie więc jej wybór do tej listy. Ponadto Aureliusz, Juliusze czy Korneliusze chyba nie przyciągają ludzi pnących się w górę w społeczeństwie. A wreszcie, Aurelii nie brak zdrowego rozsądku, nie jest ani trochę sentymalna i z pewnością nie jest romantyczką. Ona was nie zawiedzie!

- Masz rację. - Kotta skinął głową. - Chyba nie urodził się jeszcze taki, kto zawróciłby Aurelii w głowie.

Na drugi dzień Kotta i Rutylio wezwali Aurelię do saloniku jej matki, zamierzając jej powiedzieć, co postanowiono o jej przyszłości.

Weszła. Nie unosiła się bezwładnie i nie kołysała się, nie kroczyła wielkimi krokami i nie drobila. Aurelia poruszała się szybko i sprawnie, oszczędnie pracując biodrami, z wyprostowanymi ramionami i podniesioną głową, nie wysuwając podbródka. Być może robiła wrażenie szczupłej, była bowiem wysoka i nie wypinała piersi, ale za to nosiła swe szaty z pełną wdzięku prostotą, nie używała koturnów i gardziła klejnotami. Gęste i proste jasnokasztanowe włosy ściągnięte były ku tyłowi w ciasny kok, upięty właśnie tam, gdzie nie był widoczny z przodu, nie dając twarzy miękczającego ją obramowania. Kosmetyki nigdy nie splamiły nieskazitelnej mleczej cery, lekko zaróżowionej na niewiarygodnych wprost kościach policzkowych, z głębszym zaś odcieniem różu w dołeczkach pod nimi. Nos, prosty i kształtny, jakby go wyrzeźbił Praksyteles, był zbyt długi, by budzić podejrzenia o domieszkę celtyckiej krwi, można było mu zatem wybaczyć pewien brak charakteru - innymi słowy: brak prawdziwie rzymskich deformacji. Szkarłatne usta, rozkosznie wygięte w kącikach, miały w sobie to coś, co wpędza mężczyzn w szaleństwo, każąc myśleć o całowaniu. A z tej cudownej twarzy o kształcie serca, spod wysokiego i szerokiego czoła, patrzyła para ogromnych oczu, co do których wszyscy utrzymywali, że nie były ciemnoniebieskie, lecz fioletowe, ocienionych długimi i gęstymi rzęsami i zwieńczonych cienkimi, czarnymi, wygiętymi w łuk brwiami.

Wiele się zastanawiano na męskich przyjęciach (a można było mieć

całkowitą pewnością, że wśród gości będzie dwóch lub trzech jej zdeklarowanych zalotników), co właściwie jest tak pociągającego w Aurelii. Jedni mówili, że chodzi o jej zamyślane, nieobecne, fioletowe oczy, inni chwalili nieskazitelną cerę, jeszcze inni stawiali na rzeźbione w marmurze rysy, a niektórzy mamrotali z żarem coś o jej ustach albo o wygiętym podbródku, albo o jej skończeniu doskonałych dłoniach i stopach.

- To żadna z tych rzeczy osobno, to wszystkie one razem wzięte - warknął Lucjusz Licyniusz Krassus Orator. - Głupcy! To przecież dziewica Westy chodząca swobodnie po świecie - to Diana, a nie Wenus! Ona jest nieosiągalna i właśnie to was tak pociąga!

- Nie, to te fioletowe oczy - powiedział syn Skaurus, princepsa senatu, też Marek jak jego ojciec. - To ten kolor, kolor wywyższenia! Ona to chodzący, żywy znak wróżebny!

Gdy jednak ten chodzący, żywy znak wróżebny wszedł do saloniku swojej matki, wyglądając jak zawsze nieskazitelnie i statecznie, nie weszła tam bynajmniej atmosfera wielkiego dramatu, bo też charakter Aurelii nie pasował do wielkich dramatów.

- Siadaj, córeczko - powiedziała z uśmiechem Rutylią.

Aurelia usiadła, składając dłonie na podołku.

- Chcielibyśmy porozmawiać o twoim małżeństwie - zaczął Kotta i odchrząknął z nadzieją, że ona sama powie coś, co pomoże mu wyjaśnić sytuację.

Nie otrzymał żadnej pomocy. Aurelia spojrzała na niego z odrobiną zainteresowania i to było wszystko.

- Co o tym sądzisz? - spytała Rutylią.

Aurelia zacisnęła usta i wzruszyła ramionami.

- Mam po prostu nadzieję, że wybieriecie kogoś, kogo lubię.

- Cóż, tak, my też mamy tę nadzieję - rzekł Kotta.

- A kogo nie lubisz? - spytała Rutylią.

- Gnejusza Domicjusza Ahenobarba Młodszego - odpowiedziała bez namysłu Aurelia, używając jego pełnego nazwiska.

Kotta uznał to za słuszne.

- Kogoś jeszcze?

- Marka Emiliusza Skaurusa Młodszego.

- Ach, szkoda! - wykrzyknęła Rutylią. - Myślę, że jest bardzo miły, naprawdę!

- Przyznaję, że jest bardzo miły - odrzekła Aurelia - ale nieśmiały.

Kotta nie starał się ukryć uśmiechu.

- Nie chcesz nieśmiałego męża, Aurelio? Mogłabyś rządzić kurnikiem!

- Dobra rzymska żona nie rządzi kurnikiem.

- A więc dość o Skaurusie. Nasza Aurelia zdecydowała. - Kotta pokiwał głową. - Czy nie lubisz kogoś jeszcze?

- Lucjusza Licyniusza.

- A temu co brakuje?

- Jest za gruby.

- Ach, niepociągający?

- To wskazuje na brak dyscypliny wewnętrznej, ojczyste.

Aurelia nazywała Kottę czasem ojcem, czasem zaś stryjem, ale zawsze kierowała się w tym logiką. Kiedy z rozmowy wynikało, że występuje on w roli głowy rodziny, był ojcem, kiedy zaś grał rolę dobrego stryjaska - stryjem.

- Masz słuszność, wskazuje - przyznał Kotta.

- A czy jest może ktoś, kogo wolałabyś od innych? - spróbowała innego sposobu Rutyli.

Zaciśnięte usta zmiękły.

- Nie matko, właściwie nie. Będę zadowolona, zostawiając wam decyzję.

- Czego się spodziewasz po małżeństwie? - spytał Kotta.

- Męża odpowiedniego do mojej pozycji, który wielbi swoją... kilkorga udanych dzieci.

- Podręcznikowa odpowiedź! Siadaj w pierwszej ławce, Aurelio!

Rutyli spojrzała na męża ze śladem rozbawienia w oczach.

- Powiedz jej, Marku Aureliusz!

Kotta odchrząknął.

- Otóż, Aurelio, sprawiłaś nam pewien problem. Masz już trzydziestu siedmiu formalnych kandydatów do swej ręki. Żaden z nich nie może zostać odprawiony jako nieodpowiedni na męża. Pozycja niektórych z nich jest znacznie lepsza od naszej, majątki innych znacznie większe od naszego - a są i tacy, którzy przewyższają nas w jednym i w drugim! Stawia nas to w kłopotliwym położeniu. Jeśli to my ci wybierzemy męża, narobimy sobie wrogów. Nie martwi nas to zbyt, ale może to utrudnić życie twoim braciom. Z pewnością to rozumiesz.

- Rozumiem, ojczy - powiedziała poważnie Aurelia.

- Tak czy owak, twój wuj Publiusz podsunął nam jedyne możliwe rozwiązanie. Ty sama wybierzesz sobie męża, moja córko.

To ją wytrąciło z równowagi. Znieruchomiała z otwartymi ustami.

- Ja?

- Ty.

Przycisnęła dłonie do poczerwieniałych nagle policzków, patrząc na Kottę ze zgrozą.

- Ależ ja nie mogę! - krzyknęła. - To nie... to nie po rzymsku!

- Przyznaję - rzekł Kotta. - Nie po rzymsku. Po naszymu.

- Potrzebowaliśmy Ulissesa, żeby nam wskazał wyjście, i na szczęście znalazł się taki w rodzinie - powiedziała Rutyli.

- Och! - Aurelia wiała się na swym krześle. - Och, och!

- O co chodzi, Aurelio? Nie możesz się zdecydować?

- Nie, to nie to. - Twarz Aurelii wróciła do zwykłej barwy, a potem zbieła. - To tylko... - Wzruszyła ramionami i wstała. - Czy mogę odejść?

- Możesz, oczywiście.

Przy drzwiach odwróciła się, spoglądając na Kottę i Rutylię z powagą.

- Ile mam czasu do namysłu?

- Ach, naprawdę nie ma pośpiechu - powiedział swobodnym tonem Kotta. - W styczniu kończysz osiemnaście lat, ale nie jest powiedziane, że musisz zaraz wychodzić za mąż. Masz czas.

- Dziękuję - powiedziała i wyszła.

Jej pokoik, jeden z tych, które wychodziły na atrium, był bezokienny i ciemny. Jedyna córka tak czulej i troskliwej rodziny nie mogła sypiać w czymś gorzej strzeżonym. Jedyna córka wśród takiej gromady chłopców była też rozpieszczana i mogłaby łatwo wyrosnąć na zepsutą młodą damę, gdyby miała na to zadatki. Nie miała. Zgodna opinia rodziny głosiła, że Aurelii niepodobna zepsuć, bo nie ma w niej ani odrobiny skąpstwa lub zawiści. Nie czyniło to jej bynajmniej łagodną ani miłą. Łatwiej było podziwiać ją i szanować, niż kochać, bo nie dawała się kochać. Jako dziecko mogła słuchać beznamietnie przechwałek braci, starszego albo któregoś z dwóch młodszych, a kiedy miała dość, potrafiła dać mu w ucho, aż mu zahuczało w głowie, i odejść bez słowa.

Rodzice uznali, że jedynaczce należy się własne królestwo, niedostępne dla chłopców, dostała więc duży słoneczny pokój w perystylu i własną służącą, ową Galijkę Kardyksę, ów klejnot. Po zamążpójściu Aurelii, Kardyksa miała iść z nią do jej nowego domu.

Jedno spojrzenie na twarz Aurelii wchodzącej do pokoju w perystylu powiedziało Kardyksie, że właśnie wydarzyło się coś ważnego. Nic jednak nie powiedziała i nie liczyła na to, że się jej powie, o co chodzi. Życzliwe i nieskrępowane stosunki między panią a jej osobistą służącą nie obejmowały dziewczęcych zwierzeń. Aurelia najwyraźniej chciała być sama, więc Kardyksa wyszła.

Wygląd pokoju świadczył o upodobaniach jego właścicielki. Wnęki na książki zajmowały większą część ścian i mieściły wielką liczbę zwojów. Na stole leżały rulony czystego papieru, trzcinowe pióra, woskowe tabliczki, osobliwy kościany pisak do wosku, kostki rozpuszczalnej w wodzie sepii, był tam też kałamarz, suszka z drobniutkim piaskiem i liczydła.

W kącie stały duże patawskie krosna, a na ścianie za nimi wisały na kołkach dziesiątki długich zwojów wełny najróżniejszej grubości i barwy - czerwonej i purpurowej, niebieskiej i zielonej, różowej i kremowej, żółtej i pomarańczowej - bo Aurelia sama tkła wełnę na swe stroje i kochała się w jasnych kolorach. Na krosnach rozpięta była zwiewna niczym mgła płomienistej barwy tkanina z cienkiej jak włos wełny - ślubny welon Aurelii, naprawdę godny podziwu. Szafranowa tkanina na suknię ślubną była już gotowa i czekała złożona na półce. Nie należało zaczynać kroju i szycia, zanim przyszły małżonek nie zadeklarował się ostatecznie, żeby nic zapeszyć.

Kardyksa zajmowała się wycinaniem ozdób składanego parawanu z jakiegoś efektownego afrykańskiego drewna. Kawałki polerowanego sardu, jaspisu i onyksu, którymi zamierzała wyłożyć wycięte w drewnie liście i kwiaty, leżały w rzeźbionej szkatułce, innym przykładzie jej biegłości.

Aurelia przeszła wzdłuż okien, zamykając okiennice. Ich poziome listwy pozostawiła odchylone dla dostępu powietrza i światła. Samo zamknięcie okiennic stanowiło znak dla służących i młodszych braci, że nie chce, by jej przeszkadzano. Potem usiadła przy stole, czując zamęt w głowie, oparła na nim rękę i pomyślała: „Co zrobiłaby Kornelia, matka Grakchów?”

To był wzorzec, który Aurelia stosowała do wszystkiego. Co zrobiłaby Kornelia, matka Grakchów? Co pomyślałaby Kornelia, matka Grakchów? Co czułaby Kornelia, matka Grakchów? Kornelia, matka Grakchów, była bożyszczem Aurelii, jej ideałem, jej wzorem zachowania w mowie i czynie.

Wśród książek wypełniających ściany jej pokoju były wszystkie opublikowane listy i pisma Kornelii, matki Grakchów, a także wszystkie dzieła, w których choćby tylko wspomniano imię Kornelii.

Kim zaś była Kornelia, matka Grakchów? Była wszystkim, czym być powinna szlachetnie urodzona Rzymianka, od narodzin do śmierci. Oto, kim była.

Młodsza córka Scypiona Afrykańskiego - który wyparł Hannibala i podbił Kartaginę - w dziewiętnastym roku życia została wydana za mąż za znakomitego Tyberiusza Semproniusza Grakcha, mającego już wtedy czterdzieści pięć lat. Jej matka, Emilia Paula, była siostrą wielkiego Emiliusza Paulusa, tak więc w Kornelii łączyły się dwa patrycjuszowskie rody.

Jako żona była bez zarzutu i w ciągu prawie dwudziestu lat małżeństwa urodziła Tyberiuszowi dwanaścioro dzieci. Gajusz Juliusz Cezar powiedziałby pewnie, że za sprawą nieustannych związków małżeńskich, łączących starożytne rody Korneliuszy i Emiliuszy, wszystkie jej dzieci były chorowite. Ona jednak wytrwale opiekowała się nimi i troje z nich dożyło dojrzałego wieku. Pierwsza dorosła Sempronia, po niej chłopiec noszący imię ojca, Tyberiusz, a po nim jeszcze jeden chłopiec, Gajusz Semproniusz Grakchus.

Znakomicie wykształcona, była godną córką swego ojca, który wszystko, co greckie, uważał za szczyt doskonałości. Sama uczyła tę trójkę swoich dzieci (i te z dziewięciorga, które żyły dość długo, by zacząć naukę). Po śmierci męża została sama z piętnastoletnią Sempronią, dwunastoletnim Tyberiuszem i dwuletnim Gajuszem, i tymi spośród dziewięciorga, które przeżyły wczesne dzieciństwo.

Wszyscy po kolei starali się o rękę tej wdowy, która dowiodła już swej płodności z zadziwiającą regularnością i która wciąż była płodna. Była też córką Afrykańskiego i siostrzenicą Paulusa, a wreszcie wdową po Tyberiuszu Semproniuszu Grakchu, była więc bajecznie bogata.

Wśród starających się był sam król Ptolemeusz Eurgetes Brzuchacz, w owym czasie król Cyrenajki i były król Egiptu - który był częstym gościem w Rzymie w latach między usunięciem go z Egiptu a przywróceniem mu władzy w dziewięć lat po śmierci Tyberiusza Semproniusza Grakcha. Zwykł pojawiać się i nękać nieustannym bekiem znużone uszy senatu, i jednać sobie namowami i przekupstwem zwolenników osadzenia go znów na tronie Egiptu.

W chwili śmierci Tyberiusza Semproniusza Grakcha król Ptolemeusz Eurgetes Brzuchacz był osiem lat młodszy od trzydziestosześcioletniej Kornelii, matki Grakchów - i znacznie szczuplejszy niż później, kiedy to Scypion Emilianus, bratanek i zięć Kornelii chwalił się, że zmusił nieprzyzwoicie wystrojonego i nieprzyzwoicie grubego króla Egiptu do chodzenia!

Król zabiegał o jej rękę równie natarczywie i równie nieprzerwanie jak o powrót na tron Egiptu, ale z równie nikłym powodzeniem. Kornelia, matka Grakchów, nie zamierzała wydawać się za byle króla, choćby był nie wiadomo jak bogaty i potężny.

Prawdę mówiąc, Kornelia, matka Grakchów, doszła do wniosku, że prawdziwa Rzymianka szlchetnego rodu nie ma powodu, by po dwudziestu latach małżeństwa ze szlchetnie urodzonym Rzymianinem wychodzić powtórnie za mąż. Tak więc jeden starający się po drugim był grzecznie odprawiany, a wdowa borykała się samotnie z wychowaniem dzieci.

Kiedy Tyberiusz Grakchus został zamordowany podczas swego trybunatu ludowego, zdecydowała, że nie opuści głowy. Równie zdecydowanie nie mieszała się do małżeństwa swej córki Sempronii ze Scypionem Emilianusem, uważanego za występne. Kiedy Scypiona Emilianusa znaleziono martwego w tajemniczych okolicznościach i gdy krążyły plotki, że i on został zamordowany, i to przez własną żonę, jej córkę, nadal się do tego nie mieszała. Został jej mimo wszystko jeden żywy syn, którego mogła kształcić i wspierać w jego świetnie się rozwijającej karierze politycznej, jej ukochany Gajusz Grakchus.

Gajusz Grakchus zginął w tragicznych okolicznościach, kiedy skończyła lat siedemdziesiąt, i wszyscy uznali, że ten cios musi wreszcie złamać Kornelię, matkę Grakchów. Tak się nie stało. Żyła nadal z podniesioną głową, bez męża i bez swych wspaniałych synów, a jej jedynym żyjącym dzieckiem była zgorzkniała i bezpłodna Sempronia.

- Muszę wychować moją małą kochaną Sempronię - mówiła, mając na myśli małą córeczkę Gajusza Grakcha.

Nie zrezygnowała więc z życia, usunęła się jednak z Rzymu. Zamieszkała w wielkiej willi w Misenum, która była, podobnie jak jej właścicielka, istnym pomnikiem dobrego smaku, wyrafinowania i splendoru, jakie Rzym mógł zaofiarować światu. Tam gromadziła swe listy i pisma krytyczne i gdy przyjaciele błagali ją, by nie dała im pójść w zapomnienie, pozwoliła łaskawie opublikować je staremu Sozjuszowi z Argiletum. Tak jak ich autorka były pełne czaru, wdzięku i dowcipu, a przy tym głębokie i przekonujące. Ich liczba powiększyła się w Misenum, bo Kornelia, matka Grakchów, nie straciła bystrości umysłu, zainteresowania światem ani erudycji, chociaż przybywało jej lat.

Kiedy Aurelia miała lat szesnaście, a Kornelia, matka Grakchów, osiemdziesiąt trzy, Marek Aureliusz Kotta i jego żona Rutylią złożyli obowiązkową wizytę - prawdę mówiąc, było to wydarzenie, na które czekali niecierpliwie - Kornelii, matce Grakchów, kiedy przejeżdżali przez Misenum. Zabrali z sobą całe plemię swych dzieci, nawet wyniosłego Lucjusza Aureliusza Kottę, który w wieku lat dwudziestu sześciu nie uważał się naturalnie za członka plemienia. Wszystkim polecono, by siedzieli cicho jak myszy, poważni i skromni jak westalki - żadnego wiercenia się, podskakiwania ani kopania nóg od krzesel - pod groźbą śmierci w nieopisanym męczarniach.

Kotta i Rutylią nie musieli jednak rzucać gróźb, tak obcych ich chara-

kterom. Kornelia, matka Grakchów, wiedziała wszystko, co można było wiedzieć o małych chłopcach, i o dużych chłopcach także, a jej wnuczka Sempronia była o rok młodsza od Aurelii. Była zachwycona spotkaniem z tak interesującymi i tak żywymi dziećmi i cieszyła się ich towarzystwem znacznie dłużej, niż to uważali za rozsądne jej domownicy i oddana służba, była bowiem już wtedy kruchego zdrowia i siniały jej wargi i uszy.

Aurelia zaś odjechała oczarowana, przyrzekając sobie, że gdy dorośnie, będzie żyć według tych samych standardów rzymskiej siły, rzymskiej wytrwałości, rzymskiej prawości i rzymskiej cierpliwości, co Kornelia, matka Grakchów. To potem właśnie jej biblioteka wzbogaciła się o pisma starszej pani, a jej sposób życia stał się równie godny uwagi.

Wizyta nie została powtórzona, bo Kornelia, matka Grakchów, nie przeżyła następnej zimy. Zmarła, siedząc wyprostowana w krześle, nie schylając głowy i trzymając wnuczkę za rękę. Powiadomiła właśnie dziewczynę o jej zaręczynach z Markiem Fulwiuszem Flakkusem, ostatnim z rodziny tego Fulwiusza Flakkusa, który zginął, wspierając Gajusza Grakcha. Powiedziała młodej Sempronii, że tak być powinno i że jedyna dziewczynka wielkiej fortuny Sempronuszy powinna wnieść tę fortunę jako wiano do rodziny, której fortuna przepadła wraz ze sprawą Gajusza Grakcha. Z zadowoleniem powiadomiła też wnuczkę, że wciąż ma wystarczające wpływy w senacie, by przeprowadzić dekret uchylający działanie *lex Voconia de mulierum hereditatibus*, na wypadek gdyby pojawił się jakiś daleki krewny i zgłosił pretensje do fortuny Sempronuszy, powołując się na to prawo dyskryminujące kobiety. Dodała, że to uchylenie rozciąga się i na następne pokolenie, na wypadek gdyby jedyną dziedziczką znów okazała się kobieta.

Śmierć zabrała Kornelię, matkę Grakchów, tak szybko i tak miłosiernie, że cały Rzym się cieszył: zaprawdę, bogowie kochali - i ciężko doświadczali - Kornelię, matkę Grakchów! Pochodziła z rodu Korneliuszy, została więc pochowana, nie zaś spalona. Spośród wielkich i małych rodów Rzymu jedni tylko Korneliusze składali nietknięte ciała swoich zmarłych do grobu. Upamiętnił ją wspaniały grobowiec przy Via Latina, przy którym nigdy nie brakowało świeżych kwiatów. Z biegiem lat stał się zarazem kaplicą i ołtarzem, choć jej kult nie został oficjalnie uznany. Rzymianki, którym trzeba było cnót Kornelii, matki Grakchów, modliły się do niej i składały ofiary z kwiatów. Została swego rodzaju boginią - symbolem nieugiętego ducha w obliczu ciężkich doświadczeń.

Co zrobiłaby Kornelia, matka Grakchów? Chociaż raz Aurelia nie знаła odpowiedzi na to pytanie; ani logika, ani instynkt nie mogły przenieść problemu Aurelii na kogoś, komu rodzice nie daliby nigdy, przenigdy swobody wyboru męża. Oczywiście Aurelia doceniała powody, dla których przebiegły wuj Publiusz podsunął im ten pomysł. Wykształcenie klasyczne pozwoliło jej docenić porównanie z Heleną trojańską, choć nigdy nie myślała o sobie jako o fatalnej piękności - raczej jako o nieodparcie pożądanej.

W końcu doszła do jedyne go wniosku, jaki zaaprobowałaby Kornelia,

matka Grakchów - musi poddać zalotników dokładnemu badaniu i wybrać najlepszego, co nie oznaczało tego, który najbardziej jej się podoba, ale tego, który odpowiada rzymskiemu ideałowi. Musi być dobrze urodzony, z co najmniej senatorskiej rodziny - i to takiej, której *dignitas* i pozycja w Rzymie od pokoleń przed ustanowieniem republiki były bez skazy i zmayı. Musi być dzielny, bez żadnych nałogów, gardzący zyskiem, wyższy nad przekupstwo, nieugiętych zasad i gotów w razie potrzeby oddać życie za Rzym albo za swój honor.

Wysokie wymagania! Pytanie tylko, czy dziewczyna tak chroniona przed światem może być pewna słuszności swego sądu? Postanowiła pomówić z dorosłymi członkami rodziny - Markiem Kottą, Rutylią i swym starszym bratem przyrodnym, Lucjuszem Aureliuszem Kottą - i poprosić ich o szczerą ocenę każdego z zalotników. Byli zaskoczeni, ale starali się pomóc, jak umieli. Niestety, każde z nich przyznawało się pod naciskiem do jakichś osobistych uprzedzeń, mogących wypaczyć taką ocenę, kiedy więc skończyli, Aurelia nie była wcale w lepszym położeniu.

- Ona nikogo naprawdę nie lubi - powiedział z posępną miną Kotta.

- Ani odrobinę! - westchnęła Rutylią.

- To nie do wiary! Osiemnastoletnia dziewczyna, która do nikogo nie wzdycha? Co się z nią dzieje?

- Skąd mam wiedzieć? - Rutylią poczuła, że ją niesłusznie obwiniają. - Nie ma tego po mnie.

- I z pewnością nie po mnie! - parsknął Kotta. Potem otrząsnął się z irytacji, pocałował żonę i znów zapadł w zwyczajne przygnębienie.

- Ona dojdzie do wniosku, że nikt się nie nadaje. Mogę się o to założyć.

- I ja tak myślę.

- Co zatem robić? Jeśli czegoś nie zrobimy, będziemy mieli pierwszą w dziejach Rzymu starą pannę na jej własne życzenie!

- Poślijmy ją do mego brata. Niech z nim o tym porozmawia.

- Świetna myśl! - rozjaśnił się Kotta.

Nazajutrz Aurelia wyruszyła z rezydencji Kottów na Palatynie do domu Publiusza Rutyliusza Rufusa na Karynach pod eskortą Kardyksy i dwóch roślących niewolników galijskich, których obowiązki obejmowały różne prace wymagające siły fizycznej. Ani Kotta, ani Rutylią nie chcieli być obecni przy rozmowie Aurelii z wujem. Spotkanie zostało umówione, bo jako konsul zarządzający Rzymem - Gnejusz Maliusz Maksymus prowadził zaciągi do armii, którą miał zabrać z końcem wiosny do Galii Zaalpejskiej - Rutyliusz Rufus był człowiekiem zajętym, nie tak jednak zajętym, by nie zająć się sprawami rodziny.

Marek Kotta zaszedł do szwagra o świcie, aby wyjaśnić mu sytuację. Rutyliusz Rufus zdawał się ogromnie ubawiony.

- Co za dziewczyna! - wykrzyknął, a ramiona trzęsły mu się od śmiechu.

- Dziewica od stóp do głów. Cóż, musimy dopilnować, żeby nie zrobiła głupstwa i nie została dziewicą do końca życia, choćby i miała przy tym niejednego męża i dzieci.

- Spodziewam się, że masz jakiś pomysł, Publiuszu Rutyliuszu. Ja nie widzę nawet promyka nadziei.

- Wiem, co zrobię - rzekł Rutyliusz Rufus z zadowoloną miną. - Przyślij mi ją przed dziesiątą. Może zjeść ze mną obiad. Odeślę ci ją w lektyce i pod strażą, możesz być spokojny.

Kiedy zjawiała się Aurelia, Rutyliusz Rufus odesłał Kardyksę i Galów do pokojów dla służby, gdzie mieli zjeść obiad i czekać na polecenia. Sam zaprowadził Aurelię do jadalni i usadził wygodnie w krzesło naprzeciw swojej sofie z wolnym miejscem po lewej.

- Spodziewam się tylko jednego gościa - powiedział, układając się na sofie. - Brr! Prawda, że zimno? Nie włożyłabyś, Aurelio, ciepłych wełnianych skarpet?

Każda inna przedstawicielka płci żeńskiej wolałaby raczej umrzeć, niż włożyć coś tak niestosownego jak ciepłe skarpety. Każda inna, ale nie Aurelia, która oceniła temperaturę otoczenia i własne samopoczucie i skinęła głową.

- Dziękuję, wujku Publiuszu.

Wezwano Kardyksę i kazano jej przynieść skarpety, co zrobiła z podziwu godną szybkością.

- Rozsądna z ciebie dziewczyna! - Rutyliusz Rufus szczerze podziwiał zdrowy rozsądek Aurelii, jak ktoś inny mógłby podziwiać cudowną perłę z oceanu, znaną w muszli trąbika na mulistym brzegu w Ostii. Zawsze uważał, że zdrowy rozsądek jest towarem równie rzadkim u mężczyzn, jak i u kobiet. Nie będąc wielkim miłośnikiem kobiet, z góry zakładał u nich jego brak i nigdy się na tym nie zawiodł. Aurelia była więc jego cudowną perłą z oceanu znaną na mulistym brzegu płci żeńskiej i cenił ją sobie ogromnie.

- Dziękuję, wujku Publiuszu - odparła Aurelia i poświęciła swą uwagę Kardyksie, która przyklękła, by jej zdjąć trzewiki.

Dziewczęta były jeszcze zajęte skarpetami, gdy wprowadzono owego samotnego gościa. Żadna nie podniosła jednak wzroku, gdy go witano i sadowiono po lewej ręce gospodarza.

Aurelia, prostując się znów, patrzyła w oczy Kardyksy i podziękowała dziewczynie z uśmiechem rzadko u niej widywanym.

Kiedy zaś wyprostowała się całkiem i spojrzała przez stół na wuja i jego gościa, miała jeszcze uśmiech na ustach, a na policzkach rumieniec pozostały po pochyleniu głowy. Jej widok zapierał dech w piersiach.

Słysząc, że gościowi zabrakło tchu. To samo było z Aurelią.

- Gajuszu Juliuszu, to córka mojej siostry, Aurelia - powiedział uprzejmie Publiusz Rutyliusz Rufus. - Aurelio, chciałbym ci przedstawić syna mego starego przyjaciela Gajusza Juliusza Cezara, Gajusza. Nosi imię swego ojca, ale nie jest najstarszym synem.

Aurelia patrzyła rozszerzonymi fioletowymi oczami na swój przyszły los i ani razu nie pomyślała o rzymskich ideałach ani o Kornelii, matce Grakchów. Może zresztą w głębi duszy pomyślała, bo gość odpowiadał wymaganiom, chociaż dopiero czas to pokazał. Teraz, w chwili pierwszego spotkania widziała tylko pociągłą rzymską twarz z długim rzymskim nosem, najbłękitniejsze z oczu, gęste i wijące się złote włosy, pięknie zarysowane usta. I oto po wszystkich duchowych rozterkach, po

wyczerpujących i bezskutecznych rozważaniach, rozstrzygnęła problem w najnaturalniejszy z możliwych sposobów. Zakochała się.

Rozmawiali oczywiście ze sobą i był to dla nich bardzo zajmujący obiad. Rutyliusz Rufus odchylił się w tył na łokciu, ustępując im placu, zadowolony z siebie, bo spośród setek znanych sobie młodych ludzi wybrał trafnie tego jedyne, który spodobał się jego bezcennej perle z oceanu. Bardzo lubił młodego Gajusza Juliusza Cezara i wiele się po nim spodziewał na przyszłość, był on bowiem prawdziwym wzorem Rzymianina i do tego ze wzorowej rzymskiej rodziny. Rutyliusz Rufus, który sam był Rzymianinem z dziada pradziada, rad był zwłaszcza z tego, że dalszy rozwój znajomości jego siostrzenicy z młodym Gajuszem Juliuszem Cezarem mógł doprowadzić do niby-rodziny związków jego samego z Gajuszem Mariuszem. Dzieci młodego Gajusza Juliusza Cezara i Aurelii byłyby stryjecznym rodzeństwem dzieci Gajusza Mariusza.

Zwykle zbyt nieśmiała, by kogoś wypytywać, Aurelia zapomniała o swych obyczajach i wypytywała do woli młodego Gajusza Cezara. Dowiedziała się, że był w Afryce ze swym szwagrem Gajuszem Mariuszem jako młodszy trybun wojskowy i że został odznaczony przy kilku okazjach: koroną murową za zdobycie cytadeli Muluchy, sztandarem za pierwszą bitwę pod Cyrta i dziewięcioma srebrnymi falerami za drugą. W tej drugiej bitwie został ciężko ranny w udo, a potem zwolniony z armii i odesłany do kraju. Wszystkiego tego nie dowiedziała się, nie zadając pytań, bo on sam wolał mówić o czynach swego brata Sekstusa w tych samych kampaniach.

Dowiedziała się też, że został mianowany jednym z *tresviri monetales*, młodych ludzi w wieku przedsenatorskim, którym powierzano nadzór nad biciem monety, dając im szansę zapoznania się z gospodarką pieniężną Rzymu.

- Pieniądz znika z obiegu - mówił, po raz pierwszy mając tak fascynujące i tak zafascynowane audytorium. - Naszą sprawą jest bicie monety, ale nie według swego widzimisie! To Skarb ustala, ile nowych monet trzeba wybić.

- Ale jak może zniknąć coś tak trwałego jak moneta? - pytała Aurelia, marszcząc brwi.

- Ach, może wpaść do ścieku albo stopić się w pożarze - odpowiedział młody Cezar. - Niektóre po prostu się zużywają. Większość jednak znika, bo są odkładane. A to nie jest przeznaczeniem pieniędzy.

- A co jest ich przeznaczeniem? - Aurelia niewiele miała do czynienia z pieniędzmi, bo rodzice zaspokajali wszystkie jej skromne potrzeby.

- Stale przechodzić z rąk do rąk. Nazywamy to obiegiem. Kiedy pieniądz jest w obiegu, ręce, przez które przechodzi, zostają pobłogosławione. Trzeba jednak, żeby był w obiegu.

- Musisz więc bić monety, żeby zastąpić te odkładane przez kogoś - zastanawiała się Aurelia. - One jednak nadal istnieją, nieprawdaż? A co się stanie, jeśli nagle jakaś wielka ilość tych odłożonych monet zostanie... wyłożona?

- Wartość pieniądza spadnie.

Po tej lekcji ekonomii Aurelia przeszła do techniki bicia monet.

- Do nas należy wybór wzorów tłoczonych na monetach - opowiadał ochoczo oczarowany swą słuchaczką młody Gajusz Cezar.

- Masz na myśli Wiktorię i jej bigę?

- Cóż, łatwiej zmieścić na monecie dwukonny rydwan niż czterokonny i dlatego Wiktorcia częściej jeździ bigą niż kwadrygą. Ale ci z nas, którzy mają trochę wyobraźni, wybierają coś bardziej oryginalnego niż Wiktorcia albo Roma. Monetę bije się najczęściej trzy razy w roku, więc każdy może wybrać sobie wzór.

- A czy ty coś wybierzesz?

- Tak. Ciągnęliśmy losy i mnie przypadł srebrny denar. W tym roku na denarze pojawi się więc głowa Julusa, syna Eneasza, a na odwrocie Aqua Marcia, na pamiątkę mego dziadka Marcjusza.

Potem Aurelia dowiedziała się jeszcze, że jesienią będzie się ubiegał o wybór na trybuna wojskowego. Jego brat został już wybrany i wyruszał do Galii z Gnejuszem Maliuszem Maksymusem.

Kiedy zjedzono ostatnie danie, wuj Publiusz wsadził siostrzenicę do lektyki, jak obiecał, ale prosił gościa, by został jeszcze chwilę.

- Wypijemy puchar albo dwa nie rozcieńczonego wina. Wypiłem tyle wody, że chyba wysikam całe wiadro.

- A ja drugie - zaśmiał się gość.

- I jak ci się podoba moja siostrzenica? - spytał Rutyliusz Rufus, kiedy już im podano znakomite wino tuskańskie.

- Równie dobrze mógłbyś spytać, czy podoba mi się życie. Czy istnieje alternatywa?

- Aż tak ci się spodobała?

- Czy mi się spodobała? Tak. I do tego zakochałem się w niej - odpowiedział młody Cezar.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Pewnie, że chcę. Pół Rzymu tego chce.

- To prawda, Gajuszu Juliuszu, ale czy to cię zniechęca?

- Nie. Zgłoszę się do jej ojca - to jest do jej stryja Marka. I postaram się znów ją zobaczyć i przekonać do siebie. Warto spróbować, bo czuję, że mnie lubi.

Rutyliusz Rufus uśmiechnął się.

- Tak, chyba tak. - Zsunął się z sofy. - Cóż, wracaj do domu, Gajuszu Juliuszu, i powiedz swemu ojcu, co zamierzasz, a jutro idź do Marka Aureliusza. Co do mnie, jestem zmęczony i idę do łóżka.

Chociaż młody Gajusz Cezar zdołał zrobić na Rutyliuszu Rufusie wrażenie pewnego siebie, do domu wracał w mniej optymistycznym nastroju. Sława Aurelii rozeszła się szeroko. Wielu jego przyjaciół starało się o jej rękę. Niektórym Marek Kotta odmówił wpisania na listę, inni znaleźli się na niej. Wśród tych szczęśliwców były nazwiska dostojniejsze niż jego, choćby dlatego, że te nazwiska złączone były z ogromnymi fortunami. Być Juliuszem Cezarem znaczyło niewiele więcej, niż mieć pozycję społeczną tak niezachwianą, że nawet ubóstwo nie mogłoby jej

zniszczyć. Czy jednak mógł współzawodniczyć z takimi jak Marek Liwiusz Druzus albo młody Skaurus, albo Mucjusz Scewola, albo starszy z braci Ahenobarbów? Nie wiedząc, że Aurelii pozwolono wybrać sobie męża, młody Cezar uważał, że ma niewielkie szanse.

Wszedł frontowymi drzwiami i kierując się do atrium, spostrzegł światło w pracowni ojca. Zanim podszedł do drzwi i zapukał, poczuł, że smutek ściska mu gardło.

- Wejdz - odezwał się zmęczony głos.

Gajusz Juliusz Cezar był umierający. Wszyscy w domu zdawali sobie z tego sprawę, z nim samym włącznie, choć nie powiedziano o tym ani jednego słowa. Choroba zaczęła się od trudności z przełykaniem i szerzyła się nieznacznie, z początku tak powoli, że trudno było zauważyć pogorszenie. Potem głos chorego stał się chrapliwy, a jeszcze później zaczęły się bóle. Z początku były do zniesienia, teraz jednak nie ustępowały, a Cezar nie mógł już przełykać stałych pokarmów. Aż dotąd nie zgadzał się przyjąć lekarza, chociaż Marcja codziennie go o to prosiła.

- Ojcze?

- Wejdz, Gajuszu. Dotrzymasz mi towarzystwa.

Cezar skończył w tym roku sześćdziesiąt lat, ale w świetle lampy wyglądał na osiemdziesiąt. Stracił tyle na wadze, że skóra wisiała na nim, a zarysy jego czaszki wyglądały właśnie tak, jak czaszka. Długotrwałe cierpienie odebrało blask oczom, tak kiedyś niebieskim. Wyciągnął dłoń do syna i uśmiechnął się.

- Ach, ojcze! - Cezar Młodszy starał się po męsku nie okazać uczuć, ale głos go zawiódł. Podszedł do ojca, ujął jego dłoń i ucałował, a potem objął jego wychudłe ramiona i przytulił policzek do srebrzystych włosów.

- Nie płacz, synu - wychrypiał Cezar. - Wkrótce to się skończy. Jutro przychodzi Atenodor.

Rzymianin nie płacze. W każdym razie, nie powinien płakać. Cezar Młodszy nie widział w tym sensu, ale zapanował nad łzami. Usiadł przy ojcu, trzymając go za szponiastą rękę.

- Może Atenodor będzie wiedział, co robić.

- Atenodor będzie wiedział to, co wszyscy wiemy: że to nieuleczalny nowotwór gardła - rzekł Cezar. - Twoja matka wierzy w cud, ale sprawy zaszły za daleko, żeby Atenodor robił jej nadzieję. Trzymam się przy życiu tylko z jednego powodu - chcę dopilnować, by wszyscy członkowie mej rodziny mieli zapewniony byt, i upewnić się, że będą szczęśliwi.

Urwał i poszukał dłonią czarki z nie rozcieńczonym winem. Teraz już tylko ono sprawiało mu ulgę. Po jednym czy dwóch łykach ciągnął dalej.

- Zostałeś już tylko ty, Gajuszu - wyszeptał. - Co mogę dla ciebie zrobić? Kiedyś, dawno temu, przyznałem ci przywilej, z którego jeszcze nie skorzystałeś - swobodę wyboru żony. Chyba czas się zdecydować? Byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że dobrze wybrałeś.

Gajusz Cezar Młodszy podniósł dłoń ojca i przyłożył do swego policzka, podtrzymując przy tym jego rękę.

- Znalazłem ją, ojcze. Spotkałem ją dziś wieczór. Czy to nie dziwne?

- U Publiusza Rutyliusza? - spytał z niedowierzaniem Cezar.

Młody człowiek uśmiechnął się szeroko.

- On się chyba zabawiał w swata!

- Dziwna rola dla konsula!

- Tak. - Cezar Młodszy zaczerpnął tchu. - Czy słyszałeś o jego siostrzenicy, pasierbicy Marka Kotty, Aurelii?

- Tej słynnej piękności? Chyba każdy o niej słyszał.

- To ona. Ona jest tą jedyną.

Cezar miał zmartwioną minę.

- Twoja matka mówiła mi, że kolejka konkurentów nie mieści się w ulicy, a są wśród nich najbogatsi i najlepiej urodzeni kawalerowie w całym Rzymie - i nie tylko kawalerowie!

- To prawda - przyznał Gajusz Młodszy. - Ale to ja ją poślubię, możesz być tego pewny!

- Jeśli przeczucie mnie nie myli, kręcisz sobie bicz na własne plecy - powiedział troskliwy ojciec z powagą. - Takie piękności nie są dobrymi żonami, Gajuszu. Są zepsute, kapryśne, samowolne i zuchwałe. Niech ją bierze kto inny, a ty znajdź sobie jakąś skromniejszą dziewczynę. - Przypomniawszy sobie o czymś pocieszającym i nieco się odprężył. - Na szczęście jesteś nikim w porównaniu z Lucjuszem Licyniuszem Oratorem albo Gnejuszem Domicjuszem Młodszym, choć jesteś patrycjuszem. Jestem pewien, że Marek Aureliusz nawet cię nie weźmie pod uwagę. Nie bierz więc jej sobie do serca i nie zapominaj o innych dziewczynach.

- Ona wyjdzie za mnie, tato, zobaczysz!

Po tym sporze Gajusz Juliusz Cezar nie miał już siły przekonywać syna i pozwolił położyć się do łóżka. Sypiał teraz sam, niespokojnym, krótkim snem.

Aurelia leżała na brzuchu w szczelnie zasłoniętej lektyce, trzęsącej się i podskakującej, gdy droga biegła w górę i w dół wzgórz dzielących dom wuja Publiusza od domu stryja Marka. Gajusz Juliusz Cezar Młodszy! Jakże był wspaniały, jak doskonały! Czy zechce się z nią ożenić? Co pomyślałaby Kornelia, matka Grakchów?

Kardyksa, dzieląca lektykę ze swą panią, przyglądała się jej ciekawie. Takiej Aurelii jeszcze dotąd nic oglądała. Siedziała wyprostowana w kącie, trzymając świecę w cienkiej alabastrowej osłonie, dającą słabe światło, i notowała w pamięci oznaki przemiany. Sprężyste zwykle ciało Aurelii było rozluźnione, zaciśnięte zwykle usta -rozchylone, a powieki skrywały wyraz oczu. Mądra Kardyksa знаła powód tej przemiany; ten niezmiernie przystojny młody człowiek, którego Publiusz Rutyliusz podał jako główne danie. Sprytny stary łajdak! A jednak... Gajusz Juliusz Cezar Młodszy był kimś szczególnym, kimś w sam raz dla Aurelii. Kardyksa wyraźnie to czuła.

Co zrobiłaby w podobnej sytuacji Kornelia, matka Grakchów? Bez względu na to, co by zrobiła, Aurelia wiedziała, budząc się nazajutrz rano, co sama robi. Przede wszystkim wysłała Kardyksę do domu Cezara z liścikiem do młodego człowieka.

„Proś o moją rękę”, napisała bez ogródek.

Potem nie robiła zupełnie nic. Ukryła się po prostu w swej pracowni i wychodziła tylko na posiłki, starając się nie budzić podejrzeń. Miała świadomość tego, że się zmieniła, a nie chciała, by czujni rodzice spostrzegli to, zanim sama wykona kolejny ruch.

Następnego dnia rano zaczęła, aż Marek Kotta przyjmie swoich klientów. Nie śpieszyła się, bo sekretarz Kotty powiadomił ją, że nie ma on w planie żadnych zebrań i na pewno zostanie w domu jeszcze przez parę godzin.

- Ojczy?

Kotta podniósł wzrok znad papierów.

- Ach, dziś jestem ojcem? Wejdz córko, wejdz! - Uśmiechnął się ciepło.

- Czy chcesz, żeby i twoja matka tu była?

- Tak, proszę.

- Idź zatem i przyprowadź ją.

Odeszła i po chwili pojawiła się ponownie z Rutylią.

- Siadajcie, moje panie.

Usiadły obok siebie na sofie.

- I cóż, Aurelio?

- Czy są jacyś nowi konkurenci? - spytała niespodziewanie.

- W rzeczy samej. Młody Gajusz Juliusz Cezar zaszedł do mnie wczoraj, a że nie mam nic przeciw niemu, wpisałem go na listę. Razem jest ich trzydziestu ośmiu.

Aurelia zarumieniała się. Kotta patrzył na nią zafascynowany. Nigdy dotąd nie widział, by była zakłopotana. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka. Spostrzegł, że Rutylią obraca się i przygląda córce, równie jak on zaintrygowana jej rumieńcem i zakłopotaniem.

- Zdecydowałam się - powiedziała Aurelia.

- Wspaniale! Powiedz, kto to?

- Gajusz Juliusz Cezar Młodszy.

- Kto? - spytał tępo Kotta.

- Kto? - spytała tępo Rutylią.

- Gajusz Juliusz Cezar Młodszy - powtórzyła cierpliwie Aurelia.

- Proszę, proszę! Ostatni koń, który włączył się do wyścigu. - Kotta był ubawiony.

- Faworyt mojego brata - powiedziała Rutylią. - Bogowie, ależ on jest przebiegły! Skąd mógł wiedzieć?

- To naprawdę wybitny człowiek - odrzekł Kotta i zwrócił się do pasierbicy. - Spotkałeś Gajusza Juliusza Cezara Młodsze po raz pierwszy przedwczoraj u swego wuja. Czy to był naprawdę pierwszy raz?

- Tak.

- I to właśnie za niego chcesz wyjść za mąż?

- Tak.

- Moja droga, on jest raczej biedny - zauważyła matka. - Nie spodziewaj się żadnych wygód jako żona młodego Gajusza Juliusza.

- Nie wychodzi się za mąż dla wygód.

- Cieszę się, że to rozumiesz, moje dziecko. On jednak nie jest tym, którego bym wybrał dla ciebie - powiedział Kotta.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego, ojczu.

- To raczej dziwna rodzina. Nieco za bardzo... nieortodoksyjna. Związali się małżeństwem i dzielą poglądy z Gajuszem Mariuszem, którego wprost nie znoszę.

- Wuj Publiusz lubi Gajusza Mariusza.

- Twój wuj Publiusz bywa czasem nieco nierozważny - odparł posepnie Kotta. - Nie na tyle jednak, żeby głosować w senacie przeciw własnej klasie na korzyść Gajusza Mariusza - a nie mogę tego powiedzieć o Juliuszach z linii Cezarów! Twój wuj Publiusz przez wiele lat wojował wraz z Gajuszem Mariuszem, można więc zrozumieć ich zażyłość. Gajusz Juliusz Cezar natomiast powitał Mariusza z otwartymi ramionami i kazał go szanować całej swej rodzinie. Tego nie mogę zrozumieć.

- Czy Sekstus Juliusz nie poślubił niedawno jednej z Klaudii? - spytała Rutylija.

- Chyba tak.

- A więc przynajmniej ten związek jest bez zarzutu. Być może synowie nie są tak oddani Gajuszowi Mariuszowi, jak ci się wydaje.

- Oni są szwagrami, Rutylio!

Aurelia włączyła się do rozmowy.

- Ojczu i matko, zostawiliście wybór mnie - oświadczyła. - Zamierzam wyjść za Gajusza Juliusza Cezara, i to wszystko.

Było to powiedziane bardzo stanowczo, ale bynajmniej nie zuchwale. Kotta i Rutylija patrzyli na siebie skonsternowani, zrozumiałwszy wreszcie, że ich chłodna i rozsądna Aurelia była zakochana.

- To prawda, zostawiliśmy ci wybór - Kotta zdecydował, że trzeba uznać dobre strony tego obrotu spraw i że nie ma innego wyjścia. Skinął dłonią żonie i bratanicy.

- Idźcie już. Muszę zasadzić skrybów do napisania trzydziestu siedmiu listów. Potem pójdę się zobaczyć z Gajuszem Juliuszem - i to chyba z ojcem i synem.

Rozesłany przez Marka Aureliusza Kotle list głosił:

„Po głębokim namyśle postanowiłem, że pozwolę mej bratanicy i podopiecznej, Aurelii, wybrać sobie męża. Moja żona, a jej matka wyraziła na to zgodę. Niniejszym zatem zawiadamiam, że Aurelia dokonała wyboru. Jej mężem ma zostać Gajusz Juliusz Cezar Młodszy, syn Gajusza Juliusza Cezara, ojca spisanego. Wierzę, że przyłączysz się wraz ze mną do grona osób składających temu małżeństwu najlepsze życzenia”.

Sekretarz Kotty patrzył na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Nie siedź, bierz się do roboty! - burknął Kotta, zwykle znacznie bardziej zrównoważony. - Za godzinę chcę mieć trzydzieści siedem kopii, a każda ma mieć nagłówek z nazwiskiem jednego z tej listy. - Pchnął listę przez stół. - Sam je podpiszę i zaraz potem mają być doręczone.

Sekretarz zabrał się do pracy. To samo zrobiła plotka, która bez trudu uprzedziła listy u ich odbiorców. Wiele było strapionych serc i wiele nowych uraz, kiedy wiadomość się rozeszła, bo wybór kierowanej uczuciem Aurelii był całkiem niespodziewany i z jakiegoś powodu trudny do wybaczenia. Żadnemu z zawodników z listy zalotników Aurelii nie spo-

dobąo się, że wyprzedził ich młodszy syn człowieka z tylnych ław, choćby i z najdostojniejszego rodu. Przy tym ów szczęśliwiec był o wiele za przystojny, co budziło u wszystkich uczucie, że nie dano im równych szans.

Gdy Rutylią ochłoneła z pierwszego wrażenia, skłonna była zaaprobować wybór córki.

- Ach, pomyśl tylko, jakie będzie miała dzieci! - mruknęła do Kotty przy układaniu na nim fałd uroczystej togi z purpurowym szlakiem. Wyruszał właśnie z wizytą do domu Juliusza Cezara w gorszej części Palatynu. - Gdyby zapomnieć o pieniądzech, jest to znakomita partia dla Aureliuszów, nie mówiąc już o Rutyliuszach. Juliusze są na samym szczycie.

- Rodowodu nie podasz na stół - zrzędził Kotta.

- Daj spokój, Marku Aureliuszu, nie jest tak źle! Związek z Mariuszem znacznie podreperował fortunę Juliuszów i nadal tak będzie, bez wątplenia. Nie widzę powodu, by młody Gajusz Juliusz nie został konsulem. Słyszałam, że jest bardzo bystry i bardzo zdolny.

Kotta nie był przekonany.

- Nie każdy, kto przystojny, jest szlachetny.

Wyruszył jednak we wspaniałej todze. I on był przystojny, choć miał rumianą twarz Aureliuszów Kottów. Członkowie tej rodziny nie cieszyli się długowiecznością, mieli bowiem skłonności do apopleksji.

Powiedziano mu, że nie zastał młodego Gajusza Juliusza Cezara, spytał więc o starszego i ze zdziwieniem ujrzał posepną minę rządcy.

- Wybacz, Marku Aureliuszu, pójdę spytać. Gajusz Juliusz nie czuje się dobrze.

Kotta po raz pierwszy usłyszał o chorobie gospodarza, ale po zastanowieniu przypomniał sobie, że od jakiegoś czasu nie widział starszego pana w senacie.

- Zaczekam.

Rządca wrócił szybko.

- Gajusz Juliusz prosi. Muszę cię uprzedzić - mówił, prowadząc Kottę do tablinum - że jego wygląd będzie dla ciebie wstrząsem.

Kotta był rad, że go uprzedzono, zdołał bowiem nie okazać wrażenia, gdy kościste palce gospodarza wykonywały trudne zadanie uściśnięcia jego dłoni.

- Marku Aureliuszu, miło mi cię widzieć! Siadaj, proszę, siadaj! Przepraszam, że nie wstaję, ale rządca musiał ci powiedzieć, że jestem chory - tu słaby uśmiech pojawił się na pięknie zarysowanych ustach. - To oczywiście eufemizm. Jestem umierający.

- Ach, na pewno nie - powiedział niepewnie Kotta, siadając na skraju krzesła i krzywiąc nos. W pomieszczeniu unosił się jakiś dziwny, niemiły zapach.

- Na pewno tak. To nowotwór gardła. Atenodor potwierdził to dziś rano.

- Przykro mi to słyszeć, Gajuszu Juliuszu. Brak nam ciebie w kurii, a najbardziej odczuwa twą nieobecność mój szwagier, Publiusz Rutyliusz.

- Dobry z niego przyjaciel. - Cezar zamrugał podkrążonymi czerwono oczami. - Zgaduję chyba, co cię tu sprowadza, ale powiedz mi to, proszę.

- Kiedy lista zalotników mojej siostrzenicy Aurelii nazbyt już urosła, i to w znaczące nazwiska, bałem się kogoś wybrać, bo zostawiłbym synom więcej wrogów niż przyjaciół, i pozwoliłem jej samej wybrać sobie małżonka - mówił Kotta. - Przedwczoraj spotkała u swego wuja Rutyliusza twego młodszego syna, a dziś powiedziała mi, że wybrała właśnie jego.

- A tobie się to nie podoba, tak samo jak mnie?

- Nie podoba - Kotta westchnął i wrzucił ramionami. - Dałem jednak słowo, więc muszę go dotrzymać.

- Zrobiłem takie samo ustępstwo na rzecz młodszego syna i to wiele lat temu - uśmiechnął się Cezar. - Starajmy się, Marku Aureliuszu, zrobić z tego jak najlepszy użytek i miejmy nadzieję, że nasze dzieci będą rozsądniejsze od nas.

- Otóż to, Gajuszu Juliuszu.

- Pewnie interesuje cię stan majątkowy mego syna?

- Mówił mi o nim, kiedy prosił o jej rękę.

- Może zbyt pobieżnie. Mamy więcej ziemi, niż trzeba, by mu zapewnić miejsce w senacie, ale chwilowo nic więcej. Nie stać mnie, niestety, na kupno drugiego domu w Rzymie i jest to pewien kłopot. Ten dom przejdzie w ręce mego starszego syna, Sekstusa. Ożenił się ostatnio i mieszka tu z żoną, która jest od niedawna przy nadziei. Moja śmierć się zbliża, Marku Aureliuszu, a po mej śmierci to Sekstus zostanie *pater familias*. Młodszy będzie musiał znaleźć sobie coś innego.

- Na pewno wiesz, że Aurelia ma wielki posag - powiedział Kotta. - Może byłoby najlepiej ulokować te pieniądze w jakimś domu. Odziedziczyła po swoim ojcu, a moim bracie, wielką sumę, którą zainwestował on ładnych parę lat temu. Będzie tego około stu talentów. Za czterdzieści można mieć niezgorszy dom na Palatynie albo na Karynach. Naturalnie, ten dom byłby zapisany na twego syna, ale gdyby doszło kiedyś do rozwodu, musiałby zwrócić równowartość. Nie mówiąc jednak o rozwodzie, Aurelia nadal będzie miała dość pieniędzy.

Cezar zmarszczył brwi.

- Nie podoba mi się ten pomysł, by mój syn mieszkał w domu, za który zapłaci jego żona. To nie wyglądałoby dobrze. Nie, Marku Aureliuszu, trzeba nam czegoś, co zabezpieczy pieniądze Aurelii lepiej niż zakup domu, który nie należałby do niej. Za sto talentów można kupić na Eskwilinie insulę w doskonałym stanie. Kupi się ją dla niej, na jej imię. Młoda para może mieszkać w jednym z mieszkań na parterze, a twoja bratanica będzie korzystać z wpływów za wynajęcie pozostałych mieszkań i będą to wpływy większe niż z innych inwestycji. Mój syn będzie musiał na własną rękę zdobyć pieniądze na kupno domu, a to mu pomoże zdobyć się na odwagę i pobudzi jego ambicję.

- Nie mogę pozwolić, żeby Aurelia żyła w jakiejś insuli - powiedział zaskoczony Kotta. - Nie, wydam te czterdzieści talentów na zakup domu, a resztę zostawię ulokowaną jak dotąd.

- Insula na jej imię - upierał się Cezar.

Zakrztusił się i pochylił, łapiąc oddech. Kotta nalał mu puchar wina, włożył do zaciskającej się kurczowo dłoni i skierował tę dłoń do ust

gospodarza.

- Już mi lepiej - powiedział po chwili Cezar.

- Może przyjdę innym razem?

- Nie, omówmy to teraz, Marku Aureliusz. Zgadzą się, że nie jest to związek, który byśmy dla nich wybrali. Niech więc poznają cenę miłości. Jeżeli są sobie przeznaczeni, drobne niedogodności tylko umocnią ich związek. Jeśli nie są, te trudności przyspieszą zerwanie. Tym sposobem zapewnimy Aurelii zatrzymanie posagu i nie zranimy dumy mego syna. Insula, Marku Aureliusz! Musi być solidnie zbudowana. Zasięgnij opinii jakichś uczciwych biegłych. Nie bądź też...- ciągnął szeptem - zbyt wybredny co do jej położenia. Rzym gwałtownie się rozrasta, ale rynek tanich mieszkań jest daleko pewniejszy niż rynek mieszkań dla nowobogackich. Kiedy przychodzą ciężkie czasy, fortuny upadają, zawsze więc istnieje popyt na mieszkania o niskim czynszu.

- O bogowie! Moja bratanica właścicielką domu czynszowego!

- A czemużby nie? - W uśmiechu Cezara było znużenie. - Wiem, że jest niezwykle piękną, ale czy tych rzeczy nie można pogodzić? Jeśli nie, powinna się zastanowić, zanim poślubi mego syna.

- To prawda, że niezwykle z niej piękność! - Kotta uśmiechnął się do jakichś ukrytych myśli. - Przyślę ci ją, Gajuszu Juliuszu, i będziesz mógł zrobić z nią, co zechcesz. - Wstał i pochylił się, by poklepać Cezara po kościstych ramionach. - Oto moje ostatnie słowo: trzeba pozwolić Aurelii zdecydować, co ma się stać z jej posagiem. Ty zaproponujesz jej insulę, a ja dom. Zgoda?

- Zgoda. Ale przyślij ją szybko, Marku Aureliusz. Jutro w południe.

- Powiesz o tym synowi?

- Powiem. Jutro mi ją przyprowadzi.

W zwykłych okolicznościach Aurelia nie przejmowała się tym, co na siebie włożyć. Lubiła żywe kolory i lubiła zestawiać je ze sobą, ale jej decyzje w tych sprawach były równie szybkie i rzeczowe jak we wszystkich innych. Kiedy się jednak dowiedziała, że narzeczony ma ją zaprowadzić do przyszłego teścia, była przejęta. W końcu zdecydowała się na suknię z cienkiej wełny koloru wiśniowego i różową tunikę tak cieką, że przebijał spod niej kolor sukni, a wszystko to okryła narzutką z najbledszego różu, cienką niczym jej ślubny welon. Wykąpała się przedtem i natarła olejkiem różanym, ale po staremu ściągnęła włosy w bezkompromisowy kok i odrzuciła sugestię matki, by użyć różu i *stibium*.

- Jesteś dziś blada - protestowała Rutyli. - To z przejęcia. A przecież powinnaś wyglądać jak najlepiej. Proszę, obrysuj oczy i muśnij różem policzki.

- Nie - odpowiedziała Aurelia.

Okazało się jednak, że nie zależy jej na bledości, bo kiedy przyszedł po nią Gajusz Juliusz Cezar Młodszy, zademonstrowała wszystkie te kolory, których życzyła sobie jej matka.

- Witaj, Gajuszu Juliuszu - wyciągnęła rękę.

- Witaj, Aurelio - ujął tę rękę.

I nie wiedzieli co dalej.

- Ależ, idźcie już! Do widzenia! - ponaglała zirytowana Rutylią. Dziwnie się czuła, oddając swoją pierworodną, zaledwie osiemnastoletnią, w ręce tego przystojnego młodego człowieka.

Poszli więc, a za nimi Kardyksa i Galowie.

- Muszę cię uprzedzić, że ojciec jest chory - powiedział młody Cezar, panując nad głosem. - To jakaś złośliwa narośl w gardle. Możemy go wkrótce stracić.

- Ach!

Skrećili za róg.

- Dostałem twój liścik - powiedział - i zaraz popędziłem do twego ojca. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie wybrałaś.

- A ja nie mogę uwierzyć, że cię znalazłam.

- Czy myślisz, że Publiusz Rutyliusz zrobił to celowo?

To wywołało jej uśmiech.

- Nie ma wątpliwości!

Doszli do końca kwartału i skrećili za róg.

- Nie jesteś gadatliwa - zauważył młody Cezar.

- Nie jestem - zgodziła się.

I tyle tylko zdążyli sobie powiedzieć, zanim doszli do domu Cezara.

Jedno spojrzenie na wybrankę swego syna wystarczyło Cezarowi, by zmienić nieco poglądy. To nie była zepsuta i rozkapryszona piękność. Ach, wszystko, co o niej słyszał, było prawdą - była rzeczywiście niezwykłą pięknoscią - ale w żaden powszechnie przyjęty sposób. Pomyślał, że pewnie dlatego ją jedną określano przymiotnikiem „niezwykła”. Jakie wspaniałe będą mieli dzieci! Dzieci, których on nigdy nie zobaczy.

- Siadaj, Aurelio. - Jego głos był ledwie słyszalny, wskazał jej więc krzesło obok swego, na tyle jednak wysunięte, że mógł na nią patrzeć. Syna usadził po swojej drugiej stronie.

- Co ci powiedział Marek Aureliusz o naszej rozmowie? - spytał zaraz potem.

- Nic - odpowiedziała Aurelia.

Opowiedział więc o dyskusji na temat jej posagu, bez skrepowania przedstawiając poglądy własne i Kotty.

- Twój stryj i opiekun zostawia wybór tobie. Wolisz rezydencję czy insulę? - spytał, utkwivszy oczy w jej twarzy.

Co zrobiłaby Kornelia, matka Grakchów? Tym razem znała odpowiedź: Kornelia, matka Grakchów, wybrałaby najbardziej honorowe wyjście, nie zważając na trudności. Ona zaś musiała mieć na uwadze nie tylko swój honor, ale i ukochanego. Mieć dom - to byłoby wygodniejsze i bliższe sercu, ale zraniłoby jego dumę. Przeniosła pełne powagi spojrzenie z Cezara na jego syna.

- Co byś wolał?

- Wybór należy do ciebie, Aurelio.

- Nie, Gajuszu Juliuszu, ty zdecyduj. Mam być twoją żoną. Zamierzam być wzorową żoną i znam swoje miejsce. Głową naszego domu będziesz ty. Ustępuję ci pierwszego miejsca i w zamian proszę tylko, żebyś zawsze

postępował ze mną uczciwie i honorowo. Wybór należy do ciebie i tego się będę trzymała.

- Poprosimy zatem Marka Aureliusza, żeby znalazł jakąś insulę i kupił ją w twoim imieniu - rzekł bez namysłu młody Cezar. - Musi być dochodowa i pierwszorzędnie zbudowana. Zgadzam się z ojcem, że jej położenie nie ma znaczenia. Dochody z czynszu będą twoje. Zamieszkamy w jednym z mieszkań na parterze do czasu, aż będzie mnie stać na zakup domu. Dochody z mojej ziemi pójdą oczywiście na utrzymanie ciebie i naszych dzieci. To oznacza, że insula jest całkowicie twoja. Nie mam w niej żadnego udziału.

Widać było, że jest zadowolona, ale nie powiedziała ani słowa.

- Nie jesteś zbyt rozmowna - zauważył zdziwiony Cezar.

- Nie - zgodziła się Aurelia.

Kotta zabrał się z zapalem do poszukiwań, zamierzając znaleźć bratanicy jakąś przyzwoitą nieruchomość w jak najlepszej części Rzymu. Najlepsza okazała się jednak spora insula w samym sercu Subury. Nie był to nowy dom mieszkalny. Właściciel wybudował go przed trzydziestu laty i sam mieszkał przez ten czas w jednym z mieszkań na parterze. Budynek miał kamienno-cementowe mury fundamentowe pięciostopowej grubości i sięgające na piętnaście stóp w głąb ziemi. Mury nośne i zewnętrzne miały po dwie stopy grubości i wykonane były w technice *opus incertum*. Między dwie warstwy cegieł na zaprawie wylano cement żwirowy, okna miały łukowe, ceglane nadproża, a wieńce były z drewnianych belek o przekroju stopy kwadratowej i długości do pięćdziesięciu stóp. Z takich samych belek były stropy, obciążone na niższych piętrach posadzkami cementowymi, a na wyższych drewnianymi podłogami. Spory wewnętrzny dziedziniec otoczony był ścianami nośnymi, pozostał jednak otwarty, bo funkcję ścian pełniły kwadratowe dwustopowe filary murowane w odstępach pięciu stóp i powiązane w poziomie pięter solidnymi drewnianymi belkami.

Przy ośmiu piętrach o dziewięciu stopach wysokości każde - włącznie ze stropami grubości jednej stopy - była to budowla o całkiem umiarkowanych rozmiarach. Większość insuli w sąsiedztwie była wyższa o dwa do czterech pięter. Ta jednak zajmowała cały mały kwartał ulic, trójkątną działkę u zbiegu Subura Minor i Vicus Patricii. Podstawę trójkąta tworzyła uliczka łącząca obie te ulice.

Zobaczyli to miejsce po raz pierwszy na samym końcu długiego ciągu innych posiadłości. Kotta, Aurelia i młody Cezar przyzwyczaili się już do tego czasu do stylu niewysokiego, wymownego agenta sprzedaży nieruchomości o nieskazitelnie rzymskim pochodzeniu - żaden grecki wyzwolenc nie znalazłby zatrudnienia w agencji Toriusza Postuma!

- Zwróćcie uwagę na tynki, wewnętrzne i zewnętrzne - mówił monotonnie agent. - Nie widać żadnych pęknięć. Fundamenty są tak pewne jak uchwyt skapca na jego ostatniej sztabie złota... osiem sklepów, wszystkie na długoterminowych umowach najmu, żadnych kłopotów z najemcami... na parterze dwa apartamenty z salami przyjęć o wysokości dwóch kondygnacji... zaledwie dwa apartamenty na pierwszym piętrze... po osiem

mieszkań na piętrach aż do piątego... dwanaście na szóstym... dwanaście na siódmym... wszystkie sklepy mają piętra mieszkalne... w sypialniach apartamentów parteru dodatkowe schowki nad stropami podwieszonymi...

Nieustannie wychwalał zalety posiadłości, ale po chwili Aurelia uciszyła go i zajęła się własnymi myślami. Niech go sobie słuchają stryj Marek i Gajusz Juliusz. Oto był świat, którego nie знаła, ale którym chciała rządzić, a jeśli oznaczało to całkowitą zmianę stylu życia, dobrze się składało.

Oczywiście żywiła pewne obawy. Nie paliła się do rozpoczynania życia na nowo na dwa sposoby naraz: życia małżeńskiego i mieszkania w insuli. A jednak odkrywała w sobie także i jakąś nieulekłość, zrodzoną z poczucia wolności, nowego i nie w pełni uświadomionego. Nieznajomość innego rodzaju życia nie dopuszczała dotąd do jej świadomości myśli o nudzie i rozczarowania. Dzieciństwo miała wypełnione zajęciami, a zwłaszcza nauką. Gdy jednak pojawiła się perspektywa małżeństwa, zaczęła się zastanawiać, czym wypełni swoje dni, jeśli nie będzie miała tylu dzieci, co Kornelia, matka Grakchów - a do rzadkości należał dobrze urodzony, który chciał mieć więcej niż dwoje. Charakter Aurelii skłaniał ją do działania, urodzenie natomiast nie dawało jej zbyt wielu okazji do tego. A oto miała zostać właścicielką domu czynszowego i żoną. Była dość bystra, by zrozumieć, że przynajmniej to pierwsze obiecywało taką właśnie rzadką okazję znalezienia sobie zajęcia, i to ciekawego zajęcia.

Rozglądała się więc dookoła z błyszczącymi oczami i układała plany, usiłując sobie wyobrazić, jak też to wszystko będzie wyglądało.

Apartamenty na parterze różniły się wielkością, bo właścicielowi-budowniczemu zależało na urządzeniu sobie wygodnego mieszkania. Nie było ono duże w porównaniu z rezydencją Kotty na Palatynie. Prawdę mówiąc, powierzchnia mieszkalna rezydencji Kotty była większa niż powierzchnia użytkowa całego parteru tej insuli, wliczając wszystkie sklepy, gospodę na rozstajach i oba apartamenty.

Chociaż w jadalni ledwie się mieściły trzy standardowe łoża biesiadne, a tablinum było mniejsze niż jakakolwiek pracownia w jakiegokolwiek rezydencji, wysokość tych pomieszczeń wynagradzała niedogodności. Dzieląca je ściana była tylko niską przegrodą i nie dosięgała stropu, umożliwiając swobodny przepływ powietrza i światła z podwórka poprzez jadalnię do pracowni. Sala przyjęć, choć nie zasługiwała na nazwę atrium, miała piękną posadzkę z terrakoty i ozdobione malowidłami tynki, a dwie malowane drewniane kolumny pośrodku robiły wrażenie kolorowego marmuru. Powietrze i światło dochodziły z ulicy przez wielką żelazną kratę osadzoną wysoko w ścianie zewnętrznej, między sklepem a klatką schodową prowadzącą na piętra. Z sali przyjęć wchodziło się do trzech typowych bezokiennych sypialni, a dwie inne, w tym jedna większa, dostępne były z pracowni. Był tam też mały pokój pełniący rolę salonu i drugi mniejszy przy klatce schodowej, przeznaczony dla Kardyksy. Największą ulgą było dla Aurelii odkrycie, że w skład apartamentu wchodziły łazienka i latryna - bo, jak wyjaśniał rozradowany agent, insula leżała nad jednym z głównych kanałów Rzymu i miała legalne przyłącze wody.

- Po drugiej stronie Subura Minor jest publiczna latryna, a obok niej

publiczne łaźnie - mówił. - Nie ma żadnych problemów z wodą. To miejsce leży dość nisko, by dopływała tu woda ze zbiorników Aggeru, i dość wysoko, by się nie przejmować wylewami Tybru, a średnica przyłącza wody jest większa od tej, którą dziś zapewniają zarządcy wodociągów, o ile w ogóle zapewniają dostawę wody! Naturalnie z wody i kanalizacji korzystał jedynie poprzedni właściciel. Lokatorom wystarcza fontanna na rozstajach oraz latryna i łaźnie naprzeciwko.

Aurelia słuchała tego uważnie, bo słyszała przedtem, że w jej życiu nie będzie takich wygod jak bieżąca woda i latryna. Jeśli jakaś strona życia w insuli budziła w niej lęk, to właśnie perspektywa obchodzenia się bez własnej łazienki i toalety. Żadna z oglądanych dotąd insuli nie miała wody ani kanalizacji, choć większość z nich leżała w lepszych dzielnicach. Gdyby Aurelia nie była wcześniej przekonana do tej insuli, to jedno by wystarczyło.

- Na jaki czynsz możemy liczyć? - spytał Cezar.

- Dziesięć talentów rocznie - ćwierć miliona sestercji.

- Dobrze, dobrze - kiwał głową Kotta.

- Koszty utrzymania budynku są znikome, bo budowano go według najwyższych standardów - mówił agent. - Już to samo oznacza, że zawsze jest komplet lokatorów. Ileż to insuli już się zawaliło - ale tej to nie grozi! Leży też między dwoma głównymi ulicami, a uliczka od tyłu jest szersza niż zwykle, więc w razie pożaru nie grozi przerzucenie się ognia. To miejsce jest pewne jak statek Graniusza. Ręczę za to.

Przebijanie się z lektyką przez Suburę nie miało sensu, Kotta i młody Cezar przyszli więc po prostu z Aurelią w asyście obu Galów. Nie ryzykowali wiele, bo w samo południe wszyscy tu wydawali się bardziej zajęci własnymi sprawami niż narzucaniem się pięknej Aurelii.

- Co myślisz o tej insuli? - spytał Kotta, gdy już zeszli po pochyłości Fauces Suburae na Argiletum i zbliżali się do dolnego końca Forum Romanum.

- Ach, stryju, myślę że jest idealna! A ty, Gajuszu Juliuszu?

- Myślę, że doskonale się dla nas nadaje.

- W porządku zatem. Dobiję targu jeszcze dziś. Dziewięćdziesiąt pięć talentów to dobra cena, a może nawet okazja. Zostanie wam pięć talentów na umeblowanie.

- O, nie! - sprzeciwił się stanowczo młody Cezar. - Umeblowanie to moja sprawa. Nie jestem bez środków do życia, jak chyba wiesz. Moja ziemia w Bowillach daje mi niezłe dochody.

- Wiem, Gajuszu Juliuszu - przypomniał cierpliwie Kotta. - Mówiłeś mi o tym, nie pamiętasz?

Nie pamiętał. Młody Cezar nie był już w stanie myśleć o czymś innym niż Aurelia.

Wzięli ślub w kwietniu, w piękny wiosenny dzień, pod samymi sprzyjającymi znakami. Nawet Gajusz Juliusz Cezar wyglądał lepiej.

Szłochała Rutylią i szłochała Marcją. Pierwsza, bo oto pierwsze z jej dzieci wchodziło w stan małżeński, druga, bo robiło to jej ostatnie. Były

obecne Julia i Julilla, i Klaudia, żona Sekstusa, ale nie było ich mężów. Mariusz i Sulla nie wrócili jeszcze z Afryki, a Sekstus Cezar prowadził zaciągi w Italii i konsul Gnejusz Maliusz Maksymus nie dał mu urlopu.

Kotta chciał wynająć dla młodej pary jakiś dom na Palatynie na miesiąc miodowy.

- Przywyknijcie najpierw do małżeństwa, a potem do życia w Suburze - mówił, pełen troski o swoją jedyną córkę.

Młodzi odmówili jednak zdecydowanie. Pochód weselny trwał zatem bardzo długo, a cała Subura urządziła owację pannie młodej. Młody Cezar był rad, że welon okrywał jej twarz, ale sam dostał po drodze należną porcję obscenicznych żarcików, przyjmując je z uśmiechem i kłaniając się wszystkim dookoła.

- To nasi nowi sąsiedzi, więc lepiej się z tym pogodzić. Zatkajcie po prostu uszy.

- Wolałbym trzymać się od nich jak najdalej - mruczał Kotta, który miał ochotę wynająć dla młodej pary eskortę gladiatorów. Kotłujące się tłumy i język, jakiego tu używano, przyprawiały go o mdłości.

Zanim dotarli do insuli Aurelii, zebrał się za nimi spory orszak amatorów wina i zabawy, zdecydowanych wcisnąć się na uroczystości. Kiedy jednak młody Cezar otworzył wielkie drzwi, Kotta, Lucjusz Kotta i Galowie powstrzymali tłum, by orszak zdażył wejść i by zamknąć drzwi. Kotta odszedł potem z podniesioną głową po Vicus Patricii wśród gwizdów i chóru protestów.

W środku była tylko Kardyksa. Aurelia postanowiła zużyć pieniądze pozostałe z posagu na zakup służących, ale odłożyła to na później. Chciała zrobić to sama, nie skrępowana obecnością i dobrymi radami matki i teściowej. Cezar też musiał kupić służbę: rządcę, podczaszego, sekretarza, pisarza i pokojowca, ale zakupy Aurelii były większe: dwie dziewczyny do sprzątania, praczka, kucharz i kuchcik, dwóch służących do wszystkiego i siłacz odźwierny. Nie był to bynajmniej duży zespół domowników, ale to im musiało wystarczyć.

Na dworze ściemniło się już, ale w mieszkaniu było o wiele ciemniej. Nic na to nie wskazywało podczas ich poprzedniej wizyty w południe.

Światło przenikające przez ośmiopiętrowe podwórko gasło wcześniej i to samo było ze światłem z ulicy, tego wąwozu między wysokimi insulami. Kardyksa zapaliła wszystkie lampy, jakie były w domu, ale było ich o wiele za mało, by przegnać z kątów czarne cienie. Ona sama wycofała się do swego pokoiku, zostawiając nowożeńców samym sobie.

Teraz dopiero dotarł do Aurelii otaczający ich hałas. Dobiegał ze wszystkich stron - z ulicy, ze schodów na piętra, z podwórka - nawet grunt pod nogami zdawał się dygotać i dudnić. Słysząc było krzyki, przekleństwa, łomoty, rozmowy prowadzone podniesionymi głosami, sprzeczki i wymyślenia, płacz dzieci i niemowląt, chrząkania i spluwania, odgłos muzykantów bijących w bębny i cymbały, urywki pieśni, ryk wołów, beczenie owiec, porykiwania osłów i mułów, wybuchy śmiechu i nieustanny turkot wozów.

- Nie usłyszysz tu własnych myśli! - Aurelia mrugała, przeganiając łyzy.

- Gajuszu, tak mi przykro! Nie pomyślałam o tym.

Młody Cezar był dość rozumny i dość wrażliwy, by pojąć, że nie tylko hałas był przyczyną tego nieoczekiwanego wybuchu, ale i gorączkowe wydarzenia ostatnich dni, i napięcie związane z wyjściem za męża. Sam też to czuł. O ileż bardziej musiała to odczuwać jego młoda żona!

Roześmiał się więc wesoło.

- Przywykniemy, bądź spokojna. Ręczę, że za miesiąc nawet tego nie zauważysz. Poza tym, w naszej sypialni musi być o wiele ciszej.

Wziął ją za rękę, czując, że ta ręka drży.

W sypialni pana domu, dostępnej jedynie z jego pracowni, było z pewnością ciszej. Było też ciemno jak w studni i duszno, bo i tu był obniżony strop, i jedyną radą na to było pozostawienie otwartych drzwi do pracowni.

Cezar zostawił Aurelię w pracowni i wrócił po chwili z lampą z sali przyjęć. Trzymając się za rękę, weszli do sypialni i stanęli oczarowani. Kardyksa zasłała ją kwiatami, obsypując pachnącymi płatkami podwójne małżeńskie łóżko, pod ścianami zaś ustawiła różnej wielkości wazony pełne róż, lewkonii i fiołków. Na stole stał dzban z winem, drugi z wodą, dwa złote puchary i wielka taca z miodowymi ciasteczkami.

Żadne z nich nie było przesadnie wstydlive. Jako Rzymianie wiedzieli, ile powinni wiedzieć o sprawach płci. Oczywiście wszyscy Rzymianie, którzy mogli sobie na to pozwolić, woleli załatwiać swe intymne sprawy w zaciszu czterech ścian, zwłaszcza jeśli trzeba było się obnażyć, nie mieli jednak żadnych zahamowań. Młody Cezar miał naturalnie swoje przygody, choć nie świadczył o tym wyraz jego twarzy. Przy wszystkich swoich zaletach był jednak naturą raczej bierną, człowiekiem, na którym inni mogli polegać, ale który posuwał naprzód raczej ich kariery niż własną.

Przeczcucia Publiusza Rutyliusza Rufusa sprawdziły się w całej pełni.

Młody Cezar i Aurelia byli wprost dla siebie stworzeni. On był czuły, rozważny, raczej serdeczny niż pełen ognia. Może gdyby płonął z pożądania i ona zajęłaby się jego ogniem, ale tego się nigdy nie dowiedzieli. Ich miłość była czuła w dotyku i czuła w pocałunkach, i niespieszna. Zadowalała ich i inspirowała. Aurelia mogła sobie powiedzieć, że zasłużyła z pewnością i bez zastrzeżeń na pochwałę Kornelii, matki Grakchów, bo spełniła swój obowiązek dokładnie tak, jak musiała spełniać swoje Kornelia: z przyjemnością i z zadowoleniem, które dawały gwarancję, że ów akt nie będzie rządzić jej życiem i kierować jej zachowaniem poza małżeńskim łóżkiem, ale też gwarancję, że nie będzie nigdy unikać tego łóżka.



W samym środku zimy, którą Kwintus Serwiliusz Cepion spędził w Narbonie, oplakując utracone złoto, dotarł do niego list od Druzusa, błyskotliwego młodego adwokata i jednego z najwierniejszych i najbardziej rozczarowanych zalotników Aurelii.

„Miałem zaledwie dziewiętnaście lat, gdy zmarł mój ojciec cenzor, zostawiając mi w spadku nie tylko cały swój majątek, ale też pozycję *pater familias*. Miałem chyba szczęście, bo jedynym brzemieniem była mi wtedy

moja trzynastoletnia siostra, pozbawiona zarówno ojca, jak i matki. Moja matka Kornelia chciała zabrać ją do siebie, ale oczywiście odmówiłem. Chociaż nie doszło do rozwodu, stosunki między rodzicami nigdy nie były dobre, a gdy mój ojciec zgodził się oddać mego młodszego brata w adopcję, matka skorzystała z okazji, by pójść wraz z nim do jego nowego domu. Żyło się jej tam daleko swobodniej niż pod dachem mego ojca. Chcę odświeżyć twoją pamięć, bo czuję, że mój honor nie wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku.

Pochlebiam sobie, że wychowałem Liwie Druzę jak należy. Ma dziś osiemnaście lat i jest gotowa do małżeństwa. Jak i ja, Kwintusie Serwiliuszu, mimo że mam dopiero dwadzieścia trzy lata. Wiem, że zwyczajowo czeka się do dwudziestu pięciu, a są i tacy, którzy czekają z małżeństwem, aż wejdą do senatu. Ja jednak nie mogę czekać. Jestem *pater familias* i jestem jedynym Liwiuszem Druzusem w moim pokoleniu. Mój brat, Mamerkus Emilusz Lepidus Liwianus, nie może nosić nazwiska Liwiuszów Druzusów i nie może mieć udziału w ich fortunie. To mnie zmusza do małżeństwa i starania się o potomstwo. Kiedy umarł mój ojciec, postanowiłem, że zaczekam z tym, aż siostra dorośnie”.

List był równie sztywny i formalny jak sam młody człowiek, ale Kwintus Serwiliusz Cepion nie widział w tym nic złego. Przyjaźnił się z jego ojcem, a sam ów młody człowiek był przyjacielem jego syna.

„Chcę zatem, Kwintusie Serwiliuszu, jako głowa mojej rodziny, zaproponować ci, jako głowie twojej rodziny, połączenie ich związkami małżeńskimi. Nawiasem mówiąc, nie uważam za konieczne omawianie tego z Publiuszem Rutyliuszem Rufusem, choć nie mam mu nic do zarzucenia jako mężowi mojej stryjenki Liwii ani jako ojcu jej dzieci. Nie uważam jednak, by jego urodzenie i charakter przydawały szczególnego znaczenia jego radom. Ostatnio na przykład dowiedziałem się, że to on namówił Marka Aureliusza Kottę, by pozwolił swej pasierbicy Aurelii wybrać sobie męża. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej nierzymskiego! Wybrała oczywiście ładnego chłopca, Juliusza Cezara, zubożałego i o słabym charakterze, który nigdy do niczego nie dojdzie”.

No proszę! Tak oto pozbył się Publiusza Rutyliusza Rufusa. Marek Liwiusz Druzus ciągnął dalej, tonem zranionych uczuć, ale i urażonej *dignitas*:

„Decydując się czekać na siostrę, chciałem uwolnić moją żonę od odpowiedzialności za jej wychowanie i jej prowadzenie się. Nie widzę niczego dobrego w przrzucaniu takich obowiązków na innych, po których nie można oczekiwać należytej troski.

Proponuję, Kwintusie Serwiliuszu, żebyś pozwolił mi na ślub z twoją córką Serwilią Cepionią, a twojemu synowi na małżeństwo z moją siostrą Liwią Druzą. To idealne rozwiązanie dla nas obu. Nasze związki przez małżeństwa trwają od stuleci. Twoja córka i moja siostra mają dokładnie takie same posagi, co oznacza, że pieniądze nie przechodzą z rąk do rąk, rzecz nie bez znaczenia w naszych czasach. Daj mi znać, proszę, co postanowiłeś”.

Nie było się nad czym zastanawiać. O takim związku Kwintus

Serwiliusz Cepion od dawna marzył, bo fortuna Druzusów była niezmierną, a ich urodzenie niezrównane. Odpisał z miejsca.

„Mój drogi Marku Liwiuszu, jestem zachwycony. Masz moją zgodę i przygotuj wszystko, co trzeba”.

Druzus zatem poruszył ten temat w rozmowie ze swym przyjacielem Cepionem Młodszym. Spieszył się, by przygotować grunt dla listu Kwintusa Serwiliusza do syna. Lepiej, żeby Cepion Młodszy widział przyszłe małżeństwo jako rzecz pożądaną, nie zaś nakazaną.

- Chciałbym się ożenić z twoją siostrą - powiedział. Zabrzmiało to nieco bardziej szorstko, niż zamierzał. Cepion Młodszy zamrugnął, ale nie odpowiedział.

- Chciałbym też, żebyś ty ożenił się z moją siostrą.

Cepion Młodszy mrugnął kilka razy, ale nie otworzył ust.

- Co ty na to? - spytał Druzus.

W końcu Cepion Młodszy poszedł po rozum do głowy. Ten rozum nie dorównywał, niestety, jego fortunie i urodzeniu.

- Muszę spytać ojca.

- Już to zrobiłem. Jest zachwycony.

- Ach! W takim razie chyba wszystko w porządku.

- Kwintusie Serwiliuszu! Kwintusie Serwiliuszu! Chcę wiedzieć, co ty o tym myślisz! - wykrzyknął Druzus, wyprowadzony w końcu z równowagi.

- Cóż, moja siostra cię lubi, więc z tym wszystko jest w porządku. I ja lubię twoją siostrę, ale... - nie dokończył.

- Ale co?

- Ale chyba twoja siostra nie lubi mnie.

Teraz przyszła kolej Druzusa na mruganie.

- Ależ, co to za głupstwa? Jak mogłaby cię nie lubić, mojego najlepszego przyjaciela? Oczywiście, że cię lubi! To idealne rozwiązanie. Będziemy żyli wszyscy razem.

- Powinno więc być miło - powiedział Cepion Młodszy.

- Świetnie! Omówiłem wszystko, co trzeba, posag i inne sprawy, w listach do twego ojca. Nie musisz się o nic martwić.

- To dobrze - powiedział Cepion Młodszy.

Siedzieli na ławce pod wspaniałym starym dębem, przy sadzawce Kurcjusza na dolnym Forum Romanum i właśnie skończyli południowy posiłek: przaśne chlebki nadziewane soczewicą i mieloną szynką.

Druzus wstał, wręczył służącemu serwetę i zaczekał, aż tamten obejrzy dokładnie jego togię, sprawdzając, czy nie ma na niej plam.

- Dokąd się tak śpieszysz? - spytał Cepion Młodszy.

- Do domu, powiedzieć siostrze. Nie sądzisz, że i ty powinieneś pójść do swojej siostry, żeby jej o tym powiedzieć?

- Chyba tak - powiedział niepewnie Cepion Młodszy.

- A nie wolałbyś sam jej powiedzieć? Ona cię lubi.

- Nie, to ty jej musisz powiedzieć, głupcze! Ty jesteś teraz *in loco parentis*, to twoje zadanie - tak jak moim zadaniem jest powiedzieć to Liwii Druzie.

I Druzus ruszył w górę Forum, kierując się ku Schodom Westalek.

Jego siostra była w domu - gdzież indziej miałyby być? Odkąd Druzus został głową rodziny, a ich matce Kornelii zakazano wstępu, Liwia Druza nie wyszła z domu nawet na chwilę bez pozwolenia swego brata. Nie śmiała nawet wyrzeć za próg, bo w oczach brata była napiętnowana winą swojej matki. Patrzył na nią jak na słabe i zepsute stworzenie, któremu nie należało pozwalać nawet na minimum swobody. Uwierzyłby w najgorsze, nawet bez żadnych dowodów.

- Poproś moją siostrę do pracowni - polecił rządcy, wchodząc do domu.

Dom ten, którego budowę ukończono tuż przed śmiercią Druzusa cenzora, uważany był powszechnie za najpiękniejszy w Rzymie. Widok z balkonu loggii na piętrze był wspaniały, bo dom stał w najwyższym punkcie urwiska Palatynu, wznoszącego się nad Forum Romanum. Obok leżała *area Flacciana*, pusta działka, na której kiedyś wznosił się dom Marka Fulwiusza Flakkusa, a po jej drugiej stronie stał dom Kwintusa Lutacjusza Katullusa.

W prawdziwie rzymskim domu ściany zewnętrzne były bezokienne, nawet od strony nie zabudowanej działki sąsiedniej, bo gdyby powstał tam kiedyś dom, jego mur zewnętrzny przytykałby do muru Druzusa. Wysoki mur z mocnymi drewnianymi drzwiami i dwuskrzydłowymi wrotami od strony Clivus Victoriae stanowił właściwie tył domu. Przód był od strony widokowej, dwupiętrowy, zbudowany na solidnych podporach na stoku urwiska. Na górnym piętrze, zrównanym poziomem z ulicą, mieszkali właściciele, poniżej zaś mieściły się piwnice, kuchnie i kwatery służby, nie wypełniały one jednak całej długości działki, sięgając tylko do zbocza wzgórza.

Wrota od ulicy otwierały się wprost na ogród-perystyl tak wielki, że mieścił sześć wspaniałych dorodnych drzew lotosowych sprowadzonych jako sadzonki z Afryki przed dziewięćdziesięciu laty przez Scypiona Afrykańskiego, który był wtedy właścicielem działki. Każdego lata zakwitały deszczem kwiatów: czerwonych, pomarańczowych i ciemnożółtych, po dwa drzewa każdego z tych kolorów. Kwitły ponad miesiąc, napędzając dom zapachem, a potem okrywały się cienką warstwą jasnozielonych liści podobnych do paproci. W zimie drzewa stały bezlistne, wpuszczając do perystylu każdy promyk słońca. Nad długą wąską sadzawką wyłożoną białym marmurem stały cztery piękne fontanny z brązu, dzieła wielkiego Myrona, po jednej w każdym rogu, a wzdłuż sadzawki stały naturalnej wielkości posągi roboty Myrona i Lizyppa: satyry i nimfy, Artemida i Akteon, Dionizos i Orfeusz. Wszystkie te brązy pomalowano, nadając im pozory rzeczywistości, dziedziniec robił więc na pierwszy rzut oka wrażenie jakiegoś zgromadzenia nieśmiertelnych.

Dorycka kolumnada biegła po obu stronach perystylu i naprzeciw wejścia od ulicy. Drewniane kolumny pomalowano na żółto, a ich głowice lśniły różnymi jaskrawymi barwami. Posadzki portyków były z gładkiej terrakoty, a ich tylne ściany malowane na żywe kolory: zielone, niebieskie i żółte. Na tych ścianach, między rdzawoczerwonymi pilastrami, wisały obrazy najślawniejszych malarzy: *Chłopiec z winogronami* Zeuksisa, *Sza-*

leństwo Ajasa Parrazjosa, kilka nagich postaci męskich pędzla Timantesa i jeden z portretów Aleksandra Wielkiego malowanych przez Apellesa. Był tam też koń roboty Apellesa, namalowany tak realistycznie, że wyglądał jak uwiązany przy ścianie, kiedy patrzyło się z drugiego skrzydła kolumnady.

Do pracowni wchodziło się z tyłu kolumnady, po jednej stronie wielkich drzwi z brązu, do jadalni po ich drugiej stronie. Za tymi drzwiami mieściło się wspaniałe atrium, wielkie jak cały dom Cezara, oświetlone przez prostokątny otwór w dachu podpartym kolumnami otaczającymi podłużną sadzawkę pod otworem. Iluzjonistyczne malowidła ścian przedstawiały pilastry, cokoly, gzymsy, a przestrzenie między pilastrami pokrywały czarno-białe sześciiany, tak realistycznie trójwymiarowe, że zdawały się wypadać na patrzących. Były tam też przestrzenie pokryte wirującymi kwiecistymi wzorami, najczęściej czerwonymi z dodatkiem błękitu, zieleni i żółci.

Szafki przodków Liwiusza Druzusa, zawierające ich woskowe maski, były oczywiście doskonale utrzymane. Na malowanych podstawach, zwanych hermami, bo ozdobione były sterczącymi męskimi członkami, ustawiono popiersia przodków, bogów, mitycznych bohaterów albo greckich filozofów. Wszystkie były pięknie pomalowane, aby wyglądały jak żywe. Naturalnej wielkości posągi, również malowane jak żywe, stały wokół sadzawki *impluvium* pod ścianami, jedno na marmurowych cokołach, inne na posadzce. Wielkie złote i srebrne lampy zwisały z wysoka ze zdobionych sztukaterii sufitów (malowanych w gwiazdziste niebo ujęte w ramy ze złożonych kwiatów) albo stały na posadzce, na siedmio- i ośmiostopowych cokolikach. Mozaika posadzki przedstawiała Bachusa z bachantkami, tańczących, pijących, karmiących jelenie i uczących lwy żłopać wino.

Druzus nie zwracał uwagi na te wspaniałości, do których przyzwyczał się i na które był właściwie niewrażliwy. To jego ojciec i dziad interesowali się sztuką.

Rządca znalazł siostrę Druzusa w loggii, do której wchodziło się z przodu atrium. Liwia Druza zawsze była sama i zawsze samotna. Dom był tak wielki, że nie mogła nawet uskarżać się na brak przechadzek po ulicach, a kiedy miała ochotę na zakupy, jej brat wzywał po prostu właścicieli sklepów i straganów do domu, kładąc im rozkładać towary w pokojach pod kolumnadą, a rządcy kładąc płacić za wszystko, co Liwia Druza wybierze. Gdy obie Julie przemierzały w asyście matki i zaufanych służących porządniejsze części Rzymu, gdy Aurelia stale odwiedzała swoich krewnych i przyjaciółki ze szkoły, a Kliturna i Nikopolis żyły tak swobodnie, że nawet jadły na leżąco, Liwia Druza była więźniem majątku i pozycji swej rodziny, które uniemożliwiały kobietom wychodzenie z domu. Była też ofiarą ucieczki swojej matki i wolności, jaką ta cieszyła się obecnie.

Liwia Druza miała dziesięć lat, gdy jej matka Kornelia ze Scypionów porzuciła dom Liwiuszów Druzusów, w którym dotąd żyła. Dziewczynka przeszła pod opiekę ojca - który nie dbał o nią, bo wolał przechadzać się w cieniu portyków i podziwiać swoje dzieła sztuki - i szeregu pokojówek i

wychowawców, którzy nazbyt się bali Liwiusza Druzusa, by się z nią zaprzyjaźnić. Swego starszego brata, który miał wtedy piętnaście lat, prawie nie widywała. W trzy lata po odejściu matki z jej młodszym bratem, Mamerkiem Emiliuszem Lepidusem Liwianusem, jak trzeba go było nazywać, przenieśli się ze starego domu do tego rozległego mauzoleum: i tu poczuła się zagubiona niczym atom poruszający się bez celu w wieczyście pustej przestrzeni, pozbawiona miłości, rozmowy, towarzystwa, uwagi innych. Kiedy zaraz po przeprowadzce zmarł nagle jej ojciec, jego śmierć niczego nie zmieniła.

Tak bardzo nie przywykła do śmiechu, że gdy czasem dolatywał z dołu, z ciasnych i dusznych kwater służących, zastanawiała się, co to za dźwięk i czemu go ludzie wydają. Jedyne światło, jakie kochała, krył się w tubach na książki, bo nikt nie zabraniał jej czytania i pisania. Całymi dniami robiła więc jedno i drugie, pasjonując się następstwami gniewu Achillesa i czynami Greków i Trojan, natrafiając na opowieści o bohaterach, potworach, bogach i śmiertelnikach, których pożąдали oni bardziej niż nieśmiertelnych bogiń. A gdy miała już za sobą wstrząs fizycznego ujawnienia się dojrzałości - bo nikt jej nie powiedział, o co w tym chodzi i co należy robić - jej wygłodzona i namiętna dusza odkryła całe bogactwo poezji miłosnej. Mówiła po grecku tak samo płynnie jak po łacinie, odkryła więc Alkmana, wynalazcę pieśni miłosnej (tak uważano) - i przeszła do pieśni dziewczęcych Pindara, do Safony i Asklepiadesa. Stary Sozjusz z Argiletum, który co jakiś czas posyłał całe kosze książek do domu Druzusa, nie miał pojęcia, kto je czyta, przyjął po prostu, że to Druzus. Tak więc wkrótce po ukończeniu przez nią siedemnastu lat zaczął posyłać jej wiersze nowego poety Meleagra, pełne życia i poświęcone zarówno miłości, jak pożądaniu. Tym sposobem Liwia Druza, raczej zafascynowana niż wstrząśnięta, odkryła poezję erotyczną i została, dzięki Meleagrowi, erotycznie rozbudzona.

Nic jej z tego, co prawda, nie przyszło, skoro nigdzie nie wychodziła i nikogo nie widywała. W tym domu było nie do pomyślenia zabiegać o względy jakiegoś niewolnika i nie do pomyślenia było, by jakiś niewolnik zabiegał o względy Liwii Druzy. Czasami spotykała przyjaciół swego brata, ale tylko przelotnie. Z wyjątkiem jego najlepszego przyjaciela Cepiona Młodszeo. A Cepiona Młodszeo - krótkonogieo, przyszczatego, pospoliteo pod każdym względem - utożsamiała z błaznami ze sztuk Menandra albo z obmierzłym Tersytesem, którego Achilles zabił ciosem pięści, kiedy ten oskarżył bohatera o nekrofilie popełnioną na zwłokach królowej Amazonek Pentezylei.

Cepion Młodszy nie zrobił nigdy niczego, co przypominałoby jej owych błaznów albo Tersytesa, tyle że jej wygłodzona wyobraźnia nadawała tego rodzaju ludziom jego twarz. Jej ulubionym dawnym bohaterem był król Odyseusz. Myślała o nim po grecku, używała więc greckiej formy jego imienia. Lubiła jego błyskotliwy sposób rozstrzygania problemów innych ludzi, a jego zabiegi o względy żony i dwudziestoletni pojedynek jego żony z zalotnikami uznała za najbardziej romantyczne i najbardziej satysfakcjonujące ze wszystkich Homerowych historii miłosnych. Odyseusza obdarzy-

ła twarzą młodego człowieka, którego widziała tylko raz czy dwa razy w loggii domu leżącego poniżej domu Druzusów. Był to dom Gnejusza Domicjusza Ahenobarba. Gospodarz miał dwóch synów, których spotykała czasem przelotnie, kiedy odwiedzali jej brata, ale żaden z tych synów nie był młodym człowiekiem z loggii.

Odyseusz miał rude włosy i był leworęczny (gdyby czytała nieco uważniej, odkryłaby, że miał zbyt krótkie nogi, i mogłaby stracić swój entuzjazm, bo nie znosiła krótkich nóg), i to samo było z owym nie znanym młodym człowiekiem z loggii Domicjusza Ahenobarba. Był bardzo wysoki i szeroki w ramionach, a jego toga leżała na nim w sposób sugerujący silne i szczupłe ciało. Jego rude włosy lśniły w słońcu, a na długiej szyi spoczywała dumna głowa. Była to głowa króla takiego jak Odyseusz. Nawet z daleka widać było, że ma okazały nos, ale nie mogła wypatrzeć nic więcej - choć czuła, że ma duże, świetliste i szare oczy, takie same jak Odyseusz.

Kiedy więc czytała pałace miłosne wiersze Meleagra, stawiała się w roli dziewczyny albo młodego chłopca, o których względy zabiegał poeta, a poeta był zawsze młodym człowiekiem z balkonu Ahenobarba. Jeśli w ogóle myślała kiedy o Cepionie Młodszym, krzywiła się z niesmakiem.

- Liwio Druzo, Marek Liwiusz prosi cię zaraz do tablinum.

Słowa rządcy wyrwały ją z marzeń o tym, że rudowłosy nieznajomy pojawi się w tamtej loggii, o trzydzieści stóp poniżej. Wezwanie zniweczyło oczywiście tę nadzieję. Odwróciła się i poszła za rządcą.

Druzus czytał jakieś leżące na stole pismo, gdy jego siostra weszła do komnaty. Jego twarz wyrażała chłodne pobłażanie i raczej nikłe zainteresowanie.

- Usiądź - rzekł i wskazał jej krzesło po drugiej stronie stołu, przeznaczone dla klientów.

Usiadła, przyglądając mu się równie chłodno i bez zainteresowania. Nigdy nie widziała, by się śmiał, i rzadko oglądała jego uśmiech. To samo on mógłby powiedzieć o niej.

Nieco zaniepokojona, zdała sobie sprawę, że brat przygląda jej się z większym niż zwykle zainteresowaniem. To zainteresowanie okazywał niejako w zastępstwie. Oglądał ją oczami Cepiona, czego oczywiście nie wiedziała.

Pomyślał, że jest ładna. Choć nie była wysoka, nie miała bynajmniej krótkich nóg, tej cechy rodzinnej. Miała znakomitą figurę: wysokie piersi, wąską talię i zgrabne biodra. Stopy i dłonie były delikatne i wąskie, co było oznaką urody, a paznokcie miała pięknie utrzymane. Podbródek był trochę wysunięty, czoło szerokie, nieco orli nos był umiarkowanie długi. Oczy i usta odpowiadały wszelkim kryteriom piękności. Oczy były bardzo duże, a usta małe, istny różany pąk. Gęste, pięknie uczesane włosy były czarne jak jej oczy, brwi i rzęsy.

Tak, Liwia Druza była naprawdę ładna. Nie tak jednak jak Aurelia. Serce mu się ścisnęło, jak zawsze, kiedy myślał o tamtej. Napisał do ojca natychmiast, gdy się dowiedział o grożącym małżeństwie Aurelii. Osta-

tecznie wszystko obróciło się na dobre. Aureliusz nie mogli równać się ani majątkiem, ani pozycją społeczną z Serwiliuszami. Poza tym, zawsze lubił młodą Serwilię Cepionię i nie miał żadnych skrupułów, biorąc ją za żonę.

- Znalazłem ci męża, moja droga - powiedział bez żadnych wstępów i z zadowoloną miną.

To oczywiście było dla niej wstrząsem, choć zdołała zapanować nad twarzą. Oblizwała wargi i zdobyła się na pytanie.

- Kogo, Marku Liwiuszu?

- Najlepszego z dobrych - w jego głosie był entuzjazm - i wspaniałego przyjaciela! To Kwintus Serwiliusz Młodszy.

Jej twarz zastygła z rozchylonymi ustami w wyrazie absolutnej zgrozy.

- O co chodzi? - spytał szczerze zdziwiony.

- Nie wyjdę za niego - wyszeptała Liwia Druza.

- Dlaczego?

- Bo jest wstrętny!

- Nie bądź śmieszna!

Zaczęła kręcić głową z rosnącą gwałtownością.

- Nie mogę wyjść za niego. Nie mogę!

Druzusowi przyszła okropna myśl do głowy. Nigdy nie zapominał o matce. Wstał, obszedł stół i stanął nad siostrą.

- Czy poznałaś już kogoś?

Przestała kręcić głową i podniosła na niego oburzone spojrzenie.

- Ja? Jak mam kogoś poznać zamknięta tu przez całe życie? Widuję tylko twoich gości, ale nie mam okazji z nimi rozmawiać, bo mnie do nich nie zapraszasz, chyba że chodzi o tego niezdare Kwintusa Serwiliusza.

- Jak śmiesz!

Wpadł w złość, bo nie przyszło mu nigdy do głowy, by ktoś mógł oceniać jego przyjaciela inaczej niż on sam.

- Nie wyjdę za niego! - krzyknęła. - Prędzej umrę!

- Idź do swego pokoju! - powiedział z kamienną twarzą.

Wstała i ruszyła ku drzwiom do perystylu.

- Nie do salonu, Liwio, do sypialni. I nie wychodź stamtąd, póki ci nie wróci rozum.

Za całą odpowiedź rzuciła mu płonące spojrzenie, wyszła jednak drzwiami do atrium.

Druzus stał przy jej pustym krześle, usiłując zapanować nad gniewem. To było niedorzeczne! Jak śmiała mu się sprzeciwić!

Po paru chwilach emocje przycichły i mógł już chwycić za ogon tego prychającego kota, chociaż nie miał pojęcia, co z nim zrobić. Nie spotkał się jeszcze w życiu ze sprzeciwem i nikt nie postawił go jeszcze w sytuacji, z której nie było logicznego wyjścia. Przywykł do posłuszeństwa i do traktowania go z szacunkiem i poważaniem nie przysługującymi bynajmniej jego młodemu wiekowi, teraz zaś nie wiedział, co robić. Gdyby znał lepiej swoją siostrę - a musiał przyznać, że wcale jej nie znał - gdyby żył ojciec... gdyby matka... co robić?

Znalazł odpowiedź - zmiękczyć ją, i zaraz posłał po rządcę.

- Pani Liwia Druza obraziła mnie - powiedział z godnym podziwu spokojem i nie okazując gniewu - i kazałem jej iść do jej sypialni. Postaw tam kogoś przy drzwiach, dopóki nie założysz na nich zasuwę. Przydziel jej jakąś służącą, której nie zna. Nie wolno jej opuszczać tej sypialni pod żadnym pozorem. Czy to jasne?

- Całkowicie, Marku Liwiuszu - powiedział rządcą z twarzą bez wyrazu.

I tak zaczął się pojedynek. Liwie Druzę zamknięto w ciaśniejszym więzieniu niż to, do którego przywykła. Sypialnia przylegała do loggii i miała kratę na zewnętrznej ścianie, nie była więc tak ciemna i duszna jak inne sypialnie. Niemniej było to ponure więzienie. Przekonała się o tym, kiedy poprosiła o książki i papier do pisania, bo spotkała się z odmową. W pomieszczeniu o wymiarach osiem stóp na osiem było tylko łóżko, nocnik i taca z okropnie niesmacznym jedzeniem, przynoszona przez jakąś służącą, której nigdy dotąd nie widziała.

Druzus tymczasem musiał jakoś ukryć opór siostry przed przyjacielem i nie tracił czasu na kroki wstępne. Włożył togę i poszedł za róg zobaczyć się z Cepionem Młodszym.

- Świetnie, że przyszedłeś - rozpromienił się tamten na jego widok.

- Pomyślałem, że byłoby dobrze z tobą porozmawiać - powiedział Druzus, nie siadając i nie mając pojęcia, o czym tu rozmawiać.

- Dobrze, ale może przedtem zajdziesz do mojej siostry? Nie może się doczekać.

To przynajmniej był dobry znak. Musiała przyjąć wiadomość o zaręczynach jeśli nie z radością, to chociaż ze spokojem ducha.

Znalazł ją w salonie i nie było wątpliwości, że jego starania zostały mile przyjęte, bo zerwała się z miejsca, gdy pojawił się w drzwiach, i rzuciła mu się w objęcia. Mocno go to zakłopotало.

- Ach, Marku Liwiuszu! - patrzyła na niego z uwielbieniem.

Czemu Aurelia nigdy tak na niego nie patrzyła? Odsunął zdecydowanie tę myśl i uśmiechnął się do drżącej Serwili Cepionii. Nie była żadną pięknoscią i miała - tak jak wszyscy w jej rodzinie - krótkie nogi, ale uniknęła przynajmniej rodzinnej skłonności do trądziku. Miała osobliwie piękne oczy, łagodne i czułe, odpowiednio duże, ciemne i wilgotne. Choć nie był w niej zakochany, już ją polubił i czuł, że z czasem ją pokocha.

Pocałował ją w usta, zaskoczony i nagrodzony jej reakcją, i zabawił u niej wystarczająco długo, by wymienić kilka zdań.

- A czy twoja siostra Liwia Druza jest zadowolona? - spytała go, kiedy odchodził, Serwilia Cepionia.

Druzus zeszywniał.

- Bardzo zadowolona - powiedział, a potem dodał, nie wiadomo skąd biorąc pomysł. - Niestety, nie czuje się teraz dobrze.

- Ach, szkoda! Powiedz jej jednak, że gdy tylko będzie w stanie przyjmować gości, przyjdę ją odwiedzić. Mamy być szwagierkami, ale chcę też, żebyśmy były przyjaciółkami.

To sprawiło, że się uśmiechnął.

- Dziękuję ci.

Cepion Młodszy czekał niecierpliwie w pracowni ojca, którą zajął na

czas jego nieobecności.

- Jestem zachwycony - powiedział Druzus, siadając. - Twoja siostra jest zadowolona z małżeństwa.

- Mówiłem ci, że ona cię lubi. A jak przyjęła nowinę Liwia Druza?

Tym razem był już przygotowany.

- Była zachwycona - skłamał uprzejmie. - Niestety, leży w łóżku z gorączką. Lekarz jest przy niej i trochę się o nią martwi. Najwyraźniej są jakieś komplikacje. Obawia się też, że to może być zaraźliwe.

- O bogowie! - wykrzyknął Cepion z pobladłą twarzą.

- Poczekamy, zobaczymy - powiedział uspokajająco Druzus. - Ona ci się podoba, Kwintusie Serwiliuszu, nieprawdaż?

- Mój ojciec pisze, że nie znajdę lepszej niż Liwia Druza i że mam znakomity gust. Czy mu pisałeś, że ją lubię?

- Pisałem. - Druzus uśmiechnął się nieznacznie. - To raczej oczywiste, kiedy się myśli o małżeństwie.

- Dostałem dziś jego list, czekał już na mnie w domu. Pisze, że Liwia Druza jest równie bogata jak dobrze urodzona. On też ją lubi.

- Kiedy tylko ona poczuje się lepiej, urządzimy ucztę i porozmawiamy o weselu. Na początku maja, co ty na to? Przed nadejściem złej pory.

Druzus wstał.

- Muszę wracać do siostry, Kwintusie Serwiliuszu.

Zarówno Cepion Młodszy, jak Druzus zostali wybrani na trybunów wojskowych i mieli wyruszyć do Galii Dalszej pod Gnejuszem Maliuszem Maksymusem. Ich pozycja, majątki i względy polityczne pozwalały sądzić, że choć taki Sekstus Cezar nie dostał urlopu na ślub brata, mimo że tylko prowadził zaciągi, oni nie zostaną powołani. Druzus nie widział trudności w planowaniu podwójnego wesela na początek maja. Nawet gdyby nowożeńcy dostali przydziały służbowe, armia zaś była już w drodze do Galii, zawsze ją zdążą dogonić.

Wydał stosowne rozkazy swoim domownikom na wypadek, gdyby Cepion Młodszy albo jego siostra pytali o Liwię Druzę, i nakazał trzymać ją o chlebie i wodzie. Zostawił ją samą sobie przez pięć dni, a potem kazał przysłać ją sobie do pracowni.

Weszła, mrużąc oczy w jasnym świetle i stawiając niepewnie stopy, uczesana niewprawną ręką. Po oczach widać było, że nie spała, ale brat nie wykrył żadnych śladów łez. Ręce jej drżały, z trudem panowała nad drżeniem warg, które nieznacznie zagryzała.

- Siadaj - rzekł krótko Druzus.

Usiadła.

- Co teraz myślisz o wyjściu za Kwintusa Serwiliusza?

Zadrżała na całym ciele. Resztki rumieńców znikły.

- Nie chcę go..

Jej brat pochylił się, składając dłonie.

- Liwio Druzo, jestem głową naszej rodziny. Sprawuję całkowitą kontrolę nad twoim życiem, a nawet nad twoją śmiercią. Tak się składa, że bardzo mi na tobie zależy. Oznacza to, że nie chcę cię krzywdzić i sprawiać

ci bólu. Martwi mnie to. Jesteśmy jednak oboje Rzymianami. Dla mnie to oznacza coś więcej niż dla ciebie i dla kogokolwiek innego. Przykro mi, że nie podoba ci się mój przyjaciel Kwintus Serwiliusz. Jednakże ty go poślubisz. Jako Rzymianka masz obowiązek być mi posłuszną. Jak wiesz, nasz ojciec zamierzał wydać cię za Kwintusa Serwiliusza, tak jak mnie chciał ożenić z Serwilią Cepionią. Zastanawiałem się przez jakiś czas nad wybraniem sobie innej żony, ale bieg wydarzeń potwierdził tylko, że mój ojciec - oby jego cień zaznał spokoju - był mądrzejszy ode mnie. Mamy poza tym kłopot z matką, która nie okazała się idealną Rzymianką. Przez nią to spoczęła na tobie daleko większa odpowiedzialność. Nic z tego, co robisz albo mówisz, nie może dać komukolwiek powodów do myślenia, że skaza jej charakteru dotknęła i ciebie.

Liwia Druza wzięła głęboki oddech i powtórzyła, choć nieco drżącym głosem:

- Nic chcę go.

- Chęci nic do tego nie mają - rzekł surowo Druzus. - Kimże jesteś, by uważać swoje chęci za ważniejsze niż honor i pozycja naszej rodziny? Musisz się z tym pogodzić, że poślubisz Kwintusa Serwiliusza i nikogo innego. Jeśli będziesz trwać w uporze, nie poślubisz nigdy nikogo. Ponadto nie opuścisz do końca życia swojej sypialni. Będziesz w niej przebywać bez towarzystwa i bez rozrywek do końca swoich dni. - W jego oczach było tyle uczucia, co w dwóch czarnych i zimnych kamykach. - Zrobię, co mówię, siostrze. Żadnych książek, papieru do pisania, jedzenia poza chlebem i wodą, żadnych kąpiel, zwierciadeł, pokojówek, czystych ubrań, świeżej pościeli, piecyka w zimie, ciepłego przykrycia, żadnych trzewików ani pantofli, żadnych pasków ani wstążek, na których mogłabyś się powiesić, ani nożyczek do paznokci i do włosów, ani noży, żeby się nimi pchnąć - a gdybyś chciała się zagłodzić, każę ci wpychać jedzenie do gardła.

Strzelił palcami, a ten dźwięk sprowadził rządcę z podejrzaną szybkością, co kazało przypuszczać, że podsluchiwał pod drzwiami.

- Zabierz moją siostrę do jej pokoju i przyprowadź mi ją jutro o świcie, zanim wpuścisz klientów.

Rządca musiał jej pomóc wstać, wsuwając jej rękę pod ramię.

- Oczekuję jutro twojej odpowiedzi - rzekł Druzus.

Rządca nie odezwał się do niej ani słowem, prowadząc ją przez atrium. Grzecznie, lecz stanowczo wprowadził ją do jej sypialni, zamknął drzwi i zasunął zasuwę, zainstalowaną po zewnętrznej stronie drzwi z rozkazu Druzusa.

Zapadał zmierzch. Liwia Druza wiedziała, że ma nie więcej niż dwie godziny, zanim spowije ją czernią długa zimowa noc. Dotąd nie płakała. Mocne przekonanie o tym, że ma słuszość, połączone z głębokim oburzeniem, podtrzymywało ją przez pierwsze trzy dni i noce. Potem szukała pociechy w niedolach bohaterki, o których czytała: listę otwierało oczywiście dwudziestoletnie oczekiwanie Penelopy, ale i Danae została przez ojca zamknięta w sypialni, i Ariadna opuszczona przez Tezeusza na brzegu

Naksos... We wszystkich przypadkach sprawy zmieniały się na lepsze. Odyseusz wracał, rodził się Perseusz, a Ariadnę ratował bóg...

W jej uszach wciąż jednak rozbrzmiewały słowa brata. Liwia Druza zaczynała rozumieć różnicę między literaturą a prawdziwym życiem. Wielka literatura nigdy nie miała za cel być odbiciem albo echem prawdziwego życia. Jej celem było odsunięcie na jakiś czas tego życia, uwolnienie udręczonego umysłu od doczesnych rozterek, umożliwienie mu świętowania pośród pięknych słów i obrazów, i inspirujących lub pociągających idei. Penelopa miała przynajmniej na pociechę sale swego pałacu i towarzystwo syna, na Danae spadał złoty deszcz, cierpienia Ariadny zaś, porzuconej przez Tezeusza, okazały się ukłuciem szpilki, gdy poślubił ją ktoś o wiele od niego znaczniejszy. W prawdziwym życiu jednak Penelopa zostałaby zgwałcona i zmuszona do zawarcia małżeństwa, jej syn zamordowany, a Odyseusz nigdy nie wróciłby do domu, Danae i jej dzieciątko pływałyby w swojej skrzyni, aż pochłonęłoby ich morze, a Ariadna, zaszedłszy w ciążę z Tezeuszem, umarłaby przy porodzie.

Czy Zeus pojawi się w Rzymie za naszych dni jako złoty deszcz, by rozjaśnić więzienie Liwii Druzy? Czy Dionizos przejedzie przez ten ciemny i zimny pokój zaprzężonym w lamparty rydwanem? Czy Odyseusz napnie swój wielki łuk i zabije jej brata i Cepiona Młodszego tą samą strzałą, którą przestrelił ucha toporów? Nie! Oczywiście, że nie! Tamci wszyscy żyli przed tysiącem lat - jeżeli w ogóle żyli poza nie zatartymi przez czas wierszami poety. Czy życie w wierszach poety oznaczało nieśmiertelność?

Czepiała się przez jakiś czas myśli, że jej rudowłosy bohater z balkonu Ahenobarba dowie się o jej niedoli, wyłamie kratę w ścianie i porwie ją, aby żyć z nią potem na jakiejś zaczarowanej wyspie na morzu ciemnym jak wino. Widziała go oczami duszy podobnego do Odyseusza, wysokiego, bystrego, pomysłowego, fantastycznie odważnego. Dom Marka Druzusa nie byłby dla niego żadną przeszkodą, kiedy dowiedziałby się, że jest w nim uwięziona.

Ach, lecz dziś wieczorem było inaczej. Dziś wieczorem zaczęło się coś, co nie będzie miało szczęśliwego zakończenia. Nie będzie cudownego oswobodzenia. Czy ktoś wiedział, że jest uwięziona, prócz jej brata i jego służących? A czy ktoś spośród tych służących ośmieli się zlekceważyć rozkazy jej brata albo ulituje się nad nią, narażając mu się? Nie był okrutnikiem, to mu przyznawała. Przywykł jednak do posłuszeństwa, ona zaś, jego młodsza siostra, należała do niego tak samo jak ostatni z jego niewolników albo te psy, które trzymał w myśliwskim domku w Umbrii.

Jego słowo było dla niej prawem, jego życzenia rozkazami. To, czego chciała ona, nie miało znaczenia, nie istniało poza jej umysłem.

Poczuła swędzenie pod lewym okiem i gorącą strużkę na policzku. Coś rozprysnęło się na grzbiecie jej dłoni. Zaswędziło ją prawe oko, coś sparzyło prawy policzek. Rozpryski stały się częstsze, przypominając początek krótkiego letniego deszczu, a krople padały szybciej i szybciej. Liwia Druza płakała, bo jej serce zostało złamane. Kołysała się w tył i w przód, wycierała twarz, oczy i cieknący nos i znów szlochała, bo serce

miała naprawdę złamane. Płakała przez wiele godzin samotna w oceanie styksowego mroku, uwięziona z woli swego brata i w wyniku odmowy poddania się tej jego woli.

Gdy jednak rządcą przyszedł odryglować drzwi i posłał oślepiające światło lampy w zatechły chłód jej sypialni, siedziała na skraju łóżka z suchymi oczami i spokojna. Wstała i poszła za nim przez atrium do pracowni swego brata.

- I cóż? - spytał Druzus.

- Wyjdę za Kwintusa Serwiliusza - odrzekła.

- Dobrze. Będę jednak żądał od ciebie czegoś jeszcze, Liwio Druzo.

- Postaram się spełnić wszystkie twoje życzenia, Marku Druzusie.

- Świetnie - strzelił palcami i natychmiast pojawił się rządcą.

- Poślij do salonu pani Liwii Druzy grzane wino z miodem i miodowe ciasteczka i każ jej pokojówce przygotować kąpiel.

- Dziękuję - powiedziała bezbarwnym głosem.

- To prawdziwa przyjemność uszczęśliwić cię, Liwio Druzo - kiedy postępujesz jak Rzymianka i jak się tego od ciebie oczekuje. Spodziewam się, że przyjmiesz Kwintusa Serwiliusza jak dziewczyna, której miłe jest małżeństwo. Niech się dowie, że jesteś zadowolona i że będziesz go traktować z szacunkiem i poważaniem. I nigdy, nawet w zaciszu sypialni, nie dasz mu do zrozumienia, że nie jest twoim wybranym. Rozumiesz?

- Rozumiem, Marku Liwiuszu.

- Chodź za mną.

Zaprowadził ją do atrium, gdzie wielki prostokąt w dachu zaczynał błędnać i perłowe światło zakradało się już do wnętrza, czystsze niż światło lamp, słabsze, a jednak bardziej świetliste. We wnęce muru mieściła się kapliczka bóstw domowych, Larów i Penatów, z malowanymi świątynkami po bokach, które zawierały *imagines* sławnych mężów z rodziny Liwiuszów Druzusów, od jej zmarłego ojca cenzora poczynając, aż do samych początków. Tam Marek Liwiusz Druzus kazał jej złożyć straszliwą przysięgę na straszliwych rzymskich bogów, którzy nie mieli posągów ani mitologii, ani ludzkiej postaci, będąc uosobieniem cnót umysłu, nie zaś ubóstwionymi mężczyznami i kobietami. Pod groźbą ich gniewu przysięgła być czułą i kochającą żoną Kwintusa Serwiliusza Cepiona Młodszego.

Potem odesłał ją do salonu, gdzie czekało grzane wino z miodem i miodowe ciasteczka. Wypiła trochę wina i od razu poczuła się lepiej, ale na samą myśl o przełknięciu ciasteczka ścisnęło się jej gardło, odsunęła więc tacę, uśmiechnęła się do pokojówki i wstała.

- Chcę się wykapać.

Po południu tego dnia Kwintus Serwiliusz Cepion Młodszy i jego siostra Serwilia Cepionia przyszli na obiad do Marka Liwiusza Druzusa i jego siostry Liwii Druzy, aby we czwórkę układać małżeńskie plany. Związana przysięgą Liwia Druza dziękowała wszystkim bogom, że jej rodzina nie słynęła z uśmiechów, nikt więc się nie dziwił, że jest śmiertelnie poważna. Rozmawiała cicho z Cepionem Młodszym, gdy jej brat zajmował się Serwilią Cepionią. Nie uświadomione lęki Cepiona Młodszego rozproszyły się wkrótce - dlaczego właściwie myślał, że ona go nie lubi? Była nieco

blada po chorobie, ale nie było wątpliwości, że z entuzjazmem powitała narzucony im wszystkim plan jej brata: urządzenia podwójnych zaślubin na początku maja, zanim Gnejusz Maliusz Maksymus zacznie swój pochód przez Alpy.

„Zanim nadejdzie zła pora, ale dla mnie każda pora jest zła”, pomyślała Liwia Druza, nie wypowiedziała tego jednak.



W czerwcu, zanim jeszcze wiadomość o schwyтaniu Jugurty i końcu wojny w Afryce dotarła do Rzymu, Publiusz Rutyliusz Rufus pisał do Gajusza Mariusza:

„Mieliśmy bardzo niespokojną zimę i bliską paniki wiosnę. Germanowie najwyraźniej ruszyli w pochód, i to wzdłuż Rodanu na południe, ku naszej prowincji. Jeszcze przed końcem zeszłego roku dostawaliśmy alarmujące listy od Eduów, naszych galijskich sprzymierzeńców. A potem w kwietniu przybyło pierwsze eduańskie poselstwo, by nas zawiadomić, że Germanowie opustoszyli spichrze Eduów i Ambarów i ładują się na wozy. Mówili jednak, że ich celem jest Hiszpania, a ci w senacie, którzy uważali za słuszne umniejszanie zagrożenia ze strony Germanów, szybko rozgłosili tę wiadomość.

Na szczęście nie należał do nich Skaurus ani Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus. Tak więc wkrótce po rozpoczęciu konsulatu przez Gnejusza Maliusza i przeze mnie powstało silne stronnictwo nalegające na powołanie na wszelki wypadek nowej armii i Gnejuszowi Maliuszowi polecono wystawienie sześciu legionów”.

Rutyliusz Rufus spostrzegł, że zatrzymał się w pisaniu, jakby czekał na jakąś tyradę ze strony Mariusza, i uśmiechnął się smutno.

„Tak, wiem, wiem! Wstrzymaj się, Gajuszu Mariuszu, i pozwól mi przedstawić sprawę, zanim zaczniesz skakać po mojej biednej głowie - a nie mam tu na myśli tej głowy z krwi i kości, którą noszę na szyi! To ja powinienem zaciągać tę nową armię i potem nią dowodzić, wiem o tym. Jestem starszym konsulem, mam za sobą długą i zaszczytną służbę wojskową, a nawet cieszę się pewną sławą jako autor podręcznika taktyki, który w końcu został opublikowany. Tymczasem mój młodszy kolega Gnejusz Maliusz nie ma żadnego doświadczenia.

No cóż, to wszystko twoja wina! Moje związki z tobą są powszechnie znane, a twoi wrogowie w Kurii woleliby chyba oddać Rzym Germanom, niż spełnić jakiegokolwiek życzenia twoje i twoich ludzi. Metellus Świński Numidyjski wygłosił wielką mowę tej treści, że jestem za stary, by dowodzić armią, i że moje niezaprzeczone talenty będą lepiej wykorzystane, jeśli zostaną w Rzymie. Poszli za nim jak owce do rzeźni i wydali wszystkie niezbędne dekrety. Już słyszę, jak pytasz, czemu z nimi nie walczyłem. Ach, nie jestem tobą! Nie mam po prostu tej twojej nienawiści do nich ani twojej fenomenalnej energii. Poprzestałem na naleganiu, by dodać Gnejuszowi Maliuszowi kilku zdolnych i doświadczonych starszych legatów, i tyle przynajmniej zrobiono. Dostał Marka Aureliusza Skaurusa - tak, Aureliusza, a nie Emiliusza. Jedyne, co go łączy z naszym szacownym przywódcą senatu, to *cognomen*. Podejrzewam, że jego zdolności

wojskowe są większe niż zdolności sławnego Skaurusa, mam w każdym razie nadzieję, że Rzym i Gnejusz Maliusz dobrze na tym wyjdą.

Gnejusz Maliusz spisał się zresztą całkiem nieźle. Zdecydował się prowadzić zaciągi wśród Policzonych Głowami i wskazywał twoją armię afrykańską jako dowód ich użyteczności. Kiedy pod koniec kwietnia przyszła wiadomość, że Germanie ciągną na południe, miał już zwerbowanych sześć legionów, a wszystkie złożone z rzymskich lub italskich Policzonych Głowami. Potem przybyło poselstwo Eduów i po raz pierwszy kuria otrzymała dokładne oszacowanie liczby Germanów biorących udział w tej wędrówce. Dowiedzieliśmy się na przykład, że ci Germanowie, którzy pobili w Akwitanii Lucjusza Kasjusza - a było ich ze ćwierć miliona - stanowili ledwie trzecią część ogólnej liczby, a może i nie tyle. Według Eduów około ośmiuset tysięcy germańskich wojowników, kobiet i dzieci wędruje obecnie ku galijskim brzegom Morza Środkowego. To może przyprawić o zawrót głowy, nieprawdaż?

Kuria dała Gnejuszowi Maliuszowi prawo zwerbowania jeszcze czterech legionów, zwiększając jego siły do dziesięciu legii i pięciu tysięcy jazdy. Tymczasem wieść o Germanach obiegła całą Italię. Choć senat starał się uspokoić nastroje, są one fatalne, zwłaszcza że nie wygraliśmy jeszcze ani jednej bitwy z Germanami. Od czasu Karbona nasza historia to historia klęsk. Są i tacy, zwłaszcza wśród prostych ludzi, którzy mówią, że nasze sławne powiedzenie o sześciu dobrych rzymskich legionach, bijących ćwierć miliona niezdyscyplinowanych barbarzyńców, to po prostu *merda*. Cała Italia jest w strachu, Gajuszu Mariuszu, a ja nie mam jej tego za złe.

Chyba na skutek tego powszechnego strachu kilku naszych sprzymierzeńców zmieniło swoją politykę z ostatnich lat i dobrowolnie wysłało swe oddziały do armii Gnejusza Maliusza. Samnici dali legion lekko zbrojnej piechoty, a Marsowie znakomity legion piechoty rzymskiego wzoru. Mamy też posiłkowy legion złożony z oddziałów z Umbrii, Etrurii i Picenum. Jak sobie możesz wyobrazić, nasi ojcowie spisani są bardzo z siebie zadowoleni. Sprzymierzeńcy płacą za utrzymanie trzech spośród czterech legionów posiłkowych.

Tyle o plusach, są jednak oczywiście i minusy. Strasznie brak nam centurionów, co oznacza, że żaden z nowozaciężnych oddziałów Policzonych Głowami nie otrzymał należytego wyszkolenia i że jeden legion Policzonych Głowami spośród tych czterech ostatnio zebranych jest prawie całkowicie nieprzygotowany. Legat Aureliusz zasugerował Gnejuszowi Maliuszowi, żeby podzielić doświadczonych centurionów po równo między siedem legionów Policzonych Głowami. To oznacza, że czterdzieści procent centurionów z każdego legionu nie było jeszcze nigdy w bitwie. Mają dobrych trybunów wojskowych, ale nie muszą ci mówić, że to centurioni trzymają w kupie centurie i kohorty.

Szczerze ci mówię, że boję się, co z tego wyniknie. Gnejusz Maliusz to porządny chłop, ale nie sądzę, żeby był zdolny wygrać wojnę z Germanami. Sam potwierdził tę opinię, kiedy w końcu maja oświadczył w kurii, że nie ręczy, iż każdy jego żołnierz wie, co ma robić na polu bitwy! Zawsze się trafiają tacy, którzy nie wiedzą, co robić na polu bitwy, ale nie

mówi się tego w kurii!

A co zrobiła kuria? Wysłali do Kwintusa Cepiona w Narbonie rozkazy niezwłocznego przejścia z armią za Rodan i połączenia się z armią Gnejusza Maliusza, kiedy ten dotrze do Rodanu. Choć raz kuria się nie ociągała. Wysłali polecenie przez konnego kuriera, który dojechał z Rzymu do Narbony w niecałe dwa tygodnie. Kwintus Serwiliusz też się nie ociągał z odpowiedzią. Dostaliśmy ją wczoraj. I cóż to była za odpowiedź?

Senackie rozkazy mówiły naturalnie, że Kwintus Cepion ma się podporządkować imperium tegorocznego konsula, normalnie i uczciwie. Konsul zeszłoroczny może mieć imperium prokonsularne, ale we wspólnych przedsięwzięciach zwierzchnikiem jest konsul tegoroczny.

Ach, Gajuszu Mariuszu, to się nie sprawdziło z Cepionem! Czy kuria naprawdę myślała, że on, patrycjusz Serwiliusz, w prostej linii potomek zbawcy Rzymu Gajusza Serwiliusza Ahali, będzie podwładnym człowieka nowego, bez jednej choćby maski w szafkach przodków, człowieka, który tylko dlatego zdobył konsulat, że nikt lepiej urodzony nie stanął do wyborów? Są konsulowie i konsulowie, oświadczył Kwintus Serwiliusz. Daję ci słowo, że naprawdę wszystko to powiedział! W roku jego konsulatu zestaw kandydatów był godny szacunku, ale w tym roku Rzym zdobył się jedynie na wyczerpanego starca (to ja) i aroganckiego dorobkiewicza, który ma więcej pieniędzy niż gustu (Gnejusz Maliusz). Tak więc on, Kwintus Cepion, rusza niezwłocznie ku Rodanowi, ale spodziewa się zastać tam senackiego kuriera z wiadomością, że to on jest zwierzchnikiem połączonych wojsk. Jeżeli Gnejusz Maliusz będzie jego podwładnym, wszystko pójdzie gładko”.

Rutyliusz Rufus odłożył z westchnieniem trzcinowe pióro i rozcierał zeszywniałe palce, zapatrzony w pustkę. Powieki zaczęły mu opadać, głowa pochyliła się i zdrzemnął się na chwilę. Kiedy ocknął się i poderwał, palce wróciły już do normy, podjął więc pisanie.

„Ależ to długi list! Nikt inny jednak nie da ci uczciwego sprawozdania o tym, co się wydarzyło, a musisz to wszystko wiedzieć. List Cepiona skierowany był raczej do princepsa senatu Skaurusa niż do mnie. Znasz przecież naszego kochanego Marka Skaurusa! Odczytał cały ten przerażający list w kurii, dając przy tym wyraz jakiejś upiornej wesołości. Prawdę mówiąc, aż się ślinił z radości, że może wpuścić kota do gołębnika. Trzeba ci było widzieć te purpurowe twarze, wymachiwanie pięściami, awanturę między Gnejuszem Maliuszem a Metellusem Świńskim, którą przerwałem, wzywając z przedsionka kurii liktorów - co Skaurus miał mi za złe. Cóż za dzień Marsa! Szkoda, że nie można zabutelkować całej tej gorącej atmosfery i wypuścić jej na Germanów, bo to najbardziej zabójczy oręż, jaki Rzym wynalazł.

Na zakończenie postanowiono, że kurier będzie czekał na Cepiona na brzegu Rodanu, ale rozkazy będą dokładnie takie same jak poprzednie. Ma się on podporządkować legalnie wybranemu tegorocznemu konsulowi, Gnejuszowi Maliuszowi Maksymusowi. Szkoda, że ten głupiec przybrał sobie taki *cognomen*, nieprawdaż? To jak przyznać sobie samemu wieniec z trawy, kiedy to ciebie uratowali twoi ludzie, a nie odwrotnie. Chwalenie

samego siebie wydaje się szczytem głupoty, a *cognomen* Maksymus dowodzi okropnego zarozumiałstwa, jeśli nie jest się Fabiuszem. On sam oczywiście utrzymuje, że jakaś Fabia Maksyma była jego prababką i jego dziadek używał tego przydomka, ja jednak wiem tylko, że jego ojciec nigdy go nie używał. Mocno też wątpię w tę historię z Fabią Maksymą.

W każdym razie czuję się tu jak bojowy rumak na pastwisku. Chciałbym być w skórze Gnejusza Maliusza, a zamiast tego podejmuję niezmierniej wagi decyzje jak ta, czy możemy sobie pozwolić w tym roku na smołowanie państwowych spichrzów, kiedy już zapłacimy za ekwipunek dla siedmiu legionów Policzonych Głowami. Czy dasz wiarę, że kuria zastanawiała się nad tym przez osiem dni, kiedy cały Rzym mówił tylko o Germanach, Germanach i Germanach.

Mam jednak pewien pomysł i zamierzam go wprowadzić w życie. Wygramy w Galii czy przegramy, zamierzam go wprowadzić w życie. Gdy w całej Italii nie pozostał już nikt, kogo można nazwać centurionem, zamierzam powołać instruktorów musztry i wyszkolenia ze szkół gladiatorów. Kapua jest pełna takich szkół - i do tego najlepszych z wszystkich - cóż więc bardziej odpowiedniego, jeśli wziąć pod uwagę, że Kapua jest też obozem wyjściowym wszystkich naszych nowych oddziałów? Jeżeli Lucjusz Jakiśtam nie będzie mógł wynająć tylu gladiatorów, by urządzić dobre widowisko na pogrzebie swego dziadka, trudno! Rzym jest w większej potrzebie niż Lucjusz Jakiśtam. Jak zatem widzisz, zamierzam nadal werbować Policzonych Głowami.

Będę cię też oczywiście nadal informował. Jak ci idzie w kraju Lotofagów, syren i zaczarowanych wysp? Jugurta wciąż jeszcze nie w kajdanach? Założę się, że ta chwila jest bliska. Metellus Świński Numidyjski jest ostatnio nieco roztrzęsiony. Nie może się zdecydować, czy się skupić na tobie czy na Gnejuszu Maliuszu. Wygłosił oczywiście wspaniałą mowę, popierając awans Kwintusa Serwiliusza na naczelnego wodza. Z prawdziwą przyjemnością pograżyłem jego sprawę kilkoma dobrze wymierzonymi strzałami.

O bogowie, Gajuszu Mariuszu, ależ mnie oni męczą. Trąbić o czynach swoich nieszczęsnych przodków w sytuacji, kiedy Rzym potrzebuje na gwałt prawdziwego żywego geniusza wojskowego! Uwiń się szybko i wracaj. Potrzebujemy cię tu, bo ja po prostu nie jestem w stanie walczyć z całym senatem”.

Było też postscriptum:

„W Kampanii wydarzyło się ostatnio kilka dziwnych incydentów. Nie podoba mi się to i nie mogę zrozumieć, jak do tego doszło. Na początku maja wybuchł bunt niewolników w Nucerii - bez trudu stłumiony, co oznacza, że tych trzydziestu nieszczęśników z całego świata zostało straconych. A później, trzy dni temu, wybuchł kolejny bunt, tym razem w wielkim obozie pod Kapuą wśród pośledniego gatunku niewolników, czekających, aż ktoś będzie kupował na setki tragarzy portowych, ludzi do kieratów i do kamieniołomów. Tym razem wzięło w nim udział dwustu pięćdziesięciu niewolników. Stłumiono go z miejsca, bo w obozie wojskowym pod Kapuą było kilka kohort rekrutów. Około pięćdziesięciu

buntowników zginęło w walce, a reszta została niezwłocznie stracona. To mi się jednak nie podoba, Gajuszu Mariuszu! To zły znak. Bogowie są dziś przeciwko nam. Czuję to”.

I drugie postscriptum:

„Właśnie otrzymałem smutną wiadomość. Mój list był już gotowy do wysyłki szybkim statkiem Marka Graniusza z Puteoli, który odpływa w końcu tygodnia do Utyki. Oto, co się stało: twój kochany teść, Gajusz Juliusz Cezar, zmarł dziś po południu, rzucając się na własny miecz. Jak wiesz, cierpiał od pewnego czasu na złośliwy nowotwór gardła. Z pewnością przyznasz, że wybrał najlepsze rozwiązanie. Nikt nie powinien być ciężarem dla tych, których kocha, zwłaszcza jeśli narusza to jego godność osobistą. Czy któryś z nas chciałby żyć do samej śmierci, kiedy życie oznacza jedynie leżenie we własnych nieczystościach i obmywanie przez niewolnika? Nie, kiedy człowiek nie panuje już nad swymi wnętrznościami, czas odejść. Chyba Gajusz Juliusz Cezar zdecydowałby się na to wcześniej, gdyby nie myśl o młodszym synu. Na pewno wiesz, że się ostatnio ożenił. Byłem przedwczoraj u Gajusza Juliusza Cezara i zdołał mi powiedzieć szeptem, że wszystkie jego wątpliwości co do małżeństwa syna minęły, bo piękna Aurelia - moja ulubienica, przyznaję - jest żoną w sam raz dla jego chłopca. Tak więc, *ave atque vale*, Gajuszu Juliuszu Cezarze”.

W samym końcu czerwca konsul Gnejusz Maliusz Maksymus wyruszył w długi marsz na północ i na zachód wraz z dwoma synami i dwudziestoma czterema wybranymi na ten rok trybunami wojskowymi rozdzielonymi między siedem z jego dziesięciu legionów. Razem z nim szli Sekstus Juliusz Cezar, Marek Liwiusz Druzus i Kwintus Serwiliusz Cepion Młodszy, a także Kwintus Sertoriusz powołany jako młodszy trybun wojskowy.

Legion przysłany przez Marsów, jeden z trzech legionów italskich sprzymierzeńców, był najlepiej wyszkolony z dziesięciu. Dowodził nim syn marsyjskiego szlachcica, dwudziestopięcioletni Kwintus Poppediusz Silon - pod nadzorem, oczywiście, rzymskiego legata.

Ponieważ Maliusz Maksymus obstawał przy zabranii zapasów państwowego zboża na dwa miesiące, jego tabor był olbrzymi, a tempo marszu przeraźliwie wolne. W ciągu szesnastu dni dotarł zaledwie do Fanum Fortunae nad Adriatykiem. Tam jego legat Aureliusz zdołał na nim wymóc pozostawienie taboru pod eskortą jednego legionu i pójście szybko naprzód z dziewięcioma pozostałymi, kawalerią i lekkim obciążeniem. Niełatwo było przekonać Maliusza, że jego żołnierze nie będą przymierać głodem, zanim dotrą do Rodanu, i że ciężkie ładunki wcześniej czy później dojadą tam bezpiecznie.

Mając znacznie krótszą drogę po płaskim terenie, Kwintus Serwiliusz Cepion dotarł do wielkiej rzeki przed Maliuszem Maksymusem. Prowadził siedem ze swoich ośmiu legionów - ósmy wysłał morzem do Hiszpanii Bliższej - nie miał jednak jazdy, którą rozpuścił w zeszłym roku jako zbędną i kosztowną. Mimo otrzymanych rozkazów i ponagleń ze strony

legatów odmawiał opuszczenia Narbony, zanim nie doczeka się jakiejś spodziewanej wiadomości ze Smyrny. Nie był też w dobrym nastroju. Jeśli nie narzekał na haniebne opóźnienia w łączności między Smyrną i Narboną, narzekał na nieczułość senatu, który myśli, że można oddać dowództwo wielkiej armii jakiemuś parweniuszowi w rodzaju Maliusza Maksymusa. W końcu jednak został zmuszony do wymarszu, nie doczekawszy się listu, polecił jednak, by mu go niezwłocznie przesłano, gdy nadejdzie.

Mimo opóźnienia wyprzedził bez trudu Maliusza Maksymusa. W Nemausus, handlowym mieście na zachodnim skraju rozległych słonych bagnisk otaczających deltę Rodanu, spotkał kuriera senatu, który wręczył mu nowe rozkazy. Cepion nie wyobrażał sobie, by jego list mógł nie poruszyć ojców spisanych, zwłaszcza że miał go przeczytać sam Skaurus. Kiedy otworzył tubę i przebiegł wzrokiem krótką odpowiedź senatu, był oburzony. Niemożliwe! Nie do zniesienia! On, patrycjusz Serwiliusz, miałby skakać na skinienie Maliusza, człowieka nowego? Nigdy!

Rzymski wywiad donosił, że Germanie ciągną na południe, przewalając się przez ziemie celtyckich Allobrogów, starych wrogów Rzymian, którzy znaleźli się teraz w położeniu bez wyjścia. Rzym był wrogiem znanym, Germanie nieznanym. Bractwo druidów powtarzało od dwóch lat plemionom galijskim, że w Galii nie ma miejsca dla Germanów. Allobrogowie na pewno nie byli skłonni dzielić się ojczyzną z narodem daleko liczniejszym niż oni sami. Żyli dość blisko Eduów i Ambarów, by wiedzieć, jakie jatki urządzali Germanie na ziemiach tych zastraszonego plemion. Wycofali się więc w podnóża swych ukochanych Alp i stamtąd nękali Germanów, ile się dało.

Germanie wtargnęli w końcu czerwca do rzymskiej prowincji Galii Zaalpejskiej na północ od handlowej placówki we Viennie i płynęli, nie napotykając oporu. Cała ich masa, ponad trzy czwarte miliona ludzi, ciągnęła wschodnim brzegiem potężnej rzeki, bo tamtejsze równiny były szersze i bezpieczniejsze, mniej narażone na napady górskich plemion Galii Środkowej i Cebenny.

Dowiedziawszy się o tym, Cepion rozmyślnie skręcił z Via Domitia w Nemausus i zamiast przeciąć bagna delty po grobli, którą usypał Ahenobarbus, pomaszerował ze swą armią na północ po zachodnim brzegu, oddzielony rzeką od szlaku Germanów. Był środek sekstyliasa.

Z Nemausus wysłał co tchu kuriera do Rzymu z nowym listem do Skaurusa. Zawiadamiał, że nie przyjmie rozkazów od Maliusza Maksymusa i na tym koniec. Po takim oświadczeniu jedyną drogą, którą mógł iść bez utraty twarzy, był zachodni brzeg Rodanu.

Na wschodnim brzegu Rodanu, o jakieś czterdzieści mil od miejsca, gdzie Via Domitia przecina rzekę po długiej grobli kończącej się w pobliżu Arelatu, leżało spore rzymskie miasto handlowe, Arauzjona. Na zachodnim brzegu, o dziesięć mil na północ od Arauzjony, Cepion zamknął swą armię liczącą czterdzieści tysięcy piechoty i piętnaście tysięcy nieliniowych w umocnionym obozie. I czekał tam, aż na przeciwległym brzegu ukaże się Maliusz Maksymus - czekał też na odpowiedź senatu na swój ostatni list.

Maliusz Maksymus przybył, zanim nadeszła odpowiedź, w końcu se-kstylisa. Umieścił swoje pięćdziesiąt pięć tysięcy piechoty i trzydzieści tysięcy nielinowych w silnie umocnionym obozie tuż nad brzegiem rzeki, o pięć mil na północ od Arauzjony, włączając w ten sposób rzekę do swego systemu obrony i zapewniając sobie zaopatrzenie w wodę.

Maliusz Maksymus uznał teren na północ od obozu za idealne miejsce do stoczenia bitwy, a rzekę za najlepszą osłonę. To był jego pierwszy błąd. Drugim było wyłączenie z obozu pięciotysięcznej jazdy i wysłanie jej o trzydzieści mil dalej na północ w charakterze straży przedniej. Trzecim było mianowanie dowódcą tej jazdy Aureliusza, najlepszego z legatów, i pozbawienie się w ten sposób możliwości korzystania z jego rad. Wszystkie te błędy były częścią strategii Maliusza Maksymusa, zamierzał bowiem użyć jazdy Aureliusza do zahamowania ruchu Germanów bez wydawania bitwy, dając im jedynie poznać siłę oporu Rzymian. Maliusz Maksymus chciał układać się, a nie walczyć, mając nadzieję na odesłanie Germanów pokojowo z powrotem do środkowej Galii i uniknięcie ich przejścia przez rzymską prowincję. Wcześniej stoczone bitwy między Germanami a Rzymem były wymuszone przez Rzym, a Germanowie zawsze potem udowodniali, że chcieli pokojowo się wycofać. Maliusz Maksymus wiązał więc ze swoją strategią wielkie nadzieje i nie były one bezpodstawne.

Jednak pierwszym jego zadaniem było ściągnięcie Cepiona z zachodniego brzegu rzeki na wschodni. Wciąż jeszcze boleśnie odczuwając obraźliwy list Cepiona, który Skaurus odczytał w kurii, Maliusz Maksymus podyktował krótki i niedwuznaczny rozkaz bezpośredni: „Przeprowadź armię przez rzekę do mojego obozu. Natychmiast”. Przekazał go załodze wiosłowej łodzi, co zapewniało szybkie doręczenie.

Cepion użył tej samej łodzi do przekazania odpowiedzi. Równie zwięźle odpowiedział, że on, patrycjusz Serwiliusz, nie przyjmuje rozkazów od żadnego nowobogackiego pyszałka i zostanie tam, gdzie jest, na zachodnim brzegu.

Następna dyrektywa Maliusza Maksymusa głosiła:

„Jako twój wódz naczelny rozkazuję ci powtórnie przeprowadzić armię przez rzekę. Nie zwlekaj ani godziny. To mój ostatni rozkaz. Jeśli go nie wykonasz, oskarżę cię w Rzymie o zdradę stanu, a twoje działania będą dowodem twojej winy”.

Cepion odpisał z jednakowym uporem:

„Nie uznaję cię za naczelnego wodza. Jeśli oskarżysz mnie o zdradę stanu, ja oskarżę ciebie. Obaj wiemy, kto wygra taki proces, żądam więc, byś mi niezwłocznie przekazał naczelne dowództwo”.

Maliusz Maksymus odpowiedział z jeszcze większą wyniosłością. Trwało to aż do przybycia w połowie września z Rzymu sześciu senatorów znękanym pośpiechem i niewygodami podróży. Rutyliusz Rufus, konsul w Rzymie, nalegał z powodzeniem na wysłanie tego poselstwa, ale Skaurus i Metellus Numidyjski zdołali stępić poselstwu zęby, nie pozwalając na włączenie w jego skład żadnego męża konsularnego ani żadnego doświadczonego polityka. Przywódcą tej szóstki był zwykły pretor z umiarkowanie dostojnym rodowodem, nie kto inny tylko szwagier Rutyliusza Rufusa,

Marek Aureliusz Kotta. W ciągu paru godzin po przybyciu do obozu Maliusza Maksymusa zrozumiał on jednak przynajmniej grozę położenia.

Kotta zaczął więc działać z energią i zapałem, których dotąd zwykle nie okazywał. Skupił swą aktywność na Cepionie, który pozostawał nieubłagany. Wizyta w obozie kawalerii na północy skłoniła Kottę do działania ze zdwojoną determinacją, bo legat Aureliusz pojechał z nim na pobliskie wzgórze, skąd widać było czołówkę germańskiej nawały.

Kotta spojrzął i pobladł.

- Powinieneś być w obozie Gnejusza Maliusza.

- Gdyby chodziło o walkę, zgoda - powiedział Aureliusz z niewzruszonym spokojem, bo od paru dni przywykł już do widoku pochodu Germanów. - Gnejusz Maliusz uważa, że możemy powtórzyć nasze poprzednie sukcesy, które odnosiliśmy w dyplomacji. Jeśli Germanie walczyli, to dlatego, że ich do tego popychaliśmy. Nie zamierzam niczego zaczynać, a to oznacza, jestem tego pewien, że i oni nie zaczną. Mam tu zespół biegłych tłumaczy i powtarzam im po całych dniach, co mają mówić, kiedy Germanie przyślą swoich wodzów na rozmowy. Jestem pewien, że to zrobią, kiedy zrozumieją, że czeka na nich wielka rzymska armia.

- Ależ już to z pewnością wiedzą! - wykrzyknął Kotta.

- Wątpię - Aureliusz trwał przy swoim. - Oni nie poruszają się jak wojsko. Jeśli nawet wiedzą, co to zwiad, nie posłużyli się do tej pory zwiadowcami. Oni po prostu ciągną dalej! Biorą przy tym, co się trafi, jeżeli się trafi.

Kotta zawrócił konia.

- Muszę jak najszybciej wracać do Gnejusza Maliusza, kuzynie. Trzeba jakoś ściągnąć zza rzeki tego durnia o sztywnym karku albo w ogóle zapomnieć o istnieniu jego armii.

- Zgoda - rzekł Aureliusz. - Chciałbym jednak, Marku Aureliuszu, żebyś tu wrócił, kiedy dam ci znać o przybyciu Germanów na rozmowy. I to z twoimi pięcioma kolegami! Germanie będą pod wrażeniem, że senat wysłał z Rzymu sześciu swych przedstawicieli, by z nimi pertraktować. - Uśmiechnął się gorzko. - Nie mogą się oczywiście dowiedzieć, że senat wysłał z Rzymu sześciu swych przedstawicieli, by pertraktować ze swymi głupimi wodzami.

Dureń o sztywnym karku, Kwintus Serwiliusz Cepion, był - nie wiadomo czemu - w znacznie lepszym humorze i bardziej skłonny do wysłuchania Kotty, kiedy ten na drugi dzień przepłynął Rodan we wiosłowej łodzi.

- Skąd ta nagła zmiana nastroju, Kwintusie Serwiliuszu? - pytał zdziwiony Kotta.

- Dostałem właśnie list ze Smyrny, spóźniony o całe miesiące - odpowiedział Cepion. Zamiast jednak wyjaśnić, czemu tak go uszczęśliwił jakiś list ze Smyrny, przeszedł od razu do rzeczy. - Zgoda, przejdę jutro na wschodni brzeg.

Wskazał jakiś punkt na mapie buławą z kości słoniowej zwieńczoną złotym orłem, którą nosił dla podkreślenia ważności swego imperium.

Nadal nie zgadzał się rozmawiać osobiście z Maliuszem Maksymusem.

- Tu się przeprawię.

- Czy nie byłoby roztropniej przeprowić się na południe od Arauzjony?

- Oczywiście, że nie. Tu będę bliżej Germanów.

Zgodnie z zapowiedzią zwinął o świcie obóz i pomaszerował do brodu o dwadzieścia mil powyżej fortyfikacji Maliusza Maksymusa i niecałe dziesięć mil na południe od miejsca, gdzie obozował z jazdą Aureliusz.

Kotta i jego pięciu senatorów także jechali na północ. Chcieli być w obozie Aureliusza, kiedy germańscy wodzowie przybędą na rozmowy. Po drodze spotkali na wschodnim brzegu Cepiona. Większa część jego armii była jeszcze po drugiej stronie. To jednak, co ujrzeli, napełniło ich serca goryczą, bo Cepion najwyraźniej zaczął się okopywać w warownym obozie właśnie tam, gdzie się znajdowali.

- Kwintusie Serwiliuszu, nie możesz tu zostać! - wykrzyknął Kotta, gdy zatrzymali konie na wzniesieniu nad obozowiskiem, w którym małe figurki kopały rowy i sypały ziemię z wykopów na wały.

- Dlaczego nie? - Cepion uniósł brwi.

- Bo o dwadzieścia mil na południe czeka gotowy obóz, dość duży, by pomieścić i twoje legiony, oprócz dziesięciu, które już w nim są! Tam jest twoje miejsce, Kwintusie Serwiliuszu! Nie tu, za daleko od Aureliusza i od Gnejusza Maliusza, abyś mógł pomóc któremuś z nich albo oni tobie. Proszę cię, błagam, Kwintusie Serwiliuszu, załóż tu obóz na jedną noc, a rano ruszaj do Gnejusza Maliusza! - nalegał z całych sił Kotta.

- Powiedziałem, że przeprawię się przez rzekę - oświadczył Cepion - ale nie składałem żadnych dalszych zobowiązań. Mam siedem legionów wyszkolonych najlepiej jak można i złożonych z doświadczonych żołnierzy. Co więcej - to ludzie, którzy coś posiadają - prawdziwi rzymscy żołnierze. Czy myślisz, że zgodzę się dzielić obóz z tą rzymską i latyńską hołotą - jakimiś niepiśmiennymi parobkami i robotnikami? Po moim trupie!

- I tak się może stać - rzekł szorstko Kotta.

- Nie ze mną i nie z moją armią! - Cepion był nieugięty. - Jestem o dwadzieścia mil na północ od Gnejusza Maliusza i jego hołoty. To oznacza, że ja pierwszy spotkam się z Germanami. I pobiję ich, Marku Aureliuszu! Nawet milion barbarzyńców nie pokona siedmiu legionów prawdziwych rzymskich żołnierzy! Czy temu handlarzowi Maliuszowi ma przypaść choć odrobina zasługi? Nie! Kwintus Serwiliusz Cepion odbędzie swój drugi tryumf w Rzymie jako jedyny zwycięzca! Maliusz będzie się temu przyglądał.

Kotta wychylił się z siodła i chwycił Cepiona za ramię.

- Kwintusie Serwiliuszu - powiedział z taką powagą i szczerością, z jaką dotąd nigdy jeszcze nie mówił - błagam, połącz swoje siły z Gneuszem Maliuszem! Czy zwycięstwo Rzymu nie znaczy dla ciebie więcej niż zwycięstwo rzymskiej szlachty? Czy to ważne, kto zwycięża, dopóki to Rzym zwycięża? To nie jakaś graniczna wojenka ze Skordyskami ani kampania przeciw Luzytanom! Musimy wystawić najlepszą i największą armię, jaką kiedykolwiek mieliśmy. Twoje wejście w skład tej armii decy-

duże o wszystkim. Ludzie Gnejusza Maliusza nie mieli czasu, by zdobyć takie wyszkolenie, jakie mają twoi. Wasza obecność pozwoli im okrzepnąć, da wzór do naśladowania. Twierdzą bowiem, że dojdzie do bitwy. Czuję to. Nie jest ważne, jak dawniej zachowywali się Germanie, tym razem będzie inaczej. Zakosztowali już naszej krwi i to im się podoba. Nie cenią wysoko naszej odwagi. Stawką jest Rzym, Kwintusie Serwiliuszu, a nie rzymska szlachta. Jeśli jednak będziesz się sprzeciwiał połączeniu armii, powiem ci, że stawką będzie przyszłość tej szlachty. Masz zatem w rękach przyszłość Rzymu i swej własnej klasy. Zrób, co powinienesz, zrób to dla nich, proszę! Ruszaj do obozu Gnejusza Maliusza.

Cepion uderzył konia piętami po bokach, uwalniając ramię z uchwytu Kotty.

- Nie - powiedział. - Zostaję tutaj.

Tak więc Kotta pojechał z towarzyszami na północ do obozu kawalerii, a Cepion zbudował tymczasem pomniejszoną kopię obozu Maliusza Maksymusa na samym brzegu rzeki.

Senatorowie przybyli w samą porę, bo germańscy parlamentariusze wjechali do obozu Aureliusza tuż po świcie następnego dnia. Było ich pięćdziesięciu, w wieku między czterdziestką a sześćdziesiątką, jak ich oceniał zdjęty grozą Kotta, który nigdy dotąd nie widział tak rosnących mężczyzn - żaden nie miał mniej niż sześć stóp wzrostu, a większość miała o sześć cali więcej. Jechali na ogromnych kudłatych koniach, zaniedbanych zdaniem Rzymian, o wielkich kopytach osłoniętych długim włosiem i opadających na oczy grzywach. Żaden nie był osiodłany, choć wszystkie szły w cuglach.

- Mają konie niczym słonie bojowe - zauważył Kotta.

- Tylko nieliczni - odparł nieporuszony Aureliusz. - Większość ma zwykle galijskie konie - tych ludzi specjalnie dobierano.

- Spójrz na tego młodego! - wykrzyknął Kotta, patrząc na jakiegoś trzydziestolatka, który zsunął się z konia i stanął w pewnej sobie pozycji, z miną, jakby nie widział wokół siebie niczego godnego uwagi.

- Achilles - stwierdził spokojnie Aureliusz.

Uwagę Kotty zwróciły skórzane bryczesy.

- Myślałem, że Germanie chodzą nago, nie licząc opończy.

- Podobno czynią tak w Germanii, ale ci, których dotąd widziałem, noszą spodnie jak Galowie.

Mieli spodnie, żaden jednak nie nosił koszuli przy pięknej ciepłej pogodzie. Wielu pyszniło się zawieszonymi na piersiach kwadratowymi złotymi pectorałami, wszyscy zaś nosili przewieszane przez ramię pochwy od długich mieczy. Mieli na sobie mnóstwo złota - pectorały, ozdoby hełmów, pochew i pasów, sprzączki i bransolety, ale żaden nie nosił celtyckiej złotej obręczy na szyi. Kottę zafascynowały ich hełmy: w kształcie garnczków, bez okapów, ozdobione nad uszami wspaniałymi rogami albo skrzydłami, albo pękami piór zatkniętymi w tulejkach, albo też same hełmy miały kształt smoczych, lamparcich lub wężowych głów z rozwartymi paszczami.

Wszyscy byli gładko ogoleni i mieli jednakowo długie płowe włosy,

które zaplatali w warkocze albo nosili rozpuszczone. Piersi mieli nieowłosione, a ich skóra nie była różowa jak u Celtów, ale raczej złocista. Nie było wśród nich rudych ani piegowatych. Nawet najstarsi utrzymywali znakomitą postawę, mieli płaskie brzuchy, wojowniczy wygląd i nie zdradzali żadnych oznak folgowania sobie. Rzymianom nie dane było się dowiedzieć, że Germanie zabijali mężczyzn, którzy nie panowali nad swymi namiętnościami.

Rozmowy prowadzono za pośrednictwem tłumaczy Aureliusza, przeważnie Eduów lub Ambarów, ale dwaj lub trzej byli Germanami wziętymi do niewoli w Norykum przez Karbona jeszcze przed jego klęską. Thanowie germańscy wyjaśniali, że chodzi im o pokojowe przejście przez Galie Zaalpejską do Hiszpanii. Pierwszą fazę rozmów prowadził sam Aureliusz w paradnej pełnej zbroi - srebrnym, modelowanym na miarę pancerzu, srebrnym hełmie attyckim ze szkarłatnym pióropuszem i podwójnej spódniczce ze skórzanych pasków zwanej *pteryges* i noszonej na szkarłatnej tunice. Jako mąż konsularny nosił też purpurowy płaszcz przypięty do naramienników pancerza, a na pancerzu przepasany był szkarłatną szarfą zawiązaną na rytualne węzły, oznaką godności wodza.

Kotta przyglądał się jak urzeczony, bardziej przerażony, niż to uważał za możliwe w najczarniejszych snach. Wiedział, że patrzy na przeznaczenie Rzymu. W miesiącach, które miały nadejść, ci germańscy wodzowie mieli nawiedzać jego sny tak bezlitośnie, że chodził otepiały i z zaczerwienionymi oczami. Choć starał się, czuwając, ograniczyć ich możliwości, przyłapywał się na tym, że siedzi w łóżku z otwartymi ustami, bo właśnie przejechali na swych ogromnych koniach przez jakieś jego półsenne rozważania. Wywiad donosił, że jest ich ponad trzy czwarte miliona, co oznaczało co najmniej trzysta tysięcy tych ogromnych wojowników. Kotta widywał już barbarzyńskich wojowników: Skordysków i Japudów, Salassów i Karpetanów, ale nie widział dotąd mężów podobnych do tych Germanów. Dotąd uważano Galów za olbrzymów, byli oni jednak zwykłymi ludźmi w porównaniu z Germanami. Najstraszniejsze było to, że Germanowie zapowiadali zagładę Rzymu, bo Rzym nie brał ich na tyle serio, by załagodzić wewnętrzne rozłamy. Jak mógł Rzym spodziewać się, że ich pokona, jeśli dwaj rzymscy wodzowie odmawiali współpracy i obrzucali obelgami siebie nawzajem i swoich żołnierzy? Gdyby Cepion i Maliusz Maksymus zechcieli działać wspólnie, Rzym miałby stutysięczną armię, a to dawało szansę powodzenia przy wysokim morale, dobrym wyszkoleniu i prawidłowym dowodzeniu.

„Niestety”, myślał Kotta, czując, że skręca się z żalu. „Oglądam oto przeznaczenie Rzymu. Nie poradzimy sobie z tą hordą jasnowłosych, jeśli nie możemy poradzić sobie ze sobą”.

W końcu Aureliusz przerwał rozmowy i obie strony rozeszły się na naradę.

- Dowiedzieliśmy się czegoś o nich - mówił Aureliusz do Kotty i pięciu senatorów. - Nie nazywają sami siebie Germanami. Uważają się za trzy odrębne ludy: Cymbrów, Teutonów i grupę małych ludów, które przyłączyły się do nich w czasie ich wędrówki - Markomanów, Cherusków

i Tygurynów - którzy są raczej Celtami niż Germanami, zdaniem mego germańskiego tłumacza.

- Wędrowki? - spytał Kotta. - Jak długo wędrują?

- Oni sami chyba tego nie wiedzą, ale od wielu lat, może przez całe pokolenie. Ten młokos, który wygląda jak barbarzyński Achilles, był małym dzieckiem, gdy Cymbrowie opuszczali ojczyznę.

- Czy mają króla?

- Nie, radę wodzów. Większą jej część masz przed sobą. Ten jednak młokos, który wygląda jak Achilles, szybko idzie w górę i jego poplecznicy już go zaczynają nazywać królem. Ma na imię Bojoryks i jest z nich wszystkich najbardziej wojowniczy. Nie zależy mu na naszym pozwoleniu na przemarsz. Uznaje tylko prawo siły i jest za przerwaniem rozmów.

- Jest niebezpiecznie młody, żeby się nazywać królem - rzekł Kotta.

- Będzie z nim kłopot, przyznaję. A to co za jeden? - wskazał dyskretnie męża około czterdziestki mającego na sobie lśniący złoty pektorał i jeszcze kilka funtów złota ponadto.

- To jest Teutobod, wódz wodzów teutońskich. Jego też, jak się zdaje, zaczynają nazywać królem. I on także, jak Bojoryks, uznaje tylko prawo siły. Obaj zamierzają iść po prostu dalej na południe, bez oglądania się na zgodę Rzymu. Nie podoba mi się to, kuzynie. Obaj moi germańscy tłumacze z czasów Karbona mówią, że nastrój Germanów jest całkiem inny, niż był wtedy. Poczuli pewność siebie i pogardę dla nas - Aureliusz gryzł wargi.

- Żyli wystarczająco długo pośród Eduów i Ambarów, by dowiedzieć się o Rzymie mnóstwa rzeczy, a to, co usłyszeli, rozproszyło ich obawy. I nie tylko to. Jak dotąd, jeśli pominąć pierwszą bitwę Lucjusza Kasjusza - a łatwo ją pominąć, biorąc pod uwagę ciąg wydarzeń - wygrywali oni każde z nami spotkanie. Dziś Bojoryks i Teutobod wmawiają im, że nie ma żadnego powodu, by się nas obawiać, ponieważ jesteśmy lepiej uzbrojeni i lepiej wyszkoleni. Jesteśmy niczym nadymane pęcherze, dobrzy do straszenia dzieci. Bojoryks i Teutobod chcą wojny. Jeśli Rzym jest sprawą przeszłości, mogą wędrować, gdzie chcą, i osiedlać się, gdzie im się podoba.

Rozmowy znów się zaczęły, ale tym razem Aureliusz wysunął naprzód swoich sześciu gości. Cała szóstka była w togach. Towarzyszyło im dwunastu liktorów w szkarłatnych tunikach i szerokich nabijanych złotymi płytkami pasach, oznakach obowiązków poza Rzymem, niosących różgi i topory. Przyciągnęli oczywiście uwagę Germanów, którzy z podziwem przyglądali się fałdzistym białym szatom - tak bardzo niewojskowym! Czy tak właśnie wyglądają Rzymianie? Tylko jeden Kotta nosił *toga praetexta* z purpurowym szlakiem, oznakę wysokiego urzędu, i to do niego kierowały się wszystkie dziwnie brzmiące, niezrozumiałe przemowy tamtych. Trzymał się dobrze pod ich naporem: powściągliwy, dumny, spokojny, o łagodnym głosie. Wyglądało na to, że w oczach Germanów nie przynosi wstydu czerwienienie się z wściekłości, plucie dla podkreślenia słów, bicie pięścią we wnętrze drugiej dłoni. Nie było jednak wątpliwości, że byli zaskoczeni i czuli się nieswojo wobec kamiennego spokoju Rzymian.

Od początku jego udziału w rozmowach odpowiedź Kotty była taka sama: „Nie”. Nie należy kontynuować migracji na południe. Germanie nie mają prawa przechodzić przez żadne rzymskie terytorium ani przez prowincję. Hiszpania nie jest odpowiednim dla nich celem, chyba że wystarczy im Luzytania i Kantabria, bo reszta Hiszpanii jest rzymska. Zawróćcie na północ - to była stała odpowiedź Kotty - wracajcie raczej do kraju, gdziekolwiek on leży, albo wycofajcie się za Ren do Germanii i osiedźcie tam, pośród rodaków.

Dopiero o zmierzchu, gdy zaczęła zapadać noc, pięćdziesięciu germańskich thanów wspięło się na swe konie i odjechało. Ostatni jechali Bojoryks i Teutobod. Młodszy oglądał się przez ramię, dopóki mógł widzieć Rzymian, a w jego wzroku nie było sympatii ani podziwu. Kotta pomyślał, że Aureliusz miał rację i że tamten jest Achillesem, chociaż słuszność tego porównania nie była z początku oczywista. Potem zdał sobie sprawę, że w przystojnej twarzy młodego Germanina była cała owa uparta, bezlitosna i mściwa moc Achillesea. Oto był człowiek, który czekał bez końca przy okrętach, gdy jego ziomkowie ginęli jak muchy, a wszystko to z powodu urażonego honoru. Tu serce Kotty upadło, bo to samo można było powiedzieć o Kwintusie Serwiliuszu Cepionie.

W dwie godziny po zapadnięciu zmroku wzeszedł księżyc w pełni. Uwolniwszy się od swych tóg, Kotta i jego milczący towarzysze zjedli przy stole Aureliusza wieczerzę, a potem zaczęli zbierać się do odjazdu.

- Zaczekajcie do rana - prosił Aureliusz. - To nie Italia, tu nie ma pewnych rzymskich dróg, a wy nie znacie okolicy. Kilka godzin nie zrobi różnicy.

- Nie, zamierzam być o świcie w obozie Kwintusa Serwiliusza - rzekł Kotta. - Spróbuję go przekonać do połączenia się z Gnejuszem Maliuszem. Muszę go powiadomić, co tu dziś zaszło. Bez względu jednak na to, co zrobi Kwintus Serwiliusz, jadę jutro do Gnejusza Maliusza i nie zasnę, póki się z nim nie zobaczę.

Uścisnęli sobie dłonie. Gdy Kotta z senatorami, liktorami i służbą odjeżdżał w gęste cienie rzucane przez księżyc, Aureliusz stał dobrze widoczny w świetle ognisk i świetle księżyca, z ręką uniesioną na pożegnanie.

„Nie zobaczę go już więcej”, pomyślał Kotta. „Dzielny człowiek, najlepszego rodzaju Rzymianin”.

Cepion nie chciał nawet wysłuchać Kotty, nie mówiąc już o słuchaniu głosu rozsądku.

- Zostanę tu, gdzie jestem. - To było wszystko, co powiedział.

Kotta pojechał więc dalej, nie zatrzymując się, by ugasić pragnienie w na pół ukończonym obozie Cepiona, zdecydowany dotrzeć do Gnejusza Maliusza Maksymusa najpóźniej w południe.

O świcie, w porze niedoszłego spotkania Kotty i Cepiona, Germanie ruszyli. Był to drugi dzień października, a pogoda nadal była piękna i nic nie zapowiadało ochłodzenia. Kiedy pierwsze szeregi germańskie dotarły do wałów obozu Aureliusza, przetoczyły się przez nie fala za falą.

Aureliusz właściwie nie pojął nawet, co się dzieje. Zakładał naturalnie, że będzie miał dość czasu, by kawaleria dosiadła koni - że wyjątkowo dobrze umocniony wał obozu powstrzyma Germanów dość długo, by mógł wyprowadzić całą jazdę tylną bramą i spróbować oskrzydlenia. Nie było mu to dane. Szybko poruszających się Germanów było tak wielu, że w ciągu kilku chwil otoczyli obóz z czterech stron i tysiącami przelewali się przez wały. Kawalerzyści Aureliusza, nie przywykli do pieszej walki, zrobili wszystko, co mogli, ale był to raczej pogrom niż bitwa. Po półgodzinie mało który Rzymianin albo sprzymierzeniec pozostał przy życiu, a Marek Aureliusz Skaurus został pojmany, zanim zdążył rzucić się na swój miecz.

Przyprowadzony przed Bojoryksa, Teutoboda i pozostałych pięćdziesięciu biorących udział w rozmowach, zachowywał się wspaniale. Był dumny i wyniosły, a żadna zniewaga ani ból nie skłoniły go do uników ani pochylenia głowy. Zamknęli go więc w wiklinowej klatce i kazali patrzeć, jak budują przy niej i zapalają stos ze smolnego drewna. Aureliusz przyglądał się temu, stojąc wyprostowany, z nieulekłą twarzą i nawet nie chwytając krat swego ciasnego więzienia. W ich planach nie leżało uduszenie go dymem ani szybka śmierć w płomieniach - odczekali, aż ogień przy gaśnie, a potem zawiesili wiklinową klatkę nad środkiem stosu i żywcem upiekli Aureliusza. Zwyciężył jednak, choć było to samotne i gorzkie zwycięstwo, nie pozwolił sobie bowiem na wicie się w udęce i krzyki. Umarł stojąc, Rzymianin w każdym calu, zdecydowany wymusić na tamtych liczenie się z miastem, które rodzi takich jak on ludzi, prawdziwych Rzymian.

Jeszcze dwa dni zwlekali Germanie na gruzach obozu Aureliusza, a potem podjęli pochód na południe, równie nie zaplanowany jak poprzednio. Dotarłszy do obozu Cepiona, szli dalej na południe, tysiące za tysiącami, póki przerażeni żołnierze nie stracili nadziei policzenia ich. Niektórzy zdecydowali się porzucić broń i płynąć na zachodni, bezpieczny brzeg rzeki. Tę jednak ostatnią szansę Cepion postanowił zachować wyłącznie dla siebie: spalił wszystkie oprócz jednej łodzie swojej małej floty, postawił silną straż na brzegu i kazał stracić wszystkich próbujących ucieczki. Otoczone morzem Germanów pięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy i nieliniowych w obozie Cepiona nie mogło zrobić nic, tylko czekać, aż powódź przepłynie obok nich.

Szóstego października pierwsze szeregi Germanów dotarły do obozu Maliusza Maksymusa, który wolał nie trzymać swej armii ściśniętej w obrębie wałów. Uszykował swoje dziesięć legionów i wymaszerował z nimi na północ, zanim Germanie, wyraźnie widoczni, zdołali otoczyć jego obóz. Ustawił wojsko na płaskim terenie pomiędzy brzegiem rzeki a pierwszym wzniesieniem, zapowiedzią sięgających aż tu ramion Alp, których podnóża leżały o sto mil dalej na wschód. Legiony stały zwrócone ku północy, jeden przy drugim, na przestrzeni czterech mil. To był czwarty błąd Maliusza Maksymusa: nie tylko mógł łatwo zostać oskrzydłony - nie miał bowiem kawalerii dla ochrony odsłoniętego prawego skrzydła - ale też nazbyt rozciągnął szyki, przez to je osłabiając.

Nie miał żadnych wiadomości o sytuacji Aureliusza i Cepiona na północy, nie miał też nikogo, kto mógłby w przebraniu dostać się między Germanów, bo wszystkich swoich tłumaczy i zwiadowców posłał na północ z Aureliuszem. Nie mógł zatem zrobić nic innego, tylko czekać na nadejście Germanów.

Stanowisko dowodzenia mieściło się, zgodnie z logiką, na najwyższej wieży jego warownego obozu. Cepion stał na wieży, a jego przyboczni oficerowie czekali na koniach, gotowi zawieźć galopem rozkazy do legionów. Wśród tych przybocznych byli dwaj jego synowie i młodociany syn Metellusa Świńskiego Numidyjskiego, Prosiak. Być może dlatego, że Maliusz Maksymus uważał dowodzony przez Silona legion Marsów za najlepiej wyszkolony i najbardziej karny - a może dlatego, że mniej cenił życie Marsów niż Rzymian, choćby i rzymskiej hołoty - stali oni na najdalszym wschodnim skraju linii bojowej, na prawym skrzydle i bez osłony kawalerii. Obok niego stał legion tegorocznych nowozaciężnych pod dowództwem Marka Liwiusza Druzusa, któremu przydzielono na zastępcę Kwintusa Sertoriusza. Potem stał pomocniczy legion Samnitów, a za nimi kolejny rzymski legion nowozaciężnych. Im bardziej linia bojowa zbliżała się do rzeki, tym gorzej wyszkolone i mniej doświadczone były legiony i tym więcej było w nich trybunów wojskowych. Legion Cepiona Młodszeo złożony z całkiem zielonych żołnierzy stał nad brzegiem rzeki, mając obok siebie równie niedoświadczonych ludzi Sekstusa Cezara.

Bezładny atak Germanów nastąpił dwie godziny po świcie szóstego października, mniej lub bardziej jednocześnie na obóz Cepiona i linię bojową Maliusza Maksymusa.

Żaden z pięćdziesięciu pięciu tysięcy żołnierzy Cepiona nie ocalał, kiedy Germanie natarli jednocześnie na całej długości trzech lądowych boków obozu, wlewając się do środka, aż ścisk zrobił się tak wielki, że rannych tratowano na równi z zabitymi. Sam Cepion nie tracił czasu. Gdy ujrzał, że nie ma nadziei na powstrzymanie Germanów przed wałami, rzucił się do swej łodzi i kazał wiosłarzom płynąć jak na wyścigach na zachodni brzeg Rodanu. Garść jego porzuconych żołnierzy próbowała ratować się pływaniem, mieli jednak za plecami Germanów i nie było czasu na zrzućenie dwudziestofuntowych kolczug, a nawet na odpięcie hełmów, wszyscy więc potonęli. Cepion i załoga jego łodzi byli jedynymi, którzy uszli z życiem.

Maliusz Maksymus sprawił się nieco lepiej. Walcząc dzielnie z olbrzymią przewagą wroga, Marsowie wyginęli prawie do ostatniego i to samo spotkało walczący obok nich legion Druzusa. Silon padł ranny w bok, a Druzus stracił przytomność pod ciosem rękojeści germańskiego miecza na samym początku bitwy. Kwintus Sertoriusz usiłował utrzymać szyk swoich ludzi, ale ataku Germanów nie można było powstrzymać. Gdy jedni ginęli, ich miejsce natychmiast zajmowali inni, a ich liczba była niewyczerpana. Sertoriusz padł także ranny w udo. To, że włócznia nie dosięgła tętnicy, było tylko kwestią szczęścia.

Legiony najbliższe rzeki skierowały się ku niej, starając się pozbyć ciężkiego wyposażenia przed zanurzeniem się w wodzie. Jedyńm sposo-

bem ucieczki było przepłynięcie Rodanu. Cepion Młodszy pierwszy uległ pokusie, ale Sekstus Cezar został cięty mieczem przez jednego z własnych żołnierzy, kiedy próbował ich zatrzymać, i ranny w biodro przepadł gdzieś w zamęcie. Mimo protestów Kotty sześciu senatorów przewieziono na zachodni brzeg przed rozpoczęciem się bitwy. Maliusz Maksymus nalegał, by opuścili pole walki i jako obserwatorzy przyglądali się bitwie z bezpiecznego miejsca.

- Jeśli zginiemy, wy musicie przeżyć i zanieść wiadomość senatowi i ludowi rzymskiemu.

Rzymianie z zasady oszczędzali pokonanych, bo sprawni fizycznie wojownicy osiągalni wysokie ceny jako niewolnicy przeznaczeni do pracy w kopalniach i kamieniołomach, tragarze portowi i robotnicy budowlani.

Ani jednak Celtowie, ani Germanowie nie darowali życia wrogom, biorąc w niewolę tylko tych, którzy mówili ich językami, i tylko w takiej liczbie, w jakiej mogli im się oni przydać.

Tak więc, po krótkiej i niesławnej godzinnej bitwie, zastępy Germanów opanowały jej pole zasłane tysiącami ciał Rzymian i dobijały wszystkich, którzy jeszcze żyli. Nie była to na szczęście planowa akcja, inaczej żaden z dwudziestu czterech trybunów wojskowych nie przeżyłby bitwy pod Arauzjoną. Druzus był tak mocno ogłuszony, że wszyscy brali go za martwego, a Kwintus Popediusz Silon, przywalony ciałami poległych Marsów, również nie został rozpoznany. Kwintus Sertoriusz z nogą całkowicie sparaliżowaną udawał martwego, Sekstus Cezar zaś, całkowicie odsłonięty, łapał oddech z takim trudem i z tak posiniałą twarzą, że nikt nie trudził się odbieraniem mu życia, które i tak już samo się kończyło.

Obaj synowie Maliusza Maksymusa zginęli, galopując to tu, to tam z rozkazami swego oszołomionego ojca, ale syn Metellusa Świńskiego Numidyjskiego, młody Prosiak zrobiony był z twardszego materiału. Kiedy zobaczył, że klęska jest nieuchronna, zepchnął nad rzekę opadłego z sił Maliusza Maksymusa i z pół tuzina jego przybocznych, którzy stali przy nim na szczycie wału, i tam wsadził ich do jakiejś łodzi. Poczynaniami Metellusa Prosiaka nie kierował jedynie instynkt samozachowawczy, miał on bowiem swoją dozę odwagi, tyle że użył tej odwagi dla ratowania życia swego dowódcy.

O piątej godzinie dnia wszystko było skończone. Potem Germanie znów zawrócili na północ i przeszli trzydzieści mil aż do miejsca, gdzie tysiące ich wozów stały wokół obozu Aureliusza. W obozie Maliusza Maksymusa - i Cepiona - znaleźli wspaniały łup: ogromne zapasy pszenicy i innych artykułów żywnościowych oraz wystarczającą liczbę wozów, mułów i wołów, żeby to wszystko wywieźć. Złoto, pieniądze, ubrania, nawet broń i zbroje nie pociągały ich ani trochę, ale zapasom żywności Maliusza i Cepiona nie mogli się oprzeć, zabrali więc wszystko, do ostatniego pościa boczku i ostatniego garnczka miodu. Zabrali też kilkaset amfor wina.

Jeden z germańskich tłumaczy, pojmany w obozie Aureliusza i przywrócony na łono narodu cymbryjskiego, potrzebował tylko paru godzin, by pojąć, że o wiele za długo przebywał wśród Rzymian, by mu odpowiadało życie barbarzyńców. Przy pierwszej okazji ukradł konia i ruszył na połud-

nie, do Arauzjony. Wybrał drogę z dala od rzeki, nie chcąc oglądać śladów straszliwej klęski Rzymian czy choćby tylko zwęszyć odór ich nie pogrzebanych ciał.

Dziewiątego października, trzy dni po bitwie, prowadził swego zmęczonego wierzchowca po bruku głównej ulicy tego kwitnącego miasta, wypatrując kogoś, komu mógłby przekazać nowinę, i nie znajdując nikogo. Wyglądało na to, że cała ludność uciekła przed zbliżającymi się Germanami. Potem wypatrzył na końcu głównej ulicy willę najważniejszej osobistości w Arauzjonie - rzymskiego obywatela, oczywiście - a w niej oznaki życia.

Najważniejszą osobistością w Arauzjonie był miejscowy Gal, Marek Antoniusz Meminiusz, noszący to nazwisko, ponieważ otrzymał obywatelstwo od Marka Antoniusza za zasługi dla armii Gnejusza Domicjusza Ahenobarba przed siedemnastu laty. Dzięki temu wywyższeniu i poparciu rodu Antoniuszy zapewnił sobie koncesje na handel Galii Zaalpejskiej z Italią i doskonale mu się powodziło. Obecnie był najwyższym urzędnikiem w mieście. Niedawno starał się przekonać mieszkańców, by pozostali w domach przynajmniej tak długo, aż się okaże, kto wygrał bitwę na północy. Gdy mu się nie powiodło, zdecydował się pozostać mimo to sam. Jako człowiek roztropny odesłał z miasta swe dzieci pod opieką wychowawcy, zakopał złoto i zamaskował wielką kamienną płytą wejście do piwniczki z winem. Żona oświadczyła, że woli zostać z nim, niż wyjechać z dziećmi, i tak oto we dwoje, z garścią wiernej służby, wysłuchali odgłosów krótkiej bitwy, które doleciały do miasta z obozu Maliusza Maksymusa.

Kiedy nikt się nie zjawiał, Meminiusz wysłał jednego z niewolników, żeby zbadał, co się wydarzyło, i wciąż jeszcze był oszołomiony nowinami, gdy pierwsi wyżsi oficerowie rzymscy przybyli do miasta, ratując swoją skórę. Byli to Gnejusz Maliusz i garść jego przybocznych, zachowujący się raczej jak oszołomione zwierzęta ofiarne niż jak wysokiej rangi rzymscy wojskowi. To wrażenie Meminiusza umocniło jeszcze zachowanie się syna Metellusa Numidyjskiego, który zaganiał tamtych z kaśliwością małego pieska. Meminiusz z żoną wyszli im osobiście naprzeciw, wprowadzili towarzystwo do willi, nakarmili i napoili, i usiłowali uzyskać jakieś spójne wyjaśnienie, co się właściwie wydarzyło. Te usiłowania zawiodły, bo jedyny, który zachował rozsądek, młody Metellus Prosiak, jękał się tak bardzo, że nie mógł wykrztusić dwóch słów, Meminiusz zaś i jego żona nie znali wcale greki i słabo mówili po łacinie.

W ciągu następnych dwóch dni przywlekło się więcej rozbitków, ale w sumie było ich żałośnie mało i nie było wśród nich szeregowych żołnierzy. Jakiś centurion mówił, że na zachodnim brzegu przebywa ich kilka tysięcy, oszołomionych i pozbawionych przywództwa. Ostatni zjawiał się Cepion, w towarzystwie syna, na którego natrafił na zachodnim brzegu, podążając do Arauzjony. Kiedy Cepion dowiedział się, że Maliusz Maksymus schronił się w domu Meminiusza, nie chciał się tam zatrzymać. Wolał ruszać natychmiast do Rzymu, zabierając syna ze sobą. Meminiusz dał mu dwie dwukółki z zaprzęgiem czterech mułów każda i dostarczył żywności i woźniców.

Maliusz Maksymus, złamany żalem po śmierci synów, dopiero trzeciego dnia był w stanie spytać o sześciu senatorów. Meminiusz nawet o nich nie słyszał, a gdy Maliusz nalegał na wysłanie grupy poszukiwawczej, wahał się w obawie, że Germanie nadal zajmują pole bitwy. Bardziej zajmowało go zapewnienie sobie, żonie i swoim gościom możliwości szybkiej ucieczki w bezpieczne miejsce.

Takie było położenie, kiedy germański tłumacz przyjechał do Arauzjony i trafił do Meminiusza, który pojął z miejsca, że przynosi on ważne nowiny, ale żaden z nich nie rozumiał łaciny drugiego. Meminiusz nie wpadł na pomysł, by prosić Maliusza Maksymusa o rozmowę z tłumaczem. Przyjął go pod swój dach i kazał czekać, aż ktoś znający języki będzie w stanie z nim pomówić.

Gdy Germanie pociągnęli z powrotem na północ, zaginione poselstwo senackie pod wodzą Kotty zdecydowało się wrócić łodzią zza rzeki i zacząć szukać na pobojowisku tych, którzy przeżyli. Z liktorami i sługami było ich razem dwudziestu dziewięciu. Prowadzili poszukiwania, nie zważając na możliwość powrotu Germanów. Czas upływał, nikt jednak nie przybywał im na pomoc.

Druzus ocknął się o zmierzchu i przeleżał półprzytomny całą noc. O świcie był już w stanie popełznąć na poszukiwanie wody. Rzeka była odległa o trzy mile, obóz prawie równie daleko, ruszył więc na wschód, z nadzieją natrafienia na jakiś strumień, bo teren zaczynał się wznosić. O kilka stóp dalej znalazł Kwintusa Sertoriusza, który pomachał mu ręką.

- Nie mogę się ruszyć. - Sertoriusz oblizywał spękane wargi. - Noga jest martwa. Czekalem, aż ktoś przyjdzie, choćby i Germanie.

- Chce mi się pić - wychrypiał Druzus. - Znajdę wodę i wrócę.

Wszędzie leżeli zabici, całe ich łany, głównie jednak za plecami Druzusa, padł bowiem na pierwszej linii i na samym początku bitwy, a Rzymianie nie posunęli się potem ani o krok, tylko cofali się i cofali. Sertoriusz także pozostał na pierwszej linii, gdyby zaś leżał pośród stosów ciał o niewiele stóp dalej, Druzus nigdy by go nie znalazł.

Druzus stracił swój ciężki hełm attycki. Podmuch wiatru zsunął mu kosmyk włosów na opuchliznę wokół prawego oka, tak nabrzmiała i napięta na kościach twarzy, że to muśnięcie pasemkiem włosów rzuciło go w bólu na kolana.

Wola życia to jednak potęga. Druzus stanął jakoś na nogach i powłókł się na wschód. Uświadomił sobie nawet, że ma w czym przynieść wody Sertoriuszowi i innym potrzebującym, i ściągnął hełmy z dwóch zabitych żołnierzy marsyjskich, pojękując przy tym z bólu.

I oto na polu wśród poległych Marsów stał osiołek wozivody, nie mogąc się poruszyć, bo jego uździenica owinięta była wokół ręki kogoś przywalonego zwłokami innych. Osiołek usiłował się uwolnić, ale tylko zaciskał postronek na posiniałej już ręce. Druzus wciąż miał swój sztylet, odciął więc powróz od martwej ręki i uwiązał sobie osiołka do pasa, żeby mu nie uciekł, gdyby zemdłał. Zwierzę stało jednak spokojnie, kiedy gasił pragnienie, a potem posłusznie poszło za nim.

Na skraju kłębowiska ciał widać było czyjeś poruszające się nogi. Przy akompaniamencie własnych jęków i porykiwania osiołka Druzus zdołał jakoś ściągnąć kilka ciał z marsyjskiego dowódcy, który okazał się wcale żywy. Jego pancerz z brązu był wgnieciony pod prawym ramieniem, a z otworu w środku wgniecenia sączył się jakiś różowy płyn.

Druzus ostrożnie wyciągnął dowódcę na skrawek stratowanej trawy i zaczął odpinać sprzączki pancerza spinające na lewym boku napierśnik z naplecznikiem. Tamten miał zamknięte oczy, ale tętno biło mu mocno, a gdy Druzus podważył napierśnik, krzyknął z bólu.

- Zostaw mnie! - odezwał się najczystsza łaciną.

Druzus przerwał na chwilę, a potem podjął rozpinanie skórzanego kaftana.

- Leż spokojnie, głupcze. Pomagam ci. Chcesz wody?

- Wody - powtórzył jak echo marsyjski dowódca.

Druzus napił go z hełmu i został wynagrodzony otwartym spojrzeniem żółtozielonych oczu, które nasunęły mu na myśl węże. Marsowie byli czcicielami węży, zaklinali je, tańczyli z nimi, a nawet całowali je z zetknięciem się języków. Nietrudno uwierzyć, patrząc w te oczy.

- Kwintus Popediusz Silon - przedstawił się tamten. - Dopadł mnie jakiś *irrumator*. Miał chyba z osiem stóp wzrostu.

Zamknął oczy i dwie łzy stoczyły się po jego zakrwawionych policzkach. - Moi ludzie... wszyscy zginęli, prawda?

- Chyba tak - odrzekł cicho Druzus. - Tak jak moi i wszyscy inni. Jestem Marek Liwiusz Druzus. A teraz trzymaj się, ściągnę z ciebie kaftan.

Rana już nie krwawiła dzięki wełnianej tunice, którą w nią wcisnęła długa miecz germański. Druzus wyczuwał dłońmi połamane żebra, ale pancerz, skórzany kaftan i żebra powstrzymały ostrze przed wnikiem głębiej.

- Przeżyjesz. Potrafisz wstać? Towarzysz z mego legionu potrzebuje pomocy. Zostaniesz tu i przyjdiesz później czy pójdziesz teraz ze mną? - Nowy podmuch wiatru rzucił mu znów kosmyk włosów na stłuczone czoło, on zaś krzyknął z bólu.

Kwintus Popediusz Silon oceniał położenie.

- Niewiele mi pomożesz, w twoim stanie. Gdybyś mi podał mój sztylet, zrobię sobie opatrunek z kawałka tuniki. W tym Tartarze nie mogę ryzykować, że rana znów zacznie krwawić.

Druzus podał mu sztylet i ruszył ze swym osłem.

- Gdzie cię znajdę? - spytał Silon.

- Tam dalej, w następnym legionie.

Sertoriusz był wciąż przytomny. Z wdzięcznością przyjął wodę, a potem zdołał usiąść. Był najciężej ranny z nich trzech i nie sposób go było ruszyć, chyba że Druzusowi pomógłby w tym Silon. Na razie więc Druzus opadł obok Sertoriusza i odpoczywał, póki w godzinę później nie pojawił się Silon. Słońce wznosiło się na niebie i zaczynało się robić gorąco.

- Musimy we dwóch odciągnąć Kwintusa Sertoriusza od tych trupów, żeby uchronić jego nogę przed zakażeniem - powiedział Silon. - Potem jakoś go osłonimy przed słońcem i poszukamy innych.

Wszystko to robili przeraźliwie wolno i kosztowało to ich wiele bólu, ale

w końcu ulokowali Sertoriusza możliwie wygodnie i wyruszyli na poszukiwania. Nie zaszli daleko, kiedy Druzus dostał mdłości i zwinął się w kłębek w pyle na stratowanym polu, a z każdym skurczem przepony i żołądka wyrывał mu się okrzyk bólu. Silon, który czuł się nieco lepiej, osunął się przy nim, a osiołek, uwiązany wciąż do pasa Druzusa, czekał cierpliwie.

Potem Silon obejrzał głowę Druzusa.

- Ulżyłoby ci, Marku Liwiuszu, gdybym naciął tę opuchliznę. Zdobędziesz się na to?

- Zdobędę się, na co zechcesz, byle mi pomogło - dyszał Druzus.

Silon wymamrotał jakieś zaklęcie czy przywołanie w jakimś starożytnym języku, którego Druzus nie zdołał rozpoznać. Nie był to oskijski, bo ten znał. „Zaklinanie węży”, pomyślał i poczuł się dziwnie pocieszony. Ból był oszłamiający. Druzus zemdłał, a gdy leżał nieprzytomny, Silon wycisnął z obrzemia tyle złej krwi i surowicy, ile zdołał, pomagając sobie przy tym kawałkiem jego tuniki. Druzus poruszył się i oprzytomniał.

- Lepiej ci?

- O wiele.

- Gdybym to przewiązał, bolałoby cię. Ocieraj tylko czoło tą szmatą. W końcu przyschnie. - Silon spojrział na bezlitosne słońce. - Musimy schować się w cieniu, bo nie przetrwamy, a wtedy i Sertoriusz nie przeżyje.

Im bardziej zbliżali się do rzeki, tym więcej było oznak życia; słabe wołania o pomoc, jęki, poruszenia.

- To istna obraza bogów - rzekł z gniewem Silon. - Gorzej zaplanowanej bitwy jeszcze nie było. Zostaliśmy skazani na stracenie! Przeklęty Gnejusz Maliusz Maksymus! Oby wielki wąż, nosiciel światła, dławił Gnejusza Maliusza w jego snach!

- Zgadzam się, to było całkowite fiasko, a dowodzono nami nie lepiej niż ludźmi Kasjusza pod Burdigalą. Trzeba jednak sprawiedliwie dzielić winę, Kwintusie Popediuszu. Jeśli Gnejusz Maliusz jest winny, o ileż większa jest wina Kwintusa Serwiliusza Cepiona? - Ciężko było to powiedzieć o własnym teściu.

- Cepion? Co on ma z tym wspólnego?

Rana głowy dokuczała znacznie mniej. Druzus bez wysiłku obrócił się do Silona.

- Więc ty nie wiesz?

- A co Italczyk może wiedzieć o decyzjach rzymskich wodzów? - Silon splunął z pogardą. - My jesteśmy po to, żeby walczyć.

- No cóż, Kwintus Serwiliusz, odkąd przybył tu z Narbony, odmawiał współpracy z Gnejuszem Maliuszem. - Druzus zadrżał. - Nie życzył sobie przyjmować rozkazów od człowieka nowego.

Silon wpatrywał się w Druzusa; żółtozielone oczy utkwione były w czarnych.

- Chcesz powiedzieć, że Gnejusz Maliusz wzywał Kwintusa Serwiliusza do tego obozu?

- Oczywiście, że wzywał! I to samo robiło sześcioro senatorów z Rzymu. Kwintus Serwiliusz nie życzył sobie jednak służyć pod człowiekiem

nowym.

- I mówisz, że to Kwintus Serwiliusz doprowadził do rozdzielania obu armii? - Silon nie mógł najwidoczniej uwierzyć w to, co usłyszał.

- Tak, Kwintus Serwiliusz! - To musiało zostać powiedziane. - To mój teść, ożeniłem się z jego córką. Jego syn to mój najlepszy przyjaciel i jest mężem mojej siostry. Walczył tu dziś przy Gnejuszu Maliuszu. Chyba zginął. - Druzus ocierał łzy z twarzy. - Duma to sprawiła, Kwintusie Popediuszu! Głupia, niepotrzebna duma!

Silon zatrzymał się.

- Sześć tysięcy marsyjskich żołnierzy i dwa tysiące marsyjskich pachołków zginęło tu dzisiaj, a ty mi mówisz, że jakiś wysoko urodzony rzymski dureń obraził się na jakiegoś nisko urodzonego rzymskiego durnia? - z trudem łapał oddech i trząsał się z wściekłości. - Niech ich porwie wielki wąż noszący światło!

- Może niektórzy z twoich jeszcze żyją. - Druzus nie usprawiedliwiał przełożonych, ale starał się pocieszyć swego towarzysza, którego ogromnie już polubił. I w dodatku cierpiał istne męki. Ten ból nie miał nic wspólnego z raną, był to raczej straszliwy żal. Marek Liwiusz Druzus, który aż do dziś nic nie wiedział o prawdziwym życiu, dławił się wstydem na samą myśl o ludziach rządzących Rzymem, sprawcach tak wielkiego nieszczęścia z tak mało ważnych powodów.

- Nie, oni nie żyją. Przeszedłem między nimi. To właśnie zajęło mi tyle czasu. Wszyscy są martwi.

- Moi także - zaszlochał Druzus. - Uderzenie z prawej poszło na nas i nie mieliśmy żadnego wsparcia.

Zaraz potem spostrzegli w oddali grupę senatorów i zaczęli wołać o pomoc.

Marek Aureliusz Kotta sam przywiózł do Arauzjony trybunów wojskowych, idąc pięć mil za zaprzęgiem mułów. Zostawił swoich towarzyszy starających się zaprowadzić jakiś porządek wśród chaosu. Marek Antoniusz Meminiusz zdołał namówić kilku miejscowych Galów z gospodarstw wokół Arauzjony do wyjazdu na pobojuwisko i udzielenia pomocy.

- Mija jednak trzeci dzień - mówił Kotta do Meminiusza po przybyciu do willi urzędnika. - Musimy coś zrobić ze zwłokami.

- Mieszczanie uciekli, a gospodarze są przekonani, że Germanie wrócą. Nie masz pojęcia, jak trudno namówić kogoś do pomocy.

- Nie wiem, gdzie są Germanie, i nie mogę zrozumieć, czemu odeszli znów na północ. Jak dotąd nie ma po nich śladu. Nie mam nikogo, kogo mógłbym posłać na zwiady, a pole bitwy jest teraz ważniejsze.

- Ach! - Meminiusz klepnął się w czoło. - Ktoś tu przyjechał parę godzin temu. O ile zrozumiałem - nie bardzo go rozumiem - to jeden z germańskich tłumaczy z obozu kawalerii. Mówi po łacinie, ale z dziwnym akcentem. Gdybyś z nim porozmawiał, może zgodziłby się być zwiadowcą.

Kotta posłał po Germanina, a to, czego się dowiedział, zmieniało wszystko.

- Doszło do okropnej kłótni, rozpadła się rada thanów i trzy narody poszły każdy w swoją stronę - mówił tamten.
- Mówisz, że thanowie się pokłócili?
- Teutobod z Bojoryksem, od tego się w każdym razie zaczęło. Wojownicy wrócili do wozów, a rada zebrała się, żeby podzielić łupy. Mieli mnóstwo wina zdobytego w trzech rzymskich obozach, było więc co pić. Potem Teutobod powiedział, że miał sen, w którym jechał przy wozach swego ludu. Tam pojawił mu się wielki bóg Ziu i oznajmił, że jeśli jego naród będzie nadal maszerował na południe, w kraje Rzymian, Rzymianie pobiją go i wszyscy, wojownicy, kobiety i dzieci, zostaną zabici lub sprzedani w niewolę. Teutobod powiedział, że poprowadzi Teutonów do Hiszpanii przez ziemie Galów, nie zaś przez ziemie Rzymian. Bojoryks jednak stanowczo się temu sprzeciwił, zarzucając tamtemu tchórzostwo, i oświadczył, że Cymbrowie pójdą na południe w kraje Rzymian bez względu na to, co zrobią Teutoni.
- Czy jesteś tego pewien? - pytał Kotta, ledwie mogąc w to uwierzyć. - Skąd to wiesz? Ktoś ci to mówił czy byłeś przy tym?
- Byłem tam, panie.
- Dlaczego? Jakim sposobem?
- Czekałem, aż mnie Cymbrowie zabiorą do swoich wozów, bo jestem Cymbrem. Wszyscy byli bardzo pijani i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Doszedłem do wniosku, że nie chcę być znowu Germaninem, pomyślałem więc, że powinienem dowiedzieć się jak najwięcej i uciec.
- Mów dalej - ponaglał go Kotta.
- Reszta thanów włączyła się do kłótni, a potem Getoryks, który przewodzi Markomanom, Cheruskom i Tygurynom, zaproponował, by tę sprawę rozstrzygnąć z udziałem tych, którzy zostali wśród Eduów i Ambarów. Nikt jednak nie był za tym oprócz jego ludzi. Thanowie teutońscy stanęli przy Teutobodzie, a cymbryjscy przy Bojoryksie. Rada zakończyła się wczoraj na tym, że każdy z trzech narodów chce czego innego. Teutobod rozkazał Teutonom iść w głąb Galii i kierować się do Hiszpanii przez ziemie Kardurków i Petrokoriów. Getoryks i jego ludzie pozostaną wśród Eduów i Ambarów, a Bojoryks przeprowadzi Cymbrów na drugą stronę Rodanu i pójdzie do Hiszpanii, raczej skrajem rzymskich posiadłości niż przez nie.
- Więc to dlatego nie dawali znaku życia!
- Tak, panie. Nie pójdą na południe przez ziemie Rzymu.
- Kotta wrócił do Meminiusza i z uśmiechem przekazał mu nowinę.
- Rozgłoś to, Marku Meminiuszu, najprędzej, jak się da. Musisz przecież spalić zwłoki, zanim zatrują ci ziemię i wodę, a zaraza wyrządzi więcej szkód niż Germanie. Gdzie jest Kwintus Serwiliusz Cepion?
- W drodze do Rzymu, Marku Aureliusz.
- Co takiego?!
- Odjechał z synem, by zawieźć wiadomość do Rzymu najprędzej, jak się da.
- Ach, nie wątpię - rzekł ponuro Kotta. - Jedzie drogą?
- Oczywiście, Marku Aureliusz. Dałem mu dwukółki i muły ze swoich

stajni.

Kotta podniósł się, zmęczony, ale pełen nowych sił.

- To ja przyniosę do Rzymu wiadomość o Arauzjonie! Choćbym miał przypiąć skrzydła, prześcignę Kwintusa Serwiliusza, przysięgam! Dasz mi, Marku Memiliuszu, najlepszego konia. O świcie ruszam do Massylii.

Jechał galopem do Massylii bez żadnej eskorty. W Glanum kazał sobie dać świeżego konia i drugiego w Aque Sextiae i dotarł do Massylii w siedem godzin po wyjeździe z Arauzjony. Ten wielki port zbudowany przed wiekami przez Greków nie miał jeszcze żadnych wieści o wielkiej bitwie sprzed czterech dni. Kotta ujrzał miasto w gorączce oczekiwania na przyjście Germanów.

Kiedy wskazano mu dom etnarchy, wszedł tam z całą arogancją i pośpiechem rzymskiego urzędnika kurulnego, mającego nie cierpiącą zwłoki sprawę. Ponieważ Massylię łączyły z Rzymem związki przyjaźni, ale nie podlegała ona rzymskim prawom, Kottę mogło spotkać grzeczne wyproszenie za drzwi. Oczywiście nic takiego nie zaszło, zwłaszcza po tym, jak etnarcha i kilku jego doradców mieszkających w pobliżu usłyszało, co Kotta ma do powiedzenia.

- Chcę dostać najszybszy statek, jaki macie, i najlepszych w Massylii wioślarzy i żeglarzy - mówił. - Nie będzie żadnego ładunku, zabiorę więc dwie dodatkowe zmiany wioślarzy na wypadek, gdyby trzeba było wiosłować pod wiatr i stawić czoło morzu. Klnę się bowiem, etnarcho Arystydesie, że za trzy dni będę w Rzymie, choćbym miał wiosłować przez całą drogę! Nie będziemy się trzymać brzegu - popłyniemy prosto do Ostii. Dasz mi najlepszego nawigatora w Massylii. Kiedy będzie przytyły?

- Będziesz miał swój statek i załogę o świcie i to się zgadza z przytywem - odpowiedział uprzejmie etnarcha. Zakasłał. - A kto za to płaci?

„Prawdziwy Grek massylski”, pomyślał Kotta, ale nie powiedział tego.

- Wypisz mi rachunek. Zapłaci senat i lud rzymski.

Rachunek wypisano od ręki. Kotta spojrzał na oburzająco wysoką cenę i odchrząknął.

- To straszne - rzekł do etnarchy - że złe nowiny kosztują tyle, co wojna z Germanami. Nie opuścisz paru drachm?

- Zgadzam się, że to straszne - etnarcha nawet się nie zająknął - ale interes jest interesem. Cena jest stała, Marku Aureliuszu. Bierzesz albo nie.

- Biorę - rzekł Kotta.

Cepion i syn nie pomyśleli nawet o zbaczaniu do Massylii. Nikt nie wiedział lepiej niż Cepion - weteran po roku spędzonym w Narbonie i roku w Hiszpanii, kiedy był pretorem - że w Zatoce Galijskiej zawsze wieją przeciwnie wiatry. Pojechał Via Domitia w górę doliny Druencji, wjechał do Galii italskiej przez przełęcz pod Mons Genava i śpieszył się, jak mógł, jadąc Via Emilia i Via Flaminia. Miał nadzieję, że będzie robił siedemdziesiąt mil dziennie, jeśli zdoła zapewnić sobie odpowiednio częste zmiany zaprzęgów, liczył zaś przy tym na swoje imperium prokonsula. Nie przeliczył się i z biegiem mil nabierał pewności, że wyprzedzi nawet senackiego kuriera. Tak szybko przeprawił się przez Alpy, że Wokontowie stale

wypatrujący samotnych rzymskich podróżnych na Via Domitia nie zdążyli zorganizować napaści na dwie galopujące dwukółki.

Kiedy Cepion dotarł do Ariminum na końcu Via Emilia, wiedział już, że po dobrej drodze i z mnóstwem świeżych mułów dojedzie w siedem dni z Arauzjony do Rzymu. Nareszcie mógł odetchnąć. Jego wersja wydarzeń pod Arauzjoną będzie pierwszą, jaką Rzym usłyszy, a to dziewięć dziesiątych sukcesu. Kiedy ukazało się Fanum Fortunae i dwukółki skrzyły na Via Flaminia, aby przeciąć Apeniny i zjechać w dolinę Tybru, Cepion był pewien zwycięstwa. Rzym uwierzy w jego wersję przebiegu bitwy pod Arauzjoną.

Fortuna wybrała jednak innego. Marek Aureliusz Kotta przepłynął Zatokę Galijską z Massylii do Ostii z pomyślnym wiatrem lub też przy bezwietrznej pogodzie, daleko lepszej, niż się tego spodziewał. Kiedy wiatr przycichał, zawodowi wiosłarze zajęli miejsca przy wiosłach, hortator zaczął wybijać rytm i trzydzieści grzbietów zginało się w wysiłku. Statek był niewielki, budowany raczej z myślą o szybkości, nie zaś o nośności, i podejrzanie przypominał Kocie okręt wojenny, chociaż Massylczycy nie powinni utrzymywać takich okrętów bez zgody Rzymu. Nad dwoma rzędami po piętnaście wiosł biegły pomosty, gdzie można było zawiesić tarcze i w mgnieniu oka zamienić je w stanowiska bojowe. Kotta wypatrzył też miejsce, gdzie zapewne stała zwykle ciężka katapulta. Piractwo było opłacalnym zajęciem i szerzyło się od końca do końca Morza Środkowego.

Kotta nie miał zwyczaju grymasić, przyjmując dary Fortuny, wysłuchał więc z obojętną miną dowódcy statku, który wyjaśniał, że pomosty nad wiosłarzami to pokłady spacerowe dla pasażerów, bo pasażerowie to jego specjalność, a kabiny są nieco prymitywne. Przed odpłynięciem przekonał też Kottę, że dwie dodatkowe zmiany wiosłarzy są zbędne, bo jego ludzie są najlepsi i utrzymają najwyższą prędkość przy jednej tylko dodatkowej zmianie. Potem Kotta rad był, że się na to zgodził, bo zmniejszyło to ciężar statku, a wiatr dmuchał wystarczająco silnie, by dać wytchnienie wiosłarzom.

Statek wypłynął ze wspaniałego portu Massylii o świcie jedenastego października, a zarzucił kotwicę w ubogim porcie w Ostii o świcie w dniu poprzedzającym idy, dokładnie po trzech dniach. W trzy godziny zaś później Kotta wchodził do domu konsula Publiusza Rutyliusza Rufusa, rozpraszając klientów niczym lis kury.

- Precz stąd! - krzyknął na klienta zasiadającego w krzesle przy stole Rutyliusza Rufusa i sam upadł wyczerpany na to krzesło, gdy klient pomykał ku drzwiom.

Senat został wezwany na nadzwyczajne zebranie w budynku kurii w południe. Cepion i syn o tej właśnie porze kłusowali rażno po ostatnim odcinku Via Emilia.

- Zostaw drzwi otwarte - polecił Rutyliusz Rufus odpowiedzialnemu urzędnikowi. - Temu właśnie zebraniu musi się przysłuchiwać lud. Chcę też, żeby zapisano każde słowo.

Jeśli wziąć pod uwagę krótki termin zawiadomienia, kuria była dość

pełna, bo w jakiś niewytłumaczalny sposób po mieście zaczęła już krążyć plotka o straszliwej klęsce poniesionej z rąk Germanów w Galii. Niecka komicjów u stóp schodów kurii Hostylii gwałtownie wypełniała się ludźmi i tak samo wypełniały się stopnie i wszystkie wolne przestrzenie w sąsiedztwie.

Ojcowie spisani pamiętali listy Cepiona z protestami przeciw Maliuszowi Maksymusowi i żądaniami naczelnego dowództwa i obawiali się nowego etapu tej kłótni, byli więc czujni. Nie mając zaś od tygodni żadnych wiadomości od Cepiona, Marek Emiliusz Skaurus był w niekorzystnej sytuacji i zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy więc konsul Rutyliusz Rufus kazał zostawić otwarte drzwi, Skaurus nie zrobił nic, by temu zapobiec. Metellus Numidyjski również. Wszystkie oczy wpatrzono w Kottę, któremu ustawiono krzesło przed pierwszym rzędem ław, przy podwyższeniu, na którym stało krzesło z kości słoniowej jego szwagra Rutyliusza Rufusa.

- Marek Aureliusz Kotta przybył dziś rano do Ostii - oznajmił Rutyliusz Rufus. - Trzy dni temu był w Massylii, a dzień wcześniej w Arauzjonie, pod którą obozowały nasze armie. Oddaję głos Markowi Aureliuszowi Kocie i przypominam, że przebieg dzisiejszego zebrania zostanie zapisany dosłownie.

Oczywiście Kotta wykapał się i przebrał, ale nie mogło być wątpliwości co do oznak zmęczenia widocznych w jego poszarzałej twarzy, tak zwykle rumianej, i w jego postawie, gdy wstał z miejsca.

- W dniu przed nonami października, ojcowie spisani, odbyła się bitwa pod Arauzjoną - mówił, nie potrzebując podnosić głosu, bo w kurii panowała całkowita cisza. - Germanie nas rozgromili. Zginęło osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy.

Nikt nie krzyknął ani nie mruknął, ani się nie poruszył. Kuria trwała w milczeniu tak głębokim, jak w jaskini Sybilli w Kyme.

- Kiedy mówię o osiemdziesięciu tysiącach żołnierzy, mam na myśli tylko żołnierzy. Trzeba doliczyć do tego dwadzieścia cztery tysiące zabitych nieliniowych i osobno poległych kawalerzystów.

Kotta przeszedł do opowiedzenia senatorom, co się wydarzyło po przybyciu delegacji senatu pod Arauzjonę - o bezowocnych targach z Cepionem, o atmosferze niepewności i o zamieszaniu, gdy Cepion szydził z rozkazów wydawanych przez dowództwo armii Maliusza Maksymusa, w którym byli też ludzie Cepiona, jak choćby jego syn. Mówił o wysłaniu męża konsularnego Aureliusza i jego kawalerii zbyt daleko, by mogli działać jako część maszyny wojskowej.

- Zginęło pięć tysięcy kawalerzystów, wszyscy nieliniowi i wszystkie zwierzęta z obozu Aureliusza. Legat Marek Aureliusz Skaurus został wzięty do niewoli i dla przykładu spalony żywcem przez Germanów, ojcowie spisani. Okazał, jak słyszałem od naocznego świadka, wyjątkową odwagę i pogardę śmierci.

Teraz poszarzały twarze senatorów, bo większość miała synów lub braci albo też bratanków i siostrzeńców w tej czy innej armii. Płakali cicho, okrywając głowy togami, albo pochylali się, kryjąc twarze w dłoniach.

Jeden tylko Skaurus, princeps senatu, pozostał wyprostowany, z policzkami płonącymi czerwienią i zaciśniętymi ustami.

- Wszyscy tu ponosicie część winy za tę hańbę - mówił Kotta. - W waszej delegacji nie było żadnego męża konsularnego, a ja, zaledwie byłem pretor, byłem jedynym w niej urzędnikiem kurulnym. W rezultacie Kwintus Serwiliusz Cepion nie chciał mówić z nami jak z równymi dostojnością, a nawet doświadczeniem. Zrozumiał wysłanie ludzi bez znaczenia i wpływów jako wyraz poparcia senatu dla niego w jego sporze z Gnejuszem Maliuszem. I miał prawo tak myśleć, ojcowie spisani! Gdybyście naprawdę chcieli zmusić go do podporządkowania się konsulowi, wysłalibyście delegację samych mężów konsularnych! Nie zrobiliście tego. Celowo wysłaliście pięciu *pedarii* i jednego byłego pretora do jednego z najlepiej urodzonych i najznacześniejszych członków tej kurii!

Nie podniosła się ani jedna głowa, coraz więcej ich kryło się w fałdach tóg. Skaurus siedział jednak wyprostowany, nie spuszczał płonących oczu z twarzy Kotty.

- Rozłam między Kwintusem Serwiliuszem Cepionem a Gnejuszem Maliuszem Maksymusem uniemożliwił połączenie ich armii. Zamiast armii złożonej z siedemnastu legionów i pięciotysięcznej kawalerii, Rzym wysłał w pole dwie armie oddalone o dwadzieścia mil od siebie, przy tym mniejsza była bliżej Germanów, a kawaleria całkiem odłączona. Kwintus Serwiliusz Cepion sam mi powiedział, że nie będzie dzielił tryumfu z Gnejuszem Maliuszem Maksymusem i że celowo ulokował swoją armię zbyt daleko na północ od armii Gnejusza Maliusza, by tamci mogli wziąć udział w jego bitwie.

W głuchej ciszy Kotta nabrał tchu tak głośno i chrapliwie, że Rutyliusz Rufus aż podskoczył. Skaurus ani drgnął. Obok niego Metellus Numidyjski z wolna wychylił głowę spod togi i wyprostował się, ukazując kamienne oblicze.

- Nawet pomijając zgubny rozłam między nimi, trzeba powiedzieć, ojcowie spisani, że ani Kwintus Serwiliusz, ani Gnejusz Maliusz nie mieli odpowiednich zdolności wojskowych, by wygrać z Germanami! Z nich dwóch jednak Kwintus Serwiliusz musi ponieść główny ciężar winy. Nie tylko okazał się on równie marnym wodzem jak Gnejusz Maliusz, ale okazał na dodatek pogardę dla prawa. Uznał prawo za dobre dla zwykłych śmiertelników, ale nie dla niego samego. Tymczasem prawdziwy Rzymianin, Marek Emiliusz Skaurus, princeps senatu - to było powiedziane wprost do przywódcy kurii - uważa prawo za rzecz najważniejszą, rozumiejąc, że pod rządami prawa nie ma różnic społecznych, a jedynie system hamulców i przeciwwag, który wymyśliliśmy, by mieć pewność, że nikt nie uzna się za lepszego od równych sobie. Kwintus Serwiliusz Cepion zachował się, jakby był Pierwszym w Rzymie. Pod rządami prawa nie może jednak być Pierwszego w Rzymie! Oświadczam więc, że Kwintus Serwiliusz złamał prawo, gdy Gnejusz Maliusz okazał się tylko nieudolnym wodzem.

Nadal trwały bezruch i cisza. Kotta westchnął.

- Arauzjona to gorsza klęska niż Kanny, koledzy senatorowie. Wiem, bo

tam byłem. Być może ze dwanaście tysięcy ludzi przeżyło - ci całkiem zieloni - bo uciekali bez rozkazu do odwrotu, porzucając broń i zbroje i przepływając Rodan. Wciąż jeszcze snują się na zachód od rzeki, a tak się boją Germanów, że raczej pójdą do ziemi, niż podejmą ryzyko zebrania się i powrotu do rzymskiej armii. Trybun Sekstus Juliusz Cezar, który chciał powstrzymać uciekających, został pocięty mieczami przez własnych żołnierzy. Z radością oznajmiam, że przeżył, bo znalazłem go na polu bitwy. Germanie uznali go za martwego. Ja i moi towarzysze - razem dwudziestu dziewięciu - byliśmy jedynymi niosącymi pomoc rannym. Przez trzy dni nikt więcej nie przybył. Choć większość leżących na polu już nie żyła, niektórzy niewątpliwie mogli przeżyć, a nie przeżyli, bo nikt im nie udzielił pomocy.

Mimo żelaznej woli panowania nad sobą Metellus Numidyjski wyciągnął dłoń w niemym pytaniu. Kotta dostrzegł ten gest i spojrzał na tego wroga Mariusza, który był jego przyjacielem, sam Kotta nie składał bowiem ofiar na ołtarzu Mariusza.

- Twój syn, Kwintusie Cecyliuszu, wyszedł cało, i to nie dlatego, że stchórzył. Uratował konsula Gnejusza Maliusza i część jego sztabu. Zginęli jednak obaj synowie Gnejusza Maliusza. Z dwudziestu czterech wybranych trybunów wojskowych uszło z życiem tylko trzech - Marek Liwiusz Druzus, Sekstus Juliusz Cezar i Kwintus Serwiliusz Cepion Młodszy. Marek Liwiusz i Sekstus Juliusz byli ciężko ranni. Kwintus Serwiliusz Młodszy, który dowodził najmniej doświadczonym legionem stojącym najbliżej rzeki, uszedł z życiem - nie wiem, czy z honorem - przepływając rzekę.

Kotta przerwał, by odkaszlnąć, zastanawiając się, czy wyraźna ulga widoczna w oczach Metellusa Numidyjskiego wynikała z tego, że jego syn żyje, czy z tego, iż nie okazał się on tchórzem.

- Ta liczba ofiar błędnie w zestawieniu z faktem, że nie uszedł z życiem ani jeden centurion. Rzym został bez oficerów. A wielka armia Galii Zaalpejskiej już nie istnieje. Nigdy nie istniała - dodał po chwili - dzięki Kwintusowi Serwiliuszowi Cepionowi.

Za wielkimi spiżowymi wrotami kurii nowiny były przekazywane przez stojących bliżej tym stojącym zbyt daleko, by słyszeć. Słuchaczy wciąż przybywało. Olbrzymi tłum sięgał już Argiletum i Clivus Argentarius i wypełniał dolne Forum Romanum poza niecką komicjum. Tłum był cichy, słyhać było tylko szlochanie. Rzym przegrał decydującą bitwę. Italia stała otworem przed Germanami.

Zanim Kotta zdążył usiąść, zabrał głos Skaurus.

- A gdzie są teraz Germanowie, Marku Aureliuszu? Jak daleko na południe od Arauzjony byli, kiedy odjeżdżałeś z wiadomościami? O ile dalej mogą być w tej chwili?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, princepsie senatu. Kiedy bitwa się skończyła - a trwała tylko około godziny - Germanowie zawrócili na północ, najwyraźniej do swoich wozów, kobiet i dzieci zostawionych przed obozem kawalerii. Nie wrócili aż do mego odjazdu. Rozmawiałem z Germaninem, który był tłumaczem Marka Aureliusza Skaurusa podczas roz-

mów z wodzami Germanów. Został potem wzięty do niewoli i rozpoznany jako Germanin, więc nic mu się nie stało. Według niego Germanowie się pokłócili i rozdzielili - przynajmniej obecnie - na trzy osobne grupy. Zdaje się, że żadna z grup nie czuje się na tyle pewnie, by wtargnąć na nasze terytorium. Zamierzają iść różnymi szlakami do Hiszpanii przez Galie Długowłosych. Do kłótni doszło jednak przy winie zdobytym w rzymskich obozach. Nie można przewidzieć, jak długo utrzyma się rozłam. Nie mam też pewności, że mój rozmówca powiedział całą prawdę, a choćby tylko część prawdy. Mówił, że uciekł od nich i wrócił do nas, bo nie chce żyć jak Germanin. Może jednak przysłano go, by uspić nasze obawy i uczynić nas łatwą zdobyczą. Wiem tylko na pewno, że gdy odjeżdżałem, nie było żadnych oznak, iż Germanie idą na południe.

Rutyliusz Rufus wstał z miejsca.

- Nie pora teraz na debaty, ojcowie spisani, ani na wzajemne obwinianie się i spory. Pora zacząć działać.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - wołano z tyłu.

- Jutro idy październikowe - ciągnął Rutylus Rufus - co oznacza, że kończy się okres kampanii w polu. Zostało nam jednak bardzo mało czasu, by zapobiec inwazji Germanów na Italię, gdyby przyszła im na to ochota. Mam plan działania, który wam zaraz przedstawię, ale najpierw ostrzegam: przy pierwszych oznakach sporu, niezgody czy różnicy poglądów w tej kurii przedstawię mój plan ludowi i uzyskam aprobatę Zgromadzenia Plebejskiego, co pozbawi was, ojcowie spisani, uprawnień do kierowania sprawami obrony Rzymu. Postępowanie Cepiona ukazuje jasno, co jest największą słabością systemu senackiego. Nie chcemy przyznać, że Przypadek, Fortuna i Szczęście łączą się czasem, by wynieść w górę ludzi z dołów zasługujących bardziej niż my - którym jakoby należy się to z urodzenia i tradycji - by rządzić ludem rzymskim i dowodzić rzymskimi armiami.

Obrócił się i skierował swój dźwięczny i wysoki głos poza otwarte drzwi ponad komicjum.

- Będziemy potrzebować wszystkich zdolnych do noszenia broni z całej Italii, tyle wiemy na pewno. Od Policzonych Głowami do senatu, wszystkich zdolnych do noszenia broni! Żądam zatem, byście zalecili dekretem plebsowi uchwalenie prawa, które zabroni mężczyznom między siedemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia, Rzymianom, Latynom i Italczykom, opuszczanie brzegów Italii i przekraczanie Arna i Rubikonu. Chcę, by już jutro kurierzy z rozkazami galopowali do wszystkich portów naszego półwyspu. Żaden statek ani łódź nie może przyjąć na pokład ludzi zdolnych do noszenia broni, ani do załogi, ani jako pasażerów. Za uchylanie się od służby wojskowej i za udzielanie w tym pomocy karą będzie śmierć.

Nikt w kurii nie odezwał się ani jednym słowem - ani Skaurus, ani Metellus Numidyjski, ani Pontifex Maximus Metellus Dalmatyński, ani Ahenobarbus Starszy, ani Katullus Cezar, ani Scypion Nazyka.

„Świetnie”, pomyślał Rutylus Rufus. „Nie sprzeciwią się temu prawu”.

- Wszyscy nadający się do tego mają zaciągać ludzi z wszystkich klas,

od Policzonych Głowami do senatu. To oznacza, ojcowie spisani, że ci spośród was, którzy mają trzydzieści pięć lat albo mniej, zostaną wcieleni do legionów bez względu na liczbę odbytych kampanii. Jeśli wprowadzimy to prawo w życie, będziemy mieli żołnierzy. Obawiam się jednak, że nie tylu, ilu nam trzeba. Kwintus Serwiliusz wyprowadził z Italii ostatnie rezerwy ludzi z cenzusem majątkowym, a Gnejusz Maliusz zabrał siedemdziesiąt tysięcy Policzonych Głowami.

- Trzeba więc przyjrzeć się innym armiom, którymi rozporządzamy. W Macedonii mamy tylko dwa legiony, oba posiłkowe, których najprawdopodobniej nie można stamtąd wycofać. W Hiszpanii są dwa legiony w prowincji dalszej i jeden w bliższej, z tego dwa rzymskie, jeden posiłkowy. Muszą one nie tylko pozostać w Hiszpanii, ale też zostać poważnie wzmocnione, skoro Germanie zamierzają najechać Hiszpanię.

Skaurus wrócił wreszcie do życia.

- Skończ z tym, Publiusz Rutyliuszu! - rzucił z irytacją. - Przejdź do Afryki i do Gajusza Mariusza!

Rutylus Rufus mrugał, udając zaskoczenie.

- Ależ, dziękuję ci, princepsie senatu, dziękuję! Gdyby nie ty, pewnie bym zapomniał. Nie na darmo zwać cię psem łańcuchowym senatu. Cóż bym bez ciebie począł!

- Oszczędź mi ironii, Publiusz Rutyliuszu! - parsknął Skaurus. - Po prostu skończ z tym.

- Proszę bardzo! W związku z wojną w Afryce trzeba wspomnieć o trzech sprawach. Najpierw: wojna zakończyła się sukcesem - nieprzyjaciel dał za wygraną, a nieprzyjacielski król wraz z rodziną czeka w Rzymie na wymierzenie mu kary jako gość naszego znakomitego Kwintusa Cecyliusza Metellusa Świńskiego... ach, przepraszam Kwintusie Cecyliuszu! Chciałem powiedzieć: Numidyjskiego...

- Po drugie - ciągnął dalej - mamy tam armię z sześciu legionów - złożonych z Policzonych Głowami, przyznaję - ale doskonale wyszkoloną, dzielną i świetnie dowodzoną na wszystkich szczeblach, z kawalerią w sile dwóch tysięcy ludzi, również dzielnych i doświadczonych.

Rutylus Rufus przerwał i rozejrzał się wkoło z wilczym uśmiechem.

- Trzecia sprawa, ojcowie spisani, to człowiek. Jeden człowiek. Mówię oczywiście o prokonsulu Gajuszu Mariuszu, naczelnym wodzu armii afrykańskiej i jedynym architekcie zwycięstwa tak całkowitego, że może ono równać się ze zwycięstwami Scypiona Emiliana. Numidia już się nie podniesie przeciw nam. Nie istnieje już zagrożenie dla dostaw zboża, dla rzymskiej prowincji i rzymskich obywateli w Afryce. Gajusz Mariusz zostawia nam Afrykę tak uspokojoną, że nie trzeba zostawiać tam nawet jednego legionu.

Zszedł z podwyższenia, na którym stało krzesło kurulne, na czarno-białą starożytną posadzkę z płyt i podszedł do drzwi, stając tak, że jego głos kierował się głównie na zewnątrz, ku Forum.

- Rzym potrzebuje wodza jeszcze bardziej niż żołnierzy i centurionów. Jak kiedyś mówił w tej kurii Gajusz Mariusz, tysiące i tysiące rzymskich żołnierzy zginęły w ciągu kilku lat po śmierci Gajusza Grakcha wyłącznie

z powodu niekompetencji ludzi, którzy nimi dowodzili. Wtedy zaś, kiedy to mówił, Italia była bogatsza o sto tysięcy żołnierzy niż obecnie. Ilu zaś żołnierzy i centurionów stracił sam Gajusz Mariusz? Właściwie wcale nie miał strat, ojcowie spisani! Przed trzema laty zabrał do Afryki sześć legionów i nadal je ma: sześć legionów weteranów, sześć legionów z centurionami!

Urwał, a potem wykrzyknął na całe gardło:

- Gajusz Mariusz to odpowiedź na potrzeby Rzymu, to armia i kompetentny wódz!

Jego drobna szczupła postać ukazała się przez chwilę w portyku na tle tłumu słuchaczy na zewnątrz, potem zaś obrócił się, wracając przez całą długość kurii ku podwyższeniu. Tam się zatrzymał.

- Słyszeliście, jak Marek Aureliusz Kotta mówił, że doszło do kłótni między Germanami i że na razie porzucili oni chyba myśl o wędrówce przez naszą Galię Zaalpejską. Nie możemy jednak odetchnąć spokojnie. Musimy być ostrożni. Pewne jest tylko, że mamy zimę na przygotowania. Pierwszym krokiem w tych przygotowaniach musi być wyznaczenie Gajusza Mariusza na prokonsula w Galii z imperium, które nie będzie mu odebrane, dopóki nie pokona Germanów.

Podniósł się głośny pomruk, zapowiedź nadciągającego protestu. Potem rozległ się głos Metellusa Numidyjskiego.

- Dać Gajuszowi Mariuszowi namiestnictwo w Galii z imperium na całe lata? Po moim trupie!

Rutyliusz Rufus tupnął i potrząsnął pięścią.

- O bogowie! Kwintusie Cecyliuszu, czy jeszcze nie rozumiesz, w jak wielkiej jesteśmy potrzebie? Potrzebujemy takiego wodza jak Gajusz Mariusz!

- Potrzebujemy jego żołnierzy - podniósł głos Skaurus. - Nie potrzebujemy Gajusza Mariusza! Są tu inni, równie dobrzy.

- Twój przyjaciel Kwintus Cecyliusz Świński, Marku Emiliuszu? - Rutyliusz Rufus parsknął pogardliwie. - Bzdura! Kwintus Cecyliusz przez dwa lata marnował czas w Afryce - wiem, bo tam byłem! Współpracowałem z Kwintusem Cecyliuszem. Świnka-szczecinka to imię w sam raz dla niego, bo w planowaniu jest równie dobry jak kobieca świnka-szczecinka! Współpracowałem też z Gajuszem Mariuszem. Chyba niektórzy członkowie tej kurii pamiętają, że sam jestem wojskowym! To ja powinienem dostać dowództwo w Galii Zaalpejskiej, nie Gnejusz Maliusz! To już jednak przeszłość i szkoda czasu na wzajemne obwinianie się.

- Powiadam wam oto, ojcowie spisani, że Rzym jest w zbyt wielkiej potrzebie, by zaspokajać ambicje członków naszych wielkich rodów! Powiadam wam oto - ojcowie spisani, którzy zasiadacie w środkowych rzędach, i wam, którzy zasiadacie w tylnych rzędach po obu stronach tej kurii - że jeden jest tylko człowiek zdolny wyprowadzić nas z zagrożenia! Tym człowiekiem jest Gajusz Mariusz! Nie ma znaczenia, że nie jest zapisany w księdze rodowodowej. Nie ma znaczenia, że nie jest Rzymianinem z dziada pradziada. Kwintus Serwiliusz Cepion jest Rzymianinem z dziada pradziada, a spojrzcie tylko, dokąd nas zaprowadził! Wiecie dokąd? W sam

środek tego gówna!

Rutyliusz Rufus krzyczał, bo był zły i pełen obaw. Był już pewien, że tamci nie widzą sensu w jego propozycji.

- Czcigodni członkowie tej kurii - prawi mężowie - koledzy senatorowie! Błagam was, odłóżcie tym razem na bok uprzedzenia! Musimy dać Gajuszowi Mariuszowi władzę prokonsula w Galii Zaalpejskiej na czas potrzebny, by wypchnąć Germanów z powrotem do Germanii!

Ta jego ostatnia żarliwa obrona swojej sprawy odniosła skutek. Przekonał ich. Pojął to Skaurus, pojął i Metellus Numidyjski.

Pretor Maniusz Akwiliusz podniósł się ze swego miejsca. Pochodził z rodziny, w której dziejach dokonywano wielkich czynów raczej z żądzy zysku niż z żądzy sławy. To jego ojciec podczas wojny z Mitrydatesem Piątym Pontyjskim sprzedał mu Frygię za olbrzymią sumę w złocie, wprowadzając nieobliczalny Wschód do zachodniej Azji Mniejszej.

- Publiusz Rutyluszu, proszę o głos!

- Oddaję ci głos. - Rutyluszu Rufus usiadł wyczerpany.

- I ja proszę o głos - zawołał gniewnie Skaurus.

- Po Maniuszu Akwiliuszu - zgodził się uprzejmie Rufus.

- Publiusz Rutyluszu, Marku Emiliuszu, ojcowie spisani - zaczął według wszelkich reguł Akwiliusz. - Zgadza się z konsulem, że jeden jest tylko człowiek zdolny wydobyć nas z trudnego położenia i że tym człowiekiem jest Gajusz Mariusz. Rozwiązanie, które proponuje nasz szanowny konsul, nie jest jednak właściwe. Nie możemy obciążać Gajusza Mariusza imperium prokonsularnym ograniczonym tylko do Galii Zaalpejskiej. Co się stanie, jeżeli wojna przeniesie się poza Galie? Do Galii Italskiej, Hiszpanii albo i samej Italii? Dowództwo przejdzie mechanicznie na namiestnika prowincji albo na konsula! Gajusz Mariusz ma wrogów w tej kurii. Ja pierwszy nie mam pewności, że ci wrogowie wyżej stawiają dobro Rzymu niż własne urazy. Odmowa współpracy z Gnejuszem Maliuszem jest najlepszym przykładem tego, co może się stać, gdy arystokrata ceni własną *dignitas* wyżej niż *dignitas* Rzymu.

- Mylisz się, Maniuszu Akwiliuszu - wtrącił Skaurus. - Kwintus Serwiliusz stawia swą *dignitas* na równi z *dignitas* Rzymu.

- Dzięki za tę poprawkę, princepsie senatu - zgodził się gładko Akwiliusz z lekkim ukłonem, którego nikt nie mógłby nazwać ironicznym. - Miałeś pełne prawo mnie poprawić. *Dignitas* Rzymu i *dignitas* Kwintusa Serwiliusza Cepiona są takie same! Czemu jednak stawiasz *dignitas* Gajusza Mariusza niżej Cepiona? Osobiste zasługi Gajusza Mariusza są równie wysokie, jeśli nie wyższe, choćby nawet jego przodkowie nie posiadali niczego! Jego kariera jest olśniewająca! A czy ktoś w tej kurii na serio myśli, że Gajusz Mariusz stawia na pierwszym miejscu Arpinum, a na drugim Rzym? Czy ktoś przypuszcza, że Gajusz Mariusz myśli o Arpinum inaczej niż jak o części Rzymu? Wszyscy tu mamy przodków, którzy byli kiedyś ludźmi nowymi! Nawet Eneasz był człowiekiem nowym, bo przybył do Lacjum z dalekiego Ilionu! Gajusz Mariusz był pretorem i konsulem. Sam siebie zatem uszlachetnił i swoich potomków po wieczne czasy. - Akwiliusz przebiegł wzrokiem odziane w biel szeregi. - Widzę tu

kilku senatorów z rodu Porcjuszów Katonów. Ich dziad był nowym człowiekiem. Czy jednak myślimy dziś o tych Porcjuszach Katonach inaczej niż jak o podporach tej kurii, szlachetnych potomkach kogoś, kto w swoim czasie robił na Korneliuszach Scypionach takie samo wrażenie, jakie robi dziś Gajusz Mariusz na Cecyliuszach Metellach?

Wzruszył ramionami, zszedł z podwyższenia i naśladując Rutyliusza Rufusa, kroczył po posadzce kurii aż do otwartych drzwi.

- To Gajusz Mariusz, nie kto inny, powinien dostać naczelne dowództwo w wojnie z Germanami, obojętne, gdzie się będzie ona toczyć! Nie wystarczy zatem dać mu imperium prokonsula ograniczone do Galii Zaalpejskiej.

Obrócił się twarzą do kurii i zawołał grzmiącym głosem.

- Nie ma tu Gajusza Mariusza, by mógł zabrać głos w swej sprawie, a czas pędzi galopem. Gajusz Mariusz musi być konsulem! Tylko w ten sposób możemy dać mu władzę, której potrzebuje. Musi być kandydatem w wyborach - kandydatem *in absentia*.

W kurii podniosły się pomruki i szmery, ale Maniusz Akwiliusz mówił dalej, przyciągając uwagę zebranych.

- Czy ktoś tu może zaprzeczyć, że mężowie z Centurii stanowią kwiat rzymskiego ludu? Powiadam zatem: niech oni zdecydują! Albo wybiorą Gajusza Mariusza *in absentia*, albo go nie wybiorą. Problem bowiem, komu dać naczelne dowództwo, przerasta tę kurię i Zgromadzenie Plebejskie, a nawet Zgromadzenie Ludowe. Powiadam wam, ojcowie spisani, że decyzję o dowództwie w wojnie z Germanami trzeba pozostawić tej części ludu rzymskiego, która najwięcej znaczy - mężom z pierwszej i drugiej klasy obywateli głosujących w swoich centuriach.

„Oto Ulisses!”, pomyślał Rutyliusz Rufus. „Ja bym na to nie wpadł. Nie pochwalam tego. Złapał jednak stronnictwo Skaurusa za jaja! Sprawy imperium dla Gajusza Mariusza nie dałoby się przeprowadzić, gdyby ją prowadzili trybunowie ludowi wśród krzyków, tłumów, a może i zamieszek. Dla takich jak Skaurus Zgromadzenie Plebejskie to po prostu rządy hołoty. Ale ludzie z pierwszej i drugiej klasy to całkiem inny rodzaj Rzymian. Sprytnie pomyślane, Maniuszu Akwiliuszu!”

Najpierw robisz coś niesłychanego, proponując wybranie kogoś na konsula pod jego nieobecność, a potem dajesz Skaurusowi do zrozumienia, że zamierzasz pozostawić rozstrzygnięcie najlepszym! Jeśli najlepsi nie zechcą Gajusza Mariusza, wystarczy zorganizować pierwszą i drugą klasę, by głosowała na dwóch innych kandydatów. Jeśli zechcą, wystarczy głosować tylko na niego. Mogę się założyć, że trzecia klasa nie będzie miała okazji głosować.

Prawdziwy kruczek prawny leży w klauzuli *in absentia*. Maniusz Akwiliusz musi z tym iść do Zgromadzenia Plebejskiego, bo nie uzyska tego u senatu. Dość popatrzeć na trybunów ludowych, jak się wiercą z podniecenia na swej ławie! Z ich strony nie grozi weto - zalecą ludowi to prawo, a lud olśniony wizją zgody trybunów ludowych uchwali prawo pozwalające Gajuszowi Mariuszowi zostać konsulem *in absentia*. Skaurus, Metellus Numidyjski i inni będą się powoływali na *lex Villia annalis* głoszące, że

nikt nie może ubiegać się o drugi konsulat przed upływem dziesięciu lat. I Skaurus, Metellus Numidyjski i inni przegrają.

„Trzeba się przyjrzeć temu Maniuszowi Akwiliuszowi”, pomyślał Rutiliusz Rufus, wracając na swoje krzesło. „To zadziwiające! Mogą tu siedzieć przez całe lata cisi i posłuszni jak westalki, a potem nagle przy nadarzającej się okazji spada owcza skóra i wilk pokazuje zęby. Tak, Maniuszu Akwiliuszu, jesteś wilkiem”.



Wprowadzanie porządku w Afryce było prawdziwą przyjemnością nie tylko dla Gajusza Mariusza, lecz i dla Lucjusza Korneliusza Sulli. Obowiązki urzędowe to nie to samo co wojskowe, ale żaden z nich nie narzekał, podejmując się urzędzenia na nowo prowincji Afryki i dwóch sąsiednich królestw.

Gauda był teraz królem Numidii. „Żaden z niego mężczyzna”, myślał o nim Mariusz, przyznawał jednak, że jego syn, królewicz Hiempsal, godny jest tronu - na którym chyba niedługo zasiądzie.

Król Mauretanii Bokchus znów był uznawany za przyjaciela i sprzymierzeńca ludu rzymskiego, a jego królestwo ogromnie się rozrosło po przyłączeniu większej części zachodniej Numidii. Kiedyś jego wschodnią granicą była rzeka Mulucha. Teraz, granica leżała zaledwie pięćdziesiąt mil na zachód od Cyrty i Rusykady. Większa część wschodniej Numidii przeszła natomiast pod rządy Rzymu do powiększonej prowincji Afryki. Mariusz mógł dzięki temu nadawać ekwitom i posiadaczom ziemskim ze swojej klienteli żyzne nadmorskie ziemie Małej Syrty, od jeziora Tritonis po stare, ale wciąż potężne punickie miasto Leptis Magna. Zatrzymał do swej wyłącznej dyspozycji duże i żyzne wyspy w zatoce Małej Syrty, Kerkyrę i Meninks. Miał co do nich plany na przyszłość.

- Kiedy przyjdzie rozpuścić armię - mówił do Sulli - powstanie problem, co zrobić z ludźmi. To sami Policzeni Głowami. Nie mają gospodarstw ani sklepów, do których mogliby wrócić. Mogą się zaciągnąć do jakiejś innej armii i chyba wielu będzie tego chciało, ale nie wszyscy. W dodatku nie mogą zatrzymać uzbrojenia, które jest własnością państwa. Oznacza to, że mogą się zaciągnąć tylko do nowej armii Policzonych Głowami. Skaurus i Świński będą sprzeciwiać się w senacie finansowaniu takich armii, będą więc one rzadkością, po tym jak poradzimy sobie z Germanami - ach, Lucjuszu Korneliuszu, czy nie byłoby wspaniale brać udział w tamtej kampanii? Ale tamci nigdy by się na to nie zgodzili!

- Oddałbym trzonowe zęby!

- Zachowasz je, nie ma obawy!

- A co z tymi zwolnionymi ze służby?

- Państwo winne jest chyba żołnierzom Policzonym Głowami coś więcej niż zwyczajowy udział w łupach na zakończenie kampanii, nieprawdaż? Myślę, że państwo powinno dać każdemu działkę ziemi, na której mógłby się osiedlić po zwolnieniu. Inaczej mówiąc, powinno się z nich zrobić porządnych obywateli.

- To chyba wojskowa odmiana programu osiedleńczego braci Graków? - spytał Sulla, marszcząc brwi.

- Istotnie. Czy tego nie pochwalasz?

- Myślałem o opozycji w kurii.

- Cóż, sądzę, że opozycja będzie słabsza, jeżeli nie będzie to ziemia z *ager publicus*. Kto tylko wspomni o *ager publicus*, napyta sobie kłopotów. Zbyt wielu wpływowych ludzi dzierżawi tę ziemię. Nie, chodzi mi o zgodę senatu - albo ludu, jeśli senat mi jej nie udzieli, a mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - na osiedlenie żołnierzy Policzonych Głowami na pięknych dużych działkach na Kerkyrze albo Meninksie, tu w Małej Syrcie. Damy każdemu po sto jugerów, oni zaś w zamian zrobią dwie rzeczy dla Rzymu. Po pierwsze utworzą jądro rezerwy siły zbrojnej, którą można będzie powołać na wypadek jakiejś przyszłej wojny w Afryce. Po drugie - oni przeniosą Rzym do prowincji - rzymskie myślenie, zwyczaje, mowę, sposób życia.

Sulla był zachmurzony.

- Nie wiem, Gajuszu Mariuszu... to drugie nie wydaje mi się słuszne. Rzymskie myślenie, zwyczaje, mowa i sposób życia - te rzeczy należą do Rzymu. Przeszczepić je do Afryki punickiej z jej Maurami i Berberami - to mi się wydaje zdradą Rzymu.

Mariusz wzniosł oczy w górę.

- Nie ma wątpliwości, że jesteś arystokratą! Mogłeś żyć wśród nisko urodzonych, ale nie myślisz jak oni!

Wrócił do rozłożonych papierów.

- Czy masz te spisy pozostałych łupów? Niech nas bogowie bronią przed pominięciem choćby jednego gwoźdźca ze złotym łebkiem! A wszystko ma być w pięciu kopiach!

- Urzędnicy skarbowi, Gajuszu Mariuszu, to męty w rzymskim dzbanie wina - rzekł Sulla, przeszukując papiery.

- W czymkolwiek dzbanie wina, Lucjuszu Korneliuszu.

W same idy listopadowe dotarł do Utyki list od konsula Publiusza Rutyliusza Rufusa. Mariuszowi weszło w zwyczaj dzielenie się treścią tych listów z Sullą, którego bawił żywy styl Publiusza Rutyliusza i który umiał ocenić ich wartość literacką. Tym razem jednak Mariusz był sam, kiedy przyniesiono mu list, i był z tego zadowolony, mogąc wcześniej zapoznać się z tekstem. Kiedy Sulla siedział obok, słuchając go, jak stara się dzielić nie kończące się zakrętasy na oddzielne słowa, Mariusz chętnie by się go pozbył.

Ledwie jednak zaczął czytać sobie na głos, wzdrygnął się i zerwał na nogi.

- Jowiszu! - krzyknął i pobiegł do kancelarii Sulli.

Wpadł tam ze zbielełą twarzą, wymachując zwojem.

- Lucjuszu Korneliuszu! List od Publiusza Rutyliusza!

- Co takiego? O czym ten list?

- Sto tysięcy Rzymian zginęło. - Mariusz zaczął czytać ważniejsze urywki z tego, co już wcześniej przeczytał. - Z tego osiemdziesiąt tysięcy to żołnierze... Germanie nas rozgromili... Ten głupiec Cepion odmówił połączenia obozów z Maliuszem Maksymusem... upierał się przy pozosta-

niu o dwadzieścia mil dalej na północ... Sekstus Cezar ciężko ranny, to samo młody Sertoriusz... Tylko trzech z dwudziestu czterech trybunów wojskowych uszło z życiem... Nie ocalał żaden centurion... Przeżyli tylko niedoświadczeni żołnierze, którzy uciekli... Zginął cały legion majątnych Marsów i naród Marsów już wniósł skargę do senatu... żądając ogromnych odszkodowań i grożąc procesem... Sannici także są wściekli...

- Jowiszu! - Sulla padł na swoje krzesło.

Mariusz czytał przez chwilę tylko dla siebie, zbyt cicho, by Sulla mógł go słyszeć, a potem wydał jakiś dziwny dźwięk. Sulla zerwał się, sądząc, że Mariuszowi przytrafił się jakiś atak, ale nie zdążył obejść stołu, gdy wszystko się wyjaśniło.

- Jestem... konsulem!

Sulla zatrzymał się w pół kroku z głupią miną.

- Jowiszu! - powtórzył, nie mogąc wymyślić niczego innego.

Mariusz zaczął czytać mu na głos list Rutyliusza Rufusa, po raz pierwszy nie przejmując się trudnościami z dzieleniem zawijasów na słowa.

„Zanim skończył się dzień, lud wziął tę sprawę na kieł. Maniusz Akwiliusz nie zdążył nawet usiąść, a już dziesięciu trybunów ludowych zerwało się z ławy i pędziło za drzwi ku rostrom, podczas gdy pół Rzymu tłoczyło się w necce komicjum, a drugie pół wypełniło całe dolne Forum. Cała kuria poszła oczywiście za trybunami ludowymi, pozostawiając Skaurusa i naszego drogiego Świńskiego przyjaciela wołających coś do paruset powracanych stołków.

Trybunowie ludowi zwołali Zgromadzenie Plebejskie i nie tracąc czasu, rozpatrzono projekty dwóch uchwał. Zawsze mnie dziwi, że potrafimy się popisać czymś ułożonym i uchwalonym w mgnieniu oka, a lepszym od czegoś innego, nad czym radzimy całymi miesiącami.

Kotta mówił mi, że Cepion jedzie do Rzymu najszybciej, jak się da, gdyż chce pierwszy przedstawić swoją wersję, ale zamierza zachować swe imperium, pozostając poza *pomerium* i każąc synowi i swoim agentom działać wewnątrz miasta. Sądził, że dzięki temu będzie bezpieczny, osłonięty swym imperium, dopóki jego wersja wydarzeń nie stanie się wersją oficjalną. Myślał chyba - niewątpliwie prawidłowo - że zdoła uzyskać przedłużenie namiestnictwa, zachowa więc swe imperium i stanowisko w Galii Zaalpejskiej i przeczeka, aż swąd się rozejdzie.

Ale dostali go, lud go dopadł! Przegłosowali przytłaczającą większością głosów odebranie Cepionowi imperium. Kiedy więc dotarł do przedmieści Rzymu, ujrzał, że jest nagi niczym Ulisses na wybrzeżu Scherii. Druga uchwała, Gajuszu Mariuszu, polecała prowadzącemu wybory, czyli mnie, wpisanie twego nazwiska jako kandydata na konsula, mimo że nie mogłeś stawić się w Rzymie na wybory”.

- To dzieło Marsa i Bellony, Gajuszu Mariuszu! - rzekł Sulla. - To dar bogów wojny.

- Marsa i Bellony? Nie! To robota Fortuny, Lucjusz Korneliuszu. Twojej przyjaciółki i mojej, Fortuny!

Czytał dalej.

„Kiedy lud nakazał mi przeprowadzenie wyborów, nie pozostało mi nic innego, jak to zrobić.

Przypadkowo, po przyjęciu obu uchwał, nie kto inny, tylko Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus, zainteresowany niczym właściciel - bo chyba uważał się za założyciela naszej prowincji Galii Zaalpejskiej - usiłował przemówić z rostrów przeciw uchwale pozwalającej ci ubiegać się o konsulat *in absentia*. Wiesz, jacy są członkowie tej rodziny - porywcy i arogancy, wszyscy co do jednego! - a Gnejusz Domicjusz dosłownie zaplawał się z wściekłości. Kiedy tłum miał już tego dość i krzyczał, żeby zszedł z mównicy, on spróbował zakrzyknąć tłum! Jako Gnejuszowi Domicjuszowi mogło mu się to nawet udać. Coś jednak musiało mu pęknąć w głowie czy też w sercu, bo przewrócił się tam na rastrach, martwy jak pieczona kaczka z zeszłego tygodnia. To podziałało na wszystkich przygnębiająco, przerwano więc zebranie i tłum rozszedł się do domów. Najważniejsze zostało jednak zrobione.

Uchwały przeprowadzono następnego dnia i żadna *tribus* się nie wyłamała. Pozostawiono mi przeprowadzenie wyborów. Zatrzaszczyłem się o wszystko, zapewniam cię.

Uprzejma prośba skierowana do kolegium trybunów ludowych nadała bieg sprawie. W ciągu paru dni wybrano nowe kolegium w bardzo obiecującym składzie. Mamy w nim starszego syna zmarłego właśnie Gnejusza Domicjusza Ahenobarba i starszego syna zmarłego niedawno Lucjusza Kasjusza Longina. Chyba Kasjusz zechce udowodnić, że nie każdy członek tej rodziny jest nieodpowiedzialnym zabójcą rzymskich żołnierzy, powinien więc mieć z niego korzyść. Wszedł też Lucjusz Marcjusz Filip i - hm, hm - pewien Klodiusz z hufca Bardzo Wielu Klaudiuszów-Klodiuszów. Bogowie, jak oni się mnożą!

Zgromadzenie Centurialne głosowało wczoraj, a wynik był taki - jak powiedziałem kilka kolumn wcześniej - że Gajusz Mariusz został starszym konsulem we wszystkich centuriach klasy pierwszej i we wszystkich klasy drugiej, potrzebnych do zamknięcia głosowania. Niektórzy starsi senatorowie z rozkoszą pogrzebaliby twoje szanse, ale zbyt jesteś znany jako honorowy patron i rzecznik ludzi interesu (zwłaszcza po skrupulatnym wywiązaniu się z wszystkich obietnic w Afryce). Głosujący ekwici nie mieli żadnych skrupułów w takich sprawach jak ubieganie się o konsulat po raz drugi w ciągu trzech lat albo stawanie do wyborów *in absentia*”.

Mariusz podniósł rozpromieniony wzrok znad zwoju.

- Co ty na to, Lucjuszu Korneliuszu? Z woli ludu jestem konsulem po raz drugi, a nawet nie wiedziałem, że staję do wyborów! - Wyrzucił ręce ponad głowę, jak gdyby sięgał do gwiazd. - Zabiorę z nami do Rzymu prorokinię Martę. Niech zobaczy na własne oczy mój tryumf i rozpoczęcie konsulatu jednego i tego samego dnia. Postanowiłem odprawić tryumf w dniu Nowego Roku.

- A potem wyruszymy do Galii - rzekł Sulla, który był tym zainteresowany o wiele bardziej. - To jest, jeżeli mnie zabierzesz, Gajuszu Mariuszu.

- Mój drogi chłopcze, nie wyruszyłbym bez ciebie! Ani bez Kwintusa

Sertoriusza!

- Przeczytaj list do końca - poprosił Sulla, czując, że musi oswoić się z wszystkimi tymi oszałamiającymi nowinami, zanim zacznie je omawiać z Mariuszem.

„Kiedy więc cię zobaczę, Gajuszu Mariuszu, przekażę ci atrybuty mojego urzędu. Chciałbym móc powiedzieć, że rad jestem z całej duszy. Dla Rzymu było sprawą najwyższej wagi, byś dostał dowództwo w wojnie z Germanami, wolałbym jednak, by się to odbyło w normalniejszy sposób. Kiedy myślę o wrogach, których ci przybędzie, opuszcza mnie odwaga. Zbyt wiele spowodowałeś zmian w działaniu naszej maszyny ustawodawczej. Tak, wiem, że każda z osobna była niezbędna, byś mógł przetrwać. Ale, jak mówią Grecy o swoim Odysie, nie jego żywota była tak mocna, że przerywała nici innych żywotów, z którymi się krzyżowała. Myślę, że Marek Emiliusz Skaurus ma też trochę racji po swej stronie, nie kierują nim bowiem ciasnota i fanatyzm ludzi w rodzaju Numidyjskiego Świńskiego. Skaurus widzi przemijanie dawnych zwyczajów, na których opierał się Rzym, i ja także to widzę. Widzę również, jak Rzym buduje sobie stos pogrzebowy, bo gdyby można było polegać na senacie, że pozwoli ci uporać się z Germanami i da ci wolną rękę, wszystkie te nowe, niezwykle i nienormalne środki nie byłyby konieczne. Mimo to ciężko mi na sercu”.

Mariusz nie zmienił tonu głosu ani też zamiaru przeczytania całego listu Sulli, chociaż zakończenie mniej mu odpowiadało niż początek.

- Jest jeszcze kawałek - powiedział.

„Muszę dodać na zakończenie, że twoja kandydatura odstraszyła wszystkich uczciwych i honorowych. Kilku takich ubiegało się o konsulat, ale wszyscy się wycofali. Tak zrobił Kwintus Lutacjusz Katullus Cezar, oświadczając, że nie mógłby współpracować z tobą, tak jak nie mógłby ze swoim pieskiem, gdyby ten został wybrany. W rezultacie twój współkonsul to człowiek, na którym nie można polegać. Chyba cię to zbyt nie przeraża, bo z pewnością nie będzie z tobą wojował. Wiem, że chcesz usłyszeć, kto to jest, ale pozwól mi trochę się podroczyć. Powiem tylko, że jest sprzedajny, ale chyba sam to wiesz. Jego nazwisko? Gajusz Flawiusz Fimbria”.

- Znam go - parsknął Sulla. - Szukał przygód w najgorszych lupanarach. Sulla wyszczerzył białe zęby. W nieco ciemniejszej twarzy ich widok mógł przerazić. - Jeśli to ma być twój piesek, Gajuszu Mariuszu, nie pozwól mu podnosić nogi, bo cię obsika.

- Odskoczę szybko i daleko - obiecał z powagą Mariusz.

Wyciągnął do Sulli dłoń, a ten natychmiast ją ujął.

- To poręczenie, Lucjuszu Korneliuszu, że pobijemy Germanów, ty i ja.

Armia afrykańska i jej dowódca wypłynęli z Utyki do Puteoli pod koniec listopada w znakomitych nastrojach. Morze było spokojne jak na tę porę roku. Ani wiatr północny Septentrio, ani wiatr północno-wschodni Korus nie przeszkadzał tym razem w podróży. Tego właśnie Mariusz się spodziewał, jego pomyślna passa trwała. Mógł polegać na Fortunie niczym na

swoich żołnierzach. W dodatku Marta Syryjka przepowiedziała pomyślną i szybką podróż. Płynęła z Mariuszem na jego okręcie flagowym, traktowana z szacunkiem - a marynarze, przesądni jak zawsze - odwracali wzrok i schodzili jej z drogi. Król Gauda nie był skory rozłączać się z nią, ale gdy splunęła na marmurową posadzkę i zagroziła, że skieruje Złe Oko na niego i jego ród, pozbył się jej najspieszniej jak mógł.

W Puteoli powitał Mariusza i Sullę jeden ze świeżo wybranych kwestorów skarbu, bardzo energiczny i skory do skontrolowania zdobyczy wojennych, ale też pełen szacunku. Mariusz i Sulla mieli znakomicie prowadzone książki rachunkowe, więc wszyscy byli zadowoleni. Armia weszła do obozu pod Kapuą, gdzie wzięci do wojska gladiatorzy Rutyliusza Rufusa szkolili poborowych. Posłano im do pomocy doświadczonych centurionów Mariusza. Najsmutniejsza była jednak niedostateczna liczba poborowych. Italia była wyschniętą studnią i miała taką pozostać, dopóki nie dorosnie nowe pokolenie siedemnastolatków, by znów wypełnić szeregi. Brakowało nawet Policzonych Głowami, w każdym razie wśród obywateli rzymskich.

- Bardzo wątpię, by senat pozwolił mi na zaciągi wśród italskich Policzonych Głowami - mówił Mariusz.

- Nie mają wielkiego wyboru - zauważył Sulla.

- To prawda. Jeśliby ich przycisnąć. W tej chwili jednak nie jest w moim interesie - ani w interesie Rzymu - przyciskać ich.

Mariusz i Sulla mieli się rozdzielić aż do Nowego Roku. Sulla mógł oczywiście wjeżdżać swobodnie do Rzymu, ale Mariusz, wciąż jeszcze wyposażony w swe imperium prokonsularne, nie mógł, nie tracąc go, przekroczyć świętej granicy miasta. Sulla zatem udawał się do Rzymu, Mariusz zaś do swej willi w Kyme.

Przylądek Misenum stanowił potężny północny kraniec tego, co nazywano Zatoką Krateru, ogromnego i bezpiecznego kotwicowiska z mnóstwem portów - Puteolą, Neapolem, Herkulanum, Stabiami i Surrentum. Tradycja starsza niż ludzka wiedza czy pamięć utrzymywała, że Zatoka Krateru była kiedyś gigantycznym wulkanem, do którego po wybuchu wdarło się morze. Były oczywiście dowody aktywności wulkanicznej. Ogniste pola rozświetlały posępny blaskiem nocne niebo nad Puteolą, gdy płomienie wybuchały ze szczelin w gruncie, błotniste sadzawki gotowały się, bulgocąc leniwie, wszędzie widać było jaskrawożółte osady siarkowe, a tu i ówdzie podnosiły się ryczące kolumny pary. I był tam Wezuwiusz - poszarpane, prawie pionowe skalne urwisko wysokie na wiele tysięcy stóp, o którym mówiło się, że kiedyś było czynnym wulkanem - chociaż nikt nie wiedział kiedy, bo Wezuwiusz spał spokojnie, odkąd spisywano historię.

Po obu stronach wąskiego grzbieta przylądka Misenum leżały dwa miasteczka i kilka tajemniczych jezior. Od strony morza leżało Kyme, a od strony Zatoki Krateru Baje, jeziora zaś były dwojakiemu rodzaju - jedne miały wodę tak czystą i ciepłą, że doskonale nadawały się do hodowli ostryg, te drugie zaś były wyraźnie gorące i wiły się nad nimi wstęgi cuchnącej siarką pary. Kyme było najdroższą rzymską miejscowością wy-

poczynkową. Baję zaś dopiero zaczynały się rozwijać. Wyglądało zresztą na to, że staną się miejscem hodowli ostryg, bo z pół tuzina entuzjastów próbowało dojść do czegoś w tej dziedzinie. Ich przywódcą był Lucjusz Sergiusz, zubożały patrycjusz, który miał nadzieję odbudować fortunę swej rodziny na dostarczaniu ostryg z hodowli zamożnym rzymskim smakoszom i epikurejczykom.

Willa Mariusza stała na szczycie wielkiego nadmorskiego urwiska w Kyme z widokiem na wyspy: Aenarię, Pandatarię i Poncję, których trzy szczyty ze zboczami i równinami ukazywały się w coraz większej odległości ponad płaszczyzną sinoniebieskiej mgły. Tu, w willi Mariusza, Julia czekała na męża.

Minęło dwa i pół roku, odkąd widzieli się po raz ostatni. Julia miała teraz prawie dwadzieścia cztery lata, a Mariusz pięćdziesiąt dwa. Wiedział, że bardzo chciała go zobaczyć, bo przybyła do Kyme w porze roku, w której pogoda w Rzymie była znacznie lepsza niż na wybrzeżu. Zwyczaj zabraniał jej podróżowania wraz z mężem, zwłaszcza gdy zajmował się sprawami publicznymi. Nie mogła towarzyszyć mu w podróży do jego prowincji ani w żadnej z podróży po Italii, chyba że formalnie ją zaprosił, a takie zaproszenie uważano za rzecz niewłaściwą. Kiedy latem żona Rzymianina jechała na wybrzeże, odwiedzał ją, kiedy chciał, ale podróżowali oddzielnie. Kiedy zaś miał ochotę spędzić parę dni na wsi albo w jednej ze swych licznych willi pod Rzymem, rzadko zabierał żonę ze sobą.

Julia nie obawiała się tego spotkania. Pisywała do Mariusza raz na tydzień przez cały czas jego nieobecności, on zaś odpisywał jej z równą regularnością. Żadne z nich nie pozwalało sobie na plotki, więc ich korespondencja była raczej zwięzła i ograniczona do spraw ściśle rodzinnych, ale też niewątpliwie ciepła i czuła. Nie było oczywiście jej sprawą, czy miał jakieś kobiety podczas swej nieobecności. Była zbyt dobrze wychowana, by się zastanawiać nad pytaniem go o to, ani też nie spodziewała się, że sam jej o tym powie. Takie rzeczy były częścią świata mężczyzn, a żony nie miały z tym nic wspólnego. Jej matka Marcja nie omieszkała jej powiedzieć, że pod tym względem miała szczęście, wychodząc za człowieka o trzydzieści lat starszego, bo w sprawach erotycznych będzie on bardziej powściągliwy niż ktoś młodszy, a jego radość z ponownego spotkania z żoną będzie większa niż u kogoś młodszego.

Jej jednak było go bardzo brak, nie tylko dlatego, że go kochała, ale też, bo go lubiła, a to czyniło rozłąkę trudniejszą do zniesienia. Brakowało jej przyjaciela tak samo jak męża i kochanka.

Kiedy wszedł nie zapowiedziany do jej salonu, wstała niepewnie i tylko po to, by się przekonać, że nogi się pod nią uginają, i upaść z powrotem na krzesło. Jaki był wysoki! Jaki opalony, jak pełen życia! Nie wyglądał na starszego choćby o dzień - raczej na młodszego, niż go zapamiętała.

Powitał ją szerokim uśmiechem - zęby były równe i białe jak kiedyś, a sławetne krzaczaste brwi połyskiwały punkcikami światła z ukrytych pod nimi ciemnych oczu. Wyciągnął do niej swe silne i zgrabne dłonie, ona zaś

nie była w stanie się poruszyć. Co on sobie o niej pomyśli?

Niczego złego nie pomyślał, bo podszedł do jej krzesła i lekko podniósł ją na nogi. Nie starał się jej objąć, stał po prostu, patrząc na nią z góry z szerokim uśmiechem. Potem uniósł dłonie, ujmując w nie jej twarz i czule całując jej powieki, jej policzki, jej usta. Objęła go rękami, oparła się o niego i ukryła twarz w jego ramieniu.

- Ach, Gajuszu Mariuszu, tak się cieszę, że cię widzę!

- Nie bardziej niż ja, żono! - Głaskał ją po plecach. Czowała, że ręce mu drżą.

Uniosła twarz ku niemu.

- Pocałuj mnie, Gajuszu Mariuszu! Pocałuj mnie jak należy!

I tak ich spotkanie było tym wszystkim, czego oboje po nim oczekiwali, pełne miłości i tchnące namiętnością. I nie tylko to: były też zachwyty nad Mariuszem Młodszym i cichy żal rodziców po utraconym drugim synu.

Ojciec podziwiał Mariusza Młodszego, który wyrastał na wspaniałego chłopca - wysoki, silny, jasnowłosy, o wielkich szarych oczach, które bez obawy wpatrywały się w ojca, jak gdyby go oceniały. Mariusz pomyślał, że chłopcu brak było dyscypliny, ale że to się zmieni. Ten hultaj wkrótce się przekona, że ojciec to nie ktoś, kim można manipulować, ale ktoś, kogo trzeba szanować i słuchać, tak jak on, Gajusz Mariusz, szanował i słuchał swego ojca.

Były i inne smutne nowiny. Wiedział już wcześniej, że Julia straciła ojca, teraz jednak dowiedział się z jej współczujących ust, że i jego ojciec nie żyje. Nie stało się to przed czasem i nie przedtem, nim się dowiedział, że jego najstarszy syn został po raz drugi konsulem w tak zadziwiających okolicznościach. Śmierć miał szybką i łagodną. Atak serca dopadł go podczas rozmowy z przyjaciółmi o powitaniu, jakie Arpinum miało zgotować swemu najznakomitszemu obywatelowi.

Mariusz ukrył twarz na piersiach Julii i zapłakał, i był pocieszany, a potem pogodził się z myślą, że wszystko stało się w stosownym czasie. Jego matka Fulcinia zmarła przed siedmiu laty i jego ojciec był samotny. Choć Fortuna nie była aż tak łaskawa, by mu pozwolić zobaczyć się z synem, dała mu przynajmniej okazję dowiedzieć się o niezwykłym wyróżnieniu tego syna.

- Nie ma sensu, bym jechał teraz do Arpinum - powiedział później Mariusz do Julii. - Zostaniemy tutaj, kochana.

- Wkrótce przybędzie tu Publiusz Rutyliusz, zaraz po tym, jak wprowadzi w obowiązek nowych trybunów ludowych. On się chyba boi, że mogą być z nimi trudności, bo kilku z nich to bardzo zręczni gracze.

- Póki więc nie przybędzie tu Publiusz Rutyliusz, nie będziemy nawet myśleć o czymś tak denerwującym jak polityka, moja najdroższa, najśłodszą, najpiękniejszą i najukochańszą żono!

Powrót Sulli do domu był całkiem odmienny. Nie wracał aż tak beztrąsko i radośnie jak Mariusz, choć sam nie wiedział dlaczego. I on, jak Mariusz, był wstrzemięźliwy erotycznie przez te dwa lata w Afryce, choć z całkiem odmiennych powodów niż miłość do żony, mimo to jednak

wstrzemięźliwy. Jego nowa strona, którą zakrył swoje dawne życie, nie mogła zostać splamiona. Nie mogło być mowy o żadnej łapówce, żadnej nielojalności wobec zwierzchnika, żadnych intrygach ani zabiegach o władzę, żadnych przejawach cielesnej słabości ani naruszeniu honoru czy *dignitas* Korneliuszy.

Był urodzonym aktorem, wszedł więc bez reszty w rolę, jaką mu narzuciło stanowisko kwestora Mariusza, żył tą rolą w głębi ducha i we wszystkich swych działaniach, spojrzeniach, słowach. Nie znudziła mu się jak dotąd, dawała bowiem nieustanną rozrywkę, ogromną satysfakcję i stanowiła olbrzymie wyzwanie. Nie mając prawa zamówić swego woskowego imago, dopóki nie zostanie konsulem albo nie stanie się sławny, albo nie zasłuży się w jakiś inny sposób, zamierzał zamówić u Magiusza z Velabrum kompozycję swoich trofeów wojennych ze złotym wieńcem, falerami i bransoletami. Miał zamiar doglądać ustawienia tego świadectwa swej dzielności w atrium swojego domu. Lata spędzone w Afryce miały bowiem stanowić potwierdzenie jego praw. Choć nadal nie zaliczał się do najlepszych jeźdźców świata, okazał się urodzonym żołnierzem, a trofeum Magiusza w jego atrium będzie o tym opowiadać Rzymowi.

A jednak... tam było wszystko, co było jego dawnym życiem, nie zmienione, i on o tym wiedział. Było pragnienie ujrzenia Metrobiusza, było upodobanie do groteskowych karłów i transwestytów, wymalowanych starych ladacznic i typów spod ciemnej gwiazdy. Była awersja do kobiet używających swej władzy, by nad nim zapanować, i zdolność zdławienia czyjegoś życia, gdy czuł się zagrożony. Była odraza do głupców i była pożerająca go ambicja... Objazdowe występy w Afryce dobiegły końca, ale nie zamierzał długo odpoczywać. Przyszłość kryła jeszcze wiele aktów. I jeszcze... Rzym był sceną, na której jego dawne ja zostało kiedyś ustawione. W Rzymie niewiele już było do odkrycia, od upadku do rozczarowania. Jechał więc do Rzymu, zachowując ostrożność, świadomy głębokiej przemiany w nim samym, ale świadomy i tego, że w istocie niewiele się zmieniło. Był jak aktor w przerwie między aktami, niezbyt szczęśliwa istota.

Julilla także czekała na niego, całkiem inaczej niż Julia na Mariusza, pewna, że kocha Sullę daleko bardziej niż Julia Mariusza. Dla Julilli każdy przejaw dyscypliny czy samokontroli był dowodem słabości uczucia. Miłość najdoskonalsza powinna przygniatać, ogarniać, naruszać spokój ducha, zacierać wszelkie ślady racjonalnego myślenia, z rykiem burzy tratować niczym słoń wszystko na swojej drodze. Czekala więc rozgorączkowana, niezdolna zająć się czymś innym niż butelką wina, przebierała się kilka razy na dzień, czesała włosy to do góry, to na dół, to znów na boki. Jej służące odchodziły od zmysłów.

Wszystko to zarzuciła na Sullę jak tkaninę z najmocniejszych i najcieplejszych pajęczych nici. Kiedy wszedł do atrium, już tam była, biegnąc mu naprzeciw z wyciągniętymi ramionami, ze zmienioną twarzą. Zanim zdążył spojrzeć na nią, przywołać swe uczucia, już kleiła się do niego ustami niczym pijawka, ssąca, pożerająca, wijąca się, wilgotna. Ciemność i krew. Jej dłonie szukały na ślepo jego genitaliów. Wydawała

przy tym zmysłowe okrzyki, a potem zarzuciła na niego nogi, chociaż stali pośrodku sali, pod szyderczymi spojrzeniami tuzina niewolników w większości wcale mu nie znanych.

Nie mógł się powstrzymać. Oderwał jej rękę od siebie, odrzucił głowę w tył i oderwał usta od jej ust.

- Pani, opamiętaj się! Nie jesteśmy sami.

Żachnęła się, jakby ją uderzył, ale to ją otrzeźwiło. Wzięła go pod rękę i poszła z nim do perystylu, do swego salonu w dawnych pokojach Nikopolis.

- Czy to odpowiednie miejsce? - spytała nieco złośliwie.

Ale nastrój był już popsuty, i to na długo przed tym wybuchem urazy. Nie chciał już, by jej usta czy dłonie badały skryte zakątki jego ciała, nie zważając na wrażliwość przeszukiwanych miejsc.

- Później, później! - powiedział, idąc ku krzesłu.

Biedna Julilla stała, przestraszona i oszołomiona, jakby skończył jej się świat. Piękniejsza niż kiedykolwiek, lecz jakże krucha i łamliwa, od cienkich jak patyki ramion wychylających się z najmodniej udrapowanej szaty - ktoś taki jak Sulla miał w tych sprawach nieomyślne oko - do ogromnych, nieco szalonych oczu, zapadniętych i podkrążonych.

- Nie rozumiem! - wykrzyknęła, nie mając odwagi ruszyć się z miejsca. Wpijała się w niego wzrokiem już nie chciwie, ale raczej tak, jak mysz wpija się wzrokiem w uśmiech na obliczu kota, myśląc: „Czyś ty przyjaciel, czy wróg?”

- Julillo - rzekł z takim spokojem, na jaki mógł się zdobyć. - Jestem zmęczony. Nie miałem czasu przywyknąć do chodzenia po stałym lądzie. Nie widzę w tym domu prawie żadnej znajomej twarzy. A skoro jestem zupełnie trzeźwy, przestrzegam granic swobody, na jaką małżeństwo może sobie pozwolić na oczach innych.

- Ależ ja cię kocham! - protestowała.

- Miałem taką nadzieję. Tak samo i ja cię kocham. Ale nawet wtedy są pewne granice - powiedział chłodno. Chciał, żeby wszystko w jego rzymskiej sferze było najzupełniej poprawne, od żony i domu do kariery politycznej.

Kiedy myślał o Julilli w ciągu dwóch lat nieobecności, nie pamiętał właściwie, jakiego rodzaju była osobą - jedynie, jak wyglądała i jak szalenie, pobudzająco namiętna była w ich małżeńskim łożu. W istocie myślał o niej, jak mężczyzna myśli o kochance, nie o żonie. Teraz patrzył na tę młodą kobietę, która była jego żoną, i myślał, że byłaby daleko lepsza jako kochanka - ktoś, kogo odwiedza się po wizycie w termach i z kim nie musi się dzielić domu ani przedstawiać przyjaciołom i kolegom z senatu.

„Nie powinienem był się z nią żenić”, pomyślał. „Uniosła mnie ta wizja mej przyszłości, którą ujrzałem za pośrednictwem jej oczu - bo tym właśnie była, pośredniczką przekazującą wizję, którą przesyła Fortuna wybrańcowi Fortuny. Nigdy nie przestałem myśleć, że całe tuziny dobrze urodzonych młodych kobiet byłyby dla mnie odpowiedniejsze niż to biedne głupie stworzenie, które usiłowało zagłodzić się na śmierć z miłości do mnie. To już był wybryk. Nie mam nic przeciw wybrykom - ale nie takim,

których jestem celem - takim, których jestem sprawcą! Dlaczego miałbym spędzić życie związany z kobietą, która chce mnie zadławić?"

Julilla zmieniła się na twarzy. Jej oczy uchylły się przed spojrzeniem tych dwojga jasnych niewzruszonych oczu, wpatrujących się w nią z zainteresowaniem badacza, bez cienia miłości albo pożądania. Więc to tak! Co teraz począć? Wino, niezawodne, wierne wino... Nie zastanawiając się, co on sobie pomyśli, podeszła do stolika, nalała sobie pełen puchar nie rozcieńczonego wina i wychyliła go jednym haustem. Dopiero potem przypomniała sobie o nim i odwróciła się z pytającym spojrzeniem.

- Wina, Sullo?

Zmarszczył brwi.

- Wypiłaś to całkiem szybko! Czy to twój zwykły sposób?

- Musiałam się napić! - odparła rozdrażniona. - Jesteś bardzo oziębły. To przygnębiające.

Westchnął.

- Chyba tak, Julillo. Postaram się poprawić. A może ty powinnaś... tak, tak, daj mi to wino! - Prawie wyrwał jej puchar, który od kilku chwil wyciągała ku niemu bez słowa, i wypił, ale nie haustem i bynajmniej nie wszystko.

- Kiedy ostatnio miałem od ciebie wiadomości... nie jesteś dobra w pisaniu listów, prawda?

Łzy płynęły po twarzy Julilli, ale nie szlochała, płakała bezgłośnie.

- Nie cierpię pisania listów!

- To jasne - rzekł szorstko.

- Więc cóż z tymi listami? - spytała, nalewając sobie drugi puchar i wychylając go równie szybko jak pierwszy.

- Zacząłem mówić, że kiedy miałem ostatnie wiadomości od ciebie, dowiedziałem się, że mamy dwójkę dzieci. Dziewczynkę i chłopca, nieprawdaż? Nie pofatygowałaś się napisać mi o chłopcu, musiałem dowiadywać się o nim od twego ojca.

- Byłam chora - wciąż płakała.

- Czy nie wolno mi zobaczyć swoich dzieci?

- Ach, są tam! - machnęła ręką ku tyłowi perystylu.

Zostawił ją ocierającą twarz chusteczką i sięgającą po dzban z winem, by napęlić na nowo pusty puchar.

Zobaczył je po raz pierwszy przez otwarte okno pokoju dziecięcego, one zaś go nie widziały. Słysząc było mamroczący coś głos kobiety, ale jej samej nie było widać. Całe pole widzenia wypełniały mu te dwie małe istoty ludzkie, którym dał początek. Dziewczynka - tak, musiała mieć teraz dwa i pół roku - stojąca nad chłopcem - tak, musiał mieć półtora roku!

Była czarująca, najdoskonalsza laleczka, jaką widział w życiu - bujne rudozłote loki, cera mleczna i różana, dołeczki w pulchnych zaróżowionych policzkach, a pod jedwabistymi rudozłotymi brwiami para największych w świecie niebieskich oczu, szczęśliwych, uśmiechniętych i pełnych miłości do braciszka.

On zaś był nawet bardziej czarujący, ten syn, którego Sulla nigdy nie oglądał. Chodził - to dobrze - bez szmatki na ciele - o to chodziło jego

siostrze, więc musiał robić to często - i mówił - odgryzał się siostrze, hultaj. I śmiał się. Wyglądał jak Cezar - ta sama pociągła piękna twarz, te same gęste złote loki, te same żywe niebieskie oczy, jak u nieboszczyka teścia.

Uśpione serce Lucjusza Korneliusza Sulli nie budziło się wśród przeciągania się i ziewania. Wyskoczyło na świat, w krainę uczuć, jak Atena musiała wyskoczyć z głowy Zeusa, dorosła i w pełnej zbroi, ze szczękiem i z okrzykiem bojowym. W wejściu upadł na kolana i z błyszczącymi oczami wyciągnął do nich ręce.

- Przyszedł tato - powiedział. - Tato wrócił do domu.

Nawet się nie zawahały ani nie przestraszyły. Pobiegly w jego ramiona, okrywając pełną zachwyty twarz pocałunkami.

Publiusz Rutyliusz Rufus nie miał być pierwszym wyższym urzędnikiem, który odwiedził Mariusza w Kyme. Powracający bohater jeszcze się nie oswoił z domem, kiedy rządca wszedł z pytaniem, czy zechce przyjąć szlachetnego Lucjusza Marcjusza Filipa. Mariusz dał znak, by wprowadzić gościa do pracowni. Był ciekaw, co sprowadza Filipa, którego dotąd nie znał osobiście, a jego rodzinę znał tylko powierzchownie.

Filip nie owijał w welnę i przeszedł wprost do rzeczy. Mariusz pomyślał, że gość wygląda raczej nieszkodliwie - zbyt wiele ciała w pasie, zbyt obwisły podbródek - ale jest wyniosły i pewny siebie jak cały ród Marcjuszów, którzy głosili się potomkami Ankusa Marcjusza, czwartego króla Rzymu i budowniczego Drewnianego Mostu.

- Nie znasz mnie, Gajuszu Mariuszu - zaczął, a jego ciemnobrązowe oczy wpatrywały się wprost w oczy Mariusza - pomyślałem więc, że powinienem skorzystać z pierwszej okazji, żeby naprawić to zaniedbanie, biorąc pod uwagę, że jesteś starszym konsulem w przyszłym roku, ja zaś jestem nowo wybranym trybunem ludowym.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, że chcesz naprawić zaniedbanie - w głosie Mariusza nie było cienia ironii.

- Chyba tak - przyznał łaskawie Filip. Oparł się w krzesło i skrzyżował nogi. Mariusz nie znosił tej pozy, uważając ją za niemęską.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Lucjuszu Marcjusz?

- Prawdę mówiąc, niemało. - Filip wysunął głowę do przodu, a w jego twarzy pojawiła się nagle zawziętość. - Mam pewne kłopoty finansowe, Gajuszu Mariuszu, pomyślałem więc, że mógłbym z korzyścią dla siebie ofiarować ci swe usługi jako trybun. Zastanawiałem się, na przykład, czy nie chciałbyś czasem przeprowadzić jakiejś ustawy. A może chciałbyś po prostu wiedzieć, że masz w Rzymie lojalnego sprzymierzeńca wśród trybunów ludowych, gdy ty sam wyjedziesz przepędzić germańskiego wilka spod naszych drzwi. Głupi Germanie nie rozumieją jeszcze, że to Rzym jest wilkiem, ale rozumieją to, jestem pewien. A jeśli ktoś pomoże im zrozumieć tę wilczą naturę Rzymu, będziesz to właśnie ty.

Umysł Mariusza pracował z niezwykłą szybkością w czasie tej wstępnej przemowy. On także oparł się plecami o krzesło, chociaż nie skrzyżował nóg.

- W istocie, mój drogi Lucjuszu Marcjusz, jest pewna drobna sprawa, którą chciałbym przeprowadzić przez Zgromadzenie Plebejskie, nie zwracając niczyjej uwagi. Byłbym zachwycony, mogąc ci pomóc w wydosztaniu się z kłopotów finansowych, gdybyś ty mi pomógł w sprawach legislacyjnych.

- Im hojniej wesprzesz moją sprawę, Gajuszu Mariuszu, tym mniej uwagi zwróci moje nowe prawo. - Filip uśmiechał się szeroko.

- Świetnie! Jaka jest twoja cena?

- Ach, cóż za szczerłość!

- Jaka jest twoja cena? - powtórzył Mariusz.

- Pół miliona.

- Sestercji?

- Denarów - rzekł Filip.

- Ach, spodziewam się dostać o wiele więcej za pół miliona denarów niż tę jedną małą ustawę.

- Za pół miliona denarów, Gajuszu Mariuszu, dostaniesz o wiele więcej. Nie tylko moje usługi podczas trybunatu, ale także i później. To ci przyrzekam.

- A więc umowa stoi.

- Jak to miło! - wykrzyknął Filip z ulgą. - A teraz, co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebna mi jest ustawa rolna.

- Trudna sprawa! - Filip poderwał się oszołomiony. - Po co ci to, Gajuszu Mariuszu? Potrzebuję pieniędzy, ale tylko jeśli będę mógł je wydawać po spłaceniu długów. Nie jestem Tyberiuszem Grakchem, zapewniam cię, i nie mam zamiaru dać się zatłuc kijami na Kapitolu.

- Ta ustawa dotyczy gruntów, ale to nie reforma rolna - uspokajał go Mariusz. - Zapewniam cię, Lucjuszu Marcjusz, że nie jestem żadnym reformatorem ani rewolucjonistą i mam inne plany co do rzymskich ubogich niż obdarzanie ich cennym rzymskim *ager publicus*! Wciągnę ich do legionów i każę zasłużyć na tę ziemię, którą im nadam! Nikt nie powinien dostawać czegoś za nic, bo człowiek nie jest zwierzęciem.

- Ale jaką inną ziemię niż *ager publicus* możesz im dać? Nie sądzisz chyba, że państwo powinno zakupić albo zdobyć więcej ziemi? Trzeba by na to znaleźć pieniądze. - Filip nie był przekonany.

- Nie ma powodu do niepokoju. Ta ziemia jest już w posiadaniu Rzymu. Dopóki zachowuję imperium prokonsularne w Afryce, mogę w swej prowincji dysponować ziemią skonfiskowaną nieprzyjacielowi. Mogę ją oddawać w dzierżawę swoim klientom albo wystawiać ją na przetarg, albo oddać ją jakiemuś cudzoziemskiemu królowi. Muszę tylko mieć pewność, że senat zatwierdzi moje zarządzenia.

Mariusz przesunął się, pochylił się w przód i ciągnął dalej.

- Nie mam zamiaru wystawiać tyłka na ukąszenia Metellusa. Zamierzam postąpić tak, jak dotąd postępowałem - zgodnie z prawem albo z przyjętą praktyką. Kiedy w Nowy Rok zrezygnuję z imperium nad Afryką, Metellus nie będzie miał co gryźć. Wszystkie zarządzenia dotyczące ziem zdobytych w imieniu senatu i ludu rzymskiego będą już zatwierdzone przez senat. Jest

tylko jedna sprawa, której nie zamierzam poruszyć osobiście. Sprawa jest tak delikatna, że chcę ją załatwić w dwóch etapach. Jeden w nadchodzącym roku, drugi w następnym. Twoim zadaniem, Lucjuszu Marcjusz, będzie wdrożenie tej pierwszej części planu. Krótko mówiąc, jeśli Rzym ma mieć porządną armię, służba w legionach musi wydawać się Policzonym Głowami atrakcyjną karierą. Nie wystarczy już obiecać im zwyczajowy niski żołd i udział w łupach po zakończeniu kampanii, bo to może ich nie przyciągnąć. Gdyby mieli jednak pewność, że dostaną kawał dobrej ziemi, pokusa będzie nie do odparcia. Nie będzie to ziemia w Italii. Nie widzę powodu, by musiała to być ziemia w Italii.

- Chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi, Gajuszu Mariuszu. - Filip zuł swą dolną wargę. - Interesujące.

- I ja tak sędę. Zarezerwowałem sobie wyspy w zatoce Małej Syrty, by tam osiedlić moich Policzonych Głowami po ich zwolnieniu ze służby - co nie nastąpi przez jakiś czas, dzięki Germanom. Wykorzystam ten czas, by uzyskać zgodę ludu na oddanie moim ludziom Meninksu i Kercyny. Mam jednak wielu wrogów, którzy spróbują mi w tym przeszkodzić.

Filip kiwał głową z mądrą miną.

- To z pewnością prawda, że masz wielu wrogów.

Mariusz rzucił mu niechętne spojrzenie i ciągnął dalej.

- Twoim zadaniem, Lucjuszu Marcjusz, będzie przeprowadzenie przez Zgromadzenie Plebejskie ustawy włączającej wyspy Małej Syrty do rzymskiego *ager publicus* bez oddawania ich w dzierżawę, podziału ani sprzedaży. O tym zdecyduje kolejna ustawa. Nie wspomnisz o żołnierzach ani o Policzonych Głowami. Wszystko, co masz zrobić - bez nacisku i spokojnie - to zapewnić, że te wyspy trafią do zamkniętej szuflady, a nie w jakieś chciwe łapy. Ważne jest, by moi wrogowie nie podejrzewali, że za tym stoję.

- Ach, chyba potrafię to załatwić - odparł Filip i wyraźnie poweselał.

- Świetnie. W dniu wejścia tej ustawy w życie każę moim bankierom złożyć pół miliona denarów na twoje nazwisko w taki sposób, by nie dało się powiązać tej zmiany twojej fortuny ze mną.

Filip wstał.

- Kupiłeś sobie trybuna ludowego, Gajuszu Mariuszu - powiedział i wyciągnął rękę. - Jestem twój do końca mej kariery.

- Bardzo się z tego cieszę. - Mariusz uściśnął mu dłoń. Zaraz jednak po jego wyjściu kazał sobie przynieść gorącą wodę i dokładnie umył ręce.

- Korzystam z przekupstwa, ale to nie znaczy, że muszę lubić tych, których opłacam - mówił Mariusz do Rutyliusza Rufusa, kiedy ten przybył do Kyme w pięć dni później.

Rutyliusz Rufus miał zrezygnowaną minę.

- Cóż, on dotrzymał słowa. Przedstawił twoją małą ustawę o gospodarce gruntami, jakby ją sam wymyślił, a wyłożył to tak logicznie, że nikt nawet nie próbował dyskutować dla zasady. Spryciarz z tego Filipa. Przyznał sobie laury za patriotyzm, mówiąc zgromadzeniu, że jego zdaniem jakaś drobna, nieznaczająca część dzielonej właśnie ziemi afrykańskiej powinna

być zachowana - „złożona w banku”, jak się wyraził! - z myślą o przyszłości ludu rzymskiego. Twój wrogię myśleli nawet, że robi to na złość tobie. Ustawa przeszła i nikt nawet nie mruknął.

- Świetnie! - Mariusz odetchnął z ulgą. - Na jakiś czas mogę mieć pewność, że te wyspy czekają na mnie nienaruszone. Trzeba mi czasu, by wykazać wartość Policzonych Głowami, zanim dam im ziemię w nagrodę za służbę. Teraz usłyszelibyśmy, że „tradycyjny rzymski żołnierz nie musiał być przekupywany nadaniami ziemi, czemu więc ci nowomodni żołnierze mają być lepiej traktowani?” - Wzruszył ramionami. - Ale dość o tym. Co słyhać poza tym?

- Przeprowadziłem ustawę, która pozwala konsulowi mianować dodatkowych trybunów wojskowych bez wyborów, w przypadku zagrożenia państwa.

- Zawsze myślisz o tym, co może przynieść przyszłość! A czy mianowałeś już jakichś?

- Dwudziestu jeden. Tylu, ilu zginęło pod Arauzjoną.

- A między nimi?

- Młodego Gajusza Juliusza Cezara.

- Oto dobra nowina! Krewni najczęściej są nic niewarci. Czy pamiętasz Gajusza Lusjusza? Tego, za którego wyszła Gratidia, siostra mojej szwagierki?

- Niezbyt dobrze. Numancja?

- Ten sam. Strasznie przyszczaty, ale i bardzo bogaty. W każdym razie mają z Gratidią syna, dziś dwudziestolatka, i błagali, żebym go zabrał na wojnę z Germanami. Nawet go nie widziałem, ale musiałem się zgodzić, bo inaczej mój brat Marek nie miałby w domu chwili spokoju.

- Skoro mowa o twoich licznych krewnych, chyba się ucieszysz, że młody Sertoriusz przebywa u matki w Nersji i wkrótce będzie mógł wyruszyć z tobą do Galii.

- Świetnie! Także Kotta wyruszył do Galii w tym roku, czyż nie?

- Daj spokój, Gajuszu Mariuszu! Jeden były pretor i pięciu ludzi z tylnych ław miało przekonać kogoś takiego jak Cepion! Ale ja znałem Kottę lepiej, niż go znali Skaurus, Dalmatyński i Świński, i wiedziałem, że jeśli coś da się ocalić, Kotta tego dokona.

- A co z Cepionem?

- Ach, utrzymuje głowę nad wodą, ale musi dobrze przebierać rękami i nogami, żeby nie pójść na dno. Przewiduję, że niedługo osłabnie i z wody będzie wystawać tylko nos, bo wzbiera wielka fala oburzenia. Jego przyjaciele z pierwszych ławek niewiele będą mogli dla niego zrobić.

- Dobrze mu tak! Powinno się go wrzucić do Tulianum i zagłodzić - warknął Mariusz

- Dopiero po tym, jak narąbie drzewa na osiemdziesiąt tysięcy stosów! - Rutyliusz Rufus wyszczerzył zęby.

- A co z Marsami? Siedzą cicho?

- Masz na myśli żądanie odszkodowania? Kuria nie pozwoliła wnieść sprawy do sądu, ale Rzym nie zyskał przez to przyjaciół. Dowódca legionu Marsów, Kwintus Popediusz Sylon, przybył do Rzymu, żeby świadczyć w

sądzie, i założę się, że nie zgadniesz, kto jeszcze chciał poświadczyć jego zeznania.

Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację, nie zgadnę. Kto taki?

- Bratanek mojej żony, młody Marek Liwiusz Druzus! Chyba spotkali się po bitwie - legion Druzusa stał obok legionu Silona. Dla Cephona to był istny szok, kiedy jego zięć zgodził się świadczyć w sprawie przeciw niemu.

- To szczeniak o ostrych zębach - powiedział Mariusz, wspominając sądowe wystąpienie młodego Druzusa.

- On się zmienił po Arauzjonie. Powiedziałbym, że wydorósł.

- W takim razie Rzym będzie miał z niego pożytek w przyszłości.

- Na to wygląda. Zauważyłem jednak tę zmianę we wszystkich, którzy uszli z życiem spod Arauzjony - mówił ze smutkiem Rutyliusz Rufus. - Nie udało się dotąd ściągnąć do szeregów wszystkich, którzy się uratowali, przepływając Rodan. Chyba nigdy się to nie uda.

- Znajdę ich - rzekł zaciętym tonem Mariusz. - To Policzeni Głowami, więc za nich odpowiadam.

- To oczywiście taktyka Cephona - powiedział Rutyliusz Rufus. - Usiłuje przerzucić winę na Gnejusza Maliusza i na Policzoną Głowami hołotę, jak nazywa tamtą armię. Marsom nie sprawia przyjemności, kiedy się ich tak nazywa, i Samnitom także, a młody Marek Liwiusz oświadczył publicznie pod przysięgą, że Policzeni Głowami nie mają z tym nic wspólnego. To dobry mówca i umie sprzedać swój towar.

- Ale jak może zięć Cephona krytykować swego teścia? Chyba nawet wrogowie Cephona uznają to za gorsząca niełojalność.

- On nie krytykuje Cephona, w każdym razie nie wprost. Robi to bardzo zręcznie. W ogóle nie mówi o Cepionie! Odpiera tylko zarzut Cephona, że za klęskę odpowiada armia Policzonych Głowami Gnejusza Maliusza. Zauważyłem, że Marek Liwiusz i Cepion Młodszy nie są już tak blisko jak dawniej, a przecież każdy poślubił siostrę drugiego.

- A czego innego możecie się spodziewać wy, szlachetnie urodzeni, kiedy upieracie się przy małżeństwach krewniaków, zamiast dopuścić trochę świeżej krwi? - Mariusz wzruszył ramionami. - Ale dość o tym! Jeszcze jakieś nowiny?

- Tylko o Marsach, albo raczej o sprzymierzeńcach. Nastroje są dla nas wrogie. Jak wiesz, od miesięcy prowadzę zaciągi, ale sprzymierzeńcy odmawiają współpracy. Kiedy ich pytałem o italskich Policzonych Głowami - bo twierdzili, że nie mają już ludzi majątnych w wieku odpowiednim do służby - oświadczyli, że i takich nie mają!

- To przecież chłopski naród, więc chyba to możliwe.

- Nonsens! Dzierżawcy za połowę plonu, pasterze, wędrowni robotnicy rolni, parobcy - w każdej wiejskiej społeczności jest ich mnóstwo. Italscy sprzymierzeńcy upierają się jednak, że nie ma italskich Policzonych Głowami! Dlaczego? Zapytałem ich o to listownie. Odpowiedzieli, że wszyscy Italczykowie, których można by było zaliczyć do Policzonych Głowami, stali się niewolnikami Rzymian, w większości za długi. Źle się dzieje - mówił z ponurą miną Rutyliusz Rufus. - Wszystkie ludy italskie piszą do

senatu, protestując przeciw nadużywaniu władzy, nie przez Rzym - zwróć uwagę - ale przez obywateli rzymskich. Marsowie, Pelignowie, Picenowie, Umbryjczycy, Samnici, Apulijczycy, Lukanowie, Marrucynowie, Westynowie - ta lista jest kompletna, Gajuszu Mariuszu!

- Cóż, wiemy, że od dawna zbiera się na burzę. Mam nadzieję, że wspólne zagrożenie ze strony Germanów zaceruje nasz prujący się półwysep.

- Nie sędzę. Wszyscy oni mówią, że Rzym trzymał ich majątnych ludzi tak długo z dala od domów, aż gospodarstwa podupadły, a ci, którzy przeżyli, wpadli w długi u Rzymian. Mówią, że Rzym dostał już swoich Policzonych Głowami - jako niewolników rozproszonych od jednego końca Morza Środkowego do drugiego! Są zwłaszcza tam, gdzie potrzeba było ludzi do pracy na roli - w Afryce, na Sardynii i na Sycylii.

Mariusz również sponsepniał.

- Nie miałem pojęcia, że sprawy zaszły tak daleko. Sam mam mnóstwo ziemi w Etrurii, w tym wiele gospodarstw zajętych za długi. Co miałem zrobić? Gdybym ja ich nie kupił, kupiłby je Świński albo Dalmatyński! Odziedziczyłem dobra w Etrurii po matce, ale to nie zmienia faktu, że jestem tam wielkim właścicielem ziemskim.

- I nawet nie wiesz, co twoi agenci zrobili z ludźmi, których gospodarstwa zajęłaś.

- Masz rację, nie wiem. - Mariusz miał nietęgą minę. - Nie miałem pojęcia, że tylu Italczyków jest naszymi niewolnikami. To jakby się oddawało Rzymian w niewolę.

- Robimy to, kiedy Rzymianin wpada w długi.

- Coraz rzadziej, Publiusz Rutyluszu.

- To prawda.

- Przejrzę te italskie skargi, kiedy tylko zacznę urzędowanie - postanowił Mariusz.

Niezadowolenie Italczyków przez cały grudzień wisiało niczym chmura nad Rzymem. Wojowniczym plemionom środkowej Italii z wyżyn nad dolinami Tybru i rzeki Liris przewodzili Marsowie i Samnici. Były też wystąpienia przeciw przywilejom rzymskiej szlachty inspirowane przez tych ze szlachty, którzy nie mieli przywilejów.

Nowi trybunowie ludowi byli rzeczywiście bardzo czynni. Lucjusz Kasjusz Longin, boleśnie odczuwający obwinianie swego ojca o nieudolne dowodzenie, przedstawił na posiedzeniu *contio* Zgromadzenia Plebejskiego zaskakującą ustawę. Wszyscy, którym zgromadzenie odebrało imperium, mieli tracić też swe miejsca w senacie. Było to wypowiedzenie wojny Cepionowi. Oczywiście powszechnie uważano, że jeśli Cepion będzie sądzony za zdradę stanu w dotychczasowym systemie, zostanie uniewinniony. Dzięki swej władzy i bogactwu mógł wpływać na zbyt wielu ekwitów z pierwszej i drugiej klasy, by go nie uniewinniono. Zgromadzenie Plebejskie, pozbawiające go miejsca w senacie, było jednak czymś całkiem innym. Projekt ustawy mimo protestów Metellusa Numidyjskiego i jego kolegów był na dobrej drodze do stania się prawem.

A potem zerwała się burza. Kiedy Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus padł martwy na rastrach podczas awantury o wybór Mariusza na konsula *in absentio*, powstał wakat w kolegium pontyfikalnym. Arcykapłanem był wiekowy Lucjusz Cecyliusz Metellus Dalmatyński, a wśród kapłanów znajdowali się Marek Emiliusz Skaurus, Publiusz Licyniusz Krassus i Scypion Nazyka. Nowych kapłanów powoływali członkowie kolegium. Plebejusza zastępował plebejusz, a patrycjusza patrycjusz. Kolegia kapłanów i augurów składały się w połowie z plebejuszy, a w połowie z patrycjuszy. Zgodnie z tradycją, nowy kapłan powinien należeć do tej samej rodziny co zmarły, kapłaństwo przechodziło więc z ojca na syna albo z wuja na siostrzeńca. Honor i *dignitas* rodziny musiały przetrwać. Spodziewano się naturalnie, że Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus Młodszy, obecnie głowa rodziny, zostanie powołany na kapłana na miejsce swego ojca.

Pojawił się jednak problem, a imię jego było Skaurus. Kiedy kolegium pontyfikików zebrało się, by dobrać sobie nowego członka, Skaurus oznajmił, że nie jest za tym, by miejsce Ahenobarba zajął jego syn. Nie wymienił powodu, chociaż wynikało to jasno ze wszystkiego, co powiedział, i było oczywiste dla trzynastu słuchających go kapłanów, a mianowicie, że Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus był uparty, kłótniwy, wybuchowy i nie lubiany i że spłodził syna, który był jeszcze gorszy. Kolegia kapłańskie były jednak nieliczne i zbierały się w ciasnych pomieszczeniach Regii, urzędu arcykapłana, a młody Ahenobarbus miał dopiero trzydzieści trzy lata. Ludziom w rodzaju Skaurusa, którzy musieli znosić przez wiele lat jego ojca, perspektywa dalszego znoszenia towarzystwa syna nie wydawała się pociągająca. Skaurus zaś mógł przedstawić kolegom dwa ważne powody, by zaproponować wolne miejsce komuś innemu niż młody Ahenobarbus.

Pierwszy był ten, że kiedy poprzednio zmarł Marek Liwiusz Druzus Cenzor, jego miejsce nie dostało się synowi, który miał wówczas lat dziewiętnaście. Uznano wtedy, że jest on nieco za młody. Drugim powodem było to, że młody Marek Liwiusz Druzus zaczął nagle przejawiać niepokojące skłonności do odstąpienia od dziedzicznego konserwatyizmu. Skaurus uważał, że gdyby dostał on kapłańskie stanowisko swego ojca, przyciągnęłoby go to na nowo na łono tradycji jego przodków. Jego ojciec był nieubłaganym przeciwnikiem Gajusza Grakcha, a oto młody Druzus występował na Forum Romanum w roli nowego Gajusza Grakcha! Skaurus wskazywał okoliczności łagodzące, zwłaszcza wstrząs, jakim była Arauzjona. Dokooptowanie młodego Druzusa do kolegium kapłańskiego jego ojca wydawało się najszcześniejszym rozwiązaniem.

Trzynastu pozostałych kapłanów, z arcykapłanem Dalmatyńskim włącznie, uznało, że to znakomite wyjście z kłopotów z Ahenobarbem, zwłaszcza że stary Ahenobarbus niedługo przed śmiercią zapewnił swemu młodszemu synowi Lucjuszowi stanowisko augura. Rodzina nie mogła zatem narzekać, że została całkowicie pozbawiona wpływów w kolegiach kapłańskich.

Gdy jednak młody Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus dowiedział się, że jego oczekiwane kapłaństwo dostanie się Markowi Liwiuszowi Druzusowi, nie był zadowolony. Prawdę mówiąc, był oburzony. Na najbliższym posiedzeniu senatu oznajmił, że zamierza oskarżyć Marka Emiliusza Skaurusa o świętokradztwo. Powodem była adopcja jakiegoś patrycjusza przez plebejusza. Ta skomplikowana sprawa wymagała zgody kolegium pontyfików, jak również kolegium trzydziestu liktorów. Młody Ahenobarbus twierdził, że Skaurus nie dopełnił swoich obowiązków. Na kurii nie zrobiło to wrażenia, bo wszyscy wiedzieli, co kryło się za nagłym wystąpieniem w obronie kapłańskiej skrupulatności. Skaurus po prostu wstał i spojrzął z góry w poczerwieniałą twarz Ahenobarba.

- Więc ty, Gnejuszu Domicjuszu, który nawet nie jesteś kapłanem, oskarżasz mnie, kapłana i przywódcę tej kurii, o świętokradztwo? - spytał lodowatym tonem. - Zabieraj się stąd i zabawiaj swymi nowymi zabawkami w Zgromadzeniu Plebejskim, dopóki wreszcie nie dorośniesz!

Zdawało się, że sprawa na tym się skończy. Ahenobarbus wypadł wściekły z kurii wśród ryku śmiechu i krzyków: „Trzeba umieć przegrywać!”

Nie dał jednak za wygraną. Skaurus kazał mu zabawiać się nowymi zabawkami w Zgromadzeniu Plebejskim, on zaś właśnie to zrobił! W ciągu dwóch dni przedstawił projekt nowej ustawy, a zanim skończył się stary rok, przeprowadził jej omówienie i głosowanie i zamienił w obowiązujące prawo. To *lex Domitia de sacerdotiis* głosiło, że nowi członkowie kolegium kapłańskiego i kolegium augurów nie mają być odtąd dobierani przez pozostałych członków tych kolegiów, ale wybierani przez specjalne trybalne zgromadzenie, a o wybór może się ubiegać każdy.

- Ślicznie - powiedział Pontifex Maximus, Metellus Dalmatyński, do Skaurusa. - Po prostu ślicznie!

Skaurus śmiał się jednak do upadłego, ocierając oczy.

- Ach, Lucjuszu Cecyliuszu, przyznaj, że zgrabnie nam przyciął nasze kapłańskie treny! Za to go lubię.

- Kiedy znów ktoś z nas wyciągnie kopyta, on się będzie ubiegał o wybór - mówił ponurym tonem Pontifex Maximus.

- Dlaczego nie? Zasłużył sobie na to.

- A jeśli to będę ja? Może równie dobrze zostać arcykapłanem!

Skaurus bynajmniej nie zmiękł.

- To by się nam wszystkim należało!

- Słyszałem, że zaczął ścigać Marka Juniusza Sylana - powiedział Metellus Numidyjski.

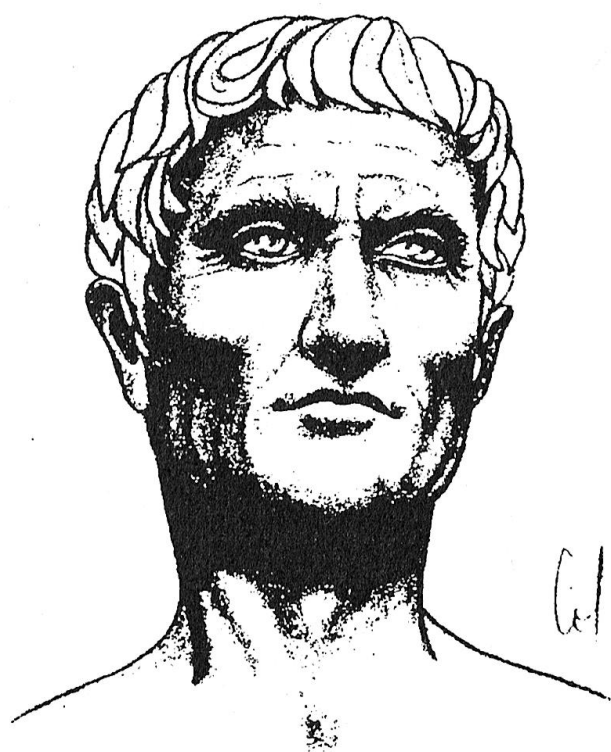
- Zgadza się. Za bezprawne rozpoczęcie wojny z Germanami w Galii Zaalpejskiej - potwierdził Pontifex Maximus Dalmatyński.

- No cóż, Zgromadzenie Plebejskie może za to sądzić Sylana. Oskarżenie o zdradę stanu byłoby rozpatrywane przez centurie. - Skaurus gwizdnął. - Jest w tym dobry! Zaczynam żałować, że nie powołaliśmy go w miejsce ojca.

- Ach, nie mówisz tego poważnie! - rzekł Metellus Numidyjski. - Chyba cię nie cieszy całe to żałosne fiasko?

- Dlaczego nie? - Skaurus udał zdziwienie. - To jest Rzym, ojcowie spisani! Rzym taki, jaki powinien być! Wszyscy nasi szlachetnie urodzeni w uczciwym współzawodnictwie!

- Bzdury! - Metellus Numidyjski był w fatalnym nastroju, bo Gajusz Mariusz lada dzień miał zostać konsulem. - Rzym, jaki znamy, ginie! Wybiera się na konsula drugi raz w ciągu trzech lat kogoś, kto nie był obecny w Rzymie, by pokazać się w *toga candida*! Policzeni Głowami w legionach! Wybieralni kapłani i augurowie! Decyzje senatu o zarządzie prowincji obalane przez lud! Państwo opłaca utrzymanie armii! Ludzie nowi u władzy! A niech to!...



**KWINTUS LUTACJUSZ KATULLUS
CEZAR**

☯
ROK SIÓDMY
(104 p.n.e.)

☯
ZA KONSULATU
GAJUSZA MARIUSZA (II)
I
GAJUSZA FLAWIUSZA FIMBRII

☯
ROK ÓSMY
(103 p.n.e.)

☯
ZA KONSULATU
GAJUSZA MARIUSZA (III)
I
LUCJUSZA AURELIUSZA ORESTESA

☯
ROK DZIEWIĄTY
(102 p.n.e.)

☯
ZA KONSULATU
GAJUSZA MARIUSZA (IV)
I
KWINTUSA LUTACJUSZA KATULLUSA CEZARA

Organizację pochodu tryumfального Mariusza powierzono Sulli. Wypełniał sumiennie polecenia, chociaż gdy słuchał instrukcji Mariusza, opadały go złe przeczucia.

- Chcę odbyć ten tryumf szybko i sprawnie - mówił mu Mariusz w Puteoli, zaraz po wylądowaniu. - Wejść na Kapitol najpóźniej o szóstej godzinie dnia, zaraz potem inaugurować konsulat i spotkać się z senatem. Wszystko to bez straty czasu, bo postanowiłem, że ta ucztą ma być godna zapamiętania. To dla mnie podwójne święto, gdyż jestem zarówno tryumfującym wodzem, jak starszym konsulem. Życzę więc sobie wyżerki pierwszej klasy, Lucjuszu Korneliuszu! Żadnych jajek na twardo ani niedojrzałych serów, rozumiesz? Najlepsze i najkosztowniejsze jedzenie, najlepsi i najkosztowniejsi tancerze, śpiewacy i muzycy, złota zastawa i purpurowe sofy.

Sulla słuchał tego ze ściśniętym sercem. „On zawsze już będzie tylko wieśniakiem z ambicjami towarzyskimi”, pomyślał. Pośpieszny pochód tryumfalny i pośpieszna inauguracja konsulatu, po których nastąpi uczta w rodzaju tej nakazanej, to coś w najgorszym stylu, zwłaszcza zaś ta po prostaku wystawna uczta!

Wypełnił jednak polecenia co do joty. Wozy z wielkimi glinianymi zbiornikami z wodą, woskowanymi od wewnątrz dla uszczelnienia, wiozły z mozołem do Rzymu ładunki bajskich ostryg, kampańskich langust i krewetek z Zatoki Krateru. Tymczasem inne podobnie wyposażone wozy wiozły z górnych rejonów Tybru węgorze, szczupaki i okonie. Doświadczeni poławiacze zębaczy czatowali u wylotów rzymskich kanałów ściekowych. Do restauratorów wysyłano do pieczenia, szpikowania i nadziewania tuczone miodowymi ciasteczkami maczanymi w winie kapłony, kaczki, prosięta, koźlęta, bażanty i sarnięta. Wielki ładunek olbrzymich ślimaków przypląnął z Afryki z Mariuszem i Sullą. Był to upominek od Publiusza Wagieniusza, który liczył na wieści o reakcjach rzymskich smakoszy.

Tak więc Sulla urządził Mariuszowi dziarski i rzeczowy pochód tryumfalny, myśląc przy tym, że gdy nadejdzie czas na jego własny tryumf, urządzi tak wielki pochód, że będzie on szedł trzy dni starożytną drogą, jak kiedyś pochód Emiliusza Paulusa. Arystokrata nie żałuje czasu i środków, by zapewnić ludowi udział w swoim tryumfie. Wieśniak, który chce zrobić wrażenie na nielicznych uprzywilejowanych, przeznacza czas i środki na ucztę w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego.

A jednak Sulla zdołał uczynić pochód tryumfalny Mariusza godnym zapamiętania. Na wielkich ruchomych platformach przedstawiono wszystkie atrakcje kampanii afrykańskiej, od ślimaków z Muluchy do zdumiewającej prorokini Marty Syryjki. Była ona gwiazdą tego korowodu żywych obrazów. Spoczywała na purpurowo-złotej sofie na ogromnej platformie stanowiącej kopię sali tronowej księcia Gaudy w Starej Kartaginie. Był tam i aktor grający Mariusza, i drugi aktor, odtwarzający pokraczną postać Gaudy. Na ozdobnym rydwaniu kazał Sulla wystawić wszystkie wojskowe odznaczenia Mariusza. Były tam wozy pełne łupów i wozy z trofeami ze zdobytych nieprzyjacielskich zbroi, i wozy z ciekawymi okazami - a wszystko było tak pomyślane, by widzowie mogli podziwiać poszczególne okazy - jechały też wozy z lwami w klatkach i z dziwacznymi małpami i szły dwa tuziny słoni wachlujących się wielkimi uszami. Sześć legionów afrykańskich miało maszerować bez włóczni i mieczów, z wysokimi tykami oplecionymi wawrzynem zwycięstwa.

- Ruszać mi się żwawo, wy *cunni*! - wołał Mariusz do swych żołnierzy, którzy stali gotowi do wymarszu na zdeptanej murawie Villa Publica. - Mam być o szóstej na Kapitolu, więc nie mogę mieć was stale na oku. Nie przynieście mi tylko wstydu, bo nie pomoże wam wtedy żaden bóg! Słyszycie mnie, *fellatores*?

„Podoba im się, kiedy używa nieprzyzwoitych wyrazów”, pomyślał Sulla, „ale oni i tak go uwielbiają, obojętnie jakich słów używa”.

Jugurta również maszerował w pochodzie odziany w swe królewskie purpurowe szaty, z głową przewiazaną po raz ostatni diademem, białą wstęgą z frędzlami. Wszystkie jego złote naszyjniki, pierścienie i bransolety połyskiwały w porannym słońcu, był to bowiem piękny dzień zimowy, ani niewymownie zimny, ani też nieznośnie wietrzny. Obaj synowie Jugurty byli przy nim, także odziani w purpurę.

Kiedy Mariusz odesłał Jugurtę do Rzymu, ten ledwie mógł w to uwierzyć, tak był pewien, opuszczając z Bomilkarem Rzym, że nigdy tu nie wróci. Terrakotowe miasto żywych barw, malowane kolumny, ściany o jaskrawych kolorach - i wszędzie posagi wyglądające tak prawdziwie, że patrzący na nie oczekiwali, iż zaczną przemawiać, walczyć, płakać. Rzym nie miał w sobie niczego z afrykańskiej bieli. Tu nie bielono ścian, lecz je malowano. Wzgórza i urwiska, przestrzenie parkowej zieleni, cyprysy cienkie jak ołówki i pinie niczym parasole. Wyniosłe świątynie na wysokich cokółkach i skrzydlate Wiktorie powożące czterokonnymi zaprzęgami na szczytach świątynnych przyczółków. Powoli zarastająca zielenią blizna po wielkim pożarze na Wiminalu i górnym Eskwilinie. Rzym, sprzedajne miasto. Cóż za tragedia, że on nie ma już pieniędzy, by je kupić! Jakże inny mógł być obrót spraw, gdyby je miał!

Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski przyjął go jak honorowego gościa, któremu jednak nie wolno było opuszczać domu. Przywieziono go o zmroku i pozostawał tam przez całe miesiące, nie mając wstępu na loggię, z której widać było Forum Romanum i Kapitol, skazany na chodzenie tam i z powrotem po ogrodzie-perystylu niczym lew, za którego się uważał. Duma nie pozwalała mu nie dbać o swój wygląd. Co rano biegał w miejscu, ćwiczył skłony, walczył z cieniem, podciągał się na gałęzi, dotykając jej podbródkiem. Chciał, by go podziwiali Rzymianie, gdy będzie szedł w tryumfalnym pochodzie Mariusza, chciał mieć pewność, że dojrzą w nim groźnego wroga, a nie jakiegoś wschodniego wielmożę-mięczaka.

Do Metellusa odnosił się z rezerwą. Nie zamierzał zaspokajać ego jednego Rzymianina kosztem drugiego - zaraz też wyczuł, że rozczarował gospodarza. Numidyjski miał nadzieję na zebranie dowodów nadużywania przez Mariusza władzy prokonsula. Nie dostał żadnych, co sprawiło Jugurcie cichą przyjemność. Wiedział, kogo uznaje, a kogo nie uznaje za swego zwycięzcę. Numidyjski z pewnością był z wielkiego rodu i na swój sposób uczciwy, ale jako człowiek i jako żołnierz nie był godzien zawiązywać butów Mariuszowi. Dla Metellusa Mariusz był oczywiście kimś niewiele lepszym od bękartów, więc Jugurtę, który o bękartach wiedział wszystko, zaczęło łączyć z Mariuszem jakieś dziwaczne braterstwo.

Wieczorem przed tryumfalnym wjazdem Mariusza do Rzymu Metellus Numidyjski i jego syn wydali ucztę dla Jugurty i jego dwóch synów. Jedynym gościem z zewnątrz był Publiusz Rutyliusz Rufus, o którego towarzystwo prosił Jugurta. Spośród tych, którzy walczyli pod Numancją pod wodzą Scypiona Emilianusa, zabrakło tylko Mariusza.

Był to bardzo dziwny wieczór. Metellus Numidyjski nie pożałował niczego, by wydać wystawną ucztę - bo, jak mówił, nie miał zamiaru jeść

na koszt Gajusza Mariusza po inauguracyjnym spotkaniu z senatem w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego.

- Ale nie da się dziś kupić langusty, ostrygi ani ślimaka - mówił, gdy zaczynali wieczerzę. - Mariusz spustoszył rynki.

- Chyba nie masz mu tego za złe? - spytał Jugurta, gdy Rutyliusz Rufus nie zabrał głosu.

- Mam mu za złe to i wszystko inne.

- Nie powinienes. Gdybyś mógł znaleźć kogoś takiego w szeregach wysoko urodzonych, zgoda. Ale nie możesz. Gajusza Mariusza wydała Roma. Nie mówię o mieście ani o narodzie - mówię o nieśmiertelnej bogini, geniuszu miasta, sile sprawczej. Potrzebny był człowiek. Człowiek się znalazł - mówił Jugurta, król Numidii.

- I wśród nas są ludzie z odpowiednim urodzeniem i pochodzeniem, którzy mogli dokonać tego samego, co Gajusz Mariusz - upierał się Numidyjski. - Prawdę mówiąc, mam na myśli siebie. Gajusz Mariusz ukradł mi imperium, a jutro obedrę mnie z nagrody.

Rozdrażnił go wyraz niedowierzania na twarzy Jugurty, dodał więc nieco kąśliwie:

- Na przykład, to nie Gajusz Mariusz pochwyił ciebie, królu. Dokonał tego człowiek z urodzeniem i pochodzeniem jak należy, Lucjusz Korneliusz Sulla. Można powiedzieć - i to w formie ważnego wniosku - że to Lucjusz Korneliusz zakończył wojnę, a nie Gajusz Mariusz.

Nabrał tchu i złożył własne pretensje w ofierze na ołtarzu Lucjusza Korneliusza Sulli.

- W istocie to Lucjusz Korneliusz Sulla ma wszystkie cechy zdrowo myślącego i odpowiednio rzymskiego Gajusza Mariusza.

- O nie! - zadrwił Jugurta, zdając sobie sprawę, że Rutyliusz Rufus przygląda mu się uważnie. - To lampart o całkiem innych cętkach. Gajusz Mariusz jest bardziej prostolinijszy, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - oświadczył sucho Numidyjski.

- Wiem doskonale, o co ci chodzi - powiedział Rutyliusz Rufus z zadowoloną miną.

Jugurta uśmiechnął się do niego szeroko, jak kiedyś pod Numancją.

- Gajusz Mariusz to dziwoląg - rzekł. - Wspaniały owoc na przeoczonym zwykłym drzewie rosnącym tuż za murem ogrodu. Takich ludzi nie można powstrzymać ani zepchnąć z drogi. Mają serce, głowę, charakter i tę iskrę nieśmiertelności, która pozwala im przewyciężyć wszelkie trudności. Bogowie ich kochają! Zsyłają na nich łaski Fortuny. Gajusz Mariusz idzie zatem prostą drogą, a kiedy zmuszony jest iść krętym szlakiem, nie zmienia kierunku.

- Jakże to prawdziwe! - rzekł Rutyliusz Rufus.

- Lu-Lu-Lucjusz Kor-Kor-Korneliusz jest lep-lep-lepszy! - wykrzyknął gniewnie młody Metellus Prosiak.

- Nie! - Jugurta pokręcił głową, wzmacniając przeczenie. - Nasz przyjaciel Lucjusz Korneliusz ma głowę... i charakter... a może i serce... ale chyba nie ma tej iskry nieśmiertelności. Kręte sposoby wydają mu się naturalne, widzi je jako proste. Słóń bojowy nie ma wartości dla kogoś, kto

jest szczęśliwy, jadąc na mule. Ach, on jest dzielny niczym byk! W bitwie nikt nie jest bardziej od niego skory, by poprowadzić natarcie, utworzyć kolumnę posiłkową, rzucić się w wyłom w szyku nieprzyjaciela albo zawrócić jakąś uchodzącą z pola centurię. Ale Lucjusz Korneliusz nie słyszy głosu Marsa, Gajusz Mariusz zaś słyszy go nieustannie. Nawiasem mówiąc, przypuszczam, że „Mariusz” to jakieś łacińskie przekręcenia „Marsa”. Może chodzi o syna Marsa? Nie wiecie? Podejrzewam, że nie chcesz wiedzieć, Kwintusie Cecyliuszu. Szkoda. Łacina to język o potężnym brzmieniu, dosadny, a jednak potoczny.

- Powiedz mi coś więcej o Lucjuszu Korneliuszu Sulli. - Rutyliusz Rufus zadowalał się kawałkiem świeżego białego chleba i zwykłym jajkiem.

Jugurta zajadał się ślimakami, których nie kosztował od początku wygnania.

- O czym tu mówić? On jest wytworem swojej własnej klasy. Wszystko, co robi, robi dobrze. Tak dobrze, że dziewięciu świadków na dziesięciu nie uświadamia sobie, czy przychodzi mu to z natury, czy też zawdzięcza to inteligencji i wykształceniu. W ciągu tego czasu, który z nim spędziłem, nie dostrzegłem w nim tej iskry, która powiedziała by mi, jakie są jego naturalne skłonności. Ach, on będzie wygrywał wojny i rządził, nie mam co do tego wątpliwości - ale nigdy za sprawą ducha.

Sos czosnkowy ściekał po podbródku honorowego gościa. Przerwał on, gdy służący ocierał wygolone i pokryte zarostem partie podbródka, a potem beknął potężnie i ciągnął dalej.

- On zawsze wybierze to, na czym skorzysta, bo brak mu tej mocy wytrwania, którą tylko iskra nieśmiertelności może dać człowiekowi. Jeżeli przedstawi mu się dwie możliwości, wybierze tę, która doprowadzi go do celu mniejszym nakładem kosztów. On po prostu nie jest tak sumienny jak Gajusz Mariusz ani tak dalekowzroczny.

- Skąd ty-tyle wiesz o Lu-Lucjuszu Korneliuszu? - spytał Metellus Prosiak.

- Odbyliśmy kiedyś razem godną uwagi przejażdżkę - powiedział w zadumie Jugurta, korzystając przy tym z wykałaczkii. - Potem płynęliśmy wzdłuż brzegów Afryki z Ikozjum do Utyki. Dowiedzieliśmy się o sobie niemało.

Sposób, w jaki te słowa zostały wypowiedziane, zmusił słuchaczy do zastanawiania się nad znaczeniem, nikt jednak o nic nie zapytał. Wniesiono sałatki, a potem pieczenie. Metellus i jego goście znów zabrali się do jedzenia, wszyscy oprócz numidyjskich królewiczów, Jampsasa i Oksyntasa.

- Chcą umrzeć razem ze mną - wyjaśnił Jugurta ściszonego głosem Rutyliuszowi Rufusowi.

- Nie pozwolimy na to - powiedział Rufus.

- Powiem im o tym.

- Czy wiedzą, dokąd mają się udać?

- Oksyntas do Wenuzji, gdziekolwiek to jest, a Jampsas do Asculum Picentum, równie zagadkowego miejsca.

- Wenuzja leży w południowej Kampanii, przy drodze do Brundyjzjum, a

Asculum Picentum na północny wschód od Rzymu, po drugiej stronie Apeninów. Będzie im tam dość wygodnie.

- Jak długo będą przetrzymywani?

Rutyliusz Rufus zastanowił się, a potem wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Na pewno kilka lat. Dopóki tamtejsze władze nie napiszą do Rzymu, że wpojono im gruntownie rzymskie nastawienie, więc nie będą niebezpieczni, jeśli się ich odeśle do kraju.

- Obawiam się zatem, że zostaną tu do końca życia. Lepiej będzie, jeśli umrą razem ze mną.

- Nie. Jugurto, nie możesz mieć co do tego pewności. Kto wie, co przyniesie im przyszłość?

- To prawda.

Wieczera trwała dalej. Podano nowe pieczenie i sałatki, a na koniec słodczyce, ciasta i sery, owoce suszone i nieliczne o tej porze roku świeże. Tylko Jampsas i Oksyntas nie mieli na nic ochoty.

- Powiedz mi, Kwintusie Cecyliuszu - zwrócił się Jugurta do Metellusa, kiedy już wyniesiono półmiski i podano nie rozcieńczone wino z najlepszych winnic - co zrobisz, jeśli pewnego dnia pojawi się nowy Gajusz Mariusz ze wszystkimi zaletami Mariusza, energią, dalekowzrocznością, i z iskrą nieśmiertelności, ale tym razem w skórze rzymskiego patrycjusza?

Numidyjski zamrugął.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, królu. Gajusz Mariusz to Gajusz Mariusz.

- Nie musi być jedyny - rzekł Jugurta. - Co zrobiłbyś, gdyby Gajusz Mariusz urodził się w rodzinie patrycjuszy?

- To niemożliwe.

- Nonsens. Oczywiście, że możliwe. - Jugurta delektował się smakiem znakomitego wina z Chios.

- Kwintus Cecyliusz chce chyba powiedzieć, że Gajusz Mariusz jest wytworem swojej klasy - zauważył Rutyliusz Rufus.

- W każdej klasie może pojawić się Mariusz.

Teraz już wszyscy Rzymianie kręcili przecząco głowami.

- Nie - oświadczył Rutyliusz Rufus w imieniu wszystkich. - To może być prawdą w Numidii albo w jakimś innym świecie, ale nie w Rzymie. Żaden rzymski patrycjusz nie mógłby myśleć i działać jak Gajusz Mariusz.

I na tym stanęło. Po jeszcze kilku kolejkach uczta dobiegła końca. Rufus poszedł do siebie, a mieszkańcy domu Metellusa rozeszli się do łóżek. W błogim nastroju po znakomitym jedzeniu, winie i towarzystwie Jugurta z Numidii zasnął twardo spokojnym snem.

Kiedy niewolnik pełniący obowiązki jego służącego obudził go na dwie godziny przed świtem, Jugurta wstał rześki i wypoczęty. Przygotowano mu gorącą kąpiel i poświęcono wiele uwagi jego wyglądowi. Nakłoniono go, by dał sobie ułożyć żelazkami długie loki, ufryzowano przystrzyżoną brodę, przeplatając ją złotymi i srebrnymi pasemkami, wygolono mu też dokładnie policzki i podbródek. Namaszczony drogimi olejkami, w diademie i we wszystkich swych klejnotach (które zostały już zinwenta-

ryzowane przez urzędników skarbowych i miały pójść do podziału kipów na Polu Marsowym nazajutrz po tryumfie) wyszedł Jugurta ze swoich komnat niczym żywy obraz hellenistycznego władcy, królewski od stóp do głów.

- Dziś - mówił do synów, gdy niesiono ich w otwartych lektykach na Pole Marsowe - po raz pierwszy w życiu zobaczę Rzym.

Sulla we własnej osobie witał go wśród zamieszania słabo oświetlonego pochodniami, ale świt wstawał już nad Eskwilem. Jugurta wiedział zresztą, że zamieszanie wynikało tylko z wielkiej liczby zgromadzonych pod Villa Publica i że w istocie panował tam ścisły porządek.

Łańcuchy, które mu założono, były symboliczne. Czy bez nich mogłyby chodzić po ziemi italskiej punicki król-wojownik?

- Mówiliśmy o tobie wczoraj wieczorem - zagadnął Sullę Jugurta.

- Czy tak?

Sulla miał na sobie błyszczący srebrny pancerz i *pteryges*, srebrne nagolenniki, srebrny hełm attycki z grzebieniem ze szkarłatnych piór i szkarłatną tunikę wojskową. Wydał się obcy Jugurcie, który pamiętał go w słomkowym kapeluszu. Za Sullą stał sługa z zestawem jego odznaczeń, całkiem imponującą kolekcją.

- Tak. - Jugurta mówił tonem człowieka prowadzącego zwyczajną rozmowę. - Dyskutowaliśmy, kto właściwie wygrał ze mną wojnę - Gajusz Mariusz czy ty.

Białawe oczy uniosły się ku twarzy Jugurty.

- Ciekawy temat do dyskusji, królu. Po czyjej byłeś stronie?

- Po stronie słuszności. Powiedziałem, że to Gajusz Mariusz wygrał wojnę. To on podejmował decyzje. To jego żołnierze walczyli, z tobą włącznie. I to on wydał rozkaz, który doprowadził do twego spotkania z moim teściem Bokchusem. - Jugurta urwał i uśmiechnął się. - Jednakże moim jedynym sprzymierzeńcem był mój stary druh Publiusz Rutyliusz. Kwintus Cecyliusz i jego syn utrzymywali, że to ty wygrałeś wojnę, bo ty mnie schwytałeś.

- Stanałeś po stronie słuszności - rzekł Sulla.

- Słuszność to rzecz względna.

- Nie w tym przypadku. - Pióropusz hełmu Sulli wskazał kotłujących się żołnierzy Mariusza. - Nigdy nie posiadę jego daru radzenia sobie z nimi. Nie żywię dla nich bratnich uczuć, sam widzisz.

- Dobrze to ukrywasz.

- Ach, oni to wiedzą, wierz mi. To on wygrał wojnę, z nimi razem. Mój wkład mógłby zostać dokonany przez każdego innego legata. - Sulla wciągnął głęboko powietrze. - Jak rozumiem, spędziłeś miły wieczór, królu?

- Jak najmiłszy! - Jugurta potrząsnął łańcuchami i stwierdził, że są bardzo lekkie, wygodne w noszeniu. - Kwintus Cecyliusz i jego syn jąkała wydali dla mnie królewską ucztę. Jeśli spytasz Numidyjczyka, co chciałby jeść w przeddzień swojej śmierci, odpowie ci, że ślimaki. Dostałem swoje ślimaki.

- Więc brzuch ci się pięknie zaokrąglił, królu.

Jugurta wyszczerzył zęby.

- Rzeczywiście! Powiedziałbym, że to właściwe podejście do pętli na szyi.

- To ja mam tu coś do powiedzenia - rzekł Sulla, którego szeroki uśmiech okazał się znacznie ciemniejszy na znacznie jaśniejszej twarzy.

Uśmiech Jugurty zgasł.

- O co ci chodzi?

- To ja odpowiadam za logistykę tego pochodu tryumfalnego, królu Jugurto. Oznaczało, że ja decyduję jak masz zginąć. Zwyczajowo zostałbyś uduszony przy użyciu pętli, to prawda. Nie jest to jednak żaden nakaz, istnieje alternatywa. Mianowicie, można cię wrzucić do lochu w Tulianum i zostawić tam, aż zgnijesz. - Sulla uśmiechał się coraz szerzej. - Po tak królewskiej uczcie, a zwłaszcza po próbie zasiania niezgody między mną a moim zwierzchnikiem, szkoda by było nie pozwolić ci strawić do końca swoich ślimaków. Nie będzie więc pętli na szyi, królu! Będziesz umierać powoli.

Szczęśliwie synowie Jugurty stali za daleko, by to słyszeć. Król patrzył, jak Sulla unosi rękę w pożegnalnym salucie, jak podchodzi do jego synów i sprawdza ich łańcuchy. Przyglądał się zamieszaniu wokół siebie, tłumom służących, rozdzielających wieńce i girlandy z liści wawrzynu, muzykantom strojącym trąbki o kształcie rogów i dziwaczne trąby w kształcie końskich łbów, które Ahenobarbus sprowadził z Galii Długowłosych, i tancerzom ćwiczącym ostatnie piruety. Przyglądał się zaprzęgom dwunastu wołów o pozłoconych rogach i z girlandami na szyi, osiołkowi woziwody w uwieńczonym wawrzynem słomkowym kapeluszu z dziurami na ośle uszy i jakiejś bezzębnej starej wiedźmie strojonej od stóp do głów w purpurę i złoto, którą wniesiono na jeden z wozów korowodu, ona zaś spoczęła tam na purpurowym łożu niczym największa kurtyzana w świecie i patrzyła, patrzyła, patrzyła wprost w jego oczy oczami psa Hadesa - to pewne, że powinna mieć trzy głowy...

Pochód zaczął się wreszcie, wśród popychania się i ponaglania. Zwykle na przedzie szli senatorowie i wyżsi urzędnicy, prócz konsulów, a potem muzykanci, tancerze i małpujący sławnych ludzi błażni, towarzyszący zwierzętom ofiarnym i ich kapłańskiej eskorcie. Potem szli dostojni więźniowie i jechał na starodawnym rydwaniu tryumfujący wódz, a na końcu maszerowały jego legiony. Gajusz Mariusz zmienił jednak nieco tę kolejność, stawiając siebie przed zdobyczą, żywymi obrazami i platformami. Dzięki temu mógł przybyć na Kapitol i złożyć zwierzęta w ofierze wystarczająco wcześniej, by zaraz potem rozpocząć swój konsulat, odbyć inauguracyjne spotkanie z senatem, a potem pełnić obowiązki gospodarza uczyty w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego.

Jugurta przekonał się, że jest w stanie cieszyć się swą pierwszą - i ostatnią - pieszą przechadzką po ulicach Rzymu. Czy to ważne, jak umrze? Człowiek wcześniej czy później umiera, on zaś miał wspaniałe życie, nawet jeśli skończyło się klęską. Dał Rzymianom mnóstwo zabawy za ich własne pieniądze. Jego zmarły brat Bomilkar... On także umarł w lochu, jeśli już o tym mowa. Może bratobójstwo, choćby i z ważnych powodów,

jest obrazą bogów? Cóż, chyba tylko bogowie wiedzą, ile krwi jego krewnych przelano z jego namowy, choćby i nie jego rękami. Czy ma czyste ręce, jeśli nie zrobił tego osobiście?

Ależ wysokie są te kamienice! Pochód wkraczał z Velabrum w Vicus Tuscus. Ta część Rzymu zabudowana była insulami, które pochylały się nad głowami, jakby chciały uściskać się nad uliczkami, padając sobie na ceglane piersi. Wszystkie okna pełne były twarzy, wszystkie usta wiwatowały, o dziwo, i na jego cześć, odprowadzając go na stracenie słowami pokrzepienia i najlepszymi życzeniami.

Pochód szedł skrajem Targu Mięsnego, Forum Boarium. Posąg nagiego Herkulesa przystrojono na ten dzień w regalia tryumfującego wodza: nosił purpurowo-złotą *toga pieta*, wyszywaną w palmowe liście *tunica palmata*, w jednej ręce miał gałąź wawrzynu, w drugiej berło z kości słoniowej z orłem na szczycie, a twarz pomalowaną miał minią na jaskrawoczerwony kolor. Tego dnia zawieszono sprzedaż mięsa, a sprzed wspaniałych świątyni na obrzeżach wielkiego rynku usunięto stragany. Tam! Świątynia Cerery, ponoć najpiękniejsza w całym mieście - i była rzeczywiście piękna na swój krzykliwy sposób, pomalowana na czerwono, niebiesko, zielono i żółto, wyniesiona w górę na cokole jak wszystkie rzymskie świątynie. Jugurta wiedział, że była to kwatery główna plebejuszy, ich archiwum i siedziba ich edylów.

Pochód skręcił teraz do wnętrza Circus Maximus, największej budowli, jaką widział w życiu. Ciągnęła się wzdłuż całego Palatynu i mieściła sto pięćdziesiąt tysięcy widzów. Wszystkie rzędy drewnianych ław pełne były widzów oklaskujących pochód tryumfalny Gajusza Mariusza. Jugurta, idący przed Mariuszem, słyszał, jak pośród wiwatów podnoszą się okrzyki sławiące wodza. Nikt nie miał mu za złe pośpiechu, bo wysłał swych klientów i agentów, by rozpowiadali w tłumie, że opuszcza on zaraz Rzym i wyrusza do Galii Zaalpejskiej przeciw Germanom.

Zielone przestrzenie i wspaniałe rezydencje Palatynu również były pełne widzów. Powiedziano mu, że tam, wysoko ponad tłumem, bezpieczne od napaści i rabunku, stoją kobiety, dziewczęta i chłopcy z najlepszych rodzin. Z Circus Maximus wyszli na Via Triumphalis biegnącą po dalszym skraju Palatynu. Po lewej wznosiły się ponad nią skały i zielone zbocza, po prawej dzielnica wysokich kamienic stłoczonych pod wzgórzem Celius. Doszli potem do Palus Ceroliac, bagniska poniżej Karyn i Fagutalu - i na koniec skręcili na Velie, schodząc na Forum Romanum po wytartym bruku starożytnej świętej drogi, Via Sacra.

W końcu zobaczył je, ów środek świata, taki, jakim za dawnych dni był Akropol. Przyjrzał się Forum Romanum - i mocno się rozczarował. Budynki, małe i stare, nie były ustawione w jakiś logiczny sposób, były bowiem skierowane ku północy, gdy tymczasem samo Forum było zorientowane z północnego zachodu na południowy wschód. Robiło to wrażenie nieporządku, a całe to miejsce nosiło piętno zaniedbania. Nawet nowe budowle, które przynajmniej ustawione były pod właściwym kątem do Forum, nie były dobrze utrzymane. Prawdę mówiąc, budowle mijane po drodze były daleko bardziej okazałe, a świątynie większe, bogatsze i

wspanialsze. Domy kapłanów były, owszem, świeżo odmalowane, a okrągła świątynka Westy śliczna, ale tylko wyniosła świątynia Kastora i Polluksa i po dorycku surowa rozległa świątynia Saturna przyciągały wzrok jako podziwu godne wzory. Było to bezbarwne i smutne miejsce, zapadnięte w jakiejś dziwacznej dolinie, wilgotnej i niemiłej.

Naprzeciw świątyni Saturna, z której cokołu przyglądali się pochodowi wyżsi urzędnicy skarbu państwa, Jugurtę z synami i jego wziętymi do niewoli komesami i żonami odprowadzono na bok. Stali, przyglądając się przechodzącym obok liktorom wodza, jego tancerzom, muzykantom, nosicielom kadzielnic, doboszom i trębaczom, jego legatom, a potem jemu samemu na rydwanie, oddalonemu i nie do poznania z pomalowaną minią twarzą i we wszystkich regaliach. Tamci wszyscy szli na wzgórze, gdzie wielka świątynia Jowisza Najlepszego i Największego zwracała się kolumnowym bokiem do Forum, bo i ona ustawiona była z północy na południe. Jej przód zwracał się ku południowi, ku Numidii.

Jugurta spojrział na synów.

- Obyście żyli długo i szczęśliwie!

Udawali się do jakichś oddalonych rzymskich miast, by tam przebywać pod nadzorem, ale jego komesowie i żony wracali do kraju, do Numidii.

Otaczający króla liktorzy szarpnęli lekko łańcuchy, on zaś ruszył pośród tłumu po bruku dolnego Forum, pod drzewami otaczającymi sadzawkę Kurcjusza i posąg satyra Marsjasza grającego na oboju, wokół rozległego zagłębienia z rzędami ław, miejsca zgromadzeń trybusowych, ku początkowi Clivus Argentarius. Ponad nim wznosiło się wzgórze zamkowe Kapitolu ze świątynią Junony Monety. Stała tam, po drugiej stronie Comitium, starożytna kuria senatu, a obok niej mała i podniszczona Basilica Porcia zbudowana przez Katona Cenzora.

I tylko do tego miejsca prowadziła jego wędrówka przez Rzym. Na stoku wzgórza zamkowego, u stóp schodów Gemonii, stało Tullianum, mała budowla o murach z głazów układanych bez zaprawy, murach cyklopowych, jak mówiono wszędzie na świecie o tym sposobie budowania. Miała tylko jedną kondygnację i tylko jedno wejście, prostokątny otwór pozbawiony drzwi. Udając, że jest za wysoki, Jugurta pochylił głowę, ale wszedł bez trudu do środka, bo wejście było wyższe niż ludzka miara.

Liktorzy odarli go z szat, klejnotów i diademu i przekazali je urzędnikom skarbu. Ich spis przeszedł z rąk do rąk jako oficjalne potwierdzenie przekazania własności państwowej. Jugurta został tylko w przepasce na biodrach, którą nałożył za radą Metellusa Numidyjskiego. Z przyzwyczajenia osłoniętym źródłem męskości mężczyzna może przyzwyczajenie iść na śmierć.

Jedynie z wejścia za jego plecami dochodziło światło, ale i przy nim dojrzał okrągły otwór w środku kolistej posadzki. Tam go mieli wrzucić. Był przygotowany na pętlę, miał mu towarzyszyć dusiciel z pomocnikami, jego ciało miano potem wrzucić do otworu kanału ściekowego, a nadal żyjący mieli wyjść po drabinie na świat.

Sulla musiał znaleźć czas, by zmienić procedurę, bo nie było żadnego

duciciela. Ktoś przyniósł drabinę, ale Jugurta odesłał ją ruchem ręki. Stał na skraju otworu, a potem zrobił krok w próżnię, nie wydając ani dźwięku. Czy jakiegokolwiek słowa byłyby tu na miejscu? Odgłos upadku był niemal natychmiastowy, bo loch nie był głęboki. Usłyszawszy go, eskorta wyszła w milczeniu. Nikt nie zakrywał otworu i nikt nie zamykał wejścia. Nie zdarzyło się dotąd, by ktoś wydostał się ze straszego lochu pod Tullianum.

Dwa białe woły i jeden biały byk stanowiły wkład Mariusza w ofiary dnia, ale tylko woły należały do tryumfu. Wsiadł z czterokonnego rydwanu u dołu schodów wiodących do świątyni Jowisza i wszedł po nich samotnie. W głównej sali świątyni złożył swą laurową gałąź i laurowy wieniec u stóp posągu Jowisza Najlepszego i Największego, po czym weszli tam jego liktorzy i złożyli w ofierze bogu swoje wieńce.

Było południe. Jeszcze żaden tryumfalny pochód nie zakończył się tak prędko, ale reszta pochodu - czyli jego główna część - podążała znacznie wolniej, ludzie mieli więc mnóstwo czasu, by oglądać żywe obrazy, platformy, łupy, trofea i żołnierzy. Nadeszła teraz pora na główne wydarzenia dnia. Gajusz Mariusz wyszedł ze świątyni do zebranych senatorów z pomalowaną na czerwono twarzą, w purpurowozłotej todze, w tunice wyszywanej w palmowe liście i z berłem z kości słoniowej w ręku. Szedł szybkim krokiem, myśląc o szybkim rozpoczęciu konsulatu i nie przejmując się swym strojem.

- No cóż, róbmy to dalej! - powiedział niecierpliwie.

To polecenie spotkało się z głębokim milczeniem. Nikt się nie poruszył, niczyja mina nie zdradzała myśli. Nawet kolega Mariusza, Gajusz Flawiusz Fimbria, i ustępujący konsul Publiusz Rutyliusz Rufus (Gnejusz Maliusz Maksymus zawiadomił uprzednio, że jest chory) po prostu stali bez ruchu.

- Co z wami? - spytał niepewnie Mariusz.

Z tłumu wystąpił Sulla, już nie wojskowy w paradnej srebrnej zbroi, ale w todze, jak należało. Uśmiechał się szeroko z otwartymi ramionami, żywy wzór czujnego i ugrzecznionego kwestora.

- Gajuszu Mariuszu, zapomniałeś o czymś! - zawołał, podchodząc do Mariusza i obracając go nieoczekiwanie silnym uchwytem. - Idź do domu i przebierz się, człowieku! - wyszeptał.

Mariusz już otwierał usta, by się spierać, gdy spostrzegł wyraz skrywanej radości na twarzy Metellusa Numidyjskiego i ze znakomitą refleksją podniósł rękę do twarzy, a potem spojrział na poczerwieniałą dłoń.

- O bogowie! - wykrzyknął z głupią miną. - Przepraszam, ojcowie spisani - zwrócił się do senatorów. - Chcę jak najprędzej ruszać na Germanów, ale to jest po prostu śmieszne! Proszę o wybaczenie. Postaram się zaraz wrócić.

Żaden wódz, choćby i tryumfator, nie może nosić oznak władzy na spotkaniu z senatem w granicach *pomerium*. Idąc zaś przez Asylum ku górze zamkowej, zawołał przez ramię:

- Dziękuję ci, Lucjuszu Korneliuszu!

Sulla oderwał się od milczących widzów i pobiegł za nim. Nie każdy

potrafiłby to zrobić w todzie, jemu zaś udało się nawet wyglądać naturalnie.

- Naprawdę ci dziękuję - powiedział Mariusz, kiedy Sulla go dogonił. - Ale co to ma za znaczenie, u licha? Wszyscy będą teraz stali przez godzinę na tym zimnym wietrze, póki nie zmyję tego mazidla i nie włożę swojej togi.

- Dla nich to ma znaczenie - odparł Sulla - i chyba dla mnie też. Będziesz potrzebował senatorów Gajusza Mariusza, więc już więcej dziś ich sobie nie zrażaj, proszę! Nie byli wcale zachwyceni, że muszą dzielić swoją inaugurację z twoim tryumfem. Nie ucieraj im dłużej nosa!

- Dobrze już, dobrze! - powiedział Mariusz zrezygnowanym tonem. Po schodach z góry zamkowej do tylnych drzwi swego domu schodził po trzy stopnie naraz i wpadł w te drzwi tak gwałtownie, że odźwierny upadł na twarz i zaczął wrzeszczeć ze strachu.

- Cicho, chłopie, to nie Galowie! - i Mariusz zaczął wołać pokojowca, żonę i łaziebego.

- Wszystko gotowe - powiedziała ta królowa pośród niewiast, Julia, uśmiechając się uspokajająco. - Przewidziałam, że będziesz się śpieszył jak zwykle. Twoja kąpiel czeka i twoi służący także, ruszaj więc, Gajuszu Mariuszu.

Obróciła się z uśmiechem do Sulli.

- Witaj, szwagrze. Pochłodziłaś, nieprawdaż? Zajdź do salonu i ogrzej się przy piecyku, a ja przyniosę grzane wino.

- Miałaś rację, idzie mróz - rzekł Sulla, biorąc dzban od wracającej szwagierki. - Przyzwyczyłem się do Afryki. Kiedy tam uganiałem się za Wielkim Człowiekiem, narzekałem na gorąco, ale teraz jestem skostniały z zimna.

Usiadła naprzeciw niego, przechylając pytająco głowę.

- Coś nie tak?

- Ach, jesteś jego żoną. - W jego głosie była nuta gorzkości.

- O tym potem, Lucjusz Korneliuszu. Najpierw powiedz, co źle poszło.

Uśmiechnął się gorzko, kręcąc głową.

- Wiesz, Julio, kocham tego człowieka tak bardzo, jak to możliwe, kiedy chodzi o mężczyznę, ale czasem mam ochotę rzucić go dusicielom z Tullianum, jakby był naszym wrogiem!

Julia parsknęła śmiechem.

- Ja także. To normalne, sam wiesz. On jest Wielkim Człowiekiem, a z takimi trudno wytrzymać. Co takiego zrobił?

- Przyszedł na inaugurację w stroju tryumfatora.

- Ach, drogi szwagrze! Chyba wszystkich sobie zraził? - zaniepokoiła się lojalna i trzeźwo patrząca żona.

- Na szczęście spostrzegłem, co chce zrobić, nawet przez tę czerwoną farbę. - Sulla uśmiechnął się szeroko. - To te jego brwi. Po trzech latach z Gajuszem Mariuszem można się nauczyć czytać jego myśli z ruchów brwi - sama wiesz!

- Tak, wiem - odpowiedziała uśmiechem.

- Dopadłem go i wykrzyknąłem coś o zapominalstwie. Wstrzymałem oddech, bo już chciał mnie posłać w diabły. Potem spostrzegłem, że Kwintus

Cecyliusz tylko na to czeka, i zmienił zamiar. Cóż to za aktor! Chyba wszyscy poza Publiuszem Rutyliuszem dali się nabrać na to, że naprawdę zapomniał, jak jest ubrany.

- Dziękuję ci, Lucjuszu Korneliuszu!

- Zrobiłem to z przyjemnością - powiedział, i rzeczywiście tak myślał.

- Jeszcze grzanego wina?

- Tak, proszę.

Wracając, przyniosła też tacę parujących bułeczek.

- Prosto z pieca, chrupiące, a każda z kielbaską w środku. Coś pysznego! Nasz kucharz piecze je stale dla Mariusza Młodszeo, który stał się ostatnio niejadkiem.

- Moja dwójka je wszystko, co się im poda - rzekł Sulla i rozjaśnił się. - Julio, one są rozkoszne! Nigdy nie myślałem, że żywe stworzenia mogą być tak... tak doskonałe!

- Przepadam za nimi - powiedziała ciotka tych stworzeń.

- Gdyby i Julilla... - twarz mu sposepniała.

- Wiem - powiedziała cicho siostra Julilli.

- Co się z nią dzieje? Co o tym wiesz?

- Chyba ją za bardzo rozpieściliśmy. Ojciec i matka nie chcieli czwartego dziecka. Mieli już dwóch chłopców, a kiedy ja się pojawiłam, nie mieli nic przeciw takiemu dopełnieniu rodziny. Julilla była jednak zaskoczeniem. Byliśmy też zbyt biedni. Kiedy trochę podrosła, wszystkim chyba było jej żal, zwłaszcza matce i ojcu, bo jej przedtem nie chcieli. Cokolwiek zrobiła, zawsze znajdowaliśmy wytłumaczenie. Jeśli znalazła się zbędna sestercja albo dwie, Julilla dostawała je i wydawała, jak chciała, i nigdy nie usłyszała złego słowa. Wszystko to ją chyba popsulo, a my nie pomogliśmy jej się z tym uporać. Powinniśmy ją uczyć cierpliwości i umiaru, a nie robiliśmy tego. Julilla wyrastała w przekonaniu, że jest najważniejsza w świecie, więc wyrosła na samolubną egoistkę. Wina jest głównie nasza, ale cierpi biedna Julilla.

- Za dużo pije - rzekł Sulla.

- Tak, wiem.

- I nie dba o dzieci.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak, wiem.

- Co mam robić?

- Cóż, możesz się z nią rozwieść - powiedziała Julia, a łzy pociekły jej po twarzy.

Sulla rozłożył ręce usmarowane tłuszczem z kielbaski.

- Jakże bym mógł, skoro wyjeżdżam na nie wiadomo jak długo - póki nie pokonamy Germanów. Jest też matką moich dzieci. Kochałem ją najmocniej, jak mogłem kogoś kochać.

- Wciąż to powtarzasz, Lucjuszu Korneliuszu. Jeśli się kocha - to się kocha! Czemu miałbyś kochać słabiej niż inni?

To trafiło w czułe miejsce. Zamknął się w sobie.

- Nie zaznałem miłości dorastając, więc niewiele o niej wiem - uciekł się do swej zwykłej wymówki. - Już jej nie kocham. Prawdę mówiąc, chyba jej

nienawidzę. Ale jest matką moich dzieci i dopóki Germanowie nie staną się wspomnieniem, jest dla nich wszystkim. Jeśli się z nią rozwiodę, wykona jakiś teatralny gest - oszaleje albo się zabije, albo potroi swoją normę wina - albo zrobi coś równie rozpaczliwego i bezmyślnego.

- Tak, masz słuszość, rozwód nie jest wyjściem. Zaszkoziłoby to dzieciom bardziej niż obecna sytuacja - westchnęła Julia, ocierając oczy. - Prawdę mówiąc, mamy teraz w rodzinie kłopot z dwiema kobietami. Czy mogę zaproponować inne rozwiązanie?

- Każde, proszę!

- Ta druga to moja matka. Nie jest szczęśliwa, żyjąc z moim bratem Sekstusem i jego żoną oraz synem. Głównym problemem w jej stosunkach z moją bratową Klaudią jest to, że matka wciąż uważa się za panią domu. Walczą ze sobą bezustannie. Klaudiusze są uparci i skłonni do narzucania swej woli innym, a ich kobiety wychowuje się w pogardzie dla dawnych cnót. Z moją matką jest całkiem inaczej.

Sulla starał się robić mądrą minę podczas tego popisu kobiecej logiki, ale nic odezwał się ani słowem.

- Matka zmieniła się bardzo po śmierci ojca - ciągnęła Julia. - Chyba nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak silne łączyły ich więzy i jak bardzo polegała na jego mądrości i wskazówkach. Ostatnio stała się kapryśna, niecierpliwa, szukająca dziury w całym i nieznośnie czepialska. Gajusz Mariusz widząc, co się dzieje, zaproponował, że kupi mamie willę gdzieś nad morzem. Biedny Sekstus miałby wreszcie spokój. Ale ona skoczyła na niego niczym kotka. Powiedziała, że wie, iż jej nie chcą, ale gdyby zrezygnowała z mieszkania we własnym domu, byłoby to złamanie przysięgi. Bogowie!

- Zmierzasz do tego, żebym zaproponował Marcji zamieszkanie z Julillą i ze mną, ale czemu miałyby się zgodzić, skoro nie przyjęła willi nad morzem?

- Bo wiedziała, że tamta propozycja to tylko sposób na pozbycie się jej, i nie była w nastroju, by wyświadczyć przysługę biednej żonie Sykstusa - powiedziała otwarcie Julia. - Zaproszenie do zamieszkania z tobą i z Julillą to całkiem co innego. Po pierwsze, zamieszka tuż obok. Po drugie, będzie pożądana. Potrzebna. I będzie miała na oku Julillę.

- A czy zechce? - Sulla podrapał się w głowę. - Z tego, co mówiła mi Julilla, zrozumiałem że nie chce nam składać wizyt, chociaż mieszka tuż obok.

- Ona walczy także z Julillą. - Julia zaczęła się uśmiechać w miarę, jak ustępowała troska. - Tak to z nimi jest. Wystarczy, że Julilla zobaczy ją w drzwiach, by kazała jej wracać do siebie. Ale jeśli to ty ją zaprosisz, Julilla nic nie będzie mogła zrobić.

Sulla też uśmiechnął się szeroko.

- Wygląda na to, że chcesz mi zamienić dom w jakiś Tartarus.

Julia podniosła brew.

- Chyba ci to nie przeszkadza, Lucjuszu Korneliuszu. Ty wyjeżdżasz.

Sulla opłukał ręce w podsuniętej przez służącego miednicy.

- Dzięki ci, szwagierko. - Wstał, pochylił się i pocałował ją w policzek. - Jutro złożę Marcji wizytę i poproszę ją, żeby została z nami. I będę

absolutnie szczerzy co do powodów. Dopóki wiem, że moje dzieci są kochane, mogę znieść rozstanie z nimi.

- A czy twoi niewolnicy nie troszczą się o nie jak należy? - spytała Julia, wstając.

- Ach, psują je i rozpieszczają - powiedział ojciec tych dzieci. - Julilla znalazła kilka znakomitych opiekunek. Ale to oznacza zrobienie z nich niewolników, Julio. Małych Greków, Traków, Celtów czy jakiegokolwiek narodowości są te dziewczyny. One są pełne cudzoziemskich przesądów i zwyczajów, myślą w pierwszej kolejności w innych niż łacina językach i uważają swoich rodziców i krewnych za autorytety. Chcę, by moje dzieci były wychowywane jak należy - na sposób rzymski i przez Rzymiankę. Powinna to być ich matka. Skoro jednak wątpię, by tak się stało, nie widzę lepszej alternatywy niż ich dzielna babka z rodu Marcjuszów.

- Świetnie - rzekła Julia.

Ruszyli oboje ku drzwiom.

- Czy Julilla nie jest mi wierna? - spytał nagle.

Julia nie udawała zgrozy ani nie czuła gniewu.

- Bardzo w to wątpię. Jej grzechem jest wino, nie mężczyźni. Jesteś mężczyzną, więc uważasz zadawanie się z mężczyznami za znacznie gorszą rzecz niż picie. Nie zgadzam się z tym. Myślę, że wino może wyrządzić twoim dzieciom więcej szkody niż niewierność. Kobieta niewierna nie przestaje zauważać swoich dzieci ani nie spali domu, jak kobieta pijana. - Machnęła ręką. - Ważne jest, żeby pozwolić działać mamie.

Do komnaty wpadł Gajusz Mariusz w todze z purpurowym szlakiem i wyglądający w każdym calu na konsula.

- Chodźmy, chodźmy, Lucjuszu Korneliuszu! Wracajmy i zakończmy to widowisko przed zachodem słońca!

Żona i szwagier wymienili smutne uśmiechy i obaj mężowie wyszli na inaugurację.

Mariusz zrobił, co mógł, by ułagodzić italskich sprzymierzeńców.

- To nie Rzymianie - mówił do kurii w nony styczniowe na pierwszym zwykłym spotkaniu - ale są naszymi najbliższymi sprzymierzeńcami we wszystkich naszych przedsięwzięciach i dzielą z nami półwysep italski. Niosą też wraz z nami brzemień dostarczania wojsk do obrony Italii, a z tymi wojskami źle się obchodzono. Jak wiecie, ojcowie spisani, właśnie teraz toczy się na Zgromadzeniu Plebejskim przykra sprawa, w której mąż konsularny Marek Juniusz Syllan broni się przed zarzutami postawionymi przez trybuna ludowego Gnejusza Domicjusza. Choć nie padły słowa „zdrada stanu”, jest oczywiste, że o to właśnie chodzi. Marek Juniusz jest jednym z tych konsularnych dowódców ostatnich lat, którzy stracili całą armię, włącznie z legionami złożonymi z italskich sprzymierzeńców.

Spojrzał wprost na Syllana, obecnego w kurii, bo nony były dniami *fasti* i Zgromadzenie Plebejskie nie mogło obradować.

- Nie jest moim zamiarem oskarżanie o cokolwiek Marka Juniusza. Po prostu stwierdzam fakt. Niech inne organy i inni ludzie prowadzą jego

sprawę sądową. Ja tylko stwierdzam fakt. Marek Juniusz nie musi dziś tłumaczyć się przede mną ze swych postępów. Ja tylko stwierdzam fakt.

Odchrząknął celowo, dając Sylanowi okazję do powiedzenia czegoś, czegokolwiek, ale Sylan siedział w kamiennym milczeniu, ignorując istnienie Mariusza.

- Po prostu stwierdzam fakt, ojcowie spisani. Nic więcej i nic mniej. Fakt jest faktem.

- Ach, skończę z tym! - powiedział znużonym głosem Metellus Numidyjski.

Mariusz skłonił się nisko i uśmiechnął szeroko.

- Ależ, dziękuję, Kwintusie Cecyliuszu! Czy mógłbym odmówić tak dostojnemu i znakomitemu mężowi konsularnemu jak ty?

- „Dostojny” i „znakomity” to prawie to samo, Gajuszu Mariuszu - powiedział Pontifex Maximus Metellus Dalmatyński z równym znużeniem jak jego młodszy brat. - Oszczędziłbyś sporo czasu tej kurii, gdybyś się niepotrzebnie nie powtarzał.

- Proszę dostojnego i znakomitego męża konsularnego Lucjusza Cecyliusza o wybaczenie - Mariusz znów nisko się skłonił - ale w tak demokratycznym społeczeństwie jak nasze ta kuria jest otwarta dla wszystkich Rzymian, nawet takich, którzy - jak ja - nie mogą głosić się dostojnymi i znakomitymi. - Udał, że zbiera myśli. - Na czym to stanąłem? Ach, tak! Na brzemieniu, które sprzymierzeńcy italscy dzielą z Rzymianami, na dostarczaniu wojsk do obrony Italii. Jedno z zastrzeżeń podnoszonych w listach od przywódców Samnitów, Apulijczyków, Marsów i innych - wziął teraz pęk małych zwojów z rąk jednego ze swych urzędników i pokazał je kurii - dotyczy legalności naszych żądań, by dostarczali nam wojsk na kampanie poza granicami Italii i Galii Italskiej. Sprzymierzeńcy italscy, o dostojni i znakomici ojcowie spisani, utrzymują, że dostarczali nam żołnierzy - i stracili wiele, wiele tysięcy tych żołnierzy! - na „zagraniczne wojny Rzymu” - cytuję tu ich listy!

Wśród senatorów podniósł się pomruk.

- Ten zarzut jest całkowicie bezzasadny! - rzucił Skaurus. - Wrogowie Rzymu są także wrogami Italii!

- Ja tylko cytuję listy, Marku Emiliuszu - powiedział uspokajająco Mariusz. - Powinniśmy się z nimi zaznajomić, bo wkrótce ta kuria będzie musiała przyjmować poselstwa od wszystkich ludów Italii, które wyraziły swe niezadowolenie w tych jakże licznych listach.

Porzucił swój nieco kpiący ton.

- No cóż, dość tych żartów! Żyjemy na półwyspie ramię w ramię z naszymi italskimi przyjaciółmi - którzy nie są i nie mogą być Rzymianami. Swoje wyniesienie do obecnej pozycji w świecie zawdzięczają wyłącznie Rzymowi i Rzymianom. To, że współobywatele italscy w coraz większej liczbie zajmują miejsca w rzymskich prowincjach i sferach wpływów, zawdzięczają wyłącznie Rzymowi i Rzymianom. Chleb na swoich stołach, opał na zimę w piwnicach, zdrowie swoich dzieci zawdzięczają Rzymowi! Rzymianom. Zanim nastał Rzym, panował chaos. Całkowity brak jedności. Zanim nastał Rzym, byli okrutni królowie etruscy na północy półwyspu i

chciwi Grecy na południu, że nie wspomnę o Celtach z Galii.

Kuria ucichła. Kiedy Mariusz przemawiał z taką powagą, wszyscy słuchali, nawet ci, którzy byli jego najzaciętszymi nieprzyjaciółmi. Ten wojskowy, choć mówił prosto i otwarcie, był znakomitym mówcą, a dopóki panował nad uczuciami, jego akcent nie różnił się prawie od akcentu Skaurusa.

- Ojcowie spisani, wy i lud rzymski zobowiązaliście mnie do uwolnienia nas - i Italii - od Germanów. Gdy tylko będzie to możliwe, zabiorę ze sobą do Galii Zaalpejskiej propretora Maniusza Akwiliusza i dzielnego senatora Lucjusza Korneliusza Sullę jako moich legatów. Choćby nam przyszło zapłacić życiem, uwolnimy was od Germanów i uczynimy Rzym - i Italię - na zawsze już bezpiecznymi. To wam przyrzekam w imieniu własnym i moich legatów, i moich żołnierzy, aż do ostatniego. To nasz święty obowiązek. Poruszmy niebo i ziemię. Poniesiemy przed sobą srebrne orły rzymskich legionów - i zwyciężymy!

Grupy senatorów z tylnych rzędów kurii zaczęły klaskać i tupać, a po chwili zaczęły klaskać pierwsze rzędy, nawet Skaurus, ale nie Metellus Numidyjski.

Mariusz czekał, aż się uciszą.

- Zanim jednak wyruszę, muszę prosić tę kurię, by zrobiła, co się tylko da, żeby uspokoić naszych italskich sprzymierzeńców. Nie zgadzamy się z twierdzeniem, że wojska italskie walczą w kampaniach, które nie obchodzą sprzymierzeńców. Nie możemy zrezygnować z poborowych, których zobowiązali się dostarczać. Germanie grożą całemu półwyspowi i Galii Italskiej również. Jednak sprzymierzeńcy tak samo jak Rzym odczuwają przeraźliwy niedobór ludzi zdolnych do służby wojskowej. Ta studnia wyschła, koledzy senatorowie, i trzeba lat, żeby podniósł się poziom płaskowyżu, który ją zasila. Chciałbym dać naszym italskim sprzymierzeńcom osobiste zapewnienie, że nigdy więcej życie italskich - ani rzymskich - żołnierzy nie zostanie zmarnowane. Będę szanował jak własne życie każdego, kogo wezmę z sobą, by bronić ojczyzny. To wam przyrzekam!

Znów podniosły się owacje i tupania, a pierwsze rzędy szybciej niż poprzednio zaczęły klaskać. Metellus Numidyjski nie klaskał jednak i Katullus Cezar również.

Mariusz znów czekał, aż się uciszą.

- Zwrócono moją uwagę na pewną sprawę godną potępienia. Oto my, senat i lud rzymski, wzięliśmy w niewolę za długi wiele tysięcy ludzi spośród sprzymierzeńców italskich i rozesłaliśmy ich jako niewolników do krajów wokół Morza Środkowego, które mamy pod kontrolą. Ponieważ większość z nich znała się na rolnictwie, odpracowują teraz swoje długi na naszych polach w Afryce, na Sycylii, Sardynii i Korsyce. I to jest, ojcowie spisani, niesprawiedliwość! Jeśli Rzymian nie bierzemy już w niewolę za długi, nie powinniśmy też brać sprzymierzeńców. Nie, nie są oni Rzymianami. Nie, nigdy nimi nie będą. Są jednak naszymi młodszymi braćmi z półwyspu italskiego, a Rzymianin nie zsyła swego młodszego brata w niewolę za długi.

Nie dał okazji do protestów kilku senatorom-właścicielom ziemskim. Ciągnął dalej swą przemowę.

- Dopóki nie będę mógł oddać naszym ziemianom ich siły roboczej w postaci germańskich niewolników, muszą oni znaleźć sobie kogoś zamiast Italczyków w niewoli za długi. Musimy dziś bowiem, ojcowie spisani, wydać rozporządzenie - a Zgromadzenie Ludowe musi je zatwierdzić - uwalniające wszystkich niewolników italskiego pochodzenia. Nie możemy robić naszym najdawniejszym sprzymierzeńcom tego, czego nie zrobilibyśmy sobie. Ci niewolnicy muszą być wolni! Muszą wrócić do Italii i robić to, co jest ich obowiązkiem wobec Rzymu - służyć w rzymskich legionach posiłkowych.

- Powiedziano mi, że wśród ludów italskich nie ma już *capitecensi*, bo zostali obrócenii w niewolników. Otóż, koledzy senatorowie, italscy *capitecensi* mogą dostać lepsze zajęcie niż praca w polu. Nie możemy już wystawić tradycyjnej rzymskiej armii, bo ludzie majątni, którzy powinni w niej służyć, są zbyt starzy, zbyt młodzi -- albo są martwi! W obecnej chwili Policzeni Głowami są naszym jedynym źródłem żołnierzy. Moja dzielna armia afrykańska - złożona z rzymskich Policzonych Głowami - udowodniła, że można z nich zrobić świetnych żołnierzy. Jak wykazała historia, majątni Italczycy nie są ani trochę gorsi jako żołnierze niż majątni Rzymianie. Najbliższe lata pokażą, że Policzeni Głowami Italczycy nie są ani trochę gorsi jako żołnierze niż Policzeni Głowami Rzymianie!

Zszedł z podwyższenia i wyszedł na środek posadzki.

- Chcę mieć to rozporządzenie, ojcowie spisani! Czy mi je dacie?

Była to znakomita robota. Pociągnięta siłą wymowy Mariusza kuria rzuciła się tłumnie do głosowania, podczas gdy Metellus Numidyjski, Metellus Dalmatyński, Skaurus i Katullus Cezar krzyczeli coś, czego nikt nie słyszał.

- Ale jak - spytał Publiusz Rutyliusz Rufus, kiedy po rozpuszczeniu senatu szli do domu Mariusza - zamierzasz przekonać właścicieli ziemskich do tego rozporządzenia? Zdajesz sobie chyba sprawę, że depczesz po palcach tym właśnie ekwitom i ludziom interesu, którzy cię popierali. Wszystkie przywileje, jakie im nadałeś w Afryce, mogą się okazać pustym słowem. Czy wiesz, ilu jest Italczyków wśród niewolników na polach? Sycylia opiera się tylko na nich!

Mariusz wzruszył ramionami.

- Moi agenci już działają. Dam sobie radę. Poza tym to, że przesiedziałem zeszły miesiąc w Kyme, nie oznacza, że nic nie robiłem. Przeprowadziłem rozpoznanie, a wyniki są bardzo interesujące. Tak, wiele tysięcy sprzymierzeńców italskich pracuje na polach jako niewolnicy. Na Sycylii jednak ogromna większość takich niewolników to Grecy. Co do Afryki, poprosiłem króla Gaudę o znalezienie zastępczej siły roboczej na miejsce uwolnionych Italczyków. Gauda jest moim klientem i nie ma innego wyboru, niż zrobić, o co proszę. Najtrudniej jest z Sardynią, bo tam większość niewolników to Italczycy. Jednak nowy namiestnik - szanowny propretor Tytus Albucjusz - da się namówić do zrobienia wszystkiego w mojej sprawie, jestem tego pewien.

- Ma dość aroganckiego kwestora, Pompejusza Zezowatego z Picenum - powiedział z powątpiewaniem Rutyliusz Rufus.

- Kwestorzy są jak komary - rzekł Mariusz z pogardą. - Nie dość doświadczeni, by kierować się gdzie indziej, kiedy człowiek się od nich opędza.

- Ta obserwacja nie pasuje do Lucjusza Korneliusza.

- On jest inny.

Rutyliusz Rufus westchnął.

- Nie wiem, Gajuszu Mariuszu. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie po twojej myśli.

- Stary cynik - rzekł Mariusz z uczuciem.

- Stary sceptyk, jeśli łaska - powiedział Rutyliusz Rufus.

Mariusz otrzymał wiadomość, że Germanie nie okazują chęci wyruszenia na południe do rzymskiej prowincji Galii Zaalpejskiej, oprócz Cymbrów, którzy przeszli na zachodni brzeg Rodanu. Raport Mariuszowego agenta mówił, że Teutoni powędrowali na północny zachód, a Tyguryni, Markomani i Cheruskowie wrócili między Eduów i Ambarów, jakby nigdy nie zamierzali się stamtąd ruszać. Oczywiście sytuacja mogła się w każdej chwili zmienić, trzeba jednak czasu, by osiemset tysięcy ludzi zebrało swój dobytek, zwierzęta i wozy i wyruszyło w drogę. Gajusz Mariusz nie może się spodziewać, że zobaczy Germanów idących z biegiem Rodanu wcześniej niż w maju lub w czerwcu, o ile w ogóle przyjdą.

Ten raport wcale nie ucieszył Mariusza. Jego ludzie byli ożywieni chęcią walki i przygotowani do niej, a jego legaci i centurioni włożyli wiele trudu, by stworzyć z nich doskonałą maszynę wojenną. Chociaż Mariusz, odkąd w grudniu wylądował w Italii, znał opowieść germańskiego tłumacza o za-targu między Germanami, nie wierzył, by nie podjęli oni marszu na południe przez rzymską prowincję. Wydawało się logiczne i naturalne, że po zniszczeniu ogromnej rzymskiej armii wykorzystają oni zwycięstwo i wejdą na obszary, które właściwie zdobyli już siłą, a nawet się na nich osiedlą. Jeśli nie, po co było wydawać bitwę? Po co ruszać na wędrowną? Po co to wszystko?

- Zupełnie ich nie rozumiem! - wykrzyknął rozczarowany i zirytowany, informując o raporcie Sulle i Akwiliusza.

- To barbarzyńcy - rzekł Akwiliusz, który zawdzięczał stanowisko starszego legata wysunięciu kandydatury Mariusza na konsula, a teraz pragnął dowieść swej wartości.

Sulla był jednak głęboko zamyślony.

- Prawie nic o nich nie wiemy - powiedział.

- Właśnie o tym mówiłem! - parsknął Mariusz.

- Nie, ja myślałem o czymś innym, ale - klepnął się po kolanie - chciałbym jeszcze trochę pomyśleć, zanim się wypowiem. Ostatecznie nie wiemy, co zastaniemy, kiedy przejdziemy przez Alpy.

- O tym właśnie musimy zdecydować - rzekł Mariusz.

- O czym? - spytał Akwiliusz.

- O przejściu przez Alpy. Skoro mamy pewność, że Germanie nie będą nam zagrażać aż do maja lub czerwca, nie jestem za przekraczaniem Alp w ogóle, a w każdym razie nie zwykłą drogą. Wyruszamy w końcu stycznia z wielkimi taborami, będziemy zatem iść wolno. Trzeba przyznać, że Metellus Dalmatyński jako Pontifex Maximus dba o kalendarz, więc pory roku zgadzają się z nazwami miesięcy. Zauważyłeś, jak chłodną mamy zimę? - spytał Sullę.

- Rzeczywiście, czuję to, Gajuszu Mariuszu.

- Ja także. Odwykliśmy od tego, Lucjuszu Korneliuszu, przez te lata w Afryce, gdzie przymrozki są krótkotrwałe, a śnieg widzi się tylko na najwyższych górach. Czemu miałyby być inaczej z naszymi ludźmi? Gdybyśmy przekraczali zimą przełęcz Mons Genava, mieliby trudności.

- Po wakacjach w Kampanii trzeba ich trochę zahartować.

- Zgoda, ale nie odmrażając im palce. Dostali zimowy ekwipunek, ale czy kłótlivi *cunni* będą go nosić?

- Jeśli się im każe, to będą.

- Zdecydowałeś się, jak widzę, robić trudności - rzekł Mariusz. - Dobrze więc, nie będę przekonywał, ale po prostu wydam rozkazy. Legiony nie pójdą do Galii Zaalpejskiej zwykłą drogą. Pójdziemy wzdłuż wybrzeża.

- O bogowie! To potrwa całą wieczność! - zawołał Akwiliusz.

- A kiedy ostatnio jakaś armia szła wzdłuż wybrzeża do Galii lub Hiszpanii? - spytał Mariusz.

- Nie pamiętam, żeby jakaś armia to robiła!

- I tu cię mam, sam widzisz! - rzekł z tryumfem Mariusz. - Dlatego właśnie to zrobimy. Chcę wiedzieć, jakie są trudności, ile to potrwa, jakie są drogi, chcę wiedzieć wszystko. Wezmę cztery legiony bez bagażu, a ty, Maniuszu Akwiliuszu, zabierzesz pozostałe dwa i dodatkowe kohorty, które zdołamy wystawić, i będziesz eskortował tabory. Nie mamy pewności, jaką drogę obiorą Germanie, jeśli pójdą do Italii, a nie do Hiszpanii, i czy nie pójdą - jak im się będzie wydawać - wprost na Rzym wzdłuż wybrzeża. Niewiele ich obchodzimy, więc skąd mają wiedzieć, że najkrótsza droga do Rzymu prowadzi przez Alpy do Galii, a nie wzdłuż wybrzeża?

Legaci patrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Widzę, do czego zmierzasz - rzekł Sulla - ale po co brać całą armię? Ty i ja, i mały oddział jazdy, zrobimy to lepiej.

Mariusz pokręcił przecząco głową.

- Nie chcę być oddzielony od armii setkami mil nieprzebytych gór. Moja armia pójdzie tam, gdzie ja.

Tak więc w końcu stycznia Mariusz powiódł swą armię na północ wzdłuż nadbrzeżnej Via Aurelia, przez cały czas notując stan drogi i wysyłając do senatu krótkie listy z żądaniem naprawy tego czy innego odcinka drogi i budowy lub wzmocnienia mostów i wiaduktów.

„To jest Italia”, głosił jeden z takich listów, „i wszystkie drogi na północ półwyspu, do Galii Italskiej i Ligurii muszą być w doskonałym stanie, bo inaczej możemy tego kiedyś pożałować”.

W Pisae, gdzie rzeka Arnus wpada do morza, przeszli z Italii właściwej

do Galii Italskiej, która była szczególnym obszarem, nie rządzonym jak Italia właściwa, ale też nie będącym oficjalnie prowincją. Z Pisae aż do Vada Sabatia prowadziła nowa droga, chociaż roboty dalekie były od ukończenia. Była to Via Emilia Scauri, dzieło Skaurusa z czasów, kiedy był cenzorem. Mariusz pisał do niego jako do princepsa senatu:

„Należy ci się pochwała za twą dalekowzroczność, uważam bowiem tę Via Emilia Scauri za najbardziej znaczący wkład w obronę Rzymu od czasu otwarcia przejścia przez przełęcz Mons Genava, czyli od bardzo dawna, zważywszy, że korzystał z tej przełęczy Hannibal. Odgałęzienie do Dertony jest strategicznie istotne, stanowi bowiem jedyną drogę znad Padu przez Apeniny Liguryjskie na wybrzeże Morza Tyrreńskiego - rzymskie wybrzeże.

Problemy są ogromne. Rozmawiałem z twoimi inżynierami, których uważam za znakomitych fachowców, i rad jestem, że mogę przekazać ci ich prośbę o znalezienie dodatkowych środków na nasilenie robót na tym odcinku drogi. Potrzeba tu najwyższych - nie mówiąc już o tym, że najdłuższych - wiaduktów, jakie widziałem w życiu, podobnych raczej do akweduktów niż do budowli drogowych. Na szczęście miejscowe kamieniołomy dostarczają kamienia, ale tempo robót wymaga przyśpieszenia. Z całym szacunkiem, czy mógłbyś użyć swych ogromnych wpływów, by uzyskać pieniądze z kurii i skarbu na przyśpieszenie tej realizacji? Gdyby została oddana do użytku przed końcem lata, Rzym mógłby odetchnąć na myśl, że zwykle pięćdziesiąt kilka mil drogi może ocalić stutysięczną armię”.

- To powinno dać staruszkowi zajęcie i satysfakcję - powiedział Mariusz do Sulli.

- I da! - Sulla uśmiechnął się szeroko.

Via Emilia Scauri kończyła się w Vada Sabatia. Odtąd nie było już drogi w rzymskim rozumieniu tego słowa, jedynie szlak wozów wybierających najłatwiejszy przejazd przez obszar, gdzie bardzo wysokie góry nurzały się w morzu.

- Chyba żałujesz, że wybrałeś tę drogę - powiedział Sulla.

- Wprost przeciwnie, jestem rad. Widzę setki miejsc odpowiednich na urządzenie zasadzki. Widzę też, dlaczego nikt przy zdrowych zmysłach nie wybiera się do Galii Zaalpejskiej tą drogą i dlaczego nie musimy się obawiać, że Germanie ją wybiorą. Ach, mogą zacząć iść wzdłuż brzegu, ale po paru dniach takiego pochodu zawrócą. To, co jest trudne dla nas, będzie niemożliwe dla nich. Świetnie!

Mariusz zwrócił się do Kwintusa Sertoriusza, który mimo niskiej rangi cieszył się uprzywilejowaną pozycją w uznaniu dla swoich zasług.

- Jak myślisz, chłopcze, gdzie mogą być tabory?

- Gdzieś między Populonią a Pisae, jeśli wziąć pod uwagę marny stan Via Aurelia.

- A jak tam twoja noga?

- Nie nadaje się do takiej jazdy. - Sertoriusz jak zwykle zdawał się czytać w myślach Mariusza.

- Znajdź więc trzech odpowiednich ludzi i wyślij ich z powrotem z tym...

- Mariusz podał mu zapisane woskowe tabliczki.

- Chcesz skierować tabory po Via Cassia do Florencji i po Via Annia do Bononii, a potem przez przełęcz Mons Genava. - Sulla westchnął z zadowoleniem.

- Możemy potrzebować belek i sworzni, dźwigów i bloków. - Mariusz przyłożył grzbiet dłoni do wosku, aby wykonać odcisk swego sygnetu i zamknął podwójną tabliczkę, podając ją Sertoriuszowi. - Dopilnuj, żeby ją zawiązano i jeszcze raz zapieczętowano. Nie chcę, żeby mi ktoś wtykał w nią nos. Mają dostać Maniusz Akwiliusz do rąk własnych, jasne?

Sertoriusz skinął głową i opuścił namiot dowódcy.

- Co do tej armii, jest dla niej robota - powiedział Mariusz do Sulli. - Wyślij naprzód mierniczych. Przetrzemy tędy przyzwoity szlak, choćby i nie była to droga jak należy.

W Ligurii, podobnie jak w innych okolicach, gdzie góry były strome, a ilość ziemi ornej niewielka, mieszkańcy byli pasterzami albo też rozbójnikami lub piratami, albo jak Publiusz Wagieniusz służyli Rzymowi w posiłkowych legionach lub kawalerii. Gdzie tylko Mariusz widział statki i wieś przycupniętą obok przystani, statki zaś uznawał za nadające się raczej do napadów niż do połowów, tam palił i statki, i wieś, pozostawiał kobiety, starców i dzieci, a mężczyzn zabierał do pracy przy poszerzaniu drogi. Tymczasem z doniesień z Arauzjony, Walencji, Vienny a nawet z Lugdunum wynikało coraz wyraźniej z upływem czasu, że w tym roku nie dojdzie do konfrontacji z Germanami.

Na początku czerwca, po czterech miesiącach marszu, Mariusz wyprowadził swoje cztery legiony na nadbrzeżne równiny Galii Zaalpejskiej i zatrzymał się na postój w gęsto zaludnionym kraju między Arelatem i Wodami Sekstyjskimi, w pobliżu miasta Glanum, na południe od rzeki Druencji. Godne uwagi było, że jego tabory przybyły tam wcześniej, spędziwszy w drodze tylko trzy i pół miesiąca.

Wybrał miejsce na obóz niezmiernie starannie. Było to wysokie wzgórze o stromych i skalistych zboczach z trzech stron i z kilku źródłami u szczytu. Z czwartej strony zbocze nie było zbyt strome ani zbyt wąskie, by utrudniać szybkie wejście lub wyjście wojska z obozu na szczycie.

- Tu nam przyjdzie przeżyć wiele miesięcy - powiedział, kiwając głową z zadowoleniem. - Teraz trzeba to miejsce zamienić w Carcasso.

Sulla i Maniusz Akwiliusz powstrzymali się od komentarzy, ale Sertoriusz nie był aż tak opanowany.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał. - Jeśli się spodziewasz, że spędzimy tu wiele miesięcy, czy nie byłoby lepiej rozkwaterować wojsko w Arelacie albo w Glanum? I po co tu zostawać? Czy nie lepiej dopaść Germanów i chwycić ich za gardło, zanim zajdą aż tak daleko?

- Otóż, młody Sertoriuszu - odparł Mariusz - wygląda na to, że Germanie się rozproszyli. Cymbrowie, którzy mieli posuwać się zachodnią stroną Rodanu, zmienili zamiar i odeszli - przypuszczalnie do Hiszpanii - przez kraj Arwernów po drugiej stronie Cebenny. Teutoni zaś i Tygurynowie opuścili ziemie Eduów, żeby osiedlić się wśród Belgów. Tak przynajmniej donoszą moi informatorzy. Ja tam sądzę, że to tylko przypuszczenia.

- Czy nie da się dowiedzieć czegoś pewnego?

- Niby jak? Galowie nie mają powodów, żeby nas kochać, a właśnie na ich doniesieniach musimy się opierać. Dostarczali nam ich dotąd, bo po prostu nie chcą mieć pośród siebie Germanów. Możesz być pewien tylko jednego: kiedy Germanie dotrą do Pirenejów, zawrócą. Bardzo też wątpię, by Belgowie życzyli sobie ich towarzystwa bardziej niż Celtyberowie z Pirenejów. Gdybym szukał możliwego do osiągnięcia celu z punktu widzenia Germanów, wróciłbym do Italii. Zostaniemy więc tu aż do nadejścia Germanów, Kwintusie Sertoriuszu, choćby miało to trwać latami.

- Jeśli to potrwa parę lat, Gajuszu Mariuszu, nasza armia straci swój hart, a ciebie wygryzą z naczelnego dowództwa - zauważył Maniusz Akwiliusz.

- Nasza armia nie straci hartu, bo dam jej zajęcie - odrzekł Mariusz. - Mamy blisko czterdzieści tysięcy Policzonych Głowami. Państwo im płaci, państwo ich karmi, ich broń i zbroje są własnością państwa. Kiedy zostaną zwolnieni ze służby, dopilnuję, by państwo dbało o nich aż do starości. Póki jednak służą w armii, są pracownikami państwowymi. Ja, jako konsul, reprezentuję to państwo. Są oni zatem moimi pracownikami i kosztują mnie bardzo wiele. Jeśli mam dostać od nich w zamian tylko to, że będą siedzieć na tyłku i czekać na bitwę, policzcie sami, ile będzie kosztować taka bitwa, kiedy się wreszcie wydarzy! - Brwi skakały w górę i w dół. - Nie podpisywali umowy na siedzenie na tyłku i czekanie na bitwę. Zaciągnęli się do armii Rzymu, żeby robić to, czego Rzym od nich zażąda. Skoro państwo im płaci, są państwu winni pracę. I to właśnie będą robić, będą pracować. W tym roku będą naprawiać Via Domitia od Nemausus do Ocelum, a w przyszłym przekopią żeglowny kanał od morza do Rodanu pod Arelatem.

Wszyscy patrzyli na niego zafascynowani, ale nikt nie zdobył się na jakikolwiek komentarz.

Potem Sulla gwizdnał.

- Żołnierzowi płaci się, żeby walczył!

- Jeśli sam sobie sprawił rynsztunek i nie oczekuje od państwa niczego prócz wyżywienia, może tańczyć na własną melodię, ale z moją bandą jest inaczej - odparł Mariusz. - Kiedy nie muszą walczyć, będą wykonywać roboty publiczne, choćby tylko po to, by zrozumieli, że są zatrudnieni przez państwo.

- A co z nami? - spytał Sulla. - Zrobisz z nas inżynierów?

- Czemu nie?

- Po pierwsze, nie jestem pracownikiem państwowym - zauważył uprzejmie Sulla. - Darowuję państwu swój wolny czas, jak wszyscy legaci i trybuni.

Mariusz przyglądał mu się przenikliwie.

- Możesz mi wierzyć, Lucjuszu Korneliuszu, że doceniam takie dary.

I na tym zakończył.

Sulla wyszedł z tej narady niezadowolony. Pracownicy państwowi, także coś! Może to i prawda w przypadku Policzonych Głowami, ale nie dotyczy to trybunów i legatów, jak to zauważył. Mariusz przyjął uwagę - i zrobił

unik, problem jednak pozostał. Wynagrodzeniem trybunów i legatów był udział w zdobyczach wojennych. Nikt nie wyobrażał sobie, jak mogłyby wyglądać łupy zdobyte na Germanach. Sulla przeczuwał, że po zakończeniu tej kampanii, być może kilkuletniej, łupy będą mizerne, jeśli nie liczyć jeńców. Jeńcy zaś należeli do wodza, który nie dzielił się z nikim dochodem z ich sprzedaży.

Długa i nudna podróż do Rodanu nie sprawiła Sulli przyjemności. Kwintus Sertoriusz natomiast obwąchał wszystko po drodze niczym pies myśliwski na smyczy, wywijający ogonem i dygocący z podniecenia przy najłżejszym powiewie niosącym woń przygody. Nauczył się posługiwać gromą, przyrzędem mierniczych, i z upodobaniem przyglądał się, jak korpus techniczny radzi sobie z wezbranymi rzekami, zerwanymi mostami i z osuwiskami. Stawał na czele centurii albo dwóch, kiedy trzeba było wydusić jakieś gniazdo piratów w niepozornej zatoczce, wyjeżdżał przodem na zwiady, albo przyłączał się do jakiejś grupy naprawiającej drogę. Wyleczył nawet i obłaskawił młodego orła ze złamanym skrzydłem, a ten wracał potem od czasu do czasu, by mu dotrzymywać towarzystwa. Tak, wszystko było wodą na młyn Kwintusa Sertoriusza. Jeśli nie w czym innym, to w tym właśnie przejawiało się pokrewieństwo z Mariuszem.

Sulla potrzebował jednak dramy. Zdawał sobie sprawę, że u senatora jest to przejaw słabości charakteru. Nie miał jednak ochoty w wieku lat trzydziestu sześciu pozbywać się czegoś tak głęboko w nim zakorzenionego. Aż do tej ponurej, nie kończącej się podróży po Via Emilia Scauri i przez Alpy Nadmorskie był całkiem zadowolony ze swego wojskowego życia, tak pełnego działania i wyzwania, czy to w bitwie, czy w wykuwaniu nowego kształtu Afryki. Ale budowa dróg i kopanie kanałów? Nie po to przybył do Galii Zaalpejskiej! I nie będzie tego robić!

Późną jesienią będą wybory konsula i Mariusza zastąpi ktoś mu nieprzyjazny. Cóż będzie miał do pokazania ze swego drugiego konsulatu, którym tak się pysznił? Odcinek świetnie utrzymanej drogi, noszącej już imię kogoś innego? Jak ten człowiek może być tak spokojny? Nie trudił się nawet odpowiadać Akwiliuszowi na uwagę o wygryzieniu go z dowództwa. Do czego zmierza lis z Arpinum? Czemu się nie martwi?

Nagle Sulla zapomniał o tych irytujących pytaniach, ujrzał bowiem coś rozkosznie pikantnego. W oczach zabłysła mu ciekawość - i rozbawienie.

Przed namiotem - kantyną starszych trybunów - rozmawiali ze sobą dwaj oficerowie. Tak to przynajmniej musiało wyglądać w oczach przypadkowego widza. W oczach Sulli była to scena otwierająca jakąś wspaniałą farsę. Wyższym z tych dwóch był Gajusz Juliusz Cezar, niższym zaś był Gajusz Lusjusz, siostrzeniec - tylko przyszywany, jak pośpiesznie zwykł wyjaśniać Mariusz - Wielkiego Człowieka.

„Ciekawe, czy trzeba zadać się z kimś takim, żeby go rozpoznać?“, pomyślał Sulla, krocząc ku tamtym. Cezar nie rozpoznał oczywiście tego drugiego, Sulla widział jednak jasno, że wszystkie zmysły Cezara dzwonią na alarm.

- Ach, Lucjuszu Korneliuszu! - wykrzyknął Gajusz Lusjusz. - Pytałem właśnie Gajusza Juliusza, czy mu coś wiadomo o nocnym życiu Arelatu i

czy chciałby mi je pokazać, jeśli jest tu jakieś.

Przystojna pociągła twarz Cezara przybrała pozbawioną wyrazu maskę uprzejmości, Sulla pomyślał jednak, że chęć pozbycia się rozmówcy ujawnia się na wiele sposobów. Choć Cezar starał się patrzeć w twarz Lusjusza, wzrok uciekał mu w bok, nogi podrygiwały w wojskowych butach, strzelał palcami i tak dalej.

- Chyba Lucjusz Korneliusz zna to życie lepiej ode mnie - powiedział Cezar. Zaczął już wyrywać się na wolność, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę i wysuwając drugą nieco naprzód.

- Ach nie, Gajuszu Juliuszu, nie odchodź! - protestował Lusjusz. - Im więcej nas, tym weselej - tu zachichotał.

- Przepraszam, Gajuszu Lusjuszu, mam służbę - odparł Cezar - i już go nie było.

Wyższy od Lusjusza Sulla ujął go pod łokieć i odciągnął od namiotu - i zaraz potem puścił jego łokieć. Lusjusz był naprawdę przystojny. Miał zielone oczy pod długimi rzęsami, gęste kędzierzawe kasztanowe włosy, ciemne brwi o pięknym rysunku, prosty grecki nos. Sulla pomyślał, że tamten wygląda jak Apollo, ale nie czuł przy tym podniecenia ani pokusy. Wątpił, czy Mariusz przyjrzał się kiedyś temu młodemu człowiekowi, to nie było w jego zwyczaju. Po tym jak naciskany przez rodzinę mianował Lusjusza trybunem wojskowym, był on bowiem w odpowiednim wieku, Mariusz najchętniej zapominałby o istnieniu młodego człowieka - do czasu aż zwróci on na siebie jego uwagę jakimś walecznym czynem albo nadzwyczajną sprawnością.

- Chciałbym ci coś doradzić, Gajuszu Lusjuszu - rzekł szorstko Sulla.

Powieki o długich rzęsach zatrzepotały i opadły w dół.

- Będę ci wdzięczny za każdą radę, Lucjusz Korneliuszu.

- Dołączyłeś do nas dopiero wczoraj - zaczął Sulla. - Przyjechałeś tu sam z Rzymu...

- Nie z Rzymu, Lucjusz Korneliuszu - przerwał Lusjusz. - Z Ferentinum. Mój wuj Mariusz udzielił mi urlopu na pobyt w Ferentinum, bo moja matka była chora.

Sulla pomyślał, że to wyjaśnia mrukliwe uwagi Mariusza o przyszywanym siostrzeńcu. Jakże musiał nie znosić udzielania urlopu i spóźnienia z takiego powodu, skoro sam by nigdy z tego nie skorzystał.

- Mój wuj jeszcze mnie nie wzywał - zaczął się żalić Lusjusz. - Kiedy będę mógł się z nim zobaczyć?

- Nie wcześniej niż sam cię wezwie, a wątpię, by do tego doszło. Dopóki nie pokażesz, co jesteś wart, będziesz dla niego kłopotem, zwłaszcza jeśli żądasz dla siebie nadzwyczajnych przywilejów jeszcze przed rozpoczęciem kampanii.

- Ależ, matka była chora - obruszył się Lusjusz.

- Wszyscy mamy matki, Gajuszu Lusjuszu - albo je mieliśmy. Wielu musiało odejść, zostawiając chore matki. Wielu dowiedziało się, że matka zmarła, gdy oni byli daleko. Wielu żywi głębokie przywiązanie do żyjącej matki, ale choroba matki to nie powód, by odwlekać pójście do wojska. Czy powiedziałeś już swoim towarzyszom z namiotu czemu się spóźniłeś?

- Tak. - Lusjusz był coraz bardziej oszołomiony.

- Szkoda. Lepiej było nic nie mówić i zostawić ich domysłom. Nie nabiorą o tobie lepszego zdania, a twój wuj przekona się, że nie podoba im się, że na to pozwolił. Cóż, pokrewieństwo to pokrewieństwo. - Sulla zmarszczył brwi. - Ale nie o tym chciałem mówić. To jest armia Gajusza Mariusza, nie Scypiona Afrykańskiego. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie. - Lusjusz był zupełnie zdezorientowany.

- Katon Cenzor oskarżył Afrykańskiego i jego starszych oficerów o doprowadzenie do rozwiązłości w armii. Otóż, Gajusz Mariusz jest o wiele bliższy poglądom Katona Cenzora niż Scypiona Afrykańskiego. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie. - Krew odpłynęła z policzków Lusjusza.

- Chyba jednak rozumiesz. - Sulla uśmiechnął się nieprzyjemnie, odsłaniając długie zęby. - Pociągają cię przystojni młodzi ludzie, a nie ładne dziewczyny. Nie mogę cię oskarżyć o jawną zniewieściałość, ale jeśli będziesz trzepotał rękami przy takich jak Gajusz Juliusz - który jest szwagrem twego wuja, tak samo zresztą jak ja - będziesz ugotowany. Upodobanie do własnej płci nie należy do rzymskich cnót, przeciwnie, uważa się je - zwłaszcza w legionach - za występki. Gdyby tak nie było, kobiety z miast, pod którymi obozujemy, nie dochodziłyby do pieniędzy, a zdobyte kobiety naszych wrogów nie poznałyby, jak smakuje gwałt przed zakosztowaniem rzymskiego miecza. Ale ty to przecież wiesz!

Lusjusz wiał się jak na mękach, rozdarty między poczuciem niewytłumaczalnej niższości i palącą niesprawiedliwość.

- Czasy się zmieniają - protestował. - Nie jest to już kompromitacja w oczach ludzi, jak kiedyś.

- Mylisz się co do tego, Gajuszu Lusjuszu. Zapewne chcesz, by czasy się zmieniały i stykasz się z grupą rówieśników, którzy chcą tego samego. Zbieracie się, pisujecie do siebie, szukacie poparcia dla swoich argumentów. Zapewniam cię - mówił z powagą Sulla - że im lepiej poznasz świat, w którym żyjesz, tym pewniej stracisz swe złudzenia. Nigdzie zaś nie znajdziesz mniej zrozumienia dla upodobania do własnej płci niż w armii Gajusza Mariusza i nikt nie potraktuje cię gorzej niż Gajusz Mariusz, jeżeli pozna twój sekret.

Bliski leż Lusjusz zaciskał dłonie w udęce.

- Oszaleję!

- Nie oszalejesz. Weźmiesz się w garść. Będziesz ostrożniejszy, zabiegając o czyjeś względy, i możliwie szybko poznasz znaki rozpoznawcze używane przez podobnych tobie. Ja cię ich nie nauczę, bo nie zabawiam się w ten sposób. I tobie też stanowczo to odradzam, Gajuszu Lusjuszu, jeśli chcesz zrobić karierę. Jeżeli jednak - mimo wszystko jesteś młody - przekonasz się, że nie możesz się powstrzymać, upewnij się przynajmniej, że wybrałeś właściwego człowieka - i Sulla z miłym uśmiechem odwrócił się i odszedł.

Przez jakiś czas przechadzał się bez celu, z rękami założonymi za plecami, ledwie zauważając przejawy planowej aktywności wokół siebie. Chociaż w prowincji nie było nieprzyjaciół, legionom kazano budować

tymczasowy obóz, bo rzymska armia nie zwykła sypiać bez ochrony wałów. Mierniczowie i inżynierowie wytyczyli już stały obóz na szczycie wzgórza, a wyznaczone oddziały przystąpiły do pierwszych prac przy jego budowie. Chodziło o dostarczenie drewna na belki, słupy i budynki. Nad dolnym Rodanem rosło niewiele lasów, bo dolina rzeki była gęsto zaludniona od kilku stuleci, odkąd Grecy założyli Massylię, a wpływy greckie, a potem rzymskie rozszerzyły się w głąb kraju.

Armia rozłożyła się na północ od rozległych słonych bagien tworzących deltę Rodanu i rozciągających się daleko na zachód i wschód od rzeki. Było typowe dla Mariusza, że pod budowę obu obozów wybrał nieużytki.

- Nie ma sensu zrażać sobie potencjalnych sprzymierzeńców - tłumaczył.
- Poza tym, przy pięćdziesięciu tysiącach dodatkowych gąb do wyżywienia, będą potrzebowali każdego skrawka uprawnej ziemi.

Prokuratorzy Mariusza objeżdżali już okolicę, zawierając kontrakty z rolnikami, a wydzielone oddziały budowały na szczycie wzgórza spichrze, mogące pomieścić zapas zboża dla wyżywienia pięćdziesięciu tysięcy ludzi przez dwanaście miesięcy. W taborach przybyło wszystko, co według informatorów Mariusza mogło być nieosiągalne albo trudne do zdobycia w Galii Zaalpejskiej - smoła, grube belki, bloki, narzędzia, dźwigi, kołowroty, wapno i wielkie ilości cennych żelaznych ówieków i gwoździ. W Populonii i w Pisae, dwóch portach, do których przybywały żelazne „gąsiory” z wyspy Ilwy, *praefectus fabrum* kupował wszystkie te gąsiory i gromadził je na wypadek, gdyby trzeba było na miejscu wytwarzać stal. W taborach były kowadła, tygle, młoty, zapasy ognioodpornych cegieł i wszystkie potrzebne narzędzia. Grupy żołnierzy zwoziły drewno do wypalania węgla drzewnego, bez którego nie dałoby się uzyskać temperatury topienia żelaza, a tym bardziej wytwarzać stali.

Zanim Sulla zawrócił ku namiotowi głównodowodzącego, uznał, że nadeszła pora. Znalazł już wcześniej sposób na nudę gwarantujący należytą dawkę dramatyczności. Ten pomysł przyszedł mu do głowy jeszcze w Rzymie, dojrzał w czasie długiej podróży, teraz zaś mógł się już rozwinąć. Tak, czas rozmówić się z Mariuszem. Wódz był sam. Pisał coś pracowicie.

- Pomyślałem, Gajuszu Mariuszu, że może znajdziesz godzinę, żeby się ze mną przejść? - Sulla trzymał uchyloną klapę namiotu, oddzielającą jego wnętrze od skórzanego dachu, pod którym siedział oficer dyżurny. Ciekawski promień słońca zakradł się za nim i otoczył złocistą poświatą, zapalając ogniem kędzierzawe włosy. Mariusz patrzył na to niechętnym okiem.

- Powinieneś przyciąć włosy. Jeszcze parę cali, a będziesz wyglądał jak tancerka.

- To nadzwyczajne! - rzekł Sulla, nie ruszając się z miejsca.

- Powiedziałbym, że to nieporządne.

- Nie, nadzwyczajne jest, że nie spostrzegłeś tego przez całe miesiące, a zauważasz teraz. Może nie umiesz czytać myśli, Gajuszu Mariuszu, ale nieźle wyczuwasz stan umysłu swoich ludzi.

- Ty nawet mówisz jak tancerka - powiedział Mariusz. - Po co ci towarzystwo na przechadzce?

- Muszę porozmawiać z tobą, Gajuszu Mariuszu, na osobności, gdzie będę miał pewność, że ściany nie mają uszu. Przechadzka nas tam zaprowadzi.

Mariusz wstał bez ociągania, odkładając pióro i pozwalając papierowi zwinąć się.

- Wolę chodzić niż pisać, Lucjuszu Korneliuszu, więc chodźmy.

Przeszli szybkim krokiem przez obóz, nie rozmawiając i nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia gromadek żołnierzy, centurionów, kade-tów i znowu żołnierzy. Po trzech latach spędzonych w polu z Mariuszem i Sullą żołnierze z ich legionów nauczyli się rozpoznawać nieomylnie, kiedy ich dowódcy mieli coś ważnego na widoku. Dziś tak właśnie było i wszyscy to czuli.

Pora była już zbyt późna, by wspinać się na wzgórze, więc Mariusz i Sulla przystanęli na stoku, gdzie wiatr porywał ich słowa.

- O cóż zatem chodzi? - spytał Mariusz.

- Zacząłem zapuszczać włosy jeszcze w Rzymie - powiedział Sulla.

- Nie zauważyłem tego aż do dziś. Zakładam, że te włosy mają coś wspólnego z tym, o czym chciałeś ze mną mówić?

- Zamierzam przemienić się w Gala.

- Oho! - zawołał Mariusz. - Mów dalej, Lucjuszu Korneliuszu.

- Najbardziej irytujący w tej kampanii przeciw Germanom jest całkowity brak informacji o nich. Od samego początku, kiedy Tauryskowie po raz pierwszy prosili o pomoc, my zaś dowiedzieliśmy się, że Germanie wyruszyli na wędrowkę, to, że nic o nich nie wiemy, dawało im przewagę. Nie wiemy, kim są, skąd przychodzą, jakim bogom oddają cześć, a przede wszystkim, dlaczego opuścili swą ojczyznę, jak wygląda ich społeczeństwo, kto nimi dowodzi. Co zaś najważniejsze - mówił Sulla - nie wiemy, dlaczego po każdym swym zwycięstwie zwracali z drogi do Italii, kiedy Hannibala czy Pyrrusa nie zatrzymałby wtedy i milion słoni bojowych.

Jego oczy patrzyły w bok, nie na Mariusza, i ostatnie promienie słońca prześwieślały je na wskroś, sprawiając, że Mariusz poczuł się nieswojo. Rzadko kiedy myślał o pewnej ukrytej zwykle stronie Sulli, tej stronie, którą nazywał nieludzką. Sulla mógłby nagle zrzucić zasłonę i objawić się jako nie człowiek - ale i nie bóg - jako jakiś inny od człowieka twór bogów. Ta inna jakość uwydatniała się w tej chwili, gdy słońce wypełniało jego oczy, jakby tam było jego miejsce.

- Mów dalej.

- Zanim opuściliśmy Rzym, kupiłem sobie dwóch nowych niewolników. Są tu ze mną. Jeden to Gal z plemienia Karnutów, którzy sprawują nadzór nad religią Celtów. To bardzo dziwna religia - wierzą, że drzewa są żywe, że mają dusze czy też cienie albo coś w tym rodzaju. Trudno to porównywać z naszymi ideami. Drugi z nich to Germanin z Cymbrów, wzięty do niewoli w Noricum, w czasie klęski Karbona. Trzymałem ich z dala od siebie. Żaden nie wie o istnieniu drugiego.

- Czy nie dowiedziałeś się czegoś o Germanach od twego germańskiego niewolnika?

- Niczego się nie dowiedziałem. Udaje, że nie wie, kim są ani skąd przychodzą. Taka niewiedza wydaje się wspólną cechą tych niewielu Germanów, których zdołaliśmy zamienić w niewolników, chociaż wątpię, czy inni ich właściciele naprawdę starali się zdobyć jakieś informacje. Teraz to bez znaczenia. Kupiłem swego Germanina dla zdobycia informacji, ale kiedy okazał się oporny - a nie miało sensu torturować kogoś wielkiego jak wół - wpadłem na lepszy pomysł. Informacje pochodzą zwykle z drugiej ręki, Gajuszu Mariuszu, a dla naszych celów to nie wystarcza.

- To prawda. - Mariusz wiedział już, dokąd zmierza Sulla, ale nie chciał go poganiać.

- Pomyślałem więc, że jeśli wojna z Germanami się odwleka, wypadłoby zdobyć informacje o nich z pierwszej ręki. Obaj moi niewolnicy służyli u Rzymian dość długo, by się nauczyć łaciny, chociaż w przypadku Germanina była to ledwie podstawowa łacina. Od mojego Gala dowiedziałem się ciekawej rzeczy. Z dala od Morza Środkowego i w Galii Długowłosych drugim językiem Galów jest łacina, a nie greka! To nie znaczy, że Galowie opowiadają sobie na przechadzkach łacińskie dowcipy. Dzięki kontaktom osiadłych plemion, jak choćby Eduowie, z naszymi kupcami i żołnierzami zdarza się, że jakiś Gal znający łacinę nauczy się czytać i pisać. Ponieważ nie mają własnego pisma, kiedy czytają i piszą, robią to po łacinie. Nie po grecku. Fascynujące, nieprawdaż? Przywykliśmy myśleć o grece jako języku ogólnoświatowym, a oto okazuje się, że jakaś część tego świata woli łacinę!

- Nie jestem uczonym ani filozofem, wyznaję więc, że mnie to nie podnieca - uśmiechnął się Mariusz. - Interesują mnie za to niezmiernie wieści o Germanach!

Sulla uniósł dłonie na znak poddania się.

- Dobrze więc. Przez pięć miesięcy uczyłem się języków Karnutów z Galii Długowłosych i germańskiego Cymbrów. Mój galijski nauczyciel zapalił się do tego pomysłu daleko bardziej niż nauczyciel germańskiego, ale jest on chyba po prostu bardziej bystry. - Sulla zastanowił się nad tym i dodał: - Mogę nie mieć racji, uważając, że Germanin jest bardziej tępy. Może po prostu izoluje się w myślach od obecnego położenia, bo oddzielenie od swoich było szokiem daleko większym niż w przypadku Gala. Jeśli jednak był dość głupi, by trafić do niewoli podczas wojny wygranej przez jego lud, może być tępym Germaninem.

- Lucjusz Korneliuszu, moja cierpliwość nie jest niewyczerpana - rzekł Mariusz tonem rezygnacji. - Jesteś bardziej perypatetyczny niż perypatetycy!

- Proszę o wybaczenie! - uśmiechnął się szeroko Sulla i obrócił się, by spojrzeć wprost na Mariusza. Światło w jego oczach zgasło i wyglądał znów całkiem jak człowiek. - Z moimi włosami, cerą i oczami mogę śmiało uchodzić za Gala. Mam zamiar zostać Galem i dotrzeć tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden Rzymianin. Zamierzam zwłaszcza podążać za Germanami idącymi do Hiszpanii, czyli na pewno za Cymbrami, a może i za innymi ludami. Poznałem już na tyle cymbryjską odmianę germańskiego, by zrozumieć, o czym mówią. - Roześmiał się. - Powinienem mieć znacznie

dłuższe włosy niż tancerka, ale na razie to musi wystarczyć. Gdyby mnie zagadywano o ich długość, powiem, że musiałem ogolić głowę z powodu choroby skóry. Na szczęście rosną szybko.

Umilkł. Przez kilka chwil Mariusz nie odzywał się. Oparł stopę na jakiejś kłodzie, łokieć na kolanie i podparł pięścią podbródek. Prawdę mówiąc, zabrakło mu słów. Od miesiący zamartwiał się, że uroki Rzymu skuszą Lucjusza Korneliusza, bo kampania zaczęła być nudna, a tymczasem Lucjusz Korneliusz wymyślił sposób, żeby się nie zanudzić. I to jaki sposób! Co z niego za człowiek! Pierwszym szpiegiem zapisanym w historii był Ulisses, który przebrał się za jakiegoś nisko urodzonego Trojańczyka i wślizgnął za mury Ilionu, by zbierać informacje. Każdy *grammaticus* lubił pytać chłopców, czy Kalchas zbiegł do Achajów, bo naprawdę dość miał Trojan, czy też chciał szpiegować dla króla Priama albo siać niezgodę między greckimi królami.

Ulisses też był rudowłosy. Ulisses też był wysoko urodzony. A jednak Mariusz przekonał się, że nie może myśleć o Sulli jako o Ulissesie. Sulla był jego człowiekiem, zawsze i zupełnie. Taki też był jego plan. Nie bał się, to było oczywiste. Traktował tę niezwykłą misję rzeczowo i... i nie liczył się z porażką. Podchodził do niej jak prawdziwy rzymski arystokrata. Nie wątpił, że mu się uda, bo wiedział, że jest lepszy niż inni.

Opuściwszy pięść, łokieć i stopę, Mariusz nabrał tchu i zapytał:

- Naprawdę myślisz, że zdołasz to zrobić? Jestem pełen podziwu, a ten plan jest świetny, naprawdę świetny! Ale to będzie wymagało zatarcia wszelkich śladów rzymskości, a nie wiem, czy Rzymianin to potrafi. Nasza kultura zostawia niezatarte ślady. Będziesz musiał żyć w zakłamaniu.

Rudozłota brew uniosła się, a kąciki pięknych ust wygięły w dół.

- Ach, Gajuszu Mariuszu, całe życie przeżyłem w takim czy innym zakłamaniu!

- Nawet teraz?

- Nawet teraz.

Zawrócili ku obozowi.

- Czy zamierzasz jechać sam? - spytał Mariusz. - Nie sądzisz, że lepiej mieć towarzystwo? Może będziesz musiał przesłać mi pilną wiadomość, a nie będziesz mógł sam odjechać. Czy nie będzie dobrze mieć towarzysza, który posłuży za zwierciadło tobie, a ty jemu?

- Przemyślałem to - odrzekł Sulla - i chciałbym zabrać Kwintusa Sertoriusza.

Mariusz rozpromienił się, ale zaraz sposepniał.

- On ma zbyt ciemną cerę i włosy. Nie wezmą go za Gala, a tym bardziej za Germanina.

- To prawda. Mógłby jednak być Grekiem z domieszką krwi celtyberyjskiej. - Sulla odchrząknął. - Jeśli o to chodzi, kiedy opuszczaliśmy Rzym, dałem mu niewolnika, Celtybera ze szczepu Ilergetów. Nie mówiłem, na co się zanosz, ale kazałem mu nauczyć się po celtyberyjsku.

Mariusz spojrział na niego z podziwem.

- Moje uznanie! Dobrze się przygotowałeś.

- Mogę więc zabrać Kwintusa Sertoriusza?

- O, tak. Nadal jednak uważam, że ma zbyt ciemną cerę, i boję się, że to może was zgubić.

- Wszystko będzie dobrze. Kwintus Sertoriusz ma dla mnie ogromną wartość, a jego ciemna cera okaże się, jak sądzę, dodatkową wartością. Musisz wiedzieć, że władza on zwierzęcą magią, a takich ludzi lękają się barbarzyńcy. Jego ciemna karnacja uwydatnia jeszcze tę jego szamańską moc.

- Zwierzęca magia? Co właściwie masz na myśli?

- Kwintus Sertoriusz potrafi przywoływać dzikie zwierzęta. Zauważyłem to jeszcze w Afryce, kiedy lampart przychodził na gwizdnięcie i pozwalał mu się głaskać. Ledwie pomyślałem o jego udziale w tej misji, a już obłaskawił młodego orła. Wyleczył go, ale nie stłumił jego pragnienia wolności. Orzeł żyje na swobodzie, odwiedza go jednak i siada mu na ramieniu, a żołnierze oddają mu cześć. To potężny wróżebny znak.

- Wiem. Orzeł to przecież symbol legionów, a Sertoriusz umocnił ten symbol.

Zatrzymali się, patrząc na miejsce, gdzie zatknięto sześć srebrnych orłów na srebrnych drzewcach ozdobionych koronami, falerami i obręczami. Na trójnogu przed nimi płonął ogień i stali wartownicy, a kapłan w todze zarzuconej na głowę rzucał kadzidło na węgle, odmawiając modlitwy o zachodzie słońca.

- Czemu ta zwierzęca magia jest tak ważna?

- Galowie, i chyba Cymbrowie także, wierzą, że we wszystkich dzikich stworzeniach żyją duchy. Kwintus Sertoriusz przebierze się za szamana z jakiegoś hiszpańskiego szczepu tak odległego, że nawet plemiona z Pirenejów niewiele będą o nim wiedzieć.

- Kiedy chcesz wyruszyć?

- Jak najprędzej. Wolałbym jednak, żebyś ty to powiedział Kwintusowi Sertoriuszowi. Będzie chciał pójść, ale powstrzyma go lojalność wobec ciebie. Lepiej ty mu powiedz. - Sulla prychnął przez nos. - Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nikt.

- Ja też bym się na to nie zgodził. Są jednak ci trzej niewolnicy, którzy coś niecoś wiedzą, skoro uczyli was języków. Czy chcesz ich sprzedać i wysłać gdzieś za morze?

- Po co robić sobie kłopot? - zdziwił się Sulla. - Miałem zamiar ich zabić.

- Doskonały pomysł. Stracisz jednak pieniądze.

- To nie majątek. Nazwij to moim wkładem w powodzenie kampanii przeciw Germanom.

- Każę ich zabić, kiedy tylko wyjedziesz.

Sulla pokręcił jednak głową.

- Nie, sam wykonam tę brudną robotę. I teraz. Nauczylili mnie i Kwintusa Sertoriusza wszystkiego, czego mogli nauczyć. Wyślę ich jutro do Massylii z jakimś poleceniem.

Przeciągnął się i ziewnął.

- Dobrze strzelam z łuku, a te słone bagna to opuszczone miejsce.

Wszyscy pomyślą, że po prostu uciekli. Kwintus Sertoriusz także.

„Jestem zbyt przyziemny”, pomyślał Mariusz. „Nie chodzi o to, że nie chcę posyłać z zimną krwią ludzi na zatracenie. To jest częścią życia, takiego jakiego znamy, i żaden bóg się o to nie gniewa. On jednak pochodzi ze starych patrycjuszów. To ktoś nadziemski, prawie półbóg”.

I Mariusz spostrzegł, że powtarza w myślach słowa syryjskiej prorokini Marty, goszczącej obecnie w jego domu w Rzymie. Mówiła o jakimś daleko większym od niego Rzymianinie, także Gajuszu, ale Juliuszu, nie Mariuszu... Czy tego właśnie mu było trzeba? Tej półboskiej kropli patrycjuszowskiej krwi?



Publiusz Rutyliusz Rufus pisał do Gajusza Mariusza w liście datowanym na koniec września:

„A więc Publiusz Licyniusz Nerwa zdobył się w końcu na szczery opis sytuacji na Sycylii w liście do senatu. Jako starszy konsul otrzymasz oczywiście oficjalne doniesienia. Wysłuchaj jednak najpierw mojej wersji, bo wiem, że przeczytasz mój list przed nudnymi starymi doniesieniami, a wyprosiłem miejsce na ten list w torbie rządowego kuriera.

Zanim jednak opowiem ci o Sycylii, trzeba wrócić do początku roku, kiedy - jak wiesz - kuria poleciła ludowi ustanowienie prawa uwalniającego wszystkich niewolników sprzymierzeńców italskich na całym świecie. Nie wiesz jednak o pewnych nieprzewidzianych następstwach - o tym mianowicie, że niewolnicy z innych narodów, zwłaszcza noszących miano Przyjaciół i Sprzymierzeńców Ludu Rzymskiego, uznali to prawo za dotyczące także ich albo też byli ogromnie rozczarowani, że jest inaczej. Tak było zwłaszcza z Grekami, którzy stanowią większość robotników rolnych na Sycylii i większość wszelkiego rodzaju niewolników w Kampanii.

W lutym syn pewnego kampańskiego ekwity i rzymskiego obywatela, niejaki Tytus Wetiusz, zaledwie dwudziestolatek, najwyraźniej oszalał. Przyczyną szaleństwa był dług; zobowiązał się bowiem zapłacić siedem talentów srebra za - także coś! - scytyjską niewolnicę. Że zaś starszy Tytus Wetiusz okazał się sknerą i w ogóle był za stary, żeby być ojcem dwudziestolatka, młodszy Tytus Wetiusz pożyczył pieniądze na wygórowany procent i poręczył swoim dziedzictwem. Wpadł oczywiście, bezsilnym oskubany kurczak, w łapy lichwiarzy, którzy zażądali pieniędzy po upływie trzydziestu dni. Naturalnie nie mógł ich spłacić i uzyskał prolongatę na dalsze trzydzieści dni, a kiedy znów ich odesłał, poszli do jego ojca, żądając pieniędzy i procentów. Ojciec odmówił i wyparł się syna, który oszalał.

Następnie młody Tytus Wetiusz przywdział diadem i purpurę, ogłosił się królem Kampanii i wezwał wszystkich niewolników w okolicy do powstania. Trzeba dodać, że ojciec był jednym z tych ziemian w starym stylu - dobrze traktował swoich niewolników i nie miał wśród nich Italczyków. W sąsiedztwie gospodarował jednak jeden z tych nowoczesnych ziemian, którzy kupują za bezcen niewolników, nie pytając o ich pochodzenie, zakuwają ich w łańcuchy i zamykają na noc w ergastulum. Ten nikczemnik, Marek Makrynus Maktator, okazał się wielkim przyjacie-

lem twego kolegi konsula, naszego uczciwego i sprawiedliwego Gajusza Flawiusza Fimbrii.

W dniu, w którym młody Tytus Wetiusz oszalał, uzbroił swoich niewolników, kupiwszy na wyprzedaży w szkole gladiatorów pięćset zestawów uzbrojenia. Pomaszerował potem ze swą małą armią do tego obozu udręki, którym kierował Marek Makrynus Maktator. Torturował go i zabił wraz z rodziną, i wyzwolił mnóstwo niewolników, z których wielu okazało się Italczykami bezprawnie przetrzymywanymi w niewoli.

Tak więc młody Tytus Wetiusz, król Kampanii, w mig stanął na czele czterotysięcznej armii niewolników i zamknął się w bardzo dobrze umocnionym obozie na wzgórzu. A niewolnicy wciąż do niego napływali!

Kapua zamknęła bramy, postawiła pod bronią wszystkie szkoły gladiatorów i zwróciła się o pomoc do senatu w Rzymie.

Fimbria był w tej sprawie bardzo wymowny i biadał nad stratą swego przyjaciela Maktatora Rzeźnika, póki ojcowie spisani nie mieli dość i nie zlecili pretorowi do spraw cudzoziemców, Lucjuszowi Licyniuszowi Lukullusowi, zebranie armii i stłumienie powstania niewolników. Wiesz przecież, jakim niebywałym arystokratą jest Lukullus! Nie ucieszył się wcale, kiedy karaluch w rodzaju Fimbrii kazał mu uprzętać Kampanię.

A teraz mała dygresja. Chyba wiesz, że Lukullus jest żonaty z siostrą Metellusa Świńskiego, Metellą Kalwą. Mają dwóch synów, czternasto- i dwunastoletniego, o których mówi się powszechnie, że są bardzo obiecujący, a gdy się okazało, że syn Świńskiego, Prosiak, nie jest w stanie wymówić dwóch słów, żeby się nie zająknąć, cała rodzina wiąże swe nadzieje z młodymi Lucjuszem i Markiem Lukullusem. Przestań, Gajuszu Mariuszu! Słyszę, jak mruczysz. Wszystko to jest ważne, możesz mi wierzyć. Nie uda ci się przejść bez szwanku przez labirynt publicznego życia Rzymu, jeśli nie stać cię na zapoznanie się z intrygami i plotkami. Żona Lukullusa - która jest siostrą Świńskiego - słynie ze złego prowadzenia się. Po pierwsze, swoje sprawy sercowe załatwia na oczach wszystkich, włącznie z urządzaniem historycznych scen przed sklepami słynnych jubilerów i z próbą samobójczego skoku do Tybru po zdarciu z siebie wszystkich szat. Po drugie, biedna Metella Kalwa nie romansuje z mężczyznami z własnej sfery i to właśnie boli naszego dumnego Świńskiego, że nie wspomnę o wyniosłym Lukullusie. Nie, Metella Kalwa woli przystojnych niewolników albo tragarzy, których sobie wybiera na nabrzeżach rzymskiego portu. Jest zatem nieznośnym ciężarem dla Świńskiego i Lukullusa, chociaż myślę, że jest dla swoich synów doskonałą matką.

Koniec dygresji. Chciałem dodać trochę pikanterii całemu temu epizodowi. Teraz rozumiesz, czemu Lukullus wyruszył do Kampanii gryząc się, że otrzyma rozkazy od kogoś, kto mógłby spodobać się Metelli Kalwie, gdyby był biedniejszy - bardziej grubiańskim być nie można! Jest w tym Fimbrii coś podejrzanego, nawiasem mówiąc. Zaprzyjaźnił się nie z kim innym jak z Gajuszem Memiuszem. Rozumieją się jak para łotrów i mnóstwo pieniędzy przechodzi z rąk do rąk, chociaż nie wiadomo w jakim celu.

W każdym razie Lukullus szybko uprzętał Kampanię. Młody Tytus

Wetiusz został stracony wraz z dowódcami i szeregowcami swej niewolniczej armii. Lukullus otrzymał pochwałę za swoją działalność i udał się, by sprawować sądy w miejscach takich jak Reate.

Czy ci jednak nie pisałem jakiś czas temu, podczas tych małych powstań niewolników w Kampanii, że mam złe przeczucia? Miałem nosa. Najpierw mieliśmy Tytusa Wetiusza, a teraz mamy na Sycylii prawdziwą wojnę z niewolnikami!

Zawsze myślałem, że Publiusz Licyniusz Nerwa wygląda i zachowuje się jak mysz, ale kto by się spodziewał, że może okazać się niebezpieczny jako pretor-namiestnik Sycylii? Ktoś tak po mysiemu piskliwy i drobiazgowy wydawał się wprost idealny na tym stanowisku. Biega tu i tam, robi zapasy na zimę, pisze szczegółowe rachunki umaczanym w atramencie ogonkiem, rusza wąsikami.

Oczywiście wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie było tej fatalnej ustawy o wyzwoleniu italskich sprzymierzeńców. Nasz pretor-namiestnik Nerwa popędził zaraz na Sycylię i zaczął wyzwalać Italczyków, którzy stanowili tam jedną czwartą ogólnej liczby pracujących w polu niewolników. On sam zaczął w Syrakuzach, a jego kwestor w Lilibaeum na drugim końcu wyspy. Pracowali wolno i dokładnie. Nerwa, jak to Nerwa, wypracował znakomity system wyłapywania tych, którzy podawali się za Italczyków, nie będąc nimi. Wypytywał ich mianowicie po oskijsku o szczegóły geograficzne naszego półwyspu. Swój dekret opublikował jednak wyłącznie po łacinie, ci zatem, którzy czytali tylko po grecku, zdani byli na tłumaczenia innych, a zamieszanie rosło i rosło. W drugiej połowie maja Nerwa wyzwolił w Syrakuzach jakichś ośmuset niewolników italskich, a tymczasem jego kwestor w Lilibaeum nie posuwał się naprzód, czekając na rozkazy. Do Syrakuz przybyła wtedy delegacja rozwścieczonych właścicieli ziemskich. Obiecywali Nerwie różne rzeczy, od procesu zaczynając, a na kastracji kończąc, gdyby nadal wyzwalał niewolników. Nerwa na widok parsającego kota wpadł w panikę i z miejsca zamknął swój trybunał. Nie wyzwalało już żadnych więcej niewolników. Niestety, ta dyrektywa dotarła do kwestora w Lilibaeum trochę za późno. Zniecierpliwiony czekaniem, uruchomił już swój trybunał w rynku. Teraz, ledwie zacząwszy, musiał zakończyć działalność. Niewolnicy, czekający w kolejkach na rynku, szaleli dosłownie z wściekłości i wracali do siebie spragnieni mord.

Wynikiem tego było otwarte powstanie na zachodnim krańcu wyspy. Zaczęło się od zamordowania dwóch braci, bogatych właścicieli posiadłości pod Halicyae, i stamtąd się rozprzestrzeniało. Na całej Sycylii setki i tysiące niewolników porzucały swe siedziby. Niektórzy zaczęli od mordowania nadzorców, a nawet właścicieli. Zbiegali się do gaju Palici, o jakieś czterdzieści mil na południe od Etny. Nerwa powołał swą milicję i już myślał, że stłumił bunt, kiedy zdobył starą cytadelę pełną zbiegłych niewolników. Rozpuścił milicję i rozesłał ludzi do domów.

Ale powstanie dopiero się zaczynało. Zapłonęło tym razem pod Herakleją, a gdy Nerwa usiłował znów zgromadzić milicję, nikt nie odpowiedział na wezwanie. Musiał szukać oparcia w kohorcie wojsk

posiłkowych stacjonującej w Hennie, dość daleko od Heraklei. Tym razem nie odniósł zwycięstwa. Stracił całą kohortę, a niewolnicy zdobyli broń. Tymczasem niewolnicy wybrali przywódcę, Italczyka, który nie został wyzwolony przed zamknięciem trybunałów przez Nerwę, niejakiego Salwiusza z ludu Marsów. Jako człowiek wolny był on flecistą - zaklinaczem węży. Zrobiono z niego niewolnika, kiedy został przyłapany na przygrywaniu kobietom uczestniczącym w misteriach dionizyjskich, z czym senat przed kilku laty toczył walkę. Salwiusz ogłosił się królem, ale jako Italczyk jest raczej królem rzymskim niż hellenistycznym. Nie włożył diademu, jego strojem jest *toga praetexta*, a poprzedzają go liktorzy niosący różgi z toporami.

Na drugim końcu Sycylii, niedaleko Lilibaeum pojawił się potem drugi król niewolników, tym razem Grek, Atenion, który także zebrał armię. Salwiusz i Atenion spotkali się w gaju Palici. W wyniku tego spotkania Salwiusz, który przyjął teraz imię Tryfona, został uznany za króla i wybrał na swą siedzibę niedostępne miasto Triokalę w załomie gór wznoszących się nad wybrzeżem naprzeciw Afryki, w połowie drogi między Agrygentem i Lilibaeum.

Sycylia jest obecnie sceną prawdziwej Iliady nieszczęść. Zboże leży wdeptane w ziemię, bo niewolnicy zżęli tylko tyle, by napęlić sobie brzuchy, Rzym nie dostanie więc w tym roku z Sycylii ani ziarnka. Miasta Sycylii uginają się pod nawałą uciekinierów, którzy szukają schronienia w ich murach, a głód i choroby już chodzą po ulicach. Sześćdziesięciotysięczna armia dobrze uzbrojonych niewolników - i pięć tysięcy niewolniczej jazdy - przemierzają wyspę od jednego końca do drugiego, a w razie zagrożenia wycofują się do niedostępnej twierdzy Triokali. Zaatakowali i zdobyli Murgancję, a zdobyliby i Lilibaeum, gdyby szczęśliwie jacyś weterani nie przyплыnęli z Afryki na pomoc.

I tu dochodzimy do ostatecznej niegodziwości. Nie chodzi tylko o to, że Rzym stoi w obliczu dramatycznego braku zboża. Wygląda na to, że ktoś manipulował wydarzeniami na Sycylii, aby spowodować ten brak zboża! Powstanie niewolników obróciło rzekomy brak zboża w rzeczywistość, ale nasz szanowny Skaurus, princeps senatu, myśli, że jest na tropie winnego albo winnych. Podejrzewam, że podejrzewa naszego zasługującego na wzgardę konsula Fimbrię i Gajusza Memiusza. Czemu uczciwy i porządny człowiek jak Memiusz miałby sprzymierzać się z kimś takim jak Fimbria? Cóż, na to mogę chyba odpowiedzieć. Powinien zostać pretorem już całe lata temu, ale został dopiero teraz i nie ma dość pieniędzy, by się ubiegać o konsulat. Kiedy zaś brak pieniędzy uniemożliwia komuś zajęcie należnego mu stołka, taki ktoś może zrobić mnóstwo nieroztropnych rzeczy”.

Mariusz z westchnieniem odłożył list i sięgnął po oficjalne pisma senatu. Odpowiadało mu czytanie w samotności. Mógł, czytając głośno, choćby i na całe gardło, rozdzielać beznadziejnie pozbijane słowa. Nie było to niczym wstydliwym, wszyscy tak czytali, ale zakładało się, że ci wszyscy znają grekę.

Publiusz Rutyliusz miał jak zwykle słuszność. Jego niezmiernie długi list przynosił o wiele więcej wiadomości niż senackie doniesienia, chociaż

zawierały one tekst listu Nerwy i pełne były danych statystycznych. Nie były po prostu tak przekonujące ani tak bogate w informacje. Nie stawiały też czytającego w środku wydarzeń, jak to robił Rutylusz.

Mariusz mógł sobie bez trudu wyobrazić konsternację panującą w Rzymie. Drastyczne ograniczenie przydziałów zboża stawiało pod znakiem zapytania przyszłość polityczną władz, oznaczało też kłopoty skarbu i edylów usiłujących znaleźć alternatywne źródła dostaw zboża. Sycylia była istnym koszmem z chlebem, a gdy nie miała dobrych plonów, głód zaglądał w oczy Rzymowi. Afryka i Sardynia nawet razem wzięte nie dostarczały ani połowy tej ilości zboża. Ten kryzys sprawi, że lud będzie obwiniał senat o posłanie na Sycylię nieodpowiedniego namiestnika, a Policzeni Głowami będą winić i senat, i lud o to, że mają puste brzuchy.

Policzeni Głowami nie byli siłą polityczną. Nie byli zainteresowani rządzeniem. Ich udział w życiu publicznym ograniczał się do igrzysk i brania datków podczas festiwali. Tak było, póki mieli pełne brzuchy. Kiedy było inaczej, stawali się siłą, z którą należało się liczyć.

Policzeni Głowami nie dostawali zboża za darmo, ale senat dbał poprzez swych edylów i kwestorów, by mogli zawsze kupić zboże po umiarkowanej cenie. Przy braku zboża oznaczało to, ku zmartwieniu skarbu, konieczność kupowania drogo i sprzedawania tanio. Każdy obywatel rzymski zamieszkały w Rzymie, bez względu na stan majątkowy, mógł liczyć na przydział zboża po stałej cenie, jeśli zechciał stanąć w ogromnej kolejce do stołu edyla w portyku Minucjusza po swój kwit. Taki kwit przedstawiony w którymś z państwowych spichrzów, ciągnących się pod urwiskiem Awentynu ponad rzymskim portem, upoważniał do zakupu pięciu *modii* taniego zboża. O wiele wygodniej było kupować na targu zbożowym Velabrum i pozostawić handlarzom dostarczanie zboża z prywatnych spichrzów na Vicus Tuscus u podnóża urwisk Palatynu.

Mariusz ściał brwi. Mogło to zagrozić i jego pozycji politycznej. Z chwilą gdy senat poprosi skarb o otwarcie zarośniętych pajęczyną skarbów, by kupować drogie zboże dla Policzonych Głowami, podniesie się wycie. Naczelnicy *tribuni aerarii* - urzędnicy skarbu - zaczną się wymawiać od płacenia wielkich sum za zboże, skoro sześć legionów armii Policzonych Głowami zatrudnionych zostało w Galii Zaalpejskiej przy robotach publicznych! To przerzuci ciężar odpowiedzialności na senat, który będzie musiał stoczyć morderczą walkę ze skarbem o dodatkowe dostawy zboża. Potem zaś senat poskarży się jak zwykle ludowi, że ci Policzeni Głowami to bardzo kosztowna uciążliwość.

Cudownie! Jakim sposobem miałyby zostać wybranym po raz drugi z rzędu konsulem *in absentia*, kiedy Rzym jest zdany na łaskę głodnych Policzonych Głowami, których armią on dowodzi? Bodajby zdechł Publiusz Licyniusz Nerwa! I wszyscy spekulanci zbożowi razem z nim!

Tylko princeps senatu Marek Emiliusz Skaurus przeczuwał coś złego. Pod koniec lata, po żniwach, cena zboża w Rzymie zwykle nieco spadała. W tym roku stale się podnosiła. Powód wydawał się oczywisty: wyzwolenie niewolników italskich ograniczało ilość zżętego zboża. Kiedy

jednak przestano wyzwalać niewolników, zniwa zapowiadały się normalnie. Cena powinna zatem gwałtownie spaść. Ale nie spadła. Wciąż rosła.

Zdaniem Skaurusa istniały dowody, że senat manipuluje dostawami zboża, a jego własne obserwacje wskazywały konsula Fimbrię i pretora miejskiego Gajusza Memiusza, którzy wiosną i latem rozpaczliwie zbierali pieniądze. Skaurus uznał, że zamierzają kupować zboże tanio, a sprzedawać z wielkim zyskiem.

Potem nadeszła wiadomość o powstaniu niewolników na Sycylii, po czym Fimbria i Memiusz zaczęli gorączkowo sprzedawać wszystko, czego mogli się pozbyć ze swoich domów na Palatynie, i ziemię także, pozostawiając tylko tyle, by zapewnić sobie cenzus senatorski. Skaurus wywnioskował zatem, że nie może chodzić o nic innego jak o zakupy zboża.

Jego rozumowanie było pozornie słuszne, ale jeśli konsul i pretor miejski byli zamieszani w podbijanie cen zboża, powinni raczej siedzieć, dłubiąc w zębach, nie zaś uganiać się za własnym ogonem, szukając gotówki, by zwrócić długi. Nie, to nie Fimbria i nie Memiusz! Będzie musiał szukać gdzie indziej.

Po tym jak dotarł do Rzymu list Nerwy przyznającego się do rozpalenia kryzysu na Sycylii Skaurus posłyszał wśród handlarzy zbożem pogłoski o pewnym senatorze, a jego czuły nos zwąchał lepszy trop niż tamten fałszywy trop Fimbrii i Memiusza. Chodziło o Lucjusza Apulejusza Saturnina, kwestora portu w Ostii. Był młody i nowy w senacie, ale zajmował najbardziej odpowiednie stanowisko dla kogoś zainteresowanego cenami zboża. Kwestor w Ostii nadzorował bowiem morskie transporty zboża i jego składowanie. Znał wszystkich dostawców i miał dostęp do wszystkich informacji znacznie wcześniej niż senat.

Dalsze dochodzenie przekonało Skaurusa, że znalazł winowajcę. Na posiedzeniu w początku października zadał mu zatem cios w obronie dobrego imienia senatu. Oświadczył zaskoczonemu senatowi, że Saturninus jest sprawcą przedwczesnego wzrostu cen zboża, który uniemożliwił skarbowi zrobienie dodatkowych zapasów po umiarkowanej cenie. Kuria znalazła swego kozła ofiarnego. Oburzeni senatorowie przegłosowali odebranie Saturninowi stanowiska kwestora, pozbawienie go miejsca w senacie i wytoczenie mu oskarżenia o zdradę.

Wezwany z Ostii na przesłuchanie w kurii Saturninus mógł jedynie zaprzeczać oskarżeniom Skaurusa. Dowodów właściwie nie było, wszystko sprowadzało się więc do tego, komu należy uwierzyć.

- Udowodnij, że jestem w to wpłątany! - wołał Saturninus.

- Udowodnij, że nie jesteś! - szydził Skaurus.

Kuria uwierzyła naturalnie princepsowi senatu, bo Skaurusowi jako tropicielowi przestępstw nie można było niczego zarzucić. Saturnina pozbawiono wszystkiego.

Nie poddał się jednak bez walki. Był w wieku odpowiednim do zajmowania stanowiska kwestora i miejsca w senacie, miał bowiem trzydziestkę. Oznaczało to, że nikt go naprawdę nie znał, nie udzielał się bowiem w sądach i nie zabłysnął w czasie służby wojskowej, pochodził zaś z sena-

torskiej rodziny z Picenum. Nie mógł zapobiec utracie stanowiska kwestora i miejsca w senacie, nie mógł nawet protestować, gdy kuria oddała jego posiadłość w Ostii do końca roku nie komu innemu jak Skaurusowi! Nie poddał się jednak bez walki.

Nikt w Rzymie nie wierzył w jego niewinność. Gdziekolwiek się pokazał, był opluwany, popychany, nawet obrzucany kamieniami, a mury jego domu były pokryte napisami - ŚWINIA, WRZÓD, POTWÓR, PEDERASTA, IRRUMATOR i innymi wyzwiskami cisnącymi się jedne na drugich na całej powierzchni tynku. Jego żona i córka poddane zostały towarzyskiemu ostracyzmowi i dnie upływały im wśród łez. Nawet słudzy patrzyli na niego spođe łba i nie spieszyli się ze spełnianiem jego życzeń i rozkazów.

Jego najlepszym przyjacielem był niejaki Gajusz Serwiliusz Glaucja. Starszy o kilka lat od Saturnina Glaucja cieszył się umiarkowaną sławą jako adwokat i biegły prawodawca, nie mógł jednak pochwalić się pochodzeniem z patrycjuszowskiego rodu Serwiliuszy czy choćby tylko z ważnych plebejuszy Serwiliuszy. Gdyby nie jego reputacja prawnika, Glaucja stał prawie na równi z innym Gajuszem Serwiliuszem, który dorobił się pieniędzy i dostał się do senatu, czepiając się togi swego patrona Ahenobarba. Ten drugi plebejusz Serwiliusz nie dorobił się jednak przydomka, podczas gdy przydomek „Glaucja” cieszył się szacunkiem, odnosił się bowiem do pięknych szarozielonych oczu, cechy rodzinnej.

Saturninus i Glaucja, ciemny brunet i jasny blondyn, pasowali do siebie z wyglądu. Obaj byli przystojni i dobrze zbudowani, bystrzy i inteligentni, i obaj zdecydowani byli ubiegać się kiedyś o konsulat, by uwiecznić swoje rodowe nazwiska. Pociągała ich polityka i ustawodawstwo, czyli to właśnie, do czego upoważniało ich urodzenie.

- Jeszcze nie przegrałem - mówił Saturninus do Glaucji, zaciskając usta.
- Jest jeszcze inna droga do senatu i zamierzam z niej skorzystać.
- Nie przez cenzorów - rzekł Glaucja.
- Pewnie, że nie! Chcę się ubiegać o wybór na trybuna ludowego.
- To ci się nigdy nie uda. - Glaucja był realistą.
- Uda, jeśli znajdę sobie potężnego sprzymierzeńca.
- Gajusza Mariusza?
- A kogóż by innego? On nie przepada za Skaurusem ani za Numidyjskim. Rano odpływam do Massylii, by przedstawić sprawę jednemu człowiekowi, który zechce mnie wysłuchać, i polecić mu swoje usługi.

Glaucja skinął głową.

- Tak, to dobra taktyka, Lucjuszu Apulejuszu. Ostatecznie nie masz nic do stracenia. - Pomyślał o czymś i uśmiechnął się szeroko. - Pomyśl tylko, jaką będziesz miał zabawę, zatruwając życie staruszka Skaurusa, kiedy zostaniesz trybunem ludowym.

- Nie o niego mi chodzi! - powiedział ze wzgardą Saturninus. - Zrobił, co uważał za słuszne; nie mogę mieć mu tego za złe. Ktoś jednak celowo wystawił mnie na wabia i tego kogoś chcę dostać. A kiedy będę trybunem ludowym, zatruję temu komuś życie, jeśli zdołam się dowiedzieć, kto to

jest.

- Ty pływ do Massylii i spotkaj się z Mariuszem, a ja tymczasem zacznę szukać winnego.

Jesienią nie ma kłopotów z żegluga na zachód i Saturninus miał dobrą podróż do Massylii. Stamtąd udał się konno do obozu Rzymian pod Glanum i poprosił Gajusza Mariusza o posłuchanie.

Mariusz niewiele przesadził, mówiąc swym dowódcom, że zamierza zbudować drugie Carcasso, chociaż była to drewniano-ziemna wersja kamiennego Carcasso. Wzgórze, na którym leżał rozległy rzymski obóz, było najeżone umocnieniami. Saturninus z miejsca przyznał, że nie znający się na obleganiu Germanie nigdy go nie zdobędą, choćby szturmowali je wszystkimi ludźmi, jakich mają.

- Ale - powiedział Mariusz, oprowadzając niespodziewanego gościa - musisz wiedzieć, że nie chodzi tu naprawdę o ochronę mojej armii. Chodzi o to, żeby Germanie tak myśleli.

„I temu człowiekowi odmawia się subtelności!”, pomyślał Saturninus, przyznając nagle, że Mariusz to wybitny umysł. „Jeśli ktoś może mi pomóc, to właśnie on”.

Polubili się od razu, wyczuwając w sobie pokrewną bezwzględność i determinację, a może i pewnego rodzaju nierzymskie obrazoburstwo. Saturninus był niezmiernie rad, że wyprzedził - jak na to liczył - wiadomość o swej niełasce w drodze z Rzymu do Glanum. Trudno jednak było powiedzieć, jak długo będzie musiał czekać z opowieścią o katastrofie, bo Mariusz był głównodowodzącym ogromnego przedsięwzięcia i niewiele miał wolnych chwil.

Saturninus spodziewał się zatłoczonej sali jadalnej i był zaskoczony, widząc, że tylko on sam i Mariusz Akwiliusz towarzyszą przy stole Mariuszowi.

- Czy Lucjusz Korneliusz jest w Rzymie? - spytał.

- Nie, wyjechał ze specjalnym zadaniem - odrzekł krótko Mariusz, sięgając po jajko na twardo.

Saturninus uznał, że nie ma powodu kryć swoich kłopotów przed Mariuszem Akwiliuszem, który w zeszłym roku dał się poznać jako człowiek Mariusza - i który musiał dostawać listy z Rzymu - opowiedział więc swoją historię zaraz po zakończonym posiłku. Tamci dwaj słuchali w milczeniu, nie przerywając ani jednym pytaniem, co skłaniało Saturnina do jasnego i logicznego przedstawienia wydarzeń.

Potem Mariusz westchnął.

- Rad jestem, że przybyłeś do mnie osobiście, Lucjuszu Apulejuszu. To przemawia na korzyść twojej sprawy. Człowiek winny uciekłby się do wielu sposobów, ale nie do składania mi wizyty. Nie uchodzę za łatwowiernego. Marek Emiliusz Skaurus też zresztą za takiego nie uchodzi. Podobnie jak ty uważam jednak, że ktokolwiek badałby tę okropną sytuację, zostałby doprowadzony do ciebie. Ostatecznie, jako kwestor w Ostii, byłeś idealną przynętą.

- Jeżeli ten spisek przeciw mnie ma jakiś słaby punkt, Gajuszu Mariuszu, to jest nim fakt, że nie mam dość pieniędzy, by kupować wielkie ilości

zboża.

- To prawda, ale to cię nie oczyszcza automatycznie z zarzutów. Mógłbyś to równie dobrze zrobić za bardzo wielką łapówkę albo pożyczyć pieniądze.

- Czy myślisz, że tak zrobiłem?

- Nie. Myślę, że jesteś ofiarą, a nie przestępcą.

- Ja także - powiedział Maniusz Akwiliusz. - To zbyt proste.

- Pomożesz mi więc uzyskać wybór na trybuna ludowego?

- Ach, oczywiście - rzekł bez namysłu Mariusz.

- Odwzajemnię ci się wszelkimi sposobami.

- Świetnie.

Potem wszystko poszło szybko. Saturninus nie miał czasu do stracenia, bo wybory trybunów wyznaczono na początek listopada, musiał więc wrócić w porę do Rzymu, by zorganizować obiecane przez Mariusza poparcie. Uzbrojony w wielki pakiet listów od Mariusza do różnych ludzi w Rzymie wyruszył ku Alpom w szybkiej dwukółce ciągniętej przez cztery muły. Wiózł też odpowiedniej wielkości sakiewkę, by wynajmować po drodze zwierzęta równie dobre jak czwórka, z którą rozpoczął podróż.

Kiedy wyjeżdżał, jakiś trzech niezwykłych gości podchodziło pod główną bramę obozu. Trzech Galów. Barbarzyńskich Galów! Saturninus, który nigdy w życiu nie widział barbarzyńcy, wytrzeszczał na nich oczy. Jeden był najwyraźniej więźniem, bo był skuty. O dziwo, z urody i stroju wyglądał na mniejszego dzikusa niż tamci dwaj! Był średniego wzrostu, długie jasne włosy przycięte miał na sposób Greków, był ogolony, nosił zaś galijskie spodnie i opończę z grubej wełny o skomplikowanym wzorze tkaniny. Drugi z nich był ciemnowłosa, nosił pióropusz z czarnych piór i złotego drutu, co wskazywało na jakiegoś Celtybera - i niewiele więcej miał na sobie, prezentując muskularne ciało. Trzeci był oczywiście przywódcą. Był to prawdziwy barbarzyński Gal o białej jak mleko skórze na odsłoniętej piersi. Spodnie związywał rzemieniami, jak to robili Germanie albo mityczni Belgowie. Długie rudozłote włosy spadały mu na plecy, a długie rudozłote wąsy zwisały po bokach ust. Na szyi nosił ciężką złotą obręcz z głową smoka, z czegoś, co wyglądało na szczerę złoto.

Dwukółka ruszyła, a gdy mijiała z bliska grupkę przybyszów, Saturninus napotkał chłodne spojrzenie przywódcy i zadrżał mimo woli. To był prawdziwy barbarzyńca!

Trzej Galowie szli dalej w górę stoku i weszli w główną bramę nie zatrzymywani przez nikogo, póki nie doszli do stołu oficera dyżurnego pod płóciennym daszkiem przed drewnianym domem wodza.

- Zamelduj nas Gajuszowi Mariuszowi - powiedział przywódca nieskazitelną łaciną.

Oficer dyżurny nawet nie mrugnął.

- Zapytam, czy przyjmuje - powiedział, wstając. Po chwili wrócił. - Wódz prosi, Lucjuszu Korneliuszu - uśmiechnął się szeroko.

- Spryciarz - mruknął Sertoriusz, przeciskając się obok tamtego ze swym kiwającym się pióropuszem. - Ani słowa nikomu o tym, pamiętaj!

Mariusz wpatrywał się w swych adiutantów równie uważnie jak Saturninus, tyle że z mniejszym zdziwieniem.

- Wróciliście prawie zgodnie z planem - powiedział, ściskając mocno dłoń Sulli, a potem Sertoriuszowi.

- Nie zabawimy długo. - Sulla wypchnął przed siebie swego jeńca. - Wróciliśmy tylko po to, by ci przekazać tę ozdobę twego pochodu tryumfalnego. Oto Kopiliusz, król Wolków Tektosagów, tych samych, którzy mieli udział w zniszczeniu armii Kasjusza pod Burdigalą.

- Ach! - Mariusz przyglądał się jeńcowi. - Nie wygląda mi na Gala. Wy z Sertoriuszem robicie znacznie większe wrażenie.

Sertoriusz wyszczerzył zęby, a Sulla odpowiedział:

- W swojej stolicy w Tolosie ma on stałe kontakty z cywilizacją. Mówi dobrze po grecku, a myśli chyba tylko w połowie po galijsku. Ujęliśmy go pod Burdigalą.

- Czy warto było tak się trudzić?

- Przekonasz się, że warto, kiedy się czegoś dowiesz. - Sulla uśmiechnął się najbardziej tygrysim ze swoich uśmiechów. - Ma on do opowiedzenia pewną ciekawą historię i może ją opowiedzieć w zrozumiałym dla Rzymian języku.

Coś w wyrazie twarzy Sulli przykuło uwagę Mariusza. Spojrzał uważnie na króla Kopiliusza.

- Co to za historia?

- Ach, historia o stawach pełnych złota. Załadowano je na rzymskie wozy i wysłano z Tolosy do Narbony za czasów prokonsulatu Cepiona. Złoto zniknęło w pobliżu Carcasso w tajemniczych okolicznościach, a kołortę rzymskich żołnierzy wymordowano i obdarto ze zbroi i broni. Kopiliusz był wtedy pod Carcasso - ostatecznie złoto było pod jego opieką, zgodnie z jego sposobem rozumowania. Gromada tych, którzy uprowadzili złoto do Hiszpanii, była jednak zbyt liczna i zbyt dobrze uzbrojona, by ją mógł zaatakować, bo miał przy sobie tylko kilku ludzi. Ciekawa rzecz, że jeden Rzymianin przeżył, *praefectus fabrum* Furiusz. Przeżył też grecki wyzwolieniec, Kwintus Serwiliusz Bias. Kopiliusz nie był wprawdzie kilka miesięcy później pod Malaką, kiedy wozy ze złotem wjeżdżały do zakładów rybnych jednego z klientów Cepiona, nie był też pod Malaką, kiedy złoto odpływało do Smyrny jako „Garum z Malaki, na rachunek Kwintusa Serwiliusza Cepiona”. Kopiliusz ma jednak przyjaciela, który ma przyjaciela, który jest znajomym turdetańskiego rozbójnika Brygantiusza. Brygantiusz utrzymuje, że został wynajęty do zagrabienia złota i przewiezienia go do Malaki przez agentów Kwintusa Serwiliusza Cepiona, a mianowicie Furiusza i wyzwolenca Biasa. Zapłacili mu wozami, mułami - i sześcioma setkami dobrych rzymskich zbroi i bronią zabitych. Kiedy złoto odpływało na wschód, Furiusz i Bias popłynęli z nim razem.

Sulla pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział Mariusza w stanie takiego osłupienia, nawet wtedy, gdy czytał list o wybraniu go na konsula *in absentia*. Tamto po prostu zaparło mu dech, ale w to nie mógł uwierzyć.

- O bogowie! - wyszeptał. - Nie ośmieliłby się!

- Ośmielił się, a jakże - rzekł z pogardą Sulla. - Cóż to szkodzi, że ceną

było życie sześciuset dobrych rzymskich żołnierzy? Ostatecznie w tych wozach było piętnaście tysięcy talentów złota! Wygląda na to, że Wolkowie Tektosagowie nie uważali się za właścicieli tego złota, tylko za strażników. Były to bogactwa Delf, Olimpui, Dodony i tuzina mniejszych sanktuariów, które ten drugi Brennus zabrał jako własność wszystkich plemion galijskich. Teraz Wolkowie Tektosagowie są przekleci, król Kopiliusz po dwakroć przeklety, a bogactwa Galii utraczone.

Ochłonawszy po wstrząsie, Mariusz patrzył teraz raczej na Sullę niż na Kopiliusza. Ta historyjka została dobrze opowiedziana, tak, ale było w tym coś więcej. Tę historyjkę opowiedział galijski bard, a nie rzymski senator.

- Jesteś wielkim aktorem, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział.

Sulla wydawał się niedorzecznie zadowolony.

- Dziękuję, Gajuszu Mariuszu.

- Więc nie zostajesz? A co z zimą? Tu byłoby wam wygodniej. - Mariusz uśmiechnął się szeroko. - Zwłaszcza Kwintusowi Sertoriuszowi, jeśli nie ma w kuferku innych ubrań niż ta pierzasta korona.

- Nie, wyruszamy jutro. Cymbrowie drepczą u stóp Pirenejów, a miejscowi rzucają im na głowy z każdej turni, półki skalnej i urwiska wszystko, co się da zrzucić. Tych Germanów chyba urzekają góry! Trzeba nam było jednak całych miesięcy, żeby zbliżyć się do Cymbrów. Musieliśmy dać się poznać połowie Galii i Hiszpanii - mówił Sulla.

Mariusz napełnił winem dwa puchary, spojrział na Kopiliusza i nalał trzeci, wręczając go więźniowi. Kiedy podawał wino Sertoriuszowi, przyrzekał się swemu sabińskiemu krewnemu z posępną miną.

- Wyglądasz jak kogut Plutona - zauważył.

Sertoriusz upił łyk wina i westchnął błogo.

- Tuskulańskie! Kogut Plutona, he? Cóż, lepsze to niż wrona Prozerpiny.

- Czy macie wieści o Germanach?

- Krótko mówiąc, bardzo mało - powiem ci więcej przy wieczerzy. Jeszcze za wcześnie, by ci mówić, skąd przybywają albo co ich zmusiło do wędrówki. Następnym razem. Wrócę, zanim zdążą zrobić choć krok w stronę Italii, możesz być spokojny. Mogę ci powiedzieć, gdzie są teraz. Teutoni i grupa Tygurynów, Markomanów i Cherusków starają się przejść przez Ren do Germanii, a Cymbrowie usiłują przejść przez Pireneje do Hiszpanii. Chyba im się to nie uda. - Sulla odstawił puchar. - Ach, dobre było to wino!

Mariusz przywołał oficera dyżurnego.

- Przyślij mi trzech ludzi godnych zaufania. I postaraj się znaleźć jakąś wygodną kwaterę dla króla Kopiliusza. Musimy trzymać go pod strażą, ale tylko do czasu, gdy odeślę go do Rzymu.

- Nie odsyłałbym go do Rzymu - powiedział z namysłem Sulla, kiedy oficer wyszedł. - Prawdę mówiąc, nie rozpowiadałbym, gdzie go trzymam.

- Cepion? Nie ośmieliłby się! - rzekł Mariusz.

- Ukradł to złoto.

- Zgoda, umieścimy króla w Nersji. Kwintusie Sertoriuszu, czy twoja matka nie ma jakichś przyjaciół, którzy zgodziliby się przygarnąć króla na rok czy dwa?

- Znajdzie kogoś - zapewnił Sertoriusz.

- Ależ mamy szczęście! - unosił się Mariusz. - Nigdy nie marzyłem o znalezieniu dowodów pozwalających posłać Cepiona na zasłużone wygnanie, ale król Kopiliusz jest takim dowodem. Nie będziemy o nim mówić, póki nie wrócimy do Rzymu po pobiciu Germanów, a wtedy wytoczymy Cepionowi sprawę o zdradę stanu!

- Zdradę stanu? - Sulla przymrużył oczy. - On ma w centuriach zbyt wielu przyjaciół.

- Ale - wyjaśnił uprzejmie Mariusz - przyjaciele w centuriach nie pomogą mi, kiedy stanie przed specjalnym trybunałem obsadzonym wyłącznie przez ekwitów.

- Co planujesz, Gajuszu Mariuszu? - dopytywał się Sulla.

- Załatwiłem sobie na przyszły rok dwóch trybunów ludowych! - oznajmił tryumfalnie Mariusz.

- Mogą nie przejść - zauważył Sertoriusz.

- Przejdą! - odparli chórem Mariusz i Sulla.

Wszyscy trzej roześmieli się, a więzień zachowywał wciąż pełną godności postawę, udając, że rozumie ich łacinę, i czekając na rozwój wydarzeń.

Mariusz przypomniał sobie o dobrych obyczajach i zaczął rozmowę po grecku, wciągając do niej Kopiliusza i obiecując mu szybkie zdjęcie łańcuchów.



- Czy wiesz, Kwintusie Cecyliuszu - mówił princeps senatu Marek Emiliusz Skaurus do Metellus Numidyjskiego - że całkiem mi odpowiada praca kwestora w Ostii? Oto ja, pięćdziesięcioletni, łysy jak kolano i z twarzą tak pobrużdżoną, że mój golibroda nie daje sobie z nią rady - czuję się znów jak chłopiec! Ach, i ta łatwość, z jaką rozstrzyga się problemy! Przy trzydziestce, wiszą nam nad głową niczym niezdobyte górskie szczyty - dobrze to pamiętam. Kiedy mamy lat pięćdziesiąt pięć, są błahostką niczym kamyki.

Skaurus przybył do Rzymu na specjalne zebranie senatu zwołane przez pretora miejskiego Gajusza Memiusza dla omówienia jakichś kwestii dotyczących Sardynii. Młodszy konsul, Gajusz Flawiusz Fimbria, był niezdrów - co się ostatnio często zdarzało.

- Słyszałeś tę plotkę? - spytał Metellus Numidyjski, kiedy wchodzili po schodach kurii do jej wnętrza. Herold nie ogłosił jeszcze obrad, ale większość przybyłych wcześniej senatorów nie czekała na zewnątrz - wchodzili do środka i kontynuowali rozmowy, czekając, aż zwołujący zebranie złoży ofiarę i odmówi modlitwy.

- Jaką plotkę? - Skaurus był nieco rozproszony, bo ostatnio myślał prawie wyłącznie o dostawach zboża.

- Lucjusz Kasjusz i Lucjusz Marcjusz chcą wspólnie przedłożyć Zgromadzeniu Plebejskiemu wniosek o dopuszczenie Gajusza Mariusza do ubiegania się o konsulat - *In absentia*, wyobrażasz sobie!

Skaurus zatrzymał się o kilka stóp od miejsca, gdzie jego sekretarz ustawił mu stołek w pierwszym rzędzie; jak zwykle między stołkami

Metellusa Numidyjskiego i Metellusa Dalmatyńskiego. Rozszerzone ze zdumienia oczy utkwiał w twarzy Numidyjskiego.

- Nie ośmiela się!

- Ależ, ośmiela się! Wyobrażasz sobie coś takiego? Trzeci konsulat z rządu to rzecz niesłychana - to oznacza zrobienie z niego dyktatora na dłuższy czas! Czemuż to Rzym, potrzebując czasami dyktatora, ograniczył jego urzędowanie do sześciu miesięcy? Po to właśnie, by człowiek sprawujący ten urząd nie nabrał przekonania o swej wyższości. A oto ten... ten... wieśniak ustanawia własne reguły! - Metellus Numidyjski pienieł się z wściekłości.

Skaurus opadł na stołek niczym jakiś starzec.

- To był nasz błąd - powiedział wolno. - Zabrakło nam odwagi naszych przodków, aby usunąć tę szkodliwą purchawkę! Dlaczego usunięto Tyberiusza Grakcha i Marka Fulwiusza, i Gajusza Grakcha, a pozwolono przeżyć Mariuszowi? Już dawno trzeba było go skrócić o głowę!

Metellus wzruszył ramionami.

- To tylko chłop. Grakchowie i Fulwiusz Flakkus byli szlachetnie urodzeni. Szkodliwa purchawka to dobre określenie - wyrasta w ciągu jednej nocy, ale zanim zdążysz uciąć łeb grzybowi, on już wyrasta gdzie indziej.

- Trzeba z tym skończyć! - krzyknął Skaurus. - Nikogo nie wolno wybierać na konsula *in absentia*, a tym bardziej dwa razy z rządu! Ten człowiek naruszył rzymską tradycję rządzenia więcej razy niż ktokolwiek inny w całej historii republiki. Zaczynam wierzyć, że chce być nie tylko Pierwszym w Rzymie, ale królem Rzymu.

- Zgadzam się - powiedział Metellus, siadając - ale jak się go pozbyć? Tak krótko tu przebywa, że trudno go zabić.

- Lucjusz Kasjusz i Lucjusz Marcjusz? - dziwił się Skaurus. - Nie rozumiem tego! To dobrze urodzeni z najlepszych i najstarszych rodzin plebejskich! Czy nie mają poczucia przyzwoitości?

- No cóż, wszyscy znamy Lucjusza Marcjusza. Mariusz wykupił jego długi, jest więc po raz pierwszy w życiu wypłacalny. Z Lucjuszem Kasjuszem jest inaczej. Zbyt się przejął opinią ludu o nieudolnych wodzach w rodzaju jego ojca i przecenia reputację Mariusza. Chyba myśli, że jeśli pomoże Mariuszowi pozbyć się Germanów, przywróci dobre imię swej rodzinie.

- Hm! - skwitował to teoretyzowanie Skaurus.

Dalsza dyskusja była niemożliwa, bo kuria rozpoczęła obrady, a Gajusz Memiusz - mocno ostatnio wymizierowany, a przez to przystojniejszy niż zwykle - powstał, by przemówić.

- Ojcowie spisani - zaczął, trzymając w ręku jakiś krótki list - mam tu list z Sardynii od Gnejusza Pompejusza Strabona. Skierowany jest do mnie, a nie do naszego szanownego konsula Gajusza Flawiusza, bo do moich obowiązków jako pretora miejskiego należy nadzór nad sądownictwem Rzymu.

Przerwał, by rzucić złe spojrzenie na tylne rzędy senatorów, i udało mu się zrobić przy tym brzydki grymas. Tylne rzędy odebrały przesłanie i

przybrały najbardziej ugrzecznione miny.

- Przypomnę może tym z tyłu, którzy rzadko zaszczycają tę kurię swoją obecnością, że Gnejusz Pompejusz Strabon jest kwestorem namiestnika Sardynii, którym -znów przypomnę - jest w tym roku Tytus Anniusz Albucjusz. Czy te skomplikowane powiązania są dla wszystkich zrozumiałe, ojcowie spisani? - powiedział głosem ociekającym sarkazmem.

Rozległ się ogólny pomruk, co Memiusz uznał za potwierdzenie.

- Świetnie. Przeczytam teraz list Gnejusza Pompejusza do mnie. Czy wszyscy słuchamy?

Kolejny pomruk.

- Świetnie. - Memiusz rozwinął papier i trzymając go przed sobą, zaczął czytać wyraźnym czystym głosem z dykcją bez zarzutu.

„Niniejszym wnoszę, Gajuszu Memiuszu, o pozwolenie na postawienie przed sądem zaraz po naszym powrocie do Rzymu Tytusa Anniusza Albucjusza, namiestnika *propraetore* naszej prowincji Sardynii. Jak kurii wiadomo, przed miesiącem Tytus Anniusz donosił, że udało mu się wytepić w prowincji bandytyzm i że oczekuje wyrazów uznania za swoją działalność. Odmówiono mu wyrazów uznania, i słusznie. Chociaż niektóre gniazda rozbójników zostały wyduszone, prowincja nie jest od nich wolna nawet w najmniejszej mierze. Ja jednak żądam postawienia go przed sądem za jego nierzymskie zachowanie się po odmówieniu mu uznania. Nie tylko wyrażał się o członkach senatu jako o bandzie obojętnych na wszystko *irrumatores*, ale na dodatek urządził szyderyczy tryumf na ulicach Karales! Uważam jego postęпки za zagrożenie dla senatu i ludu rzymskiego, a jego tryumf za zdradę stanu. Jestem przekonany, że powinienem osobiście ścigać go sądownie. Proszę o pilną odpowiedź”.

Memiusz odłożył list pośród głębokiej ciszy.

- Byłbym wdzięczny, gdyby uczony przywódca tej kurii, Marek Emiliusz Skaurus, wyraził swoją opinię.

Skaurus z posępną miną na pokrytej zmarszczkami twarzy wyszedł na środek sali.

- Tak się składa, że przed rozpoczęciem obrad rozmawiałem o podobnej sprawie. Chodzi o przejawy erozji naszego tradycyjnego systemu rządów i sposobu ich sprawowania. W ostatnich latach to czcigodne grono wielkich ludzi straciło nie tylko władzę, ale i tytuł prawej ręki Rzymu. My - wielcy ludzie Rzymu - nie możemy już wybierać dróg, którymi kroczy Rzym. My - wielcy ludzie Rzymu - jesteśmy wykorzystywani przez lud - zmiennych, niedoświadczonych, zachłannych, bezmyślnych, bawiących się w politykę amatorów. Jesteśmy wykorzystywani przez lud, który wciska twarz senatu w błoto! Uważa się nas - wielkich Rzymu - za ludzi bez znaczenia! Nasza mądrość, nasze doświadczenie, zasługi naszych rodów przez tyle pokoleń od czasu ustanowienia republiki - wszystko to przestało się liczyć. Liczy się tylko lud. Ja zaś powiadam wam, ojcowie spisani, że lud nie ma przygotowania, aby rządzić Rzymem!

Odwrócił się w stronę otwartych drzwi i podniósł głos, kierując go ku zagłębieniu komicjów.

- Jakaż to część ludu kieruje Zgromadzeniem Plebejskim? - ryknął. - To

ludzie z drugiej, trzeciej, a nawet czwartej klasy - drobni ekwici z ambicjami kierowania Rzymem niczym swoimi firmami, właściciele sklepów, drobni ziemianie, nawet rzemieślnicy prowadzący „powielanie rzeźb”, jak to reklamują! I ludzie, którzy zważają się na adwokatów, ale muszą szukać klientów wśród kmiotków i idiotów. I ludzie, którzy zważają się na agentów, ale nie potrafią powiedzieć, czego są agentami! Znudzeni swymi zajęciami działają w komicjach, pochlebiając sobie, że zgromadzenia trybusowe lepiej rządzą Rzymem niż my z naszej wyniosłej kurii! Polityczne frazesy wylewają im się z ust niczym wymiociny. Plotą w kółko o występach trybunów ludowych i urządzają owacje, gdy przywileje senatorów przekazuje się ekwitom! Ci ludzie nie są ani dość bogaci, by należeć do klasy pierwszej w centuriach, ani tak ubodzy, by pilnować tylko swoich interesów, jak to robi klasa piąta i Policzeni Głowami! Powtarzam wam, ojcowie spisani, że lud nie ma przygotowania, by rządzić Rzymem! Zbyt wiele przyznano im władzy, przy współdziałaniu, mógłbym dodać, różnych członków tej kurii, kiedy byli trybunami ludowymi! W swej arogancji ośmielają się oni teraz ignorować nasze rady, nasze wskazówki i nas samych!

Wszyscy zrozumieli, że ma to być jedna z pamiętnych mów Skaurusa. Jego sekretarz i kilku innych skrybów pilnie notowało każde słowo, on zaś mówił na tyle wolno, by mieć pewność, że zapiszą je właściwie.

- Najwyższy czas - ciągnął donośnym głosem - abyśmy odwrócili ten proces. Najwyższy czas pokazać ludowi, że jest młodszym współrządzającym! - Nabrał tchu i mówił dalej tonem zwykłej rozmowy. - Łatwo oczywiście wskazać początki tej erozji władzy senatu. To dostojne grono pozwoliło zbyt wielu parweniuszom, zbyt wielu szkodliwym purchawkom, zbyt wielu ludziom nowym zajmować najwyższe urzędy. Jakie znaczenie ma rzymski senat dla kogoś, kto musiał ocierać świńskie łajno z twarzy, zanim przybył do Rzymu spróbować szczęścia w polityce? Jakie znaczenie ma rzymski senat dla kogoś, kto jest w najlepszym razie pół-Latynem z samnickiego pogranicza - kto wjechał na swój pierwszy konsulat na grzbiecie patrycjuszki, którą sobie kupił? A jakie znaczenie ma rzymski senat dla zezowatego mieszańca ze wzgórz z północnego Picenum, które obsiedli Celtowie?

Skaurus zamierzał naturalnie zaatakować Mariusza i tego się spodziewano, ale podszedł do tego w sposób dość zaskakujący, a kuria została przy tym odpowiednio skarcona, słuchano go więc z zainteresowaniem i uwagą.

- Nasi synowie, ojcowie spisani - mówił ze smutkiem - to lękliwe stworzenia, wyrosłe w atmosferze, która dławi senat rzymski, choćby nawet ożywiała rzymski lud. Czy możemy oczekiwać, że w swoim czasie będą przewodzić Rzymowi, skoro dali się zastraszyć ludowi? Powiadam wam, że jeśli jeszcze nie zaczęliście, dziś musicie zacząć uczyć waszych synów, jak być silnymi w senacie i bezlitosnymi dla ludu! Musicie im uświadomić, że wyższość senatu jest rzeczą naturalną! Musicie ich też przygotować do walki o utrzymanie tej naturalnej wyższości!

Odszedł już od drzwi i kierował teraz swe przemówienie do zapełnionej

ławki trybunów.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego jakiś uczestnik tego dostojnego grona miałby celowo działać na jego szkodę? A przecież to się dzieje przez cały czas! Oto siedzą tu, nazywając siebie senatorami - członkami tej dostojnej kurii - ale także nazywając siebie trybunami ludowymi! Służą jednocześnie dwóm panom! Trzeba im przypomnieć, że najpierw są senatorami, a dopiero potem trybunami ludowymi. Ich prawdziwym obowiązkiem wobec ludu jest uświadamianie ludowi jego podrzędnej roli. Czy jednak tak czynią? Nie! Oczywiście, że tego nie czynią! Przyznaję, że niektórzy z nich pozostają lojalni i bardzo ich za to chwale. Inni, a jest to rzeczą ludzką, nie osiągnęli niczego ani dla senatu, ani dla ludu. Boją się, że jeśli zasiądą na jednym z końców ławki trybunów, inni wstaną, zrzucając ich z ławki i wystawiając na pośmiewisko. Niektórzy jednak, o ojcowie spisani, celowo działają na szkodę tego dostojnego grona, rzymskiego senatu. Dlaczego? Co nimi kieruje?

Tych dziesięciu na ławce siedziało w różnych pozach wyraźnie odzwierciedlających ich przekonania polityczne. Lojalni trybunowie siedzieli wyprostowani, rozpromienieni i zadowoleni z siebie. Ci ze środka ławki wiercili się niespokojnie i wpatrywali się w posadzkę, aktywni zaś trybunowie siedzieli z niewzruszonymi twarzami i wyzywającym wzrokiem, bynajmniej nie skruszeni.

- Powiem wam, dlaczego, koledzy senatorowie - głos Skaurusa ociekał pogardą. - Niektórzy pozwolili się kupić niczym fałszywe błyskotki na straganie - tych dobrze rozumiemy! Inni jednak mają bardziej wyrafinowane powody, a pierwszym z nich był Tyberiusz Semproniusz Grakchus. Mówię o takim trybunie ludowym, który uważa lud za narzędzie wspierające jego własne ambicje, o człowieku, który pragnie uzyskać status Pierwszego w Rzymie, nie zasłużywszy na to, jak zasłużył Scypion Afrykański i Scypion Emilianus, i Emiliusz Paulus, i - proszę wszystkich o wybaczenie mi zarozumiałstwa - Marek Emiliusz Skaurus princeps senatu! Zapożyczyliśmy od Greków słowa na opisanie trybunów ludowych w stylu Tyberiusza i Gajusza Grakchów: nazywamy ich demagogami. Nie używamy go jednak dokładnie w takim znaczeniu, jak to robią Grecy. Nasi demagodzy nie ściągają na Forum całego miasta, wrzeszczącego o krew i rozszarpującego senatorów na stopniach kurii. Nie przeprowadzają swej woli gwałtem. Nasi demagodzy poprzestają na zagrzewaniu stałych bywalców komicjów i stawiają na swoim, zmieniając prawa. Ach, od czasu do czasu dochodzi do gwałtów, ale częściej to my z senatu musieliśmy się do nich uciekać dla przywrócenia status quo. Nasi demagodzy są bowiem prawodawcami i są znacznie bardziej wyrafinowani, bardziej mściwi i bardziej niebezpieczni niż zwykli podżegacze do rozruchów! Deprawują lud, by zaspokoić swe ambicje, a to, ojcowie spisani, nie zasługuje nawet na pogardę. A jednak dzieje się tak co dzień i jest coraz powszechniejsze. To krótsza droga do zdobycia władzy i do osiągnięcia prymatu.

Przerwał, obrócił się, podtrzymując lewą ręką fałdy swej togi z purpurowym szlakiem opadające przez lewe ramię, i wysunął odsłonięte prawe ramię, by moc gestami podkreślać znaczenie słów.

- Krótsza droga do zdobycia władzy i do osiągnięcia prymatu - powtórzył donośnym głosem. - Wszyscy przecież znamy tych ludzi, nieprawdaż? Pierwszym wśród nich jest Gajusz Mariusz, nasz szanowny starszy konsul, który ma jak słyszę, być znów wybrany na konsula i znowu *in absentia*! Czy z naszej woli? Nie! Posługując się ludem, oczywiście! Jak inaczej doszedłby Gajusz Mariusz do swej obecnej pozycji, jeśli nie posługując się ludem? Niektórzy z nas walczyli z nim, i to na zęby i pazury, walczyli aż do wyczerpania wszystkich legalnych środków w naszym arsenale! Bez skutku. Gajusz Mariusz ma poparcie ludu, ma posłuch u ludu i zasila pieniędzmi sakiewki kilku trybunów ludowych. W naszych czasach to wystarcza. Jest bogaty niczym Krezus, może więc kupić to, czego nie zdobędzie w inny sposób. Taki jest Gajusz Mariusz. Ale nie o Gajuszu Mariuszu zamierzałem mówić. Wybaczcie mi, ojcowie spisani, że pozwalam ponosić się emocjom.

Wrócił na swe dawne miejsce i, obrócony ku urzędnikom kurulnym, kierował swe uwagi do Gajusza Memiusza.

- Miałem mówić o innym parweniuszu, z mniej rzucającego się w oczy rodzaju niż Gajusz Mariusz. Tego rodzaju parweniusz ma przodków senatorów, mówi dobrą greką, odebrał staranne wykształcenie, a z domu, w którym mieszka, z pewnością nie wypatrzy świńskiego łajna. Nie jest urodzonym Rzymianinem, bez względu na to, co sam twierdzi. Mówię o kwestorze Gnejuszu Pompejuszu Strabonie, wyznaczonym przez tę dostojną kurie do pomocy namiestnikowi Sardynii, Tytusowi Anniuszowi Albucjuszowi.

- Kimże jest ten Gnejusz Pompejusz Strabon? Pompejuszem, który głosi się krewnym Pompejuszy zasiadających w tej kurii od pokoleń, choć warto by sprawdzić, jak bliskie są te związki krwi. Bogaty jak Krezus, ma połowę północnej Italii wśród swych klientów i królewską pozycję w granicach swoich ziem. Oto kim jest Gnejusz Pompejusz Strabon.

Skaurus podniósł głos.

- Do czego doszło to dostojne grono, skoro świeżo upieczony senator w masce kwestora ośmiela się - ma czelność oskarżać swego zwierzchnika? Czy aż tak nam brakuje młodych Rzymian, że nie stać nas na obsadzenie marnych trzystu stołków rzymskimi tyłkami? To jest gorszące! Czy ten Pompejusz Zezowaty naprawdę nie wie, jak powinien zachowywać się członek senatu? Co się dzieje z nami, skoro pozwalamy takim jak Pompejusz Zezowaty sadzać swój nieokrzesany tyłek na senatorskim stołku? A co się dzieje z nim, że zrobił coś takiego? Pewnych rzeczy, ojcowie spisani, po prostu się - nie - robi! Nie oskarża się zwierzchników ani bliskich krewnych, ani powinowatych. Głupi, tępy, grubiański, źle wychowany - w naszym języku brak słów na krótkie określenie takich szkodliwych parweniuszy jak ten Gnejusz Pompejusz Strabon, ten Pompejusz Zezowaty!

Z ławki trybunów rozległ się czyjś głos.

- Czy wnioskujesz z tego, Marku Emiliuszu, że należy pochwalić Tytusa Anniusza Albucjusza za jego zachowanie?

Princeps senatu uniósł się w górę niczym kobra i z równie jadowitą miną

rzekł:

- Bądźże poważny, Lucjuszu Kasjuszu! Nie chodzi tu o Tytusa Anniusza. Zostanie potraktowany we właściwy sposób, czyli postawiony przed sądem. Jeśli zostanie uznany za winnego, będzie ukarany zgodnie z prawem. Tu chodzi o protokół, dobre wychowanie, etykietę - krótko mówiąc, dobre obyczaje, Lucjuszu Kasjuszu! Nasz szkodliwy parweniusz, Pompejusz Zezowaty, naruszył w obrzydliwy sposób dobre obyczaje!

Zwrócił się teraz do kurii.

- Tytus Anniusz Albucjusz, ojcowie spisani będzie oskarżony o zdradę stanu, ale *praetor urbanus* powinien jednocześnie wystosować bardzo chłodny list do kwestora Gnejusza Pompejusza Strabona z powiadomieniem, że w żadnym wypadku nie będzie mu wolno ścigać sądownie swego przełożonego i że zachowuje się jak prostak.

Kuria przegłosowała to burzą oklasków, formalne głosowanie nie było więc konieczne.

- Uważam, Gajuszu Memiuszu - rzekł Lucjusz Marcjusz Filip nosowym tonem arystokratycznej wyższości (dopiekła mu konkluzja Skaurusa, że Mariusz kupił jego usługi) - że kuria powinna zaraz wyznaczyć oskarżyciela w sprawie Tytusa Anniusza Albucjusza.

- Czy są jakieś sprzeciwy? - spytał Memiusz, rozglądając się wkoło.

Nikt się nie sprzeciwiał.

- Doskonale. Proszę zatem zapisać w rejestrach, że kuria wyznaczy oskarżyciela w sprawie „Państwo przeciw Tytusowi Anniuszowi Albucjuszowi”. Czy są jakieś propozycje?

- Ach, drogi pretorze miejski, jest tylko jedna możliwość! - Filip nadal mówił przez nos.

- Mów zatem, Lucjuszu Marcjuszu.

- Ależ, nasz uczony młody człowiek od wystąpień w sądach, Cezar Strabon. Nie pozbawiajmy całkowicie Tytusa Anniusza wrażenia, że go nawiedza głos z przeszłości! Uważam, że jego oskarżyciel powinien być zezowaty!

Kuria wpadła w wesołość. Kiedy się uspokojono, głosowano jednomyślnie za wyznaczeniem zezowatego Gajusza Juliusza Cezara Strabona - młodszego brata Katullusa Cezara i Lucjusza Cezara - na oskarżyciela Tytusa Anniusza Albucjusza. Był to zarazem wymowny odwet na Pompejuszu Strabonie. Kiedy otrzymał on chłodny list senatu (i kopię mowy Skaurusa, dorzuconą przez Gajusza Memiusza, by natrzeć ranę solą), zrozumiał przesłanie. I przysiągł sobie, że nadejdzie dzień, gdy wszyscy ci wysoko urodzeni będą zabiegać o jego względy.

Ani Skaurus, ani Numidyjski nie zapewnili sobie dość wielu głosów w Zgromadzeniu Plebejskim, by utracić kandydaturę Mariusza w wyborach na konsula, chociaż zajadłe o to walczyli. Nie przeciągnęli też na swoją stronę Zgromadzenia Centurialnego, bo głosujący z drugiej klasy nie zapomnieli Skaurusowi tego, że w swym pamiętnym przemówieniu nazwał ich małymi ludźmi i zrównał z trzecią i czwartą klasą. Zgromadzenie Centurialne udzieliło Mariuszowi stałego pełnomocnictwa do

powstrzymania Germanów i nie chciało słyszeć o nikim innym, kto miałby zająć jego miejsce. Gajusz Mariusz był człowiekiem, jakiego właśnie było trzeba. Wybrany po raz drugi z rządu na konsula *in absentia*, mógłby się ogłosić Pierwszym w Rzymie i nikt by się temu nie sprzeciwiał.

- Nie będzie jednak *primus inter pares* - pierwszym między równymi sobie - mówił Metellus Numidyjski do młodego Marka Liwiusza Druzusa, który po krótkiej karierze wojskowej wrócił na sale sądowe. Spotkali się przed trybunałem pretora miejskiego, gdzie Druzus występował razem z przyjacielem i szwagrem, Cepionem Juniorem.

- Obawiam się, Kwintusie Cecyliuszu - w głosie Druzusa nie było ani cienia usprawiedliwiania się - że tym razem nie podpiszę się pod zdaniem równych sobie. Ja głosowałem za Gajuszem Mariuszem, i nie tylko na niego głosowałem, ale wpłynąłem na swych przyjaciół i wszystkich swych klientów, aby także na niego głosowali.

- Jesteś zdrajcą własnej klasy! - parsknął Numidyjski.

- Bynajmniej, Kwintusie Cecyliuszu. Po prostu byłem pod Arauzjoną - odparł spokojnie Druzus. - Widziałem na własne oczy, co się może zdarzyć, kiedy senatorskie poczucie wyższości bierze górę nad rzymskim zdrowym rozsądkiem. Oświadczam ci stanowczo, że gdyby nawet Gajusz Mariusz był zezowaty jak Cezar Strabon, tępy jak Pompejusz Strabon, nisko urodzony jak tragarze z rzymskiego portu i wulgarny jak Sekstus Perkwicjusz - nadal głosowałbym na niego! Nie mamy drugiego takiego wojskowego, ja zaś nie zgodzę się na konsula, który traktowałby go tak, jak Kwintus Serwiliusz Cepion traktował Gnejusza Maliusza Maksymusa!

I Druzus odszedł z wielką godnością, a Metellus Numidyjski spoglądał za nim z otwartymi ustami.

- Zmienił się - powiedział Cepion Młodszy, który po powrocie z Galii nadal chodził wszędzie za Druzusem, chociaż z mniejszym niż dawniej entuzjazmem. - Mój ojciec mówi, że jeśli Marek Liwiusz nie będzie uważał, stanie się demagogiem najgorszego rodzaju.

- To być nie może! - wykrzyknął Numidyjski. - Przecież jego ojciec cenzor był najzawziętym wrogiem Gajusza Grakcha, a młody Marek Liwiusz został wychowany w najbardziej konserwatywny sposób!

- Arauzjona go zmieniła - utrzymywał Cepion Młodszy. - Może sprawił to cios w głowę - tak w każdym razie myśli mój ojciec. Odkąd wrócił z Galii, rozumieją się jak para łotrów z tym Marsem Silonem, z którym zaprzyjaźnił się po bitwie. - Prychnął z niechęcią. - Silon zjechał tu z Alba Fuentia i rządzi się w domu Marka Liwiusza jak we własnym. Siedzą i rozmawiają całymi godzinami i nie zapraszają mnie do tych rozmów.

- To nieszczęsna sprawa, ta Arauzjona. - Metellus był w kłopotcie, bo rozmawiał z synem człowieka, który ponosił za wszystko odpowiedzialność.

Cepion Młodszy umknął, jak mógł najprędzej, i poszedł do domu. Od pewnego czasu odczuwał jakieś nieokreślone niezadowolenie - chyba od czasu gdy poślubił siostrę Druzusa, a Druzus ożenił się z jego siostrą. Nie było powodu, dla którego miałby je odczuwać, ale tak po prostu było. Wszystko zmieniło się po Arauzjonie! Jego ojciec także nie był już tym

samym człowiekiem. Potrafił w jednej chwili zaśmiewać się z jakiegoś żartu, którego Cepion Młodszy nie rozumiał, w następnej chwili wpadał w otchłań rozpaczy z powodu wzbierającej fali powszechnego oburzenia, a jeszcze chwilę później wykrzykiwał w furii o niesprawiedliwości tego wszystkiego - Cepion Młodszy nie miał pojęcia, co ojciec rozumiał przez „wszystko”.

Stosunek Cepiona Młodszego do Arauzjony także nie był wolny od poczucia winy. Kiedy Druzus, Sertoriusz i Sekstus Cezar, a nawet ten cały Sylon, leżeli na polu bitwy uznani za zabitych, on sam uciekał za rzekę jak zbity pies i myślał tylko o tym, żeby przeżyć, niczym ostatni z Policzonych Głowami rekrutów w jego legionie. Naturalnie nie rozmawiał o tym z nikim, nawet z ojcem. To był wstydlivy sekret Cepiona Młodszego. Co dzień jednak, spotykając Druzusa, zastanawiał się, co tamten podejrzewa.

Jego żona Liwia Druza była w swoim salonie, z dzieckiem na kolanach, bo właśnie skończyła je karmić piersią. Jego przyjście jak zawsze wywołało uśmiech i powinno go to cieszyć, ale nie cieszyło. Wyraz jej oczu nie pasował do reszty twarzy, bo nigdy nie zagościł w nich uśmiech, kiedy zwracała się do niego albo słuchała tego, co mówił. Cepion Młodszy zdawał sobie sprawę, że nigdy nie spoglądała mu w oczy, nawet przez chwilę. Mimo to jednak żaden inny mąż nie mógł chyba cieszyć się miłszą i czulszą żoną. Nigdy nie była zbyt zmęczona i nigdy nie czuła się aż tak niezdrowa, by mu odmówić pieszczot, nigdy też nie miała zastrzeżeń do jego wymagań erotycznych. Oczywiście w takich sytuacjach nie widział wyrazu jej oczu, więc skąd miał wiedzieć, że nie dzieli z sobą nawet odrobiny rozkoszy. Ktoś wrażliwszy od niego i bystrzejszy wypatrzyłby to, ale Cepion Młodszy wołał winić za wszystko swoją wyobraźnię, nie rozumiejąc, że mu tej wyobraźni brak. Miał dość rozumu, by wiedzieć, że coś od początku źle idzie, ale nie był dość bystry, by wyciągnąć właściwe wnioski. Nigdy oczywiście nie dotarło do niego, że ona go nie kocha, chociaż przed ślubem był pewny, że nie jest lubiany. Tamto jednak musiało być wytworem wyobraźni. Nie mogła go nie lubić, bo okazała się wzorową rzymską żoną, a skoro tak - musiała go kochać.

Swoją córeczkę Serwilię traktował raczej jak przedmiot niż jak istotę ludzką, rozczarowany, że los nie dał mu syna. Usiadł teraz, a Liwia Druza podała dziecko macedońskiej niańce.

- Czy wiesz, że twój brat głosował w wyborach na Mariusza? - spytał.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie. Jesteś tego pewny?

- Sam to dziś mówił Kwintusowi Cecyliuszowi. Byłem przy tym. Marudził coś o udziale w bitwie pod Arauzjoną. Ach, jakże bym chciał, by wrogowie mego ojca pozwolili tej sprawie umrzeć naturalną śmiercią!

- Trzeba na to czasu, Kwintusie Serwiliuszu.

- Jest coraz gorzej - powiedział z przygnębieniem.

- Zostaniesz na obiedzie?

- Nie. właśnie wychodzę. Zjem coś u Lucjusza Licyniusza Oratora. Marek Liwiusz będzie tam również.

- Ach, tak - powiedziała głucho.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej. Zapomniałem. Nie masz nic przeciw temu?

- Oczywiście, że nie - odrzekła bezbarwnym tonem.

Oczywiście miała coś przeciw temu. Nie dlatego, że tęskniła za towarzysztwem męża, ale dlatego, że chwila zastanowienia z jego strony przyniosłaby oszczędność pieniędzy i pracy kucharzy. Mieszkali z Cepionem ojcem, który stale narzekał na zbyt wysokie wydatki na dom i stale obwinał Liwie Druzę o zaniedbywanie obowiązków pani domu. Podobnie jak syn nigdy nie pomyślał o uprzedzeniu jej o swoich planach. Musiała co dzień przygotowywać wystawny obiad, nawet jeśli żaden z nich go nie jadł. Obiad wracał prawie nie tknięty do kuchni i tam znikał w brzuchach zachwyconych niewolników.

- *Domina*, czy mam zabrać dziecko? - spytała macedońska dziewczyna.

- Tak. - Liwia Druza wyrwana z zamyślenia skinęła głową, nawet nie spojrzawszy na dziecko. Karmienie piersią nie wynikało z troski o zdrowie małej Serwili. Wiedziała po prostu, że dopóki karmi dziecko, nie zajdzie ponownie w ciążę.

Nie zależało jej zbyt wiele na Serwili. Za każdym razem, gdy patrzyła na małą, widziała w niej kopię ojca - krótkie nóżki, niepokojąco ciemną cerę, gęste ciemne włoski na rączkach i nóżkach i zwierzęcą grzywę czarnych włosów opadających na oczy i na kark. W oczach Liwii Druzy Serwilia nie miała żadnych zalet. Nie starała się nawet zauważyć tych, które bynajmniej nie zasługiwały na wzdanie: wielkie czarne oczy obiecywały nie lada urodę w przyszłości, a usteczka niczym pączek róży, milczące i tajemnicze, były kolejnym zwiastunem piękności.

Osiemnaście miesięcy małżeństwa nie pogodziło Liwii Druzy z jej losem, chociaż nie sprzeciwiała się rozkazom brata, a jej zachowanie było bez zarzutu. Zachowywała się nienagannie nawet podczas częstych miłosnych zbliżeń z Cepionem Młodszym. Na szczęście jej wysokie urodzenie i jej status wykluczały płomiennie reakcje. Cepion Młodszy byłby przerażony, gdyby jęczała z rozkoszy albo wiła się w łóżku niczym jakaś kochanka. Robiła, co do niej należało, w sposób, jaki nakazywał jej kobiecy instynkt. Leżała na grzbiecie, nie poruszając biodrami, z odpowiednią dozą ciepła i skromności. Ach, jakie to było trudne! Trudniejsze niż wszystko inne, bo gdy mąż jej dotykał, miała ochotę wrzeszczeć, że ją gwałci, i zbierało się jej na wymioty.

Nie czuła litości dla Cepiona Młodszego, który w istocie nie zrobił niczego, co usprawiedliwiłoby tę jej gwałtowną niechęć. Mąż i brat stopili się w jej umyśle w nierozdzieloną groźną osobowość, która mogła narzucić jej daleko gorsze warunki. Okropnie się ich bojąc, żyła z dnia na dzień, pewna, że umrze, nie wiedząc, co to znaczy żyć.

Najgorsze było odcięcie od świata. Dom Serwiliusza Cepiona stał na Palatynie po stronie Circus Maximus, naprzeciw Awentynu. Pod nim nie było już żadnych domów, jedynie strome skalne urwisko. Nie było szans na wystawanie na loggii Druzusa i wypatrywanie na balkonie domu poniżej rudowłosego Odysa.

Cepion ojciec był wyjątkowo nieprzyjemnym człowiekiem i z czasem

robił się coraz mniej przyjemny. Nie miał żony, której obecność byłaby wielką ulgą dla Liwii Druzy. Był jej tak obcy, a stosunki z jego synem były tak chłodne, że nie zdobyła się na odwagę, by spytać kogoś z nich o żonę i matkę. Oczywiście nastrój Cepiona ojca był wystawiony na coraz cięższe próby, z powodu jego wkładu w katastrofę pod Arauzjoną. Najpierw pozbawiony został swego imperium. Potem trybun ludowy Lucjusz Kasjusz Longinus przeprowadził ustawę pozbawiająca go miejsca w senacie, a nie było miesiąca bez próby zgromadzenia tłumu oskarżającego go o zdradę stanu. Pozostawał właściwie w areszcie domowym, w którym trzymała go zarówno nienawiść ludu, jak i instynkt samozachowawczy. Czas mijał mu na nadzorowaniu Liwii Druzy - i bezlitosnym jej krytykowaniu.

Ona też nie poprawiała swego położenia, robiąc różne głupstwa. Któregoś dnia teść wprawił ją w taki gniew, że wyszła na środek ogrodu-perystylu, gdzie nikt jej nie mógł podsłuchać, i zaczęła mówić do siebie samej. Niewolnice zaczęły zbierać się pod kolumnadą i szeptać, omawiając jej poczynania, a Cepion ojciec wypadł ze swej pracowni czerwony na twarzy.

Z wściekłą miną podszedł do niej ścieżką.

- Co ty wyrabiasz, dziewczyno?

Otworzyła szeroko wielkie czarne oczy.

- Recytuję pieśń o królu Odysie.

- Przestań! - parsknął. - Robisz z siebie widowisko! Służące mówią, że postradałaś zmysły! Jeśli musisz recytować Homera, rób to tak, żeby można było usłyszeć, że to Homer. Chociaż, czemu miałabyś mnie dręczyć?

- To dla zabicia czasu - wyjaśniła.

- Są lepsze sposoby zabijania czasu, dziewczyno! Masz przecież swoje krosna, możesz śpiewać piosenki dziecku czy robić coś, co robią inne kobiety. Zrób to, rusz się!

- Nie wiem, co robią inne kobiety, ojczy - odparła. - Co takiego robią?

- Doprowadzają mężczyzn do szału!

Wrócił do swego tablinum i trzasnął drzwiami.

Potem posunęła się jeszcze dalej, poszła bowiem za radą teścia i zasiadła do krosien. Kłopot był tylko z tym, że zaczęła tkać całą serię żałobnych strojów. Rozmawiała przy tym w głos z wyimaginowanym królem Odyssem. Narzekała, że od lat go nie ma w domu, ona zaś tka te żałobne stroje, by oddalić dzień, w którym będzie musiała wybrać sobie nowego męża. Często przerywała ten monolog i siedziała z przechyloną głową, jakby słuchała czyjegoś głosu.

Tym razem Cepion ojciec wysłał syna, by dowiedział się, o co tu chodzi.

- Tkam swoją żałobną szatę - odpowiedziała chłodnym tonem - i zastanawiam się, kiedy król Odys przybędzie mi na ratunek. Bo pewnego dnia przybędzie, musisz wiedzieć.

Cepion Młodszy rozdziawił usta.

- Na ratunek? O czym ty mówisz, Liwio?

- Nigdy jeszcze nie wyszłam za próg tego domu!

Uniósł ręce w górę z okrzykiem zaskoczenia.

- A cóż cię powstrzymuje, na Junonę?!

Teraz ona zrobiła głupią minę.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

- Chcesz pieniędzy? Dam ci pieniądze! Przestań tylko martwić mego ojca! Idź, gdzie chcesz, i kupuj, co chcesz!

Uśmiechnęła się, podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję. - Była mu tak wdzięczna, że nawet go uścisnęła.

A więc to było tak proste! Lata przymusowego odosobnienia odeszły w przeszłość. Liwia Druza aż dotąd nie uświadamiała sobie, że wraz z jej przejściem spod władzy brata pod władzę męża i teścia pewne zasady się zmieniły.



Kiedy Lucjusz Apulejusz Saturninus został wybrany na trybuna ludowego, jego wdzięczność dla Gajusza Mariusza nie miała granic. Teraz mógł się bronić! Wkrótce odkrył, że ma sprzymierzeńców, bo jeden z trybunów ludowych był klientem Mariusza z Etrurii. Był to niejaki Gajusz Norbanus, dość bogaty, ale bez wpływów w senacie, bo nie miał senatorów w rodzinie. Był jeszcze Marek Bebiusz z klanu Bebiuszów-trybunów, słynących z brania łapówek. Tego można było kupić w razie konieczności.

Niestety, drugi koniec ławki zajmowali trzej skrajnie konserwatywni oponenti. Na skraju siedział Lucjusz Aureliusz Kotta, syn nieżyjącego konsula, bratanek eks-pretora Marka Kotty i brat przyrodni Aurelii, żony młodego Gajusza Juliusza Cezara. Obok niego siedział Lucjusz Antystiusz Reginus z szanowanej, lecz nie wyróżniającej się rodziny, o którym mówiono, że jest klientem męża konsularnego Cepiona, spadała więc na niego część odium. Trzeci był Tytus Didiusz, kompetentny i spokojny człowiek, którego rodzina pochodziła z Kampanii, a który zdobył sobie opinię dobrego żołnierza.

Ci w środku ławy byli raczej nijacy i uważali, że ich głównym zadaniem jest powstrzymywanie jej przeciwnych krańców przed porozdzieraniem sobie gardeł. Nie było bowiem miłości między tymi, o których Skaurus mówił jako o demagogach, a tymi, których chwalił, bo pamiętali, że najpierw byli senatorami, a potem dopiero trybunami ludowymi.

Saturninus nie przejmował się tym wcale. Kiedy wszedł do kolegium jako zwycięzca w wyborach, z Gajuszem Norbanusem tuż za sobą, konserwatyści musieli zrozumieć, że lud nadal darzył względami Mariusza - a Mariusz uznał, że warto kupić dla nich głosy. Saturninus i Norbanus musieli działać szybko, bo zainteresowanie Zgromadzenia Plebejskiego spadało gwałtownie po jakichś trzech miesiącach, po części dlatego, że lud był już znudzony, a po części dlatego, że żaden trybun nie mógł utrzymać prowadzenia dłużej niż przez trzy miesiące. Trybunowie z lewicy wyczerpywali się wcześniej, niczym zając Ezopa, gdy stare żółwie senatorskie pełżyły miarowo do mety.

- Zobaczą tylko pył, jaki się za mną podniesie - mówił Saturninus do Glaucji, gdy zbliżał się dziesiąty grudnia, dzień, w którym nowe kolegium

zaczynało urzędowanie.

- Co najpierw? - spytał leniwie Glaucja. Drażniło go trochę to, że choć był starszy od Saturnina, nie miał dotąd okazji ubiegać się o wybór na trybuna ludowego.

Saturninus wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

- Mój przyjaciel i dobrodziej, Gajusz Mariusz, potrzebuje małej ustawy rolnej.

Zaplanowawszy to starannie i wygłosiwszy piękną mowę, Saturninus przedłożył do omówienia ustawę o podziale *ager Africanus insularum*, zastrzeżonego przed rokiem przez Lucjusza Marcjusza Filipa do dyspozycji państwa. Grunt ten miał zostać rozdzielony między Policzonych Głowami żołnierzy Gajusza Mariusza po zakończeniu przez nich służby w legionach, po sto jugerów dla każdego. Ależ mu się to podobało! Ryk radości od strony ludu, wycie oburzenia senatu, ta pięść, którą podniósł Lucjusz Kotta, i ta piękna i stanowcza mowa Gajusza Norbanusa popierająca jego wystąpienie.

- Nie miałem pojęcia, jak interesujący może być trybunat ludowy - mówił przy obiedzie w domu Glaucji po zakończeniu zebrania *contio*.

- Zepchnąłeś naszych wielkich polityków do defensywy. - Glaucja uśmiechnął się na wspomnienie tego. - Myślałem, że Metellus Numidyjski dostanie udaru!

- Szkoda, że nie dostał. - Saturninus odchylił się w tył, wzdychając z zadowolenia i w zamyśleniu błędząc wzrokiem po okopconym dymem z lamp i piecyków suficie, który gwałtownie domagał się malowania. - Dziwne, jak to na nich działa, nieprawdaż? Wystarczy wymówić słowa „ustawa rolna”, a już sięgają po broń, wrzeszcząc o braciach Grakchach. Przeraza ich myśl o dawaniu czegoś za nic ludziom, którzy do niczego sami nie doszli. Nawet Policzeni Głowami nie są za tym, by dawać coś za darmo!

- No cóż, to naprawdę coś całkiem nowego dla wszystkich prawomyślnych Rzymian.

- A kiedy już mieli to za sobą, zaczęli rozwódzić się nad wielkością tych działek, dziesięć razy większych od małych gospodarstw w Kampanii. Można by pomyśleć, że nie wiedzą, o ile żyzniejsza jest ziemia w Kampanii od ziemi na wyspach w Małej Syrcie i o ile więcej pada tu deszczu.

- Tak, ale w tej debacie chodzi przecież o tysiące nowych klientów Gajusza Mariusza - zauważył Glaucja.

- W tym sęk! Każdy zwolniony weteran z armii Policzonych Głowami jest potencjalnym klientem swego wodza - zwłaszcza że to jego wódz zadał sobie trud zapewnienia mu kawałka ziemi na stare lata. Jest mu zobowiązany. Nie widzi, że to państwo jest jego prawdziwym dobroczyńcą, bo państwo musiało znaleźć tę ziemię. On dziękuje wodzowi. Dziękuje Gajuszowi Mariuszowi. To właśnie każe sięgąć po broń naszym wielkim politykom.

- Zgoda. Ale walka nie jest rozwiązaniem, Gajuszu Serwiliuszu. Rozwiązaniem będzie prawo zapewniające wszystkim armiom Policzonych

Głowami po wszystkie czasy dziesięć jugerów dobrej ziemi dla każdego, kto odsłuży w legionach, powiedzmy, piętnaście lat. Może nawet dwadzieścia. Nieważne, pod ilu wodzami będzie służył i w ilu osobnych kampaniach.

Glaucja śmiał się szczerze rozbawiony.

- To brzmi zbyt rozsądnie, Lucjuszu Apulejuszu! Pomyśl o tych wszystkich ekwitach, którym nie spodoba się to prawo. Będzie mniej ziemi do dzierżawienia - że nie wspomnę o senatorach - właścicielach ziemskich!

- Tak by było, gdyby chodziło o ziemię w Italii, a nie o wyspy przy wybrzeżu Afryki. Pytam cię, Gajuszu Serwiliuszu, jaki pożytek mogą z nich mieć te psy strzegące swych cuchnących starych kości? W porównaniu z milionami jugerów, które Gajusz Mariusz rozdał w imieniu Rzymu nad Ubusem i Chelifem, i wokół jeziora Tritonis - i to tym właśnie ludziom, którzy podnoszą wrzask - to po prostu ochłap!

Glaucja podniósł w górę szarozielone oczy, upadł na wznak, trzepocąc dłońmi jak przewrócony zółw, i znowu zaczął się śmiać.

- Najbardziej podobała mi się przemowa Skaurusa. On jest bystry. Reszta niewiele znaczy, jeśli nie liczyć ich wpływów.

Podniósł głowę, spoglądając na Saturnina, i spytał:

- Czy jesteś przygotowany na jutrzejszy dzień w senacie?

- Myślę, że tak. - Saturninus był rozradowany. - Lucjusz Apulejusz wraca do senatu! Tym razem nie usuną mnie przed końcem kadencji. Do tego trzeba trzydziestu pięciu *tribus*, a to im się nie uda. Czy im się to podoba, czy nie, wejdę w ich uświęcone wrota. Będę zły jak osa - i tak samo dokuczliwy.

Wszedł do senatu, jakby był jego właścicielem, skłonił się przed princepssem senatu Skaurusem i pozdrowił szerokim gestem obie strony kurii, prawie pełnej, co było niewątpliwą oznaką nadciągającej bitwy. Skaurus uznał, że jej wynik niewiele znaczy, bo nie Kuria Hostylia będzie areną, na której rozstrzygnie się spór, tylko niecka komicjów. Był to dzień śmiałego wyjścia na scenę. Zniesławiony kwestor zbożowy przeobraził się w trybuna ludowego, sprawiając gorzką niespodziankę wielkim politykom.

Wobec ojców spisanych z senatu przyjął nową taktykę, którą zamierzał stosować później na Zgromadzeniu Plebejskim. To miał być próbny wyścig.

- Rzymska strefa wpływów od dawna nie ogranicza się do Italii. Wiemy wszyscy, ile kłopotu sprawił Rzymowi król Jugurta. Jesteśmy wszyscy dozgonnie wdzięczni naszemu szanownemu starszemu konsulowi Gajuszowi Mariuszowi za tak świetne - i tak ostateczne - zakończenie wojny w Afryce. Jak jednak mielibyśmy zapewnić pokoleniom, które przyjdą po nas, bezpieczeństwo naszych prowincji i możliwość cieszenia się owocami pokoju? Zgodnie z naszą tradycją pozwalamy nierzymskim ludom, które żyją w naszych prowincjach, wyznawać swoje religie, handlować po swojemu i prowadzić własną politykę, jeżeli nie przeszkadza to ani nie zagraża Rzymowi. Ubocznym skutkiem tego jest, niestety, niewiedza. Żadna z naszych prowincji odleglejszych niż Sycylia i Galia Italska

nie zna Rzymu na tyle, by przedłożyć współpracę z nim ponad opór. Gdyby lud Numidii znał nas lepiej, Jugurta nie pociągnąłby go za sobą. Gdyby lud Mauretanii znał nas lepiej, Jugurta nie namówiłby króla Bokchusa do pójścia za sobą.

Odchrząknął. Kuria dobrze przyjęła początek, ale nie zbliżył się jeszcze do konkluzji.

- Co mnie przywodzi do sprawy *ager Africanus insularum*. Te wyspy mają niewielkie znaczenie strategiczne. Ich rozmiary też są skromne. Nikt z nas w tej kurii nie będzie ich żałował. Nie ma tam złota, srebra, żelaza ani korzeni. Nie mogą się równać z żyznymi ziemiami nad rzeką Bagradas, gdzie kilku członków tej kurii i wielu ekwitów z pierwszej klasy ma posiadłości. Czemu więc nie oddać ich Policzonym Głowami żołnierzom Gajusza Mariusza po ich zwolnieniu ze służby? Czy naprawdę chcemy, żeby czterdzieści tysięcy Policzonych Głowami weteranów zapełniało tawerny i zaułki Rzymu? Będą bez zajęcia, bez celu, bez grosza przy duszy, kiedy już wydadzą swe skromne udziały w łupach. Czy nie byłoby lepiej dla nich - i dla Rzymu, gdyby osiedli na *ager Africanus insularum*? Istnieje bowiem, ojcowie spisani, zadanie, które mogą oni wykonać po zwolnieniu ze służby. Mogą przenieść Rzym do prowincji Afryki! Dzięki tym dzielnym i ochoczym żołnierzom rzymskim ludy prowincji Afryki lepiej rozumieją Rzym, bo ci dzielni i ochoczy żołnierze są zwyczajni - nie są bogatsi ani bystrzejsi, ani bardziej uprzywilejowani niż krajowcy, z którymi przemieszają się w codziennym życiu. Niektórzy pożenią się z tamtejszymi dziewczętami. Wszyscy się pobratają. Wynikiem tego będzie pokój zamiast wojny.

Zostało to powiedziane przekonująco, rozsądnie, bez nadmiernie złożonych zdań i gestów w stylu azjatyckim. Rozgrzewając się w miarę mówienia, Saturninus uwierzył, że przekonał zakute głowy tego elitarnego grona do wizji, ku której tacy jak Gajusz Mariusz - i on sam - prowadzili swój ukochany Rzym. Gdy jednak wracał na swój koniec ławki trybunów, nie wyczuwał w ich milczeniu niczego, co potwierdzałoby to przekonanie. Zdał sobie sprawę, że czekali. Czekali, aż któryś z wielkich polityków wskaże im drogę. Barany, stado bezmózgich, spowitych w wełnę baranów.

- Czy mogę? - spytał Lucjusz Cecyliusz Metellus Dalmatyński Pontifex Maximus, przewodniczącego, którym był młodszy konsul Gajusz Flawiusz Fimbria.

- Masz głos, Lucjuszu Cecyliuszu - powiedział Fimbria.

Zabrał głos, a jego ukrywany do tej pory gniew wyrwał się spod kontroli niczym płomień buchający z hubki.

- Rzym jest jedyny! - ryknął tak głośno, że słuchacze podskoczyli. - Jak śmie Rzymianin wyniesiony do członkostwa w tej kurii przedstawiać tu program przemienienia reszty świata w naśladownictwo Rzymu?!

Zwyczajna u Dalmatyńskiego poza powściągliwej wyższości nagle gdzieś znikła. Nadał się, posiniał, żyły na różowych policzkach przestały się różnić kolorem od policzków. Przy tym dygotał z gniewu prawie tak szybko, jak biją skrzydła ćmy. Wszyscy obecni w kurii, aż do ostatniego, pochylili się, zafascynowani i wylęknieni, słuchając takiego

Dalmatyńskiego, o jakiego istnieniu nie mieli dotąd pojęcia.

- Otóż, ojcowie spisani, wszyscy znamy tego Rzymianina - ryczał. - Lucjusz Apulejusz Saturninus jest złodziejem, wyzyskiwaczem spekulującym na braku zboża, zniewieściałym deprawatorem małych chłopców, kukłą poruszaną przez arpińskiego kukielkarza z Galii Zaalpejskiej. Jest karaluchem z najgorszych rynsztoków Rzymu, stręczycielem molestującym własną siostrę i córkę, pornografem, kreaturą znaną wszystkim *verpa* w tym mieście! Co on wie o Rzymie? Co wie o Rzymie jego kukielkarz, ten wieśniak z Arpinum? Rzym jest jedyny! Rzym nie może być rzucony światu niczym łajno do kanałów ściekowych, niczym plwociny do rynsztoków! Czy mamy ścierpieć zepsucie naszej rasy w mieszanych związkach z kobietami z pół setki narodów? Czy nasze rzymskie uszy mają być w przyszłości obrażane w dalekich od Rzymu stronach dźwiękiem skażonej łaciny? Niech mówią po grecku, powiadam! Niech ubóstwiają Serapisa z Moszny albo Astarte z Odbytu! Co to nas obchodzi? Czy mamy jednak oddać im Kwiryra? Kim są Kwiryrci, dzieci Kwiryra? To my! Kimże jest bowiem Kwiryra? Wiedzą to tylko Rzymianie! Kwiryra jest duchem obywatelstwa rzymskiego. Kwiryra jest bogiem zgromadzenia mężów rzymskich. Kwiryra jest bogiem niepokonanym, bo Rzym jest niepokonany - i nigdy nie będzie pokonany, o bracia Kwiryrci!

Cała kuria zatrzęsała się od okrzyków. Podczas gdy Pontifex Maximus Dalmatyński włókł się do stołka i prawie nań upadł, ludzie płakali, tupali nogami, klaskali, póki ręce im nie zdrętwiały, i rzucali się sobie w objęcia, a łzy ciekły im po twarzach.

Taka ilość nie hamowanych uczuć ulotniła się jednak niczym morska piana na bazaltowych skałach, a kiedy łzy obeschły i ustało drżenie ciał, mężowie z rzymskiego senatu ujrzeni, że nie mają już nic do roboty, i powlekli się do domu na ołowianych nogach, by raz jeszcze przeżywać w snach tę magiczną chwilę, gdy oglądali wizję Kwiryra bez twarzy, powstającego, by nakryć świetlistą togą swych wiernych i oddanych synów.

Kuria była prawie pusta, gdy Krassus Orator, Kwintus Mucjusz Scewola, Metellus Numidyjski, Katullus Cezar i Skaurus princeps senatu ochłonęli na tyle, by przerwać rozmowę i pomyśleć o udaniu się śladem innych. Lucjusz Cecyliusz Metellus Dalmatyński Pontifex Maximus siedział wciąż na swoim stołku wyprostowany, z rękami na podolku niczym dobrze wychowana dziewczyna. Głowa mu opadła, podbródek oparł się na piersi, a pasma rzednących siwych włosów powiewały w podmuchu od otwartych drzwi.

- Bracie, to była najwspanialsza mowa, jaką słyszałem w życiu! - wykrzyknął Metellus Numidyjski, wyciągając dłoń, by uścisnąć ramię Dalmatyńskiego.

Dalmatyński siedział jednak bez ruchu i wtedy dopiero spostrzegli, że nie żyje.

- Tak być powinno - powiedział Krassus Orator. - Umarłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, że na progu śmierci wygłosiłem swoją najlepszą mowę.

Ani jednak mowa Pontifexa Maximusa Metellusa Dalmatyńskiego, ani zgon Pontifexa Maximusa Metellusa Dalmatyńskiego, ani gniew senatu nie powstrzymały Zgromadzenia Plebejskiego przed przekształceniem projektu ustawy rolnej Saturnina w prawo. Kariera zaś trybuna Lucjusza Apulejusza Saturnina nie zaczęła się od głośnego sukcesu i stanowiła osobliwą mieszaninę niesławy i schlebiana ludowi.

- Uwielbiam to - mówił Saturninus do Glaucji późnym popołudniem po obiedzie w domu Glaucji, w dniu, w którym *lex Appuleia* stało się prawem. Często jadali razem i zwykle w domu Glaucji. Żona Saturnina nie doszła jeszcze do siebie po okropnych wydarzeniach spowodowanych oskarżeniem Saturnina przez Skaurusa. - Tak, uwielbiam to! Pomyśl tylko, Gajuszu Serwiliuszu: moja kariera wyglądałaby całkiem inaczej, gdyby nie ten stary *mentula* Skaurus.

- Rostra to odpowiednie dla ciebie miejsce, zgoda - przyznał Glaucja, zajadając ciepłarniane winogrona. - Może więc mimo wszystko istnieje coś, co kształtuje nasze losy.

- Ach, masz na myśli Kwiryna!

- Możesz sobie drwić, jeśli masz ochotę. Ja uważam, że życie to bardzo dziwna rzecz. Więcej w nim porządku i mniej przypadkowości niż jest ich w grze w kottabos.

- Cóż to, żadnych nawiązań do stoików albo Epikura, Gajuszu Serwiliuszu? Ani fatalizmu, ani hedonizmu? Musisz uważać, bo możesz zawieść tych wszystkich greckich ponuraków, którzy głoszą, że my Rzymianie nigdy nie stworzymy filozofii, która nie byłaby pożyczona od nich - zaśmiał się Saturninus.

- Grecy są, Rzymianie działają. Wybieraj! Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto zdołałby połączyć te dwa stany. My, Grecy i Rzymianie, stanowimy przeciwległe końce układu pokarmowego. Rzymianie to usta, Grecy odbył. Nie chcę przy tym uwłaczać Grekom - to po prostu figura retoryczna - mówił Glaucja, podkreślając swe oświadczenie wrzucaniem winogron w rzymski koniec układu pokarmowego.

- Skoro żaden z tych końców nie poradzi sobie bez drugiego, lepiej trzymajmy się razem.

Glaucja wyszczerzył zęby.

- Tak mówi Rzymianin!

- Od początku do końca, mimo że Metellus Dalmatyński nie uważa mnie za Rzymianina. Cóż to za traf, że ten stary *fellator* umarł tak bardzo w porę! Gdyby wielcy politycy mieli więcej inicjatywy, mogliby brać z niego przykład. Metellus Dalmatyński - nowy Kwirynus!

Saturninus z wprawą wytrząsnął ostatnie krople wina ze swego puchara na pusty półmisek. Należało policzyć ramiona rozprysku.

- Trzy - powiedział i zadrżał. - To oznacza śmierć.

- I gdzie się podział nasz sceptyk? - zakpił Glaucja.

- Cóż, zaledwie trzy - to rzadki wynik.

Glaucja splunął z wprawą, niszcząc kształt rozprysku trzema winogronowymi pestkami.

- Proszę! Trzy razy trzy!

- Za trzy lata będziemy obaj martwi - rzekł Saturninus.

- Lucjusz Apulejusz, jesteś błądliwym Lucjusz Korneliusz Sulla, tyle że ty - bez powodu. Daj spokój, to tylko gra w kottabos! - i Glaucja zmienił temat. - Zgadza się, że życie spędzane na rostrach jest znacznie bardziej emocjonujące niż życie pupila wielkich polityków. To wielka próba sił: posługiwanie się ludem. Wodzowie mają swoje legiony. Demagog ma tylko swój ostry język - parsknął śmiechem. - Czy nie było ci przyjemnie patrzeć dziś rano, jak tłum przegnał z Forum Marka Bebiusza, kiedy chciał zgłosić swoje weto?

- Taki widok może uleczyć chore oczy - uśmiechnął się szeroko Saturninus, a to wspomnienie zatarło pamięć o palcach losu: trzech, czy też trzydziestu trzech.

- Przy okazji - Glaucja ponownie zmienił temat - czy słyszałeś ostatnią plotkę z Forum?

- O tym, że Kwintus Serwiliusz Cepion ukradł tolosańskie złoto?

Glaucja zrobił rozczarowaną minę.

- Niech cię Dis porwie! Myślałem, że będę pierwszy!

- Dostałem list od Maniusza Akwiliusza - wyjaśnił Saturninus. - Kiedy Mariusz jest zajęty, Akwiliusz pisze do mnie zamiast niego. Nie narzekam, bo pisze listy daleko lepiej niż Wielki Człowiek.

- Z Galii Zaalpejskiej? Skąd to wiedzą?

- Tam powstała ta plotka. Gajusz Mariusz wziął do niewoli króla Tolosy, ni mniej, ni więcej. Tamten zaś twierdzi, że Cepion ukradł to złoto - całe piętnaście tysięcy talentów.

Glaucja gwizdnął z podziwem.

- Piętnaście tysięcy talentów! Rozum może się pomieszać. To trochę za wiele! Każdy wie, że namiestnik ma prawo mieć uboczne dochody, ale to więcej złota, niż ma go skarb państwa! Nieco przesadził!

- To prawda. Ta plotka zrobi dobrą robotę Gajuszowi Norbanusowi, kiedy wytoczy sprawę Cepionowi. Ta historia obleci miasto w krótszym czasie, niż go trzeba Metelli Kalwie, by zdjąć szaty przed bandą chutliwych marynarzy.

- Podoba mi się ta metafora - powiedział Glaucja. I nagle stał się bardzo energiczny. - Dość tego gadania. Mamy robotę przy projektach ustaw o zdradzie stanu. Nie możemy sobie pozwolić na przeoczenie czegoś.

Praca Saturnina i Glaucji nad tymi projektami ustaw była starannie zaplanowana i skoordynowana zgodnie z zasadami strategii wojskowej. Zamierzali wyłączyć procesy o zdradę stanu z kompetencji centuriów z ich nieprawdopodobnymi ciągami ślepych uliczek i obstrukcji prawnych, a potem odebrać kontrolę senatowi i oddać sądownictwo w procesach o zdradę stanu trybunałom złożonym wyłącznie z ekwitów.

- Najpierw musimy dopilnować, żeby Norbanus postawił Cepiona przed Zgromadzeniem Plebejskim pod jakimś dopuszczalnym zarzutem - byle nie było to oskarżenie o zdradę stanu. Teraz da się to zrobić, gdy opinia jest przeciw Cepionowi w związku z kradzieżą złota - mówił Saturninus.

Glaucja miał wątpliwości.

- Nasz w gorącej wodzie kąpany przyjaciel Ahenobarbus próbował tego,

oskarżając Sylana o bezprawne wywołanie wojny z Germanami - nie było mowy o zdradzie stanu! Zgromadzenie Plebejskie odrzuciło jednak oskarżenie. Rzecz w tym, że nikt nie lubi procesów o zdradę stanu.

- Musimy nad tym popracować. Żeby w Centuriach zapadł wyrok skazujący, oskarżony musiałby sam przyznać, że działał z rozmysłem na szkodę swego kraju. Nikt nie jest aż taki głupi. Gajusz Mariusz ma rację. Musimy podciąć skrzydła wielkim politykom, dając im do zrozumienia, że nie są ponad prawem. Możemy zaś tego dokonać tylko w gronie ludzi, którzy sami nie są senatorami.

- A dlaczego nie przeprowadzić od razu nowej ustawy o zdradzie stanu, a potem sądzić Cepiona przed specjalnym trybunałem? - spytał Glaucja. - Wiem, że senatorowie będą kwiczeć jak zarzynane świnie - ale czy tak nie jest zawsze?

Saturninus skrzywił się.

- Chyba nam jeszcze życie miłe? Nawet gdyby miało trwać tylko trzy lata - lepsze to, niż umrzeć pojutrze!

- Ty i twoje trzy lata!

- Posłuchaj - nie dawał za wygraną Saturninus. - Jeśli rzeczywiście postawimy Cepiona przed Zgromadzeniem Plebejskim, senat zrozumie w lot, co mu chcemy dać do zrozumienia - że lud ma dość senatorów chroniących innych senatorów przed karą. Że prawo jest jedno, dla senatorów i dla wszystkich innych. Czas, żeby lud się obudził, ja zaś jestem tym chłopcem, który narobi huku. Od początku tej Republiki senat wmawia ludowi, że senatorowie są lepszym gatunkiem Rzymian i że mają prawo mówić i robić, co im się podoba. Głosujcie na Lucjusza Schlanego Kota - jego rodzina dała Rzymowi pierwszego konsula! Czy to ważne, że Lucjusz Schlany Kot jest samolubnym i zachłannym dyletantem? Nie! Ma nazwisko i rodzinną tradycję sprawowania urzędów publicznych. Bracia Grakhowie mieli słuszość. Zabierzemy sądownictwo kohorcie Lucjusza Schlanego Kota i oddamy je ekwitom!

Glaucja miał zamyśloną minę.

- Coś mi właśnie przyszło na myśl. Nasz lud to ludzie wykształceni i odpowiedzialni, podpory rzymskiej tradycji. Co jednak będzie, jeśli któregoś dnia ktoś zacznie mówić o Policzonych Głowami w taki sam sposób, w jaki ty mówisz dziś o ludzie.

Saturninus zaśmiał się.

- Policzeni Głowami są szczęśliwi, póki mają pełne brzuchy, a edylowie urządzają wystawne igrzyska. Prędzej Forum Romanum zmieni się w Circus Maximus, niż Policzeni Głowami zaczną myśleć o polityce.

- Tej zimy nie będą mieli tak pełnych brzuchów jak zwykle - zauważył Glaucja.

- Ale wystarczająco - dzięki szanownemu przywódcy kurii Skaurusowi. Czy wiesz, że wcale mi nie żal Numidyjskiego i Katullusa Cezara, których nie przekonaliśmy do naszych poglądów, ale nie mogli odżalować, że nie przekonaliśmy Skaurusa.

- Nie masz za złe Skaurusowi, że cię wyrzucił z kurii?

- Nie. Zrobił to, co uważał za słuszne. Pewnego dnia dowiem się jednak,

kim są prawdziwi winowajcy, a wtedy niech będą zadowoleni, jeśli wywiną się z tego jak Edyp!

Na początku stycznia trybun ludowy Gajusz Norbanus postawił Kwintusa Serwiliusza Cepiona przed Zgromadzeniem Plebejskim, oskarżając go o „utrata armii”.

Od samego początku zagrały uczucia, bo cały lud bez wyjątku był przeciwny wywyższaniu się senatu, a senat wysłał wszystkich swych plebejuszy do walki o Cepiona. Na długo przed wezwaniem do głosowania doszło do aktów przemocy i polala się krew. Trybunowie ludowi Tytus Didiusz i Lucjusz Aureliusz Kotta wystąpili, by zawetować całą procedurę i zostali ściągnięci z rostrów przez rozwścieczony tłum. Kamienie zaczęły latać, a pałki thuc o żebra. Didiusza i Kottę wyniesiono z niecki komicjów. Tłum wepchnął ich w Argiletum i tam przytrzymał. Choć poturbowani i w sińcach, próbowali wykrzyknąć swoje weto przed morzem rozgniewanych twarzy, ale byli wciąż na nowo zakrzykiwani.

Plotka o tolosańskim złocie przechyliła szalę na niekorzyść Cepiona i senatu. Całe miasto, od Policzonych Głowami aż do pierwszej klasy, okrzyknęło Cepiona złodziejem i zdrajcą. Ludzie - nawet kobiety - którzy nigdy nie interesowali się wydarzeniami na Forum, przyszli oglądać Cepiona jako łotra na niewyobrażalną skalę. Zastanawiano się, jak wysoka musiałaby być ta góra złotych sztab i ile by ważyła. Nienawiść była powszechna, bo nikt nie lubi patrzeć, jak jednostka zabiera pieniądze uznane za własność ogółu, zwłaszcza tak wielkie pieniądze.

Norbanus zdecydowanie prowadził rozprawę, nie zważając na zamieszanie, sprzeczki i chaos powstający, gdy stali członkowie Zgromadzenia odpychali tłumy, które przyszły tylko po to, by zobaczyć i skłać Cepiona stojącego na rostrach pod ochroną liktorów. Senatorowie z patrycjatu, którzy nie mogli uczestniczyć w Zgromadzeniu Plebejskim, tłoczyli się na schodach Kurii Hostyliusza, wykrzykując wyzwiska pod adresem Norbanusa, póki jakiś odłam tłumu nie zaczął rzucać w nich kamieniami. Skaurus upadł i leżał bez ruchu z krwawiącą raną na głowie. Nie powstrzymało to Norbanusa, który ciągnął rozprawę, nie zastanawiając się, czy princeps senatu jest martwy czy tylko nieprzytomny.

Głosowanie poszło bardzo szybko. Pierwszych osiemnaście z trzydziestu pięciu *tribus* uznało Cepiona za winnego, co oznaczało, że pozostałe nie będą wezwane do głosowania. Zachęcony tym niespodziewanym wynikiem, wskazującym jak wielka jest nienawiść do Cepiona, Norbanus przedłożył pod głosowanie sentencję wyroku tak surową, że wszyscy obecni senatorowie zawyli w daremnym proteście. Znow pierwszych osiemnaście *tribus* wybranych drogą losowania głosowało jednomyślnie. Cepion został pozbawiony obywatelstwa, wzbroniono mu chleba i wody w promieniu ośmiuset mil od Rzymu, wymierzono grzywnę w wysokości piętnastu tysięcy talentów złota i rozkazano zamknąć go w celi w Lautumiach pod strażą i bez prawa rozmawiania z kimkolwiek, nawet z rodziną, do chwili wyruszenia na wygnanie.

Pośród potrząsania pięściami i okrzyków tryumfu z powodu

uniemożliwienia mu rozmowy z bankierami i ukrycia swego osobistego majątku, Kwintus Serwiliusz Cepion, były obywatel rzymski, przeszedł pod strażą liktorów krótki dystans między nieką komicjów a zrujnowanymi celami Lautumiów.

Całkowicie usatysfakcjonowany takim zakończeniem rozkosznie podniecającego i niezwykłego dnia tłum rozszedł się do domów, oddając Forum Romanum w posiadanie kilkunastu mężom, samym senatorom.

Dziesięciu trybunów ludowych podzieliło się na grupki. Lucjusz Kotta, Tytus Didiusz, Marek Bebiusz i Lucjusz Antystiusz Reginus, czterej ludzie środka, zbili się w ponurą gromadkę, spoglądając bezradnie to w lewo, to w prawo. Rozradowani Gajusz Norbanus i Lucjusz Apulejusz Saturninus rozmawiali z wielkim ożywieniem i wśród wybuchów śmiechu z Gajuszem Serwiliuszem Glaucją, który podszedł, by im pogratulować. Żaden z dziesięciu trybunów nie miał na sobie togi. Zdarło je z nich w zamieszaniu.

Marek Emiliusz Skaurus siedział oparty plecami o cokół posągu Scypiona Afrykańskiego, podczas gdy Metellus Numidyjski z pomocą dwóch niewolników starał się zatamować krew płynącą z rozciętej skroni. Krassus Orator i jego wesoły towarzysz (i brat stryjeczny) Kwintus Mucjusz Scewola krążyli w pobliżu Skaurusa wyraźnie wstrząśnięci. Równie wstrząśnięci Druzus i Cepion Młodszy stali na schodach senatu, pilnowani przez Publiusza Rutyliusza Rufusa i Marka Aureliusza Kotę, a młodszy konsul, Lucjusz Aureliusz Orestes, który nawet w swych najlepszych dniach nie cieszył się dobrym zdrowiem, leżał na wznak w przedsionku kurii pod opieką zaniepokojonego pretora.

Rutyliusz Rufus i Kotta pośpieszyli na pomoc Cepionowi Młodszemu, kiedy ten nagle pochylił się i oparł o oszołomionego i pobladłego Druzusa, obejmującego go ramieniem.

- Czy możemy jakoś pomóc? - spytał Kotta.

Druzus zaprzeczył ruchem głowy, zbyt poruszony, by mówić, Cepion zaś chyba niczego nie słyszał.

- Czy ktoś pomyślał o wysłaniu liktorów dla ochrony domu Kwintusa Serwiliusza? - spytał Rutyliusz Rufus.

- Wysłałem ich - zdobył się na odpowiedź Druzus.

- A jego żona? - Kotta wskazał głową Cepiona Młodszego.

- Kazałem odprowadzić ją z dzieckiem do mojego domu. - Druzus podniósł rękę do policzka, jakby sprawdzał, czy naprawdę istnieje.

Cepion Młodszy poruszył się, spoglądając ze zdziwieniem w twarze stojących przy nim.

- Więc to tylko złoto - powiedział. - Chodziło im tylko o złoto! Nawet nie pomyśleli o Arauzjonie. Nie skazali go za Arauzjonę. Chodziło im tylko o złoto.

- Taka jest natura ludzka - powiedział cicho Rutyliusz Rufus. - Człowiek troszczy się bardziej o złoto niż o ludzkie życie.

Druzus rzucił wujowi ostre spojrzenie, ale jeśli nawet Rufus mówił z ironią, Cepion tego nie zauważył.

- Obwiniam o to wszystko Gajusza Mariusza - powiedział.

Rutyliusz Rufus ujął go pod łokieć.

- Chodźmy, Kwintusie Serwiliuszu. Odprowadzimy cię z Markiem Aureliuszem do domu Marka Liwiusza.

Gdy schodzili ze schodów senatu, Lucjusz Antystiusz Reginus odłączył się od Lucjusza Kotty, Didiusza i Bebiusza i podszedł do Norbanusa, który cofnął się i przybrał obronną postawę.

- Bez obawy! - rzekł Antystiusz i splunął. - Nie będę sobie brudził rąk. Idę do Lautumiów uwolnić Kwintusa Serwiliusza. Nikogo jeszcze w dziejach Republiki nie zamknięto w więzieniu przed pójściem na wygnanie. Nie dopuszczę, żeby Kwintus Serwiliusz był tym pierwszym! Spróbuj mnie zatrzymać, jeśli chcesz, ale posłałem już po miecz i na Jowisza, Gajuszu Norbanusie, jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, zabiję cię!

Norbanus roześmiał się.

- Ależ zabieraj go! Zabierz Kwintusa Serwiliusza do domu i otrzyj mu tam oczy, że nie wspomnę o tyłku! Ja jednak na twoim miejscu nie zbliżałbym się do jego domu.

- I weź od niego, ile się da - krzyknął Saturninus za oddalającą się sylwetką Antystiusza. - On może płacić w złocie, pamiętaj!

Antystiusz odwrócił się i wykonał palcami prawej dłoni niedwuznaczny gest.

- To nie ja! - wrzasnął Glaucja. - To ty jesteś królową, nie my!

Gajusz Norbanus nie interesował się już Antystiuszem.

- Chodźcie do domu - powiedział do Glaucji i Saturnina. - Czas na wieczerzę.

Skaurus walczył z nudnościami, prędzej by jednak umarł, niż zniżył się do wymiotów w miejscu publicznym. Starał się zmusić swój zamroczony umysł do skupienia się na oddalających się zwycięzcach, ożywionych i roześmianych.

- Wilkołaki! - powiedział do Metellusa Numidyjskiego, którego toga poplamiona była krwią Skaurusa. - Spójrz tylko na nich. Narzędzia Mariusza!

- Czy możesz wstać, Marku Emiliuszu?

- Nie, dopóki nie zapanuję nad żołądkiem.

- Widzę, że Publiusz Rutyliusz i Marek Aureliusz zajęli się już synem i zięciem Kwintusa Serwiliusza.

- To dobrze. Potrzebują kogoś, kto miałby na nich oko. Nie widziałem jeszcze tłumu tak łaknącego naszej krwi, nawet za Gajusza Grakcha. - Skaurus nabrał tchu. - Musimy przez jakiś czas siedzieć cicho, Kwintusie Cecyliuszu. Jeśli się wychylimy, te wilkołaki zepchną nas ze stołków.

- Niech piekło pochłonie Kwintusa Serwiliusza i to jego złoto!

Skaurus czuł się już lepiej i pozwolił sobie wstać z pomocą Metellusa.

- Więc myślisz, że je wziął?

- Ach, daj spokój, Marku Emiliuszu, nie próbuj mydlić mi oczu - powiedział z pogardą Numidyjski. - Znasz go tak samo dobrze jak ja. Oczywiście, że je wziął! A ja mu tego nigdy nie wybaczę, bo to złoto należało do skarbu państwa.

Skaurus ruszył i czuł się przy tym, jakby stapał po chmurach.

- Kłopot w tym, że nie mamy żadnego wewnętrznego systemu, który

pozwoili by takim jak ty i ja karać tych spośród nas, którzy nas zdradzili.

Numidyjski wzruszył ramionami.

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Stworzenie takiego systemu oznaczałoby przyznanie, że nasi ludzie nie stoją na wysokości zadania. Jeśli ujawnimy nasze słabe strony świata, będziemy skończeni.

- Wolałbym umrzeć.

- Ja także - westchnął Numidyjski. - Mam tylko nadzieję, że nasi synowie okażą się równie silni jak my.

- To było powiedziane raczej niezyczliwie - rzekł z goryczą w głosie Skaurus.

- Ależ, Marku Emiliuszu! Twój chłopiec jest jeszcze bardzo młody! Nie można mu niczego zarzucić, naprawdę!

- Może więc zamienimy się synami?

- Nie, choćby dlatego, że to by zabiło twego syna. Najgorszym ciężarem jest dla niego świadomość, że go nie pochwalasz.

- To mięczak - powiedział Skaurus, twardy człowiek.

- Może pomogłaby mu dobra żona?

Skaurus przystanął i spojrzał na przyjaciela.

- To dobra myśl! Nie myślałem o tym, bo on jest taki... niedojrzały. Czy masz kogoś na myśli?

- Moją bratanicę, córkę Dalmatyńskiego, Metellę. Za dwa lata będzie miała osiemnaście. Jestem jej opiekunem, odkąd nasz drogi Dalmatyński nie żyje. Co ty na to, Marku Emiliuszu?

- Umowa stoi, Kwintusie Cecyliuszu! Umowa stoi!

Druzus posłał swego rządcę Kratypusa i wszystkich silnych niewolników, jakich posiadał, do domu Serwiliusza Cepiona, gdy tylko zdał sobie sprawę, że Cepion ojciec zostanie skazany.

Zaniepokojona wiadomością o procesie i tym, co udało się jej podsłuchać z rozmowy Cepiona Młodszeo z ojcem, Liwia Druza poszła do swoich krosien, z braku lepszego zajęcia. Nie pociągała jej żadna książka, nawet pikantne poezje miłosne Meleagra. Nie spodziewała się najścia służących swego brata, a wyraz powściąganej paniki w twarzy Kratypusa uświadomił jej grozę położenia.

- Szybko, *dominilla*, zbierz wszystko, co chcesz zabrać - mówił, rozglądając się po salonie. - Kazałem twojej dziewczynie spakować stroje, a niańka zatroszczy się o dziecko. Pokaż mi tylko, co jeszcze chcesz zabrać: książki, listy, tkaniny...

Patrzyła na rządcę wielkimi oczami.

- Co to znaczy? O co tu chodzi?

- O twego teścia, *dominilla*. Marek Liwiusz mówi, że chyba zostanie skazany.

- Ale dlaczego mam stąd odejść? - Kiedy wreszcie odkryła wolność, przerażała ją myśl o powrocie do więzienia w domu brata.

- Miasto chce jego krwi, *dominilla*.

Resztki rumieńców uciekły z jej twarzy.

- Jego krwi? Chcą go zabić?

- Nie jest aż tak źle. Skonfiskują mu tylko majątek. Tłum jest jednak mocno wzburzony. Twój brat przewiduje, że przyjdą splądrować dom.

W ciągu godziny służba i domownicy opuścili dom Kwintusa Serwiliusza Cepiona. Wrota zaryglowano i zabarykadowano. Kiedy Kratypus prowadził Liwię Druzę po Clivus Palatinus, pojawił się silny oddział liktorów w samych tylko tunikach i z pałkami zamiast *fascēs*. Mieli otoczyć dom i nie dopuścić tłumowi. Państwo życzyło sobie, by majątek Cepiona był nienaruszony, póki nie zostanie spisany i wystawiony na aukcję.

Serwilia Cepionia czekała na bratową w drzwiach domu, równie błąda jak Liwia Druza.

- Chodź i zobacz - mówiła, prowadząc ją z pośpiechem przez perystyl na loggię wychodzącą na Forum Romanum.

Dobiegał tam właśnie końca proces Kwintusa Serwiliusza Cepiona. Tłum ustawiał się według *tribus* do głosowania nad wyrokiem w wiele wijących się i falujących rzędów. Były dość porządne wewnątrz niecki komicjów, ale wśród tłumów widzów poza nią w rzędy wkradał się chaos. Tworzyły się zatory w miejscach, gdzie dochodziło do walk na pięści, powstawały zawirowania, gdy walki nasilały się, stając się zarodkami zamieszek. Na schodach senatu cisnęli się ludzie, a na rostrach, na skraju niecki komicjów stali trybunowie ludowi i jakaś mała figurka otoczona przez liktorów. Liwia Druza odgadła, że to oskarżony, jej teść.

Serwilia Cepionia zaczęła płakać. Liwia Druza była jeszcze zbyt oszołomiona, by odczuwać potrzebę płaczu, przytuliła się więc tylko do bratowej.

- Kratypus mówi, że tłum może ruszyć na dom ojca - powiedziała. - Nie wiedziałam! Nikt mi nic nie mówił!

Serwilia Cepionia ocierała łzy chusteczką.

- Marek Liwiusz obawiał się tego przez cały czas. Gdyby nie ta okropna historia z tolosańskim złotem, wszystko byłoby inaczej. Teraz jednak skazano ojca jeszcze przed procesem i to za czyn, za który nie był sądzony!

Liwia Druza odwróciła się.

- Muszę zobaczyć, co Kratypus zrobił z dzieckiem.

Te słowa wywołały nowy strumień łez Serwili Cepionii, której nie udało się dotąd zająć w ciążę, chociaż bardzo chciała mieć dziecko.

- Czemu nie jestem w ciąży? Marek Liwiusz mówi, że spodziewasz się drugiego dziecka, a mnie nawet nie zanosi się na pierwsze!

- Masz czas - pocieszała ją Liwia Druza. - Pamiętaj, że nie było ich przez całe miesiące i że Marek Liwiusz jest bardzo zajęty. Powiadają, że im bardziej zajęty mąż, tym trudniej żonie zająć w ciążę.

- Nie, to bezpłodność - wyszeptała Serwilia Cepionia. - Wiem, że jestem bezpłodna. Czuję to. A Marek Liwiusz jest taki czuły, taki wyrozumiały! - zaczęła na nowo płakać.

- Daj spokój, nie gryź się tym tak bardzo. - Liwia Druza zdołała jakoś doprowadzić bratową do atrium. - To ci nic pomoże w poczęciu. Dzieci lubią spokojne łona.

Pojawił się Kratypus.

- Ach, dzięki bogom! - wykrzyknęła Liwia Druza. - Kratypusie, czy

mógłbyś sprowadzić dziewczynę mojej siostry? Pokaż mi też, gdzie mam spać i gdzie jest mała Serwilia.

W tak ogromnym domu ulokowanie kilku dodatkowych osób nie stanowiło problemu. Kratypus oddał Cepionowi Młodszemu i jego żonie parę pokoi w perystylu, a Cepionowi ojcu parę innych. Mała Serwilia została umieszczona w wolnym pokoju dziecięcym w oddalonym portyku.

- Co mam podać na obiad? - spytał rządcą Liwię Druzę, gdy zaczęło się rozpakowywanie rzeczy.

- To sprawa mojej siostry, Kratypusie. Nie będę jej wchodzić w drogę.

- Ona leży i rozpacza, *dominilla*.

- Ach, rozumiem. Przygotuj więc obiad - może mężowie zechcą coś zjeść, ale liczą się też z jego odwołaniem.

Coś działo się w ogrodzie, wyszła więc popatrzeć i ujrzała brata prowadzącego Cepiona Młodszego.

- Co się stało? Potrzebujesz pomocy? - spojrzała na Druzusa i powtórzyła pytanie. - Co się stało?

- Nasz teść został skazany. Wygnanie nie bliżej niż osiemset mil od Rzymu, grzywna w wysokości piętnastu tysięcy talentów złota - co oznacza konfiskatę nawet knotów do lamp w całej jego rodzinie - i uwięzienie w Lautumiach do czasu deportacji.

- Ależ wszystko, co ojciec posiada, nie jest warte nawet stu talentów złota! - powiedziała zdumiona Liwia Druza.

- Oczywiście. Nigdy więc nie wróci do kraju.

Nadbiegła Serwilia Cepionia. Liwia Druza pomyślała, że tamta wygląda jak Kasandra uciekająca przed Grekami - z rozwianym włosiem, wielkimi oczami pełnymi łez i otwartymi ustami.

- Co się dzieje? - krzyczała. - Co się stało?

Druzus poradził z nią sobie łagodnie, ale stanowczo, otarł jej łzy i nie pozwolił rzucić się w ramiona brata. Uspokoiła się zadziwiająco szybko.

- Chodźmy do twego tablinum, Marku Liwiuszu - powiedziała i sama ruszyła przodem.

Liwia Druza ociągała się, zaskoczona.

- Co z tobą? - spytała Serwilia Cepionia.

- Nie możemy zasiadać w tablinum z mężczyznami.

- Oczywiście, że możemy! Nie pora trzymać kobiety tej rodziny w nieświadomości i Marek Liwiusz dobrze o tym wie. Albo przetrwamy razem, albo razem zginiemy. Mocni mężczyźni muszą mieć przy sobie mocne kobiety. - Liwia Druza z zamętem w głowie usiłowała przyswoić sobie wszystkie zmiany nastrojów z poprzednich chwil i w końcu zrozumiała, jaką to szarą myszką była przez całe swoje życie.

Druzus spodziewał się, że żona powita go w stanie najwyższego wzburzenia, wiedział też jednak, że kiedy ochłonie, będzie bardzo praktyczna i bardzo pomocna. Zachowała się dokładnie tak, jak tego oczekiwał.

Liwia Druza weszła do tablinum za Serwilią Cepionią i mężczyznami i starała się nie robić przerażonej miny, gdy Serwilia nalała wszystkim wina nie zmieszanego z wodą. Pociągając pierwszy w życiu łyk nie rozcieńczonego napoju, skrywała zawieruchę myśli. I gniew.

Była już prawie dziesiąta, gdy Lucjusz Antystiusz Reginus przyprowadził Kwintusa Serwiliusza Cepiona. Cepion wyglądał na zmęczonego, ale był raczej rozdrażniony niż przygnębiony.

- Wydobyłem go z Lautumiów - mówił, zaciskając usta Antystiusz. - Dopóki jestem trybunem ludowym, żaden mąż konsularny nie będzie zamknięty w więzieniu! To obraza Romulusa i Kwiryna, i Jowisza Najlepszego i Największego. Jak oni śmieli!

- Ośmielili się, bo zachęcił ich do tego lud i wszyscy ci wyciągający szyje amatorzy igrzysk - powiedział Cepion, opróżniając swój puchar jednym haustem i wyciągając go do syna, który zaraz skoczył po dzban.

- W Rzymie jestem skończony - mówił dalej, wbijając bystre czarne oczy najpierw w Druzusa, a dopiero potem w syna. - Teraz wy młodzi musicie bronić prawa tej rodziny do korzystania ze starodawnych przywilejów. Do ostatniego tchu, jeśli będzie trzeba. Należy wytepić Mariuszów i Saturninów, i Norbanów - nożami, jeśli nie da się inaczej. Rozumiecie?

Cepion Młodszy skinął posłusznie głową, ale Druzus siedział z nieruchomą twarzą i pucharem wina w ręku.

- Przrzekam ci, ojcze, że nasza rodzina nie straci swej *dignitas*, dopóki będę *pater familias* - oświadczył uroczyście Cepion Młodszy. Zdawał się znacznie spokojniejszy.

„I podobniejszy do swego wstrętnego ojca bardziej niż kiedykolwiek”, pomyślała Liwia Druza. „Czemu tak bardzo go nie znoszę? Czemu brat kazał mi go poślubić?”

Potem spostrzegła wyraz twarzy Druzusa, który zafascynował ją i zaskoczył. Nie był to wyraz dezaprobaty dla słów teścia. Wyglądało to raczej na ocenę tych słów i notowanie ich w pamięci, chociaż nie wszystkie zdawały się mieć sens. „Mój brat nie znosi teścia”, pomyślała nagle Liwia Druza.

Druzus zmienił się, Cepion Młodszy zaś nie zmienił się wcale. Stał się nawet jeszcze bardziej sobą, takim jakim był przedtem.

- Co zamierzasz robić, ojcze? - spytał Druzus.

Na twarzy Cepiona pojawił się dziwny uśmiech. Z oczu znikła irytacja. Zastąpiła ją mieszanina tryumfu, bólu i nienawiści.

- Ależ, drogi chłopcze, pojedę na wygnanie, jak mi kazało Zgromadzenie Plebejskie.

- Dokąd, ojcze? - spytał Cepion Młodszy.

- Do Smyrny.

- A skąd mamy wziąć pieniądze? Nie chodzi o mnie - Marek Liwiusz mi pomoże - ale o ciebie. Z czego będziesz żył na wygnaniu?

- Mam pieniądze złożone w Smyrnie, na moje potrzeby aż nadto. Co do ciebie, synu, nie masz się o co martwić. Twoja matka zostawiła wielką fortunę, którą ulokowałem w twoim imieniu. Wystarczy ci ona na dobre utrzymanie.

- Czy jednak jej nie skonfiskują?

- Nie, z dwóch powodów. Po pierwsze, to lokata na twoje imię, nie moje. Po drugie, pieniądze są nie w Rzymie, ale w Smyrnie, razem z moimi. - Uśmiechnął się szerzej. - Musisz spędzić parę lat w domu Marka Liwiusza. Potem będę mógł przesłać ci twój majątek do kraju. Jeśli nic mi się nie

przytrafi, moi bankierzy wykonają kawał dobrej roboty. Do tego czasu, drogi zięciu, prowadź rachunki wszystkich wydatków mego syna. Wypłaci się z nich kiedyś do ostatniej sestercji.

Zapadło pełne napięcia i emocji milczenie. Wszyscy obecni zdali sobie sprawę z tego, czego Kwintus Serwiliusz Cepion nie dopowiedział: że naprawdę ukradł tolosańskie złoto, że owo złoto było w Smyrnie i że było teraz własnością Cepiona, bezpieczną i bez uszczerbku, i że Kwintus Serwiliusz był równie bogaty jak sam Rzym.

Cepion zwrócił się do Antystiusza, milczącego jak inni.

- Czy zastanowiłeś się nad tym, o co cię prosiłem?

Antystiusz odchrząknął głośno.

- Tak, Kwintusie Serwiliuszu, i chętnie się zgodzę.

- Świetnie! - Cepion spojrzał na syna i zięcia. - Mój drogi przyjaciel Lucjusz Antystiusz zgadza się odprowadzić mnie do Smyrny. Zapewni mi to zarazem miłe towarzystwo i ochronę trybuna ludowego. A kiedy już tam dotrzemy, będę go namawiał, żeby tam ze mną został.

- Co do tego, jeszcze się nie zdecydowałem - oświadczył Antystiusz.

- Nie ma pośpiechu - zgodził się Cepion. Zatarł dłonie, jakby je chciał zagrzać. - Muszę wyznać, że jestem głodny jak wilk. Czy dostaniemy coś do zjedzenia?

- Oczywiście, ojczy - powiedziała Serwilia Cepionia. - Proszę do jadalni, a Liwia i ja dopilnujemy wszystkiego w kuchni.

Było to oczywiście niepotrzebne. Kratypus dopilnował już wszystkiego w kuchni. Znalazły go na loggii, spoglądającego na Forum Romanum, gdzie już gromadziły się cienie.

- Popatrzcie tylko na ten bałagan! - Rządca z oburzeniem wskazywał w dół. - Wszędzie pełno śmieci: buty, szmaty, kije, butelki, resztki jedzenia! Co za ohyda!

I oto był tam, jej rudowłosy Odyseusz, stojący z Gnejuszem Domicjuszem Ahenobarbem na balkonie położonego niżej domu. Obaj najwyraźniej złościli się tak samo jak Kratypus z powodu zaśmiecenia Forum.

Liwia Druza drżała, oblizując usta i patrząc w udręce na tego młodego człowieka, tak bliskiego i tak dalekiego zarazem. Rządca szedł już w stronę kuchennych schodów. Miała teraz swoją szansę na zadanie niby to przypadkowego pytania.

- Siostrze, kim jest ten rudzielec obok Gnejusza Domicjusza? Od lat przychodzi tam w odwiedziny, ale nie potrafię zgadnąć, kto to taki. Czy go znasz?

- Ach, ten! - parsknęła Serwilia Cepionia. - To Marek Porcjusz Katon - wyjaśniła z nutą pogardy w głosie.

- Katon? Tak jak Katon Cenzor?

- Z tych samych. Parwienusze! To wnuk Katona Cenzora.

- Czy jednak jego babką nie jest Licynia, a jego matką Emilia Paula? To go z pewnością czyni możliwym do przyjęcia! - sprzeciwiła się Liwia Druza z błyszczącymi oczami.

Serwilia Cepionia znów parsknęła.

- To nie ta gałąź rodziny, moja droga. On nie jest synem Emilii Pauli - gdyby tak było, musiałby być o wiele starszy. Nie, nie! To nie jest Katon wnuk Licynii! To Katon wnuk Salonii, prawnuk niewolnika.

Wyimaginowany świat Liwii Druzy zachwiał się i pokrył siatką drobnych spękań.

- Nie rozumiem - powiedziała oszołomiona.

- Jak to, nie znasz tej historii? On jest synem syna z drugiego małżeństwa Katona Cenzora.

- Z córką jakiegoś niewolnika? - jęknęła Liwia Druza.

- Z córką jego własnego niewolnika, dla ścisłości. Na imię miała Salonia. Uważam za niedopuszczalne, że traktowano ich tak samo jak potomków pierwszej żony Katona Cenzora, Licynii! Wślizgnęli się nawet do senatu. Oczywiście Porcjusz Katonowie pochodzący od Licynii nie utrzymują z nimi stosunków. My także.

- Czemu więc Gnejusz Domicjusz znosi jego towarzystwo?

Serwilia Cepionia zaśmiała się, całkiem jak jej nieznośny ojciec.

- No cóż, Domicjusz Ahenobarbowie nie są szczególnie znakomitym rodem, nieprawdaż? Więcej tam pieniędzy niż sławnych przodków, mimo tych wszystkich bajek opowiadanych o Kastorze i Polluksie, którzy ponoć zmienili ich w miedzianobrodych! Nie wiem na pewno, czemu go przyjmują, mogę jednak zgadnąć. Mój ojciec to sobie wykalkulował.

- Co sobie wykalkulował? - Serce Liwii Druzy zamarło.

- Cóż, druga rodzina Katona Cenzora to sami rudowłosi. Sam Katon Cenzor był rudy, jeśli już o tym mowa, ale Licynia i Emilia Paula były brunetkami, więc ich synowie i córki mają włosy kasztanowe, a oczy piwne. Saloniusz zaś, niewolnik Katona Cenzora, był jasnowłosym Celtyberem z Salony w Hiszpanii Bliższej. Jego córka Salonia była także jasnowłosa i dlatego Katonowie Salońscy mają rude włosy i szare oczy. - Serwilia Cepionia wzruszyła ramionami. - Domicjusz Ahenobarbowie muszą podtrzymywać mit, który zaczął się od miedzianej brody owego przodka przemienionego przez Kastora i Polluksa. Żenią się tylko z rudowłosymi, a te są rzadkością. Jeśli zatem nie znajdzie się lepiej urodzona rudowłosa, jakiś Domicjusz Ahenobarbus ożeni się, moim zdaniem, z którąś z dziewcząt Katonów Salońskich. Ci zarozumialcy sądzą, że ich krew nie da się rozcieńczyć.

- Więc przyjaciel Gnejusza Domicjusza musi mieć jakąś siostrę?

- Ma siostrę. - Serwilię Cepionę przeszedł dreszcz. - Muszę wejść do środka. Cóż za dzień! Chodź, zjedzmy coś.

- Idź pierwsza - odparła Liwia Druza. - Muszę nakarmić małą, zanim sama zjem.

Wzmianka o dziecku wystarczyła, by przepłoszyć biedną, spragnioną dzieci Serwilię Cepionę. Liwia Druza wróciła do balustrady. Tak, byli tam jeszcze Gnejusz Domicjusz i jego gość. Gość, który miał pradziada niewolnika. Może to zmierzch sprawiał, że włosy tamtego straciły blask, wzrost się obniżył, szerokość ramion zmalała, a szyja wydawała się zbyt długa jak na prawdziwie rzymską szyję. Cztery łyży upadły na malowaną na żółto balustradę, ale ani jedna więcej.

„Byłam głupia jak zwykle”, pomyślała Liwia Druza. „Przez cztery lata żyłam marzeniem o kimś, kto okazał się potomkiem niewolnika - i to prawdziwego, nie mitycznego. Zrobiłam z niego króla, dzielnego i szlachetnego jak Odys, a z siebie czekającą na niego Penelopę. Teraz zaś dowiaduję się, że nie jest szlachetnie urodzony, że nie jest nawet przyzwoicie urodzony! Kim był w końcu Katon Cenzor, jeśli nie chłopem z Tuskulum, który zaprzyjaźnił się z patrycjuszem Waleriuszem Flakkusem? Był prawdziwym Mariuszem swoich czasów! Ów mąż na tarasie jest więc potomkiem hiszpańskiego niewolnika i tuskulańskiego chłopca. Ależ byłam głupia!”

Kiedy doszła do dziecięcego pokoju, zastała małą Serwilię ożywioną i głodną, przesiedziała więc kwadrans, karmiąc małą. Porządek tego pamiętnego dnia był już i tak zachwiany.

- Musisz poszukać jakiejś mamki - powiedziała do macedońskiej dziewczyny, odchodząc. - Chciałabym odpocząć kilka miesięcy, zanim znów urodzę. A gdy już dziecko przyjdzie na świat, niech od początku zajmują się nim mamki. Karmienie najwyraźniej nie zapobiega poczęciu. Gdyby tak było, nie byłabym teraz w ciąży.

Wślizgnęła się do jadalni, gdy podawano już główne dania, i usiadła na krześle naprzeciw Cepiona Młodszego. Wszyscy byli zajęci jedzeniem. Liwia Druza stwierdziła, że też jest głodna.

- Czy dobrze się czujesz, Liwio? - spytał z lekkim niepokojem Cepion Młodszy. - Wyglądasz nie najlepiej

Spojrzała na niego zaskoczona i, po raz pierwszy odkąd go знаła, jego widok nie wzbudził w niej obrzydzenia. Nie miał rudych włosów, nie miał szarych oczu, nie był wysoki, szczupły i szeroki w ramionach i nigdy nie będzie królem Odysem. Był jednak jej mężem, kochał ją wiernie, był ojcem jej dzieci i patrycjuszem po mieczu i po kądzieli. Uśmiechnęła się do niego, a ten uśmiech dosięgnął jej oczu.

- To вина tego dnia, Kwintusie Serwiliuszu - odpowiedziała miękkiem głosem. - Od lat nie czułam się tak dobrze.

Zachęcony wynikiem procesu Cepiona Saturninus zaczął działać z arogancją, która wstrząsnęła podstawami senatu. Osobiście oskarżył Gnejusza Maliusza Maksymusa przed Zgromadzeniem Plebejskim o „doprowadzenie do utraty armii” i wynik był podobny do poprzedniego. Maliusz Maksymus stracił już synów pod Arauzjoną, teraz zaś utracił obywatelstwo i cały majątek. Poszedł na wygnanie nie jak chciwy złota Cepion, ale jako człowiek całkowicie załamany.

Potem, w końcu lutego, ustanowiono *lex Appuleia de maiestate*, które odbierało rozpatrywanie oskarżeń o zdradę stanu nieudolnym centuriom i powierzało je specjalnemu trybunałowi, złożonemu wyłącznie z ekwitów. Senat nie miał w nim żadnego w ogóle udziału. Mimo to senatorowie prawie nie krytykowali projektu ustawy w czasie obowiązkowej debaty i nie przeszkadzali w ustanowieniu prawa.

Choć były to zmiany ogromne i o niewyobrażalnym znaczeniu dla przyszłych rządów Rzymu, nie przyciągnęły one uwagi senatu ani ludu w takim

stopniu jak wybory pontyfikalne, które odbywały się w tym samym czasie. Wraz ze śmiercią Pontifexa Maximusa Cecyliusza Metellusa Dalmatyńskiego zwolniło się niejedno, lecz dwa stanowiska w Kolegium Pontyfików. Niektórzy uważali, że wystarczą jedne wybory, skoro oba stanowiska zajmował jeden człowiek. Princeps senatu Skaurus wskazywał jednak niebezpiecznie drżącym głosem, że byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby ktoś wybrany na zwykłego pontifexa był także kandydatem na wysoki urząd. Uzgodniono w końcu, że Pontifex Maximus zostanie wybrany pierwszy.

- Zobaczmy więc, co mamy zobaczyć - powiedział Skaurus, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Zarówno Skaurus, jak Metellus Numidyjski zgłosili swoje kandydatury na stanowisko Pontifexa Maximusa i to samo zrobił Katullus Cezar. I Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus.

- Jeśli ja albo Kwintus Lutacjusz zostaniemy wybrani, trzeba będzie przeprowadzić drugie wybory zwykłego pontifexa, skoro jesteśmy już obaj w kolegium - zauważył Skaurus, bohatersko panując nad głosem.

Wśród kandydatów na to drugie stanowisko byli niejaki Serwiliusz Watia, niejaki Eliusz Tubero i Metellus Numidyjski. I Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus.

Nowe prawo przewidywało, że głosuje tylko siedemnaście *tribus* wybranych losowo spośród trzydziestu pięciu. Wylosowano więc tę siedemnastkę, której głosy miały decydować. Wszystko przebiegało w dobrym nastroju i w duchu tolerancji. Tego dnia nie było żadnych aktów przemocy na Forum Romanum! Wielu jeszcze poza Skaurusem parskalo śmiechem. Nic nie przemawia bardziej do poczucia humoru Rzymian niż kłótnia, w którą wmieszane są najdosłowniej nazwiska z list cenzorów, zwłaszcza gdy strona pokrzywdzona zdoła pobić przeciwnika jego własną bronią.

Bohaterem dnia był naturalnie Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus. Nikt się zbytnio nie dziwił, kiedy Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus został wybrany na Pontifexa Maximusa i drugie wybory okazały się zbędne. Wśród wiwatów i powiewania girlandami kwiatów Ahenobarbus brał odwet na tych, którzy oddali stanowisko kapłańskie jego zmarłego ojca młodemu Markowi Liwiuszowi Druzusowi.

Skaurus pokładał się ze śmiechu, gdy ogłoszono ten wynik. Metellus Numidyjski nie widział w tym nic śmiesznego i przyglądał mu się z niesmakiem.

- Jesteś naprawdę nieznośny, Marku Emiliuszu. To przecież oburzające! Ten nieumiarkowany, plugawy *pipinna* ma być najwyższym kapłanem? Po moim drogim bracie Dalmatyńskim? Zamiast ciebie? Albo mnie? - Uderzył pięścią w jeden z dziobów wolskijskich okrętów, od których wzięły nazwę rostra. - Jeżeli czasem nie cierpię Rzymian, to właśnie wtedy, gdy ich wypaczone poczucie humoru bierze górę nad poczuciem przyzwoitości! Prędzej wybaczę im ustanowienie prawa Saturnina niż to! W prawie Saturnina wyrażają się przynajmniej najgłębsze uczucia i opinie ludu. To jednak - ta farsa - to zwyczajna nieodpowiedzialność! Czuję się, jakbym dołączył do Kwintusa Serwiliusza na wygnaniu. Wstyd mi za nich.

W im większą furję wpadał Metellus, tym głośniej śmiał się Skaurus. W końcu, ściskając się za boki i patrząc przez łzy na Numidyjskiego, zdołał złapać oddech.

- Och, nie zachowuj się jak stara westalka na widok pary owłosionych jaj i sterczącego kutasa! To przecież jest zabawne! A my zasługujemy na wszystko, co nam zgotowano!

I odszedł w nowym ataku śmiechu, a Metellus Numidyjski poszedł w swoją stronę.

Gajusz Mariusz pisał do Publiusza Rutyliusza Rufusa w jednym ze swych rzadkich listów, który dotarł do adresata we wrześniu:

„Wiem, stary druhu, że powinienem pisać częściej, kłopot jednak w tym, że nie cierpię pisania listów. Twoje zaś listy są niczym kawały korka rzucane tonącemu. Są takie jak ty sam - żadnych fochów, żadnych ozdóbek, żadnych formalności. Udało mi się przejąć coś z twego stylu, ale nie uwierzysz za jaką cenę!

Nie wątpię, że chodziłeś do senatu, by słuchać kwiczenia naszego Świńskiego o kosztach utrzymania armii Policzonych Głowami w drugim już roku bezczynności po drugiej stronie Alp. I o tym, że zamierzam ubiegać się o wybór na konsula po raz czwarty w ogóle, a po raz trzeci z rzędu. To właśnie muszę zrobić, bo inaczej stracę wszystko, co chcę uzyskać. Rok przyszedł będzie bowiem, Publiusz Rutyliusz, rokiem Germanów. Czuję to w kościach. Przyznaję, że nie ma realnych podstaw dla takich przeczuć, ale jestem pewien, że to właśnie powiedzą Lucjusz Korneliusz i Kwintus Sertoriusz, kiedy wrócą. Nie miałem od nich wiadomości, odkąd sprowadzili mi tu w zeszłym roku króla Kopiliusza. Choć jestem rad, że moim trybunom ludowym udało się skazać Kwintusa Serwiliusza Cepiona, żałuję, że nie miałem okazji zrobić tego osobiście, wykorzystując Kopiliusza jako świadka. Mniejsza z tym jednak. Kwintus Serwiliusz dostał, co mu się należało. Szkoda tylko, że Rzym nigdy nie ujrzy tolosańskiego złota. Można by za nie wystawić wiele armii Policzonych Głowami.

Życie toczy się tu jak zawsze. Via Domitia jest w dobrym stanie od Nemausus do Ocelum, więc legionom będzie o wiele łatwiej nią maszerować w przyszłości. Zdażyła już popaść w ruinę. Nikt jej chyba nie naprawiał od czasu, gdy tato naszego nowego Pontifexa Maximusa przechodził tędy przed dwudziestu laty. Roztopy i przymrozki, i oberwania chmur zebrały swoje smutne żniwo. Oczywiście naprawa to nie to samo, co budowa nowej drogi. Gdy już ułoży się kamienie w jej podłożu, podbudowa jest wiecznotrwała. Nie możesz jednak oczekiwać, że wojsko będzie maszerować, wozy jechać, a konie kłusować bezpiecznie po wystających i pozapadanych niewymiarowych kamieniach. Nawierzchnia z piasku, żwiru i miału z kamieniołomów musiała być wygładzana jak szkło i polewana później wodą, póki nie stwardniała na kamień. Możesz mi wierzyć, Via Domitia istnieje dzięki moim żołnierzom.

Zbudowaliśmy też nową groblę przez bagna Rodanu od Nemausus do Arelatu. Prawie też zakończyliśmy kopanie nowego kanału żeglownego

między morzem a Arelatem, omijającego bagna i rozlewiska naturalnego koryta rzeki. Wszystkie greckie grube ryby z Massylii włożą mi teraz do tyłka z podziękowaniami - banda obleśnych hipokrytów! Ich wdzięczność nie sięga tak daleko, by dać mojej armii jakikolwiek rabat.

Na wypadek, gdybyś usłyszał o tym, a opowieść została przekręcona - jak wszystkie opowieści o mnie i o moich sprawach - opowiem ci, co się przydarzyło Gajuszowi Lusjuszowi. Jak pamiętasz, to mój przyszywany siostrzeniec. Trafił do mnie jako trybun wojskowy, okazało się jednak, że chce służyć żołnierzom wcale nie jako trybun. Mój dowódca służby wewnętrznej przyszedł do mnie przed dwoma tygodniami ze złą - jak myślał - nowiną: Gajusza Lusjusza znaleziono martwego w koszarach szeregowców rozplatanego od gardła do brzucha najpiękniejszym cięciem miecza, jakiego mógłby wymagać dowódca od szeregowca. Winowajca przyznał się - przystojny chłopak - i miły, jak mi powiedział jego centurion. Okazało się, że Lusjusz był pedałem i upatrzył sobie tego żołnierza. Nie dawał mu spokoju i cała centuria robiła sobie z tego pośmiewisko z trzepotaniem rzęsami i poklepywaniem się. Biedak nie mógł tego znieść i skończyło się zabójstwem. Tak czy owak, musiałem go postawić przed sądem wojennym i muszę powiedzieć, że z prawdziwą przyjemnością uniewinniłem go i dałem mu pochwałę, awans i pełną sakiewkę.

Ta sprawa wyszła mi na korzyść. Przede wszystkim mogłem wykazać, że Lusjusz nie był żadnym moim krewnym. Następnie miałem okazję pokazać żołnierzom, że dla ich wodza sprawiedliwość znaczy sprawiedliwość, bez żadnych względów dla członków rodziny. Może i są jakieś zajęcia dla pedałów, ale na pewno nie w legionach, czyż nie, Publiusz Rutylisz? Wyobrażasz sobie, co zrobilibyśmy z Lusjuszem pod Numancją? Nie wywinąłby się miłą, szybką śmiercią, zaśpiewałby sopranem. Chociaż ty w końcu wyrosłeś. Nigdy nie zapomnę, jak byłem wstrząśnięty, słuchając na pogrzebie Scypiona Emilianusa tego, co o nim opowiadano. Nigdy niczego takiego u niego nie zauważyłem. Był dość dziwny, ale - takie plotki powstają chyba, kiedy ktoś nie ma dzieci.

I to by było wszystko. Aha, jeszcze wprowadziłem parę zmian w pilum i mam nadzieję, że moja wersja stanie się standardowa. Jeśli masz nadwyżki gotówki, kupuj udziały w jednej z wytwórni, które będą produkować nowe pilum. Albo i sam taką załóż - dopóki jesteś właścicielem budynku, cenzorzy nie mogą ci niczego zarzucić.

Tak czy owak, zmieniłem sposób połączenia tulei grotu z drzewcem. Pilum jest bardzo skuteczną bronią w porównaniu ze starą włócznią typu *hasta*, ale też i znacznie droższą - mały zębaty grot zamiast dużego liściastego, długa żelazna tuleja i drzewce przystosowane do rzucania, nie do walki wręcz jak u *hasta*. Zauważyłem, że nieprzyjaciele aż się palą do naszych pilum i celowo prowokują naszych żółtodziobów do przedwczesnego ich rzucania. Potem odrzucają je w nas albo zachowują na później.

Ja zaś wprowadziłem połączenie tulei z drzewcem drewnianym łamliwym kołkiem. Kiedy teraz pilum w coś uderza, tuleja odłamuje się od

drzewca, więc nieprzyjaciele nie mogą odrzucić w nas tych kawałków ani ich połączyć. Co więcej, jeśli do nas należy pole bitwy, zbrojmistrze mogą je pozierać i połączyć na nowo. Oszczędza nam to pieniędzy i strat w ludziach jednocześnie.

I to już zdecydowanie wszystko. Odpisz szybko”.

Rufus odłożył z uśmiechem ten list. Nie był on nazbyt gramatyczny ani wdzięczny, ani bynajmniej nie stylowy. Był jednak listem Mariusza. On sam był podobny do swoich listów. Ta jego obsesja na punkcie konsulatu była cokolwiek denerwująca. Z jednej strony było zrozumiałe, że Mariusz chce pozostać konsulem aż do pokonania Germanów. Wiedział, że nikt inny nie zdoła ich pokonać. Z drugiej strony, Rufus za bardzo był Rzymianinem swojej klasy, by to aprobować, nawet biorąc pod uwagę Germanów. Czy Rzym został aż tak zmieniony za sprawą politycznych innowacji Mariusza, że nie jest już Rzymem Romulusa? Rutyliusz Rufus chciałby to wiedzieć. Nie było łatwo kochać kogoś tak, jak on kochał Mariusza, i godzić się ze szlakiem pogwałconych tradycji, którym tamten znaczył swoje przejście. I jeszcze to pilum, na Junonę! Jak na to wpadł?

Mimo to Publiusz Rutyliusz Rufus usiadł i od razu odpisał. Kochał przecież Mariusza.

„Lato mieliśmy raczej ospałe. Obawiam się, że niewiele się wydarzyło rzeczy, o których warto pisać, drogi Gajuszu Mariuszu. Do tej chwili, w każdym razie. Twój szanowny kolega, młodszy konsul Lucjusz Aureliusz Orestes, nie czuje się dobrze, ale też nie czuł się dobrze już wtedy, kiedy ubiegał się o wybór. Nie wiem po co - chyba po prostu czuł, że zasługuje na ten urząd. Pytanie tylko, czy ten urząd zasługuje na niego. Jakoś w to wątpię.

Właściwie całe nowiny to para soczystych skandali, wiem jednak, że ubawisz się nimi tak samo jak ja. Ciekawe, że w oba jest wplątany twój trybun ludowy, Lucjusz Apulejusz Saturninus. To niezwykle człowiek, sam to wiesz. Jest w nim cała masa sprzeczności. Zawsze żałowałem, że Skaurus tak go wyróżnił. Jestem pewien, że Saturninus wszedł do senatu z mocnym postanowieniem, iż będzie pierwszym Apulejuszem, który zasiądzie na krześle konsula. Teraz pragnie podkopać powagę senatu i sprawić, że konsulowie będą mieli nie więcej znaczenia niż woskowe maski. Tak, tak, już słyszę, jak mówisz, że jestem zbyt pesymistyczny, że przesadzam, a moje poglądy na świat są wypaczone przez moje przywiązanie do tradycji. Tak czy owak, mam rację! Jeśli pozwolisz, będę pisał o wszystkich, używając tylko *cognomen*. Znosi się na długi list, a dzięki temu zaoszczędzę parę słów.

Saturninus został zrehabilitowany. Co o tym sądzisz? Zdziwiająca sprawa, i w dodatku przyczynił się do tego nasz czcigodny princeps senatu Skaurus. Musisz przyznać, że jest on o wiele więcej wart niż jego wesoły towarzysz Świński. Taka jest właśnie różnica między Emiliuszami a Cecyliuszami.

Wiesz, bo ci o tym mówiłem, że Skaurus kontynuował swą działalność kuratora zaopatrzenia w zboże i spędzał czas, wędrując między Rzymem a Ostią i zatruwając życie zbożowym potentatom. Jemu wyłącznie zawdzię-

czamy godne uwagi ustabilizowanie się cen, mimo niedoboru zboża w ostatnich dwóch sezonach.

Dobrze, dobrze, przerywam ten panegiryk i wracam do tematu. Zdaje się, że przed dwoma miesiącami Skaurus natknął się w Ostii na skupującego zboże agenta, który zwykle działał na Sycylii. Nie ma sensu opowiadać ci o tamtejszym powstaniu niewolników, skoro dostajesz regularnie doniesienia senatu. Powiem tylko, że w tym roku wysłaliśmy chyba właściwego namiestnika. Lucjusz Licyniusz Lukullus może sobie być sztywnym jak kij arystokratą, ale jest równie skrupulatny jak jego raporty do senatu i ma zwyczaj uprzętać swoje pola bitew.

Czy byś uwierzył, że pewien dureń pretor - jeden z tych o wątpliwym pochodzeniu plebejuszy Serwiliuszy, który zdołał kupić sobie wybór na augura za pieniądze swego patrona Ahenobarba i teraz każe się nazywać Gajuszem Serwiliuszem Augurem - miał tupet wystąpić w kurii i oskarżyć Lukullusa o celowe przeciąganie wojny na Sycylii dla zapewnienia sobie przedłużenia dowództwa na rok następny?

Już słyszę, jak pytasz, na jakiej podstawie rzucił to zdumiewające oskarżenie. Otóż na tej, że po ostatecznym rozbiciu armii niewolników Lukullus nie pognął z miejsca zdobywać Triokale, zostawiając trzydzieści pięć tysięcy ciał poległych niewolników na polu bitwy i wszystkie gniazda oporu w rejonie Heraklei gotowe rozrosnąć się w nowe rany w naszej rzymskiej skórze! Lukullus zrobił, co należało. Pobiwszy niewolników, przez tydzień uprzętał zwłoki i niszczył gniazda oporu, zanim ruszył pod Triokale, gdzie skryli się niewolnicy, którzy przeżyli bitwę. Serwiliusz mówi jednak, że Lukullus powinien był lotem ptaka pomknąć wprost z pola bitwy pod Triokale, bo - zdaniem Serwiliusza Augura - kryjący się w panice w Triokali poddaliby mu się wtedy z miejsca! Jednak w rzeczywistym świecie, zanim Lukullus dotarłby do Triokali, niewolnicy zdążyliby ochłonąć z paniki i kontynuowaliby walkę. A teraz spytasz, skąd Serwiliusz Augur miał swoje informacje. Ależ powiedziała mu to wyrocznia, oczywiście! Jakże inaczej miałby poznać stan umysłów tłumu zbuntowanych niewolników zamkniętych w niezdobytej twierdzy? A czy wyobrażasz sobie przebiegłego Lukullusa wygrywającego wielką bitwę, a potem układającego plan przedłużenia swego namiestnictwa? Piramidalna bzdura! Lukullus zrobił, co uważał za słuszne - zaokrąglił alfę, zanim zaczął pisać betę.

Wysłuchałem z niesmakiem mowy Serwiliusza Augura, a z jeszcze większym niesmakiem słuchałem, jak Pontifex Maximus Ahenobarbus zaczął wykrzykiwać swe poparcie dla tego steku niedorzecznych i nieistotnych oskarżeń. Oczywiście wszyscy ci wodzowie z wyściełanych krzeseł z tylnych rzędów, którzy nic odróżniliby jednej strony pola bitwy od drugiej, myśleli, że to Lukullus dał plamę! Zobaczymy, jak to się skończy, ale nie będę zdziwiony, jeśli kuria postanowi po pierwsze: nie przedłużać dowództwa Lukullusowi, a po drugie: oddać namiestnictwo Sycylii na rok przyszły nie komu innemu jak Serwiliuszowi Augurowi. Zaczął przecież swoje tropienie zdrady po to, by zostać namiestnikiem Sycylii! To rajskie miejsce dla kogoś tak tępego i niedoświadczonego jak Serwiliusz Augur,

bo Lukullus zrobił już za niego całą robotę. Klęska pod Herakleją wpędziła pozostałych przy życiu niewolników do twierdzy, której nie mogą opuścić, bo Lukullus trzyma ich w oblężeniu. Zdołał też skłonić część ziemian do powrotu, co zapewni jakieś zbiory, a niewolnicza armia nie pustoszy już całych połaci Sycylii. Nowy namiestnik obejmie umocnione stanowisko, kłaniając się na prawo i lewo i odbierając honory. Powiadam ci, Gajuszu Mariuszu, ambicja przy braku talentu to najbardziej niebezpieczna rzecz pod słońcem.

Edepol, edepol, to była dość spora dygresja, nieprawdaż? Jestem oburzony traktowaniem Lukullusa i bardzo mi go żal.

Wróćmy jednak do opowieści o Skaurusie w Ostii i przypadkowym spotkaniu z agentem zbożowym z Sycylii. Kiedy przed zeszłorocznymi żniwami myślano, że co czwarty pracujący w polu niewolnik zostanie wyzwolony, kupcy zbożowi wykalkulowali sobie, iż jedna czwarta plonów pozostanie nie zżęta na polu z braku rąk do pracy. Nikt się nie kwapił do kupna tej czwartej części, aż do chwili, gdy ten szczur Nerwa wyzwolił w dwa tygodnie ośmiuset niewolników italskich. Agent Skaurusa należał do grupy, która przez te dwa tygodnie objeżdżała Sycylię, gorączkowo wykupując ostatnią ćwiartkę zbiorów za śmiesznie niską cenę. Potem właściciele ziemscy zmusili Nerwę do zamknięcia trybunałów i nagle cała Sycylia znów miała dość rąk do pracy, by zebrać cały plon. Tak więc ta ostatnia ćwiartka kupiona za piosnkę żebraka należała teraz do nieznanej osoby lub osób, a powód masowego wynajmowania pustych spichrzów między Puteolą a Rzymem stał się oczywisty. Ostatnia ćwiartka miała być złożona w tych spichrzach do przyszłego roku, kiedy to nalegania Rzymu na wyzwolenie italskich niewolników rzeczywiście spowodują gorsze niż zwykle żniwa na Sycylii i wyższe ceny zboża. Owe przedsiębiorcze osoby nie wzięły jednak w rachubę powstania niewolników. Nie zżęto ani jednej z czterech ćwiartek. Wielki plan zrobienia ogromnych zysków spełził na niczym, a czekające na zboże puste spichrze pozostały puste.

Wróćmy jednak do tych gorączkowych dwóch tygodni, podczas których Nerwa wyzwolił część italskich niewolników, a grupa kupców zbożowych starała się wykupić ostatnią ćwiartkę. Gdy tylko zamknięto trybunały, nasza grupa kupców została napadnięta przez jakichś uzbrojonych zbójców i wszyscy co do jednego zginęli. Tak w każdym razie myśleli zbójcy, jeden z kupców bowiem, ten, który rozmawiał w Ostii ze Skaurusem, udawał martwego i uszedł z życiem.

Skaurus zwąchał pismo nosem. Ależ on ma nos! A jaką głowę! Od razu zobaczył schemat, którego nie dostrzegł kupiec. Grzebiąc w ziemi niczym terier, odkrył, że owe nieznane osoby to nikt inny jak nasi szanowni ubiegłorocznik konsulowie, Gajusz Flawiusz Fimbria i obecny namiestnik Macedonii Gajusz Memiusz. Zostawili w zeszłym roku fałszywy trop dla naszego teriera, który doprowadził go do kwestora w Ostii - naszego kłopotliwego trybuna ludowego Saturnina.

Kiedy Skaurus zgromadził już wszystkie dowody, przeprosił Saturnina, i to dwukrotnie - wstając raz w kurii i raz w komicjach. Został upokorzony, ale bez uszczerbku dla swej *dignitas*. Świat lubi szczere przyznania się do

błędów. Muszę też powiedzieć, że Saturninus nigdy nie traktował jakoś szczególnie Skaurusa, kiedy wrócił do kurii jako trybun ludowy. I on wstał dwukrotnie, raz w kurii i raz w komicjach, i powiedział Skaurusowi, że nigdy nie miał do niego pretensji, bo widział, jak przebiegli są prawdziwi winowajcy, i że jest mu niezmiernie wdzięczny za przywrócenie dobrego imienia. Tak więc i *dignitas* Saturnina nie doznała uszczerbku, a świat lubi zgrabne przyjęcia zgrabnych przeprosów.

Skaurus zaproponował Saturninowi oskarżenie Fimbrii i Memiusza w jego nowym trybunale i oczywiście Saturninus przyjął propozycję. Czekamy, aż posypią się iskry, a kiedy Fimbria i Memiusz staną przed sądem, nie będzie żadnej zasłony dymnej. Chyba zostaną skazani przez ten trybunał złożony z ekwitów, bo wielu handlujących zbożem ekwitów straciło wtedy pieniądze, a Fimbria i Memiusz są obwiniani o całe to sycylijskie zamieszanie. Rzecz sprowadza się do tego, że czasem winowajcy otrzymują, co im się należy.

Druga historia z Saturninem jest o wiele zabawniejsza i o wiele bardziej intrygująca. Wciąż jeszcze nie wiem, czy nasz oczyszczony z zarzutów trybun ludowy poznał się na niej.

Przed dwoma tygodniami ktoś wystąpił na Forum, wdrapując się na rostra - puste, bo nie odbywało się żadne zebranie komicjów i nasi mówcy amatorzy mieli dzień wolny - i ogłosił całemu dolnemu Forum, że nazywa się Lucjusz Ekwicjusz, że jest wyzwolencem i obywatelem rzymskim z Firmum Picenum, i - teraz uważaj, Gajuszu Mariuszu - że jest synem Tyberiusza Semproniusza Grakcha!

Jego opowieść trzymała się kupy. Jego matka, wolna Rzymianka z dobrej, choć ubogiej rodziny, zakochała się w Tyberiuszu Grakchu, a on w niej. Nie była oczywiście dość dobrze urodzona, by się mogli pobrać, została więc jego kochanką. Mieszkali w małym, ale wygodnym domu w jednej z wiejskich posiadłości Tyberiusza. We właściwym czasie przyszedł tam na świat Lucjusz Ekwicjusz - jego matka nazywała się Ekwicja.

Potem Tyberiusz Grakchus został zamordowany, a Ekwicja zmarła niedługo później, pozostawiając syna pod opieką Kornelii, matki Grakchów. Kornelia nie była jednak wcale uszczęśliwiona tym, że wyznaczono ją na opiekunkę bękartu jej syna. Oddała go pod opiekę pary niewolników w jednej ze swoich posiadłości pod Misenum. Potem kazała go sprzedać jako niewolnika komuś w Firmum Picenum.

Mówi, że nie wiedział, kim jest. Jeśli jednak było tak, jak mówił, nie mógł być niemowlęciem, kiedy zginął jego ojciec, Tyberiusz Grakchus, a więc kłamie. W każdym razie, sprzedany w niewolę do Firmum Picenum, tak się przykładał do pracy i tak był lubiany przez właścicieli, że gdy zmarł *pater familias*, został nie tylko wyzwolony, ale i wyznaczony na dziedzica rodzinnej fortuny. Otrzymał doskonałe wykształcenie, objął dziedzictwo i zaczął prowadzić interesy. W następnych kilku tam latach służył w legionach i dorobił się fortuny. Z tych opowieści wynika, że powinien mieć koło pięćdziesiątki, a wygląda na trzydzieści.

Później spotkał kogoś, kto narobił wiele hałasu wokół jego podobieństwa do Tyberiusza Grakcha. On sam zawsze wiedział, że jest Italczykiem,

nie cudzoziemcem, i mocno się zastanawiał, jak mówi, kim byli jego rodzice. Zachęcony odkryciem, że wygląda jak Tyberiusz Grakchus, dotarł do pary niewolników, którym oddała go Kornelia, matka Grakchów, i od nich dowiedział się o swym pochodzeniu. Czy to nie wspaniałe? Nie zdecydowałem jeszcze tylko, czy to grecka tragedia czy rzymska farsa.

Nasi łatwowierni bywalcy Forum oszaleli na jego punkcie i w ciągu jednego czy dwóch dni Lucjusz Ekwicjusz był wszędzie fetowany jako syn Tyberiusza Grakcha. Szkoda, że prawowici synowie tamtego nie żyją. Nawiasem mówiąc, Lucjusz Ekwicjusz bardzo przypomina Tyberiusza Grakcha. To dość niesamowite. Mówi jak tamten, chodzi jak tamten, robi takie same miny i nawet dłubie w nosie w taki sam sposób. Chyba to właśnie zraziło mnie do Lucjusza Ekwicjusza. To podobieństwo jest zbyt doskonałe. To jakiś bliźniak, a nie syn. Synowie nie przypominają ojców w każdym szczególe. Widziałem to wiele razy. Jest w tym coś z kobiety, która po porodzie poświęca wiele energii na zapewnienie taty, że w jego potomku widać podobieństwo do jej stryjecznego dziadka Lucjusza Utracjusza.

My, stare pierniki z senatu, wiemy też, że Saturninus popiera tego Lucjusza Ekwicjusza, że zaczął występować z nim na rostrach i że zachęca go do zbierania stronników. Nie minął tydzień, a Ekwicjusz stał się bohaterem całego Rzymu o dochodach niższych od trybuna skarbu, ale wyższych od Policzonych Głowami. Wiesz, o kim mówię - o handlarzach, sklepikarzach, artystach, małorolnych gospodarzach - o kwiecie klasy trzeciej, czwartej i piątej. Oni całują ziemię, po której stąpali bracia Grakchowie - wszyscy ci mali, uczciwi, pracowici ludzie, którzy nie głosują zbyt często w swoich *tribus*, ale dość często, by uważać się za coś lepszego od wyzwolenców i Policzonych Głowami. To ci, którzy są zbyt dumni, by przyjmować datki, ale nie dość bogaci, by kupować zboże po astronomicznych cenach.

Ojcowie spisani z senatu, zwłaszcza noszący togi z purpurowym szlakiem, są tym wszystkim zaniepokojeni i nieco zmartwieni udziałem w tym Saturnina, który jest prawdziwą zagadką. Co jednak można było zrobić?

W końcu nikt inny jak nasz nowy Pontifex Maximus Ahenobarbus (ma on nowy przydomek, który już się zdążył przyjąć - Pipinna!) zaproponował, by sprowadzić siostrę braci Grakchów (i wdowę po Scypionie Emilianie, nieprędko zapomniony o ich małżeńskich awanturach) i skonfrontować ją na rostrach z przypuszczalnym samozwańcem.

Doszło do tego po trzech dniach. Saturninus stał z boku, szczerząc zęby jak głupiec - ale on nie jest głupcem, o co mu więc właściwie chodzi? - Lucjusz Ekwicjusz patrzył zaś obojętnie na tę pomarszczoną jak zaszuszone jabłuszko kobietę. Ahenobarbus Pipinna przybrał pontyfikalną pozę, ujął Sempronię za ramiona - wcale jej się to nie spodobało i strząsnęła jego ręce niczym włochatego pająka - i zapytał groźnym głosem: »Córko Tyberiusza Semproniusza Grakcha Starszego i Kornelii Afrykańskiej, czy poznajesz tego człowieka?«

Ona oczywiście warknęła, że widzi go pierwszy raz w życiu i że jej najdroższy i najukochańszy brat Tyberiusz nigdy nie odkorkował swej

flaszki wina poza świętymi więzami małżeństwa, więc cała sprawa jest zupełnym nonsensem. Potem zaś zaczęła okładać Ekwicjusza swą laską z hebanu i kości słoniowej i zrobiła się z tego najobrzydliwsza farsa, jaką widziałem w życiu - szkoda, że nie było tu Lucjusza Korneliusza Sulli: Miałby zabawę!

W końcu Ahenobarbus Pipinna (uwielbiam ten przydomek, a nadał mu go nie kto inny jak Metellus Numidyjski!) musiał spuścić ją z rostrów, podczas gdy widownia wyła ze śmiechu, a Skaurus śmiał się do łez i to tym bardziej, im bardziej Pipinna, Świński i Prosiak wytykali mu niegodne senatora zachowanie.

Gdy tylko Lucjusz Ekwicjusz został sam na rostrach, wszedł tam Saturninus i spytał, czy wie, kim jest ta stara wiedźma. Ekwicjusz odrzekł, że nie wie, albo też nie słuchał przedtem ryków Ahenobarba, albo kłamał. Saturninus wyjaśnił mu jednak w paru słowach, że to jego cioteczka Sempronia, siostra braci Grakchów. Ekwicjusz odrzekł ze zdumioną miną, że nigdy w życiu nie widział cioteczki Sempronii i że zdziwiłby się, gdyby Tyberiusz Grakchus powiedział swej siostrze o kochance i dziecku w zacisznym gniazdku miłości.

Tłum wyraził uznanie dla tej rozsądnej odpowiedzi i rozszedł się w przekonaniu, że Lucjusz Ekwicjusz jest nieślubnym synem Tyberiusza Grakcha. A w senacie - nie wspominając o Ahenobarbie - zbiera się na burzę. Nie dotyczy to Saturnina, który się uśmiecha, Skaurusa, który śmieje się w głos, i mnie”.

Publiusz Rutyliusz Rufus westchnął i rozprostował zdrętwiałą dłoń. Gdyby jak Mariusz nie lubił pisania, nie dałby się wciągnąć we wszystkie te rozkoszne szczegóły, dzięki którym pismo o pięciu kolumnach różni się od pisma o trzydziestu pięciu.

„I to już zdecydowanie wszystko, drogi Gajuszu Mariuszu. Gdybym posiedział chwilę dłużej, wymyśliłbym więcej zabawnych opowieści i w końcu zasnąłbym z nosem w kałamarnicy. Chciałbym, by istniał lepszy - czyli tradycyjnie rzymski - sposób zapewnienia ci dowództwa niż ubieganie się znów o konsulat. Nie wiem też, czy ci się uda, chyba jednak się uda. Bądź zdrow. I pamiętaj, że nie jesteś już kogucikiem, nie zadzieraj więc ogona ponad grzebień. Napiszę znowu, kiedy zdarzy się coś ciekawego”.

Gajusz Mariusz otrzymał ten list na początku listopada. Kiedy już zdażył się przezeń przegryźć i zamierzał przeczytać go ponownie dla przyjemności, pojawił się Sulla. Z miejsca dał do zrozumienia, że wrócił na dobre, bo zgolił swe niezwykle długie i obwisłe wąsy i miał ogoloną głowę. Kiedy więc Sulla z błogością zażywał kąpieli, Mariusz czytał mu list i był uszczęśliwiony, mogąc dzielić z nim takie rozkosze.

Ulokowali się w osobistej pracowni wodza. Mariusz polecił, by mu nikt nie przeszkadzał, nawet Maniusz Akwiliusz.

- Zdejmże tę przeklętą obręcz! - powiedział, kiedy ubrany już po rzymsku w tunikę Sulla pochylał się i odsłonił przy tym ruchu ów wielki złoty naszyjnik.

Ale Sulla pokręcił przecząco głową, uśmiechając się i muskając palcami

wspaniałe smocze łby stanowiące zakończenia prawie całkowicie zamkniętego koła.

- Nie, chyba nigdy jej nie zdejmę, Gajuszu Mariuszu. Barbarzyńska, nieprawdaż?

- Nie pasuje do Rzymianina - zrzędził Mariusz.

- Kłopot w tym, że ona przynosi mi szczęście, więc nie mogę jej zdjąć, bo je stracę - ułożył się na sofie z westchnieniem zmysłowego zadowolenia. - Ach, jak miło jest ułożyć się znów na sposób ludzi cywilizowanych! Tak długo ucztowałem wyprostowany za stołem i z tyłkiem na drewnianych twardych ławach, że ludzie ucztujący na biesiadnych łożach zaczęli wydawać mi się snem. I jak miło jest móc zachować umiar! I Galowie, i Germanie robią wszystko bez umiaru - jedzą i piją, póki nie wyrzyczą wszystkiego na siebie nawzajem, albo głodzą się do pół śmierci, bo wyruszyli na wyprawę lub do bitwy, nie pomyślawszy o jedzeniu. Ach, są jednak zażarci w boju, Gajuszu Mariuszu! Są dzielni! Powiadam ci, gdyby mieli choć dziesiątą część naszej organizacji i dyscypliny wewnętrznej, nigdy byśmy ich nie pobili.

- Na szczęście nie mają nawet jednej setnej tych rzeczy, więc ich pobijemy. Chyba to chciałeś powiedzieć? Wypij to. To falern.

Sulla wypił długi łyk, ale powoli.

- Wino, wino! Nektar bogów, balsam dla zbolątych serc, spoiwo dla pękniętej duszy! Jak mogłem żyć bez niego? - zaśmiał się. - Mogę do końca życia nie oglądać rogu miodu albo kufla piwa! Wino to cywilizacja. Żadnych beknięć ani puszczania wiatrów, ani rozdętego brzucha - piwo robi z człowieka istny chodzący zbiornik.

- A co z Kwintusem Sertoriuszem? Wszystko dobrze, mam nadzieję?

- Już tu zmierza, ale podróżowaliśmy osobno, ja zaś chciałem zdać ci sprawę na osobności.

- Jak sobie życzysz, Lucjuszu Korneliuszu, i jak długo zechcesz. - Mariusz patrzył na Sullę ze wzruszeniem.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Od początku. Kim oni są? Skąd przychodzą? Jak długo trwa ich wędrówka?

Sulla przymknął oczy, rozkoszując się winem.

- Oni nie nazywają sami siebie Germanami i nie uważają się za jeden lud. Są Cymbrami, Teutonami, Markomanami, Cheruskami i Tygurynami. Ojczyzną Cymbrów i Teutonów jest jakiś długi i szeroki półwysep leżący na północ od Germanii, dość niejasno opisywany przez niektórych geografów greckich, którzy zwą go Chersonezem Cymbryjskim. Wydaje się, że jego północna połowa jest ojczyzną Cymbrów, a połowa łącząca się z kontynentem ojczyzną Teutonów. Chociaż uważają siebie za odrębne ludy, bardzo trudno jest uchwycić jakieś cechy fizyczne właściwe dla któregoś z ludów, chociaż języki są nieco odmienne - rozumieją się jednak wzajemnie.

- Nie byli koczownikami, ale też nie uprawiali zboża i nie prowadzili gospodarstw w naszym rozumieniu. Zdaje się, że zimy mają raczej mokre niż śnieżne i że na ich ziemi przez cały rok rośnie znakomita trawa. Żyli

więc z bydła - i z bydlęm - i uprawiali trochę żyta i owsa. Żywili się mięsem i mlekiem z dodatkiem paru warzyw, czarnego chleba i owsianki.

- A potem, chyba w roku śmierci Gajusza Grakcha - prawie dwadzieścia lat temu w każdym razie - przyszedł powódź. Zbyt wiele było śniegu w górach, z których płyną ich wielkie rzeki, zbyt wiele padało deszczu i zbyt wysokie były przypływy. Ocean Atlantycki zalał cały półwysep. Kiedy zaś morze się cofnęło, okazało się, że ziemia jest zbyt słona dla trawy i że studnie są zasolone. Zbudowali więc armię wozów, zebrali ocalałe bydło i konie i wyruszyli szukać nowej ojczyzny.

Mariusz słuchał z takim zainteresowaniem, że zapomniał o winie, wyprostowany w swoim krześle.

- Wszyscy? Ilu ich było?

- Nie wszyscy, o nie. Starzy i słabi dostali pałką w łeb. Pochowano ich w wielkich kurhanach. Tylko wojownicy, młode kobiety i dzieci wyruszyli na wędrowkę. O ile mogę ocenić, prawie sześćset tysięcy ruszyło na południe doliną wielkiej rzeki, którą nazywamy Albis.

- Przecież ta część świata jest słabo zaludniona - rzekł Mariusz, marszcząc brwi. - Czemu nie zostali nad Albis?

Sulla wzruszył ramionami.

,- Któż to może wiedzieć, skoro oni sami nie wiedzą? Wygląda na to, że oddali się całkowicie w ręce swoich bogów i czekają na jakiś boski znak, który powie im, że znaleźli nową ojczyznę. Z pewnością nie natrafili na opór w czasie pochodu, a w każdym razie nie nad Albis. Dotarli w końcu do źródeł tej rzeki i ujrzeli wysokie góry, pierwsze za pamięci ich narodu. Chersonesz Cymbryjski jest płaski i nizinny.

- Oczywiście, skoro ocean może go zatopić - powiedział Mariusz i pośpiesznie podniósł dłoń. - To było powiedziane bez ironii, Lucjuszu Korneliuszu! Nie jestem mocny w słowach ani zbyt taktowny. - Wstał, by dolać wina Sulli. - A więc te góry zrobiły na nich potężne wrażenie?

- Otóż to. Ich bogowie byli bogami niebios, kiedy jednak ujrzeli oni te wieżyce muskające podbrzusza chmur, zaczęli oddawać cześć bogom żyjącym pod górami i wydobyli ich na światło dzienne. Od tego czasu nigdy nie oddalili się od gór. W czwartym roku wędrowki przekroczyli górski dział wodny i przeszli z dorzecza Albis do dorzecza Danubu, rzeki dobrze nam znanej. A potem skierowali się na wschód, idąc z biegiem Danubu ku równinom Getów i Sarmatów.

- Czy tam właśnie zmierzali? - spytał Mariusz. - Do Morza Euksyńskiego?

- Na to wygląda - odrzekł Sulla. - Bojowie przeszkodzili im jednak wejściu do kotliny północnej Dacji, musieli więc iść dalej z biegiem Danubu, skręcającym na południe, ku Pannonii.

- Ci Bojowie są oczywiście Celtami - powiedział z zastanowieniem Mariusz. - Celtowie nie łączyli się z Germanami, o ile wiem.

- Nie, na pewno nie. Ciekawe jednak, że ci Germanie nigdzie się nie zatrzymali, żeby walczyć o ziemię. Na pierwszy znak oporu miejscowych plemion ruszali dalej. Tak właśnie wycofali się z ziem Bojów. Potem u zbiegu Danubu z Tisją i Savus natknęli się na kolejną ścianę Celtów, tym

razem Skordysków.

- Naszych starych wrogów! - wykrzyknął Mariusz, szczerząc zęby. - Czy to nie pocieszające wiedzieć, że my i Skordyskowie mamy wspólnego wroga?

Rudozłota brew uniosła się.

- Niezbyt pocieszające, jeśli zważyć, że było to piętnaście lat temu i że nic o tym nie wiemy.

- Co dziś nie powiem, wszystko głupio, nieprawdaż? Wybacz, Lucjuszu Korneliuszu. Ty to przeżyłeś, a ja siedzę tu tak podniecony, że co chwila gryzę kciuki.

- W porządku, Gajuszu Mariuszu, rozumiem to - uśmiechnął się Sulla.

- Dalej, dalej!

- Chyba jednym z ich największych problemów jest brak przywódcy Z prawdziwego zdarzenia. Nie mają też żadnego... planu ogólnego, że tak to nazwę. Oni po prostu czekają, aż przyjdzie dzień, gdy jakiś wielki król pozwoli im osiedlić się w jakiejś wolnej części jego kraju.

- A wielcy królowie jakoś się do tego nie palą - dorzucił Mariusz.

- Właśnie. W każdym razie zawrócili i ruszyli na zachód, tyle że odeszli od Danubu. Najpierw szli wzdłuż rzeki Savus, potem skręcili nieco na północ z biegiem rzeki Dravus, kierując się ku jej źródłom. Ponad sześć lat nieustannie wędrowali, zatrzymując się najwyżej na parę dni.

- Czy nie podróżują na wozach?

- Rzadko. Są uwiązani do swego bydła, więc nic ich nie pogania. Wóz jest środkiem transportu tylko, jeśli ktoś jest chory albo zanosi się na poród.

- Sulla westchnął.

- Wiemy, oczywiście, co było potem. Wkroczyli do Norykum i do kraju Taurysków.

- Ci zaś zwrócili się o pomoc do Rzymu, a Rzym wysłał przeciw nim Karbona, który stracił całą swoją armię - powiedział Mariusz.

- I jak zawsze Germanie cofnęli się przed trudnościami - ciągnął Sulla. - Zamiast najechać Galię Italską, weszli w wysokie góry i wrócili do Danubu, nieco na wschód od jego zbiegu z rzeką Aenus. Bojowie nie pozwoliliby im iść na wschód, poszli więc na zachód przez kraj Markomanów. Z jakichś powodów, których nie mogłem pojąć, znaczna część Markomanów przyłączyła się do Cymbrów i Teutonów w siódmym roku ich wędrówki.

- A co z tą burzą z piorunami? - spytał Mariusz. - Wiesz, z tą, która przerwała bitwę Germanów z Karbonem i ocaliła przynajmniej część jego ludzi. Mówi się, że Germanie uznali burzę za znak gniewu bogów i że to nas ocaliło przed inwazją.

- Wątpię - odrzekł spokojnie Sulla. - Ach, jestem pewien, że gdy zerwała się burza, Cymbrowie - bo to Cymbrowie walczyli z Karbonem - uciekli przerażeni, ale nie wierzę, że to burza odepchnęła ich od Galii Italskiej. Prawdziwą przyczyną wydaje się ich niechęć do wojowania o jakieś terytorium.

- Fascynujące! A my tu patrzymy na nich jak na hordy barbarzyńców

rwących się do Italii. - Mariusz spojrział przenikliwie na Sullę. - A co było potem?

- Cóż, tym razem poszli wzdłuż Danubu aż do jego źródeł. W ósmym roku wędrówki dołączyła do nich gromada prawdziwych Germanów, Cherusków znad rzeki Visurgis, a w roku dziewiątym helweccy Tygurynowie ze wschodniego brzegu jeziora Lemanna, którzy niewątpliwie są Celtami. Jak zresztą i Markomani. Zarówno jednak Markomani, jak Tygurynowie są bardzo germańskimi Celtami.

- Chcesz powiedzieć, że sprzyjają Germanom?

- Bardziej niż swoim pobratymcom Celtom! - Sulla uśmiechnął się szeroko. - Markomani wojowali od wieków z Bojami, a Tyguryjni z Helwetami. Widok germańskich wozów podsunął im chyba myśl o odmianie losu i wędrówce do nieznanych krajów. Zanim więc wędrowcy wkroczyli przez Jurę do Galii Długowłosych, było ich już osiemset tysięcy.

- I wszyscy oni spadli na karki nieszczęsnych Eduów i Ambarów i tam już pozostali.

- Przez trzy lata - skinął głową Sulla. - Widzisz, ci Eduowie i Ambarowie to ludy oswojone, zromanizowane. Gnejusz Domicjusz powyrywał im kiedyś zęby dla zabezpieczenia naszej Galii Zaalpejskiej. A Germanie zasmakowali w naszym białym chlebie. Nadaje się do smarowania tym ich masłem! I do maczania w ich krwistych befsztykach.

- Mówisz to z uczuciem, Lucjusz Korneliuszu.

- Bo się tym przejmuję! - Uśmiech zgasł. Sulla wpatrywał się w zamyśleniu w powierzchnię swego wina, a potem podniósł wzrok na Mariusza. Jego jasne oczy błyszczały. - Wybrali sobie najwyższego króla - powiedział nagle.

- Oho! - rzekł cicho Mariusz.

- Zwie się Bojoryks i jest Cymbrem. Cymbrowie są najliczniejszym z ich ludów.

- Ma celtyckie imię - powiedział Mariusz. - Bojoryks jak Bojowie, bardzo potężny naród. Wszędzie są kolonie Bojów - w Dacji, Tracji, Galii Długowłosych, Galii Italskiej, Helwecji. Kto wie, może dawno temu założyli kolonię i wśród Cymbrów. Zresztą, jeśli sam Bojoryks mówi, że jest Cymbrem, jest Cymbrem. Nie są chyba aż tak prymitywni, by nie wiedzieć, skąd pochodzą.

- Prawdę mówiąc, wiedzą bardzo mało o swoim pochodzeniu - powiedział Sulla, unosząc się na łokciu. - Nie dlatego, że są aż tak prymitywni, ale dlatego, że ich system społeczny jest całkiem odmienny od naszego i wszystkich innych ludów znad Morza Środkowego, jeśli już o tym mowa. Nie są oni rolnikami, a kiedy człowiek nie posiada ziemi i nie uprawia jej od pokoleń, nie rozwija się w nim poczucie przywiązania do miejsca. Nie rozwija się też poczucie więzów rodzinnych. Życie plemienne - zbiorowe, jeśli wolisz - jest ważniejsze. Oni skłaniają się do zbiorowego żywienia, i to ma dla nich sens. Kiedy domy są tylko pozbawionymi kuchni chatami do spania albo wozami, wygodniej jest upiec całego wołu i wyżywić nim całą gromadę.

- Ich genealogia dotyczy plemienia albo zbiorowiska plemion składa-

jących się na lud. Mają swoich bohaterów, o których śpiewają pieśni, ale przypisują im nieprawdopodobne czyny - jakiś wódz sprzed ledwie dwóch pokoleń zachowuje się jak Perseusz czy Herkules. Ich pojęcie miejsca jest równie mgliste, a stanowisko - wodza, thana czy też czarownika - jest ważniejsze niż człowiek, który je piastuje. Taki człowiek utożsamiany jest ze stanowiskiem. Odsuwa się on od swej rodziny, a rodzina nie zyskuje na znaczeniu wraz z nim. Kiedy umiera, jego stanowisko dostaje się komuś wybranemu przez plemię, bez oglądania się na to, co nazwalibyśmy przyrodzonym prawem. Ich idea rodziny jest całkiem odmienna od naszej, Gajuszu Mariuszu - rzekł Sulla i uniósł się na łokciu, by dolać sobie wina.

- Ty naprawdę żyłeś ich życiem! - Mariuszowi zaparło dech.

- Musiałem. - Sulla pociągnął łyk, obniżając poziom wina w pucharze, a potem dolał wody. - Odzwyczaiłem się od tego - powiedział z nutą zdziwienia w głosie - ale przyzwyczaję się na nowo. - Zmarszczył brwi.

- Zdołałem dostać się między Cymbrów, kiedy usiłowali sforsować Pireneje, w zeszłym roku w listopadzie, po rozmowie z tobą.

- Jakim sposobem? - spytał zafascynowany Mariusz.

- Cóż, cierpieli jak każdy naród w przedłużającej się wojnie, jak choćby my po Arauzjonie. Skoro naród, z wyjątkiem starych i obłożnie chorych, stanowi jedność, każdy ginący wojownik może pozostawić wdowy i sieroty. Te kobiety stają się obciążeniem, chyba że ich synowie są na tyle dorośli, by zostać wojownikami. Wdowy muszą więc starać się o nowych mężów pośród wojowników nie dość dorosłych lub nie dość przedsiębiorczych, by mieć kobietę. Jeśli kobieta zdoła związać się z innym wojownikiem, pozwala się jej wędrować dalej. Jej wóz jest jej posagiem. Co prawda nie wszystkie wdowy mają wozy. I nie wszystkie wdowy znajdują nowych mężów. Posiadanie wozu bardzo w tym pomaga. Daje im się trzy miesiące na zawarcie nowych związków - jedną porę roku. Potem zabija się je wraz z dziećmi, a członkowie plemienia nie posiadający wozów ciągną losy o ich wozy. Zabija się też tych, którzy są zbyt starzy, by plemię miało z nich pożytek, a także zbędne dziewczynki.

Mariusz skrzywił się.

- A ja uważałem nas za twardych ludzi!

Sulla pokręcił głową.

- Cóż to jest twardość, Gajuszu Mariuszu? Ci Germanie i Galowie są jak inne ludy. Ich struktura społeczna służy przetrwaniu narodu. Ludzie będący ciężarem dla społeczeństwa, które nie może sobie na to pozwolić, muszą odejść. Czy lepiej zostawić ich na pastwę losu bez żadnej opieki, czy też dać im pałką w łeb? Czy lepiej umierać powoli z głodu i zimna, czy szybko i bezboleśnie? Oto jak oni to widzą. I my musimy tak to widzieć.

- Chyba tak - przyznał Mariusz niechętnie. - Osobiście lubię starych ludzi. Warto ich żywić i dawać im schronienie, żeby móc ich słuchać.

- To dlatego, że możemy sobie na to pozwolić. Rzym jest bardzo bogaty. Rzym może zatem pozwolić sobie na wspieranie tych, którzy nie przynoszą pożytku społeczeństwu. Nie potępiamy jednak odrzucania niechcianych dzieci, nieprawdaż?

- Oczywiście, że nie!

- Więc gdzie różnica? Kiedy ci Germanie znajdą ojczyznę, staną się podobni do Galów. A znów Galowie stykający się z Grekami lub Rzymianami stają się podobni do Greków lub Rzymian. Posiadanie ojczyzny umożliwi tym Germanom złagodzenie obyczajów. Zdobędą dość bogactw, by wyżywić swoich starców i wdowy z sierotami. Nie są mieszkańcami miast, to wieśniacy. Czy zauważyłeś, że miasta rządzą się innymi prawami? Miasta rodzą choroby, żeby pozbyć się starych i niedołężnych, miasta umniejszają chłopskie przywiązanie do miejsca i do rodziny. Im większy staje się Rzym, tym bliższy jest tym Germanom.

Mariusz podrapał się w głowę.

- Pogubiłem się, Lucjuszu Korneliuszu. Wracajmy do tematu, proszę! Co się z tobą działo? Czy znalazłeś sobie jakąś wdowę i dołączyłeś do plemienia jako wojownik?

Sulla skinął głową.

- Właśnie tak. Sertoriusz zrobił to samo w innym plemieniu, dlatego widywaliśmy się rzadko i tylko żeby wymienić spostrzeżenia. Obaj znaleźliśmy kobiety z wozami i bez mężów, już po tym, jak zostaliśmy wojownikami, oczywiście. Byliśmy wojownikami przed widzeniem się z tobą w zeszłym roku, a kobiety znaleźliśmy po powrocie.

- I nie odepchnęli was? Mimo wszystko udawaliście Galów, nie Germanów.

- To prawda. Walczyliśmy jednak dobrze. Żaden wódz plemienia nie kręci nosem na dobrych wojowników - rzekł Sulla i uśmiechnął się szeroko.

- Przynajmniej nie kazano wam zabijać Rzymian. Pewnie byście to zrobili, gdyby było trzeba.

- Z pewnością - przyznał Sulla. - A ty nie?

- Oczywiście, zrobiłbym to. Człowiek powinien walczyć dla ratowania wielu, a nie dla nielicznych - twarz mu pojaśniała - chyba że uda mu się pogodzić jedno z drugim.

- Byłem wojownikiem Galów Karnutów w służbie Cymbrów - powiedział Sulla, równie zakłopotany filozofowaniem Mariusza, jak Mariusz jego filozofowaniem. - Na przedwiośniu zwołano wielką radę wodzów wszystkich plemion. Cymbrowie przewędrowali tymczasem na najdalszy zachód, w nadziei na wdarcie się do Hiszpanii przez obniżenie Pirenejów. Radę zwołano na brzegu rzeki zwanej przez Akwitanów Aturis. Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie szczepy Kantabrow, Asturów, zachodnich Luzytanów i Waskonów zebrały się po hiszpańskiej stronie gór, by omówić sprawę przejścia Germanów przez ich kraje. Na tej radzie ni stąd, ni zowąd pojawił się Bojoryks!

- Pamiętam doniesienia Kotty po Arauzjonie - powiedział Mariusz.

- To ten wódz, który poróżnił się z Teutonem Teutobodem.

- On jest młody - ciągnął Sulla - ma najwyżej trzydziestkę. Jest niezwykle wysoki i zbudowany jak Herkules. Ma stopy wielkości Tybrowych zębaczy. Najciekawsze jest jednak, że on myśli po naszymu. Sposób myślenia Galów i Germanów jest tak różny od myślenia ludów Morza Środkowego, że wydają się nam oni barbarzyńcami. W ciągu

ostatnich miesięcy Bojoryks okazał się jednak dość niezwykłym barbarzyńcą. Po pierwsze, nauczył się czytać i pisać - po łacinie, nie po grecku. Już ci chyba mówiłem, że wykształceni Galowie skłaniają się ku łacinie...

- O Bojoryksie, Lucjuszu Korneliuszu! O Bojoryksie!

Sulla uśmiechnął się i wrócił do tematu.

- Tak, mówmy o Bojoryksie. Przez cztery lata miał w radzie duże wpływy, ale tej wiosny zdobył pozycję najwyższego wodza. Możemy go nazywać królem, bo do niego należy ostateczna decyzja we wszystkich sprawach i nie obawia się on konfrontacji ze swoją radą.

- Jak mu się to udało?

- Starym sposobem. Germanie i Galowie nie urządzają wyborów, chociaż czasem głosują na radzie. Decyzje rady zapadają zwykle po myśli tych, którzy najdłużej są trzeźwi albo mają najdonośniejszy głos. Co do Bojoryksa, wywalczył sobie tytuł króla. Wyzwał i pozabijał wszystkich konkurentów. Nie w jakimś pojedynczym starciu - zabijał po prostu jednego dziennie, aż nie było więcej chętnych do walki. Łącznie jedenastu thanów podawało w wątpliwość jego prawa. Teraz gryzą ziemię na stary, dobry, homerycki sposób.

- Zabić rywali i zostać królem - powiedział Mariusz w zamyśleniu.

- A gdzie tu satysfakcja? To po barbarzyńsku! Kiedy pokonujesz rywala w dyskusji albo w sądzie, on nadal żyje i walczy. Trzeba mieć żywych rywali i okazywać, że się jest od nich lepszym. Nie da się tego zrobić, kiedy są martwi.

- Zgoda, ale w świecie barbarzyńskim - albo w świecie wschodnim, jeśli już o tym mowa - wszyscy dążą do pozbycia się rywali. Tak jest bezpieczniej.

- A co się działo z Bojoryksem, kiedy już został królem?

- Odradził Cymbrom marsz do Hiszpanii. Przekonał ich, że Italia jest znacznie przystępniejsza i że powinni połączyć się z Teutonami, Tygurynami, Markomanami i Cheruskami. Zostałby wtedy królem wszystkich Germanów.

Sulla napelił na nowo swój puchar, nie żałując wody.

- Przez całą wiosnę i lato szliśmy na północ przez Galię Długowłosych. Przeszliśmy Garumnę, Liger i Sekwanę i weszliśmy na ziemie Belgów...

- Belgów! - Mariuszowi dech zapało. - Widziałeś Belgów?

- Oczywiście - rzekł obojętnie Sulla.

- Walczyli chyba na śmierć i życie?

- Bynajmniej. Król Bojoryks prowadził wtedy coś w rodzaju negocjacji. Przedtem Germanów nie interesowały negocjacje. Kiedy na przykład spotykali się z jakąś naszą armią stojącą im na drodze, wysyłali poselstwo, prosząc o zgodę na przejście przez nasze terytorium. My oczywiście odmawialiśmy. Odjeżdżali wtedy i nigdy nie podejmowali drugiej próby. Nie targowali się i nie pytali, czy jest coś, co chcielibyśmy uzyskać w zamian. Bojoryks tak nie postępuje. Wynegocjował przejście Cymbrów przez Galię Długowłosych.

- Dokonał tego? Co im za to dał?

- Okupił się Galom i Belgom mięsem, mlekiem, masłem - i siłą roboczą. Wymienił swoje bydło na ich piwo i pszenicę. Kazał też swoim wojownikom zorać dodatkowe obszary ziemi, aby plonów starczyło dla wszystkich.

Brwi Mariusza skakały w górę i w dół.

- Sprytny barbarzyńca!

- Jest rzeczywiście sprytny. Przeszliśmy zatem całkiem pokojowo wzdłuż Isary na północ od Sekwany i weszliśmy w końcu na ziemię belgijskich Atuatuków. Atuatukowie to Germanie żyjący nad Mozą i na skraju wielkiego lasu zwanego Arduenna. Ciągnie się on na wschód od Mozy aż do Mozeli i jest nieprzebyty, chyba że jest się Germaninem. Germanie z Germanii żyją w głębi lasów. To ich fortyfikacje.

Mariusz myślał intensywnie, a jego brwi żyły tymczasem własnym życiem.

- Mów dalej, Lucjuszu Korneliuszu. Ci Germanie coraz bardziej mnie interesują.

Sulla skinął głową.

- Spodziewałem się tego. Cheruskowie pochodzą z tej części Germanii, która graniczy z ziemiami Atuatuków, i uważają tamtych za krewniaków. Namówili więc Teutonów, Tygurynów i Markomanów do zatrzymania się wraz z nimi u Atuatuków, dopóki Cymbrowie nie wrócą spod Pirenejów. Kiedy jednak pod koniec sekstyliasa Cymbrowie wrócili, nie zastali tam bynajmniej idylli. Teutoni zdążyli skłócić się z Atuatukami i z Cheruskami, było kilku zabitych i wyraźnie wyczuwało się wrogie nastroje.

- Ale król Bojoryks to załagodził - powiedział Mariusz.

- Król Bojoryks to załagodził! - przyznał z uśmiechem Sulla. - Uspokoił Atuatuków, a potem zwołał wielką radę wędrownych Germanów - Cymbrów, Teutonów, Tygurynów, Cherusków i Markomanów. Na tej radzie ogłosił się królem wszystkich Germanów, nie tylko Cymbrów. Musiał potem stoczyć kilka pojedynków, ale nie ze swymi jedynymi poważnymi rywalami: Teutonem Teutobodem i Tygurynem Getoryksem. Ci dwaj przemyśleli tę sprawę po rzymsku, bo uznali, że sprawią Bojoryksowi więcej kłopotu jako żywi niż jako umarli.

- Skąd to wszystko wiesz? Czyżbyś został wodzem? Siedziałeś tam i słuchałeś?

Sulla usiłował przybrać skromną minę, ale skromność nie leżała w jego charakterze.

- Tak, prawdę powiedziawszy, zostałem thanem, i to dość znacznym, by mnie zapraszano na narady. Moja żona, Hermana - ona pochodzi z Cherusków, a nie z Cymbrów - urodziła mi bliźniaki, i to właśnie wtedy, kiedy dotarliśmy do Mozy. Uznano to za dobry znak i z naczelnika plemienia stałem się thanem grupy plemion - w sam czas, by wziąć udział w wielkiej radzie wszystkich Germanów.

Mariusz ryknął śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że jakiś nieszczęsny Rzymianin stanie w przyszłości przeciw dwóm małym Germanom podobnym do ciebie?

- To możliwe - wyszczerzył zęby Sulla.

- I przeciw kilku małym Kwintusom Sertoriuszom?

- Przeciw co najmniej jednemu.

Mariusz spoważniał.

- Mów dalej, Lucjuszu Korneliuszu.

- Nasz Bojoryks jest bardzo przebiegły. Nie powinniśmy go lekceważyć dlatego, że jest barbarzyńcą. Wystąpił z wielkim planem strategicznym, z którego i ty byłbyś dumny. Nie przesadzam, możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci. Co to za plan?

- W przyszłym roku, gdy tylko pogoda pozwoli, najpóźniej w marcu, Germanie zamierzają najechać z trzech stron Italię. Bojoryks dał wszystkim sześć miesięcy na przebycie drogi znad Mozy do Galii Italskiej.

Pochylili się ku sobie.

- Podzielił ich na trzy osobne armie. Teutoni mają najechać Galie Italską od zachodu. Jest ich ćwierć miliona, prowadzi ich król Teutobod, planują zaś obecnie pochód wzdłuż Rodanu i wybrzeża Ligurii w kierunku Genui i Pisy. Podejrzewam jednak, że skoro całym tym najazdem dowodzi Bojoryks, zmieni im trasę pochodu i skieruje na Via Domicja i Mons Genava. Doprowadzi ich to nad Pad pod Taurazją.

- On się pewnie uczył geografii i łaciny, czyż nie? - spytał Mariusz.

- Mówiłem ci, że umie czytać. Brał też na tortury rzymskich jeńców. Nie wszyscy, którzy nie wrócili spod Arauzjony, zginęli w bitwie. Jeśli wpadli w ręce Cymbrów, Bojoryks trzymał ich przy życiu, póki nie dowiedział się, czego chciał. Nie można ich oskarżać o zdradę, bo Germanie zazwyczaj stosują tortury.

- To oznacza, że Teutoni pójdą tym samym szlakiem, jakim szli przed Arauzjoną. Jakimi drogami pójdą do Galii Italskiej inni?

- Najlicniejszą z tych trzech grup są Cymbrowie. Jest ich co najmniej czterysta tysięcy. Kiedy Teutoni będą szli znad Mozy wprost do Rodanu, Cymbrowie pójdą wzdłuż Renu do Jeziora Brygantyjskiego, a stamtąd na północ przez dział wodny do źródła Danubu. Z biegiem Danubu ruszą na wschód, aż dotrą do rzeki Aenus i wzdłuż niej do przełęczy Brennusa, przez którą wejdą do Galii Italskiej. Doprowadzi ich to nad Atesis i pod Weronę.

- A dowodzić nimi będzie sam Bojoryks. - Mariusz wtulił głowę w ramiona. - Coraz mniej mi się to podoba.

- Trzecia grupa jest najmniejsza i najmniej zwarta - ciągnął Sulla. - Są to Tygurynowie, Markomani i Cheruskowie. Jest ich ze dwieście tysięcy. Bojoryks chciał najpierw posłać ich prosto przez wielkie lasy germańskie, Las Hercyński, Gabretę i tak dalej, i uderzyć przez Panonię na Norykum. Potem chyba zwątpił w ich możliwości, bo kazał im iść w dół Danubu do rzeki Aenus i dalej na wschód aż do Norykum. Mają wkroczyć do Galii Italskiej przez Alpy Karnijskie, co ich zaprowadzi do Tergestu pod Akwileją.

- I mówisz, że każda grupa ma sześć miesięcy na przebycie drogi? Mogę sobie wyobrazić, że Teutoni tego dokonają, ale droga Cymbrów jest znacznie dłuższa, a ci mieszańcy mają najdłuższą drogę z wszystkich.

- I tu się mylisz, Gajuszu Mariuszu. Każda z grup ma do przebycia taką

samą drogę. Każda z tych dróg wymaga przejścia przez Alpy, ale tylko Teutoni pójda przez kraj, przez który dotąd nie przechodzili. Germanie przekraczali Alpy przez ostatnie osiemnaście lat wszystkimi możliwymi drogami! Przechodzili wzdłuż Danubu od jego źródeł aż do Dacji, wzdłuż Renu od jego źródeł aż do Helleli i wzdłuż Rodanu od jego źródeł do Arauzjony. To prawdziwi weterani alpejskich wędrówek.

Mariusz świsnął przez zęby.

- Na Jowisza, to wspaniałe! Czy jednak tego dokonają? Bojoryks musi liczyć na to, że wszystkie grupy dotrą do Galii Italskiej przed... październikiem?

- Myślę, że Teutonom i Cymbrom z pewnością się to uda. Są dobrze dowodzeni i mają dobre powody. Co do reszty, nie jestem pewien. Bojoryks chyba też nie jest.

Sulla zsunął się z łoża i zaczął chodzić po izbie.

- Jest jeszcze coś, i to bardzo poważna sprawa, Gajuszu Mariuszu. Po osiemnastu latach wędrówki Germanie są zmęczeni. Rozpaczliwie pragną osiąść gdzieś na stałe. Wielu chłopców dorasta do wieku wojowników, nie wiedząc, co to ojczyzna. Zaczynają już nawet mówić o powrocie na Chersones Cymbryjski. Morze już dawno się cofnęło i ziemia nie jest już słona.

- Oby tak się stało!

- Na to już za późno! - Sulla wciąż chodził tam i z powrotem. - Zasmakowali już w pszennym chlebie, który mogą smarować tym swoim masłem, przekładać krwistymi befsztykami i maczać w tej ohydnej czerni. Polubili ciepłe słońce i sąsiedztwo wielkich białych gór. Najpierw Panonia i Norykum, potem Galia. Nasz świat jest bogatszy. Odkąd mają Bojoryksa, zaczęli myśleć o zdobyciu tego wszystkiego.

- Póki jestem u władzy, nie zdobędą - rzekł Mariusz, zapadając się w swoje krzesło. - Czy to wszystko?

- Wszystko i nic. - Sulla był markotny. - Mógłbym opowiadać i przez dziesięć dni. Tyle musisz jednak wiedzieć na początek.

- A co z twoją żoną i synami? Czy nie wystawiłeś ich na cios pałką w głowę, bo nie mają wojownika do obrony?

- Czy to nie zabawne? - Sulla pytał sam siebie. - Nie mogłem się na to zdobyć! Kiedy przyszedł na to czas, przekonałem się, że po prostu nie mogę. Zawiozłem Hermanę i chłopców do Cherusków w Germanii, nad rzekę Wisurgis. Jej plemię należy do Cherusków, chociaż zwą ich Marsami. Dziwne, nieprawdaż? My mamy swoich Marsów, a Germanie swoich. Wymowa jest dokładnie taka sama. To zmusza do zastanowienia... Jak my wszyscy znaleźliśmy się tam, gdzie jesteśmy? Czy wędrówka w poszukiwaniu nowej ojczyzny nie leży w naturze ludzkiej? Czy my, Rzymianie, nie znudzimy się któregoś dnia Italią i nie wyruszymy w inne strony? Wiele myślałem o świecie, odkąd przyłączyłem się do Germanów, Gajuszu Mariuszu.

Z niewiadomych powodów ta ostatnia wypowiedź Sulli poruszyła Mariusza prawie do łez. Powiedział łagodniejszym niż zwykle tonem:

- Cieszę się, że jej nie porzuciłeś.

- Ja też, chociaż nie miałem wiele czasu. Martwiłem się, że nie zdążę dotrzeć tu przed wyborami, bo te wiadomości mogły ci się przydać - odchrząknął. - Prawdę mówiąc, podjąłem się - w twoim imieniu, oczywiście - zawarcia traktatu pokoju i przyjaźni z Marsami z Germanii. Myślę, że moim germańskim synom zapachnie jeszcze Rzym, choć mają krótkie nosy Cherusków. Hermana obiecała wychować ich w duchu zyczliwości dla Rzymu.

- Chyba jeszcze ją kiedyś zobaczysz?

- Oczywiście, że nie! - odrzekł stanowczo Sulla. - Ani bliźniaków. Nie zamierzam na nowo zapuszczać włosów i wąsów ani odjeżdżać od Morza Środkowego. Mój rzymski żołądek źle znosi befsztyki, mleko, masło i owsiankę, nie lubię też piwa i nie zamierzam dłużej obchodzić się bez łaźni. Zrobiłem, co się dało, dla Hermany i chłopców, ale powiedziałem jej, że musi poszukać sobie innego i że to będzie rozsądne i właściwe. Moi chłopcy wyrosną na dobrych Germanów i dzielnych wojowników, mam nadzieję! Mam też nadzieję, że mnie przerosną! Jeśli jednak Fortuna nie zechce, by tak się stało... cóż, ja się o tym nie dowiem.

- Otóż to, Lucjuszu Korneliszu. - Mariusz spojrział na swe dłonie ściskające puchar i zdziwił się, widząc pobieliałe kostki palców.

- Jeśli czasem przyznaję rację Metellusowi Świńskiemu w kwestii twojego pochodzenia - powiedział z rozbawieniem Sulla - to wtedy, gdy coś ożywia twoje uśpione wiejskie sentymenty.

- A z tobą, Sullo, najgorsze jest to, że nigdy nie poznam twoich pobudek! Co ci każe poruszać rękami i nogami, skąd się bierze ten wilczy uśmiech? I co naprawdę myślisz. Tego się nigdy nie dowiem.

- Jeśli cię to pociesza, szwagrze, nikt inny też się tego nie dowie - rzekł Sulla. - Nawet ja.



W listopadzie wyglądało na to, że Mariuszowi nie uda się zostać konsulem na rok przyszły. List od Lucjusza Apulejusza Saturnina odbierał wszelkie nadzieje na uchwałę zgromadzenia plebejskiego, pozwalającą mu ubiegać się po raz trzeci o wybór *in absentia*.

„Senat nie będzie tym razem bezczynny, bo w Rzymie panuje przekonanie, że Germanie w ogóle nie przyjdą. Germanie zmienili się, prawdę mówiąc, w jakąś nową lamie, potwora, którym straszono nas tak często, że przestał budzić strach.

Naturalnie, twoi wrogowie robili wiele szumu wokół faktu, że to twój drugi rok spędzony na naprawie dróg i kopaniu kanałów w Galii Zaalpejskiej i że twój pobyt tam z wielką armią kosztuje państwo więcej niż je na to stać, zwłaszcza przy obecnych cenach pszenicy. Sprawdzałem temperaturę elektoratu na okoliczność twego ubiegania się o wybór *in absentia* i prawie odmroziłem sobie palec. Twoje szanse nieco by się poprawiły, gdybyś przybył do Rzymu. Gdybyś to jednak zrobił, twoi wrogowie ogłoszą, że tak zwane zagrożenie w Galii Zaalpejskiej w ogóle nie istnieje.

Zrobię jednak, co będę mógł, głównie organizując poparcie w senacie, otrzymasz więc co najmniej przedłużenie twego dowództwa ze statusem

prokonsula. Oznacza to, że przyszłorocznymi konsulami będą twymi zwierzchnikami. Największe szanse ma Kwintus Lutacjusz Katullus. Wyborcy mają już dość jego ciągłego ubiegania się o ten urząd, będą więc chcieli się go pozbyć, głosując na niego. Mam nadzieję, że jesteś zdrow”.

Mariusz długo siedział zaszepiony po przeczytaniu krótkiego listu Saturnina. Nowiny były niewesołe, a poza tym z listu można było wyczuć, że Saturninus również uznał Mariusza za człowieka z przeszłości i że ustawia na nowo priorytety. Mariusz nie przyciągał już wyborców. Nie miał już wpływu na ekwitów. Germanie stanowili mniejsze zagrożenie niż niewolnicza wojna na Sycylii. Potworna lamia była martwa.

Otóż lamia nie była martwa, a mógł tego dowiedzieć Lucjusz Korneliusz Sulla. Jaki sens miałyby jednak wysyłanie Sulli do Rzymu, jeśli on sam nie ma powodu, by tamtemu towarzyszyć. Sulla bez poparcia i bez władzy nikogo nie przekona. Będzie musiał opowiedzieć całą swoją historię zbyt wielu ludziom, ludziom, którym sama myśl o rzymskim arystokracie udającym przez prawie dwa lata Gala wyda się tak wstrząsająca, że skończy się to odrzuceniem opowieści Sulli jako niepewnej, niewiarygodnej i nie do przyjęcia. Nie, albo pojedą do Rzymu obaj, albo nie pojedzie żaden.

Mariusz wyciągnął papier, pióro i atrament i napisał do Saturnina.

„Zostałeś oczyszczony z zarzutów, Lucjuszu Apulejuszu, pamiętaj jednak, że to właśnie ja umożliwiłem ci przetrwanie do czasu oczyszczenia z zarzutów. Wciąż jesteś mi coś winien, ja zaś spodziewam się po tobie lojalności klienta.

Skąd pewność, że nie mogę przybyć do Rzymu? Sposobność może się nadarzyć. Oczekuję, w każdym razie, że będziesz się zachowywał tak, jakbym miał rzeczywiście pojawić się w Rzymie. Oto na czym mi zależy: najpilniejszą koniecznością jest przesunięcie terminu wyborów, a z tym dacie sobie radę z Gajuszem Norbanem jako trybunowie ludowi. Włóżcie w to całe swoje serce i całą energię. Potem zaś oczekuję, że skorzystacie z pierwszej sposobności, by wymóc na senacie i ludzie wezwanie mnie do Rzymu.

Przybędę bowiem do Rzymu, możesz być tego pewien. Jeśli chcesz zająć wyżej niż na ławkę trybunów ludowych, lepiej pozostań człowiekiem Mariusza”.

I oto pod koniec listopada przyleciał z wiatrem wschodnim do Mariusza głośny całus bogini Fortuny w postaci drugiego listu Saturnina, który przybył morzem, wyprzedzając o dwa dni senackiego kuriera i jego depesze. Saturnin donosił uniżenie:

„Nie wątpię, że przybędziesz do Rzymu. W niecały dzień po tym, jak otrzymałem twoje upomnienie, twój szanowny kolega konsul, Lucjusz Aureliusz Orestes, zmarł nagle. Wciąż jeszcze odczuwając boleśnie twoje niezadowolenie, skorzystałem z okazji, by wymóc na senacie wezwanie cię do powrotu. To nie leżało w planach naszych czołowych polityków, którzy ustami przywódcy senatu zalecili, by ojcowie spisani wybrali konsula *suffectus*, który zajmie opróżnione przez Orestesa krzesło z kości słoniowej. Jednak - cóż za traf! - ledwie dzień wcześniej Skaurus wygłosił w kurii długą mowę, dowodząc, że twój pobyt w Galii to afront dla dobrej

wiary wszystkich *boni* i że podsycasz germańską panikę, by uzyskać wybór na rzeczywistego dyktatora. Oczywiście z chwilą śmierci Orestesa Skaurus całkowicie zmienił ton - w obliczu zagrożenia Italii przez Germanów kuria nie ośmieliła się wezwać cię do wypełnienia wyborczych obowiązków konsula, trzeba więc wyznaczyć konsula *suffectus*, który przeprowadzi wybory.

Nie było czasu na wykorzystanie mego trybunatu dla opóźnienia wyborów, ale trzeba było to zrobić. Wygłosiłem w kurii piękną mowę, wskazując, że nasz szanowny princeps senatu musi się zdecydować na jedno albo na drugie. Albo istnieje zagrożenie ze strony Germanów, albo nie istnieje. Uznałem, że w wystąpieniu z poprzedniego dnia dał wyraz swoim rzeczywistym poglądom - że nie istnieje zagrożenie, nie ma więc potrzeby, by miejsce zmarłego młodszego konsula zajmował *suffectus*. Nie, trzeba wezwać do powrotu Gajusza Mariusza, on zaś powinien wykonywać zadanie, do którego został powołany - wypełniać obowiązki konsula. Nie musiałem wypominać Skaurusowi, że z dnia na dzień zmienia zdanie. Wszyscy zrozumieli przesłanie.

Mam nadzieję, że ten list wyprzedzi kuriera. O tej porze roku lepiej podróżować morzem niż lądem. Oczywiście dałbyś sobie radę nawet po otrzymaniu zawiadomienia z senatu. Mój list da ci tylko trochę czasu na zaplanowanie twej kampanii w Rzymie. Ja naturalnie zaczynam działać wśród wyborców. Kiedy dotrzesz do Rzymu, powita cię delegacja najznakomitszych przywódców ludu z błaganiem, byś się ubiegał o konsulat”.

- Jedziemy! - powiedział z tryumfem Mariusz, rzucając Sulli list Saturnina. - Pakuj się, nie ma czasu do stracenia. Ty powiesz kurii, że przyszłej jesieni Germanie wtargną trzema drogami do Italii, a ja powiem wyborcom, że jestem jedynym człowiekiem zdolnym ich powstrzymać.

- Ile mogę powiedzieć? - spytał Sulla.

- Tylko tyle, ile będziesz musiał. To ja przedstawię sprawę i nowe wiadomości. Ty masz potwierdzić ich prawdziwość, ale kuria nie musi wiedzieć, że sam zostałeś barbarzyńcą. - Mariusz sposepniał. - Pewnych rzeczy lepiej nie mówić, Lucjuszu Korneliuszu. Oni nie znają cię na tyle dobrze, by wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem. Nie dawaj im do ręki argumentów, które mogliby później wykorzystać przeciw tobie. Jesteś rzymskim patrycjuszem, pozwól im więc myśleć, że dokonałeś swoich dzielnych czynów jako rzymski patrycjusz.

Sulla pokręcił przecząco głową.

- To przecież niemożliwe! Nie można zakradać się między Germanów i wyglądać jak rzymski patrycjusz!

- Oni tego nie wiedzą - wyszczerzył zęby Mariusz. - Pamiętasz, jak ich nazywał Publiusz Rutyliusz? To wodzowie z tylnych ławek. To także szpiegzy z wyściełanych krzesel. Nie nauczą się zasad szpiegowania, choćby im te zasady wbijać w zadki! - I zaczął się śmiać. - Szkoda, że nie poprosiłem cię o zachowanie na jakiś czas wąsów i długich włosów. Zabrałbym cię na Forum ubranego jak Germanin. Wiesz, chyba, co by z tego wynikło?

- Wiem - westchnął Sulla. - Nikt by mnie nie rozpoznał.

- Otóż to! Nie przeciążajmy więc nadmiernie ich rzymskiej wyobraźni. Ja będę mówił pierwszy, a ty replikowałeś.

Rzym nie zaoferował Sulli ani możliwości politycznych, ani domowego ciepła, jak Mariuszowi. Mimo świetnego przebiegu swej kwestury - pod komendą Mariusza - i swej błyskotliwej kariery szpiegowskiej - w służbie Mariusza - był tylko jednym z wielu przedsiębiorczych młodych senatorów krążących w cieniu Pierwszego w Rzymie. Nie mógł liczyć na szybką karierę polityczną, zwłaszcza przy swym spóźnionym wejściu do senatu. Jako patrycjusz nie mógł zostać trybunem ludowym, nie miał pieniędzy, by zabiegać o edylat kurulny, i nie był w senacie dostatecznie długo, by się ubiegać o preturę. Takie były jego możliwości polityczne. W domu zastał żonę, która zbyt wiele piła i zaniedbywała dzieci, i teściową, która nie mogła znieść ani jego, ani swego położenia. Takie były jego sprawy domowe.

Klimat polityczny mógł się jeszcze dla niego poprawić. Nie był aż tak przygnębiony, by tego nie widzieć. W domu nie zanosilo się jednak na nic innego niż dalszy rozkład. Dodatkowym utrudnieniem było dla niego przejście od jego germańskiej do jego rzymskiej żony. Przeżył z Hermaną rok w otoczeniu bardziej odmiennym od swego arystokratycznego świata niż lupanary Subury. Hermana była wtedy jego pocieszeniem, jego ostoją, jego punktem odniesienia do normalności w tym dziwacznym barbarzyńskim społeczeństwie.

Nietrudno było ucześcić się ogona cymbryjskiej komety, bo Sulla był kimś więcej niż silnym i dzielnym wojownikiem; był wojownikiem, który umiał myśleć. Co do siły i dzielności, wielu Germanów pozostawiało go daleko z tyłu. Oni jednak byli tylko czystym metalem bez żadnej domieszki. On był zahartowanym, skończonym produktem - równie pomysłowy jak dzielny, równie sprytny jak silny. Był niczym zwykły człowiek stawiający czoło olbrzymowi; aby zwyciężyć w zbrojnym starciu, musiał myśleć, bo nie miał innego wyjścia. Od razu też został zauważony podczas walk z hiszpańskimi plemionami z Pirenejów i przyjęty do bractwa wojowników.

Uzgodnili potem z Sertoriuszem, że jeśli wtopią się w ten dziwny świat na tyle, że zostaną dopuszczeni do polityki (a tak się właśnie stało), będą mogli działać więcej niż jako zwykli żołnierze. Rozdzielili się więc, wybrali różne plemiona, a potem i kobiety spośród tych, które niedawno owdowiały. Hermana wpadła mu w oko, bo była kimś z zewnątrz, tak jak on, i nie miała dzieci. Jej mąż był wodzem swego cymbryjskiego plemienia. Gdyby było inaczej, kobiety tego plemienia nie zniosłyby obecności cudzoziemki, bo zajęła miejsce, które należało się jakiejś Cymbryjce. Miały ochotę zatłuc ją na śmierć pałkami, kiedy Sulla zjawił się niczym meteor i wspinał się na jej wóz, ogłaszając swoje prawa do niej. Oboje byli cudzoziemcami. Wybierając Cheruskijkę Hermanę, nie kierował się uczuciem ani jej urokiem. Po prostu potrzebowała go bardziej niż jakaś Cymbryjka, a przy tym miała daleko mniejsze zobowiązania wobec plemienia. Gdyby Hermana odkryła jego rzymskie pochodzenie, nie

śpieszyłyby się z doniesieniem o tym, jak by to zrobiła Cymbryjka.

Jak na Germankę, była całkiem zwyczajna. Były one w większości wysokie, silnie zbudowane, ale zgrabne, o długich nogach i stromych pierśsiach, lnianowłose i niebieskookie. Były urodziwe, jeśli komuś nie przeszkadzały ich szerokie usta i krótkie proste nosy. Hermana była o wiele niższa nawet od Sulli (który jak na Rzymianina był wcale wysoki, mając wzrostu sześć stóp bez trzech cali - Mariusz, mając sześć stóp i cal, był bardzo wysoki) i cięższa niż jej towarzyszki. Włosy miała bardzo długie i gęste, ale ich kolor miał ów nieokreślony odcień znany powszechnie jako mysi, a szarobure oczy pasowały do włosów. Poza tym była wystarczająco germańska - miała wyraźne kości policzkowe i zgrabny, cienki nos niczym krótkie ostrze. Miała trzydzieści lat i była bezpłodna. Gdyby jej mąż nie był wodzem, i to takim, któremu duma nie pozwalała jej odesłać, Hermana już by nie żyła.

Cóż miała w sobie takiego, że wybrali ją kolejno ci dwaj wybitni mężowie? To nie było wcale oczywiste. Jej pierwszy mąż uważał ją za interesującą i inną niż wszystkie, ale nie umiał wyrazić tego dokładniej. Sulla widział w niej urodzoną arystokratkę, mile wyniosłą, ale także promieniującą potężnym erotycznym czarem.

Doskonale do siebie pasowali, i to na wszelkie sposoby, była bowiem dość inteligentna, by nie żądać za wiele, dość rozsądna, by go nie krępować, dość namiętna, by sypianie z nią było przyjemnością, dość wymowna, by rozmowa z nią była interesująca, i dość zaradna, by mu nie przysparzać dodatkowych robót.

Zwierzęta Hermany zawsze były należycie spędzane, należycie oznakowane, należycie wydojone, należycie pokrywane i należycie leczone. Wóz Hermany był zawsze w doskonałym stanie, z dobrze naciągniętym pokryciem, łątanym w porę i zszywanym. Jego wielkie koła smarowane były mieszaniną masła i łoju i nigdy nie brakowało im ani jednej szprychy, ani kawałka obręczy. Garnki i naczynia Hermany były czyste, jej zapasy zabezpieczone przed wilgocią i przed złodziejami, jej bielizna i ścierki wietrzone i cerowane, jej noże kuchenne świetnie naostrzone, zawsze też wiedziała, gdzie co leży. Hermana w istocie była wszystkim, czym nie była Julilla. Tyle że Julilla miała w sobie rzymską krew, równie dobrą jak jego własna.

Kiedy spostrzegła, że jest w ciąży - prawdę mówiąc, z miejsca zaszła w ciążę - oboje byli zachwyceni. Hermana miała jeszcze jeden dodatkowy powód. Została oto oczyszczona z winy w oczach plemienia, do którego nie należała, a wina za jej rzekomą bezpłodność obciążała teraz jej zmarłego męża-wodza. Kobiety z plemienia nie były z tego zadowolone, bo z dawna jej nienawidziły. Nie mogły jednak nic na to poradzić, bo wiosną, gdy Cymbrowie ruszyli na północ ku ziemiom Atuatuków, Sulla był nowym wodzem. Można przyjąć, że Hermanie przypadło w udziale więcej szczęścia niż innym ludziom.

A potem w sekstyliście, po uciążliwej, ale zniesionej bez słowa skargi ciąży, Hermana urodziła dwóch chłopców, dużych, zdrowych i rudowłosych; Sulla nadał im imiona Herman i Kornel. Łamał sobie głowę nad

wymyśleniem imienia, które nawiązywałoby do tradycji jego rodu, Korneliuszy. „Korneliusz” brzmiałoby dziwacznie w języku germańskim. „Kornel” było właściwym rozwiązaniem.

Chłopcy byli właśnie tacy, jacy powinni być bliźniacy: tak podobni, że trudno było ich rozróżnić, nawet ich matce i ojcu, zadowoleni ze swego towarzystwa, niezbyt marudni, dobrze się rozwijający. Bliźniaki były rzadkością, a ich przyjście na świat w tej dziwnej rodzinie cudzoziemców uznano za dobry znak, na tyle ważny, by zapewnić Sulli tytuł thana całej grupy małych plemion. W rezultacie był obecny na wielkiej radzie wszystkich Germanów zwołanej przez Bojoryksa po tym, jak król Cymbrów rozstrzygnął bez przelewu krwi spór Atuatuków z Teutonami.

Sulla wiedział oczywiście, że już niedługo będzie musiał odjeżdżać, ale odłożył wyjazd, aby wziąć udział w wielkiej radzie. Zamartwiał się tym, co nie powinno stanowić problemu - co stanie się z Hermaną i jego synami, kiedy go zabraknie? Mężczyznom plemienia mógł zaufać, ale kobietom nie, a w każdej sytuacji kobiety brały górę. Z chwilą, gdy go zabraknie, Hermana zginie pod pałkami, choćby nawet pozwolono przeżyć jej synom.

Był wrzesień i czas miał kapitalne znaczenie. Sulla zdecydował się na krok, który służył zarówno jemu, jak Rzymowi. Skoro nie mógł czekać, zawiezie Hermanę do jej ludu do Germanii przed swym powrotem do Mariusza. To oznaczało, że musiał jej powiedzieć, kim jest. Była bardziej zafascynowana niż zdziwiona. Widział, jak patrzy na synów, jakby rozumiała wreszcie, jak bardzo są ważni ci synowie półboga. Nie okazała żalu, kiedy jej powiedział, że rozstają się na zawsze. W jej oczach była wdzięczność, gdy jej mówił, że zostawi ją u germańskich Marsów z nadzieją, że rodacy pozwolą jej żyć i zapewnią ochronę.

Na początku października, któregoś dnia o pierwszym zmroku opuścili olbrzymi obóz wozów germańskich. Już wcześniej wybrali takie miejsce dla wozów i zwierząt, że trudno było zauważyć ich zniknięcie. O świcie wciąż jeszcze przebijali się między innymi wozami, ale nikt nie zwracał na nich uwagi, a następnego dnia opuścili w końcu obozowisko.

Odległość od Atuatuków do Marsów nie była większa niż jakieś sto mil, a okolica była równinna. Lecz między Belgią a Germanią płynęła największa rzeka zachodniej Europy: Ren. Sulla musiał jakoś przeprowadzić przez tę rzekę wóz swojej żony. Musiał też bronić swej rodziny przed maruderami. Zrobił to po sullańsku, bardzo prosto i zwyczajnie, zawierzywszy swym więzom z boginią Fortuną, która go nie opuściła.

Kiedy dotarli do Renu, okazało się, że liczni mieszkańcy jego brzegów nie są zainteresowani polowaniem na samotny wóz i samotnego Germanina, zwłaszcza na ojca rudowłosych bliźniaków, siedzących w ramionach matki. Przez rzekę pływał regularnie prom dość duży, by przewieźć wóz za cenę wielkiego dzbana najlepszej pszenicy. Lato było względnie suche i woda w rzece opadła. Sulla załatwił więc przewóz wozu i wszystkich zwierząt Hermany za trzy dzbany pszenicy.

Znalazłszy się w Germanii, posuwali się szybko, bo kraj w dolnym biegu Renu był pozbawiony lasów i prowadzono jakieś proste uprawy raczej z myślą o paszy w zimie dla bydła niż o wyżywieniu ludzi. W trzecim

tygodniu października Sulla znalazł Marsów Hermany i przekazał im ją pod opiekę. I zawarł układ przyjaźni i pokoju między germańskimi Marsami a senatem i ludem rzymskim.

Kiedy nadszedł czas rozstania, oboje płakali w straszliwym żalu, widząc, że jest ono daleko cięższe, niż sobie wyobrażali. Hermana szła, niosąc bliźniaki za Sullą, póki szybki krok jego konia nie zmusił jej do zatrzymania się. Stała tak, płacząc w głos długo po tym, jak zniknął jej z oczu na zawsze. Sulla tymczasem jechał na południowy zachód oślepiiony łzami, zdając się przez wiele mil na swego konia.

Rodacy Hermany dali mu dobrego konia, mógł więc pod koniec dnia wymienić go na innego dobrego. I tak przez dwanaście dni, aż dotarł od źródeł Amisji, gdzie żyli Marsowie, do obozu Mariusza pod Glanum. Cały czas jechał na przełaj, unikając wysokich gór i gęstych lasów wzdłuż wielkich rzek - Renem do Mozeli, Mozelą do Araru, Ararem do Rodanu.

Jechał z tak ciężkim sercem, że z trudem notował w pamięci uwagi o mijanych krajach i ludach. Co najmniej raz przyłapał ze zdumieniem samego siebie na mówieniu po galijsku o druidach i pomyślał, że oto Lucjusz Korneliusz Sulla, rzymski senator, mówi płynnie po germańsku w kilku dialektach i po galijsku w dialekcie Karnutów.

Ani jednak to, co on sam, ani to, co Kwintus Sertoriusz odkryli o Germanach wśród Atuatuków, nie wyszło na jaw aż do wiosny, na długo po tym jak Sulla i Sertoriusz porzucili swoje życie i żony w Germanii. Bo gdy zaczęły się toczyć tysiące i tysiące wozów i rozdzieliły się trzy wielkie wojska, aby najechać Italię, Cymbrowie, Teutoni i Tygurynowie, Cheruskowie i Markomani pozostawili wśród Atuatuków straż. Pozostawili sześć tysięcy najlepszych ludzi, by chronili Atuatuków przed najeźdźcami z innych plemion - i pozostawili całe swoje plemienne skarby - złote posągi, złote rydwany, złote rzędy końskie, złote wota, złote monety i złote sztaby, i kilka ton najpiękniejszego bursztynu oraz różne inne skarby zebrane podczas wędrówki dla dopełnienia tego, co należało do nich od wielu pokoleń. Gdy Germanie wyruszyli, zabrali tylko tyle złota, ile nosili na sobie. Reszta pozostała ukryta pośród Atuatuków, tak jak kiedyś złoto ludów galijskich pozostało pod opieką Wolków Tektosagów.

Kiedy więc Sulla zobaczył znów Julillę, porównywał ją z Hermaną i uznał, że jest niedbała, nierozważna, niedokształcona, niezorganizowana i nieporządna, i - nienawistna. Nauczyła się przynajmniej tyle po ich poprzednim spotkaniu, by nie rzucać się na niego nieskromnie na oczach służby. Po obiedzie, pierwszego dnia w domu, pomyślał jednak, że oszczędzono mu tego raczej ze względu na obecność Marcji niż ze względu na jego uczucia. Bo obecność Marcji to było coś: sztywne, prosto się trzymająca, bez uśmiechu, nieczuła, nie wybacząca. Nie zestarzała się z wdziękiem i po tylu latach szczęścia u boku Gajusza Juliusza Cezara jej wdowieństwo było dla niej wielkim ciężarem. Sulla podejrzewał też, że nie mogła znieść, jako matka, takiej córki jak Julilla.

I nic dziwnego. On sam nie mógł znieść żony tak niezadowolającej jak Julilla. Niepolitycznie byłoby jednak ją oddalać, bo nie była to jakaś

Metella Kalwa, spółkująca bez wyboru z niskourodzonymi. Julilla nie zadawała się i z wysokourodzonymi. Wierność była, być może, jej ostatnią cnotą. Niestety, jej pijaństwo nie dosięgało do punktu, w którym byłaby znana w całym Rzymie jako pijaczka. Marcja pracowała niestrudzenie nad ukryciem tego faktu, oznaczało to, że rozwód *diffarreatio* (gdyby nawet był skłonny znieść jego ohydę) nie wchodził w rachubę.

A jednak nie można było z nią wytrzymać. Jej fizyczne wymagania były tak gwałtowne i tak szorstkie, że nie czuł nic prócz zakłopotania. Wystarczyło mu spojrzeć na Julillę, by zapaść się w siebie, jakby był jednym ze ślimaków Publiusza Wagieniusza. Nie chciał jej dotykać i nie chciał być dotykany przez nią.

Kobiecie nietrudno udawać pożądanie i rozkosz, ale mężczyzna nie może udawać pożądania ani tym bardziej rozkoszy. Sulla pomyślał, że jeśli mężczyźni są z natury bardziej prawdomówni niż kobiety, to dlatego, że w każdej erotycznej przygodzie noszą między nogami wykrywacz prawdy i że to zabarwia wszystkie aspekty ich życia. Jeśli był jakiś powód, dla którego mężczyźni oglądali się za mężczyznami, to ten, że akt miłosny nie wymagał towarzystwa aktu wiary.

Żadna z tych myśli nie wróżyła dobrze Julilli, która nie miała pojęcia, o czym myśli jej mąż, ale która była zdruzgotana oczywistym brakiem zainteresowania z jego strony. Przez dwie kolejne noce była odpychana. Cierpliwość Sulli wyczerpywała się tymczasem, a jego wymówki były coraz mniej przekonujące. Trzeciego dnia rano wstała wcześniej niż Sulla tylko po to, by dać się zaskoczyć matce przy śniadaniu zakrapianym obficie winem. Wynikła z tego kłótnia tak zażarta, że dzieci płakały, słudzy uciekli, a Sulla zamknął się w tablinum, przeklinając wszystkie kobiety. Podsluchane urywki kłótni wskazywały, że przedmiot kłótni nie był nowy ani też starcie nie było pierwsze. Marcja oznajmiała dość głośno, by ją usłyszano w świątyni Wielkiej Matki, że tu oto matka zaniedbuje całkowicie swoje dzieci. Julilla odwrzaskiwała wystarczająco głośno, by ją słyszano na Circus Maximus, że Marcja ukradła jej uczucia dzieci, czego więc mogła się spodziewać?

Ta bitwa szalała dłużej niż powinna trwać przy takiej gwałtowności słów. Sulla uznał to za oznakę, że przedmiot i przebieg kłótni nieraz już były wypróbowywane przy wielu okazjach. Skończyło się to w atrium, tuż pod drzwiami pracowni Sulli, gdy Marcja oznajmiła Julilli, że zabiera dzieci i ich niańkę na długi spacer i że nie wie, kiedy wróci, ale lepiej, żeby Julilla była trzeźwa.

Przycisnąwszy ręce do uszu, by wyciszyć jęki dzieci i ich prośby o uspokojenie się matki i babki, Sulla usiłował myśleć o tym, jakie ma wspaniałe dzieci. Wciąż jeszcze żył w zachwycie, ujrzawszy je po tak długim czasie; Kornelia Sulla miała już ponad pięć lat, a mały Lucjusz Korneliusz miał cztery. Miały już swoje prawa i były dość duże, by odczuwać cierpienie. Mówiły mu to wspomnienia z jego własnego dzieciństwa, pogrzebane, ale nie zapomniane. Jeśli coś łagodziło porzucenie jego germańskich bliźniaczych synów, to fakt, że byli jeszcze bardzo małymi dziećmi. Byłoby o wiele trudniej rozłączać się z jego rzymskimi dziećmi,

były już bowiem małymi ludźmi. Było mu ich bardzo żal. Kochał je też głęboko i całkiem innym uczuciem niż to, jakie kiedykolwiek żywił do kobiety czy mężczyzny, bezinteresownym i czystym, nieskażonym i szczerym.

Drzwi odskoczyły i Julilla wpadła do komnaty w rozwianych szatach, z zaciśniętymi pięściami, z twarzą purpurową z wściekłości. I od wina.

- Słyszałeś to?

Sulla odłożył pióro.

- Jak mógłbym nie słyszeć? Słyszał to cały Palatyn.

- Ta stara rzepa! Zaszuszone podżegaczka! Ośmiela się oskarżać mnie, że zaniedbuję dzieci!

„A ja, czy się ośmielę?”, spytał sam siebie Sulla. „Dlaczego to znoszę? Czemu nie sięgnę po swój zapas proszku z Pisy i nie zaprawię jej wina, aż jej powypadają zęby, przepali się język, a cyce nadmą się niczym purchawki i pękną? Czemu nie poszukam jakiegoś dębu i nie nazbieram ślicznych grzybków, i nie nakarmię jej, aż krew jej tryśnie wszystkimi otworami? Czemu odmawiam jej tego pocałunku, którego się doprasza, czemu nie skrucę jej przy nim kościstego karku, jak to zrobiłem z Klitumną? Iluż to ludzi zabiłem już mieczem, sztyletem, strzałą, trucizną, kamieniem, toporem, pałą, rzemieniem i gołymi rękami? Co w niej jest takiego, czego nie mieli tamci?” Oczywiście od razu znalazł odpowiedź. Julilla dała mu jego marzenie. Julilla przyniosła mu szczęście. Była też patrycjuszką rzymską, krwią z jego krwi. Prędzej już zabiłby Hermanę.

Słowa nie zabijają jednak tej twardej żylastej rzymskiej damy, może więc użyć słów.

- Bo zaniedbujesz dzieci - powiedział. - Dlatego właśnie sprowadziłem tu twoją matkę.

Zakrztusiła się i objęła szyję dłońmi.

- Ach, ach! Jak śmiesz! Nigdy nie zaniedbywałam moich dzieci!

- Nonsens. Nigdy się o nie nie troszczyłaś - mówił tym samym cierpliwym, znużonym głosem, którym posługiwał się, odkąd postawił nogę w tym okropnym, nieszczęsnym domu. - Jedyne, o co dbasz, Julillo, to dzban wina.

- A kto mnie za to zgani? - spytała, opuszczając dłonie. - Kto mi to wytknie z czystym sumieniem? Mój mąż mnie nie chce, nie podniecam go nawet w łóżku, nawet kiedy go biorę do ust i męczę się, aż mi szczęki zeszywnieją.

- Jeśli mamy mówić otwarcie, może byś zamknęła drzwi?

- Po co? Żeby służba nie słyszała? Cóż z ciebie za nędzny hipokryta, Sullo! I kto tu ma się wstydzić, ty czy ja? Twoja reputacja kochanka jest w tym mieście ustalona. Moja klęska nie świadczy, że jesteś impotentem! Ty nie pragniesz tylko mnie! Mnie! Własnej żony! Nigdy nawet nie spojrzałam na innego i oto mam podziękowanie! Nie było cię dwa lata i nie podniecasz się nawet wtedy, kiedy się męczę jak jakiś *irrumator*! - Wielkie piwne oczy pełne były łez. - Co takiego zrobiłam? Czemu mnie nie kochasz? Czemu mnie nawet nie pragniesz? Ach, Sullo, spójrz na mnie jak kochanek, obejmij jak kochanek, a nie wezmę więcej wina do ust do końca

życia! Jak mam cię kochać, jeśli nie mogę wykrzesać z ciebie ani jednej iskiereczki wzajemności?

- Może w tym właśnie problem? - mówił niczym bezstronny obserwator.
- Nie lubię, kiedy się mnie kocha zbyt namiętnie. To nie uchodzi. To nawet niezdrowo.

- Więc mi powiedz, jak mam cię przestać kochać? - płakała. - Nie wiem jak! Myślisz, że nie przestałabym, gdybym mogła? Przestałabym prędzej, niż trwa skrzeseanie iskry! Modlę się o to! Tęsknię za tym! Ale nie mogę przestać. Kocham cię bardziej niż życie.

Westchnął.

- Może odpowiedź tkwi w dorastaniu. Ty wyglądasz i zachowujesz się jak podrostek. Na ciele i umyśle wciąż masz szesnaście lat. Ale nie masz ich już, Julillo. Masz dwadzieścia cztery. Masz pięcioletnie dziecko i drugie, prawie czteroletnie.

- Może kiedy miałam szesnaście, byłam po raz ostatni szczęśliwa - ocierała dłońmi mokre policzki.

- Jeśli nie byłaś później szczęśliwa, to nie moja wina.

- Nic nigdy nie jest twoją winą, nieprawdaż?

- Prawda.

- A co z innymi kobietami?

- O co ci chodzi?

- Czy nie jest powodem twego braku zainteresowania dla mnie to, że zostawiłaś jakąś kobietę w Galii?

- Nie kobietę, a żonę - poprawił uprzejmie. - I nie w Galii. W Germanii.

Zrobiła głupią minę.

- Żonę?

- Ach, zgodnie z obyczajem germańskim. I bliźniaków, mają teraz cztery miesiące. - Zamknął oczy, bo nie chciał ujawnić bólu. - Bardzo mi jej brak. Czy to nie dziwne?

Julilla zdołała zamknąć otwarte usta.

- Czy jest piękna? - wyszeptała.

Otworzył zdziwione jasne oczy. Piękna? Hermana?

- Ani trochę! - odparł. - Jest po trzydziestce i jest dość tęga. Nie jest nawet w setnej części tak piękna jak ty. Nie jest nawet blondynką. Nie jest nawet córką wodza, a cóż dopiero króla. To po prostu barbarzyńska kobieta.

- Więc dlaczego?

Sulla pokręcił głową.

- Nie wiem. Chyba tylko dlatego, że bardzo ją lubiłem.

- Co miała takiego, czego ja nie mam?

- Parę ładnych piersi - Sulla wzruszył ramionami - ale piersi to nie mój konik, więc nie chodziło o to. Ona ciężko pracowała. Nigdy nie narzekała. Niczego ode mnie nie oczekiwała - chociaż nie. Lepiej powiedzieć, że nie chciała niczego, czym nie jestem - uśmiechnął się i skinął głową z oczywistym oddaniem. - Tak, to chyba musi być to. Była panią samej siebie, nie obciążała mnie więc sobą. Ty jesteś mi ołowianym ciężarem u szyi. Hermana była parą skrzydeł u mych nóg.

Julilla odwróciła się bez słowa i wyszła ze studia. Sulla wstał, poszedł do drzwi i zamknął je za nią.

Nie minęło jednak dość czasu, by zdołał pozbierać myśli, gdy drzwi otworzyły się znowu.

Stał w nich rządcą, doskonale udając drewnianą figurę.

- Tak?

- Ktoś z wizytą, Lucjusz Korneliusz. Czy jesteś w domu?

- Kto to taki?

- Gdybym znał jego imię, panie, podałbym je - odrzekł sztywno rządcą. - Ten gość wolał przekazać ci przeze mnie: „Skylaks przesyła pozdrowienia”.

Twarz Sulli rozjaśniła się. Tak znika ślad oddechu z powierzchni lustra. Zaświtał uśmiech zachwyty. Ktoś ze starej paczki! Któryś z mimów, komediantów aktorów, których dawniej znał. Wspaniale. Ten gamoń, rządcą kupiony przez Julillę, nie wiedział oczywiście, że... Niewolnicy Klitumny nie byli dość dobrzy dla Julilli.

- Wprowadź go.

W każdym razie wyczuł, kto to był. A jednak - jak bardzo się zmienił! Z chłopca stał się mężczyzną.

- Metrobiusz! - powiedział Sulla, wstając. Jego oczy pomknęły odruchowo ku drzwiom, by się upewnić, że są zamknięte. Były zamknięte. Okna nie były zamknięte, ale to nie miało znaczenia, bo w domu Sulli było żelazną regułą, że nikomu nie wolno stawać tam, skąd mógłby zajrzeć do pracowni Sulli przez okna portyku.

„Musi mieć teraz dwadzieścia dwa lata”, pomyślał Sulla. Całkiem wysoki jak na Greka. Długa grzywa czarnych loków była zgrabnie i po męsku przystryżona, a tam, gdzie skóra na policzkach i podbródku była kiedyś mlecznobiała, teraz rozpościerał się silny cień ciemnego, starannie wygolonego zarostu. Wciąż miał profil niczym Apollo Praksytelesa i coś z jego hermafrodytycznego wdzięku, niczym któryś z malowanych marmurów Nikiasza, tak podobny do żywego modelu, że mógłby zejść z cokołu i chodzić, wciąż jednak ukrywający swoją tajemnicę, swoje źródła.

Potem marmurowy spokój doskonałego piękna przysł; Metrobiusz spojrział na Sullę z doskonałą miłością i z uśmiechem wyciągnął ramiona.

Łzy stanęły w oczach Sulli, usta mu zadrżały. Gdy obchodził stół, zahaczył biodrem o narożnik, ale nie poczuł niczego. Poszedł w ramiona Metrobiusza i pozwolił im się objąć, oparł podbródek na ramieniu Metrobiusza i otoczył ramieniem jego plecy. I poczuł się, jakby w końcu wrócił do domu. Kiedy więc doszło do pocałunku, był on doskonały, akt wiary zaś dokonał się bezwiednie i bezboleśnie.

- Mój chłopcze, mój piękny chłopcze - rzekł Sulla i zapłakał z wdzięczności, że oto coś nie uległo zmianie.

Za oknem pracowni Sulli stała Julilla i patrzyła, jak jej mąż wpada w ramiona tego uroczego młodzieńca, widziała ich pocałunek, słyszała miłosne wyznania, patrzyła, jak idą ku sofie i osuwają się na nią, i zaczynają od wstępnych czułości przypominać sobie znajomość tak dawną

i tak im obu drogą, że było to niczym powrót do domu. Nikt jej nie musiał mówić, że to był prawdziwy powód oziębłości jej męża, jej pijaństwa i jej odwetu w postaci zaniedbywania dzieci. Dzieci jej męża.

Zanim zaczęli ściągać z siebie ubrania, Julilla odwróciła się i z podniesioną głową poszła do sypialni, którą dzieliła z Lucjuszem Korneliuszem Sullą. Swoim mężem. Za sypialnią było mniejsze pomieszczenie używane jako garderoba, wypełnione, odkąd Sulla znów był w domu, bo jego paradna zbroja wisiała na wieszaku w kształcie litery T, hełm na specjalnym stojaku, miecz z rękojeścią z kości słoniowej w kształcie głowy orła wisiał na ścianie wraz z pochwą i pendentem.

Ściągnąć miecz ze ściany było łatwo, trudniej było wyciągnąć go z pochwy i pasa. W końcu jednak zdołała to zrobić i ledwie złapała oddech, gdy ostrze miecza przecięło jej dłoń do kości, tak dobrze było naostrzone. Zdziwiła się, że w takiej chwili może jeszcze odczuwać ból, a potem przestała myśleć o zdziwieniu i o bólu. Bez wahania uniosła miecz, trzymając go za orła z kości słoniowej, skierowała miecz ku sobie i weszła w ścianę.

Było to zrobione źle. Upadła we krwi i w płątaninie swych szat, z mieczem pograżonym w brzuchu, a jej serce wciąż biło i biło, chrapliwy oddech zaś rozbrzmiewał w jej uszach jak oddech kogoś, kto chce zabrać jej życie lub cnotę. Nie posiadała już ani życia, ani cnoty, więc cóż to miało za znaczenie? Poczowała potem okropny ból i gorąco własnej krwi na ciele. Była jednak z Juliuszów Cezarów i nie wołała o pomoc ani nie żałowała swego kroku w tym krótkim czasie, jaki jej pozostał. Nie myślała nawet o swych dzieciach, myślała tylko o tym, jaka była głupia, przez tyle lat kochając mężczyznę, który kochał mężczyzn.

Wystarczający powód, aby umrzeć. Nie chciała żyć, by zostać pośmiewiskiem tych wszystkich szczęśliwych kobiet, które wyszły za mąż za mężczyzn kochających kobiety. Krew wypłynęła wraz z życiem, a jej płonący umysł zaczynał stygnąć i spowalniać bieg myśli. Jak wspaniale przestać w końcu go kochać! Nigdy więcej udręki, wstydu. Nigdy więcej wina. Prosiła go, by jej pokazał, jak ma go przestać kochać, i pokazał jej. W końcu okazał jej tyle względów, jej kochany Sulla. Jej ostatnie jasne myśli były o dzieciach, przynajmniej w nich zostawia coś po sobie. I tak brodziła po słodkich płyciznach oceanu śmierci, życząc swym dzieciom długiego życia i wiele szczęścia.

Sulla wrócił do stołu i usiadł.

- Jest tu wino. Nalej mi trochę - powiedział do Metrobiusza.

Ileż było z chłopca w tym mężczyźnie, gdy w twarzy miał ożywienie. Łatwiej było przypomnieć sobie, że kiedyś ten chłopiec odrzucał wszelkie przepychy, by mieć sposobność życia w ubóstwie ze swym kochanym Sullą.

Uśmiechnięty czule Metrobiusz podał wino i usiadł w krześle dla klientów.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Lucjuzu Korneliuszu. Nie możemy robić tego stale.

- Tak. Między innymi. - Sulla pociągnął łyk wina, a potem spojrzał surowo na Metrobiusza. - To nie jest możliwe, drogi chłopcze. Czasami tylko, gdy ból albo cokolwiek innego stanie się nie do zniesienia. Jestem o włos od wszystkiego, czego pragnę, a to oznacza, że nie mogę mieć i ciebie. Gdyby to była Grecja, tak, ale nie jest. To Rzym. Gdybym był Pierwszym w Rzymie, tak. Ale nie jestem nim. Jest nim Gajusz Mariusz.

Metrobiusz skrzywił się.

- Rozumiem.

- Wciąż jesteś w teatrze?

- Oczywiście. Teatr to wszystko, co umiem. Przy tym Skylaks był dobrym nauczycielem, trzeba mu przyznać. Nie brak mi ról i rzadko mam przerwy w grze - odchrząknął i ciągnął z pewnym zastanowieniem. - Jest jedna zmiana. Spowaźniałem.

- Spowaźniałeś?

- Tak jest. Okazało się, że nie mam prawdziwej żyłki do komedii. Byłem dobry jako młodociana gwiazda, ale gdy wyrosłem ze skrzydełek Kupidyna i z ról chochlików, odkryłem, że mam talent do tragedii, nie zaś do komedii. Gram więc Ajschylosa i Akcjusza zamiast Arystofanesa i Plauta. Nie narzekam.

Sulla wzruszył ramionami.

- Ach, to przynajmniej pozwoli mi chodzić do teatru bez obawy, że grasz jakiegoś nieszczęsnego naiwniaka. Czy masz obywatelstwo?

- Niestety, nie.

- Zobaczą, co się da zrobić. - Sulla z westchnieniem odstawił swój puchar i złożył dłonie niczym bankier. - Spotykajmy się, jak się da - byle nie za często - i nigdy więcej tutaj. Żonę mam raczej szaloną i nie mam do niej zaufania.

- Byłoby cudownie spotykać się od czasu do czasu.

- Masz jakąś przyzwoitą kwaterę czy wciąż mieszkasz ze Skylaksem?

Metrobiusz był zaskoczony.

- Myślałem, że wiesz! Ale oczywiście, od lat nie ma cię w Rzymie. Skylaks nie żyje od pół roku. Zostawił mi wszystko, co miał, wraz z apartamentem.

- Więc tam się będziemy spotykać. - Sulla wstał. - Chodź, sam cię wyprowadzę. Wpiszę cię na listę klientów, więc gdybyś kiedy musiał tu przyjść, będziesz miał ważny powód. Ja uprzedzę cię o wizycie listownie.

W pięknych czarnych oczach widać było pocałunek, kiedy się rozstawali przy drzwiach wyjściowych, nic jednak nie zostało powiedziane i nic nie wskazywało czujnemu rządcy ani odźwiernemu, że ten zadziwiająco przystojny młody człowiek był kimś więcej niż klientem z dawnych czasów.

- Pozdrów wszystkich ode mnie, Metrobiuszu.

- Chyba nie będzie cię w Rzymie podczas festiwalu?

- Obawiam się, że nie - uśmiechnął się Sulla. - Germanie.

I tak się rozstali, właśnie gdy Marcja szła uliczką, zaganiając dzieci i ich niańkę. Sulla zaczekał na nią i spełnił osobiście rolę odźwiernego.

- Marcjo, zajdź proszę do tablinum.

Z czujnością w oku weszła bokiem przed nim i podeszła do sofy, na

której Sulla ujrzał ze zgrozą wilgotną plamę, rzucającą się w oczy niczym latarnia morska.

- Usiądź w krzesło, jeśli można.

Usiadła, wpatrując się w niego z zadartym podbródkiem i zaciśniętymi ustami.

- Teściowo, dobrze wiem, że mnie nie lubisz, i nie mam zamiaru zabiegać o twe względy - zaczął Sulla, upewniwszy się, że ma niewinną minę. Nie prosiłem cię, byś tu mieszkała, bo cię lubię. Chodziło mi o dzieci. Nadal chodzi. I muszę ci podziękować z całego serca za twoją uprzejmość, zrobiłaś dobrą robotę. To prawdziwi mali Rzymianie.

Odrobinę zmiękła.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Co za tym idzie, dzieci nie są już moją główną troską. Jest nią Julilla. Słyszałem dziś waszą sprzeczkę.

- Cały Rzym ją słyszał! - parsknęła Marcja.

- Tak, to prawda... - westchnął ciężko. - Kiedy już zabrałaś dzieci, pokłóciła się ze mną i znów słyszał to cały Rzym - a przynajmniej jego połowa. Może wiesz, co możemy zrobić?

- Niestety, niewiele wie, że ona pije, i to nie będzie podstawą do rozwodu, a nie masz innej podstawy - powiedziała Marcja, dobrze wiedząc, że sama to ukrywała. - Musisz chyba być cierpliwy. Ona pije coraz więcej. Mogę nie zdołać dłużej tego ukrywać. Z chwilą kiedy wszyscy się dowiedzą, oddalisz ją bez żadnych konsekwencji.

- A jeśli to się stanie, kiedy mnie tu nie będzie?

- Jako jej matka i ja mogę ją oddać. Jeśli to się zdarzy pod twoją nieobecność, odeślę ją do twojej willi w Cyrcejach. Potem, kiedy wrócisz, możesz się z nią rozwieść i zamknąć ją gdzieś. Z czasem zapije się na śmierć.

Marcja wstała, nie dając mu poznać, jak nad tym wszystkim boleje.

- Nie lubię cię, Lucjuszu Korneliuszu, ale nie winię cię za kłopoty Julilli.

- Czy lubisz kogoś z małżonków swoich dzieci?

- Tylko Aurelię - parsknęła.

Wyszedł z nią do atrium.

- Nie wiem, gdzie się podziewa Julilla - powiedział, zdając sobie sprawę, że nie widział jej i nie słyszał od przyjścia Metrobiusza. Dreszcz niepokoju przebiegł mu po grzbiecie.

- Leży i czeka na ciebie albo na mnie - odrzekła. - Kiedy zaczyna dzień od kłótni, ciągnie ją zwykle tak długo, aż się upije.

Sulla wykrzywił usta w niesmaku.

- Nie widziałem jej, odkąd wybiegła z tablinum. Jeden z dawnych przyjaciół złożył mi później wizytę, a zaraz potem wpuściłem cię z dziećmi do domu.

- Zwykle tak się nie ukrywa. - Marcja spojrzała na rządcę. - Czy widziałeś swoją panią?

- Kiedy ją ostatnio widziałem, szła do swej sypialni - odparł. - Czy mam spytać jej dziewczynę?

- Nie kłopotz się. - Marcja spojrzała z ukosa na Sullę. - Chyba

powinniśmy pójść do niej razem, Lucjuszu Korneliuszu. Może odzyska rozsądek, kiedy jej powiemy, co się stanie, jeśli nie wyjdzie z tego chlewa.

I tak znaleźli Julillę, skurczoną i nieruchomą. Jej piękne wełniane szaty nasiąkły krwią, była więc strojna w wilgotny, rudziejący szkarłat, niczym Nereida wylaniająca się z wulkanu.

Marcja zachwiała się i chwyciła ramię Sulli, on zaś objął ją i podtrzymał.

Ale córka Kwintusa Marcjusza Króla zdobyła się na żelazne opanowanie.

- Oto jedyne rozwiązanie, którego nie przewidziałam - powiedziała równym głosem.

- Ani ja - rzekł Sulla przyzwyczajony do widoku rzezi.

- Co jej takiego powiedziałaś?

Sulla pokręcił głową.

- Nic, co mogłoby sprowokować ten postępek, o ile pamiętam - dowiemy się chyba tego od służących, musiały słyszeć przynajmniej połowę.

- Nie, nie należy ich pytać. - Marcja obróciła się nagle w ramionach Sulli i przywarła do niego. - To z wielu względów najlepsze rozwiązanie. Wolę, żeby dzieci przeżyły wstrząs po jej śmierci, niż by się dowiedziały o jej pijaństwie. Teraz są jeszcze małe, więc zapomną. Nieco później już by pamiętały. - Oparła policzek na piersi Sulli. - Tak, to najlepsze rozwiązanie. - Łza wypłynęła spod zamkniętej powieki.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju - powiedział, wyprowadzając ją z zalanej krwią garderoby. - Nie pomyślałem o mieczu, cóż za głupiec ze mnie!

- Czemu miałbyś pomyśleć?

- Za późno! - Sulla wiedział doskonale, czemu Julilla użyła miecza: widziała przez okno pracowni jego schadzki z Metrobiuszem. Marcja miała słuszość. To było najlepsze rozwiązanie, on zaś niczego nie musiał robić.



Gdy przeprowadzono wybory konsulów zaraz po tym, jak nowi trybunowie ludowi rozpoczęli urzędowanie dziesiątego grudnia, Gajusz Mariusz powrócił jako starszy konsul. Nikt nie podważał oświadczeń Lucjusza Korneliusza Sulli ani Saturnina, że jest tylko jeden mąż zdolny pobić Germanów. Dawna germanofobia znów zalała Rzym niczym wezbrany Tyber i znów Sycylia spadła z pierwszego miejsca na liście kryzysów, których liczba wcale się nie zmniejszyła.

- Bo kiedy tylko wygaszaliśmy jakiś kryzys, nowy wyskakiwał jak spod ziemi - powiedział Marek Emiliusz Skaurus do Kwintusa Cecyliusza Metellusa Numidyjskiego Świńskiego.

- Z Sycylią włącznie - powiedział szwagier Lukullusa z jadem w głosie. - Jak mógł Gajusz Mariusz udzielić poparcia temu *pipinnie* Ahenobarbowi, kiedy nastawał na zastąpienie Lucjusza Lukullusa jako namiestnika Sycylii? I to przez Serwiliusza Augura! To tylko człowiek nowy, podszywający się pod stare nazwisko!

- Nastąpił ci na ogon, Kwintusie Cecyliuszu - odrzekł Skaurus. - Gajusz Mariusz nie dałby i fałszywej monety za to, kto rządzi Sycylią, nie teraz,

kiedy nadchodzą Germanie. Jeśli chciałeś, aby Lucjusz Lukullus pozostał namiestnikiem, trzeba było siedzieć cicho. Mariusz nie pamiętałby, że Lukullus coś dla ciebie znaczy.

- Trzeba się dobrze przyjrzeć listom senatorów. Stanę do wyborów cenzora.

- Dobra myśl! Z kim?

- Z moim kuzynem Kaprariuszem.

- Jeszcze lepszy pomysł, na Wenerę! On zrobi to, co mu każesz.

- Już czas, żeby odchwalić senat, nie wspominając o ekwitach. Będę surowym cenzorem, Marku Emiliuszu, możesz być pewny! - powiedział Numidyjski. - Ubiegają się też Saturnin i Glaucja. To niebezpieczni ludzie.

- Ach, nie! - wykrzyknął Skaurus. - Gdyby nie moje fałszywe oskarżenie o spekulację zbożem, Lucjusz Apulejusz mógłby być naszym politykiem. Nigdy nie pozbędę się poczucia winy.

Numidyjski uniósł brwi.

- Mój drogi Marku Aureliuszu, bardzo ci trzeba jakiegoś pokrzepienia! To nie ma znaczenia, czemu ten wilczy łeb, Saturnin, robi to, co robi. Liczy się tylko to, że jest, kim jest, i że musi odejść - parsknął gniewnie. - Jeszcze nie jesteśmy skończeni. W przyszłym roku Mariusz będzie miał przynajmniej prawdziwego mężczyznę na kolegę konsula, a nie stracha na wróbla jak Fimbria i Orestes. Dopilnujemy, żeby Kwintus Lutacjusz stanął na czele swojej armii, i roztrąbimy każdy jego sukces jako tryumf.

Wyborcy głosowali na Kwintusa Lutacjusza Katullusa, który został oczywiście młodszym konsulem przy Mariuszu, ale, jak mówił Mariusz, był mu „cierniem w boku”.

- Twój młodszy brat został pretorem - rzekł Sulla.

- I wyjeżdża do Hiszpanii Dalszej. Miły sposób, żeby się go pozbyć.

Natknęli się na Skaurusa, który zostawił Numidyjskiego u stóp schodów do senatu.

- Muszę ci osobiście podziękować za przedsiębiorczość i skuteczność w sprawie dostaw zboża - powiedział Mariusz uprzejmie.

- Dopóki gdziekolwiek w świecie można kupić pszenicę, nie jest to trudne zadanie - odrzekł równie uprzejmie Skaurus. - Martwi mnie możliwość nadejścia dnia, kiedy pszenicy zabraknie.

- Chyba nie teraz! Sycylia zbierze normalne plony, jak sądzę.

Skaurus zaatakował bez wahania.

- Zakładając, że nie stracimy wszystkiego, gdy ten głupiec Serwiliusz Augur zostanie namiestnikiem.

- Wojna na Sycylii jest skończona - rzekł Mariusz.

- Nie bądź tego tak pewny, konsulu. Ja nie jestem.

- A skąd dostawałeś pszenicę przez te dwa lata? - spytał pośpiesznie Sulla, by zapobiec otwartej kłótni.

- Z prowincji Azji - odrzekł ochoczo Skaurus, który naprawdę lubił być *curator annonae*, nadzorcą dostaw zboża.

- Ależ oni nie mają chyba wielkich nadwyżek - naciskał Sulla.

- Ledwie *modius*, szczerze mówiąc - odrzekł Skaurus z zadowoloną

miną. - Możemy podziękować królowi Mitrydatowi z Pontu. Jest bardzo młody, ale ogromnie przedsiębiorczy. Podbił północne brzegi Euksynu i zdobył kontrolę nad polami nad Tanaisem, Borystenesem, Hypanisem i Danastrem. Ciągnie dla Pontu niezłe zyski, wysyłając te cymeryjskie nadwyżki do prowincji Azji i sprzedając je nam. Co więcej, przeczucie mi mówi, że będę tam kupować i w przyszłym roku. Młody Marek Druzus będzie kwestorem w Azji, ja zaś zlecę mu zakupy w moim imieniu.

Mariusz chrząknął.

- Niewątpliwie odwiedzi w Smyrnie swego teścia, Kwintusa Serwiliusza Cepiona.

- Niewątpliwie - przyznał uprzejmie Skaurus.

- Zatem młody Marek Liwiusz będzie mógł przesłać rachunki za zboże Kwintusowi Serwiliuszowi - rzekł Mariusz - który ma więcej pieniędzy niż skarb państwa.

- To bezpodstawny zarzut.

- Nie bezpodstawny, jeśli wierzyć królowi Kopiliuszowi.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, po czym Sulla spytał:

- Ile z tego azjatyckiego zboża dociera do nas, Marku Emiliuszu? Słyszałem, że problem piratów staje się z roku na rok coraz bardziej palący.

- Około połowy, nie więcej - przyznał posepnie Skaurus. - Każda ukryta przystań na wybrzeżach Pamfilii i Cylicji to gniazdo piratów. Oczywiście chodzi im o niewolników, ale jeśli mogą zagrabić zboże potrzebne do żywienia, grabią je. Jeśli coś im pozostaje, odsprzedają to nam za podwójną cenę. Dopiero to daje gwarancję, że nie zgrabiają zboża ponownie.

- Zadziwiająco, że nawet wśród piratów są pośrednicy - zauważył Mariusz. - Ukraść i odsprzedać nam ponownie. Czysty zysk. Chyba pora coś z tym zrobić, princepsie senatu. Czyż nie tak?

- Niewątpliwie - przyznał Skaurus ochoczo.

- Co proponujesz?

- Specjalne pełnomocnictwa dla jednego z pretorów, wędrownie namiestnictwo, jeśli istnieje takie zwierzę. Dać mu okręty i żeglarzy i kazać mu wyniszczyć wszystkie gniazda piratów na wybrzeżu Pamfilii i Cylicji.

- Moglibyśmy go nazywać namiestnikiem Cylicji - rzekł Mariusz.

- Świetny pomysł!

- Zgoda, princepsie senatu, zwołajmy ojców spisanych najprędzej, jak się da, i zrobmy to.

- Zwołajmy! - Skaurus był pełen życzliwości. - Wiesz, Gajuszu Mariuszu, choć nie znoszę rzeczy, o które ci chodzi, podoba mi się twoja gotowość do działania, bez zabawiania się w żadne gierki.

- Skarb państwa zapiszczy jak westalka zaproszona na ucztę w burdelu! - wyszczerzył zęby Mariusz.

- Niech piszczy. Jeśli nie wytępiamy piratów, ustanie handel między Wschodem i Zachodem. Okręty i żeglarze - zastanawiał się Skaurus - ile ich trzeba, jak myślisz?

- Ach, osiem do dziesięciu pełnych flot i powiedzmy - dziesięć tysięcy

wyszkolonych marynarzy. Jeśli tylu mamy.

- Będziemy mieli - powiedział z przekonaniem Skaurus. - Jeśli będzie trzeba, wynajmiemy ich na Rodos, Knidos, w Halikarnasie, Atenach, Efezie - nie martw się, znajdziemy ich.

- To powinien być Marek Antoniusz - rzekł Mariusz.

- Co takiego? Nie twój brat? - Skaurus udał zdziwienie.

Mariusz uśmiechnął się niezmiészany.

- Mój brat, podobnie jak ja, jest zwierzęciem lądowym, podczas gdy wszyscy Antoniusze ciągną na morze.

Skaurus roześmiał się.

- O ile nie są właśnie na morzu!

- To prawda. Ale nasz pretor Marek Antoniusz jest w porządku. Wykona to zadanie. Tak sędzę.

- I ja tak sędzę.

- A tymczasem - uśmiechnął się Sulla - skarb państwa będzie tak zajęty narzekaniem na wydatki Marka Emiliusza, że nie zauważy, ile pieniędzy idzie na armie Policzonych Głowami. Bo Kwintus Lutacjusz też musi wystawić taką armię.

- Ach, Lucjusz Korneliuszu, za długo byłeś w służbie Gajusza Mariusza! - rzekł Skaurus.

- Myślałem o tym samym - powiedział nieoczekiwanie Mariusz. Nie dodał jednak nic ponadto.

Sulla i Mariusz wyruszyli do Galii Zaalpejskiej w końcu lutego, wyprawivszy pogrzeb Julilli i załatwiwszy sprawy spadkowe. Marcja zgodziła się pozostać przez jakiś czas w domu Sulli, doglądając dzieci.

- Ale - powiedziała tonem pogroźki - nie możesz liczyć na to, że będę tu zawsze, Lucjusz Korneliuszu. Teraz, po pięćdziesiątce, chciałabym przenieść się na wybrzeże Kampanii. Moim kościom nie służy to wilgotne miasto. Lepiej ożeń się ponownie, daj tym dzieciom odpowiednią matkę i jakichś przyrodnych braci czy siostry do zabawy.

- To musi poczekać, aż skończymy z Germanami - odpowiedział Sulla, starając się być grzecznym.

- Dobrze więc, po Germanach - powiedziała Marcja.

- Za dwa lata, w takim razie - ostrzegł.

- Dwa? Chyba rok wystarczy!

- Być może, ale ja w to wątpię. Zaplanuj to na dwa lata, teściowo.

- Ani chwili dłużej, Lucjusz Korneliuszu.

Sulla spojrział na nią, unosząc brew figlarnie.

- Lepiej rozejrzyj się dla mnie za odpowiednią żoną.

- Żartujesz?

- Nie, nie żartuję! - wykrzyknął Sulla, którego cierpliwość ostatnio nieco się wyczerpała. - Jak miałbym wyjechać na wojnę z Germanami i jednocześnie szukać w Rzymie nowej żony? Jeśli chcesz odejść zaraz po moim powrocie, wybierz mi żonę i niech będzie chętna.

- Jakiego rodzaju żonę?

- Wszystko jedno! Dopilnuj tylko, żeby była dobra dla moich maleństw.

Z tego i innych powodów Sulla był rad, że opuszcza Rzym. Im dłużej tu pozostawał, tym większą miał ochotę zobaczyć Metrobiusza.

Nie mógł kontrolować dorosłego Metrobiusza w taki sam sposób, jak to robił z chłopcem. Metrobiusz był w wieku, w którym miał coś do powiedzenia na temat rozwoju ich stosunków. Tak, najlepiej będzie trzymać się z dala od Rzymu. Tylko dzieci będzie mu brak, kochanych maleństw, czarujących, kochających bez reszty i bezkrytycznie. Mógł być z dala od nich przez wiele miesięcy, ale gdy tylko się pojawiał, witały go z otwartymi ramionami i milionami pocałunków. Czemu dorosła miłość nie mogła być taka? Pomyślał, że odpowiedź była prosta. Dorosła miłość zbyt była skupiona na sobie i zbyt obciążona myśleniem.

Sulla i Mariusz zostawili młodszego konsula, Kwintusa Lutacjusza Katullusa Cezara w zamęcie zaciągania nowej armii i głośno narzekającego, bo musiała to być armia Policzonych Głowami.

- Oczywiście muszą to być Policzeni Głowami! - rzekł krótko Mariusz. - I nie przychodź do mnie ze zrzędzeniem i jękami - to nie ja straciłem pod Arauzjoną osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy.

I to oczywiście zamknęło usta Katullusowi Cezarowi, ale zaciskał je z wyrazem wyższości.

- Wolałbym, żebyś nie rzucał mi w twarz takich oskarżeń, jakimi on się posługuje - powiedział Sulla.

- Więc niech przestanie mi przypominać Policzonych Głowami! - warknął Mariusz.

Sulla zrezygnował.

Na szczęście sprawy w Galii wyglądały tak, jak powinny. Maniusz Akwiliusz utrzymywał armię w dobrej formie, budując coraz więcej mostów i akweduktów i nie żałując musztry. Wrócił też Kwintus Sertoriusz, ale wkrótce znów udał się do Germanów, ponieważ, jak mówił, tam będzie z niego pożytek; będzie towarzyszył Cymbrom w ich wędrówce i składał w miarę możliwości meldunki Mariuszowi. Wojsko zaś zaczynało niecierpliwie oczekiwać działań, które miał przynieść ten rok.

W owym roku miały zostać wprowadzone w lutym dodatkowe dni, ale różnica zdań między dawnym pontifexem Dalmatyńskim a Ahenobarbusem dała o sobie znać: Ahenobarbus nie widział żadnych zalet w zgodności kalendarza z porami roku. Kiedy więc rozwieszono kalendarz marcowy, wciąż jeszcze była zima, bo kalendarz wyprzedzał porę roku. Gdy rok liczył 355 dni, dodatkowy 20-dniowy miesiąc musiał być wstawiany co dwa lata, tradycyjnie pod koniec grudnia. Decydowało o tym jednak kolegium pontyfików, a jeśli sumienny Pontifex Maximus nie przywoływał ich do porządku, kalendarz wypadał z rytmu, jak to się stało i teraz.

Na szczęście nadszedł list od Publiusza Rutyliusza Rufusa wkrótce po tym, jak Sulla i Mariusz weszli znów w rutynę życia w obozie wojskowym po drugiej stronie Alp.

„Będzie to zdecydowanie rok pełen wydarzeń, więc moim głównym problemem jest: od czego zacząć. Oczywiście wszyscy czekali, aż im się

usuniesz z drogi. Nie zajechałeś dalej niż do Ocelum, a już dolny koniec Forum pełen był harcujących myszy. Mają świetną zabawę, o kocie!

Dobrze więc, zacznę od naszych dwóch wspaniałych cenzorów, Świńskiego i jego kuzyna Koziołka. Świński nudził wszystkich od pewnego czasu - odkąd został wybrany, prawdę mówiąc, był jednak na tyle ostrożny, by nie mówić o tym przy tobie - gadaniną, że zamierza »oczyścić senat«. Chyba to robi.

Jedno, co można o nich powiedzieć, to że nie będą przekupni, więc wszystkie zamówienia publiczne będą załatwiane jak należy, po odpowiednich cenach i według zasług. Już jednak poruszyli skarb państwa, żądając jakiejś wielkiej sumy na remont i odnowienie niektórych świątyń nie dość bogatych, by je było na to stać. Nie wspomnę o odmalowaniu i o marmurowych siedzeniach w latrynach w trzech domach głównych flaminów i w domach świętego króla i Pontifexa Maximusa. Osobiście wolę swoje drewniane siedzenie w latrynie. Marmur jest zimny i twardy! Doszło do miłego małego zamieszania, kiedy Świński wspomniał o domu Pontifexa Maximusa, a skarb państwa był zdania, że nasz nowy P.M. jest wystarczająco bogaty, żeby pokryć koszt malowania i marmurowych siedzeń.

Potem zaczęli załatwiać wszystkie zwyczajne zamówienia - i dobrze im poszło, moim zdaniem. Oferty były liczne, przetargi sprawnie prowadzone i chyba nie szykanowano nikogo.

Po jakimś czasie przeszli z niesłychanym wprost pośpiechem do tego, o co im naprawdę chodziło, do przeglądu spisów senatorów i rycerzy. Nie minęły nawet dwa dni od zakończenia zamówień publicznych - zrobili w niecały miesiąc robotę półtoraroczną! - gdy Świński zwołał *contio* Zgromadzenia Ludowego, by odczytać ustalenia cenzorów, dotyczące moralności i niemoralności ojców spisanych z Senatu. Ktoś musiał jednak powiedzieć wcześniej Saturninowi i Glaucji, że ich nazwiska mają zostać skreślone, bo gdy się zebrało zgromadzenie, w ławach pełno było wynajętych gladiatorów i innych zbirów, których zwykle nie spotyka się na zebraniach komicjów.

Gdy tylko Świński ogłosił, że on i Koziołek usuwają Lucjusza Apulejusza Saturnina i Gajusza Serwiliusza Glaucję ze spisu senatorów, całe to miejsce eksplodowało. Gladiatorzy wdarli się na rostra i ściągnęli z nich nieszczęsnego Świńskiego, a potem podawali go sobie z rąk do rąk, policzkując swymi wielkimi i kanciastymi dłońmi. To całkiem nowa technika - żadnych pałek ani drągów, gołymi rękami. Teoretycznie dłonią nie można nikogo zabić, jeśli nie jest zaciśnięta w pięść. Słyszałem, że nazywają to przemocą minimalną. Bardzo patetycznie. Wszystko to zdarzyło się tak szybko i było tak dobrze zorganizowane, że Świński przebył całą drogę aż do początku Clivus Argentarius, zanim Skaurus, Ahenobarbus i kilku innych dobrych mężów zdołało go wyrwać i pognać z nim do schronienia w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. Twarz miał dwa razy szerszą niż zwykle, oczy zapuchnięte, wargi przecięte w kilkunastu miejscach, nos krwawiący niczym fontanna, uszy ponadrywane i porozbijane łuki brwiowe. Wyglądał dokładnie jak

starożytny grecki pięściarz na igrzyskach olimpijskich.

Przy okazji, jak ci się podoba to słowo, które powiązano ze stronnictwem ultrakonserwatywnym? *Boni* - to Dobrzy. Skaurus chwali się, że je wymyślił po tym, jak Saturnin zaczął nazywać ultrakonserwatystów Wielkimi Politykami. Powinien jednak pomyśleć, że my starsi dobrze pamiętamy, jak to i Gajusz Grakchus, i Lucjusz Opimiusz nazywali swoich stronników *boni*. Ale wróćmy do opowiadania!

Kiedy kuzyn Koziołek upewnił się, że kuzyn Numidyjski jest bezpieczny, zdołał przywrócić porządek w komicjum. Kazał heroldom dać w trąby i wykrzyczał, że on sam nie zgadza się z ustaleniami swego starszego kolegi, więc Saturnin i Glaucja pozostaną na listach senatorów. Mógłbyś powiedzieć, że Świński przegrał to starcie, ale nie podobają mi się metody naszego przyjaciela Saturnina. On sam mówi po prostu, że nie miał nic wspólnego z tym gwałtem, ale jest wdzięczny ludowi za tak spontaniczne opowiedzenie się po jego stronie.

Byłoby zrozumiałe, gdybyś myślał, że to koniec sprawy. Nic podobnego! Cenzorowie zaczęli szacować dochody ekwitów. Kazali urządzić piękny nowy trybunał nad sadzawką Kurcjusza - o drewnianej konstrukcji, zaprojektowany przez nich samych, z dwoma biegami schodów po obu stronach, aby przesłuchiwani wchodzili z jednej strony, przechodzili przed stołem cenzorów i schodzili z drugiej. Dobra robota. Znasz tę procedurę - każdy ekwita albo przyszły ekwita musi przedstawić świadectwa przynależności do *tribus*, urodzenia, obywatelstwa, służby wojskowej, własności i majątku.

Ponieważ trzeba było kilku tygodni, by sprawdzić, czy starający się naprawdę mają dochody w wysokości przynajmniej 400.000 sestercji rocznie, ten pokaz przyciągał przez kilka pierwszych dni wcale spory tłum. Tak było, gdy Świński i Koziołek zaczęli przeglądać spisy ekwitów. Biedny Świński wyglądał dość marnie! Sińce były raczej żółte niż sine, a skaleczenia tworzyły sieć splecionych czarnych linii. Mógł jednak otworzyć oczy na tyle, by coś widzieć. Pewnie tego żałował, tego pierwszego dnia w nowym trybunale, kiedy zobaczył to, co zobaczył.

Nie kogo innego jak Lucjusza Ekwicjusza, samozwańczego syna Tyberiusza Grakcha! Tamten wszedł po schodach, kiedy przyszła jego kolej, i stanął przed Numidyjskim, nie przed Kaprariuszem. Świński wprost skamieniał na widok Ekwicjusza, któremu towarzyszyła mała armia skrybów i urzędników obładowanych księgami rachunkowymi i dokumentami. Potem odwrócił się do swego sekretarza i powiedział, że trybunał jest dziś zamknięty, więc niech odprawi tę kreaturę, która przed nimi stoi.

- Znajdziesz czas, by ze mną pomówić - rzekł Ekwicjusz.

- Dobrze więc, czego chcesz? - spytał złowróżbnym tonem.

- Chcę się znaleźć na liście ekwitów.

- Nie znajdziesz się podczas *lustrum* tych cenzorów! - parsknął nasz Dobry Maż Świński.

Muszę powiedzieć, że Ekwicjusz był cierpliwy.

- Nie możesz mnie odrzucić, Kwintusie Cecyliuszu - powiedział. - Spełniam wszystkie kryteria.

- Nie spełniasz! - odrzekł Numidyjski. - Zostałeś zdyskwalifikowany, bo nie spełniasz podstawowego - nie jesteś obywatelem rzymskim.

- Ależ jestem, szanowny cenzorze! - Ekwicjusz podniósł głos, tak że wszyscy słyszeli. - Zostałem obywatelem rzymskim po śmierci mego pana, który zostawił mi w testamencie cały swój majątek i nazwisko. To, że wróciłem do nazwiska matki, nie ma znaczenia! Mam dowody mego wyzwolenia i adopcji. I nie tylko to, bo przeszłużyłem też dziesięć lat w legionach - i to jako legionista-obywatel rzymski, nie żołnierz posiłkowy.

- Nie zapiszę cię na listę ekwitów, a kiedy zaczniemy sprawdzać obywateli rzymskich, nie zapiszę cię jako obywatela rzymskiego - rzekł Numidyjski.

- Ależ mam do tego prawo - odrzekł bardzo donośnie Ekwicjusz. - Jestem obywatelem rzymskim, moją *tribus* jest Suburana, przeszłużyłem swoje dziesięć lat w legionach, jestem obyczajnym i szanowanym człowiekiem; posiadam cztery insule, dziesięć tawern, sto jugerów ziemi w Lanuwium, tysiąc jugerów w ziemi w Firmum Picenum, portyk na rynku w Firmum Picenum; mam przeszło cztery miliony sestercji rocznego dochodu, więc kwalifikuję się także do senatu. - Strzelił palcami na swego głównego urzędnika, który strzelił palcami na swych pomocników, którzy z kolei wystąpili wszyscy naraz, trzymając całe naręcza dokumentów. - Mam dowody, Kwintusie Cecyliuszu.

- Nie obchodzi mnie, ile mi pokażesz kawałków papieru, ty prostaku, nisko urodzony dorobkiewicz. I nie dbam o świadków, jakich mi sprowadzisz, ty zachłanna pijawko! - wrzasnął Świński. - Nie zapiszę cię jako obywatela i tym bardziej nie wpiszę cię do rejestru ekwitów! Szczam na ciebie, ty rajfurze! Precz!

Ekwicjusz odwrócił się do tłumu, rozłożył ręce - a miał na sobie togę - i przemówił:

- Czy słyszycie? Mnie, Lucjuszowi Ekwicjuszowi, synowi Tyberiusza Grakcha, odmawia się obywatelstwa i statusu ekwity!

Świński zerwał się na nogi tak szybko, że Ekwicjusz nawet tego nie spostrzegł. Zaraz potem nasz dzielny cenzor zadał prawicą cios w szczękę Ekwicjusza, który z wytrzeszczonymi oczami i huczącą głową wylądował na tyłku. Świński zaś kopniakiem posłał Ekwicjusza z trybuny w tłum.

- Szczam na was wszystkich! - ryknął, wygrażając pięścią widzom i gladiatorom. - Precz stąd i zabrać mi to nie-rzymskie łajno!

I wszystko się powtórzyło, tyle że tym razem gladiatorzy nie tknęli twarzy Świńskiego. Wyciągnęli go z trybunału i zabrali się do niego z pięściami, zębami i butami. W końcu to Saturnin i Glaucja - zapomniałem wspomnieć, że czaili się z tyłu - wystąpili i wyciągnęli Numidyjskiego spośród napastników. Nie sądzę, żeby planowali zabójstwo Numidyjskiego. Potem Saturnin wszedł na trybunę i uciszył wszystkich na tyle, by Kaprariusz mógł być słyszany.

- Nie zgadzam się z mym kolegą i biorę na siebie dopuszczenie Lucjusza Ekwicjusza w szeregi *Ordo Equester*! - zawył biedak z pobielającą twarzą. Zdaje się, że nigdy nie oglądał tyle przemocy w żadnej ze swych wojskowych kampanii.

- Wpisz nazwisko Lucjusza Ekwicjusza! - ryknął Saturnin. I Kaprariusz wpisał to nazwisko do rejestru.

- A teraz do domu! - powiedział Saturnin i wszyscy zaraz ruszyli do domu, niosąc na ramionach Lucjusza Ekwicjusza.

Świński był zbity na kwaśne jabłko. Moim zdaniem miał szczęście, że go nie zabili. Ależ był wściekły! Wpadł do kuzyna Koziołka z awanturą za to, że ustąpił po raz drugi. Biedny Koziołek był bliski łez i wcale się nie bronił.

- Świnie, podłe świnie! - powtarzał Świński, gdy my wszyscy opatrywaliśmy mu żebra - miał kilka złamanych - i sprawdzali, jakie inne rany kryła jego toga.

Tak, to było bardzo głupie, ale na bogów, Gajuszu Mariuszu, każdy musi podziwiać odwagę Świńskiego!”

Mariusz podniósł wzrok znad listu.

- O co chodzi Saturninowi?

Ale Sulla myślał o czymś znacznie mniej ważnym.

- To Plaut! - powiedział nagle.

- Co takiego?

- *Boni*, Dobrzy Mężowie! Gajusz Grakchus, Lucjusz Opimiusz i nasz Skaurus głoszą, że wymyślili nazwę *boni* dla swoich stronnictw, ale Plaut nazywał *boni* plutokratów i innych patronów sto lat temu! Pamiętam, jak to słyszałem na przedstawieniu *Jeńców* Plauta - a Skaurus był edylem kurulnym, na Tespisa! Zacząłem wtedy chodzić do teatru.

Mariusz wytrzeszczył oczy.

- Lucjusz Korneliuszu, nie martw się o to, kto wymyślił jakie słowo, i pomyśl o tym, co naprawdę ważne! Dość wspomnieć o teatrze, a zapominasz o całym świecie! - rzekł.

- Ach, przepraszam! - powiedział Sulla wcale nie skruszony.

Mariusz podjął czytanie.

„Przenieśmy się teraz z Forum Romanum na Sycylię, gdzie się zdarzyły najróżniejsze rzeczy: niektóre tak straszne, że aż śmieszne, a niektóre wprost niewiarygodne.

Jak wiesz (ale odświeżę ci pamięć, bo nie cierpię po kawałku opowiadanych historii), koniec ostatniej kampanii zastał Lucjusza Licyniusza Lukullusa siedzącego pod niewolniczą twierdzą w Triokali z zamiarem zagłodzenia buntowników. Kazał heroldowi przypomnieć im opowieść o wrogiej twierdzy, która opierała się Rzymowi, bo miała zapasy żywności na dziesięć lat, a Rzym ogłosił, że w takim razie zdobędzie ją w jedenastym roku.

W rzeczy samej Lukullus zrobił świetną robotę. Otoczył Triokalę istnym lasem ramp oblężniczych, wież, schronów, taranów, katapult i barykad i zasypał wielką rozpadlinę, która leżała jako naturalna obrona przed murami. Potem zbudował dla swych żołnierzy wspaniały obóz, tak umocniony, że gdyby nawet niewolnicy wyszli z Triokali, nie dostaliby się do obozu Lukullusa. Postanowił przezimować w najlepszych warunkach i był pewien, że powierzą mu dowództwo.

Potem w styczniu przyszła wiadomość, że nowym namiestnikiem został

Gajusz Serwiliusz Augur, a z oficjalnym doniesieniem przyszedł list od naszego drogiego Metellusa Numidyjskiego Świńskiego pełen obrzydliwych szczegółów o skandalicznym sposobie załatwienia tej sprawy przez Ahenobarba i jego kochasia Augura.

Nie znasz dobrze Lukullusa, Gajuszu Mariuszu, ale ja go znam. Jak wielu innych jest chłodny, zamknięty w sobie i wyniosły wobec świata. Znasz to: »Jestem Lucjusz Licyniusz Lukullus, dobrze urodzony Rzymianin z najstarszego rodu i jeśli będziecie mieli szczęście, mogę was od czasu do czasu zauważyć«. Ale pod tą maską kryje się człowiek wrażliwy, namiętny, groźny, kiedy się rozgniewa. Gdy Lukullus dostał wiadomość, przyjął ją chłodno i z rezygnacją, jakiej można się było spodziewać. Potem zaczął niszczyć wszystkie swoje maszyny oblężnicze, rampy, wieże, schrony, wszystko. Spalił, co mógł spalić, i wywiózł resztki w tysiąc różnych miejsc z dala od Triokali. Potem zniszczył własny obóz i zapasy, jakie w nim były.

Myślisz, że to wystarczyło? Nie Lukullusowi, bo ten dopiero zaczął. Zniszczył wszystkie dokumenty swego zarządzania w Syrakuzach i w Lilibeum i odmaszerował z siedemnastoma tysiącami żołnierzy do portu w Agrigencie.

Jego kwestor okazał się ogromnie lojalny i we wszystkim z nim współdziałał. Już wcześniej przyszedł żołd dla armii, a w Syrakuzach były też pieniądze z łupów wziętych po bitwie pod Herakleją. Lukullus nałożył też grzywnę na wszystkich nierzymskich obywateli Sycylii za robienie trudności Publiuszowi Licyniuszowi Nerwie, poprzedniemu namiestnikowi. Po czym wykorzystał część pieniędzy, które przysły do użytku Serwiliusza Augura na wynajęcie floty statków do przewozu jego żołnierzy.

Na wybrzeżu pod Agrigentum zwolnił ze służby swoich żołnierzy i rozdał im do ostatniej sestercji wszystko, co zdołał uzbierać. Ci żołnierze Lukullusa stanowili bardzo różnorodną zbieraninę i dowodzili, że italscy Policzeni Głowami są równie wyeksploatowani jak inne klasy, jeżeli chodzi o żołnierzy. Oprócz italskich i rzymskich weteranów, których pozbiarał w kampanii, miał on legion i kilka dodatkowych kohort z Bitynii, Grecji i macedońskiej Tessalii - żądał ich od króla Bitynii Nikomedesa, na co król odparł, że nie ma nadmiaru ludzi, bo rzymscy poborcy podatków zamienili wszystkich w niewolników. Było to raczej impertynenckie przypomnienie, że wyzwaliśmy naszych italskich sprzymierzeńców - Nikomedes uważał, że traktat przyjaźni i przymierza powinien obejmować także wyzwalenie rzymskich niewolników! Lukullus oczywiście dał mu dobrą odprawę i zabrał jego bityńskich żołnierzy.

Teraz ci bityńscy żołnierze mieli być odesłani do kraju, a rzymscy i italscy do domów, do Italii i do Rzymu. Ze świadectwami zwolnienia z wojska. Usunąwszy ostatni ślad swego namiestnictwa z Sycylii, Lukullus odpłynął.

Gdy tylko to zrobił, król Tryfon i jego doradca Atenion wypadli z Triokali i zaczęli plądrować i pustoszyć na nowo Sycylię. Byli całkowicie przekonani, że wygrali wojnę, a ich hasłem było: »Zamiast być niewolnikiem, lepiej mieć niewolników!« Nie zebrano żadnych plonów, a miasta

przepelnily się uciekinierami ze wsi. Sycylia znów stała się istną Iliadą nieszczęść.

Tak czarującą sytuację zastał Serwiliusz Augur. Nie mógł w to, oczywiście, uwierzyć. I zaczął biadać w kolejnych listach do swego patrona Ahenobarba Pipinny.

Tymczasem Lukullus wrócił do Rzymu i zaczął przygotowywać się do tego, co było nieuniknione. Kiedy Ahenobarbus oskarżył go w kurii o rozmyślne zniszczenie własności Rzymu - zwłaszcza machin oblężniczych i obozów - Lukullus po prostu spojrzął na niego z góry i odparł, że jego zdaniem nowy namiestnik zechce zacząć po nowemu. Sam Lukullus wolał zostawić wszystko w takim stanie, w jakim wszystko zastał, i to właśnie zrobił na Sycylii pod koniec kadencji - pozostawił Sycylię w takim stanie, w jakim ją znalazł. Głównym problemem Serwiliusza Augura był brak armii - zakładał po prostu, że Lukullus zostawi swoje legiony. Nie pofatygował się jednak zażądać formalnie od Lukullusa tych żołnierzy. Lukullus utrzymywał więc, że z braku formalnego żądania jego żołnierze byli do jego dyspozycji i mógł z nimi robić, co chciał. Czuł zaś, że zasłużyli na zwolnienie. - Zostawiłem Gajuszowi Serwiliuszowi Augurowi białą tablicę wytartą do czysta ze wszystkiego, co mogłem zdziałać - mówił Lukullus w kurii.

- Gajusz Serwiliusz Augur jest człowiekiem nowym, a ludzie nowi mają swoje własne sposoby na wszystko. Uznałem, że robię mu grzeczność. .

Bez armii Serwiliusz Augur może zdziałać na Sycylii bardzo niewiele. Nie zanoszą się też na jakąś nową armię dla Sycylii, bo Katullus Cezar wyławia tych nielicznych poborowych, których może dać Italia. Weterani Lukullusa rozproszyli się po świecie, w większości z pękatymi sakiewkami, i niełatwo dadzą się odnaleźć.

Lukullus dobrze wie, że grozi mu sprawa sądowa. Myślę, że się tym nie przejmuje. Miał ogromną satysfakcję, niszcząc całkowicie wszelkie szanse, jakie mógł mieć Serwiliusz Augur, by mu wytrącić broń z ręki. To znaczy więcej dla Lukullusa niż uniknięcie oskarżeń. Robi, co może, by uchronić swoich synów, bo myśli, że Ahenobarbus i Augur wykorzystają nowy trybunał Saturnina, by mu wytoczyć sprawę i go skazać. Przekazał tyle majątku, ile mógł, starszemu synowi, Lucjuszowi Lukullusowi, a młodszego, który ma trzynaście lat, oddał w adopcję Terencjuszom Warronom. Nie mają w tym pokoleniu żadnego Marka Terencjusza Warrona, a to niezmiernie bogata rodzina.

Słyszałem od Skaurusa, że Świński - który jest tym wszystkim bardzo przygnębiony i ma powody, bo gdyby skazano Lukullusa, musi zabrać swoją siostrę skandalistkę Metellę Kalwę do domu - opowiada, jak to ci dwaj chłopcy przysięgli zemstę Serwiliuszowi Augurowi, kiedy tylko dorosną. Zwłaszcza starszy, Lucjusz Lukullus Młodszy, wydaje się szczególnie zawzięty. Mnie to nie dziwi. Bardzo przypomina ojca z wyglądu, czemu więc nie miałby i z charakteru. Popaść w niełaskę z winy wybujających ambicji jakiegoś człowieka nowego to prawdziwe przekleństwo.

I tyle na dziś. Będę cię informował. Chciałbym tam być, by ci pomóc w

walce z Germanami - nie, żebyś potrzebował pomocy, ale dlatego, że mi tego brak”.

W kalendarzu był kwiecień, gdy Mariusz i Sulla usłyszeli, że Germanie pakują się i wyruszają z kraju Atuatuków, a w następnym miesiącu Sertoriusz zjawiał się osobiście, by donieść, że Bojoryks trzymał dotąd Germanów razem, by mieć pewność, że jego plan wejdzie w życie. Cymbrowie i mieszana grupa pod wodzą Tygurynów ruszyli w górę Renu, a Teutoni wędrują na południowy wschód wzdłuż Mozy.

- Musimy przyjąć, że jesienią Germanie istotnie zjawią się w trzech osobnych grupach na granicach Galii Italskiej - powiedział Mariusz, dysząc ciężko. - Chciałbym tam być, by powitać Bojoryksa, kiedy przybędzie nad Atesis, ale to nierozsądne. Najpierw muszę obezwładnić Teutonów. Mam nadzieję, że wędrują oni najszybciej, przynajmniej aż do Druencji, bo nie muszą przechodzić przez wysokie góry, aż do ostatka. Jeżeli pobijemy Teutonów tutaj - i zrobimy to jak należy - będziemy mieli czas przejść Mons Genava i zagrozić drogę Bojoryksowi i Cymbrom, zanim wejdą do Galii Italskiej.

- Nie sądzisz, że Katullus Cezar sam da sobie radę z Bojoryksem? - spytał Maniusz Akwiliusz.

- Nie - odrzekł zdecydowanie Mariusz.

Potem sam na sam z Sullą dał wyraz swoim wątpliwościom co do szans młodszego kolegi w starciu z Bojoryksem, bo Kwintus Lutacjusz Katullus miał przeprowadzić armię na północ nad Atesis, gdy tylko zostanie wyszkolona i wyekwipowana.

- Będzie miał ze sześć legionów i ma całą wiosnę i lato na doprowadzenie ich do gotowości. Ale z niego żaden wódz - mówił Mariusz. - Trzeba mieć nadzieję, że Teutobod przybędzie najwcześniej, że go pobijemy, przekroczymy Alpy w wielkim pośpiechu i dołączymy do Katullusa Cezara, zanim Bojoryks dotrze do jeziora Benakus.

Sulla uniósł brew.

- Będzie całkiem inaczej.

- Wiedziałem, że to powiesz - westchnął Mariusz.

- Wiedziałem, że wiesz, że powiem. - Sulla wyszczerzył zęby. - Niemożliwe, żeby któraś z dwóch grup, wędrujących bez Bojoryksa, osiągnęła lepszy czas niż Cymbrowie. Kłopot w tym, że nie będziesz miał dość czasu, by być wszędzie w odpowiedniej porze.

- Więc zostanę tu i zaczekam na Teutoboda. - Mariusz odzyskał pewność siebie. - Ta armia zna każde źdźbło trawy i każdą gałązkę między Massylią i Arauzjoną, a ludziom bardzo potrzebne jest zwycięstwo po dwóch latach bezczynności. Ich szanse na zwycięstwo są tu bardzo duże. Tu więc muszę stać.

- Zauważyłem to „ja”, Gajuszu Mariuszu - powiedział Sulla. - Czy masz dla mnie coś innego do roboty?

- Mam. Przykro mi, Lucjuszu Korneliuszu, pozbawiać cię dobrze zasłużonej szansy zgładzenia kilku Teutonów, ale chyba muszę cię posłać, byś służył Katullusowi Cezarowi jako starszy legat. Ciebie przełknie w tej

roli, bo jesteś patrycjuszem.

Rozczarowany Sulla spojrzął w dół na swe dłonie.

- Co będzie ze mnie za pomoc, jeśli służę w niewłaściwej armii?

- Nie martwiłbym się tak bardzo, gdybym nie widział w moim młodszym konsulu wszystkich cech Sylana, Kasjusza, Cepiona i Maliusza Maksymusa. Widzę je. Katullus Cezar nie ma pojęcia o strategii i taktyce - myśli, że to bogowie dali je przy urodzeniu i kiedy nadchodzi pora, one już tam są. Ale to nie jest tak, sam wiesz.

- Tak, wiem.

- Gdyby Bojoryks i Katullus Cezar spotkali się, zanim przejdę do Galii Italskiej, Katullus Cezar gotów popełnić jakiś okropny błąd militarny i stracić armię. Jeśli mu się na to pozwoli, nie wiem, jak możemy zwyciężyć. Cymbrowie są najliczniejsi i najlepiej dowodzeni. Na dodatek nie znam kraju po drugiej stronie Padu. Jeśli zdołam pobić Teutoboda z mniej niż czterdziestoma tysiącami ludzi, to dzięki znajomości kraju.

- Ale czego spodziewasz się po mnie? - spytał Sulla. - To Katullus Cezar nosi płaszcz wodza, nie Korneliusz Sulla. Co mam zrobić?

Dłoń Mariusza zacisnęła się na przedramieniu Sulli nad przegubem.

- Gdybym to wiedział, mógłbym stąd kontrolować Katullusa Cezara. Faktem jest, Lucjuszu Korneliuszu, że przeżyłeś ponad rok wśród barbarzyńskich wrogów jako jeden z nich. Twój umysł jest równie ostry jak twój miecz i obu używasz z wielką wprawą. Nie mam wątpliwości, że zrobisz wszystko, co można, by ratować Katullusa Cezara przed nim samym.

Sulla wciągnął powietrze.

- Mam więc rozkaz ocalić jego armię za wszelką cenę.

- Za wszelką cenę.

- Nawet za cenę życia Katullusa Cezara?

- Nawet za cenę życia Katullusa Cezara.

Wiosna minęła w powodzi kwiatów i lato nadeszło tryumfalnie niczym wódz w paradzie zwycięstwa, a potem ciągnęło się gorące i suche. Teutobod i jego Teutoni ciągnęli wytrwale przez ziemie Eduów do ziem Allobrogów, którzy zajmowali cały obszar między górnym Rodanem a Isarą, wiele mil ku południowi. Allobrogowie byli wojowniczym ludem i nienawidzili Rzymu i Rzymian, ale zastępy Germanów maszerowały przez ich kraj przed trzema laty i nie życzyli oni sobie zwierzchnictwa Germanów. Doszło więc do zaciętych walk i pochód Teutonów zwolnił.

Mariusz przemierzał podłogi swej kwatery wodza i zastanawiał się, co słyhać u Sulli, obecnie służącego w armii Katullusa Cezara w Galii Italskiej, obozującej nad Padem.

Katullus Cezar przemaszerował wcześniej po Via Flaminia na czele sześciu niepełnych nowych legionów pod koniec czerwca. Kiedy dotarł do Bononii przy Via Emilia, skręcił po Via Annia do wielkiego przemysłowego miasta Patavium, leżącego sporo na wschód od jeziora Benakus, ale przy drodze lepiej się nadającej dla przemarszów armii niż boczne drogi i szlaki, a taka była większość dróg Galii Italskiej. Z Patavium przemasze-

rował po jednej z tych źle utrzymanych bocznych dróg do Werony i tam założył obóz.

Aż dotąd Katullus Cezar nie zrobił niczego, co Sulla mógł zganić, ale teraz rozumiał lepiej, czemu Mariusz przeniósł go do Galii Italskiej, a co uważał wtedy za mniej ważne zadanie. Z wojskowego punktu widzenia może i tak było, Sulla pomyślał jednak, że Mariusz nie pomylił się w ocenie Katullusa Cezara. Wyniosły arystokrata, arogancki i pewny siebie, przypominał Sulli żywo Metellusa Numidyjskiego. W tym był problem, bo teatr wojny i przeciwnik Katullusa Cezara był o wiele bardziej niebezpieczny niż to, czemu stawiał kiedyś czoło Metellus Numidyjski, a Metellus miał za legatów Gajusza Mariusza i Publiusza Rutyliusza i poza tym miał w pamięci zbawienne doświadczenie ze świńskiego chlewu pod Numancją. Tymczasem Katullus Cezar nie spotkał Mariusza na drodze swej kariery wojskowej. Przesłużył wymagany czas jako kadet i trybun wojskowy pod mniejszymi ludźmi, prowadzącymi mniejsze wojny w Macedonii i w Hiszpanii. Wojna na większą skalę dotąd mu się wymykała.

Przyjął Sullę w sposób mało obiecujący, bo wybrał swoich legatów przed opuszczeniem Rzymu, a w Bononii zastał Sullę czekającego z poleceniem wodza naczelnego, by Lucjusz Korneliusz Sulla został starszym legatem i zastępcą dowódcy. Było to posunięcie arbitralne, ale Mariusz nie miał oczywiście wyboru. Katullus Cezar traktował Sullę ozięble i hamował jego działania. Jedynie urodzenie Sulli dawało mu dobrą pozycję, ale nawet ono nosiło cień przeszłości, życia w niskim stanie. Była też i nuta zazdrości w zachowaniu Katullusa Cezara, bo w Sulli widział człowieka, który nie tylko oglądał działania na wielką skalę w wielkich teatrach wojny, ale i dokonał jakiegoś świetnego czynu, szpiegując Germanów. Gdyby wiedział o prawdziwej roli Sulli w tym szpiegowaniu, byłby znacznie bardziej podejrzliwy i nieufny.

W rzeczy samej Mariusz okazał swą zwykłą zręczność, wysyłając Sullę, a nie Maniusza Akwiliusza, który mógł też okazać swą wartość jako pies łańcuchowy-cum-strażnik, bo Sulla działał Katullusowi na nerwy. Kiedy zniknął tamtemu z oczu, był on zawsze świadomy, że jego tropem idzie biały lampart - kiedy jednak odwracał się, by mu stawić czoło, nie było go tam. Żaden starszy legat nie był nigdy bardziej skory do przejęcia zarządzania i nadzoru nad armią. A jednak - a jednak Katullus Cezar wiedział, że coś jest nie tak. Po cóż by Gajusz Mariusz wysyłał go, jeśli nie chodziło o jakiś podstęp?

W planach Sulli nie leżało uspokojenie Katullusa Cezara ani rozproszenie jego podejrzeń. Przeciwnie, Sulla zamierzał podtrzymywać lęki i podejrzania Katullusa i tak zdobyć nad nim przewagę, którą kiedy będzie trzeba - jeśli będzie trzeba - wykorzystać. Tymczasem zaś postarał się zapoznać z każdym trybunem wojskowym i centurionem w tej armii, i z wielką liczbą szeregowych żołnierzy. Pozostawiony samemu sobie przez Katullusa Cezara w sprawach ćwiczeń i musztry z chwilą założenia obozu pod Weroną, Sulla stał się starszym legatem, którego każdy poniżej legata znał, szanował i któremu ufał. Było to konieczne, gdyby był zmuszony pozbyć się Katullusa Cezara.

Nie miał zresztą zamiaru zabijać tamtego ani kaleczyć, był na tyle dobrym patrycjuszem, by chronić członków swojej klasy, nawet przed sobą samym. Nie miał żadnych względów dla Katullusa Cezara, ale dla jego klasy je miał.

Cymbrowie dobrze się spisali pod wodzą Bojoryksa, który doprowadził zarówno własną grupę, jak grupę Getoryksa do zbiegu Danubu z Aenusem. W tym miejscu pozostawił Getoryksa, który miał już niewiele drogi do przebycia, Cymbrowie skęcili zaś na południe w górę rzeki. Wkrótce szli już przez górskie krainy zamieszkałe przez plemię Celtów, zwanych się Brennami, na pamiątkę pierwszego Brennusa. Kontrolowali oni przełęcz Brennusa, najniższą z przełęczów wiodących do Galii Italskiej, ale nie byli w stanie powstrzymać Bojoryksa i jego Cymbrów przed skorzystaniem z tej drogi.

W końcu kalendarzowego kwinktylisa Cymbrowie dotarli do rzeki Atesis, gdzie zlewała się ona z Isarcus, strumieniem spływającym z przełęczą Brennusa. Tu rozeszli się po zielonych górskich łąkach i spoglądali ponad górami w ciemnoniebieskie bezchmurne niebo. I tu wykryli ich zwiadowcy Sulli.

Chociaż Sulla myślał, że jest przygotowany na wszelkie okoliczności, nie przewidział tego, czemu miał stawić czoło, bo nie znał na tyle Katullusa Cezara, by wiedzieć, jak zareaguje na wieść, że Cymbrowie stoją w górze doliny Atesis i że chcą najechać Galię Italską.

- Dopóki żyję, germańska noga nie dotknie italskiej ziemi! - oświadczył Katullus Cezar donośnym głosem, kiedy omawiano tę sprawę na radzie. - Germańska noga nie tknie italskiej ziemi! - powtórzył, wstając majestatycznie z krzesła i spoglądając na każdego ze swoich wyższych oficerów po kolei. - Ruszamy!

Sulla wytrzeszczył oczy.

- Ruszamy? - spytał. - Dokąd ruszamy?

- W górę Atesis, oczywiście - odrzekł Katullus Cezar z taką miną, jakby uważał Sullę za głupca. - Odepchnę Germanów za Alpy, zanim pierwszy śnieg to uniemożliwi.

- Jak daleko pójdziesz w górę Atesis? - spytał Sulla.

- Dopóki ich nie spotkamy.

- W wąskiej dolinie jak dolina Atesis?

- Oczywiście - powiedział Katullus. - Będziemy w znacznie lepszej sytuacji niż Germanie. My mamy zdyscyplinowaną armię, oni to nie zorganizowany tłum. To nasza najlepsza szansa.

- Nasza najlepsza szansa jest tam, gdzie legiony znajdą miejsce do rozwinięcia szyku - rzekł Sulla.

- Wzdłuż Atesis jest aż nadto miejsca do rozwijania szyków. - Katullus Cezar nie życzył sobie dalszej dyskusji.

Sulla opuścił radę z zamętem w głowie. Plany, które ułożył wcześniej, były bezużyteczne. Wmawiał sobie, że zdoła podsunąć Katullusowi Cezarowi któryś ze swoich pomysłów, tak że ten uzna go za własny. Teraz ujrzał, że nie ma planu, i nie mógł ułożyć żadnego. Nie wcześniej, niż

przekona Katullusa Cezara, aby zmienił zdanie.

Ale Katullus Cezar nie chciał zmienić zdania. Poderwał armię i kazał jej iść w górę Atesis, tam, gdzie rzeka wypływa o kilka mil na wschód z jeziora Benakus, największego ze wspaniałych alpejskich jezior leżących u podnóża Alp Italskich. Im dalej zaś mała armia - składająca się z dwudziestu dwóch tysięcy żołnierzy, dwóch tysięcy kawalerii i jakichś ośmiu tysięcy nielinowych - maszerowała na północ, tym węższa i groźniejsza stawała się dolina Atesis.

W końcu Katullus Cezar dotarł do placówki handlowej zwanej Tridentum. Tu wznosiły się trzy potężne turnie, trzy połamane zębate kły, od których miejsce to nosiło nazwę Trzech Zębów. Atesis płynęła tu bardzo głęboko i szybko, bo jej źródła leżały w górach, gdzie śniegi nigdy nie topnieją, zasilają więc rzekę przez cały rok. Za Trydentem dolina zamykała się jeszcze bardziej, a droga wijąca się wzdłuż niej do miasteczka kończyła się tam, gdzie wezbrana rzeka pędziła pod długim drewnianym mostem osadzonym na kamiennych filarach.

Jadący na czele swych starszych oficerów Katullus Cezar rozglądał się z siodła i kiwał głową z zadowoleniem.

- To mi przypomina Termopile - powiedział. - To idealne miejsce, by powstrzymać Germanów, póki nie dadzą za wygraną i nie zawrócą na północ.

- Spartanie broniący Termopil zginęli - powiedział Sulla.

Katullus podniósł z wyższością brwi.

- A co to ma za znaczenie, jeśli Germanie zostaną odepchnięci?

- Oni nie zamierzają zawrócić, Kwintusie Lutacjuszu! Zawracać o tej porze roku, kiedy za plecami mają tylko śnieg, zapasów niewiele, a przed sobą trawę i zboże Galii Italskiej? - Sulla pokręcił przecząco głową. - Nie powstrzymamy ich tutaj.

Pozostali oficerowie poruszyli się niespokojnie. Wszyscy zauważyli niepokój Sulli, odkąd zaczął się marsz w górę Atesis, a ich zdrowy rozsądek wołał, że działania Katullusa Cezara są głupie. Sulla nie ukrywał zresztą niepokoju. Jeśli miał powstrzymać Katullusa Cezara przed utratą armii, potrzebował poparcia jego sztabu.

- Tu będziemy walczyć - oświadczył Katullus Cezar i nie ustępował. Myśli miał pełne wizji nieśmiertelnego Leonidasa i jego garstki Spartan, jakie ma znaczenie, że ciało w końcu zginie, jeśli nagrodą będzie wieczna sława?

Cymbrowie byli bardzo blisko. Dla rzymskiej armii byłoby niemożliwością maszerować dalej na północ, nawet gdyby Katullus Cezar tego chciał. Mimo to Katullus nalegał na przejście mostu całą siłą i wprowadzenie jej do obozu po wrogiej stronie rzeki w miejscu tak wąskim, że obóz ciągnął się przez całe mile z północy na południe, bo każdy legion ustawiał się za sąsiednim, a ostatni legion obozował przy samym moście.

- Zostałem, niestety, okropnie rozpieszczony - powiedział Sulla do *primus pilus* centuriona z legionu najbliższego mostu, twardemu Samnicie z Atiny imieniem Gnejusz Petrejusz. Jego legion składał się z samnickich Policzonych Głowami i został sklasyfikowany jako posiłkowy.

- W jaki to sposób zostałeś rozpieszczony? - spytał Gnejusz Petrejusz, patrząc z mostu na pędzącą wodę. Most nie miał balustrad, tylko niski krawężnik z pni drzewnych.

- Służyłem dotąd wyłącznie pod Gajuszem Mariuszem - odrzekł Sulla.

- Miałeś piekielne szczęście. Miałem nadzieję, że dostanę tę szansę, ale chyba żaden z nas już jej nie dostanie, Lucjuszu Korneliuszu - mruknął Gnejusz Petrejusz.

Obok nich stał dowódca tego legionu, który został wybrany na trybuna wojskowego. Był to nie kto inny jak Marek Emiliusz Skaurus Młodszy, syn przywódcy kurii - i gorzkie rozczarowanie dla jego wyniosłego ojca. Skaurus Młodszy porzucił kontemplację rzeki i spojrzał na swego szefa centurionów.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nikt z nas nie dostanie szansy?

Gnejusz Petrejusz odmruknął:

- Wszyscy tu zginiemy, trybunie.

- Zginiemy? Wszyscy? Dlaczego?

- Gnejusz Petrejusz ma na myśli to - rzekł Sulla ponuro - że zostaliśmy wprowadzeni w sytuację wojskową nie do obrony przez kolejnego wysoko urodzonego dyletanta.

- Całkiem się mylicie - wykrzyknął młody Skaurus. - Zauważyłem już na radzie, Lucjuszu Korneliuszu, że nie doceniasz strategii Kwintusa Lutacjusza.

Sulla mrugnął na centuriona.

- Wyjaśnij więc ją nam, trybunie *militum*. Czekam niecierpliwie.

- No cóż, Germanów jest czterysta tysięcy, a nas tylko dwadzieścia cztery tysiące. Nie możemy więc zapewne stawić im czoła w otwartym polu - mówił młody Skaurus zachęcony skupieniem, z jakim patrzyli ci dwaj wojskowi. - Jedynym sposobem, by ich pobić, jest ściśnięcie ich na froncie nie szerszym niż możliwy front naszej armii i rozbicie ich na tym froncie dzięki naszemu lepszemu wyszkoleniu. Kiedy zrozumieją, że nas nie odepchną - cóż, zrobią to, co zawsze robią Germanie, zawrócą.

- Więc tak to widzisz - rzekł Gnejusz Petrejusz.

- Bo tak to jest! - odparł niecierpliwie młody Skaurus.

- Tak to jest? - Sulla zaczął się śmiać.

- Tak to jest. - I Gnejusz Petrejusz też się zaśmiał.

Młody Skaurus patrzył na nich z osłupieniem, a ich rozbawienie wyraźnie go przestraszyło.

- Co w tym tak zabawnego, jeśli wolno? - zapytał.

Sulla otarł oczy.

- To jest zabawne, młody Marku Emiliuszu, bo jest beznadziejnie naiwne. - Podniósł rękę, omiatając, niczym pędzlem malarza, górskie zbocze po obu stronach. - Spójrz w górę. Co widzisz?

- Góry. - Zdumienie młodego Skaurusa rosło.

- Ścieżki nadające się do jazdy konnej, szlaki bydła, oto co widzimy! Czy nie widzisz tych tarasików, dzięki którym ta góra wygląda jak minojska spódnica? Wystarczy, że Cymbrowie wejdą na te tarasy, a w trzy dni jesteśmy oskrzydleni - i wtedy znajdziemy się między młotem a kowadłem.

Zdeptani niczym żuk pod obcasem.

Młody Skaurus zbladł tak bardzo, że Sulla i Petrejusz chwycili go odruchowo pod ramiona, by nie wpadł do wody. Nic, co wpadało w ten nurt, nie uchodziło z życiem.

- Nasz wódz ułożył zły plan - rzekł szorstko Sulla. - Powinniśmy czekać na Cymbrów między Weroną a jeziorem Benakus, gdzie można na tysiąc sposobów złapać ich jak należy i jest dość miejsca, by zastawić pułapkę.

- Więc czemu ktoś tego nie powie Kwintusowi Lutacjuszowi? - wyszeptał młody Skaurus.

- Bo to jeszcze jeden konsul o sztywnym karku - odparł Sulla. - Nie chce słuchać niczego, oprócz własnych myśli. Gdyby to był Gajusz Mariusz, ten by mnie wysłuchał. Ale to jest *non sequitur* - Mariuszowi nie trzeba by tego mówić. Nie, młody Marku Emiliuszu, nasz wódz myśli, że najlepiej jest walczyć jak w Termopilach. Jeśli pamiętasz coś z historii, wiesz, że wystarczyła jedna ścieżka wokół góry, by zniszczyć Leonidasa.

Młody Skaurus zaczął się krztusić.

- Przepraszam! - wydyszał i pomknął do swego namiotu.

Sulla i Skaurus patrzyli za nim, jak przemyka, starając się powstrzymać mdłości.

- To nie armia, to fiasko - powiedział Petrejusz.

- Nie, to dobra mała armia - sprzeciwił się Sulla. - Fiasko to jej przywódcy.

- Poza tobą, Lucjusz Korneliuszu.

- Poza mną.

- Masz coś na myśli - powiedział Petrejusz.

- Rzeczywiście, mam. - I Sulla uśmiechnął się, aby ukazać swoje długie zęby.

- Czy mogę spytać, co takiego?

- Chyba tak, Gnejuszu Petrejuszu. Ale raczej odpowiem ci o - zmiernych, powiedzmy? Na zgromadzonym forum obozowym twojego samnickiego legionu - rzekł Sulla. - Ty i ja zamierzamy spędzić resztę popołudnia, zapraszając każdego *primus pilus* i każdego głównego centuriona kohorty na to zebranie o zmiernych. - Policzył szybko pod nosem. - To około siedemdziesięciu ludzi. Ale to tych siedemdziesięciu się liczy. W drogę więc Gnejuszu Petrejuszu! Ty bierzesz te trzy legiony w tym końcu doliny, a ja skaczę na swego czarnego muła i biorę te trzy w drugim końcu.

Cymbrowie przybyli tego samego dnia tuż na północ od sześciu legionów Cezara Katullusa, wylewając się w dolinę znacznie przed swymi wozami, by się zbliżyć do wałów rzymskiego obozu. I tam pozostali, kłębiąc się, gdy wieść leciała po legionach. Żołnierze robili wycieczki na północ, by spoglądać znad wiklinowych parapetów na mrozący krew w żyłach widok większej ilości ludzi, niż to kiedykolwiek widzieli - i to w dodatku olbrzymów.

Zebranie na forum obozu Samnitów trwało bardzo krótko. Kiedy się skończyło, było wciąż dość jasno, by biorący w nim udział przeszli za Sullą po moście do miasteczka Tridentum, gdzie Katullus Cezar założył kwaterę główną w miejscowym magistracie. Katullus zwołał własne

zebranie dla omówienia nadejścia Cymbrów i właśnie narzekał na nieobecność swojego zastępcy, gdy Sulla wszedł do zatłoczonej komnaty.

- Pochwalam punktualność, Lucjuszu Korneliuszu - rzekł chłodno Katullus. - Usiądź proszę i przejdźmy do planowania naszego jutrzejszego ataku.

- Przykro mi, ale nie mam czasu na siedzenie - rzekł Sulla, który nie nosił pancerza, ale włożył swój skórzany kaftan i pteryges oraz pas z mieczem i sztyletem.

- Jeśli masz coś ważniejszego do roboty, idź! - rzekł Katullus Cezar, a jego twarz pokryła się plamami.

- Ach, nigdzie się nie wybieram - odpowiedział z uśmiechem Sulla.

- To „coś ważniejszego” jest do zrobienia właśnie w tym pokoju, a najważniejsze z wszystkiego jest, że nie będzie jutro żadnej bitwy, Kwintusie Lutacjuszu.

Katullus Cezar zerwał się na nogi.

- Nie będzie bitwy? Dlaczego?

- Bo masz bunt na głowie, a ja jestem jego sprawcą. - Sulla dobył miecz.

- Dalej, *centurionem!* Będzie trochę ciasno, ale się zmieścimy.

Żaden z obecnych w komnacie nie powiedział ani słowa. Katullus Cezar był zbyt rozgniewany, innym albo zbyt ulżyło - bo nie wszyscy starsi oficerowie byli zadowoleni z planowanej na jutro bitwy - albo byli zbyt oszołomieni. Siedemdziesięciu centurionów weszło kolejno i ustawiło się ciasno po bokach Sulli, pozostawiając trzy stopy wolnej przestrzeni między sobą a dowódcami Katullusa Cezara - wszyscy oni teraz stali dosłownie plecami przy ścianie.

- Zrzucą cię za to z Tarpejskiej Skały! - rzekł Katullus.

- Jeśli trzeba, niech tak będzie - odparł Sulla i wcisnął miecz do pochwy.

- Kiedy bunt jest rzeczywiście buntem, Kwintusie Lutacjuszu? Jak długo może żołnierz iść ślepo za dowódcą? Czy to patriotyzm iść posłusznie na śmierć, gdy wódz wydający rozkazy jest wojskowym imbecylem?

Było całkiem jasne, że Katullus nie wie, co powiedzieć, i nie znajduje stosownej repliki na tak brutalną szczerłość. Z drugiej strony był zbyt dumny, by rzucać obelgi, i zbyt pewny swego, by nie odpowiadać wcale. W końcu powiedział z chłodną godnością.

- To nie do utrzymania, Lucjuszu Korneliuszu.

Sulla skinął głową.

- Zgadzam się, bo cała nasza obecność tu w Tridentum jest nie do utrzymania. Jutro Cymbrowie znajdą setki ścieżek na zboczach gór pozostawionych przez bydło, owce, konie, wilki. Nie jedna Anopeja, ale setki Anopej! Nie jesteś Spartaninem, Kwintusie Lutacjuszu, jesteś Rzymianinem i dziwię się, bo twoje przypomnienie Termopil jest raczej spartańskie niż rzymskie! Czy nie uczyłeś się, jak Kato Cenzor wykorzystał Anopeję, by zająć z boku króla Antiocha? A może twój gramatyk uważał Katona Cenzora za zbyt nisko urodzonego, by służyć za wzór czegoś innego niż *hybris*? To Katona Cenzora podziwiam w Termopilach, a nie Leonidasa i jego królewską straż ginących do ostatniego. Spartanie byli skłonni zginąć do ostatniego, aby zatrzymać Persów tak długo, by grecka

flota stanęła w gotowości przy Artemizjum. Tyle że to się nie udało, Kwintusie Lutacjuszu. To się nie udało. Grecka flota została zniszczona pod Artemizjum i Leonidas zginął nadaremnie. A czy Termopile wpłynęły na przebieg wojny z Persami? Oczywiście nie! Kiedy kolejna grecka flota zwyciężyła pod Salaminą, nie miało to żadnego związku z Termopilami. Czy możesz uczciwie powiedzieć, że wolisz samobójczą rycerskość Leonidasa od strategicznego geniuszu Temistoklesa?

- Źle oceniasz położenie - rzekł sztywno Cezar Katullus, którego duma była w strzępach, zraniona przez tego rudowłosego Ulissesa i jego sztuczki. Prawda była bowiem taka, że bardziej dbał o przedstawienie się z *dignitas* i *auctoritas* niż o los jego własny czy jego armii, czy Cymbrów.

- Nie, Kwintusie Lutacjuszu, to ty źle oceniasz położenie - odrzekł Sulla.
- Twoja armia jest teraz moją armią prawem buntu. Kiedy Gajusz Mariusz posyłał mnie tu - rzucił to nazwisko z melodyjną klarownością w sadzawkę ciszy - dostałem tylko jeden rozkaz: dopilnować, żeby armia przetrwała nietknięta, póki Gajusz Mariusz nie przejmie dowodzenia, a nie może on tego zrobić, zanim nie pobije Teutonów. Gajusz Mariusz jest wodzem naczelnym, Kwintusie Lutacjuszu, ja zaś działam w tej chwili z jego rozkazu. Kiedy jego rozkazy są sprzeczne z twoimi, słucham jego rozkazów, nie twoich. Gdybym pozwolił ciągnąć tę szaleńczą eskapadę, ta armia leżałaby martwa na polu pod Tridentum. Nie będzie pola bitwy pod Tridentum. Ta armia wycofa się dziś w nocy. W całości i przetrwa, by walczyć innego dnia, kiedy szanse zwycięstwa będą nieskończenie większe.

- Ślubowałem, że germańska noga nie stanie na ziemi italskiej - powiedział Katullus Cezar - i nie złamię przysięgi.

- Decyzja nie należy do ciebie, Kwintusie Lutacjuszu, więc nie złamiesz przysięgi - rzekł Sulla.

Katullus Cezar należał do starej gwardii senatorów, którzy odrzucali złoty pierścień senatorski, nosił on żelazny pierścień, jaki nosili kiedyś wszyscy. Kiedy więc podniósł dłoń władczym gestem ku zapelniającym salę ludziom, spoglądającym na siebie porozumiewawczo, jego palec wskazujący nie błysnął złotym promieniem - wypisał w powietrzu jakiś ciemnoszary wzór. Całkowicie dotąd nieruchomi, na widok tego szarego wzoru poruszyli się i westchnęli.

- Zostawcie nas samych. Zaczekajcie na zewnątrz - rzekł Katullus Cezar.
- Chcę mówić jedynie z Lucjuszem Korneliuszem.

Centurionowie obrócili się i wymaszerowali kolejno, trybunowie wojskowi poszli za nimi, a także sztab Cezara Katullusa i jego starsi legaci. Kiedy Katullus został sam na sam z Sullą, usiadł ciężko w swoim krześle.

Znalazł się w położeniu bez wyjścia i wiedział o tym. Duma zawiodła go nad Atesis; nie duma z Rzymu ani duma z armii, ale ta osobista duma, która go pchała do oświadczenia, że germańska stopa nie będzie tratować ziemi italskiej, i powstrzymała go przed odwołaniem tego nawet dla dobra Rzymu i jego armii. Im dalej wchodził w dolinę, tym bardziej czuł, że popełnia błąd, a jednak duma nie pozwalała mu przyznać się do błędu. Im dalej w górę Atesis, tym bardziej upadał na duchu. Kiedy przybył do

Tridentum i pomyślał, że przypomina Termopile - chociaż pod względem położenia nie było żadnego podobieństwa - wymyślił, że warto umrzeć i tak ocalić honor i tę fatalną dumę. Termopile sławione są przez wieki i to samo będzie z Tridentum. Garstka rycerskich żołnierzy zginie w starciu z przytłaczającą przewagą. „Zanieś wędrowcze tę wieść Rzymianom; legliśmy tutaj posłuszni ich rozkazom!” Do tego jakiś wspaniały pomnik, pielgrzymki i nieśmiertelne poematy epickie.

Widok Cymbrów wlewających się w północny koniec przywrócił go do przytomności, a Sulla dokończył tego dzieła. Miał oczywiście oczy i rozum, nawet jeśli przesłaniała mu ten rozum *dignitas*. Te oczy dostrzegły liczne tarasy, czyniące ze stromych zielonych zboczy gigantyczne stopnie. Rozum pojął, jak szybko wojownicy cymbryjscy mogą ich obejść. To nie była gardziel wąwozu z urwistymi ścianami, to była zwykła górską dolina, nie nadająca się do rozwijania szyków, bo jej zbocza pochylone były pod kątem uniemożliwiającym wojsku ustawienie się w szeregach i rzędach, a tym bardziej wykonywanie zwrotów.

Czego nie wiedział, to, jak wyjść z tego bez utraty twarzy, i z początku wkroczenie Sulli na naradę przedbitewną wydało mu się doskonałą odpowiedzią; mógł zwalić wszystko na bunt i grzmieć w kurii, i urządzać procesy o zdradę wszystkim wmieszanym w to oficerom, od Sulli do ostatniego centuriona. Lecz to rozwiązanie nie przetrwało ani paru chwil. Bunt był najcięższą zbrodnią w podręczniku wojskowości, ale bunt, który stawiał go samotnie przeciw wszystkim oficerom w całej armii (widział to po twarzach, że nikt z jego ludzi nie odmówi przyłączenia się do buntu), miał w sobie coś ze zwycięstwa zdrowego rozsądku nad monstrualną głupotą. Gdyby nie było przedtem Arauzjony - gdyby Cepion i Mariusz Maksymus nie skalali na zawsze idei imperium rzymskiego wodza w oczach rzymskiego ludu - i nawet niektórych stronnictw w senacie - mogłoby być inaczej. Teraz zaś zrozumiał natychmiast, że gdyby chciał obstawać przy istnieniu buntu, to tylko on ucierpi w oczach świata rzymskiego i to on sam może stanąć przed specjalnym sądem Saturnina oskarżony o zdradę stanu.

W konsekwencji Kwintus Lutacjusz Katullus Cezar wziął głęboki oddech i spróbował pojednania.

- Niech nie słyszę więcej o buncie, Lucjuszu Korneliuszu. Nie ma potrzeby, żebyś dawał publicznie wyraz swym poglądom. Powinieneś przyjść do mnie prywatnie. Gdybyś to zrobił, rozstrzygnęlibyśmy sprawę między sobą.

- Nie zgadzam się z tym, Kwintusie Lutacjuszu - rzekł gładko Sulla. - Gdybym przyszedł prywatnie, odesłałbyś mnie do moich spraw. Potrzebowałeś lekcji sprzeciwu.

Katullus Cezar zacisnął usta i spojrzał, zadzierając swój długi rzymski nos, szlachetny przedstawiciel szlachetnego klanu, jasnowłosy i błękitnooki, zbrojny w swą wyższość.

- Za długo służyłeś pod Gajuszem Mariuszem. Nie zachowujesz się, jak przystało patrycjuszowi - rzekł.

Sulla trzepnął dłońmi po swojej skórzanej spódnicy, aż zaszczekały jej

metalowe ozdoby.

- Ach, na wszystkich bogów, zapomnijmy o frazesach, Kwintusie Lutacjuszu! Zaraz się porzygam od tej ekskluzywności! A zanim zaczniesz wygłaszać tyrady przeciw naszemu wspólnemu zwierzchnikowi, pozwól sobie przypomnieć, że jeśli chodzi o wojaczkę i dowodzenie, on nas zaćmiewa, jak latarnia w Aleksandrii zaćmiewa latrynową świeczkę! Nie jesteś wojskowym z urodzenia, nie bardziej niż ja! Mam jednak nad tobą przewagę, bo terminowałem latami w Aleksandrii, więc moja świeczka płonie jaśniej niż twoja!

- Przeceniają go! - powiedział Katullus Cezar przez zaciśnięte zęby.

- O, nie! Mów sobie, co chcesz, Kwintusie Lutacjuszu, ale Gajusz Mariusz jest Pierwszym w Rzymie! Człowiek z Arpinum przyjął w pojedynkę wyzwanie całej waszej gromady i pobił was bez reszty.

- Dziwię się, że tak go popierasz, ale obiecuję, Lucjuszu Korneliuszu, że nigdy o tym nie zapomnę.

- Mogę się o to założyć - powiedział ponuro Sulla.

- Radzę ci, Lucjuszu Korneliuszu, zmienić swą lojalność, gdzieś w nadchodzących latach - powiedział Katullus - jeśli tego nie zrobisz, nigdy nie będziesz pretorem, a tym bardziej konsulem.

- Ach, lubię otwarte groźby - rzekł Sulla tonem swojego rozmówcy. - Kogo próbujesz omamić? Mam dobre urodzenie, a jeśli przyjdzie czas, kiedy wyjdzie ci na korzyść zabieganie o moje względy, zabiegaj, jeśli zechcesz. - Spojrzał na Katullusa chytrze. - Musisz wiedzieć, że kiedyś ja będę Pierwszym w Rzymie. Najwyższym drzewem w świecie jak Gajusz Mariusz. A z wysokimi drzewami jest tak, że nikt ich nie może ściąć. Kiedy padają, to dlatego, że próchnieją.

Katullus nic nie odrzekł, więc Sulla usadowił się w krześle i pochylił, by nalać sobie wina.

- Teraz o naszym buncie, Kwintusie Lutacjuszu. Pozbądź się złudzeń, że nie będę miał dość energii, by doprowadzić rzecz do końca.

- Przyznaję, że cię wcale nie znałem, Lucjuszu Korneliuszu, ale miałem wystarczające dowody twojej żelaznej ręki przez ostatnie parę miesięcy, by wiedzieć, że nie cofniesz się prawie przed niczym, by dopiąć swego. - Katullus spojrzał na swój stary żelazny pierścień senatorski, jakby szukał w nim inspiracji. - Mówiłem już i powtórzę raz jeszcze: nie chcę więcej słyszeć o buncie - przełknął głośno ślinę. - Utrzymam w mocy decyzję tej armii o odwrocie. Pod jednym warunkiem, że słowo „bunt” nie zostanie nigdy wspomniane.

- Zgadzam się w imieniu armii - rzekł Sulla.

- Chciałbym osobiście wydać rozkaz odwrotu. A potem... Zakładam, że twoja strategia jest już wypracowana?

- Jest absolutnie niezbędne, żebyś osobiście nakazał odwrót, Kwintusie Lutacjuszu, włączając w to ludzi, którzy czekają na zewnątrz. Tak, mam wypracowaną strategię. Bardzo prostą strategię. O świcie armia wyciąga pale i odchodzi najszybciej, jak się da. Wszyscy muszą znaleźć się za mostem i na południe od Tridentum przed nadejściem nocy. Posiłki Samnitów stoją najbliżej mostu, mogą więc go strzec, aż przejdą wszyscy

inni, a sami przejść jako ostatni. Potrzebuję natychmiast całego korpusu technicznego, bo most musi być zerwany z chwilą przejścia po nim ostatniego Samnity. Szkoda, że zbudowano go na kamiennych filarach, których nie będziemy mogli rozebrać, więc Germanie będą w stanie odbudować most. Nie są oni jednak technikami, więc zajmie im to dużo więcej czasu, niżby zajęło nam, a ich konstrukcja może się rozlecieć i parę razy, zanim Bojoryks przeprowadzi swój lud przez rzekę. Jeśli chce iść na południe, musi przekroczyć rzekę tutaj, w Tridentum. Tu więc musimy opóźnić ten jego marsz.

Katullus Cezar wstał.

- Niech się więc skończy ta farsa.

Wyszedł na zewnątrz, stanął spokojnie, całkowicie opanowany. Odbudowa jego *dignitas* i *auctoritas* już się zaczęła.

- Nasza pozycja tu jest nie do utrzymania, zarządzam więc całkowity odwrót - powiedział ostro i wyraźnie. - Wydałem Lucjuszowi Korneliuszowi pełne instrukcje, będziecie więc od niego otrzymywać rozkazy. Chcę jednak, żeby było jasne, że słowo „bunt” nigdy nie padło. Zrozumiano?

Oficerowie wymamrotali zgodę, szczęśliwi, że słowo „bunt” może być zapomniane.

Katullus Cezar odwrócił się, by wejść do środka.

- Możecie odejść - rzucił przez ramię.

Gdy grupa się rozeszła, Gnejusz Petrejusz podszedł do Sulli i razem udali się w stronę mostu.

- Świetnie poszło, Lucjusz Korneliuszu. Zachował się lepiej, niż myślałem, lepiej niż inni z jego klasy, słowo daje.

- Ach, ma przecież jakiś rozum, oprócz tych górnych manier - powiedział Sulla. - I ma rację, słowo „bunt” nigdy nie padło.

- Z moich ust go nie usłyszysz - zapewnił żarliwie Petrejusz.

Było już całkiem ciemno, ale most był oświetlony pochodniami, przeszli więc bez trudu po popękanych kłodach. Przy drugim końcu mostu Sulla wybiegł przed centurionów i trybunów idących za nim i Petrejuszem i obrócił się do nich.

- Wszyscy gotowi do odejścia o pierwszym świcie - ogłosił. - Korpus techników i wszyscy centurionowie mają stawić się tu przede mną godzinę przed świtem. Trybunowie wojskowi pójdą teraz ze mną.

- Ach, cieszę się, że on jest z nami! - powiedział Gnejusz Petrejusz do swego drugiego centuriona.

- Ja też, ale wcale się nie cieszę, że tamten jest z nami - drugi centurion wskazał Marka Emiliusza Skaurusa Młodszego, śpieszącego za Sullą i jego trybunami.

- Zgoda, jest z nim kłopot. Będę miał jutro na niego oko. Żaden z nas nie słyszał słowa „bunt”, ale nasi Samnicy nie dadzą się zwieść jakiemuś rzymskiemu idiocie, nieważne, kto jest jego ojcem.

O świcie legiony zaczęły wyruszać. Odwrót zaczął się jak wszystkie manewry dobrze wyszkolonych rzymskich wojsk - w zupełnej ciszy i bez żadnego zamieszania. Legion najdalej stojący od mostu przeszedł pierw-

szy, po nim przeszedł drugi od końca i w rezultacie cała armia zwinęła się jak dywan. Na szczęście tabory i zwierzęta juczne, oprócz kilku koni do użytku starszych oficerów, stały na południe od miasteczka i mostu. Sulla kazał im ruszać w drogę o pierwszym świcie, jeszcze przed legionami, i wydał rozkazy, by połowa armii wyminęła tabory, kiedy je dogoni, a druga połowa szła za nimi aż do Werony. Wiedział, że gdy wywikłają się z Tridentum, Cymbrowie nie zdążą nawet oglądać kurzawy przez nich wzniesionej.

Jak się okazało, Cymbrowie byli tak zajęci badaniem ścieżek przecinających zbocza gór, że dopiero w godzinę po wschodzie słońca zdali sobie sprawę z odwrotu Rzymian. Wynikło zamieszanie, które trwało aż do przyjazdu samego Bojoryksa i zaprowadzenia przez niego porządku. Tymczasem kolumna rzymska poruszała się naprawdę szybko. Kiedy Cymbrowie w końcu uszykowali się do ataku, najdalszy od mostu legion maszerował już dwójkami przez most.

Technicy pracowali gorączkowo od świtu wśród belek i podpór pod nawierzchnią.

- Zawsze to samo! - narzekał szef techników przed Sullą, kiedy ten przyszedł obejrzeć postęp robót - zawsze dostaje mi się porządnie zbudowany rzymski most, kiedy przydałby się jakiś wałący się za byle pchnięciem.

- Dasz radę? - spytał Sulla.

- Spodziewam się, legacie. To nie jest jednak, jak z bicza strzelić. Wszystko jak należy połączone na wpusty. Nie mogę rozerwać tego szybko, nie używając jakiegoś wielkiego dźwigu, którego tu nie mamy, nawet gdyby był czas na jego ściąganie. Nie, boję się, że czeka nas ciężka praca, a most będzie nieco rozchwiany, kiedy po nim przejdą ostatni nasi ludzie - odrzekł technik.

- Jaka ciężka praca? - zmarszczył brwi Sulla.

- Przepińjemy główne podpory i belki.

- Więc bierz się do tego, człowieku! Mam tu sto wołów, które ci załatwią to byle pchnięcie - wystarczy?

- Musi - powiedział główny technik i odszedł, by przyrzeć się robocie z innego miejsca.

Jazda cymbryjska nadjeżdżała z wrzaskiem doliną, zdobywając opuszczone ogrodzenia pięciu rzymskich obozów z marszu. Były to zwykłe wały i wykopy, bo nie było dość czasu, by zbudować coś więcej. Tylko legion Samnitów pozostał po drugiej stronie mostu i właśnie wychodził główną bramą swego obozu, gdy Cymbrowie wdarli się między obóz a most, odcinając legion. Samnici zmienili rzędy w szeregi i przygotowali się do odparcia szarży z uniesionymi włóczniami i zaciętymi twarzami.

Patrząc na to bezsilnie z drugiej strony mostu, Sulla czekał, aż jazda zawróci konie, usiłując dojrzeć, co zamierza robić dowódca legionu Samnitów. Był nim młody Skaurus i teraz Sulla zaczął się gryźć, że nie usunął tego lękliwego syna nieustraszonego ojca i sam nie przejął dowództwa. Było jednak za późno. Nie przejdzie mostu z powrotem, bo nie miał przy sobie dość ludzi i nie dowierzał Katullusowi, co oznaczało, że sam musi

przeżyć. Nie chciał też zwracać uwagi Cymbrów na most, bo gdyby nań spojrzeli swymi barbarzyńskimi oczami, ujrzeliby pięć legionów i tabor maszerujące na południe i proszące się o pościg. Postanowił, że w razie potrzeby każe wołom zacząć ciągnąć łańcuchy przywiązane do podciętego mostu, ale z tą chwilą nie będzie żadnej nadziei dla legionu Samnitów.

- Atakuj, Skaurusie, atakuj na północ! - mamrotał. - Odepchnij ich, podprowadź swoich do mostu!

Jazda cymbryjska zawracała, bo jej pierwsze szeregi impet szarży wyniósł poza obóz Samnitów, a tylne cofały się, by zrobić miejsce pierwszym i spaść potem na obóz Samnitów, traktując wszystko i zostawiając hordzie pieszych wojowników dokończenie dzieła. Jazda miała, niczym ogromny czerpak, pchnąć Samnitów na północ, ku masom cymbryjskiej piechoty.

Jedyną szansą Samnitów było przejście przez front tylnych szeregów jazdy i odcięcie pierwszych szeregów od tego wsparcia, a potem wybicie koni obu szeregów włóczykami, aby nie zajęci walką mogli rzucić się do mostu! Gdzie jest młody Skaurus? Czemu tego nie robi? Jeszcze parę chwil i będzie za późno!

Okrzyki radości trzech centurii, które Sulla miał ze sobą, doszły wcześniej, niż ujrzał natarcie Samnitów, bo wypatrywał wojskowego trybuna na koniu, a natarcie poprowadził pieszy, Gnejusz Petrejusz, centurion *primus pilus* Samnitów.

Krzycząc wraz z innymi, Sulla skakał i tupał, gdy nie zajęci walką Samnici zaczęli przebiegać most. Pierwsze szeregi cymbryjskich koni padały całymi setkami pod ulewą samnickich włóczyki. Wojownicy starali się wydobyć spod powalonych wierzchowców, płacząc się w coraz większym chaosie, gdy coraz więcej samnickich włóczyki wbijało się w końskie boki, piersi, szyje i zady. Tylne szeregi cymbryjskich koni spędzone na drugą stronę miały się nie lepiej. W końcu to ich własna powalona jazda powstrzymywała cymbryjską piechotę. I tak Gnejusz Petrejusz przeszedł most za ostatnim ze swych ludzi prawie nie ścigany przez Germanów.

Woły przykładały się do roboty na długo przed jej wykonaniem, bo te sto zwierząt zaprzęzonych parami nie mogło jednocześnie szarpnąć. Pierwsze ciągnęły, potem następne i tak dalej, póki łańcuchy nie naprężyły się i most zaczął odczuwać napięcie. Solidny rzymski most opierał się znacznie dłużej, niż główny technik - pesymista jak wszyscy technicy - sądził, ale w końcu jedna z podpór rozłączyła się z towarzyszką i wśród jęków, trzasków i ryków most trydencki nad Atesis ustąpił. Belki zwały się w rwący nurt i pomknęły, wirując jak słomki podskakujące w ogrodowej fontannie.

Gnejusz Petrejusz był ranny w bok, ale nie ciężko. Sulla znalazł go w chwili, gdy siedział przed chirurgiem legionu, który ściągał z niego kolczugę. Twarz centuriona pokryta była błotem, potem i łajnem końskim, ale była w niej mimo to godna podziwu czujność i przytomność.

- Nie ruszajcie rany, zanim go nie umyjecie, wy *mentulae*! - warknął Sulla. - Zmyjcie to łajno! Nie wykrwawisz się na śmierć, prawda, Gnejuszu Petrejuszu?

- Nie zamierzam - odrzekł centurion, szeroko się uśmiechając. - Udało się, czyż nie, Lucjusz Korneliuszu? Przeprowadziliśmy wszystkich i tylko paru zabitych zostało na tamtej stronie!

Sulla osunął się przy nim i zbliżył głowę tak, by nikt ich nie podsłuchał.

- Co z młodym Skaurusem?

Petrejusz wykrzywił się.

- Kiedy mu wciskałem, co ma robić, zemdłał. Ma się dobrze, biedak, któryś z chłopców przeniósł go przez most. Szkoda, ale tak to jest. Nie ma nic ze swego ojca. Nadaje się na bibliotekarza.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to ty tam byłeś, a nie jakiś inny *primus pilus*. Po prostu sobie tego nie wyobrażam. Gryzłem się, że sam go nie odsunąłem od dowództwa.

- Mniejsza z tym, Lucjusz Korneliuszu. Wszystko dobrze poszło. Przynajmniej wie teraz, na co go stać.

Chirurdzy wrócili z wodą i gąbkami, których starczyłoby dla tuzina ludzi. Sulla wstał, wyciągając dłoń. Petrejusz wyciągnął swoją.

- To dla ciebie wieniec z trawy - rzekł Sulla.

- Nie! - Petrejusz był zakłopotany.

- Ależ tak. Uratowałeś cały legion, a kiedy ktoś w pojedynkę uratuje cały legion, należy mu się wieniec z trawy. Osobiście tego dopilnuję - rzekł Sulla.

Czy to ten wieniec z trawy ujrzała w jego przyszłości przed laty Julilla? Sulla zastanawiał się nad tym, schodząc po stoku do miasta, by załatwić wóz dla Gnejusza Petrejusza, bohatera Trydentu. Biedna Julilla. Biedna, biedna Julilla... Nigdy nie umiała niczego zrobić jak należy, może więc rozciągało się to i na jej przelotne zetknięcia z tymi dziwnymi manifestacjami Fortuny. Julia nie otrzymała daru uszczęśliwiania mężczyzn, miała go Julilla. Potem jej umysł zaczął się skłaniać ku innym, ważniejszym rzeczom. Lucjusz Korneliusz Sulla nie zaczynał oskarżać siebie o Julillę. Jej los nie miał z nim nic wspólnego, sama go sobie wybrała.

Katullus Cezar wprowadził swą armię na nowo do obozu pod Weroną, zanim Bojoryks zdołał przeprowadzić swe ostatnie wozy po ostatnim z kilku chwiejnych mostów i zakończyć zjazd na żyzne równiny nad Padem. Z początku Katullus nalegał, by zatrzymać się i walczyć z Cymbrami nad jeziorem Benakus, ale Sulla, mocno teraz usadowiony, nie zgadzał się na to. Zamiast tego kazał Katullusowi wysłać wiadomość do wszystkich miast i miasteczek, od Akwilei na wschodzie do Comum i Mediolanu na zachodzie, że Galia Italska za Padem ma być opuszczona przez wszystkich obywateli rzymskich, posiadaczy praw latyńskich i Galów, nie pragnących bratać się z Germanami. Uchodźcy mieli przejść na południową stronę Padu i zostawić Cymbrom zapadańską Galię Italską.

- Będą tu ryc jak świnie za żołędziami - mówił z pewnością siebie Sulla, który przeżył rok wśród Cymbrów. - Kiedy zasmakują w pastwiskach i pokoju między jeziorem Benakus a północnym brzegiem Padu, Bojoryks nie utrzyma ich w ryzach. Rozproszą się w sto różnych stron, zaczekaj tylko.

- Grabieże, rujnowanie, palenie - rzekł Katullus Cezar.

- To i zapomnienie o tym, co mieli zrobić, o najeździe na Italię. Ciesz się, Kwintusie Lutacjuszu! To przynajmniej w większości jest Galia Galów po italskiej stronie Alp, oni zaś nie przejdą Padu, zanim nie wymiotą jej do czysta, jak głodny ogryza kurczaka. Nasi ludzie odejdą na długo przed Germanami, zabierając wszystko, co ma dla nich wartość. Ich ziemię odbierzemy, kiedy nadejdzie Gajusz Mariusz.

Katullus Cezar skrzywił się, ale zmilczał. Przekonał się już, jak cięty język ma Sulla. Co więcej, przekonał się, jak bezzwzględny jest Sulla, jak chłodny, jak nieugięty, jak zdeterminowany. Dziwnie zażyły z Gajuszem Mariuszem, mimo że są szwagrami, czy raczej byli szwagrami. „Czy Sulla pozbył się też swojej Julii?”, zastanawiał się Katullus Cezar, który w ciągu długich godzin rozmyślań, poświęconych Sulli, przypominał sobie plotki krążące wśród braci Juliusza Cezara i ich rodzin, w czasie gdy Sulla wyłonił się z ciemności, włączając się w życie publiczne, i poślubił swoją Julię-Julillę. Że zdobył pieniądze na to wejście w życie publiczne, mordując swoją - matkę? - macochę? - kochankę? - kuzyna? „Cóż, kiedy przyjdzie czas powrotu”, myślał Katullus Cezar, „będzie okazja wszcząć dochodzenie w sprawie tych pogłosek. Ach, nie robiąc hałasu i nie bezzwłocznie, po prostu przygotować się na przyszłość, kiedy Lucjusz Korneliusz zechce ubiegać się o wybór na pretora. Nie na edyla - niech się tym nacieszy i opustoszy swoją sakiewkę. Pretora. Tak, pretora”.

Kiedy legiony weszły do obozu pod Werona, Katullus wiedział, że pierwsze, co musi zrobić, to posłać pośpieszną wiadomość do Rzymu o porażce nad Atesis. Gdyby tego nie zrobił, zrobiłby to Sulla przez Mariusza, ważne więc było, by Rzym poznał najpierw jego wersję. Gdy obaj konsulowie byli w polu, depecha do senatu była kierowana do przywódcy kurii. Więc to do Marka Emiliusza Skaurusa, princepsa senatu, wysłał Katullus Cezar swój raport, łącznie z prywatnym listem, który bardziej szczegółowo opisywał wydarzenia. Powierzył zaś raport i list dobrze opieczętowane młodemu Skaurusowi, synowi princepsa senatu, rozkazując mu zawieźć pakiet do Rzymu galopem.

- To nasz najlepszy jeździec - wyjaśnił uprzejmie Sulli.

Sulla spojrział na niego z tą samą ironiczną wyższością, jaką okazał podczas rozmowy o buncie.

- Wiesz, Kwintusie Lutacjuszu, ty masz najbardziej wyrafinowany zmysł okrucieństwa, jaki dotąd spotkałem.

- Czy chcesz sprzeciwić się temu rozkazowi? Masz prawo to zrobić.

Sulla wzruszył jednak ramionami.

- To twoja armia. Rób, co chcesz.

Zrobił więc, co chciał, i wysłał młodego Skaurusa kurierską pocztą do Rzymu, niosącego wieść o własnej hańbie.

- Powierzam ci ten obowiązek, Marku Emiliuszu Młodszy, bo nie mogę wymyślić gorszej kary dla tchórza z takiej rodziny jak twoja niż przynoszenie swemu ojcu wieści o porażce wojskowej i osobistej - mówił Katullus Cezar miarowym, kapłańskim tonem.

Młody Skaurus - blady, z miną winowajcy, ważący o wiele funtów mniej

niż przed dwoma tygodniami - stał na baczność i starał się nie patrzeć na wodza. Gdy jednak Katullus Cezar opisał zadanie, oczy Skaurus - bledsza i mniej piękna wersja zielonych oczu ojca - skierowały się wbrew woli ku wyniosłej twarzy Katullusa Cezara.

- Proszę, Kwintusie Lutacjuszu! - wykrztusił. - Proszę, błagam, wyślij kogo innego! Pozwól mi stanąć przed ojcem, kiedy będę gotów w swoim czasie!

- Twój czas, Marku Emiliuszu Młodszy, to czas Rzymu - odrzekł Katullus lodowatym tonem, wzbierającym pogardą. - Masz jechać galopem do Rzymu i oddać princepsowi senatu moją konsularną depeszę. Możesz być tchórzem w bitwie, ale jesteś jednym z naszych najlepszych jeźdźców i masz dość głośne nazwisko, by dostać wszędzie dobre konie. Nie ma się czego bać, wiesz przecież! Germanie są daleko na północ, więc nikt ci nie grozi na południu.

Młody Skaurus jechał mila za milą, jakby wioził wór żelaza, po Via Annia i Via Cassia do Rzymu, mając podróż krótszą, lecz cięższą. Głowa podskakiwała mu czasem w rytm chodu konia, zęby dzwoniły w takt bicia serca, dziwnie go pocieszając. Czasami mówił do siebie. - Gdybym miał choć trochę odwagi, chyba bym ją znalazł, nie sądzicie? - pytał widmowych słuchaczy w wietrze, na drodze i na niebie. - Co mogę zrobić, ojcze, kiedy nie ma we mnie odwagi? Skąd się ona bierze? Czemu nie dostałem swojego przydziału? Jak mogę ci opowiedzieć o bólu i strachu, o zgrozie, jaką czułem, gdy te okropne dzikusy nadeszły, wrzeszcząc niczym furie? Nie mogłem zrobić kroku! Nie panowałem nawet nad własnymi kiszkami, a cóż dopiero nad sercem. Wzbierało, wzbierało i wzbierało, aż pękło, aż się zwałem nieruchomo, rad, że już nie żyję. A potem ocknąłem się nadal żywy, nadal pełen zgrozy - wciąż nie panując nad kiszkami - żołnierze, którzy nieśli mnie w bezpieczne miejsce, zmywali z siebie moje cuchnące łajno, w rzece, na moich oczach i z jaką pogardą, z jakim obrzydzeniem! Ojcze, cóż to jest odwaga? Gdzie się podział mój udział? Ojcze, wysłuchaj mnie, pozwól się wytłumaczyć! Jak możesz zarzucać mi brak tego, czego nie posiadam? Ojcze, wysłuchaj mnie!

Ale Marek Emiliusz Skaurus princeps senatu nie wysłuchał. Kiedy jego syn przybył z pakietem od Katullusa Cezara, Skaurus był właśnie w senacie, a kiedy wrócił do domu, jego syn zamknął się w swoim pokoju, zostawiając ojcu wiadomość u rządcy, że przywiózł pakiet od konsula i że zaczeka w swym pokoju, aż ojciec przeczyta i przyśle po niego.

Skaurus przeczytał najpierw depeszę z posepną twarzą, ale wdzięczny przynajmniej za to, że legiony są bezpieczne. Potem przeczytał list Katullusa Cezara, wymawiając głośno straszliwe słowa listu jedno po drugim i zapadając się coraz głębiej w krzesło, aż zmałał do połowy normalnych rozmiarów. Łzy napływały mu do oczu i padały wielkimi zamazanymi plamami na papier. Znał oczywiście wartość Katullusa Cezara i był głęboko wdzięczny bogom, że legat tak energiczny i pozbawiony obaw jak Sulla był pod ręką, by chronić to cenne wojsko.

Myślał jednak przedtem, że jego syn odkryje w obliczu śmiertelnego zagrożenia tę odwagę, tę dzielność, która żyła w każdym - tak przynajmniej

uważał. W każdym razie we wszystkich Emiliuszach. Ten chłopak był jego jedynakiem. A teraz jego ród skończy się w takiej niesławie, w takiej hańbie! Lepiej, że się skończy, jeśli jego jedynemu synowi brak odwagi.

Nabrał tchu i podjął decyzję. Nie będzie żadnego upiększania, wybielenia, wymówek ani udawania. Zostawi te rzeczy Katullusowi Cezarowi. Jego syn okazał się tchórzem, opuścił swoich ludzi w chwili największego zagrożenia i to w sposób bardziej zawstydzający i niktzemniejszy niż zwykła ucieczka - sfajdał się i zemdłał. To żołnierze przenieśli go w bezpieczne miejsce, a powinno być odwrotnie. Skaurus postanowił znieść tę hańbę ze zwykłą swoją odwagą. Niech jego syn odczuje pogardę całego miasta!

Łzy obeschły, twarz się uspokoiła. Klasnął w dłonie na rządcę, a kiedy ten się zjawił, zastał swego pana wyprostowanego w krześle z rękami złożonymi na stole.

- Marku Emiliuszu, twój syn pragnie widzieć się z tobą jak najprędzej - powiedział rządcą, świadomy, że coś jest nie w porządku, bo młody człowiek dziwnie się zachowywał.

- Możesz zanieść Markowi Emiliuszowi Skaurusowi Młodszemu wiadomość - powiedział sucho Skaurus - że chociaż się go wypieram, nie pozbawię go nazwiska. Mój syn jest tchórzem - zwykłym kundlem - ale cały Rzym będzie go znał jako tchórze pod moim nazwiskiem. Nie zobaczę go już nigdy, póki żyję. Powiedz mu to. I powiedz mu, że jest w moim domu niepożądany, nawet jako żebrak pod drzwiami. Powiedz mu to! Powiedz mu, że nie dopuszczę go do siebie, jak długo będę żył! Idź! Powiedz mu!

Rozdygotany od wstrząsu i płaczący nad biednym młodym człowiekiem, któremu był bardzo oddany - i o którym mógł powiedzieć ojcu od dwudziestu lat przynajmniej, że nie ma on w sobie odwagi ani siły, ani wewnętrznej odporności - rządcą poszedł i przekazał młodemu Skaurusowi, co powiedział jego ojciec.

- Dziękuję ci - rzekł młody Skaurus i zamknął drzwi, ale ich nie zaryglował.

Kiedy rządcą odważył się wejść do jego pokoju w kilka godzin później, bo Skaurus pytał, czy jego nie-syn już opuścił dom, znalazł młodego Skaurusa martwego na podłodze. Okazał się jedyną ofiarą, którą jego miecz uznał za niegodną, aby żyć. Miecz splamił się jedynie krwią swego pana.

Marek Emiliusz Skaurus dotrzymał słowa. Odmówił widzenia syna, nawet po śmierci. A w senacie wyliczył porażki w Galii Italskiej ze zwykłą energią i siłą ducha włącznie z obrzydliwie szczerą historią tchórzostwa i samobójczej śmierci własnego syna. Nie oszczędzał siebie i nie okazał żalu.

Kiedy po zebraniu Skaurus zmusił się do czekania na schodach senatu na Metellusa Numidyjskiego, zastanawiał się, czy może bogowie nie wydzielili mu aż tyle odwagi, że nie starczyło jej dla syna, bo tyle trzeba było odwagi, by czekać na Metellusa, gdy senatorowie przemykali obok niego współczujący, zawstydzeni, niespokojni, nieskłonni przystanąć.

- Ach, mój drogi Marku! - wykrzyknął Metellus Numidyjski, gdy tylko nie było komu słuchać. - Mój drogi, drogi Marku! Cóż mogę powiedzieć?

- O moim synu? Nic - rzekł Skaurus. Jakiś cienki odprysk gorąca przewiercił lodowe złoza w jego piersi. Dobrze jest mieć przyjaciół! - Mów o Germanach. Jak powstrzymać panikę w Rzymie?

- Ach, nie przejmuj się Rzymem. Rzym przetrwa. Panika dziś, jutro i pojutrze, i do następnego dnia targowego - to zwykła sprawa! Czyś słyszał kiedy, że ludzie porzucają domy, bo żyją w miejscu narażonym na trzęsienia ziemi albo gdy wulkan dymi za tylnymi drzwiami?

- Prawda, nie robią tego. Przynajmniej póki jakaś krokiew nie przywali babci albo staruszka nie wpadnie do jeziora lawy. - Skaurus był bardzo szczęśliwy, że może prowadzić normalną dyskusję i nawet się uśmiechać.

- Przeżyjemy, Marku, bez obawy. - Numidyjski przełknął ślinę i pokazał, że i on ma swoją odwagę. - Gajusz Mariusz wciąż czeka na swoich Germanów - powiedział. - Gdyby poniósł klęskę, wtedy będziemy się martwić. Bo jeśli Mariusz ich nie pobije, nikt nie zdoła.

Skaurus zamrugał, uznając gest Metellusa za tak heroiczny, że nie nadający się do komentowania. Co więcej, kazał swej pamięci zapomnieć na zawsze, że Metellus kiedyś przyznał, iż Mariusz jest najlepszą szansą Rzymu - i najlepszym wodzem.

- Kwintusie, jest jeszcze coś, co muszę wspomnieć o moim synu i będziemy mogli zamknąć tę księgę.

- Co takiego?

- Twoja bratanica - Metella Dalmatyńska. Ten piekielny epizod sprawia tobie i jej wielki kłopot. Powiedz jej, że ma szczęśliwe wyjście. Nie byłoby radością dla Cecylii Metelli poślubić tchórza.

Nagle stwierdził, że idzie samotnie i odwrócił się, by ujrzeć Metella stojącego, jakby piorun w niego strzelił.

- Kwintusie? Kwintusie? Czy ci coś dolega?

- Dolega? - Metellus Numidyjski ocknął się. - Dolega. A może nic mi nie dolega. Mój drogi Marku, wpadłem właśnie na świetny pomysł!

- Ach, tak?

- Czemu ty nie poślubisz mojej bratanicy?

- Ja? - Skaurus otworzył usta.

- Tak, ty! Wdowiec, od dawna samotny, a teraz jeszcze bez dziedzica imienia i majątku. To tragedia, drogi Marku - Metellus mówił gorącym i nagłym tonem. - To słodka dziewczynka i jaka śliczna! Dalej, Marku, zamknij przeszłość, zacznij na nowo! Ona jest bardzo bogata, żeby dobić targu.

- Nie byłbym lepszy niż ten lubieżny cap Katon Cenzor - powiedział Skaurus, z dokładnie taką dozą wątpliwości w głosie, by zasygnalizować Metellowi możliwość pełnego zwycięstwa, o ile oferta była naprawdę poważna. - Kwintusie, mam pięćdziesiąt pięć lat!

- Wygląda na to, że przeżyjesz drugie tyle.

- Spójrz na mnie! No dalej, spójrz! Łysy - z brzuszkiem - i bardziej pomarszczony niż słoń Hannibala - przygarbiony - z reumatyzmem i hemoroidami - nie, Kwintusie, nie!

- Dalmatyńska jest dość młoda, by uważać dziadka za właściwy rodzaj męża - rzekł Metellus Numidyjski. - Ach, Marku, byłbym taki rad! Dalej, co ty na to?

Skaurus chwycił się za łysinę, łapiąc oddech, czując jednak, że zaczyna w nim sączyć się wolno jakieś nowe źródło.

- Naprawdę myślisz, że to by się udało? Myślisz, że mógłbym mieć nową rodzinę? Mogę umrzeć, zanim dzieci dorosną!

- Czemu miałbyś umrzeć młodo? Wyglądasz mi jak ktoś z Egiptu, dość dobrze zachowany, by przeżyć jeszcze tysiąc lat. Kiedy ty umrzesz, Marku Emiliuszu, Rzym się zatrzęsie w posadach.

Zaczęli iść przez Forum w stronę Schodów Westalek zatopieni w dyskusji, wymachując z emfazą prawymi rękami.

- Spójrz tylko na tych dwóch - powiedział Saturnin do Glaucji. - Założę się, że planują upadek demagogów.

- Zimny stary drań z tego Skaurusa - stwierdził Glaucja - jak można mówić takie rzeczy o własnym synu?

Saturnin uniósł wargę.

- Bo rodzina znaczy więcej niż jej poszczególni członkowie. To zresztą świetna taktyka. Pokazał światu, że jego rodzina nie straciła odwagi. Jego syn omal nie stracił rzymskiego legionu, ale nikt nie powie złego słowa o Marku Emiliuszu ani o jego rodzinie.

W połowie września Teutoni minęli Arauzjonę i zbliżali się do zbiegu Rodanu i Druencji, a duch w rzymskiej twierdzy pod Glanium był coraz lepszy.

- Jest dobrze - powiedział Mariusz do Sertoriusza pod koniec obchodu.

- Czekali na to całe lata - odrzekł Sertoriusz.

- Nie boją się ani trochę, nieprawdaż?

- Ufają, że ich dobrze poprowadzisz, Gajuszu Mariuszu.

Wieść o fiasku pod Tridentum przyszła przez Sertoriusza, który porzucił na razie swą cymbryjską powierzchowność, widział się w sekrecie z Sullą i zabrał list do Mariusza, obrazowo opisujący wydarzenia i zakończony informacją, że armia Katullusa odeszła na zimowisko pod Placencją. Potem przyszedł list od Publiusza Rutyliusza z Rzymu, przedstawiający rzymskie widzenie tej sprawy.

„Zakładam, że wysłanie Lucjusza Korneliusza, by miał oko na naszego wyniosłego przyjaciela Kwintusa Lutacjusza, było twoją osobistą decyzją, i pochwalam ją gorąco. Krążą o tym dziwne plotki, ale nikt chyba nie dojdzie prawdy, nawet *boni*. Nie wątpię, że już masz oficjalne wiadomości o Lucjuszu Korneliuszu - później, kiedy ta germańska sprawa się zakończy, liczę, że mi po przyjaźni dasz prawdziwe wyjaśnienie. Jak dotąd słyszałem o buncie, tchórzostwie, bałaganie i wszystkich innych wojskowych przestępstwach. Najbardziej fascynującą rzeczą jest zwięzłość i - jeśli można - rzetelność raportu Kwintusa Lutacjusza dla kurii. Ale czy jest on rzetelny? Po prostu przyznanie, że kiedy spotkał Cymbrów, zdał sobie sprawę, iż Tridentum nie jest odpowiednim miejscem do bitwy, zawrócił więc i wycofał się, by ocalić armię, nakazawszy zniszczenie mostu i

opóźnianie pochodu Germanów? Musi w tym być coś więcej! Już widzę, jak się uśmiechasz.

To miejsce jest martwe bez konsulów. Było mi bardzo żal Marka Emiliusza, a wyobrażam sobie, że i tobie także. Co można zrobić, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że spłodził syna niegodnego nosić jego nazwisko? Skandal zmarł jednak nagłą śmiercią i to z dwóch powodów. Po pierwsze, wszyscy szanują Skaurusa (zanosi się na długi list, wybacz więc używanie *cognomen*) ogromnie, bez względu na to, czy go lubią czy nie i czy zgadzają się z jego polityką czy nie. Drugi powód jest daleko bardziej sensacyjny. Ten sprytny stary *culibonia* dostarczył wszystkim nowego tematu do rozmów. Ożenił się z narzeczoną swego syna, Cecylią Metellą Dalmatyńską, obecnie pod opieką Metellusa Numidyjskiego Świńskiego, siedemnastolatka, proszę ja kogo! Gdyby to nie było tak zabawne, chyba bym płakał. Choć jej nie spotkałem, słyszałem, że to słodkie małe stworzenie, bardzo łagodne i miłe - aż trudno w to uwierzyć, znając tę stadninę, ale ja w to wierzę, wierzę! Powinieneś widzieć Skaurusa - ależ byś się śmiał; pyszni się ogromnie. Myślę poważnie o przeszukaniu co lepszych rzymskich szkół w celu znalezienia panny nadającej się do zamążpójścia i zostania nową żoną Rutyliusza Rufusa!

Tej zimy będziemy mieli niedobór zboża, przypominam ci to, starszy konsulu, ale wiem, że Germanie nie pozwolą ci tego dopilnować. W każdym razie słyszałem, że Katullus Cezar zostawi wkrótce Sulli dowództwo w Placencji i wróci na zimę do Rzymu. Nic nowego, jeśli chodzi o ciebie, tego jestem pewien. Ta afery z Tridentum wzmocniła twoją kandydaturę *in absentia* na kolejny konsulat. To było sprytne posunięcie, zwolnić Mariusza Akwiliusza, by się ubiegał o konsulat. Wyborcy byli pod wrażeniem, kiedy przyszedł. Zgłosił swą kandydaturę, a potem stanowczo oświadczył, że wraca do ciebie, by stawić czoło Germanom, nawet gdyby to znaczyło, że nie będzie go w Rzymie na wybory i straci szansę. Jeśli pokonasz Germanów, Gajuszu Mariuszu - i odeślesz zaraz potem Mariusza Akwiliusza - dostaniesz młodszego kolegę, z którym rzeczywiście możesz współpracować.

Gajusz Serwiliusz Glaucja, wesoły towarzysz twego niby-klienta Saturnina - wiem, że to niegrzeczna uwaga - zgłosił swą kandydaturę na trybuna ludowego. Będzie wielkim szarym kotem wśród gołębi! Skoro mowa o Serwiliuszach i wracając do sprawy niedoboru zboża, Serwiliusz Augur nadal rzuca się w przepaście na Sycylii. Jak ci pisałem poprzednio, on naprawdę myślał, że Lukullus odda mu potulnie wszystko, na co tak ciężko pracował. Teraz kuria dostaje regularnie w każdy dzień targowy list, w którym Serwiliusz Augur oplakuje swój los i wielokrotnie powtarza, że będzie ścigał sądownie Lukullusa, gdy tylko wróci do Rzymu. Król niewolników nie żyje - Salwiusz albo Tryfon, bo tak się nazwał - i wybrali sobie innego, azjatyckiego Greka imieniem Atenion. Jest zręczniejszy niż Salwiusz-Tryfon. Gdyby Mariusz Akwiliusz został młodszym konsulem, byłby to może dobry pomysł, by go wysłać na Sycylię i zakończyć tę sprawę raz na zawsze. W tej chwili Sycylią rządzi król Atenion, a nie Serwiliusz Augur. Jednak mój główny zarzut wobec sycylijskiego

zamieszania jest czysto semantycznej natury. Czy wiesz, co ten nikczemny stary *culibonia* miał czelność powiedzieć w kurii innym razem? Skaurus, bo o nim mówię, może stracić swój narząd rozrodczy z winy nadużycia i nadmiaru soków! - Sycylia - zaryczał - staje się prawdziwą Iliadą nieszczęść! - Wszyscy ruszyli po zebraniu do niego gratulować mu ułożenia tak zgrabnego epigramu! Cóż, jak wiesz z mojego poprzedniego listu, to mój zgrabny epigram! Musiał usłyszeć go z moich ust, ażeby go pokręciło.

Teraz przeskakuję do tematu trybunów ludowych. To w większości ponura i pozbawiona iskry bożej gromada-jeszcze jeden powód, by się cieszyć, jeśli można tak powiedzieć, że Glaucja kandyduje w następnym roku. Rzym jest bardzo nudnym miejscem bez jednej porządnej bijatyki albo dwóch, rozgrywających się w komicjum. Ale właśnie przeżyliśmy jeden z najdziwniejszych incydentów z udziałem trybunów, a od plotek aż szumi.

Jakoś przed miesiącem zjawilo się w mieście ze dwunastu czy trzynastu chłopów strojnych w godne podziwu szaty - jaskrawe kaftany przetykane złotą nicią, sięgające im prawie do stóp. W brodach, lokach i w uszach nosili klejnoty, a głowy nakrywali wspaniale wyszywanymi szalami. Czulem się, jakbym był w środku jakiegoś widowiska! Przedstawili się jako poselstwo i prosili o specjalne posłuchanie w senacie. Kiedy jednak nasz szanowny, odmłodzony Skaurus princeps senatu sprawdził żwawo ich listy uwierzytelniające, odmówił im posłuchania, motywując to brakiem oficjalnego statusu. Przybyli rzekomo ze świątyni Wielkiej Bogini w Pessinus we Frygii i zostali wysłani przez samą Wielką Boginię, by życzyć Rzymianom sukcesu w walce z Germanami! Już słyszę, jak pytasz, czemu Wielka Bogini z Anatolii miałyby dawać złamany grosz w sprawie Germanów? Wszyscy łamaliśmy sobie nad tym głowy i jestem pewien, że Skaurus dlatego nie chciał mieć nic wspólnego z tymi strojniami.

Nikt się jednak nie domyślał, o co im chodzi. Ci ze wschodu to tak zatwardziali oszuści, że każdy Rzymianin mający olej w głowie zasznurowe sakiewkę i przywiąże ją pod lewą pachą, kiedy tylko ich zobaczy. Ci nie byli tacy! Chodzili po Rzymie, popisując się szerokim gestem, jakby ich sakiewki nie miały dna. Ich przywódca, Battakes, szczególnie rzucał się w oczy. Jego widok olśniewał oczy, bo ubrany był od stóp do głów w strój ze szczerego złota i nosił wielką złotą koronę. Słyszałem o strojach ze złota, ale nie myślałem, że dożyję dnia, gdy taki strój zobaczę, chyba że wybiorę się z wizytą do króla Ptolemeusza albo króla Partów.

Kobiety z naszego głupiego miasta szalały za Battakesem i jego otoczeniem oślepienie blaskiem złota i wyciągały swe chciwe rączki po deszcz pereł i karbunkułów, który mógł spaść z brody albo... dość tego, Publiusz Rutyluszu! Dodam tylko dyskretnie, że tamci nie są, powtarzam, nie są eunuchami!

Tak czy owak, może dlatego, że była wśród tych oślepionych kobiet jego żona, a może z bardziej altruistycznych pobudek, trybun ludowy Aulus Pompejusz wszedł na rostra i oskarżył Battakesa i jego kapłanów, że są szarlatanami i samozwańcami i wezwał do usunięcia ich siłą z miasta,

najlepiej jadących tyłem na osłach i wytarzanych w smole i w pierzu. Battakes zapisał duże partie diatryby i poszedł na skargę do senatu. Kilka żon tego znakomitego ciała musiało zostać zarażone, tą czy inną drogą, entuzjazmem dla poselstwa, bo kuria z miejsca kazała Aulusowi Pompejuszowi przestać obrażać te ważne osobistości. Puryści spośród ojców spisanych stanęli po stronie Aulusa Pompejusza, bo nie jest zadaniem senatu upominanie trybuna ludowego za jego działania w komicjum. Potem doszło do kłótni o to, czy są oni czy nie są poselstwem, pomimo poprzedniego orzeczenia Skaurusa - ponieważ nie można było znaleźć Skaurusa - albo przeglądał moje stare mowy, szukając nowych epigramów, albo zaplatał się w spódnice żony, sprawdzając gładkość jej naskórka - ta rzecz pozostała nie rozstrzygnięta.

Tak więc Aulus Pompejusz ryczał nadal z rostrów niczym lew, oskarżając rzymskie damy o chciwość, a także o nieczystość. Potem sam Battakes nadszedł w orszaku wspaniałych kapłanów i wspaniałych rzymskich dam, ciągnących za nim jak koty za sprzedawcą ryb. Byłem tam, na szczęście - wiesz, jaki jest Rzym! Otrzymałem, oczywiście, poufną informację - jak chyba połowa miasta - i oglądałem znakomitą farsę, znacznie lepszą niż wszystko, co miałby nadzieję zobaczyć w teatrze Sulla. Aulus Pompejusz i Battakes weszli w role - niestety tylko słownie - szybciej niż Plaut. Nasz szlachetny trybun upierał się, że jego oponent jest oszustem, a Battakes głosił, że Aulus Pompejusz igra z ogniem, bo Wielka Bogini nie lubi, gdy obraża się jej kapłanów. Battakes zakończył tę scenę, rzucając na Aulusa Pompejusza jakąś klątwę mrozącą krew w żyłach - po grecku, więc wszyscy ją zrozumieli. Myślałbym raczej, że bogini woli modlitwy po frygijsku.

I tu będzie najlepsze, Gajuszu Mariuszu! Z chwilą, gdy klątwa została wygłoszona, Aulus Pompejusz zaczął się krztusić i kaszleć. Zszedł na chwiejnych nogach z rostrów i musiał być odprowadzony do domu, gdzie przeleżał w łóżku trzy dni, coraz słabszy i słabszy. A po trzech dniach... umarł! Przestał oddychać. Możesz sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiło to na wszystkich, od senatu po rzymskie damy. Battakes może chodzić, gdzie chce, i robić, co chce. Ludzie usuwają mu się z drogi, jakby cierpiał na jakiś złoty trąd. Otrzymuje wyżywienie, bo kuria zmieniła zdanie i uznała formalnie jego poselstwo (nadal nie słyhać niczego o Skaurusie!). Kobiety wieszają mu się na szyi, a on uśmiecha się i unosi dłonie, błogosławiąc, i ogólnie zachowuje się niczym Zeus.

Czuję niesmak, obrzydzenie i tysiąc innych równie niemiłych wrażeń. Główne pytanie brzmi, jak on to zrobił? Czy to była boska interwencja, czy jakaś nieznana trucizna? Stawiam na to drugie, ale przecież ja jestem sceptykiem - jeśli nie cynikiem”.

Mariusz zrywał boki ze śmiechu, a potem zajął się Germanami.

Ćwierć miliona Teutonów przekroczyło Druencję nieco na wschód od jej zbiegu z Rodanem i zaczęło płynąć ku rzymskiej twierdzy. Poszarpana kolumna rozciągała się na całe mile. Jej boki i końce tworzyli wojownicy w liczbie stu trzydziestu tysięcy, a jej wijący się ogon był rozległym

skupiskiem wozów, bydła i koni, poganianych przez kobiety i dzieci. Ludzie starzy byli nieliczni, zwłaszcza kobiety. Na czele niewolników jechało plemię dzikich, dumnych i walecznych Ambronów. Ostatnie grupy wozów i zwierząt były o trzydzieści pięć mil z tyłu za nimi.

Zwiadowcy germańscy wykryli rzymską cytadelę, ale król Teutobod był pewny siebie. Szli na Massylię zamiast na Rzym, bo w Massylii - największym mieście poza Rzymem, o jakim w ogóle słyszeli - znajdą kobiety, niewolników, żywność i zbytki. Kiedy się nasycą łupieniem i paleniem, skierują się na wschód wzdłuż wybrzeża, bo choć Teutobod przekonał się już, że Via Domitia przez przełęcz Mons Genava jest w doskonałym stanie, wciąż uważał, że droga nadbrzeżna doprowadzi go szybciej do Italii.

Zboża były jeszcze na polach i zostały wdeptane w ziemię przez ciągnące zastępy. Nikt, nawet Teutobod, nie pomyślał, że przy odrobinie trudu można było zachować to zboże do zżęcia i gromadzenia na nadchodzącą zimę. Wozy były pełne produktów zabranych wszystkim, którzy znaleźli się na drodze Germanów. Co do zbóż na polach, to, co zdeptali ludzie, nadawało się jeszcze do zjedzenia przez krowy i konie. Nie zżęte zboże stanowiło po prostu paszę.

Gdy Ambronowie doszli do stóp góry, na której wznosiła się twierdza Rzymian, nic się nie zdarzyło. Mariusz się nie ruszał, a Germanie nie trudzili się, by go szturmować. Stanowił jednak psychologiczną zapórę, Ambronowie stanęli więc, a reszta wojowników gromadziła się za nimi, aż Germanie skłębili się niczym mrówki wokół całej góry i przybył sam Teutobod. Najpierw usiłowali sprowokować rzymską armię wyzwiskami i pochodem pojmanych cywilów, których wszystkich poddano torturom. Nikt z Rzymian nie odpowiedział i nikt się nie wychylił. Potem nastąpił masowy atak od czoła, który załamał się bezowocnie na wspaniałych umocnieniach obozu Mariusza. Rzymianie rzucili kilka włóczni do łatwych celów, ale nic się więcej nie zdarzyło.

Teutobod wzruszał ramionami. Jego thanowie wzruszali ramionami. Niech Rzymianie zostaną tam, gdzie są. To nie miało znaczenia. Wojsko Germanów przewaliło się więc wokół podstawy góry niczym gęste morze wokół wielkiej skały i zniknęło na południu, a tysiące wozów jechały ze skrzypieniem kół jego śladem przez siedem dni. Germańskie kobiety i dzieci patrzyły na wyraźnie uśpioną cytadelę i kawalkada pociągnęła ku Massylii.

Ledwie ostatni wóz zniknął za horyzontem, Mariusz ruszył swe sześć wzmocnionych legionów. Kolumna rzymska, spokojna, zdyscyplinowana i ciesząca się perspektywą bitwy minęła nie zauważona Germanów, gdy pchali się drogą z Arelatu do Aquae Sextiae, skąd Teutobod zamierzał poprowadzić swych wojowników do morza. Mariusz przeszedł rzekę Ars i zajął doskonałą pozycję na jej południowym brzegu u szczytu spadzistego grzbietu otoczonego wzgórzami. Tam okopał się, pilnując rzeki.

Trzydzieści tysięcy wojowników ambrońskich podeszło do brodu i ujrzano w górze obóz rzymski najeżony włócznikami i grzebieniastymi hełmami. Był to jednak zwykły obóz, łatwy łup; nie czekając na posiłki, Ambronowie przeszli płytki nurt i zaatakowali. Pod górę.

Legioniści rzymscy wyszli po prostu na wały na całej długości i ruszyli w dół naprzeciw wrzeszczącej hordzie niezdyscyplinowanych barbarzyńców. Najpierw rzucili z druzgocącym skutkiem swoje pila, a potem wyciągnęli miecze, przerzucili tarcze przed siebie i poszli do bitwy niczym połączone składniki jednej gigantycznej maszyny. Mało który z Ambronów przeżył, by przebrnąć z powrotem rzekę. Trzydzieści tysięcy martwych Ambronów leżało rozciągniętych na stoku. Mariusz prawie nie miał strat.

Ta akcja nie trwała nawet pół godziny; w ciągu godziny z nagich ciał Ambronów utworzono wał; miecze, naszyjniki, tarcze, bransolety, pectorały, sztylety i hełmy zwalono w rzymskim obozie - wzdłuż brodu, pierwszą przeszkodą dla następnej fali Germanów będzie konieczność wejścia na ten wał z ciał martwych rodaków.

Drugi brzeg Ars zajęła teraz wzburzona masa Teutonów, wpatrujących się z gniewem i pomieszaniem w potężny wał z martwych Ambronów; wał rzymskiego obozu na wzniesieniu zapełnił się tysiącami żołnierzy gwizdających, wyjących, śpiewających, wychodzących z siebie w euforii zwycięstwa; oto po raz pierwszy jakaś rzymska armia pozabijała tak wielu Germanów.

To było, oczywiście, tylko pierwsze starcie. Główna akcja miała jeszcze nadejść. Nadejdzie jednak, to było pewne. Dla dopełnienia swego planu Mariusz wydzielił trzy tysiące swoich najlepszych żołnierzy i wysłał ich wieczorem pod wodzą Maniusza Akwiliusza w dół rzeki. Mieli ją przejść i czekać na walne starcie, a potem spaść od tyłu na Germanów w szczytowym momencie bitwy.

Mało który legionista spał tej nocy, tak wielkie było ożywienie, ale następny dzień nie przyniósł żadnych działań Germanów, więc zmęczenie nie miało znaczenia. Mariusz martwił się bezczynnością barbarzyńców, bo nie chciał odkładać rozstrzygnięcia. Potrzebował rozstrzygającego zwycięstwa i był zdecydowany je uzyskać. Na drugim brzegu rzeki obozowały setki tysięcy Teutonów, nie budując żadnych umocnień. Sama ich ilość była umocnieniem.

Tymczasem Teutobod - tak wysoki, że na swym galijskim koniku sięgał nogami ziemi - podjechał do brodu z tuzinem swoich thanów. Przez cały dzień jeździł tam i z powrotem na swym ciężko obładowanym wierzchowcu. Duże grube lniane warkocze spadały na złoty napierśnik, a złote skrzydła na jego hełmie połyskiwały w słońcu. Na jego gładko ogolonej twarzy można było wyczytać nawet z daleka niezdecydowanie i niepokój.

Następny poranek wstał równie bezchmurny jak poprzednie, obiecując upał, który spowoduje przedwczesny rozkład gnijącej masy ciał Ambronów. Mariusz nie zamierzał pozostawać w miejscu, gdzie zaraza była groźniejsza niż nieprzyjaciel.

- Zgoda - powiedział do Kwintusa Sertoriusza - zaryzykujemy. Jeśli nie zaatakują, wywołam bitwę, wychodząc do ataku na nich. Stracimy korzyści, jakie daje ich atak pod górę, ale i tak będziemy w lepszym położeniu tutaj niż gdzie indziej, a Maniusz Akwiliusz zajął już pozycję. Każ dąć w rogi i zwołaj wojsko, a ja do niego przemówię.

Była to zwykła praktyka. Rzymska armia nie ruszała do boju bez

wysłuchania oracji. Po pierwsze, ludzie mieli okazję zobaczyć wodza z bliska w bojowym rynsztunku, po drugie, dawało to moralne wsparcie, a wreszcie dla wodza była to okazja poinformowania najostatniejszego legionisty, w jaki sposób zamierza zwyciężyć. Bitwa nigdy nie przebiegała ściśle według planu - wszyscy to rozumieli - ale wystąpienie wodza dawało żołnierzom pojęcie, czego wódz się po nich spodziewa, a jeśli zamieszanie było większe niż zwykle, żołnierze mogli sami układać sobie plany. Wiele rzymskich armii zwyciężyło, bo żołnierze wiedzieli, czego chce od nich wódz, i robili to nawet pod nieobecność trybuna w zasięgu głosu.

Kłęska pod Arauzjoną podziałała krzepiąco. Legiony wyszły, aby zwyciężyć, w doskonałej formie fizycznej, w lśniących zbrojach i z nieskazitelnym ekwipunkiem. Zebrani na otwartej przestrzeni nazywali swoje zgromadzenie forum. Szeregi stały w szyku, by wysłuchać Gajusza Mariusza. Poszliby za nim aż do Tartaru, bo go uwielbiali.

- Zgoda, *cunni*, dziś jest ten dzień! - zawołał Mariusz ze swej prowizorycznej mównicy. - Byliśmy za dobrzy, to nasz kłopot! Teraz oni nie chcą walczyć! Pozwolimy im mieć nadzieję, że mogą pokonać legiony ze smoczych zębów! Przejdziemy wał i ruszymy w dół, a potem będziemy wyrzucać zabitych! Będziemy kopać ich zmarłych, pluć na ich zmarłych, szczać na ich zmarłych, jeśli będziemy musieli. Nie popełnijcie błędu, oni chcą przejść bród tyloma tysiącami, że nie zdołacie ich policzyć, wy nieuczenni *mentulae*. Nie będziecie też siedzieć jak kury na grzędzie. Zamierzam spotkać się z nimi oko w oko, a to oznacza zadzieranie głowy, bo oni są wyżsi od nas. To są olbrzymy, czy to was martwi? Martwi was?

- Nie! - ryknęli jednym głosem. - Nie, nie, nie!

- Nie! - zawtórował Mariusz. - A czemu? Bo jesteśmy legionami Rzymu! Idziemy za srebrnymi orłami na śmierć albo po chwałę! Rzymianie to najlepsi żołnierze, jakich widział świat! A wy - Policzeni Głowami żołnierze Gajusza Mariusza - to najlepsi żołnierze, jakich kiedykolwiek widział Rzym!

Wiwatowali na jego cześć, zdawałoby się w nieskończoność, bliscy historii z dumy. Łzy płynęły im po twarzach, a każde ścięno ich ciał napinało się w gotowości.

- Zgoda więc. Przechodzimy wał i idziemy na zawody w grzmoceniu po łąkach! Nie ma innego sposobu, by wygrać tę wojnę, niż powalić tych dzikusów z błędnym wzrokiem na kolana! To walka, ludzie! Nie skończy się, dopóki choć jeden z tych dzikusów z błędnym wzrokiem będzie stał na własnych nogach! - Zwrócił się w stronę sześciu mężów okrytych lwimi skórami - zębate pyski obejmowały ich hełmy, a łapy z pazurami związane były na okrytych kolczugą piersiach - stali, ściskając w dłoniach lśniące srebrne drzewca sztandarowe, unoszące sześć srebrnych orłów z rozpostartymi skrzydłami. - Oto są wasze srebrne orły! Godła odwagi! Godła Rzymu! Godła moich legionów. Marsz za tymi orłami! Ku chwale Rzymu!

Nawet w takim uniesieniu utrzymywano dyscyplinę. W porządku i bez pośpiechu sześć Mariuszowych legionów wyszło z obozu w dół po stoku, obracając się, by chronić flanki, nie było to bowiem miejsce dla jazdy.

Prezentowali szeregi w kształcie sierpa Germanom, którzy powzięli decyzję za króla Teutoboda już po pierwszej demonstracji rzymskiej pogardy dla zabitych Ambronów. Doszli przez bród do frontu rzymskiego, który nawet nie drgnął. Ludzie z pierwszych szeregów Germanów padli pod nawałą pila rzucanych ze zdumiewającą dokładnością, bo wojsko Mariusza ponad dwa lata ćwiczyło, czekając na ten dzień.

Bitwa była długa i wyczerpująca, ale linii Rzymian nie sposób było przełamać ani też wydrzeć srebrnych orłów noszonych przez sześciu *aquiliferi*. Rosły stosy martwych Germanów, dołączających do swych pobratymców Ambronów, a jednak wciąż nowi Germanie przechodzili bród, aby zastąpić zabitych. Trwało to, póki Maniusz Akwiliusz ze swymi trzema tysiącami nie spadł na tyły Germanów i nie zaczęła się rzeź.

I tak tego popołudnia przestali istnieć Teutoni. Zapalone wojskową tradycją i chwałą Rzymu i prowadzone przez wybitnego wodza trzydzieści siedem tysięcy odpowiednio wyszkolonych i odpowiednio wyekwipowanych rzymskich legionistów stworzyło historię *Aquae Sextiae*, pokonując sto tysięcy z górą wojowników germańskich w dwóch starciach. Osiemdziesiąt tysięcy ciał dołączyło do trzydziestu tysięcy Ambronów nad brzegiem rzeki Ars. Tylko nieliczni Teutoni wybrali życie, woleli umrzeć z dumą i bez skazy na honorze. Wśród poległych był Teutobod. Łupem zwycięzców zostało wiele tysięcy teutońskich kobiet i dzieci, i siedemnaście tysięcy wojowników, którzy uszli z życiem. Kiedy handlarze niewolników wyroili się z Massylii, skupując łupy, Mariusz darował dochody z ich sprzedaży swym żołnierzom i oficerom, choć tradycyjnie pieniądze ze sprzedaży jeńców należały do wodza.

- Nie trzeba mi pieniędzy, a oni na nie zasłużyli - mówił. Wyszczерzył zęby, wspominając ogromną sumę, jakiej Marsylczycy zażądali od Kotty za jeden statek, który przewiózł go do Rzymu z wieścią o Arauzjonie. - Widzę, że władze Massylii przysłały nam uchwałę z podzięką za uratowanie ich pięknego miasta. Chyba wystawię im rachunek za to uratowanie.

Dał Maniuszowi Akwiliuszowi raport dla senatu i posłał go galopem do Rzymu - zanieś nowinę i ubiegaj się o konsulat. Tylko nie spóźnij się! Maniusz Akwiliusz nie spóźnił się, docierając do Rzymu po siedmiu dniach jazdy. List został wręczony młodszemu konsulowi, Kwintusowi Lutacjuszowi Katullusowi Cezarowi, aby przeczytał go w senacie, a Maniusz Akwiliusz z kamienną twarzą odmówił powiedzenia choćby słowa.

„Ja, Gajusz Mariusz, starszy konsul, uważam za swój obowiązek donieść senatowi i ludowi rzymskiemu, że dziś na polu bitwy pod *Aquae Sextiae* w rzymskiej prowincji Galii Zaalpejskiej legiony pod moim dowództwem pokonały cały naród germańskich Teutonów. Naliczono sto trzysta tysięcy martwych Germanów, jeńców wzięto siedemnaście tysięcy i sto trzydzieści tysięcy kobiet i dzieci. Jest też trzydzieści dwa tysiące wozów, czterdzieści jeden tysięcy koni, dwieście tysięcy sztuk bydła. Nakazałem, aby cały łup, w tym pieniądze ze sprzedaży jeńców w niewolę, podzielić między moich żołnierzy. Niech żyje Rzym!”

Cały Rzym szalał z radości, ulice pełne były płaczących, tańczących, wiwatujących, ściskających się ludzkich hord, od niewolników do najdosłowniejszych. A Gajusz Mariusz został wybrany na starszego konsula na rok przyszedł *in absentia* z Maniuszem Akwiliuszem jako jego młodszym kolegą. Senat uchwalił mu trzydniowe dziękczynienie, a lud dołożył jeszcze dwa dni.

- Sulla o tym wspominał - powiedział Katullus Cezar do Metellusa Numidyjskiego, kiedy nastroje opadły.

- Aha! Nie lubisz naszego Lucjusza Korneliusza. „Sulla”, proszę! O czym wspominał?

- Mówił coś, że najwyższe w świecie drzewo nie może być przez nikogo ścięte. Gajusz Mariusz ma we wszystkim szczęście. Nie mogłem nakłonić mojej armii do walki, a on niszczy cały naród i prawie nie ma przy tym strat - rzekł Katullus ponurym głosem.

- On zawsze miał szczęście - skwitował Numidyjski.

- Szczęście, też coś - wtrącił Publiusz Rutyliusz, który podsłuchiwał rozmowę. - Oddaj mu sprawiedliwość, kiedy się należy!

„Nie mieli już nic do powiedzenia (pisał Rutyliusz Rufus do Gajusza Mariusza). Jak sam wiesz, nie mogę ci wybaczyć tych kolejnych konsulatów. Drażni mnie jednak zawiść i niechęć ze strony ludzi, którzy powinni umieć okazać wielkoduszność. Ezop podsumował ich zgrabnie - kwaśne winogrona. Czy słyszałeś kiedy taki nonsens jak przypisanie twoich sukcesów i ich niepowodzeń szczęściu? Człowiek tworzy swoje szczęście i to jest prawda. Mam ochotę splunąć, kiedy słyszę, jak umniejszają twoje wspaniałe zwycięstwo.

Dość o tym. Doprowadzę się do apopleksji. Skoro mówię o twoich wilczych przyjaciółach, Gajusz Serwiliusz Glaucja - objął przed ośmiu dniami urząd trybuna ludowego - już wywołał małą miłą burzę w komicjum. Zwołał swoje pierwsze *contio*, by omówić nowe prawo, jakie chce ogłosić.

Ma zamiar zniszczyć dzieło bohatera z Tolosy, Kwintusa Serwiliusza Cepiona, oby jego wygnanie w Smyrnie trwało wiecznie! Nigdy nie lubiłem tego człowieka. Glaucja zamierza oddać trybunał procesów o zdzierstwo znów w ręce ekwitów, z wszystkimi dodatkami. Od dziś - jeśli to prawo zostanie uchwalone, a chyba tak będzie - państwo może odzyskać straty albo nieprawnie zdobytą własność, albo brudne pieniądze od ich obecnych posiadaczy równie dobrze jak od pierwotnych przestępców. Jeśli przedtem jakiś zachłanny namiestnik mógł zapisać swe nieprawę zyski ciotce albo teściowi Lucjuszowi Utracjuszowi, a nawet komuś takiemu jak syn, pod nowym prawem Glaucji ciotka, Lucjusz Utracjusz i syn będą musieli wykrztusić, co połknęli.

Przypuszczam, że to sprawiedliwe, ale dokąd nas zaprowadzi takie prawodawstwo? Da ono państwu za wiele władzy, że nie wspomnę o zbyt wielkich pieniądzach. Rodzi demagogów i biurokratów. Jest coś ogromnie uspokajającego w możliwości bogacenia się polityków. To normalne. To ludzkie. To wybaczone. To zrozumiałe. Ci, którzy patrzą na ręce, to ci,

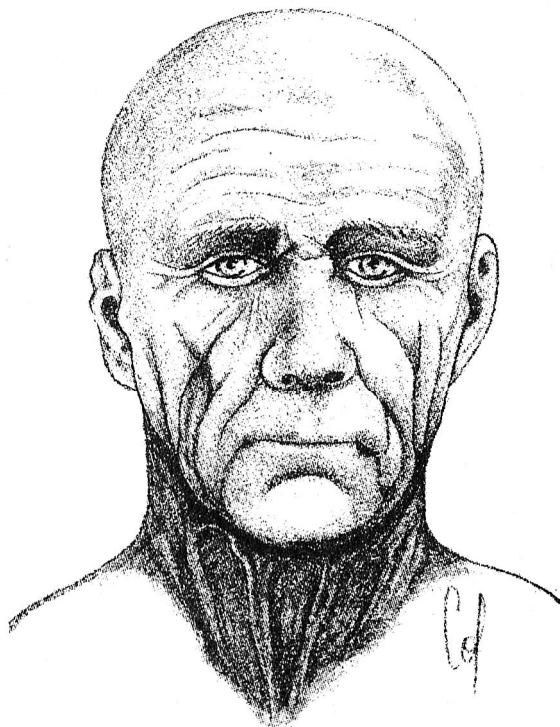
którzy chcą zmieniać świat. Mogą narobić szkody, ci ludzie władzy i altruści. To niezdrowe myśleć przede wszystkim o innych, a nie o sobie. Inni na to aż tak nie zasługują. Mówiłem ci, że jestem sceptykiem? Jestem. Czasem, jednak tylko czasem - zastanawiam się, czy nie jestem też trochę cynikiem.

Słyszę, że wkrótce będziesz w Rzymie. Nie mogę się doczekać! Chcę ujrzeć minę Świńskiego, kiedy cię zobaczy po raz pierwszy. Katullus Cezar został prokonsulem Galii Italskiej, jak mogłeś oczekiwać, i już wyjechał do swej armii w Placencji. Pilnuj go, bo spróbuje odebrać ci zasługę następnego zwycięstwa, jeśli zdoła. Mam nadzieję, że twój Lucjusz Korneliusz Sulla jest równie lojalny teraz, gdy Julilla nie żyje, jak był przedtem.

Na froncie dyplomatycznym, Battakes i jego kapłani mają w końcu być wysłani do kraju, a lamentsy różnych wysoko urodzonych dam można usłyszeć aż w Brundizjum. Gramy teraz gospodarza wobec znacznie mniej groźnego poselstwa. Przybyło od tego naprawdę niebezpiecznego młodego człowieka, który zdołał położyć łapę na większości terytoriów wokół Morza Euksyńskiego - króla Mitrydatesa Pontyjskiego. Prosi o traktat przyjaźni i przymierza. Skaurus nie jest za tym. Ciekawe czemu? Czy ma to coś wspólnego z namawianiem agentów króla Nikomedesa z naszej zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej Bitynii? *Edepol, edepol*, znów ten sceptyczny ton. Nie, Gajuszu Mariuszu, nie cyniczny. Jeszcze nie, w każdym razie.

Na zakończenie ploteczka i nowina osobista. Ojciec spisany Marek Kalpurniusz Bibulus ma synka i dziedzica ku radości różnych Domicjuszów Ahenobarbów i Serwiliuszów Cepionów, choć notuję, a Kalpurniuszowie Pisonowie zdołali zachować obojętność. To może być los niektórych szanowanych starców - poślubianie uczennic - częściej idą w ramiona śmierci. Nasz literacki olbrzym Gajusz Lucyliusz nie żyje. Bardzo żałuję, naprawdę. Był osobiście strasznie nudny, ale jakże był dowcipny na papierze! Żałuję także - i to szczerze, że zmarła nasza Marta Syryjka, stara prorokini. To dla ciebie nie nowina, wiem, że Julia pisała, ale brak mi będzie starej wiedźmy. Świński toczył pianę z ust, gdy ją widział krążącą po Rzymie w swej purpurowej lektyce. Twoja cudowna Julia przysięga, że i jej brak będzie Marty. Mam nadzieję, że doceniasz skarb, który poślubiłeś, nawiasem mówiąc. Nie każda znana mi żona smuciłaby się zgonem gościa, który przybył na miesiąc, a został na stałe, zwłaszcza gdy gość ma zwyczaj pluć na posadzkę i siusiać do sadzawki z rybkami. Zakończę twoimi słowami. Jak mogłeś? »Niech żyje Rzym!« Doprawdy, cóż za koncept!”





MAREK EMILIUSZ SKAURUS



**ROK DZIESIĄTY
(101 p.n.e.)**



ZA KONSULATU
GAJUSZA MARIUSZA (V)
I
MANIUSZA AKWILIUSZA



**ROK JEDENASTY
(100 p.n.e.)**



ZA KONSULATU GAJUSZA MARIUSZA (VI)
I
LUCJUSZA WALERIUSZA FLAKKUSA

Sulla miał słuszną rację: Cymbrowie nie byli zainteresowani przekraczaniem Padu. Niczym krowy puszczone luzem na ogromnej łące nad rzeką, paśli się z zadowoleniem na wschodniej połowie zapadańskiej Galii Italskiej, w otoczeniu takiej obfitości rolniczej i pasterskiej, że nie zwracali uwagi na nawoływanie swego króla. Sam tylko Bojoryks martwił się i sam tylko Bojoryks był głęboko przybity, kiedy otrzymał wiadomość o klęsce Teutonów pod Aquae Sextiae. Kiedy do tego

doszła wiadomość, że Tyguryjni-Markomani-Cheruskowie stracili odwagę i zawrócili ku swym ojczystym krajom, Bojoryks wpadł w desperację. Jego wielka strategia została zrujnowana przez połączenie rzymskiej wyższości militarnej i germańskiej nieudolności. Teraz zaczynał wątpić w swe zdolności kontrolowania własnego narodu, Cymbrów.

Nadal czuł, że oni, najliczniejsi z trzech grup, mogli podbić Italię bez niczyjej pomocy - ale tylko wtedy, gdyby ich nauczył zbiorowej jedności i indywidualnej samodyscypliny.

Przez całą zimę, po Aquae Sextiae, trzymał się na boku, rozumiejąc, że nie osiągnie niczego, dopóki jego ludzie nie znużą się tym miejscem albo go nie objedzą. Skoro nie byli rolnikami, druga możliwość była prawdopodobna, ale nigdzie w swych wędrówkach Bojoryks nie widział takiej żyzności, takiej zdolności do żywienia i utrzymywania przy życiu. Jeżeli zapadańska Galia Italska była lennem Rzymu, nic dziwnego, że był on tak wielki. Inaczej niż w Galii Długowłosych, nie pozostawiono tu lasów, zamiast nich starannie wybrane dębiny dostarczały szcudrze żołądki dla wielu tysięcy świń pasących się w nich przez zimę. Pozostała część kraju była uprawiana: proso, gdzie za sprawą Padu grunt był zbyt bagnisty, pszenica na suchym gruncie, groch włoski, soczewica, łubin i najróżniejsze fasole. Nawet gdy wiosną rolnicy uciekli albo byli zbyt wystraszeni, by siać, uprawy wyrosły, tyle nasion leżało usypionych w ziemi.

Czego nie zrozumiał Bojoryks, to fizycznej struktury Italii. Gdyby ją rozumiał, mógłby mimo wszystko zdecydować się na ogłoszenie, że Galia zapadańska jest nową ojczyzną Cymbrów. Gdyby to zrobił, mogłoby to odpowiadać Rzymowi i pozwolono by mu zostać, bo Galia zapadańska nie była uważana za istotnie ważną, a zamieszkała była przeważnie przez Celtów. Było tak, bo fizyczna struktura Italii przeszkadzała w wykorzystaniu niewiarygodnych bogactw doliny Padu na użytek półwyspu italskiego. Wszystkie rzeki płynęły w kierunkach wschód-zachód, zachód-wschód, a groźny górski łańcuch Apeninów oddzielał półwysep od Galii Italskiej na całej długości od wybrzeża Adriatyku do brzegów Ligurii. W rezultacie Galia za Padem stanowiła osobny kraj, dzielący się na dwie krainy, na północ i na południe od wielkiej rzeki.

W tym stanie rzeczy Bojoryks odzyskał swój cel, kiedy wiosna przeszła w lato i pojawiły się pierwsze oznaki, że kraj został objedzony. Uprawy istotnie wysiały się same, ale były rzadkie. Nie wyglądało na to, by uformowały się kłosa i strąki. Niezmiernie sprytne świny, jako stworzenia inteligentne, utrzymywały zmniejszającą się liczebność, całkowicie znikając z oczu. Pół miliona zwierząt, które Cymbrowie sprowadzili z sobą, zdeptało na plewy, czego nie spało.

Pora była ruszać. Kiedy Bojoryks poderwał swoich thanów, ci z kolei zaczęli podrywać do wymarszu swoje ludy. I tak, na początku czerwca spędzono bydło, zgromadzono konie i zaprzężono wozy. Cymbrowie raz jeszcze zjednoczeni ruszyli na zachód wzdłuż północnego brzegu Padu, kierując się ku bardziej zromanizowanym regionom wokół wielkiego miasta Placencji.

W Placencji stała rzymska armia w sile pięćdziesięciu czterech tysięcy ludzi. Mariusz darował dwa ze swych legionów Maniuszowi Akwiliuszowi, który z początkiem roku wyruszył na Sycylię, by się uporać z niewolniczym królem Atcnianem. Teutoni zostali wyniszczeni tak dokładnie, że nie było potrzeby zostawiania w Galii Zaalpejskiej garnizonów.

Sytuacja była w pewnym stopniu podobna do sytuacji w dowodzeniu pod Arauzjoną; znów naczelnym wódz był człowiekiem nowym a młodszy wódz był znakomitym arystokratą. Była jednak kolosalna różnica między Gajuszem Mariuszem a Gnejuszem Maliuszem Maksymusem. Człowiek nowy nie przyjmował żadnych nonsensów od arystokraty Katullusa Cezara. Katullusowi Cezarowi powiedziano szorstko, co ma zrobić, gdzie ma się udać i dlaczego ma to zrobić i tam się udać. Wszystko, czego od niego wymagano, to żeby był posłuszny i dobrze wiedział, co się stanie, jeśli nie będzie posłuszny, bo Gajusz Mariusz znalazł czas, żeby mu to powiedzieć. Bardzo otwarcie.

- Mógłbyś powiedzieć, że narysowałem linię, po której stąpasz, Kwintusie Lutacjuszu. Wsuń tylko jeden palec poza nią, a ściągnę cię do Rzymu tak szybko, że się nie obejrzysz! Nie pozwolę na żadne Cepionowe sztuczki! Wolalbym mieć na twoim miejscu Lucjusza Korneliusza i zajmie on to miejsce, jeśli tylko pomyślisz o zejściu ze swej linii. Zrozumiano?

- Nie jestem młodszym oficerem, Gajuszu Mariuszu, i czuję się urażony traktowaniem mnie jak młodszego oficera - odpowiedział Katullus Cezar, a na policzki wystąpiły mu szkarłatne plamy.

- Słuchaj, Kwintusie Lutacjuszu, nie obchodzi mnie, co czujesz! - powiedział Mariusz z przesadnym spokojem. - Obchodzi mnie tylko to, co robisz. A zrobisz to, co ci każę zrobić, nic innego.

- Nie przewiduję żadnych trudności w wykonaniu twoich rozkazów, Gajuszu Mariuszu. Są tak samo wyraźne, jak szczegółowe. - Katullus Cezar pohamował swój temperament. - Powtarzam jednak: nie ma potrzeby, by mnie traktowano jak młodszego oficera. Jestem twoim zastępcą.

Mariusz uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Ja też cię nie lubię, Kwintusie Lutacjuszu. Jesteś tylko jednym z wielu przeciętniaków z wyższych sfer, którzy myślą, że mają jakieś boskie prawo rządzić Rzymem. Moim zdaniem, nie nadajesz się na szefa winiarni położonej między burdelem a klubem. Nasza współpraca będzie więc polegała na tym, że ja będę wydawał rozkazy, a ty je będziesz wypełniać co do joty.

- Pod przymusem - powiedział Katullus Cezar.

- Pod przymusem, ale wypełnisz - rzekł Mariusz.

- Czy nie mogłeś być trochę bardziej taktowny? - spytał Sulla, który znosił przez godzinę narzekania Katullusa Cezara na Gajusza Mariusza wygłaszane podczas chodzenia tam i z powrotem w ich wspólnym namiocie.

- Dlaczego? - Mariusz był szczerze zdziwiony.

- Bo on się liczy w Rzymie, oto dlaczego! I liczy się też tu, w Galii

Italskiej! - parsknął Sulla. Przyływ gniewu minął. Patrzył na nieskruszonego Gajusza Mariusza i kręcił głową. - Ach, jesteś niemożliwy! I robisz się coraz gorszy, daję słowo.

- Jestem starym człowiekiem, Lucjuszu Korneliuszu. Mam pięćdziesiąt sześć. Tyle samo, co nasz princeps senatu, którego wszyscy nazywają starcem.

- To dlatego, że nasz princeps senatu jest łysy, pomarszczony i wrośnięty w Forum korzeniami - rzekł Sulla. - Ty wciąż jesteś sprawnym dowódcą w polu, więc nikt nie myśli o tobie jak o starcu.

- Cóż, jestem za stary, żeby znosić głupców w rodzaju Kwintusa Lutacjusza - rzekł Mariusz. - Nie mam czasu, żeby godzinami głaskać rozczochrane pióra jakichś kogucików tylko po to, by nadal mieli o sobie dobre mniemanie.

- Nie mów, że cię nie ostrzegałem - powiedział Sulla.

W drugiej połowie kwintylysa Cymbrowie zgromadzili się u podnóża Alp Zachodnich, rozłożywszy się na równinie zwanej Campi Raudii w pobliżu miasteczka Vercellae.

- Dlaczego tutaj? - spytał Mariusz Kwintusa Sertoniusza, który spotykał się wcześniej z Cymbrymi posuwającymi się na zachód.

- Chciałbym to wiedzieć, Gajuszu Mariuszu, ale nie udało mi się nigdy jeszcze zbliżyć do samego Bojoryksa. Cymbrowie myślą chyba, że wracają do Germanii, ale paru moich znajomych thanów uważa, że Bojoryks nadal jest zdecydowany iść na południe.

- Znalazł się daleko na zachodzie - zauważył Sulla.

- Thanowie myślą, że on się stara uspokoić naród, pozwalając mu wierzyć w szybki powrót do Galii Długowłosych i w powrót na Chersones Cymbryjski w przyszłym roku. On jednak zamierza trzymać ich w Galii Italskiej do czasu, aż przełęcz staną się niedostępne, a potem przedstawi im dość marną alternatywę - zostać w Galii Italskiej i głodować w zimie albo najechać Italię.

- Bardzo wyszukany manewr jak na barbarzyńcę. - Mariusz był sceptyczny.

- Ten trójząb wymierzony w Galię też nie był typową strategią barbarzyńców - przypomniał Sulla.

- Oni są jak sępy - rzekł nagle Sertoriusz.

- Jak to? - Mariusz zmarszczył brwi.

- Wydziobują kości do czysta, Gajuszu Mariuszu. Dlatego przenoszą się z miejsca na miejsce. Może zresztą plaga szarańczy byłaby lepszym porównaniem. Zjadają wszystko w zasięgu wzroku, a potem przenoszą się dalej. Eduom i Ambarom trzeba będzie dwudziestu lat na usunięcie skutków goszczenia przez dwa lata Germanów. Atuatukowie wyglądali także na mocno skonsternowanych, kiedy wyjeżdżałem.

- Jak więc udawało im się żyć w ojczyźnie bez wyruszania na długie wędrówki? - spytał Mariusz.

- Po pierwsze, było ich mniej. Cymbrowie mieli swój wielki półwysep, Teutoni cały kraj na południe od tamtych, Tyguryjni żyli w Helwecji,

Cheruskowie nad rzeką Visurgis w Germanii, a Markomani w Bohemii.

- Klimat jest tam inny - rzekł Sulla, gdy Sertoriusz zamilkł. - Na północ od Renu deszcz pada przez okrągły rok. Trawa rośnie bardzo szybko i jest to soczysta, słodka i miękka trawa. Zimy też nie są zbyt ostre, jak się zdaje - przynajmniej tak blisko Oceanus Atlanticus, jak żyją Cymbrowie, Teutoni i Cheruskowie. Nawet w pełni zimy pada więcej deszczu niż śniegu, Mogą więc raczej paść bydło, niż uprawiać ziemię. Nie sądzę, żeby Germanowie żyli tak, jak żyją, bo taka jest ich natura. Myślę, że warunki panujące w ojczyźnie narzucały im sposób życia.

Mariusz spojrział spod zasepionych brwi.

- Jeśli więc, na przykład, zabawią dość długo w Italii, nauczą się gospodarzyć na roli?

- Niewątpliwie - przyznał Sulla.

- Lepiej więc stoczyć decydującą walkę tego lata i położyć temu koniec. Przez piętnaście lat Rzym żył w cieniu tego zagrożenia. Nie zasną spokojnie w swym łóżku, jeśli przed zaśnięciem będą widział pół miliona Germanów wędrujących po Europie w poszukiwaniu jakiegoś Elizjum utraconego gdzieś na północ od Renu. Wędrowka Germanów musi ustać. A jedyną pewną drogą jest zatrzymanie jej rzymskim mieczem.

- Zgadza się z tym - rzekł Sulla.

- I ja także - powiedział Sertoriusz.

- Czy masz gdzieś wśród Cymbrów dzieciaka? - spytał go Mariusz.

- Mam.

- A wiesz gdzie?

- Wiem.

- Dobrze. Kiedy to się skończy, możesz wysłać dzieciaka i jego matkę dokąd chcesz, nawet do Rzymu.

- Dziękuję, Gajuszu Mariuszu. Wyślę ich do Hiszpanii Bliższej - uśmiechnął się Sertoriusz.

Mariusz wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego do Hiszpanii?

- Podobało mi się tam, kiedy uczyłem się być Celtyberem. Plemię, w którym żyłem, zadbało o moją germańską rodzinę.

- Dobrze! A teraz, moi przyjaciele, zastanówmy się, jak doprowadzić do bitwy z Cymbrami.

Mariusz doprowadził do tej bitwy. Było to ostatniego dnia kwinktylisa i zostało formalnie uzgodnione na spotkaniu Mariusza z Bojoryksem. Nie tylko Mariusz bowiem miał już dość niezdecydowanej sytuacji. Bojoryks także chciał położyć temu kres.

- Zwycięzcy przypadnie Italia - rzekł Bojoryks.

- Zwycięzcy przypadnie cały świat - odrzekł Mariusz.

Mariusz, tak jak pod Aquae Sextiae, stoczył bitwę siłami piechoty. Jego nieliczna jazda chroniła dwa wielkie skrzydła piechoty złożone z jego własnych żołnierzy z Galii Zaalpejskiej, rozdzielonych na dwie grupy po piętnaście tysięcy ludzi każda. Pomiedzy nie postawił Katullusa Cezara i jego dwadzieścia cztery tysiące mniej doświadczonych żołnierzy, by

utworzyć centrum. Na skrzydłach oddziały weteranów miały utrzymywać zwartość armii. Sam dowodził lewym skrzydłem, Sulla prawym, a Katullus Cezar środkiem.

Bitwę rozpoczęło piętnaście tysięcy cymbryjskiej konnicy, wspaniale wystrojonej i wyekwipowanej, i dosiadającej raczej wielkich północnych koni niż galijskich koników. Każdy jeździec germański nosił wysoki hełm w kształcie głowy jakiegoś mitycznego potwora z rozwartą paszczą i wysokimi kitami piór po obu stronach. Jeźdźcy wydawali się przez to jeszcze więksi. Nosili też żelazne pancerze i używali długich mieczów, okrągłych białych tarcz i podwójnych ciężkich włóczni.

Jeźdźcy utworzyli cztery szeregi długości prawie czterech mil, a piechota cymbryjska stała tuż za nimi. Kiedy jednak zaatakowali, skręcili w prawo i pociągnęli z sobą Rzymian. Była to taktyka obliczona na odciągnięcie rzymskiej linii w lewo na tyle, by umożliwić cymbryjskiej piechocie okrążenie prawego skrzydła Sulli i zajście Rzymian od tyłu.

Legiony tak się paliły do zwarcia, że ten germański plan omal się nie powiódł. Potem Mariusz zdołał powstrzymać swe oddziały i przyjął uderzenie konnicy, pozostawiając Sulli uporanie się z pierwszym natarciem cymbryjskiej piechoty, podczas gdy Katullus Cezar w środku walczył i z kawalerią, i z piechotą.

Rzymska sprawność, rzymskie wyszkolenie i rzymska przebiegłość zwyciężyły na polu bitwy pod Vercellae, bo Mariusz postawił na bitwę stoczoną w przeważającej części przed południem, zatem uszykował swe wojsko zwrócone ku zachodowi. To Cymbrom świeciło w oczy poranne słońce i to Cymbrowie nie mogli dotrzymać kroku. Przywykli do zimna - i po obfitym śniadaniu z wielką ilością mięsiwa - walczyli z Rzymianami w czasie letniego przesilenia dnia z nocą pod bezchmurnym niebem i w duszącej kurzawie. Legioniści byli wyćwiczeni w wytrzymałości, ale dla Germanów żar był bezlitosny. Padali zatem tysiącami i tysiącami z wyschniętymi językami, zbrojami palącymi niczym koszula Herkulesa, rozpalonymi hełmami i mieczami zbyt ciężkimi, by je unieść.

W południe Cymbrom zabrakło wojowników. Osiemdziesiąt tysięcy padło na polu bitwy, włącznie z Bojoryksem. Pozostali uciekli, by ostrzec kobiety i dzieci w wozach i zabrać, co się da, poza Alpy. Nie dało się jednak poderwać do galopu pięćdziesięciu tysięcy wozów ani pół miliona sztuk bydła w przeciągu godziny czy dwóch. Ci najbliżsi alpejskiej doliny Val Salassi zdołali uciec, inni nie zdołali. Wiele kobiet odrzucało myśl o pójściu do niewoli. Dusiły swe dzieci własnymi rękami i same sobie zadawały śmierć, a także uciekającym wojownikom. Pomimo to wzięto do niewoli sześćdziesiąt tysięcy kobiet i dzieci oraz dwadzieścia tysięcy wojowników.

Z tych, którzy uciekli w górę Val Salassi i dostali się do Galii Zaalpejskiej przez przełęcz Lugdunum, niewielu zdołało ująć z rąk Celtów. Allobrogowie napadali na nich z okrutną przyjemnością i tak samo czynili Sekwanowie. Może ze dwa tysiące Cymbrów dołączyło w końcu do sześciu tysięcy wojowników pozostawionych pośród Atuatuków i tam, gdzie Moza spotyka się z Sabis, osiadły ostatnie pozostałości wielkiej

wędrowki ich ludu. Z czasem przyjęli nawet nazwę Atuatuków. Jedynie nagromadzenie skarbów przypominało im, że byli kiedyś wielką chmarą Germanów, liczącą ponad trzy czwarte miliona, ale te skarby nie należały do nich, strzegli ich tylko przed nadejściem innych Rzymian.

Katullus Cezar przyszedł na naradę, którą Mariusz zwołał po Vercellae, zastał go podbitego i przystępnego, zbyt szczęśliwego, by mógł czegoś odmówić.

- Mój drogi kolego, oczywiście, że należy ci się tryumf! - mówił Mariusz, klepiąc go po plecach. - Mój drogi kolego, wzięłeś dwie trzecie łupów! Mimo wszystko moi ludzie mają też łupy spod Aquae Sextiae, ja zaś darowałem im dochód ze sprzedaży jeńców, zakończą więc kampanię w dużo lepszym położeniu niż twój - chyba że i ty zamierzasz darować im pieniądze za jeńców? Nie? To zupełnie zrozumiałe, mój drogi Kwintusie Lutacjuszu! - mówił Mariusz, podając tamtemu półmisek.

- Mój drogi kolego, nigdy nie myślałem nawet o wzięciu całej zasługi na siebie! Czemu miałbym myśleć, skoro nasi żołnierze walczyli z jednakową wprawą i entuzjazmem!

Mariusz odebrał tamtemu półmisek i zastąpił go pełnym pucharem wina.

- Siadaj, siadaj! Cóż za wielki dzień! Mogę spać spokojnie.

- Bojoryks nie żyje. - Sulla uśmiechał się zadowolony. - Już po wszystkim, Gajuszu Mariuszu. Zdecydowanie po wszystkim.

- A twoja kobieta i dziecko, Kwintusie Sertoriuszu? - spytał Mariusz.

- Bezpieczni.

- Świetnie. Świetnie! - Mariusz rozejrzał się po zatłoczonym namiocie wodza. Nawet jego brwi zdawały się promienieć. - Kto chce zawieźć nowinę o Vercellae do Rzymu?

Odpowiedziało ze dwadzieścia głosów. Kilku milczało, ale w twarzach mieli pragnienie. Mariusz przyglądał im się po kolei, a w końcu zatrzymał wzrok na tym, na kogo już się zdecydował.

- Gajuszu Juliuszu, ty dostajesz to zadanie. Jesteś moim kwestorem, ale mam nawet lepszy powód. Ty jesteś uosobieniem nas wszystkich z naczelnego dowództwa. Musimy pozostać w Galii Italskiej, dopóki wszystko nie uspokoi się jak należy. Ty jesteś szwagrem zarówno Lucjusza Korneliusza, jak i moim. A ten oto Kwintus Lutacjusz jest Juliuszem Cezarem z urodzenia. Zrozumiałe więc, że jakiś Juliusz Cezar przyniesie do Rzymu wieść o zwycięstwie... - Obrócił się, by spojrzeć na wszystkich obecnych. - To chyba w porządku?

- W porządku - odrzekli chórem.



- Cóż to za uroczy sposób wejścia do senatu. - Aurelia nie mogła oderwać oczu od twarzy Cezara. Jaki był opalony, jak bardzo męski! - Cieszę się teraz, że cenzorzy nie dopuścili cię przed twym odejściem do armii Gajusza Mariusza.

Był jeszcze rozpromieniony, jeszcze przeżywał te wspaniałe chwile, gdy po wręczeniu listu Mariusza przywódcy senatu widział na własne oczy, jak senat rzymski przyjął wiadomość, że nie ma już germańskiego zagrożenia.

Oklaski, wiwaty, senatorowie tańczący i senatorowie płaczący. Widok Gajusza Serwiliusza Glaucji, przewodniczącego kolegium trybunów ludowych, biegnącego z owiniętą wokół siebie togą z kurii do komicjum, by wykrzyknąć nowinę z rostrów i dostojni mężowie, jak Metellus Numidyjski i Ahenobarbus Pontifex Maximus, ściskający sobie dłonie i starający się okazać godność, a nie podniecenie.

- To dobry znak - powiedział do żony, przyglądając się jej z oszołomieniem i podziwem. Jakże była piękna, jak niezmienną po czterech przeszło latach życia w Suburze i zajmowania się prowadzeniem insuli.

- Będiesz kiedyś konsulem - powiedziała z przekonaniem. - Kiedy będą wspominać nasze zwycięstwo pod Vercellae, przypomną sobie, że to ty przyniosłeś tę wieść Rzymowi.

- Nie - odpowiedział uczciwie - pomyślą o Gajuszu Mariuszu.

- I tobie - nalegała żona. - Widzieli twoją twarz. Jesteś jego kwestorem.

Westchnął, skulił się na sofie i poklepał wolne miejsce obok siebie.

- Chodź tu.

Siedząca na swym krześle z oparciem Aurelia spojrzała na drzwi triclinium.

- Gajuszu Juliuszu! - powiedziała.

- Jesteśmy sami, moja kochana żono, a ja nie jestem aż takim pedantem, żebym pierwszego wieczoru w domu siedział oddzielony od żony stołem. - Nowe klepięcie w sofę: - Chodź tu, kobieto! Natychmiast!

Kiedy młoda para zamieszkała w domu w Suburze, jej przybycie stało się wydarzeniem dla mieszkańców wszystkich sąsiednich ulic. Arystokraci bywali dość powszechnie właścicielami insuli, ale nigdy w nich nie mieszkali. Gajusz Juliusz Cezar i jego żona wzbudzili więc większe niż zwykle zainteresowanie, niezależnie zaś od rozmiarów tego zainteresowania Subura była kipiącym plotkami miasteczkiem, ponad wszystko lubiącym nowe sensacje.

Wszyscy przepowiadali, że to małżeństwo nie przetrwa długo. Subura szybko przytnie im skrzydełka i pokaże, czym naprawdę są, tym ludziom z Palatynu. Poczekajcie tylko na ataki histerii u pani i napady złego humoru u pana, ha, ha! Czekali więc, zacierając ręce.

Nic takiego się nie zdarzyło. Przekonali się, że pani nie uchyla się od robienia zakupów, że potrafi być nieprzyjemna wobec podrywaczy i że dała sobie radę z grupą miejscowych kobiet, która otoczyła ją na Vicus Patricii i próbowała przegonić na Palatyn, gdzie jej miejsce. Co do pana, był naprawdę dobrze wychowany, pogodny, uprzejmy, interesujący się wszystkim, co mu się mówiło, pomocny przy spisaniu testamentów, umów dzierżaw i kontraktów.

Bardzo szybko zaczęto ich szanować, a w końcu pokochano. Mieli wiele oryginalnych cech, jak choćby skłonność do zajmowania się swymi sprawami i nie mieszania się do spraw innych. Nigdy nie narzekali i nie krytykowali i nigdy nie dawali do zrozumienia, że są lepsi od innych. Wystarczyło się do nich odezwać, a miało się pewność, że odpowiedzią będzie szczerzy uśmiech, prawdziwe zainteresowanie, uprzejmość i wrażli-

wość. Chociaż z początku uważano to za udawanie, ostatecznie jednak mieszkańcy ich części Subury doszli do wniosku, że Cezar i Aurelia są dokładnie tym, czym się wydają.

Dla Aurelii ta akceptacja była daleko ważniejsza niż dla Cezara, to ona była zaangażowana w sprawy Subury i to ona była właścicielką gęsto zaludnionego budynku. Nie było to z początku łatwe, choć dopiero po tym, jak Cezar opuścił Rzym, zrozumiała, dlaczego z początku uważała, że trudności wynikają z braku doświadczenia i słabej orientacji w środowisku. Agenci, którzy sprzedali jej insulę, podjęli się działać w jej imieniu w zbieraniu czynszów i w nawiązywaniu kontaktów z lokatorami, a Cezar uznał to za dobry pomysł, więc posłuszna młoda żona się zgodziła. Cezar nie przyjął też do swej świadomości przesłania przekazanego mu przez nią po miesiącu od ich wprowadzenia się, gdy mu opowiadała o lokatorach.

- To wprost niewiarygodna różnorodność - powiedziała z ożywieniem w twarzy i mniej widocznym opanowaniem niż zwykle.

- Różnorodność? - podjął temat.

- No cóż, dwa najwyższe piętra to przeważnie wyzwolenicy - głównie Grecy - chyba z trudem wiążą koniec z końcem, mają pomarszczone od trosk twarze i mają więcej chłopców niż żon. Na środkowych piętrach żyją wszelkiego rodzaju ludzie - jakiś folusznik z rodziną - Rzymianin, jakiś owczarz z rodziną - Rzymianin. Czy zdawałeś sobie sprawę, że mamy w Rzymie owczarzy? On dogląda owiec na Campus Lanatarius, kiedy czekają, aż się je sprzeda do rzeźni. Czy to nie fascynujące? Pytałam go, czemu nie zamieszkał bliżej miejsca pracy, ale odpowiedział, że oboje z żoną są z Subury i nie wyobrażają sobie życia gdzie indziej, a chodzenie mu nie przeszkadza. - Aurelia ożywiła się niezwykle, mówiąc to.

Cezar jednak nachmurzył się.

- Nie jestem snobem, Aurelio, ale nie jestem pewien, czy to rozsądne rozmawiać z lokatorami. Jesteś żoną Juliusza i obowiązują cię pewne standardy zachowania. Nie można być wobec tych ludzi niegrzecznym ani apodyktycznym, ani nie okazywać im zainteresowania, ale ja wkrótce wyjeżdżam i nie chcę, żeby moja żona zawierała przyjaźnie, a nie znajomości. Musisz zachowywać rezerwę wobec ludzi, którzy wynajmują u ciebie mieszkanie. Dlatego właśnie rad jestem, że to agenci zbierają czynsz i załatwiają interesy.

Patrzyła na niego z konsternacją i wyjąkała:

- Prze... przepraszam, Gajuszu Juliuszu, ja nie... nie pomyślałam o tym. I tak naprawdę nie zachęcałam ich. Myślałam tylko, że dobrze byłoby wiedzieć, czym się kto zajmuje.

- Oczywiście - łagodził, świadomy tego, że być może sprawił jej zawód.
- Opowiedz mi więcej o tym.

- Jest tam grecki retor z rodziną i rzymski nauczyciel z rodziną - ten chciałby wynająć dwa pokoje obok swego mieszkania, gdyby się zwolniły, bo w ten sposób miałyby szkołę na miejscu. - Rzuciła szybkie spojrzenie na Cezara i dodała: - Wiem to od agentów. - I tak oto po raz pierwszy skłamała mężowi.

- To brzmi zadowolająco - powiedział. - Kogo tam jeszcze mamy,

kochanie?

- Piętro nad nami jest bardzo dziwne. Mieszka tam handlarz przypraw z przeraźliwie wyniosłą żoną i jakiś wynalazca! Jest kawalerem, a jego mieszkanie jest zapchane zdumiewającymi modelikami dźwigów, pomp i młynów, a wszystkie działają!

- Chcesz powiedzieć, Aurelio, że byłeś w mieszkaniu kawalera?

Skłamała po raz drugi, a serce biło jej mocno.

- Nie, Gajuszu Juliuszu, naprawdę nie! To agent sądził, że będzie dobrze, jeśli będę mu towarzyszyła w obchodzie i zobaczę lokatorów oraz jak żyją.

Cezar odetchnął.

- Oczywiście, rozumiem! Co wynajduje nasz wynalazca?

- Głównie hamulce i bloki, jak zrozumiałam. Pokazał mi, jak działają, i pokazał model dźwigu, ale nie mam technicznego umysłu, jak mówił, więc to wszystko nie miało dla mnie sensu.

- Te wynalazki muszą być opłacalne, jeśli stać go na mieszkanie nad nami - powiedział Cezar, niespokojny, bo żona mu sposepniała, ale nie umiejący wyczuć, czyja to była wina.

- W sprawie wyboru bloków współpracuje on z odlewnią, która wykonuje zamówienia dla wielkich przedsiębiorstw budowlanych, a hamulce wytwarza we własnym zakładzie, gdzieś tu na ulicy. - Nabrała tchu i przeszła do swych najniezwyklejszych lokatorów. - Mamy też całe piętro Żydów, Gajuszu Juliuszu! Lubią żyć wśród innych Żydów, jak mi mówili, z powodu wielkiej liczby przepisów i nakazów - które, nawiasem mówiąc, sami na siebie nakładają. To bardzo religijny naród! Mogę zrozumieć ich ksenofobię - dla nich jesteśmy niemoralnymi nikczemnikami. Pracują tylko we własnych przedsiębiorstwach, głównie dlatego, że co siódmy dzień odpoczywają. Czy to nie dziwny system? W Rzymie, gdzie na rynku wolny jest ósmy dzień, a poza tym święta i festiwale, nie mogliby pracować u nie-żydowskich pracodawców. Wolą więc pracować na umowę zlecenie, niż przyjmować stałe zajęcie.

- Jakie to niezwykle! - powiedział Cezar.

- Wszyscy oni są artystami i uczonymi - Aurelia starała się nie okazywać zainteresowania. - Jeden z nich, nazywa się chyba Szymon, to najznakomitszy skryba. Robi cudowne rzeczy, Gajuszu Juliuszu, naprawdę cudowne! Pisze tylko po grecku. Nikt z nich nie jest naprawdę dobry w łacinie. Kiedy tylko jakiś wydawca albo autor planuje specjalne wydanie jakiegoś dzieła po wyższej cenie, udaje się do Szymona, który ma czterech synów biegłych w sztuce pisania. Chodzili zarówno do szkoły rzymskiej, jak i do swojej szkoły religijnej, bo Szymon chce, żeby byli jednakowo biegli w łacinie, grece, aramejskim i... hebrajskim, tak się chyba wyraził. Będą zatem mieli dość roboty w Rzymie po wszystkie czasy.

- Czy wszyscy Żydzi są skrybami?

- Ach nie, tylko Szymon. Jest wśród nich złotnik i pracuje na zlecenie niektórych sklepów z portyku Margaritaria. Mamy też rzeźbiarza-portrecistę, krawca, płatnerza, sukiennika, murarza i wreszcie sprzedawcę balsamu.

- Czyba nie wszyscy pracują w mieszkaniach?

- Tylko skryba i złotnik, Gajuszu Juliuszu. Płatnerz ma warsztat u szczytu Alla Semita, rzeźbiarz wynajmuje pracownię w Velabrum, a murarz ma skład materiałów przy nabrzeżach marmuru w rzymskim porcie. - Fioletowe oczy Aurelii rozbłysły wbrew jej woli. - Dużo śpiewają. To chyba pieśni religijne, o ile rozumiem. To bardzo dziwny rodzaj śpiewu, wschodni i niemelodyjny, ale to miła odmiana po płaczących dzieciach!

Cezar wyciągnął dłoń, unosząc kosmyk włosów, który opadał jej na twarz; ciągle miała osiemnaście lat, ta jego żona.

- Twoim Żydom chyba się tu podoba?

- Wszystkim się tu podoba.

Kiedy tej nocy Cezar zasnął, Aurelia skropiła swe poduszki bardzo niewielu łzami. Przedtem nie uświadamiała sobie, że Cezar spodziewa się po żonie takiego samego zachowania w insuli na Suburze jak na Palatynie. Czy nie rozumiał, że w tych zatłoczonych kwaterach nie ma ona żadnych rozrywek dostępnych kobietom z Palatynu? Oczywiście, że nie rozumiał. Jego czas pochłaniała rozkwitająca kariera publiczna, całe dni spędzał więc w sądach z ważnymi senatorami, jak Marek Emiliusz Skaurus, princeps senatu, w mennicy w skarbie państwa, w różnych arkadach i portykach, pod które chadzali początkujący senatorowie, by uczyć się swego zawodu. Nigdy nie było łagodniejszego, czulszego i bardziej rozważnego męża, ale Gajusz Juliusz Cezar wciąż traktował swoją żonę jak szczególny przypadek.

Prawda była zaś taka, że Aurelia miała ochotę samodzielnie kierować insulą, pozbyła się więc agentów. Obchodziła wszystkich lokatorów na wszystkich piętrach, gawędziła z nimi i dowiadywała się, jakiego rodzaju są ludźmi. Polubiła ich i nie widziała przeszkód, by zadawać się z nimi osobiście. Tak było aż do rozmowy z mężem i zrozumienia, że jego żona jest ponad inne kobiety, że stoi na piedestale juliańskiej *dignitas* i że nigdy nie będzie jej wolno zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić jego rodzinie, jej wychowanie pozwalało jej to docenić i zrozumieć, ale czym miała zappełnić swe dni? Woląla nie myśleć o tym, że dwa razy skłamała mężowi. Pociągając nosem, usnęła.

Na szczęście ciąża rozwiązała na jakiś czas jej problemy. Pohamowała ją trochę, chociaż Aurelia nie odczuwała żadnych tradycyjnych dolegliwości. W rozkwicie zdrowia i młodości miała w sobie wystarczająco wiele świeżej krwi po obojgu rodzicach, by nie groziło jej kruche zdrowie dziewcząt ze starych rodów czystej krwi. Prócz tego nabrała zwyczaju chodzenia na milowe przechadzki, aby nie oszaleć z nudy. Kardyksa, jej ogromna dziewczyna, była wystarczającą ochroną na ulicach.

Cezar został wysłany do Mariusza, do Galii Zaalpejskiej, zanim urodziło się ich pierwsze dziecko, i gryzł się, że musi zostawić żonę w ciąży, tak bardzo podatną na wszelkie ciosy.

- Nie martw się, dam sobie świetnie radę - mówiła.

- Pamiętaj, żeby się przenieść do matki, zanim nadejdzie pora - pouczał.

- Zostaw to mnie, dam sobie radę.

Oczywiście nie przeniosła się do matki. Urodziła swe dziecko we własnym mieszkaniu, w asyście miejscowej akuszerki i Kardyksy, nie zaś

modnych położnych z Palatynu. Poród był łatwy i krótki, urodziła się zaś dziewczynka, jeszcze jedna Julia i tak jasnowłosa, niebieskooka i wspaniała, jak powinny być wszystkie Julie.

- Będziemy ją nazywali Lija - powiedziała swej matce.

- O, nie! - wykrzyknęła Rutylią, uważając „Liję” za nazbyt zwyczajną. - A może „Julilla”?

Aurelia pokręciła przecząco głową.

- Nie, to zdrobnienie nie przynosi szczęścia. Nasza dziewczynka będzie „Lija”.

Ale Lija nie rozwijała się zdrowo. Przeplakała sześć tygodni, póki żona Szymona, Rut, nie zeszła do apartamentu Aurelii i nie parsknęła z pogardą na opowieści Aurelii o lekarzach, zmartwionych dziadkach, kolce i przeziębieniu.

- To dziecko jest po prostu głodne - powiedziała Rut swą greką z wyraźnym akcentem. - Nie masz mleka, głuptasie!

- Ale, ale skąd wziąć mamkę? - Aurelia odetchnęła z ulgą, ujrawszy nagle, że to musi być prawda, ale rozsądek sprzeciwiał się wprowadzeniu jeszcze kogoś do kwatery służby.

- Nie potrzeba żadnej mamki, głuptasie. Ten dom jest pełen karmiących matek. Ty się nie martw, damy małej pić.

- Zapłacę ci - powiedziała Aurelia tytułem próby, pamiętając, by nie traktować tamtej z góry.

- Za co? Zostaw to mnie, głuptasie. I to ja się upewnię, że umyją sobie cyce! Ta malutka może jeszcze coś złapać, a tego nie chcemy - powiedziała Rut.

Tak więc mała Lija dostała całą insulę mamek, a zdumiewająca wystawa sutek wpychanych jej do buzi robiła na niej tak małe wrażenie, jak mieszanina mleka greckiego, mleka rzymskiego, mleka żydowskiego, mleka hiszpańskiego i mleka syryjskiego na jej żołądku. Mała Lija zaczęła rozkwitać.

To samo było z jej matką, odkąd doszła do siebie po porodzie i zamartwianiu się o płaczące stale dziecko. Kiedy bowiem Cezar wyjechał, objawiać się zaczęła prawdziwa natura Aurelii. Najpierw rozgromiła swych krewniaków, których Cezar prosił o opiekę nad nią.

- Poślę po ciebie, ojczy, jeśli będę cię potrzebowała - powiedziała stanowczo do Kotty.

- Wujku Publiuszu, zostaw mnie w spokoju! - oświadczyła Rutyliuszowi Rufusowi.

- Sekstusie Juliuszu, zabieraj się do Galii! - zachęcała starszego brata swego męża.

Potem spojrzała na Kardyksę, zacierając dłonie.

- Mam nareszcie własne życie! - powiedziała. - Trzeba będzie to i owo zmienić.

Zacząła od zmian w czterech ścianach swego mieszkania. Niewolnicy, których kupiła z Cezarem zaraz po ślubie, kierowani przez rządcę, Greka imieniem Eutychnus, pracowali na tyle dobrze, że nie mogła się na nich poskarżyć Cezarowi. Przekonała się już, że Cezar widzi sprawy inaczej niż

ona, a często nie widzi ich wcale, zwłaszcza spraw domowych. W ciągu jednego dnia Aurelia nauczyła jednak służących tańczyć, jak im zagra, narzucając im swoje wymagania najpierw w krótkiej mowie, a potem w praktyce. Gajusz Mariusz zaaprobowałby tę mowę gorąco, bo była krótka i otwarta, a wygłoszona tak, jak zrobiłby to jakiś wódz.

- Uuch! - powiedział kucharz Murgus do rządcy Eutychusa. - A ja myślałem, że to słodka mała istotka!

Rządca wznosił w górę oczy pod długimi rzęsami.

- A co ja mam mówić? Myślałem, że mógłbym wśliznąć się do jej sypialni i trochę ją pocieszyć pod nieobecność Juliusza Cezara. Prędzej wypełnę do jaskini lwa.

- Czy myślisz, że naprawdę zdobyłaby się na sprzedanie nas wszystkich ze złymi referencjami? - Murgus zadrzał na samą myśl o tym.

- Zdobyłaby się na ukrzyżowanie nas wszystkich - oświadczył rządca.

- Uuch! - zajęczał kucharz.

Zaraz potem Aurelia zajęła się lokatorem z drugiego apartamentu na parterze. Wstępna rozmowa z Cezarem o lokatorach zmieniła jej pierwotny zamiar natychmiastowego pozbycia się tego człowieka. Ostatecznie nie wspomniała o nim mężowi, zdając sobie sprawę, że mogłby mieć inne zdanie. Teraz jednak mogła działać i zrobiła to.

Drugi apartament parteru był dostępny z wnętrza insuli. Aurelii wystarczyłoby przejść przez podwórko. To jednak nadałoby jej wizycie charakter nieformalny, a tego zdecydowanie nie chciała. Weszła więc przez frontowe drzwi swego lokatora. Oznaczało to konieczność wyjścia na Vicus Patricii i przejścia wzdłuż szeregu wynajmowanych przez nią sklepów aż do szczytu budynku, gdzie mieściła się gospoda przy rozdrożu. Potem skręciła w Subura Minor i przeszła wzdłuż drugiego rzędu wynajmowanych sklepów, aż doszła w końcu do frontowych drzwi drugiego apartamentu parteru.

Jego najemcą był sławny aktor Epafrodytus. Według ksiąg mieszkał tam już ponad trzy lata.

- Powiedz Epafrodytowi, że właścicielka chce się z nim widzieć - oznajmiła Aurelia odźwiernemu.

Czekając w sali przyjęć - tak wielkiej jak ta w jej własnym apartamencie - oceniała jej stan okiem rzeczoznawcy w dziedzinie pęknięć, odprysków, złuszczeń farby i westchnęła, bo stan ten był lepszy niż stan jej własnej sali przyjęć, a ściany zostały ostatnio pokryte freskami, na których puzate kupidynki trzymały naręcza owoców i kwiatów pośród purpurowych malowanych jak żywe zasłon.

- Nie mogę uwierzyć! - wykrzyknął po grecku jakiś przepiękny głos. Aurelia obróciła się, by spojrzeć na swego lokatora. Był znacznie starszy, niż mógłby sugerować głos albo pozycja na scenach, albo widok przez podwórko. Był mężczyzną pięćdziesięcioletnim w żółtozłotej peruce i starannym makijażu, ubranym w powiewną szatę z tyryjskiej purpury wyszywaną w gromady złotych gwiazd. Chociaż wielu nosiło podróbki, ta purpura była naprawdę tyryjska, ciemnopurpurowa, z połyskiem, o barwie zmieniającej się wraz ze zmianą światła, od śliwkowej do szkarłatnej. Tylko raz w życiu widziała Aurelia szatę z prawdziwej tyryjskiej purpury,

w czasie wizyty u Kornelii, matki Grakchów, która z dumą pokazywała szatę zdobytą na królu Macedonii Perseuszu przez Emiliusza Paulusa.

- W co nie możesz uwierzyć? - spytała również po grecku.

- W ciebie, moja droga! Słyszałem już, że właścicielka jest piękna i ma fioletowe oczy, ale rzeczywistość zaćmiewa to, co sobie wyobrażałem na odległość podwórka! - Głos miał raczej melodyjny niż zabawny, mimo zniewieściałego akcentu. - Usiądź, proszę. Usiądź!

- Wolę stać.

Zatrzymał się w pół drogi i odwrócił, unosząc cienkie czarne brwi.

- Chodzi o interesy?

- Właśnie tak.

- W czym mogę ci pomóc?

- Możesz się wyprowadzić.

Zakrzuszył się i potknął, chwycił rękami za piersi, a w twarzy pojawiło się przerażenie.

- Co takiego?

- Daję ci ośmiodniowe wymówienie - powiedziała właścicielka.

- Ależ, nie możesz! Czynsz jest opłacony i zawsze był. Dbam o to mieszkanie, jakby było moje! Podaj mi swoje powody, *domina* - mówił teraz twardym głosem i ze spojrzeniem, które zadawało kłam wymalowanej twarzy.

- Nie podoba mi się twój styl życia.

- Mój styl życia to moja sprawa.

- Nie wtedy, kiedy moja rodzina musi oglądać po drugiej stronie podwórka sceny nieodpowiednie dla moich oczu, nie mówiąc już o dzieciach. Nie wtedy, kiedy dziwki obojga płci dokazują na podwórku.

- Zaciągaj zasłony - poradził Epafrodytus.

- Nie zrobię niczego w tym rodzaju. I nie wystarczy mi, że ty zaciągasz zasłony. Moi domownicy mają też uszy, nie tylko oczy.

- Cóż, przykro mi, że tak to odczuwasz, ale to mi nie robi różnicy - powiedział energicznym tonem. - Odmawiam odejścia.

- W takim razie wynajmę pacholków miejskich, by cię usunęli.

Używając całej swej sztuki, by wydać się większym, Epafrodytus przysunął się do niej, przypominając nieulekłej Aurelii Achillesa ukrywającego się wśród kobiet króla Likomedesa na Skyros.

- Posłuchaj, młoda damo - powiedział. - Wydałem fortunę, żeby doprowadzić to miejsce do stanu, który mi odpowiada, i nie mam zamiaru się wyprowadzać. Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek w rodzaju nasyłania na mnie pacholków, zaskarżę cię o wszystko, co zrobisz. Prawdę mówiąc, kiedy tylko się ciebie pozbędę, idę do trybunału pretora miejskiego i składam skargę na ciebie.

Fiolet w jej oczach nie powstydzilby się tyryjskiej purpury. Wyraz twarzy miała podobny.

- Zrób to! - powiedziała słodkim głosem. - Nazywa się Gajusz Memiusz i jest moim kuzynem. Może będzie właśnie zajęty, więc zobaczysz się z jego zastępcą. Spytaj go, jak się nazywa! Sekstus Juliusz Cezar. Jest moim szwagrem.

Zrobiła kilka kroków, przyglądając się świeżo malowanym ścianom i kosztownej mozaikowej posadzce, jaką nic mógł się poszczycić żaden, apartament do wynajęcia.

- Tak, to wszystko jest bardzo miłe! Cieszę się, że masz lepszy gust w urządzaniu wnętrza niż w doborze towarzystwa. Zdajesz sobie, oczywiście, sprawę, że wszelkie udoskonalenia wynajmowanych mieszkań są sprawą właściciela i że właściciel nie musi z mocy prawa płacić ani grosza refundacji.

W osiem dni później Epafrodyt wyprowadził się, klęcząc na czymś, co świat stoi kobiety i nie mogąc wykonać tego, co zamierzał wykonać, a mianowicie zniszczyć swoje freski i rozkopać mozaikową posadzkę, bo Aurelia ulokowała w apartamencie paru wynajętych gladiatorów.

- Świetnie! - powiedziała, otrzepując pył z rąk. - Teraz, Kardykso, mogę poszukać porządnego lokatora.

Sposobów wynajmowania było kilka: właściciel wieszał ogłoszenia na drzewach, na ścianach swoich sklepów, na murach łaźni i latryn publicznych, i domów swoich przyjaciół, a potem rozpuszczał ustną informację. Insula Aurelii uważana była za szczególnie bezpieczną, nie brakło więc kandydatów, z którymi rozmawiała osobiście. Niektórzy podobali się jej, innych uznała za wiarygodnych, innym zaś nie wynajęłaby nawet wtedy, gdyby byli jedynymi chętnymi. Żaden jednak nie był tym, którego szukała, ciągnęła więc nadal rozmowy.

Minęło siedem tygodni, zanim znalazła idealnego lokatora. Gajusz Matius był ekwitą i synem ekwity. Był w wieku Cezara, a jego żona była w wieku Aurelii. Oboje byli wykształceni i kulturalni. Pobrali się w tym samym czasie, co Cezar i Aurelia, mieli dziewczynkę w tym samym wieku, co Lija, i byli dobrze sytuowani. Żona miała na imię Priscilla, co musiało pochodzić raczej od *cognomen* jej ojca niż od jego *gens*, ale Aurelia nigdy nie poznała prawdziwego imienia Priscilli. Rodzina Matiusa zajmowała się pośrednictwem i obsługą kontraktów. Ojciec Gajusza Matiusa mieszkał wraz z drugą żoną i jej dziećmi w wygodnym domu na Kwirynale. Aurelia sprawdziła to, a gdy informacje się potwierdziły, wynajęła Matiusowi apartament za zachęcającą sumę dziesięciu tysięcy denarów rocznie. Kosztowne malowidła i posadzki Epafrodyta pomogły w zawieraniu umowy. Aurelia obiecała też, że wszystkie jej przyszłe kontrakty będą obsługiwane przez firmę Gajusz Matius i Gajusz Matius.

Ponieważ nie było już agentów zbierających czynsze, Aurelia postanowiła zarządzać osobiście insulą. Mieszkanie wynajmowano na podstawie pisemnej umowy z możliwością odnowienia co dwa lata. W umowach były punkty obciążające najemcę kosztami szkód, a także punkty chroniące lokatorów przed wymuszaniem nadmiernych opłat przez właściciela.

Zamieniła swój salon w biuro zawałone księgami rachunkowymi. Z dawnych zajęć zatrzymała jedynie krosna. Odkrywała tajniki prowadzenia insuli. Po przejściu dokumentacji insuli od byłych agentów Aurelia przekonała się, że teczki dotyczyły wszelkiego rodzaju spraw - murarzy, malarzy, tynkarzy, różnego rodzaju sprzedawców, opłat za wodę, podatków, wypisów z ksiąg wieczystych, rachunków i kwitów. Nauczyła się, że

duże wpływy prawie natychmiast przemieniają się w wydatki. Podobnie jak opłaty za wodę i kanalizację, państwo pobierało drobne opłaty od każdego okna w insuli i od każdego drzwi otwierających się na ulicę, a także od każdej klatki schodowej. Chociaż była to przecież solidnie zbudowana insula, nieustannie wymagała jakichś napraw. Wśród wymienianych w księgach fachowców było kilku cieśli. Aurelia wybrała tego, który pracował najdłużej i wykonał większość robót. Posłała po niego i poleciła mu usunąć drewniane przesłony odgradzające podwórko.

Tym projektem cieszyła się od czasu, gdy wprowadzili się z Cezarem do insuli. Aurelia odkryła w sobie tęsknotę za ogrodem i marzyła o przekształceniu źle utrzymanego podwórka w oazę, która umilałaby życie mieszkańcom. Wszystko jednak sprzysięgło się przeciw niej, zaczynając od problemu z Epafrodytem, również uprawnionym do korzystania z podwórka. Cezar nigdy nie widział, co się działo u Epafrodyty, bo aktor był na tyle przebiegły, że urządzał swoje wyuzdane przyjęcia tylko pod nieobecność Cezara. Cezar zaś uważał, że wszystkie kobiety przesadzają, zdążyła się już o tym przekonać.

Przesadnie gęste drewniane przesłony umocowane były między kolumnami balkonów, które wychodziły na podwórko z wszystkich górnych pięter. Nikt, kto mieszkał na górze, nie mógł zatem niczego dojrzeć. Trzeba przyznać, że te przesłony zapewniały podwórku odosobnienie - i pomagały wygłuszyć nieustający zgiełk dochodzący z mieszkań, ale też zmieniały studnię podwórka w budzący dreszcz brunatny komin wysoki na dziewięć pięter, a samo podwórko w równie budzące grozę palenisko tego komina, i uniemożliwiały mieszkańcom pięter dostęp do powietrza i światła.

Gdy zatem Cezar wyjechał, Aurelia posłała po cieślę i kazała mu usunąć zasłony.

Patrzył na nią, jakby oszalała.

- O co chodzi? - spytała zdziwiona.

- *Domina*, będziesz za trzy dni po kolana w łajnie i w sikach, nie wspominając o innych rzeczach, których ci z góry zechcą się pozbyć, od zdechłych psów do martwych niemowląt.

Poczuła, że fala rumieńca ogarnia jej twarz. Nawet uszy płonęły ogniem. To nie naga prawda bijąca ze słów cieśli tak ją upokorzyła, ale jej własna naiwność. Ależ była głupia! Czemu o tym nie pomyślała? Bo ktoś, kto wychował się we własnym wielkim domu, może chodzić po schodach czynszowych kamienic przez całe życie - i nie mieć pojęcia, co się dzieje wewnątrz. Jej stryj Kotta nie odgadłby przeznaczenia tych drewnianych przesłon tak samo jak ona.

Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków i posłała cieśli tak cudowne spojrzenie, zmieszane i rozbawione, że marzył o niej potem przez cały rok, zachodził regularnie dowiadywać się o stan domu i podniósł przynajmniej o sto procent jakość swoich robót.

- Dziękuję! - powiedziała z uczuciem.

Odejście budzącego niesmak Epafrodyty dało jej szansę rozpoczęcia urzędowania ogrodu na podwórku. Jej nowy lokator Gajusz Matius wyznał jej potem, że i on jest ogrodnikiem z zamiłowania.

- Pozwól mi sobie pomóc! - poprosił.

Trudno było powiedzieć „nie”, skoro tyle czasu zajęło jej poszukiwanie tego idealnego lokatora.

- Oczywiście, możesz pomóc.

To prowadziło do kolejnej lekcji. Dzięki Gajuszowi Matiusowi dowiedziała się, że marzenie o urządzeniu cudownego ogrodu to jedno, a wykonanie to całkiem co innego. Sama nie miała potrzebnych zdolności, natomiast Gajusz Matius je miał. W istocie był on urodzonym ogrodnikiem. Woda z łazienki Cezara uciekała dotąd do kanałów, teraz zaś została doprowadzona do małego baseniku w podwórku i służyła roślinom, które Gajusz Matius sprowadzał ze zdumiewającą szybkością, głównie podkradane z ogrodu ojca, jak wyznał Aurelii, ale także od innych, którzy posiadali jakieś ładne krzaki winorośli, drzewka albo trawy. Wiedział, jak przeszczepić jakąś słabą roślinę na inną tego samego gatunku i dobrze ukorzonioną. Wiedział, jakie rośliny lubią wapno, występujące w rzymskiej glebie z natury zakwaszonej. Wiedział, kiedy przesadzać rośliny i przycinać. W ciągu dwunastu miesięcy podwórko - całe trzydzieści na trzydzieści stóp - stało się wielką altaną, a pnącza pięły się po kratkach przesłonu ku spłachetkowi nieba wysoko w górze.

Potem złożył jej któregoś dnia wizytę żydowski skryba Szymon. Wyglądał bardzo dziwnie w oczach Rzymianki, ze swoją długą brodą i długimi lokami wymykającymi się spod mycki.

- *Domina*, czwarte piętro chce cię prosić o bardzo szczególną łaskę.

- Jeśli będę mogła ją wyświadczyć, Szymonie, bądź pewien, że to zrobię - odrzekła z powagą.

- Przyjmujemy też ze zrozumieniem odmowę, bo nasza prośba zmierza do naruszenia twego odosobnienia. - Szymon dobierał słowa ze starannością, jaką zwykle rezerwował dla swej pracy. - Otóż, jeśli damy ci słowo, że nigdy nie nadużyjemy tego przywileju, wyrzucając nieczystości czy też śmieci - czy możemy zdjąć te drewniane przesłony z naszych balkonów? Oddychalibyśmy lepszym powietrzem i moglibyśmy spoglądać na twój piękny ogród.

Aurelia rozpromieniła się.

- Z radością pozwalam. Nie zgadzam się jednak również na wyrzucanie nieczystości i śmieci przez okna na ulicę. Musisz mi obiecać, że wszystkie wasze odpadki będą wynoszone do publicznej latryny i tam wrzucane do ścieków.

Szymon obiecał i był zachwycony.

Przesłony czwartego piętra zostały zdjęte, chociaż Gajusz Matius błagał, by je pozostawić tam, gdzie przykrywały kolumny, aby jego pnącza mogły pięć się w górę. Żydowski piętro zapoczątkowało nową modę. Wynalazca i handlarz przypraw z pierwszego piętra spytał, czy mogliby zdjąć swoje przesłony. Potem poprosiło o to trzecie piętro, potem szóste, potem drugie i piąte, aż w końcu tylko kwatery wyzwoleńców na dwóch najwyższych piętrach pozostały przesłonięte.

Wiosną, przed bitwą pod Aquae Sextiae, Cezar przebył pośpiesznie Alpy, wioząc depesze do Rzymu, a jego krótka wizyta przyniosła drugą

dążę Aurelii, która urodziła drugą dziewczynkę w lutym, znów we własnym domu i znów przy pomocy miejscowej akuszerki i Kardyksy. Tym razem była przygotowana na brak mleka i druga mała Julia - która miała znosić przez całe życie dziecienny przydomek „Ju-Ju” - została z miejsca przystawiona do piersi tuzina mlecznych matek rozrzuconych po różnych piętrach insuli.

„To dobrze”, pisał Cezar w odpowiedzi na jej list, donoszący o narodzinach Ju-Ju. „Mamy dwie zwyczajowe Julie i na tym poprzestaniemy. Kiedy znów przywiezę depesze do senatu, pomyślimy o chłopcach”.

Było to powtórzenie słów jej matki Rutylii, która tak właśnie pocieszała Aurelię jako matkę córek.

- Wiesz przecież, że to strata słów - powiedział ubawiony Kotta.

- No tak... - zirytowała się Rutyliia. - Prawdę mówiąc, Marku Aureliusz, ta moja córka działa mi na nerwy, kiedy ją pocieszam, podnosi tylko brwi i mówi, że jest jej zupełnie obojętna płeć jej dzieci, byle tylko były zdrowe.

- Ależ to cudowna postawa! - protestował Kotta. - Skoro ci z nas, którzy mogli wyżywić te maleństwa przestali odrzucać dziewczynki... czterysta czy pięćset lat temu, to dobrze, że matka cieszy się z dziewczynek.

- Oczywiście! To jedyna możliwa postawa! - parsknęła Rutyliia. - To nie jej spokój mnie złości, tylko ten jej zwyczaj robienia z ciebie głupca mówieniem rzeczy oczywistych.

- Uwielbiam ją - zachichotał Publiusz Rutyliusz, biorący udział w tej wymianie zdań.

- Powinieneś! - rzekła Rutyliia.

- A jaka jest ta dziewczynka?

- Jest śliczna, bo i czego się spodziewałeś. Tych dwoje nie mogłoby mieć brzydkiego dziecka, choćby stawali na głowach.

- No, no! I kto tu uchodzi za przykładną rzymską dobrze urodzoną - zachichotał Kotta, mrugając do Rufusa.

- Oby wam zęby powypadały! - Rutyliia zaczęła rzucać w nich poduszkami.

Wkrótce po narodzinach Ju-Ju Aurelia musiała w końcu załatwić sprawę gospody na rozdrożu. Aż dotąd tego unikała, chociaż bowiem gospoda mieściła się w jej insuli, nie ściągająca z niej czynszu, uważano ją bowiem za miejsce spotkań bractwa religijnego, i choć nie miała rangi świątyni ani *aedes*, była mimo to „oficjalna” i zarejestrowana w księgach pretora miejskiego.

Była to jednak pewna uciążliwość. Ruch wokół gospody i w gospodzie nigdy się nie zmniejszał, nawet w nocy, a niektórzy jej bywalcy byli wprawdzie całkiem skorzy do spychania przechodniów z chodników, ale bardzo opieszali w usuwaniu odpadków gromadzących się na tym samym chodniku.

Kardyksa pierwsza poznała ciemne strony religijnego bractwa z gospody na rozdrożu. Posłano ją do sklepika przy drzwiach frontowych Aurelii po balsam na tyłeczek Ju-Ju i zastała właścicielkę - starą Galatkę zajmującą się medykamentami, tonikami i środkami na wszystkie dolegliwości -

przypartą do muru, podczas gdy dwóch ludzi o wyglądzie zbirów zastanawiało się na głos, który zestaw słoików i butli potłuką w pierwszej kolejności. Dzięki Kardyksie niczego nie potłukli. To Kardyksa stłukła ich. Kiedy uciekli, miotając przekleństwa, wydobyła od starej kobiety, która nie była w stanie płacić za ochronę, całą jej historię.

- Wszystkie sklepy muszą płacić bractwu rozdroży - mówiła Kardyksa Aurelii. - Podobno chronią oni sklepikarzy przed rabunkiem i gwałtem, ale jedyny rabunek i gwałt cierpią sklepikarze za sprawą bractwa, kiedy zalegają z opłatą za ochronę. Biedna stara Galatka pochowała niedawno męża, jak wiesz, *dominilla*, i pogrzeb był jak należy, nie ma więc teraz pieniędzy.

- To załatwia sprawę! - Aurelia przepasała się na wojnę. - Dalej, Kardyksie, wkrótce z tym skończymy.

Wymaszerowała frontowymi drzwiami i przeszła obok swoich sklepów na Vicus Patricii, zatrzymując się przy każdym, by wypytać właściciela o opłatę za ochronę. Od niektórych usłyszała, że interesy bractwa sięgają daleko poza sklepy w jej insuli i w końcu obeszała całą dzielnicę, odkrywając zdumiewającą historię bezczelnych wymuszeń. Nawet dwie kobiety, prowadzące publiczną latrynę po drugiej stronie Subura Minor - na zlecenie firmy, która miała umowę z państwem - musiały płacić bractwu procent od pieniędzy, które dostawały od lepiej sytuowanych klientów korzystających z gąbki na kij, by się umyć po wypróżnieniu. Kiedy bractwo odkryło, że kobiety zajmują się też odbieraniem, opróżnianiem i myciem nocników z apartamentów, co ukrywały, potłuczono im wszystkie nocniki i musiały je potem odkupić. Obok latryny była łaźnia prywatna - jak wszystkie łaźnie w Rzymie - i bardzo dochodowa. Tutaj też bractwo pobierało opłaty, co dawało pewność, że klientów nie będzie się trzymać pod wodą prawie do uduszenia.

Kiedy Aurelia zakończyła dochodzenie, była tak rozgniewana, że postanowiła wrócić do siebie i uspokoić się przed zmierzeniem się z bractwem w jego jaskini.

- Nie martw się, Aurelio, dostaną, co im się należy - uspokajała ją Kardyksa.

- Gdzie jest Ju-Ju? - Aurelia oddychała głęboko.

- Na czwartym pięttrze. Dziś rano karmi ją Rebeka.

Aurelia załamywała ręce.

- Czemu nie mogę mieć mleka? Jestem sucha jak jakaś stara wiedźma!

Kardyksa wzruszyła ramionami.

- Jedne kobiety mają mleko, inne nie mają. Nikt nie wie, czemu. Nie zamartwiaj się tym - tak naprawdę martwi cię to bractwo. Wiesz, że wszystkie chętnie karmią Ju-Ju. Poślę kogoś do Rebeki, żeby zatrzymała na chwilę Ju-Ju, a my tymczasem pozbedziemy się tych kanalii.

Aurelia wstała.

- Chodźmy więc położyć temu kres.

We wnętrzu gospody było bardzo ciemno. Aurelia stała w wejściu otoczona światłem. Była u szczytu piękności, która przetrwała przez całe jej życie. Zgiełk przycichł od razu, ale znów się podniósł, gdy Kardyksa

ukazała się za swą panią.

- To ta słońca pobiła nas dziś rano! - rozległ się w mroku jakiś głos.

Zazgrzytały przesuwane ławy. Aurelia weszła do środka i rozejrzała się wokół. Kardyksa czuwała za jej plecami.

- Kto tu jest odpowiedzialny za was, gbury? - spytała ostro Aurelia. Zza stołu w tylnym rogu podniósł się szczupły, niewysoki człowiek około czterdziestki. Można było nieomylnie rozpoznać w nim Rzymianina.

- To ja - powiedział, podchodząc. - Lucjusz Dekumiusz, do usług.

- Wiesz, kim jestem?

Skinał głową.

- Wynajmujesz - nieodpłatnie - lokal, który jest moją własnością.

- To nie twoja własność, pani - odparł Lucjusz Dekumiusz. - To własność państwa.

- Tak nie jest - oświadczyła i rozejrzała się raz jeszcze, bo oczy przywykły do słabego światła. - To miejsce przynosi nam hańbę. Nie dbacie o nie wcale. Usuwam was.

Rozległo się zbiorowe westchnienie. Lucjusz Dekumiusz zmrużył oczy zaalarmowany.

- Nie możesz nas usunąć.

- Zobaczymy.

- Złożę skargę do pretora miejskiego.

- Składaj, proszę bardzo! To mój kuzyn.

- Jest jeszcze Pontifex Maximus.

- Owszem, jest. To także mój kuzyn.

Lucjusz Dekumiusz parsknął z pogardą - a może był to śmiech?

- Nie mogą wszyscy być twymi kuzynami.

- Mogą i są! - Aurelia zadarła groźnie podbródek. - Nie miej złudzeń, Lucjuszu Dekumiuszu. Ty i twoje gbury wyniesiecie się stąd.

Wpatrywał się w nią z namysłem, drapiąc się w podbródek. W jego jasnych szarych oczach krył się uśmiech. Potem odstał i wskazał stół, przy którym siedział uprzednio.

- A może omówimy ten problem? - spytał łagodnie niczym Skaurus.

- Nie ma tu nic do omawiania. Wyniesiecie się stąd.

- Ależ, zawsze jest coś do omówienia. Pozwól, pani, usiądźmy - przymilał się Lucjusz Dekumiusz.

I Aurelia uświadomiła sobie ze zgrozą, że zaczyna lubić Lucjusza Dekumiusza. Co było jawnie śmieszne, ale było mimo to faktem.

- Zgoda - powiedziała. - Kardykso, stań za moim krzesłem.

Lucjusz Dekumiusz wskazał jej krzesło, sam zaś usiadł na ławie.

- Może kropelkę wina?

- Stanowczo nie.

- Ach!

- I cóż?

- I cóż z czym? - spytał Lucjusz Dekumiusz.

- To ty chciałeś coś omawiać - przypomniała.

- Słusznie, tak było - Lucjusz Dekumiusz odchrząknął. - Do czego dokładnie masz, pani, zastrzeżenia?

- Do waszej obecności pod moim dachem.

- No, no, to nieco zbyt obszerne określenie, nieprawdaż. Mam na myśli to, że możemy dojść do jakiegoś układu - powiedz mi, co ci się nie podoba, a ja spróbuję to naprawić.

- Zrujnowany lokal. Brud. Hałas. Przywłaszczanie sobie ulicy tak samo jak tego lokalu - zaczęła Aurelia, zaginając palce przy wyliczaniu. - I twoje interesy w dzielnicy! Zastraszanie niewinnych właścicieli sklepów, by płacili za ochronę. Cóż za nikczemne zajęcie!

- Ten świat, pani - Dekumiusz pochylił się ku niej z wielką powagą w twarzy - dzieli się na wilki i owce. To naturalne. Gdyby nie było to naturalne, nie byłoby o tyle więcej owiec niż wilków, wiemy bowiem wszyscy, że na każdego wilka przypada tysiąc owiec. Pomyśl o nas jako o miejscowych wilkach. Nie jesteśmy tacy źli jak na wilki. Kąsamy tylko, nie skręcamy nikomu karku.

- To niesmaczna metafora - rzekła Aurelia - i nie wpływa ani trochę na mnie. Wyoście się.

- Ach, moja droga! - Lucjusz Dekumiusz odchylił się. Spojrzał na nią i zapytał: - Czy oni wszyscy są naprawdę twoimi kuzynami?

- Mój ojciec, Lucjusz Aureliusz Kotta, był konsulem. Moim wujkiem jest konsul Publiusz Rytuliusz Rufus. Moim stryjem jest pretor Marek Aureliusz Kotta. Moim mężem jest kwestor Gajusz Juliusz Cezar. - Aurelia wyprostowała się w krześle, uniosła nieco głowę, przymknęła oczy i powiedziała z zadowoloną miną: - A ponadto Gajusz Mariusz jest moim szwagrem.

- A moim szwagrem jest król Egiptu, ha, ha! - Lucjusz Dekumiusz miał już widać dość wielkich nazwisk.

- Radzę ci więc wracać do Egiptu. - Na Aurelii nie zrobił wrażenia ten kiepski dowcip. - Konsul Gajusz Mariusz jest naprawdę moim szwagrem.

- O, tak i oczywiście szwagierka Gajusza Mariusza mieszka w insuli na głębokim suburskim zadupiu! - odparował Lucjusz Dekumiusz.

- Ta insula jest moja. To mój posag, Lucjuzu Dekumiuszu. Mój mąż jest młodszym synem, więc na razie mieszkamy w insuli. Później zamieszkamy gdzie indziej.

- Gajusz Mariusz jest naprawdę twoim szwagrem?

- Do ostatniego włoska w brwiach.

Lucjusz Dekumiusz westchnął ciężko.

- Podoba mi się tu, lepiej więc byłoby się ułożyć.

- Chcę, żebyś się wyniósł - rzekła Aurelia.

- Posłuchaj, pani, pewne prawa są po mojej stronie. Członkowie tego klubu są nadzorcami kaplicy na rozdrożu. Prawnie usankcjonowanymi, że tak powiem. Możesz sobie pomyśleć, że dzięki tym wszystkim kuzynom państwo jest twoją własnością... ale jeśli my odejdziemy, wprowadzi się tu inna grupa, czy nie? To jest kolegium rozdroży, pani, oficjalne, w księgach pretora miejskiego. Dopuszczę cię też do małego sekretu. - Znów pochylił się ku niej. - Wszyscy my z rozdroży jesteśmy wilkami! - Wyciągnął szyję jak żółw. - A teraz dochodzimy do ugody, pani. Będziemy tu sprzątać, pomalujemy ściany, będziemy cicho po zmroku, pomożemy staruszkom

przechodzić przez rynsztoki, przerywamy i odstępujemy od naszej małej akcji w tej dzielnicy - właściwie stajemy się podporą społeczeństwa. Jak ci się to podoba?

Chociaż mogła spróbować go stłumić, śmiech uniósł kąciki jej ust.

- To lepsze niż to, co znam, czyż nie, Lucjusz Dekumiuszu?

- Dużo lepsze - potwierdził gorliwie.

- Nie powiem, żebym chciała przechodzić jeszcze raz przez to wszystko z inną waszą grupą - mówiła. - Dobrze więc, Lucjusz Dekumiuszu, masz półroczny okres próbny.

Wstała i ruszyła ku drzwiom, a Lucjusz Dekumiusz jej towarzyszył.

- Nie myśl tylko, że zabraknie mi odwagi, żeby się was pozbyć i ujarzmić jakąś nową grupę - powiedziała, wychodząc na ulicę.

Lucjusz Dekumiusz szedł obok niej po Vicus Patricii, z magiczną łatwością torując jej drogę wśród tłumu.

- Zapewniam cię, pani, że będziemy podporą społeczeństwa.

- Trudno będzie to robić bez dochodów, do których już przywykliście.

- Ach, nie martw się o to, pani! - Lucjusz Dekumiusz miał pogodną minę. - Rzym jest wielki. Przesuniemy po prostu naszą akcję na Wiminal, do Aggeru... jest mnóstwo odpowiednich miejsc. Nie kłopotz swej uroczej główki Lucjuszem Dekumiuszem i jego bractwem ze świętych rozdroży.

- Ależ to nie jest odpowiedź! Co za różnica, czy będziecie terroryzować tę dzielnicę czy jakąś inną?

- Czego oko nie widziało, a ucho nie słyszało, tego sercu nie żal - odrzekł, szczerze zaskoczony jej tępotą. - To fakt, pani.

Dotarli do jej drzwi frontowych. Przystanęła i spojrzała na niego ze smutkiem.

- Chyba zrobisz, co uznasz za właściwe, Lucjusz Dekumiuszu. Nie chcę jednak wiedzieć, dokąd przenosisz swoją... akcję, jak to nazywasz.

- Milczę, pani, przysięgam. Milczący, niemy, odrętwiały! - wyciągnął rękę, by zastukać do drzwi, które otworzył sam rządcą i to z podejrzaną szybkością.

- Ach, Eutychnusie, od paru dni nie byłeś w bractwie - zauważył uprzejmym tonem Lucjusz Dekumiusz. - Kiedy pani da ci wychodne, chcę cię widzieć w klubie. Planujemy mycie ścian i malowanie, żeby zrobić przyjemność pani. Zrobić przyjemność szwagierce Gajusza Mariusza, czyż nie?

Eutychnus miał nieszczęśliwą minę.

- W rzeczy samej - powiedział. - Aha, przemilczałeś to przed nami, czyż nie? Czemuś nam nie powiedział, kim jest pani? - spytał Lucjusz Dekumiusz jedwabistym tonem.

- Ja w ogóle nigdy, Lucjusz Dekumiuszu, nie mówię o mojej rodzinie - powiedział wyniośle Eutychnus.

- Te szelmy Grecy. Wszyscy są tacy sami. - Lucjusz Dekumiusz pochylił gładko zaczesaną głowę przed Aurelią. - Życzę ci dobrego dnia, pani. Miło było cię poznać. Gdyby klub mógł ci w czymś pomóc, daj mi znać.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Aurelia spojrzała na rządcę wzrokiem bez wyrazu.

- A co powiesz o sobie?
- *Domina*, musiałem należeć! - zajęczał. - Jestem rządcą wielkich państwa, oni nie pozwoliliby mi nie należeć! - Twarz Aurelii wciąż była bez wyrazu.
- Chłosta jest przepisana karą, nieprawdaż?
- Tak - wyszeptał.
- Zatem masz szczęście, że jestem żoną swego męża i córką swego ojca - powiedziała Aurelia. - Mój teść, Gajusz Juliusz, ujął to chyba najlepiej. Krótco przed śmiercią powiedział, że nigdy nie mógł pojąć, jak jakaś rodzina może mieszkać w jednym domu z ludźmi, których wychłostano za jej sprawą, czy to z synami, czy z niewolnikami. Są jednak inne sposoby rozliczania niełojalności i nieposłuszeństwa. Nie myśl, że nie liczę się z finansową stratą, kiedy cię sprzedam ze złymi referencjami, wiesz, co to oznacza. Zamiast dziesięciu tysięcy denarów za twoją głowę, może to być tysiąc sestercji. A twój nowy właściciel może pochodzić z nizin społecznych i będzie cię chłostał bez litości za twoją opinię złego niewolnika.
- Rozumiem to, *domina*.
- Świetnie! Możesz nadal należeć do bractwa rozdroży. Rozumiem twoje kłopotliwe położenie. Pochwalam też twoją dyskrecję co do nas. - Już miała odchodzić, ale zatrzymała się. - Ten Lucjusz Dekumiusz, czym on się zajmuje?
- Jest zarządcą klubu. - Eutychnus miał niepewną minę.
- Ty coś ukrywasz.
- Nie, nie.
- Dalej, powiedz mi o wszystkim!
- Cóż, *domina*, to tylko plotki. Nikt tego nie wie na pewno, sama rozumiesz. Słyszano jednak, jak sam to mówił - chociaż mógł się tylko przechwalać. Albo mówił to, żeby nas wystarczyć.
- Co mówił?
- Rządca pobladł.
- Mówił, że jest zabójcą.
- *Ecastor!* A kogóż to zabił?
- Chyba przypisuje sobie tego Numidyjczyka zasztyletowanego parę lat temu na Forum Romanum.
- Ależ to istne cuda! - rzekła Aurelia i poszła sprawdzić, co porabiają jej córeczki.
- Posąg zstąpił z cokołu, odkąd ją urobili - powiedział Eutychnus do Kardyksy.
- Potężna galijska służąca wyciągnęła rękę i opuściła ją na ramię drobnego rządcy, jak kot mógłby złapać mysz, przyciskając łapą jej ogon.
- Rzeczywiście - potrząsnęła niby to po przyjacielsku Eutychnusem. - I dlatego musimy na nią uważać, wszyscy.

Niedługo po tym Gajusz Juliusz Cezar przybył do domu z Galii Italskiej, przynosząc wiadomość od Mariusza spod Vercellae. Zastukał po prostu do drzwi i został wpuszczony przez rządcę, który zajął się bagażem, podczas gdy Cezar poszedł znaleźć żonę.

Była w ogrodzie na podwórku, obwiązując gazą dojrzewające winogrona na drzewkach Gajusza Matiusa, i nie odwróciła się, słysząc kroki.

- Trudno uwierzyć, że w Suburze jest tyle ptaków, nieprawdaż? - mówiła, nie sprawdzając, do kogo mówi - ale w tym roku mam zamiar jeść winogrona. Zobaczymy, czy to się uda.

- Czekam niecierpliwie na te winogrona - powiedział Cezar. Obróciła się raptownie, wypuszczając naręcze gazowych woreczków, a jej twarz odmieniła się z radości.

- Gajusz Juliusz!

Wyciągnął ramiona, a ona rzuciła się w nie. Nigdy przedtem nie było pocałunku tyle miłości i nigdy nie następowały tak szybko po sobie. Oklaski przywołały ich do rzeczywistości. Cezar spojrział w górę, ujrzał balustrady balkonów pełne rozpromienionych twarzy i pomachał do nich ręką.

- Wielkie zwycięstwo! - zawołał. - Gajusz Mariusz zniszczył Germanów! Nigdy już nie zagrożą Rzymowi!

Pozostawiając lokatorom radowanie się i rozpuszczanie wieści po Suburze, zanim dowie się o niej senat i lud, Cezar objął ramieniem Aurelię i poszedł z nią wąskim korytarzem biegnącym z sali przyjęć do kuchni, kierując się do swej pracowni i podziwiając po drodze czystość, porządek i gustowny, choć niekosztowny wystrój wewnątrz. Wszędzie stały wazy z kwiatami. Zauważył tę nowość i zastanawiał się zaniepokojony, czy mogą sobie na to pozwolić.

- Muszę się zaraz widzieć z Markiem Emiliuszem Skaurusem - mówił - ale nie mogłem pójść do jego domu, nie zaszedłszy do swojego. Jak dobrze jest być w domu!

- Jest cudownie - powiedziała drżącym głosem Aurelia.

- Będzie jeszcze cudowniej wieczorem, żono, kiedy pomyślimy o naszym pierwszym chłopcu - zapewnił ją, całując znowu. - Ależ się za tobą stęskniłem! Po tobie nie pociąga mnie żadna inna kobieta, taka jest prawda. Czy można by się wykapać?

- Widziałem, jak Kardyksa wchodziła do łazienki, więc chyba już szykuje ci kąpiel. - Aurelia przytuliła się do niego z westchnieniem.

- Czy to na pewno nie za wiele dla ciebie: prowadzenie domu i dogłębne oglądanie dziewczynek i całego tego wielkiego gmachu? - spytał. - Zawsze mówiłaś, że agenci biorą więcej niż powinni, ale...

- To żaden kłopot, Gajuszu Juliuszu. To bardzo porządny dom, a nasi lokatorzy są nadzwyczajni - powiedziała zdecydowanie. - Pozbyłam się nawet drobnego kłopotu z gospodą na rozdrożu i jest tam teraz czysto i cicho - zaśmiała się, porzucając tamten temat. - Nie masz pojęcia, jak uczynni i grzeczni są wszyscy, kiedy się dowiadują, że jestem szwagierką Gajusza Mariusza.

- Wszystkie te kwiaty! - zauważył Cezar.

- Czyż nie są piękne? Dostają takie regularnie co kilka dni.

Uściskał ją mocniej.

- Mam więc rywala?

- Nie pomyślisz tak, kiedy go zobaczysz - rzekła Aurelia. - Nazywa się

Lucjusz Dekumiusz. Jest zabójcą.

- Jest kim?

- Nie, skarbie, żartuję - uspokoiła go. - Opowiada, że jest zabójcą, jak sądzę po to, żeby się wywyższać nad swoich ludzi z bractwa. On jest zarządcą tej gospody.

- Skąd bierze te kwiaty?

Zaśmiała się cicho.

- Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. W Suburze wszystko wygląda inaczej.

To Publiusz Rutyliusz Rufus zawiadomił Gajusza Mariusza o wydarzeniach w Rzymie zaraz po przekazaniu przez Cezara listu o zwycięstwie.

„Nastroje są niedobre, a biorą się głównie z faktu, że wykonałeś, co zamierzałeś, a mianowicie zniszczyłeś Germanów. Lud jest ci tak wdzięczny, że gdybyś ubiegał się o konsulat, dostaniesz go jeszcze raz. Wszyscy dobrze urodzeni mają na ustach słowo „dyktator” i przynajmniej klasa pierwsza zaczyna temu wtórować. Tak, wiem, że masz w klasie pierwszej wielu ważnych klientów i przyjaciół wśród ekwitów, ale musisz zrozumieć, że cała polityczna i zwyczajowa struktura Rzymu jest pomyślana dla tłumienia dążeń ludzi wybijających się ponad równych sobie. Pierwszym można być jedynie jako pierwszy między równymi, ale po pięciu konsulatach, z czego trzy *in absentia*, niezmiernie trudno jest ukryć fakt, że górujesz nad tak zwanymi równymi tobie. Skaurus jest oburzony, ale z nim możesz się ułożyć, jeśli będziesz musiał. Nie, prawdziwe łąjno w wazie z winem to twój i mój przyjaciel Świński, dzielnie wspomagany przez swego syna Jakałę, Prosiaka.

Odkąd przeszedłeś na wschodnią stronę Alp, by się połączyć z Katullusem Cezarem w Galii Italskiej, Świński i Prosiak postawili sobie za cel wyolbrzymianie wkładu Katullusa Cezara w kampanię przeciw Cymbrom. Kiedy więc nadeszła wieść o zwycięstwie pod Vercellae i kuria zebrała się w świątyni Bellony, aby omówić takie sprawy jak tryumfy i wota dziękczynne, wielu nadstawiało ucha, gdy Świński wstał, by przemówić.

Krótko mówiąc, zgłosił projekt urządzenia tylko dwóch tryumfów - jednego przez ciebie za *Aquae Sextiae* i drugiego przez Katullusa Cezara za Vercellae! Całkowicie pominął fakt, że to ty dowodziłeś pod Vercellae, nie zaś Katullus Cezar! Jego argumenty są czysto formalne - działały dwie armie, jedna pod dowództwem konsula, twoim, a druga prokonsula, Katullusa Cezara. Ilość łupów była, zdaniem Świńskiego, żałośnie mała i wyglądałoby śmiesznie, gdyby obchodzono trzy tryumfy. Zatem, ponieważ jeszcze nie odprawiłeś tryumfu uchwalonego ci za *Aquae Sextiae*, możesz go urządzić, a Katullus Cezar może mieć swój tryumf za Vercellae. Obchodzić drugi tryumf - twój za Vercellae byłoby przesadą.

Lucjusz Apulejusz Saturninus zaraz wstał, by się sprzeciwić, i został zakrzyczany. Ponieważ jest on w tym roku *privatus*, nie sprawuje żadnego urzędu, co mogłoby zmusić ojców spisanych do poświęcenia mu większej uwagi. Kuria przegłosowała dwa tryumfy wyłącznie dla ciebie za *Aquae*

Sextiae - bitwę zeszłoroczną, zatem mniej znaczącą - i za Vercellae - bitwę tegoroczną, zatem wielką i ważną w oczach wszystkich - wyłącznie dla Katullusa Cezara. W rezultacie, gdy tryumf za Vercellae będzie się posuwał przez miasto, będzie się mówiło ludowi, że wcale się nie przyczyniłeś do pokonania Cymbrów w Galii Italskiej i że to Katullus Cezar jest bohaterem. Twoja głupota; przekazanie mu większości łupów i wszystkich germańskich sztandarów wziętych na polu bitwy przesądziło sprawę. Kiedy jesteś w wylewnym nastroju i twoja wrodzona szczodrość dochodzi do głosu, popełniasz najgorsze błędy - taka jest prawda.

Nie wiem, co mógłbyś z tym zrobić - cała ta sprawa jest zamknięta i przyschnięta, oficjalnie przegłosowana i zapisana w archiwach. Jestem naprawdę zły, bo nasi wielcy politycy (jak ich nazywa Saturninus) albo *boni* (jak ich nazywa Skaurus) wygrali to starcie z rozgłosem, a ty nie zyskasz tyle sławy, ile powinieneś, pokonawszy Germanów. Bawiliśmy się kiedyś pod Numancją, uwieczniając błotną kąpiel, jaką wziął Metellus wśród swych świńskich przyjaciół, nadaniem mu świńskiego przydomka. Świnka kojarzy się też ze świnką-szczecinką, jak się nazywa wśród dzieci narządy rodne dziewczynek, ale moim zdaniem, i to przemyślanym zdaniem, ten człowiek nie jest żadną świnką-szczecinką - to w pełni wyrośnięty *cunnus*. Co do Prosiaka, on też nie będzie przez całe życie małą dziewczynką. To jeszcze jeden w pełni wyrośnięty *cunnus*.

Dość tego, bo doprowadzę się do apopleksji! Zamknę to pismo informacją, że Sycylia wygląda dobrze. Mariusz Akwiliusz robi znakomitą robotę, przez co Serwiliusz Augur wydaje się jeszcze mniejszy. Zrobił on jednak to, co zapowiadał: postawił Lukullusa przed tym nowym sądem do spraw o zdradę stanu. Lukullus obstawał przy prowadzeniu własnej obrony i nic dobrego z tego nie wynikło. Wystąpił wyniośle, jak to on, a sędziowie, wszyscy ci wycierający nosy palcami ekwici, uznali to za przytyk do ich braku oglądy. I tak było! Lukullus to jeszcze jeden uparty głupiec. Naturalnie skazali go i chyba słowo DAMNO wypisane było na wszystkich płytach. Surowość wyroku była wprost niewiarygodna! Miejsce pobytu na wygnaniu nie mniej niż tysiąc mil od Rzymu, co pozostawia mu do wyboru tylko Antiochię albo Aleksandrię. Wybrał króla Ptolemeusza Aleksandra, nie zaś króla Antiocha Grypusa. Sąd pozbawił go też wszystkiego, co posiadał - domów, ziemi, lokat kapitałowych.

Nie czekał, aż go wyszczują psami. Nie czekał nawet na podliczenie swego majątku. Przekazał swoją puszczałską żonę pod opiekę jej bratu Świńskiemu - należy mu się! - i zostawił starszego syna, szesnastolatka, a więc mężczyznę w oczach państwa, na jego własnych środkach. Ciekawe, że nie powierzył tego bardzo utalentowanego chłopca Świńskiemu. Młodszy - czternastolatek - został adoptowany. Teraz to Marek Terencjusz Warron Lukullus.

Skaurus mówił mi, że obaj chłopcy przysięgli zemstę Serwiliuszowi Augurowi, gdy tylko Warron Lukullus dorośnie do męskiej togi. Rozstanie z ojcem rozdzierało serca, jak możesz sobie wyobrazić. Skaurus mówi, że Lukullus uda się do Aleksandrii i tam zamierza umrzeć. I że obaj chłopcy myślą, że to właśnie ich tata robi. Licyniuszów Lukullusów najbardziej

zaś martwi to, że cały ten ból i ubóstwo ściągnął na nich człowiek nowy, i to miernota w rodzaju Serwiliusza Augura. Wy, ludzie nowi, nie będziecie mieli przyjaciół w synach Lukullusa.

W każdym razie, gdy synowie Lukullusa osiągną wiek pozwalający na wspólne oskarżenie Serwiliusza Augura, będzie to miało miejsce w sądzie do spraw o zdzierstwo, ustanowionym właśnie przez jeszcze jednego Serwiliusza o względnie niejasnym rodowodzie, Gajusza Serwiliusza Glaucję. Na Polluksa, Gajusza Mariusza, ten chłop umie pisać prawa! Ta struktura jest sztywna i osobliwa, ale działa. Znow w rękach ekwitów, więc żadna to pociecha dla namiestników prowincji, ale fachowo to zrobione. Odzyskiwaniem sprzeniewierzonych dóbr objęto także ich aktualnych posiadaczy, a nie tylko właściwych winowajców - nikt skazany wyrokiem sądu nie może przemawiać na żadnym publicznym zebraniu - posiadacze praw łatyńskich mają otrzymać pełne obywatelstwo rzymskie, jeśli doprowadzą do skazania przestępcy - wprowadzono też podział procesu karnego na dwie odrębne fazy. Stara procedura to już przeszłość, a zeznania świadków są daleko mniej ważne niż mowy adwokatów. To dobrodziejstwo dla dobrych adwokatów.

I - na koniec, ale nie jest to mało ważne - Saturnin znow ma kłopoty. Obawiam się, Gajuszu Mariuszu, o jego zdrowy rozum. Działa wbrew logice. Chyba to sprawka jego przyjaciela Glaucji. Oni obaj to olśniewające umysły, a jednak tak są niepewni, tak jawnie zwariowani. A może oni po prostu nie wiedzą, czego sobie życzą od życia publicznego? Nawet najgorszy demagog ma jakiś plan, jakąś logikę skierowaną ku preturze i konsulatu. Nie widzę takiej logiki u tych dwóch. Nienawidzą dawnego stylu rządów, nienawidzą senatu - ale nie proponują niczego w zamian. Być może są tym, co Grecy nazywają „przedstawicielami anarchii”? Nie jestem pewien.

Tak czy owak, szala przechyliła się ostatnio przeciw królowi Bitynii Nikomedesowi w sprawie posłów króla Pontu Mitrydata. Nasz młody przyjaciel ze wschodniego końca Euksynu przysłał tu posłów dość bystrych, by wykryć sekretną słabość wszystkich Rzymian - słabość do pieniędzy! Nie doszedłszy do przyjaźni i przymierza, zaczęli kupować senatorów. I dobrze płacili, a Nikomedes miał się czym martwić.

Potem Saturnin wszedł na rostra i potępił tych senatorów, którzy zamierzali opuścić Nikomedesa i Bitynię na rzecz Mitrydata i Pontu. Przypomniał, że od lat mamy traktat z Bitynią, a Pont jest tradycyjnym nieprzyjacielem Bitynii. Powiedział, że pieniądze przechodzą z rąk do rąk, a Rzym zamierza opuścić przyjaciela i sprzymierzeńca od pół wieku dla kilku nabitych senatorskich sakiewek.

Podobno - ja sam tego nie słyszałem - powiedział coś w tym rodzaju:

„Wiemy wszyscy, jak bardzo kosztowny może być dla zgrzybiałych senatorów ożenek z dzierlatkami ze szkolnej ławy. Chodzi mi o to, że naszyjniki z pereł i złote bransolety są o wiele kosztowniejsze niż flaszki tego toniku, który sprzedaje Ticinus w swym sklepiku w Cuppedenis, a któż nie przyzna, że dzierlatka to znacznie skuteczniejszy tonik?” Zadrwił też ze Świńskiego i rzucił tłumowi pytanie: „Co z naszymi chłopcami w

Galii Italskiej?”

W rezultacie kilku posłów pontyjskich zostało pobitych i poszło na skargę do Senaculum. Tymczasem Skaurus i Świński oskarżyli Saturnina przed jego własnym sądem o zdradę stanu - sianie niezgody między Rzymem a akredytowanym poselstwem obcego monarchy. W dniu procesu nasz trybun ludowy Glaucja zwołał zebranie Zgromadzenia Plebejskiego i oskarżył Świńskiego o usiłowanie pozbycia się Saturnina, którego nie zdołał się pozbyć, kiedy był cenzorem. Wynajęci gladiatorzy Saturnina pojawili się na rozprawie, otoczyli sędziów trybunału i wyglądali tak ponuro, że sędziowie oddalili pozew. Posłowie pontyjscy odjechali bez traktatu do swego kraju zaraz potem. Zgadzam się z Saturninem - byłoby podłością opuścić przyjaciela i sprzymierzeńca od pięćdziesięciu lat dla jego tradycyjnego nieprzyjaciela tylko dlatego, że ów nieprzyjaciel jest teraz znacznie potężniejszy i bogatszy.

Dość już, dość, Gajuszu Mariuszu. Chciałem tylko powiadomić cię o tych tryumfach przed nadejściem oficjalnych depesz, bo z tymi senat nie będzie się spieszył. Chciałbym, żebyś coś z tym zrobił, ale nie wiem, czy to możliwe”.

- O, tak, możliwe! - powiedział ponuro Mariusz, gdy już odczytał ten list. Przysunął sobie kawałek papieru i spędził sporo czasu, pisząc własną ręką jakiś krótki list. Potem kazał wezwać Kwintusa Lutacjusza Katullusa Cezara.

Katullus Cezar przybył rozpierany entuzjazmem, bo wynajęty kurier, który przyniósł pismo Rutyliusza Rufusa do Mariusza, przywiózł też list Metellusa Numidyjskiego do Katullusa Cezara i jeszcze jeden od Skaurusa do Katullusa Cezara.

Jakież jednak było jego rozczarowanie, gdy przekonał się, że Mariusz już wie o głosowaniu nad dwoma tryumfami. Katullus Cezar miał ochotę napaść wzrok wyrazem twarzy Mariusza, gdy ten usłyszy nowinę. Teraz zeszło to na plan dalszy. Liczył się tryumf.

- Chciałbym więc wrócić do Rzymu w październiku, jeśli nie masz nic przeciw temu - cedził Katullus Cezar. - Urządę mój tryumf pierwszy, bo ty, jako konsul, nie możesz odjechać tak wcześnie.

- Nie wyrażam zgody - oświadczył Mariusz pogodnym i uprzejmym tonem. - Wrócimy do Rzymu razem pod koniec listopada, tak jak planowaliśmy. Prawdę mówiąc, wysłałem już list do senatu w imieniu nas obu. Chcesz posłuchać?

Wziął kawałek papieru z zavalonego papierami stołu i przeczytał: „Gajusz Mariusz, konsul po raz piąty, dziękuje senatowi i ludowi rzymskiemu za ich troskę i rozwagę odnośnie do tryumfów dla niego samego i dla jego zastępcy, prokonsula Kwintusa Lutacjusza Katullusa. Chwałę ojców spisanych za ich godną podziwu oszczędność w przyznawaniu tylko jednego tryumfu każdemu z rzymskich wodzów. Ja sam jednak bardziej niż ojcowie spisanymi martwię się kosztami tej długiej wojny. Tak samo Kwintus Lutacjusz. Wobec tego Gajusz Mariusz i Kwintus Lutacjusz Katullus odbędą wspólnie jeden tylko tryumf. Niech cały Rzym będzie świadkiem zgody i braterstwa wodzów, gdy wspólnie przejadą ulicami. Mam zatem

przyjemność zawiadomić, że Gajusz Mariusz i Kwintus Lutacjusz Katullus odbędą tryumf w kalendy grudniowe. Razem. Niech żyje Rzym”.

Katullus Cezar pobladł.

- Chyba żartujesz!

- Ja? Żartuję? - Mariusz zmrużył oczy. - Nigdy nie żartuję, Kwintusie Lutacjuszu!

- Ja... ja... ja się nie zgadzam!

- Nie masz wyboru - powiedział słodko Mariusz. - Myśleli, że mnie pobili, czy nie? Drogi stary Metellus Numidyjski Świński i jego przyjaciele - i twoi przyjaciele! Cóż, nigdy mnie nie pobijecie. Żaden z was.

- Senat uchwalił dwa tryumfy i odbędą się dwa tryumfy - mówił drżącym głosem Katullus Cezar.

- Ach, możesz się upierać, Kwintusie Lutacjuszu. To nie będzie jednak dobrze wyglądało, nie sądzisz? Wybieraj. Albo ty i ja odbędziemy tryumf razem, w jednej paradzie, albo wyjdiesz na wielkiego głupca. Tak to jest.

I tak było. List Mariusza trafił do senatu i ogłoszono jeden wspólny tryumf w pierwszym dniu grudnia.

Katullus Cezar nie zwlekał z odwetem. Napisał do senatu skargę na Gajusza Mariusza, który przywłaszczył sobie prerogatywy senatu i ludu rzymskiego, przyznając pełne obywatelstwo tysiącowi żołnierzy z oddziałów posiłkowych z Camerinum w Picenam zaraz na polu bitwy pod Vercellae. Przekroczył także uprawnienia konsula, ogłaszając, że zakłada kolonię weteranów rzymskich legionów w miasteczku Eporodia w Galii Italskiej. List głosił:

„Gajusz Mariusz ustanowił tę niekonstytucyjną kolonię, aby położyć rękę na złocie, które wydobywa się z łóżyska Duria Major w Eporodii. Prokonsul Kwintus Lutacjusz Katullus pragnie też zauważyć, że to on wygrał bitwę pod Vercellae, nie zaś Gajusz Mariusz. Jako dowód przechowuje on trzydzieści pięć zdobywczych germańskich sztandarów, gdy Gajusz Mariusz ma ich tylko dwa. Jako zwycięzca spod Vercellae, zgłaszam swe prawo do wszystkich jeńców i pieniędzy z ich sprzedaży. Gajusz Mariusz obstaje przy zabranii jednej trzeciej z nich”.

W odpowiedzi Mariusz puścił w obieg list Katullusa pośród żołnierzy swojej i jego armii z lakonicznym dopiskiem własną ręką, że zyski ze sprzedaży cymbryjskich jeńców spod Vercellae, a mianowicie tej trzeciej części, której zażądał dla siebie, będą rozdane armii Kwintusa Lutacjusza Katullusa. Zaznaczył, że jego własna armia już otrzymała zyski ze sprzedaży jeńców teutońskich spod Aquae Sextiae, a nie życzyłby sobie, by armia Katullusa Cezara czuła się pominięta, bo o ile wie, Kwintus Lutacjusz zatrzyma - i ma do tego prawo - zyski ze sprzedaży dwóch trzecich jeńców cymbryjskich dla siebie.

Glaucja przeczytał oba listy na Forum w Rzymie, a lud pokładał się ze śmiechu. Nikt nie miał wątpliwości, kto jest prawdziwym zwycięzcą i kto dba o swych żołnierzy bardziej niż o siebie.

- Musisz przerwać tę kampanię oczerniania Gajusza Mariusza - powiedział Skaurus princeps senatu do Metellusa Numidyjskiego - albo znów zostaniesz obity, gdy się pokażesz na Forum. Napisz też do Kwintusa

Lutacjusza i poradź mu to samo. Czy mu się to podoba, czy nie, Gajusz Mariusz jest Pierwszym w Rzymie. To on wygrał wojnę z Germanami i wszyscy o tym wiedzą. On jest ludowym bohaterem, ludowym półbogiem. Spróbuj go obalić, a miasto zjednoczy się, by obalić ciebie, Kwintusie Cecyliuszu.

- Szczam na lud! - powiedział Metellus Numidyjski, który chodził spięty, odkąd gościł u siebie siostrę, Metellę Kałwę, i tego jej nisko urodzonego kochanka, który jej się aktualnie podobał.

- Słuchaj, są jeszcze inne możliwości - naciskał Skaurus. - Po pierwsze, możesz znowu się ubiegać o konsulat. Mija dziesięć lat, odkąd byłeś konsulem, chociaż trudno w to uwierzyć! Gajusz Mariusz będzie znowu stawał do wyborów, to pewne. Czy nie byłoby cudowne ozdobić jego szósty konsulat towarzystwem takiego nieprzychylnego kolegi jak ty?

- Ach, kiedy wreszcie pozbędziemy się tej nieuleczalnej choroby zwanej Gajuszem Mariuszem? - wykrzyknął zdesperowany Numidyjski.

- Mam nadzieję, że wkrótce. - Skaurus był najwyraźniej daleki od desperacji. - Za rok. Wątpię, by to trwało dłużej.

- Nigdy, to bardziej prawdopodobne.

- Nie, nie, Kwintusie Cecyliuszu, za łatwo się poddajesz! Tak jak Kwintus Lutacjusz pozwalasz nienawiści do Mariusza kierować sobą. Pomyśl! Ile czasu spędził Mariusz w Rzymie w ciągu tych swoich pięciu nieustających konsulatów?

- To kwestia dni. A co to ma do rzeczy?

- W tym właśnie rzecz, Kwintusie Cecyliuszu! Gajusz Mariusz nie jest wielkim politykiem, chociaż przyznaję, że ma niezmiernie bystry umysł. Chociaż jednak błyszczy jako żołnierz i organizator, nie będzie rozkwitał w komicjum i w kurii, kiedy tylko to mu pozostanie. Nie pozwolimy mu na to! Podrażnimy go jak byka, zapuścimy zęby w boki i już nie puścimy. I powalimy go. Poczekaj, a zobaczysz! - Skaurus mówił to tonem najwyższej pewności.

Metellus Numidyjski uśmiechnął się zapatrzony w te ponętne perspektywy.

- Tak, rozumiem, Marku Emiliuszu. Dobrze, będę się starał o konsulat.

- Świetnie! I przejdiesz - nie możesz nie przejść, kiedy wykorzystamy do ostatka nasze wpływy w pierwszej i drugiej klasie, choćby nie wiem jak kochały one Gajusza Mariusza.

- Ach, nie mogę się doczekać, że będę jego kolegą. - Metellus Numidyjski przeciągnął się ukradkiem. - Będę go hamował na wszystkie sposoby. Nie będzie mu lekko.

- Chyba otrzymasz pomoc z niespodziewanej strony. - Skaurus miał minę kota.

- Z jakiej strony?

- Lucjusz Apulejusz Saturnin chce się znów ubiegać o wybór na trybuna ludowego.

- To fatalna nowina! Jak ma to nam pomóc?

- Nie, to doskonała nowina, Kwintusie Cecyliuszu, możesz mi wierzyć. Kiedy zapuścisz swoje konsularne zęby w udziec Gajusza Mariusza i to

samo zrobię ja i Kwintus Lutacjusz, i z pół setki innych, Gajusz Mariusz nie będzie zwlekał z wezwaniem na pomoc Saturnina. Znam go, kiedy mu nazbyt dogryzamy, będzie walił na ślepo na wszystkie strony właśnie jak podrażniony byk. Nie oprze się pokusie wykorzystania Saturnina. A Saturnin jest chyba najgorszym narzędziem, jakiego może użyć Gajusz Mariusz. Poczekaj, a zobaczysz! To przymierze z nim powali naszego byka Mariusza na kolana.

Narzędzie było w drodze do Galii Italskiej, by zobaczyć się z Gajuszem Mariuszem. W tym momencie na zawarciu przymierza zależało mu bardziej niż Mariuszowi, bo Saturnin żył na rzymskiej scenie politycznej, podczas gdy Mariusz żył wciąż w Elizjum dowódcy wojskowego.

Spotkali się w miasteczku uzdrowiskowym Comum nad brzegiem jeziora Larius, gdzie Mariusz wynajmował willę, stanowiącą własność Lucjusza Kalpurniusza Pizona, który zginął pod Burdigalą wraz z Lucjuszem Kasjuszem. Mariusz czuł się zmęczony, bardziej niż się przyznawał Katullusowi Cezarowi, młodszemu od siebie o dziesięć lat. Wysłał Katullusa Cezara w odległy kraniec prowincji, by tam rozpatrywał sprawy sądowe, a sam cieszył się wypoczynkiem, pozostawiając dowództwo Sulli.

Naturalnie, gdy zjawił się Saturnin, Mariusz zaprosił go do pozostania. Prowadzili we dwójkę niespieszne rozmowy nad jeziorem daleko piękniejszym niż jakiegokolwiek jezioro we właściwej Italii.

Nie oznaczało to, że Mariusz zamyka się w sobie. W odpowiednim czasie przeszedł wprost do rzeczy.

- Nie życzę sobie mieć za kolegę Metellusa Numidyjskiego - powiedział szorstko. - Myślę o Lucjuszu Waleriuszu Flakkusie. Łatwo go urobić.

- Przydałby ci się - przyznał Saturnin - ale chyba nie zdołasz go przepchnąć. Wielcy Politycy organizują już poparcie dla Metellusa Numidyjskiego - dodał i spojrzął z zaciekawieniem na Mariusza. - W każdym razie, czemu zabiegasz o szóstą kadencję? Kiedy Germanie są pobici, mógłbyś spocząć na laurach.

- Tylko tego sobie życzę, Lucjuszu Apulejuszu. Ale robota nie jest zakończona tylko dlatego, że Germanie są pokonani. Muszę rozpuścić dwie armie Policzonych Głowami - albo raczej ja mam jedną z sześciu wzmocnionych legionów, a Kwintus Lutacjusz drugą z sześciu bardzo niekompletnych legionów. Uważam jednak, że odpowiadam za obie, bo Kwintus Lutacjusz chce po prostu wydać im świadectwa służby i zapomnieć o nich.

- A ty wciąż jesteś zdecydowany dać im ziemię?

- Jestem. Gdybym nie był, Lucjuszu Apulejuszu, Rzym stałby się uboższy na wiele sposobów. Po pierwsze, ponad pięćdziesiąt tysięcy weteranów zwałoby się na Rzym i na Italię z brzęczącą monetą w sakiewkach. Wydaliby większość w ciągu kilku dni, a potem staliby się źródłem nieustannych kłopotów. Gdyby doszło do jakiejś wojny, mogliby się znów zaciągnąć. Jeśli jednak nie będzie wojny, staną się prawdziwym utrapieniem.

Saturnin skinął głową.

- Rozumiem.

- Wpadłem na ten pomysł, kiedy byłem w Afryce, i dlatego zarezerwowałem tamte wyspy afrykańskie dla weteranów jako miejsca osiedlenia się. Tyberiusz Grakchus chciał przesiedlić rzymskich ubogich na ziemię Kampanii, uczynić miasto wygodniejszym i bezpieczniejszym i przydać trochę świeżej krwi tamtemu krajowi. Ale Italia była pomyłką, Lucjusz Apulejusz. - Mariusz mówił rozmarzonym tonem. - Potrzebujemy ubogich Rzymian w prowincjach. Zwłaszcza żołnierzy weteranów.

Widok był wspaniały, ale Saturnin wcale go nie podziwiał.

- Wszyscy słyszeliśmy tę mowę o przeniesieniu rzymskiego stylu życia do prowincji. I wszyscy słyszeliśmy odpowiedź Dalmatyńskiego. Ale to nie jest twój prawdziwy cel, czyż nie tak, Gajuszu Mariuszu?

Oczy błysnęły spod brwi.

- Jesteś bardzo przenikliwy! Oczywiście, że nie! - odparł i pochylił się do przodu w swym krześle. - Rzym ponosi wielkie koszty, wysyłając armie do prowincji w celu zdławienia buntów i pilnowania prawa. Spójrz na Macedonię. Dwa legiony są tam stale na służbie - nie rzymskie legiony, przyznaję, ale mimo to kosztują państwo mnóstwo pieniędzy, których można by użyć gdzie indziej. A gdyby tak osiedlić dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy rzymskich weteranów w trzech albo czterech koloniach w Macedonii? Grecja i Macedonia są raczej wyludnione i to już od stu lat albo i więcej - wszyscy stamtąd wyjeżdżają. Wszędzie straszą duchy miast! I do tego rzymscy właściciele latyfundiów, nieobecni, mało produkujący, nie sprowadzający niczego do tych krajów i oszczędni w zatrudnianiu miejscowych mężczyzn i kobiet. Gdy tylko Skordyskowie przekraczają granicę, mamy tam wojnę, nieobecni właściciele ziemscy beczą w senacie, a namiestnik miota się między odpieraniem grasujących Celtów z jednej strony i gniewnych listów z Rzymu z drugiej. Możemy lepiej wykorzystać ziemie tych nieobecnych właścicieli. Ja bym je zapełnił koloniami żołnierzy weteranów. Wzrosłoby znacznie zaludnienie i mielibyśmy stałą siłę zbrojną na wypadek prawdziwej wojny.

- I wpadłeś na to w Afryce?

- Kiedy przydziałałem rozległe obszary Rzymianom, którzy nigdy albo rzadko odwiedzali potem Afrykę. Ściągają nadzorców i gromady niewolników do pracy w polu, nie zwracając uwagi na miejscowe warunki i mieszkańców, hamują rozwój Afryki i pchają ją w ramiona jakiegoś nowego Jugurty. Nie jestem przeciwnikiem rzymskiej własności ziemi w prowincjach, chcę tylko wydzielenia terenów dla pomieszczenia wielkiej liczby dobrze wyszkolonych zawodowych rzymskich żołnierzy, których w razie potrzeby powoła się pod broń.

Siłą woli zmusił się do oparcia się plecami o krzesło, by nie zdradzić, jak bardzo mu na tym zależy.

- Mamy już pierwszy przykład użyteczności zamorskich kolonii weteranów. Moja pierwsza mała grupa, którą osobiście osiedlałem na wyspie Meninks, dowiedziała się o sycylijskim powstaniu niewolników. Zorganizowali się w oddziały, wynajęli statki i dotarli do Lilibeum w samą porę, by uchronić miasto przed zajęciem przez Ateniona.

- Widzę, do czego zmierzasz, Gajuszu Mariuszu - powiedział Saturnin. -

To znakomity plan.

- Będą mnie jednak zwalczać, choćby tylko dlatego, że to o mnie chodzi
- westchnął Mariusz.

Dreszcz przebiegł po plecach Saturnina. Szybko odwrócił wzrok, udając, że podziwia odbicia drzew, gór, nieba i obłoków w zwierciadlanej tafli jeziora. Mariusz jest zmęczony! Mariusz zwalnia! Mariuszowi nie zależy ani trochę na szóstym konsulacie!

- Byłeś chyba świadkiem wszystkich tych krzyków i wrzasków w Rzymie, po tym jak nadałem obywatelstwo tym wspaniałym żołnierzom z Kamerinum?

- Byłem. Wrzaski słyszała cała Italia - rzekł Saturnin - i całej Italii spodobało się to, co zrobiłeś. Rzymowi wielkich polityków nie spodobało się to wcale.

- I czemuż to nie mieliby zostać obywatelami rzymskimi? - spytał z gniewem Mariusz. - Walczyli lepiej niż wszyscy inni, Lucjuszu Apulejuszu, i to jest fakt. Gdyby to ode mnie zależało, nadałbym obywatelstwo wszystkim mieszkańcom Italii. - Nabrał oddechu i dorzucił: - Kiedy mówię, że chodzi mi o ziemię dla Policzonych Głowami weteranów, mam na myśli właśnie to. Ziemia dla nich wszystkich - Rzymian, Latynów - i Italczyków!

Saturnin gwizdnął.

- Szukasz kłopotów! Wielcy politycy nigdy na to nie pozwolą.

- Wiem. Nie wiem tylko, czy starczy ci odwagi, żeby tego żądać.

- Nigdy nie zastanawiałem się długo nad odwagą - powiedział z namysłem Saturnin - więc nie jestem pewien, ile jej mam. Jednak tak, Gajuszu Mariuszu, chyba starczy mi odwagi, żeby tego żądać.

- Nie muszę nikogo przekupywać, żeby zostać wybranym. Nie mogę przegrać - mówił Mariusz. - Nie ma jednak powodu, żeby nie wynająć paru ludzi do kupowania głosów dla młodszego konsula. I dla ciebie, jeśli potrzebujesz pomocy, Lucjuszu Apulejuszu. I dla Gajusza Serwiliusza Glaucji także. O ile wiem, on chce stawać do wyborów na pretora?

- Rzeczywiście, chce. Tak, Gajuszu Mariuszu, obaj z radością przyjmą pomoc. W zamian zrobimy, co będzie konieczne, by pomóc w zdobyciu tej ziemi.

Mariusz wyjął z rękawa zwój papieru.

- Już wykonałem pewną pracę, naszkicowałem projekt ustawy, jaką uważam za konieczną. Nie należę niestety do największych prawodawców Rzymu. Wy należycie. Glaucja zaś jest geniuszem w układaniu praw. Czy wy dwaj moglibyście sformułować jakieś znakomite ustawy z tych moich nieuczonych gryzmołów?

- Pomóż nam w zdobyciu urzędów, Gajuszu Mariuszu, a będziesz miał swoje ustawy.

Nie mogło być wątpliwości co do ulgi, jaką odczuł Mariusz.

- Jeśli to się uda, Lucjuszu Apulejuszu, mniejsza o mój siódmy konsulat, słowo daję!

- Siódmy konsulat?

- Przepowiedziano mi, że będę siedem razy konsulem.

Saturnin zaśmiał się.

- Czemu nie? Nikt nigdy nie myślał, że można być konsulem sześć razy. Ty jednak będziesz.

Wybory do nowego kolegium trybunów ludowych odbyły się, gdy Gajusz Mariusz i Katullus Cezar prowadzili swe armie na południe ku Rzymowi i swemu połączonemu tryumfowi. Współzawodnictwo było bardzo zacięte.

O dziesięć stanowisk ubiegało się ponad trzydziestu kandydatów, a przeszło połowa z nich były to kreatury na usługach wielkich polityków, walka była więc zażarta i gwałtowna.

Glaucji, przewodniczącemu obecnie dziesiątki trybunów ludowych, powierzono przeprowadzenie wyborów nowego kolegium. Nie byłoby to możliwe, gdyby odbyły się już wybory centurialne konsulów i pretorów, bo status pretora-elekta zdyskwalifikowałby go. W obecnym stanie rzeczy nic nie stało na przeszkodzie jego przewodniczeniu wyborom trybunów.

Odbywały się one w zagłębieniu komicjów. Glaucja prowadził je z rostrów, a jego dziewięciu współtrybunów ludowych ciągnęło losy, by ustalić, która z trzydziestu pięciu *tribus* będzie głosowała pierwsza, a która ostatnia, i potem kierowało nimi, kiedy przychodziła ich kolej głosowania.

Mnóstwo pieniędzy przeszło z rąk do rąk, część na rzecz Saturnina, ale o wiele więcej na rzecz anonimowych kandydatów wielkich polityków. Wszyscy bogacze z konserwatywnych pierwszych ławek sięgali głęboko do szkatułek. Kupiono głosy dla ludzi w rodzaju Kwintusa Noniusza z Picenum, politycznego zera o konserwatywnej duszy. Chociaż Sulla nie miał nic wspólnego z jego wejściem do Senatu ani ubieganiem się o trybunat, był on bratem szwagra Sulli. Kiedy siostra Sulli, Kornelia Sulla, weszła do bogatej rodziny Noniuszów z Picenum, blask jej nazwiska natchnął członków rodziny do spróbowania szczęścia na drodze *cursus honorum*. Jej syn został przygotowany do ucziwej próby, ale wuj chłopca postanowił sprawdzić, czego sam dokona.

Były to wybory pełne niespodzianek. Kwintus Noniusz z Picenum, na przykład, przeszedł bez trudu. Tymczasem Lucjusz Apulejusz Saturnin nie przeszedł w ogóle. Wybrano dziesięciu trybunów ludowych, a Saturnin był jedenasty.

- Nie... mogę... uwierzyć! - wykrztusił Saturnin do Glaucji. - Po prostu nie mogę uwierzyć! Co się stało?

Glaucja był zachmurzony - jego szanse na zostanie pretorem wydały się nagle wątpliwe. Potem wzruszył ramionami, klepnął Saturnina po ramieniu, pocieszając go, i zszedł z rostrów.

- Nie martw się. Coś jeszcze może się zmienić.

- Co może zmienić wynik wyborów? - wykrzyknął Saturnin. - Nie, Gajuszu Serwiliuszu, przegrałem!

- Zobaczę się z tobą za chwilę, tutaj. Czekaaj tylko, nie idź do domu - rzekł Glaucja i zniknął w tłumie.

Gdy Kwintus Noniusz z Picenum usłyszał, jak wyczytują jego imię wśród dziesięciu nowych trybunów ludowych, chciał już iść do domu, do

swego nowego domu na Karynach. Czekala tam na niego zona ze szwagierka Kornelia Sullą i jej synem, ciekawi wynikow i na tyle prowincjusze, by wtapic w szanse Kwintusa Noniusza.

Opuścić Forum bylo jednak trudniej niz sadzil Kwintus Noniusz, bo co pare krokow zatrzymywano go i serdecznie mu gratulowano. Wrodzona grzecznosc nie pozwalala mu wymigiwac sie zyczliwym ludziom, zwlekal wiec, zatrzymywany sila, usmiechal sie, klaniał i sciskal setki rak.

Jego towarzysze gubili sie jeden po drugim, az w koncu wszedł w uliczke wiodaca ku domowi w towarzystwie trzech przyjaciol, ktorzy takze mieszkali na Karynach. Kiedy natkneli sie na dwunastu ludzi zbrojnych w palki, jeden z przyjaciol zdołal wyrwac sie, wbiegl na Forum, wołajac o pomoc, ale zastal je calkiem opustoszone. Na szczescie Saturnin i Glaucja stali tam, rozmawiajac z innymi przy rostrach. Glaucja mial poczerwieniala twarz i rozwichrzone wlosy. Kiedy uslyszeli wołanie, pobiegli na pomoc, bylo jednak za pozno. Kwintus Noniusz i jego dwaj przyjaciele juz nie zyli.

- *Edepol!* - powiedzial Glaucja, wstajac po upewnieniu sie, ze Kwintus Noniusz naprawde nie zyje. - Kwintus Noniusz zostal wlasnie wybrany na trybuna ludowego, a ja jestem z urzedu odpowiedzialny za wybory. - Zmarszczył brwi. - Lucjusz Apulejusz, zechciej dopilnowac, zeby zanesiono Kwintusa Noniusza do domu. Ja wracam na Forum. Trzeba rozwiaczac problem wyborow.

Wstrzas spowodowany widokiem Kwintusa Noniusza i jego przyjaciol martwych w kaluzach wlasnej krwi pozbawil tych, ktorzy przybyli na ratunek, zwyklej jasnosci umyslu. Nikt z nich, z Saturninem wlacznie, nie zauwazyl, jak sztucznym tonem mowi Glaucja. Gajusz Serwiliusz Glaucja zas, stojac na pustych rostrach, oznajmial opustoszone Forum Romanum smierc nowo wybranego trybuna ludowego Kwintusa Noniusza. Oglosil potem, ze kandydat, ktory zajal jedenaste miejsce, zastapi Kwintusa Noniusza w nowym kolegium i ze jest to Lucjusz Apulejusz Saturnin.

- Załatwione - mowil pozniej Glaucja w domu Saturnina zadowolonym tonem. - Jesteś teraz legalnie wybranym trybunem ludowym, doko-optowanym na miejsce Kwintusa Noniusza.

Od czasu tamtych okropnych wydarzen, przez ktore stracil stanowisko kwestora, Saturnin nie mial zbyt wielu skrupulow. Mimo to byl wstrzasniety i patrzyl z osłupieniem na Glaucje.

- Nie zrobiles tego! - wykrzyknal.

Glaucja przyložyl czubek wskazujacego palca do nosa i usmiechnal sie do Saturnina spode lba dosc dzikim usmiechem.

- Nie pytaj, a nie uslyszysz kłamstw.

- To haniebne. Taki mily czlowiek!

- Tak, byl mily. Nie mial szczescia, ze tak skonczyl. Tylko on jeden mieszkal na Karynach i dlatego go wybrano. Na Palatynie trudno zastawic pulapke - tam nie ma dosc ludzi na ulicach.

Saturnin westchnal, otrzasajac sie z przygnębienia.

- Masz racje. A ja przeszedlem. Dzieki za pomoc, Gajusz Serwiliusz.

- Nie mysl juz o tym - rzekl Glaucja.

Trudno bylo uciszyc skandal, ale udowodnic, ze Saturnin byl zamieszany

w zabójstwo, było zupełną niemożliwością. Nawet ten przyjaciel zabitego, który uszedł z życiem, oświadczył, że i Saturnin, i Glaucja stali na dolnym Forum w czasie popełnienia zbrodni. Ludzie gadali, ale gadanie nic nie kosztuje, jak się wyraził pogardliwie Glaucja. Kiedy zaś Ahenobarbus jako Pontifex Maximus zażądał przeprowadzenia ponownych wyborów, nie osiągnął niczego. Glaucja ustanowił precedens, rozwiązując kryzys, który nigdy dotąd się nie zdarzył.

- Gadanie nic nie kosztuje! - powtórzył, tym razem w senacie. - Twierdzenia, jakobym wraz z Lucjuszem Apulejuszem był zamieszany w zabójstwo Kwintusa Noniusza, nie mają żadnego oparcia w faktach. Jeśli idzie o to, że zastąpiłem nieżyjącego trybuna ludowego trybunem żyjącym, zrobiłem to, co powinien zrobić każdy rzeczywiście prowadzący wybory - działałem! Nikt nie kwestionuje jedenastego miejsca Lucjusza Apulejusza ani tego, że wybory zostały przeprowadzone prawidłowo. Mianować Lucjusza Apulejusza następcą Kwintusa Noniusza najszybciej jak to możliwe - było to zarówno logiczne, jak praktyczne. *Contio* Zgromadzenia Plebejskiego, które zwołałem wczoraj, udzieliło pełnej aprobaty moim działaniom. Ta debata, ojcowie spisani, jest zarówno bezużyteczna, jak bezprzedmiotowa. Sprawa jest zamknięta.

Tyle Gajusz Serwiliusz Glaucja.

Gajusz Mariusz i Kwintus Lutacjusz Katullus Cezar odbyli razem tryumf pierwszego grudnia. Połączenie pochodów było genialnym posunięciem, bo nie mogło być wątpliwości, że Katullus Cezar, którego rydwan podążał za rydwanem konsula, był całkiem na pewno drugi w tym dokonaniu. Imię Gajusza Mariusza było na ustach wszystkich. Była tam nawet platforma z pomyslowym przedstawieniem przez Sullę - który, jak zwykle, organizował paradę - Mariusza, pozwalającego ludziom Katullusa zabrać trzydzieści pięć cymbryjskich sztandarów, skoro on sam zabrał ich już tyle w Galii.

Na spotkaniu, które odbyło się potem w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, Mariusz przedstawił z zapalem swoje działania w sprawie przyznania obywatelstwa żołnierzom z Camerinum i zamknięcia Val Salassi poprzez założenie żołnierskiej kolonii w małej Eporedii. Jego oświadczenie, że będzie się ubiegał o szósty konsulat, zostało powitane wyciem, drwinami, okrzykami protestu - i wiewatami. Wiewaty były o wiele głośniejsze. Kiedy tumult przygasł, oznajmił, że cały swój osobisty udział w łupach przeznacza na budowę nowej świątyni Honoru i Dzielności, w której przechowywane będą trofea jego i jego armii, i że stanie ona na Kapitolu. Zbuduje też świątynię rzymskiego Honoru i Dzielności w Olimpii w Grecji.

Katullus Cezar słuchał tego z zamierającym sercem, zdając sobie sprawę, że jeśli ma zachować dobre imię, musi poświęcić swój udział w łupach na podobny cel co Mariusz: wzniesienie świątyni-pomnika, nie zaś inwestowanie dla powiększenia fortuny. Choć nie mała, nie mogła się równać z Mariuszową.

Nikt nie był zaskoczony, gdy Zgromadzenie Centurialne wybrało

Gajusza Mariusza na konsula po raz szósty i to jako starszego konsula. Nie tylko był on niekwestionowanym Pierwszym w Rzymie, wielu nazywało go już także trzecim założycielem Rzymu. Pierwszym założycielem był sam Romulus. Drugim założycielem był Marek Furiusz Kamillus, który przed trzystu laty usunął Galów z Italii. Wydawało się zatem właściwe i słuszne nazywać Gajusza Mariusza trzecim założycielem Rzymu, skoro i on odepchnął napływ barbarzyńców.

Wybory nie obyły się bez niespodzianek. Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski Świński nie przeszedł jako młodszy konsul. Mariusz wygrał nawet w tej sprawie, ogłosił bowiem, że popiera Lucjusza Waleriusza Flakkusa i Lucjusz Waleriusz Flakkus został wybrany w stosownym czasie. Flakkus sprawował ważny i dożywotni urząd kapłański - flamera *Martialis* - kapłana Marsa - a ten jego urząd czynił go posłusznym i subordynowanym, idealnym towarzyszem dla władczego Gajusza Mariusza.

Nie było też dla nikogo niespodzianką, że Gajusz Serwiliusz Glaucja został wybrany na pretora, był bowiem człowiekiem Mariusza, a Mariusz nie żałował pieniędzy na kupowanie wyborców. Niespodzianką był fakt, że wyprzedził całą stawkę, został więc *praetor urbanus*, najstarszym z sześciu wybranych pretorów.

Niedługo po wyborach Kwintus Lutacjusz Katullus Cezar ogłosił publicznie, że przeznacza swój udział w łupach na dwa pobożne cele: pierwszym było kupno działki po domu Marka Fulwiusza Flakkusa na Palatynie - tuż obok jego domu - i budowa tam wspaniałego portyku dla przechowywania trzydziestu pięciu sztandarów cymbryjskich zdobytych w bitwie pod Vercellae, drugim zaś celem była budowa na Polu Marsowym świątyni bogini Fortuny jako bogini Dziejniejszego Szczęścia.

Kiedy nowi trybunowie ludowi rozpoczęli dziesiątego grudnia urzędowanie, zaczęła się zabawa. Trybun ludowy po raz drugi, Lucjusz Apulejusz Saturnin, zdominował całkowicie kolegium i wykorzystywał strach wywołany śmiercią Kwintusa Noniusza dla przeprowadzenia swych posunięć legislacyjnych. Choć zaprzeczał, że miał coś wspólnego z zabójstwem, nie unikał napomnień w rozmowach z innymi trybunami, które kazały tamtym zastanawiać się, czy nie skończą jak Kwintus Noniusz, jeśli spróbują pokrzyżować mu plany. W rezultacie pozwolili Saturninowi robić, na co miał ochotę. Ani Metellus Numidyjski, ani Katullus Cezar nie zdołali namówić żadnego z trybunów ludowych, by zgłosili choć jedno weto.

W ciągu ośmiu dni po objęciu urzędowania Saturnin wniósł dwa projekty ustaw o podziale dóbr państwowych między weteranów obu armii walczących z Germanami. Grunta leżały na Sycylii, w Grecji, w Macedonii i na kontynencie afrykańskim. Projekt zawierał też osobliwe zastrzeżenie, że Gajusz Mariusz ma prawo nadawać obywatelstwo rzymskie trzem żołnierzom italskim w każdej kolonii.

W senacie zawrzało.

- Ten człowiek - mówił Metellus Numidyjski - nie zamierza nawet faworyzować swoich rzymskich żołnierzy! Chce ziemi dla wszystkich na

równej stopie - Rzymian, Latynów i Italczyków, bez różnicy! Nie wyróżnia nawet Rzymian! Pytam was, koledzy senatorowie, co myślicie o kimś takim? Czy Rzym coś dla niego znaczy? Oczywiście, że nie! Czemu miałby coś znaczyć? On nie jest Rzymianinem! On jest Italczykiem! Faworyzuje swych rodaków. Tysiącu z nich nadał na polu bitwy prawa wyborcze, gdy tymczasem żołnierze rzymscy stali i patrzyli na to, a nikt im nie podziękował. Czego zresztą można oczekiwać od kogoś takiego jak Gajusz Mariusz?

Kiedy Mariusz wstał, by odpowiedzieć, nie słyszał nawet samego siebie, wyszedł więc z kurii Hostyliusza, stanął na rostrach i zwrócił się do bywalców Forum. Niektórzy byli tym oburzeni, ale i tak słuchali swego ulubieńca.

- Ziemi wystarczy dla wszystkich! - zawołał. - Nikt mi nie może zarzucić, że daję pierwszeństwo Italczykom! Sto jugerów na żołnierza! Czemu aż tyle, już słyszę, jak pytacie. Ponieważ, ludu rzymski, ci koloniści udają się do miejsc, gdzie żyje się dużo trudniej niż w naszej ukochanej Italii. Będą sadić i zbierać plony na niełaskawej ziemi i pod niełaskawym niebem, gdzie człowiek musi mieć więcej ziemi, by się utrzymać, niż w naszej ukochanej Italii.

- Do tego zmierza! - krzyknął Katullus ze schodów senatu piskliwym głosem. - Do tego zmierza! Słuchajcie, co on mówi! Nie Rzym! Italia! Italia, Italia, zawsze chodzi o Italię! On nie jest Rzymianinem i nie dba o Rzym!

- Italia to Rzym! - zagrział Mariusz. - To jedno i to samo! Jedno nie istnieje i nie może istnieć bez drugiego! Czy Rzymianie i Italczyki nie jednakowo oddają życie w rzymskich armiach dla Rzymu? A jeśli tak jest - czy ktoś temu zaprzeczy? - czemu jedni żołnierze mieliby się różnić od drugich?

- Italia! - krzyczał Katullus Cezar. - Zawsze Italia!

- Bzdury! - krzyknął Mariusz. - Pierwsze nadania ziemi dostają żołnierze rzymscy, nie italscy! Czy to dowód słabości do Italczyków? Czy nie lepiej, że z tysięcy weteranów, którzy pójdą do tych kolonii, trzech Italczyków zostanie obywatelami rzymskimi? Powiadam „trzech”, ludu rzymski! Nie mówię o trzech tysiącach, ludu rzymski! Nie o trzystu, ludu rzymski! Nie o trzydziestu Italczykach, ludu rzymski! O trzech! O kropli w ludzkim morzu!

- O kropli trucizny w ludzkim morzu! - wrzasnął Katullus Cezar ze schodów senatu.

- Ustawa może mówić, że Rzymianie dostaną ziemię pierwsi, ale gdzie jest powiedziane, że ziemia oddana najpierw jest najlepsza? - krzyknął Metellus Numidyjski.

A jednak pierwsza ustawa rolna traktująca o różnych obszarach, które od lat były własnością Rzymu, dzierżawionych przez nieobecnych, przeszła przez Zgromadzenie Plebejskie mimo opozycji.

Kwintus Popediusz Silon, który był obecnie przywódcą ludu Marsów mimo stosunkowo młodego wieku, przybył do Rzymu posłuchać debaty nad ustawami rolnymi. Zaprosił go Marek Liwiusz Druzus, on zaś

zatrzymał się w domu Druzusa.

- Robią wiele hałasu, przeciwstawiając Rzym Italii - zauważył Silon, który nigdy dotąd nie słyszał, by nad tym debatowano.

- Rzeczywiście - przyznał Druzus z posępną miną. - To znak, że czasy się zmieniają. Mam tę nadzieję, Kwintusie Popediuszu.

- Nie lubisz jednak Gajusza Mariusza.

- Nie cierpię go. Ale głosowałem na niego.

- Zaledwie cztery lata temu walczyliśmy pod Arauzjoną - powiedział z zadumą Silon. - Tak, chyba masz słuszość i coś się zmienia. Przed Arauzjoną Gajusz Mariusz nie miałby szans na zrobienie z italskich żołnierzy kolonistów.

- I to dzięki Arauzjonie zniesiono niewolę za długi - rzekł Druzus.

- Cieszę się, że nie zginęli na darmo. A jednak - spójrz na Sycylię. Niewolnicy italscy nie zostali tam wyzwoleni. Zginęli.

- Pałę się ze wstydu za Sycylię - rzekł Druzus i rzeczywiście się zarumienił. - Dwóch skorumpowanych samolubnych wyższych urzędników, dwóch *mentulae*, ponosi za to winę. Możesz ich nie lubić, Kwintusie Popediuszu, ale musisz przyznać, że taki Metellus Numidyjski albo Emiliusz Skaurus nie ubrudzą sobie rąbka togi w żadnym zbożowym szwindlu.

- Tak, przyznaję. A jednak, Marku Liwiuszu, oni wciąż wierzą, że Rzymianie to sól ziemi i że żaden Italczyk nie zasługuje na adopcję.

- Adopcję?

- No cóż, otrzymanie rzymskiego obywatelstwa oznacza właśnie to, nieprawdaż? Adopcję do rzymskiej rodziny.

Druzus westchnął.

- Masz zupełną słuszość. Zmienia się tylko nazwa. Przyznanie obywatelstwa nie robi Rzymianina z Italczyka albo z Greka. Z biegiem czasu senat umocni się w oporze przeciw tworzeniu sztucznych Rzymian.

- Być może, ale to zależy od nas, Italczyków, czy zostaniemy sztucznymi Rzymianami - ze zgodą albo bez zgody senatu.

Druga ustawa rolna poszła za pierwszą, dotyczyła zaś ona gruntów państwowych, które pozyska Rzym w wyniku wojen germańskich. Była ona o wiele ważniejsza, bo chodziło tu o ziemie dziewicze, nie wykorzystywane pod uprawę czy hodowlę i mogące dostarczyć nie tylko zwierząt i płodów rolnych, ale też minerałów, kamieni szlachetnych, marmuru. Były to wszystko obszary w Galii Zaalpejskiej wokół Narbony, Tolosy, Carcasso, w środkowej Galii Zaalpejskiej i ten rejon w Hiszpanii Bliższej, który zbuntował się, gdy Cymbrowie pojawili się u podnóża Pirenejów.

Wielu ekwitów rzymskich i wiele rzymskich kompanii handlowych miało ochotę na Galię Zaalpejską. Czekali na okazję, jaką była klęska Germanów, i apelowali do swych patronów w senacie o zapewnienie im dostępu do nowego *ager publicus Galliae*. Wiadomość, że większość ziemi ma przypaść Policzonym Głowami żołnierzom, wprawiła ich w furję, jakiej nie oglądano od najgorszych dni braci Grakchów.

Senat zaś usztywnił stanowisko i to samo zrobili ekwici z Pierwszej

Klasy, kiedyś zagorzali zwolennicy Mariusza - czuli, że odebrano im szansę zostania nieobecnymi panami ziemi w Galii Dalszej. Agenci Metellusa Numidyjskiego i Katullusa Cezara krążyli wszędzie i naszeptywali, naszeptywali...

- Rozdaje to, co należy do państwa, jakby już był właścicielem i tej ziemi, i państwa. - Ten szept wkrótce zmienił się w krzyk.

- Zamierza zawładnąć państwem!

- Po cóż innego zostawałby konsulem, skoro wojna z Germanami jest już skończona?

- Rzym nigdy nie dawał ziemi żołnierzom!

- Italczyki dostają więcej, niż zasługują!

- Ziemie zdobyte na wrogach Rzymu należą wyłącznie do Rzymian, a nie do Latynów i Italczyków!

- Zaczyna od *ager publicus* za granicą, ale ani się obejrzymy, zanim zacznie rozdawać *ager publicus* w Italii i dawać Italczykom!

- Nazywa sam siebie Trzecim Założycielem Rzymu, ale chce się nazywać królem Rzymu.

I tak dalej, i dalej, i dalej. Im głośniejsz Mariusz wołał z rostrów i w senacie, że Rzym musi obsadzić swe prowincje koloniami zwykłych Rzymian, że żołnierze weterani utworzą użyteczne garnizony, że rzymskie ziemie poza granicami będą lepiej uprawiane przez wielu drobnych posiadaczy niż przez garstkę wielkich, tym zaciętsza była opozycja. Przybywało jej raczej, niż ubywało, i co dzień była liczniejsza i bardziej zacięta. I wreszcie z wolna, prawie samorzutnie, nastawienie ogółu do drugiej ustawy rolnej Saturnina zaczęło się zmieniać. Wielu polityków z ludu - a wśród stałych bywalców Forum i wśród wpływowych ekwitów byli politycy - zaczęło wątpić w słusność Mariusza. Nigdy dotąd nie widziano bowiem takiej opozycji.

- Nie byłoby tyle dymu bez małego choćby ognia - zaczęli mówić między sobą i na użytek słuchaczy.

- To nie jest tylko jeszcze jeden głupi spór w senacie, są nazbyt nieprzejednani.

- Kiedy ktoś taki jak Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski - kto był cenzorem i konsulem, a wszyscy pamiętamy, jaki był odważny jako cenzor - gromadzi coraz większe poparcie, musi mieć chyba trochę racji.

- Słyszałem wczoraj jak pewien ekwita, którego poparcia bardzo potrzebuje Gajusz Mariusz, publicznie go znieważył! Gajusz Mariusz obiecał mu ziemię pod Tolosą, a teraz chce ją oddać weteranom z Policzonych Głowami.

- Ktoś mi mówił, że sam podsłuchał, jak Gajusz Mariusz mówił o nadaniu obywatelstwa wszystkim Italczykom.

- To już szósty konsulat Gajusza Mariusza - a piąty z rzędu. Słyszano, jak powiedział innym razem przy wieczerzy, że nie zrezygnuje z konsulatu! Zamierza rządzić rok po roku, aż do śmierci.

- On naprawdę chce być królem Rzymu!

Szeptana kampania Metellus Numidyjskiego i Katullusa Cezara zaczęła więc przynosić owoce. Nagle nawet Glaucja i Saturnin zaczęli się obawiać,

że druga ustawa rolna skazana jest na porażkę.



- Muszę mieć tę ziemię! - krzyczał zdesperowany Mariusz do żony, która przedtem czekała cierpliwie przez wiele dni, aż zechce on omówić z nią tę sprawę. Nie dlatego, żeby miała jakieś nowe pomysły albo coś krzepiącego do powiedzenia, ale ponieważ wiedziała, że jest jedynym prawdziwym przyjacielem w jego otoczeniu. Sulla został po tryumfie odesłany do Galii Italskiej, a Sertoriusz wyjechał do Hiszpanii Bliższej zobaczyć się ze swą germańską żoną i synem.

- Gajuszu Mariuszu, czy to naprawdę takie istotne? - spytała. - Czy to naprawdę coś zmieni, jeśli twoi żołnierze nie dostaną ziemi? Rzymscy żołnierze nigdy jej nie dostawali. Nie mogą też powiedzieć, że nie próbowałeś.

- Nie rozumiesz - powiedział niecierpliwie. - Tu już nie chodzi o żołnierzy, tu chodzi o moją *dignitas*, o moją pozycję. Jeśli ta ustawa nie przejdzie, przestanę być Pierwszym w Rzymie.

- Czy Lucjusz Apulejusz nie może pomóc?

- Stara się, bogowie wiedzą, że się stara! Zamiast jednak zdobywać teren, traci go. Czuję się jak Achilles w rzece: nie mogę wyjść z wody, bo brzeg się osuwa. Co się trochę wydrapię, osuwam się dwukrotnie niżej. Te plotki są niewiarygodne, Julio! Nie można też ich zwalczać, bo nigdy nie są jawne. Gdybym był winien dziesiątej części tego, co o mnie opowiadają, już dawno pchałbym jakiś głaz pod górę w Tartarze.

- No tak, z oszczerstwami nie sposób walczyć - przyznała swobodnie Julia. - Wcześniej czy później plotki stają się tak dziwaczne, że człowiek budzi się z krzykiem. Tak się dzieje i teraz. Oni cię zabijają, ale nie przestaną wbijać sztyletów, póki cały Rzym nie będzie miał tego serdecznie dość. Ludzie mogą być łatwowierni i naiwni, ale nawet najbardziej łatwowierni i naiwni dojdą w końcu do przesytu. Ta ustawa przejdzie, Gajuszu Mariuszu - jestem tego pewna. Nie spiesz się tylko zbytnio, poczekaj, aż opinia publiczna przechyli się na twoją stronę.

- O tak, ustawa może przejść, tak jak mówisz, Julio. Kto jednak powstrzyma kurię przed obaleniem jej z chwilą, gdy Lucjusz Apulejusz odejdzie z urzędu, a ja nie będę miał drugiego takiego trybuna, by im stawiał opór?

- Rozumiem.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Pochodzę z Juliuszów Cezarów, mężu, a to znaczy, że wyrastałam wśród dyskusji politycznych, chociaż moja płeć przeszkadza mi w karierze - rzekła i zagryzła wargę. - To jest problem, nieprawdaż? Ustawy rolne nie mogą być wprowadzane z dnia na dzień - one potrzebują czasu, całych lat. Znalezienie ziemi, pomierzenie jej, podział, znalezienie ludzi, którzy zostaną wpisani jako koloniści, komisarzy, odpowiedniego personelu - to trwa bez końca.

Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- Rozmawiałaś z Gajuszem Juliuszem!

- Rzeczywiście, rozmawiałam. Jestem w tym wcale biegła. - Poklepała

koniec sofy i dorzuciła: - Usiądź, mój kochany!

- Nie mogę, Julio.

- Czy nie ma sposobu, żeby ochronić te prawa?

Mariusz przestał chodzić po komnacie, obrócił się i spojrzał na nią spod brwi.

- Właściwie jest...

- Powiedz mi - poprosiła cicho.

- Gajusz Serwiliusz Glaucja wymyślił to, a Lucjusz Apulejusz wprost oszalał. Teraz we dwóch wspinają mi się na kark. Chcą mnie ugiąć, ale nie jestem pewien...

- Czy to tak niezwykle? - spytała, pamiętając o reputacji Glaucji.

- Dość niezwykle.

- Powiedz mi, proszę!

Mariusz pomyślał ze znużeniem, że byłoby ulgą opowiedzieć o tym komuś, kto nie ma w tym wszystkim własnego interesu.

- Jestem wojskowym, Julio, i lubię wojskowe rozwiązania. W wojsku każdy wie, że gdy wydaję rozkaz, jest to najlepszy możliwy rozkaz w danych okolicznościach. Wszyscy wykonują go w podskokach i bez pytania, bo znają mnie i ufają mi. Ta rzymska gromada też mnie zna i powinna mi ufać! Czy jednak ufają mi? Nie! Tak są zajęci wprowadzaniem w życie swoich pomysłów, że nie zwracają uwagi na pomysły innych, choćby nawet były one lepsze. Idę do senatu, wiedząc, zanim jeszcze tam dojdę, że muszę działać w atmosferze nienawiści i skrepowania. Jestem wyczerpany, zanim zacznę! Za stary jestem, żeby się nimi dręczyć, Julio! Wszystko to głupcy, którzy zmierzają do uśmiercenia republiki, udając, że nic się nie zmieniło od dzieciństwa Scypiona Afrykańskiego! Kolonie moich żołnierzy mają sens!

- Mają - powiedziała Julia, kryjąc zmieszanie.

Robił wrażenie zmęczonego, starszego niż był, a nie młodszego. Przybrał na wadze po raz pierwszy w życiu - wszystko przez to przesiadywanie na zebraniach zamiast przebywania na świeżym powietrzu - a włosy nagle posiwiały mu i zaczęły rzednąć. Wojaczka najwyraźniej lepiej służy mężczyznom niż prawodawstwo.

- Gajuszu Mariuszu, skończ z tym i powiedz mi wreszcie.

- Ta druga ustawa zawiera klauzulę, którą wymyślił Glaucja. - Mariusz znów zaczął chodzić po komnacie, wyrzucając z siebie słowa. - Senat ma w ciągu pięciu dni od wejścia ustawy w życie złożyć przysięgę, że będzie się bezterminowo trzymał jej postanowień.

Julia stłumiła okrzyk, uniosła ręce do policzków, spojrzała na Mariusza i wymówiła najmocniejsze słowo ze swego słownika

- *Ecastor!*

- Szokujące, nieprawdą?

- Gajuszu Mariuszu, oni ci nie wybaczą, jeśli włączysz to do ustawy!

- Myślisz, że o tym nie wiem? - wykrzyknął, wyciągając dłonie niczym szpony ku sufitowi. - Co innego mogę jednak zrobić? Muszę mieć tę ziemię.

Oblizwała wargi.

- Będziesz zasiadać w kurii jeszcze przez wiele lat. Czy nie możesz po prostu walczyć o utrzymanie tej ustawy?

- Czy kiedykolwiek przestałem walczyć? Jestem zmęczony walką, Julio! Chciała go rozśmieszyć drwiną.

- Ojej! Gajusz Mariusz zmęczony walką? Walczyłeś przez całe życie!

- To nie to samo, co teraz - usiłował wyjaśnić. - To jest nieczysta walka. Nie ma żadnych reguł. Nie wiesz, kim są - i gdzie są - twoi wrogowie. Dajcie mi pole bitwy! To, co tam się dzieje, jest przynajmniej szybkie i czyste - i najlepszy zwykle wygrywa. Senat rzymski to burdel, gdzie najniższe formy życia demonstrują najniższe formy zachowania. Spędzam tam dni, pełzając w ich służbie. Wolałbym, Julio, kąpać się we krwi na polu bitwy! Jeśli ktoś jest tak naiwny, by sądzić, że intryga polityczna nie przynosi tylu ofiar co wojna, zasługuje na wszystko, co mu zgotuje polityka.

Julia podeszła do męża, zmuszając go do zatrzymania i ujmując jego dłonie.

- Przykro mi to mówić, mój kochany, ale arena polityczna nie jest właściwym miejscem dla człowieka tak prawego jak ty.

- Jeśli dotąd tego nie wiedziałem, teraz już wiem - rzekł ponuro. - Chyba sprawiła to klauzula o przysiędze. Dokąd jednak zaprowadzą nas te prawa w nowym stylu? Publiusz Rutyliusz wciąż mnie o to pyta. Czy naprawdę zastępujemy dobrym złe? A może zastępujemy po prostu złe prawa jeszcze gorszymi?

- Czas pokaże - powiedziała spokojnie. - Cokolwiek się zdarzy, Gajuszu Mariuszu, pamiętaj, że zawsze zdarzają się kryzysy rządowe, że ludzie zawsze ogłaszają ze zgrozą, iż to czy inne prawo oznacza koniec republiki, że Rzym nie jest już Rzymem - wiem z lektury, że Scypion Afrykański powiedział to o Katonie Cenzorze! I chyba któryś z dawnych Juliuszów Cezarów powiedział to o Brutusie, kiedy ten kazał zabić swoich synów na samym początku dziejów. Republika jest niezniszczalna i wszyscy oni o tym wiedzą, nawet jeśli krzyczą, że jest zgubiona. Nie trać z oczu tego faktu.

Jej zdrowy rozsądek uspokoił go wreszcie. Spostrzegła z zadowoleniem, że w oczach zgasł mu czerwony blask i znikły plamy na policzkach. Uznała, że pora zmienić temat.

- Przy okazji, mój brat Gajusz Juliusz chciałby jutro się z tobą zobaczyć, skorzystałam więc z okazji i zaprosiłam go i Aurelię na obiad, jeśli się zgodzisz.

- Oczywiście! Zapomniałem! On wyjeżdża na Kercynę, by zakładać pierwszą kolonię moich weteranów, nieprawdaż? Bogowie, moja pamięć!

Ujął głowę w dłonie, wyrywając je z uścisku Julii.

- Co się ze mną dzieje, Julio?

- Nic takiego - uspokajała. - Potrzebujesz wytchnienia, kilku tygodni z dala od Rzymu. Skoro jednak to nie jest możliwe, poszukajmy Mariusza Młodszego.

Ten niezmiernie przystojny młodzik, prawie dziewięcioletni, był bardzo udanym synem: wysoki, silnej budowy, jasnowłosy i z nosem na tyle

rzymskim, by zadowolić ojca. Jego talenty były raczej fizyczne niż umysłowe, ale i to cieszyło Mariusza. To, że był jedynakiem, martwiło bardziej matkę niż ojca, bo Julia nie donosiła dwóch ciąży po śmierci młodszego syna i zaczęła już się obawiać, że tak będzie zawsze. Mariusz cieszył się jednak ze swego jedynaka i odrzucał myśl o jakimś innym koszyku, w którym mógłby złożyć jajka.

Uczta była wielkim sukcesem. Lista gości ograniczała się do Gajusza Juliusza Cezara, jego żony Aurelii i wuja Aurelii, Publiusza Rutyliusza Rufusa.

Cezar wyjeżdżał na Kercynę pod koniec ośmiodniowego cyklu otwarcia rynków. Był zachwycony zadaniem i tylko jedno psuło mu przyjemność.

- Nie będzie mnie w Rzymie, gdy urodzi się mój pierwszy syn - powiedział z uśmiechem.

- Aurelio, nie! Znowu? - jęknął Rutyliusz Rufus. - Zobaczycie, że to znowu będzie dziewczynka, i skąd weźmiecie jeszcze jeden posag?

- Ależ wujku Publiusz! - zawołała nieskruszona bynajmniej Aurelia i schrupała kawałek kurczęcia. - Po pierwsze, nie potrzebujemy posagów dla naszych dziewcząt. Ojciec Gajusza Juliusza kazał nam obiecać, że nie będziemy upartymi Cezarami i oszczędzimy naszym dziewczętom zepsucia plutokracji. Zamierzamy więc wydać je za jakieś bogate ziemiańskie zera. - Kolejne kawałki kurczęcia podzieliły los pierwszego. - Przy tym, mamy już dwie dziewczynki. Teraz zamierzamy mieć synów.

- Wszystkich naraz? - spytał Rutyliusz Rufus z błyskiem w oku.

- Ach, bliźniaki byłyby miłe! Czy się zdarzają u Juliuszów? - spytała nieulekła matka swą szwagierkę.

- Chyba tak - zastanowiła się Julia. - Z pewnością stryj Sekstus miał dwóch, chociaż jeden zmarł. Cezar Strabon jest bliźniakiem, nieprawdaż?

- Zgadza się. - Rutyliusz Rufus wyszczerzył zęby. - Nasz biedny zezowaty młody przyjaciel ma całe mnóstwo dodatkowych imion, a jednym z nich jest „Vopiscus”, co oznacza tego z bliźniaków, który przeżył. Słyszałem zresztą, że dostał nowy przydomek.

Złośliwa nutka w jego głosie nie uszła niczyjej uwagi. Mariusz postawił to pytanie.

- Jaki? - postawił pytanie Mariusz.

- Dorobił się przetoki w dolnych partiach, więc ktoś dowcipny nazwał go „Sesquiculus” - półtoradupkiem.

Biesiadnicy wybuchnęli śmiechem. Kobietom także wolno było cieszyć się tą małą nieprzyzwoitością.

- Bliźnięta zdarzały się też w rodzinie Lucjusza Korneliusza - powiedział Mariusz, ocierając oczy.

- Skąd ta wiadomość? - spytał Rutyliusz Rufus, wężąc nową plotkę.

- No cóż, wszyscy wiecie - chociaż Rzym o tym nie wie - że przeżył on ponad rok wśród Cymbrów. Miał tam żonę, Hermanę z Cherusków. Urodziła mu bliźniaków.

Wesołość Julii zgasła.

- Zginęła? W niewoli?

- *Edepol!* Nie! Odwiózł ją do jej plemienia w Germanii, zanim wrócił do mnie.

- Dziwak z tego Lucjusza Korneliusza - rzekł Rutyliusz Rufus z namysłem. - Ma chyba źle w głowie.

- Grubo się mylisz, Publiusz Rutyliuszu - odrzekł Mariusz. - Mało kto ma taką głowę na karku jak Lucjusz Korneliusz. Czeka go wielka przyszłość, jeżeli idzie o Rzym.

Julia zachichotała.

- Zaraz po tryumfie umknął do Galii Italskiej. Coraz częściej kłóć się z matką.

- Cóż, to zrozumiałe! - rzekł Mariusz odważnie. - Twoja matka jest jedyną osobą na tym skrawku ziemi, która może mnie wystraszyć na śmierć.

- Marcja to urocza kobieta - powiedział Rutyliusz Rufus, po czym dodał pośpiesznie, gdy wszystkie oczy zwróciły się na niego. - Przynajmniej z wyglądu. Kiedyś, dawniej.

- Jest bardzo zajęta wyszukiwaniem nowej żony dla Lucjusza Korneliusza - zauważył Cezar.

Rutyliusz Rufus omal nie zadławił się pestką od śliwki.

- Otóż, kilka dni temu byłem na wieczerzy u Marka Emiliusza Skaurusa - powiedział figlarnym tonem - i gdyby ona nie wyszła już za innego, założyłbym się, że Lucjusz Korneliusz sam znalazłby sobie żonę.

- Nie! - Aurelia pochyliła się w swym krześle. - Mówże, wujku Publiuszu!

- To mała Cecylia Metella Dalmatyńska, proszę uprzejmie.

- Żona samego princepsa senatu? - pisnęła Aurelia.

- Właśnie ona. Lucjusz Korneliusz spojrział na nią, kiedy ją wprowadzono, zaczerwienił się pod kolor swoich włosów i siedział potem, gapiąc się na nią przez cały wieczór.

- Trudno to sobie wyobrazić - rzekł Mariusz.

- A jednak można! - odparł Rutyliusz Rufus. - Nawet Marek Emiliusz to zauważył - cóż on... starej kwoki z jednym kurczęciem wobec swojej małej słodkiej Dalmatyńskiej. Odesłano ją do łóżka pod koniec głównego dania. Była bardzo rozczarowana. Posłała, wychodząc, spojrzenie pełne podziwu Lucjuszowi Korneliuszowi. Rozlał swoje wino.

- Jak dotąd nie rozlał jednak swego wina na jej łonie - zauważył posepnie Mariusz.

- Ach nie, tylko bez nowego skandalu! - wykrzyknęła Julia. - Lucjusz Korneliusz nie może sobie pozwolić na nowy skandal. Gajuszu Mariuszu, czy mógłbyś mu szepnąć słówko?

Mariusz zademonstrował minę niezadowolonego męża, od którego żona wymaga wykonania jakiegoś niemęskiego zadania.

- Oczywiście, że nie!

- Dlaczego? - Julia uważała, że jej prośba jest rozsądna.

- Bo prywatne życie człowieka jest jego sprawą - i nie podziękowałby mi za wtykanie nosa w to życie.

Julia i Aurelia miały rozczarowane miny.

Cezar zagrał jak zwykle rolę rozjemcy.

- Cóż, skoro Marka Emiliusza Skaurusa trzeba będzie za jakieś sto lat dobić toporem, nie musimy się martwić o Lucjusza Korneliusza i o Dalmatyńską. O ile wiem, matka dokonała już wyboru - i usłyszymy zgodę Lucjusza Korneliusza. Dostaniemy zaproszenia na wesele, kiedy tylko wróci on z Galii Italskiej.

- Któż to? - spytał Rutyliusz Rufus. - Nie słyszałem o tym ani słowa.

- Elia, jedynaczka Kwintusa Eliusza Tuberon.

- Niezbyt młoda, nieprawdaż? - zauważył Mariusz.

- Dobrze po trzydziestce, w tym samym wieku co Lucjusz Korneliusz - pocieszył go Cezar. - On nie chce już chyba mieć więcej dzieci, matka uznała więc, że bezdzietna wdowa będzie w sam raz. To całkiem przystojna pani.

- I z dobrej starej rodziny - dodał Rutyliusz Rufus. - Bogata!

- Zatem dobrze się składa dla Lucjusza Korneliusza - powiedziała z uczuciem Aurelia. - Lubię go, nic nie poradzę!

- Jak my wszyscy - mrugnął do niej Mariusz. - Gajuszu Juliuszu, nie jesteś chyba zazdrosny o ten jawny podziw.

- O, mam poważniejszego rywala do względów Aurelii niż zwykły legat i patrycjusz - uśmiechnął się szeroko Cezar.

Julia podniosła wzrok.

- Naprawdę? Kogo?

- Nazywa się Lucjusz Dekumiusz i jest dość niechlujnym człowiekiem koło czterdziestki, o cienkich nogach, tłustych włosach i cuchnie czosnkiem. - Cezar przeszukiwał półmisek z suszonymi owocami w pogoni za największym rodzynkiem. - Mój dom jest stale pełen wspaniałych waz z kwiatami, pora roku nie robi różnicy Lucjuszowi Dekumiuszowi, który co cztery, pięć dni przysyła nowe. Odwiedza też moją żonę i prawi jej pochlebstwa. Właściwie on się tak cieszy z narodzin naszego dziecka, że zaczynam mieć podejrzenia.

- Przestań, Gajuszu Juliuszu! - roześmiała się Aurelia.

- A kim on jest? - zainteresował się Rufus.

- Opiekunem, czy jak tam go nazywają, w kolegium rozdroży, któremu Aurelia udziela pomieszczenia, nie pobierając czynszu - wyjaśnił Cezar.

- Lucjusz Dekumiusz i ja zawarliśmy porozumienie. - Aurelia przechwyciła rodzynek, który Cezar trzymał w pół drogi do ust.

- Co za porozumienie?

- Gdzie może uprawiać swój zawód, a mianowicie wszędzie, byle nie w pobliżu mego domu.

- Co to za zawód?

- Jest zabójcą - powiedziała Aurelia.

Kiedy Saturnin przedstawił swoją drugą ustawę rolną, klauzula z wymaganiem przysięgi uderzyła w Forum jak grom. Nie był to Jowiszowy piorun, raczej przewalający się grzmot dawnych bogów, prawdziwych i pozbawionych oblicza, *numina*. Chodziło nie tylko o przysięgę, ale i o to, że zamiast zwyczajowej przysięgi w świątyni Saturna, ustawa Saturnina

żądała przysięgi pod otwartym niebem, w pozbawionej dachu świątyni Semo Sanctusa na dolnym Kwirynale, gdzie ten pozbawiony oblicza bóg, nie mający żadnej mitologii, miał tylko posąg Gai Cecylii - żony króla Tarkwiniusza Pysznego - aby uczłowieczyć swą siedzibę. Bóstwa zaś, w których imieniu składano przysięgę, nie były wielkimi bogami Kapitolu, ale małymi, bezpostaciowymi *numina* prawdziwie rzymskimi - były to zaś penaty państwa, stróże państwowej sakiewki i spiżarni - Lary Praestites, opiekunowie państwa, i Westa, opiekunka domowego ogniska. Nikt nie wiedział, jak oni wyglądają ani skąd przyszli, ani jakiej właściwie są płci, oni po prostu - byli. I mieli znaczenie. Byli rzymscy. Byli wyobrażeniami najbardziej prywatnych bogów, bóstw, które rządziły rodziną, najświętszych w całej rzymskiej tradycji. Żaden Rzymianin nie mógłby przysiąc na te bóstwa i zastanawiać się nad złamaniem przysięgi, bo taki postępek oznaczałby klęskę i zniszczenie dla jego rodziny, domu i sakiewki.

Prawniczy umysł Glaucji nie ufał jednak nie nazwanym lękom przed bezimiennymi *numina*: aby przysięga odniosła skutek, prawo Saturnina mówiło, że senatorowi, który odmówi przysięgi, odmówi się ognia i wody w Italii, wymierzy grzywnę w wysokości dwudziestu talentów srebra i pozbawi się go obywatelstwa.

- Kłopot w tym, że nie zaszliśmy dość daleko ani dość szybko - powiedział Metellus Numidyjski do Katullusa Cezara, Ahenobarba Pontifexa Maximusa, Metellusa Prosiaka, Skaurusa, Lucjusza Kotty i jego stryja Marka Kotty. - Ludzie nie są jeszcze gotowi odrzucić Gajusza Mariusza. Od nas wymagać się będzie przysięgi. - Zadrzał. - Jeśli przysięgnę, muszę dotrzymać!

- Zatem to nie może stać się prawem - rzekł Ahenobarbus.

- Żaden trybun ludowy nie ośmieli się tego zawetować - powiedział Marek Kotta.

- Trzeba więc walczyć z tym za pomocą religii - rzucił Skaurus i spojrzał znacząco na Ahenobarba. - Druga strona wykorzystuje religię, nie ma więc powodu, żebyśmy i my tego nie robili.

- Chyba wiem, o co ci chodzi - rzekł Ahenobarbus.

- Ja nie wiem - przyznał Lucjusz Kotla.

- Kiedy nadejdzie dzień głosowania nad ustawą i augurowie będą badać znaki, by mieć pewność, że zebranie nie narusza praw boskich, dopilnujemy, aby znaki były niepomyślne. Znaki będą odtąd stale niepomyślne, dopóki któryś z naszych trybunów nie ośmieli się zgłosić weta z przyczyn religijnych. To ukręci łeb ustawie, bo lud szybko się do niej zniechęci.

Ten plan wprowadzono w życie. Znaki zostały uznane przez augurów za niepomyślne. Na nieszczęście Lucjusz Apulejusz Saturnin sam był augurem - była to mała rekompensata przyznana mu z inicjatywy Skaurusa w czasie, gdy przywracano mu dobre imię - i miał inne zdanie w sprawie znaków.

- To oszustwo! - krzyczał do ludu, stojąc w niecce komicjum. - Patrzenie tylko na tych sługusów wielkich polityków. W tych znakach nie ma niczego złego, to tylko sposób na złamanie władzy ludu! Wszyscy wiemy,

że princeps senatu Skaurus i Metellus Numidyjski, i Katullus Cezar pozwolą sobie na wszystko, by pozbawić naszych żołnierzy należnej im nagrody - i to właśnie dowód, że pozwalają sobie na wszystko! Rozmyślnie fałszują wolę bogów!

Lud uwierzył Saturninowi, który pomyślał z góry o wprowadzeniu w tłum swych gladiatorów. Gdy któryś z trybunów ludowych usiłował zgłosić weto, powołując się na niepomyślne znaki i na to, że słyszał grzmot, a więc prawo ustanowione tego dnia będzie *nefas*, świętokradcze, gladiatorzy zaczęli działać. Kiedy Saturnin ogłosił, że nie dopuszcza tego weta, jego ludzie ściągnęli nieszczęsnego trybuna z rostrów, pobiegli z nim po Clivus Argentarius do Lautumiów i przetrzymali tam do końca zebrania. Druga ustawa rolna została poddana pod głosowanie i stała się prawem. Klauzula przysięgi zaintrygowała stałych uczestników zgromadzenia plebejskiego. Co nastąpi, gdy stanie się ona prawem? Kto się sprzeciwi? Jak zachowa się senat? Szkoda byłoby to stracić! Ludzie chcieli zobaczyć, co z tego wyniknie.

W dzień po ustanowieniu tego prawa Metellus Numidyjski wstał ze swego miejsca w senacie i oznajmił z wielką godnością, że nie złoży przysięgi.

- Moje sumienie, moje zasady, moje całe życie, wszystko zależy od tej decyzji! - krzyczał. - Zapłacę grzywnę i pójdę na wygnanie na Rodos. Bo nie przysięgnę. Słyszycie, ojcowie spisani? Ja - nie - przysięgnę! Nie mogę przysiąc, że będę się trzymał postanowień czegoś, czemu sprzeciwia się cała moja istota. Kiedy trzeba wyprzeć się krzywoprzysięstwa? Co jest gorsze - przysiąc, że będzie się przestrzegać prawa wbrew sobie, czy nie przysięgać? Każdy z was odpowie za siebie. Ja odpowiadam, że większym złem jest przysiąc. Mówię więc do ciebie, Lucjuszu Apulejuszu Saturninie, i mówię do ciebie, Gajuszu Mariuszu - ja - nie przysięgnę! Wybieram grzywnę i wygnanie.

Jego wystąpienie zrobiło głębokie wrażenie, bo wszyscy obecni wiedzieli, że mówił serio. Mariusz zmarszczył brwi, a Saturnin odstąpił zęby. Zaczęły się pomruki wątpliwości i niezadowolenia i nasilały się coraz bardziej.

- Będą trudności - szeptał Glaucja ze swego kurulnego krzesła u boku Mariusza.

- Jeśli nie zamknę zebrania, wszyscy oni odmówią przysięgi - mruknął Mariusz, wstał i rozpuścił kurie.

- Zalecam pójdźcie do domu i zastanowienie się przez trzy dni nad poważnymi konsekwencjami, jakie niesie odmowa przysięgi. Kwintusa Cecyliusza stać na grzywnę i na komfortowe wygnanie. Czy wielu z was może to powiedzieć o sobie? Idźcie więc, ojcowie spisani, i myślcie przez trzy dni. Kuria zbierze się na czwarty dzień od dziś i musicie się wtedy zdecydować. Pamiętajcie o ograniczeniu czasu do namysłu w *lex Appuleia agraria secunda*.

„Nie możesz tak do nich mówić”, powtarzał sobie Mariusz, przemierzając posadzki swego wielkiego i pięknego domu przy świątyni Junony Monety, podczas gdy żona patrzyła na to bezsilnie, a syn, tak zwykle

zuchwały, krył się w swym pokoju zabaw.

„Nie możesz tak do nich mówić, Gajuszu Mariuszu. To nie żołnierze. To nawet nie niżsi oficerowie, mimo że ja jestem konsulem, a oni w większości ludźmi z tylnych rzędów, których tłuste tyłki nigdy nie spoczną na kurulnych krzesłach z kości słoniowej. Wszyscy oni aż do ostatniego naprawdę uważają się za równych mnie - Gajuszowi Mariuszowi, sześciokrotnemu konsulowi tego miasta, tego kraju i tego imperium! Muszę ich pokonać, nie mogę pozwolić sobie na hańbę klęski. Moja *dignitas* jest o wiele większa niż ich, cokolwiek by mówili innego. Nie pozwolę, by ucierpiała. Jestem Pierwszym w Rzymie. Jestem trzecim założycielem Rzymu. Po mojej śmierci będą musieli przyznać, że ja, Gajusz Mariusz, italski wieśniak, który wcale nie znał greki, byłem największym człowiekiem w historii naszej republiki, senatu i ludu rzymskiego”.

Nie wyszedł poza te myśli w ciągu owych trzech dni, które dał senatorom. Wciąż na nowo wracał lęk przed utratą *dignitas*, gdyby przyszło mu ponieść porażkę. O świcie czwartego dnia poszedł do Kurii Hostyliusza zdecydowany wygrać - i nie zastanawiając się nad tym, jakiej taktyki mogą użyć wielcy politycy przeciw niemu. Zwrócił szczególną uwagę na swój wygląd, nie mając zamiaru ujawnić światu, że spędził trzy dni, chodząc po domu. Zszedł potem ze Wzgórza Bankierów poprzedzany przez dwunastu liktorów, jakby rzeczywiście władał Rzymem.

Kuria zgromadziła się w niezwykłym spokoju. Ledwie kilka stołków zgrzytnęło, ledwie kilku ludzi zakaszłało i ledwie kilku uczestników mamrotało coś i szurało nogami. Złożenie ofiary przebiegło bez zakłóceń, a znaki okazały się pomyślne dla zebrania.

Mariusz wstał w budzącym lęk majestacie, wielki mąż, doskonale opanowany. Chociaż nie zastanawiał się wcale nad możliwą taktyką wielkich polityków, wypracował w najdrobniejszych szczegółach własną taktykę, a na twarzy miał wypisaną pewność sukcesu.

- Spędziłem trzy dni na rozmyślaniach, ojcowie spisani - zaczął, utkwivszy oczy raczej w przestrzeni między senatorami niż w jakiejś jednej twarzy, przyjacielskiej czy wrogiej. I tak zresztą dopiero z bliska można było stwierdzić, gdzie patrzą oczy Mariusza, bo gęste brwi całkiem je skrywały. Ujął w lewą rękę skraj togi spadającej w wielu pięknie ułożonych fałdach z jego lewego ramienia do stóp i zszedł z kurulnego krzesła na posadzkę sali. - Jeden fakt jest oczywisty - rzekł, po czym postąpił kilka kroków i stanął. - Jeśli to prawo jest ważne, nakazuje nam przysiąc, że będziemy się go trzymali. - Przeszedł jeszcze kilka kroków. - Jeśli to prawo jest ważne, musimy złożyć tę przysięgę. - Podeszedł do drzwi i obrócił się, by widzieć obie strony kurii. - Czy jednak jest ważne? - spytał głośno.

Pytanie utonęło w głuchym milczeniu.

- Otóż to! - wyszeptał Skaurus do Metellusa. - Jest skończony. Sam się właśnie zniszczył!

Ale Mariusz nie usłyszał tego przy drzwiach. Nie przerywał i ciągnął dalej.

- Są między wami tacy, którzy twierdzą, że prawo ustanowione w takich okolicznościach jak *lex Appuleia agraria secunda* nie może być ważne. Słyszałem, że podważa się ważność tego prawa, używając dwóch argumentów: po pierwsze, że ustanowiono je z lekceważeniem wróżebnych znaków, a po drugie, że ustanowiono je mimo pogwałcenia nietykalności legalnie obranego trybuna ludowego.

Znów zaczął chodzić i znów stanął.

- Przyszłość tego prawa wyraźnie budzi wątpliwości. Zgromadzenie Plebejskie musi ocenić jego ważność w świetle tych zastrzeżeń. - Zrobił mały krok i stanął. - To jednak, ojcowie spisani, nie jest powodem, dla którego dziś tu jesteśmy. Ważność tego prawa *per se* nie jest naszą największą troską. Mamy większą. - I tu uczynił jeszcze jeden mały krok. - To zakwestionowane prawo każe nam przysiąc, że będziemy się trzymać tego zakwestionowanego prawa. I o tym właśnie mamy dziś mówić. Dziś mija ostatni termin złożenia przysięgi, sprawa jest więc pilna. Dzisiaj też zakwestionowane prawo jest ważnym prawem. Musimy zatem przysiąc, że go dotrzymamy.

Poszedł spieszenie naprzód, prawie do podwyższenia, potem zawrócił i skierował się wolno do drzwi.

- Dziś, ojcowie spisani, złożymy wszyscy tę przysięgę. Zobowiązuje nas do tego polecenie ludu rzymskiego. To oni tworzą prawa! My z senatu jesteśmy tylko ich sługami. Zatem - przysięgamy, bo nie robi to nam żadnej różnicy, ojcowie spisani! Jeśli kiedykolwiek w przyszłości Zgromadzenie Plebejskie oceni ważność tego prawa i uzna je za nieważne, nasza przysięga też będzie nieważna - w jego głosie pojawiła się tryumfalna nuta. - To właśnie musimy zrozumieć! Przysięga, którą składamy, że będziemy się trzymać prawa, pozostaje przysięgą tylko tak długo, jak długo prawo pozostaje prawem. Jeśli Zgromadzenie Plebejskie unieważni to prawo, unieważni też nasze przysięgi.

Skaurus princeps senatu kiwał głową rytmicznie i z mądrą miną. W oczach Mariusza wyglądało to, jakby zgadzał się z każdym słowem. Skaurus kiwał jednak głową z całkiem innego powodu. Owo kiwanie towarzyszyło temu, co mówił cicho do Metellusa Numidyjskiego.

- Mamy go, Kwintusie Cecyliuszu! Wreszcie go mamy! Wycofuje się. Zmusiliśmy go do przyznania przed całą kurią, że ważność prawa Saturnina jest wątpliwa. Wymanewrowaliśmy arpińskiego lisa!

Pewien, że ma kurię po swej stronie, uniesiony powodzeniem Mariusz wrócił na podwyższenie i stanął przed swym kurulnym krzesłem rzeźbionym w kości słoniowej.

- Sam złożę tę przysięgę pierwszy - przemówił tonem rozsądku. - Jeśli zaś ja, Gajusz Mariusz, wasz starszy konsul od ponad czterech lat, jestem gotów przysiąc, co to kosztuje pozostałych? Omówiłem to z kapłanami z kolegium Dwóch Zębów i świątynia Semo Sanctusa boga przysięg została przygotowana. To niedaleka droga! Kto idzie ze mną?

Rozległo się westchnienie, cichy pomruk, szuranie butów, gdy ludzie zaczęli się ruszać. Senatorowie z tylnych rzędów zaczęli powoli wstawać ze swych stołków.

- Jedno pytanie, Gajuszu Mariuszu - rzekł Skaurus.

Kuria ucichła znowu. Mariusz skinął głową.

- Chciałbym usłyszeć twoją osobistą opinię, Gajuszu Mariuszu. Nie opinię oficjalną. Tylko opinię osobistą.

- Jeśli tak sobie cenisz moją opinię, Marku Emiliuszu, usłyszysz ją oczywiście. Na jaki temat?

- Czy ty osobiście myślisz - spytał Skaurus głosem sięgającym do wszystkich kątów kurii - że *lex Appuleia agraria secunda* jest ważne w świetle tego, co zaszło w czasie jego uchwalania?

Cisza. Całkowita cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Nawet Gajusz Mariusz.

- Czy chcesz, żebym powtórzył pytanie, Gajuszu Mariuszu? - spytał słodkim głosem Skaurus.

Mariusz oblizwał wyschnięte wargi. „Co robić? W końcu się poślizgnąłeś, Gajuszu Mariuszu. Wpadłeś w dół, z którego się nie wydostaniesz. Czemu nie przewidziałem tego pytania, które zadał mi jedyny wśród nich tęgi umysł? Czy mnie oślepiła własna przebiegłość? To pytanie musiało paść! A ja nigdy o tym nie pomyślałem przez te trzy długie dni.

Cóż, nie mam wyboru, Skaurus chwycił mnie za jaja. Muszę teraz powiedzieć kurii, że osobiście uważam to prawo za nieważne. Inaczej nikt nie przysięgnie, że będzie się go trzymać. Przekonałem ich, że są jakieś wątpliwości. Przekonałem, że to umożliwi przysięgę. Jeśli teraz się wycofam, stracę ich. Jeśli jednak powiem, że osobiście mam to prawo za nieważne, grozi mi utrata twarzy”.

Spojrzał na ławę trybunów i ujrzał Lucjusza Apulejusza Saturnina, pochylonego ku przodowi z zaciśniętymi pięściami, zaciętą twarzą i uniesionymi wargami odsłaniającymi zęby.

„Utracę tego, tak ważnego dla mnie, człowieka, jeśli powiem, że mam to prawo za nieważne. Utracę największego prawodawcę, jakiego widział Rzym, Glaucję... Moglibyśmy wspólnie doprowadzić do porządku Italię mimo kreciej roboty wielkich polityków. Jeśli powiem, że ich prawo mam za nieważne, utracę ich na zawsze. A jednak - muszę to powiedzieć. Jeśli nie powiem, ci *cunni* nie złożą przysięgi i moi żołnierze nie dostaną swojej ziemi. To wszystko, co mogę uratować w tym zamęcie. Ziemia dla moich ludzi. Przegrałem”.

Gdy noga kurulnego krzesła Glaucji zgrzytnęła o marmurową płytę, połowa członków senatu podskoczyła w górę. Glaucja przyglądał się swoim paznokciom z zaciśniętymi ustami i twarzą bez wyrazu. Milczenie przedłużało się, chwila po chwili.

- Chyba lepiej będzie, jeśli powtórzę pytanie, Gajuszu Mariuszu - rzekł Skaurus. - Jakie jest twoje osobiste zdanie? Czy to prawo jest ważne, czy nie?

- Uważam... - Mariusz urwał i zmarszczył groźnie brwi. - Osobiście uważam, że to prawo jest prawdopodobnie nieważne.

Skaurus klepnął się z hałasem po udach.

- Dzięki ci, Gajuszu Mariuszu! - Wstał i obrócił się rozpromieniony ku rzędom za swoimi plecami, a potem znów ku rzędom naprzeciw siebie.

- Cóż, ojcowie spisani, jeśli nie kto inny jak nasz zwycięski bohater Gajusz Mariusz uważa *lex Appuleia* za nieważne, ja pierwszy z radością złożę przysięgę. - Skłonił się Saturninowi i Glaucji. - Dalej, koledzy senatorowie, jako wasz princeps senatu proponuję, żebyśmy bezzwłocznie ruszyli do świątyni Semo Sanctusa!

- Stać!

Wszyscy stanęli. Metellus Numidyjski klasnął w dłonie. Z samego końca górnego rzędu zszedł jego służący zgięty pod ciężarem worków, które ciągnął po sześciostopowej szerokości schodach. Kiedy worki spoczęły u stóp Metellusa, sługa wrócił na górę i zniósł dwa następne. Kilku senatorów z tylnych ław spojrzało na stos piętrzący się pod ścianą i skinęło na swoich służących, by pomogli. Praca poszła teraz szybciej, aż wreszcie czterdzieści worków leżało wokół stołka Metellusa Numidyjskiego. On sam wstał.

- Nie złożę tej przysięgi - powiedział. - Nie przysięgnę nawet po tysiącu zapewnień starszego konsula że *lex Appuleia* jest nieważne. Składam tu więc dwadzieścia talentów w srebrze, splacając grzywnę, i ogłaszam, że jutro o świcie udaję się na wygnanie na Rodos.

Rozpętało się pandemonium.

- Spokój! Spokój! Spokój! - krzyczał Skaurus i krzyczał Mariusz.

Kiedy zapanował porządek, Metellus Numidyjski obejrzał się i przemówił do kogoś w tylnym rzędzie.

- Kwestorze skarbu, podejdź proszę.

Zszedł na dół młody człowiek z dobrą prezencją, o ciemnych włosach i piwnych oczach w lśniący białej todzie o nienagannych fałdach. Był to Kwintus Cecyliusz Metellus Prosiak, syn Metellusa Numidyjskiego Świńskiego.

- Kwestorze skarbu, daję ci te dwadzieścia talentów srebra. Zatrzymaj je jako zapłatę grzywny nałożonej na mnie za odmowę przysięgi przestrzegania *lex Appuleia agraria secunda* - powiedział Metellus Numidyjski. - Skoro jednak jest tu cała kuria, żądam przeliczenia, by ojcowie spisani mieli pewność, że nie brak ani denara.

- Wierzmy ci na słowo, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł Mariusz, uśmiechając się bez cienia wesołości.

- Ach, ale ja nalegam - rzekł Metellus Numidyjski. - Nikt nie odejdzie z tego miejsca, zanim nie będzie policzona ostatnia moneta. - Odkaslnął. - Ogólnie suma wynosi sto trzydzieści pięć tysięcy denarów.

Wszyscy usiedli, wzdychając ciężko. Dwaj urzędnicy kurii przynieśli stół i postawili go przy miejscu Metellusa Numidyjskiego. Sam Metellus stał, podtrzymując lewą dłonią fałdy togi, a prawą opierając palcami na stole. Urzędnicy otworzyli pierwszy worek, podnieśli i wysypali zawartość na połyskujący i dźwięczący stosik przy dłoni Metellusa Numidyjskiego. Młody Metellus dał znak urzędnikom, by trzymali pusty worek i zaczęli liczyć monety, przesuwając je do prawej ręki trzymanej przy skraju stołu. Gdy dłoń się napełniła, wsypał je do worka.

- Zaczekaj - powiedział Metellus Numidyjski i Metellus Prosiak zatrzymał się. - Licz na głos, kwestorze skarbu!

Rozległ się zbiorowy jęk.

Metellus Prosiak złożył monety na stole i zaczął od nowa.

- J... j... jeden, d... d... dwa..., t... t... trzy..., cz... cz... cztery...

O zachodzie słońca Gajusz Mariusz wstał ze swego kurulnego krzesła.

- Dzień minął, ojcowie spisani. Nasze sprawy nie są zakończone, ale w tej kurii nikt nie zasiada na formalnym posiedzeniu po zachodzie słońca. Sugeruję zatem, byśmy poszli do świątyni Semo Sanctusa złożyć przysięgę. Trzeba to zrobić przed północą, bo pogwałcimy wyraźne zalecenie ludu - rzekł Mariusz i spojrzął na Metellusa Numidyjskiego i jego syna, który nadal był zajęty liczeniem, chociaż jąkał się znacznie mniej, gdy przestał się denerwować.

- Marku Emiliuszu Skaurusie, princepsie senatu, twoim obowiązkiem jest pozostać tu i dopilnować liczenia. Liczę na ciebie. Dlatego też zezwalam ci na złożenie przysięgi jutro. Albo pojutrze, jeśli liczenie będzie jutro trwało nadal. - Cię uśmiechu igrał w kącikach ust Mariusza.

Ale Skaurus się nie uśmiechał. Zadał głowę i roześmiał się na całe gardło.

Późną wiosną wrócił z Galii Italskiej Sulla i gdy tylko wykapał się i przebrał, poprosił o widzenie z Gajuszem Mariuszem. Mariusz wyglądał nie najlepiej, ale to nie zaskoczyło Sulli. Nawet na północy wiele mówiono o wydarzeniach związanych z uchwaleniem *lex Appuleia*. Mariusz niczego mu nie musiał mówić. Patrzyli po prostu na siebie, nic nie mówiąc, i wszystko, co mieli sobie do przekazania, zostało przekazane bez słów.

Gdy jednak emocje nieco opadły i wypito pierwszy puchar wina, Sulla poruszył najbardziej niemiły temat.

- Twoja wiarygodność mocno ucierpiała.

- Wiem, Lucjusz Korneliuszu.

- To sprawka Saturnina, jak słyszałem.

Mariusz westchnął.

- Czy mogę mu mieć za złe, że mnie nienawidzi? Wygłosił już z rostrów z pół setki przemówień do starannie dobranych słuchaczy. Wszyscy oskarżają mnie, że go zdradziłem. Skoro zaś jest on świetnym mówcą, historia mojej zdrady nie traci opowiedziana przez niego. Pociąga też za sobą tłumy. Nie tylko zwykłych bywalców Forum, ale ludzi z trzeciej, czwartej i piątej klasy, których fascynuje do tego stopnia, że każdy swój wolny dzień spędzają na Forum, by go słuchać.

- Jak często przemawia? - spytał Sulla.

- Codziennie.

Sulla gwizdnął.

- To coś nowego w dziejach Forum. Codziennie? Deszcz czy słońce? Czy są zgromadzenia, czy nie?

- Codziennie. Kiedy pretor miejski - jego wesoły towarzysz Glaucja - przekazał mu polecenie Pontifexa Maximusa, by pouczył Saturnina, że nie wolno mu przemawiać w dni targowe, w święta i w dni, w których nie ma zebrań, on po prostu to zignorował. Ponieważ jest on trybunem ludowym, nikt nie próbował nawet mu przeszkadzać. - Mariusz zmarszczył brwi. - W

rezultacie jego sława się szerzy, my zaś oglądamy nowy rodzaj bywalców Forum - tych, którzy przychodzą wyłącznie, by słuchać Saturnina. Ma on - nie wiem, jak ty byś to nazwał, chyba Grecy, jak zwykle, wymyślili odpowiednie słowo - charyzmę. Chyba czują jego pasję, bo nie będąc bywalcami Forum, nie znają się na retoryce i nie obchodzi ich wcale jego sposób wywijania małym palcem czy różne sposoby chodzenia. Nie, oni po prostu stoją, gapiąc się na niego i podniecając się coraz bardziej tym, co mówi, a w końcu wiwatują dziko na jego cześć.

- Musimy go mieć na oku, nieprawdaż? - spytał Sulla. Spojrzał na Mariusza z powagą. - Czemu to robisz?

Mariusz nie udawał, że nie wie, o co chodzi, i odpowiedział od razu:

- Nie mam wyboru, Lucjuszu Korneliuszu. Prawdą jest, że nie jestem dość... przebiegły, żeby zaglądać za wszystkie rogi, by wyprzedzić posunięcia ludzi w rodzaju Skaurusa. Przyłapał mnie tak gładko, jak każdy by chciał, przyznaję.

- W pewien sposób uratowałeś jednak plan - pocieszał go Sulla. - Drugie prawo rolne wciąż jest na tablicach i chyba ani Zgromadzenie Plebejskie, ani Zgromadzenie Ludowe go nie unieważni. Tak mi przynajmniej mówiono.

- To prawda - odparł Mariusz, ale nie wyglądał na pocieszonego. Wciągnął głowę w ramiona i westchnął. - Saturnin jest zwycięzcą, Lucjuszu Korneliuszu, a nie ja. To jego uczucie oburzenia wiąże z nim ludzi. Ja ich straciłem. - Rozłożył ręce. - Jak mam wytrwać do końca roku? To prawdziwa męka przechodzić wśród gwizdów i syków, dolatujących od strony rostrów, gdy przemawia Saturnin, a ja wchodzę do kurii - nie cierpię tego! Nie cierpię tego uśmiešku na pomarszczonej twarzy Skaurusa. Nie cierpię wymuszonego uśmiechu tego wielbłąda Katullusa! Nie nadaję się do polityki, to prawda, i wreszcie to spostrzegłem.

- Przeszedłeś jednak *cursus honorum*, Gajuszu Mariuszu! Byłeś jednym z wielkich trybunów ludowych. Znasz się więc na polityce, bo inaczej nigdy byś tego nie osiągnął.

Mariusz wzruszył ramionami.

- Ach, byłem wtedy młody, Lucjuszu Korneliuszu, i miałem tęgą głowę. Nie jestem jednak urodzonym politykiem.

- Chcesz zatem oddać środek sceny takiemu wilczemu łbu jak Saturnin? To niepodobne do Gajusza Mariusza, którego znam - rzekł Sulla.

- Nie jestem Gajuszem Mariuszem, którego znasz. - Mariusz uśmiechnął się słabo. - Ten nowy Gajusz Mariusz jest bardzo, bardzo zmęczony. I wydaje mi się tak samo obcy, jak tobie, możesz mi wierzyć!

- Wyjedź więc stąd na lato, proszę.

- Mam zamiar. Kiedy tylko zawrzesz ten związek z Elią.

Sulla wzdrygnął się, potem się zaśmiał.

- Bogowie, całkiem o tym zapomniałem! - Wstał spreżyście, był dobrze zbudowanym mężczyzną w kwiecie wieku.

- Lepiej pójdę do domu i postaram się zobaczyć z naszą teściową. Z pewnością łamie sobie głowę - zadrżał - jak się ze mną rozstać.

Dreszcz nic nie znaczył dla Mariusza.

- Tak, niecierpliwi się. Kupiłem jej ładną małą willę niedaleko naszych w Kyme.

- Idę więc do domu rączy niczym Merkury goniący za kontraktem na odnowienie Via Appia! - Sulla wyciągnął dłoń. - Uważaj na siebie, Gajuszu Mariuszu. Jeśli Elia nadal mnie chce, zawrę ten związek od razu. - Coś mu przyszło na myśl i zaśmiał się. - Masz świętą rację! Katullus Cezar wyglądał jak wielbłąd! Monumentalna zarozumiałość!

Julia czekała pod pracownią, by odprowadzić Sullę do wyjścia.

- I co myślisz? - spytała niespokojnie.

- Dojdzie do siebie, siostrzyczko. Pobito go, więc cierpi. Zabierz go do Kampanii, każ mu kąpać się w morzu i tarzać się wśród róż.

- Zrobię to, gdy tylko się ożenisz,

- Żenię się, żenię! - wykrzyknął, podnosząc dłonie na znak poddania.

Julia westchnęła.

- Jest coś, na co nie ma rady, Lucjuszu Korneliuszu; niecałe pół roku na Forum zniszczyło Gajusza Mariusza bardziej niż dziesięć lat w polu przy armii.

Wyglądało na to, że wszyscy potrzebowali odpoczynku, bo gdy tylko Mariusz wyjechał do Kyme, życie publiczne w Rzymie zamarło. Jeden za drugim dostojnicy opuszczali miasto, w którym trudno było wytrzymać w czasie upałów, w którym w Suburze i na Eskwilinie szalały epidemie duru brzuszego i nawet Palatyn i Awentyn nie były najzdrowszymi miejscami.

Życie w Suburze nie męczyło jednak zbyt wiele Aurelii. Mieszkała w chłodnej pieczarze, bo zieleń podwórka i niezmiernie grube mury insuli chroniły przed upałem. Gajusz Matius i jego żona Priscilla byli w podobnej sytuacji, bo Priscilla też była w ciąży i spodziewała się dziecka w tym samym czasie co Aurelia.

Obie były pod dobrą opieką. Gajusz Matius był stale na miejscu, a Lucjusz Dekumiusz wpadał codziennie upewnić się, że wszystko w porządku. Kwiaty przychodziły regularnie, wspierane upominkami w postaci słodczy, rzadkich przypraw i wszystkiego, co mogło zdaniem Lucjusza Dekumiusza zaostriżyć apetyt jego kochanej Aurelii.

- Tak jakbym straciła ten apetyt! - śmiała się w rozmowie z Rutyliszczem Rufusem, kolejnym regularnym gościem.

Jej syn, Gajusz Juliusz Cezar urodził się trzynastego dnia kwinktylisa. W rejestrach świątyni Junony Lucyny zapisano, że stało się to na dwa dni przed idami kwinktylisa. Był wysoki i ważył więcej, niż na to wyglądał. Był dzieckiem silnym, był poważny i spokojny, nieskory do płaczu. Włosy miał tak jasne, że prawie niewidoczne, choć z bliska widać było, że ma ich całe mnóstwo, oczy zaś od urodzenia miał zielononiebieskie z ciemnoniebieską otoczką.

- Ten twój syn to naprawdę ktoś! - Lucjusz Dekumiusz wpatrywał się uważnie w twarz dziecka. - Spójrz tylko na te oczy! Mogłyby nastraszyć twoją babkę!

- Nie mów takich rzeczy, ty mały pryszczu! - warknęła Kardyksa zakochana w tym pierwszym chłopczyku w rodzinie.

- Niech no zerknę na dolne partie - rzekł Lucjusz Dekumiusz i nie-
wprawnie rozwiązał pieluchy. - Oho ho ho ho ho! - zapiał. - Właśnie tak
myślałem! Duży nos, duże stopy i duży kutas!

- Lucjuzie Dekumiuszu! - Aurelia wyraziła swoje oburzenie.

- Dość tego! Wynocha! - ryknęła Kardyksa, podnosząc Dekumiusza za
kark i wyrzucając za drzwi tak, jak zrobiła to jakaś mniejsza od niej kobieta
z kociątkiem.

Sulla odwiedził Aurelię prawie miesiąc po narodzinach dziecka, tłumacząc się, że prócz niej nie ma w Rzymie żadnej znajomej twarzy, i przepraszając, jeśli się narzuca.

- Oczywiście, że nie - rzekła zachwycona jego wizytą. - Mam nadzieję,
że zostaniesz na obiedzie - a jeśli nie możesz dziś, to może jutro? Tak mi
brakuje towarzystwa!

- Mogę zostać - oświadczył bezceremonialnie. - Wróciłem do Rzymu
tylko po to, żeby zobaczyć starego przyjaciela - powaliła go febra.

- Kto to taki? Ktoś, kogo znam? - spytała raczej z grzeczności niż z
ciekawości.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zadała jakieś niemile albo bolesne
pytanie. Wyraz jego twarzy zainteresował ją daleko bardziej niż tożsamość
jego chorego przyjaciela. Potem ów wyraz znikł, a Sulla uśmiechał się bez
wysiłku.

- Wątpię, byś go znała. To Metrobiusz.

- Ten aktor?

- Ten sam. Znałem mnóstwo ludzi teatru. Kiedyś, dawniej. Zanim
ożeniłem się z Julillą i wszedłem do senatu. To inny świat. - Jego dziwne
jasne oczy wędrowały po sali przyjęć. - Podobny tylko do tego świata. To
zabawne! Tamto wydaje się dziś snem.

- To brzmi, jakby ci było żal - powiedziała cicho Aurelia.

- Nie, właściwie nie.

- Czy twój przyjaciel Metrobiusz będzie zdrow?

- O, tak! To tylko febra.

Zapadła cisza, wcale nie krępująca, którą przerwał, podchodząc do
wielkiej otwartej przestrzeni, stanowiącej okno na podwórze.

- To urocze miejsce.

- Ja też tak myślę.

- A twój syn? Jak się ma?

Uśmiechnęła się.

- Zaraz sam go zobaczysz.

- Świetnie. - Wciąż wpatrywał się w podwórko.

- Czy wszystko w porządku, Lucjuzie Korneliuszu?

Odwrócił się do niej z uśmiechem. Pomyślała, że jest ogromnie
pociągającym mężczyzną. I jakże niepokojące miał oczy - bardzo jasne - z
bardzo ciemnymi otoczkami. Jak oczy jej syna. I z jakiegoś powodu ta
myśl przejęła ją dreszczem.

- Tak, Aurelio, wszystko w porządku - rzekł Sulla.

- Chciałabym mieć pewność, że to prawda.

Już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w tej właśnie chwili weszła

Kardyksa, niosąc dziedzica nazwiska Cezarów.

- Idziemy na czwarte piętro - powiedziała.

- Pokaż go najpierw Lucjuszowi Korneliuszowi, Kardyksie.

Jednak jedynymi dziećmi, które naprawdę interesowały Sullę, były jego własne, spojrzawszy więc z obowiązku w twarzyczkę chłopca, a potem zerknął na Aurelię, sprawdzając, czy ją zadowolił.

- Odejdź, Kardyksie - powiedziała, uwalniając Sullę od udreki. - Która to dzisiaj?

- Sara.

Aurelia zwróciła się do Sulli z przymilnym, półświadomym uśmiechem.

- Niestety, nie mam mleka! Mój syn chodzi więc na karmienie. To jedna z zalet mieszkania w insuli. Jest tu zawsze z pół tuzina karmiących matek i wszystkie są tak miłe, że zgadzają się karmić moje dzieci.

- On będzie kochał cały świat, gdy dorośnie - powiedział Sulla - bo wyobrażam sobie, że masz tu lokatorów z całego świata.

- Tak jest. Życie jest przez to ciekawsze.

Sulla wrócił znów wzrokiem ku podwórzu.

- Lucjusz Korneliuszu, jesteś tu obecny tylko w połowie - upomniała go łagodnie. - Coś cię trapi! Czy nie możesz mi tego wyjaśnić? A może to jedno z tych zmartwień tylko dla mężczyzn?

Podszedł, by usiąść na sofie naprzeciw jej sofie.

- Ja po prostu nie mam w ogóle szczęścia do kobiet - powiedział szorstko.

Aurelia zamrugła.

- W jakim sensie?

- Do kobiet, które... kocham. Do kobiet, z którymi się żenię.

To było ciekawe; łatwiej mu mówić o małżeństwie niż o miłości.

- A o co chodzi obecnie? - spytała.

- O jedno i drugie po trosze. Kocham jedną, a żenię się z inną.

- Ach, Lucjusz Korneliuszu! - Patrzyła na niego z prawdziwą przyjemnością, ale nie było w tym wcale pożądania. - Nie spytam cię o ich imiona, bo naprawdę nie chcę ich znać. Jeśli mnie o coś zapytasz, postaram się odpowiedzieć.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma o czym mówić! Ożeniłem się z Elią, którą wyszukała mi teściowa. Po Julilli szukałem idealnej rzymskiej matrony - kogoś takiego jak Julia albo ty, gdybyś była nieco starsza. Kiedy Marcja przedstawiła mnie Elii, pomyślałem, że jest idealna - spokojna, cicha, pogodna, pociągająca, miła osoba. Pomyślałem sobie: „Wspaniale! Będę miał wreszcie swoją rzymską matronę. Nie mogę nikogo pokochać, mogę więc ożenić się z kimś, kogo lubię”.

- Lubieś chyba swoją germańską żonę.

- Tak, bardzo. Wciąż mi jej brak. To osobliwe. Ona jednak nie jest Rzymianką, więc senator w Rzymie nie miałby z niej pożytku. W każdym razie uznałem, że Elia okaże się kimś takim jak Hermiana - zaśmiał się niewesoło. - Myliłem się, Elia okazała się tępa, przyziemna i nudna. Jest naprawdę miła, ale po kilku chwilach w jej towarzystwie zaczynam

ziewać!

- Czy jest dobra dla twoich dzieci?

- Bardzo dobra. Tu nie mam zastrzeżeń! - Znów się zaśmiał. - Powinienem zatrudnić ją jako piastunkę, byłaby idealna. Uwielbia dzieci, a one ją uwielbiają.

Mówił, jakby ona nie istniała albo nie liczyła się jako słuchacz, a tylko do jakiegoś wyimaginowanego słuchacza, co dawało mu okazję wypowiedzenia tego, o czym długo myślał.

- Zaraz po powrocie z Galii Italskiej zostałem zaproszony na ucztę do Skaurusa. Pochlebiali mi to. I budziło niepokój. Zastanawiałem się, czy będą tam wszyscy inni - Metellus Świński i pozostali - i czy spróbują odciągnąć mnie od Gajusza Mariusza. Była tam ta biedna mała, żona Skaurusa. Na wszystkich bogów świata, czemu to ona musiała poślubić Skaurusa? Mógłby być jej dziadkiem! Dalmatyńska. Tak ją nazywają. Raz tylko na nią spojrzałem i pokochałem ją. Tak przynajmniej myślę, że to miłość. Żal mi jej także, ale nie mogę przestać o niej myśleć, więc to chyba miłość, czyż nie? Ona jest w ciąży. Czy to nie wstrętne? Nikt oczywiście nie spytał jej, czego pragnie. Metellus Świński dał ją po prostu Skaurusowi, jak daje się dziecku lizaka. Twój syn nie żyje, więc masz tu nagrodę pocieszenia! Możesz mieć nowego syna! Wstrętne. A jednak - gdyby wiedzieli o mnie wszystko, to oni byliby oburzeni. Nie mogę tego pojąć, Aurelio. Oni są bardziej niemoralni niż ja! Nie da się jednak ich o tym przekonać.

Aurelia wiele się nauczyła, odkąd przeprowadziła się do Subury. Rozmawiała z wszystkimi, od Lucjusza Dekumiusza do wyzwolenców tłoczających się na dwóch wyższych piętrach. Zdarzały się też rzeczy - rzeczy, w które jako właścicielka była zamieszana czy tego chciała, czy nie - które wstrząsnęłyby jej mężem do głębi, gdyby o nich wiedział. Aborcja. Czary. Morderstwo. Rabunek z użyciem przemocy. Gwałt. Alkoholizm i gorsze nałogi. Szaleństwo. Rozpacz. Depresja. Samobójstwo. Wszystko to zdarzało się w każdej insuli i kończyło w ten sam sposób - nie przekazywano tych spraw trybunałowi pretora miejskiego! Załatwiali je mieszkańcy, a surową sprawiedliwość wymierzano w skróconym trybie: oko za oko, ząb za ząb, życie za życie.

Słuchając Lucjusza Korneliusza Sulli, Aurelia zbudowała więc sobie jego obraz wcale nie odległy od rzeczywistości. Ona jedna wśród arystokracji rzymskiej znała go, wiedziała, skąd przychodził, i rozumiała trudności wynikające z jego charakteru i wychowania. Powoływał się na swe pochodzenie, ale został też na zawsze napiętnowany piętnem rzymskich podziemi i rysztołów.

Gdy zaś Sulla mówił o jednym, jego myśli krążyły wokół innych rzeczy, o których nie śmiał wspomnieć przy słuchaczce: jak rozpaczliwie pragnął tej małej, ciężarnej i dziecinnej żony Skaurusa i to nie tylko dla jej ciała albo ducha. Nadawała się doskonale dla jego celów. Poślubiła jednak *confarreatio* Skaurusa, on zaś miał zobowiązania wobec wspaniale nudnej Elij. Tym razem bez *confarreatio*! Z rozwodem byłby okropny kłopot, Dalmatyńska po prostu przypomniawszy mu lekcję, którą już kiedyś dostał w tej materii. Kobiety. Nigdy nie miał szczęścia do kobiet. Czuł to. Czy to z

powodu jego drugiej strony? Ten cudowny, wspaniały związek z Metrobiuszem! A jednak nie chciał żyć z Metrobiuszem, nie bardziej niż kiedyś chciał żyć z Julillą. Może chodziło o to, że nie chciał dzielić się sobą z nikim. Było to zbyt niebezpieczne. Ach, pożądał jednak Cecylii Metelli Dalmatyńskiej, żony Marka Emiliusza Skaurusa, princepsa senatu! Oburzające. W zasadzie nie miał nic przeciw starym mężom i młodocianym żonom. To była sprawa osobista. Kochał ją, była zatem przypadkiem szczególnym.

- Czy ona - Dalmatyńska - lubi cię, Lucjuszu Korneliuszu? - Aurelia przerwała tok jego myśli.

Sulla nie namyślał się.

- O, tak! Nie ma wątpliwości.

- Co więc zamierzasz zrobić?

Sulla skręcał się w udręce.

- Zaszedłem za daleko, za wiele zapłaciłem. Nie mogę zrezygnować, Aurelio! Nawet dla Dalmatyńskiej - gdybym miał z nią romans, *boni* by mnie zniszczyli. Nie mam też dość pieniędzy, ledwie tyle, by utrzymać się w senacie. Zdobyłem trochę na Germanach, ale nie więcej niż wynosił mój udział. I nie wygląda na to, żebym miał przed sobą łatwą drogę. Traktują mnie podobnie jak Gajusza Mariusza, chociaż z innych powodów. Żaden z nas nie odpowiada ich żalosnym ideałom. Nie mogą też dojść, czemu nam się udaje, a im nie. Czują się wykorzystywani, nadużywani. Ja mam zdecydowanie więcej szczęścia niż Gajusz Mariusz. Mam przynajmniej dobre urodzenie. Nie jest ono jednak bez plamy, przez Suburę, aktorów, życie wśród nisko urodzonych. Nie jestem jednym z Dobrych Mężów. - Nabrał tchu. - A jednak mam zamiar wyprzedzić ich, Aurelio! Bo jestem najlepszym koniem w tym wyścigu.

- A jeśli nagroda nie będzie tego warta?

Otworzył szeroko oczy zdumiony jej tępotą.

- Ona nigdy nie jest warta trudów! Nigdy! To nie dlatego je ponosimy. Kiedy wystawiają nas do wyścigu na siedem okrążeń, ścigamy się sami ze sobą. Cóż innego może być wyzwaniem dla Gajusza Mariusza? Jest najlepszym koniem na tym polu. Ściga się więc sam ze sobą. To samo ja. Mogę to robić. Będę to robić! Tylko to ma dla mnie znaczenie.

Zarumieniła się, żałując swej niedomyślności.

- Oczywiście! - rzekła, wstając, i wyciągnęła do niego dłoń. - Chodźmy, Lucjuszu Korneliuszu! Jest piękny dzień, mimo upału. Subura została całkiem sama - każdy, kto mógł wyjechać z Rzymu na lato, już wyjechał. Zostali tylko biedacy i pomyleni. I ja. Chodźmy się przejść, a kiedy wrócimy, zjemy obiad. Wyślę zaraz kogoś po wujka Publiusza, chyba jest jeszcze w mieście. - Zrobiła zabawną minę. - Muszę być ostrożna, sam rozumiesz, Lucjuszu Korneliuszu. Mój mąż ufa mu tak bardzo, jak bardzo mnie kocha. Nie życzyłby sobie jednak plotek, staram się więc być żoną w starym stylu. Byłby oburzony, gdybym cię nie zaprosiła na obiad - a jednak, jeśli przyjdzie jeszcze wuj Publiusz, Gajusz Juliusz na pewno mnie pochwali.

Sulla przyglądał się jej z czułością.

- Cóż za głupstwa wyobrażają sobie mężowie o swych żonach! Ty nawet nie przypominasz istoty, o której myśli Gajusz Juliusz przy wieczornych posiłkach w obozie.

- Wiem - odrzekła. - Ale on tego nie wie.

Upał na Vicus Patricii opadł im na głowy niby dusząca narzuta. Aurelia zakrztusiła się i dała nura do wewnątrz.

- To przesadza sprawę! Nie myślałam, że jest tak gorąco! Eutychnus może pobiec na Karyny po wuja Publiusza, poradzi sobie z tym zadaniem. A my posiedzimy w ogrodzie - pokazywała drogę, mówiąc przy tym. - Nie martw się, Lucjuszu Korneliuszu! Wszystko w końcu będzie dobrze, jestem pewna. Wracaj do Cyrcejów i tej miłej nudnej żony. Polubisz ją z czasem, tak sędzę. Będzie też lepiej, jeśli nie będziesz wcale widywał Dalmatyńskiej. Ile masz lat?

Uczucie schwywania w pułapkę zaczynało ustępować. Sulla rozpogodził się i uśmiechnął bez przymusu.

- Ten rok to kamień milowy, Aurelio. W dniu Nowego Roku skończyłem czterdzieści.

- To jeszcze nie starość!

- A jednak jestem za stary. Nie byłem jeszcze nawet pretorem, a przepisowy czas już minął.

- Daj spokój, znów wyglądasz ponuro, a wcale nie ma powodu. Spójrz na tego starego konia bojowego Gajusza Mariusza! Pierwszy konsulat sprawował jako pięćdziesięciolatek, osiem lat po czasie. A teraz, jeśli widziałeś go w marcowych wyścigach, czy nie rozpoznałeś w nim najlepszego konia? Czy nie założysz się, że będzie też koniem października? Wszystkiego, co najważniejsze w jego życiu, dokonał po pięćdziesiątce.

- To szczerza prawda - przyznał Sulla i wbrew sobie samemu poczuł się znacznie lepiej. - Jakiż to dobry bóg natchnął mnie, żeby zająć dziś do ciebie? Jesteś dobrą przyjaciółką, Aurelio, prawdziwą pomocą.

- Cóż, może kiedyś to ja poproszę cię o pomoc.

- Wystarczy jedno słowo - podniósł głowę i ujrzał odsłonięte balkony wyższych pięter. - Odważna jesteś! Żadnych przesłon? Czy oni nie nadużywają tego przywileju?

- Nigdy.

Roześmiał się szczerze ubawiony.

- Teraz wierzę, że owinęłaś sobie wszystkich zbirów Subury wokół małego palca!

Kiwając głową z uśmiechem, kołysała się w tył i w przód na ogrodowym krześle.

- Lubię swoje życie, Lucjuszu Korneliuszu. Nie obchodzi mnie, prawdę mówiąc, czy Gajusz Juliusz zdobędzie kiedykolwiek dość pieniędzy, by kupić dom na Palatynie. Tu w Suburze mam co robić, jestem pożyteczna, otoczona ciekawymi ludźmi, sama biorę udział w wyścigu.

- Z jednym tylko jajkiem w kubku i z jednym delfinem przewróconym głową w dół - rzekł Sulla - masz jeszcze długą drogę przed sobą.

- Ty także - odrzekła Aurelia.

Julia wiedziała oczywiście, że Mariusz nie spędzi całego lata w Kyme, choć zapowiadał, że nie wróci do Rzymu przed początkiem września. Kiedy tylko zaczynał odzyskiwać równowagę, zaczynał też rwać się do walki. Uważała więc za dobrodziejstwo każdy dzień, rada, że Mariusz wrócił na wieś, zdjął z siebie togę polityka i pancierz wojskowego i stał się choć na chwilę ziemianinem, jak jego przodkowie. Pływali w morzu przy małej plaży pod ich wspaniałą willą i zajadali się ostrygami, krabami, krewetkami i tuńczykami. Przechadzali się po wzgórzach wśród róż napęliających powietrze swym zapachem, nie przyjmowali gości i udawali, że ich nie ma, kiedy ktoś zapowiadał się z wizytą. Mariusz zbudował dla Mariusza Młodszego coś w rodzaju łódki i miał prawie tyle uciechy co tamten, gdy łódka zaczęła z miejsca udawać rybę głębinową. Julia myślała, że nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa jak tego cudownego lata w Kyme.

Mariusz nie wrócił jednak do Rzymu. Dopadł go udar, lekki i bezbolesny, podczas pierwszej nocy miesiąca Psiej Gwiazdy, sekstyliś. Obudziwszy się, zauważył tylko, że poduszka była wilgotna, bo najwyraźniej ślinił się we śnie. Kiedy przyszedł na śniadanie i znalazł Julię na tarasie z widokiem na morze, zaskoczyło go jej spojrzenie i wyraz twarzy, jakiego nigdy dotąd nie widział.

- O co chodzi? - wymamrotał, czując, że język ma zgrubiał.

- Twoja twarz... - powiedziała, blednąc nagle.

Podniósł dłonie do twarzy. Palce lewej ręki były równie zdrętwiałe jak język.

- Co to jest?

- Twoja twarz... opadła z lewej strony...

I nagle zaparło jej dech, pojęła, co się stało.

- Ach, Gajuszu Mariuszu! To był udar!

Ponieważ jednak nie czuł bólu ani nie uświadamiał sobie żadnej odmiany, nie chciał uwierzyć, dopóki nie przyniosła polerowanego srebrnego lustra i sam siebie nie zobaczył. Prawa strona twarzy była zdrowa, uniesiona, niezbyt pomarszczona jak na człowieka w jego wieku, lewa zaś wyglądała jak woskowa maska topniejąca w ciepłe pochodni, spływająca, ociekająca śliną, wymykająca mu się.

- Nie czuję żadnej różnicy! - powiedział oszołomiony. - Nie w umyśle, gdzie powinienem czuć chorobę. Język nie wymawia słów jak należy, ale głowa wie o tym. Ty rozumiesz, co ja mówię, a ja rozumiem, co ty mówisz, więc nie straciłem zdolności mówienia! Lewa ręka jest mniej sprawna, ale mogę nią ruszać. I nic mnie nie boli, nic zupełnie!

Kiedy z gniewem odmówił wezwania lekarza, Julia ustąpiła z obawy, że sprzeciw może pogorszyć jego stan. Cały dzień przyglądała mu się i kiedy przyszła pora iść spać, krótko po zmroku, mogła mu powiedzieć, że paraliż wydaje się taki sam, jak był o świcie.

- To dobry znak, jestem pewna. Wyjdiesz z tego z czasem - powiedziała. - Musisz po prostu odpocząć, zostań tu dłużej.

- Nie mogę! Pomyślą, że nie mam odwagi stawić im czoła!

- Jeśli zechcą cię odwiedzić - a na pewno zechcą! - sami zobaczą, co jest

nie w porządku, Gajuszu Mariuszu. Czy ci się to podoba, czy nie, musisz tu zostać, aż się poczujesz lepiej - powiedziała Julia władcym tonem, całkiem u niej nowym. - Nie, nie spieraj się ze mną! Mam słusność i dobrze o tym wiesz! Co chcesz osiągnąć, jadąc do Rzymu w tym stanie? Chyba tylko nowy udar.

- Nie - wymamrotał i opadł zdesperowany na łóżko. - Julio, jak mam wyleczyć się z czegoś, co jest gorsze niż choroba? A muszę się wyleczyć! Nie mogę pozwolić im wygrać, bo bym zbyt wiele stracił.

- Nie wygrają z tobą, Gajuszu Mariuszu - powiedziała z przekonaniem. - Z tobą może wygrać tylko śmierć, a ten mały udar cię nie zabije. Paraliż ustąpi. Jeśli będziesz odpoczywał, jadł z umiarem, nie pił wina i nie zamartwiał się tym, co się dzieje w Rzymie, nastąpi to znacznie szybciej.



Wiosenne deszcze nie spadały ani na Sycylię, ani na Sycylię, a w Afryce też były skąpe. Potem jednak, kiedy zaczęły formować się kłosa pszenicy, nadciągnęły ulewne deszcze. Powodzie całkowicie zniszczyły zbiory. Jedynie z Afryki nadeszły skąpe dostawy do Puteoli i Ostii. Oznaczało to, że w Rzymie przez czwarty rok z rzędu ceny zboża będą wysokie, a jego brak grozi głodem.

Młodszy konsul i *flamen Martialis* Lucjusz Waleriusz Flakkus przekonał się, że spichrze pod urwiskami Awentynu przyległe do portu rzymskiego są puste, a w prywatnych spichrzach przy Vicus Tuscus pozostało bardzo mało zboża. Kupcy poinformowali Flakkusa i jego edylów, że to zboże będzie sprzedawane po cenie pięćdziesięciu sestercji za modius, czyli trzydzieści funtów. Niewiele rodzin Policzonych Głowami mogłoby zapłacić choćby ćwierć tej ceny. Istniały tańsze rodzaje żywności, ale niedobór pszenicy spowodował wzrost ich cen, skoro spożycie wzrosło, a produkcja była ograniczona. Brzuchom nawykłym do dobrego chleba nie wystarczała rzepa i owsianka, główne pożywienie niższych warstw w czasie głodu. Silni i zdrowi przeżywali, ale starzy, słabi, zbyt młodzi i chorzy nader często umierali.

Przed październikiem Policzeni Głowami zrobili się niespokojni. Dreszcz strachu zaczął przenikać zwykłych mieszkańców miasta. Pozbawienie żywności Policzonych Głowami było bowiem perspektywą, o której ci żyjący obok nich woleli nawet nie myśleć. Wielu obywateli trzeciej i czwartej klasy, którzy też mieli kłopoty z kupnem tak drogiego zboża, zaczęło myśleć o zbrojnej obronie swych spiżarni przed rabunkiem ze strony tych, którzy mieli jeszcze mniej.

Lucjusz Waleriusz Flakkus naradzał się z edylem kurulnym odpowiedzialnym za zakupy zboża przez państwo oraz za składowanie i sprzedaż państwowego zboża - i zwrócił się do senatu o dodatkowe środki na zakup zboża wszędzie, gdzie je można będzie kupić, i wszelkiego rodzaju: jęczmienia, prosa, orkiszu, obok zwykłej pszenicy. Mało kto jednak w senacie naprawdę się tym przejął. Zbyt wiele lat minęło od ostatnich buntów głodowych wśród Policzonych Głowami i zbyt wielka była izolacja senatu od obywateli niższych klas.

Aby pogorszyć jeszcze sprawy, dwaj młodzi ludzie pełniący funkcje

kwestorów skarbu należeli do najwynioślejszych i najbardziej bezlitosnych i mało ich obchodzili Policzeni Głowami. Obaj, kiedy ich wybrano, prosili o jakieś funkcje w samym Rzymie, oświadczając, że zamierzają „powstrzymać nieuzasadnione obciążanie skarbu państwa” - elegancki sposób powiadomienia, że nie zamierzają dawać pieniędzy na armie Policzonych Głowami - i na zboże dla Policzonych Głowami. Kwestorem miejskim, starszym z dwóch - był nie kto inny niż Cepion Młodszy, syn konsula, który ukradł tolosańskie złoto i przegrał bitwę pod Arauzjoną. Drugim był Metellus Prosiak, syn wygnanego Numidyjskiego. Obaj mieli porachunki z Gajuszem Mariuszem.

Nie jest zwyczajem senatu sprzeciwiać się zaleceniom kwestorów skarbu. Pytani w kurii o stan finansów państwa odpowiadali zdawkowo, że nie ma pieniędzy na zboże. Z powodu olbrzymich wydatków, które ponoszono przez całe lata wyposażania, opłacania i żywienia armii Policzonych Głowami, państwo było niewypłacalne. Ani wojna z Jugurtą, ani wojna z Germanami nie przyniosły dość pieniędzy w łupach i kontrybucjach, by wyrównać ujemne saldo finansów państwa. Tak mówili obaj kwestorzy skarbu. Przedstawili też swoich trybunów skarbu i księgi rachunkowe na potwierdzenie swego stanowiska. Rzym jest bez grosza. Ci, których nie stać na kupno zboża po aktualnych cenach, muszą umrzeć. To przykre, ale taka jest rzeczywistość.

Z początkiem listopada cały Rzym usłyszał, że nie będzie umiarkowanych cen na państwowe zboże, bo senat odmówił głosowania nad przydziałem pieniędzy na ten cel. Ujęta w formę plotki wiadomość nie wspominała o nieurodzajach ani o kłótliwych kwestorach skarbu, po prostu stwierdzała, że nie będzie taniego zboża.

Forum Romanum natychmiast zapełniły tłumy, jakich zwykle tam nie widywano, a zwyczajni bywalcy wtopili się w nie albo trzymali się za plecami nowo przybyłych. Byli to Policzeni Głowami i członkowie piątej klasy w wyjątkowo złych nastrojach. Senatorowie i inni noszący togi zostali wygwizdani przez tysiące, gdy szli na swoje tradycyjne terytorium. Z początku nie okazywali strachu. Potem gwizdy zmieniły się w grad odpadków, końskiego łajna, tybrowego mułu, gnijących resztek. Senat uwolnił się od kłopotów, zawieszając wszystkie zebrania, ale nieszczęśnicy w rodzaju bankierów, ekwitów-kupców, adwokatów i trybunów skarbu musieli znosić to wszystko, nie mogąc liczyć na wsparcie senatu.

Nie czując się na siłach, by przejąć inicjatywę, młodszy konsul Flakkus pozostawił sprawy samym sobie, a tymczasem Cepion Młodszy i Metellus Prosiak gratulowali sobie dobrej roboty. Jeśli w zimie okaże się, że kilka tysięcy Policzonych Głowami nie żyje, będzie to oznaczało mniejszą liczbę gąb do żywienia.

Wtedy właśnie trybun ludowy Lucjusz Apulejusz Saturnin zwołał Zgromadzenie Plebejskie i przedstawił mu prawo zbożowe. Senat musiał kupować natychmiast każdą uncję pszenicy, jęczmienia i prosa w Italii i Galii Italskiej i sprzedawać je po śmiesznie niskiej cenie jednej sestercji za modius. Oczywiście Saturnin nie brał pod uwagę nieprawdopodobnej logistyki wysyłania czegokolwiek z Galii Italskiej do okolic na południe od

Apeninów. Jedyłą rzeczą, na której mu zależało, był tłum i ustawienie siebie samego w oczach tego tłumu w roli jedyneęo zbawcy.

Opozycji prawie nie było pod nieobecność senatu, bo niedobór zboża dotknął wszystkich mieszkańców Rzymu, nie licząc bogaczy. Wszyscy byli po stronie Saturnina, także trzecia i czwarta klasa, a nawet wiele centurii z drugiej klasy. Gdy listopad przechylił się ku grudniowi, cały Rzym był po stronie Saturnina.

- Jeśli ludzi nie stać na kupno pszenicy, nas nie stać na wypiek chleba! - wołali młynarze i piekarze.

- Głodni źle pracują! - wołali budowniczoie.

- Jeśli ludzi nie stać na wyżywienie własnych dzieci, co będzie z ich niewolnikami? - wołali wyzwoleńcy.

- Jeśli ludzie muszą wydawać wszystko na jedzenie, nie stać ich na czynsz - wołali właściciele.

- Jeżeli ludzie będą tak głodni, że zaczną plądrować sklepy i wywracać kramy, co stanie się z nami? - wołali kupcy.

- Jeśli ludzie rzucą się na nasze działki, szukając żywności, nie będziemy mieli co sprzedawać - wołali ogrodnicy.

Rzecz nie sprowadzała się jednak do tego, że umrze z głodu parę tysięcy Policzonych Głowami, kiedy bowiem ubogich i średnich obywateli Rzymu nie stać było na jedzenie, sto i jeden rodzajów handlu i wytwórczości ponosiło straty. Głód był klęską ekonomiczną. Senat nie zbierał się jednak, nawet w świątyniach na uboczu. Rozwiązanie pozostawiono więc Saturninowi, a jego rozwiązanie oparte było na fałszywym założeniu, że państwo może kupić jakieś zboże. On sam był przekonany, że to możliwe, uważając cały kryzys za wywołany przez wielkich polityków z senatu i zbożowych potentatów.

Wszystkie twarze na Forum zwracały się ku niemu jak heliotropy do słońca. Unoszony siłą własnej wymowy zaczął wierzyć w każde wypowiedziane przez siebie słowo, zaczął wierzyć każdej pojedynczej twarzy, którą wyłowil wzrokiem w tłumie. Zaczął wierzyć w nowy sposób rządzenia Rzymem. Cóż właściwie znaczył konsulat? Cóż właściwie znaczył senat, kiedy tłum taki jak ten mógł go przegnać z podwiniętym ogonem do budy? Kiedy stawka była na stole i nadeszła chwila rzucenia kości, liczyli się tylko oni, te twarze w tym ogromnym tłumie. To oni mieli rzeczywistą władzę. Ci, którzy myśleli, że ją sprawują, robili to tylko tak długo, jak długo tłum im pozwalał.

Cóż więc naprawdę znaczył konsulat? Co naprawdę znaczył senat? Gadanina, nic poza tym! W Rzymie nie było wojska i nie było nigdzie bliżej niż w ośrodkach szkolenia rekrutów wokół Kapui. Konsulowie i senat sprawowali władzę, nie korzystając z broni ani przewagi liczebnej. Tu, na Forum, była jednak prawdziwa władza, tu była przewaga liczebna wspierająca tę prawdziwą władzę. Czemu trzeba być konsulem, żeby zostać Pierwszym w Rzymie? To nie jest konieczne! Czy Gajusz Grakchus zdawał sobie z tego sprawę? Czy też został zmuszony do samobójstwa, zanim zdał sobie z tego sprawę?

„Powinienem być Pierwszym w Rzymie”, myślał Saturnin, napawając

się wizją twarzy w swoim wielkim tłumie, ale nie jako konsul. Jako trybun ludowy. Prawdziwą władzę mają trybunowie ludowi, nie konsulowie. A jeśli Gajusz Mariusz może być wybierany na konsula w nieskończoność, co powstrzyma Lucjusza Apulejusza Saturnina przed wygrywaniem w nieskończoność wyborów na trybuna ludowego?

Saturnin wybrał jednakże na uchwalenie swego prawa zbożowego dzień spokoju. Wolał dopilnować, by senacka opozycja wobec dostarczania taniego zboża robiła wrażenie arbitralnej i elitarniej. Żaden wielki tłum nie mógł zatem być obecny na Forum, bo dałoby to senatowi sposobność do oskarżania Zgromadzenia Plebejskiego o spowodowanie zamieszania, rozruchy i gwałt i do ogłoszenia prawa za nieważne. Wciąż jeszcze kipiał gniewem na wspomnienie drugiej ustawy rolnej, zdrady Gajusza Mariusza, wygnania Metellusa Numidyjskiego, tego, że w istocie rzeczy to prawo, wciąż zapisane na tablicach, było jego dziełem, nie zaś Gajusza Mariusza. To go czyniło prawdziwym autorem nadań ziemi Policzonym Głowami weteranom.

W listopadzie niewiele było świąt, zwłaszcza takich, w których mogły zbierać się komicja. Nadarzył się jednak spokojny dzień, gdy zmarł jakiś bajecznie bogaty ekwita, a jego synowie urządzili dla uczczenia pamięci ojca wspaniałe igrzyska żałobne z udziałem gladiatorów. Na miejsce tych igrzysk - zwykle było to Forum Romanum - wybrano Cyrk Flaminiusza dla uniknięcia tłumów gromadzących się codziennie na Forum.

To Cepion Młodszy popsuł plany Saturnina. Zgromadzenie Plebejskie zebrało się, wróżebne znaki były pomyślne, na Forum byli obecni jego stali bywalcy, bo tłum przeniósł się do Circus Flaminius, pozostali trybunowie ludowi zajęci byli losowaniem kolejności głosowania, a sam Saturnin stał z przodu rostrów, nawołując grupy *tribus* do głosowania za ustawą.

Ponieważ nie odbywały się zebrania senatu, Saturnin nie pomyślał, że jacyś członkowie senatu mają oko na wydarzenia na Forum - prócz jego dziewięciu kolegów trybunów, którzy po prostu robili to, co im kazano. Byli jednak pewni członkowie senatu, którzy tak samo jak Saturnin gardzili tchórzliwym zachowaniem się kurii. Wszyscy oni byli młodzi, w wieku kwestorskim albo rok czy dwa starsi, mieli sprzymierzeńców wśród synów senatorów i ekwitów pierwszej klasy zbyt jeszcze młodych, by wejść do senatu albo zająć kierownicze stanowiska w przedsiębiorstwach swoich ojców. Spotykali się w swoich domach, a przewodzili im Cepion Młodszy i Metellus Prosiak, mieli zaś bardziej dojrzałego powiernika i doradcę, który nadał kierunek i cel temu, co inaczej skończyłoby się serią gniewnych dyskusji i nadużywaniem wina.

Ich powiernik i doradca stał się dla nich czymś w rodzaju idola, bo posiadał wszystkie cechy podziwiane przez młodych - był śmiały, nieustraszony, rozważny, przebiegły, podobno rozpustnik i dziwkarz, elegant i posiadacz imponującej karty wojskowych zasług. Nazywał się Lucjusz Korneliusz Sulla.

Gdy Mariusz od miesięcy pozostawał w Kyme, Sulla wziął na siebie dogłębne oglądanie wydarzeń w Rzymie w sposób, który na przykład Rutyliuszowi Rufusowi nigdy nie przyszedłby na myśl. Motywy Sulli nie całkiem opie-

rały się na lojalności dla Mariusza. Po tamtej rozmowie z Aurelią przyjrzał się bardzo obiektywnie swoim perspektywom na przyszłość w senacie i doszedł do wniosku, że Aurelia miała słuszość: był on podobnie jak Gajusz Mariusz tym, co ogrodnik nazwałby spóźnionym kwitnieniem. W tym przypadku bezcelowe było szukanie przyjaźni i przymierza wśród senatorów starszych niż on sam. Skaurus, na przykład, odpadał. I jak wygodna była taka właśnie decyzja! Usuwała go z drogi rozkosznej, dziecinnej żoneczki Skaurusa, teraz już matki małej Emilii Skaury. Kiedy Sulla usłyszał nowinę, że Skaurus został ojcem dziewczynki, poczuł szczerą przyjemność. Dobrze służy starymu lubieżnemu capowi.

Myśląc o zabezpieczeniu własnej przyszłości politycznej i ocaleniu przyszłości Mariusza, Sulla wdał się w zalecanki do młodszego pokolenia senatorów, wybierając tych, którzy byli podatni na wpływy, niezbyt inteligentni, bardzo bogaci, z dobrych rodzin albo tak pewnych siebie, że byli łatwo dostępni jakimś subtelnym formom pochlebstwa. Jego pierwszym celem byli Cepion Młodszy i Metellus Prosiak. Cepion Młodszy był tępym patrycjuszem z dojściem do młodych ludzi, jak Marek Liwiusz Druzus (którego Sulla nawet nie próbował uwodzić). Metellus Prosiak wiedział, co się dzieje wśród starszych Dobrych Mężów. Nikt lepiej od Sulli nie wiedział, jak się uwodzi młodych ludzi, nawet jeśli jego zamiary nie były w żadnej mierze erotyczne, nie zajęło mu więc wiele czasu założenie sobie wśród nich dworu. Jego zachowanie zawsze miało w sobie coś z rozbawienia ich pozowaniem na młodość, z zaznaczeniem, że nie wyklucza potraktowania ich serio. Nie byli młodzieniaszkami; najstarszy z nich był od niego młodszy o siedem czy osiem lat, a najmłodszy z nich był młodszy o piętnaście czy szesnaście lat. W ich wieku można było uznać ich za w pełni ukształtowanych, ale byli też dość młodzi, by Sulla mógł wytrącić ich z równowagi. Stanowili też ośrodek grupy senatorów, której poparcie mogło z czasem mieć wielkie znaczenie dla człowieka zdecydowanego zostać konsulem.

W tej jednak chwili główną troską Sulli był Saturnin, którego obserwował bardzo uważnie, odkąd na Forum zaczęły zbierać się pierwsze tłumy i zaczęło się nękanie dostojników noszących togi. To, czy *lex Appuleia frumentaria* stanie się prawem czy nie, nie obchodziło zbytnio Sulli. Uważał, że Saturninowi chodzi o wykazanie, iż nie pozwala mu się załatwić tej sprawy po swojemu.

Kiedy koło pięćdziesięciu młodych polityków zebrało się w domu Metellusa Prosiaka wieczorem w przeddzień planowanego przez Saturnina uchwalenia jego prawa zbożowego, Sulla słuchał z boku rozmów z tak widocznym rozbawieniem, że w końcu Cepion Młodszy zwrócił się do niego i zażądał, by powiedział im, co mają robić.

Wyglądał znakomicie. Gęste rudozłote włosy ułożone były w piękne loki, cera nieskazitelnie biała, brwi i rzęsy na tyle ciemne, by się zaznaczały (nie wiedzieli, że musnął je odrobiną stibium, bo inaczej byłyby całkiem niewidoczne), oczy mogły iść w zawody z oczami niebieskookiego kota.

- Wszystko to puste gadanie - powiedział.

Metellus Prosiak wychowywany był w przekonaniu, że Sulla to tylko oswojony pies Mariusza. Jak wszyscy Rzymianie, nie miał tego za złe komuś, z kim tworzył stronnictwo, ani też nie myślał, że ten ktoś nie może być bezstronny.

- Nie tylko puste gadanie - warknął, zająknawszy się tylko raz. - My tylko nie wiemy, jaką przyjąć taktykę.

- Czy macie coś przeciw odrobinie przemocy? - spytał Sulla.

- Nie w obronie prawa senatu do decydowania o wydawaniu państwowych pieniędzy - powiedział Cepion Młodszy.

- I o to chodzi - rzekł Sulla. - Ludowi nie wolno przyznać prawa wydawania państwowych pieniędzy. Niech lud stanowi prawa - temu się nie sprzeciwiamy. Jest jednak prawem senatu dostarczanie pieniędzy, których wymagają prawa ludu - i odmowa ich dostarczenia. Jeśli odbiorą nam kontrolę nad sznurkiem od sakiewki, nie będziemy mieli żadnej władzy. Pieniądze to jedyny sposób, w jaki możemy uczynić prawa ludu bezsilnymi, jeśli się z nimi nie zgadzamy. Tak zrobiliśmy ze zbożowym prawem Gajusza Grakcha.

- Nie możemy przeszkodzić senatowi w przyznaniu tych pieniędzy, kiedy prawo zostanie uchwalone. - Metellus Prosiak nie jękał się, mówiąc wśród znajomych.

- Oczywiście, że nie! - powiedział Sulla. - Nie możemy też zapobiec jego uchwaleniu. Możemy jednak urządzić Lucjuszowi Apulejuszowi małą demonstrację siły.

Zatem gdy Saturnin zaczął namawiać głosujących do uregulowania spraw poprzez *lex Appuleia frumentaria*, tłumy przebywały w Cyrku Flaminiusza, a zebranie było tak porządne, jak mogliby sobie życzyć mężowie konsularni. Cepion Młodszy wprowadził koło dwunastu swoich stronników na dolne Forum Romanum. Zbrojni byli w pałki, a większość z nich stanowili muskularni mężczyźni o obwisłych przeponach, co wskazywało byłych gladiatorów wynajmujących obecnie swe usługi, kiedy robota wymaga siły albo niemiłego zachowania. Na przedzie szła jednak cała pięćdziesiątka wieczornych gości Metellusa Prosiaka, a ich przywódca był Cepion Młodszy. Lucjusz Korneliusz Sulla nie był obecny.

Saturnin wrzucił ramionami i patrzył beznamiętnie, jak ta gromada maszeruje przez Forum, a potem odwrócił się do zagłębienia komicjów i rozwiązał zebranie.

- Na mój rachunek nie pójdą żadne rozbite głowy! - zawołał do głosujących, rozpędzając zgromadzenie *tribus* w pośpiechu. - Idźcie do domów, wróćcie jutro! Wtedy ustanowimy to prawo!

Nazajutrz Policzeni Głowami wrócili, by asystować przy komicjach. Gromada senackich twardzieli nie zjawiała się ponownie i prawo zostało uchwalone.

- Wszystko, co chciałem zrobić, ty twardogłowy głupcze - mówił Saturnin do Cepiona Młodszego, gdy spotkali się w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, gdzie zdaniem Waleriusza Flakkusa ojcowie spisani byli bezpieczni przed tłumem - to uchwalić legalne prawo na legalnie zebraniem zgromadzeniu. Nie było tłumów, nastroj był spokojny,

znaki były pomyślne. I co się stało? Ty i twoi głupi przyjaciele przyszlście rozbić kilka głów! - Zwrócił się do grupy senatorów stojących obok. - Nie moja wina, że to prawo musiało być uchwalone wśród tłumu dwudziestu tysięcy Policzonych Głowami! Obwiniajcie tego głupca!

- Ten głupiec obwinia sam siebie, że nie używa siły, kiedy siła liczy się najbardziej! - krzyknął Cepion Młodszy. - Powinienem cię zabić, Lucjuszu Apulejuszu!

- Dziękuję, że powiedziałeś to wszystko w obecności bezstronnych świadków - rzekł z uśmiechem Saturnin. - Kwintusie Serwiliuszu Cepionie Młodszy, niniejszym oskarżam cię formalnie o próbę utrudniania trybunowi ludowemu wykonywania obowiązków i o groźbę zamachu na świętą osobę trybuna ludowego.

- Dosiadasz konia, który ponosi, Lucjuszu Apulejuszu - powiedział Sulla. - Lepiej zsiądź, zanim cię zrzuci, człowieku!

- Wniosłem formalne oskarżenie wobec Kwintusa Serwiliusza, ojcowie spisani - mówił Saturnin, ignorując Sullę jak kogoś bez znaczenia - ale ta sprawa może być pozostawiona sądowi. Dziś jestem tu, by żądać pieniędzy.

Mimo że miejsce było bezpieczne, obecnych było mniej niż osiemdziesięciu senatorów i byli to sami ludzie bez znaczenia.

Saturnin wpatrywał się w nich z pogardą.

- Żądam pieniędzy na zakup zboża dla ludu rzymskiego. Jeśli nie ma ich w skarbie państwa, radzę wam pożyczyć je, bo muszę mieć pieniądze!

Saturnin dostał swoje pieniądze. Czerwony na twarzy i protestujący kwestor miejski Cepion Młodszy otrzymał rozkaz wybicia specjalnej partii monet z zapasu srebrnych sztab w świątyni Ops i zapłacenia za zboże bez dalszej zwłoki.

- Zobaczymy się w sądzie - powiedział Saturnin do Cepiona na zakończenie zebrania - bo nie odmówię sobie przyjemności oskarżenia cię osobiście.

Tu jednak się przeliczył. Zasiadający w sądzie ekwici czuli niechęć do Saturnina i już byli przychylnie nastawieni do Cepiona Młodszego, gdy Fortuna okazała, że i ona jest mu niezmiernie przychylna. W samym środku mowy obrończej nadszedł pilny list ze Smyrny z zawiadomieniem, że Kwintus Serwiliusz Cepion zmarł samotnie na wygnaniu, a złoto było mu jedyną pociechą. Cepion Młodszy zapłakał gorzko, sędziowie byli wzruszeni i oddalili oskarżenia.

Nadeszła pora wyborów, ale nie przeprowadzono ich, bo tłumy wciąż zbierały się na Forum Romanum, a spichrze wciąż były puste. Młodszy konsul Flakkus upierał się, że wybory muszą poczekać, póki się nie okaże, że Gajusz Mariusz nie może ich przeprowadzić. Choć Lucjusz Waleriusz Flakkus był kapłanem Marsa, miał w sobie zbyt mało z Marsa, by zaryzykować osobiście nadzorowanie wyborów w tak mało sprzyjającym klimacie jak obecny.

Marek Antoniusz Orator przeprowadził bardzo udaną trzyletnią kampanię przeciw piratom z Cylicji i Pamfilii, którą zakończył w pięknym stylu

ze swej kwatery głównej w rozkosznie kosmopolitycznych i kulturalnych Atenach. Tu przyłączył się do niego jego przyjaciel Gajusz Memiusz. Wróciwszy do Rzymu z namiestnictwa w Macedonii, przekonał się on, że został postawiony w stan oskarżenia w trybunale Glaucji wraz z Gajuszem Flawiuszem Fimbrią, swoim współnikiem w aferze zbożowej. Skazany jednym głosem Memiusz wybrał na miejsce wygnania Ateny.

Jego przyjaciel Antoniusz spędzał tu wiele czasu, on zaś potrzebował poparcia Antoniusza dla swych zabiegów w senacie o unieważnienie wyroku. Był w stanie pokryć koszty tych starań, bo w Macedonii dopisało mu szczęście.

W zdobywanych wioskach Skordysków prawie potykał się o ukryte złote skarby - zgarnął tego sto talentów. Podobnie jak Cepion w Tolosie, Memiusz nie widział powodu, by się tym złotem z kimś dzielić. Nie dzielił się więc do chwili, gdy wpuścił nieco tego złota w otwartą dłoń Antoniusza w Atenach. W parę miesięcy później przyszło wezwanie do Rzymu i zostało mu przywrócone jego miejsce w senacie.

Skoro wojna z piratami została pomyślnie zakończona, Gajusz Memiusz czekał w Atenach, aż Marek Antoniusz Orator będzie gotów również wracać do kraju. Ich przyjaźń rozkwitała. Umówili się nawet, że będą wspólnie ubiegali się o konsulat.

W końcu listopada Antoniusz stanął ze swą małą armią na Polu Marsowym i upomniał się o tryumf. Senat zdołał zebrać się bezpiecznie w świątyni Bellony i z zadowoleniem przyznał mu to prawo. Antoniusz został jednak powiadomiony, że jego tryumf musi poczekać aż do dziesiątego grudnia, bo nie odbyły się jeszcze wybory trybunów, a Policzeni Głowami wciąż zapelniali Forum Romanum. Trzeba mieć nadzieję, że wybory trybunów odbędą się i nowe kolegium rozpocznie urządowanie dziesiątego dnia miesiąca, ale pochód tryumfalny przy obecnych nastrojach w mieście nie wchodzi w grę.

Wyglądało na to, że Antoniusz nie będzie mógł ubiegać się o konsulat, bo przed odbyciem tryumfu nie mógł przekroczyć *pomerium*, świętej granicy miasta. Nadal był wyposażony w imperium, co go stawiało w położeniu jakiegoś cudzoziemskiego króla, któremu nie wolno było wejść do Rzymu. A jeśli nie mógł wejść do Rzymu, nie mógł zgłosić swej kandydatury w wyborach konsularnych.

Pomyślnie zakończona wojna uczyniła go jednak niezmiernie popularnym wśród kupców zbożowych i innych ludzi interesu, bo ruch statków na Morzu Środkowym był teraz bezpieczniejszy i bardziej przewidywalny niż przez ostatnie pół stulecia. Gdyby mógł ubiegać się o konsulat, miałby wszelkie szanse zdobycia tytułu starszego konsula, nawet mając za przeciwnika Gajusza Mariusza. Mimo udziału w aferze zbożowej Fimbrii niezłe szanse miał też Gajusz Memiusz, był bowiem nieustraszonym przeciwnikiem Jugurty i zwalczał Cepiona, przywróciwszy senatowi prowadzenie procesów o zdzierstwa. Byli tak popularną parą wśród ekwitów stanowiących większość pierwszej i drugiej klasy, jak tylko *boni* mogli sobie życzyć, i obaj byli nieskończenie lepsi od Gajusza Mariusza - jak mówił Katullus Cezar Skaurus.

Wszyscy bowiem oczekiwali oczywiście, że Gajusz Mariusz wróci do Rzymu w ostatniej minucie, by ubiegać się o swój siódmy konsulat. Opowieść o udarze została potwierdzona, ale Mariusz nie wydawał się niezdolny do działania, a ci, którzy jeździli odwiedzić go w Kyme, wracali przekonani, że jego zdolności umysłowe nie ucierpiały wcale. W oczach wszystkich Gajusz Mariusz był pewnym kandydatem.

Pomysł przedstawienia wyborcom pary kandydatów pragnących być partnerami trafił do przekonania wielkim politykom. Antoniusz i Memiusz stanowili wspólnie szansę przełamania żelaznego uchwytu Mariusza na poręczach krzesła starszego konsula. Antoniusz co prawda uparcie odmawiał zrezygnowania z tryumfu na rzecz konsulatu, wyrzeczenia się imperium i przekroczenia *pomerium* dla zgłoszenia swej kandydatury.

- O konsulat mogę ubiegać się w przyszłym roku - powiedział, kiedy Katullus Cezar i Skaurus princeps senatu przybyli do niego na Pole Marsowe. - Tryumf jest ważniejszy - prawdopodobnie nigdy już nie stoczę drugiej takiej wojny.

I nie można mu było tego wyperswadować.

- Dobrze więc - powiedział Skaurus do Katullusa Cezara, gdy odchodzili z obozu Antoniusza zniechęceni. - Musimy tylko nieco nagiąć reguły. Gajusz Mariusz nie ma nic przeciw ich łamaniu, czemu więc my mamy być skrupulatni, kiedy stawka jest tak wysoka?

To Katullus Cezar przedstawił kurii rozwiązanie. W zebraniu wzięło udział ledwie tylu jej członków, by zapewnić *quorum*, a odbyło się ono w kolejnym bezpiecznym miejscu, w świątyni Jowisza Statora przy Cyrku Flaminiusza.

- Czasy są szczególne - mówił - zwykle wszyscy kandydaci na urzędy kurulne muszą przedstawiać się senatowi i ludowi na Forum Romanum, zgłaszając swe kandydatury. Na nieszczęście brak zboża i ciągłe demonstracje na Forum Romanum nie pozwalają na utrzymanie tego zwyczaju. Czy mogę uniżenie prosić ojców spisanych o przeniesienie trybunału kandydatów - wyjątkowo w tym jedynie roku! - na specjalne zebranie Zgromadzenia Centurialnego w *saepta* na Polu Marsowym? Musimy zrobić coś, by przeprowadzić wybory! Jeśli przeniesiemy ceremonię przedstawiania kandydatów do *saepty*, będzie to początek - wymagany czas między zgłoszeniami a wyborami można skrócić. Będzie to również uczciwe posunięcie wobec Marka Antoniusza, który chce się ubiegać o konsulat, ale nie może przekroczyć *pomerium*, nie rezygnując z tryumfu, nie może też odbyć tryumfu z powodu zamętu w głodującym mieście. Na Polu Marsowym będzie mógł przedstawić swą kandydaturę. Spodziewamy się, że po wyborach trybunów ludowych tłumy się rozejdą. Marek Antoniusz będzie więc mógł odbyć tryumf, gdy tylko nowe kolegium rozpocznie urzędowanie, a potem przeprowadzimy wybory kurulne.

- Skąd pewność, że tłumy rozejdą się po rozpoczęciu urzędowania przez kolegium trybunów ludowych, Kwintusie Lutacjuszu? - spytał Saturnin.

- Jeśli ktoś może odpowiedzieć na to pytanie, to ty, Lucjuszu Apulejuszu! - parsknął Katullus Cezar. - To by ściągnęło je na Forum - to ty dzień po dniu drażnisz je obietnicami, których nie możesz dotrzymać ani

ty, ani to dostojne zgromadzenie! Jak mamy kupić nie istniejące zboże?

- Nadal będę przemawiał tam do tłumów po upływie mojej kadencji - rzekł Saturnin.

- Nie będziesz - oświadczył Katullus Cezar. - Nie będziesz, kiedy znów staniesz się *privatus*, Lucjuszu Apulejuszu, choćby miało mnie to kosztować miesiąc i pracę stu ludzi, znajdę jakieś prawo na tablicach albo jakiś precedens, który zabroni ci przemawiać z rostrów albo gdziekolwiek na Forum!

Saturnin ryknął śmiechem, krztusił się ze śmiechu, a jednak nikt nie pomyślał serio, że jest mu do śmiechu.

- Szukaj, ile chcesz, Kwintusie Lutacjuszu. Niczego to nie zmieni. Nie będę *privatus* po upływie swej kadencji, bo zamierzam nadal być trybunem ludowym. Tak, biorę przykład z Gajusza Mariusza. Nic nie może powstrzymać kogoś, kto chce się ubiegać o kolejny trybunał ludowy!

- Zwyczaj i tradycja - rzekł Skaurus. - To wystarczy, by powstrzymać innych, poza tobą i Gajuszem Grakchem. Powinieneś o nim pamiętać. Zginął w Gaju Furi w obecności tylko jednego niewolnika.

- Mam lepsze towarzystwo - odparował Saturnin. - My, ludzie z Picenum, trzymamy się razem, czyż nie, Tytusie Labienusie? Czyż nie, Gajuszu Saufejuszu? Nie pozbędziecie się nas tak łatwo!

- Nie kuś bogów - poradził Skaurus. - Oni nie lubią, gdy śmiertelnicy rzucają im wyzwania.

- Nie obawiam się bogów, Marku Emiliuszu. Bogowie są po mojej stronie - rzekł Saturnin i opuścił zebranie.

- Próbowałem mu wytłumaczyć - powiedział Sulla, mijając Skaurusa i Katullusa Cezara - że dosiada konia, który ponosi, i że ten koń go zrzuci.

- I on także - powiedział Katullus Cezar do Skarusa, gdy Sulla był poza zasięgiem głosu.

- I połowa senatu, tylko że o tym nie wiedzą. - Skaurus zwlekał, rozglądając się wokół siebie. - To naprawdę piękna świątynia, Kwintusie Lutacjuszu! Dzięki Metellusowi Macedońskiemu. Bez Metellusa Numidyjskiego jest tu dziś jednak bardzo pusto. - Potem wzruszył ramionami i poweselał. - Chodźmy lepiej dogonić naszego młodszego konsula, zanim czmychnie do swej królikarni. Może składać ofiary Marsowi równie dobrze jak Jowiszowi Najlepszemu i Największemu. Jeśli to będą śnieżnobiałe *suovetaurilia*, z pewnością zyska nam to boską aprobatę dla przedstawiania kandydatów na Polu Marsowym!

- A kto wyłoży pieniądze na białą krowę, białą świnię i białą owcę? - spytał Katullus Cezar, wskazując ruchem głowy Metellusa Prosiaka i Cepiona Młodszego. - Nasi kwestorzy skarbu kwiczeliby głośniejsze niż wszystkie trzy ofiary razem.

- Ach, Lucjusza Waleriusza stać chyba na białego królika - wyszczerzył zęby Skaurus. - To przecież dla Marsa!

Ostatniego dnia listopada przyszło od Gajusza Mariusza zawiadomienie o zebraniu senatu następnego dnia w Kurii Hostyliusza. Przynajmniej raz zamieszanie na Forum Romanum nie powstrzymało ojców spisanych od

przybycia, tak byli ciekawi, jak wygląda Gajusz Mariusz. Kuria była pełna ludzi i wszyscy przybyli przed świtem kalend grudniowych, by mieć pewność, że go wyprzedzą.

Wszedł na koniec on sam, we własnej osobie, tak samo wysoki, szeroki w ramionach i tak samo dumny jak zawsze. Nic w jego sposobie poruszania się nie nasuwało myśli o kalectwie. Jego lewa dłoń podtrzymywała jak zwykle fałdy togi z purpurowym szlakiem. Niestety, widać było wyraźnie na jego twarzy dawnego Mariusza po prawej stronie i jego żalną parodię po lewej.

Princeps senatu, Marek Emiliusz Skaurus, zaczął klaskać. Pierwsze uderzenie odbiło się echem o odsłonięte krokwie i dachówki tworzące dach starożytnej sali. Jeden po drugim przyłączali się do Skaurusa ojcowie spisani, zanim więc Mariusz doszedł do swego kurulnego krzesła, cała kuria biła mu gromkie brawa. Nie uśmiechał się, bo uśmiech podkreślał błazeńską asymetrię jego twarzy, a było to tak nie do zniesienia, że wszystkim patrzącym, od Julii do Sulli, stawały łzy w oczach. Stał po prostu przy swym krześle z kości słoniowej i kłaniał się, po królewsku pochylając głowę, póki owacje nie ucichły.

Skaurus wstał, uśmiechając się szeroko.

- Gajuszu Mariuszu, jakże miło cię widzieć! Kuria była ponura jak deszczowy dzień przez te ostatnie miesiące. Mam przyjemność jako przywódca tej kurii serdecznie powitać twój powrót.

- Dziękuję ci, princepsie senatu, i wam, ojcowie spisani, moi współzadcy - odpowiedział Mariusz czystym głosem, nie zniekształcając ani jednego słowa. Mimo wcześniejszego postanowienia lekki uśmiech uniósł w górę prawy kącik ust, podczas gdy lewy pozostał nieruchomy. - Jeśli jest dla ciebie przyjemnością witanie mego powrotu, moja przyjemność jest dziesięciokrotnie większa. Jak widzisz, chorowałem. - Wziął długi oddech, co wszyscy mogli usłyszeć, jak również to, że ów oddech drży. - I choć choroba ustąpiła, pozostawiła ślady.

- Zanim poproszę tę kurię o skupienie i zanim przystąpimy do omawiania pewnej sprawy nie cierpiącej zwłoki, chcę złożyć oświadczenie. Nie będę się starał o ponowny wybór na konsula - z dwóch powodów. Po pierwsze, zagrożenie dla państwa, z którego wynikło uhonorowanie mnie tak wielu kolejnymi konsulatami, ostatecznie przeminęło. Po drugie, nie uważam, by stan mego zdrowia pozwalał mi należycie pełnić moje obowiązki. Odpowiedzialność, jaką ponoszę za obecny chaos w Rzymie, jest oczywista. Gdybym był tu wcześniej, obecność starszego konsula wiele by pomogła. Po to właśnie jest starszy konsul. Nie oskarżam Lucjusza Waleriusza ani Marka Emiliusza, ani nikogo z urzędników senatu. Starszy konsul musi przewodzić. Nie byłem do tego zdolny i dało mi to do zrozumienia, że nic powiniennem starać się o ponowny wybór. Niech urząd starszego konsula przejdzie w ręce kogoś o dobrym zdrowiu.

Nikt nie odpowiadał. Nikt się nie poruszył. Jeśli jego wykrzywiona twarz wskazywała przedtem, na co się zanoszą, stopień oszołomienia wszystkich aż do ostatniego był dowodem władzy, jaką zdobył nad nimi w ciągu ostatnich pięciu lat. Senat bez Gajusza Mariusza w krześle konsula?

Niemożliwe! Nawet princeps senatu Skaurus i Katullus Cezar siedzieli wstrząśnięci.

Potem rozległ się czyjś głos z tylnej ławy za plecami Skaurusa.

- To... to... dobrze! - powiedział Metellus Prosiak. - Teraz mój ojciec mo... może wró... wrócić do domu.

- Dziękuję ci za komplement, młody Metellu. - Mariusz patrzył wprost na tamtego. - Zakładasz, że to jedynie ja trzymam twego ojca na wygnaniu na Rodos. Tak jednak nie jest i wiesz o tym. To prawo tego kraju trzyma Kwintusa Cecyliusza Numidyjskiego na wygnaniu. Ja zaś nakazuję wszystkim członkom tego dostojnego grona, by o tym pamiętali! Żadne dekrety czy ustawy Zgromadzenia Plebejskiego ani żadne prawa nie będą podważane z powodu tego, że nie będę konsulem!

- Młody głupiec! - mruknął Skaurus do Katullusa Cezara. - Gdyby tego nie powiedział, moglibyśmy spokojnie sprowadzić tu Kwintusa Cecyliusza w przyszłym roku. Teraz nie uzyska pozwolenia. Myślę, że czas nadać młodemu Metellowi dodatkowe miano.

- Jakie? - spytał Katullus Cezar.

- Piu... Piu... Pius! - powiedział ze złością Skaurus. - Metellus Pius, pobożny syn, który starał się o powrót taty! I który za... za... zawałił sprawę!

Szybkość, z jaką kuria przystąpiła do rozpatrywania spraw, była rzeczą nadzwyczajną i czymś nadzwyczajnym było dobre samopoczucie przepełniające członków kurii, jak gdyby nagle tłumy na zewnątrz przestały się liczyć, skoro pojawił się znów Gajusz Mariusz. Poinformowany o zmianie miejsca prezentacji kandydatów do urzędów kurulnych, Mariusz skinął głową na znak zgody, a potem krótko polecił Saturninowi zwołać Zgromadzenie Plebejskie i wybrać kilku urzędników. Do tego czasu nie mogli zostać wybrani żadni inni wyżsi urzędnicy.

Potem obrócił się, by spojrzeć na Gajusza Serwiliusza Glaucję, siedzącego w krześle pretora miejskiego tuż za jego lewym ramieniem.

- Doszły mnie słuchy, Gajuszu Serwiliuszu - przemówił do Glaucja - że chcesz się starać o konsulat na gruncie ułomności, które jakoby znalazłeś w *lex Villia*. Nie czyń tego. *Lex Villia annalis* mówią jasno i wyraźnie, że muszą minąć dwa lata między końcem czyjejs pretury a początkiem konsulatu.

- I spójrzcie, kto to mówi! - wykrzyknął Glaucja, oszołomiony natknięciem się na sprzeciw tam, gdzie spodziewał się znaleźć poparcie. - Trzeba mieć miedziane czoło, Gajuszu Mariuszu, żeby oskarżać mnie o zamiar złamania *lex Villia*, kiedy się je samemu łamało i to przez pięć lat z rządu! O ile *lex Villia* jest prawem, stanowi ono niedwuznacznie, że nie można ubiegać się o drugi konsulat przed upływem dziesięciu lat od pierwszego!

- Nie ubiegałem się o te konsulaty, poza tamtym pierwszym, Gajuszu Serwiliuszu - odpowiedział rzeczowo Mariusz. - Zostały mi narzucone - i to trzykrotnie *in absentia* - z powodu Germanów. W stanie wyjątkowym ulegają zawieszeniu normy postępowania - nawet prawa! Kiedy jednak zagrożenie ostatecznie minęło, nie należy stosować dłużej nadzwyczajnych

środków.

- Ha, ha, ha! - odezwał się z tylnego rzędu Metellus Prosiak, a ten przerywnik doskonale pasował do jego wady wymowy.

- Zapanował pokój, ojcowie spisani - mówił Mariusz, jakby nic nie zaszło - wracamy zatem do normalnej pracy normalnego rządu. Prawo zabrania ci, Gajuszu Serwiliuszu, ubiegania się o konsulat. Jako urzędnik prowadzący wybory nie pozwolę ci na kandydowanie. Traktuj to jak uczciwe ostrzeżenie. Porzuć ten zamiar, bo to ci nie przystoi, Rzymowi trzeba prawodawcy z takim talentem jak twój, nie można jednak stanowić praw, jeżeli się je łamie.

- Mówiłem! - powiedział głośno Saturnin.

- Nie może powstrzymać ani mnie, ani nikogo - odpowiedział Glaucja tak głośno, że słyszała go cała kuria.

- Powstrzyma cię - rzekł Saturnin.

- Co do ciebie, Lucjusz Apulejusz - Mariusz zwrócił się ku ławie trybunów - słyszałem, że chcesz się ubiegać o wybór na trzecią kadencję. Nie jest to naruszenie prawa. Nie mogę cię zatem powstrzymać. Proszę cię jednak, byś odstąpił od tego zamiaru. Niech słowo „demagog” nie nabiera nowego znaczenia. To, co robiłeś ostatnio, nie leży w zwyczaju członków rzymskiego senatu. Przy całej złożoności naszych praw i przy naszym talencie do wciągania całego Rzymu w szczegóły pracy rządu nie jest konieczne wykorzystywanie politycznej naiwności niższych warstw. Tych niewinnych nie należy deprawować. Mamy obowiązek dbać o nich, nie wykorzystywać ich do popierania naszych własnych politycznych celów.

- Skończyłeś? - spytał Saturnin.

- Całkowicie, Lucjusz Apulejusz. - Sposób, w jaki to Mariusz powiedział, był bardzo wieloznaczny.

„Skończone więc i załatwione”, myślał, idąc do domu tym nowym krokiem, który wypracował, by ukryć powłóczenie lewą stopą. Jakże dziwne i jak okropne były tamte miesiące w Kyme, kiedy musiał się ukrywać i widywać jak najmniej ludzi, bo nie mógł znieść zgrozy, litości, rozkoszującej się satysfakcji. Najtrudniej było znieść takich, którzy go kochali na tyle mocno, by się smucić, jak Publiusz Rutyliusz. Słodka, łagodna Julia stała się prawdziwym tyranem i stanowczo zabraniała każdemu, nawet Publiuszowi Rutyliuszowi, powiedzieć choćby jedno słowo o polityce. Nie wiedział o kryzysie zbożowym, nie wiedział o uwodzeniu przez Saturnina niższych warstw. Jego życie ograniczało się do surowego reżimu diety, ćwiczeń i czytania klasyków. Zamiast bekonu na grzance jadł pieczone melony, bo Julia słyszała, że to oczyszcza nerki, pęcherz i krew z kamieni. Zamiast chodzić do Kurii Hostyliusza, jeździł do Bajów i do Misenum, zamiast czytać protokoły z zebrań senatu i doniesienia z prowincji, brnął przez Sokratesa, Herodota i Tukidydesa, a w końcu nie wierzył żadnemu z nich, bo pisali nie jak ludzie, którzy działają, tylko jak ludzie, którzy czytają.

A jednak to pomagało. Powoli, powoli jego stan się poprawiał. Nigdy jednak nie doszedł całkiem do siebie. Lewa strona ust była nieruchoma.

Nie był w stanie ukrywać zmęczenia. Zdrajca ukryty w jego własnym ciele napiętnował go przed całym światem. Uświadomienie sobie tego kazało mu się zbuntować, a Julia, która dziwiła się przedtem, że tak długo zachowuje on spokój, od razu uległa. Posłał po Publiusza Rutyliusza i wrócił do Rzymu pozbierać, co się da. Wiedział oczywiście, że Saturnin nie ustąpi, czuł się jednak zobowiązany, by go ostrzec. Co do Glaucji, jego wybór był niedopuszczalny, nie było więc się czym martwić. Można przynajmniej było wyznaczyć wybory trybunów ludowych na dzień przed nonami, a kwestorów w same nony, dzień, w którym powinni rozpocząć urzędowanie. Były to kłopotliwe wybory, bo musiały odbyć się w komicjum na Forum Romanum, gdzie przez cały dzień przewalały się tłumy, wykrzykiwano sprośności, obrzucano noszących togi nieczystościami, potrząsano pięściami i słuchano z nabożeństwem Saturnina.

Nie gwizdano i nie rzucano niczym w Gajusza Mariusza, który przeszedł środkiem tłumy, wracając do domu z owego pamiętnego zebrania. Nikt poniżej drugiej klasy nigdy nie spojrział nieprzychylnie na Mariusza. Był bohaterem niczym bracia Grakchowie. Stali tam ludzie, którzy spoglądali mu w twarz i płakali, widząc ślady choroby, stali tacy, którzy nigdy przedtem nie widzieli go na oczy i myśleli, że zawsze tak wyglądał, i tym bardziej go podziwiali. Nikt jednak nie próbował go dotknąć, odstępowali, robiąc mu przejście, on zaś szedł pośród nich dumnie, ale pokornie, z otwartym sercem i umysłem. Saturnin patrzył na to z rostrów ze zadziwieniem.

- Ten tłum to jakiś budzący lęk fenomen, nieprawdaż? - spytał Sulla Mariusza na wieczery tego dnia z udziałem Publiusza Rutyliusza Rufusa i Julii.

- Znak czasu - stwierdził Rutyliusz.

- Znak, że ich zawiedliśmy - rzekł Mariusz, marszcząc brwi. - Rzym potrzebuje wytchnienia. Od czasów Gajusza Grakcha mieliśmy stale jakieś kłopoty - Jugurtę - Germanów - Skordysków - niezadowolonych Italczyków - powstania niewolników - piratów - niedobór zboża - ta lista nie ma końca. Potrzebujemy wytchnienia, odrobiny czasu, by pomyśleć o Rzymie, nie o sobie samych. Miejmy nadzieję, że będziemy to mieli. Kiedy poprawi się zaopatrzenie w zboże.

- Mam wiadomość od Aurelii - powiedział Sulla.

Mariusz, Julia i Rutyliusz Rufus obrócili się ku niemu z zaciekawieniem.

- Czy ją widziałeś, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał czujnie Rutyliusz Rufus.

- Nie ma powodu do niepokoju, Publiusz Rutyliuszu. Tak, widuję ją od czasu do czasu. Tubylcy się rozumieją, dlatego tam chodzę. Utknęła na Suburze, a to także i mój świat - mówił niewzruszony Sulla. - Mam tam wciąż przyjaciół, a wśród nich Aurelię, jeśli wiecie, co mam na myśli.

- O bogowie, powinnam ją zaprosić! - speszyła się Julia. - Jakoś się o niej zapomina.

- Ona się nie obrazi - zapewnił ją Sulla. - Nie zrozumcie mnie źle, ona kocha tamten swój świat. Lubi też jednak wiedzieć, co się dzieje na Forum,

i to już moje zadanie. Jesteś jej wujem, Publiusz Rutyluszu, i starasz się uchronić ją od kłopotów. Ja opowiadam jej o wszystkim. Jest zadziwiająco inteligentna.

- A co to za wiadomość? - spytał Mariusz, popijając wodę.

- Przyszła od jej przyjaciela Lucjusza Dekumiusza, tego dziwnego człowieka, który kieruje kolegium rozdroży w insuli Aurelii, a brzmi ona mniej więcej tak: „Jeśli wam się zdaje, że na Forum były tłumy, niczegoście jeszcze nie widzieli. W dniu wyborów trybunów to morze głów zmieni się w ocean”.

Lucjusz Dekumiusz miał słuszość. O wschodzie słońca Gajusz Mariusz i Lucjusz Korneliusz Sulla weszli na Arx Kapitolu i stali oparci o niski mur odgradzający wierzchołek od urwiska Lautumiów. Mieli stąd widok na całe Forum Romanum rozciągnięte w dole. Jak daleko sięgał wzrok, rozlewał się ocean ludzi stłoczonych między Clivus Capitolinus a Velia. Tłum stał spokojny, posepny, groźny, zapierający dech.

- Dlaczego? - spytał Mariusz.

- Według Lucjusza Dekumiusza stoją tu, by zaznaczyć swą obecność. Komicjum zbiera się, by wybrać nowych trybunów ludowych, oni zaś słyszeli, że Saturnin stara się o wybór, i myślą, że jest on ich nadzieją na pełne brzuchy. Głód się dopiero zaczyna, Gajuszu Mariuszu, a oni nie chcą głodu - mówił spokojnie Sulla.

- Nie mogę jednak wpłynąć na wynik wyborów trybusowych, nie bardziej niż na wybory centurialne! Prawie wszyscy oni należą do czterech *tribus* miejskich.

- To prawda. A z tych trzydziestu jeden wiejskich *tribus* nie będzie wielu głosujących, poza tymi, którzy mieszkają w Rzymie - powiedział Sulla. - Nie ma tu świątecznego nastroju, by przyciągnąć głosujących ze wsi. Głosować będą ci z dołu. Wiedzą o tym. Nie przyszli tu, by głosować. Przyszli dać nam odczuć swą obecność.

- Pomysł Saturnina? - spytał Mariusz.

- Nie. Jego tłum to ten, który widziałeś w kalendy i przez następne dni. To po prostu motłoch. Obywatele z kolegiów rozdroży, eksgladiatorzy, złodzieje i malkontenci, łatwowierni właściciele sklepów stale cierpiący na brak pieniędzy, wyzwoleńcy mający dość płaszczenia się przed swymi byłymi panami i wielu liczących na denara lub dwa za trybunat Lucjusza Apulejusza.

- W istocie byli czymś więcej - rzekł Mariusz. - Byli oddanymi stronnikami człowieka, który pierwszy traktował ich poważnie, przemawiając z rostrów. - Przeniósł teraz ciężar ciała na niesprawną lewą nogę. - Ale ci tutaj nie należą do Lucjusza Apulejusza Saturnina. Ci nie należą do nikogo. Na bogów, jest ich więcej, niż było Cymbrów pod Vercellae. Ja zaś nie mam armii. Mam jedynie tę togę z purpurowym szlakiem. Otrzeźwiająca myśl.

- Rzeczywiście.

- Chociaż nie wiem... Może moja toga z purpurowym szlakiem jest właśnie tą armią, której mi trzeba. Oto nagle, Lucjusz Korneliuszu, widzę

Rzym w innym świetle niż dotychczas. Ściągnęli tu dziś po to, żeby się nam pokazać. Oni jednak są w Rzymie codziennie, zajmując się swymi sprawami. W ciągu godziny mogą znów się zebrać, żeby się nam pokazać. I nam się zdaje, że nimi rządzą?

- Rządzą, Gajuszu Mariuszu. Nie mogą rządzić się sami. Oddali się pod naszą opiekę, Gajusz Grakchus dał im jednak tani chleb, a edylowie dają wspaniałe igrzyska. Teraz przychodzi Saturnin i obiecuje tani chleb w samym środku głodu. Nie może dotrzymać tej obietnicy i oni zaczynają to już podejrzewać. Dlatego właśnie przyszli mu się pokazać podczas jego wyborów.

Mariusz znalazł potrzebną metaforę.

- Oni są jak ogromny, ale dobroduszny byk. Kiedy idzie ci on naprzeciw, bo masz wiadro w rękę, obchodzi go tylko pasza, którą masz we wiadrze. Kiedy jednak się przekona, że wiadro jest puste, nie wpada w szał. Myśli po prostu, że schował się gdzieś pod swoją szatą, i strąca cię na śmierć w jej poszukiwaniu, a nawet tego nie spostrzeże.

- Saturnin niesie puste wiadro - odgadł Sulla.

- Właśnie - rzekł Mariusz, odwracając się od muru. - Chodźmy, Lucjusz Korneliuszu, chwycić tego byka za rogi.

- I miejmy nadzieję - uśmiechnął się szeroko Sulla - że on naprawdę nie ma siana.

Nikt w tym ogromnym tłumie nie utrudniał przejścia senatorom i tym obywatelom, którzy zawsze oddawali swe głosy w komicjum. Gdy Mariusz wchodził na rostra, Sulla poszedł stanąć na schodach senatu wraz z resztą senatorów patrycjuszy. Ci członkowie Zgromadzenia Plebejskiego, którzy rzeczywiście głosowali, stanowili tego dnia wyspę w oceanie milczących widzów - i to wyspę zatopioną, gdy rostra niczym skała o płaskim wierzchołku wystawały ponad nieckę komicjum i ponad powierzchnię oceanu. Oczekiwano oczywiście nadejścia wielotysięcznej hałastry Saturnina, co skłoniło wielu senatorów i zwykłych głosujących do ukrycia noży i pałek pod togami, szczególnie tych z grupy młodych konserwatywnych *boni* Cephona Młodszego. Nie pojawiła się jednak żadna hałastra. Stawił się tu w proteście cały ubogi Rzym. Noże i pałki okazały się pomyłką.

Dwudziestu kandydatów na trybunów ludowych występowało jeden po drugim, podczas gdy Mariusz stał obok, przyglądając się temu. Pierwszym był przewodniczący kolegium trybunów, Lucjusz Apulejusz Saturnin. Cały rozległy tłum zaczął ogłuszająco wiwatować, a to przyjęcie wyraźnie go zdziwiło. Mariusz zauważył to z miejsca, na które się przesunął, by widzieć twarz Saturnina. Saturnin pomyślał, i było to po nim widać, że jest to niebywałe poparcie. Czegóż to nie dokona z trzystu tysiącami ubogich Rzymian idących za nim? Kto się ośmielił przeszkodzić mu w trybunacie, gdy ów potwór wyryczał swe poparcie? Tych, którzy poszli za Saturninem, powitało obojętne milczenie. Byli to Publiusz Furiusz, Kwintus Pompejusz Rufus z Pompejuszy z Picenum, Sekstus Tycjusz, Samnita z pochodzenia, rudowłosa, szarooki, o skrajnie arystokratycznym wyglądzie Marek Porcjusz Katon z Salony, wnuk tuskulańskiego wieśniaka Katona Cenzora i prawnuk celtyckiej niewolnicy.

Ostatni pojawił się nie kto inny jak Lucjusz Ekwicjusz, samozwańczy syn Tyberiusza Grakcha z nieprawego łoża, którego Metellus Numidyjski usiłował jako cenzor wykluczyć ze spisów *Ordo Equester*. Tłum zaczął znowu wiwatować. Fale entuzjazmu biły o rostra - tu oto stało wspomnienie ukochanego Tyberiusza Grakcha. I Mariusz przekonał się, jak trafne było porównanie z ogromnym łagodnym bykiem, bo tłum zaczął napierać na Lucjusza Ekwicjusza, wyniesionego na skale rostrów całkowicie nieświadom swej potęgi. Niby nieubłagana fala przyływu ścisnął tych z komicjum i w jego pobliżu coraz bardziej i bardziej. Drobne fale paniki zaczęły podnosić się wśród szykujących się do głosowania, gdy poczuli dławiące przerażenie, znalazłszy się w centrum jakiejś siły, której nie mogli się oprzeć.

Gdy wszyscy wokół stali jak sparaliżowani, sparaliżowany Gajusz Mariusz wystąpił szybko naprzód i podniósł dłonie gestem oznaczającym STAC, STAC, STAC! Tłum stanął w miejscu, nacisk zelżał, a wiwaty podniosły się teraz na cześć Gajusza Mariusza, Pierwszego w Rzymie, trzeciego założyciela Rzymu, pogromcy Germanów.

- Szybko, głupcze! - krzyknął na Saturnina, który stał jak urzeczony. - Powiedz, że grzmi - cokolwiek, by rozpuścić zebranie. Jeśli nie wyciągniemy głosujących z komicjum, tłum ich po prostu zgniecie!

Kazał potem heroldom dać w trąby i w nagłej ciszy znów podniósł ręce.

- Zagrzmiało! - zawołał. - Głosowanie odbędzie się jutro. Do domu, ludu rzymski. Do domu!

I tłum rozszedł się do domów.

Szczęśliwie większość senatorów szukała schronienia w kurii, gdzie i Mariusz poszedł zaraz, gdy było to możliwe.

Spostrzegł, że Saturnin schodzi z rostrów i idzie bez lęku w tłum, uśmiechając się i wyciągając ręce niby jeden z tych pizydyjskich mistyków, którzy wierzą w nakładanie rąk. A co z Glaucją, pretorem miejskim. Wszedł na rostra i stał tam, patrząc na Saturnina w tłumie. Na pogodnej twarzy miał szeroki uśmiech.

Wszystkie twarze zwróciły się ku wchodzącemu do kurii Mariuszowi. Były raczej blade niż pogodne i raczej spięte niż uśmiechnięte.

- Siedzimy tu jak śledzie w beczce! - rzekł Skaurus, nieugięty jak zwykle, ale niewątpliwie nieco wystraszony.

Mariusz spojrział na stłoczonych ojców spisanych i rzekł stanowczo:

- Idźcie do domu, proszę! Tłum nic wam nie zrobi, ale wyjdźcie w Argiletum, nawet jeśli wam droga na Palatyn. Będzie dobrze, jeśli będziecie narzekać tylko na długą drogę. Idźcie już. Idźcie!

Tych, których chciał zatrzymać, poklepał po ramieniu: Sulle, Skaurusa, Metellusa Kaprariusza Cenzora, Ahenobarba Pontifexa Maximusa, Krassusa Oratora i jego kuzyna Scewołę, którzy byli edylami kurulnymi. Zauważył, że Sulla podszedł do Cepiona Młodszego i Metellusa Prosiaka, mruknął coś do nich i klepnął po ramieniu z podejrzaną zażyłością. „Muszę wiedzieć, o co tu chodzi, ale to później”, mówił sobie Mariusz. „Kiedy będę miał czas, jeśli w ogóle go będę miał przy tym całym zamęcie”.

- No cóż, nigdy jeszcze niczego takiego nie widzieliśmy - zaczął. -

Przerażające, czyż nie?

- Chyba nie mieli złych zamiarów - rzekł Sulla.

- I ja tak sądzę - przyznał Mariusz. - Ale to nadal jest ogromny byk, który nie zna własnej siły - skinął na szefa pisarzy. - Znajdź kogoś, kto pobiegnie na Forum, chcę tu mieć zaraz przewodniczącego Kolegium Liktorów.

- Co nam radzisz robić? - spytał Sulla. - Odłożyć wybory plebejskie?

- Nie, możemy z tym skończyć - powiedział zdecydowanie Mariusz. - Nasz tłum-byk jest łagodnym zwierzęciem, ale może wpaść w gniew, gdy głód się zwiększy. Nie czekajmy, aż mu owiną rogi sianem na znak, że jest groźny, bo porozpruwa wam brzuchy. Posłałem po szefa liktorów, bo chyba jutro byk natknie się na zagrodę, którą łatwo pokona. Kazałem niewolnikom państwowym pracować całą noc przy budowie niegroźnie wyglądającej barykady wokół zagłębienia komicjum i terenu między komicjum a schodami senatu - czegoś w rodzaju przegród, jakie wznosimy na Forum podczas igrzysk żałobnych dla oddzielenia widzów od walczących. Przywykli do nich i nie pomyślą, że się boimy. Potem ustawię wszystkich liktorów Rzymu za tą barykadą - w szkarłatnych tunikach, a nie togach, ale uzbrojonych tylko w różgi. Cokolwiek zrobimy, nie powinniśmy dawać bykowi poznać, że jest od nas większy i silniejszy - bo byki potrafią myśleć! Jutro przeprowadzimy wybory trybunów - jak dla mnie, wystarczy i trzydziestu pięciu głosujących. To oznacza, że idąc do domu, złożycie dziś po drodze wizyty senatorom z okolicy, by byli gotowi na jutrzejsze głosowanie. Tym sposobem będziemy mieli chociaż po jednym głosującym w każdej *tribus*. Marna to frekwencja, ale jednak frekwencja. Wszystko jasne?

- Jasne - rzekł Skaurus.

- A gdzie jest dziś Kwintus Lutacjusz? - spytał Sulla.

- Chyba chory - powiedział Skaurus - i chyba naprawdę nie brak mu odwagi.

Mariusz spojrział na cenzora Kaprariusza.

- Jutro będziesz miał najgorszą robotę Gnejuszu Cecyliusza, kiedy Ekwicjusz zgłosi kandydaturę. Czy mu pozwolisz kandydować? Muszę cię o to zapytać. Co mu powiesz?

Kaprariusz nie zastanawiał się.

- Powiem „nie”, Gajuszu Mariuszu. Ktoś, kto był niewolnikiem, miałby zostać trybunem ludowym? To nie do pomyślenia.

- W porządku, dziękuję i to wszystko - rzekł Mariusz. - Ruszajcie i sprowadźcie tu jutro wszystkich waszych bojaźliwych kolegów. Ty, Lucjusz Korneliuszu, zostań jeszcze. Powierzam ci liktorów, lepiej więc zaczekaj na ich szefa.

Tłum wrócił na Forum o świcie i zastał nieckę komicjum otoczoną prostym przenośnym ogrodzeniem z lin i słupków, które ustawiano za każdym razem, gdy Forum stawało się miejscem czyichś igrzysk żałobnych z udziałem gladiatorów. Po wewnętrznej stronie ogrodzenia stali co parę kroków liktorzy w szkarłatnych tunikach, a każdy trzymał długi i gruby

pręt. Nie wyglądało to na prowokację, a gdy Gajusz Mariusz wystąpił i głośno wyjaśnił, że nie chciał, by kogoś przypadkiem stratowano, wiwatowano tak samo głośno jak poprzedniego dnia. Z tłumu nie widziano ukrytej w Kurii Hostyliusza grupy, którą Sulla ulokował tam przed świtem: pięćdziesięciu młodych członków klasy pierwszej. Wszyscy byli w hełmach i pancerzach, z tarczami, mieczami i sztyletami u pasa. Podniecony Cepion Młodszy był tylko zastępcą dowódcy, bo dowództwo sprawował sam Sulla.

- Ruszymy tylko wtedy, kiedy powiem, że ruszamy - oznajmił. - Jeśli ktoś ruszy bez mojego rozkazu, zabiję go.

Na rostrach wszyscy byli gotowi. W niecce komicjów zadziwiająco duża liczba regularnie głosujących cisnęła się wraz z połową senatu, gdy tymczasem patrycjuszowscy senatorowie stali jak zwykle na schodach senatu. Wśród nich był Katullus Cezar wyglądający na tak chorego, że przyniesiono mu krzesło, a także cenzor Kaprariusz, którego plebejski status upoważniał do wejścia do komicjów, on jednak wolał stać tam, gdzie wszyscy go widzieli.

Kiedy Saturnin zgłosił swą kandydaturę na kolejną kadencję, tłum wiwatował histerycznie. Najwyraźniej jego akcja nakładania rąk z poprzedniego dnia sprawiła cuda. Jak poprzednio, pozostałych kandydatów powitało milczenie. Dopóki ostatni nie wystąpił Lucjusz Ekwicjusz.

Mariusz obrócił się ku schodom senatu i podniósł swą jedną sprawną brew, zadając nieme pytanie Metellusowi Kaprariuszowi, a Metellus Kaprariusz pokręcił przecząco głową. Zadanie pytania było niemożliwością, bo tłum wciąż pozdrawiał Lucjusza Ekwicjusza, jakby nigdy nie zamierzał przestać.

Heroldowie zadęli w trąby. Mariusz wystąpił naprzód, zapadła cisza.

- Ten oto mąż, Lucjusz Ekwicjusz, nie może być przyjęty jako kandydat na trybuna ludowego! - zawołał najgłośniejszy jak mógł. - Istnieją wątpliwości co do jego statusu obywatela, które cenzor musi wyjaśnić, zanim Lucjusz Ekwicjusz będzie mógł się ubiegać o jakikolwiek urząd publiczny związany z senatem i ludem rzymskim!

Saturnin przepchnął się obok Mariusza i stanął na skraju rostrów.

- Nie widzę żadnych przeszkód!

- Ja zaś zgłaszam w imieniu cenzora, że istnieje przeszkoda - oświadczył niewzruszony Mariusz.

Saturnin odwrócił się do tłumu.

- Lucjusz Ekwicjusz jest Rzymianinem jak każdy z was! - wrzasnął. - Spójrzcie na niego, tylko spójrzcie! To cały Tyberiusz Grakchus!

Ale Lucjusz Ekwicjusz wpatrywał się w nieckę komicjów, niewidoczną dla tłumu, nawet tych z pierwszych szeregów. Senatorowie i synowie senatorów wyciągali tam sztylety i pałki spod szat, ruszając ku niemu, jakby chcieli ściągnąć go między siebie.

Lucjusz Ekwicjusz, dzielny weteran po dziesięciu latach w legionach - w każdym razie tak opowiadał - cofnął się, obrócił do Mariusza i chwycił go za ramię.

- Pomóż mi - prosił płaczącym głosem.

- Najchętniej zepchnąłbym cię do nich, bezmyślny wichrzycielu - warknął Mariusz. - Trzeba jednak zakończyć te wybory. Nie możesz brać udziału, a jeśli zostaniesz na rostrach, ktoś mógłby próbować samosądu. Najlepiej będzie, jeśli zamknę cię w Lautumiach, póki się wszyscy nie rozejdą.

Na rostrach stało dwudziestu czterech liktorów. Dwunastu z nich nosiło *fascēs*, bo przydzieleni byli do konsula Gajusza Mariusza. Mariusz ustawił ich wokół Lucjusza Ekwicjusza i kazał mu ruszać do Lautumiów. Jego szlak przez tłum znaczyło rozstępowanie się ludzkiego oceanu przed symbolami władzy, wiązkami różeg przewiązanych szkarłatnym sznurem.

„Nie mogę w to uwierzyć”, myślał Mariusz, patrząc na to rozstępowanie się oceanu ludzi. „Słyszałem, jak go pozdrawiali z uwielbieniem, jak się wielbi bogów. W ich oczach musi to wyglądać, jakbym go uwięził. Cóż jednak robią? Co zawsze robią na widok rzędu liktorów maszerujących z *fascēs* na ramieniu i jakiejś togi z purpurowym szlakiem, idącej za nimi? Odstępują na bok, ustępując drogi majestatowi Rzymu. Nawet dla Lucjusza Ekwicjusza nie zniweczą władzy tych prętów i togi z purpurowym szlakiem. Tam idzie Rzym. Czymże jest Lucjusz Ekwicjusz, gdy już wszystko zostało powiedziane i dokonane? Patetyczną kopią Tyberiusza Semproniusza Grakcha, którego kochali, kochali, kochali. Nie wiwatowali na cześć Lucjusza Ekwicjusza. Wiwatowali na cześć pamięci Tyberiusza Grakcha”.

Jakieś nowe, pełne dumy uczucie wzbierało w Gajuszu Mariuszu wciąż patrzącym, jak liktorzy niczym płetwa rekina prują fale oceanu rzymskich ubogich, dumy ze zwyczajów i tradycji sześciuset pięćdziesięciu czterech lat, wciąż tak potężnych, że zdołały odeprzeć ten przyływ większy niż inwazja Germanów, za pomocą tylko kilku wiązek różeg noszonych na ramionach. „Ja zaś stoję tu w swej todze z purpurowym szlakiem i nie lękam się niczego, gdy ją noszę. Wiem, że jestem kimś więcej niż każdy z królów, którzy chodzili po tym świecie. Nie mam bowiem żadnej armii, a wewnątrz ich miasta nie mam toporów zatkniętych między różgi ani straży przybocznej z mieczami. Oni jednak ustępują z drogi symbolom mojej władzy, na których nie ma nawet tyle purpury, ile jej widzą codziennie na jakimś *saltatrix tonsa*. Tak, wolę być konsulem Rzymu niż królem”.

Liktorzy wrócili z Lautumiów, a wkrótce potem wrócił Lucjusz Ekwicjusz, wyzwolony z celi przez tłum i wepchnięty z powrotem na rostra przy minimalnym tylko zamieszaniu. Stał tam rozdygotany i pragnący jedynie znaleźć się gdzie indziej. Mariusz nie miał wątpliwości, czego chce tłum: „Napełnij wiadro, jestem głodny, nie chowaj przede mną paszy”.

Tymczasem Saturnin prowadził swoje wybory najszybciej, jak mógł, aby mieć pewność, że wraca na urząd, zanim coś mu przeszkodzi. Głowę miał pełną marzeń o przyszłości, o potędze i majestacie tego tłumy, o sposobie, w jaki tłum okazywał mu swe uwielbienie. Czy nie wiwatowali na cześć Lucjusza Ekwicjusza dlatego, że wyglądał jak Tyberiusz Grakchus? Czy nie wiwatowali na cześć Mariusza, sparaliżowanego, starego durnia, bo ocalił Rzym od barbarzyńców? Ach, nie wiwatowali jednak na cześć Ekwicjusza albo Mariusza tak, jak to robili na jego cześć! Co to za materiał

ludzki - to nie hołota ze spelunek Subury! Ten tłum składał się z ludzi godnych szacunku, którzy mogli mieć puste brzuchy, ale mieli też zasady.

Kandydaci występowali jeden po drugim naprzód, *tribus* głosowały, a urzędnicy rachunkowi liczyli pracownicy głosy pod nadzorem Mariusza i Saturnina, do chwili gdy jako ostatni miał wystąpić Lucjusz Ekwicjusz. Saturnin spojrział na Mariusza, a Mariusz na schody senatu.

- Co masz mi do powiedzenia tym razem, cenzorze Gajuszu Cecyliuszu Metellusie Kaprariuszu - zawołał. - Czy nadal mam zabraniać temu mężowi stawania do wyborów, czy też wycofujesz zastrzeżenia?

Kaprariusz spojrział bezradnie na Skaurusa, który spojrział na Katullusa Cezara, ten zaś, z poszarzałą twarzą, spojrział na Pontifexa Maximusa Ahenobarba, który nie patrzył już na nikogo. Nastąpiła długa przerwa. Tłum patrzył w milczeniu, zafascynowany i nie mający pojęcia, co się dzieje.

- Niech staję do wyborów! - krzyknął Metellus Kaprariusz.

- Niech staję do wyborów! - krzyknął Mariusz do Saturnina.

Kiedy policzono wyniki, Lucjusz Apulejusz Saturnin był pierwszy, wybrany na trzecią kadencję trybuna ludowego. Wybrano też Katona Salońskiego, Kwintusa Pompejusza Rufusa, Publiusza Furiusza i Sekstusa Tycjusza. A na drugim miejscu, mając trzy albo cztery głosy mniej od Saturnina, został wybrany na trybuna ludowego były niewolnik Lucjusz Ekwicjusz.

- Niewolnicze kolegium - mówił z pogardą Katullus Cezar. - Nie tylko Katon Saloński, ale jeszcze i prawdziwy wyzwoleniec!

- To koniec republiki - powiedział Ahenobarbus, patrząc z obrzydzeniem na Metellusa Kaprariusza.

- A co więcej mogłem zrobić? - beczał Koziołek Metellus. Nadeszli inni senatorowie, a zbrojna straż Sulli, uwolniwszy się od ekwipunku, wychyłała z wnętrza kurii. Schody senatu wydawały się najbezpieczniejszym miejscem, chociaż tłum najwyraźniej rozchodził się, ujrawszy wybór swoich bohaterów.

Cepion Młodszy splunął w stronę tłumu.

- Na dziś do widzenia, hołota! - powiedział z wykrzywioną twarzą. - Patrzcie tylko na nich! Złodzieje, mordercy, gwałciciele własnych córek!

- To nie hołota, Kwintusie Serwiliuszu - odparł Mariusz. - To Rzymianie, biedni Rzymianie, ale nie złodzieje ani mordercy. Żywią się już teraz rzepą i prosem. Miejmy nadzieję, że nasz przyjaciel Lucjusz Ekwicjusz nie poderwie ich do buntu. Zachowywali się wzorowo w czasie tych żalosnych wyborów, ale to może się zmienić, gdy rzepa i proso podrożeją.

- Ach, z tym nie ma zmartwienia! - powiedział wesóło Gajusz Memiusz, zadowolony z wyboru trybunów ludowych w terminie, bo jego szanse na wspólny konsulat z Markiem Antoniuszem Oratorem wyglądały lepiej niż kiedykolwiek. - Za kilka dni będzie lepiej. Marek Antoniusz mówił mi, że nasi ludzie w prowincji Azji kupili wielką ilość pszenicy, gdzieś na północy Euksynu. Pierwsza zbożowa flota przybędzie do Puteoli lada dzień.

Wszyscy wpatrywali się w niego z otwartymi ustami.

- No cóż. - Mariusz zapomniał, że nie może już uśmiechać się z łagodną ironią, i zaprezentował jakiś przeraźliwy grymas. - Wszyscy wiemy, że masz dar przewidywania przyszłości dostaw zboża, ale jakim sposobem wszedłeś w posiadanie tej informacji, skoro ja - starszy konsul! - i ten oto Marek Emiliusz - princeps senatu i *curator annonae* - nie jesteśmy wtajemniczeni?

Ze dwadzieścia par oczu wbiło się w twarz Memiusza. Przełknął ślinę.

- To żadna tajemnica, Gajuszu Mariuszu. Była o tym mowa w Atenach, kiedy Marek Antoniusz wrócił z Pergamonu. Spotkał tam naszych zbożowych agentów i oni mu o tym powiedzieli.

- A czemu Marek Antoniusz nie uznał za stosowne zawiadomić mnie, kuratora dostaw zboża? - spytał lodowatym tonem Skaurus.

- Chyba po prostu przyjął - jak i ja - że o tym wiesz. Ci agenci pisali o tym, więc powinieneś wiedzieć.

- Ich listy tu nie dotarły. - Mariusz mrugnął do Skaurusa. - Chciałbym ci podziękować, Gajuszu Memiuszu, za tak wspaniałe nowiny.

- W rzeczy samej - przytaknął Skaurus, już spokojny.

- Miejmy nadzieję, że nie zerwie się jakaś burza i nie pośle tego zboża na dno Morza Środkowego. - Mariusz uznał, że tłum rozszedł się na tyle, by on sam mógł pójść do domu, i nie miał nic przeciw porozmawianiu z kilkoma członkami senatu.

- Senatorowie, spotykamy się tu jutro znowu na wyborach kwestorów. A pojutrze pójdziemy wszyscy na Pole Marsowe, by zobaczyć kandydatów na konsulów i pretorów. Dobrego dnia wam życzę!

- Dureń z ciebie, Gajuszu Memiuszu - odezwał się ze swego krzesła Cezar Katullus miażdżącym tonem.

Gajusz Memiusz uznał, że niepotrzebna mu kłótnia z kimś z najwyższej arystokracji, i wyszedł w ślad za Gajuszem Mariuszem. Zdecydował się złożyć wizytę Markowi Antoniuszowi w jego wynajętej willi na Polu Marsowym i powiadomić go o nowinach. Idąc, wyobrażał sobie, jak to z Markiem Antoniuszem zbiórą dodatkowe uznanie wyborców. Dopilnuje, by ich agenci poszli pojutrze między zebrane centurie szerzyć wiadomość o zbliżających się flotach zbożowych, jakby to była zasługa jego i Marka Antoniusza. Pierwsza i druga klasa mogły ubolewać nad obciążeniem państwa kosztem taniego zboża, ale po obejrzeniu rozmiarów tłumy na Forum powinny być wdzięczne za napełnienie rzymskich brzuchów chlebem z taniego ziarna.

O świcie w dniu przedstawiania kandydatur w saepcie Gajusz Memiusz wyszedł z Palatynu na Pole Marsowe w towarzystwie radosnego tłumy klientów i przyjaciół pewnych, że obaj z Antoniuszem zostaną wybrani.

Weseli i roześmiani szli zwawo przez Forum Romanum w chłodnym wietrzyku pięknego jesiennego poranka, nieco się wzdrygnąwszy w głębokim cieniu bramy Fontinalis, pewni jednak, że na słonecznej równinie pod Górą Zamkową czeka zwycięstwo, Gajusz Memiusz będzie konsulem.

Inni także szli w stronę saepty, dwójkami i trójkami, rzadko w pojedynkę, bo ktoś na tyle ważny, by głosować w wyborach kurulnych, wolał mieć

towarzystwo, występując publicznie, dla dodania sobie *dignitas*.

Tam, gdzie droga schodząca z Kwirynału łączyła się z Via Lata, Gajusz Memiusz i jego towarzysze napotkali około pięćdziesięciu ludzi eskortujących nie kogo innego niż Gajusza Serwiliusza Glaucję.

Memiusz zatrzymał się zaskoczony.

- Dokąd się wybierasz w tym stroju? - spytał, przypatrując się *toga candida* Glaucji. Specjalnie wybielana poprzez wielodniowe wieszanie w słońcu, a potem pobielana do oślepiając białości przez dodawanie sproszkowanej kredy, *toga candida* mogła być noszona tylko przez kandydatów do wyborów na urzędy państwowe.

- Ubiegam się o konsulat - odparł Glaucja.

- Nie możesz, wiesz o tym.

- Ależ mogę.

- Gajusz Mariusz powiedział, że nie możesz kandydować.

- Gajusz Mariusz powiedział, że nie mogę kandydować - powtórzył Glaucja ekliwym tonem, a potem ostentacyjnie odwrócił się plecami do Memiusza i przemówił do swoich stronników głosem ociekającym wprost pedałstwem. - Gajusz Mariusz powiedział, że nie mogę kandydować! No cóż! Muszę stwierdzić, że to nieco sztywne stanowisko, gdy prawdziwi mężowie nie mogą kandydować, a jakieś ślicznoty mogą!

Ta wymiana zdań zebrała słuchaczy i w tych okolicznościach nie było w tym nic dziwnego, bo starcia konkurujących ze sobą kandydatów były częścią ogólnej zabawy. To, że do starcia doszło jeszcze przed dotarciem do *saepes*, nie robiło słuchaczom różnicy. Przybywało ich coraz więcej.

Gajusz Memiusz wiał się jak na mękach. Przez całe życie cierpiał dopust bogów, był bowiem zbyt przystojny, nie budził zaufania, lubił chłopców, był lekkoduchem i tak dalej. I oto Glaucja dostrzegł sposobność wyszydzenia go przed tymi wszystkimi ludźmi, przed głosującymi. Tego właśnie dnia nie musiał wyciągać tej dawnej homoseksualnej etykiety.

To zrozumiałe, że Gajusza Memiusza załała krew. Zanim ktokolwiek odgadł jego zamiary, skoczył naprzód, sięgnął do ramienia Glaucji i zdarł z niego togę. Potem, gdy Glaucja obrócił się gwałtownie, by zobaczyć, kto go atakuje, Memiusz zadał mu potężny cios w lewe ucho i poszedł do zwarcia. Glaucja upadł, Memiusz był na wierzchu, a obie wspaniałe togi były teraz brudne i poplamione. Ludzie Glaucji mieli jednak ukryte pałki i maczugi. Poszły teraz w ruch. Ludzie Glaucji zaatakowali oszołomione szeregi towarzyszy Memiusza, waląc z furją dookoła. Orszak Memiusza rozpadł się z miejsca, a jego członkowie uciekali na wszystkie strony, wołając o pomoc.

Widzowie zachowali się typowo - nie kiwnęli palcem, żeby pomóc. Przyglądali się tylko z żywym zainteresowaniem. Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość, bo nikt nie śnił nawet, że zobaczy coś więcej niż bójkę między dwoma kandydatami. Broń była niespodzianką, ale wiadomo było, że stronnicy kandydatów noszą przy sobie broń.

Dwóch wielkich chłopów podniosło Memiusza i trzymało go, wrywającego się wściekle, podczas gdy Glaucja podniósł się, odkopnąwszy na bok swoją zrujnowaną togę. Glaucja nie powiedział ani słowa. Wziął od

kogoś stojącego obok pałkę i przez dłuższą chwilę patrzył na Memiusza. Potem trzymana oburącz pałka podniosła się i spadła na uderzająco urodziwą głowę Gajusza Memiusza. Nikt nie próbował przeszkodzić, gdy Glaucja pochylał się nad padającym Memiuszem, bijąc i bijąc pałką w tę głowę, już nie urodziwą. Dopiero gdy zmieniła się w miazgę krwi i mózgu, przerwał atak.

Na twarzy Glaucji pojawił się potem wyraz niedowierzania, oburzenia i rozczarowania. Odrzucił zakrwawioną pałkę i spojrzał na swego przyjaciela Gajusza Klaudiusza, który przyglądał się temu z pobladłą twarzą.

- Ukryj mnie u siebie, póki nie będę mógł wyjść.

Klaudiusz bez słowa skinął głową.

Widzowie zaczęli szemrać i ruszać w ich stronę, jacyś ludzie biegli od saepty. Glaucja odwrócił się i pobiegł w stronę Kwirynału, a jego towarzysze za nim.

Wiadomość o tym przyniesiono Saturninowi, gdy chodził po saepcie, zabiegając o głosy dla nielegalnej kandydatury Glaucji. Ukradkiem rzucane gniewne spojrzenia powiedziały mu, jak większość słuchaczy przyjęła wieść o zamordowaniu Memiusza, on zaś był napiętnowany jako najlepszy przyjaciel Glaucji. Wśród młodych senatorów i senatorskich synów podniósł się już wściekły gwar, a synowie co znaczniejszych ekwitów gromadzili się wokół swoich rówieśników z senatu i tego zagadkowego Sulli w środku tamtych.

- Lepiej się stąd zabierajmy - powiedział Gajusz Saufejusz, zaledwie poprzedniego dnia wybrany na kwestora miejskiego.

- Masz rację, chyba tak będzie lepiej - odparł Saturnin, który był coraz bardziej niespokojny, wyczuwając narastający wokół gniew.

Opuścił pospiesznie saeptę w towarzystwie Tytusa Labienusa z Picenum i Gajusza Saufejusza. Wiedział, dokąd mógł udać się Glaucja - do domu Gajusza Klaudiusza na Kwirynale - ale kiedy tam dotarł, zastał drzwi zaryglowane. Dopiero po dość długim nawoływaniu Gajusz Klaudiusz otworzył i wpuścił do środka trójkę przyjaciół.

- Gdzie on jest? - spytał Saturnin.

- W mojej pracowni. - Gajusz Klaudiusz płakał.

- Tytusie Labienusie - rzekł Saturnin. - Idź i sprowadź Lucjusza Ekwicjusza. Będzie nam potrzebny, bo tłum go uwielbia.

- Co zamierzasz?

- Powiem ci, kiedy mi go przyprowadzisz.

Glaucja siedział z poszarzałą twarzą w pracowni Gajusza Klaudiusza. Podniósł wzrok, gdy wszedł tam Saturnin, ale nie powiedział ani słowa.

- Dlaczego, Gajuszu Serwiliuszu? Dlaczego?

Glaucja zadrżał.

- Nie chciałem tego. Straciłem panowanie nad sobą.

- I straciłeś naszą szansę w Rzymie - rzekł Saturnin.

- Straciłem panowanie - powtórzył Glaucja.

Spędził on poprzednią noc w tym samym domu, bo Gajusz Klaudiusz

wydał przyjęcie na jego cześć. Sam niezbyt męski, Gajusz Klaudiusz podziwiał śmiałość, z jaką Glaucja występował przeciw postanowieniom *lex Villia*, i uznał, że najlepszym sposobem okazania swego podziwu będzie użycie części swej wielkiej fortuny na upamiętnienie rozpoczęcia przez Glaucję nowej drogi w życiu. Tych pięćdziesięciu, towarzyszących później Glaucji w drodze do saepty, to byli zaproszeni goście. Nie zaproszono jednak żadnych kobiet, a wynikiem tego była jakaś komedia godna uwagi chyba tylko dla pijackiej kłótności. O świcie nikt nie czuł się dobrze, musieli jednak iść z Glaucją do saepty, by mu udzielić poparcia. Pałki i maczugi wydawały się dobrym pomysłem. Glaucja, który czuł się równie marnie, jak wszyscy, zaaplikował sobie emetyk i zażył kąpieli. Potem, spowity w śnieżnobiałą togę, wyruszył w drogę, mrużąc oczy, bo w głowie potężnie mu łupało.

Widok świeżutkiego i roześmianego Memiusza, noszącego urodziwą głowę wysoko, jakby już zwyciężył, to było więcej, niż mogły znieść skolatane nerwy Glaucji. Odpowiedział więc na uwagi Memiusza urąganiem, a gdy Memiusz zdarł z niego togę, przestał zupełnie nad sobą panować. Co się stało, już się nie odstanie. Wszystkie plany leżały w ruinie dokoła roztrzaskanej głowy Gajusza Memiusza.

Obecność w pracowni milczącego Saturnina była innego rodzaju wstrząsem. Glaucja zaczynał rozumieć potworność swego czynu, jego wpływ na inne sprawy i jego reperkusje. Zniszczył oto nie tylko swoją karierę, ale prawdopodobnie zniszczył też karierę swego najlepszego przyjaciela. A tego nie mógł znieść.

- Mówże coś, Lucjuszu Apulejuszu! - krzyknął.

Pograżony w myślach Saturnin mrugał.

- Chyba pozostało nam tylko jedno - powiedział spokojnie. - Musimy przeciągnąć tłum na swoją stronę i użyć go dla zmuszenia senatu, by spełnił nasze żądania. Urzędu i przyjęcia okoliczności łagodzących dla ciebie oraz gwarancji, że żaden z nas nie będzie sądzony. Posłałem już Tytusa Labienusa po Lucjusza Ekwicjusza, bo łatwiej będzie przekonać tłum, mając go obok siebie. - Westchnął i wygiął ręce. - Kiedy tylko Labienus wróci, ruszymy na Forum. Nie ma czasu do stracenia.

- Czy mam też iść? - spytał Glaucja.

- Nie. Zostań tu ze swymi ludźmi i każ Gajuszowi Klaudiuszowi uzbroić niewolników. I nie wpuszczaj tu nikogo, chyba że usłyszysz mój głos albo Labienusa czy Saufejusza - powiedział i wstał. - Przed nocą muszę mieć Rzym w rękę. Inaczej i ja jestem skończony.

- Porzuć mnie! - rzekł nagle Glaucja. - Lucjuszu Apulejuszu, nie ma potrzeby tego robić! Załam ręce ze zgrozy nad moim czynem, a potem stań na czele stada wyjącego o skazanie mnie i potępienie! To jedyny sposób. Rzym nie jest gotów na zmianę formy rządów! Tamten tłum jest głodny, zgoda. Ma dość nieudolnego rządu, zgoda. Żąda sprawiedliwości, zgoda. Nie aż tak jednak, by rozbijać głowy i rozdzierać gardła. Będą wiwatować na twoją cześć, aż ochrypną. Ale nie będą dla ciebie zabijać.

- Mylisz się. - Saturnin czuł się, jakby chodził po chmurach, lekki, wolny, niewrażliwy na ciosy. - Gajuszu Serwiliuszu, ten lud wypełniający

nasze Forum jest liczniejszy i mocniejszy niż jakaś armia! Czy nie widzisz, jak wielcy politycy padają przed nim na kolana? Czy nie widziałeś, jak Metellus Kaprariusz wycofał się w sprawie Lucjusza Ekwicjusza? Nie było rozlewu krwi! Więcej jej leje się na Forum przy bójce z udziałem stu ludzi, a tam były setki tysięcy! Nikt nie będzie sprzeciwiał się tłumowi, nie będzie też konieczne, by mu dawać broń i kazać rozbijać głowy i rozdzierać gardła. Ich siła leży w ich masie! W masie, którą mogę kontrolować, Gajuszu Serwiliuszu. Wystarczy mi do tego moja sztuka przemawiania, dowód mego oddania ich sprawie i jedno lub dwa skinienia Lucjusza Ekwicjusza. Kto się oprze człowiekowi, który kieruje tym tłumem niczym ogromną machiną obłędną? Te chochoły z senatu?

- Gajusz Mariusz - powiedział Glaucja.

- Nie, nawet nie Gajusz Mariusz! A zresztą, on jest z nami!

- Nie jest.

- Może myśleć, że nie jest, Gajuszu Serwiliuszu, ale fakt, że tłum wiwatuje na jego cześć tak samo jak na moją, każe wielkim politykom i całej reszcie senatu widzieć go w tym samym świetle, w jakim widzą nas! Nie mam nic przeciw dzieleniu się władzą z Gajuszem Mariuszem - jeszcze przez chwilę. On się starzeje, miał udar. Następny może go zabić - cóż bardziej naturalnego?

Glaucja poczuł się lepiej. Wyprostował się w krześle i spojrzał na Saturnina z mieszaniną zwątpienia i nadziei.

- Czy to się może udać, Lucjuszu Apulejuszu? Naprawdę myślisz, że się uda?

A Saturnin wyciągnął ręce w górę, promieniując pewnością siebie, i z uśmiechem dzikiej radości na twarzy odparł:

- Uda się, Gajuszu Serwiliuszu. Zostaw to mnie.

Tak więc Lucjusz Apulejusz Saturnin wyruszył z domu Gajusza Klaudiusza na rostra na Forum Romanum w towarzystwie Labieniusa, Saufejusza, Lucjusza Ekwicjusza i jakichś dziesięciu czy dwunastu innych bliskich stronników. Przeszedł przez Górę Zamkową, planując zejście na swoją arenę z góry, jak jakiś półbóg zstępujący z górnych regionów pełnych świątyń i bóstw. Po raz pierwszy ujrzał więc Forum ze szczytu gemońskich schodów, którymi zamierzał zejść niczym jakiś król. Doznał wstrząsu i musiał stanąć. Tłum. Gdzie się podział tłum? Odpowiedź brzmiała, że rozszedł się do domów po wyborach kwestorów poprzedniego dnia, a ponieważ nie zanosilo się na żadne wydarzenia na Forum, nie zgromadził się z powrotem. Nie było tu też żadnych pojedynczych senatorów, bo tego dnia wydarzenia rozgrywały się na zielonej murawie saepty.

Forum nie było jednak opustoszałe. Ze dwa lub trzy tysiące saturninowej hołoty paradowało tam i z powrotem, krzycząc i wymachując pięściami, domagając się darmowego zboża. Rozczarowanie omal nie wycisnęło łez z oczu Saturnina. Potem spojrzał surowo na tych zawziętych krzykaczy na dolnym końcu Forum i podjął decyzję. Zrobię to. Muszę to zrobić. Użyję ich jak ostrza włóczni. Z ich pomocą ściągnie ów wielki tłum z powrotem na Forum, bo oni obracali się wśród ludzi z tamtego wielkiego tłumy, on

zaś nie.

Żałując, że nie ma heroldów z trąbami, głoszących jego przybycie, Saturnin zszedł po schodach gemońskich i kroczył ku rostrom, a grupka jego zwolenników nawoływała, gromadząc mu słuchaczy.

- Kwirycci! - zwrócił się do nich wśród wiwatów, wyciągając ręce, by ich uciszyć. - Kwirycci, senat rzymski zamierza wydać na nas wyroki śmierci! Ja, Lucjusz Apulejusz Saturnin, a także Lucjusz Ekwicjusz i Gajusz Serwiliusz Glaucja mamy być oskarżeni o zamordowanie jakiegoś ulubieńca nobilów, zniewieściałego pajaca, którego jedynym celem w ubieganiu się o konsulat było dalsze głodzenie ciebie, ludu rzymski!

Zbity tłum wokół rostrów był milczący i skupiony. Słuchali. Saturnin nabrał pewności siebie i energii z tego ich zasłuchania i rozwijał temat.

- Jak myślicie, czemu nie dostajecie zboża, choć wprowadziłem moje prawo, dające wam zboże za psie pieniądze? Bo pierwsza i druga klasa naszego wielkiego miasta wolą kupować mniej i sprzedawać drożej! Bo pierwsza i druga klasa naszego miasta nie chcą, by wasze głodne usta zwracały się w ich stronę! Jesteście dla nich kukułczym pisklęciem w ich gnieździe, zbędnym wydatkiem, którego Rzym nie potrzebuje! Oto wy, Policzeni Głowami, i wy z niższych klas nie jesteście już dla nich ważni, po tych wszystkich wygranych wojnach i po zapełnieniu skarbcza łupami! Po co wydawać te łupy na zapełnienie waszych nic nie wartych brzuchów? Senatowi rzymskiemu i klasom pierwszej i drugiej bardzo odpowiada, gdy kilkaset tysięcy tak zwanych bezużytecznych brzuchów kurczy się tak bardzo, że ich właściciele giną z głodu! Wyobraźcie to sobie! Cóż za oszczędność pieniędzy, gdy wszystkie te cuchnące i zatłoczone insule nagle opustoszeją! Jakim zielonym przestronnym parkiem stanie się Rzym! Tam, gdzie cisnęliście się, by przeżyć, oni będą się przechadzać po ogrodach, pobrzękując pieniędzmi w sakiewkach i z pełnymi brzuchami! Oni wcale o was nie dbają! Jesteście uciążliwością, której się chętnie pozbędą, a czyż jest lepszy sposób niż sztucznie wywołany głód?

Miał ich w garści, oczywiście. Warczeli jak gniewne psy. To warczenie napępniało tryumfem serce Saturnina.

- Ja, Lucjusz Apulejusz Saturnin, walczyłem jednak o napełnienie waszych brzuchów tak długo i tak zawzięcie, że trzeba teraz skazać mnie za morderstwo, którego nie popełniłem!

To było dobre: rzeczywiście nie popełnił morderstwa, mówił prawdę i kazał tej prawdzie rozbrzmiewać nieomylnie w każdym słowie.

- Wraz ze mną zginą moi przyjaciele, którzy są i waszymi przyjaciółmi. Ten oto Lucjusz Ekwicjusz, dziedzic nazwiska i celów Tyberiusza Grakcha! I Gajusz Serwiliusz Glaucja, który tak świetnie ułożył moje prawa, że nawet rządzący senatem nobile nie mogą ich przeinaczać! - urwał, westchnął, uniósł bezradnie ramiona. - A gdy pomrzemy, Kwirycci, któż się zatroszczy o was? Kto będzie się o was bił? Kto będzie wojował, by wam napełnić brzuchy? Nikt!

Warczenie zmieniło się w ryk; nastrój tłumy zmieniał się. Tłum groził użyciem przemocy. Należeli do niego. Zrobią, co zechce.

- Kwirycci, to zależy od was! Czy chcecie stać obok, gdy tych, których

kochacie i szanujecie, posyła się na śmierć, niewinnych ludzi? Czy też pójdziecie do domów po broń, obiegiecie domy w sąsiedztwie i staniecie się tłumem?

Zaczęli się ruszać, ale Saturnin zatrzymał ich, podnosząc głos.

- Wróćcie tu tysiącami i tysiącami! Przyjdźcie pod moje rozkazy! Zanim nadejdzie noc, Rzym będzie należał do was, bo będzie należał do mnie, a wtedy zobaczymy, kto będzie miał pełny brzuch! Otworzymy skarbiec i kupimy zboże! Idźcie teraz, przyprowadźcie tu miasto, spotkajcie się ze mną w sercu Rzymu i pokażcie senatowi oraz klasom pierwszej i drugiej, kto naprawdę rządzi naszym miastem i naszym imperium!

Niczym wielka ilość kulek wprawionych w ruch jednym uderzeniem młota w obręcz obejmującą je, zbiegowisko rozbiegło się we wszystkie strony, wykrzykując niespójne zbitki słów. Saturnin opadł z palców na pięty i zwrócił się ku swym przybocznym.

- Ach, wspaniale - wołał Saufejusz.

- Wygramy, Lucjuszu Apulejusz, wygramy - krzyczał Labienus.

Otoczony przez klepiących go w euforii po plecach, Saturnin stał w królewskiej postawie, zapatrzony w wielkość swej przyszłości.

I wtedy Lucjusz Ekwicjusz wybuchnął płaczem.

- Ale co teraz zrobisz? - bełkotał, ocierając twarz skrajem togi.

- Co zrobię? A jak ci się zdaje, głupku? Obejmę władzę w Rzymie, oczywiście!

- Z tą gromadą?

- A kto im się przeciwstawi? Zresztą ściągną tu ogromny tłum. Poczekaj, Lucjuszu Ekwicjusz! Nikt się nam nie zdoła oprzeć!

- Ależ na Polu Marsowym stoi piechota morska - całe dwa legiony! - krzyknął Lucjusz Ekwicjusz, ocierając nos i dygocąc.

- Żadna rzymska armia nie weszła nigdy do Rzymu, chyba że w tryumfie, i nikt, kto rozkaże rzymskiej armii wejść do Rzymu, nie ujdzie z życiem - powiedział Saturnin, gardzący koniecznością takich rozmów. Kiedy tylko weźmie wszystko w swoje ręce, Ekwicjusz musi odejść, podobny do Tyberiusza Grakcha czy też nie.

- Gajusz Mariusz tak robi - szlochał Ekwicjusz.

- Gajusz Mariusz jest po naszej stronie, głupcze!

- Nie podoba mi się to, Lucjuszu Apulejusz.

- I nie musi. Jeśliś ze mną, przestań jęczeć. Jeśliś przeciw, ja ci każę przestać. - I Saturnin przeciągnął palcem po szyi.

Jednym z pierwszych, którzy odpowiedzieli na wołanie przyjaciół Gajusza Memiusza o pomoc, był Gajusz Mariusz. Przybył na scenę tej konfrontacji nie później niż parę chwil po tym, jak Glaucja i jego przyjaciele zbiegli na Kwirynał, i zastał ze stu ubranych w togi członków centurii skupionych wokół tego, co pozostało z Gajusza Memiusza. Rozstąpili się przed starszym konsulem. Mając u boku Sullę, patrzył na krwawe szczątki głowy, potem spojrzął na miejsce, gdzie zakrwawiona pałka nadal leżała z ucepionymi jej włosami, strzępami mięśni i skóry i odpryskami kości.

- Kto to zrobił? - spytał Sulla.

Ze dwunastu odpowiedziało naraz:

- Gajusz Serwiliusz Glaucja.

Sulla świsnął pod nosem.

- Własną ręką?

Wszyscy przytaknęli.

- Czy ktoś wie, dokąd stąd poszedł?

Tym razem padły różne odpowiedzi, ale w końcu Sulla ustalił, że Glaucja ze swą bandą pobiegł ku bramie Sanqualis prowadzącej na Kwirynał, a skoro był wśród nich Gajusz Klaudiusz, kierowali się zapewne do jego domu na Alta Semita.

Mariusz nie poruszał się i nie podnosił głowy, w milczeniu wpatrując się w Gajusza Memiusza. Sulla dotknął lekko jego ramienia i wtedy poruszył się, ocierając łzy fałdą togi, nie chciał bowiem zdradzać bezwładu lewej ręki, szukając chusteczki.

- Na polu bitwy to rzecz naturalna. Na Polu Marsowym pod murami Rzymu taki czyn budzi odrazę! - zawołał, zwracając się do stłoczonych wokół.

Nadeszli inni starsi senatorowie, wśród nich Marek Emiliusz Skaurus, princeps senatu, który zerknął tylko raz na noszącą ślady łez twarz Mariusza, potem spojrzał w dół i stracił oddech.

- Memiusz! Gajusz Memiusz? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak, Gajusz Memiusz - rzekł Sulla. - Zamordowany przez Glaucję osobiście, jak mówią wszyscy. Świadomie.

Mariusz znów płakał, ale nie starał się tego ukryć, kiedy spojrzał na Skaurusa.

- Princepsie senatu. Zwołuję zaraz zebranie senatu w świątyni Bellony. Czy się zgadzasz?

- Zgadzam się - rzekł Skaurus.

Nadeszli liktorzy, których zwierzchnik, starszy konsul, wyprzedził o kilkaset kroków mimo niedawnego udaru.

- Lucjuszu Korneliuszu, weź moich liktorów, znajdź sobie heroldów, odwołaj przedstawienie kandydatów, poślij flamera *Martialis* do świątyni Wenus Libityny, aby przyniósł święte topory do *fascēs* do świątyni Bellony, i zwołaj senat - mówił Mariusz. - Pójdę przodem z Markiem Emiliuszem.

- To był absolutnie okropny rok - powiedział Skaurus. - Nie przypominam sobie równie okropnego od ostatniego roku życia Gajusza Grakcha, choć zmienne były koleje losu.

- Więc najwyższy czas coś zrobić - rzekł Mariusz. Łzy już obeschły.

- Trzeba mieć nadzieję, że nie zdarzy się nic gorszego niż to morderstwo.

Nadzieja Skaurusa okazała się jednak płonna, choć wydawała się z początku uzasadniona. Senat zebrał się w świątyni Bellony i omówiono sprawę morderstwa Memiusza. Wystarczająco wielu członków kurii było naoczniymi świadkami, by wina Glaucji była oczywista.

- Jednakże - powiedział stanowczo Mariusz - Gajusz Serwiliusz musi

zostać osądzony. Żaden obywatel rzymski nie może być skazany bez procesu, chyba że wypowie Rzymowi wojnę, a ten przypadek nie zachodzi.

- Obawiam się, że zachodzi, Gajuszu Mariuszu - rzekł Sulla, wchodząc z pośpiechem.

Wszyscy wpatrywali się w niego. Nikt się nie odezwał.

- Lucjusz Apulejusz i grupa ludzi, wśród których jest kwesor Gajusz Saufejusz, opanowali Forum Romanum - oznajmił Sulla. - Pokazali hałastrze Lucjusza Ekwicjusza, a Lucjusz Apulejusz ogłosił, że zamierza zastąpić rządy senatu i klas pierwszej i drugiej rządami ludu pod własnym kierownictwem. Nie obwołali go jeszcze królem Rzymu, ale mówi się już o tym na wszystkich ulicach i rynkach, stąd do Forum - a to znaczy, że mówi się wszędzie.

- Czy mogę mówić, Gajuszu Mariuszu? - spytał przywódca kurii.

- Mów, princepsie senatu.

- Nasze miasto przeżywa kryzys - przemówił Skaurus cichym, lecz wyraźnym głosem - tak jak to było za ostatnich dni Gajusza Grakcha. W czasie gdy Marek Fulwiusz i Gajusz Grakchus użyli przemocy jako jedyne sposobu osiągnięcia swoich desperackich celów, w tej kurii toczyła się debata - czy Rzym potrzebuje dyktatora, by uporać się z kryzysem tak nagłym, choć tak krótkotrwałym? Reszta to już historia. Kuria nie zdecydowała się mianować dyktatora. Zamiast tego podjęła uchwałę *Senatus Consultum de republica defendenda*. Uchwała upoważniała konsulów i innych wyższych urzędników do obrony suwerenności państwa, gdyby uznali to za konieczne, i z góry zabezpieczała ich przed sądem i przed wetowaniem przez trybunów ludowych.

Przerwał, rozglądając się wkoło z niezmierną powagą.

- Proponuję, ojcowie spisani, uporać się z obecnym kryzysem w ten sam sposób - poprzez *Senatus Consultum de republica defendenda*.

- Zarządzam głosowanie - rzekł Mariusz. - Kto jest za, niech przejdzie na lewo, kto przeciw, na prawo. - I sam pierwszy przeszedł na lewo.

Nikt nie ruszył w prawo; kuria podjęła swą drugą uchwałę *Senatus Consultum de republica defendenda* jednogłośnie, co się nie zdarzyło za pierwszym razem.

- Gajuszu Mariuszu - oznajmił Skaurus - mam upoważnienie członków tej kurii, by ci polecić jako starszemu konsulowi Rzymu obronę suwerenności naszego państwa w sposób, jaki uznasz za stosowny lub konieczny. Ponadto ogłaszam na użytek tej kurii, że nie podlegasz wetowaniu i że nic, co zrobisz albo każesz zrobić, nie będzie zaskarżalne. To polecenie wraz z zabezpieczeniem rozciąga się na młodszego konsula Lucjusza Waleriusza Flakkusa i na wszystkich pretorów. Ty jednak, Gajuszu Mariuszu, jesteś upoważniony także do wybierania sobie zastępców spośród członków tej kurii, którzy nie są konsulami ani pretorami, zakładając zaś, że działają pod twoim kierownictwem, rozciąga się i na nich zabezpieczenie.

Skaurus wyobraził sobie minę Metellusa Numidyjskiego, gdy dowie się, że nikt inny jak Skaurus, princeps senatu, zrobił Gajusza Mariusza

prawdziwym dyktatorem. Rzucił Mariuszowi złe spojrzenie, zdołał jednak powstrzymać się od niechętnych grymasów. Nabrawszy powietrza w płuca, ryknął.

- Niech żyje Rzym!

- O matko! - powiedział Rutyliusz Rufus.

Mariusz nie miał jednak ani czasu, ani cierpliwości dla dowcipnisiów z kurii, którzy potrafiliby jego zdaniem dowcipkować, choć Rzym płonąłby wokół nich. Szorstkim, ale spokojnym głosem wyznaczył Lucjusza Korneliusza Sullę na swego zastępcę i rozkazał otworzyć zbrojownię w cokole świątyni Bellony i rozdawać broń tym, którzy nie mają własnej broni i zbroi, tym zaś, którzy ją mają, kazał sprowadzić ją z domów, póki można się jeszcze poruszać swobodnie po ulicach.

Sulla zajął się głównie swymi młodzikami, rozsyłając ich na wszystkie strony. Cepion Młodszy i Metellus Prosiak byli najbardziej czynni. Niedowierzenie ustępowało miejsca oburzeniu większemu niż zwykły gniew. Senator rzymski, który sięgał po władzę, posługując się motłochem, aby uczynić się królem, był obłożony klątwą. Różnice polityczne zostały zapomniane, znikły podziały na stronnictwa. Konserwatyści szli ramię w ramię z najbardziej postępowymi Marianami, nieubłaganie przeciw drapieżnikowi z Forum Romanum.

Sulla, nawet organizując swą małą armię i tych czekających na broń, pamiętał o tamtej, nie o Dalmatyńskiej, lecz o Aurelii. Posłał czterech liktorów biegiem do jej insuli, radząc, by się zabarykadowała, i do Lucjusza Dekumiusza z wieścią, żeby się nie pokazywał na Forum Romanum i nie posyłał tam swoich ludzi przez kilka najbliższych dni. O ile znał Lucjusza Dekumiusza, i tak by ich nie było na Forum. Podczas gdy cała reszta rzymskiego motłochu szalała na Forum, hałasując i bijąc niewinnych przechodniów, terytorium, które w normalnych warunkach patrolowali, leżało otworem przed jednym czy dwoma najazdami i Lucjusz Dekumiusz niewątpliwie z tego korzystał. W każdym razie wiadomość nie mogła zaszkodzić, a chodziło o bezpieczeństwo Aurelii.

W dwie godziny później wszystko było gotowe. Przed świątynią Bellony leżał duży otwarty dziedziniec znany jako Terytorium Wroga. W połowie wysokości schodów świątyni wznosił się kamienny słup o przekroju kwadratowym wysoki na cztery stopy. Kiedy wypowiedziano sprawiedliwą i słuszną wojnę obcemu mocarstwu - czy zresztą istnieją inne wojny? - wzywano fecjała, specjalnego kapłana, który ciskał włócznią ze schodów świątyni dokładnie nad szczytem starożytnego kamiennego słupa w ziemię Terytorium Wroga. Nikt nie wiedział, jak i dlaczego zaczął się kiedyś ten rytuał, był po prostu częścią tradycji i dlatego wciąż go przestrzegano. Dziś jednak nie było żadnego obcego mocarstwa, by mu wypowiedzieć wojnę, była tylko do wykonania uchwała senatu, więc żaden fecjał nie ciskał włócznią, a Terytorium Wroga wypełniali Rzymianie z pierwszej i drugiej klasy.

Całe to zgromadzenie - koło tysiąca ludzi - było gotowe do wojny. Pancerze okrywały ich piersi i plecy, niektórzy nosili nagolenniki, większość zaś miała skórzane kaftany z rękawami i płatami pteryges jako

spódniczkami. Wszyscy nosili grzebieniaste hełmy. Nikt nie miał włóczni. Uzbrojeni byli w rzymskie krótkie miecze i sztylety oraz staromodne owalne tarcze sprzed czasów Mariusza, wysokie na pięć stóp.

Gajusz Mariusz przemówił do swej małej armii.

- Pamiętajcie, że jesteście Rzymianami i że wkraczamy do Rzymu! - mówił z powagą. - Przekroczycie *pomerium*. Z tego powodu nie wezwę piechoty morskiej Marka Antoniusza. Poradzimy sobie sami. Nie trzeba nam zawodowej armii. Jestem zdecydowanie przeciwny użyciu przemocy w stopniu większym niż to absolutnie konieczne i uprzedzam was wszystkich jak najpoważniej - a zwłaszcza co młodszych - że nie wolno podnosić miecza na kogoś, kto nie ma miecza. Jeśli się da, odbierajcie pałki tym z tłumu i sami ich używajcie, a miecze do pochew. Nie będzie żadnych stosów ciał w sercu Rzymu! To byłby koniec szczęścia Republiki, a potem i samej Republiki. Dziś mamy odpierać gwałt, a nie zadawać.

- Jesteście moimi żołnierzami - mówił dalej surowym tonem - chociaż niewielu z was służyło dotąd w mojej armii. Przyjmijcie tę jedyną przestrożę. Kto nie posłucha rozkazu mojego lub moich legatów, zginie. Nie czas na spory i rozłamy. Nie ma dziś różnych rodzajów Rzymian. Są po prostu Rzymianie. Jest tu wielu takich, którzy nie kochają Policzonych Głowami i innych rzymskich biedaków. Mówię wam jednak - i dobrze to zapamiętajcie - że Policzeni Głowami Rzymianie to Rzymianie, że ich życie jest tak samo święte i chronione przez prawo, jak moje czy wasze życie. Nie będzie żadnej krwawej łaźni. Jeśli zobaczę początek czegoś takiego, podniosę swój miecz przeciw podnoszącym miecze - a zgodnie z uchwałą senatu wasi dziedzice nie mogą mieć żadnych pretensji, jeśli was zabiję! Rozkazy otrzymujecie tylko od dwóch ludzi - ode mnie i tego oto Lucjusza Korneliusza Sulli, od żadnego innego urzędnika upoważnionego tą uchwałą. Nie życzę sobie żadnych ataków, dopóki ja albo Lucjusz Korneliusz nie wydamy rozkazu. Postępujemy najłagodniej, jak się da. Zrozumiano?

Katullus Cezar dotknął swej grdyki w najbardziej uniżonym pokłonie.

- Słyszemy - rzekł - i będziemy posłuszni, Gajuszu Mariuszu. Służyłem już pod tobą i wiem, że zrobisz to, co mówisz.

- Świetnie! - wykrzyknął Mariusz, ignorując szyderstwo i zwrócił się do młodszego konsula: - Lucjuszu Waleriuszu, weź pięćdziesięciu ludzi i idź na Kwirynał. Jeśli Gajusz Serwiliusz Glaucja przebywa w domu Gajusza Klaudiusza, zatrzymaj go. Jeśli odmówi wyjścia, pozostań tam na straży, nie wchodząc do środka. I donoś mi o wszystkim.

Wczesnym popołudniem Gajusz Mariusz wyprowadził swą małą armię z Terytorium Wroga i wprowadził ją do miasta przez bramę Carmentalis. Nadchodząc od Velabrum, wyszli z uliczki biegnącej między świątynią Kastora i bazyliką Sempronia i zaskoczyli całkowicie tłum na dolnym Forum. Liczba ludzi Saturnina, zbrojnych we wszystko, co im wpadło w ręce - maczugi, pałki, polana, noże, topory, szpikulce i widły - urosła do czterech tysięcy, ale w porównaniu z tysiącem wyszkolonych, którzy wmaszerowali w zwartym szyku na Forum i ustawili się przed bazyliką

Sempronia, byli oni żalosną bandą. Wystarczyło jedno spojrzenie na napierśniki, hełmy i miecze nowo przybyłych, aby połowa z nich uciekła w górę Argiletum i na wschodnią stronę Forum ku anonimowości Eskwilinu i bezpieczeństwu na własnym terytorium.

- Lucjuszu Apulejuszu, wycofaj się! - ryknął Mariusz, wychodząc na czoło swoich sił i mając przy sobie Sullę.

Saturnin stał na rostrach z Saufejuszem, Labienusem, Ekwicjuszem i jakąś dziesiątką innych. Chwilę wpatrywał się w Mariusza zaskoczony, a potem zadarł głowę i roześmiał się. Miał to być śmiech pewny siebie i wyzywający, ale zabrzmiał dość fałszywie.

- Jakie są twoje rozkazy, Gajuszu Mariuszu? - spytał Sulla.

- Rozbijemy ich natarciem nagłym i zdecydowanym. Żadnych mieczy, po prostu mur z tarcz. Nie sądziłem, że to będzie aż taka mieszanina, Lucjuszu Korneliuszu. Szybko się załamią.

Sulla i Mariusz obeszli swą małą armię, gotując ją do natarcia. Tarcze trzymano przed sobą. Szyk był szeroki na dwustu ludzi, a głęboki na pięć szeregów.

A potem:

- Do ataku! - wrzasnął Gajusz Mariusz.

Natarcie przyniosło natychmiastowy skutek. Zwarty mur z tarcz niesionych w pełnym biegu uderzył w motłoch jak olbrzymia fala. Ludzie i ich prowizoryczna broń rozlatywali się na wszystkie strony. Nie odpowiedziano ani jednym ciosem. Zanim ludzie Saturnina zdolali zorganizować się lepiej, mur z tarcz uderzył w nich znowu i znowu.

Saturnin z towarzyszami zszedł z rostrów, by włączyć się do walki, wymachując mieczem. Bez skutku. Kohorta Mariusza zabawiała się taranowaniem, choć na początku myślano o rozlewie krwi. Uderzali rytmicznie w niezorganizowany motłoch, pchając ludzi niczym kamienie na stos, cofając się, by znów utworzyć mur, i znów uderzając. Stratowano kilku przeciwników, ale do bitwy nie doszło. Rozpoczęła się paniczna ucieczka.

W krótkim czasie całe wojsko Saturnina umknęło z pola bitwy. Wielka okupacja Forum Romanum skończyła się prawie bez rozlewu krwi. Saturnin, Labienus, Saufejusz, Ekwicjusz, ze dwunastu Rzymian i ze trzydziestu uzbrojonych niewolników pobiegło Clivus Capitolinus, by się zamknąć w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, wzywając Wielkiego Boga, by im sprowadził posiłki i przysłał znów ów ogromny tłum na Forum.

- Krew się poleje! - wrzeszczał Saturnin z cokołu świątyni na Kapitolu, a jego słowa dolatywały do uszu Mariusza i jego ludzi. - Będziesz musiał zabijać Rzymian, Gajuszu Mariuszu, zanim ze mną skończysz! Zadbam o to, by ta świątynia splamiła się rzymską krwią!

- Może mieć rację - powiedział Skaurus, princeps senatu, który mimo tego nowego kłopotu miał bardzo zadowoloną minę.

Mariusz roześmiał się serdecznie.

- Nie! On się zachowuje jak te nieszkodliwe zwierzątka z groźnie wyglądającymi oczami. Łatwo wygramy to oblężenie, uwierz mi. Wyciągniemy ich stamtąd, nie przelewając ani kropli rzymskiej krwi. - Zwrócił się do Sulli: - Lucjuszu Korneliuszu, poszukaj techników od

zaopatrywania miasta w wodę i każ im odciąć zaraz dopływ wody do wzgórza Kapitolu.

Przywódcą kurii pokręcił z podziwem głową.

- To takie proste! Ale tak oczywiste, że nigdy bym na to nie wpadł. Ile będziemy czekać, aż się poddadzą?

- Niedługo. Już muszą być spragnieni. Myślę, że jutro. Poślę ludzi, żeby otoczyli świątynię i naśmiewali się z naszych uciekinierów pozbawionych wody.

- Saturnin to desperat - rzekł Skaurus.

Mariusz nie zgodził się z tym zdaniem.

- On jest politykiem, Marku Emiliuszu, a nie żołnierzem. Zna się na władzy, nie na wojsku i nie wymyśli żadnej skutecznej strategii. - Skrzywiona strona twarzy Mariusza obróciła się, strasząc Skaurusa, bo uśmiech, podciągający w górę zdrową część twarzy, strach było oglądać. - Gdybym był na jego miejscu, Marku Emiliuszu, miałbyś powód do zmartwień! Do tej pory już bym się ogłosił królem Rzymu, a wy wszyscy bylibyście martwi.

Skaurus, princeps senatu, odstąpił instynktownie o krok.

- Wiem, Gajuszu Mariuszu - powiedział. - Wiem!

- Tak czy owak - rzekł wesoło Mariusz, usuwając przeraźliwą stronę swej twarzy z pola widzenia Skaurusa - nie jestem na szczęście królem Tarkwiniuszem, choć rodzina mojej matki pochodzi z Tarkwinii! Noc spędzona z Wielkim Bogiem w jednej komnacie przywróci Saturninowi przytomność.

Ci z motłochu, których schwytano, gdy reszta poszła w rozsypkę, zostali osadzeni pod silną strażą w celach Lautumiów, gdzie grupa urzędników cenzora oddzieliła pośpiesznie obywateli rzymskich od nie-Rzymian. Tych, którzy nie byli Rzymianami, miano stracić niezwłocznie. Rzymianie mieli być osądzeni zbiorowo nazajutrz i zaraz potem strąceni ze Skały Tarpejskiej na Kapitolu.

Sulla wrócił, gdy Mariusz i Skaurus odchodzili z dolnego Forum.

- Mam wiadomość od Lucjusza Waleriusza z Kwirynału - mówił, robiąc wrażenie dziwnie świeżego jak na wydarzenia tego dnia. - Donosi, że Glaucja jest u Gajusza Klaudiusza, ale wrota są zamknięte i nikogo nie wpuszczają.

Mariusz spojrzał na Skaurusa.

- Co z tym zrobimy, princepsie senatu?

- Tak jak z tymi w towarzystwie Jowisza Najlepszego i Największego, poczekajmy do jutra. Niech Lucjusz Waleriusz pilnuje domu. Kiedy Saturnin się podda, krzyknijemy o tym zza muru Gajusza Klaudiusza i zobaczymy, co się stanie.

- To dobry plan, Marku Emiliuszu.

Skaurus zaczął się śmiać.

- Całe to przyjacielskie współzawodnictwo z tobą, Gajuszu Mariuszu, nie poprawi mojej opinii w oczach Dobrych Mężów - wykrztusił i chwycił Mariusza za ramię. - Mimo to, Dobry Mężu, jestem bardzo rad, że jesteś tu dziś z nami. Co powiesz, Publiusz Rutyluszu?

- Powiem, że to najprawdziwsze słowa, jakie wyszły z twoich ust.

Lucjusz Apulejusz Saturnin poddał się pierwszy z tych, którzy przebywali w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. Gajusz Saufejusz był ostatni. Rzymian, których było razem piętnastu, ustawiono na rostrach, gdzie mógł ich oglądać każdy, kto chciał. Chętnych nie było wielu, bo tłumy pozostały w domach. Na oczach tych z rostrów sędzono przed specjalnym trybunałem tych z motłochu, którzy byli obywatelami rzymskimi, czyli prawie wszystkich, bo nie było to powstanie niewolników. Za zdradę stanu skazano ich na strącenie ze Skały Tarpejskiej.

Skała Tarpejska wystająca z południowo-zachodniej strony Kapitolu była bazaltowym nawisem nad przepaścią wysokości zaledwie osiemdziesięciu stóp. Była zabójcza ze względu na skupisko ostrych jak igły skał tuż pod nią.

Zdrajców prowadzono po pochyłości Clivus Capitolinus obok schodów świątyni Jowisza Najlepszego i Największego do muru Serwiusza przed świątynią Ops. Nawis Skały Tarpejskiej wystawał tam z muru i był wyraźnie widoczny z dolnej części Forum Romanum, gdzie nagle pojawiły się tłumy, by się przyglądać traceniu bojowników Lucjusza Apulejusza Saturnina. Były to tłumy ludzi z pustymi brzuchami, ale w tym dniu nie okazywali niezadowolenia. Chcieli popatrzeć na zrzucanie kogoś z Tarpejskiej Skały, bo od dawna się to nie zdarzało, a plotka mówiła, że zginać ma prawie stu ludzi. Niczyje oczy nie patrzyły na Saturnina i Ekwicjusza z sympatią albo litością, choć byli to ci sami, którzy wiwatowali na ich cześć podczas wyborów trybunów. Plotka mówiła, że z Azji płynie flota ze zbożem, dzięki Gajuszowi Mariuszowi. Tak więc wiwatowali bezładnie na cześć Gajusza Mariusza, a chcieli zobaczyć ciała spychane ze Skały Tarpejskiej, bo było to coś w rodzaju rzymskiego święta: śmierć w przyzwoitej odległości, akrobacje, nowość.

- Nie możemy wytoczyć procesów Saturninowi i Ekwicjuszowi, dopóki emocje nie przygasną - mówił Skaurus, princeps senatu, do Mariusza i Sulli, gdy stali we trzech na schodach senatu, a pochód wywijających się ludzików spadał w próżnię ze szczytu Skały Tarpejskiej.

I Mariusz, i Sulla zrozumieli go właściwie. To nie tłum na Forum martwił Skaurusa, ale co bardziej impulsywni i gniewni z jego własnej klasy, groźni teraz, gdy najgorsze minęło. Odnosili się wrogo już nie do motłochu Saturnina, ale do samego Saturnina, ze szczególną zaś złośliwością do Lucjusza Ekwicjusza. Młodzi senatorowie i ci, których wiek nie pozwalał jeszcze na wejście do senatu, stali gromadą przy komicjum z Cepionem Młodszym i Metellusem Prosiakiem na ich czele, wpatrując się pożądliwym wzrokiem w Saturnina i jego towarzyszy na rostrach.

- Gorzej będzie, kiedy podda się Glaucja i dołączy do nich - rzekł z namysłem Mariusz.

- Co za żałosna banda! - parsknął Skaurus. - Można by pomyśleć, że przynajmniej niektórzy zrobią, co należy, i rzucą się na swoje miecze!

Nawet mój syn to potrafił!

- Zgadzam się - powiedział Mariusz. - A jednak mamy tu piętnastu - szesnastu, gdy Glaucja się zjawi - do osądzenia za zdradę stanu. Mamy też kilku bardzo zawziętych, tam w dole. To mi wygląda na stado wilków patrzących na stado jeleni.

- Musimy ich gdzieś przetrzymać, choćby przez kilka dni - rzekł Skaurus - ale gdzie? Nie możemy pozwolić na samosąd!

- Dlaczego nie? - odezwał się po raz pierwszy Sulla.

- To kłopot, Lucjuszu Korneliuszu. Uniknęliśmy rozlewu krwi na Forum, ale tłum pojawi się, by zobaczyć tych z rostrów przed sądem. Dziś zabawiali się traceniem ludzi bez znaczenia. Czy nie wpadną w złość, gdy osądzimy na przykład Lucjusza Ekwicjusza - spytał rzeczowo Mariusz.

- To bardzo trudna sytuacja.

- Czemu nie rzucili się na swoje miecze! - Skaurus był oburzony. - Ilu by to oszczędziło kłopotów! Samobójstwo to przyznanie się do winy, żadnych procesów, żadnego dusiciela w Tulianum - bo ich nie odważymy się zrzucić z Tarpejskiej Skały.

Sulla stał i słuchał, zapamiętując wszystko, co zostało powiedziane, i przyglądając się z namysłem Cepionowi Młodszemu i Metellusowi Prosiakowi. Nic jednak nie mówił.

- Będziemy martwić się procesem, gdy do niego dojdzie - rzekł Mariusz. - Na razie trzeba im znaleźć bezpieczne miejsce.

- Lautumie nie wchodzi w grę - oświadczył z miejsca Skaurus. - Gdyby z czyjejś namowy jakiś duży tłum zechciał ich uratować, te cele nie oprą się napaści, chyba że postawimy na straży wszystkich liktorów, jakich mamy. Nie martwię się o Saturnina, ale o tego upiornego Ekwicjusza. Wystarczy, że jakaś głupia kobieta zacznie płakać i lamentować, bo syn Tyberiusza Grakcha ma umrzeć, i już mamy kłopoty - chrząknął. - A gdyby tego nie było dość, spójrzcie na tych młodzików. Chętnie dokonają samosądu. Choćby tylko na Saturninie.

- Proponuję - rzekł wesoło Mariusz - zamknąć ich w Kurii Hostyliusza.

Princeps senatu był oszołomiony.

- Nie możemy tego zrobić, Gajuszu Mariuszu!

- Dlaczego nie?

- Więzić zdrajców w kurii senatu? To jakby... jakby złożyć naszym dawnym bogom ofiarę z łajna.

- Już sprofanowali świątynię Jowisza Najlepszego i Największego i wystarczy ją po prostu oczyścić. Kuria nie ma okien, ma za to najmocniejsze drzwi w Rzymie. Alternatywą jest trzymanie ich we własnych domach. Chciałbyś Saturnina? Bierz go, a ja wezmę Ekwicjusza. Kwintus Lutacjusz powinien chyba wziąć Glaucję - wyszczerzył zęby Mariusz.

- Kuria Hostyliusza to świetny pomysł - rzekł Sulla, wciąż wpatrzony w Cepiona Młodszego i Metellusa Prosiaka.

Skaurus zawarczał, nie na Mariusza czy Sullę, ale na okoliczności. Potem skinął głową.

- Masz rację, Gajuszu Mariuszu. To musi niestety być kuria.

- Świetnie! - rzekł Mariusz. Klepnął Sullę po ramieniu na znak, by

ruszał, i dodał z przeraźliwie krzywym uśmiechem: - Gdy ja się zajmę szczegółami, Marku Emiliuszu, ty wyjaśnisz swoim Dobrym Mężom, dlaczego musimy wykorzystać nasze czcigodne miejsce spotkań jako więzienie.

- Ależ dziękuję bardzo! - zgodził się Skaurus.

- To drobiazg.

Kiedy nie mogli już być słyszani, Mariusz spojrział z zaciekawieniem na Sullę.

- Co właściwie zamierzasz? - spytał.

- Nie jestem pewien, czy mogę ci powiedzieć - odrzekł Sulla.

- Bądź więc ostrożny, proszę. Nie chcę, by cię oskarżono o zdradę stanu.

- Będę ostrożny, Gajuszu Mariuszu.

Saturnin i jego współspiskowcy poddali się ósmego grudnia. Dziewiątego Gajusz Mariusz zwołał na nowo Zgromadzenie Centurialne i wysłuchał oświadczeń kandydatów na urzędy kurulne.

Lucjusz Korneliusz Sulla nie trudził się chodzeniem do saepty. Był zajęty innymi rzeczami: długimi rozmowami z Cepionem Młodszym i Metellusem Prosiakiem. Wcisnął się też z wizytą do Aurelii, chociaż wiedział od Publiusza Rutyliusza Rufusa, że wszystko u niej w porządku i że Lucjusz Dekumiusz utrzymał swych gburów z gospody z dala od Forum Romanum.

Dziesiątego dnia tego miesiąca obejmowali urzędy nowi trybunowie ludowi, ale dwaj z nich, Saturnin i Ekwicjusz, siedzieli zamknięci w kurii senatu. Wszyscy obawiali się też, że tłum pojawi się znowu, jako najbardziej zainteresowany działalnością trybunów ludowych.

Chociaż Mariusz nie pozwolił swej małej armii przed trzech dni przychodzić na Forum Romanum w zbrojach i przy mieczach, kazał zamknąć przed kupcami i bankierami Bazylikę Porcja i zrobił z niej zbrojownię. W jej przyziemiu, obok kurii senatu, urzędowało kolegium trybunów ludowych i tu tych ośmiu nie zamieszanych w aferę Saturnina miało zebrać się o świcie, po czym miało się odbyć inauguracyjne zebranie Zgromadzenia Plebejskiego, najszybciej, jak się da, i bez wspomnienia o brakujących dwóch.

Świt jeszcze jednak nie wstał i Forum Romanum było zupełnie puste, gdy Cepion Młodszy i Metellus Pius Prosiak poprowadzili swą grupę uderzeniową po Argiletum do Kurii Hostyliusza. Wykonali przedtem długie obejście, by mieć pewność, że straż ich nie wykryje, ale kiedy już otoczyli kurię, przekonali się, że cała okolica należy do nich.

Nieśli długie drabiny, które poopierali z obu stron budynku. Drabiny sięgały aż do starożytnych, wachlarzowatych dachówek, które na okapie były kruche i zapleśniałe.

- Pamiętajcie - powiedział Cepion Młodszy do swych wojaków - że nie wolno używać mieczy, jak każe Lucjusz Korneliusz. Musimy wypełniać co do litery rozkazy Gajusza Mariusza.

Jeden za drugim wchodzili po drabinach, aż w końcu cała pięćdziesiątka przykucnęła na skraju dachu, całkiem wygodnej grzędzie. Tam czekali w

ciemnościach, aż blade światło na wschodzie przejdzie z gołębioszarego w jasnozłote i pierwsze promienie słońca zakradną się ze wzgórza Eskwilinu, kapiąc w blasku dach kurii senatu. Na dole zaczęli pojawiać się ludzie, ale drabiny wciągnięto już na dach kurii i nikt z tamtych nie spostrzegł niczego, bo też nikt nie myślał patrzeć w górę.

- Do dzieła! - krzyknął Cepion Młodszy.

Na wyścigi z czasem - bo Lucjusz Korneliusz powiedział im, że nie będą go mieli za wiele - grupa uderzeniowa zaczęła odrywać dachówki od dębowych łat mocowanych na masywnych cedrowych krokwiach. Światło zalało salę leżącą poniżej, odbijając się od piętnastu bladych twarzy patrzących w górę, raczej zaskoczonych niż przerażonych. A gdy już każdy z tych na dachu miał przy sobie stos dachówek, zaczęli rzucać je w dół, prosto w tamte twarze. Saturnin padł od razu, to samo Lucjusz Ekwicjusz. Niektórzy z więźniów usiłowali ukryć się w rogach sali, ale młodzi ludzie na dachu szybko nabrali wprawy w rzucaniu dachówkami. W sali nie było żadnych mebli, bo jej użytkownicy przynosili stołki ze sobą, a urzędnicy przynosili jeden czy dwa stoły z urzędów senatu na Argiletum. Nic więc nie mogło osłonić więźniów przed nawałnicą pocisków, bardziej skutecznych jako broń niż wyobrażał to sobie Sulla. Każda dachówka pękała przy uderzeniu na kawałki o krawędziach ostrych jak brzytwy i każda ważyła dziesięć funtów.

Zanim nadszedł Mariusz ze swymi legatami - z Sullą włącznie - wszystko było skończone. Grupa uderzeniowa schodziła po drabinach na ziemię, gdzie jej członkowie stali spokojnie. Nikt nie próbował uciekać.

- Czy mam ich uwięzić? - spytał Mariusza Sulla.

Mariusz wzdrygnął się, tak głęboko pogrążony był w myślach.

- Nie! - powiedział. - Oni nigdzie nie odchodzą. - I spojrzał na Sullę ukradkiem, z milczącym pytaniem. Odpowiedział mu cień mrugnięcia okiem.

- Otwórzcie drzwi - polecił Mariusz swym liktorom.

Promienie i słupy słonecznego światła przebijały się wewnątrz sali przez całun opadającego wolno pyłu i oświetlały zwały zapleśniałych dachówek, leżących wszędzie wokół. Ich krawędzie i spody były brunatnoczerwone, prawie koloru krwi. Piętnaście ciał leżało bądź zwinięte jak najciaśniej, bądź też z rozrzuconymi ramionami i wykręconymi nogami, na wpół pogrzebane pod potrzaskanymi dachówkami.

- Ty i ja, princepsie senatu - rzekł Mariusz. - Nikt więcej.

Weszli razem do sali, chodząc ostrożnie od jednego ciała do drugiego w poszukiwaniu znaków życia. Saturnin został trafiony tak nagle i tak skutecznie, że nie próbował nawet uchylić się przed ciosem. Twarz miał ukrytą pod skorupą dachówek. Odslonięta, patrzyła niewidzącym wzrokiem w niebo. Czarne rzęsy oproszone były pyłem z dachówek i tynku. Skaurus pochylił się, by mu zamknąć oczy, i skrzywił się, bo tyle pyłu leżało na gałkach ocznych, że powieki nie dawały się zamknąć. Lucjuszowi Ekwicjuszowi powiodło się gorzej. Dachówki nie oszczędziły ani ciała na jego ciele, posiniaczonym, pociętym i opuchniętym. Odrzucenie na bok pokrywających go zwałów zajęło Mariuszowi i Skaurusowi wiele czasu.

Saufejusz - który uciekł do kąta - zginał od odłamka, który najwyraźniej odbił się od posadzki i podskoczył, trafiając niczym szerokie ostrze włóczni w bok szyi i prawie odcinając głowę. Tytus Labienus trafiony w kark krawędzią nie uszkodzonej dachówki padł, nie czując niczego, bo ze skręconym karkiem. Mariusz naradzał się ze Skaurusem.

- Co mam zrobić z tymi tam durniami? - spytał.

- A co możesz zrobić?

Mariusz uniósł prawą połowę górnej wargi.

- Ach, daj spokój, princepsie senatu! Weź trochę tego ciężaru i na swoją głowę! Nie wykręcisz się z tego, tyle mogę ci obiecać. Albo mnie poprzesz - albo przygotuj się na taką walkę, że to wszystko, co tu się stało, będzie przy niej wyglądać jak kobiecy festiwal Dobrej Bogini!

- W porządku, w porządku! - powiedział z irytacją Skaurus. - Nie mówiłem, że cię nie poprę, ty wiejski formalisto! Miałem na myśli tylko to, o co pytałem - co możesz zrobić?

- Mając władzę, którą mi daje Senatus Consultum, mogę zrobić, co zechcę, od uwięzienia wszystkich z tej dzielnej gromadki do odesłania ich do domów bez choćby słowa nagany. Co uważasz za wskazane?

- Wskazane jest odesłać ich do domów. Właściwą rzeczą byłoby uwięzić ich i oskarżyć o morderstwo Rzymian, ich rodaków. Skoro więźniowie nie zostali osądzeni, byli nadal obywatelami rzymskimi, kiedy spotkała ich śmierć.

Mariusz uniósł swą sprawną brew.

- Który kurs mam więc obrać, princepsie senatu? Wskazany czy właściwy?

Skaurus wzruszył ramionami.

- Wskazany, Gajuszu Mariuszu. Wiesz to równie dobrze jak ja. Jeśli wybierzesz właściwy, wbijesz klin tak głęboko w rzymskie drzewo, że może ono przywalić cały świat.

Wyszli na otwartą przestrzeń i stali razem u szczytu schodów senatu, patrząc w dół w twarze ludzi stojących w pobliżu. Oprócz tych kilku setek Forum Romanum było puste, czyste i senne w porannym słońcu.

- Ogłaszam niniejszym amnestię generalną! - wykrzyknął na całe gardło Gajusz Mariusz. - Idźcie do domu, wy młodzi - zwrócił się do grupy uderzeniowej. - Przed nikim nie musicie się tłumaczyć.

Potem odwrócił się do większości słuchaczy.

- Gdzie są trybunowie ludowi? Tutaj? Świetnie! Zwołajcie swoje zebranie, nie ma żadnych tłumów. Sprawą najpilniejszą jest wybór jeszcze dwóch trybunów ludowych. Lucjusz Apulejusz Saturnin i Lucjusz Ekwicjusz nie żyją. Główny liktorze, wyślij kilku twoich ludzi i niewolników państwowych, żeby uprzątnęli ten bałagan w Kurii Hostyliusza. Wydajcie ciała rodzinom. Niech mają honorowy pogrzeb, bo nie zostali skazani za swe zbrodnie, nadal więc są porządnymi obywatelami.

Zszedł ze schodów i poszedł ku rostrom. Był starszym konsulem i nadzorcą uroczystości inauguracji nowych trybunów. Gdyby był patrycjuszem, jego młodszy kolega zastąpiłby go. Przynajmniej jeden z konsulów musiał być plebejuszem, by mieć prawo wstępu na *concilium plebis*.

I wtedy nastąpiło coś niezwykłego, może dlatego, że wijące się niczym bluszcz plotki działały już sprawnie i słowa przemykały po wiciach z szybkością promieni słońca. Forum nagle zaczęło zapełniać się ludźmi, tysiącami i tysiącami, śpieszącymi z Eskwilinu, wzgórza Celius, Wiminalu, Kwirynalu, Subury, Palatynu, Awentynu, wzgórza Oppius. Był to ten sam tłum, który tłoczył się na Forum podczas wyborów trybunów ludowych. Mariusz poznał to od razu.

I wtedy przestał się martwić. Ze spokojem w sercu spojrzął w ten ocean twarzy i ujrzał to, co widział przed nim Lucjusz Apulejusz Saturnin: niewykorzystane dotąd źródło władzy, naiwność gotową uwierzyć jakiemuś wymownemu i żarliwemu demagogowi z charyzmą i poddać się innemu panu. „Nie mnie”, pomyślał Gajusz Mariusz. „Być Pierwszym w Rzymie z kaprysu naiwnego tłumu to żaden sukces. Cieszyłem się pozycją Pierwszego w Rzymie zdobytą w dawnym stylu, w walce z przesadami i utrudnieniami *cursus honorum*”.

„Ale”, kończył z radością tok myślowy, „wykonam jeszcze gest, który pokaże Skaurusowi, Katullusowi Cezarowi, Ahenobarbowi i reszcie tych *boni*, że gdybym wybrał drogę Saturnina, to oni leżeliby martwi w Kurii Hostyliusza przywaleni dachówkami, a ja rządziłbym samowładnie Rzymem. Jestem bowiem przy Saturninie niczym Jowisz przy Kupidynie”.

Podszedł do skraju rostrów, który zwracał się raczej ku dolnemu Forum niż ku niecce komicjów, i wyciągnął ręce, jakby obejmował ten tłum, przyzywał go ku sobie, jak ojciec przyzywa dzieci.

- Ludu rzymski, wracaj do domu! - zagrział. - Kryzys minął. Rzym jest bezpieczny. Ja zaś, Gajusz Mariusz, mam przyjemność zawiadomić was, że flota statków ze zbożem wpłynęła wczoraj do portu w Ostii. Barki będą dziś płynąć w górę rzeki przez cały dzień, a jutro można będzie kupić zboże w państwowych spichrzach Awentynu po jednej sestercji za *modius*, po cenie ustanowionej przez prawo zbożowe Lucjusza Apulejusza. Lucjusz Apulejusz jednak nie żyje, a jego prawo jest nieważne. To ja, Gajusz Mariusz, konsul Rzymu daję wam zboże! Cena specjalna będzie obowiązywała, dopóki nie ustąpię z urzędu za dziewiętnaście dni. Potem zależeć będzie od nowych władz, jaką cenę każą wam płacić. Ta jedna sestercja to mój dar pożegnalny dla was, Kwiryaci! Kocham was bowiem, walczyłem dla was i dla was zwyciężałem. Nigdy o tym nie zapominajcie! Niech żyje Rzym!

I zstąpił z rostrów, w burzy wiwatów, z rękami uniesionymi nad głową, ze swym krzywym uśmiechem, bardzo odpowiednim przy pożegnaniu.

Katullus Cezar stał jak wrośnięty w ziemię.

- Słyszałeś to? - wydyszał do Skaurusa. - Właśnie rozdał ziarno z dziewiętnastu dni we własnym imieniu! Będzie to kosztować skarb tysięcy talentów! Jak on śmiał!

- Czy zamierzasz wejść na rostra i sprzeciwić się temu, Kwintusie Lutacjuszu? - spytał Sulla, szczerząc zęby. - Z wszystkimi swymi lojalnymi, młodymi Dobrymi Mężami, których właśnie puszczone wolno.

- Niech go szlag! - Katullus Cezar był bliski łez.

Skarus wybuchnął śmiechem.

- Znów nas tak urządził, Kwintusie Lutacjuszu! Ach, cóż to za ziemiotrzęśca! Zostawił nam rachunek do zapłaty. Nie cierpię go, ale na wszystkich bogów, ja go też uwielbiam! - I znów chwycił go atak śmiechu.

- Czasami wcale cię nie rozumiem, Marku Emiliuszu! - rzekł Katullus Cezar i odszedł krokiem prawdziwie wielbłądzim.

- Ja zaś, Marku Emiliuszu, rozumiem cię doskonale - rzekł Sulla, śmiejąc się jeszcze głośniejszym głosem niż Skaurus.

Kiedy Glaucja rzucił się na własny miecz, Mariusz objął amnestią także Gajusza Klaudiusza i jego popleczników. Rzym odetchnął z ulgą. Walka na Forum wydawała się zakończona. Tak jednak nie było. Młodzi bracia Lukullusowie wytoczyli Gajuszowi Serwiliuszowi Augurowi proces w trybunale do spraw o zdradę stanu i gwałty zaczęły się na nowo. Senat był wzburzony, bo ta sprawa podzieliła Dobrych Mężów. Katullus Cezar i Skaurus, princeps senatu, oraz ich poplecznicy byli zdecydowanie po stronie Lukullusów, podczas gdy Ahenobarbus Pontifex Maximus i Krassus Orator związani byli patronatem i przyjaźnią z Serwiliuszem Augurem.

Znikły owe niebywale tłumy, które wypełniały Forum Romanum podczas afery z Saturninem, ale stali bywalcy Forum stawili się licznie, by być świadkami procesu. Przyciągała ich młodość i patos obu Lukullusów, którzy dobrze o tym wiedzieli i zdecydowani byli wykorzystać te atuty. Warron Lukullus, młodszy z braci, włożył swą męską togę ledwie parę dni przed procesem. Ani on, ani osiemnastoletni Lucjusz Lukullus nie musieli się jeszcze golić. Ich agenci rozstawieni w tłumie naszeptali, że biedni chłopcy dostali właśnie wiadomość o śmierci swego ojca na wygnaniu i że tylko oni pozostali, by bronić honoru i *dignitas* starożytnego rodu Licyniuszów Lukullusów.

Sąd złożony z ekwitów z góry wziął stronę Serwiliusza Augura, który był ekwitą wyniesionym do senatu przez swego patrona Ahenobarba Pontifexa Maximusa. Nawet przy wyborze składu tego sądu nie obeszło się bez gwałtów, bo wynajęci gladiatorzy Serwiliusza Augura próbowali nie dopuścić do procesu. Przydatna okazała się grupka młodych nobileów kierowana przez Cepiona Młodszego i Metellusa Prosiaka, która usunęła zbirów ze sceny, zabijając jednego przy okazji. Sędziowie pojęli wymowę tego faktu i zdecydowali się okazać braciom Lukullusom więcej sympatii, niż pierwotnie zamierzali.

- Oni uznają Augura winnym - powiedział Mariusz do Sulli.

Stali z boku, przypatrując się i uważnie słuchając.

- Rzeczywiście - przyznał Sulla, zafascynowany wystąpieniem Lucjusza Lukullusa, starszego z braci. - Świetnie! - wykrzyknął, gdy młody Lukullus skończył przemowę. - On mi się podoba, Gajuszu Mariuszu!

Mariusz nie był jednak zachwycony.

- Jest tak samo wyniosły i sztywny jak jego ojciec.

- Wszyscy wiedzą, że popierałeś Augura - rzekł sucho Sulla.

Mariusz uśmiechnął się.

- Popierałbym tingitańską małpę, gdyby to utrudniło życie Dobrym

Mężom naszego nieobecnego Świńskiego, Lucjusz Korneliuszu.

- Serwiliusz Augur to właśnie taka mała - powiedział Sulla.

- Jestem skłonny się z tym zgodzić. Przegrywa. Przepowiednia sprawdziła się, gdy sędziowie mający przed oczami grupę młodych nobilew Cepiona Młodszego jednogłośnie orzekli DAMNO, mimo że żarliwe mowy obrończe Krassusa Oratora i Mucjusza Scewoli wzruszyły ich do łez.

Nikogo nie zdziwiło, że proces zakończył się bójką, którą Mariusz i Sulla oglądali z bezpiecznej odległości i z prawdziwą przyjemnością od chwili, gdy Ahenobarbus Pontifex Maximus wyrznął w zęby tryumfującego w wyzywający sposób Katullusa Cezara.

- Polluks i Linceusz! - powiedział Mariusz, przyglądając się z przyjemnością wymianie ciosów, która nastąpiła potem. - Dalej, Kwintusie Lutacjuszu Polluksie!

- Niezła aluzja, zważywszy, że Ahenobarbusowie zaklinają się, iż to Polluks zabarwił im brody na czerwono - rzekł Sulla, gdy dobrze wymierzony cios Katullusa rozkrwawił nos Ahenobarba.

- Miejmy nadzieję - mówił Mariusz - że to już koniec zająć na Forum w tym ohydny roku.

- Ach, nie wiem, Gajuszu Mariuszu. Musimy jeszcze przetrwać wybory konsulów.

- Całe szczęście, że nie odbywają się na Forum.

Dwa dni później Marek Antoniusz odbył swój triumf, a po dwóch kolejnych dniach został wybrany na starszego konsula na rok przyszły. Jego kolegą w konsulacie miał być nie kto inny jak Aulus Postumiusz Albinus, którego wtargnięcie do Numidii przed dziesięcioma laty wywołało wojnę z Jugurtą.

- Ci wyborcy to skończone osły! - utyskiwał Mariusz. - Wybrali na młodszego konsula najlepszy przykład połączenia ambicji z brakiem zdolności do wszystkiego. Mają pamięć tak krótką jak ich stolce!

- Cóż, powiadają, że zatwardzenie powoduje ośpienie. - Sulla uśmiechał się, mimo że myślał o nowym zagrożeniu. Chciał ubiegać się o preturę w przyszłorocznych wyborach, ale poczuł właśnie, że nastroje wyborców ze Zgromadzenia Centurialnego nie wróżą dobrze na przyszłość kandydatom z kręgu Mariusza. „Jak mam jednak odciąć się od kogoś, kto tyle dla mnie zrobił dobrego?” Gryzł się tą myślą.

- Myślę jednak, że będzie to, na szczęście, nudny rok bez wydarzeń i Aulus Albinus nie zdąży narobić szkody - ciągnął Mariusz nieświadomy myśli Sulli. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu Rzym nie ma godnych uwagi wrogów. Możemy odpocząć. I Rzym może odpocząć.

Sulla zmusił się do odwrócenia swych myśli od pretury, która zaczynała mu się wymykać z rąk.

- A co z tym prorocstwem? - spytał. - Marta mówiła wyraźnie, że będziesz siedem razy konsulem.

- I będę siedem razy konsulem, Lucjusz Korneliuszu.

- Ty w to wierzysz.

- Wierzę.

Sulla westchnął.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym został pretorem.

Częściowy paraliż mięśni twarzy umożliwiał wydawanie najdziwniejszych dźwięków. Mariusz wydał taki właśnie dźwięk.

- Głupstwa! - powiedział z przekonaniem. - Ty jesteś materiałem na konsula, Lucjusz Korneliuszu. Prawdę mówiąc, ty będziesz kiedyś Pierwszym w Rzymie.

- Dziękuję za wiarę we mnie, Gajuszu Mariuszu. - Sulla odwzajemnił się Mariuszowi uśmiechem równie krzywym jak uśmiechy tamtego. - Biorąc pod uwagę różnicę wieku, nie będę walczył o ten tytuł z tobą.

Mariusz zaśmiał się.

- Byłoby to istne starcie tytanów! Nie ma obawy - rzekł z całkowitą pewnością.

- Jeśli zrezygnujesz z kurulnego krzesła i nie będziesz bywać w kurii, przestaniesz być Pierwszym w Rzymie.

- To prawda! Ach, ach, Lucjusz Korneliuszu, miałem dobrą serię! A gdy ustąpi ta moja dolegliwość, wrócę.

- A kto tymczasem będzie Pierwszym w Rzymie? - spytał Sulla. - Skaurus? Katullus?

- *Nemo!* - ryknął Gajusz Mariusz i roześmiał się głośno. - Nikt! To najlepszy żart! Nie ma nikogo wśród nich, kto mógłby zająć moje miejsce!

Sulla zawtórował śmiechem i objąwszy ramieniem okryte togą plecy Mariusza, uściśnął go z uczuciem, a potem skierował na drogę wiodącą z saepty ku domowi. Przed nimi wznosiło się wzgórze Kapitolu. Szeroki słup światła chłodnego słońca palił się na pozłacanym czterokonnym rydwaniu Wiktorii na szczycie przyczółka świątyni Jowisza Najlepszego i Największego i przemieniał miasto Rzym w oślepiające blaskiem złoto.

- Razi w oczy! - wykrzyknął Sulla. Nie mógł jednak odwrócić wzroku.



KONIEC
tomu pierwszego



NOTA OD AUTORKI

Książka ta w całości jest owocem pracy jednej kobiety. Sama przeprowadziłam badania naukowe, sama wykonałam mapy i rysunki i ułożyłam swój własny słownik terminów i nazw. Wszelkimi niedoskonałościami i błędami tej książki trzeba zatem obarczyć moje ramiona. Są jednak dwie osoby, którym chciałabym podziękować imiennie i najserdeczniej. Pierwsza to doktor Alanna Nobbs z Macquarie University w Sydney, drugą jest Sheelah Hidden, która objechała świat dookoła w poszukiwaniu materiałów źródłowych i książek, rozmawiała z wieloma autorytetami naukowymi i wytropiła miejsca, gdzie się znajdują rzymskie popiersia. Serdecznie dziękuję także wielu innym, którzy z braku miejsca nie zostali tu wymienieni. Dziękuję też memu mężowi, memu agentowi Fredowi Masonowi, memu wydawcy Carolyn Reidy, Jean Easthope, Joe Nobbsowi i całemu zespołowi redakcyjnemu.

Zamiast wygłaszać uczone dysertacje w obronie swoich hipotez, zdecydowałam się włączyć choćby minimum mojej wiedzy do słownika. Jeśli znawcy tematu podejną sceptycznie do mojego przedstawienia związków Mariusza z Sullą, sprawy tożsamości pierwszej żony Sulli i liczby córek Gajusza Juliusza Cezara Neposa, proponuję, by zapoznali się z hasłem dotyczącym Julilli, zawierającym moje przemyślenia na ten temat. Informacje o prorocत्वach Marty Syryjki, dotyczących Gajusza Mariusza, znaleźć można w słowniku pod hasłem „Marta”. Informacje o starożytnych winnicach natomiast znaleźć można pod hasłem „wina”, informacje o dyskusjach nad lokalizacją Forum Piscinum i Forum Frumentarium czytelnik znajdzie pod tymi właśnie hasłami itd. Słownik jest na tyle obszerny, na ile pozwoliło miejsce.

Nie podaję bibliografii, bo nie jest to przyjęte w powieściach i, co ważniejsze, zajęłoby wiele stron. Sto osiemdziesiąt tomów *Loeb Classical Library*, z mojej własnej biblioteki, to zaledwie skromny początek. Korzystałam ze źródeł starożytnych i wysoko cenię dzieła historyków takich jak Pauly-Wissowa, Broughton, Syme, Mommsen, Münzer, Scullard i inni. Fachowcy z łatwością i bez bibliografii będą umieli ocenić moją wiedzę i znajomość przedmiotu. Jeśli jednak kogoś to interesuje i zwróci się do mego wydawcy, otrzyma bibliografię.

Proszę o wyrozumiałość czytelników znających łacinę, trafiających na łacińskie wyrazy w nominativie, tam gdzie powinien być dativus, vocativus itp. Zrobiłam to, by ułatwić lekturę czytelnikom nie znającym łaciny.

Jeszcze słowo o rysunkach. Ponieważ wielokrotnie spotykałam ludzi, którzy byli przekonani, że Kleopatra wyglądała jak Liz Taylor, a Marek Antoniusz jak Richard Burton, postanowiłam przełamać te stereotypy i podsunąć im kilka prawdziwie rzymskich twarzy. Gdy było to możliwe, przedstawiłam prawdziwe podobizny, gdy nie było - wybierałam anonimowe rzymskie głowy z czasów Republiki. Z dziewięciu portretów w tej książce tylko dwa są autentyczne - Mariusza i Sulli. Z pozostałych, Katullus Cezar wzorowany jest na nietypowym popiersiu Cezara Dyktatora, a Gajusz Juliusz Cezar - na popiersiu Marka Emiliusza Lepidusa. Aurelia została wzięta z jakiejś staruchy z czasów Republiki. Rysy posągu zwietrzały, ale są bardzo podobne do rysów Cezara Dyktatora. Metellus Numidyjski, Marek Emiliusz Skaurus, Publiusz Rutyliusz Rufus i młody Kwintus Sertoriusz zostali wzięci z anonimowych popiersi z czasów Republiki. Kobieta jest tylko jedna, bo brak nam portretów kobiet z czasów Republiki, musiałam więc gospodarować nimi oszczędnie. Będzie przecież więcej książek! Następna w tej serii nosi roboczy tytuł *Wieniec z trawy*.



SŁOWNIK TERMINÓW I NAZW

Absolvo - łaciński termin sądowy używany przy głosowaniu za uniewinnieniem oskarżonego.

adamas - diament. Starożytni wiedzieli, że jest on najtwardszą z substancji i używali diamentów jako narzędzi tnących. Rzadkie wówczas diamenty sprowadzano ze Sycylii i z Indii.

Adriatyk - *Mare Adriaticum*. Obszar wodny oddzielający Półwysep Apeniński od Ilirii, Macedonii i Epiru. Jego przedłużeniem jest Morze Jońskie.

aedes - budowla sakralna nie uznawana za świątynię, ponieważ nie była prawidłowo „inaugurowana”. Świątynia Westy, dla przykładu, była właśnie *aedes sacra*, a nie prawidłową świątynią.

Aenus - dzisiejsza rzeka Inn w Bawarii.

Aetna Mons - dzisiejsza Etna. Ten słynny wulkan sycylijski był równie aktywny w starożytności jak obecnie, jednak otaczające go tereny były wówczas powszechnie uprawiane.

Afryka - w czasach republiki rzymskiej terminu tego używano w odniesieniu do części północnego wybrzeża wokół Kartaginy, czyli dzisiejszej Tunezji.

ager publicus - ziemia stanowiąca publiczną własność Rzymian, w większości zdobyta w wyniku podbojów lub odebrana pierwotnym właścicielom jako kara za nielojalność (to ostatnie głównie na terenie Italii). Ziemia ta wydzierżawiana była przez państwo (reprezentowane w tym wypadku przez cenzorów), przeważnie w sposób faworyzujący wielką własność ziemską. Najsłynniejszym i najbardziej spornym obszarem italskiego *ager publicus* był *ager Campanus*, tereny należące kiedyś do miasta Kapui i skonfiskowane przez Rzym w następstwie licznych kapuańskich rebelii.

Agger - podwójne obwałowanie i fortyfikacje strzegące Rzymu od jego najczulszej strony, wzdłuż Pola Eskwilińskiego (*Campus Esquilinis*). Agger stanowił fragment murów serwiańskich.

akademik - zwolennik filozofii Platona.

Akwileja - kolonia na prawie latyńskim założona w roku 181 p.n.e. na wschodnim krańcu Galii Przedalpejskiej dla ochrony szlaków handlowych z Noricum i Ilirii przez Alpy Karnijskie. Dzięki wybudowanym wkrótce potem drogom łączącym ją z Rawenną, Patawium, Weroną i Placencją stała się najważniejszym miastem w tej części wybrzeża Adriatyku.

Akwitania - kraina w południowo-zachodniej Galii Długowłosych między rzeką Charente (Carantonus) a Pirenejami, rozciągająca się na wschód wzdłuż Garonny aż do Tuluzy. Akwitanię zamieszkiwał związek plemion celtyckich. Największym z akwitańskich osiedli (*oppida*) była

Burdigala (Bordeaux), leżąca na południowym brzegu ujścia Garonny.

Alba Longa - położone w pobliżu dzisiejszego Castel Gandolfo starożytne centrum Lacjum, z którego wywodziło się wiele najstarszych patrycjuszowskich rodów rzymskich, w tym również Juliusze. Napadnięte i zdobyte w VII wieku p.n.e. przez rzymskiego króla Tulusza Hostyliusza, który zrównał je z ziemią, a mieszkańców przesiedlił do Rzymu.

Albis - dzisiejsza rzeka Łaba.

Aleksander Wielki - król Macedonii, trzeci o tym imieniu. Urodził się w roku 356 p.n.e. Pobierał nauki u Arystotelesa. Zmarł, mając 33 lata. W wieku lat 20 objął tron po swym ojcu Filipie II i postanowił raz na zawsze położyć kres najazdom perskim grożącym Europie. W roku 334 p.n.e. przeprowadził armię przez Hellespont, stawiając sobie za cel podbój Persji. Rozpoczął w ten sposób Odyseję, która zawiodła go aż za Indus, a zakończyła się śmiercią z gorączki malarycznej w Babilonie. Ponieważ zmarł, nie zostawiając spadkobiercy, jego imperium nie przetrwało pod berłem Macedonii, na wielu tronach zasiedli jednak jako greccy władcy jego wodzowie, którzy podzielili między siebie Azję Mniejszą, Egipt, Syrię, Medię i Persję.

Allobrogowie - związek plemion celtyckich zamieszkujących ziemie na południe od Jeziora Lemańskiego, pomiędzy łukiem Alp Zachodnich a Rodanem, sięgające do rzeki Isary. Sprzeciwiali się penetracji Rzymian na ich tereny i byli zaprzysięętymi wrogami Rzymu.

Ambarowie - szczep bądź odgałęzienie związku plemion celtyckich ze środkowej Galii Długowłosych znanego pod nazwą Eduów. Zamieszkiwali brzegi rzeki Arar (Saony).

Ambronowie - szczep lub plemię germańskiego ludu Teutonów. Wyginęli do ostatniego pod Aqua Sextiae w roku 102 p.n.e. (zob.: Teutoni).

ambrozja - pożywienie bogów.

amfora - naczynie ceramiczne z wąską szyją, dwoma dużymi uchami i stożkowatym dnem uniemożliwiającym ustawienie go na równym podłożu. Amfory używane były do masowego (przeważnie morskiego) transportu wina lub zboża, a ich spiczaste dna ułatwiały osadzenie ich w warstwie trocin wypełniających ładownię statku lub wewnątrz wozu. Dzięki temu stały prosto przez całą drogę, chronione trocinami. Skośne dno ułatwiało również tragarzom przeciąganie ich po gruncie podczas załadunku i rozładunku. Zwyczajowa objętość amfory wynosiła około 25 litrów.

Amisja -- dzisiejsza rzeka Ems w Niemczech.

amor - dosłownie: „miłość”. Ponieważ słowo to czytane wstecz daje nazwę „Roma”, Rzymianie wierzyli, że „amor” to sekretna nazwa Rzymu.

Anas - dzisiejsza rzeka Guadiana w Hiszpanii.

Anatolia - ogólnie biorąc, azjatycka część dzisiejszej Turcji, od południowych wybrzeży Morza Czarnego (Euksynu) do brzegów Morza Śródziemnego i od wybrzeży Morza Egejskiego na zachodzie do dzisiejszej Armenii, Iranu i Syrii na wschodzie. Góry Tauru i Antytauru czyniły z niej kraj dziki i niedostępny o klimacie kontynentalnym.

Anio - dzisiejsza rzeka Aniene.

Ankus Marcjusz - czwarty król Rzymu, uznawany przez ród Marcjuszów (szczególnie linię noszącą przydomek Rex) za założyciela rodu. Jest to mało prawdopodobne, Marcjusze byli bowiem rodem plebejskim. Ankusowi Marcjuszowi przypisuje się założenie kolonii w Ostii - choć nie jest pewne, czy nie odebrał on jej dawnym etruskim właścicielom złóż soli u ujścia Tybru. Rzym rozkwitł pod jego rządami. Jedynym trwałym efektem prowadzonych przez niego robót publicznych był Drewniany Most, Pons Sublicius. Zmarł w roku 614 p.n.e., pozostawiając synów, którzy nie odziedziczyli jednak tronu.

Anna Perenna - jedno z pierwotnych rdzennie rzymskich bóstw nie związane w żaden sposób z Grecją (zob. *numen*). Nie posiadając ani twarzy, ani mitologii, Anna Perenna była jednak uważana za istotę płci żeńskiej. Święto ku jej czci obchodzono podczas pierwszej pełni księżyca po Nowym Roku (1 marca według dawnej rachuby). Była to dla wszystkich Rzymian radosna uroczystość.

Antiochia - stolica Syrii i największe miasto w tej części świata.

Apeniny - łańcuch górski dzielący Italię na trzy oddzielne regiony: Galię Italską w dolinie Padu, wybrzeże adriatyckie oraz szersze i wyższe równiny i doliny wzdłuż zachodniego brzegu półwyspu. Łańcuch Apeninów łączy się na terenie Ligurii z Alpami Nadmorskimi, przecina nasadę półwyspu z zachodu na wschód i ciągnie się wzdłuż niego aż do Bruttium leżącego naprzeciw Sycylii. Najwyższy szczyt sięga 3000 m n.p.m. (9600 stóp).

aqua - akwedukt. W czasach Mariusza istniały cztery akwedukty dostarczające wodę Rzymowi. Najstarszym był Aqua Appia (rok 312 p.n.e.), następnym Aqua Anio Vetus (rok 272 p.n.e.), kolejnym Aqua Marcia (rok 144 p.n.e.) i najnowszym Aqua Tepula (rok 125 p.n.e.). Za Republiki akwedukty i dostarczana nimi woda znajdowały się pod opieką kompanii wodnych nadzorowanych przez cenzorów.

Aqua Sextiae - dzisiejsze Aix-en-Provence, miasto w rzymskiej prowincji Galii Zaalpejskiej znane z wód leczniczych.

aquilifer - stanowisko utworzone prawdopodobnie przez Mariusza. Był to najlepszy żołnierz legionu wybrany do noszenia legionowego srebrnego orła. *Aquilifer* na znak pełnionej funkcji nosił wilczą lub lwią skórę.

Arar - dzisiejsza rzeka Saona we Francji.

Arausio - dzisiejsze Orange, niewielkie osiedle na wschodnim brzegu Rodanu w Galii Zaalpejskiej.

Arduenna - dzisiejszy Las Ardeński w północnej Francji. W czasach Mariusza rozciągał się od Mozy po Mozę i stanowił nieprzebytą puszcę.

area Flacciana - Marek Fulwiusz Flakkus, wpływowy stronnik Gajusza Grakcha, został zamordowany wraz z dwoma synami w roku 121 p.n.e. w wyniku represyjnych działań senatu przeciwko Grakchowi i jego zwolennikom. Jego majątek został skonfiskowany, dom na Palatynie zburzony, a ziemia, na której stał, opuszczona. Ta właśnie opustoszała działka, górująca nad Forum Romanum, nosiła nazwę *area Flacciana*. Nabył ją w roku 100 p.n.e. Kwintus Lutacjusz Katullus i wznosił tu kolumnadę, w której umieścił sztandary zdobyte na Cymbrach pod

Vercellae.

Arelat - dzisiejsze Arles. Założone prawdopodobnie przez Greków miasto w Galii Zaalpejskiej, położone nad Rodanem niedaleko jego delty, odgrywało dużą rolę po zbudowaniu tu przez Mariusza kanału.

armillae - szerokie, złote lub srebrne bransolety przyznawane jako nagrody za męstwo rzymskim legionistom, centurionom i trybunom wojskowym.

Arnus - dzisiejsza rzeka Arno. Jej bieg stanowił granicę między Italią właściwą a Galią Przedalpejską.

Arpinum - miasto w Lacjum, w pobliżu granicy Samnium, pierwotnie zamieszkane prawdopodobnie przez Wolsków. Było ostatnim miastem na prawie latyńskim, które otrzymało w roku 188 p.n.e. pełne obywatelstwo rzymskie. Za czasów Mariusza nie cieszyło się jednak jeszcze pełnym statusem municypalnym.

Arx - wysunięty bardziej na północ jeden z dwóch wierzchołków Wzgórza Kapitolińskiego w Rzymie.

as - brązowa moneta rzymska o najmniejszej wartości. Dziesięć asów stanowiło równowartość jednego denara. Unikałam w niniejszej książce asów, po pierwsze z powodu ich niewielkiego znaczenia, po drugie zaś ze względu na identyczne brzmienie tej nazwy i angielskiego spójnika lub przyimka „as” - co byłoby wedle mnie irytujące!

asylum - część siodłowego obniżenia oddzielającego dwa wierzchołki Wzgórza Kapitolińskiego. Miejsce to miało starodawny status azylu, to jest schronienia, w którym mógł przebywać uciekinier przed pomstą lub wymiarem sprawiedliwości, nie obawiając się schwytania. Ustanowił ten status sam Romulus, ściągając do Rzymu osadników.

Athesis - dzisiejsza rzeka Adyga we Włoszech.

atrium - główne pomieszczenie rzymskiego domu przeznaczone do przyjęć i spotkań. Przeważnie miało kwadratowy otwór w dachu, pod którym znajdował się basen. Pierwotnie basen służył jako zbiornik wody do celów gospodarczych. W czasach Mariusza służył już tylko ku ozdobie.

Attalos III - ostatni król Pergamonu i władca całego prawie egejskiego wybrzeża zachodniej Anatolii oraz Frygii. Zmarł młodo w roku 133 p.n.e., nie pozostawiając dziedzica, a w testamencie zapisał swoje królestwo Rzymowi. Po wojnie w latach 129-128 p.n.e. Manniusz Akwiliusz utworzył rzymską prowincję Azji, odstępując część Frygii królowi Pontu Mitrydatesowi V i zatrzymując sobie zapłatę.

attycki hełm - ozdobny hełm noszony przez dowódców rzymskich o randze wyższej od centuriona. Takie właśnie hełmy noszą przeważnie gwiazdy Hollywoodu w rzymskich eposach filmowych - wąpiew jednak, by hełmy attyckie z czasów Republiki były zdobione strusimi piórami!

Atuatukowie - zwani również Aduatukami. Związek plemion w Galii Długowłosych zamieszkujących tereny wokół ujścia rzeki Sambę (Sabis) do Mozy. Wydaje się, że byli raczej pochodzenia germańskiego niż celtyckiego, utrzymywali bowiem, że są pobratymcami germańskich Teutonów.

auctoritas - wyjątkowo trudny do przetłumaczenia termin łaciński,

mający o wiele szersze znaczenie niż odpowiadające mu słowa „autorytet” i „władza”. Oznacza on również wywyższenie, przywództwo, wpływy, znaczenie, a także - przede wszystkim - wywieranie wpływu na bieg wydarzeń dzięki nieskazitelnej reputacji. Wszyscy urzędnicy posiadali *auctoritas* wynikającą z natury sprawowanych funkcji, jednak *auctoritas* nie ograniczała się jedynie do urzędników; posiadał ją również princeps senatu, najwyższy kapłan i *Rex Sacrorum* (kapłan składający ofiary składane dawniej przez królów - przyp. tłum.), konsulowie, a nawet niektóre osoby prywatne.

augur - kapłan, którego obowiązki polegały bardziej na wróżeniu niż przepowiadaniu przyszłości. Augurowie zrzeszeni byli w kolegium augurów, liczącym w czasach Mariusza dwunastu kapłanów - sześciu plebejuszy i sześciu patrycjuszów. Do czasu przeprowadzenia przez Gnejusza Domicjusza Ahenobarbą w roku 104 p.n.e. *lex Domitia de sacerdotibus* augurowie byli wybierani przez kapłanów należących już do kolegium. Po wprowadzeniu tego prawa musieli być wybierani publicznie. Augur nie przepowiadał przyszłości ani też nie wybierał odpowiedniego czasu na wróżby. Jego zadaniem było zbadanie określonych przedmiotów lub znaków celem ustalenia, czy zamierzone przedsięwzięcie cieszy się przychylnością bogów czy nie. Przedsięwzięciem takim mogło być spotkanie, wojna, zamiar wprowadzenia nowego prawa czy inna sprawa państwowa. Kapłani mieli do dyspozycji księgę uczącą interpretacji znaków, nie trzeba było więc udawać medium, by zostać wybranym augurem - państwo nie ufało wręcz ludziom utrzymującym, że mają odpowiednie predyspozycje, wołąc tych, którzy będą trzymać się zapisów w księgach. Stojem augura była *toga trabea* (zob. hasło w niniejszym słowniku terminów), nosił też laskę zwaną *lituus*.

ave atque vale - witaj i żegnaj!

Bagradas - dzisiejsza Madżarda, najważniejsza rzeka rzymskiej prowincji Afryki.

Baje - miasteczko na przylądku Misenum, północnym cyplu dzisiejszej Zatoki Neapolitańskiej. W czasach Republiki nie było jeszcze modnym kurortem, słynęło jednak z hodowli ostryg.

bazylika - duży budynek użyteczności publicznej, miejsce zebrań, np. procesów sądowych, a także siedziba urzędów i sklepów. Nawa główna bazyliki oświetlona była szeregiem okien biegnącymi nad niższymi nawami bocznymi. W czasach Republiki bazyliki wznoszone były przez bogatych arystokratów, najczęściej mężów konsularnych. Pierwsza z bazylik, zbudowana przez Katona Cenzora, a znana jako Bazylika Porcja, wznosiła się obok kurii senatu na Clivus Argentarius. Mieściła się w niej, oprócz biur bankierów, również siedziba kolegium trybunów ludowych. Do czasów Gajusza Mariusza zbudowane zostały również bazyliki Sempronia, Emilia i Opimia, wszystkie na obrzeżach dolnego Forum Romanum.

Belgowie - związek budzących grozę plemion zamieszkujących północno-wschodnią Galię. Wywodzili się z różnych grup etnicznych, zbliżeni byli jednak raczej do Germanów niż do Celtów. W skład związku wchodziły plemiona Trewerów, Atuaturów, Batawów, Kondrusów,

Atrebatów i Bellowaków. Rzymianom z czasów Mariusza wydawali się raczej istotami mitycznymi niż rzeczywistymi.

Benacus, Lacus - dzisiejsze jezioro Garda w północnych Włoszech.

Betys - dzisiejszy Gwadalkiwir, rzeka w Hiszpanii Dalszej. Według geografów Strabona dolina Betysu była najżyźniejsza w świecie.

biga - rydwan zaprzęzony w dwa konie.

Bitynia - królestwo na azjatyckim brzegu Propontydy, graniczące na wschodzie z Paflagonią i Galacją, na południu z Frygią, a na południowym zachodzie z Myzją. Były to ziemie żyzne i bogate, rządzone przez dynastie królów pochodzenia trackiego. Tradycyjnym wrogiem Bitynii był Pont.

Bohemia - dzisiejsze Czechy.

boni - dosłownie „ludzie dobrzy”. Termin ten, zastosowany po raz pierwszy w sztuce Plauta *Jeńcy*, nabrał znaczenia politycznego w czasach Gajusza Grakcha, który używał go dla określenia swoich stronników. To samo czynili jego wrogowie, Druzus i Opimiusz. Stopniowo wyrażenie to znalazło się w powszechnym użytku - w czasach Cyncerona *boni* to ci członkowie senatu, którzy skłaniali się ku skrajnemu konserwatyzmowi.

Bononia - dzisiejsza Bolonia w północnych Włoszech.

Borystenes - dzisiejsza rzeka Dniepr na Ukrainie.

Brennus (I) - król Galów (Celtów). To właśnie on najechał i spalił Rzym, obiegł Wzgórze Kapitołskie i zdobyłby je, gdyby nie święte gęsi Junony. Podniosły one wrzawę, budząc konsula Marka Maliusza, który dostrzegł wspinających się po zboczu Galów i odparł ich atak. Rzym nigdy nie wybaczył swoim psom (które nie czekały) i odtąd zawsze czcił gęsi. Nie mając już żywności, obrońcy Kapitolu zgodzili się ostatecznie kupić sobie u Brennusa wolność za tysiąc funtów złota. Brennus ważył złoto na Forum, a gdy odważniki wydały się Rzymianom podejrzanym, rzucił na szalę swój miecz ze słowami - *Vae victis!* Zaczął się spór, a wtedy nadszedł na czele swej armii dyktator Kamillus i zerwał układy. W bitwie na ruinach Rzymu Galowie zostali wyparci z miasta, a po kolejnym starciu przy Via Tiburtina zostali zwyciężeni. Kamillus (który przekonał też obywateli, by nie porzucali Rzymu, przenosząc się do Wejów) nazwany został drugim założycielem Rzymu. Liwiusz nie mówi, co stało się z Brennusem. Wydarzenia te rozegrały się w roku 390 p.n.e.

Brennus (II) - późniejszy król Galów (Celtów). Na czele licznej grupy plemion celtyckich najechał w roku 279 p.n.e. Macedonię i Tesalię, przełamał opór greckich obrońców Termopil i zdobył Delfy, gdzie został ranny. Zajął następnie Epir i złupił niezmiernie bogatą wyrocznię Zeusa w Dodonie. Zdobyl też i splądrował najbogatszą z wszystkich wyroczni Zeusa w Olimpii. Wycofując się przed nękającymi go wojną podjazdową Grekami, wrócił do Macedonii, gdzie zmarł od rany. Gdy go zabrakło, Galowie rozdzielili się. Niektórzy (Tajstobokowie, Trokmowie i część Wolków Tektosagów) przeprawili się przez Hellespont do Azji Mniejszej i osiedlili w kraju zwanym odtąd Galacją. Ta część Wolków Tektosagów, która wróciła do Galii południowej, zabrała ze sobą łupy wzięte podczas wyprawy Brennusa. Strzegli oni tej wspólnej zdobyczy w oczekiwaniu na powrót pozostałych wojowników Brennusa.

Brundisium - dzisiejsze Brindisi. Najważniejszy port w południowej Italii i jedyny naturalny port na wybrzeżu adriatyckim. W roku 244 p.n.e. otrzymało status kolonii na prawach latiońskich. Rzym zamierzał w ten sposób zapewnić ochronę nowemu odcinkowi Via Appia, łączącemu Tarent z Brundisium.

Burdigala - dzisiejsze Bordeaux w południowo-zachodniej Francji. Było to wielkie galijskie *oppidum* zamieszkane przez Akwitanów.

campus, campi - równina, płaski obszar ziemi.

capitecensi - dosłownie: Policzeni Głowami. *Capitecensi* byli grupą obywateli rzymskich zbyt ubogich, by mogli być zaliczeni do którejś z pięciu klas majątkowych, a więc pozbawionych prawa głosowania na Zgromadzeniu Centurialnym. Ponieważ większość *capitecensi* pochodziła z miasta i tam mieszkała, należeli oni do *tribus* miejskich. Tych zaś było tylko cztery, co przy ogólnej liczbie 35 *tribus* oznaczało, że mieli oni znikomy wpływ również na wyniki głosowania na zgromadzeniach trybusowych: Ludowym i Plebejskim (zob. też Policzeni Głowami, proletariusze).

carcer - więzienie. Tak nazywano rzymskie więzienie Tullianum.

Cebenna - góry w południowo-środkowej Galii, leżące na zachód od Rodanu. Nazwa ta obejmowała dzisiejsze Sewenny i Owernię, a więc cały Masyw Centralny.

cella - dosłownie: „izba”. Pokoje w rzymskich domach nosiły przeważnie specjalne nazwy określające ich przeznaczenie - pokój nie noszący żadnej nazwy to właśnie *cella*. Tak nazywano również pomieszczenia wewnątrz świątyń.

Celtowie - raczej współczesna niż starożytna nazwa barbarzyńskiego ludu, który przywędrował z północnej i środkowej Europy w początkach I tysiąclecia p.n.e. Od około roku 500 p.n.e. Celtowie podejmowali próby opanowania krajów śródziemnomorskich. Udało im się to w Hiszpanii i w Galii, Italia i Grecja stawiały natomiast opór. Mimo to jednak zwarte ich grupy osiadły w północnej Italii, Macedonii, Tesalii, Ilirii oraz Mezji i z czasem przemieszały się z miejscową ludnością. Mieszkańcy Galacji w zachodniej Anatolii posługiwali się językiem celtyckim jeszcze przez pierwsze stulecie naszej ery (zob. Brennus [II]). Celtowie byli oddzielną grupą etniczną, spokrewnioną z późniejszymi Germanami. Sami uważali się za odrębny lud. Rzymianie nazywali ich Galami, z rzadka tylko używając słowa „Celt”.

Celtyberowie - członkowie tych plemion celtyckich, które przeszły przez Pireneje do Hiszpanii i osiedliły się przeważnie w jej części środkowej, zachodniej i północno-zachodniej. Do czasów Mariusza plemiona te zdążyły już przemieszać się z ludnością miejscową i były uważane za tubylcze.

centuria - termin określający grupę stu ludzi, pierwotnie jednak stu żołnierzy. Centurie na Zgromadzeniu Centurialnym były liczniejsze, nie były też już, jak pierwotnie, formacjami wojskowymi. Stan liczebny centurii tworzących legiony nie przekraczał setki żołnierzy.

Centurialne Zgromadzenie - zob. zgromadzenie.

centurion - niższy rangą oficer w armii rzymskiej i w oddziałach posiłkowych. Błędem jest porównywanie centurionów z dzisiejszymi podoficerami - byli oni po prostu doskonałymi zawodowcami, na których pozycję nie miała wpływu hierarchia społeczna. Rzymski generał rzadko kiedy przejmował się stratą trybunów wojskowych, jednak w przypadku utraty centurionów rwał sobie włosy z głowy. Wśród centurionów istniała również pewna hierarchia: najmłodszy rangą *centurio* dowodził grupą osiemdziesięciu żołnierzy i dwudziestu rezerwistów, tworzących razem centurię. W armii republikańskiej zreorganizowanej przez Mariusza każda kohorta miała sześciu centurionów, najstarszy zaś rangą spośród nich, *pilus prior*, dowodził zarówno pierwszą centurią, jak i całą kohortą. Dziesięciu dowódców dziesięciu kohort składających się na legion było również uszeregowanych pod względem starszeństwa. Najważniejszy spośród nich, *primus pilus*, odpowiadał jedynie przed dowódcą legionu (trybunem wojskowym lub legatem wodza). W armii Republiki awansowało się zasłużonych szeregowych żołnierzy.

cenzor - najwyższy z rzymskich urzędników, choć nie posiadający imperium, a więc nie eskortowany przez liktorów. O ten urząd mogli ubiegać się tylko mężowie konsularni, a i spośród nich stawali do wyborów tylko ci cieszący się wielką *auctoritas* i *dignitas*. Wybór na cenzora stanowił ukoronowanie politycznej kariery, sprawującego ten urząd uważano bowiem za jednego z najważniejszych ludzi w Rzymie. Cenzor (wybierano dwóch jednocześnie) sprawował swój urząd przez okres pięciu lat, choć aktywnie działał tylko przez pierwsze osiemnaście miesięcy swojej cenzury. Wraz z kolegą prowadził i uaktualniał listę członków senatu, członków *Ordo Equester* (stanu rycerskiego) i listę *Equites Equo Publico* (1800 najznacniejszych ekwitów). Do obowiązków cenzora należało dokonywanie spisu obywateli rzymskich, nie tylko mieszkańców Rzymu, ale całej Italii i prowincji. Cenzor przeprowadzał również spis majątkowy ludności, inicjował i nadzorował prowadzenie robót publicznych, a w niektórych sprawach mógł reprezentować państwo.

Cercyna - dzisiejsza Kerkenna. Jedna z wysp w zatoce Wielkiej Syrty, na której powstała pierwsza kolonia weteranów Mariusza. Mariusz wysłał ojca dyktatora Gajusza Juliusza Cezara, by zorganizował zasiedlenie Cercyny.

Cerera - bardzo stara bogini italska i rzymska, patronka płodów rolnych, w szczególności zbóż. Jej świątynia położona na Rynku Bydłęcym (Forum Boarium) od strony Awentynu uważana była za najpiękniejszą świątynię w Rzymie republikańskim i stanowiła przybytek plebejuszy w czasach, gdy Rzym znajdował się całkowicie we władzy patrycjuszy, a plebejusze grozili opuszczeniem miasta. Pierwsza masowa secesja plebejuszy nastąpiła w roku 494 p.n.e. Nie zaszli oni wtedy dalej niż na Awentyn, to jednak wystarczyło, by wywalczyć szereg ustępstw. Do czasów Mariusza świątynia Cerery stała się główną siedzibą stanu plebejskiego - tu mieściły się urzędy i archiwa edylów plebejskich.

cesarskie cięcie - operacja chirurgiczna stosowana, gdy dziecko rodzącej kobiety nie może przedostać się przez miednicę. Brzuch zostaje nacięty,

sploty jelit odsuwa się na boki i rozcina ściankę macicy, by wydobyć dziecko. W ten właśnie sposób narodził się podobno dyktator Gajusz Juliusz Cezar, a operacja nosi nazwę od przydomka (*cognomen*) jego rodu. Zdecydowałam się powtórzyć tę historię, ponieważ wiemy z całą pewnością, że matka Cezara, Aurelia, dożyła siedemdziesiątki i do śmierci cieszyła się dobrym zdrowiem. Historia cesarskich cięć w starożytności jest dość ponura, choć bowiem udawało się czasem uratować dziecko, matkę czekała nieunikniona śmierć. Pierwszym udokumentowanym udanym cesarskim cięciem jest operacja wykonana w roku 1876 we Włoszech.

Charybda - mityczny wir, którego położenie jest różnie określane - miał znajdować się albo w cieśninie między Italią a Sycylią, albo w pobliżu Słupów Herkulesa, albo jeszcze gdzie indziej. Charybdę łączono zawsze ze Scyllą, potworem, który żył tak blisko Charybdy, iż żeglarze nie mogli ominąć jednej, nie wpadając w szpony drugiej. W starożytności powiedzenie „znaleźć się między Scyllą a Charybdą” było odpowiednikiem dzisiejszego „między młotem a kowadłem”.

Chersones - greckie słowo oznaczające półwysep, stąd Chersones Tracki, Chersones Taurydzki, Chersones Cymbryjski itd.

Cheruskowie - związek plemion germańskich zamieszkujących wzdłuż rzek Amisia (dzisiejsze Ems) i Visurgis (dzisiejsza Wezera). Część Cherusków opuściła około roku 113 p.n.e. swą ojczyznę, by przyłączyć się do masowej migracji germańskich ludów Teutonów i Cymbrów.

Clitumnus - rzeka w Umbrii, w Italii.

clivus - ulica biegnąca w górę wzniesienia. W Rzymie, mieście położonym na wzgórzach, było ich wiele.

cloaca - kanał, a dokładnie kanał ściekowy. Bardzo rozległy system kanałów został bez wątpienia wybudowany już w bardzo wczesnym okresie dziejów Rzymu. Liwiusz pisze, że gdy Galowie obrócili Rzym w ruinę w roku 390 p.n.e., odbudowa miasta nie została zaplanowana tak, jak należało. Senat obawiał się bowiem, że plebejusze opuszczą Rzym i przeniosą się do Wejów, i ustępował im we wszystkim. W wyniku tego w miejsce szerokich ulic starego miasta, biegnących wzdłuż głównych kanałów ściekowych, powstały ulice węższe i bardziej kręte, a wiele budynków wzniesiono nad głównymi kanałami.

Cloaca Maxima - system kanałów odprowadzających ścieki z Subury, górnego Eskwilinu, Kapitolu, Forum Romanum i Velabrum, uchodzący do Tybru pomiędzy Mostem Emiliusza a Drewnianym Mostem (Pons Sublicius) bliżej Mostu Emiliusza. Rzeką, której koryto dało początek pierwszym kanałom, był starożytny Spinon.

Cloaca Nodina - system kanałów odprowadzających ścieki z Palatynu, dolnego Eskwilinu, Wzgórza Oppijskiego, terenu Circus Maximus i z części Awentynu. Kanały biegły wzdłuż koryta starożytnej rzeki Nodina i jej odpływów i uchodziły do Tybru powyżej Drewnianego Mostu.

Cloaca Petronia - system kanałów odprowadzających ścieki z Wiminalu, Kwirynału i Pola Marsowego, odpowiadający pierwotnemu biegowi starożytnej rzeki Petronii i jej dopływów. Uchodziły one do Tybru powyżej Wyspy Tybrowej. Od tego miejsca począwszy, nie kapano się już

w Tybrze.

cognomen - ostatnie z imion Rzymianina, pragnącego odróżnić się od innych, noszących to samo imię i nazwisko rodowe. W niektórych rodzinach konieczne było posiadanie więcej niż jednego *cognomen*, np. Kwintus Cecyliusz Metellus Pius. *Cognomen* wskazywał zwykle jakieś cechy szczególne - odstające uszy, płaskie stopy czy garb - albo upamiętniał jakieś wielkie wydarzenia, jak w rodzie Cecyliusza Metellów noszących przydomki Dalmatyński, Balearski, Numidyjski.

comitia - zob. zgromadzenie.

condemno - jedno z dwóch słów używanych przy ogłaszaniu wyroku „winny”. Drugim słowem było DAMNO.

confarreatio - najstarsza i najbardziej rygorystyczna forma rzymskiego małżeństwa. W czasach Mariusza stosowali ją już tylko patrycjusze - nie wszyscy jednak, nie była bowiem obowiązkowa. W myśl *confarreatio* oblubienica przechodziła spod władzy ojca pod władzę męża, nie uzyskując ani odrobiny niezależności. Było to jednym z powodów niepopularności *confarreatio*, w innych bowiem formach małżeństwa kobieta mogła sprawować większą kontrolę nad swymi sprawami majątkowymi i posagiem. Inną przyczyną niepopularności były trudności z uzyskaniem rozwodu. Była to ponura i przygnębiająco żmudna procedura prawna i religijna.

consultum - właściwa nazwa senackiego dekretu. Dekrety nie miały mocy praw - żeby się nimi stać, musiały być przedstawione Zgromadzeniu Ludowemu lub Plebejskiemu, które przegłosowywały je jako prawa. Liczne *consulta* nie były jednak poddawane głosowaniu na zgromadzeniach trybusowych, a mimo to uznawane były za prawa - na przykład decyzje senatu o obsadzaniu zarządu prowincji, o wypowiedzeniu wojny albo przyznaniu dowodzenia armią. Wszystkie sprawy zagraniczne regulowane były takimi właśnie senackimi *consulta*.

contio, contiones - wstępne zebrania wszystkich zgromadzeń komicjalnych, decydujące o zwoływaniu obrad nad projektami praw albo o wszczynaniu procesów. Zwano je *contiones*. *Contio* mogło być zwołane tylko przez urzędnika uprawnionego do zwołania danego zgromadzenia - konsul lub pretor mógł zwoływać Zgromadzenie Ludowe bądź Centurialne, ale Zgromadzenie Plebejskie mógł zwoływać jedynie trybun ludowy.

contubernalis - łacińskie określenie kadeta, czyli młodszego oficera, najniższego rangą w wojskowej hierarchii, z pominięciem jednak centurionów - żaden centurion nie był nigdy kadetem, wybierano ich spośród doświadczonych żołnierzy.

corona - wieniec. Wojskowa nagroda honorowa za dzielność. Za różne czyny bohaterskie przyznawano następujące wieńce:

corona aurea - złoty wieniec przyznawany temu, kto zabił nieprzyjaciela w pojedynku i utrzymał pole do końca bitwy. Pierwszy z mniej cenionych wieńców, chociaż o wiele cenniejszy materialnie od *corona civica* i *corona graminea* (co wskazuje, że był od nich znacznie młodszy).

corona circa - wieniec obywatelski. Wieniec z liści dębowych

przyznawany temu, kto ocalił życie towarzysza broni i do końca bitwy dotrzymał pola, na którym to się stało.

corona graminea - wieniec z trawy przyznawany komuś, kto ocalił cały legion, a w wyjątkowych okazjach - nawet całą armię.

corona muralis - korona murowa. Ukształtowana w formie blanków złota korona przyznawana temu, kto pierwszy wdarł się na mury oblężonego miasta.

corona navalis - złota korona w kształcie dziobów okrętów przyznawana za wyjątkowe męstwo okazane w bitwie morskiej.

corona vallaris - złota korona przyznawana temu, kto pierwszy wdarł się na wały umocnionego obozu nieprzyjaciela.

culibonia - rzymska nazwa oferowanych przez prostytutki stosunków analnych. Stąd w kalamburze Publiusza Rutyliusza Rufusa przedmiotem drwiny są *boni*.

culus - łacińska nazwa odbytu.

Cumae, Kyme - pierwsza grecka kolonia w Italii założona w początkach VIII wieku p.n.e. Położone po wewnętrznej stronie przylądka Misenum było w czasach Republiki modną rzymską miejscowością wypoczynkową.

cunnum lingere - lizanie kobiecych narządów rodnych. Czynność przez Rzymian uznawana za nieprzyzwoitą.

cunnus - słowo oznaczające kobiece narządy rodne, uznawane za nieprzyzwoite.

curator annonae - człowiek odpowiedzialny za nadzór nad dostawami zboża z prowincji do Rzymu.

Curia Hostilia - budynek senatu. Uważano, że zbudował go król Tuliusz Hostyliusz, trzeci z rzymskich władców, stąd jego nazwa „dom spotkań Hostyliusza”.

cursus honorum - dosłownie: „droga honorowa”. Kto pragnął zostać konsulem, musiał przejść określone szczeble kariery: najpierw zostawał przyjęty do senatu (będąc wybrany kwestorem bądź też wpisany na listę przez cenzorów, choć w czasach Mariusza ostatnie słowo należało zawsze do cenzorów). Będąc już senatorem, musiał zostać kwestorem, potem zaś być obrany na pretora. Dopiero wtedy mógł kandydować na konsula. Te cztery stopnie kariery - miejsce w senacie, kwestura, pretura i konsulat - stanowiły *cursus honorum*. Ani edylat plebejski czy kurulny, ani trybunat ludowy nie były częścią *cursus honorum*, większość ludzi, pragnących zostać konsulami, zdawała sobie jednak sprawę, że trzeba sprawować urząd edyla albo trybuna ludowego, aby uzyskać poparcie elektoratu. Urząd cenzora, dostępny tylko dla mężów konsularnych, był także niezależny od *cursus honorum*.

Cymbrowie - bardzo liczny związek plemion germańskich żyjących w północnej części Chersonesu Cymbryjskiego przed rokiem 120 p.n.e., kiedy to klęska żywiołowa zmusiła ich do opuszczenia ojczyzny. Wraz z najbliższymi sąsiadami z południa, Teutonami, ruszyli na trwającą dwadzieścia lat wędrówkę, która po tysiącu przebytych mil zakończyła się starciem z Rzymianami - i z Mariuszem.

Cymbryjski Chersonesz - teren dzisiejszej Danii, Półwysep Jutlandzki.

cynik - zwolennik szkoły filozoficznej założonej przez Diogenesa z Synopy. Nie była to szkoła w sensie akademickim, a jej zasady były proste. Cynicy generalnie cenili prostotę i wolność od ciężaru posiadania. Nie interesowały ich ludzkie dążenia i ziemskie aspiracje, uważali bowiem, że czynią one ludzi samolubnymi.

Cyrceje - obszar (w tym także Wzgórze Cyrcejskie) stanowiący nadbrzeżną granicę pomiędzy Lacjum a Kampanią. Miasto o tej samej nazwie, leżące na Półwyspie Cyrcejskim od strony Tarraciny, było w czasach Republiki popularnym kurortem nadmorskim.

cyrk - miejsce, w którym odbywały się wyścigi rydwanów. Sam tor był długi i wąski, podzielony barierą (*spina*), której końce stanowiły dwa kamienne stożki (*metae*) oznaczające punkty, w których zawracały rydwany. Tor otoczony był rzędami drewnianych ławek. Siedem delfinów i siedem jaj w kieliszkach odmierzało siedem okrążeń wyścigu. Prawdopodobnie było tak od zawsze, wiemy jednak, że Agryppa ufundował dla Circus Maximus nowe delfiny. Cały wyścig trwał zwykle około 25 minut. Cztery kolory - czerwony, zielony, biały i niebieski - były, jak się obecnie przyjmuje, kolorami stronnictw już w czasach środkowej Republiki. Kolory oznaczały czterech uczestników wyścigu.

Cyrk Flaminiusza - cyrk na Polu Marsowym niedaleko Tybru i rynku warzywnego (Forum Holitorium). Został zbudowany w roku 221 p.n.e. i był czasami używany jako miejsce zgromadzeń, kiedy plebejusze lub patrycjusze mieli obradować poza granicą *pomerium*. Na terenie Cyrku Flaminiusza znajdowało się kilka świątyń, między innymi poświęcona Wulkanowi oraz bardzo piękna i bardzo sławna świątynia Herkulesa i dziewięciu Muz.

Cyrk Największy (Circus Maximus) - starożytny cyrk wzniesiony przez Tarkwiniusza Starszego przed czasami Republiki. Zajmował teren całej doliny (Valis Murcia) między wzgórzami Palatynem i Awentynem. Mogło się tu pomieścić od stu do stu pięćdziesięciu tysięcy widzów, nawet za Republiki. W czasach republikańskich do cyrku wpuszczani byli tylko obywatele rzymscy, a liczne świadectwa wskazują na to, iż wyzwolenicy posiadający obywatelstwo nadal zaliczani byli do niewolników - jeżeli chodziło o wstęp do cyrku. Kobietom wolno tu było siedzieć razem z mężczyznami.

człowiek wolny - urodzony w stanie wolnym i nigdy nie sprzedany w niewolę (wyjątek stanowi tu *nexus*, człowiek wzięty w niewolę za długi, co choć rzadkie wśród rzymskich obywateli z czasów Mariusza, zdarzało się wśród italskich sprzymierzeńców padających ofiarą chciwości Rzymian).

damno - jedno z dwóch wyrażenń stosowanych w sądzie dla ogłoszenia wyroku „winny”. Istniał zapewne jakiś powód, dla którego głosowano *damno* - zamiast *condemno* - być może *damno* miało większą moc prawną i oznaczało, że skazanemu nie zostanie okazana żadna łaska.

Danastris - dzisiejsza rzeka Dniestr. Starożytni znali ją także pod nazwą Tyras.

Danubius - dzisiejszy Dunaj. Grecy, którzy znali go pod nazwą Ister, wiedzieli, że jest to bardzo wielka rzeka, nie zbadali jednak jej biegu

powyżej ujścia do Morza Czarnego, gdzie oczywiście założyli swoje kolonie. Rzymianom z czasów Mariusza znana była tylko górna, alpejska część Dunaju, choć wiedzieli, podobnie jak Grecy, że płynie on dalej przez Panonię i Dację.

Delfy - wielkie sanktuarium Apollona położone u stóp Parnasu w środkowej Grecji. Od najdawniejszych czasów były ważnym ośrodkiem kultu, choć aż do VI lub VII wieku p.n.e. nie był to kult Apollona. Znajdował się tu Omfalos, pępek świata (najprawdopodobniej meteoryt), a same Delfy uważane były za środek Ziemi. Mieściła się tu wyrocznia o budzącej grozę sławie, a przepowiednie wygłaszała znajdująca się w ekstatycznym szale kapłanka imieniem Pytia lub Pytonissa.

denar - nie licząc paru rzadkich złotych monet, denar był najwyższą nominałem monetą Republiki Rzymskiej. Bity z czystego srebra ważyły około 3,5 grama. Na talent składało się 6250 denarów.

Dertona - dzisiejsza Tortona w północnych Włoszech.

diadem - biała wstążka o szerokości cala i haftowanych, często zakończonych frędzlami końcach. Noszono ją obwiązaną wokół głowy, na czole albo powyżej granicy włosów, i związywano z tyłu, tak że końce opadały na ramiona. Diadem, używany pierwotnie przez królów perskich, stał się symbolem władzy monarchów hellenistycznych po tym, jak Aleksander Wielki zastąpił nim perską tiarę, uważając za bardziej odpowiedni dla Greków.

dignitas - trudne do przetłumaczenia, właściwe tylko Rzymianom pojęcie. Określało ono pozycję człowieka w społeczeństwie, na którą składały się jego reputacja, reprezentowane przez niego wartości etyczne i moralne, szacunek, jakim go otaczano, i sposób, w jaki się do niego odnosiło. Ze wszystkich wartości, jakimi mógł się chlubić rzymski nobil, *dignitas* była tą, na której punkcie był najbardziej czuły - gotów w jej obronie pójść na wojnę czy wygnanie, popełnić samobójstwo lub zabić żonę czy syna. Używam tego słowa w tekście w jego łacińskim brzmieniu.

Dis - drugie imię Plutona, boga świata podziemnego.

diverticulum - w znaczeniu używanym w tej książce - szlak łączący główne drogi wychodzące przez bramy Rzymu, rodzaj „obwodnicy”.

Dodona - świątynia i sanktuarium poświęcone greckiemu Zeusowi. Dodona leżała w górach Epiru o dziesięć mil na południe od dzisiejszej Janiny. Była siedzibą bardzo sławnej wyroczni mieszczącej się w świętym dębie.

domus publicus - budynek mieszkalny stanowiący własność senatu i ludu rzymskiego - a więc własność państwową. Było ich co najmniej kilka, a wszystkie, jak się zdaje, zamieszkiwane przez kapłanów. Najwyższy Kapłan, westalki, Rex Sacrorum i trzech głównych flamenów (Dialis, Martialis i Quirinalis) mieszkali w domach będących własnością państwa. Wszystkie one stały najprawdopodobniej w obrębie Forum Romanum. Istnieją dowody, że w czasach Republiki najwyższy kapłan oraz westalki mieszkali we wspólnym domu wznoszącym się na miejscu znacznie późniejszego Atrium Vestae. W odniesieniu do tego właśnie domu używano określenia „Domus Publicus”. O domu, w którym mieszkał Rex

Sacrorum na wzgórzu Welia, mówiono „Dom króla”. Na mojej mapie środkowej części Rzymu wrysowałam domy trzech głównych flamenów w miejscach całkowicie hipotetycznych.

Dravus - dzisiejsza rzeka Drawa.

Druentia - dzisiejsza rzeka Durance we Francji.

druidyzm - główna religia Celtów praktykowana zwłaszcza w Brytanii i Galii Długowłosych. Kapłani tego kultu zwani byli druidami. Główny ośrodek druidyzmu znajdował się w Galii na ziemiach Karnutów. Będąc kultem mistycznym i naturalistycznym, druidyzm nie przemawiał zupełnie do ludów śródziemnomorskich.

Duria Maior - dzisiejsza rzeka Dora Baltea w północnych Włoszech.

Duria Minor - dzisiejsza rzeka Doria Riparia w północnych Włoszech.

dwukółka - dwukołowy pojazd zaprzężony w dwa lub cztery muły. Biorąc pod uwagę ograniczenia konstrukcyjne (nie istniały jeszcze resory ani amortyzatory), była wyjątkowo lekkiej budowy. To właśnie dwukółkę wybierał Rzymianin, śpiesząc się - łatwo ją było ciągnąć, była więc szybka, nie dawała jednak osłony przed deszczem. Łacińska nazwa dwukółki brzmiała *cisia*. Zamknięty dwukołowy powóz, cięższy i większy, nazywany był *carpentum*.

ecastor! - wykrzyknik wyrażający zdumienie, uznawany za elegancki i możliwy do używania przez kobiety. Jego źródłosłów wskazuje, iż było to wezwanie skierowane do Kastora.

edepol! - wykrzyknik oznaczający zdumienie, używany przez mężczyzn w obecności kobiet, a więc odpowiednio grzeczny. Według źródłosłowu - wezwanie skierowane do Polluksa.

Eduowie - potężny związek plemion celtyckich zamieszkujących tereny środkowej Galii Długowłosych. Po tym jak Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus podbił w latach 122-121 p.n.e. Arwernów, ich tradycyjnych wrogów, Eduowie stali się mniej wojowniczy, ulegając stopniowo romanizacji i ciesząc się opieką Rzymu.

edyl - jeden z czterech urzędników rzymskich sprawujących swe funkcje tylko na terenie miasta Rzymu. Wybierano dwóch edylów plebejskich i dwóch kurulnych. Edylów plebejskich powołano po raz pierwszy (w roku 493 p.n.e.) do pomocy trybunom ludowym do spraw zarządu świątyni Ceres, głównego ośrodka działalności plebejuszy. Wkrótce przejęli oni nadzór nad budowlami publicznymi i rejestrami plebiscytów oraz uchwał senatu dotyczących plebiscytów. Edyłowiem plebejscy byli wybierani przez Zgromadzenie Plebejuszy. W roku 367 p.n.e. powołano dwóch edylów kurulnych dla umożliwienia patrycjuszom udziału w nadzorze nad budowlami publicznymi i archiwami, później jednak urząd edyla kurulnego sprawowali zarówno patrycjusze, jak i plebejusze. Edyłowiem kurulni byli wybierani przez Zgromadzenie Ludowe. Od III wieku p.n.e. edyłowiem byli odpowiedzialni za nadzór nad stanem rzymskich ulic, kanalizacją, budowlami publicznymi i rynkami, miarami i wagami, organizacją igrzysk i publicznym rozdawnictwem zboża. Mieli prawo wymierzania grzywien za naruszenie przepisów dotyczących wymienionych dziedzin, a uzyskane fundusze przeznaczali na organizację igrzysk. Edylat plebejski i kurulny

nie był częścią *cursus honorum*, stwarzał jednak, dzięki igrzyskom, możliwość zdobycia popularności.

ekwici - rycerze; członkowie *Ordo Equester*. Początki tego stanu sięgają czasów, kiedy to królowie Rzymu zaciągali najszlachetniejszych rzymskich obywateli do specjalnej jednostki kawalerii, w której otrzymywali oni konie opłacane z funduszy publicznych. W tamtych czasach dobre wierzchowce były w Italii rzadkie, a więc bardzo kosztowne. Kiedy monarchia ustąpiła miejsca młodej jeszcze Republice, jednostka ta liczyła tysiąc ośmiuset ludzi zgrupowanych w osiemnastu centuriach. W miarę upływu czasu liczba ekwitów wzrastała, wszyscy nowi musieli już jednak sami kupować i utrzymywać swoje wierzchowce. Tych tysiąc ośmiuset, których konie utrzymywane były z publicznych pieniędzy, stanowiło teraz trzon *Ordo Equester*. W II wieku p.n.e. Rzym nie wystawiał już jednak własnej kawalerii, *Ordo Equester* zaś przerodził się w jednostkę społeczną i ekonomiczną, niewiele mającą wspólnego z armią. Cenzorzy spisywali teraz ekwitów według kryteriów majątkowych, a choć osiemnaście pierwotnych centurii nadal liczyło po stu ludzi, to pozostałe centurie (około 71) rozrastały się tak, że wszyscy obywatele, którzy osiągnęli cenzus majątkowy ekwity, spisywani byli w pierwszej klasie majątkowej. Do roku 123 p.n.e. także i senatorowie należeli nominalnie do *Ordo Equester* - to Gajusz Grakchus wydzielił ich jako osobną grupę, liczącą trzystu mężów. Ich synowie jednak i członkowie rodu, którzy nie byli senatorami, wciąż spisywani byli pośród ekwitów. By osiągnąć cenzus majątkowy ekwity (spisywany przez specjalny trybunał na Forum Romanum), trzeba było mieć dochód lub posiadłości przekraczające wartość 400.000 sestercji. Choć nie było to w stałym zwyczaju, to niektórzy cenzorzy zarządzali odbycie parady tysiąca ośmiuset ekwitów posiadających publicznych koni, chcąc upewnić się, że dbają oni odpowiednio o siebie i swe wierzchowce. Parada ta odbywała się najprawdopodobniej w idy lipcowe. Cenzorzy zasiadali wówczas na trybunie ustawionej na schodach świątyni Kastora i Polluksa na Forum Romanum, a ekwici i ich konie paradowali kolejno przed nimi. Od czasów Gajusza Grakcha aż do upadku Republiki ekwici na przemian tracili i przejmowali kontrolę nad trybunałami sądzącymi senatorów za oszustwa i nadużycia w zarządzaniu prowincjami, tak więc zawsze prawie byli skłóceni z senatem. Gdy ekwici osiągnęli dochody tak wysokie, jak wymagano tego od senatorów, nie było żadnych przeszkód, by nie mogli ubiegać się o członkostwo w senacie. Jeśli tego przeważnie nie robili, to z powodu upodobania swego stanu do zajmowania się handlem, zabronionym wśród senatorów. *Ordo Equester* (tej formalnej nazwy zaczęto używać dopiero po czasach Gajusza Grakcha) lubował się w interesach znacznie bardziej niż w polityce.

Elizjum - Rzymianie z czasów Republiki nie wierzyli właściwie w życie po śmierci, choć wierzyli w podziemne królestwo cieni, bezrozumnych wizerunków zmarłych. Niektórzy ludzie, zdaniem tak Greków jak i Rzymian, zasłużyli sobie u bogów na byt pośmiertny w miejscu zwanym Elizjum albo Polami Elizejskimi. Nawet jednak te uprzywilejowane cienie były zaledwie widmami, a ludzkich uczuć i pragnień mogły doświadczać

jedynie po uczcie z ludzkiej krwi.

Eneas - królewicz dardański, syn króla Anchizesa i bogini Wenus (Afrodyty). Uciekł z płonącej Troi, niosąc na ramionach sędziwego ojca, a w rękę trzymając Palladium. Po wielu przygodach przybył do Lacjum. Założyciel rodu, z którego wywodzą się Rzymianie. Wergiliusz utrzymuje, że syn Eneasza, Julus, to w rzeczywistości Askaniusz, jego syn z trojańskiej żony Kreuzy, który przybył z nim z Troi do Italii. Liwiusz z kolei twierdzi, że Julus to syn Eneasza z jego latyńskiej żony Lawinii. Nie wiemy, w co wierzyli Rzymianie z czasów Gajusza Mariusza, i Wergiliusz, i Liwiusz pisali bowiem swoje dzieła prawie sto lat później.

epikurejczyk - zwolennik szkoły filozoficznej założonej na początku III wieku p.n.e. przez Greka Epikura. Epikur był wyznawcą hedonizmu tak wysublimowanego, że bliskiego niemalże ascezie. Człowiek powinien dbać jedynie o swe przyjemności i rozkoszować się nimi w nieskończoność, każdy inny wysiłek jest nieuzasadniony. Niedopuszczalne jest prowadzenie życia publicznego ani innej działalności mogącej przysporzyć trosk. Takie założenia musiały, zwłaszcza w Rzymie, ulec pewnym modyfikacjom, by szlachetnie urodzony Rzymianin mógł nazywać siebie epikurejczykiem i robić jednocześnie karierę polityczną.

Epir - obejmująca Molossję i Thesprotię część zachodniej Grecji, oddzielona od głównych krain greckich pasmem wysokich gór środkowej Grecji - przełęczą wiodących do Tesalii czy Beocji było bowiem niewiele. Po zwycięstwie Emiliusza Paulusa nad Macedonią w roku 167 p.n.e. zostało wysiedlonych około 150.000 mieszkańców Epiru, przez co kraj został niemalże całkowicie wyludniony i skazany na upadek. W czasach Gajusza Mariusza był już w większości podzielony między rzymskich posiadaczy ziemskich, którzy mieszkali gdzie indziej, a tu wypasali swe wielkie stada.

Eporedia - dzisiejsze miasto Ivrea w północnych Włoszech.

etnarcha - grecka nazwa urzędnika miejskiego.

Etruria - łacińska nazwa terytorium dawnego państwa Etrusków. Obejmowało ono szerokie nadbrzeżne równiny północno-zachodniej Italii między rzeką Arnus na północy a Tybrem na południu. Granica wschodnia opierała się o te części Apeninów, z których wypływał Tyber.

Euksyńskie Morze - dzisiejsze Morze Czarne. Zostało ono dokładnie zbadane a jego wybrzeże skolonizowane przez Greków w ciągu VII i VI wieku p.n.e., choć krainy leżące dalej od wybrzeży, tak po stronie europejskiej (Sarmacja) jak i azjatyckiej (Scytia), pozostały barbarzyńskie. Biegło przez nie jednak wiele zazdrośnie strzeżonych szlaków handlowych. Ten, kto władał Bosforem trackim, Propontydą i Hellespontem, mógł narzucać cła i pobierać opłaty za przewozy między Morzem Czarnym i Egejskim. W czasach Gajusza Mariusza kontrolę nad tymi terenami sprawowało królestwo Bitynii.

falery (*phalerae*) - bogaty rząd noszony przez ekwickiego konia, zdobiony srebrnymi lub złotymi pięknie zdobionymi krążkami o średnicy 7,5-10 cm. Za Republiki stał się on tradycyjną oznaką rzymskiej kawalerii, za czasów Gajusza Mariusza zaś nosiła je już nawet piechota. Falery były

przyznawane żołnierzom w uznaniu ich zasług, łączone po dziewięć (po trzy w trzech rzędach) i upinane na zdobionych skórzanych pasach, które mogli nosić na pancerzu.

Fanum Fortunae - dzisiejsze Fano we Włoszech.

fasces - wiązki różeg powiązanych ze sobą krzyżowym splotem za pomocą czerwonych rzemieni. Będąc pierwotnie atrybutem królów etruskich, przetrwały przez cały okres Republiki aż do czasów Imperium. Noszone były przez liktorów przed urzędnikami kurulnymi (a także prokonsulem i propretorem) jako symbol posiadania przez nich imperium. W granicach *pomerium* noszono jedynie wiązki różeg, na znak, że urzędnik kurulny ma tutaj jedynie prawo wymierzania chłosty, podczas gdy poza *pomerium* we wiązki różeg zatknięte były topory symbolizujące prawo urzędnika kurulnego do wymierzania kary śmierci. Liczba *fasces* określała stopień posiadanego imperium - dyktator miał ich 24, konsul lub prokonsul 12, pretor lub propretor 6, a edyl kurulny 2.

fasti - rzymskie słowo oznaczające „święto”, później używane również jako określenie kalendarza. Kalendarz podzielony na *dies fasti* i *dies nefasti* rozwieszany był na ścianach różnych budynków, a także na mównicach. Rzymianie dowiadywali się z niego, które dni w roku przeznaczyć na załatwianie interesów, kiedy mogą się odbyć zgromadzenia komicjów, kiedy przypadają święta, które dni będą nieszczęśliwe i kiedy wypadną święta ruchome. Przy 355 dniach w roku kalendarz ten rzadko kiedy pokrywał się ze zmieniającymi się porami roku - chyba że kolegium kapłańskie poważnie traktowało swoje obowiązki i pamiętało o dodaniu co dwa lata dwudziestu dodatkowych dni na końcu lutego. Kolegium jednak zwykle się tym nie kłopotowało, Rzymianie nie widzieli w tym bowiem większego sensu.

Dni w miesiącu nie były liczone tak, jak robimy to dziś - 1 marca, 2 marca, itd. - liczono je wstecz, poczynając od trzech kluczowych punktów każdego miesiąca: kalend, non i id. Tak więc, zamiast „3 marca” Rzymianin powiedziałby „czwartego dnia przed nonami marcowymi”, a zamiast „28 marca” - „cztery dni przed kalendami kwietniowymi”. Nam wydaje się to bardzo skomplikowane, Rzymianom jednak nie sprawiało trudności.

MIESIĄC	DNI KALENDY NONY IDY			
STYCZEŃ	29	1	5	13
LUTY	28	1	5	13
MARZEC	31	1	7	15
KWIECIEŃ	29	1	5	13
MAJ	31	1	7	15
CZERWIEC	30	1	5	13
LIPIEC	31	1	7	15
SIERPIEŃ	29	1	5	13
WRZESIEŃ	29	1	5	13
PAŹDZIERNIK	31	1	7	15
LISTOPAD	29	1	5	13
GRUDZIEŃ	29	1	5	13

felix - dosłownie: „ten, któremu sprzyja Fortuna”. Nie ma to wiele wspólnego z naszą interpretacją słowa „szczęśliwy”, związaną raczej z nastrojem określonej chwili. Łacińskie słowo „felix” związane było z boginią Fortuną i z losem.

fellator - nieprzyzwoite słowo oznaczające człowieka biorącego udział w stosunku oralnym w pozycji uprzywilejowanej.

Ferentinum - dzisiejsze Ferentino.

Firmum Picenum - dzisiejsze Fermo.

flamen - kapłan z grupy kapłanów służących najstarszym bogom rzymskim. Flamenów było piętnastu: trzech starszych i dwunastu młodszych. *Flamines maiores* służyli (1) Jowiszowi, (2) Marsowi, (3) Kwirynusowi. Nie mieli, zdaje się, zbyt wielu obowiązków, z wyjątkiem chyba tylko flamera *Dialis*. Trzej starsi mieszkali w domach stanowiących własność państwa. Działo się tak zapewne dlatego, że instytucja flamenów była najstarsza spośród rzymskich urzędów kapłańskich.

Flamen Dialis - kapłan służący Jowiszowi, najstarszy spośród piętnastu flamenów. Musiał być patrycjuszem i poślubić w formie *confarreatio* patrycjuszkę. Rodzice obojga musieli pozostawać przy życiu w chwili mianowania go kapłanem. Urząd ten sprawowany był dożywotnio. *Flamen Dialis* był obwarowany i ograniczony niezliczoną ilością zakazów i przesądów; nie wolno mu było zobaczyć ani dotknąć martwego ciała, nie mógł dotykać żelaza, w jego stroju nie mogło być ani jednego węzła, nie wolno mu było strzyc włosów ani brody żelaznym narzędziem, nie mógł nosić skóry zdjętej z umyślnie zabitego zwierzęcia, nie mógł dotknąć konia, jeść fasoli ani chleba z ciasta na zaczynie. Prawie wszystkie te zakazy dotyczyły również jego żony (*flaminica Dialis*).

Florentia - dzisiejsza Florencja.

flumen - łacińskie słowo oznaczające rzekę. Stąd rzeki na mojej mapie opisane są: Volturnus F., Isara F. itd.

Fortuna - rzymska bogini szczęścia, jedno z najbardziej czczonych bóstw w rzymskim panteonie. Fortuna miała wiele świątyń, każda zaś poświęcona była tej bogini w innej postaci. Łaska Fortuny miała olbrzymie znaczenie dla wodzów oraz polityków i wszyscy oni - także ludzie tej miary co Gajusz Mariusz, Lucjusz Korneliusz Sulla czy dyktator Gajusz Juliusz Cezar - wierzyli w nią i w jej działanie bez zastrzeżeń.

forum - publiczne miejsce spotkań na wolnym powietrzu, gdzie załatwiano wszelkie sprawy publiczne i prywatne.

Forum Boarium - targ mięsny na północnym krańcu Cyrku Największego (Velabrum). Słowo „Boarium” znaczyło „bydlęcy”, ale w czasach Mariusza można tu było nabyć wszelkiego rodzaju mięso i zwierzęta.

forum castrum - miejsce zebrań leżące pośrodku rzymskiego obozu wojskowego. Znajdowało się ono obok namiotu głównodowodzącego.

Forum Frumentarium - targ zbożowy. Miejsce, w którym oznaczyłam je na mapie, jest całkowicie hipotetyczne, zrobiłam to jednak z następujących powodów: nie wierzę, by prywatni sprzedawcy zboża

prowadzili handel nim w tych samych miejscach, w których znajdowały się punkty publicznego rozdawnictwa zboża. Zboże państwowe wydawane było w dwóch miejscach - przy portyku Minucjusza na Polu Marsowym, gdzie znajdowały się biura i stanowiska edylów wydających bony zbożowe, oraz w państwowych spichrzach znajdujących się u stóp Awentynu, przy rzymskim porcie. Wiemy, że wzdłuż Vicus Tuscus u stóp Palatynu także znajdowały się spichrze przebudowane przez Agryppę w czasach pryncypatu, za republiki jednak stanowiące najprawdopodobniej własność prywatną. Tak więc ulokowałam Forum Frumentarium na Velabrum, w sąsiedztwie spichrzów przy Vicus Tuscus.

Forum Holitorium - targ warzywny. Znajdował się nad samym brzegiem Tybru, częściowo wewnątrz, częściowo zaś na zewnątrz Murów Serwiańskich, choć pierwotnie mieścił się najprawdopodobniej w całości w obrębie murów. Takie położenie targu stawiało w korzystnej sytuacji tych sprzedających, którzy uprawiali warzywa na Polu Marsowym lub Watykańskim.

Forum Piscinum - targ rybny. Jego położenie jest nam całkowicie nieznane, choć z narzekań Cyncerona wiemy, że dominujące w Rzymie wiatry niosły z sobą woń psujących się ryb na dolne Forum Romanum i do senatu. Umieściłam je więc na zachód od Via Nova, na Velabrum.

Forum Romanum - serce życia publicznego Rzymu. Wydłużona otwarta przestrzeń, stanowiąca miejsce działalności politycznej, prawniczej, handlowej i religijnej. Sądzę, że w czasach Mariusza na Forum nie było żadnych wolno stojących, nie przylegających do bazylik budek ani straganów. Ożywiona działalność polityczna (nie mówiąc o procesach sądowych) stwarzałyby zagrożenie dla takich konstrukcji stojących pośród zgromadzonego tłumu, a przy tym bardzo by one tam przeszkadzały. Znajdujące się w pobliżu dwa rynki, Macellum przy bazylice Emilii i Macellum Cuppedenis z drugiej strony Clivus Orbis, zapewniały dość miejsca na budki i stragany.

Fregellae - miasto na prawach łatyńskich nad rzeką Liris przy Via Latina przy granicy z Samnium. Lojalne wobec Rzymu aż do roku 125 p.n.e., kiedy to podniosło bunt zdławiony z wyjątkowym okrucieństwem przez pretora Lucjusza Opimiusza. Doszczętnie zniszczone, nigdy już nie podniosło się z upadku. Rzym założył w jego miejsce miasto Fabrateria Nova na przeciwległym brzegu Liris.

Frygia - jedna z najdzikszych i najbardziej wyludnionych krain Azji Mniejszej, kojarząca się starożytnym z nimfami, driadami, satyrami i innymi leśnymi postaciami mitycznymi, a także z bezbronnymi wieśniakami, których łatwo było uprowadzić w niewolę. Frygia leżała na południe od Bitynii i Paflagonii i na zachód od Galacji. Górzysta i zalesiona, stanowiła część pergamońskiego królestwa Attalidów. Po wojnach spowodowanych zapisaniem Pergamonu Rzymowi, prokonsul Maniusz Akwiliusz sprzedał większą część Frygii Mitrydatesowi, królowi Pontu, zatrzymując złoto dla siebie.

Galia - zob. Gallia Comata, Gallia Transalpina, Gallia Italska.

Galia Długowłoch - zob. Gallia Comata.

Galia Italska - Galia Przedalpejska, Galia Cisalpińska. Dosłownie: „Galia po tej stronie Alp” (Galią Italską nazywam ją dla uproszczenia). Obejmowała ona wszystkie ziemie na północ od rzek Arno i Rubikon, leżące po italskiej stronie potężnego łuku Alp odcinającego Italię i Galię Italską od reszty Europy. Galia Italska podzielona była na linii wschód-zachód wodami Padu (Po), a ziemie leżące po jego obu stronach znacznie się od siebie różniły. Na południe od Padu ludy i miasta były silnie zromanizowane i w dużej części objęte prawem łatyńskim. Na północ od Padu miasta i zamieszkująca je ludność były dużo bardziej celtyckie niż rzymskie, a w czasach Gajusza Mariusza prawem łatyńskim objęte były tylko Akwilea i Cremona. Łacina była tu w najlepszym wypadku drugim językiem - jeżeli ją w ogóle znano. Pod względem politycznym Galia Italska znajdowała się niejako w zawieszaniu, nie miała bowiem ani statusu prawdziwej prowincji, ani też praw - choć niewielkich - italskich sprzymierzeńców. W czasach Gajusza Mariusza mieszkańców Galii Italskiej nie zaciągano do rzymskiej piechoty - nawet do oddziałów posiłkowych.

Gallia Comata - Galia Długowłosych. Obejmowała ona, poza rzymską prowincją Galii Zaalpejskiej, całą dzisiejszą Francję, Belgię oraz część Holandii na południe od Renu. Była to olbrzymia, przeważnie nizinna i gęsto zalesiona kraina o wielkim niewykorzystanym potencjale rolniczym. Nawadniało ją wiele rzek, m.in. Liger (Loara), Sekwana, Moza, Mozela, Scaldis (Skalda), Samara (Somma), Matroma (Marna), Duranius (Dordogne) i Garumna (Garonna). W czasach Mariusza Gallia Comata była w przeważającej części nieznaną, poza być może terenami objętymi kampaniami Gnejusza Domicjusza Ahenobarba z lat 122 i 121 p.n.e. Zamieszkiwali Galię przeważnie Celtowie, choć niektóre plemiona germańskie mieszały się, przekroczywszy Ren, z ludnością miejscową - było tak w przypadku plemion objętych wspólną nazwą Belgów.

Choć wszyscy długowłosi Galowie (stąd łacińska nazwa kraju) wiedzieli o istnieniu Rzymu, gorliwie unikali wszelkiej z nim styczności, chyba że mieli nieszczęście mieszkać na granicy rzymskiej prowincji. Galowie prowadzili wiejski tryb życia, zajmując się rolnictwem oraz hodowlą i odrzucając kulturę miejską, żyli w wioskach i pojedynczych gospodarstwach. Wznosili też warownie zwane przez Rzymian *oppida* będące schronieniem dla króla, plemiennych skarbów i zapasów zboża. Prawie wszyscy, prócz czysto germańskich plemion, wyznawali druidyzm. Długowłosi Galowie nie mieli zamiłowania do wojen, byli jednak nieugiętymi wojownikami. Woleli piwo od wina, jedli więcej mięsa niż chleba, a zamiast oliwy z oliwek używali masła. Byli wysocy, potężnie zbudowani, o włosach jasnych lub rudych, a oczach szarych lub niebieskich.

Gallia Transalpina - Galia Zaalpejska. Większą część Galii Zaalpejskiej zdobył dla Rzymu Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus przed rokiem 120 p.n.e., aby zapewnić rzymskim armiom połączenie lądowe Italii z Hiszpanią. Na prowincję składał się wąski pas nadbrzeżny od Ligurii po Pireneje oraz ziemie wokół Tuluzy i część doliny Rodanu aż po

Lugdunum (Lyon).

garum - wysoko ceniony przez Rzymian sos rybny przyrządzany w taki sposób, że sama myśl o nim przyprawia nas o mdłości. Ten gęsty sos przeraźliwie cuchnął, starożytni jednak za nim przepadali. *Garum* wytwarzano w wielu miejscach w basenie Morza Śródziemnego i Czarnego, za najlepsze uznawano jednak to, które pochodziło z portów rybackich Hiszpanii Dalszej.

Garumna - dzisiejsza Garonna we Francji.

gens - rzymski ród lub rodzina nosząca to samo imię - Juliusz, Domicjusz, Korneliusz, Emiliusz, Fabiusz, Serwiliusz i Juniusz - wszystko to przykłady imion rodowych. Wszyscy członkowie tej samej *gens* wywodzili swe pochodzenie od jednego wspólnego przodka. *Gens* jest rodzaju żeńskiego, po łacinie mówiło się więc *gens Julia*, *gens Cornelia*.

Germanie - mieszkańcy Germanii, czyli ziem po drugiej stronie Renu.

Getoryks - imię kilku królów Celtów. Postanowiłam nazwać tak króla Celtów o nieznanym nam imieniu, który stał na czele połączonych plemion Tygurynów, Markomanów i Cherusków podczas wędrówki Germanów. Wiemy o nim tylko, że należał do plemienia Tygurynów, którzy byli Celtami.

Getulowie - lud berberyjskich nomadów rozproszony na terenach leżących w głębi lądu, poza granicami obszarów nadmorskich, od Małej Syrty do Mauretanii.

gladiator - żołnierz areny, zawodowy wojownik, który prezentował swe umiejętności dla rozrywki widzów. Zawód ten, pierwotnie etruski, kwitł w całej Italii, także i w Rzymie. Pochodzenie gladiatora mogło być różne - mógł być dezerterskim z legionów, skazańcem, niewolnikiem, nawet człowiekiem wolnym, który zaciągnął się z własnej woli - musiał jednak chcieć naprawdę wykonywać ten zawód, inaczej nie warto było ponosić kosztów jego wyszkolenia. Mieszkał w obrębie szkoły (za Republiki większość takich szkół znajdowała się wokół Kapui) i był dobrze traktowany, bynajmniej nie zamykany - gladiator był przecież inwestycją przynoszącą duże zyski. Nad jego wyszkoleniem czuwał *doctor*, a głową całej szkoły był *lanista*. Gladiator mógł walczyć na cztery sposoby - jako Myrmilon, Samnita, sieciarz albo Trak - różnice leżały w uzbrojeniu. W czasach Republiki kariera gladiatora trwała od czterech do sześciu lat, walki zaś staczał przeciętnie pięć razy w roku. Gladiator rzadko kiedy ginął w walce, a znane nam z czasów Cesarstwa wydawanie wyroku przez podniesienie lub opuszczenie kciuka należało jeszcze do przyszłości. Po zakończeniu kariery gladiatorzy zwykli wynajmować się w charakterze ochrony osobistej lub stróżów porządku na przyjęciach. Szkoły gladiatorów były własnością prywatną, a na wynajmowaniu par gladiatorów - przeważnie dla uświetnienia igrzysk żałobnych - można było w całej Italii zbić majątek. Wielu senatorów i ekwitów było właścicielami szkół gladiatorów, często tak wielkich, że szkoliło się w nich ponad tysiąc ludzi.

Grakhowie - znani też jako Bracia Grakhowie. Córka Scypiona Afrykańskiego i Emilii Pauli, Kornelia, w wieku lat 18 wyszła za mąż za 45-letniego Tyberiusza Semproniusza Grakcha w roku 172 p.n.e. Tyberiusz

Semproniusz Grakchus był konsulem w roku 177 p.n.e., w roku 169 p.n.e. został obrany cenzorem, a w roku 163 p.n.e. ponownie objął konsulat. Umierając w roku 154 p.n.e., był ojcem dwanaściorga dzieci, z których Kornelia zdołała, mimo troskliwej opieki, wychować jedynie trójkę. Najstarsza była córka, Sempronia, poślubiona w stosownym wieku swemu kuzynowi Scypionowi Emilianusowi. Dwaj chłopcy: Tyberiusz urodzony w roku 163 p.n.e. i Gajusz urodzony w roku śmierci swego ojca zawdzięczali swe wychowanie wyłącznie matce, która znakomicie wywiązała się z tego zadania. Obaj służyli pod rozkazami swego szwagra Scypiona Emilianusa, Tyberiusz w trzeciej wojnie punickiej, Gajusz zaś pod Numancją, obaj też wykazali się niezwykłą dzielnością. W roku 137 p.n.e. Tyberiusz został wysłany jako kwestor do Hiszpanii Bliższej, gdzie na własną rękę wynegocjował uwolnienie z Numancji Hostyliusza Mancynusa i uchronił jego armię od zniszczenia. Scypion Emilianus nie pozwolił jednak na uznanie prawomocności układów z Numancją przez senat, a zawarcie pokoju uznał za rzecz niegodziwą. Poróżniło to już na zawsze Tyberiusza z jego szwagrem Scypionem.

W roku 133 p.n.e. Tyberiusz został wybrany na trybuna ludowego i postanowił naprawić zło wyrządzone przez państwo w kwestii nadziałów *ager publicus*. Udało mu się, mimo zażartego oporu opozycjonistów, uchwalić ustawę o reformie rolnej ograniczającą ilość dzierżawionej przez jednego człowieka ziemi publicznej do 500 jugerów (i dodatkowych 250 jugerów dla syna, jeśli go miał). Powołał też komisję, która zajęła się podziałem uzyskanej dzięki tej ustawie nadwyżki gruntów pomiędzy rzymską biedotę. Celem tych jego poczynań było nie tylko uwolnienie Rzymu od części jego mniej użytecznych obywateli, ale też zapewnienie przyszłym pokoleniom warunków bytu umożliwiających służbę w rzymskiej armii. Ponieważ senat postanowił nie dopuścić do żadnych zmian, Tyberiusz Grakchus przedstawił projekt ustawy Zgromadzeniu Plebejskiemu - rozpętując burzę, był to bowiem krok sprzeczny z przyjętą praktyką. Jeden z jego kolegów, trybun ludowy Marek Oktawiusz, zawetował projekt ustawy, został jednak natychmiast odwołany z urzędu. Kwestia legalności tych poczynań nie znaczyła jednak dla przeciwników Tyberiusza Grakcha tyle, co fakt, iż sprzeciwiały się one zwyczajowej niepisanej praktyce. Kiedy w tym samym roku zmarł Attalos III, król Pergamonu, zapisując swoje królestwo Rzymowi, Tyberiusz Grakchus, ignorując prawo senatu do decydowania o losach tego spadku, przedstawił projekt uposażenia tą drogą kolejnych rzymskich biedaków. Opozycja w senacie i na Forum rosła w siłę z każdym dniem. Wreszcie, gdy rok 133 p.n.e. dobiegł końca, nie przynosząc żadnych pozytywnych efektów prowadzonej przez niego polityki, Tyberiusz Grakchus zlekceważył kolejne niepisane prawo zabraniające sprawowania funkcji trybuna ludowego więcej niż jeden raz i zgłosił swą kandydaturę do drugiej kadencji. Wtedy w starciu z poplecznikami senatu dowodzonymi przez jego kuzyna Scypiona Nazykę Tyberiusz zginął na Kapitolu pod ciosami kijów, a wraz z nim wielu jego zwolenników. Jego szwagier Scypion Emilianus - który nie wrócił jeszcze spod Numancji - rozgrzeszył

publicznie morderców, oświadczając, że Tyberiusz Grakchus chciał zostać królem Rzymu.

Spory przycichły na dziesięć lat, do czasu gdy w roku 123 p.n.e. młodszy brat Tyberiusza, Gajusz Grakchus, wybrany został na trybuna ludowego. Gajusz był godnym następcą swego brata, uczył się jednak na błędach tamtego i był od niego zdolniejszy. Jego reformy miały znacznie większy zasięg, obejmowały bowiem nie tylko kwestie agrarne, ale także sprawę dostaw taniego zboża dla rzymskiej biedoty, regulację służby wojskowej, sprawę zakładania kolonii zagranicznych dla obywateli rzymskich i robót publicznych na terenie Italii. Program ten zakładał także oddanie w dzierżawę poboru podatków w prowincji Azji na podstawie kontraktów zawieranych przez cenzorów, odebranie senatorom i oddanie w ręce ekwitów trybunałów sądzących nadużycia namiestników prowincji oraz nadanie pełnego obywatelstwa rzymskiego posiadaczom praw latyńskich, a praw latyńskich wszystkim italskim sprzymierzeńcom. Tak szeroki program reform daleki był oczywiście od realizacji u schyłku roku urzędowania Gajusza jako trybuna ludowego, dokonał więc on niemożliwego, zapewniając sobie przedłużenie kadencji na rok następny. Mimo narastającego oporu przeciwników walczył o ukończenie programu reform. Pod koniec roku 122 p.n.e. po raz trzeci przedstawił swą kandydaturę do urzędu trybuna ludowego, jednak zarówno on, jak jego przyjaciel Marek Fulwiusz Flakkus, zostali w wyborach pokonani.

Gdy w roku 121 p.n.e. prawa i polityka Gajusza Grakcha zostały ostro zaatakowane przez konsula Lucjusza Opimiusza i byłego trybuna ludowego Marka Liwiusza Druzusa, Gajusz uciekł się do wywołania zamieszek. Odpowiedzią senatu było nadanie konsulom na mocy nadzwyczajnych dekretów specjalnych pełnomocnictw dla powstrzymania szerzącego się bezprawia. W rezultacie tego Fulwiusz Flakkus i dwaj jego synowie zostali zamordowani, a uciekający z miasta Gajusz Grakchus odebrał sobie życie w świątym gaju Furii na zboczu Janiculum.

Nad życiem prywatnym braci Grakchów ciążyło nie mniej tragiczne fatum. Tyberiusz Grakchus postąpił wbrew rodzinnemu zwyczajowi, który nakazywał Grakchom poślubić Kornelię z rodu Scypionów, i ożenił się z Klaudią, córką Appiusza Klaudiusza Pulchera, konsula z roku 143 p.n.e. i nieprzejednanego wroga Scypiona Emilianusa. Mieli trzech synów, z których żaden nie żył dość długo, by zrobić karierę polityczną. Gajusz Grakchus poślubił Licynię, córkę swego stronnika Publiusza Licyniusza Krassusa. Mieli córkę Sempronię, która wyszła za Fulwiusza Flakkusa Bambalię i urodziła mu córkę Fulwię, ta zaś z kolei została żoną Publiusza Klodiusza Pulchera, Gajusza Skryboniusza Kuriona oraz Marka Antoniusza.

grammaticus - bynajmniej nie nauczyciel gramatyki, ale podstaw retoryki, czyli sztuki przemawiania (zob. retoryka).

Hannibal - najśłynniejszy z wodzów punickich, dowodzących siłami Kartaginy w wojnach z Rzymem. Urodzony w roku 247 p.n.e., do żołnierki przyuczał się jeszcze jako dziecko w Hiszpanii, gdzie spędził również młodość. W roku 218 p.n.e. najechał Italię, stosując taktykę, dzięki której

udało mu się całkowicie zaskoczyć Rzymian - przejście Alp (razem ze słoniami bojowymi!) przez przełęcz Montgenevre było wyczynem naprawdę niezwykłym. Przez szesnaście lat robił, co chciał, na terenie Italii i Galii Italskiej, pokonawszy rzymskie armie nad Trebią, Jeziorem Trazymeńskim i wreszcie pod Kannami. Kwintus Fabiusz Maksymus Verrucosis Cunctator wypracował jednak taktykę, która doprowadziła ostatecznie do klęski Hannibala: nieugięcie podążał ze swą armią krok w krok za nim, nigdy jednak nie wydawał mu bitwy ani nie pozwalał się w nią wciągnąć. Ponieważ zaś Fabiusz Maksymus był zawsze w pobliżu, Hannibal nie czuł się nigdy na tyle bezpiecznie, by zaatakować Rzym. Italscy sprzymierzeńcy stopniowo go opuszczali, a gdy stracił panowanie nad Kampanią, Fabiusz nadal zmuszał go do posuwania się coraz dalej na południe. Utracił wreszcie również Tarent, a w tym samym czasie jego brat Hazdrubal poniósł klęskę nad rzeką Metaurus w Umbrii. Zepchnięty do Brucjum, czyli samego czubka italskiego buta, Hannibal w roku 203 p.n.e. ewakuował swą niepokonaną armię z powrotem do Kartaginy. Pod Zamą został pobity przez Scypiona Afrykańskiego, potem zaś, wciąż jako przywódca Kartaginy, spiskował przeciw Rzymowi wraz z Antiochem Wielkim z Syrii. U niego to musiał wreszcie szukać schronienia, kiedy zaś Rzym pokonał Antiocha, umknął znowu, tym razem do króla Bitynii Pruzjasza. Gdy w roku 182 p.n.e. Rzymianie zażądali od Pruzjasza wydania Hannibala, ów popełnił samobójstwo. Ten zatwardziały nieprzyjaciel Rzymian zyskał na zawsze ich podziw i szacunek.

hasta - starodawna włócznia rzymskiej piechoty, o ostrzu w kształcie liścia. Po tym jak Gajusz Mariusz unowocześnił *pilum*, *hasta* wyszła z użytku.

hellenistyczny- termin określający kulturę grecką po tym jak Aleksander Wielki rozszerzył zasięg greckich wpływów na cały świat starożytny.

herma - czworościenny filar, na którym umieszczano wyobrażenie głowy Hermesa. Na przedniej ścianie, mniej więcej w połowie wysokości, zgodnie z tradycją przedstawiano męski penis i genitalia. W czasach hellenistycznych w zwyczaju było już umieszczanie na hermach całych popiersi, a termin ten zyskał znaczenie cokołu zdobionego genitaliami. We współczesnych muzeach, mających w swych zbiorach starożytne popiersia, możemy na ich cokołach dostrzec kwadratowe wgłębienie, w którym kiedyś znajdowało się wyobrażenie atrybutów męskości. Wraz z nastaniem chrześcijaństwa hermy zaczęto utracić i niszczyć.

Hippo Regius - dzisiejsza Annaba w Algierii.

Hispania Citerior - zob. Hiszpania Bliższa.

Hispania Ulterior - zob. Hiszpania Dalsza.

Hiszpania Bliższa - Hispania Citerior. Prowincja rzymska, która obejmowała równiny leżące u wybrzeży Morza Śródziemnego oraz góryste tereny w głębi lądu, od Nowej Kartaginy na południu aż po stoki Pirenejów na północy. Granica dzieląca na południu obie hiszpańskie prowincje była mało wyraźna, wydaje się jednak, że przebiegała pomiędzy łańcuchem górskim o nazwie Orospeđa a wyższym pasmem zwanym Solorius. W czasach Gajusza Mariusza największym tutejszym miastem

była Nowa Kartagina (dzisiejsza Kartagena). Po upadku Kartaginy Rzymianie zajęli te ziemie z powodu obfitych złóż srebra w pobliskim paśmie Orospeđa. Drugim ważnym dla Rzymian regionem Hiszpanii Bliźszej była bardzo żyzna dolina rzeki Iberus (dzisiejsze Ebro) i jej dopływów. Siedzibami zarządcy prowincji były dwa miasta: Nowa Kartagina na południu i Tarraco na północy. Hiszpania Bliższa jednak nigdy nie była dla Rzymu tak ważna, jak Hiszpania Dalsza.

Hiszpania Dalsza - Hispania Ulterior. Położona dalej od Rzymu jedna z dwóch jego hiszpańskich prowincji. Za czasów Mariusza granica pomiędzy Hiszpanią Bliższą i Dalszą była dość płynna, w przybliżeniu jednak dalsza z prowincji obejmowała całą dolinę Betysu, bogate w rudy góry, z których wypływały Betys i Anas, wybrzeże Atlantyku od Olisippo u ujścia Tagu aż do Słupów Herkulesa oraz wybrzeże śródziemnomorskie od Słupów Herkulesa do portu w Abderze. Największym miastem był tu Gades (dzisiejszy Kadyks), jednak siedzibą namiestnika była Corduba.

hybris - będące wciąż w użyciu greckie słowo, oznaczające arogancką pychę.

Hydra - potwór zabity przez Herkulesa. Miał on siedem węzowatych głów, kiedy zaś jedną z nich odcięto, natychmiast odrastała. Stąd terminem tym zwykło się określać problemy, które, choć raz rozwiązane, powracały i narastały.

hymetański miód - miód zbierany przez pszczoły ze stoków góry Hymettos, jednego ze wzgórz otaczających Ateny. Powodem, dla którego miód ten był powszechnie wysoko ceniony, nie był wcale gatunek kwiatów, z których pochodził, lecz fakt, iż hymetańscy pszczelarze nigdy nie okadzali dymem swych uli w czasie zbierania miodu.

Hypanis - rzeka Boh na terytorium dzisiejszej Ukrainy.

Icosium - dzisiejszy Algier.

igrzyska - rozrywka i obyczaj Rzymian sięgające wstecz do czasów wczesnej Republiki, a zapewne znacznie starsze. Z początku igrzyska, czyli *ludi*, odbywały się tylko podczas tryumfu któregoś z wodzów, jednak od roku 366 p.n.e. *ludi Romani*, jak zwano pierwsze igrzyska, stały się dorocznym wydarzeniem obchodzonym ku czci Jowisza Najlepszego i Największego, którego święto przypadało 13 września. Niedługo potem *ludi Romani* zaczęły trwać dłużej niż jeden dzień - w czasach Mariusza było tych dni już dziesięć, święto zaczynało się więc 5 września. Choć w programie były zapasy i pięściarstwo, rzymskie igrzyska nigdy nie miały czysto sportowego charakteru igrzysk greckich (bardzo się od nich różniących!). Z początku polegały one głównie na wyścigach rydwanów, później włączano stopniowo do programu walki z dzikimi zwierzętami i sztuki grane w specjalnych teatrach. Pierwszego dnia odbywała się w cyrku wspaniała procesja, po której rozgrywano jeden lub dwa wyścigi rydwanów oraz walki zapaśnicze i pięściarskie staczane tylko tego pierwszego dnia. W następnych dniach wystawiano sztuki teatralne. Tragedie nie były popularne, natomiast komedie były, pod koniec zaś okresu Republiki farsy i mimy zaczęły brać górę nad tradycyjną komedią. Kiedy igrzyska zbliżały się już ku końcowi, palmę pierwszeństwa

przejmowały znów wyścigi rydwanów przeplatane dla urozmaicenia walkami z dzikimi zwierzętami. Walki gladiatorów nie były włączane do programu igrzysk przez cały okres Republiki - odbywały się one wyłącznie podczas igrzysk żałobnych i to raczej na Forum Romanum, a nie w cyrku. Urządzano je prywatnym kosztem, podczas gdy igrzyska opłacane były przez państwo. Ci z edylów, którym zależało na zdobyciu sobie głosów wyborców, sięgali jednak do własnych kies, aby uświetnić urządzone przez siebie igrzyska.

Pierwszymi igrzyskami w roku były *ludi Megalenses* na początku kwietnia, zaraz potem odbywały się *ludi Cereri*, a po nich - w ostatnich dniach kwietnia i na początku maja - *ludi Floriae*. Na początku lipca urządzano *ludi Apollinares*, potem była przerwa aż do września, kiedy przychodził czas na *ludi Romani*. Na idy październikowe przy padały jednodniowe *ludi Capitolini* urządzone przez prywatne kolegium. Ostatnimi igrzyskami w roku były *ludi Plebeii*, które rozpoczynały się w początku listopada i trwały przez wiele dni.

Wstęp na igrzyska przysługiwał wolnym obywatelom rzymskim i towarzyszącym im kobietom (nie było żadnej opłaty za wstęp). Choć w cyrku kobiety siedziały razem z mężczyznami, w teatrach musiały zajmować osobne miejsca. Ani wyzwolenicy, ani niewolnicy nie mogli przyglądać się igrzyskom.

Iliria - dziki i górzysty kraj u północno-wschodnich wybrzeży Adriatyku.

Ilium - rzymska nazwa Troi.

Ilva - dzisiejsza Elba. Słynęła z bogatych złóż rudy żelaza. Jej mieszkańcy wydobywali rudy, wytapiali na miejscu lupy surowego żelaza i w tym stanie przewozili je statkami do Pizy i Populonii do dalszej obróbki.

imago, imagines - przepięknie malowana i ozdobiona peruką niezwykle realistyczna maska przodka rzymskiego rodu, który sprawował za życia urząd konsula lub pretora. Była ona wykonana z wosku (ci zaś, którzy widzieli figury Madame Tussaud, wiedzą, jak dalece woskowa twarz może przypominać żywą). Maskę przechowywano w chroniącej ją przed kurzem szafce w kształcie miniaturowej świątyni. Szafka ta - choć szanowane rody miały zazwyczaj więcej niż jednego przodka godnego takiego zaszczytu, posiadały więc wiele szafek - umieszczona była w atrium, w pobliżu ołtarza domowych Larów i Penatów. Maski i szafka były przedmiotami prawdziwego kultu, kiedy zaś jakiś mężczyzna z rodziny umierał, zatrudniano aktora, który przywdziewał maskę i odgrywał rolę sławnego przodka. Jeżeli ktoś został wybrany na konsula, do rodzinnego zbioru masek dołączano też jego podobiznę, czasami zaś mąż, który nie był konsulem, dokonywał czynu tak niezwykłego, że uznawano go również za godnego posiadania swej maski.

imperator - dosłownie: „głównodowodzący rzymskiej armii”. Terminem tym zaczęto jednak z czasem określać tylko tych wodzów, którzy odnieśli wielkie zwycięstwo. By ubiegać się w senacie o zgodę na odbycie tryumfu, dowódca musiał udowodnić, że po bitwie jego wojska okrzyknęły go tytułem *imperatora*.

imperium - słowo to oznaczało zakres władzy posiadanej przez urzędnika kurulnego. Jeśli ktoś posiadał imperium, znaczyło to, że działa z ramienia sprawowanego urzędu i jego poleceń nie można kwestionować (o ile nie przekraczają one jego imperium i są zgodne z prawem). Imperium przyznawane było na mocy *lex curiata* na czas jednego roku - przedłużenie tego okresu musiało być zatwierdzone przez senat i zgromadzenie i dotyczyło tylko tych urzędników, którzy w ciągu roku nie zdołali wywiązać się z postawionego im zadania. Oznaką posiadania przez kogoś imperium byli towarzyszący mu liktorzy niosący *fasces*.

insula - dosłownie: „wyspa”. Z racji tego, że ze wszystkich stron otoczone były ścieżkami, ulicami i alejami, insulami zaczęto nazywać kamienice czynszowe. Insule rzymskie były bardzo wysokie (do 30 metrów!), niektóre zaś z nich również tak obszerne, że mieściły zamiast jednego nawet kilka wewnętrznych podwórek. Tak jak i dziś, większość mieszkańców starożytnego Rzymu mieszkała w budynkach wielorodzinnych.

Iol - dzisiejsze miasto Cherchel w Algierii.

irrumator - mężczyzna uprawiający z innym mężczyzną seks oralny. Rzymianie uważali to za najniższą z form aktywności seksualnej, cechującą się służalczością i zaparciem się siebie niegodnym człowieka honoru. (Nie było to być może postrzegane w tak negatywnym świetle, jeśli w miejsce *irrumatora* występowała kobieta - *irrumatrix*.) W łacińskiej hierarchii czynów obscenicznych ten był najgorszy. Sam akt nosił nazwę *irrumo*, *irrumatio*.

Isara - nazwę tę nosiło w starożytności kilka rzek. Jedną z nich była dzisiejsza Izera (dopływ Rodanu), inną Isar (dopływ Dunaju), jeszcze inną dzisiejsza Oise (dopływ Sekwany).

Isarcus - dzisiejsza rzeka Isarco we Włoszech.

isonomia - greckie słowo znaczące pierwotnie „równość”. Popularny ateński polityk z VI wieku p.n.e., Klejstenes, uważany powszechnie za twórcę formy rządów zwanej przez Greków demokracją, nadał mu jednak nowe znaczenie, określając terminem *isonomia* założenia demokracji.

Italia - nazwą tą określano wyłącznie ziemie leżące na Półwyspie Apenińskim, na południe od rzek Arno i Rubikonu (choć wątpliwym jest, by Rzymianie uważali mieszkańców półwyspu za odrębną narodowość).

italscy sprzymierzeńcy - ludy, narody lub plemiona (w różnych opracowaniach używa się na przemian tych trzech terminów) zamieszkujące Półwysep Apeniński, ale nie objęte ani pełnym obywatelstwem rzymskim, ani nawet prawem łatyńskim. W zamian za wojskową ochronę i w imię pokojowej koegzystencji musiały one zasilać rzymską armię uzbrojonymi żołnierzami i płacić za ich utrzymanie. W czasach Gajusza Mariusza sprzymierzeńcy ponosili również główne ciężary podatkowe na terenie Italii i nierzadko musieli rezygnować z części swych ziem, na rzecz powiększającego się wciąż rzymskiego *ager publicus*. Wiele spośród tych plemion albo powstawało przeciw Rzymowi (jak Samniti), albo przyłączało się do Hannibala i jemu podobnych (tak jak część Kampanii). Najskuteczniejszym sposobem Rzymian na utrzymanie

spokoju wśród sprzymierzeńców było zakładanie na ich terytoriach kolonii zamieszkałych przez grupę rzymskich obywateli i większą społeczność, objętą albo prawem latyńskim (najczęściej), albo też pełnym obywatelstwem. Kolonie takie wywierały wielki wpływ na politykę i styl życia graniczących z nimi ludów sprzymierzonych, a w niezliczonych spornych i dyskusyjnych sprawach dotyczących życia na półwyspie stawały zawsze po stronie Rzymu. Dążenie italskich sprzymierzeńców do zrzucenia rzymskiego jarzma lub uzyskania pełnego obywatelstwa nigdy nie zostało całkowicie stłumione, ale aż do ostatniego stulecia Republiki Rzymianie byli dość czujni, by działać, zanim tendencje te staną się zbyt silne. Ostatnim poważnym ustępstwem poprzedzającym wypadki, które doprowadziły do wojny ze sprzymierzeńcami, było przeprowadzone w roku 123 p.n.e. przez nieznanego rzymskiego polityka prawo przyznające pełne rzymskie obywatelstwo urzędnikom ze społeczności objętych prawem latyńskim oraz ich potomkom.

jarzmo - belka spoczywająca na grzbietach pary wołów bądź innych zwierząt zaprzęgniętych do ciągnięcia ładunku. W kategoriach ludzkich jarzmo było synonimem poddania i służalczości. Gdzieś w Rzymie na Karynachs ustawione było jarzmo zwane Tigillum, pod którym przechodziła młodzież obojga płci - być może miało to symbolizować poddanie się trudom dorosłego życia. Największe znaczenie symboliczne miało jednak jarzmo w kontekście militarnym - bardzo starym (być może etruskim) zwyczajem było zmuszenie pokonanej armii do przejścia pod jarzmem. Wbijano w tym celu w ziemię dwie włócznie, na nich zaś umieszczano poprzecznie trzecią - na tyle nisko, by przechodzący pod nią mężczyzna musiał się pochylić. Nieprzyjacielskie armie przejęły niestety ten zwyczaj i w rezultacie pod jarzmem musiała od czasu do czasu przechodzić również armia rzymska. Było to uznane za niemożliwe do zniesienia poniżenie - do tego stopnia, że senat wolał czasem skazać całą rzymską armię na zagładę niż poświęcić honor i *dignitas* Rzymu i zezwolić jej na poddanie się i przejście pod jarzmem. Nawet prosty lud z najniższych klas burzył się, gdy usłyszał o takim upokorzeniu armii, i potępiał żołnierzy nie walczących do ostatniej kropli krwi.

juger - jednostka, w której Rzymianie mierzyli grunty uprawne. W odniesieniu do dzisiejszych jednostek miary juger stanowił 0,623 (albo 5/8) akra, czyli 0,252 (1/4) hektara. Współcześni czytelnicy, używający jako jednostek miary akrów, powinni w przybliżeniu podzielić liczbę jugerów na dwa, ci zaś, którzy mierzą ziemię w hektarach, otrzymają bardzo zbliżony wynik, dzieląc liczbę jugerów na cztery.

Julilla - w tej książce młodsza córka Gajusza Juliusza Cezara. Nie mamy żadnych dowodów na to, że Cezar nie miał dwóch córek - fakt, iż tylko jedna, Julia, wymieniana jest przez źródła starożytne, jest w najlepszym razie tylko dowodem negatywnym. Jestem niezmiennie zafascynowana tym, co autorzy starożytni uważali za dostatecznie ważne, by o tym napisać, co zaś pomijali, uznając za nieznaczące. Najbardziej współczesny czasom, o których piszę, autor starożytny, Ciceron, pisał dla ludzi żyjących w jego epoce, przyjmował więc, że wszyscy znają wiele

faktów, o których z tej racji nie musiał już wspominać. Julia dożyła późnego wieku i była jedną z najbardziej poważanych i podziwianych matron swoich czasów. Była też żoną wielkiego Gajusza Mariusza i matką syna, który również odcisnął swe piętno na życiu Rzymu. Nic więc dziwnego, że pamięć o niej przetrwała aż do naszych czasów, podczas gdy drugie dziecko Cezara i jego żony Marcji mogło po prostu nie cieszyć się takim rozgłosem jak ona. Wiemy od Plutarcha, że pierwsza żona Sulli pochodziła z rodu Juliuszy, po niej jednak miał jeszcze trzy inne, choć obszerniejsze wzmianki w źródłach starożytnych dotyczą tylko dwóch ostatnich. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę przepaść, jaka utworzyła się później pomiędzy Mariuszem a Sullą, możliwe wydaje się, że Sulla celowo, pisząc swe pamiętniki (stanowiące źródło dla późniejszych historyków, m.in. Plutarcha), nie wspominał w nich o swojej julijskiej żonie - wdowa po Gajuszu Mariuszu żyła jeszcze i cieszyła się dobrym zdrowiem, gdy je wydawał. Sądzę więc, że mając na uwadze atrakcyjność tej książki, mogłam pozwolić sobie na skorzystanie z *licentia poetica* i uczynienie żoną Sulli młodszej siostry małżonki Gajusza Mariusza.

Nie są to jednak jedyne powody dla stworzenia tej postaci. Historia potwierdza, że w początkowym okresie swej politycznej i wojskowej kariery Sulla był silnie związany z Gajuszem Mariuszem, a żadne wydarzenia z lat opisywanych w tej książce nie dowodzą, że Sulla i Mariusz nie byli bliskimi towarzyszami. Wszelkie wzmianki, dotyczące pretensji Sulli do przypisania sobie zwycięstwa w wojnie z Jugurtą (opartych na fakcie, iż to on osobiście pojmał Jugurtę), pochodzą z dwóch zbiorów wspomnień opublikowanych w wiele lat po interesujących nas wydarzeniach - jednego autorstwa Sulli i drugiego pióra Kwintusa Lutacjusza Katullusa Cezara. Kiedy jednak kariery Mariusza i Sulli ząbały się pomiędzy rokiem 107 a 100 p.n.e., przekonamy się, że z żadnych znanych nam wydarzeń nie wynika, by istniała wówczas między nimi jakakolwiek wrogość. Wręcz przeciwnie, wszystko wskazuje raczej na to, że obaj byli sobie bliscy i ufali jeden drugiemu. Jeśliby bowiem istniał już między nimi rozdzźwięk spowodowany twierdzeniem Sulli, iż to on wygrał wojnę z Jugurtą, to dlaczego Mariusz miałby wziąć Sullę do Galii w charakterze legata? Potem Sulla pojawił się nagle wraz z Katullusem Cezarem w Galii Italskiej mniej więcej w tym samym czasie, gdy po drugiej stronie Alp Mariusz miał stawić czoło nacierającym Teutonom. Nie sądzę jednak, by miało to oznaczać zerwanie z Mariuszem. Wiemy bowiem, że Katullus Cezar wyruszył nagle w górę rzeki Athesis, po czym pośród jego żołnierzy wybuchł zagadkowy bunt. Następnie widzimy Katullusa, jak wraca z biegiem Athesis i miast podążać do Rzymu wraz ze swą ocalałą armią, spokojnie czeka w Placencji na Mariusza. W opisach tych o Sulli nie wspomina się ani słowem, to on jednak był zwierzchnim legatem Katullusa Cezara. Nie możemy zakładać tego z całą pewnością, jednak twierdzenie, iż Mariusz wysłał Sullę z pomocą Katullusowi, aby zapobiec utraceniu przez niego bezcennej dla Rzymu armii, wydaje się równie logiczne, jak teoria zerwania pomiędzy Mariuszem i Sullą. Co do roku 108 p.n.e., kiedy to Gajusz Mariusz ruszył do Rzymu ubiegać się o

konsulat, to musiał on wtedy poprosić o usługi Sulli w roli kwestora, kiedy bowiem rok jego służby w Numidii dobiegł końca, Sulla pozostał przy Mariuszu jak ktoś związany osobiście ze swym wodzem. Sulla nie wrócił do domu tak długo, jak długo nie wrócił do niego Mariusz. Mariusz wybrał na swego kwestora właśnie jego - kiedyż to jednak zdołał go poznać na tyle dobrze, by dokonać takiego wyboru? Nigdy nie służyli razem w armii, różnica wieku między nimi wynosiła 17 lat, a jeśli wierzyć Plutarchowi, także i stylem życia różnili się od siebie całkowicie. Od Plutarcha zaś wiemy, że pierwsza żona Sulli pochodziła z Juliuszów. Jeżeli Julia, żona Sulli, była siostrą Julii, żony Mariusza, byłoby to odpowiedzią na wiele pytań. Obie Julie mogły równie dobrze być kuzynkami i dobrymi przyjaciółkami, dla pisarza jednak, ograniczonego potrzebą możliwego zawężenia kręgu osób i wydarzeń, zwłaszcza przy historii tak złożonej jak ta, uczynienie z nich sióstr jest idealnym rozwiązaniem. Dzięki ci, Plutarchu, za wspomnienie imienia pierwszej żony Sulli! Skoro bowiem wiemy, że więzy rodzinne były dla Rzymianina rzeczą najważniejszą, to najlogicznym rozwiązaniem wydaje się założenie, iż Mariusz i Sulla byli spokrewnieni poprzez małżeństwa i że starszego z nich rodzina żony uprosiła o ułatwienie młodszemu wspinania się po szczeblach *cursus honorum*. Tak więc narodziła się postać Julilli, młodszej córki Gajusza Juliusza Cezara i żony Lucjusza Korneliusza Sulli.

Julus - syn trojańskiego bohatera Eneasza. Tak dziś, jak w czasach starożytnych nikt nie ma pewności, czy matką Julusa była Trojanka Kreuza czy Latynka Lawinia. Wergiliusz opowiadał się za Kreuzą, Liwiusz - za Lawinią. Nie wiemy jednak, którą z tych kobiet uważano za matkę Julusa w tradycji *gens* Julia. Julusa zwano także Askaniuszem, a tym imieniem Homer obdarzył syna Kreuzy. Jako że Wergiliusz tworzył pod oficjalnym patronatem Augusta, należącego do rodu Juliuszy, możliwym jest, że August chciał, by jego julijskie pochodzenie uważano za wywodzące się po obu liniach prosto z Troi. Co rzeczywiście myślał na ten temat jego cioteczny dziad Cezar Dyktator, to już inna sprawa, ponieważ August zwykł był tak przedstawiać ludzkie myśli swego boskiego przodka, żeby pasowały do jego zamierzeń. Tak naprawdę jednak nie ma znaczenia, kto był matką Julusa - ważne jest, że członkowie rodu Juliuszy wierzyli bez zastrzeżeń w to, że są bezpośrednimi potomkami syna Eneasza, a więc wywodzą się także od bogini Wenus (Afrodyty), która była matką Eneasza i babką Julusa. Jeśli zważymy, że między przybyciem Eneasza do Italii a urodzeniem Juliusza Cezara Dyktatora w roku 100 p.n.e. upłynęło mniej więcej tyle samo czasu, co od inwazji Wilhelma Zdobywcy na Anglię do czasów obecnych, kiedy to niektórzy współcześni obywatele angielscy twierdzą, iż są w stanie wyprowadzić swą genealogię bezpośrednio od jednego z baronów Wilhelma, to może i ród Juliuszów Cezarów rzeczywiście znał swe pochodzenie na tyle stuleci wstecz.

Junona Moneta - Junona Dawczyni Przestróg. To gęganie jej świętych gęsi obudziło Marka Manliusza na tyle wcześnie, że zdążył odeprzeć Galów szturmujących stoki Kapitolu w roku 390 p.n.e. W piwnicach jej świątyni na Kapitolu znajdowała się mennica - stąd dzisiejsze znaczenie

słowa „moneta”.

Juturna - jedno z rdzennie rzymskich bóstw, jak wszystkie duchowych, bezcielesnych i pozbawionych mitologii w sensie greckim (choć później Wergiliusz obdarzył Juturnę jej własną mitologią). Juturna była bóstwem wodnym i miała swoje źródło i przybytek przy Schodach Westalek wiodących na szczyt Palatynu. Wodzie Juturny przypisywano właściwości uzdrawiające, przybytek odwiedzało więc wielu pielgrzymów.

Kalabria - nazwa nieco myląca dla tych, którzy znają dzisiejsze Włochy. Dziś Kalabria to czubek włoskiego buta, podczas gdy w starożytności nazywano tak piętę i obcas.

Kampania - bajecznie żyzne i bogate obniżenie wulkaniczne między samnijskimi Apeninami a Morzem Tyrreńskim, ciągnące się od Tarraciny na północy aż do południowego krańca dzisiejszej Zatoki Neapolitańskiej. Nawadniana przez rzeki Licis, Voltumus, Calor, Clanius i Samus, kraina ta rodziła więcej najprzedniejszych płodów rolnych niż jakkolwiek inny rejon Italii. Skolonizowana przez Greków popadła w zależność od Etrurii, później połączyła się z Samnium, aż wreszcie przeszła pod panowanie rzymskie. Grecki i samnijski element czynił z ludności Kampanii niepokornych poddanych - był to zawsze kraj skłonny do buntów. Ważnymi ośrodkami lądowymi Kampanii były miasta: Kapua, Teanum, Sidicinum, Venafrum, Acerrae, Nola i Interamna, podczas gdy porty w Puteoli, Neapolu, Herkulanum, Surrentum i Stabiach były najważniejszymi na całym zachodnim wybrzeżu Italii. Kampanię przecinały Via Appia, Via Campania i Via Latina.

Kanny - miasto w Apulii nad rzeką Aufidius. Tu w roku 216 p.n.e. Hannibal na czele armii kartagińskiej spotkał się z armią rzymską, dowodzoną przez Lucjusza Emiliusza Paulusa i Gajusza Terencjusza Warrona. Armia rzymska została całkowicie unicestwiona. Do czasu bitwy pod Arausio w roku 105 p.n.e. Kanny uważane były za największą klęskę militarną w dziejach Rzymu. Liczba poległych szacowana jest na trzydzieści do sześćdziesięciu tysięcy. Ci, którzy ocaleli, zostali zmuszeni do przejścia pod jarzmem (zob. jarzmo).

Kapitol - Wzgórze Kapitołińskie. Jedno z siedmiu wzgórz, na których położony był Rzym, i jedyne, którego zabudowa ograniczała się do obiektów sakralnych i użyteczności publicznej. Choć jednak na wierzchołkach Kapitolu nie było prywatnych rezydencji, za czasów Mariusza wznosiła się już w niższych partiach wzgórza grupa najbogatszych domów w Rzymie. Mieszkał tam i sam Mariusz.

Kapua - najważniejsze miasto Kampanii. Szereg wystąpień przeciw Rzymowi doprowadził do rzymskich represji, w wyniku których Kapua utraciła rozległe i niezmiernie bogate ziemie. Posiadłości te stały się później zarodkiem rzymskiej *ager publicus* na terenie Kampanii, a w ich skład wchodziły między innymi słynne winnice, z których pochodziło wino falerniańskie. W czasach Mariusza gospodarka Kapui zależała od istnienia obozów wojskowych, szkół gladiatorów i obozów więziennych otaczających miasto. Mieszkańcy utrzymywali się z dostaw i świadczenia usług dla tych olbrzymich instytucji.

karbunkuł - kamień szlachetny, rubin. Słowem tym określano również intensywnie czerwone granaty.

Karnijskie Alpy - nazwy tej użyłam dla oznaczenia łańcucha górskiego otaczającego od wschodu północną Italię, tuż za nadbrzeżnymi miastami Tergestą i Akwileją. Góry te nazywa się zazwyczaj Alpami Julijskimi, zachowując nazwę „Karnijskie” dla austriackiego Tyrolu. Nie udało mi się jednak znaleźć żadnego powodu, dla którego łańcuch górski miałby nosić imię rodu Juliuszy przed czasami dyktatora Gajusza Juliusza Cezara, musiałam zatem przyjąć, że Alpy Julijskie były znane pod jakąś inną nazwą. Nie znając żadnego starożytnego świadectwa dotyczącego takiej nazwy (nie twierdzę bynajmniej, że takie świadectwo nie istnieje, tylko że nie mogłam go znaleźć), rozszerzyłam po prostu nazwę Alp Karnijskich i objęłam nią również Alpy Julijskie.

Karnutowie - jeden z największych i najpotężniejszych celtyckich związków plemiennych w Galii. Ich ziemie leżały wzdłuż rzeki Liger (Loara), pomiędzy ujściem do niej rzeki Caris a punktem leżącym na wysokości dzisiejszego Paryża. Na ich terytorium znajdowały się ośrodki kultowe i galijskie szkoły druidów, czemu zawdzięczali po części swą przywódczą rolę.

Karyny - jedna z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Rzymu. Karyny leżały na północnym wierzchołku wzgórza Oppius od jego zachodniej strony i rozciągały się między wzgórzem Welia na skraju Forum Romanum a Clivus Pullius.

Kastor - pierwszy z dwójki bliźniaczych bogów, Kastora i Polluksa (u Greków Kastora i Polideukesa), zwanych też Dioskurami. Ich świątynia na Forum Romanum była imponująco wielka i bardzo stara, co dowodzi, że kult Dioskurów istniał w Rzymie co najmniej od czasów królów. Nie można zatem uznać ich po prostu za odwzorowanie bóstw greckich, jak np. Apollona. Szczególne znaczenie tych bóstw dla Rzymu (i być może powód, dla którego łączono je później z Larami) mogło wynikać z faktu, że Romulus, założyciel Rzymu, był również jednym z bliźniaków.

klasy - pięć grup majątkowych, obejmujących obywateli rzymskich posiadających ziemię lub inne źródła stałego dochodu. Członkowie klasy pierwszej byli najbogatsi, piątej - najbiedniejsi. *Capite censi* nie należeli do żadnej klasy.

klient (*cliens*) - termin ten oznaczał człowieka wolnego lub wyzwolenca (nie musiał on być obywatelem rzymskim), który złożył przyrzeczenie swemu patronowi (*patronus*). Klient zobowiązywał się służyć interesom swego patrona i spełniać jego życzenia w zamian za różne świadczenia (przeważnie pieniężne, ale chodziło też o pozycję, poparcie prawne itp.). Wyzwolony niewolnik stawał się automatycznie klientem swego dawnego pana i pozostawał nim, dopóki nie został zwolniony z tego obowiązku - jeśli w ogóle do tego dochodziło. Postępowanie klienta wobec patrona regulował system honorowych zobowiązań, których przestrzegano ze zdumiewającą skrupulatnością. Być klientem nie znaczyło bynajmniej, że nie można było być jednocześnie patronem. Znaczyło to tylko, że klienci kogoś takiego byli zarazem klientami jego patrona. Stosunki między

patronami a klientami z różnych krajów określały specjalne prawa. Klientami bywały nie tylko osoby prywatne, ale także miasta, a nawet państwa. Obce państwa-klienci, których patronem był Rzym, miały na przykład obowiązek wykupywania obywateli rzymskich, którzy trafili do niewoli - prawo to przynosiło duże dochody piratom.

kohorta - jednostka taktyczna rzymskiego legionu, składająca się z sześciu centurii. W normalnych okolicznościach legion liczył dziesięć kohort. Liczebność rzymskiej armii, mającej mniej niż trzy lub cztery legiony, określano zwyczajowo liczbą kohort.

kolegium - grupa łącząca ludzi działających w jednej dziedzinie. Istniały kolegia kapłańskie, kolegia polityczne (np. kolegium trybunów ludowych), kolegia religijne (np. kolegium liktorów) i zawodowe. Ludzie różnego autoramentu, z niewolnikami włącznie, łączyli się w kolegia sprawujące nadzór nad rozstajami dróg w Rzymie i urządzające coroczne Święto Rozstajów, Compitalia.

Komisja Mamiliusza - specjalny trybunał, ustanowiony w roku 109 p.n.e. przez trybuna plebejskiego Gajusza Mamiliusza Limetanusa. Miał on przeprowadzić dochodzenie dotyczące stosunków łączących króla Numidii Jugurtę z niektórymi rzymskimi urzędnikami.

konsul - był to najwyższy urzędnik w Rzymie posiadający imperium, konsulat zaś uważano za najwyższy szczebel *cursus honorum*. Co roku Zgromadzenie Centuriałne wybierało na roczną kadencję dwóch konsulów. Starszy z nich - ten, który pierwszy osiągnął wymaganą liczbę głosów centurii - otrzymywał różgi (*fascēs*) w styczniu, co oznaczało, że to on sprawował oficjalnie urząd, podczas gdy jego młodszy kolega czekał na swoją kolej. Pierwszym dniem konsulatu był dzień Nowego Roku, 1 stycznia. Każdemu z konsulów towarzyszyło dwunastu liktorów, ale tylko liktorzy urzędującego w danym miesiącu konsula nosili na ramionach wiązki różeg. W czasach Mariusza konsulem mógł zostać zarówno patrycjusz, jak plebejusz, z tym że nie mogło tego urzędu sprawować jednocześnie dwóch patrycjuszów. Konsulem można było zostać w wieku 42 lat, 12 lat po wstąpieniu do senatu po ukończeniu lat 30. Imperium konsula nie miało żadnych ograniczeń i rozciągało się nie tylko na Rzym, ale też na całą Italię i prowincje, przewyższając imperium zarządzających nimi prokonsulów. Konsul mógł dowodzić każdą armią.

konsul zastępczy (*consul suffectus*) - gdy urzędujący konsul umierał bądź w jakiś inny sposób pozbawiony zostawał możliwości dalszego sprawowania swego urzędu, senat powoływał na jego miejsce zastępcę - *consul suffectus* nie był więc wyłaniany w wyborach. W zależności od nastrojów panujących akurat w senacie, *suffectus* był czasami powoływany pod sam koniec roku konsularnego, czasami zaś urząd pozostawał nie obsadzony przez większą część roku. Imię *suffectus* było wciągane na listę rzymskich konsulów, a on po zakończeniu swej kadencji miał prawo tytułować się konsulem.

Kos - wyspa u wybrzeży Azji Mniejszej, słynąca m.in. z produkcji jedwabiu. Nie był to prawdziwy jedwab, który dotarł do obszaru śródziemnomorskiego dopiero za Cesarstwa. Jedwab z Kos był szczególnie

ceniony przez prostytutki, które stąd nazywano po prostu „kosyjkami”.

kottabos - gra, w którą grano w sali jadalnej. Ostatnie krople wina wytrąsano z pucharu do płaskiej misy, dokładne reguły tej gry nie są nam jednak znane.

król-klient - zagraniczny monarcha, który jako klient przyrzekł swe usługi Rzymowi lub któremuś z obywateli rzymskich jako swemu patronowi. Tytułem „Przyjaciel i Sprzymierzeniec Ludu Rzymskiego” określano właśnie klienta.

krzesło kurulne (*sella curulis*) - było to krzesło z kości słoniowej zastrzeżone dla wyższych urzędników. Zasiadał w nim edyl kurulny, pretor i konsul. Krzesła kurulne, podobnie jak eskorta liktorów, przysługiwały wyłącznie urzędnikom posiadającym imperium. Były pięknie rzeźbione, a ich ozdobne nogi krzyżowały się w szeroką literę X. Miały niskie oparcia dla rąk, pozbawione jednak były oparcia z tyłu.

kuria - była to pierwotnie jedna z trzydziestu najstarszych jednostek, na które dzieliła się ludność Rzymu, starsza niż *tribus* i klasa. Te pierwotne klany rzymskie spotykały się w specjalnych salach zebrań. Na czele każdej kurii stał *curio*, czyli wódz, wybierany dożywotnio. *Curiae veteres*, czyli starożytne sale spotkań, wznosiły się na skraju Palatium na Palatynie, granicząc z Via Triumphalis. W czasach Mariusza znaczenie polityczne i społeczne kurii było już zapomniane. Kiedy prawo wymagało zebrania się trzydziestu kurii, jak np. podczas przyjmowania patrycjusza do rodziny plebejskiej lub podczas nadawania imperium wyższemu urzędnikowi na mocy *lex curiata*, były one reprezentowane przez trzydziestu liktorów.

kwadryga - rydwan lub wóz ciągnięty przez cztery konie.

kwestor - najniższy z urzędów *cursus honorum*. W czasach Gajusza Mariusza wybór na kwestora nie oznaczał wcale automatycznego uzyskania członkostwa w senacie, jednak cenzorzy zwyczajowo wciągali nowych kwestorów na listę senatorów. Nie znamy dokładnie liczby kwestorów wybieranych w tamtych czasach, sądzę jednak, że co roku powoływano ich od dwunastu do szesnastu. O urząd kwestora można się było ubiegać, skończywszy 30 lat, co było też odpowiednim wiekiem dla wstąpienia do senatu. Kwestor zajmował się przede wszystkim sprawami fiskalnymi - był przydzielony albo do państwowego skarbcza czy pomniejszych skarbców, albo do zbierania podatków i ceł portowych (tych kwestorów musiało być już wtedy co najmniej trzech: jeden dla Ostii, jeden dla Puteoli i jeden do obsługi pozostałych portów). Do obowiązków kwestorów należało też zarządzanie finansami prowincji. Konsul, otrzymawszy na następny rok w zarząd którąś z prowincji, mógł poprosić imiennie o mającego mu podlegać kwestora, czyniąc mu w ten sposób ogromny zaszczyt. W normalnych okolicznościach kwestura trwała jeden rok, jeśli jednak kwestor został imiennie wybrany przez swego zwierzchnika, musiał pozostać z nim w prowincji tak długo, jak długo trwać będzie kadencja tamtego. Kwestorzy rozpoczynali urzędowanie 5 grudnia.

Kwiryci - starodawne określenie rzymskich obywateli. Nie wiemy, czy słowo to nie oznaczało przypadkiem tych, którzy nie służyli nigdy w armii

- mogłyby na to wskazywać słowa Cezara Dyktatora, który nazwał swych zbuntowanych żołnierzy „Kwirytami” i uczynił to z taką pogardą, że zaczęli błagać go o wybaczenie. Wiele jednak mogło się zmienić pomiędzy czasami Gajusza Mariusza i Cezara Dyktatora. Wolę wierzyć, że „Kwiryci” było określeniem zaszczytnym.

Kwirynus - jedno z rdzennie rzymskich bóstw, będące ucieleśnieniem myśli i idei. Jego siedzibą było wzgórze Kwirynał, na którym znajdowały się pierwotnie osiedla Sabinów - korzenie Kwirynusa były więc może bardziej sabińskie niż latyńskie. Kwirynał stał się jednak z czasem częścią miasta Romulusa, a Kwirynus zastał utożsamiony z boskim wcieleniem Romulusa. Nikt nie wie, kim lub czym miał być naprawdę Kwirynus, sądzi się jednak, że przedstawiał on ucieleśnienie idealnego Rzymianina i był bóstwem opiekującym się zgromadzeniem obywateli. Jego *kapłan*, *flamen Quirinalis* należał do najważniejszych *flamines*. Kwirynus miał własne święto, Kwirynalia, a przed jego świątynią rosły dwa mirtowe drzewa, symbolizujące patrycjuszy i plebejuszy.

Lacjum - ta część Italii, w której znajdował się Rzym. Granice Lacjum wyznaczały od północy rzeka Tyber, od południa Cyrceje, od wschodu zaś terytoria zamieszkałe przez Marsów i Sabinów.

Lanuvium - dzisiejsze Lanuvio.

Larius, Lacus - dzisiejsze jezioro Como.

Lary - jedno z najbardziej rzymskich w charakterze bóstw, pozbawione kształtu, płci, liczby, a także mitologii, tak zwane *numina* (zob. *numen*). Istniało wiele rodzajów Larów, będących bóstwami czy siłami opiekującymi się danym miejscem (np. rozstajami i granicami), grupą społeczną (np. Lar Familiaris, własny Lar każdej rzymskiej rodziny), czynnością (np. żegluga) bądź też całym narodem (jak w przypadku oficjalnych Larów państwowych). W okresie późnej Republiki zaczęto przedstawiać je (w formie małych figurek) jako dwóch młodych mężczyzn z psem, choć wątpliwym jest, by Rzymianie wierzyli rzeczywiście, że była ich dwójka i to akurat występująca w takiej formie. To raczej styl życia zaczął narzucać potrzebę umownego przedstawienia Larów w jakikolwiek sposób.

Lary morskie (Lares Permarines) - Lary, które opiekowały się podróżującymi morzem.

Lary opiekuńcze (Lares Praestites) - Lary, które czuwały nad państwem, zwane też Larami publicznymi.

lectisternium - religijny obrządek przebłagalny, do którego uciekano się w czasie poważniejszych kryzysów. Figury ważniejszych bóstw umieszczano wówczas na poduszkach w męsko-damskich parach, oddawano im honory i ofiary.

legat (*legatus*) - najwyższy rangą urzędnik w służbie głównodowodzącego armii rzymskiej. By zostać legatem, trzeba było należeć do stanu senatorskiego, dość często zaś zdarzało się nawet, że legatami zostawali byli konsulowie, którzy zateśkniwszy do wojskowego życia, oferowali swe usługi wodzowi prowadzącemu kampanię. Legaci odpowiadali jedynie przed głównodowodzącym i stali ponad wszystkimi

trybunami wojskowymi, legion - najmniejsza jednostka rzymskiej armii mogąca samodzielnie prowadzić wojnę (choć rzadko do tego dochodziło). W czasach Gajusza Mariusza armia rzymska prowadząca jakąkolwiek poważniejszą kampanię rzadko składała się z mniej niż czterech legionów - nie więcej jednak niż z sześciu. Pojedyncze legiony pełniły służbę garnizonową w miejscach takich jak Hiszpania, gdzie bunt i powstania były wprawdzie zawzięte, lecz miały niewielki zasięg.

W skład legionu wchodziło około pięciu tysięcy żołnierzy, zgrupowanych w dziesięciu kohortach, każda po sześć centurii, a także około tysiąca żołnierzy nieliniowych. Do legionu przypisany był też zazwyczaj niewielki oddział kawalerii. Każdy legion miał swój własny sprzęt i wyposażenie. Legiony konsulów dowodzone były przez sześciu lub mniej trybunów wojskowych, legionami wodza nie będącego konsulem dowodził albo jego legat, albo on sam. Funkcję regularnych oficerów pełnili w legionie centurioni - około sześćdziesięciu sześciu. Choć żołnierze jednego legionu obozowali wspólnie, nie jedli ani nie mieszkali wszyscy razem, ale podzieleni byli na jednostki liczące ośmiu ludzi (centuria liczyła bowiem osiemdziesięciu żołnierzy oraz dwudziestu żołnierzy nieliniowych).

lektyka - zamknięta skrzynia, z obu boków zaopatrzona w długie poziome pręty, wystające z przodu i z tyłu. Chwytając za nie, mogło ją nieść czterech lub ośmiu ludzi. Miała także nóżki, na których spoczywała, stojąc na ziemi. Był to powolny środek transportu, najwygodniejszy jednak ze wszystkich znanych starożytnemu światu.

Lemanna - dzisiejsze Jezioro Lemańskie lub Genewskie.

lex - prawo. Określano tak również wynik głosowań na Zgromadzeniu Plebejskim (*plebiscitum*). Prawo nie było ważne, dopóki nie wyryto go w kamieniu lub brązie i nie złożono w krypcie świątyni Saturna. Tak naprawdę jednak pobyt tablicy z wyrytym na niej prawem w tejże krypcie musiał być bardzo krótki, podziemia świątyni bowiem w żaden sposób nie pomieściłyby całego zbioru rzymskich praw (nawet w czasach Gajusza Mariusza) - zwłaszcza że w świątyni Saturna znajdował się również rzymski skarbiec. Tablice te były bez wątpienia wyjmowane i składane w jednym z wielu znanych nam dziś magazynów mieszczących zwoje rzymskiego prawa.

lex Appuleia agraria - pierwsza z ustaw agrarnych Lucjusza Apulejusza Saturnina, mających zapewnić nadzieję ziemi dla weteranów z armii Mariusza. Dotyczyła ona ziem w Grecji, Macedonii, Afryce i na Sycylii, możemy się więc domyślać z dużym prawdopodobieństwem, że wszystkie te ziemie były już wówczas od pewnego czasu w posiadaniu Rzymu, a także że nie uważano ich za szczególnie ważne.

lex Appuleia agraria (secunda) - nadałam drugiemu prawu Apulejusza nazwę *secunda*, chcąc uniknąć przytaczania jej pełnej łacińskiej nazwy, co musiałyby być utrudnieniem dla czytelnika. Prawo to, mówiące m.in. o przysiędze na wierność, spotkało się z niezwykle ostrą opozycją w senacie. Przyczyny tego sprzeciwu są wciąż dyskutowane w kręgach naukowych - ja zdecydowałam się przyjąć, iż powodem była tu atrakcyjność ziem, których

dotyczyła ustawa, tj. Galii Zaalpejskiej i Hiszpanii Bliższej. Wielu wielkich właścicieli ziemskich pragnęło z pewnością, by to im przyznano prawo użytkowania tych terenów, zwłaszcza że mogli mieć nadzieję na znalezienie tam obfitych złóż bogactw mineralnych, z których słynęły nie do końca jeszcze zbadane ziemie na zachodzie. Tym trudniejsze do zaakceptowania było więc dla nich oddanie wspomnianych terenów weteranom, wywodzącym się z plebsu *lex Appuleia de maiestate* - prawo dotyczące kary za zdradę stanu, przeprowadzone przez Saturnina podczas jego pierwszego trybunatu plebejskiego. Odbierało ono prawo sądenia za zdradę Zgromadzeniu Centurialnemu, gdzie niemal niemożliwe było skazanie winnego, dopóki on sam nie przyznał się, że spiskował przeciw Rzymowi. Nowa ustawa określała też stopnie zdrady i kary za lżejsze przewinienia. Kontrola nad specjalnym trybunałem (*quaestio*), zajmującym się wyłącznie procesami o zdradę, została oddana członkom stanu rycerskiego (ekwitom).

lex Appuleia frumentaria - prawo Saturnina dotyczące rozdawnictwa zboża, które zdecydowała się przypisać do jego drugiego trybunatu plebejskiego. Jako że drugie powstanie niewolników na Sycylii trwało już wtedy niemal od czterech lat, możliwe jest, że brak wystarczającego zaopatrzenia Rzymu w zboże stawał się coraz bardziej dotkliwy.

lex Domitia de sacerdotiis - prawo przeprowadzone w roku 104 p.n.e. przez Gnejusza Domitiusza Ahenobarba, sprawującego wówczas swój trybunat plebejski. Odbierało ono kontrolę nad członkostwem w kolegiach kapłańskim i augurów ich wpływowym członkiem, decydującym dotychczas o naborze młodych kapłanów. W myśl nowej ustawy przyszli członkowie obu kolegiów mieli być wybierani na specjalnym zgromadzeniu siedemnastu losowo wybranych *tribus*.

lex Licinia sumptuaria - prawo o luksusach, przeprowadzone przez nie znanego nam bliżej Licyniusza Krassusa po roku 143 p.n.e. Zakazywało ono podawania na przyjęciach niektórych potraw, m.in. ostryg i słodkowodnych węgorzy. Ograniczało ono również możliwość używania purpury.

lex sumptuaria - prawo o luksusach, regulujące ilości luksusowych przedmiotów i artykułów żywnościowych, na jakie mógł pozwolić sobie rzymski obywatel - niezależnie od tego, jak był bogaty. Za Republiki prawa takie wymierzone były często przeciw kobietom, określając ściśle liczbę klejnotów, jakie mogły one nosić, czy zakazując im poruszania się w powozach i lektykach w obrębie Murów Serwiańskich. Ograniczane w ten sposób damy potrafiły być wyjątkowo złośliwymi przeciwnikami, o czym przekonało się kilku spośród cenzorów.

lex Villia annalis - ustawa przeprowadzona w roku 180 p.n.e. przez trybuna plebejskiego Lucjusza Villiusza. Określała ona wiek, w którym można było sprawować urzędy kurulne (39 lat dla pretora, 42 dla konsula). To właśnie prawo zapewne stanowiło również, iż między sprawowaniem pretury a konsulatem upłynąć musiały 2 lata, a między jednym a drugim konsulatem - 10 lat.

lex Voconia de mulierum hereditatibus - wprowadzona w roku 169

p.n.e. ustawa poważnie ograniczająca prawo kobiet do dziedziczenia majątku. Kobieta nie mogła pod żadnym pozorem zostać ustanowiona głównym spadkobiercą, nawet jeżeli była jedynym dzieckiem swego ojca - przed nią stali zawsze najbliżsi krewni od strony ojca. Cyceon opisuje pewien przypadek, kiedy to przytaczano argument, iż *lex Voconia* nie może być zastosowane, ponieważ majątek zmarłego nie był spisany w cenzusie, urzędujący pretor (Gajusz Verres) odrzucił jednak ten postulat i odmówił dziewczynie prawa do dziedziczenia. Ustawa ta była jednak zapewne w jakiś sposób obchodzona, wiemy bowiem o kilku bardzo bogatych dziedziczkach (m.in. Fulwii, trzeciej żonie Antoniusza). W mojej książce Kornelii, matce Grakchów, udało się uzyskać zrzeczenie się majątku przez krewnych. Innym sposobem na obejście prawa (jeśli nie miało się żadnych męskich krewnych) było umrzeć, nie pozostawiając testamentu - wtedy dzieci dziedziczyły niezależnie od płci. Wydaje się też, że *praetor urbanus* miał pewną swobodę w interpretowaniu praw dotyczących dziedziczenia. Był on w tych sprawach najwyższym arbitrem, nie istniał bowiem żaden trybunał zajmujący się sprawami majątkowymi.

Liger - dzisiejsza Loara we Francji.

Liguria - górzysty region, leżący pomiędzy rzekami Arno i Varus, rozciągający się od wybrzeża morskiego aż do łuku Alp Nadmorskich i liguryjskich Apeninów. Głównym portem tej części kraju była Genua, a największym miastem leżącym w głębi lądu - Dertona. Liguria była biednym krajem, jako że ziemi uprawnej było tu bardzo niewiele. Słynęła głównie ze swej tłustej wełny, z której tkano nieprzemakalne płaszcze i peleryny, m.in. wojskowe *sagum*. Miejscowa ludność zajmowała się głównie piractwem.

liktor - członek kolegium liktorów, pełniący służbę wobec senatu i ludu rzymskiego. Dokładna liczba liktorów nie jest nam znana, wiemy jednak, że było ich dosyć, by zapewnić swą sławną eskortę wszystkim urzędnikom posiadającym imperium, tak w Rzymie, jak i poza nim, a także aby pełnić różne inne obowiązki (liczba dwustu lub trzystu wydaje mi się dość prawdopodobna). Liktor musiał posiadać pełne rzymskie obywatelstwo, pochodził jednak najpewniej z klas niższych, albowiem przysługujące mu uposażenie było niezbyt wygórowane. W dużej mierze był więc zależny od hojności urzędnika, do którego eskorty należał. Członkowie kolegium liktorów podzieleni byli na grupy po dziesięciu (dekurie), na czele których stali prefekci. Całemu kolegium przewodniczyło kilku starszych liktorów, stojących ponad prefektami. Na terenie Rzymu liktor nosił prostą, białą togę, poza miastem zaś ubierał się w szkarłatną tunikę z szerokim czarnym pasem, zdobionym mosiężnym ornamentem. Na pogrzeby wkładano czarne togi. Siedzibę kolegium liktorów umieściłam dla wygody za świątynią Larów opiekuńczych, na wschodnim krańcu Forum Romanum, nie istnieje jednak żaden dowód na to, że znajdowała się ona właśnie tam.

Lilybaeum - główne miasto zachodniej części Sycylii.

Liris - dzisiejsza rzeka Garigliano we Włoszech.

Lucjusz Utracjusz - potrzebowałam tu żartobliwego imienia, jakim zwykło się obdarzać niewiele sobą reprezentujące, aczkolwiek

charakterystyczne postacie. Ponieważ większość moich czytelników nie włada łaciną, słowo łacińskie nie spełniłoby tu swojej roli. Wybrałam Lucjusza Utracjusza ponieważ brzmi to zarazem patetycznie i śmiesznie.

lud - słowo to obejmuje właściwie wszystkich obywateli rzymskich nie należących do senatu. Odnosi się ono tak do patrycjuszy, jak i plebejuszy, do Policzonych Głowami równie dobrze, jak do członków pierwszej klasy majątkowej.

Lugdunum - dzisiejszy Lyon we Francji.

lustrum - łacińskie słowo, oznaczające zarówno całą pięcioletnią kadencję cenzora, jak i samą ceremonię, podczas której cenzor ogłaszał na Polu Marsowym cenzus ludu rzymskiego.

lychnites - słowem tym Pliniusz Starszy określał kamienie szlachetne, wydobywane w zachodniej Numidii. Dziś sądzi się, że były to turmaliny.

Macedonia - dla mieszkańca Republiki termin ten oznaczał obszar znacznie większy od dzisiejszej Macedonii. Zaczynała się ona od wschodnich wybrzeży Adriatyku (mniej więcej od miasta Lissos) i ciągnęła się wzdłuż nich na południe na wysokość Epiru. Głównymi portami obsługującymi połączenie morskie z Italią były Dyrrachium i Apollonia. Granicząc na północy z Mezją, Macedonia rozciągała się dalej na wschód, a z jej rozległych wyżyn wypływały rzeki Morawa, Strymon, Aksios i Nestos. Od południa granice jej opierały się o grecką Tesalię, a za Nestosem stykała się z Tracją i wąskim pasem nabrzeżnym ciągnęła się wzdłuż Morza Egejskiego aż do Hellespontu. Dostęp do Macedonii był możliwy tylko przez doliny rzek Morawy, Aksiosu, Strymonu i Nestosu - tędy też wdzierały się tu często barbarzyńskie plemiona z Mezji i Tracji, za czasów Gajusza Mariusza przeważnie Skordyskowie i Bessowie. Na południu jedynym dogodnym przejściem z Tesalii do Macedonii była przełęcz w dolinie świątynnej. Rdzenna ludność Macedonii była prawdopodobnie pochodzenia germańsko-celtyckiego, jednak kolejne inwazje mieszały ich po upływie paru wieków z Dorami, Trakami i Ilirami. Ze względów topograficznych bardzo długo podzielona na małe, walczące ze sobą plemiona, Macedonia została zjednoczona dopiero przez poprzedników Filipa II. Jednak to Filip i jego syn Aleksander wprowadzili Macedonię na arenę międzynarodową. Po śmierci Aleksandra, Macedonia, wyniszczona walką pomiędzy pretendenciami do tronu, została podbita przez Rzym - jej ostatni król, Perseusz, został w roku 167 p.n.e. pokonany przez Emiliusza Paulusa. Rzymskie próby uczynienia z Macedonii niezależnej republiki zawiodły i w roku 146 p.n.e. została ona jako prowincja włączona do rozrastającego się rzymskiego imperium.

macellum - otwarty rynek, na którym handlowano ze stoisk i straganów.

maiestas minuta - dosłownie: „mała zdrada”, zwana tak dla odróżnienia od tego rodzaju zdrady stanu, kiedy ktoś odrzucał obywatelstwo rzymskie i otwarcie występował przeciw Rzymowi. Lucjusz Apulejusz Saturninus w roku 103 p.n.e. pierwszy zaliczył *maiestas minuta* do przestępstw karanych prawem i ustanowił specjalny trybunał (*guaestio*), który się nią zajmował. W trybunale tym zasiadali wyłącznie ekwici, sędził on jednak senatorów. Po wprowadzeniu przez Saturnina tego prawa starodawny zarzut zdrady -

perduellio - stawiany na Zgromadzeniu Centurialnym został w zasadzie zarzucony.

Malaca - dzisiejsza Malaga w Hiszpanii.

manipul - starodawna jednostka manewrowa rzymskiego legionu. Składała się zaledwie z dwóch centurii i w czasach Gajusza Mariusza była już za mała, by stawić czoło armiom, z którymi Rzym musiał się mierzyć. Mariusz wycofał manipuły spośród jednostek operacyjnych.

Markomanowie - jedno z trzech plemion, które dołączyły do migracji ludów germańskich z roku 120 p.n.e. Markomanowie byli Celtami, blisko związanymi z Bojami z Bohemii i pochodzili z górnego dorzecza Łaby (dzisiejsze Czechy). Dołączyli oni do Cymbrów i Teutonów około roku 113 p.n.e., w siódmym roku ich podróży.

Marsowie - jeden z najważniejszych ludów Italii. Zamieszkiwali oni tereny wokół dzisiejszego jeziora Fucino, które uważali za swą własność. Ich wpływy sięgały aż w wysokie partie Apeninów - kontrolowali oni tutejsze przełęcze po zachodniej, czyli rzymskiej stronie. Marsowie byli zawsze lojalni w stosunku do Rzymu i nie sprzymierzyli się ani z Samnitami, ani z Hannibalem. Byli oni niezwykle wojowniczy, zamożni i ludni, wcześniej też przyjęli łacinę jako swój drugi język. Ich głównym miastem było Marruvium - większe i bardziej znaczące Alba Fucens było założoną przez Rzymian na ziemiach Marsów kolonią na prawach latyńskich. Marsowie czcili węże i słynęli szeroko ze sztuki ich zaklania.

Marta - jasnowidząca Syryjka, która przepowiedziała, iż Gajusz Mariusz będzie siedem razy rzymskim konsulem. Wymogła ona na Mariuszu obietnicę, że sprowadzi ją do Rzymu. Aż do śmierci mieszkała w jego domu i regularnie wywoływała skandale, pokazując się na ulicach miasta w purpurowej lektyce. Aby uczynić wydarzenia w książce bardziej spójnymi i zrozumiałymi, dodałam sama do jej przepowiedni dalszy ciąg, mówiący, iż bratanek żony Mariusza, Julii, będzie większym Rzymianinem niż Mariusz.

Massylia - dzisiejsza Marsylia. Ten wspaniały port w Galii Zaalpejskiej, położony niedaleko ujścia Rodanu, był pierwotnie grecką kolonią, założoną około roku 600 p.n.e. Masylioci, jak nazywano jej mieszkańców, nawiązali szybko kulturalne i handlowe więzi z Galią i mieli duży udział w zhellenizowaniu plemion galijskich mieszkających przy użytkowanych przez nich szlakach - stosuje się to w szczególności do Wolków Tektosagów z Tuluzy, Ligurów z Nicei i z Portus Herculis Monoeci (dzisiejszego Monako) oraz niektórych plemion znad dolnego biegu Rodanu. Masylioci zapoczątkowali uprawę oliwek i winnych krzewów w Galii. Szybko dostrzegli oni możliwości Rzymu i zjednoczyli się z nim w czasie drugiej wojny punickiej. To skarga mieszkańców Massylii, dotycząca rozbojów i grabieży polujących na jeńców Saluwiów z zachodniej Ligurii, doprowadziła do słynnej galijskiej ekspedycji Gnejusz Domicjusza Ahenobarba z roku 122 p.n.e. i powstania prowincji Galii Zaalpejskiej.

Maur - berberyjski mieszkaniec Mauretanii.

Mauretania - dzisiejsze Maroko. Granica pomiędzy Numidią a

Mauretanią była rzeka Mulucha, około 960 km na zachód od Cyrty. Mauretanię zamieszkiwali Berberowie, zwani wówczas Maurami. Stolicą ich kraju był Tyngis (dzisiejszy Tanger), a rządili nimi królowie - w czasie wojny Gajusza Mariusza z Jugurta panował tu król Bokchus.

mąż konsularny - tytuł nadawany komuś, kto był już konsulem. Był on otaczany szczególnym szacunkiem przez zwykłych członków senatu i proszony o zabieranie głosu przed innymi, niższymi urzędnikami. Mógł być mianowany w każdym terminie namiestnikiem prowincji, mógł też zostać poproszony o sprawowanie innych obowiązków, na przykład nadzoru nad dostawami zboża.

mentula - wulgarna łacińska nazwa penisa.

merda - wulgarne łacińskie słowo, oznaczające odchody (raczej jednak zwierzęce niż ludzkie).

Metella Calva - siostra Lucjusza Cecyliusza Metellusa Dalmatyńskiego, Najwyższego Kapłana, oraz Kwintusa Cecyliusza Metellusa Numidyjskiego. Była żoną Lucjusza Licyniusza Lukullusa i matką braci Lukullusów. Jako jedna z bardzo niewielu kobiet swoich czasów doczekała się wzmianki w źródłach pisanych. Przez całe życie miała skłonność do kochanków wywodzących się z klas niższych, a jej romanse wywoływały wielkie skandale.

„mieć siano na rogu” - wszystkie hodowane w starożytności woły obdarzone były imponującymi rogami i, pomimo kastracji, wcale nie wszystkie były łagodne. Zwierzę, które bodło, było dla ostrzeżenia znaczone: róg, którym bodło (lub oba, jeśli bodło oboma), owijano sianem. Piesi przechodnie umykali na widok wołu z sianem na rogu, ciągnącego wóz ulicami Rzymu. Powiedzeniem „ma siano na rogu” zwykło się określać dużego, z pozoru łagodnego człowieka wtedy, gdy okazywało się, że potrafi on nagle i z wielką siłą odparować każdy cios.

mim, pantomima - z początku grecka, potem niezwykle popularna w Rzymie, zwłaszcza od III wieku p.n.e. forma teatralna. O ile aktorzy grający w komediach i tragediach nosili maski i odgrywali swe role dokładnie i zgodnie z treścią sztuki, o tyle aktorzy grający w mimach nie nosili masek i uprawiali rodzaj sztuki, który nazwalibyśmy dziś improwizacją. Przedstawiany przez nich splot intryg i wydarzeń był z grubsza określony, sztuka jednak nie zawierała żadnych dialogów. Miłośnicy klasycznych tragedii i komedii uważali mimy za wulgarny, sprośny i ubogi gatunek teatralny, jednak błyskawiczna kariera, jaką zrobiły one w Rzymie, prędko zepchnęła właściwy teatr na mało zaszczytne drugie miejsce. Mimy były bez wątpienia bardzo śmieszne - coś z nich przetrwało chyba w dzisiejszej *commedia del arte* - zszyte z łat kostiumy arlekina i błazna przypominają żywo *centunculus*, jaki nosił głupiec z antycznego mimu.

minim - jaskrawo ceglasta farba, którą tryumfujący wódz barwił sobie twarz, tak że wyglądał jak terakotowy posąg Jowisza Najlepszego i Największego.

minojski - słowo, którego na pewno NIE użyłby Rzymianin! Jest to współczesny nam termin, określający cywilizację kretańską i grecką w II

tysiącleciu p.n.e. W książce wkładam to słowo w usta Sulli tylko dla ułatwienia i dla jasności, nie wiemy bowiem, jak Rzymianie nazywali wspomnianą cywilizację.

modius - rzymska miara zboża. Jeden *modius* ważył 6 kg.

Mosa - dzisiejsza rzeka Moza.

Mosella - dzisiejsza rzeka Mozela.

Most Palowy - potoczna nazwa drewnianego mostu na Tybrze (*Pons Sublicius*).

Mulucha - dzisiejsza rzeka Moulouya.

Muthul - rzeka w środkowej Numidii, niełatwa do zidentyfikowania. Ja uczyniłam z niej dopływ Bagradasu, zgodnie z *Atlasem historii klasycznej* Talberta.

Mutina - dzisiejsza Modena we Włoszech.

nagolenniki - metalowe osłony goleni spinane za kolanami i kostkami; noszone były w Rzymie wyłącznie przez centurionów, dla których były symbolem ich wojskowej rangi.

namiestnik - konsul, pretor, prokonsul lub propretor sprawujący w imieniu senatu i ludu rzymskiego rządu w rzymskiej prowincji, zazwyczaj przez okres jednego roku. Namiestnicy posiadali różnego stopnia imperium, różne też były ich kompetencje. Niezależnie jednak od posiadanego imperium, namiestnik miał w swojej prowincji władzę równą królewskiej. Odpowiadał za obronność, administrację i pobór podatków oraz wiele innych rzeczy.

napierśnik - najczęściej kwadratowa, ale czasem i okrągła płyta, wykonana z brązu lub stali, noszona w czasie walki jako ochrona na piersiach.

Neapolis - dzisiejszy Neapol. Była to jedna z największych i najpotężniejszych greckich kolonii w południowej Italii, pod koniec IV wieku p.n.e. popadła w zależność od Rzymu. W czasie wojny z Hannibalem Neapol okazał się na tyle przewidujący, że pozostał lojalny wobec Rzymu, dzięki czemu nie zostały mu odebrane żadne z jego ziemskich posiadłości. W czasach Republiki był portem o znacznie mniejszym znaczeniu od Puteoli, mimo to jednak kwitł i rozwijał się.

nefas - łacińska nazwa świętokradztwa.

nektar - napój bogów, sporządzany najprawdopodobniej na bazie miodu.

Nemausus - dzisiejsze Nimes we Francji. Położone jest na zachodnim krańcu słonych bagien delty Rodanu. Od czasów Gnejusza Domicjusza Ahenobarba (około roku 122 p.n.e.) połączone było groblą z miastem Arelat, leżącym na wschodnim brzegu delty. Gajusz Mariusz, czekając tu na Germanów w roku 104 p.n.e., dokonał koniecznych napraw tej grobli.

nemo - nikt.

Nikomedes - imię królów Bitynii. Znamy trzech lub czterech królów, którzy je nosili.

nobil - słowa tego używano dla określenia kogoś, kto sprawował już konsulat oraz jego potomków. Ta wtórna arystokracja urzędnicza stworzona została przez plebejuszy celem umniejszenia wagi

przynależności do patrycjatu - pod koniec trwania Republiki konsulatu dostępowało bowiem znacznie więcej plebejuszy niż patrycjuszy. W czasach Gajusza Mariusza nobile cieszyli się wielkim poważaniem. Niektórzy uczeni skłonni są obejmować nazwą nobile również tych, którzy sprawowali jedynie urząd pretora, sędzę jednak, że zmniejszyłoby to znacznie elitarność tej grupy, i pozostają przy zawężeniu tego terminu wyłącznie do rodzin byłych konsulów.

nomen - imię rodowe, takie jak Korneliusz, Juliusz, Domicjusz, Liwiusz, Mariusz, Marcjusz, Sulpicjusz itd. Nie używałam zbyt często nazw rodów (*gens*), były one bowiem rodzaju żeńskiego (np. *gens Julia*), co myliłoby czytelników nie znających łaciny, i pisałam po prostu: ród Juliuszy.

Noricum - w przybliżeniu dzisiejszy wschodni Tyrol i Alpy Słoweńskie. Tutejsi mieszkańcy celtyckiego pochodzenia zwani byli Tauryskami, a ich głównym miastem była Noreia.

Numancja - niewielkie miasto, o około cztery tysięcy mieszkańców pochodzenia celtyberyjskiego, położone w górnym biegu rzeki Durus w Hiszpanii Bliższej. Odparło ono skutecznie całą serię oblężeń prowadzonych przez różnych rzymskich wodzów i armie, począwszy od Katona Cenzora (rok 195 p.n.e.), a kończąc na Hostyliuszu Mancinusz (rok 137 p.n.e.). W roku 135 p.n.e. Scypio Emilianus otrzymał polecenie zrównania Numancji z ziemią i dokonał tego po trwającym osiem miesięcy oblężeniu. Wśród oficerów Scypiona byli wtedy Jugurta z Numidii, Gajusz Mariusz, Publiusz Rutyliusz Rufus i Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski. Gdy miasto wreszcie się poddało, Scypion dosłownie zmiotł je z powierzchni ziemi i stracił lub wywiózł wszystkich jego mieszkańców, traktując to jako lekcję dla Celtyberów, iż nigdy nie wygrają z Rzymem.

numen - dosłownie: „bóstwo”. Terminu tego używają bardziej współcześni uczeni niż starożytni Rzymianie, chcąc opisać dziwne i bezcielesne rodzime bóstwa Italii i Rzymu - jeśli określenie „duchy” nie byłoby tu właściwsze. Te stare bóstwa rządziły wszystkim - od deszczu i wiatru - po drzwi domu, odpowiedzialne były za właściwe ustawienie kamieni granicznych czy po prostu za to, co zwiemy szczęściem. Nie miały one twarzy, płci ani mitologii. Z biegiem lat, kiedy w Republice modne stało się wszystko, co greckie, wiele z rdzennych bóstw Italii zyskało imię, płć, a nawet twarz, nie znaczy to jednak, że religia rzymska była naśladownictwem wierzeń greckich. W przeciwieństwie do Grecji religia rzymska była tak dogłębnie związana ze strukturą państwową, że nie mogły one bez siebie istnieć. Taki stan rzeczy sięgał czasów rzymskiej monarchii, kiedy wszystkie bóstwa były bezosobowe, i trwał aż do przyjęcia przez cesarzy i ich dwory chrześcijaństwa, co podcięło korzenie rzymskiej religii. W czasach Gajusza Mariusza, na długo przedtem, zanim oficjalne wierzenia zaczęły tracić na znaczeniu, nawet najbystrzejsi i najbardziej sceptyczni z Rzymian, w tym Gajusz Mariusz i Juliusz Cezar Dyktator, przestrzegali skrupulatnie nakazów religijnych. Możliwe, że przesądnymi czynił ich właśnie ten nieuchwytny, bezosobowy pierwiastek rzymskiej religii.

Numidia - starożytne królestwo w środkowej części Afryki Północnej,

otaczające od zachodu, wschodu i południa Kartaginę, później zaś rzymską prowincję Afrykę. Jej rdzennymi mieszkańcami byli Berberowie, prowadzący życie na pół koczownicze. Po upadku Kartaginy Rzym i Scypionowie popierali ustanowienie lokalnej dynastii królewskiej, której pierwszym członkiem był Masynissa. Stolicą Numidii była Cyrta.

oakum - z grubsza splecione ze sobą włókna zbierane z różnych wełnistych nasion, waty klonowej i odpadów z lnu, używane czasem do uszczelniania, przeważnie jednak stosowane jako knoty do lamp.

obywatelstwo - w znaczeniu używanym w tej książce: obywatelstwo rzymskie. Posiadanie go uprawniało do głosowania w odpowiedniej *tribus* i klasie majątkowej (jeśli miało się majątek wystarczający, by należeć do którejś z klas) we wszystkich rzymskich wyborach. Obywatela nie można było karać chłostą, należał mu się rzymski proces i miał prawo do apelacji. W pewnym okresie wymagano wykazania się obywatelstwem obojga rodziców, w innym - tylko ojca (stąd *cognomen Hybrida*). Obywatel zobowiązany był do służby wojskowej (do czasów Mariusza tylko wówczas, gdy posiadał majątek wystarczający do zakupu broni i zbroi oraz utrzymania się w czasie kampanii, państwo wypłacało bowiem bardzo niski żołd i to pod koniec kampanii).

Odys - po łacinie Ulisses. Legendarny król Itaki, jedna z głównych postaci *Iliady* i bohater *Odysei* Homera.

ojcowie spisani - ustanowiony przez rzymskich królów senat składał się z setki patrycjuszów zwanych *patres*, czyli ojcami. Po ustanowieniu Republiki i dopuszczeniu plebejuszy do senatu liczba jego członków wzrosła do trzystu. Obowiązek mianowania nowych senatorów przypadła cenzorom, którzy sporządzali ich imienną listę - wtedy to weszło w użycie określenie „spisani”. Oba terminy były w czasach Mariusza używane łącznie, tak więc członków senatu zwano „ojcami spisanyimi”.

Olimpia - słynne sanktuarium Zeusa, nie leżące jednak w pobliżu góry Olimp, ale w Elidzie na zachodzie Peloponezu.

oppidum - w znaczeniu używanym w tej książce jest to ufortyfikowane osiedle, znajdujące się zazwyczaj na szczycie wzgórza i mające zapewnić ochronę okolicznym ziemiom. Ja używałam tego terminu wyłącznie w odniesieniu do osiedli w Galii Długowłosych (*Gallia Comata*).

opus incertum - najstarszy ze sposobów, w jaki Rzymianie budowali mury. Wznoszono dwie ściany ze związanych zaprawą małych, nieregularnych kamieni, a pustą przestrzeń pomiędzy nimi wypełniano zaprawą (*caementa*), w której zmieszane były wapno, czarna puzzolana, żwir i małe kamienie. Udowodniono, że mury takie budowano już w roku 200 p.n.e., a także że w czasach Gajusza Mariusza nowe techniki budowlane nie zastąpiły jeszcze starego i wypróbowanego *opus incertum*.

ordo - grupa społeczna o podobnej genealogii i statusie majątkowym.

Ordo Equester - zob. ekwici.

oskijski język - język, którym posługiwali się Samnici, Lukanowie, Frentangowie, Apulowie, Brucjowie i Kampanowie. Był spokrewniony z łaciną, znacznie się jednak od niej różnił. W czasach Gajusza Mariusza był wciąż językiem żywym i powszechnie używanym, rodowici Rzymianie

gardzili jednak tymi, którzy mówili po oskijsku.

Ostia - port morski Rzymu, położony u ujścia Tybru. We wczesnym okresie dziejów Rzymu znajdowały się tu złoża najlepszej - a może i jedynej - soli w Italii. Za Republiki Ostia była miastem ufortyfikowanym, a w czasie wojen punickich pełniła rolę głównej bazy rzymskiej floty wojennej. Z powodu uciążliwych ławic piasku i ciągłego zamulania Ostia nie była portem wygodnym, nie zmieniało to jednak faktu, że był on bardzo intensywnie uczęszczany. Tylko najmniejsze statki kupieckie ważyły się płynąć w górę wartkiego, lecz zamulonego Tybru aż do Rzymu - ładunek z dużych i średnich statków był zazwyczaj rozładowywany w Ostii i transportowany do Rzymu na barkach lub galerach. To w Ostii znajdowały się spichrze, miała też ona swojego własnego kwestora, który czuwał nad rozładunkiem i transportem zboża, a także odpowiadał za pobór wszelkiego rodzaju podatków i akcyz.

Padus - dzisiejsza rzeka Pad we Włoszech.

Pamfilia - kraina na południowym wybrzeżu Azji Mniejszej, leżąca pomiędzy Licją a Cylicją. Niezwykle wysokie góry Tauru schodziły tu aż do morza, przez co wybrzeża Pamfilii były wyjątkowo skaliste i niedostępne. Ziemia w głębi lądu porośnięta była lasami sosnowymi, a cały kraj był biedny i nie zapewniał swym mieszkańcom godziwych warunków życia - dlatego też najpopularniejszym zajęciem było tu piractwo.

pancerz - składały się nań dwie płyty, zazwyczaj z brązu lub stali, a czasem z gotowanej skóry, z których jedna osłaniała klatkę piersiową i brzuch, druga zaś plecy. Płyty połączone były pasami lub wiązane na ramionach i z boku pod pachami. Niektóre były dokładnie dopasowane do kształtów torsu, inne znów pasowały na każdego mężczyznę przeciętnej budowy i postury. Wyżsi rangą wojskowi, zwłaszcza wodzowie, nosili zazwyczaj pięknie zdobione pancerze ze stali lub brązu nabijane srebrnymi, a czasem złotymi płytkami. Wódz i jego legaci nosili też na pancerzach czerwone szarfy.

panteon - termin współczesny, używany dla określenia wszystkich bóstw politeistycznego systemu religijnego.

papier Fanniusza - Rzymianin Faniusz w latach około 150-130 p.n.e. poddał najgorszy gatunek papirusu obróbce, dzięki której uzyskał papier nie ustępujący najlepszemu papirusowi. Papieru Fanniusza używali bracia Grakchowie, stąd wiemy, kiedy Faniusz opracował technologię wyrobu. Jego papier był łatwy do uzyskania i dużo tańszy od egipskiego papirusu hieratycznego.

papirus - z soczystej łodygi egipskiego błotnego papirusu wyrabiano dzięki niezwykle pomysłowej, ale i pracochłonnej metodzie papier. Nie udało się tego nigdy dokonać przy użyciu innego gatunku papirusu niż egipski. Trudno ustalić, kiedy dokładnie po raz pierwszy uzyskano materiał piśmienniczy z roślin, ale wydaje się, że w powszechnym użytku znalazł się on w czasach pierwszego Ptolemeusza, około roku 332 p.n.e. Rozpowszechnienie się papirusu po roku 300 p.n.e. było bez wątpienia jednym z największych kroków w kierunku rozwoju literatury, jakie poczyniono w starożytności. Proces przetwarzania gorszego papieru w

dobry, opracowany około roku 150 p.n.e. przez Rzymianina Fanniusza, uczynił papier jeszcze bardziej dostępnym i tanim.

pas do miecza - bywał przewieszany na ukos przez ramię, czego wymagał długi miecz germański, albo opinał w pasie żołnierza noszącego krótki miecz rzymski, *gladius*.

Patavium - dzisiejsza Padwa w północnych Włoszech. Najbogatsze i najszybciej rozwijające się miasto Galii Italskiej.

pater familias - głowa rodziny. Według rzymskiego prawa miał on prawo uczynić wszystko, co zechciał, z członkami swojej rodziny.

Patraj - dzisiejsze Patras na greckim Peloponezie. Miasto położone na południowym (peloponeskim) brzegu Zatoki Korynckiej było naturalnym (oczywiście w zależności od wiatru i prądów morskich) schronieniem dla podróżujących do Grecji z Sycylii lub Tarentu.

patron - społeczeństwo rzymskie zorganizowane było w system patronatu i klienteli. Choć nie obejmował on zapewne najdrobniejszych przekupniów i robotników, to jednak był powszechny we wszystkich warstwach społecznych. Patron zapewniał ochronę i przywileje tym, którzy zdeklarowali się jako jego klienci (zob. klient).

patrycjusze - pierwotna arystokracja rzymska. Byli oni klasą uprzywilejowaną jeszcze przed nastaniem królów rzymskich, a i za monarchii zachowali tytuły i prestiż nieosiągalny dla jakiegokolwiek plebejusza, niezależnie ilu byłych konsulów nobilitowało jego ród. Z nastaniem Republiki jednak, w miarę jak rosły wpływy i majątki plebejuszy, patrycjuszom odbierano stopniowo ich przywileje, tak że w czasach Gajusza Mariusza byli już oni klasą mniej znaczącą i zbiedniała w stosunku do nowej plebejskiej arystokracji nobilów. Nie wszystkie rody patrycjuszowskie były jednakowo starożytnie - Juliusze i Fabiusze byli na przykład rodami o parę stuleci starszymi od Klaudiuszy. Patrycjusze zawierali małżeństwa w starodawnej formule *confarreatio*. Związek taki trwał przez całe życie, a kobiety z patrycjuszowskich rodów nie cieszyły się nigdy takim równouprawnieniem jak plebejuszki. Niektóre urzędy kapłańskie (Rex Sacrorum i *flamen Dialis*) mogły być sprawowane jedynie przez patrycjuszy, tak jak i niektóre stanowiska w senacie: *interrex* i *princeps senatu*. W czasach Gajusza Mariusza w senacie zasiadały wciąż następujące rody patrycjuszowskie: Emiliusze, Klaudiusze, Korneliusze, Fabiusze (ale tylko poprzez adopcje), Juliusze, Manliusze, Papiusze, Pinariusze, Postumiusze, Sergiusze, Serwiliusze, Sulpicjusze i Waleriusze.

pedagog - wychowawca małych dzieci. To on dbał o ich podstawowe wykształcenie: umiejętność czytania, pisania i liczenia. Pedagogiem był niewolnik lub wyzwolonec narodowości najczęściej greckiej (choć uczyć miał tak łaciny, jak i greki), który mieszkał razem z rodziną uczonych przez siebie dzieci.

pedarius - senator nie piastujący żadnego urzędu, zasiadający w tylnych ławach (zob. senat).

Pelignowie - lud zamieszkujący środkową Italię, sprzymierzony z Marsami i Sabinami.

Peloponez - południowa część Grecji, połączona z główną częścią kraju

wąskim pasmem łądu (tzw. istmem - *isthmus*) w okolicy Koryntu. W czasach Gajusza Mariusza Peloponez był krainą mało znaczącą i wyludnioną - tak jak i w zasadniczej części Grecji większość mieszkańców wolała sprzedać się w niewolę, niż wieść życie w stagnacji.

pergamin - gdy król Egiptu Ptolemeusz V Epifanes zakazał wywozu papirusu z Egiptu (około roku 190 p.n.e.), brak odpowiedniego materiału piśmienniczego stał się tak dotkliwy, że w Pergamonie w Azji Mniejszej wynaleziono sposób na uzyskanie substytutu papirusu, zwanego welinem lub pergaminem. Skóry młodych zwierząt, przeważnie jagniąt i kozłat, myto, dokładnie skrobano i polerowano pumeksem i kredą. Wkrótce jednak Egipt znów zaczął eksportować papirus, a pergamoński pergamin nie zdołał wyprzeć go z rynku, był bowiem droższy, a jego produkcja trwała dłużej. Na pergaminie pisano tylko dokumenty tak ważne, że miały „przetrwać wieki”.

Penaty - domowe bóstwa opiekujące się spiżarnią. Jako jedne z najstarszych, bezosobowych rzymskich bóstw (zob. *numen*), Penaty czczone były w każdym domu razem z Westa (duchem domowego ogniska) i Larami rodzinnymi - szczególnym rodzajem Larów, opiekującym się danym rodem. Podobnie jak Lary, Penaty przedstawiano w formie brązowych figurek młodzieńców.

perypatetycy (od greckiego: *peripateo* - przechadzam się) - uczniowie szkoły założonej przez Arystotelesa, a rozbudowanej przez jego ucznia Teofrasta. Niestety, następcy Teofrasta nie zatroszczyli się o pisaną spuściznę po Arystotelesie i jedyną kopię jego prac powierzyli Neleusowi ze Skepsis, który zabrał je do domu do Troady i złożył w piwnicy, w której leżały zapomniane przez 150 lat. Nazwa szkoły perypatetyków pochodzi stąd, że tamtejsi uczeni przechadzali się w czasie swych dysput (podobno czynił to w czasie rozmów z uczniami także sam Arystoteles). W czasach Gajusza Mariusza ta szkoła filozoficzna nie cieszyła się już wielką sławą, zatraciła bowiem ciekawość świata właściwą Arystotelesowi i skupiła się na literaturze, krytyce literackiej, traktatach moralnych i pisanych kwiecistym, nienaturalnym stylem biografiami.

perystyl - kolumnowy krużganek, otaczający wewnętrzny domowy ogród lub dziedziniec.

Pesynos - niewielkie miasto we wschodniej Frygii słynące ze znajdującego się tu przybytku i głównego sanktuarium Wielkiej Matki.

Picenum - kraina leżąca we wschodniej części Italii, dokładnie na łądce italskiego buta. Jej zachodnią granicę stanowiły Apeniny, północną Umbria, a południową Samnium. Picenum ciągnęło się wzdłuż wybrzeży Adriatyku, stąd znajdowały się tu aż dwa duże porty, Ankona i Firmum Picenum. Głównym miastem położonym w głębi łądu było Asculum Picentum. Krainę tę zamieszkiwali pierwotnie Italikowie i Ilirowie, jednak podczas najazdu Galów pod wodzą Brennusa I osiedliło się tu wielu jego celtyckich poddanych, miesząc się z tubylczą ludnością. Do czasów Gajusza Mariusza wszyscy mieszkańcy Picenum (szczególnie na północy) mieli już domieszkę krwi celtyckiej.

pilaster - połączona z murem ozdobna kolumna lub filar.

pilum - włócznia rzymskiej piechoty, szczególnie powszechna po reformie Mariusza. Włócznia ta miała bardzo małe, niebezpiecznie zakrzywione ostrze, osadzone na metalowym trzonie długości około 1 metra, połączonym z wygodnym w trzymaniu kształtowanym drzewcem. Mariusz zmodyfikował *pilum*, osłabiając znacznie miejsce połączenia drzewca z metalem, tak że utkwivszy w ziemi, tarczy czy ciele przeciwnika, włócznia łamała się i nieprzyjaciel nie mógł już jej wykorzystać. Rzemieślnicy wchodzący w skład rzymskiej armii potrafili za to bardzo szybko naprawić złamane *pilum*,

pipinna - członek małego chłopca.

Placencja - dzisiejsza Piacenza, jedno z największych i najważniejszych miast Galii Italskiej, będące od roku 218 p.n.e. kolonią na prawach latyńskich. Jego znaczenie poważnie wzrosło po tym, jak cenzor Marek Emiliusz Skaurus, princeps senatu, przyczynił się do wybudowania nowej drogi wiodącej od wybrzeży Morza Tyrreńskiego przez Dertonę aż do Placencji i doliny Padu.

plebejusze - byli nimi wszyscy obywatele rzymscy nie należący do rodów patrycjuszowskich. U zarania Republiki plebejusz nie mógł zostać kapłanem, urzędnikiem kurulnym ani senatorem. Stan taki trwał jednak bardzo krótko - patrycjusze tracili jeden przywilej po drugim, tak że w czasach Gajusza Mariusza w ich wyłącznej gestii pozostało już tylko kilka nic nie znaczących stanowisk. Plebejusze wykreowali nową warstwę arystokracji urzędniczej, tak by znaczniejsi z nich wyróżniali się spośród tłumu: tych, którzy sprawowali już konsulat, zaczęto nazywać nobilami, a tytuł ten przechodził na ich bezpośrednich potomków.

plebiscyt - kiedy nad jakąś ustawą głosowało Zgromadzenie Plebejskie, nie była ona nazywana prawem (*lex*), ale plebiscytem (*plebiscitum*) - stąd dzisiejsze znaczenie tego słowa. Plebiscyty od zarania Republiki uważane były za obowiązujące prawa, formalnie taki stan rzeczy zatwierdziło dopiero w roku 287 p.n.e. *lex Hortensia*. Od tej chwili nic właściwie nie różniło pod względem prawnym *lex* od *plebiscitum*. W czasach Gajusza Mariusza żaden z urzędników spisujących prawa nie trudził się już zaznaczaniem, czy spisuje właściwe *lex* czy też *plebiscitum* - jedno i drugie było w jego oczach po prostu prawem.

podex - tyłek.

Pole Marsowe - położone na północ od Murów Serwiańskich w szerokim zakolu Tybru, od południa ograniczone Wzgórzem Kapitolińskim, a od wschodu wzgórzem Pincius. Tutaj stacjonowały armie oczekujące na tryumfy swoich wodzów, tu odbywały się ćwiczenia wojskowe i szkolenie młodzieży. Na Polu Marsowym zbierało się Zgromadzenie Centurialne. Przez Pole wiodła na północ Via Lata (Via Flaminia). Małe gospodarstwa ogrodnicze konkurowały tu z publicznymi parkami.

Policzeni Głowami - terminu tego używałam w książce dla określenia najniższej klasy obywateli rzymskich, *capitecensi*, czyli tych, którzy byli zbyt ubodzy, by należeć do jednej z pięciu klas majątkowych. Cenzorzy liczyli ich jedynie, dokonując spisu głów. Wołałam określenie Policzeni

Głowami od słów „proletariat” i „masy” ze względu na współczesne, pomarksistowskie skojarzenia wywoływane przez te wyrażenia, całkowicie mylące w odniesieniu do czasów starożytnych (zob. *capitecensi*, proletariat).

Polluks - „zapomniany bliźniak”, bokser, brat Kastora. Był jednym z czworaczków króla Tyndareusa i jego żony Ledy, z których dwoje zostało splodzonych przez Tyndareusa, dwoje zaś przez Zeusa, który uwiódł Ledę pod postacią łąbędzia. Kastor i Helena należeli do Zeusa, Polluks (Polideukes) zaś i Klitajmestra do Tyndareusa. Polluksa wymieniano zawsze w drugiej kolejności, za starszym bratem, często zaś w ogóle o nim zapominano. Tak np. świątynię Kastora i Polluksa stojącą w Forum Romanum Rzymianie zwali po prostu świątynią Kastora (zob. Kastor).

pomerium - uświęcone granice miasta Rzymu. Oznaczone były kamieniami zwanymi *cippi*. Według legendy zostały one określone przez króla Serwiusza Tulliusza i pozostały nie zmienione aż do czasów dyktatury Sulli. *Pomerium* nie pokrywało się dokładnie z zasięgiem murów serwiańskich, co jest kolejnym powodem, by powątpiewać, czy mury te zostały rzeczywiście wzniesione przez Serwiusza Tulliusza (on z pewnością wyznaczyłby je na tej samej linii co *pomerium*). W zasięgu *pomerium* mieściło się całe starożytne miasto Romulusa na Palatynie, nie obejmowało ono już jednak ani Awentynu, ani Kapitolu. Według tradycji *pomerium* mogło być rozszerzone tylko przez kogoś, kto znacznie powiększył granice rzymskich posiadłości. W sensie religijnym Rzym zamykał się wewnątrz *pomerium* - poza nim rozciągało się jedynie rzymskie terytorium.

pons - most.

Pont - duże państwo leżące na południowo-wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego.

pontifex - kapłan. Wielu filologów sądzi, że we wczesnym okresie dziejów Rzymu *pontifex* był odpowiedzialny za budowę mostów, uważanych za budowle magiczne. Za Republiki jednak kapłani, zrzeszeni w kolegiach, służyli jedynie poradą w kwestiach religijnych rzymskim urzędnikom - rzymska religia była bowiem nierozzerwalnie spleciona ze strukturami państwowymi. Z początku wszyscy kapłani musieli pochodzić z patrycjatu, jednak wprowadzone w roku 300 p.n.e. *lex Ogulnia* stanowiło, że połowa składu kolegium musi wywodzić się spośród plebejuszy.

Pontifex Maximus - najwyższy kapłan rzymskiej religii państwowej. Wydaje się, że tytuł ten został ustanowiony przez młodą Republikę, dzięki czemu w typowy dla Rzymian sposób, obchodząc przeszkodę i nie raniąc niczyich uczuć, rozwiązano problem starego tytułu Rex Sacrorum (noszonego przez rzymskich królów), oznaczającego dotąd najwyższego z kapłanów. Aby nie gniewać ludu obalaniem starego urzędu, senat stworzył po prostu stanowisko nowego *pontifexa*, od którego Rex Sacrorum był teraz zależny. Pontifex Maximus miał być obieralny, co umacniało jeszcze jego pozycję polityczną. Z początku musiał być zapewne patrycjuszem, jednak później częściej wywodził się spośród plebejuszy. Był przełożonym wszystkich kolegiów kapłańskich - właściwych *pontifices*, augurów,

fecjałów i innych pomniejszych kapłanów, a także westalek. W czasach Republiki wraz z westalkami zamieszkiwał on najważniejszy rzymski Domus Publicus, czyli dom państwowy. Miejscem zaś, w którym oficjalnie sprawował swój urząd, były starodawne Regia na Forum Romanum.

Populonia - miasto portowe na zachodnim wybrzeżu Italii.

porta - brama.

port rzymski - odcinek wybrzeża Tybru poniżej Mostu Patowego (*Pons Sublicius*), gdzie wzniesiono nabrzeża, biura i składy, które przyjmowały ciągle napływające na barkach towary z Ostii. To stąd ładunki ze stojących w Ostii statków rozprowadzano w różne rejony miasta. Port znajdował się już poza obrębem murów serwiańskich, a jego terytorium ograniczały strome stoki Awentynu, mieszczącego spichlerze państwowe.

portyk (*porticus*) - zadaszona kolumnada, mająca albo kształt długiej, prostej arkady, albo krużganku otaczającego czworokątny dziedziniec. Było to zazwyczaj miejsce publicznych zgromadzeń i targów. Znajdujący się u szczytu Forum Romanum portyk Margaritaria nazwę swą zawdzięczał handlarzom pereł, którzy mieli tu swoje sklepy. W portyku Metellusów, sąsiadującym ze świątynią Jowisza Statora na Polu Marsowym, mieściły się urzędy cenzorów i wiele innych urzędów publicznych. Portyk Minuncjusza w pobliżu Cyrku Flaminiusza mieścił składy zboża, zarządzane przez edylów, a także ich biura. Portyk Emiliusza, stojący naprzeciw nabrzeży rzymskiego portu, był prawdziwym emporium handlowym, tu bowiem mieściły się biura kupców przywożących i wywożących z Rzymu swe towary.

posiłkowe oddziały - wchodzące w skład armii rzymskiej legiony, których żołnierze, zwani również posiłkowymi, nie mieli rzymskiego obywatelstwa. Odnosi się to również do kawalerii. W czasach Mariusza większość posiłkowych oddziałów piechoty stanowili mieszkańcy Italii, kawalerii zaś - Galowie, Numidyjczycy, Trakowie i żołnierze innych krajów, których armia - w przeciwieństwie do Rzymu - używała koni.

praefectus fabrum - jeden z najważniejszych ludzi w rzymskiej armii, mianowany przez głównodowodzącego, chociaż był cywilem. *Praefectus fabrum* był odpowiedzialny za wyekwipowanie i zaopatrzenie armii we wszystkie potrzebne jej produkty, od rumaków po żywność. Ponieważ to on zawierał kontrakty z dostawcami, był postacią niezwykle wpływową i - o ile nie miał silnej woli - bardzo łatwo było mu się wzbogacić.

praenomen, praenomina - pierwsze imię Rzymianina. W użytku było ich bardzo niewiele - w czasach Gajusza Mariusza około dwudziestu, z czego połowa była mało popularna. Każdy ród miał w dodatku swoje ulubione *praenomina*, wybór więc był bardzo niewielki (uczeni potrafią dziś określić tylko na podstawie *praenomen*, czy ktoś naprawdę należał do rodu, którego imię rodowe nosił!). Juliusze na przykład faworyzowali imiona Sekstus, Gajusz i Lucjusz, tak więc ktoś, kto nazywał się Marek Juliusz, nie należał najprawdopodobniej do patrycjuszowskiej *gens Julia*. Ulubionymi imionami Licyniuszy były Publiusz, Marek i Lucjusz, Pompejusze nazywali się Gnejusz, Kwintus albo Sekstus, a Korneliusze - Publiusz i Lucjusz.

Niektóre imiona były właściwe tylko pewnym rodom - na przykład imię Appiusz należało wyłącznie do rodu Klaudiuszy, a Mamerkus - Emiliuszy Lepidusów. Jedną z nie rozwiązanych dotąd przez uczonych zagadek jest postać Lucjusza Klaudiusza, Rex Sacrorum z czasów późnej Republiki. Lucjusz nie jest imieniem rodu Klaudiuszy, jednak z racji piastowanego urzędu Lucjusz Klaudiusz był na pewno patrycjuszem i musiał należeć do *gens Claudia*. Ja założyłam, że istniała gałąź rodu Klaudiuszy, w której noszono *praenomen* Lucjusz, a tytuł Rex Sacrorum przechodził tradycyjnie z ojca na syna.

pretor peregrinus - zajmował się tylko tymi sprawami, w których jedna ze stron nie posiadała rzymskiego obywatelstwa. W czasach Gajusza Mariusza zajmował się on wymierzaniem sprawiedliwości, podróżując po całej Italii albo i poza nią. Zajmował się też procesami toczonymi na terenie miasta wówczas, gdy jedna ze stron nie miała rzymskiego obywatelstwa.

praetor urbanus - pretor miejski. W czasach Gajusza Mariusza jego obowiązki polegały niemal wyłącznie na rozstrzyganiu spraw spornych, nadzorował też działalność trybunałów na terenie Rzymu. Jego imperium było ważne tylko do piątego kamienia milowego od Rzymu i nie wolno mu było opuszczać miasta na dłużej niż dziesięć dni. Jeśli obu konsulów nie było akurat w Rzymie, on był najwyższym urzędnikiem i miał prawo zwołać posiedzenie senatu lub - w wypadku zagrożenia - zorganizować obronę miasta. Od jego decyzji zależało, czy dwie spierające się ze sobą strony wnoszą sprawę do sądu, najczęściej jednak on sam wcześniej rozstrzygał spór.

prawa latyńskie - pośrednia forma rzymskiego obywatelstwa, stojąca w hierarchii pomiędzy statusem italskich sprzymierzeńców a pełnymi prawami obywatelskimi. Ci, którzy objęci byli prawami latyńskimi, cieszyli się wieloma przywilejami na równi z rzymskimi obywatelami: łupy wojenne dzielone były równo, mogli zawierać chronione prawem kontrakty i małżeństwa z pełnoprawnymi obywatelami, a także wnosić apelacje odnośnie do wyroków śmierci. Nie posiadali oni jednak prawa *suffragium*, czyli głosowania w rzymskich wyborach, ani też zasiadania w rzymskim trybunale. Po buncie Fregellów w roku 125 p.n.e. urzędnikom miast objętych prawami latyńskimi oraz ich potomkom przyznano pełne obywatelstwo rzymskie.

pretor - pretura była drugim pod względem ważności urzędem *cursus honorum* (z pominięciem szczególnego urzędu cenzora). U zarania Republiki pretorami nazywano dwóch najwyższych rangą urzędników w Rzymie, pod koniec IV wieku p.n.e. zastępują ich już jednak konsulowie. Od tego czasu w Rzymie był już tylko jeden pretor - najpewniej był nim *praetor urbanus*, jako że zakres jego obowiązków ograniczał się tylko do spraw miasta (wojnami zajmowali się tylko konsulowie). W roku 242 p.n.e. utworzony został urząd drugiego pretora - *praetor peregrinus*. W związku z późniejszym rozszerzeniem rzymskiego terytorium w roku 227 p.n.e. powołano dwóch nowych pretorów, mających za zadanie zarządzać Sycylią i Sardynią. W roku 197 p.n.e. ogólną liczbę pretorów rozszerzono do

sześciu, zarządzania wymagały bowiem także obie Hiszpanie. W następnych latach nie powoływano już jednak żadnych dodatkowych stanowisk, tak że w czasach Gajusza Mariusza pretorów było wciąż sześciu - tak przynajmniej zdecydowałam się przyjąć w tej książce. (Muszę jednak dodać, że sprawa ta nie jest do końca rozstrzygnięta w kręgach naukowych: niektórzy twierdzą, że to dopiero Sulla rozszerzył liczbę pretorów do ośmiu, inni zaś są zdania, że stało się to już za czasów braci Grakchów).

primus inter pares - „pierwszy pośród równych”. Było to credo wszystkich Rzymian angażujących się w działalność polityczną, doskonale podsumowujące cele przeciętnego polityka. Ideałem było stać na czele równych sobie pod względem urodzenia, doświadczenia, osiągnięć, majątku i *dignitas*. Widać wyraźnie, że Rzymianie nie pragnęli zostać królami czy dyktatorami, tak by stać ponad innymi i nie mieć sobie równych. Rzym lubował się we współzawodnictwie.

primus pilus - centurion dowodzący pierwszą centurią pierwszej kohorty rzymskiego legionu - czyli najważniejszy centurion w całym legionie. Pozycję swą osiągał dzięki kolejnym awansom i uważany był za najzdolniejszego w legionie.

privatus - po prostu osoba prywatna, w tej książce jednak użyłam tego słowa dla określenia członka senatu nie sprawującego żadnego urzędu.

prokonsul - urzędnik mający władzę konsula. Takie imperium było zazwyczaj przyznawane tym, którzy zakończywszy swój konsulat, mieli zarządzać prowincją lub dowodzić armią w imieniu senatu i ludu rzymskiego, wciąż więc mieli władzę konsularną. Kadencja prokonsula była zazwyczaj jednoroczna, przedłużano ją jednak, jeśli w momencie jej zakończenia był on w trakcie prowadzenia kampanii wojennej. Jeśli nie można było akurat znaleźć odpowiedniego męża konsularnego, a prowincja była na przykład na tyle niespokojna, że wymagała imperium prokonsula, a nie propretora, wysyłano tam jednego z pretorów danego roku, nadając mu imperium prokonsularne. Imperium prokonsula ograniczone było zasięgiem jego prowincji lub zakresem powierzonego mu zadania i przestawało być ważne w momencie, kiedy wkraczał on w granice rzymskiego *pomerium*.

proletariat - inna nazwa najniższej klasy rzymskich obywateli, *capitecensi*, czyli Policzonych Głowami. Samo słowo pochodzi od łacińskiego *proles*, czyli dzieci albo młodzież, a proletariuszy zwano tak dlatego, że dzieci były jedynym dobrem, jakie mogli oni zaofiarować Rzymowi.

propretor - urzędnik mający władzę pretora. Imperium to nadawano pretorowi aktualnie urzędującemu lub temu, który zakończył już swą kadencję, aby mógł on zarządzać prowincją albo w razie potrzeby prowadzić wojnę. Podobnie jak w przypadku prokonsula propretor tracił swe imperium, przekraczając rzymskie *pomerium*. Urząd ten stał w hierarchii poniżej urzędu prokonsula i był zazwyczaj przyznawany zarządcom spokojnych prowincji. Propretor nie miał więc okazji angażować się w wojnę - jedyną, jaką mógł w istocie prowadzić, to wojna obronna.

prorogata - przedłużenie urzędniczej kadencji, stosowane w przypadkach zarządzania prowincją lub dowodzenia armią.

provincia - pierwotnie był to zakres obowiązków, do którego stosowało się posiadane przez kogoś imperium. Z czasem słowo to zaczęło oznaczać terytorium, na którym imperium to obowiązywało - czyli po prostu terytorium rzymskie wymagające zarządzania przez obecnego na miejscu urzędnika. W czasach Gajusza Mariusza wszystkie rzymskie prowincje leżały poza Italią.

provincia Afryka - rzymska prowincja Afryka była w czasach Gajusza Mariusza bardzo mała - w istocie obejmowała jedynie ziemie wokół Kartaginy. Prowincja rzymska otoczona była przez znacznie większą od niej Numidię.

provincia Azja - zachodnie wybrzeże, jak również ziemie w głębi dzisiejszej Turcji, od Troady na północy do Licji (naprzeciw Rodos) na południu. W czasach Republiki stolicą prowincji Azji był Pergamon.

princeps senatu - ktoś, kogo w dzisiejszych czasach nazwalibyśmy liderem. Cenzorzy wybierali spośród senatorów patrycjusza o nieposzlakowanej opinii, wielkiej *dignitas* i *auctoritas*, by sprawował funkcję pierwszego w senacie. Nie był to tytuł dożywotni, lecz nadawany co pięć lat, kiedy nowa para cenzorów obejmowała swój urząd.

Marek Emiliusz Skaurus został wybrany na pierwszego w senacie stosunkowo młodym wiekiem, sprawując jeszcze wciąż urząd konsula roku 115 p.n.e. Jako że nie było w zwyczaju wybierać kogoś na pierwszego w senacie, zanim nie został on wybrany na cenzora (Skaurus zaś został cenzorem dopiero w roku 109 p.n.e.), to albo wybór Skaurusa na to stanowisko był wyrazem uznania dla człowieka rzeczywiście niezwykłego, albo (jak sądzą niektórzy uczeni) był on w roku 115 p.n.e. najstarszym z patrycjuszy, którzy nadawali się do tej roli. Jakkolwiek było, Skaurus pozostał pierwszym w senacie aż do swej śmierci i nigdy nie groziło mu utracenie tego tytułu.

Przełęcz Brennusa - dzisiejsza przełęcz Brenner. Jej nazwa pochodzi albo od imienia pierwszego z dwóch celtyckich królów (zob. Brennus I), który najechał Italię przez tę właśnie przełęcz, albo od nazwy celtyckiego ludu Brennów, który zamieszkiwał w pobliżu przełęczy.

przełęcz Lugdunum - nazwa, której używam dla określenia dzisiejszej Małej Przełęczy św. Bernarda, łączącej Galię Italską i Zaalpejską. Znajdowała się ona na dużej wysokości, była jednak znana i użytkowana przed czasami Gajusza Mariusza. Znano również samą Przełęcz Św. Bernarda, nie podróżowano jednak tamtędy. Oba przełęczy strzegło od strony Galii Italskiej celtyckie plemię Salassów, zamieszkujące dzisiejszą Val d'Aosta.

przełęcz Mons Genava - nie wiem, jaką naprawdę nazwą określali Rzymianie dzisiejszą przełęcz Montgenevre w Alpach, łączącą dorzecze rzek Dora Ripara we Włoszech i Durance we Francji. Dla uproszczenia zlatynizowałam więc współczesną francuską nazwę. Była to najczęściej użytkowana ze wszystkich alpejskich przełęczy, przez nią to bowiem wiodła Via Emilia/Via Domitia.

Przełęcz Salassów - dzisiejsza Mała i Wielka Przełęcz św. Bernarda (zob. przełęcz Lugdunum, Salassowie).

pszenica orkisz (*triticum spelta*) - gatunek zboża, z którego uzyskiwano bardzo białą mąkę, doskonałą do wyrobu ciast (nie pieczono z niej chleba).

pteryges - skórzane pasy, opadające z bioder i ramion na kształt krótkiej spódniczki i rękawów, czasami zdobione frędzlą. Był to tradycyjny strój starszych oficerów i wodzów armii rzymskiej.

punicki - przymiotnikiem tym określano Kartaginę i jej mieszkańców, w szczególności zaś trzy kolejne wojny pomiędzy Kartaginą a Rzymem. Samo słowo pochodzi od słowa „fenicki”.

Puteole - dzisiejsze Pozzuoli. W czasach Gajusza Mariusza był to najważniejszy port w Italii i ośrodek handlowy ważniejszy nawet od Delos. Miasto było pięknie utrzymane i pomimo swego portowego charakteru pozostawało ulubionym miejscem letnich wakacji bogatych mieszkańców Rzymu. Jego najszlachetniejszym rodem była rodzina Graniuszy, najprawdopodobniej związanych z Gajuszem Mariuszem i latyńskim miastem Arpinum.

Rea Sylwia - córka Numitora, króla miasta Alba Longa. Na długo przed powstaniem Rzymu Numitor został pozbawiony tronu przez swego młodszego brata Amuliusza, a Rea Sylwia została przeznaczona na westalkę, tak aby nie mogła mieć dzieci. Ujrzał ją jednak i uwiódł bóg Mars. Gdy Amuliusz spostrzegł, że Rea Sylwia jest brzemienna, uwięził ją aż do czasu rozwiązania, potem zaś ułożył bliźnięta, które powiła, w koszu z sitowia i rzucił do Tybru. Rzeka wyrzuciła kosz na brzeg u stóp świętego drzewa figowego (*Ficus Ruminalis*), tam gdzie później wzniesiono wiodące na Palatyn Schody Kakusa. Bliźnięta znalazła tu wilczyca i wykarmiła je w pobliskiej jaskini. Potem przygarnął je niejaki Faustulus i jego żona Akka Larencja, którzy wychowywali chłopców aż do pełnoletności. Bliźniacy (którymi byli oczywiście Romulus i Remus), dorósłszy, zgładzili Amuliusza i przywrócili Numitorowi tron Alba Longa. W innych wersjach tej opowieści Rea Sylwia nosi imię Julia.

Regia - niewielki, starodawny budynek na Forum Romanum, skierowany frontem ku północy, będący siedzibą Najwyższego Kapłana i kolegium kapłańskiego. Regia miały status świątyni i znajdowały się tu ołtarze najstarszych rzymskich bóstw: Ops, Westy i Marsa Świętych Tarcz i Włóczni. To tutaj przechowywane były archiwa Najwyższego Kapłana, nigdy natomiast nie miał on tu swej rezydencji - choć tradycja głosi, że właśnie w Regiach mieszkał Numa Pompiliusz, drugi król Rzymu.

Remus - bliźniaczy brat Romulusa. Po tym jak pomógł on Romulusowi w założeniu osady na Palatynie i otoczeniu jej murami, został zabity przez brata za przeskoczenie przez mur; najprawdopodobniej jakiś rodzaj świętokradztwa.

Ren - rzeka ta stanowiła w starożytności naturalną granicę pomiędzy Galią a Germanią. Ren był tak wartki, głęboki i szeroki, że uważano, iż nie sposób zbudować na nim mostu.

repetundae - wyłudzenie lub szantaż. Aż do czasów Gajusza Mariusza nie było zwyczaju karania zarządców prowincji, którzy bogacili się,

nadużywając swej władzy. Dla ukarania konkretnych zarządców ustanowiono jeden czy dwa specjalne trybunały, to było jednak wszystko - w trybunałach tych zasiadali zresztą sami senatorowie i cała sprawa szybko zamieniała się w farsę, senatorowie bowiem nie skazali żadnego ze swych kolegów zarządzających prowincjami. Wreszcie w roku 122 p.n.e. Mamiusz Acyliusz Glabrio, bliski towarzysz Gajusza Grakcha, przeprowadził *lex Acilia*, ustanawiając stały trybunał dla sądenia spraw o nadużycia w prowincjach, obsadzony wyłącznie przez ekwitów, i typując imiennie 450 członków stanu rycerskiego, którzy mogli w tym trybunale zasiadać. W roku 106 p.n.e. Kwintus Serwiliusz Cepio oddał wszystkie trybunały, włącznie z tym, o którym mowa, w ręce senatorów. W roku 101 p.n.e. z kolei Gajusz Serwiliusz Glaucja przywrócił ekwitom wyłączne prawo zasiadania w trybunale sądzącym za nadużycia, a także wprowadził wiele ulepszeń, które miały odtąd obowiązywać we wszystkich sądach. Wszystkie znane nam sprawy toczone przed tym trybunałem dotyczą zarządców prowincji, myślę jednak, że w myśl *lex Acilia* trybunał do spraw nadużyć mógł sądzić wszelkie przypadki nielegalnego bogacenia się. Obywatele świadczący w tych procesach byli nagradzani, mieszkańcy prowincji zaś, którym udało się dowieść komuś, iż wyłudzał pieniądze, otrzymywali prawa obywatelskie.

Republika - nazwa ta składała się początkowo z dwóch słów: *res publica*, czyli rzecz publiczna. W dzisiejszych czasach słowem tym określamy ustrój, w którym zamiast monarchy rządzi obieralny rząd, wątpię jednak, by Rzymianie, ustanawiając swą Republikę, myśleli tymi samymi kategoriami. Faktem jednak jest, że rzymska Republika powstała jako ustrój alternatywny w stosunku do monarchii.

retoryka - sztuka przemawiania, z której Grecy i Rzymianie uczynili coś w rodzaju nauki. Wykształcony mówca wyrażał się zgodnie z dokładnie określonymi zasadami i wzorcami, które dotyczyły zresztą nie tylko tego, co mówił, ale i ruchów jego rąk i ciała. W okresie wczesnej Republiki w pogardzie miano greckich nauczycieli retoryki, czasem nawet wypędzano ich z Rzymu. Zaciekłym wrogiem greckich retorów był na przykład Kato Cenzor. Zamiłowanie jednak do kultury greckiej, jakie cechowało krąg młodych wykształconych Rzymian skupionych wokół Scypiona Emilianusa, przełamało te opory, tak że w czasach braci Grakchów większość młodzieży pobierała nauki u retorów greckich, łacińscy zaś z kolei popadli w niełaskę. Już wtedy rozpoznawano cztery różne style retoryczne - Lucjusz Licyniusz Krassus faworyzował na przykład styl azjatycki, tzw. azjanizm, bardziej kwiecisty i dramatyczny od stylu attyckiego. Musimy pamiętać, że słuchacze, którzy gromadzili się, by wysłuchać przemówienia (niezależnie od tego, czy dotyczyło ono kwestii prawnych czy politycznych), byli koneserami sztuki retoryki, słuchali więc i przyglądali się mówcy pełni krytycyzmu, znali bowiem reguły i zasady tej sztuki i niełatwo ich było zadowolić.

Rex Sacrorum - w czasach Republiki był drugim pod względem ważności kapłanem Rzymu. Musiał pochodzić z patrycjuszowskiego rodu, a życie utrudniało mu tyle samo przesądów, ile znosić musiał *flamen*

Dialis.

Ria - piszący po grecku Plutarch donosi, że matką Kwintusa Sertoriusza była Rea. Nie jest to jednak łacińskie imię rodowe. Nawet dziś jeszcze zdrobnieniem od rzymskiego imienia rodowego *Maria* (noszonego przez Gajusza Mariusza) jest forma „Ria”. Związek Kwintusa Sertoriusza z Gajuszem Mariuszem, trwający od pierwszych lat spędzonych przez nich w armii aż do czasów, gdy postępowanie Mariusza stało się nie do zniesienia nawet dla jego najwierniejszych stronników, kieruje moje myśli ku owemu enigmatycznemu imieniu matki Sertoriusza, do której, jak pisze Plutarch, był on bardzo przywiązany. Dlaczegoż matka Sertoriusza, nazywana w skrócie Ria, nie miałaby pochodzić z Mariuszy i być krewną Gajusza Mariusza? Dałoby to nam odpowiedź na wiele pytań. Tak właśnie zdecydowałam przyjąć, pisząc tę książkę, choć nie mam na to żadnych dowodów.

Rodan - żyzna i rozległa dolina tej rzeki, zamieszкана przez celtyckich Galów, szybko dostała się w strefę wpływów rzymskich, a po kampanii Gnejusza Domicjusza Ahenobarba z lat 122 i 121 p.n.e. weszła w skład rzymskiej prowincji Galii Zaalpejskiej aż po granice ziem zamieszkanymi przez Eduów.

Roma - Rzym.

Romulus - dominujący z dwójki bliźniąt (zob. Remus, Rea Sylwia). Po tym jak zbudował miasto na Palatynie i zabił swego brata, Romulus zgromadził wokół siebie grupę mężczyzn, ustanawiając w obniżeniu między dwoma wierzchołkami Kapitolu azyl i przyjmując tu przeróżnych uchodźców - w dużej części zapewne przestępców. Trudniej było mu znaleźć kobiety, które zamieszkałyby w jego mieście. Zaprosił więc wszystkich mieszkańców pobliskiego osiedla Sabinów na Kwirynale na ucztę i pokonawszy Sabinów, uprowadził ich kobiety. Tym sposobem zamieszkanymi przez Sabinów Kwirynał włączony został do rozrastającego się miasta Romulusa, a wilgotne, ponure i błotniste obniżenie pomiędzy Palatynem i wzgórzami na północnym wschodzie stało się ziemią neutralną i miejscem publicznych zebrań i handlu. Otrzymało ono w końcu nazwę Forum Romanum.

Romulus rządził długie lata, aż pewnego dnia wybrał się na polowania na Kozie Bagna na Polu Marsowym i tu zaskoczyła go straszliwa burza. Gdy nie wrócił do domu, przyjęto, że bogowie wzięli go do siebie i uczynili nieśmiertelnym.

rostra (*rostrum*) - okuty brązem lub dębiną dziób okrętu. W czasie bitwy uderzano nim jak taranem w burtę nieprzyjacielskiego okrętu. Gdy w roku 338 p.n.e. konsul Gajusz Maniusz rozbił doszczętnie flotę Wolsków pod Ancjum, przywiózł dzioby pokonanych przez siebie okrętów do Rzymu i przyozdobił nimi wznoszącą się na Forum mównicę. Od tego czasu mównicę tę zwano rostra, czyli „dzioby”.

Rusykada - port w pobliżu miasta Cyrta w Numidii.

Sabatia - albo Vada Sabatia, dzisiejsza Savona, miasto portowe w Ligurii.

Sabinowie - plemię oskijskie, zamieszkujące na północny wschód od

Rzymu, od rogatek miasta aż po łańcuch Apeninów, wzdłuż Via Salaria, starodawnej Drogi Solnej wiodącej do Adriatyku. Sabinowie słynęli z dzielności, jednomyślności i niezależności. Ich głównymi miastami były Nersia, Reate i Amiternum.

Sabis - dzisiejsza rzeka Sambre we Francji.

sacrosanctas - uświęcona nietykalność osobista, przysługująca trybunom plebejskim. Przywilej ten nadali im plebejusze, którzy przysięgali bronić nietykalności swych przedstawicieli.

saepta - dosłownie: „owczarnia”. Za Republiki była to po prostu otwarta przestrzeń niedaleko od Via Lata i Villa Publica na Polu Marsowym. Nie wznosiły się tu żadne zabudowania, to tu jednak zbierały się Zgromadzenie i komicje Centuriałne. Ponieważ na Zgromadzeniu Centuriałnym odbywały się zazwyczaj głosowania, *saepta* dzielona była na sektory tymczasowymi ogrodzeniami, tak że każda z pięciu klas głosowała w swoich centuriach.

sagum - długi aż do ziemi ciepły żołnierski płaszcz. Tkano go z nie odłuszczonej wełny, aby był jak najmniej przemakalny, i krojono z całego koła, wycinając jedynie dziurę na głowę. Najlepsze *sagum* pochodziły z Ligurii, gdzie hodowano owce o gęstej i tłustej wełnie.

Salassowie - celtyckie plemię zamieszkujące alpejską dolinę rzeki Duria, na północny zachód od Mediolanu. Rzymskie najazdy na dolinę w II wieku p.n.e. zmusiły Salassów do wycofania się, ale i spotęgowały ich opór i niechęć wobec Rzymu. Rzymian z kolei przyciągały do ich terenów obfite aluwialne złoża złota, wydobywanego w dolinie Durii niedaleko od Eporerii. Ci jednak, którzy zapuszczali się powyżej doliny, ryzykowali zaciekły atak ze strony Salassów. Gajusz Mariusz wzmocnił rzymską pozycję na tych ziemiach, osiedlając część swoich weteranów w Eporerii, Salassowie zaś stopniowo wycofali się w wysokie Alpy, osiedlając się na przełęczach, gdzie z kolei utrudniali poważnie rzymską komunikację.

saltatrix tonsa - dosłownie: „ogolona tancerka”, czyli po prostu mężczyzna o skłonnościach homoseksualnych, który oferował swe usługi w kobiecym przebraniu.

Samnici - oskijski lud, zamieszkujący ziemie leżące pomiędzy Lacjum, Kampanią, Apulią i Picenum. Większa część Samnium była górzysta i niezbyt żyzna, tutejsze miasta zaś (m.in. Bovianum, Caieta i Aeclanum) były małe i dość biedne. Dwa większe miasta, Aesernia i Beneventum, były rzymskimi koloniami na prawach latyńskich. Samnici byli zawsze zaprzysięgłymi nieprzyjaciółmi Rzymu i kilka razy, we wczesnym okresie dziejów Republiki, zadali jej armiom druzgocące klęski. Nie mieli jednak dość ludzi i środków do życia, by długo odpierać rzymskie ataki. Około roku 180 p.n.e. Samnici nie zdołali już zapobiec osiedleniu na ich ziemiach dużej grupy Liguryjczyków, wysiedlonych przez Rzymian ze swej ojczyzny za sprawianie Rzymowi nadmiernych kłopotów na północy. Wydawało się to wtedy Rzymianom mądrym posunięciem, jednak nowi osadnicy zostali szybko wchłonięci przez ludność samnicką i nie mniej niż ona nienawidzili Rzymu. Opór w Samnium znowu się więc nasilił.

Sardynia - duża wyspa na Morzu Tyrreńskim, jedna z dwóch najstarszych prowincji Rzymu. Z jej żyznych wzgórz zbierano doskonałej

jakości żyto. Rzym przejął władzę nad Sardynią i Korsyką po zwycięstwie nad Kartaginą, do której wyspy te wcześniej należały. Za Republiki nigdy nie udało się Rzymianom zaprowadzić tu całkowitego ładu i porządku - Sardynia, nękana bandytyzmem, stała się jednym z najbardziej pogardzanych rzymskich terytoriów, a do jej mieszkańców przylgnęło miano złodziei, zabijaków i głupców.

satrapa - tytuł nadawany przez perskich królów zarządcom prowincji. Przejął go i stosował w stosunku do swoich sług Aleksander Wielki, a także późniejsi królowie Partii z dynastii Arsacydów. Terytorium rządzone przez satrapę nosiło nazwę satrapii.

Savus - dzisiejsza rzeka Sawa w Jugosławii.

sceptyk - wyznawca szkoły filozoficznej założonej przez Pyrrona i jego ucznia Tymona w mieście Skepsis w Troadzie (stąd jej nazwa). Sceptycy nie uznawali istnienia dogmatów, ale też byli przekonani, że człowiek nie dostąpi nigdy pełnego poznania. W rezultacie nie wierzyli w nic.

Scylla - jeden z pary mitycznych potworów (zob. Charybda).

Scypio (1) - Scypio Afrykański, Publiusz Korneliusz Scypion Afrykański, urodzony w roku 236 p.n.e., zmarł pod koniec roku 184 p.n.e. Jako bardzo młody człowiek wyróżnił się w bitwach nad rzeką Ticinus i pod Kannami, a w wieku 26 lat wciąż jako osoba prywatna otrzymał (bardziej z woli ludu niż senatu) imperium prokonsularne i został wysłany do Hiszpanii, by tu walczyć z Kartagińczykami. Służbę tę pełnił bez zarzutu przez pięć lat, pokonując wszystkie napotkane armie Kartaginy i zdobywając dla Rzymu dwie hiszpańskie prowincje. Gdy w roku 205 p.n.e. został (w bardzo młodym wieku - 31 lat) konsulem, udało mu się, pomimo ostrej opozycji w senacie, uzyskać zgodę na przeprowadzenie się z wojskami przez Sycylię do Afryki. I Sycylia, i Afryka padły, a Scypionowi nadano przydomek (*cognomen*) Afrykański. W roku 199 p.n.e. został wybrany na cenzora i pierwszego w senacie, a w roku 194 p.n.e. ponownie objął konsulat. Będąc równie przewidującym jak genialnym wodzem, ostrzegał Rzymian, że Antioch Wielki będzie chciał najechać Grecję. Kiedy jego proroctwa się spełniły, został legatem swego młodszego brata Lucjusza i ruszył wraz z armią na wojnę z Antiochem. W tym mniej więcej czasie ściągnął na siebie wielką nienawiść Katona Cenzora, który rozpętał istne prześladowanie całego rodu Korneliuszy Scypionów, a w szczególności Scypiona Afrykańskiego i jego brata. Wygląda na to, że udało mu się wreszcie osiągnąć cel, w roku 184 p.n.e. bowiem Lucjusz (noszący już przydomek Azjatycki) wykluczony został ze stanu rycerskiego, Scypion Afrykański zaś zmarł pod koniec tego samego roku. Scypion Afrykański był żonaty z Emilią Paulą, siostrą zdobywcy Macedonii. Miał z nią dwóch synów, z których żaden nie wyróżnił się niczym szczególnym, i dwie córki. Starsza z nich została żoną jego kuzyna, Publiusza Korneliusza Scypiona Nazyki, młodszą zaś była Kornelia, matka Grakchów.

Scypio (2) - Scypio Emilianus, Publiusz Korneliusz Scypio Emilianus Numantyjski Afrykański, urodzony w roku 185 p.n.e. nie należał do gałęzi Korneliuszy Scypionów, ale był synem zdobywcy Macedonii Lucjusza Emiliusza Paulusa, który oddał go starszemu synowi Scypiona

Afrykańskiego w adopcję. Paulus, który miał czterech synów, drugiego z nich oddał w adopcję Fabiuszom Maksymusom. Jego wielka tragedia polegała na tym, że wkrótce po tym, jak zrzekł się dwóch starszych synów, pozostali zmarli w roku 167 p.n.e. w odstępie kilku zaledwie dni, zostawiając go bez męskiego potomka. Matką Scypiona Emilianusa była Papiria, a jego żoną córka Kornelii, matki Grakchów, Sempronia, siostra Tyberiusza i Gajusza, a jego własna kuzynka.

Po tym, jak odznaczył się jako dowódca w czasie trzeciej wojny punickiej w latach 149 i 148 p.n.e., Scypio Emilianus został w roku 147 p.n.e. wybrany na konsula, choć nie osiągnął jeszcze odpowiedniego po temu wieku i wielu członków senatu było przeciwnych jego kandydaturze.

Wysłany do Afryki, by objąć dowództwo w toczącej się wojnie, wykazał się tu niezwykłą skrupulatnością i niespożytą energią, które zresztą zawsze go cechowały. By zamknąć port Kartaginy i odciąć dostęp do miasta, zbudował na przykład specjalny falochron. Gdy w roku 146 p.n.e. miasto poddało się, Scypio zburzył je, nie pozostawiając kamienia na kamieniu. Choć Rzymianie wierzyli w to bez zastrzeżeń, to współcześni uczeni wątpią jednak w prawdziwość opowieści o tym, że Scypio zmieszał ziemię Kartaginy z solą, tak aby miasto to nigdy już nie podniosło się z upadku. W roku 142 p.n.e. Scypio sprawował nieudaną (z winy nieprzyjawnego mu kolegi) cenzurę, w roku 140 i 139 p.n.e. wypłynął zaś w podróż na Wschód wraz ze swymi dwoma greckimi przyjaciółmi, historykiem Polibiuszem i filozofem Panajtiosem. W roku 134 p.n.e. został ponownie wybrany na konsula i otrzymał zadanie uporania się z opornym miastem Numancją w Hiszpanii Bliższej. Miasta tego nie zdołały od pięćdziesięciu lat zdobyć żadne rzymskie wojska ani wodzowie. Scypio Emilianus oblegał Numancję przez osiem miesięcy. Gdy wreszcie upadła, dosłownie zmiotł ją z powierzchni ziemi i zgładził bądź wysiedlił całe cztery tysiące jej mieszkańców. Gdy z Rzymu doszły go wieści o tym, jak jego szwagier Tyberiusz Grakchus próbuje podkopać odwieczny rzymski porządek rzeczy (tzw. *mos maiorum*), zaczął podburzać nieprzyjaciół Grakchów, wśród nich ich wspólnego kuzyna, Scypiona Nazykę. Chociaż Tyberiusz Grakchus nie żył już w roku 132 p.n.e., kiedy Scypio Emilianus powrócił do Rzymu, jego to powszechnie uważano za winnego tej śmierci.

W roku 129 p.n.e. Scypio zmarł w wieku czterdziestu pięciu lat tak nagle i niespodziewanie, że zawsze już potem podejrzewano, iż został otruty. Za główną podejrzaną uważano jego żonę, Sempronię, siostrę Tyberiusza Grakcha, która zawsze nienawidziła męża.

Scypio Emilianus był osobowością bardzo złożoną. Wybitny intelektualista, miłujący wszystko, co greckie, skupił wokół siebie krąg ludzi, którzy objęli patronat nad twórczością takich uczonych, jak Polibiusz, Panajtios czy łaciński dramaturg Terencjusz. Miał wszelkie cechy najlepszego z przyjaciół, jako wróg jednak był okrutny, zimny i nieprzejednany. Niezastąpiony pod względem talentów organizacyjnych, pobłędził niewybaczalnie w przypadku Tyberiusza Grakcha, a choć był człowiekiem o wielkim umyśle i kulturze, był też jednak niereformowalnym konserwatystą w kwestiach moralnych i etycznych.

senat - Rzymianie wierzyli, że senat został ustanowiony przez Romulusa, który powołał doń pierwszych stu patrycjuszy. Naprawdę był on zapewne tworem któregoś z późniejszych, mniej mitycznych królów Rzymu. Po nastaniu Republiki senat zachowano jako nadrzędne ciało doradcze, liczące teraz trzystu członków, wciąż jednak wywodzących się jedynie spośród patrycjuszy. Minęło jednak kilka lat i oto do grona senatorów przyjmować zaczęto także i plebejuszy, którzy z czasem uzyskali prawo piastowania wszystkich wyższych urzędów. Z racji tego, że senat był tworem bardzo starożytnym, wszelkie definicje jego kompetencji, praw i powinności są dość płynne i na pewno niekompletne. Wiemy, że członkostwo w senacie było dożywotnie, co tworzyło idealne warunki do powstania oligarchii - co też prędko nastąpiło. Senatorowie walczyli też zawsze o podkreślenie swej przodującej roli w państwie. Za Republiki przyznanie członkostwa w senacie (a także jego ewentualne odebranie) leżało w gestii cenzorów. W czasach Gajusza Mariusza w zwyczaj weszło już, iż od przyszłego senatora wymagało się posiadania dochodów rzędu co najmniej miliona sestercji - i choć jak większość obyczajów było to prawo niepisane, to ściśle go przestrzegano. Wyłącznym przywilejem senatora było prawo do noszenia tuniki zdobionej szerokim purpurowym pasem, a także zamkniętych butów z barwionej skóry i pierścienia (z początku żelaznego, później już złotego). Senat mógł zbierać się tylko w miejscach odpowiednio do tego celu wyświęconych, jako że posiedzenia odbywały się nie tylko w domu senatu (Kuria Hostyliusza). Ceremonie noworoczne np. miały miejsce w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, a zebrania mające na celu omówienie spraw wojennych zwoływano w świątyni Bellony, poza granicami *pomerium*. W łonie samego senatu obowiązywała ścisła hierarchia, dotycząca kolejności, w jakiej uprawnieni do tego senatorowie mogli wygłaszać swe przemówienia - za czasów Gajusza Mariusza pierwszym na tej liście był princeps senatu, patrycjusz, zaś stali zawsze przed plebejuszami, nawet jeśli we wszystkich innych kwestiach byli sobie równi. Nie wszyscy oczywiście członkowie senatu byli uprawnieni do zabierania głosu - *senatores pedarii* (o których w książce piszę po prostu jako o zajmujących tylne ławy, zasiadali bowiem za mówcami) mieli jedynie prawo do głosowania. W kwestii długości przemówienia czy zwięzłego trzymania się tematu, mówcy nie byli w żaden sposób ograniczani - stąd zwyczaj wygłaszania mów w sposób niezwykle emocjonalny.

Posiedzenia senatu mogły trwać tylko od świtu do zmierzchu i nie można ich było zwoływać w czasie, kiedy zbierały się komicja - choć jeśli w przeznaczonym na obrady komicjów dniu nie miało się odbyć żadne głosowanie, senat mógł obradować bez przeszkód.

W sprawach mniejszej wagi lub wtedy, gdy senat był raczej jednomyślny, głosowanie mogło odbywać się ustnie lub przez podniesienie ręki, jednak w kwestiach formalnych głosowano, przechodząc na wybraną stronę sali zebrań. Będąc ciałem doradczym, nie ustawodawczym, senat wszystkie swoje dekrety (*consulta*) wydawał jako prośby, przedkładane rozmaitym zgromadzeniom. W ważnych sprawach głosowano tylko, jeśli

zebrało się kworum (nie znamy dokładnej liczby senatorów stanowiących kworum w czasach Gajusza Mariusza - może była to jedna czwarta składu senatu?). Większość zebrań nie cieszyła się oczywiście specjalnie wysoką frekwencją - nie było bowiem żadnego prawa, które zobowiązywałoby senatora do regularnego uczęszczania na posiedzenia. W niektórych dziedzinach życia państwowego senat, pomimo braku uprawnień prawodawczych, rządził niepodzielnie - zarządzał finansami państwa, sprawując pieczę nad skarbcem, decydował o polityce zagranicznej i wojnie bądź pokoju. W sprawach cywilnych senat mógł (po doświadczeniach z czasów Gajusza Grakcha) unieważnić decyzję każdego innego organu państwowego, ogłaszając *Senatus Consultum de republica defendenda*, dekret o niepodważalnej mocy.

Serwiańskie Mury - mury Serwiusza Tulliusza. Rzymianie wierzyli, że mury otaczające miasto za Republiki zostały wzniesione w czasach króla Serwiusza Tulliusza. Materiał dowodowy wskazuje jednak, że mury te powstały dopiero po roku 390 p.n.e., kiedy to Galowie pod wodzą Brennusa (I) najechali i złupili Rzym.

Serwiusz Tulliusz - szósty król Rzymu i jedyny, który nie był Rzymianinem, lecz Latynem. Choć nie wznosił murów nazwanych swoim imieniem, to najprawdopodobniej wybudował Agger - potężne, podwójne wały obronne Pola Eskwilińskiego. Był mądrym władcą i dawcą praw. To on wynegocjował pokój pomiędzy Rzymem a Związkiem Latyńskim (tablica z tym zapisem była wystawiona na pokaz publiczny w świątyni Diany aż do schyłku Republiki). Śmierć Serwiusza Tulliusza była wielkim skandalem: jego własna córka Tullia wraz z kochankiem, Tarkwiniuszem Pyszny, zamordowała najpierw swego męża, potem zaś ojca. Król został ścięty na ulicy, niedaleko Clivus Orbis, a Tullia kilkakrotnie przejechała swym wozem po ciele ojca.

sestercja - najpowszechniejsza rzymska moneta. To w sestercjach dokonywano oficjalnych spisów księgowych i rozliczeń - jest ona monetą dominującą we wszystkich źródłach pisanych z okresu Republiki. Nazwa jej pochodzi od łacińskich słów *semis tertius*, czyli [dwa i „pół trzeciego” (asa)]. Sestercja była niewielką, srebrną monetą, równą wartości jednej czwartej denara. W łacińskich napisach oznaczona była skrótem HS.

sinus - dosłownie: „wgnębienie, fałda”. Słowo to używane było w przeróżnych znaczeniach, w mojej książce jednak używam go tylko w dwóch z nich: raz w kontekście geograficznym, kiedy oznacza ono zatokę - Sinus Arabicus (Morze Czerwone), Sinus Ligusticus (Zatoka Genueńska), Sinus Gallicus (Zatoka Lwów). Drugie znaczenie słowa *sinus* odnosi się do fałdów togi, którą drapowano na lewym ramieniu.

Skordyskowie - związek plemion celtyckich, iliryjskich i trackich, zamieszkujący w Mezji, pomiędzy doliną Dunaju a górami Macedonii. Liczni i niezwykle waleczni, najeżdżali oni raz po raz rzymską Macedonię, będąc postrachem kolejnych zarządców tej prowincji.

Słupy Herkulesa - wąski przesmyk, łączący Ocean Atlantycki z Morzem Śródziemnym zwany był Słupami Herkulesa z powodu dwóch urwisk skalnych wznoszących się po jego obu stronach - jedno, zwane

Calpe (dzisiejszy Gibraltar), po stronie hiszpańskiej, drugie, Abydus, od strony Afryki.

Smyrna - jedno z największych miast portowych na egejskim wybrzeżu Azji Mniejszej, położone niedaleko ujścia rzeki Hermos. Pierwotnie kolonia jońska, podupadła znacznie przez okres blisko trzystu lat (od VI do III wieku p.n.e.). Po przywróceniu jej świetności przez Aleksandra Wielkiego Smyrna zasłynęła z braku sentymentów i upartego dążenia do powiększania swych bogactw, stała się też ważnym ośrodkiem naukowym.

Sozjusz - imię łączone z handlem książkami w starożytnym Rzymie. Dwóch braci Sozjuszy prowadziło działalność wydawniczą za pryncypatu Augusta. Użyłam tego samego imienia, przenosząc je w czasie, w Rzymie bowiem zawody były często dziedziczone w rodzinie, a handel książkami kwitł już za czasów Gajusza Mariusza.

sprzymierzeńcy - dość wcześnie w historii republikańskiego Rzymu urzędnicy sprawujący władzę zaczęli nadawać tytuł Przyjaciół i Sprzymierzeńców Ludu Rzymskiego ludom i narodom, które stawały u boku Rzymu w potrzebie (przeważnie wojennej). Z czasem ludy całej Italii, nie objęte obywatelstwem rzymskim bądź znajdujące się na drodze do jego uzyskania, otrzymawszy prawa łatyńskie, stały się sprzymierzeńcami. Rzym zapewniał im militarną ochronę i pewne koncesje handlowe w zamian za oddziały wojskowe dostarczane przez sprzymierzeńców na każde żądanie. Tytuł ów zaczęto nadawać również ludom i narodom spoza Italii - sprzymierzeńcami zostali Eduowie z Galii oraz królestwo Bitynii. Gdy inne narody zaczęły otrzymywać status sprzymierzeńców, ludy Italii pozostały przy tej nazwie, podczas gdy państwa zamorskie używały pełnego tytułu Przyjaciół i Sprzymierzeńców Ludu Rzymskiego.

stal - termin „epoka żelaza” jest w odniesieniu do starożytności dosyć mylący, czyste żelazo nie było bowiem wówczas szczególnie popularnym metalem. Zastąpiło wprawdzie brąz, kiedy tylko starożytni nauczyli się je hartować, i odtąd wykonywano z niego narzędzia i broń, które musiały być zarazem twarde, ostre i trwałe. Arystoteles i Teofrast, obaj żyjący w Grecji w IV wieku p.n.e., piszą jednak o stali, nie o żelazie. Cały zresztą proces uzyskiwania z rud żelaza metalu przebiegał w całkowitej nieznajomości zachodzących podczas niego procesów chemicznych. Żelazo wytapiano głównie z rudy hematytowej - piryków prawie nie używano z powodu wysokiej toksyczności ich produktów ubocznych. Strabon i Pliniusz Starszy opisują metodę wypalania (utleniania) rudy, dużo skuteczniejszym sposobem było jednak wytapianie jej w piecach szybowych. W większości starożytnych hut stosowano obie te metody, uzyskując surówkę mocno zanieczyszczoną żużlem. Surówka ta była następnie powtórnie topiona i w procesie wykuwania mieszana z węglem drzewnym. Pozwalało to na pozbycie się części żużla, jednak starożytna stal nigdy nie była od niego całkowicie wolna. Rzymscy kowale znali doskonale różne techniki obróbki żelaza, takie jak wyżarzanie, rozpuszczanie, hartowanie czy nawęglanie. Każdy z tych procesów zmieniał właściwości metalu, tak że uzyskana dzięki niemu stal przydatna była do wyrobu różnego rodzaju przedmiotów i narzędzi - brzytw, kling mieczy, toporów, pił, dłut, przecinaków, gwoździ

itp. Stal dość twarda, by wyrabiać z niej tnące ostrza, była tak cenna, że cienką warstwę takiej stali zgrzewano z innym, tańszym metalem (Rzymianie znali dwa sposoby zgrzewania: spawanie i zgrzewanie ciepłe). Ostrza rzymskich mieczy były jednak w całości wykuwane ze stali (w temperaturze ok. 280° C), a więc były wyjątkowo ostre (starsi czytelnicy pamiętają może jeszcze noże z rdzewiejącej stali węglowej i w naszej epoce stali nierdzewnej z nostalgią wspominają, jak ostre i łatwe w ostrzeniu one były. Ostrza te bardzo przypominały właściwościami rzymskie klingi). Starożytni kowale powszechnie używali narzędzi takich jak szczypce, kowadła, młoty, miechy, tygle czy cegły ogniotrwałe, jednak wiele z uznawanych przez nich teorii miało się z prawdą. Wierziono na przykład, że rodzaj płynu używanego przy rozpuszczaniu stali miał wpływ na jego przebieg, nikt zaś nie wiedział, że z rudy wydobywanej w Norikum uzyskiwano najlepszą stal dlatego, że zawierała ona niewielkie ilości manganu, nie zanieczyszczonego fosforem, arsenem ani siarką, stanowiła więc idealny surowiec do wyrobu stali manganowej.

stibium - czarny puder wyrabiany na bazie antymonu, którego po rozpuszczeniu w wodzie używano do barwienia rzęs i brwi oraz rysowania kresek wokół oczu.

stoik - wyznawca filozofii Zenona Cypryjczyka, żyjącego w III wieku p.n.e. Stoicyzm, będący systemem filozoficznym opierającym się na potęgze myśli, szczególnie odpowiadał Rzymianom. Najwyższą wartością i jedynym dobrem była według niego cnota (czyli siła charakteru), a jej przeciwnością i złem - słabość. Bogactwo, cierpienie, śmierć i inne niedole ludzkości nie były ważne, człowiek prawdziwie cnotliwy był bowiem z założenia z gruntu dobry, musiał więc być szczęśliwy, nawet jeśli cierpiał biedę, chorobę lub groziła mu śmierć. Jak i w przypadku innych dziedzin greckiej spuścizny, Rzymianie nie tyle zmodyfikowali założenia tej filozofii, co przy użyciu bardzo sprawnej argumentacji obchodzili jej najbardziej nieprzyjemne nakazy (przykładem może tu być Brutus).

stronnictwo - termin stosowany przez dzisiejszych uczonych w odniesieniu do ugrupowań politycznych w Rzymie republikańskim. Nie chodzi tu w żadnym wypadku o partie polityczne, ugrupowania te były bowiem niezmiernie płynne, a przynależność do któregoś z nich często ulegała zmianom. Rzymskie stronnictwa nie tworzyły się w oparciu o ideologię, ale formowały wokół ludzi posiadających odpowiednią *dignitas* i *auctoritas*. Nie używam w tej książce terminów „optymaci” i „popularzy”, chcąc uniknąć jakichkolwiek skojarzeń z partiami politycznymi.

Subura - najbiedniejsza i najgęściej zaludniona dzielnica Rzymu. Leżała na wschód od Forum Romanum, w obniżeniu pomiędzy oppijskim wierzchołkiem Eskwilinu a Wiminalem. Zabudowę Subury stanowiły wyłącznie insule, wśród których jedynym wyróżniającym się punktem orientacyjnym była Turrus Mamilia - nie znanego nam przeznaczenia wieża. Ludność Subury mówiła wieloma językami i była bardzo niezależna (mieszkało tu na przykład wielu Żydów).

Suburana - nazwa jednej z czterech miejskich *tribus* i jednej z dwóch, do których włączani byli wszyscy rzymscy wyzwoleńcy (drugą była *tribus*

Esquilina). W czasach Republiki Suburana była więc jedną z dwóch najliczniejszych ze wszystkich trzydziestu pięciu rzymskich *tribus*.

suovetaurilia - szczególny rodzaj ofiary, w której składano świnie (*su*), owcę (*ove*) i byka lub wołu (*taur*). Ofiarę tę składano w sytuacjach wielkiego zagrożenia konkretnym bogom - jednym z nich był Jowisz Najlepszy i Największy, drugim Mars, tożsamość pozostałych zaś nie jest nam znana. Zanim ofiary zostały zabite, prowadzono je w specjalnej uroczystej procesji. *Suovetaurilia*, poza sytuacjami szczególnymi, składano przy dwóch okazjach: pod koniec każdego maja, kiedy dwunastu kapłanów (*arvalisfratres*) obchodziło uroczyście pola uprawne i dokonywało ich oczyszczenia, oraz raz na pięć lat, kiedy to cenzorzy ustawiali swe stoły na Polu Marsowym i przygotowywali się do dokonania spisu majątkowego rzymskich obywateli.

Sybilla, księgi Sybilli - słynna wyrocznia, wieszcząca w ekstatycznym transie. Najsłynniejsza Sybilla mieszkała w jaskini pod Kyme na kampańskim wybrzeżu. W posiadaniu Rzymu znajdowały się przepowiednie, zwane księgami Sybilli, spisane po grecku, pierwotnie na palmowych liściach, potem przepisane na papier. Wierzono, że od Sybilli otrzymał je sam Tarkwiniusz Starszy. Za czasów Gajusza Mariusza księgi te były już otoczone taką czcią, że pieczę nad nimi sprawowało specjalne kolegium złożone z dziesięciu kapłanów, *decenwirisacris faciundis*, a w czasach kryzysów pośród wierszy przepowiedni szukano rozwiązania bieżących kłopotów.

Sylen - bóstwo o twarzy satyra i szkaradnie spłaszczonym nosie, plujące wodą z rzymskich fontann publicznych, uwiecznione w kamieniu przez Kato Cenzora.

Syrakuzy - stolica i największe miasto Sycylii.

szmaragd - jest sprawą dyskusyjną, czy kamień, który starożytni nazywali *smaragdus*, jest tożsamy z naszym szmaragdem. Szmaragdami mogły rzeczywiście być klejnoty pochodzące ze Scytii, jednak kamienie wydobywane na wyspach Morza Czerwonego oraz część kolekcji Ptolemeusza były to z pewnością beryle.

Środkowe Morze - tak nazwałam Morze Śródziemne, które w czasach Gajusza Mariusza nie zostało jeszcze przez Rzymian nazwane „Naszym Morzem” (*Mare Nostrum*), ale „Morzem Wewnętrznym” (*Mare Internum*).

tablinum - łacińska nazwa pomieszczenia, które wraz z przyległym mniejszym pokoikiem używanym jako garderoba stanowiło w rzymskim domu domenę ojca rodziny (będąc często także jego sypialnią).

talent - jednostka wagi, mająca wynosić tyle, ile zdoła unieść człowiek. Wielkie sumy pieniędzy wyrażano w talentach, termin ten nie odnosił się jednak generalnie do pieniędzy ani kruszców. Według dzisiejszych miar talent odpowiadał około 25 kg.

Tanais - dzisiejsza rzeka Don.

Taprobane - łacińska nazwa Cejlonu (Sri Lanki). Starożytni wiedzieli, że jest to bardzo duża wyspa o kształcie gruszki, leżąca u południowo-wschodnich wybrzeży Indii. Sprowadzano stąd cenne przyprawy, takie jak pieprz oraz perły.

Tarent - pierwotnie kolonia grecka, założona przez Spartan około roku 700 p.n.e. To do niego wiodła początkowo Via Appia, kiedy jednak drogę przedłużono aż do Brundisium, Tarent stracił na znaczeniu, choć nadal z niego właśnie pływały statki do Patraj i reszty południowej Grecji.

Tarkwiniusz Pyszny (*Tarquinius Superbus*) - siódmy i ostatni król Rzymu. Dokończył i poświęcił świątynię Jowisza Najlepszego i Największego, zdobył sobie jednak raczej reputację wojownika, nie budowniczego. Z jego wstąpieniem na tron wiąże się ponura historia morderstwa i romansu z Tullią, córką Serwiusza Tullisza - historia wielce podobna do tej, która rozegrała się przy obaleniu go z tronu. Musiał uciekać z Rzymu, w którym patrycjusze pod wodzą Lucjusza Juniusza Brutusa powstali przeciwko niemu i ustanowili tu Republikę. Ciekawa opowieść wiąże się ze sposobem, w jaki Tarkwiniusz Pyszny rozprawił się z mieszkańcami Gabiów, miasta, z którym prowadził wojnę. Zapytany o to, co każe uczynić ze znaczniejszymi spośród Gabijczyków, król nie odrzekł ani słowa, lecz wyszedł do ogrodu, dobył miecza i ściął główki wszystkich maków wyższych niż reszta kwiatów. Syn Tarkwiniusza dowodzący wojskami w Gabiach potraktował odpowiedź dosłownie i kazał ściąć wszystkich mieszkańców miasta o wzroście wyższym od przeciętnego. Mało kto dziś wie, skąd wzięła się nazwa tzw. Syndromu Wysokiej Makówki, wyrażenia tego używa się jednak w odniesieniu do celowego mordowania jednostek znaczących i wybitnych.

Tarkwiniusz Starszy (*Tarquinius Priscus*) - piąty król Rzymu. Według tradycji był on z pochodzenia Grekiem, który osiadłszy początkowo w Caere i przesiąknąwszy tu kulturą etruską, przeniósł się potem do Rzymu. Przypisuje mu się osuszenie Forum Romanum, zbudowanie wielu kanałów, rozpoczęcie budowy świątyni Jowisza Najlepszego i Największego oraz wzniesienie Cyrku Największego (*Circus Maximus*). Został zamordowany przez dwóch synów Ankusa Marcjusza, którzy postanowili przejąć tron. Żona Tarkwiniusza odkryła spisek, nie zdążyła jednak zapobiec morderstwu. Zdołała za to utrzymać tron dla szóstego króla Rzymu, Serwiusza Tulliusza.

Tarpejska Skala - nie znamy jej dokładnej lokalizacji, wiemy jednak, że widać ją było dobrze z Forum Romanum - być może stanowiła więc jeden ze skalistych obrywów Kapitolu. Urwisko to musiało znajdować się bezpośrednio nad terenem równie skalistym i nieprzyjaznym, wysokość jego bowiem wynosiła nie więcej niż osiemdziesiąt stóp, a było to tradycyjne miejsce, z którego strącano rzymskich zdrajców i morderców.

Tars - największe i najważniejsze miasto Cylicji w południowo-wschodniej Anatolii.

Tartar - część świata podziemnego, w której za karę przebywali wielcy grzesznicy starożytności; Syzyf pchał tu w nieskończoność swój głaz, Iksjon kręcił się, przywiązany do koła, a Tantal bezskutecznie próbował dosięgnąć czegoś do jedzenia lub picia. Wszyscy oni w ten czy inny sposób zostali wcześniej obdarzeni przez bogów nieśmiertelnością, tak że nie mogli zostać ukarani po prostu śmiercią. Pomimo poważnych dysput, prowadzonych przez filozofów takich jak Pitagoras, Platon czy Arystoteles,

Grecy i Rzymianie nie wierzyli w istnienie nieśmiertelnej duszy. Śmierć oznaczała zniweczenie wszelkiego życia - przetrwać ją mógł jedynie cień, bezrozumny i bezcielesny obraz zmarłego. Według wielkich filozofów zaś dusza była pierwiastkiem rodzaju żeńskiego, czymś na podobieństwo motyla.

tata - czule łacińskie zdrobnienie słowa „ojciec” - dokładnie tak, jak w naszym języku.

Taurasia - dzisiejszy Turyn. Na mapach starożytnej Italii widnieje wprawdzie nazwa Augusta Taurinorum, jest to jednak najwyraźniej nazwa nadana miastu za pryncypatu Augusta. Po dokładnym poszukiwaniu natrafiłam na nazwę Taurasia, odnoszącą się najwidoczniej do czasów przed Augustem.

Tauryskowie - celtycki związek plemion zamieszkujących Norikum, górzystą krainę obejmującą dzisiejszy Tyrol i Alpy Słowenii.

teatry - w Rzymie republikańskim obowiązywał zakaz wznoszenia stałych budynków teatralnych, budowano je więc z drewna i ustawiano na nowo przed każdymi igrzyskami, w których programie znajdowały się przedstawienia teatralne. W pierwszych latach istnienia Republiki teatr uważano za źródło zepsucia i moralnej degradacji i podobne nastawienie, nieznacznie tylko złagodzone, utrzymywało się aż do czasów Pompejusza. Kobietom nie wolno było zasiadać w teatrze obok mężczyzn. Żądania ludu, szczególnie niższych warstw, które lubowały się w farsach i mimach, zmuszały urzędników do urządzania przedstawień, wyrazem ich protestu był jednak zakaz budowania teatrów. Drewniane, tymczasowe konstrukcje miały jednak kształt amfiteatru, prawdziwą scenę i skrzydła, a także wejścia i wyjścia dla aktorów. Dekoracje (*scenae*) były tu tak samo wysokie, jak najwyższe rzędy audytorium (*cavea*). Po zakończeniu igrzysk teatry były każdorazowo rozbierane, a materiały, z których były zbudowane, prawdopodobnie sprzedawano na aukcjach i z uzyskanych pieniędzy zasilano fundusz finansujący budowę kolejnych tymczasowych teatrów. (Podobnie jak w innych starożytnych miastach, w Rzymie nie było budynków dość dużych, by składować w nich rozebrane na części drewniane teatry, mogące pomieścić do dziesięciu tysięcy ludzi).

Tergeste - dzisiejszy Triest.

Termopile - nadbrzeżny wąwóz łączący Tesalię i środkową Grecję. Był on ograniczony z jednej strony Morzem Egejskim, z drugiej zaś skalistym urwiskiem. Nie było to jednak wcale miejsce łatwe do obrony, leżące nad nim wzgórze bowiem pełne były ścieżek, którymi można było obejść broniącą wąwozu armię. Najślawniejszym z tych przejść była ścieżka zwana Anopaea, a najślawniejszy bój stoczył w obronie Termopil Spartanin Leonidas.

Tesalia - północna Grecja, granicząca na zachodzie z niedostępnymi górami Epiru, a na wschodzie z Morzem Egejskim. W czasach Gajusza Mariusza Tesalia wchodziła w skład rzymskiej prowincji Macedonii.

Teutoni - związek plemion germańskich, zamieszkujących pierwotnie u nasady półwyspu zwanego Chersonezem Cymbryjskim. Około roku 120 p.n.e. wraz z Cymbrami wyruszyli oni w długą wędrówkę, a w roku 102

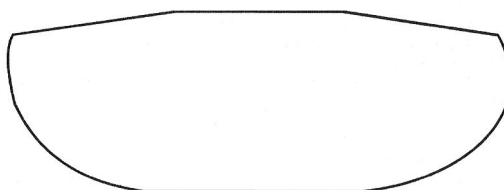
p.n.e. zostali pobici i w zasadzie przestali istnieć jako lud pod Aqua Sextiae.

Tibur - dzisiejsze Tivoli. Za Republiki było to niewielkie osiedle nad rzeką Anio, która wartkim nurtem wypływa tu z gór i wlewa się w dolinę Tybru. W czasach Gajusza Mariusza Tibur nie cieszył się jeszcze pełnym rzymskim obywatelstwem.

Tigurowie - związek plemion celtyckich, zamieszkujący ziemie dzisiejszej Szwajcarii i graniczący z podobnym związkiem Helwetów. Mniej więcej w ósmym roku wędrówki Cymbrów i Teutonów Tigurowie dołączyli do dwóch innych związków plemiennych, Markomanów i Cherusków, którzy już wcześniej przyłączyli się do podróży. Wyznaczeni w roku 102 p.n.e. do podbicia północnej Italii od strony wschodniej, z Norikum do Akwilei, Tigurowie, Markomani i Cheruskowie zmienili zdanie, usłyszawszy o klęsce Teutonów pod Aqua Sextiae. Zawrócili wtedy wszyscy do swych pierwotnych ziem i uniknęli w ten sposób unicestwienia, które stało się udziałem Cymbrów i Teutonów.

tiro - nowicjusz.

toga - strój noszony wyłącznie przez pełnoprawnych obywateli rzymskich. Szyta z cienkiej wełny, miała ona przedziwny kształt (dlatego właśnie Rzymianie rodem z Hollywood nigdy nie wyglądają tak, jak należy - hollywoodzka wiedza, przynajmniej ta dotycząca starożytnego Rzymu, jest dosyć skromna). Po wyczerpujących, lecz genialnych niemal badaniach dr Lillian Wilson ustaliła ostatecznie kształt i rozmiary doskonałej togi. Toga odpowiednia dla mężczyzny mającego 175 cm wzrostu i 89 cm w pasie miała szerokość około 4,6 m i długość około 2,25 m. Nie była jednak prostokątna! Wyglądała mniej więcej tak:



Dopóki nie wytnie się jej tak, jak wskazuje rysunek, toga absolutnie nie da się udrapować w sposób, jaki obrazują starożytne posągi. Republikańska toga z czasów Gajusza Mariusza była bardzo obszerna (jej rozmiary zmieniały się znacznie w ciągu tysiąca lat, jakie upłynęły między panowaniem rzymskich królów a rokiem 500 n.e.). Pewna uwaga dotycząca togi wynika z moich własnych obserwacji: noszący ją Rzymianie z całą pewnością nie mieli pod spodem bielizny. Ułożenie togi całkowicie uniemożliwiało bowiem jakiegokolwiek manipulacje lewej dłoni i ramienia - precyzyjnie udrapowane na lewym ramieniu fałdy opadłyby wówczas i trzeba by je było układać od nowa. Jeśli jednak toga była nałożona prawidłowo, prawa ręka zupełnie swobodnie wystarczała, by, odsunawszy fałdy, Rzymianin mógł oddać mocz w pozycji wyprostowanej, oczywiście pod warunkiem, że nie musiał borykać się z żadną bielizną! Wspominam o tym interesującym fakcie tylko dlatego, że w niektórych współczesnych książkach wciąż pisze się o noszonej przez Rzymian bieliźnie. Z pewnością

było to jednak niemożliwe, jeśli miało się na sobie togę - republikańskie poczucie moralności nigdy nie pozwoliłoby na korzystanie z pomocy niewolnika przy czynnościach tak osobistych jak wyżej wspomniane.

toga alba (pura) - całkowicie biała toga (zapewne bardziej kremowa niż śnieżnobiała).

toga candida - specjalnie wybielana toga, noszona przez wciąganego na listę chętnych kandydata do sprawowania urzędu (nasze słowo kandydat pochodzi właśnie od nazwy *toga candida*). Kandydat taki nosił swą *toga candida* także, chodząc po mieście i zabiegając o głosy wyborców oraz stojąc przy urnie w dniu wyborów. Lśniącą biel togi uzyskiwano, bieląc ją na słońcu przez wiele dni, a następnie wcierając w nią sproszkowaną krede.

toga pieta - purpurowa toga odbywającego tryumf wodza, bogato haftowana (zapewne złotem) w motywy przedstawiające ważne wydarzenia i postacie. Togę tę nosili rzymscy królowie, a także posąg Jowisza Najlepszego i Największego ze świątyni na Kapitolu.

toga praetexta - toga z purpurowym pasem, noszona przez aktualnie urzędujących i byłych urzędników kurulnych, a także przez dzieci obojga płci.

toga pulla - toga żałobna, z wełny o barwie tak zbliżonej do czerni, jak to tylko było możliwe.

toga trabea - według Cyserona „toga półkolorowa” - pasiasta toga augurów, a najprawdopodobniej także kapłanów. Podobnie jak *toga praetexta* miała ona na brzegu purpurowy pas, była też jednak w całości pokryta pionowymi pasami, na przemian czerwonymi i purpurowymi.

toga virilis - toga mężów. Była to przeważnie *toga alba (toga pura)*.

Tolosa - dzisiejsza Tuluza. To położone w dolinie Garonny miasto było stolicą galijskiego plemiennego związku Wolków Tektosagów.

torque - gruby naszyjnik zazwyczaj z czystego złota, mający formę niepełnego pierścienia z przerwą szerokości około 2,5 cm. To dzięki niej można było go w ogóle nałożyć i zapewne nigdy go już nie zdejmowano. Torque był oznaką pochodzenia galijskiego lub celtyckiego, choć nosiły go także niektóre ludy germańskie. Naszyjnik noszono przerwą do przodu, a jej końce były bardzo bogato i przemyślnie zdobione guzami, motywami plecionek czy wyobrażeniami głów zwierząt.

Tracja - ogólnie biorąc, część Bałkanów leżąca pomiędzy zachodnim brzegiem Hellespontu a granicą przebiegającą na wschód od Filippi. Wybrzeża Tracji ciągnęły się zarówno wzdłuż Morza Egejskiego, jak i Czarnego. Na północy graniczyła ona z Sarmacją. Rzymianie za zachodnią granicę Tracji uważali rzekę Nestos. Na ziemiach trackich nie doszło nigdy do powstania organizacji państwowej i aż do czasów zajęcia ich przez Rzym były one zamieszkałe przez częściowo jedynie ze sobą zjednoczone plemiona o mieszanym pochodzeniu germańsko-iliryjsko-celtyckim osiadłe tu od tak dawna, że nazywano je trackimi. Tak Rzymianie, jak i Grecy uważali Traków za barbarzyńców. Po ustaniu wojen sukcesją Attalidów w Azji Mniejszej (około roku 129 p.n.e.) trackie wybrzeże Morza Egejskiego weszło w skład Macedonii, Rzymianie zbudowali bowiem wiodącą tędy Via Egnatia, wielki trakt łączący Adriatyk i Hellespont, i chcieli zapewnić

jej bezpieczeństwo - tędy bowiem armia mogła się najszybciej przeprowadzić z Italii do Azji Mniejszej. Ajnos (miasto portowe leżące u ujścia rzeki Hebros) i Abdera (port położony na wschód od Nestosu) były dwoma największymi osiedlami na wybrzeżu egejskim, największym miastem Tracji była jednak bez wątpienia stara grecka kolonia leżąca nad Bosforem - Bizancjum.

tribus - u zarania Republiki nie było to już dla Rzymianina pojęcie etniczne, ale wyłącznie polityczne. Wszystkich *tribus* było trzydzieści pięć, w tym trzydzieści jeden wiejskich i zaledwie cztery miejskie. Szesnaście naprawdę starych *tribus* nosiło nazwy wzięte od patrycjuszowskich rodów, wskazujących, iż należący do nich obywatele byli albo członkami *gens*, albo zamieszkiwali kiedyś na posiadanych przez ten ród ziemiach. W czasach wczesnej Republiki, kiedy rzymskie posiadłości w Italii zaczęły się powiększać, ustanawiano kolejne *tribus*, by objąć rzymskim systemem politycznym nowych obywateli, zaczątkami nowych *tribus* stawały się też kolonie o pełnych prawach obywatelskich. Cztery *tribus* miejskie, ustanowione zostały ponoć jeszcze przez króla Serwiusza Tulliusza (choć w rzeczywistości stało się to zapewne nieco później, w pierwszych latach Republiki), ostatnią z wszystkich *tribus* ustanowiono zaś w roku 241 p.n.e. Każdy członek *tribus* miał prawo oddać jeden głos na Zgromadzeniu Trybusowym - choć głos taki nie miał sam w sobie żadnego znaczenia. Wyniki głosowania zliczano najpierw w obrębie danej *tribus*, po czym każda z nich oddawała jeden wspólny głos. Oznaczało to w praktyce, iż członkowie czterech bardzo licznych *tribus* miejskich nie mieli żadnych szans, by wpłynąć na wynik głosowania w zgromadzeniu, głosy ich mogły być bowiem zawsze przeważone przez głosy pozostałych trzydziestu jeden *tribus* wiejskich, choćby tam do głosowania stanęło tylko po dwóch ludzi w każdej. Członkowie wiejskich *tribus* nie musieli zaś wcale mieszkać na wsi - wszyscy niemal senatorowie i ekwici zamieszkujący w Rzymie należeli właśnie do *tribus* wiejskich.

triclinium - rzymska jadalnia. W domu zwykłej rzymskiej rodziny w takim pomieszczeniu tym (najczęściej budowanym na planie kwadratu) ustawiano trzy łóża biesiadne w kształt litery U. Łóże stojące na lewo od wejścia zwane było *lectussummus*, łóże stojące naprzeciw wejścia - *lectusmedius*, a łóże po prawej - *lectusimus*. Każde z nich było bardzo szerokie, około 1,25 m albo więcej, i co najmniej dwa razy dłuższe. Po jednej stronie łóże takie miało oparcie pod głowę. Przed każdym łóżem, nieco poniżej jego poziomu, ustawiony był wąski stół, równy mu długością. Biesiadnicy wspierali się na lewym łokciu, oparciu na wałkach i poduszkach. Byli boso, i mogli zażądać umycia stóp. Gospodarz zajmował miejsce po lewej stronie *lectusmedius*, czyli u stóp łóża, podczas gdy po prawej stronie, tej z oparciem, zasiadał najbardziej szanowany spośród gości - miejsce to nosiło nazwę *locus consularis*. W czasach Gajusza Mariusza kobiety nie zajmowały miejsc na łóżach obok uczujących mężczyzn - chyba że było to męskie przyjęcie, a damy były wątpliwej reputacji. Kobiety należące do rodziny zasiadały jednak wewnątrz litery U na prostych krzesłach. Wchodziły do jadalni w momencie podania

pierwszego dania, a opuszczały ją, w chwili gdy uprzątnięto ostatnią potrawę, piły też zazwyczaj jedynie wodę.

Tridentum - dzisiejsze włoskie miasto Trento.

Triocala - niemal niezdojta forteca, wzniesiona w górach na południu Sycylii przez zbuntowanych niewolników. Otoczona w roku 103 p.n.e. przez wojska Lucjusza Licyniusza Lukullusa, poddała się dopiero w roku 101 p.n.e.

trofeum - zbroja zdobyta na nieprzyjacielskim wodzu. W Grecji zatykano ją na włóczni wbitej w pole walki i składano w ofierze bogom, którzy dopomogli w odniesieniu zwycięstwa. Rzymianie zmienili ten zwyczaj, wznosząc na polach zwycięskich walk pomniki, a trofea zabierając do Rzymu. Tutaj były one wystawiane na widok publiczny w czasie tryumfu, potem zaś poświęcane któremuś z bogów i składane w jego świątyni. Metellus Macedoński zbudował pierwszą w Rzymie marmurową świątynię Jowisza Statora i umieścił w niej swoje trofea, Gajusz Mariusz zaś trofea swe złożył we wzniesionej przez siebie świątyni Dzielności i Honoru.

trybun (*tribunus*) - urzędnik reprezentujący interesy konkretnej grupy politycznej w Rzymie. Nazwa ta pochodzi od pierwotnych reprezentantów plemion (*tribus*), za Republiki jednak zaczęła oznaczać urzędnika związanego z konkretnymi instytucjami, nie poszczególnymi *tribus*.

trybun plebejski - urząd ten powstał niedługo po ustanowieniu Republiki, kiedy to plebejusze toczyli w Rzymie zacięty bój z patrycjuszami. Wybierani przez grupujące plebejskie *tribus* Zgromadzenie Plebejskie (*Concilium Plebis*), trybuni plebejscy przyrzekali bronić życia i dóbr plebejuszy. Około roku 450 p.n.e. wybierano dziesięciu trybunów plebejskich. W czasach Gajusza Mariusza dziesiątka ta była już bardziej utrapieniem senatu niż tylko patrycjuszy, choć jako urzędnicy wyłonieni w wyborach stawali się oni automatycznie członkami senatu. Ponieważ nie zostali wybrani przez cały rzymski lud (tak patrycjuszy, jak plebejuszy), to w świetle niepisanego przeważnie rzymskiego prawa nie mieli oni żadnej faktycznej władzy. Ich siła leżała w uświęconej tradycją osobistej nietykalności reprezentantów stanu plebejskiego, a władza trybuna polegała na tym, że miał on prawo zawetować każde niemal przedsięwzięcie rzymskiego rządu - mógł zgłosić weto wobec poczynań innych trybunów plebejskich, a także wszystkich innych urzędników, mógł zawetować zwołanie wyborów, przegłosowanie jakiegoś prawa czy plebiscytu, a nawet dekrety senatu, włącznie z tymi dotyczącymi wojny i polityki zagranicznej. Tylko dyktator (i prawdopodobnie *interrex*) nie podlegał wetu trybunów plebejskich. Na Zgromadzeniu Plebejskim trybun plebejski miał władzę niczym nie ograniczoną: mógł zwołać zgromadzenie, zarządzić odbycie dysputy zwanej *contio*, ogłosić plebiscyt, a nawet skazać na karę śmieci kogoś, kto przeszkodził mu w pełnieniu jego zadań.

W początkowym okresie dziejów Republiki trybuni plebejscy nie należeli do senatu, nawet wtedy gdy przyznano im prawo zwoływania posiedzeń senatu. Dopiero na mocy ustanowionego około roku 149 p.n.e. *lex Atinia* trybun plebejski stawał się automatycznie członkiem senatu.

Oznaczało to, że wybór na urząd trybuna plebejskiego był teraz alternatywną drogą wstąpienia w łono senatu - do tej pory o członkostwie decydowali wyłącznie cenzorzy. Mimo że za czasów Gajusza Mariusza trybunat plebejski uznawany był za najbardziej legalny urząd, nie wiązało się z nim posiadanie imperium, a władza trybuna ważna była tylko do pierwszego milowego kamienia od granic Rzymu. Według prawa zwyczajowego trybunem plebejskim było się tylko jeden raz, obejmując urząd 10 grudnia, a opuszczając go 9 grudnia następnego roku. Zwyczaj nie miał jednak pełnej mocy prawnej, czego dowiódł Gajusz Grakchus, zostawszy po raz drugi wybranym na trybuna plebejskiego.

Prawdziwą siłą trybunów było prawo weta - przez co działalność ich była często bardziej destruktywna niż twórcza, trybuni skarbu (*tribuni aerarii*) - wciąż zagadką jest dla nas to, czym naprawdę zajmowali się *tribuni aerarii*. Z początku zajmowali się chyba wypłatami żołdu dla żołnierzy (co w starej armii, przed reformą Mariusza, nie było - jak się zdaje - szczególnie uciążliwym zadaniem), jednak za czasów Mariusza nie mieli już z żołdem nic wspólnego, jego wypłacaniem zajmowali się bowiem kwestorzy. W mojej opinii byli oni urzędnikami w służbie publicznej, choć bowiem senat i lud rzymski niechętnie patrzyli na rozbudowę aparatu biurokratycznego, to w powiększającym się wciąż imperium jedna szczególnie dziedzina państwowa wymagała ciągłej aktywności rosnącej liczby biurokratów. Dziedziną tą był oczywiście skarb państwa (*aerarium*). W czasach Gajusza Mariusza liczba starszych rangą urzędników administrujących skarbem musiała już być znaczna. Należało przecież sprawować kontrolę nad poborem wielu różnych podatków, tak w kraju, jak za granicami, należało też znaleźć pieniądze na wszystko - od zakupu publicznego zboża, przez budowlane przedsięwzięcia cenzorów, aż do świąń rozdawanych w Rzymie przez pretora miejskiego w czasie Compitaliów (święta larów). Kiedy urzędnicy państwowi zarządzali takie czy inne przedsięwzięcia, nie zajmowali się z pewnością praktyczną stroną wprowadzenia ich w życie. Nad procesem tym czuwać musieli ludzie pełniący służbę publiczną, wyżsi jednak rangą od zwykłych pisarzy i pracowników biur, pochodzący z pewnością z szanowanych rodzin i dobrze opłacani. Możemy z pewnością zakładać istnienie takiej warstwy za czasów Katona Uttyckiego, który w roku 64 p.n.e. dał się wszystkim we znaki, pełniąc funkcję kwestora skarbu - najwyraźniej bowiem kwestorzy od dawna już nie zajmowali się w ogóle sprawami skarbu.

trybuni wojskowi (*tribunus militum*) - każdy ze stojących pośrodku wojskowej hierarchii oficerów nazywany był trybunem wojskowym, jednak najwyższymi rangą pośród nich byli ci wyłonieni w danym roku w wyborach, będący reprezentantami żołnierzy. Co roku Zgromadzenie Ludowe wybierało dwudziestu czterech młodych ludzi w wieku od 24 do około 29 lat, by służyli jako *tribuni militum* w legionach konsulów. Jako wybrani przez *Comitia Populi Tributa*, czyli cały rzymski lud, byli oni prawdziwymi urzędnikami. Przydzielano ich do czterech legionów konsularnych, po sześciu do każdego, gdzie pełnili funkcje dowódcze. W przypadku gdy w polu znajdowały się więcej niż cztery legiony dowodzone

przez konsula, *tribuni militum* rozdzielani byli tak, by w każdym legionie znalazł się któryś z nich. Trybuni nie wybierani w wyborach mogli dowodzić armią, jeśli jej głównodowodzący nie był jednocześnie konsulem, a co za tym idzie, armia jego nie była armią konsularną.

trypod - każdy sprzęt wsparty na trzech nogach. Na trypodach siadywały wieszczki w wyroczniach, w brązowych trójnogich koszach płonęły ofiarne ognie augurów. Trypodami były też często stoły.

tryumf - dzień największej chwały dla zwycięskiego rzymskiego wodza. W czasach Gajusza Mariusza wódz musiał zostać przez swych żołnierzy okrzyknięty *imperatorem*, by móc ubiegać się w senacie o pozwolenie na odbycie tryumfu. Zgodę taką mógł wydać jedynie senat - czasem zresztą (choć rzadko) niesprawiedliwie jej odmawiał. Sam tryumf był pełną przepychu, imponującą paradą, wiodącą ściśle określonym traktem, od Villa Publica na Polu Marsowym przez specjalną bramę w murach serwiańskich zwaną Porta Triumphalis, dalej przez Velabrum, Targ Bydłęcy, Cyrk Największy i przez Via Triumphalis aż do prowadzącej do Forum Romanum Via Sacra. Ostatecznym celem pochodu były schody wiodące do świątyni Jowisza Najlepszego i Największego na Kapitolu. Tryumfujący wódz w towarzystwie liktorów wchodził do świątyni i składał w ofierze swój wieniec laurowy, po czym rozpoczynała się wielka uczta.

tryumfator - wódz odbywający tryumf.

Tuliusz Hostyliusz - trzeci król Rzymu, postać bardzo dla nas enigmatyczna. Był wojownikiem - to on zdobył i zniszczył miasto Alba Longa, a jego mieszkańców przesiedlił do Rzymu - warstwa rządząca w Alba Longa dołączyła w ten sposób do rzymskiego patrycjatu. Tuliusz Hostyliusz wznosił także budynek senatu, na jego cześć nazwany Kuria Hostyliusza.

Tullianum - zwany również karcerem - niewielki, jednopokojowy budynek, w podziemiu którego mieściła się jedyna w Rzymie cela więzienna. Wszyscy znaczniejsi więźniowie, idący w pochodzie tryumfalnym odprowadzani byli do karceru zanim parada wspięła się na Kapitol i tu, w podziemiu Tullianum, byli duszeni przy użyciu stryczka lub garoty. Ciała ofiar były następnie wrzucane przez specjalny otwór do kanału ściekowego. Więźnia można też było wtrącić do Tullianum i zagłodzić go tu na śmierć, w świetle prawa bowiem kara taka nie różniła się niczym od zaduszenia, stosowano ją jednak dużo rzadziej.

tunica palmata - tunika tryumfującego wodza. Mogła (lecz nie musiała) być purpurowa, zawsze jednak haftowana była w motyw liści palmowych.

tunika - podstawowy element stroju u wszystkich chyba ludów śródziemnomorskich, w tym oczywiście Greków i Rzymian. Tunika noszona w Rzymie za czasów Gajusza Mariusza miała kształt prostokąta, otwór na głowę był zapewne dla wygody wykrojony półkolisty, a rękawy zapewne albo od razu tkano jako prostokątne przedłużenie ramion, albo wszywano. Starożytni krawcy umieli z całą pewnością wszywać rękawy, znamy bowiem wzmianki o rękawach długich, a takie na pewno musiały być wszyte. Tuniki szlacheckich mężów, które oglądać możemy na posągach, nie wyglądają wcale na zszyte po bokach prostokąty z dziurami

na ramiona, a na posągach mężów w strojach wojskowych widać wyraźnie tuniki z porządnymi krótkimi rękawami. Tunikę ściągano skórzanym pasem lub związywano sznurem. Z przodu była ona zawsze nieco dłuższa niż z tyłu o jakieś 7-8 cm. Tuniki ekwitów były zdobione wąskim, pionowym pasem, tuniki senatorów zaś - szerokim. Pas taki znajdował się moim zdaniem na prawym ramieniu, nie na środku tuniki. Na malowidle ściennym z Pompejów, przedstawiającym mężczyznę noszącego *toga praetexta*, widać taki właśnie szeroki pas na prawym ramieniu tuniki.

Tusculum - miasto leżące przy Via Latina, jakieś 15 mil (24 km) od Rzymu. Jako pierwsze spośród miast łatyńskich otrzymało ono w roku 381 p.n.e. pełne rzymskie obywatelstwo i było zawsze niezmiennie lojalne wobec Rzymu. Z Tusculum pochodził Katon Cenzor, a rodowi jego co najmniej na trzy pokolenia wcześniej przysługiwało prawo dosiadania publicznego rumaka ekwickiego.

Tyber - rzeka miasta Rzymu, który leżał na jej północno-wschodnim brzegu. Wypływa z wysokich Apeninów za Arretium i wpada w Ostii do Morza Tyrreńskiego. Teoretycznie żeglowny aż do Nami, Tyber miał jednak prąd tak wartki, że żegluga w górę rzeki była w istocie niemożliwa. Często zdarzały się tu powodzie, tragiczne w skutkach zwłaszcza dla miasta.

Tyngis - (dzisiejszy Tanger) stolica i siedziba królów Mauretanii, położona nad Atlantykiem, za Słupami Herkulesa.

tyngitańska (berberyjska) małpa - makak, mieszkająca na ziemi i pozbawiona ogona. Zwierzęta naczelne i małpy w ogóle były rzadkie w starożytnym świecie śródziemnomorskim, makaki jednak, nawet dziś zamieszkujące Gibraltar, były dość popularne w Afryce Północnej.

Ulisses - Odys.

urzędnicy - wyłaniani w wyborach, sprawowali władzę wykonawczą w imieniu senatu i ludu rzymskiego. W okresie środkowej Republiki wszyscy urzędnicy byli członkami senatu (ci wybrani na kwestorów byli zazwyczaj wciągani na listę senatorów przez nowych cenzorów). Dawało to senatowi znaczną przewagę nad ludem - dopóki lud (uosobiony przez plebejuszy) nie wziął w swe ręce prawodawstwa. Najniższym rangą urzędnikiem był trybun wojskowy, zbyt młody, by należeć do senatu. Następny był kwestor, potem trybun plebejski i edyl plebejski. Kolejny według starszeństwa edyl kurulny był najmłodszym urzędnikiem posiadającym imperium. Po nim następował pretor, na końcu zaś - konsul. Szczególnym stanowiskiem był urząd cenzora, choć bowiem nie posiadał on imperium, nie mógł nim zostać ktoś, kto nie był wcześniej konsulem. W czasach zagrożenia senat mógł ustanawiać jeszcze jeden urząd, dyktatora, który choć sprawował swą funkcję zaledwie przez sześć miesięcy, to przed nikim nie odpowiadał z kroków, jakie podjął w tym czasie. Dyktator mianował osobiście koniuszego, który był jego zastępcą i wodzem jego armii.

Utyka - po zburzeniu przez Scypiona Emilianusa Kartaginy w roku 146 p.n.e. leżąca u ujścia Bagradasu Utyka stała się głównym portem i siedzibą zarządcy rzymskiej prowincji Afryki.

Vercellae - niewielkie miasto w Galii Italskiej, położone na północnym

brzegu Padu, przy wylocie Doliny Salassów. Otaczały je pola (*Campii Raudii*), na których Mariusz i Katullus Cezar pokonali Cymbrów w roku 101 p.n.e.

verpa - nieprzyzwoite łacińskie słowo odnoszące się do penisa w stanie erekcji, mające podtekst homoseksualny.

vexillum - flaga lub bandera.

via - bita droga, trakt lub ulica miasta.

Via Aemilia - zbudowana w roku 187 p.n.e.

Via Aemilia Scauri - ukończona około roku 103 p.n.e. Jej budowniczym był Marek Emiliusz Skaurus, princeps senatu, cenzor roku 109 p.n.e.

Via Annia (1) - zbudowana w roku 153 p.n.e.

Via Annia (2) - zbudowana w roku 131 p.n.e. Sprawą dyskusyjną jest, czy droga ta nazywała się Via Annia czy Via Popillia. Na mapach Zaznaczyłam ją jako Via Popillia.

Via Appia - zbudowana w roku 312 p.n.e.

Via Aurelia Nova - zbudowana w roku 118 p.n.e.

Via Aurelia Vetus - zbudowana w roku 241 p.n.e.

Via Campana - nie jest nam znana data jej powstania.

Via Cassia - zbudowana w roku 154 p.n.e.

Via Clodia - zbudowana w III wieku p.n.e., nie wiemy dokładnie w którym roku.

Via Domitia - zbudowana w roku 121 p.n.e. z inicjatywy Gnejusza Domicjusza Ahenobarbusa.

Via Egnatia - zbudowana zapewne około roku 130 p.n.e.

Via Flaminia - zbudowana w roku 220 p.n.e.

Via Labicana - tak starodawna, że nie da się określić daty jej powstania.

Via Lata - tak starodawna, że nie da się określić daty jej powstania.

Via Latina - tak starodawna, że nie da się określić daty jej powstania.

Via Minucia - zbudowana w roku 225 p.n.e.

Via Ostiensis - tak starodawna, że nie da się określić daty jej powstania.

Via Popillia (1) - zbudowana w roku 131 p.n.e.

Via Popillia (2) - zbudowana w roku 131 p.n.e. Droga ta nazywana jest także Via Annia, nie wiadomo bowiem do końca, komu przypisać jej budowę.

Via Postumia - zbudowana w roku 148 p.n.e.

via praetoria - szeroki trakt biegnący środkiem rzymskiego obozu wojskowego, łączący frontową i tylną bramę.

via principalis - droga w rzymskim obozie wojskowym łącząca boczne bramy i biegnąca pod kątem prostym do *via praetoria*. Na przecięciu obu tych dróg znajdował się namiot głównodowodzącego.

Via Salaria - tak stara, że nie da się określić daty jej powstania, najprawdopodobniej jedna z najstarszych rzymskich dróg. W roku 283 p.n.e. zbudowano łączącą się z nią Via Caecilia, a w roku 168 p.n.e. następną - Via Claudia.

Via Tiburtina - stara nazwa pierwszego odcinka drogi Via Valeria, łączącego Rzym z Tiburem.

Via Valeria - zbudowana w roku 307 p.n.e.

vicus - ulica miejska. Słowo to oznaczało nie tyle sam szlak komunikacyjny, co wszystkie otaczające go budynki, pierwotnie odnosiło się bowiem do małych wiosek, gdzie domy tłoczą się po obu stronach drogi. Ponieważ nazwy ulic miejskich pozostają zazwyczaj niezmiennie przez całe stulecia (chyba że jakiś monarcha lub polityk nada ulicy nową nazwę ku czci swego imienia), rysując mapę rzymskich ulic używałam wszystkich znanych nazw z czasów cesarstwa, o których wiedziałam, że nie znajdowały się w nowych, później powstałych dzielnicach. Ulice takie jak Vicus Insteius, Vicus Iugarius, Vicus Tuscus, Vicus Patricii, Vicus Longus i inne z pewnością zawsze nosiły te same nazwy, podobnie jak Alta Semita i wzgórza takie jak Clivus Orbis, Clivus Patricius, Clivus Capitolinus, Clivus Argentarius, Clivus Pullius in Tabernola itd. Niektóre z rzymskich nazw ulic pochodziły od zawodów zamieszkujących je ludzi, jak w przypadku Vicus Sandalarius (ulica szewców), Clivus Argentarius (wzgórze bankierów), Vicus Fabricii (ulica rzemieślników). Inne miały nazwy typowo miejscowe, jak Vicus Tuscus, czyli Etruria. Inne wreszcie nazwy podawały po prostu kierunek, w jakim ulica prowadziła, jak Vicus ad Malum Punicum (do drzew jabłek punickich, czyli do sadu granatów).

Vienne, Vienna - dzisiejsze Vienne. Prawidłowa nazwa tej kupieckiej osady nad Rodanem brzmiała Vienna, we wszystkich opracowaniach dotyczących starożytności używa się jednak raczej jej nazwy współczesnej (Vienne), aby nie mylić jej z Wiedniem (również Vienna!).

Villa Publica - przyległy do Vicus Pallacinae plac na Polu Marsowym, gdzie gromadzili się uczestnicy parady tryumfalnej.

Vir Militaris - wojskowy, człowiek, którego cała kariera toczyła się wokół armii i który odsłużywszy swą obowiązkową liczbę kampanii pozostawał w wojsku na stanowisku wyższego rangą oficera. Ludzie tacy wkraczali na scenę polityczną na fali popularności, jaką cieszyli się wśród wyborców dzięki swym wyczynom wojennym. Wielu z nich w ogóle nie angażowało się w politykę, jednak jeśli chcieli dowodzić armią, musieli sprawować co najmniej preturę. Gajusz Mariusz, Kwintus Sertoriusz, Tytus Dydiusz, Gajusz Pomptinus i Publiusz Ventidiusz byli wszyscy wojskowymi, nie był nim jednak nigdy największy wojownik z nich wszystkich, Gajusz Juliusz Cezar Dyktator.

Visurgis - dzisiejsza rzeka Wezera.

Wediowis - tajemnicze, pozbawione jakiegokolwiek mitologii rzymskie bóstwo, o którym nawet Cyceron wyrażał się bardzo niejasno! Dziś uważa się go czasem za wcielenie młodego Jowisza. Z pewnością nie był bogiem szczęśliwym - być może był bóstwem chtonicznym, czyli związanym ze światem podziemnym, a wygląda na to, że był patronem rozczarowań. W Rzymie znajdowały się dwie poświęcone mu świątynie, jedna na Kapitolu, druga na wyspie na Tybrze. Poza Rzymem nie czczono go, o ile nam wiadomo, wcale - z wyjątkiem Bovillae, gdzie w roku 100 p.n.e. niejaki Juliusz w imieniu całego *gens Julia* poświęcił Wediowisowi ołtarz.

Westa - pradawna rzymska bogini, jak inne bóstwa bezcielesna i pozbawiona mitologii (zob. *numen*). Związana z ogniskiem, szczególnie ważna była w domu i kręgu rodzinnym - czczono ją tu na równi z penatami

i larami rodowymi. Nie mniej istotny był jednak należny Weście kult publiczny - czuwał nad nim sam Najwyższy Kapłan. Świątynia Westy stojąca na Forum Romanum była bardzo stara, niewielka i zbudowana na planie koła. Sąsiadowała z Regiami, źródłem Juturny i domem publicznym Najwyższego Kapłana. Płonął tu stale święty ogień, który w żadnym wypadku nie mógł wygasnąć.

westalki - Weście służyło specjalne kolegium złożone z sześciu kapłanek zwanych westalkami. Wybierano je, gdy miały 7 lub 8 lat, wtedy też składały śluby całkowitej czystości i przez następnych 30 lat służyły bogini. Po upływie tego czasu zwalniano je ze ślubów i jeśli chciały, mogły wyjść za mąż - niewielu się to jednak udało, poślubienie westalki uważano bowiem za pechowe, to przecież ich czystość zapewniała Rzymowi powodzenie. Westalki oskarżonej o utratę cnoty nie sądzono od razu, lecz zwoływano specjalny trybunał. Sądzone także jej domniemanych kochanków, jednak już przed innym trybunałem. Jeśli uznano ją za winną, zamurowano ją w specjalnie wykopanej ziemiance i pozostawiano ją tam, aż zmarła. Za Republiki westalki mieszkały w tym samym domu publicznym co Najwyższy Kapłan, choć byli od siebie oddzieleni.

Willa - wiejska rezydencja, całkowicie samowystarczalna, pierwotnie o przeznaczeniu czysto rolniczym. Budynki willi otaczały perystyl, czyli dziedziniec. Od frontu znajdowały się stajnie, z tyłu - budynki mieszkalne. Już jednak za czasów Kornelii, matki Grakchów, bogaci Rzymianie budowali sobie wille raczej jako nadmorskie letnie rezydencje niż gospodarstwa rolne, w związku z czym zasadniczo zmieniła się także ich architektura

wino - stanowiło nieodłączny element codziennego życia Greków i Rzymian. Było jedynym napojem alkoholowym starożytności, nie znano bowiem technik warzenia piwa ani destylacji. Dlatego też było ono zawsze przedmiotem wielkiej czci (stąd bogowie wina, Bachus i Dionizos). Znano wiele gatunków białych i czerwonych winogron, z których wyrabiano wina białe i czerwone. W czasach Gajusza Mariusza sztuka uprawy winorośli stała w Rzymie na bardzo wysokim poziomie, pozostawiając w tyle wszelkie osiągnięcia Greków. Rzymianie zawsze mieli zamiłowanie i szczęśliwą rękę do ogrodnictwa, a od czasów, gdy bogatsi obywatele zaczęli podróżować za granicę, Rzym wzbogacił się o wiele gatunków nowych roślin bądź ich odmian. Dotyczy to oczywiście i winorośli, której wszelkie nowe odmiany regularnie sprowadzano do kraju. Szczególnie dumni mogli być Rzymianie ze sztuki szczepienia winorośli, a także rozległej wiedzy na temat ochrony przed chwastem i szkodnikami. Pnie krzewów winnych smarowano na przykład asfaltem, sprowadzonym z Morza Martwego (Palus Asphaltites) w Palestynie, by uchronić je przed pleśnią i śniecią. Gdy winne grona dojrzały, zbierano je, wsypywano do kadzi i deptano, a sok, który wyciekał wówczas z kadzi, przeznaczony był do wyrobu najlepszych win. Winogrona zgniatano następnie pod prasą (podobną do tych używanych we współczesnych winnicach, w których nie stosuje się jeszcze masowych technik produkcyjnych). Wyciskany na tym etapie sok służył do wyrobu zwykłego wina. Potem masę owoców

prasowano ponownie, uzyskując słaby napój niskiej klasy, pity w dużych ilościach przez najniższe warstwy ludności, a nawet niewolników. Był on czasem wzmacniany dodatkiem zagotowanego winnego moszczu, co podnosiło nieco zawartość alkoholu. Kolejnym etapem produkcji wina był sam proces fermentacji. Sok pozostawał przez kilka miesięcy w kadziach, pokrytych od wewnątrz warstwą wosku (w wypadku lepszych win) albo żywicy sosnowej (wino nabierało wtedy lekkiego posmaku żywicznego, przypominając nieco grecką retsinę). Przez cały ten czas z soku dość często zbierano ferment. Wino, które miało być wypite od razu, przelewano po zakończeniu fermentacji do amfor lub bukłaków, to zaś, które miało jeszcze dojrzewać, precedzono skrupulatnie przez płótno i przy użyciu wosku dokładnie pieczętowano w amforach. Amfory opisywano datą, gatunkiem winogron, a także nazwą winiarni i imieniem jej właściciela, po czym składano je w chłodnych piwnicach. Najlepsze gatunki win przechowywano również w drewnianych beczułkach. Choć większość win należało wypić w przeciągu czterech lat, to te zapieczętowane w amforach mogły dojrzewać nawet do dwudziestu lat.

Rzymianie byli wielkimi koneserami win. Pewien znany adwokat, Kwintus Hortensjusz Hortalus, umierając w roku 50 p.n.e., zapisał nie znanemu bliżej beneficjentowi szokującą liczbę dziesięciu tysięcy amfor wina. Amfora miała objętość dwudziestu pięciu litrów, co oznacza, że Hortensjusz zebrał w swych piwnicach dwieście pięćdziesiąt tysięcy litrów wina!

W starożytności wino pito rozcieńczone, mieszane w różnych proporcjach z wodą. Rzymianki z czasów Gajusza Mariusza piły bardzo niewiele wina. Za czasów wczesnej Republiki ojciec rodziny, który poczuł woń alkoholu z ust jednej z kobiet miał prawo natychmiast ukarać ją śmiercią. Pomimo jednak wstrzeźliwości Rzymian, skrupulatnie rozcieńczających swe wino, alkoholizm był w starożytności problemem nie mniejszym niż dziś.

Wokontowie - związek plemion celtyckich zamieszkujących w Galii Zaalpejskiej nad rzeką Druencją. Ziemię ich graniczyły na północy z terytorium Allobrogów. Z upodobaniem łupili oni rzymskich podróżnych, w miejscu, gdzie Via Domitia schodziła z Alp w dolinę Rodanu.

Wolkowie Tektosagowie - związek plemion celtyckich zamieszkujących śródziemnomorskie wybrzeża Galii, od Rodanu na zachód aż do Narbonne i Tuluzy (zob. Brennus [2]).

Wolskowie - jeden ze starodawnych ludów środkowej Italii. Zamieszkiwali oni wschodnie Lacjum, a ich głównymi osiedlami były Sora, Atina, Ancjum, Cyrceje, Tarracina i Arpinum. Sojusznikami Wolsków był lud Ekwów. Pod koniec IV wieku p.n.e. Wolskowie tak dalece zasymilowali się z Rzymianami, że w dużym stopniu zatracili tożsamość kulturalną i społeczną. Nie używali mimo to łaciny, ale własnego, pokrewnego z umbryjskim, języka.

wyzwolenie - było aktem nadania wolności niewolnikowi. Jeżeli pan był obywatelem rzymskim, wyzwolenie oznaczało automatycznie przyznanie obywatelstwa niewolnikowi. Przyjmował on wtedy imię swego pana,

dodając do niego swoje stare imię jako *cognomen*. Niewolnika można było wyzwolić na kilka sposobów; kupując jego wolność z zarabianych przez niego pieniędzy, po upływie umówionej ilości lat, testamentem lub w formie szczególnego gestu właściciela, np. z okazji dojścia do pełnoletniości. Choć teoretycznie wyzwolony niewolnik stawał się równy swemu panu, to w praktyce zostawał on jego klientem, chyba że został z tego formalnie zwolniony. Mało miał on pożytku z nowo nabytego prawa wyborczego, w świetle prawa bowiem stawał się członkiem jednego z dwóch miejskich *tribus* - Esquilina bądź Suburana i głos jego był w zasadzie bezużyteczny. Niskie dochody sprawiły, że nie kwalifikował się do żadnej z pięciu klas majątkowych, tak więc nie mógł również głosować na Zgromadzeniu Centurialnym. Wielu niewolników pożałowało jednak mimo to rzymskiego obywatelstwa, nie tyle nawet dla siebie, co dla swych potomków. Uwolniony niewolnik zwany był wyzwoleniec i do końca życia nosił z tyłu głowy stożkowatą czapkę, zwaną Czapką Wolności.

wyzwoleniec - wyzwolony niewolnik, pozostający pod patronatem dawnego właściciela, choć w praktyce wolny (posiadający nawet obywatelstwo, jeśli jego dawny pan był obywatelem rzymskim). W czasach Mariusza wyzwolenicy mieli małe szanse, by wykorzystać swój głos w wyborach, należeli bowiem do dwóch *tribus* miejskich - z Subury i Eskwilinu. Wyjątkowo uzdolnionym albo pozbawionym skrupułów wyzwolencom udawało się czasem zdobyć majątek i wpływy, a wtedy mogli głosować w swoich klasach majątkowych.

zgromadzenie (*comitia*) - zebranie ludu rzymskiego zwołane w celu obradowania nad sprawami rządu, prawodawstwa albo nad wyborami. W czasach Mariusza istniały trzy zgromadzenia: Centurialne, Ludowe i Plebejskie.

Zgromadzenie Centurialne - zorganizowane było według podziału ludności Rzymu na klasy majątkowe i zajmowało się głównie sprawami gospodarczymi. Ponieważ było to pierwotnie zgromadzenie o charakterze wojskowym, każda klasa zbierała się w centuriach (które w czasach Mariusza liczyły już znacznie ponad stu ludzi, bo liczba centurii w obrębie jednej klasy musiała pozostać niezmienną). Zgromadzenie to, zwane po łącznie *Comitia Centuriata*, zwoływano, by wybierać konsulów, pretorów i (co pięć lat) cenzorów, a także by sądzić oskarżonych o zdradę stanu.

Zgromadzenie Ludowe (*Comitia Populi Tributa*) - dopuszczało udział patrycjuszy. Gromadziło 35 *tribus* (obejmujących wszystkich obywateli Rzymu). Zgromadzenie Ludowe (zwane także Zgromadzeniem Popularów), zwoływane przez konsula lub pretora, formułowało prawa, wybierało edylów kurulnych, kwestorów i trybunów wojskowych. Mogło także prowadzić procesy sądowe.

Zgromadzenie Plebejskie (*Comitia Plebis Tributa* albo *Concilium Plebis*) - nie dopuszczało udziału patrycjuszy, a zwoływał je trybun ludowy. Zgromadzenie Plebejskie miało moc stanowienia praw przez uchwały zwane plebiscytami oraz prowadzenia procesów. Wybierało ono edylów plebejskich i trybunów ludowych.

W żadnym z rzymskim zgromadzeń obywatele nie głosowali

bezpośrednio. W Zgromadzeniu Centurialnym liczyły się głosy poszczególnych centurii danej klasy, a głos centurii oddawany był zgodnie z wolą większości jej członków. W tribusowych Zgromadzeniach Ludowym i Plebejskim głos poszczególnego obywatela zaliczany był do ogólnego głosu jego *tribus*, znów oddawanego zgodnie z wolą większości.



WYKAZ IMION NAJCZĘŚCIEJ UŻYWANYCH W STAROŻYTNYM RZYMIE

Praenomen (pierwsze imię)

Appiusz	Marek
Aulus	Publiusz
Gajusz	Sekstus
Gnejusz	Serwiusz
Kwintus	Spuriusz
Lucjusz	Tyberiusz
Mamerkus	Tytus
Maniusz	

Nomen (imię rodowe)

Akwiliusz	Furiusz
Anniusz	Gawiusz
Antoniusz	Graniusz
Antysteusz	Gratydiusz
Apulejusz	Herenniusz
Atyliusz	Hortensjusz
Aureliusz	Juliusz
Bebiusz	Juniusz
Bilienus	Kalpurniusz
Cecyliusz	Kasjusz
Decjusz	Klaudiusz
Dekumiusz	Klodiusz
Domicjusz	Koeliusz
Dydiusz	Korneliusz
Ekwicjusz	Kurcjusz
Eliusz	Labienus
Emiliusz	Licyniusz
Fabiusz	Liwiusz
Fabrycjusz	Lucyliusz
Fanniusz	Lusjusz
Flawiusz	Lutacjusz
Fraukus	Macjusz
Fulwiusz	Maeliusz

Magiusz
Makrynus
Malliusz
Mamiliusz
Manliusz
Marcjusz
Mariusz
Memiusz
Minuncjusz
Mucjusz
Noniusz
Norbanus
Oktawiusz
Opimiusz
Oppiusz
Papiriusz
Perkwitienus
Petrejusz
Plaucjusz
Plocjusz

Pompejusz
Pomponiusz
Popediusz
Popiliusz
Porcjusz
Postumiusz
Rutyliusz
Saufejusz
Semproniusz
Sergiusz
Sertoriusz
Serwiliusz
Sozjusz
Sulpicjusz
Sycjusz
Terencjusz
Toriusz
Tulliusz
Tycjusz
Wageniusz

Cognomen (przydomek)

Afrykański
Agelastus (nigdy się nie uśmiechający)
Ahala (znaczenie nieznane)
Ahenobarbus (czerwonobrody)
Albinus (biały)
Augur (augur)
Balearyjski (z Balearów)
Bambalio (znaczenie nieznane)
Bestia (bestia)
Brokchus (zębaty)
Brutus (głupi)
Cepio (sprzedawca cebuli)
Cezar (o bujnym włosie)
Cezoniusz (znaczenie nieznane)
Cycero (groszek)
Dalmatyński
Dentatus (urodzony z zębami)
Diadematus (królewskiego rodu)
Dives (boski)
Druzus (znaczenie nieznane)
Eburnus (z kości słoniowej)
Filip (z Filippi)
Fimbria (z grzywką)
Flakkus (o wielkich uszach)
Galba (brzuchacz)
Geta (z krańca świata)
Grakchus (kawka[?])
Kaldus (oziębły)

Kalwus (łusy)
Kamiliusz (znaczenie nieznane)
Kaprariusz (kozioł, cap)
Karbo (spalony na popiół)
Kato (surowych obyczajów)
Katullus (szczenie)
Kekus (ślepy)
Kotta (plama wina[?])
Lenas (odziany jak kapłan)
Lentulus (powolny)
Lepidus (wspaniały chłop!)
Limetanus (znad granicy)
Longinus (oddalony)
Lukullus (lasek, gaj)
Macedoński
Magnus (wielki)
Maktator (zabójca)
Maksymus (największy)
Mancinus (ułomny)
Margarita (perła)
Meminiusz (meminijski)
Merula (kos)
Metellus (zwolniony najemnik)
Mus (szczur albo mysz)
Nazyka (nosacz)
Nerwa (twardy)
Numidyjski
Orator (mówca)

Orestes (osierocony przez matkę)
Paulus (błahostka albo maleńki)
Pipinna (penis chłopczyka)
Piso (uciskam, wymagam)
Porcella (prosiaczek albo pupa
dziewczynki)
Postumus (pogrobowiec)
Pulcher (piękny)
Rawilla (gada, aż zachrypnie)
Reginus (należący do królowej)
Rex (król)
Rufinus (z rodu rudowłosych)
Rufus (rudy)
Ruso (wiejski prostak)
Saturninus (należący do Saturna)
Scewola (leworęczny)

Scypio (obrzędowa laska)
Serranus (ząbkowany, piła)
Seskwikulus (dupa i pół)
Sikulus (sycylijski)
Silo (zadarty nos)
Skaurus (o obrzękłych stopach)
Stichus (greckie imię dla niewolnika)
Strabo (zezowaty)
Sulla (łydeczka)
Sylanus (brzydka gęba)
Tubero (moralnie zepsuty)
Wacja (koślawonogi)
Warron (krzywonogi)
Werrucosis (pokryty brodawkami)
Wopiskus (ten z bliźniąt, który przeżył)



Księgozbiór DiGG



2008